

CZĘŚĆ PIERWSZA

STULECIE, W KTÓRYM
SPALIŚMY NADZY

1 Błędny struś

Dziadek opowiadał mi historie z Afryki.

Jedna z nich wydarzyła się na farmie położonej na równiku. Pewnego dnia jej właścicielowi, angielskiemu osadnikowi, zaświtała w głowie myśl, by zbić majątek na hodowli strusi, jako że wśród żeńskiej części londyńskiej populacji robiły właśnie furorę kapelusiki przystrojone piórami. Skrzyknął swoich ludzi, zbudowali ogrodzenie i wyruszyli na poszukiwanie pierwszego egzemplarza. Rychło ujrzeli w oddali wielkiego niczym portowy dźwig i pyszniącego się imponującym, kanclerskim upierzeniem wspaniałego samca. Pojmali go, zarzuciwszy na szyję kilka lass, po czym powlekli do zagrody wierzgającego histerycznie w zapadającym afrykańskim zmierzchu. Osadnik uznał, że zdoła uspokoić ptaszysko, zakrywając mu oczy, wzorem sokolników i właścicieli papug. Bądź co bądź struś to też ptak.

Popędził do domu i rozbebeszył wszystkie szuflady. Nagle z komody wypadła na podłogę długa, niebieska, sportowa podkolanówka, pamiątka szkolnych lat w Eton. Doskonały kaptur na tę długą szyję! Zachwycony pomysłem wykrzyknął: *Floreat Eton!*^{*}, pochwycił podkolanówkę i wypadł na lekkie i ciepłe powietrze rozedrgane od okrzyków robotników usiłujących z wszystkich sił zapanować nad oszalałym jeńcem. Jednym susem przesadził płot, z triumfal-

^{*}„Niech rozkwita Eton!” - motto Eton College, prywatnej, elitarnej szkoły w Windsorze, w pobliżu Londynu.

nym uśmiechem zamajtał podkolanówką, po czym imperatorskim gestem nakazał unieruchomić bestię. Gdy główka parszającego ptaka kreśliła konwulsyjne esy-floresy u jego stóp, farmer nakrył ją jednym, celnym ruchem. Po trwających krótko wiwatach nastąpiła pełna wyczekiwania cisza. Wszyscy utopili wzrok w zakapturzonej sylwetce; ich ociekające potem ramiona ostrożnie rozluźniały napięte liny. Przez krótką chwilę, ledwie przez krótką chwilę zdawało się, że tyci mózdzek stworzenia wypełniła kompletna pustka, a rześnaste oczy zaakceptowały fakt, że świat przestał istnieć.

Była to jednak tylko krótka chwila. Ułamek sekundy po tym, jak liny legły w trawie, niewybrzmiałe jeszcze gratulacje pierzchły pośród podskoków przerażenia, kiedy struś eksplodował błyskawicą furii, wprawiając nogi w oszalałą rotację przypominającą wirujące łopaty helikoptera, miotając przy tym na oślep przyodziań w podkolanówkę szyją. Jednemu z mężczyzn ostry pazur rozorał bok, inny zainkasował kopniaka, farmer zaś poczuł na twarzy piekące smagnięcie ostrych jak brzytwa piór. W panicznej ucieczce przerażeni łowcy przeskakiwali przez ogrodzenie i dodając sobie otuchy pokrzykiwaniami i dosadnymi epitetami, usiłowali capnąć podrygujące powrozy. Za późno. Pod wpływem opętańczych płasów ptaka cugle wystrzeliły w powietrze ze stłumionym jękiem, jaki wydają zerwane struny skrzypiec. Uwolniony z krępujących go więzów wściekły Ślepy Kurak, potykając się, chwiejąc i wierzgając, natarł na żerdzie ogrodzenia przeznaczonego dla ptaka, nie smoka. Drewno pękło z wątlym trzaskiem jak wykałaczką i ptaszysko wydostało się na otwarty, choć ukryty dla niego za niebieską maską świat.

I nikt nie dałby głowy, że ten wspaniały okaz samca powiewającego marszałkowskim pióropuszem był rzeczywiście strusiem, a nie wcielonym, pierzastym diabłem wyglądającym jak struś i poruszającym się jak struś, albo czy strusi bóg nie obdarował na krótką chwilę swojej strusiej owieczki nadzwyczajną jasnością umysłu. Tamtego późnego popołudnia bowiem na równiku ów okapturzony samiec odwrócił się z książęcą godnością i, jak przysięgali potem jego rozgromieni i poturbowani prześladowcy, skinął im majestatycznie zakutą głową. Następnie, jakby skrupulatnie wypełniał z góry ustaloną procedurę, ruszył przed siebie, wpierw wolno, potem stępa, który przerodził się

w wiatronogi bieg ku zachodzącemu słońcu, by z wolna wtopić się w pomarańczową tarczę i niebawem zniknąć na dobre.

Jeszcze długo po tym wydarzeniu wieśniacy z Njoro, masajscy wojownicy i pasterze, ludzie z plemienia Nandu, a nawet leśni myśliwi Ndorobo twierdzili, jakoby widzieli błędnego strusia w niebieskim kapturze na głowie, nawet wówczas, kiedy ptak dawno powinien był już paść z głodu. Nigdy nie zdołano go schwycić.

Tamtego lata 1978 roku dziadek opowiedział mi wiele historii z Afryki. Moją ulubioną była ta o błędnym strusiu. Zameczyłem go o nią codziennie. Snuł opowieść niespiesznie, z tym swoim osobliwym akcentem, a jego głos balansował na krawędzi każdej spółgłoski, artykułując dźwięki, ocierał się o granice karykatury, a jego „t”, jego „d” i jego „r” były najbardziej dosadnymi „t”, „d” i „r”, jakie słyszałem w życiu. Zawsze, kiedy struś wydostawał się z niewoli, wybuchałem salwami nieokiełznanego śmiechu, dziadek zaś promieniał za pierścieniami dymu dobywającego się z jego fajki. W każdej kolejnej odsłonie opowiadania odwlekał coraz bardziej finał, rozbudowując scenę walki do rozmiarów epickiej superprodukcji Samuela Bronstona, a po jego twarzy przemykał szelmowski uśmiech. Po dziesięciu czy dwudziestu powtórkach bitwa osiągnęła już tak apokaliptyczne rozmiary, że aby unieruchomić wszystkie złamane kończyny, trzeba by wyciąć w pień puszcze Konga.

Gdy opowiadanie dobiegało końca, zapadała cisza inkrustowana miarowym śpiewem świerszczy w sierpniową noc. Wówczas sennym już głosem nagabywałem go o wszystkie szczegóły, o te same, co zwykle i nowe, błahe i ważne, zadając pytania infantylne i takie, które sprawiały, że unosił brwi nad oczami zatopionymi w głębokich bruzdach zmarszczek, dając wyraz zdumieniu wobec tych przenikliwych sądów, których rzadko spodziewa się po dziecku. Gdzie się podział struś? Czy to prawda, że widziano go później? Czy ranni wyzdrowieli? Czy osadnik musiał od tego czasu nosić podkolanówkę nie od pary? Czy stracił majątek, bo nie mógł hodować strusi? Jak się nazywał osadnik? Czy to prawdziwa historia, czy tylko opowieść? Cierpliwie, po kolei, odpowiadał na wszystkie pytania. Zasysał dym z fajki przez szczelinę w czerwonej brodzie, topił głębokie spojrzenie w lśniącej, górskiej nocy i rozciągając samogłoski, odpowiadał stłumionym,

poważnym, łagodnym i modulowanym głosem. Ów dźwięk łaskotał moje uszy tkliwie niczym pomruk starego, dobrze wyregulowanego silnika, jak zduszony szmer autostrady przebiegającej opodal domu, jak westchnienie morza zmęczonego wyrzucaniem na brzeg fal i zabieraniem ich po chwili w drogę powrotną.

Jego głos uspokajał mnie, koił, zamykałem powieki, moje ciało tonęło w pościeli łóżka pod niebieskim sufitem, niebieskość znikła w strzępach mgły, które rozwiewały się, ukazując podwoje snu. Wiele razy śniłem, że bawię się na skąpanej w słońcu łące, na brzegu jakiejś rzeki. Nagle zjawiał się struś z opowiadania ze swoją niebieską kapuzą na szyi. Gdy tylko udawało mi się wyjść z osłupienia, zbliżałem się w absolutnej ciszy, stąpając jednak pewnie, ażeby wiedział o mojej obecności i nie uciekł w popłochu, przynajmniej nie w moim kierunku. Stał nieporuszony, nie drgnęło mu nawet jedno ścięgno mocarnych mięśni, gdy ja tymczasem wyciągałem ręce ku długiej szyi wznoszącej się metr nade mną. I wówczas następowało coś nieoczekiwanego, niepojętego: ptak pochylał głowę i wpychał mi dziób w dłonie, jakby prosił, aby uwolnić go z ciemnicy. Nie spuszczając z niego wzroku, chwyciłem podkolanówkę obiema rękami za wewnętrzną krawędź, przetykałem ślinę i cały dygocząc, ciągnąłem ku sobie, by oswobodzić go z twierdzy niebieskiej dzianiny. Potem mijały straszliwie długie sekundy, kiedy w blasku skąpanej w słońcu łąki struś otwierał rzęsiaste oczy. Patrzył na mnie szorstkim wzrokiem, jakim strusie patrzą zwykle na ludzi, trzepotał skrzydłami, wzbijał się pionowo w powietrze niczym harrier i oddalał się, frunąc. *Frunąc!* Na miłość boską, miałem tylko dziesięć lat, ale wiedziałem doskonale, że ani strusie, ani żadne inne ptaki z rodziny strusiatych nie potrafią latać. Nie mają nawet grzebienia, do którego przyczepione są mięśnie odpowiedzialne za poruszanie skrzydłami w locie, a gdyby go nawet miały, jedynym sposobem oderwania tej ptasiej ferajny od ziemi byłoby zapakowanie jej do ładowni samolotu. Ale, co u licha! To był mój sen i w moim śnie struś mógł robić, co mu się żywnie podobało.

Nie znałem wcześniej dziadka, poznałem go dopiero latem tamtego roku. Został do końca sierpnia.

Potem przepadł w Kenii.

Lux Domini

Pierwszej nocy w Nairobi niemal nie zmrzyłem oka. Byłem zbyt zdenerwowany pierwszym spotkaniem z długo wyczekiwaną i upragnioną kochanką, której składałem w hołdzie niezdrową obsesję, pieszcząc wyłącznie jej formy z papieru i atramentu, farby i drewna, wsłuchując się w jej sugestywny głos i wyobrażając sobie, jak szepcze mi do ucha miłosne zaklęcia. Owej nocy doszło do pierwszego spotkania, ofiarowania i poniechania. Moje szaleńcze pożądanie zyskało realne kształty i wiedziałem, że namiętność ta nie spłonie jak strzelające raptownie i znikające w mgnieniu oka iskry, ale że mój stos karmić się będzie rezerwą paliwa gromadzonego przez lata w tankach mojego instynktu. Z fotela w hotelowym pokoju kontemplowałem swoją najdroższą, strojną w biżuterię skrzącą się z każdym jej oddechem, odkrywając pod delikatnym muślinem mroku zarysy jej pofalowanych kształtów, uległą i pogrążoną we śnie, zdobytą i rozrzuconą bezładnie na polu bitwy. Nie wytrzymałem i wyrzekłem głośno jej imię: Afryko, nareszcie!

Z pokoju hotelu Nairobi Serena przez kilka godzin wpatrywałem się w nocny bezruch afrykańskiego miasta, zastygłego jak wszystkie miasta oglądane z pewnej odległości sponad poziomu ulicy, uwodzicielskiego i zaskakującego, jak zawsze, gdy przybywa się nocą w nieznane miejsce. W dole rozpościerał się park Uhuru zatopiony w smolistej ciemności, w której niekiedy pojawiały się

jeszcze migotliwe refleksy jakiegoś typka spod ciemnej gwiazdy złowionego przez światła pobliskich budynków. Z lewej strony, pośród kępiastej, niskiej zabudowy i rozległych połąci miejskich ugorów z trawą poprzecinaną wąskimi ścieżynami wydeptanymi stopami ludzkiego mrowia, wznosiły się niewiarygodne drapacze chmur sprawiające wrażenie, jakby znajdowały się tam przez omyłkę niczym banderille wbite w grzbiet goryla. Ulice skrywały się pod bladą poświatą, gdziekolwiek tylko zdradzającą obecność miejskiej konglomeracji rozsianej bez ładu i składu jak okruchy na obrusie. W oddali, za rozproszonymi, ostatnimi światłami fabryk i warsztatów otwierała się w ziemi czarna otchłań ciągnąca się aż po pierwsze gwiazdy na horyzoncie.

Nie mogłem zasnąć, postanowiłem więc uporządkować swoje rzeczy. Zwymiotowałem zawartość walizki na łóżko, całą hałdę niezbornej, nieprzetrawionej informacji. Spomiędzy ubrań, przyborów toaletowych, materiałów fotograficznych, pojedynczych drobiazgów i unikatowych skarbów wyzierały książki, jedne zaczytane, inne zapakowane jeszcze w przezroczystą folię, zapisane do połowy zeszyty, wyświechtane kartki papieru, rulony map ściśnięte recepturkami, teczki pełne wycinków i koperty brzemienne starymi fotografiami. A pośród tego wszystkiego bezcenny klejnot: naszyjnik z pazurów lwa. No i rękopis, busola mojej podróży, sterta papieru, którą wepchnął mi w ręce przypadek albo paląca potrzeba. Zobaczyłem ten dokument i od sycenia zmysłów tą pierwszą miłosną nocą z Afryką mimowolnie przeniosłem się do miejsca, w którym zaczyna się moja historia. I będzie chyba lepiej, jeśli uporządkuję swoje myśli. Sądzę, że powinienem wrócić w góry.

Gdyby ktoś nie wiedział, śpieszę wyjaśnić, że Torreledones to małe miasteczko znajdujące się 30 kilometrów na północny zachód od Madrytu. To tam arras z zielonych kulek drzewostanu El Pardo rozdziera się bezgłośnie, odsłaniając fałdy haftowane szlachetnymi kamieniami granitu ułożonymi w kapryśny, mgłą zasnutą mur za łańcuchem Hoyo de Manzanares, będącym przedprożem gór Guadarrama. Dęby ostrolistne, sosny, czystek ladanowy i tymianek stoją na straży pozostającej przy życiu małej kolonii więźowców, które dały swoje nazwisko miejscowości, dopełniając jej imię nawią-

zujące do najbardziej znamiennego i rozpoznawalnego kształtu w okolicy: średniowiecznej baszty wzniesionej przez Arabów*. Pod tym to właśnie zameczkiem o aparycji gabinetowej zapalniczki lub zamku Heroda w bożonarodzeniowej szopce fałszywy Don Kichot Avellanedy miał wziąć za giermka zniewieściałego i brzuchatego wojaka, który okazał się brzemienną dziewczką, gdy tymczasem prawdziwy Sancho porzucił już rolę krotochwilnego sługi, aby przeistoczyć się w magnata biznesu. Czytałem, że w tej kieszonkowej twierdzy zażywały odpoczynku królewskie gnaty Filipa II, gdy wypadło mu stanąć na nocleg w drodze do Escorialu. W porównaniu z monumentalnym klasztorem Torre de los Lodones może wydawać się nadzwyczaj skromną gospodą jak dla imperialnego monarchy. Przypuszczam jednak, że kiedy człowiek jest królem, nie przestaje myśleć o historii nawet wówczas, kiedy kładzie się spać, i nie w tym rzecz, by stanąć gością u pierwszego lepszego szaraczka - cóż z tego, że on nawet zamożny - ale wypatrywać należy kamienia splamionego krwią, na którym kiedyś zadźgano kogoś nożem lub zasieczono szamszirem. Wiosną skała będąca naturalnym fundamentem wieżycy pokrywa się białymi ciapkami kwitnącego czystka, zimą zaś blanki muru drą na strzepy mroźną mgłą opadającą z góry Abantos na El Pardo.

Butna, panosząca się na wysokościach wieża walczy o palmę pierwszeństwa z okazałym domiszczem wczepionym w wysokie wzgórze i współtworzącym fantastyczny krajobraz udekorowany monstrualnymi, granitowymi głazami o irracjonalnych formach i pozach, zastygłych, wydawałoby się, w niefortunnym momencie geologicznym, wiszących na włosku i grożących zwaleniem swoich dwudziestu granitowych ton na nasze głowy. Bloki skalistej góry tworzą naturalny piedestał modernistycznego Frankensteina - pałacu Canto del Pico, rezydencji skonstruowanej w latach dwudziestych ubiegłego wieku z resztek archeologicznych wygrzebanych na mnisich wyprzedziałach. Jej pierwszym właścicielem był arystokrata noszący tytuł skazujący na wieczne tułactwo w stroju złożonym z prześcieradła

Torrelodones - hiszp. *torre* - wieża; *lodón* - jedna z hiszpańskich nazw wiaźowca południowego (przyp. tłum.).

i zardzewiałych łańcuchów - hrabia de las Almenas*. Być może właśnie ze względu na to dobry władarz kazał sobie zbudować scenerię, w której godnie przyszloby mu wypełniać widmowe przeznaczenie, dom bowiem, znany w niektórych kręgach pod nazwą Walpurgii, jest kuriozum tak złowieszczym, że przyciąga jak magnes. Z historii wiemy, że tam właśnie zmarł Antonio Maura, przyjaciel hrabiego, znajomy moich przodków i polityk, który na zasadzie recydywy szefował kilkakrotnie rządowi w burzliwych latach poprzedzających wojnę domową. Jeśli Maura błąka się tam jeszcze, dotrzymując towarzystwa hrabiemu, całkiem możliwe, że obaj ucinają sobie pogawędki z trzecim upiorem - generałem Franco. Po zakończeniu działań wojennych hrabia sprezentował pałac dyktatorowi. Zawsze gdy wisiał w powietrzu jakiś zamach, rewolta lub groźba obalenia dyktatury, *caudillo* pakował manatki i wyjeżdżał z pałacu El Pardo drogą do Torrelorones przez prywatny ogród porośnięty dębami, aby przyczaić się w Canto del Pico, gdzie ponoć skonstruowano specjalną obrotową platformę, która ustawiała samochód generalissimusa w pozycji wyjściowej, umożliwiającej natychmiastową ucieczkę na wypadek, gdyby masonscy i komunistyczni konspiratorzy, o których nigdy nie zapominał w swoich dyskursach, zaczęli się wspinać nocą po skałach jak szczury. Pałac jest tak bardzo nasycony historią, że jeśli by ją przelać na papier, pod ciężarem atramentu runęłyby podłogi, a gdyby ściany mogły mówić, trzeba by je wpiętych wytrzepać po pyskach, aby móc tam zmrużyć oko.

Przede wszystkim jednak Canto del Pico był wymarzoną ikoną strachu. Każde dziecko, a przynajmniej takie, jakim byłem ja i moi rówieśnicy, odczuwa chorobliwe zamięłowanie do tego, co je przeraża, i uważam to za naturalny objaw, masochizmu bowiem też trzeba się nauczyć. Dom ten był scenerią moich koszmarów, w których *caudillo* zastępowały stosownie jakieś straszydła z bajek; okiem cyklonu generującym niezwykle i przerażające wydarzenia; źródłem przerażających hałasów, fabrykowanych być może przez zgrzytające szczątki architektoniczne, które nie godziły się mieszkać pod tym samym dachem; i oczywiście głównym celem naszych wypraw.

Almenas - hiszp. blanki, zwieńczenie murów obronnych (przyp. tłum.).

Mój dom, dom mojej babki, praktycznie graniczył z posiadłością Canto del Pico. Była to stara górską willa zbudowana z bloków granitu, położona w górnych partiach Torrelodones, dosłownie u stóp wzgórza zwieńczonego fantasmagoryczną rezydencją. Wąski pas ziemi i skał, który w mitologii utworzonej na potrzeby kręgu wtajemniczonych nazywaliśmy Przepaścią, oddzielał mur mojego domu od żelaznego ogrodzenia broniącego dostępu - zakładam, że takie było jego założenie - do naszego osobliwego wrzosowiska Baskervillów, nafaszerowanego zadziornymi skałami zbieżną się na wysokość tysiąca metrów.

Dom należał do rodziny od czasów, gdy opuściwszy stolicę i osiedliwszy się w miasteczku - posunięcie, które nosiło w tamtych czasach znamiona prawdziwej emigracji - kupił go mój pradziadek. Na przełomie XIX i XX wieku Torrelodones było letnim uzdrowiskiem odwiedzanym przez madrycką arystokrację, miejscem obdarzonym, jak mawiano, najlepszym powietrzem tych gór, bo tymianek i kwiat czystka nasycaly swoimi aromatami lekką i ożywczą bryzę bijącą ze szczytów łańcucha Hoyo. Zważywszy, iż woda tryska z górskich źródeł, być może nie było całkiem niedorzeczne przypuszczenie, że masywy skalne posiadały również zdolność generowania powietrza, którym oddychaliśmy, bo w pozbawionym leczniczych wód Torrelodones powietrza było pod dostatkiem i można go było zażywać do woli.

Toteż wybitne stołeczne osobistości i zamożne rodziny odpoczywały w miasteczku od zgiełku i duchoty Madrytu. Każdego lata czy to za monarchii, czy za republiki dworska socjeta płynęła wąskim korytarzem z El Pardo do Escorialu niczym procesja wyniosłych mrówek. Torrelodones stawało się wówczas punktem na mapie, z którego można było objąć letnie rezydencje wszystkich, którzy byli kimś, gdyby zatoczyć cyrklem koło o promieniu równoważnym czasowi niezbędnemu do przywdziania stroju, biżuterii i wydania polecenia szoferowi, nawet wówczas gdy zaproszenie docierało z podejrzeniem wyśrubowanym spóźnieniem. Jednak mimo statusu epicentrum towarzyskiego trzęsienia ziemi Torrelodones zawsze zapewniało odpowiedni stopień dyskrecji pozwalającej zniknąć w tłumie i można było mieć absolutną gwarancję, że zostanie się dostrzeżonym przez

wszystkich i wyróżnionym na tle innych z zachowaniem przy tym całkowitej anonimowości. Nawet dzisiaj powyższy przymiot urasta do rangi organicznego monumentu komunalnego przy ulicy Real numer 1, domku z kamienia obłożonego ogródkami barów ożywiających serce miasteczka. Vis-a-vis niesłabnącego strumienia pchających dziecięce wózki par, które wietrzą swoich dyktatorów obutych w wełniane papucie, małomiasteczkowych sportowców z kabelkami w uszach i krążących stad wyrostków wrzeszczących, jakby ktoś ich obdzierał ze skóry, i zaplątanych w opuszczone do kolan spodnie, przysiada na swojej kamiennej ławeczce zamieszkująca wspomnianą nieruchomość staruszka ubrana tak, jak się ubierają, robiąc to, co robią miliony takich jak ona staruszek w każdej hiszpańskiej wiosce na głębokiej prowincji. Odbębnia tam swoją robotę jak na proscenium, na oczach dziesiątków mieszkańców Torrelodones tłoczących się w barach, ale nikt nie zwraca na nią uwagi ani ona nie zwraca uwagi na nikogo, ukryta na oczach wszystkich jak za murem tlenu, wyróżniając się niezauważalna niczym unikatowy i zabytkowy eksponat miejskiego umeblowania.

I jeśli stosunki towarzyskie były zaprawą murarską, która spoiła kostkę brukową miasteczka, to zdaje się, że w tej szczególnej odmianie murarskiego fachu moja rodzina wykazała się niejakim kunsztem. Rodzinna legenda głosi, że dziadek prapradziadka prapradziadka jednego z moich prapradziadków w charakterze skryby Francisca Hernandeza, „protomedyka i historyka Jego Wysokości króla Filipa II w Indiach Zachodnich, na wyspach i ziemiach Atlantyku”, w Roku Pańskim 1570 wziął udział w wyprawie botanicznej, pierwszej europejskiej ekspedycji naukowej do obu Ameryk. Wiadomo, o ile można mieć tu jakąś pewność, że osiedlił się w Santiago de Cuba i dzięki znajomości z gubernatorem stał się grubą fiszą w zamorskim handlu. Dorobił się małej fortuny i nabył trochę ziemi, która przetrwała w rękach naszego klanu aż do katastrofy roku 1898. Utrata Kuby nie zrujnowała nas, zredukowała jednak majątek do kilku inwestycji i nieruchomości w Hiszpanii. Po śmierci prapradziadka schedę podzielono między mojego pradziadka i jego pięciu braci, co pozwoliło im cieszyć się luksusem zasobnej kieszeni, choć dalekim od splendoru dawnych czasów.

Pradziadek Fernando Mencia kultywował rodzinną tradycję inwestowania w znajomości. Od dziecka dzielił lekcje i procę z chłopcem o imieniu Miguel, synem wspomnianego już premiera Antonia Maury, który skonał na schodach Canto del Pico. Przyjaźnili się przez długie lata i mój pradziadek utrzymywał stosunki towarzyskie z braćmi Miguela, zwłaszcza z Gabrielem, wybitnym historykiem i akademikiem. Obaj bracia Maura udzielali się w polityce, choć ich postawy wobec monarchii Alfonsa XIII w okresie politycznego chaosu po upadku dyktatora Prima de Rivery, były różne. Tymczasem jedyną polityką, jaka pasjonowała mojego pradziadka, była chęć przypodobania się wszystkim. Kiedy nadszedł czas wyboru studiów, zdecydował się na ideologicznie aseptyczną medycynę i z tytułem lekarza pod pachą wizytował okazjonalnie rodzinę Maura.

W 1911 roku Gabriel Maura i jego małżonka zakupili i połączyli trzy przylegające do siebie działki niedaleko Torrelodones, między łańcuchem górskim Hoyo i połaciami leśnymi El Pardo. Na wzgórzu El Pendolero, pierwszej wyspie orograficznej za morzem dębów El Pardo, wybudowali pałacyk-hotel, który wystaje z mesety jak kubi-styczna latarnia opasana wspaniałym tarasem przypominającym galiona na dziobie statku, zwróconego w stronę zaszytego w leśnym gąszczu Madrytu. Usytuowanie pałacyku na El Pendolero, pierwszym kamieniu granicznym na owym szlaku dworskiej procesji, jak również nieodparty urok gospodarza i sława jego nazwiska to atrybuty, które pozwoliły skomponować w tym miejscu wyborne menu tytułów szlacheckich i uniwersyteckich oraz intelektualnej śmietanki stolicy.

Pewnego razu pradziadek Fernando wziął udział w jednym z tych konwentykli i wpadł w potrzask surowej i dziewiczej przyrody, aliści wspaniałych okazji, jakie oferowała okoliczna dynamika towarzyska, również nie sposób było lekceważyć. Spakował dwie córki i żonę, Carmen de la Mota, córkę jerezańskiego hodowcy byków przeznaczonych na korridę i w 1913 roku sprowadził się do Torrelodones.

Pradziadkowi marzyła się przytulna klinika, w której pod jego fachową opieką odbywaliby kurację niedomagający milionerzy. Miała to być w założeniu zapewniająca luksus, dyskrecję, wypoczynek

i sposobność wymiany wizytówek ekskluzywna enklawa dysponująca przy tym podstawowym instrumentarium medycznym, na wypadek gdyby któryś z pacjentów rzeczywiście zaniemógł. Pierwszym krokiem na drodze do realizacji projektu było znalezienie wymarzonego do tego celu miejsca i pradziadek takie miejsce znalazł: solidną, dwupiętrową willę z mansardą, wzniesioną z bloków granitu z gór Guadarrama, z dwuspadowym dachem krytym czerwoną dachówką i fasadą frontową zwieńczoną w górnej części drewnianymi belkami zatopionymi w murze i licującymi z białym tynkiem. Zbudowany w połowie XIX wieku budynek był pierwotnie domem duchowego odpoczynku i dysponował licznymi pokojami przeznaczonymi na zakwaterowanie gości oraz przestronnymi pomieszczeniami, w których spożywano wspólne posiłki. Wyposażony był również w pewien detal mający kapitalne znaczenie w zamierzeniach mojego pradziadka - kapliczkę. Wejście główne mieściło się pod przestronnym, łukowym portykiem z kamienia, wystarczająco obszernym, aby zmieścić tam, jeden przy drugim, całą baterię leżaków, gdzie chorzy mogliby wypoczywać na świeżym powietrzu, osłonięci od deszczu i palącego słońca. Pozostawało nawet miejsce na ustawienie z tyłu krzeseł dla ich sekretarzy, służących i pielęgniarek. Tylna fasada zwrócona była ku południowo-wschodniemu stokowi Canto del Pico, na razie bez Walpurgii na szczycie; na parterze znajdował się wielki salon z oszkloną werandą - wymarzone miejsce, by nikać w oczach ze śmiercią na karku i jękiem na ustach w rytm bębniącego o szyby deszczu.

Aby wejść na teren posiadłości, trzeba było przeciąć brzoźowy las skrywający dom przed wzrokiem wścibskich gołodupców i nadający się w sam raz na spacer i oddychanie świeżym, górskim powietrzem. Za domem znajdował się taras wyłożony brukiem, a za nim ogród z kamienną fontanną z misą, kutym, żelaznym stołem urzędującym w towarzystwie kilku zardzewiałych krzeseł, dwoma olbrzymimi głazami, którym było tam tak dobrze, że postanowiły nie ruszać się z miejsca, gdy grodzono własność, oraz kilkoma sosnami i dębami bardziej jeszcze zasiedzianymi i sędziwymi niż głazy. Jednym słowem, wyśnione miejsce dla każdego, kto marzył o starym domu z kamienia w górach. Nawet oryginalna nazwa

posiadłości nie mogła być piękniejsza: Lux Domini. Pradziadek uznał ją za nader adekwatną i postanowił zachować.

Wszelako plan posiadał jedną rysę, pradziadek pominął bowiem pewien szczegół: nie był dobrym lekarzem. Nie chodzi o to, że brakowało mu dostatecznego przygotowania zawodowego czy nie dbał o swoich pacjentów. Miał jednak chorobliwą skłonność do stawiania diagnoz określanych przez niektórych lekarzy mianem „diagnozy zebry”. Jeśli coś rży, ma cztery nogi i kopyta, to niemal na pewno chodzi o konia, jednakże pradziadek - i tu należy nadmienić, że jego stopy nigdy nie dotknęły afrykańskiej ziemi - wszędzie widział zebry. Gdy dzięki reklamie, jaką robił mu Gabriel Maura jął wizytować pierwszych pacjentów w Torrelodones, diagnozował dolegliwości tak osobliwe, że jego chorzy, osobistości bardzo niechętnie dzielące się jednakowymi schorzeniami z prostym ludem, byli zachwyceni.

Na początku wszystko szło jak po maśle. Doktor Mencia robił kolejne nacięcia na rączce swej lekarskiej torby i dodawał nowego klienta do agendy, pacjent zaś zyskiwał elitarną dolegliwość wzbogacającą jego historię chorób i nowy temat do konwersacji podczas towarzyskich spotkań. Problem pojawiał się wszakże jakiś czas później, gdy przepisane lekarstwa nie przynosiły oczekiwanego skutku, a nawet zaostrzały objawy lub kiedy chory zasięgał opinii innego lekarza, lub kiedy służąca zjawiała się w aptecce i ordynowała u aptekarza, dajmy na to, preparat zwalczający infekcję choroby wenerycznej typowej dla lasów Syjamu na polecenie swej pani, markizy Valdelasmanos, która nigdy nie wyściubiła nosa poza posiadłość w Caceres czy letnią rezydencję w Escorialu z wyjątkiem podróży, w czasie których musiała tłuc się tą samą szosą, co pospolita hołota bez herbu, i ciekawe, czy w końcu powstanie jakiś rząd z prawdziwego zdarzenia, który zagwarantuje podróżującej arystokracji specjalne korytarze, bo z jakiej to niby racji owce mogą cieszyć się tym przywilejem, a właścicielowi wełny jest on odmawiany. Tak czy inaczej, jako że można było niemal całkowicie wykluczyć prawdopodobieństwo utrzymywania przez panią markizę stosunków cielesnych z syjamskim wieśniakiem uprawiającym ryż i bawiącym przejazdem przez Talaverę de la Reina, aptekarz

dochodził do wniosku, że prawdopodobnie rozpoznanie choroby jest mocno chybione.

Mijały miesiące i przypadki, jak ten markizy Valdelasmanos czy małej córeczki hrabiostwa Povedilla, u której doktor Mencía wykrył atak podagry dziecięcej, z wolna zaczęły podkopywać zawodową wiarygodność pradziadka, w efekcie czego projekt kliniki Lux Domini legł w gruzach, zanim jeszcze zdążył okrzepnąć. Na szczęście dla Fernanda natura obdarzyła go nieoczekiwanym talentem, który dopiero w tym właśnie niefortunnym momencie miał rozbłysnąć jasnym płomieniem: zdolnościami malarskimi. Od dziecka podziwiał sztuki piękne i smarował płótna z takim zapałem, że z biegiem czasu opanował technikę pędzla i koloru, choć jego dzieła nigdy nie wyszły poza rodzinny krąg. W tamtych czasach i miejscu uznano by mianowicie, że pacykujący lekarz nie jest godny zaufania, co w tym konkretnym wypadku nie było dalekie od prawdy. Pewnego dnia, bodajże w wyniku zakładu, Fernando zobowiązał się namalować portret Gabriela Maury. Ku zdziwieniu modela efekt był znakomity i obraz uzyskał błogosławieństwo, zajmując honorowe miejsce w salonie głównym hotelu na wzgórzu El Pendolero. Dumny Gabriel chwalił się nim swoim gościom, na pradziadka zaś lunął deszcz zamówień od jego byłych pacjentów, którzy poczuli się wtenczas bardzo pokrzepieni, widząc, że koniec końców wszystko ma swoje wytłumaczenie: oddający się malarstwu lekarz nie mógł być osobą stateczną i wiarygodną, za to malarz z medycznym wykształceniem, o, to zmienia całkowicie postać rzeczy - kombinacja w wystarczającym stopniu egzotyczna i ekscentryczna, ażeby koniecznie bywać w jego towarzystwie i nabyć jakiś obraz jego pędzla, który można by powiesić nad kominkiem. W ten oto sposób umarł Fernando Mencía lekarz i narodził się Fernando Mencía artysta.

Odtąd pradziadek zaczął powiększać swój majątek, zamiast go doić. Przestronne poddasze Lux Domini przystosowano na potrzeby atelier, a garść sprzętu medycznego, w który już był się zaopatrzył, spoczęła w witrynach jako element dekoracji, chociaż lwią część czasu Fernando i tak spędzał na wizytowaniu swoich dostojnych modeli i delektowaniu się ich gościnnością. Nierzadko po zakończonej sesji klient rzucał mu wyzwanie: „od kilku już dni boli mnie

bark. Proszę mi powiedzieć, szanowny doktorze Mencia, jak pan myśli, cóż to może być?". Na co mój pradziadek, podejmując rękawicę i przedstawiając w krzywym zwierciadle błędy popełnione w swym poprzednim wcieleniu, replikował: „proszę mi pozwolić rzucić na to okiem... Hm, sądzę, że dolega panu *Leniwus Scapularis*”, co wywoływało u zaimprovizowanego pacjenta kaskadę śmiechu i komentarz: „ależ z pana numer, co za talent, i pomyśleć, że kiedyś dałem się nabrać, że jest pan prawdziwym lekarzem...”.

Gdy Fernando spędzał dni, realizując malarskie zamówienia w okolicznych szlacheckich włościach, prababka Carmen zabijała czas, skacząc po górskich skałach. Będąc córką hodowcy byków, wychowała się na wsi i sprawiało jej niewymowną radość zbieranie kwiatów, owoców, kamieni, wszystkiego, co było sfabrykowane przez naturę, nawet wypluwki, obrzydliwych kulek będących zlepkiem bogatego menu wydalanego ruchem wymiotnym przez niektóre ptaki drapieżne, niemogących przecież zafundować sobie szklanczki sody. Carmen klasyfikowała później swoje zbiory za pomocą naukowych ksiąg i umieszczała je w zaopatrzonych w etykiety i starannie ponumerowanych pudełkach i flakonach. Prababka niemal bezwiednie zgromadziła tak bogatą i udokumentowaną reprezentację lokalnej fauny i flory, że nawet dziesiątki lat po jej śmierci kolekcję tę analizowało wielu przyrodników.

Między górskimi wycieczkami prababka wychowywała dwie córki. Starsza miała na imię Victoria i urodziła się w 1910 roku. Dwa lata później na świat przyszła jej siostra, Maria Eugenia, którą wszyscy nazywali Uke. Moja babcia.

Władca równin

Myślę, że na ogół dzieci nie wiedzą zbyt dużo o swoich dziadkach. W ich magicznym świecie żyje zbyt wiele wymagowanych postaci, aby dało się w nim wykroić wolną przestrzeń dla przeraźliwie nudnych istot z krwi i kości, które nic, tylko gadają i gadają, zamiast w tym czasie się bawić, powtarzają w kółko to samo i na dodatek mają nieprzyzwoicie czyste ubrania. Ale dziadkowie są wyjątkiem. Nie kierują się tymi samymi kryteriami -jeśli dziecko mogłoby się tak wyrazić - co rodzice, nauczyciele, chrzestni, opiekunowie i inne stwory przynależące do kategorii taksonomicznej „dorosłych”. Dziadkowie zamieszkują inny świat, bardziej przypominający świat samych dzieci; nie zwracają uwagi na to, czego dotykają, po czym chodzą, czego wążają lub co jedzą; nie wstają wczesnym świtem, aby przynieść chleb do domu i wrócić nocą, jak można przypuszczać, po godzinach stania w kolejce do piekarni; poświęcają swój czas na rzeczy bardzo ważne, do których dorośli zdają się nie przykładać wagi: powierza się im świętą misję opieki nad wnuczętami i monitorowania robót budowlanych w mieście, stają się niewidzialni, gdy przysiadają na ławce w parku. Jakby tego było mało, są biegli w magii, wiedzą, jak wyczarować z rękawa łąkocie i na dokładkę potrafią to robić tak, żeby rodzice się nie pokapowali. W tym magicznym świecie dziadkowie mają zaklepane swoje miejsce i dzieci rysują ich obok Piotrusia Pana i misia Baloo, oddając ich kwintesencję za pomocą tego malarskiego, dziecięcego

minimalizmu w karykaturze uśmiechającej się zmarszczki, która w gruncie rzeczy mogłaby być najwierniejszą ilustracją korporacyjnego wizerunku dziadków świata.

Dopiero później, kiedy dzieci odrastają od ziemi i zaczynają podejrzewać, że tak naprawdę balonami obdarowuje ich nie myszka Miki, ale bezrobotny socjolog przebrany w kretyńskie, pluszowe wdzianko, lub gdy kiełkuje w ich głowach refleksja na temat seksualnych niedostatków Syrenki, dochodzą do wniosku, że dziadkowie nie zawsze byli tacy, że kiedyś też byli mali. Jeszcze gorzej, któregoś dnia byli nawet „dorośli"! Przeczuwają wówczas, że życie dziadków, niczym ich plisowane czoła, również pełne jest światła i cieni.

Jak inne dzieci nie wiedziałem właściwie nic o swoich dziadkach. Przez całe lata nie wiedziałem nawet o istnieniu tego starca z czerwoną brodą, który latem 1978 roku opowiadał mi historie z Afryki. Dziadkowie ze strony matki mieszkali na Ibizie i spotykaliśmy się tylko od wielkiego dzwonu, zatem w rolę dziadka na pełnym etacie, biorąc na siebie wszystkie dziadkowe atrybuty, wcieliła się babka Uke. Jej dom w Torrelodones, przeświecna Lux Domini, stanowił scenę, na której rozgrywało się moje dzieciństwo, lecz Uke była dla mnie jak ta willa, jak górskie skały - nie ludzką istotą, ale niewzruszoną twierdzą, heraldycznym tatuażem. To, co teraz wiem o niej i o jej związku z dziadkiem, zanim urodził się mój ojciec, odkryłem później, z pomocą matki, kiedy osiągnąłem wiek pozwalający mi to zrozumieć i poczułem w sobie wolę, by wiedzieć. Mój ojciec milczał niezłomnie na temat rodzinnych spraw. Nigdy nie wspominał słowem o swoim starym. To, czego dowiedziałem się później, skrywano przez całe dziesięciolecie niczym mroczny i kłopotliwy rodzinny sekret. Czarna legenda klanu Mencja.

Matka opowiadała, że Victoria i Uke były jak dwie kupki tej samej talii. Różnymi, ale uzupełniającymi się, nierozłącznymi kartami. Trudno było o doskonałą partię, jeśli nie grały obie. Victoria była poważna i roztropna, miała czarne, gładkie włosy zebrane w odlany ze stali, uformowany według kanonów helleńskiej architektury kok. Wielbiła sztukę i posiadała absolutną świadomość swojej pozycji społecznej oraz roli, jaką ów status nakazywał jej odegrać w świecie. Uke natomiast była jarmarczną budą przystrojoną girlandami

dzwoneczków, praniem suszącym się na kupie złomu, istotą jaśniejącą blaskiem, świeżą jak woda Vichy w glinianym dzbanie, spontaniczną i subtelną jak kawał kielbasy w etui od Cartiera. Z wielką frajdą buszowała w zbiorach historii przyrody swojej matki, skakała po górach, potrząsając kasztanowymi kędziorami i miała wiecznie pokryte strupami kolana, podrapane ręce, a na nosie usianym piegami ślady tuszu. Victoria i Uke wychowały się razem na dwóch, bardzo odległych od siebie planetach. Nigdy nie potrafiły zrozumieć się nawzajem i nigdy nie przestały się kochać.

Victoria wyszła bardzo wcześnie za mąż za starszego od siebie o dwadzieścia lat, posiadającego wspaniałe zbiory malarstwa baskijskiego przedsiębiorcę. Zawiozła swój architektoniczny kok do Neguri, gdzie znalazła wszystko, czego jej było trzeba: przemysł ciężki niezbędny do utrzymania fryzury w tym stanie, sztukę znajdującą swój wyraz nawet na ręcznikach zawieszonych obok bidetu, socjetę zamkniętą w szklanej kuli gwarantującej jej w praktyce pełną izolację od tych, których nazwiska kończyły się na „ez”* oraz totalny i absolutny brak anonimowości. Tymczasem Uke wciąż biegła niestrudzenie po górach, podwijając nogawki spodni - skandaliczny strój - podczas przeprawy przez strumienie i zdmuchiwała wchodzący jej w oczy niesforny kędzior, nie przejawiając najmniejszego zainteresowania okazami rodzaju męskiego, z wyjątkiem tych nienależących do gatunku ludzkiego. Aż w 1931 roku pojawił się ów ekstrawagancki Szkot.

Dziadkowie poznali się na aukcji sztuki i antyków w El Pendolero. Trzy lata wcześniej prababka Carmen straciła życie w tragicznym wypadku w górach, gdy runęła z grani kamienistego wąwozu w La Pedriza. Wydarzenie to spowodowało wielkie poruszenie w Torrelodones. Prawdę powiedziawszy, poruszyło ono jedynie urabiających sobie po łokcie ręce kramarzy i chłopów, którzy stykali się z Carmen na co dzień i mieli żywo w pamięci jej spontaniczność i osobliwy akcent z Kadyksu, tak egzotyczny w kastylijskich górach jak Nubijczyk z Sudanu. Pozostali, ci w wykrochmałonych

Lopez, Fernandez itd. - aluzja do nazwisk popularnych w Hiszpanii, w mniemaniu Victorii pospolitych, jak polskie nazwiska kończące się na „ak” czy „ek” (przyp. tłum.).

kołnierzykach i z wyprężonym małym palcem ręki, byli pacjenci i ówcześni modele pradziadka, zawsze uważali ją za córkę pastucha, która nie potrafiła chodzić w butach na obcasach. Po śmierci Carmen i zamążpójściu Victorii willa Lux Domini straciła swój blask, zasnuwając się cieniem, podobnie jak oczy Fernanda. Była zbyt wielka i niewygodna dla dwóch samotnych osób: owdowiałego malarza i jego córki-konika polnego, która często nie wracała na noc, śpiąc pod gołym niebem w ogrodzie lub pod jakąś skałą w górach. Przy takim układzie gwiazd nie mogło być najmniejszych wątpliwości co do intencji Fernanda, kiedy usiłował nakłonić córkę, by wybrała się z nim na wielką towarzyską fetę w domu diuków Maura, gdzie miały się przechadzać niezaobrączkowane jeszcze palce należące do jednych z najlepszych nazwisk w Madrycie. Znaleźć męża dla tej zwariowanej kozy, wydać ją za męża, wydać ją za męża za wszelką cenę, wydać ją dobrze za męża i przy okazji wykorzystać tę jej manię łupania orzechów zębami i używania intymnej bielizny do owijania rannych ropuch, przykładania sobie do ręki pijawek w celach poznawczych - jak to też się one odżywiają, ścinania włosów, by wymościć nimi gniazdo dla piskląt wróbla; wzbudzić jej zainteresowanie stylem art deco, rzeźbami wykonanymi techniką chryzefantyny, koronkami, nakryciami głowy, biżuterią, wierszami Rubena Dario i operami Pucciniego; jednym słowem wszystkimi tymi parafernaliami, które sprawiają, że kobieta jest damą, a nie zdziczałym, nieokrzesanym bachorem. Wydać ją za męża, na Boga! I modlić się o wnuki, które na nowo wypełnią życiem Lux Domini, pod warunkiem oczywiście, że wrodzą się w matkę.

Uke zgodziła się w końcu zaszczycić swoją obecnością recepcję, wymogła jednak na ojcu obietnicę, że pozwoli jej zrobić z organzy wieczorowej sukni sieć na ryby. Przyparty do muru Fernando skłamałby w żywe oczy, przysięgając na Biblię. Wydał majątek na paryski model Louise Boulanger, ażeby tego *soiree* córka zaślniła pełnym blaskiem, i za nic nie pozwoliłby, żeby horrendalnie drogie, kryształowe brokaty Alberta Lesage zakończyły swój żywot zmienione w muchy na pstrągi. Te małe kłamstewka były częścią gry, formą wyrażania poufałości cechującej relację ojca i córki różniących się tak bardzo, że niemogących znaleźć wspólnego języka umożliwiającego

okazanie sobie otwartej, szczerzej czułości. Uke nie miała najmniejszego zamiaru drzeć na strzępy tej jakże kosztownej i lśniącej sukni. Najzwyczajniej w świecie uwielbiała prowokować ojca.

Pozwoliłem sobie dokonać rekonstrukcji wypadków tamtej nocy, która miała zmienić życie babki, bo wiedzę o tym, jak również o wszystkim, co wydarzyło się w tamtych latach, czerpię wyłącznie z notatek i opowieści swojej matki, zniekształconej wersji historii, jak sądzę, z której przed laty zwierzyła się jej sama Uke. Domyślam się, że w swojej relacji matka starała się osłabić siłę ładunku erotycznego, którym niewątpliwie musiała tętnić gwałtowna i namiętna miłość, jaką zapalała Uke do Szkota. Matka naszkicowała jego postać z zimną obojętnością agencyjnego dalekopisu, odzierając go z całej charyzmy, jaką hojnie obdzielały dziadka słowa babki, gdy z rzadka wypowiadała się o nim w mojej obecności. W dzieciństwie spędzonym w Lux Domini lakoniczne wzmianki na temat Szkota usłyszałem z ust Uke zaledwie kilka razy. Podczas tych nielicznych okazji, póki nie ujrzała gniewnego grymasu na twarzy mojego ojca wymuszającego na niej milczenie i pochylenie głowy, w spojrzeniu jej niebieskich oczu tańczyły ogniki, a zmarszczki znikwały gdzieś, ustępując miejsca delikatnej i lśniącej jak atlas skórze, ukazując tę samą twarz i ten sam jej wyraz, jaki na zawsze został uchwycony na starych portretach stojących na komodzie. Patrzyłem onie miały na te fotografie, na których babka podobna była do Grace Kelly, piękna i młoda, i mogę sobie wyobrazić efekt, jaki wywołało jej pojawienie się na wieściu celebrowanej w El Pendolero, gdy przyszła, starannie uczesana i wyperfumowana, zapakowana niby prezent w *crepe* haftowanego jedwabiu i organzy w kolorze kości słoniowej.

Świeże, niedawno wypieczone słońce przetaczało się po nieskalanym niebie ku horyzontowi za Escorialem, gdy późnym popołudniem, w początkach wiosny, na kilka dni przed Wielkim Tygodniem Fernando i Uke przybyli do domu państwa Maura. Towarzyszyli im Victoria i jej mąż, Iñigo de Leaniz, którzy nie mogli przepuścić okazji wzięcia udziału w licytacji któregoś z dzieł. Droga na El Pendolero pięła się pośród kwiatów skrzącego się białymi plamkami czystka i budzących się z zimowego snu pierwszych, kruchych, fosforyzu-

jąco zielonych pędów dębów. Na koniec szosa zataczała koło wokół hotelu od strony fasady północno-wschodniej i zakreślała w lewo, ku szczytowi wzgórza, w kierunku Madrytu. W dole na dębowym łożu El Pardo odpoczywało miasto, na El Pendolero zaś strojny światłem i muzyką pałac oczekiwał swoich gości. Hispano-suiza prowadzony przez Fernanda zatrzymał się i pasażerowie wysiedli, patrząc z zachwytem na rozpościerający się przed ich oczami widok. Íñigo de Leaniz zwrócił się do żony: „Bez wątpienia to wyjątkowy widok. Miasto i dwór królewski u ich stóp”. Victoria poprawiła męża: „U naszych stóp, kochanie”.

Pałac przypominał raczej pawilon myśliwski i była to w istocie jedna z jego głównych funkcji, często bowiem odbywały się w nim zjazdy łowieckie. Był to biały, jednopiętrowy budynek z kamienną podmurówką i węglami z cegły, kryty czterospadowym dachem zwieńczonym czworoboczną latarnią ze świetlikami w formie bulażów. Z pokoi na piętrze wychodziło się na zajmującą całą długość fasady galerię wspartą na białych, żelaznych filarach. Na lewo od frontu skrzydło południowo-wschodnie zwrócone było w stronę Madrytu z grzbietu wzgórza okolonego białą balustradą.

W ślad za stelą chromowanego koku Victorii do hotelu wkroczyła Uke, prowadzona pod rękę przez rodziciela. Złożyła usta do najpiękniejszego ze swoich uśmiechów, obdarzając jego światłem zgromadzoną publiczność i bezzwłocznie pochyliła się w stronę ojca, żeby wyszeptać mu do ucha, nie przestając się uśmiechać: „Przybył Kopciuszek”, na co Fernando odparował cynicznie: „Nie martw się, w samochodzie czeka na ciebie dziesięć par pantofli z twojej szafy”. Jak było do przewidzenia, wejście Uke nie pozostało niezauważone. Wszyscy mężczyźni znajdujący się w sali odwrócili głowy w kierunku jej promiennej postaci, a wszystkie kobiety wpiły pogardliwe spojrzenia w sprawczynię idiotycznego zachowania swoich partnerów. Uke podażyła za ojcem, by przyjąć gorące powitanie diuków Maura, którym niespodziewana obecność tego pięknego dziewczęcia sprawiła szczególną radość. Zadośćuczyniwszy wymogom etykiety, Fernando wmieszał się w tłum zaproszonych gości, prowadząc Uke od grupki do grupki za ramię, jakby ciągnął wagonik po torach. Ona uśmiechała się na prawo i lewo, nie mówiąc

ani słowa. Prawdę mówiąc, nie było specjalnej okazji, aby wziąć udział w konwersacji. Gdy tylko rytuał prezentacji został dopełniony i mężczyźni zniosła błazeńskie spostrzeżenia - „cóż za rozkoszna istotka”, które wypowiedane przez usta skąpane w perlistej ślinie, przyprawiały o mdłości - rozmowa natychmiast wracała na pełną gorączki arenę najnowszych wydarzeń politycznych: a to, że jedna za drugą dymisje dyktatora Prima de Rivery i generała Berenguera, a to, że echa po ukazaniu się „Delenda est Monarchia” Ortegi y Gasseta, a to, że wyczekiwanie przed niechybnymi wyborami lokalnymi 12 kwietnia, a to, że zamieszki na wydziale medycyny, a to, że niedawne wyjście na wolność brata diuka, don Miguela, aresztowanego za przynależność do Komitetu Republikańskiego. Mężczyźni zakładali się, jak długo wytrwa król Alfons, zanim uda się na wygnanie. Niektórzy nie ukrywali płomiennego entuzjazmu, jaki wzbudzały w nich faszystowskie tyrady publikowane przez błyskotliwego ucznia Ortegi y Gasseta, Ramira Ledesme Ramosa, w jego nowym periodyku „La conquista del Estado”. Być może przez wzgląd na Gabriela Maurę piastującego stanowisko ministra pracy w tamtym ogarniętym śpiączką rządzie uwagi wymieniano ściszym głosem, jakby przez szacunek dla ciężko chorej monarchii hiszpańskiej, której wrócono rychłą śmierć. Jednym słowem, rozmawiano w grupkach o wszystkim po trochu z wyjątkiem sztuki, pod której sztandarem zebrano się tego wieczoru. Kilkunastu woźnych przechadzało się wśród gości, rozdając katalogi dzieł wystawionych na aukcję, które adresaci brali w ręce, nie zwracając najmniejszej uwagi na ich zawartość i nie przerywając namiętnych peror. Podczas gdy Fernando potakiwał lub zaprzeczał, w zależności od kierunku wiejącego wiatru, zmęczone mięśnie napinające uśmiech Uke zaczęły mdleć, a rzęsy opadać pod ciężarem nudy. Fernando wymykał się błyskawicznie z forów ziejących brakiem młodych kawalerów i zatrzymywał się tam, gdzie rej wodzili dwudziestolatkowie, którym szczerze prezentował walory córki, jakby usiłował sprzedać piękny okaz na giełdzie ryb w porcie. Rozmowy zlewały się w uszach Uke w bezkształtną masę nic nieznaczących uprzejmości, prychnęła więc i bez ogródek opuściła towarzystwo, przyglądając się wystawionym płótnom i kartkując z nudy katalog, w poszukiwaniu swego

nazwiska wśród obiektów wystawionych na licytację: „Obiekt 16. Tytuł: Maria Eugenia Mencfa de la Mota. Panna, lat osiemnaście, kasztanowe włosy, z rodziny z aspiracjami, wystawiona w kosztownej szacie w kolorze kości słoniowej. Pochodzi z prywatnej kolekcji autora dzieła, swego ojca, niegdyś lekarza, dziś konsekrowanego artysty don Fernanda Mencii Arenala. Oddaje się z posagiem, pełną wyprawą i gwarancją płodności. Cena wywoławcza: pokaźny majątek i, w miarę możliwości, tytuł szlachecki”.

Nagle zapomniała o wszystkim, jej wzrok spoczął bowiem na wspałym obrazie. Przedstawiał dumnego i potężnego lwa wyprężonego na skalnym wzniesieniu, z którego panował nad rozległą równiną upstrzoną palmami i ukoronowaną szczytami ginącymi w zachmurzonym niebie. Odnalazła w katalogu notkę na temat obrazu: „«Lord of the Plains» (Władca równin), *circa* 1859. Olej na płótnie, autor sir Edwin Henry Landseer (1802-1873). Pochodzi z prywatnej kolekcji Mr. Hamisha I. Sutherlanda”. Uke jak urzeczona przyglądała się scenie z obrazu, spokojnemu majestatowi kociego spojrzenia, stalowym ścięgnom łap, światłu ślizgającemu się po jedwabistej sierści, grzywie targanej wiatrem, zjawiskowemu, wręcz nierzeczywistemu w swej doskonałości egzotycznemu krajobrazowi rozplywającemu się w subtelnych dotknięciach pędzla pod sinymi zwałami ołowianych cumulusów. Patrząc na obraz, niemal słyszała głuchy ryk dobywający się z przegród nosowych lwa, świst wichru dmącego w skalnych załamaniach, lekki pomruk nadchodzącej burzy. Czowała, że wpadła w sidła ram tego obrazu i że zaraz osunie się w dół kamienistego zbocza na step bez horyzontu, i raptem wyobraziła sobie matkę kaleczącą ręce i twarz o ostre krawędzie skał, usiłującą rozpaczliwie uczepić się ściany, by nie runąć w otchłań wąwozu w La Pedriza. Ogarnął ją rozdzierający smutek, gdy pomyślała o matce spadającej w pustkę równiny pod władczym spojrzeniem wyniosłego lwa, niewzruszenie kontemplującego upadek matki, która wykrzykiwała jej imię: Uke, Uke, Uke...

- Uke! - To ojciec wołał ją od któregoś z kolei grona dyskutantów. - Kochanie, czy byłabyś łaskawa uczynić nam honor!

Powróciła do rzeczywistości, jakby jej ciało grzmotnęło o powierzchnię obrazu, odzyskała równowagę, ostatnim wysił-

kiem mięśni twarzy dźwignęła w górę niewinny uśmiech i podeszła do wianuszka gości, od którego przyzywał ją ojciec.

- Szanowni państwo, oto moja młodsza córka, Maria Eugenia. Kochanie, pozwól, że ci przedstawię, mój przyjaciel don Jose Antonio Legaz y Villegas, markiz Navalamaty, jego małżonka doña Isabel i syn Santiago. - Ten ostatni był to cherlawy goguś o ostrych rysach i mlecznym obliczu, bielszym nawet niż jego sztywny kołnierzyk koszuli, wyglądający na dodatek młodziej od niej. Bez wątpienia cel, do którego zdawał się mierzyć jej ojciec.

Uke niemal go nie zauważyła. Jej spojrzenie zatrzymało się na innej postaci wchodzącej w skład grupki, dziwacznym osobniku o płomiennie rudych włosach, który palił fajkę i odziany był w krótką marynarkę z dwoma rzędami guzików, szkocką spódnicę w kratę w tonacji zielono-niebiesko-czerwono-białej i białe skarpety do kolan. Ojciec kontynuował prezentację:

- Baron Delsey, młody francuski dżentelmen osiadły w Torrelodones, jego kuzyn, pan Gaston Letellier i wreszcie brytyjski gość barona, który dzisiaj zaszczyca nas swoją obecnością, pan... pan...

- Hamish Sutherland. - Rudzielec w spódnicy wykonał coś na kształt ukłonu i ujął dłoń Uke, nim ta zdążyła ją wyciągnąć. Dziewczyna nigdy nie brała udziału w towarzyskich spotkaniach ojca i nie była przyzwyczajona, żeby ktoś całował ją w rękę. Lekkie dotknięcie tych ust wydało jej się miękkie i suche, nie zaś wilgotne i lepkie, jak sobie wyobrażała. Było przyjemne i sprawiło, że przebiegł ją ledwie wyczuwalny dreszcz, który zjeżył jej włosy na karku. Jednocześnie nie umknęło jej uwagi, że młodzieniec ten jest właścicielem obrazu z lwem. Zakończywszy prezentację, Fernando przełamał pierwsze lody:

- Panie Sutherland, czy włada pan naszym językiem?

- Tak, szczęśliwie ja mówię mały kawałek hiszpańskiego. - Mówił powoli, z silnym akcentem, przeciągając spółgłoski, zwłaszcza „r”, jakby ktoś go zapewnił, że tak właśnie winna brzmieć poprawna hiszpańska wymowa. - Moi rodzice zadbali nauczyć mnie wiele mowy: hiszpański, francuski, włoski, germański i rosyjski, razem z angielskim, który jest moim ojcem językiem.

Uke nie mogła powstrzymać się od sztubackiego chichotu, słysząc tak dziwaczny sposób wyrażania myśli. Ewidentnie obcokrajowiec

tłumaczył żywcem z angielskiego i ze słownictwem radził sobie O wiele lepiej niż z gramatyką. Fernando zgromił córkę wzrokiem i wrócił do podsywania płomyka rozmowy.

- Proszę mi powiedzieć, wy Anglicy...

- Nie, na łaskę Boga! Szkoci - przerwał zapalczywie. - Brytyjczyk, tak, ale nie Anglik. My mieszkamy na jednej wyspie i ja byłem kształcony w Anglii, ale ja jestem Szkot.

- Rozumiem, rozumiem, proszę mi wybaczyć. Niech mi pan zatem powie, czym różnią się Szkoci od Anglików?

- Oni noszą spodnie - odparł, unosząc brzeg spódniczki, dygając jak mała dziewczynka, na co markizowie unieśli w zdumieniu brwi.

- I co więcej pan może odgadnąć, kto jest Anglik, bo oni drapią swoją głowę cały czas.

- I cóż takiego ich gryzie?

- Szkocja, naturalnie!

Uke zachichotała ponownie. Fernando nie do końca zrozumiał dowcip, ale niezrażony ciągnął dalej:

- I mówi pan, że władza rosyjskim? To dość niezwykle...

- Moja matka była urodzona w Estonii. Ona była muzy... muzy... muzyczką... Ona grała w muzykę z orkiestrą w Niemczech. Na jednym *tour* w Britain ona poznała mój ojciec, ożeniła go i została, żeby mieszkać w Szkocji. Ona mnie uczyła rosyjski, germański i kilka słów w estońskim i mnie uczyła muzyki podniebnie. Ja gram w pianino i w skrzypce.

Uke parsknęła śmiechem. Jej reakcja zdawała się bawić Hamisha, lecz Fernando zmarszczył czoło i przywołał ją do porządku:

- Maria Eugenia!

- Przepraszam - powiedziała, sploniwszy się, z trudem utrzymując powagę. - Proszę mi wybaczyć. Jest pan niezwykle komiczny, to znaczy, chciałam powiedzieć, bardzo zabawny. Błagam, niech mi pan wybaczy.

- Hamish jest miły w każdym języku, nawet w tych, którymi władza nienagannie - wtrącił się Delsey i udając, że chce się podzielić poufnym wyznaniem, osłonił dłonią usta i dodał: - Ale zaklinam państwa, proszę nie pozbawiać go złudzeń, że mówi po hiszpańsku. Będzie miał dosyć czasu, żeby to sobie *uświadomić*. *Wkrótce* wybieramy się do Alpujarry.

Uke wcieliła się na powrót w rolę dobrze wychowanej panienki i z wymuszoną powagą zbierała się już, by zapytać o plany owej podróży, kiedy uprzedził ją markiz:

- Zatem sprowadza pana tutaj turystyka?

- Tak... i nie - zawahał się Hamish. - Aktualnie Delsey mnie położył w dotknięciu z panem diukiem o aukcji i ja przyszedłem tutaj dzisiaj, żeby sprzedać jeden obrazując.

- Jeden obrazując? - powtórzył markiz, marszcząc brwi.

- Obraz - poprawiła Uke. - „Władca równin”, Landseera. Wspaniałe dzieło.

- Zna pani artysta? - spytał Hamish, choć w gruncie rzeczy zaczynała budzić jego ciekawość sama dziewczyna, nie zaś jej opinia na temat martwego malarza.

- Nie jestem ekspertem w dziedzinie sztuki. Ale wiemznacznie więcej, niż przypuszcza mój ojciec, choć to zawsze mniej, niżliby sobie tego życzył. - Popatrzyła na ojca kątem oka, wydy mając usta. - Znam „Pana na Dolinie” i sądzę, że lwy z brązu pod posągiem Nelsona w Londynie również są jego dziełem. Mam rację?

- Och, nie. Pani jest absolutnie perfekcyjna.

Dziewczyna roześmiała się znowu na tę mimowolną deklarację zainteresowania jej osobą. Przez kilka sekund uśmiechali się, patrząc sobie w oczy, aż Fernando zagałł ponownie.

- A zatem jest pan kolekcjonerem?

- Dobrze, kolekcjonerzy kupują. Ja sprzedaję, tak ja przypuszczam, ja jestem raczej dekollekcjonerem. - Uke kolejny raz zaniósł się śmiechem. Nie tylko coraz bardziej frapował ją Hamish, lecz co więcej bawił ją niepomiaralnie fakt, że mimo kpiącego, wysoce niestosownego tonu podobał się również jej ojcu, przede wszystkim z uwagi na otwierającą się nową perspektywę, że oto Hamish może być mającym kolekcjonerem.

- I dużą ma pan kolekcję... jeszcze?

- *Oh, yes.* Mój ojciec kochał sztuki. My mamy dobrą część oryginalnej kolekcji od zamku, własność klanu Sutherland.

- A zatem posiada pan zamek? - Fernando stracił resztki zainteresowania czczym i milczącym za swoją lazurową maską gogu-

siem państwa markizów i zwabiony słowem „zamek” rzucił się na Hamisha niczym sfera psów na smakowitą zdobycz.

- Dobrze, aktualnie zamek Dunrobin nie jest mój, lecz... rodziny.
- Położył na to słowo dziwny, szczególny nacisk, pociągając z fajki, nim dokończył zdanie. - Ja należę do mniejszego konarunku. Mały konarek. Prawie patyczek do zębów. - Patrzył badawczo na Uke, sprawdzając jej reakcję, ona zaś nagradzała każdy jego żart nową salwą śmiechu.

W tym właśnie momencie Victoria przemknęła niczym duch, dotykając lekko pleców ojca i szepcząc:

- Sądzę, że zaraz rozpocznie się aukcja. Odbezpieczcie portfele.

I jakby na potwierdzenie jej słów na podwyższeniu ukazał się jeden z woźnych i obwieścił:

- Szanowni państwo, za chwilę rozpocznie się aukcja. Bardzo proszę o zajęcie miejsc.

Uke wołała ostatni rząd, jej ojciec zaś pierwszy, tak więc po krótkiej przepychance na niby musieli zadowolić się dyskretną lokalizacją pośrodku. Szeroko się uśmiechając, Hamish przeprosił oboje i dziewczyna patrzyła, jak się oddala i niknie w tłumie. Nie należał do mężczyzn, których zwykło się uważać za urodziwych. Jego czerwone włosy rzucały się nazbyt w oczy jak na obowiązujące kanony dyskretniej elegancji, a szczupła i kanciasta twarz, wielki prosty nos, szerokie usta o cienkich wargach i podbródek przypominający maskarona na dziobie okrętu przywodziły jej na pamięć pewną zabawę rysunkową, w którą często bawił się z nią ojciec, kiedy była dzieckiem: „kredką rysuj cztery, sześć, i już buźka śmieje się”. Rysów miał akurat tyle, że starczało mu na twarz. Ale był zabawny i zuchwały, a kiedy się uśmiechał, kąciki jego oczu marszczyły się niczym świeża bułka ściśnięta w dłoni. Na dodatek najwyraźniej nie przejmował się rytuałem polegającym na sprawianiu dobrego wrażenia, co stanowiło niebywałe novum na tle całego legionu sztywnych wytwornisiów, których zwykł odwiedzać ojciec. Tak, podobał się jej ten osobnik.

Uke usiłowała skoncentrować się na przebiegu aukcji, aby sprawić przyjemność ojcu, ale już przy drugiej licytacji zaczęła ziewać.

Komoda w stylu elżbietańskim była całkiem sympatyczna, ale jej szuflady wydawały się mało praktyczne, gdyby chcieć na nich zjeżdżać z ośnieżonego stoku. Zgadza się, któregoś dnia będzie musiała wydorosnąć, ale nie musiało to być przecież akurat dzisiaj. Rozejrzała się po sali, analizując jej wystrój, potem spojrzała na zewnątrz, przez okna, za którymi rysował się delikatny, pofalowany relief El Pardo. Słońce skryło się za horyzontem i kobierzec dębów przybierał barwę coraz głębszej czerni pod niebem w kolorze indygo. Nagle jakiś ptak przeciął w koszącym locie przestrzeń za wielkim oknem. Uke aż podskoczyła z wrażenia. „To na pewno sowa. Poluje na mysz”. Ścisnęła dłoń ojca, który spojrzał na nią pytająco, i wstała ostrożnie z krzesła, starając się nie robić hałasu. Podeszła na palcach do drzwi, gdzie woźny skinął jej głową, po czym zanurzyła się w rześkim i lekkim wieczornym powietrzu. Zbliżyła się do balustrady, za którą krótkie zbocze schodziło stromo w dół, położyła dłonie na poręczy i oparła ciężar ciała na prawej nodze. Jakkolwiek przynigdy nie przyznałaby się do tego przed ojcem, jej uroda podkreślona wytworną toaletą sprawiała jej wielką satysfakcję, chociaż buty na wysokich obcasach były dla niej dojmującą torturą. Uniosła lewą stopę do tyłu i obróciła nią kilka razy w kostce, kreśląc koła w powietrzu, potem ulżyła prawej stopie. Poręcz była zimna, a rękawiczki zostawiła w kieszeni płaszcza. Objęła się i potarła dłońmi zziębnięte ramiona. Wiosna człapała leniwym krokiem i zima wciąż jeszcze panoszyła się nocami, skuwając poranną rosę srogim pancerzem szronu. Jeszcze się tu nabawi zapalenia płuc. Sowa, czy co to tam było, nie dawała znaków życia, zatem rozsądniej będzie wrócić do ciepłej sali. Po raz ostatni przeciągnęła wzrokiem po horyzoncie i odwróciła się. Serce podskoczyło jej do gardła. Tuż przed nią, z szerokim uśmiechem w dolinie rozciągającej się między nosem i podbródkiem, stał Szkot.

- Pani pozwoli? - błyskawicznym ruchem zdjął marynarkę i okrył nią ramiona dziewczyny, nim ta zdążyła zareagować. Uśmiechnęła się i uniosła brwi, pokazując wzrokiem nagie kolana Hamisha.

- Nie zimno panu?

- A pani? - odbił pytanie mężczyzna, spoglądając na nogi dziewczyny.

- Ja mam przynajmniej pończochy - odparła Uke i podciągnęła brzeg długiej sukni, napinając chwyconą w opuszki palców deli katną mgiełkę materiału okrywającego jej łydkę.

- Och, ja podniebnie. I moje nie są jedwab, ale skóra niedźwiezia. Najlepsza rzecz na ziąb. - Pociągnął za porastające kolano włosy, otrzymując w nagrodę za dowcip srebrzysty śmiech dziewczyny.

- Chciałabym... - Uke otuliła się marynarką Szkota. - Proszę mi wybaczyć moje wcześniejsze zachowanie. Nie miałam zamiaru się z pana naśmiewać. Ten wieczór jest tak przeraźliwie nudny, że musiałam się trochę rozerwać, a pan jest bardzo zabawnym człowiekiem.

- Ale nie! Pani nie potrzebuje żeby usprawiedliwić. Wszystko odwrotnie. Ja boję, ja nie byłem za dużo właściwy z pani ojcem i jego przyjaciele, aleja podobałem, słysząc pani śmiejąc.

- Nie ma powodu do obaw. Mimo wszystko mam wrażenie, że ojciec polubił pana.

- *Really?* Dobrze, jeśli tylko dlatego, on powiedział mi, że on próbował licytować dla mnie... obrazując? Obraz!

- Bardzo mnie to cieszy. To piękne dzieło, lew jest imponujący, a afrykański krajobraz z pewnością dodałby nieco egzotyki wystrojowi naszego salonu. Jak do tej pory ojciec nie zabrał mnie w żadną podróż. Skoro więc nie dane mi jest chłonąć świata u źródeł, mogę go przynajmniej sprowadzić do domu.

- Aktualnie ja nie myślę, artysta zawsze podróżował do Afryki. Ten krajobraz z *palm trees** jest ciężko typowy dla lwów, do minimum dla lwów ja widziałem.

- Był pan w Afryce!

- Z pewnością, chociaż to była krótka podróż.

- Niech pan opowie. Jaka ona jest? - Entuzjazm Uke był znie walający. Hamishowi schlebiało tak żywe zainteresowanie.

- Dobrze, to jest... - utkwiał wzrok w horyzoncie - ten sam, co to.

- Przeciągnął krawędzią dłoni po ciemnym dywanie kędzierzawych dębów, jakby głaskał korony drzew na odległość.

Palmy.

- Robi mnie pan w konia? Chciałam powiedzieć, kpi pan ze mnie?
- przetłumaczyła Uke.

- Och, absolutnie nie. W Britain my nie mamy krajobrazów przypominające Afryki, to jest dlatego, że my zrobiliśmy w Afryce krajobrazy przypominające Britain. Ale wy macie to, co jest dość podobne do niektórych części Afryki jak region Mara. Pani tylko musiałaby zamienić te *holm oaks** na *thorn trees*** i oto ma afrykańską sawannę. Brakując lwów, *ofcourse*.

- Kocham ten krajobraz. Tutaj się wychowałam. Wie pan? Nasi drodzy przyjaciele i sąsiedzi, ci wszyscy, którzy siedzą tam, w środku - wskazała za siebie kciukiem, przy czym jej twarz ściągnęła grymas, jakby ssała cytrynę - to stworzenia miejskie. Przyjeżdżają w te góry, ale taszczą z sobą miasto. Moja matka była inna niż oni wszyscy. Wychowała się na wsi, jej dziadek hodował byki na korridy. Nie potrafiła znaleźć wspólnego języka ze znajomymi ojca, chociaż nigdy się tym zbytnio nie przejmowała. Zabijała czas, chodząc po górach, ciesząc się każdym kamieniem, każdą roślinką i każdym zwierzęciem. I ja taka jestem. Z takiego kija, taka trzaska albo taki patyczek. Należę do zdziczałego konarru - wymówiła to słowo, imitując akcent Hamisha - rodziny. Dlatego tak bardzo chciałabym pojechać do Afryki. Czy ma pan zamiar tam jeszcze wrócić?

- O, tak, ja jestem tutaj w mojej drodze do Afryki. Ja jestem wezwany tam na materię... rodzinne. - Raz jeszcze wzmianka o rodzinie nosiła znamiona bardzo wyraźnego i charakterystycznego lejtmo-tywu pobrzękującego ironią.

- Niech mnie pan zabierze ze sobą do Afryki! - uderzyła w błagalny ton Uke, śmiejąc się i wyciągając w jego stronę złączone nadgarstki, jakby skuwały je kajdany. - Jestem lekka jak piórko, jem tyle, co wróbelek, potrafię chodzić po górach, spać pod gołym niebem i obiecuję śmiać się z pańskich dowcipów zawsze, gdy tylko pan zechce.

Hamish wybuchnął śmiechem, który oddzielił mu nos od podbródka.

* Dęby skalne. **
Akacje.

- Do minimum mówi pani po angielsku. To byłoby użytkowe dla pani w podróży.

- Ja? Myli się pan. Nie mówię po angielsku.

- *Youre lying.*

- Nie, nie kłamię, poważnie... - Uke uświadomiła sobie, że dała się wciągnąć w pułapkę i oboje parsknęli śmiechem. Ukrywała starannie swoje staranne wykształcenie, aby odciąć się od nadętego, przemądrzałego towarzystwa przyjaciół ojca. - Jak pan na to wpadł?

- Pani jest pierwsza osoba w Hiszpanii, ponadto Delsey, która ja słyszę, wymawiając poprawnie nazwisko Landseera. I z dobrym akcentem.

- Niech panu będzie. Ojciec dołożył wszelkich starań, abym otrzymała wykształcenie panienki z dobrego domu i przepoczwarzyła się w damę z dobrego towarzystwa. Jego towarzystwa. Nauczyłam się wielu rzeczy, które nigdy do niczego nie będą mi potrzebne, jak etykieta i dobre maniery. Chociaż mam nadzieję zrobić użytek z wyuczonych języków, kiedy będę mogła już podróżować. Domyślam się, że pan dużo podróżował. Co najmniej do Hiszpanii i Afryki.

- Aktualnie ja byłem podróżując przez długi czas teraz. Pani zawsze słyszała o Grand Tour?

- Czy słyszałam o Grand Tour? Ma pan na myśli to europejskie tournee, które odbywali poeci romantyczni?

- I nie tylko poeci. W ostatnim wieku każdy syn dobrej rodziny zrobiłby Grand Tour, swoją długą podróż, zanim rozpoczynając swoją podróż poprzez życie.

- Trwoniąc majątek rodziny z dala od domu.

- Prawda. Ale w moim wypadku pieniądze są moje. Moi rodzice przeszli na zewnątrz... umarli. Ja nie mam braci. To jest dlatego ja sprzedaję jedno malarstwo z czasu do czasu, żeby znieść wydatki mojej podróży.

- I nie żał panu pozbywać się tych obrazów?

- Oczywiście. To jest, dlatego ja staram się moi przyjaciele, żeby kupować moje malarstwa. Albo zrobić przyjaciół z tymi, którzy je kupują. Tak ja mogę wciąż cieszyć się moim malarstwem.

- Czyli że jeśli mój ojciec kupi pański obraz, jeszcze się zoba czymy?

- Czyli że jeśli on nie kupi tego jednego, ja postaram się, żeby sprzedać inny jeden jemu.

Oboje wpatrywali się w siebie przez kilka sekund, jakby postanowili wprowadzić interwał uszanowania parafującego ich zażyłość i w jakiejś mierze dającego początek nowemu etapowi ich raczkującej znajomości. W końcu Uke przerwała milczenie.

- Proszę mi opowiedzieć o swoim Grand Tour.

- Dobrze, to nie było tak Grand, tak ja wyczekiwałem. Ja znacze, ja w końcu nie podróżowałem do tych miejsc, gdzie ja chciałem, żeby jechać. Ja wstąpiłem na uniwersytet, ale potem postanowiłem, że to mogło zaczekać. To było, kiedy moi rodzice umarli. Ja potrzebowałem, żeby oddalić od tego wszystkiego, i tak ja pojechałem do Paryża, do domu rodzinnego Delseya. On jest dobry przyjaciel od szkoły. My uczyliśmy się razem w Eton, jego rodzina mieszka w Paryżu, ale on zapragnął, żeby mieszkać na zewnątrz od swojej rodziny, i odziedziczył dom tutaj, w Madrycie. Ja chciałem, żeby podróżować do Szwajcarii i Włoch, ale Delsey przekonał mnie do podróżując do Hiszpanii. My podróżowaliśmy do San Sebastian, gdzie Delsey ma niektórych przyjaciół. Stamtąd my podróżowaliśmy do Pampeluny, żeby zobaczyć *bullfights*, i podróżowaliśmy całe wybrzeże północne w Hiszpanii. Potem Delsey zaprosił mnie do jego domu tutaj, w górach Madrytu i on mi powiedział, że tutaj ja będę mógł sprzedać niektóre malarstwo. I tutaj ja jestem. Ja pragnąłem, żeby podróżować do Granady, żeby spotkać mój przyjaciel, pisarz nazywany Gerald Brenan, ale ja myślę teraz, on nie jest tam. Przedtem mój przyjaciel mi opowiedział o górach Alpujarra, prymitywna i szlachetna ziemia, on powiedział, i to ja chciałem żeby poznać.

- I gdzie jest teraz pański przyjaciel pisarz?

- We Włoszech, ja myślę. On jest tam, żeby ożenić jedną kobietę, ja słyszałem.

- Romantyczna eskapada. A kuzyn pańskiego przyjaciela, Delseya, również podróżuje z panami?

- Gaston? On nie jest kuzyn Delseya.

- Ale mój ojciec przedstawił go jako...

- Nie. Oni nie mają związku rodzinnego.

- Czyli przyjaciel?
- Dobrze, on jest więcej niż przyjaciel do Delseya. Oni mieszkają razem i... śpią razem.

Przez ułamek sekundy Uke znieruchomiała, zbita z tropu, czy aby się nie przesłyszała, po czym nagle jej usta wygięło spektakularnie osłupienia.

-Nie!

- Tak!

-Nie!

- *Oh, yes!* To jest, dlaczego Delsey pragnął, żeby opuścić swój dom rodzinny i nawet swoje miasto i swój kraj. Jego rodzina nie akceptowała.

- To ci dopiero! Jeśli dowie się o tym mój ojciec, przestanie pana lubić.

- Dobrze, w jakiś sposób ja nie śpię z nimi i oprócz tego ja myślę to nie jest... zakaźne? Do minimum ja nie poczułem jakiegoś *symptom* jeszcze. - Pomacał się przez koszulę. - I nigdy mając kobiety tak piękne tak pani.

- Nie tak szybko, Hamish. Mogę mówić do pana Hamish, prawda?

- Tak długo tak pani nazwie mnie, pani może nazywać mnie sposób pani zapragnie.

- Proszę, proszę, nie traci pan czasu. Ale zagadaliśmy się, a panu przejdzie koło nosa licytacja pańskiego obrazu.

- Ja myślę teraz, jest wiele więcej, żeby zarobić tutaj za drzwiami. Pójdziemy my przez spacer? - zaproponował Hamish, odwracając głowę w kierunku grupki mężczyzn, którzy wyszli się przewietrzyć i zapalić i którzy niby od niechcienia obrzucali ich badawczymi spojrzeniami spod głównych drzwi hotelu.

Pełna niepokoju i niepewności Uke biła się z myślami, kiedy schodzili z boczem po drugiej stronie balustrady. Inteligentny. Ironiczny. Bezpośredni. Śmiały. Lecz jednocześnie niezwykle taktowny. Ważył słowa i orientował się doskonale, jak dalece może naprężyć nić, by jej nie zerwać. Mężczyzna ten bez wątpienia wiedział dobrze, co robi, a wiedział dlatego, że nie była to dla niego pierwszozna. Zastanawiała się wobec tego, czy ma do czynienia z pełnym pasji obieżyświatem,

czy zwykłym tupeciarzem. Niewątpliwie potrafił wzbudzać zainteresowanie swoją osobą i Uke postanowiła chwycić ostrożnie haczyk, tak jednak, by się na niego nie nadziać, i zobaczyć, co z tego wyniknie. Poza tym był pierwszym mężczyzną, który obudził jej ciekawość i stanowił radykalne przeciwieństwo sztywnokołnierzykowych lalusiów jej ojca. Hamish wyglądał na starszego od niej o dwa, może trzy lata, mimo to emanowała z niego dojrzałość i widać było, że jest obyty w świecie. Gdy przeskoczyła przez balustradę z zakasaną suknią z organzy i jedwabiu, wspierając się na rycerskim ramieniu tego Władcy Równin, doznała uczucia, że oto przekracza ją na zawsze.

I tak było. Czy raczej tak to pewnie było. Jeśli relacja Uke - zasłyszana przeze mnie od matki - o tym spotkaniu przy balustradzie była dość precyzyjna, to moja wiedza o późniejszych epizodach związku babki z Hamishem Sutherlandem jest mniej niż fragmentaryczna. Choć wiele z tych pustych miejsc udało mi się wypełnić, zanim jeszcze zabrałem się do spisania niniejszej historii, to wciąż pozostają różne tajemnice, których nie potrafiłem przeniknąć. Babka zachowała wyłącznie dla siebie chwile, którymi nigdy nie podzieliła się z nikim z wyjątkiem Hamisha, być może dlatego, że były to momenty, w których starczało miejsca tylko dla dwojga. Nigdy nie dowiem się, co zaszło po drugiej stronie balustrady. Nasz niewidzialny świadek zdarzeń, ten wymaginowany emisariusz przemycany do sceny, o której słuchamy lub czytamy, kamera czy przewód światłowodowy podążający wszędzie tam, gdzie bohaterzy roztrząsają swoje sprawy, zaklinał się w kamiennej poręczy, podczas gdy dziewczyna o kasztanowych włosach i ekscentryczny obcokrajowiec schodzili w dół stromym zboczem, śmiejąc się i potykając, jasny głos Uke i koślawe zdania Hamisha rozpływały się w nocnym echu, kraciasta spódnica i suknia koloru kości słoniowej nasiąkały czernią, wtapiając się w krzewy czystka, a my tymczasem utknęliśmy, podparci na łokciach, wpatrujący się w milczeniu w skrzące się na horyzoncie światła Madrytu, pozbawieni możliwości podsłuchania jakiegokolwiek dialogu czy podejrzenia zakończenia, bez głosu w tle, który opowiedziałby nam finał, porzuceni przez intrygę, która nie należy do nas, która nie jest naszą intrygą i gdzie już tylko zawadzamy.

4 Skrzypce i burza

Kiedy Uke i Hamish wrócili z przechadzki między krzewami czystka do hotelu na wzgórzu, aukcja dobiegła już końca i większość gości opuściła posiadłość. Victoria i Inigo odjechali z grupą przyjaciół, by zakończyć wieczór małą fiestą. Fernando czekał przy wejściu z marsowym czołem i paltem Uke przewieszonym przez rękę, nie rozumiejąc, dlaczego córka i Szkot ulotnili się bez słowa. Lecz mars zniknął z jego czoła, gdy zobaczył ich wyłaniających się z zatopionego w głębokim cieniu ogrodu. On w samej koszuli i kamizelce, z groteskowo szczeciniastymi i różowawymi goleniami kontrastującymi z czernią butów. Ona jak pokiereszowany strach na wróble z rękami tonącymi w rękawach marynarki Prince Charlie wyposażonej w dwa rzędy guzików, dzierżąc w prawej dłoni spód długiej sukni, by go nie przydeptać. Szła boso w białych, grubych skarpetach Hamisha. Wobec wzburzonego, pełnego przygany gestu ojca, któremu towarzyszyła seria ukradkowych spojrzeń przeczesujących teren w celu sprawdzenia, czy aby nie ma świadków tej żalostnej sceny, Uke wzruszyła ramionami i rzuciła lakoniczne wyjaśnienie: „Było zimno!”. Bardzo starając się okazać opanowanie, Fernando poinformował Hamisha, iż nabył jego obraz, na co Szkot i dziewczyna uśmiechnęli się do siebie porozumiewawczo. Hamish podziękował Fernandowi za dokonanie zakupu gorącym uściskiem dłoni i pożegnał się uprzejmie z obojgiem, by udać się do hotelu

w poszukiwaniu okrycia. Gdy tylko odszedł, Fernando szarpnął córkę za ramię i wyrecytował półgłosem ziejącą zgorzeniem litanie wyrzutów, których Uke nie słuchała, bo z przypominającym przetrąconą szyję kurczaka wykreconym o sto osiemdziesiąt stopni karkiem patrzyła za znikającym w oświetlonym wejściu Szkotem. Ojciec zakłócił monotony rytm różańca złorzeczeń tylko po to, żeby syknąć przez zęby. „I do tego boso!”. Przygwoździł ją znów potępiającym wzrokiem, ona zaś powtórzyła ten sam błagalny gest, któremu wtórowała identyczna apatia: „Przecież na te grube skarpety nie mogę włożyć butów!”, podnosząc jednocześnie lewą rękę, z której zwisał jeden pantofel. „Gdzie drugi?”, spytał rozwścieczony ojciec. „Nie martw się: misja wykonana. Ma go książę”.

Książę nie dał na siebie długo czekać i zastukał do drzwi Lux Domini już następnego ranka. Postanowił doręczyć obraz osobiście i przy okazji służyć Fernandowi pomocą w wyborze optymalnego dla dzieła miejsca, w którym naturalne światło ożywiałoby jego kolory, nie raniąc przy tym ani werniksu, ani farby bezpośrednim działaniem słonecznych promieni. Cała trójka wiedziała, że to tylko wymówka, ale wszystkim było z nią dobrze. Skoro tylko Uke zobaczyła go z nieodłączną fajką, w sportowym, tweedowym garniturze, zarzuciła mu ramiona na szyję i cmoknęła siarczyście w policzek. Fernando udał, że powściąga zdumienie, chociaż udawał nie powściąganie, ale zdumienie właśnie. Już od poprzedniego wieczoru towarzyszyła mu jakaś wewnętrzna pewność, że w ten czy inny sposób ów Szkot odegra w życiu rodziny Mencia niepoślednią rolę. Musiał przyznać, że myśl ta nie była mu niemiła: cudzoziemiec, choć osoba ekscentryczna, zdradzał jednak ogładę towarzyską i był niewątpliwie młodzieńcem wykształconym, a właśnie takiego mężczyzny potrzebowała Uke, nie zaś pastuchów, z którymi łowiła żaby. Nie legitymował się wprawdzie żadnym tytułem szlacheckim, lecz był spowinowacony z arystokracją i zarówno jego powierzchowność, jak i sposób bycia sugerowały, że posiadał pewien majątek. Nie był złą partią i, przypadkiem czy nie, tego ranka jego córka nie wcisnęła się w chłopskie spodnie z rafii, jak to miała w swoim zwyczaju, lecz włożyła krótką, plisowaną sukienkę w kwiaty z obniżonym do bioder stanem, która zdążyła wyjść z mody, nigdy nie opuszczając zato-

pionej w mroku szafy. Staroświecka, a jednak najprzedniejszego gatunku. Pantofle nie tworzyły z sukienką zgranej pary, pomyślał Fernando, ale trudno stać się kobietą z dnia na dzień.

Podczas gdy Fernando i Hamish rozważali wady i zalety każdej z osobna ściany przeszklonego salonu pod kątem ekspozycji obrazu, dziewczyna zniknęła na górnym piętrze, wbiegając po schodach, nie jak zwykle, w stylu górskich kozic, ale stopień po stopniu, jak przystało dobrze wychowanej panience. Po chwili wróciła z marynarką Prince Charlie, z którą przedelfowała przed oczyma Hamisha, by złożyć ją starannie na ławeczce w holu. „Skarpetki wymagają prania”, wyjaśniła. Hamish uśmiechnął się, rozkładając ręce: „aleja zapomniałem o pani pantofelku!”, na co Uke, mrugając do ojca, odpowiedziała: „Nie jest mi potrzebny. Proszę go zachować na stosowną okazję”.

Gdy wybrali najodpowiedniejsze miejsce dla „Władcy równin”, pozostawili dzieło na podłodze, opierając je o ścianę, i zasiedli wokół kutego, żelaznego stolika w ogrodzie, by spożyć drugie śniadanie. Poranek wciąż jeszcze zachowywał kryształową przejrzystość zimowych madryckich świtów pyszniących się świeżym, mroźnym i tak czystym powietrzem, że zdawało się, jakby nikt nim wcześniej nie oddychał, lecz zbliżała się wiosna, rozwiązywała już pączki kamelii, ogród pachniał obiadami w pełnym słońcu i wonią nieskalanych alabastrowych prześcieradeł wzdymających się pod lekkimi podmuchami wiatru. Tamże, z sunącymi po niebie strzępami cirrusów nad głową, gawędzili sobie, kiedy Hamish oznajmił, iż jego przyjacielowi Delseyowi sprawiłoby nieopisaną przyjemność, gdyby gospodarze przyjęli zaproszenie na obiad do jego posiadłości po drugiej stronie wzgórza Canto del Pico. Fernando podziękował serdecznie za ten czarujący przejaw gościnności, jednak wymówił się, argumentując, że Inigo i Victoria wstaną późno zmęczeni nocną eskapadą i że powinien dotrzymać im towarzystwa podczas posiłku. Zachęcał natomiast gorąco do przyjęcia zaproszenia córkę, która rzecz jasna uczyniła to skwapliwie, zanim ojciec zdołał dokończyć zdanie. Hamish jakby na to czekał i z miejsca zmodyfikował pierwotny plan. Kazał szoferowi Delseya wrócić za godzinę i przywieźć od kucharki przyjaciela prowiant na piknik dla dwóch osób: duszone

kurczę, *block de foie*, bagietkę, butelkę cydru i ciastka *shortbread*. W czasie gdy Uke przebierała się w wygodne ubranie do łażenia po górach, Fernando pokazał Hamishowi utensylia medyczne ekspozowane w witrynach, a także pracownię malarską na poddaszu, wtajemniczając gościa w osobliwy zwrot, jaki dokonał się w jego zawodowej karierze. Pracował wówczas nad portretem małego chłopca, syna przyjaciela, cenionego inżyniera górniczego, który doradził Fernandowi zainwestować grubą sumę w holenderskie przedsiębiorstwo zajmujące się eksploatacją złóż diamentowych w Afryce. W spółce tej sam inżynier posiadał pokaźne udziały, których wartość, z racji kwitnącego stanu interesu, poszybowała mocno w górę. Po kryzysie roku 1929 gospodarka była hazardem równie niebezpiecznym, jak ogon wieloryba wirujący w ruletce, i kto zanadto zbliżył się do stołu gry, ryzykował, że może zainkasować fatalny w skutkach cios. Diamenty uznawane były przez inwestorów za pewną lokatę, żyły własnym życiem na marginesie giełdowego efemeryzmu i wahaniec stóp procentowych i być może dlatego ich sprzedaż utrzymywała się na powierzchni wzburzonej rzeki. Przyjaciel Fernanda streścił tę sytuację za pomocą bardzo trafnego przykładu: jeśli świat ogarnięty jest gorączką złota, handluj kilofami i łopatami. Gdy zatem wszyscy kupowali diamenty, chytrzejszym rozwiązaniem wydawało się nie kupować diamentów, lecz sprzedawać je. W czasach ogólnoświatowego kryzysu kompetentne i do tego bezinteresowne doradztwo finansowe było godne pozazdroszczenia, toteż Fernando postanowił odwdzińczyć się przyjacielowi za przysługę, obdarowując go portretem jego syna.

Przebrawszy się, Uke spotkała na korytarzu zaspaną Victorię, która wyszła z pokoju w szlafroku i bez makijażu, jakkolwiek w świeżo wykutym w kuźni koku. Ujrawszy siostrę na powrót w górskim przyodziewku, ziewnęła i mruknęła przez zęby. „Kopciuszek wraca do swoich łachmanów”, na co Uke pokręciła głową i pisnęła cicho: „Nie, Kopciuszek zje obiad w górach ze szkockim księciem!”. Po czym chwyciła Victorię za ramiona i zastrzebiła ją życzeniem: „Siostrzyczko, chcę, żebyś mnie uczesała”. Victoria rozwarła na oścież zaklejone snem oczy i oświadczyła uroczyście: „Mario Eugenio, śniłam tak wiele razy, że mnie o to prosisz, że teraz już nie wiem, czy wypo-

wiedziałaś te słowa naprawdę, czy powinnam złożyć powyższe na karb spóźnionego działania Dry Martini". „Czego? - zapytała Uke i dodała: - wszystko jedno. Uczesz mnie!". Chwilę później Uke zeszła do salonu w swojej ubogiej kreacji z rafii, ale za to w lśniącym i spetryfikowanym uczesaniu a *la gargon* albo Liza Minnelli w „Kabarecie", którego elementem charakterystycznym był haczykowaty lok na czole, tak sztywny, że można było na niego złowić turbota.

Nie wiem nic więcej o tamtej pierwszej randce i muszę oprzeć się pokusie spekulacji. Ponoć obiad przeciągnął się do późnego popołudnia, późne popołudnie zmieniło się w noc i Uke wróciła do domu o takiej porze, o jakiej zwykli ludzie nie szwendają się gdzieś, nie wiadomo gdzie po górach. Oczywiście ani Uke, ani Hamish nie byli ludźmi zwykłymi, może więc faktycznie byli na górskiej przechadzce.

W następnych miesiącach, kiedy słońce pięło się niestrudzenie ku swemu letniemu Olimpowi, zdawało się, że w życiu Fernanda, Victorii, Uke, Hamisha, a nawet małej społeczności madryckiej peryferii wydarzenia pędzą w dół na złamanie karku. Ínigo i Victoria wyjechali do Bilbao, lecz na początku lata zawitali znowu, aby do końca sezonu zażywać odpoczynku w górach. Przywieźli wielką nowinę: Victoria była w ciąży. Fernando błyskawicznie otworzył pierwszemu wnukowi swoje serce i konto bieżące w banku. Uke i Hamish stali się nierozłączni i Fernando odnotował korzystne zmiany w zachowaniu córki. Troszczyła się bardziej o swój wygląd, starała się ładnie ubierać, gdy wymagała tego okazja, czytała, chodziła na koncerty i wystawy sztuki, zawsze w towarzystwie Hamisha. Nie kryła już swego starannego wykształcenia i porzuciła stosowane wcześniej mechanizmy obronne pozwalające jej pozostawać poza nawiasem życia towarzyskiego, jak głośnie siąkanie nosem i wycieranie go wierzchem dłoni. Nadal chodziła w góry, ale już nie sama. Hamish był osobą niezwykle towarzyską i potrafił obracać się wśród ludzi, nawet wśród rdzennych mieszkańców gór, z którymi zwykle przestawała Uke, jednak odgrywał on teraz rolę filtra chroniącego ją przed nasiąkaniem „grubiańskimi zwyczajami". Dziewczyna odważyła się nawet, mniemając, iż artystyczny

talent płynie w żywotnych sokach drzewa rodziny Mencia, spróbować szczęścia w malowaniu. W tym celu zamknęła się z ojcem na tydzień w pracowni, by następnie wyruszyć w góry w poszukiwaniu malowniczych widoków. Były to jedyne chwile spędzone bez Hamisha, a także momenty, z których Fernando, nie posiadając się z dumy, czerpał nieopisaną przyjemność. Coraz bardziej dostrzegał w Uke uszlachetnioną, wymuskaną wersję kobiety, którą kochał i którą stracił. Hamish wielokrotnie usiłował wziąć udział w tych malarskich wypadach, ale za każdym razem napotykał zdecydowany opór Uke wstydzącej się swojego nieudolnego chlapania po płótnie. Pragnęła poddać się testowi, dzięki któremu mogłaby stwierdzić, czy ma jakieś uzdolnienia w tym kierunku, i odpowiedzieć sobie na pytanie, czy upierać się przy malarstwie i dalej doskonalić technikę, czy zarzucić daremne usiłowania.

Latem Uke często bywała w wielkim domu Delseya, gdzie gościł Hamish. Francuski baron okazał się otwartym i pogodnym młodzieńcem, zawsze tryskającym humorem oraz człowiekiem skłonny słuchać innych; jedną z tych osób, które przyklaskują z radością roli powiernika bez prawa do repliki. Posługiwał się nienaganym hiszpańskim, lecz mówił w efektownym stylu, nienaturalnym dla kogoś w tak młodym wieku, że czasami stawał się komiczny, na przykład gdy przybierając patetyczny, iście homerycki ton, potrafił upchnąć w jednym zdaniu, między podmiotem i orzeczeniem, osiem czy dziesięć zdań podrzędnie złożonych. Był znakomitym gospodarzem i fenomenalnym animatorem ciągłości, to znaczy zawsze wiedział, w którym momencie należy wpompować ducha w wiotczącą atmosferę przyjęcia. Niekiedy Hamish grzeszył zbyt daleko posuniętą powściągliwością i milkł nagle w połowie zdania, wpatrując się w oczy Uke poważny i nieobecny, jakby jego umysł wyprany został z wszelkiej myśli lub, na odwrót, płynął w nim rwący strumień idei, zakłócając swoją siłą percepcję Szkota. W takich chwilach Uke czuła się zdezorientowana i nieco onieśmielona, ale Delsey zawsze znajdował sposób, żeby zdetonować ciszę za pomocą jakiejś towarzyskiej plotki lub kolejnej anegdoty o Martinie.

Martin był chłopcem stajennym pracującym w majątku rodziny Delseya, olbrzymem składającym się wyłącznie z mięśni i serca,

który na plecach przytaszczył z lasu do stajni rodzącą klacz ze złamaną nogą, by mogła oźrebić się pod dachem, na ciepłym posłaniu ze słomy. Klacz zdechła w trakcie porodu, jednakże dzięki zabiegom Martina na świat przyszło zdrowe i prześliczne źrebię płci żeńskiej. W nagrodę za jego dzielność i dobre serce ojciec Delseya dal źrebięciu na imię Martinette i podarował je mocarnemu stajennemu, który popłakał się ze wzruszenia i o mały włos nie zadusił w ramionach biednego zwierzęcia rżącego wniebogłosem z braku powietrza, a im rozpaczliwiej rżało, tym głośniej łkał i mocniej zwierzał uścisk Martin, sądząc, że źrebak także płacze z radości.

Obecność Delseya sprawiała, że każde spotkanie zamieniało się w prawdziwe święto i nawet najbliższa okazja była dla niego wystarczającym powodem, by zaprezentować swoją najlepszą garderobę. Ubierał się z klasą i miał namiętność do antyków; dziesiątki witryn w jego rezydencji wypełniały jajka Faberge, zabytkowe srebrne łyżeczki i przedmioty *vertu*. Nie przeoczył żadnej aukcji organizowanej w Madrycie i tej jego pasji Uke i Hamish zawdzięczali to, że się poznali.

Uke nie przepadała natomiast za „kuzynem” Gastonem. Był to ponury i skryty osobnik o ciemnych, głęboko osadzonych oczach zatopionych w dostojnej twarzy o kobiecych, chorobliwych rysach. Hamish twierdził, że Delsey i Gaston są kochankami, czego nigdy nie demonstrowali publicznie, lecz Uke miała nieodparte wrażenie, że „kuzynek” pożera ją wzrokiem. Na szczęście nie musiała zbyt często znosić jego obecności, ponieważ raz po raz przebywał „poza domem”, a Delsey nie przejawiał zbyt dużej skłonności do udzielania jakichkolwiek wyjaśnień na temat owych dziwacznych i powtarzających się zniknięć.

W pewnym sensie fatalnie się złożyło, że ulotnemu szczęściu tamtych miesięcy nie dopisały pomyślniejsze okoliczności, zwłaszcza że ani wówczas, ani nawet wiele później nikt nie wiedział na pewno, do jakiego stopnia rozwój wydarzeń politycznych i społecznych wpłynął na wysadzenie w powietrze stanu łaski, jakim cieszyła się rodzina Mencfa w początkach lata 1931 roku. Nastąpiła Republika,

Przedmioty należące do sztuki kolekcjonerskiej.

król udał się na wygnanie i niektóre sprawy zaczęły ulegać zmianie. Z początku wszyscy sądzili, że proces ten będzie klarowny dla społecznego ładu, że konserwatywna i mieszczańska Republika, o którą walczyli bracia Maura pozwoli zachować wszystkim dotychczasowe pozycje. Tak się jednak nie stało. Wkrótce zapłonęły klasztory i diuk Maura wycofał swoje poparcie dla rządu. Splendor El Pendolero zgasł, a jego lasy padły pod niecierpliwymi uderzeniami toporów, aby ustąpić miejsca ziemi pod uprawę. Gdy reprezentanci sił umiarkowanych zostali zepchnięci na margines politycznej sceny, ci, którzy mieli najwięcej do stracenia, zaczęli sobie uświadamiać, że mogą stracić wszystko.

Jednym z nich był Fernando. Ani nie stracił wszystkiego, ani nie stało się to z winy Republiki, jednak wir zmian wessał go z krete-sem: we wrześniu 1931 roku holenderskie przedsiębiorstwo wydobywające diamenty, w które zainwestował potężny kapitał, utraciło prawa do eksploatacji afrykańskiej kopalni. Z powodu, jak mówiono, nieprawidłowości księgowych w zapłacie czynszu dzierżawnego za wydobywanie. Bez tej koncesji spółka nie była niczym więcej jak starą nieruchomością w centrum Amsterdamu, wypełnioną zaśnieżonymi ramolami w białych, wykrochmalonych kołnierzykach. Fernando patrzył, jak z dnia na dzień jego akcje lecą na łeb na szyję, a wszyscy akcjonariusze pozbywają się swoich udziałów dla ratowania ruchomości. Usiłował rozpaczliwie zlokalizować swojego inżyniera, aby poradzić się go, czy należy opuścić okręt, czy raczej przywiązać się do masztu i czekać, aż burza ucichnie. Lecz inżynier był w podróży, poinformowała gospodyni, i wrócić miał nie wcześniej niż w końcu lata.

Fernando nie miał smykałki do interesów. Przyszedł na świat z umiarkowanie pękatymi kieszeniami i jego jedyną obsesją było uwypuklenie, wyolbrzymienie ich pękatości. Jakość wypełnienia miała tu znaczenie drugorzędne, w razie potrzeby można było nawet napchać w nie słomy. Dzięki temu systemowi udawało mu się trwać w podczepieniu do sfery tych, którzy, przeciwnie niż on, posiadali o wiele więcej, niż byli skłonni wyjawiać. Zgodnie z regułami swojej gry obnosił się z zamożnością w taki sposób, aby nie widać było, że się obnosi, zwłaszcza od czasu, gdy przywdział osobowość

wyrafinowanego artysty arystokraty, dla którego pieniądze były czymś prozaicznym i naturalnym, jednym z płynów ustrojowych, czymś, o czym po prostu mówić nie wypada. Tak więc złapany w potrzask zaskakujących okoliczności, z papierami wartościowymi w ręku tańszymi od papieru, na którym były spisane, musiał podjąć decyzję sam. Jego zięć Inigo znalazł się na inwestycjach, ale wraz z Victorią i przyjaciółmi wyjechał na kilka dni do miasta i Fernando na próżno usiłował go zlokalizować. Makler umywał ręce; nie chciał wziąć na siebie odpowiedzialności za tak ryzykowną rekomendację. Godziny mijały, a telefon Fernanda wydzwaniał z chrapliwą agonią, rzucając coraz to gorszymi wieściami. Musiał wybrać: sprzedać albo wyłączyć telefon, iść spać i nie czytać przez kilka miesięcy gazet. Postanowił sprzedać. I pomylił się. Zabrakło mu kluczowej informacji: zbankrutowana spółka miała najlepszą szkołę szlifierzy w branży. Miesiąc później przedsiębiorstwo, które otrzymało koncesję, wykupiło resztki za bezcen, zwolniło kierownictwo i postawiło na nogi interes, który posiadał teraz nie tylko pierwszorzędnym szlifierzy, ale również koncesję górniczą oraz odpowiedzialnych i skutecznych księgowych. Wartość firmy wystrzeliła w górę niczym jarmarczne fajerwerki, inwestorom zaś, którzy wytrwali na swoich pozycjach, między innymi podróżującemu nieprzerwanie inżynierowi, spadł na głowy deszcz mieniących się złotym blaskiem monet.

Był to dla Fernanda straszliwy cios. Nie oznaczał co prawda całkowitej ruiny, bo pozostawała mu jeszcze w odwodzie Lux Domini i kilka własności odziedziczonych po ojcu, nie licząc okazałych dochodów z malowania. Jednak teraz wyszło na jaw, że studnia ma dno i widać je było niepokojąco blisko. Co gorsza, część kapitału ulokowanego w diamentach, o czym nigdy nie wspominał rodzinie, przeznaczona była na powiększenie posagu Uke, kiedy Hamish poprosi ją o rękę. Uświadomił sobie, że zawiódł córkę, i ta porażka przerodziła się w poczucie winy, które nie opuściło go już nigdy. Od tego czasu stał się wobec niej bardziej wyrozumiały, bardziej tolerancyjny, mniej wymagający i mniej manipulatorski. Podupadł na zdrowiu i całymi dniami nie podnosił się z łóżka. Mówił, że przeczuwa śmierć, że nocami budzi się, słysząc, jak ktoś

wchodzi do jego pokoju i dyszy chrapliwie jak astmatyk, że kiedy wstaje i otwiera okna, nocny powiew przynosi mu z gór krzyki żony konającej na skałach w La Pedriza i że krzyki te nadymają zasłony, które omotują go, aby go udusić.

Nie był to niestety jedyny cios, jaki otrzymał Fernando w tamtych miesiącach roku trzydziestego pierwszego. Ani najboleśniej. Drugie uderzenie było dla niego prawdziwą katastrofą.

W tym samym dniu, w którym Fernando snuł się jak błędny po salonie, podczas gdy jego kapitał dematerializował się z drugiej strony telefonicznego drutu, Uke wyruszyła z Hamishem w góry, nie zdając sobie sprawy z finansowego krachu jakiegś nieznanego firmy w dalekim kraju. Z Lux Domini poszli skrajem wzgórza Canto del Pico w kierunku doliny Peregrinos. Była południowa godzina cudnego i przejrzystego września, duchota zelżała i niebo wyzbyło się koloru bladej żółtaczki sierpnia na rzecz czystego błękitu, którym tak rozrzutnie szafuje zima, gdy nikt nie ma czasu ani chęci, żeby leżeć na trawie i patrzeć na żeglujące obłoki. Dźwigali plecaki ciężkie od prowiantu zapowiadające gastronomiczny pojedynek. Uke zaopatrzyła się w Lhardy i Viena Capellanes, a jeden z przyjaciół Hamisha - tak myślę - przywiózł mu z Londynu kosz *delicatessen* z Fortnum&Mason. Hamish miał na sobie kilt z tartanu klanu Sutherland, Uke sukienkę z muszliny w kolorze swych oczu. Było lato, byli młodzi i byli wolni.

Poszli na północ wzdłuż strumienia Peregrinos i zjedli obiad na obrusie pod skalnym dębem, tuż przy wałającej się chacie pasterskiej z częściowo zachowanym dachem, wspartym na kamiennym murze. Oboje przyznali zwycięstwo w kulinarnej potyczce przeciwnikowi, śmiali się, wysączyli butelkę czerwonego wina z miejscowej bodegi i zabawiali się podrzucaniem w górę czekoladowych pereł i łapaniem ich w usta. Hamish miał w zanadrzu niespodziankę: w przepastnym plecaku przyniósł skrzypce. Kiedy słońce zachodziło na zachód od góry Abantos, wspięli się po zboczu i przysiedli na kamieniach, sycąc oczy aksamitem haftowanym szlachetnymi kamieniami ścielącymi się na stoku doliny. Na tle pomarańczowego całunu zmierzchu sunęły nabrzmiałe deszczem chmury zasnuwające niebo od gór. Hamish stwierdził, że ten piękny zachód zasłu-

guje na ilustrację muzyczną i stojąc na głazie, na szczycie wzgórza, zagrał intermezzo opery „Cavalleria Rusticana” Mascagniego. Uke nigdy przedtem nie słyszała tego cudownego i zniewalającego utworu i zaczarowana na swoim kamieniu, ze skrzyżowanymi nogami, bosa, poczuła, że delikatny puszek pokrywający jej ciało wbija się w muślin sukienki. Siedziała bez ruchu, wyzuta ze słów i gestów, a z rozedrganych w zmierzchu strun odrywały się nuty, które zaczepiały o najeżone niczym metalowe szpileczki włoski jej ramion i po chwili mknęły dalej, odbijając się od lśniących w gasnącym blasku kamieni doliny, szybując na skrzydłach lekkiego zefiru w stronę wykutego ze starej miedzi słońca, wzbijając się wraz z melodią, aby płynąć z wiatrem ku klimaksowi, najwyższej, powtarzającej się czterokrotnie nucie, która potem powtarza się jeszcze cztery razy, by w końcu odfrunąć łagodnie w stronę horyzontu i stopić się z finałowym *crescendo* w steli czerwonego kręgu znikającego pod drugiej stronie gór.

Kiedy Hamish skończył grać, Uke nie mogła się poruszyć. Odczuwała przymus bicia braw, aż jej ręce będą ociekać krwią, i myślała, że tak właśnie należy postąpić, ale sparaliżowało ją osłupienie i wzruszenie. Łzy w tych okolicznościach byłyby wyrazem pretensjonalności i złego gustu, czymś niegodnym twardej dziewczyny wychowanej w górach, oklaski zaś wydały jej się fizyczną agresją wobec ostatnich nut zawisających w powietrzu, postanowiła zatem zachować milczenie, aż odezwał się przenikliwy świst ciszy, jednakże Hamish trwał nieporuszony, ze skrzypcami na ramieniu, smyczkiem w dłoni i czołem zwieszonym w geście wyczekiwania i Uke poczuła się przymuszona, by otworzyć usta i wyhaftować głupiutki uśmiezek, który wystrzępił się zaraz w nieporadnym bełkocie. Na szczęście nie miała okazji, żeby pogorszyć sytuację. Raptem granatowe chmury, które tymczasem przesłoniły niebo, ryknęły potężnym, gardłowym grzmotem i deszcz zadudnił z łoskotem, osaczając Uke i Hamisha, roztrzaskując się grubymi kroplami na ich głowach. Uke pisnęła i poderwała się na równe nogi, chwytając za buty i brzeg sukienki, ale Hamish wznosił ramiona i płonącą głowę ku spadającej z nieba rzece i wrzasnął: „O nie! To jest lato!”, i wypluwając wodę z ust zamierzył się na struny

smyczkiem jak drwał rąbiący drzewo toporem i jał wściekle rznąć *presto* z lata Vivaldiego, wykręcając ciało w przesadnych, teatralnych pozach, cwałując po strunach z wszystkich sił, wytrząsając wodę z czerwonych włosów niczym włochaty pies i wybijając rytm muzyki zapamiętałym przytupywaniem. Uke cisnęła buty, zapomniała o brzegu sukienki przyklejonej do jej zlanego deszczem ciała i rzuciła się w wirujący tan, pijąc niebieską wodę i śmiejąc się do rozpuku na widok rozbuchanej błazenady Szkota. Nie przerywając coraz głośniejszej gry, którą rzucał wyzwanie rumorowi nawałnicy i dzwonom grzmotów, Hamish osunął się na kolana, schylając czoło, i wówczas wydarzyła się rzecz niezwykła. Gdy Hamish dotknął kolanami ziemi, dokładnie za jego plecami, w odległości dziesięciu metrów Uke ujrzała wspaniałego jelenia, byka z wielkim porożem porastającym opuszczoną głowę, zastygłego w deszczu i wpatrującego się w nich uparcie, jakby stracił orientację w burzy zahipnotyzowany dźwiękami muzyki. Uke skamieniała i rozchyliła wargi, zachłystując się zdumieniem, co widząc Hamish z rozpędu wydobyl ostatnią nutę, która ześlizgnęła się ze strun, zgrzytając fałszywym tonem i spojrzal na dziewczynę zbity z tropu. „Patrz... Pan na Dolinie!”. Hamish odwrócił się gwałtownie i widząc zwierzę, wyszeptał: „Oh, my God!”. Jego ruch czy może kres recitalu musiał wystraszyć jelenia, bo odchylając w tył ciężką głowę, zaryczał i pokłusował w dół zbocza. Obydwoje nie spuszczaali z niego wzroku dopóty, dopóki nie skrył się za zasłoną ulewy, gdzieś w okolicach pasterskiej chaty. Wtedy popatrzyl na siebie z uśmiechem i snadź burza wygenerowała w nich przedziwne zjawisko elektryczne objawiające się milczącym porozumieniem, ponieważ oboje zdawali się pojmować intencję tego wszystkiego: dnia spędzonego w górach, burzy, muzyki, jelenia, konieczności schronienia się przed deszczem, przemoczonych do suchej nitki ubrań i chaty na brzegu strumienia z częściowo zachowanym dachem wspartym na kamiennym murze. W milczeniu ujął Hamish dłoń milczącej Uke. Pozbierali rozrzucone rzeczy i popędzili w dół zbocza tam, gdzie jelen skrył się za zasłoną ulewy.

Wybieramy przepaść

Historia pisze się za pomocą malutkich kropek atramentu, słowa zaś nie są niczym innym, jak sumą wszystkich tych malusieńkich kropek. Każda litera czy fotografia przeniesiona na papier ma swój wątek, który dostrzeżemy jedynie wówczas, gdy posłużymy się silnie powiększającą lupą lub mikroskopem, lecz by móc dokonać interpretacji tego, co się wydarzyło, potrzebna nam jest perspektywa pełnych słów. W całej historii pisanej ktoś wykonał czarną robotę i pozostawił nam na tyle uporządkowany i zwarty wątek atramentu, abyśmy mogli dostrzec jedynie słowa i z ich pomocą przeczytać i zrozumieć to, co się kiedyś wydarzyło. Lecz jeśli idzie o to, czego doświadczamy na własnej skórze, a nawet o to, czego nie doświadczyliśmy, ale co nie było na tyle istotne, aby ktoś to uporządkował, wykładając nam kawę na ławę, możemy poruszać się jedynie w ścisłych granicach osobistego wątku, a pozostałe kropki atramentu są od nas zbyt oddalone, abyśmy je mogli zobaczyć, nie mówiąc już o cofnięciu się kilka kroków i ocenieniu wszystkiego z właściwej perspektywy.

Zgoda, to dość idiotyczny i przesadnie skomplikowany przykład. Jednak pozwala zrozumieć, mnie przynajmniej, dlaczego z reguły nie rozumiemy ani w ząb tego, co dzieje się wokół nas. Kiedy gubię się w następstwie zdarzeń wymykających się mojej percepcji i nad którymi nie mam żadnej kontroli, myślę o pchle uczeponiej dwunastej literki „a” pierwszego zdania pierwszego lepszego egzemplarza

„Don Kichota”, „w pewnej miejscowości Manczy, której nazwy nie mam ochoty sobie przypominać, żył niedawno temu pewien szlachcic, z tych, co mają kopię w tulei, starodawną tarczę, chudą szkapę i gończego charta”* - na tej właśnie ostatniej literce „a” wyleguje się beztrosko pchła - i już jestem o wiele spokojniejszy, ponieważ owa pchła zaprzątnięta jest swoimi pchlimi myślami i nie ma możliwości ani tym bardziej obowiązku zrozumienia fabuły „Don Kichota” czy znaczenia tego dzieła w hiszpańskojęzycznej literaturze.

Zmierzam do tego, że - jak wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazują - zawdzięczam swoje istnienie pewnej wrześniowej nawałnicy, nieledwie pyłkowi atramentu w wątku historii. Na podstawie zdobytych informacji mogę przypuszczać, że mój ojciec został poczęty owej nocy na brzegu potoku Peregrinos i gdyby tamtego wieczoru nie rozszalała się burza, być może moja dusza pozostałaby na zawsze w bębnie losującym lub dostałaby mi się w nieustającej wędrówce dusz cielesna powłoka dziecka eskimoskiego lub polinezyjskiego i w tym wypadku również nie byłbym tym, kim jestem. Nie mam bladego pojęcia, czy tak to właśnie działa. Ale skoro koniec końców jestem tylko pchlą, nie mam obowiązku tego rozumieć, a dzięki powyższemu objaśnieniu mechanizmu rozdziału dusz zyskuję względny spokój i gwizdząc na intelektualne poczucie wstydu i filozoficzne banialuki, mogę wrócić do wygod mojej dwunastej literki „a”.

O tym, co wydarzyło się o zmierzchu w chacie nad brzegiem potoku we wrześniu 1931 roku, nie opowiedziała mi moja matka i nie wiem, czy Uke w ogóle zdradziła jej ten sekret, raczej w to wątpię. Zresztą to bez znaczenia, bo gdy istnieje kilka wersji tej samej historii, prawdziwą powinna być zawsze ta, która jest najpiękniejsza. Lubię myśleć, że tamtej nocy Uke i Hamish nie zamienili z sobą ani jednego słowa więcej i że ich ubrania rozwieszane nad ogniskiem nasiąkały tą samą wodą, aż nastąpiła noc, aż ogień zgasł i obeschły ich ciała. Uke wróciła późno do Lux Domini i zastała ojca tonącego w fotelu, ze zwieszonymi bezwładnie rękami i poszarzałą twarzą,

Miguel de Cervantes, „Przemysłny szlachcic Don Kichote z Manczy”, przekł. Anna Ludwika Czerny i Zygmunt Czerny, PIW, Warszawa 1983 (przyp. tłum.).

oświetloną z jednej strony nocną lampką. Nie czuł się na siłach, aby ukryć przed Uke wieść o finansowej hekatombie, jaka dokonała spustoszeń w jego stanie posiadania, ale wątpię, aby córka się tym wszystkim przejęła. Może zmartwiło ją tylko to, że tego wieczoru jej ojciec zmienił się w starca, chociaż nie ukończył jeszcze czterdziestego piątego roku życia.

Minął wrzesień i nastaly ciche i melancholijne dni października. Ínigo i Victoria wrócili do Bilbao i Uke została sama, czuwając nad kruchym zdrowiem ojca, który często miewał omamy i słyszał jęki konającej żony w porywach wiatru dobijającego się do okien. Hamish bywał u nich często i zostawał na długie godziny, wprowadzając znaczne urozmaicenie w monotonię dni. Przynosił najświeższe plotki z miasteczka oraz historyjki zasłyszane od Delseya, jednak jego wysiłki trafiały niemal w próżnię. Uke czuła, że sytuacja ją przerasta i chociaż zatrudniła pielęgniarkę opiekującą się ojcem przez całą dobę, prawie nie wychodziła z domu. Jak na ironię Lux Domini zmieniła się w ośrodek sanatoryjny, o którym marzył Fernando, lecz w którym on był jedynym pacjentem.

Ten stan rzeczy utrzymywał się bez godnych odnotowania zmian, aż któregoś dnia Hamish pojawił się z nowymi smutnymi wiadomościami. Delsey przepadł bez słowa i dopiero na trzeci dzień od jego zniknięcia zatelefonowano z policji z informacją, że jego przyjaciel zabarykadował się w pokoju pewnego madryckiego zajazdu przy placu Puerta Cerrada, gdzie zamieszkał pod nazwiskiem Edmund Dantes - zmysł teatralny Delseya nie znał granic - i gdzie zamyslił dokonać żywota z wycieńczenia. Właścicielka zadzwoniła na policję, a ta zdołała ustalić tożsamość barona dzięki jakiemuś jego znajomemu z ambasady francuskiej. Kiedy Hamish dotarł na komisariat, ujrzał strzęp człowieka miętoszącego gorączkowo kartkę papieru. Był to lakoniczny telegram od „kuzyna” Gastona: „Nie wracam do Hiszpanii. Prześlij mi z łaski swojej moje rzeczy na adres hotelu Negresco w Nicei. Nie trudź się i nie przyjeżdżaj. Żegnaj”.

Hamish zdołał nakłonić Delseya do powrotu do domu w Torrelodones, ale tam baron trwał niezłomnie w swym postanowieniu zerwania jakichkolwiek związków ze światem zewnętrznym i nieprzyjmowania nikogo, dopóki w jego progi nie powróci Gaston lub jego, Delseya,

nie wyniosą nogami do przodu. Dwa dni później zakomunikował Hamishowi, że wyjeżdża na czas nieokreślony do rodzinnej posiadłości w Paryżu. Uke chciała koniecznie zobaczyć go przed odjazdem, ale Hamish zapewnił ją, że wszelkie usiłowania są daremne. Delsey nie pozwoliłby nigdy, aby ujrzała go w takim stanie. Napisał do niej natomiast kilka pożegnalnych słów, w czystym Delseyowskim stylu:

Mój najdroższy aniele niebieski,

w opustoszałej grocie mej piersi grzmi samotność i znieść dławiącego uścisku tego Hadesu dłużej nie potrafię, tego domostwa zakneblowanego urojonym całunem mych wspomnień. Czując odrzęę do bezowocnej eksploracji bagiennych otchłani mego własnego Styksu w poszukiwaniu choćby strzępu nadziei, mizernego obola, którym mógłbym zapłacić Charonowi za wypędzenie moich demonów i tak powrócić do mego utęsknionego raj, zstępuję do czyścica, mego domu urodzenia w Voisins-les-Bretonneaux, gdzie leciwe ciotki zatroszczą się o moją ziemską powłokę, nie pastwiąc się nade mną idiotycznymi pytaniami, które jedynie wzburzyć i bardziej jeszcze spotwornić potrafią cuchnącą kloakę mojej udreki. Tamże w bliskości Wersalu masz dom Twój, gdzie żywię nadzieję, odnajdziesz zlepione kawałki mego rozdartego i krwawiącego serca. Tymczasem dbaj o barbarzyńcę highlandera, który doręczył Ci tę epistołę. Pod karą wiecznego potępienia obojga nie dozwól mu przenigdy odejść od Twego boku: wierzaj mi, bez Ciebie czeka go jedynie przepaść. Wyświadczyć mi łaskę i przekaż Twemu czcigodnemu ojcu wyrazy szacunku i pragnienie najszczerze, by rychło wrócił do zdrowia. Ty i ja jesteśmy teraz w cierpieniu siostrą i bratem.

Zegnaj mi, umiłowana dziewczynko. Gdyby aniołowie **byli jak** ty, być może oddałbym swoją duszę kobiecie. Lecz mój wyrafinowany zmysł smaku uznaje wyłącznie nieśmiertelny związek z kanonami klasycznego piękna, a szczęśliwie w artystycznym ujęciu anioły, które pokochałem, będąc dzieckiem jeszcze, zawsze były rodzaju męskiego.

Twój na zawsze, póki zimne obcegi śmierci nie pokwapią się wyrwać ze mnie ostatniego tchnienia,

DELSEY

Cały Delsey. Przeczytawszy list, Uke chciała wiedzieć, czy Hamish zna jego treść. Szkot oświadczył, że nigdy nie ośmieliłby się zajrzeć do prywatnej korespondencji dwóch osób, choćby należała ona do najlepszego przyjaciela i kobiety, którą kocha. Uke zaintrygowała wzmianka o wiecznym potępieniu i przepaści. Delsey mógł uchodzić za najwybitniejsze dwudziestowieczne wcielenie postaci z tragedii Ajschylosa, jednak z całą pewnością nigdy nie napisałby komentarza o tak zagadkowym znaczeniu, noszącym zarazem ewidentne znamiona umyślnego działania, gdyby nie miał po temu jakiegoś motywu. W oczywisty sposób pragnął ją przestrzec przed czymś, nie wyjaśniając jednak przed czym. Gdyby Hamish czytał list, być może zapytałaby go, co Delsey miał na myśli, lecz w tych okolicznościach Uke uznała, że nie powinna wyjawiać przed nim aluzji przyjaciela, która być może okazałaby się dla niego krępująca.

Delsey wyjechał i Hamish został sam w rozległych włościach Quinty Lizarrabengoa. Tym dość ekstrawaganckim imieniem jak na madryckie góry ochrzcił posiadłość sam Delsey, składając hołd pochodzącemu z Nawarry żołnierzowi, który zakochał się i na koniec zabił z zazdrości Carmen Prospera Merimee. Zawsze to jego niezłomne poczucie tragedii. Delsey zabrał ze sobą służbę i w posiadłości został jedynie zamieszkujący małą stróżówkę przy bramie wjazdowej dozorca, który nie zaglądał do rezydencji i rzadko widywał Hamisha. Uke zaproponowała Szkotowi, by przeprowadził się do Lux Domini, ale ten z jakiejś przyczyny propozycję odrzucił. Miał pewnie po temu swoje powody. Odmowa Hamisha zasmuciła Uke. Nie tylko dlatego, że można ją było odczytać jako krok wstecz w ich związku, jak utracenie zdobytej czy sprawiącej wrażenie zdobytej twierdzy, ale również dlatego, że Uke szczerze pragnęła, aby w tym smutnym domu pojawiło się coś, co odświeżyłoby zakisłe powietrze, coś, co ruszałoby się samo i nie wymagało jej bezustannego wsparcia.

Patrząc na powolny, codzienny spacer słońca za prostokątnymi szybkami oszklonego salonu, Uke mogła przynajmniej rozmyślać do woli. Zwłaszcza o tych sprawach, które wszyscy spychają na sam dół listy dyspozycji dla mózgu, do czasu gdy w końcu przychodzi pora na *resume*. I na tej liście Uke coś pięło się w górę, przeskakując

kolejne pozycje, coś, czego nie dało się dłużej ignorować. Nie było innej rady, jak zaakceptować tę oczywistość - była w ciąży. Nie miała co do tego niemal żadnych wątpliwości, a ewentualny nikły procent niepewności tak czy inaczej nie mógł zostać rozstrzygnięty podczas wizyty u specjalisty. Nazwisko jej ojca i jego kariera lekarza, który przedzierzgnął się w artystę, kojarzyły się zbyt dobrze w środowisku lekarskim, aby można się było łudzić, że nowina o jej ciąży nie pojawi się w Lux Domini drogą telefoniczną, zanim zdoła pokonać drogę z gabinetu do domu. I to był w istocie największy problem: jej ojciec. Chociaż w ostatnich tygodniach troskliwa opieka Uke pozwoliła wyłuskać go z łóżka i wcisnąć ponownie w kitel malarza, napady lęku nie ustały i wiadomość tej natury mogła być nowym i niebezpiecznym wstrząsem dla słabego rusztowania jego zdrowia. Stwierdziła, że aby uporać się z tą sytuacją, potrzebuje pilnej pomocy siostry Victorii. Co do niej samej, akceptacja sytuacji, w której jakaś istota rośnie pod jej sercem, nie była, jak by się mogła tego spodziewać, srogim ciosem dojrzałości wymierzonym delikatnym kościom nastolatki. Uke była oczywiście przerażona i zagubiona w ciemności, jak ktoś, kto jest przekonany, że ma wypisane na twarzy coś, czego inni nie widzą, ale co dla niego samego jest ewidentne, gdy staje przed lustrem. Jednak z tego, co mi wiadomo, było to dla niej jak przejść przez próg, zamknąć za sobą drzwi i połknąć klucz; gdyby sprawy potoczyły się inaczej, zawsze osaczałyby ją wątpliwości i pokusa opacznych rozstrzygnięć. W tej jednak sytuacji wkraczała na jednokierunkową drogę, z której nie można się już było cofnąć. Był to kierunek, który wybrała sama, a uwarunkowania zewnętrzne całej tej historii miały tylko złagodzić nieuniknione napięcia. Hamish był jej przeznaczeniem, zatem, co ma być, to będzie. Postanowiła, że pierwszy dowie się o tym Szkot; potem zaś za tarczą stalowego koku Victorii podrzuci informacyjną bombę ojcu tak, by go nie zranić i by nie doszło do rykoszetu.

Dzwoniąc do siostry, rzewnie płakała. Victoria pomyślała ze zgrozą, że serce ojca pękło nieodwołalnie, lecz Uke wyjaśniła, że chodzi o nią. Wzbraniała się przed wyjawieniem szczegółów, lecz wobec nieugiętego uporu Victorii oraz jej oporu przed podróżą do Madrytu podyktowanego troską o własną ciążę, Uke nie miała innego wyjścia,

jak wyznać siostrze powód, dla którego dzwoniła. Victoria zanie-
mówiła. Następnego dnia po południu przyjechała samochodem
z Bilbao. Zamknęły w pracowni ojca, który choć nie zdobył się jeszcze
na położenie choćby jednej plamy, przynajmniej zaczął przyglądać
się uporczywie niedokończonym obrazom. Victoria zaprowadziła
siostrę do ogrodu, gdzie usiadły na kutych krzesłach przy okrągłym
stoliku. Uke wysłuchała logicznej diatryby wyrzutów jak uwertury,
czekając, aż starsza siostra zdecyduje się podjąć bardziej efektywny
wątek rozmowy. Szlochała beznamiętnie i jednostajnie, a z bezden-
nej studni jej gruczołów łzowych sączyły się nieprzerwanie dwa
cienkie strumyczki.

- Ojcem jest Szkot?

-Tak.

- Oczywiście ożeni się z tobą! Rozmawiałaś już z nim?

- Victorio. Bardzo cię proszę, pozwól, że będę załatwiać swoje
sprawy na swój sposób. Nie prosiłam cię o to, żebyś porządkowała
mi życie, jestem ci bardzo wdzięczna, ale dziękuję. Poprosiłam cię,
żebyś pomogła mi z tatą. To jedyna rzecz, jaka mnie w tej chwili
obchodzi. Nie chcę go skrzywdzić i nie wiem, jak temu zapobiec.

- To bardzo łatwe. Mogłaś o tym pomyśleć wcześniej.

- Sądziłam, że ten etap rozmowy mamy już za sobą.

- Nigdy nie przewyżyczymy tego etapu rozmowy. Przynajmniej
ty nigdy go nie przewyżyczysz. Zawsze będziesz miała coś, co ci
o nim przypomni. Dziecko. Twoje dziecko. Jak mogłaś...

- Dosyć. Myślę, że popełniłam błąd, dzwoniąc do ciebie.
Oczekiwałam większego wsparcia z twojej strony.

Victoria westchnęła głęboko.

- W porządku. Od zawsze żyłyśmy na dwóch różnych plane-
tach, siostrzyczko. Nie rozumiem twojego podejścia do życia i jedy-
ne, co nas łączy, to ojciec, matka, niech jej ziemia lekką będzie,
i nazwisko. Ale zawsze będziesz moją dziewczynką. - Pogładziła
jej włosy. - Masz rację, rozpaczając, niczego nie załatwimy. Im
szybciej skończymy z wyrzutami, tym wcześniej skierujemy całą
tę sprawę na właściwe tory w sposób możliwie... najprzyzwoitszy.
Pomyśl tylko, obie będziemy jednocześnie matkami i ciotkami. Kto
by pomyślał, że małe Mencia...

- Ty nigdy nie byłaś mała, Victorio. Urodziłaś się z okularami krótkowidza na nosie.

- Przynajmniej widzę, gdzie stawiam stopy, o co ciebie w żaden sposób nie można posądzić, zwłaszcza w sytuacji, w której należy zwrócić baczną uwagę na kręcących się zbyt blisko intruzów.

- Wybacz. Teraz ja rzuciłaś o jedno słowo za dużo. Powiedz, co możemy zrobić?

- Jak się czuje tata?

- Nic, tylko... wzdycha po całych dniach, patrząc przed siebie niewidzącym wzrokiem, a w nocy budzi się z krzykiem. Gdy wchodzi do jego pokoju, zastaje go stojącego przed otwartym oknem. Boję się, że któregoś dnia wyskoczy lub wypadnie. Ale przynajmniej od kilku tygodni już się odzywa i odpowiada, jeśli go o coś zapytać. Jest wystarczająco świadomy, żeby zrozumieć to, czego musi się dowiedzieć, jednak boję się, żeby się nie załamał do reszty, jeśli cios okaże się ponad jego siły.

- Nie sądzisz, że byłoby lepiej poczekać trochę, zanim mu o tym powiemy? Twoja ciąża będzie widoczna dopiero za kilka miesięcy.

- Victoria musnęła dłonią własny, pękaty brzuch.

- Boję się, że może się dowiedzieć z innego źródła, sama wiesz przecież, że...

- Jak to, czy ktoś jeszcze o tym wie? - weszła jej w słowo Victoria.

- Nie, oczywiście, że nie! Ale sama wiesz, brzemienna kobieta musi zmienić swój tryb życia, a ludzie plotkują... Obawiam się, że pielęgniarka opiekująca się tatą mogła zauważyć moje poranne złe samopoczucie.

- No tak. Wniosek: lepiej będzie, jeśli załatwimy tę sprawę jak najszybciej. Powiem ci, co zrobimy. Jutro muszę wracać do Bilbao, bo pojutrze mam bardzo ważne spotkanie, którego nie mogę odwołać. Polecę zatem pielęgniarce, żeby zaaplikowała tacie łagodny środek uspokajający i powiemy mu o tym dzisiaj wieczór, zanim pójdzie spać. W nocy będziemy nad nim czuwać, a wczesnym rankiem ruszę w drogę. Jeśli zauważysz, że jego stan się pogarsza, zadzwonisz do mnie i za dwa dni wrócę.

- Ależ siostrzyczko, w twoim stanie to przecież straszliwa mordęga.

- Jestem ze stali, choć nie w takim znaczeniu, jak myślisz. Rodzina jest na pierwszym miejscu, a ja czuję się dobrze. To dziecko będzie silne, jak jego matka. I jego dziadek. I jego ciotka. I jego kuzyn lub kuzynka. - Uśmiechnęły się do siebie. Victoria z czułością dotknęła palcem nosa Uke, kładąc tamę na trajektorii sznureczka łez. - Zobaczysz, wszystko będzie dobrze. Wieczorną rozmowę z tatą zostaw mnie. A więc wracając do twego niechybnie przyszłego małżonka...

Uke poruszyła się nerwowo na krześle.

- O tym później. Najpierw rzeczy najważniejsze.

Tak mniej więcej wyglądała rozmowa sióstr. Tego wieczoru zabrały się do realizacji ustalonego planu. Po kolacji Fernando palił z namaszczeniem, jego ruchy jednak zdawały się odzyskiwać lekkość, a zmarszczki zatopione w cieniu przed kilkoma miesiącami się wygładzały. Siedzące przy stole córki wspominały z ożywieniem, jak bardzo różniły się w czasach, gdy chodziły do szkoły, i jakie urządały hece, broniąc jedna drugiej. W końcu środek uspokajający zaczął ciągnąć powieki Fernanda w dół i wciskać jego brodę w pierś. Victoria wstała błyskawicznie, wyjęła mu spomiędzy palców papierosa i zgmiotła go w popielniczkę. Usiadła obok ojca i pozwoliła, by oparł się o jej ramię. Wzięła jego dłoń, położyła ją sobie na brzuchu i przystąpiła do ofensywy.

- Widzisz, tatusiu? Wciąż masz żywo w pamięci czasy, kiedy byliśmy smarkulami, a teraz spójrz tylko. Tak oto życie biegnie dalej i odradza się ku radości nas wszystkich. Jestem bardzo dumna, że dam ci wnuka, któremu będę mogła przekazać wszystko to, czego ty i mama nas nauczyliście: honor, przyzwoitość, odpowiedzialność, niezłomne zasady. Dzięki tobie twoje wnuki będą porządnymi ludźmi, a ty będziesz patrzył, jak dorastają. Słyszysz mnie, tatusiu? Nie zawsze możemy wybrać „kiedy”, za to możemy wybrać „jak”. Zarówno Eugenia, jak i ja potrafimy wybierać „jak”. Tatusiu, moje dziecko nie jest jedynym wnukiem, jakim będziesz mógł się radować w najbliższych miesiącach. Eugenia da ci drugiego. Byłoby lepiej, gdyby to błogosławieństwo spłynęło na nią później, ale znasz przecież swoją młodszą córkę, zawsze była impulsywna i niecierpliwa. Tak czy inaczej, co się stało, to się nie odstanie i teraz najważniejsze

jest to, aby jak najszybciej wszystko zorganizować. Tatusiu, Maria Eugenia także jest w błogosławnym stanie. Będziemy musieli się teraz pośpieszyć, żeby urządzić jej ślub, i jesteś nam bardzo potrzebny silny i zdecydowany, taki, jaki byłeś zawsze. Zgoda, tatusiu? Zgoda?

Nikt nie przewidziałby reakcji, jaka potem nastąpiła. Fernando nie odezwał się ani słowem i mimo środka usmierzającego i całej reszty znienacka zerwał się z krzesła, jakby obicie siedzenia zmieniło się w rozżarzone węgle, a przywiedła twarz mężczyzny zapłonęła ogniem. Z powiekami zwężonymi pod ciężarem zmarszczek z czoła jął ciskać się bezładnie po pokoju, odwracając głowę wciąż w jednym kierunku, jakby jego wzrok przywiązany był jakąś niewidzialną nicią do oczu Uke z trudem powstrzymującej łzy za kruchą zasłoną uśmiechu, którym usiłowała stwarzać pozory, że nic się nie stało. Zanim któraś z córek zdążyła zareagować, Fernando czterema zadziwiająco zwinnymi susami przemierzył salon i wypadł za próg w przyprószoną rosą październikową noc. Chwilę później usłyszały warkot silnika samochodu, ale gdy rzuciły się, by go zatrzymać, było za późno. Auto pełzało już między brzożami, by zaraz wydostać się przez bramę, zanim Victoria i Uke, obie w stanie niesprzyjającym uprawianiu sprintu, dopadły drzwi. Pośród szlochów, zdenerwowania i wzajemnych oskarżeń usiłowały gdzieś dzwonić, lecz gdy bezskutecznie poszukiwały jego śladu, Fernando zdążył już wrócić. Wtargnął ze zdekomponowaną twarzą przypominającą kubistyczny portret: szczęka opadała mu nisko, skrzydełka nosa rozwierały się i zamykały jak klapki kominów amerykańskiej ciężarówki, a oczy wyrzeźbione były w bladym marmurze. Powtarzał w kółko jedno zdanie:

- Co tu się wyprawia? Co tu się wyprawia? Co tu się wyprawia?

Victoria rozpięła swoją odpowiedź w ciasnej przestrzeni między czułością i gniewem.

- Tato! Czy można wiedzieć, gdzie byłeś?

Uke milczała. Płakała tylko, usiłując zamknąć ciśnienie udreki w obłych ścianach płuc. Znała odpowiedź na pytanie zadane przez siostrę i znała powód, dla którego jej ojciec wrócił tak rozju-

szony z tajemniczej i odbytej w piorunującym tempie wycieczki. Fernando potrząsał tylko głową, przebiegając wzrokiem ściany, jakby czegoś szukał, aż w końcu wbił spojrzenie w płótno „Władca równin”. Sącząc wielkimi krokami, z rozpostartymi ramionami rzucił się w stronę obrazu i z dziką furją zerwał dzieło z haka, zmagając się z nim zawzięcie, jakby uprawiał zapasy, po czym trzepnął nim o róg ściany raz i drugi, aż z drewnianych listew posypały się drzazgi i rama uległa zniszczeniu. Wyczerpany, wstrząsany spazmatycznym łkaniem osunął się ze zwiotczonym płótnem w rękę na podłogę, powtarzając wciąż to samo zdanie: „Co tu się wyprawia?”. Uke zawodziła serdecznie, pompując słone wody z niewyczerpanych złóż gruczołów łzowych, Victoria zaś, wybałuszając wielkie jak balony wydmuchane z gumy do żucia oczy, obserwowała tę żalną scenę, nie wiedząc, jak ma zareagować i co najpierw robić: pocieszać Uke, próbować uspokoić cierpiącego na atak nerwowy ojca, ratować resztki cennego obrazu czy ulec własnemu paroksyzmowi hysterii i dostroić się do lamentującego chóru. Przenosiła wzrok z ojca na siostrę, chwytając kurczowo palcami za naszyjnik z pereł i dotykając nerwowo drugą ręką kulistego brzucha, jakby chciała uchronić płód przed wyładowaniami elektrycznymi w atmosferze Lux Domini. Wreszcie, jękając się, zdołała z siebie wykrztusić:

- Tato, czy możesz mi wytłumaczyć, o co tutaj chodzi? - Odwróciła głowę w stronę Uke. - Wiesz coś o tym?

Uke odpowiedziała wzmożonym szlochem i obfitym jeszcze potokiem łez, lecz nie wydusiła z siebie ani słowa. Popatrzyła tylko na siostrę przez ułamek sekundy i pognała schodami na górę. Victoria śledziła ją oczyma domagającymi się wyjaśnień, gdy wtem usłyszała jasny i stanowczy głos ojca, jakiego nie słyszała, odkąd osunął się w swoją cienistą dolinę, zgrzytający jedynie skrzypiącymi zawiasami gardła utopionego w płaczu.

- Nie ma go! Zwiął! Szkot zwiął! Zrobił mojej córce dziecko i zwiął! Sukinsyn!

- Byłeś... w domu barona? Powiedział ci, dokąd wyjechał?

- Dom jest pusty! Nie ma nikogo! Tylko dozorca. Tylko dozorca. Dozorca powiedział mi, że Szkot wyjechał wczoraj, nie umiał

powiedzieć dokąd. Baron wyjechał kilka tygodni temu do Paryża. Ale Szkot wziął nogi za pas bez słowa wyjaśnienia. Sukinsyn...

Victoria nie była osobą skora do płaczu. Nadmiar adrenaliny zwykła rozładowywać w nerwowych ruchach rąk, pocierając je, bawiąc się przypadkowo znalezionymi przedmiotami i wyłamując sobie palce. Rozdrapała grzbiet dłoni niemal do krwi. Spojrzała ponownie w stronę schodów, jakby ze śladów ucieczki siostry na górę mogła odczytać wskazówkę pozwalającą zrozumieć, co się wydarzyło. Ale nie było tu nic do rozumienia, fakty mówiły same za siebie. Szkot czmychnął w nieznanym kierunku. Dla Victorii i ojca było to jak uderzenie obuchem w głowę. Victoria jednak święcie wierzyła, że Uke musiała już o tym wiedzieć.

Jak już wspominałem, w chronologicznej sekwencji wydarzeń, pogodziwszy się z myślą o ciąży, Uke postanowiła oznajmić nowinę najpierw Hamishowi, dopiero później swojej rodzinie. Czy tak było istotnie? A jeśli tak, to co wydarzyło się podczas owego spotkania? Czy dowiedziała się wówczas, że Hamish zamierza ją opuścić? Te same pytania postawiłem matce, kiedy, opierając się na swoich notatkach, zrelacjonowała mi historię babki, ona zaś ze swej strony zadała je Uke, gdy w długie, letnie wieczory gawędziły w ogrodzie Lux Domini. Usłyszawszy je wówczas, Uke zwróciła swe omotane już siatką zmarszczek słodkie oczy ku wzgórzu Canto del Pico i powiedziała tylko:

- Przepaść. Zawsze wybieramy przepaść.

Słupy soli

To dziwne, że babka połączyła ową koncepcję przepaści z widokiem Canto del Pico. Kiedy byłem mały i nie znałem jeszcze burzliwej historii tej wspaniałej staruszki o kasztanowych lokach, Przepaścią właśnie nazywaliśmy pas ziemi oddzielający płot Lux Domini na tyłach domu od żelaznego ogrodzenia posiadłości Canto del Pico. Nazwy tej używała nasza czwórka: Fermin, Nacho, Rocco i... Wielkie nieba! Uświadomiłem sobie, że dawno już wypłynęliśmy na szerokie wody narracji i plikiem przeczytanego papieru można by z powodzeniem podeprzeć kulawy stół, a ja przecież jeszcze się nie przedstawiłem. Nazywam się Francisco Jose Mencía. Ponieważ mój ojciec urodził się w Austrii, przeto w wyrazie osobistego hołdu ochrzcił mnie imieniem wąsatego cesarza z rodziny Habsburgów, męża prekursorki Lady Di, Sissi, w której postać wcieliła się w filmie Romy Schneider, wyciskając z oczu naszych matek morze łez, i którą pewien włoski anarchista pchnął nożem w serce przed jednym z hoteli w Genewie, stojącym tam zresztą do dzisiaj, a jej wąsaty małżonek i cesarz w odwecie za zabójstwo, nie Sissi, lecz swego kuzyna w Sarajewie, wypowiedział wojnę Serbii, która nabrała takiego tempa, że zamieniła się w koszmar znany w historii pod nazwą I wojny światowej. Nadając mi certyfikat pochodzenia, ojciec zamyslał niewątpliwie wywindować mnie do pozycji, z której mógłbym niechybnie atakować szczytne cele pod auspicjami i z błogosławieństwem chrzestnego ojcostwa przez homonimie jego eminencji wąsacza. Chwalebny

zamysł. Lecz daremny. Wszyscy bowiem nazywają mnie Curro* i jestem zwykłym, szeregowym dziennikarzem, ofiarą kuksańców redaktora naczelnego o manierach kaprała, który międlili w ustach swoje cygaro i strofuje: mniej literaturyyyyy, chłopczeeee!

Przyczyna narodzin ojca w Austrii ma bezpośredni związek z opowiadaną przeze mnie historią, historią babki Uke. W ostatniej odsłonie tej przygody zostaje ona wmanewrowana w coś, o czym wcześniej słyszała, ale czego przeżyć na własnej skórze nie spodziewała się w najśmielszych snach: w Grand Tour dziewiętnastowiecznych angielskich walceni. A katapultą do owego wielkiego tournee tamtego katastrofального października trzydziestego pierwszego roku była jej ciąża. Z dniem, w którym Fernando doznał ataku szału, role pod dachem Lux Domini się odwróciły. Przez wiele dni Uke nie wychodziła z pokoju, nie mając ochoty z nikim rozmawiać, jeść czy robić cokolwiek, co zmuszałoby ją do oderwania twarzy od poduszki. Przeciwnie jej ojciec, który postanowił stawić czoło burzy, przywiązując się do koła sterowego, jak to czynili niegdyś marynarze w sztorm, kiedy waliło się omasztowanie okrętu. Dobył siły z ukrytych gdzieś rezerw i chwycił mocno za ster z mocnym postanowieniem przezwyciężenia tej feralnej sytuacji, wymijając mielizny, które mogłyby zarysować poszycie jego dobrego imienia w towarzystwie. Jeśli niewczesna ciąża mogła być nawet tolerowana pod warunkiem zadzierzgnięcia stosownych więzów przed ołtarzem, ciąża samotnej matki była straszliwą apokalipsą, stygmatem, który wszyscy członkowie rodu musieli przekazywać swoim potomnym z pokolenia na pokolenie niczym wodny znak na wizytówce mówiący: za białą wyrwę w moim drzewie genealogicznym odpowiada mój ojciec/wuj/dziadek (niepotrzebne skreślić), który zapłodnił moją matkę/ciotkę/babkę (niepotrzebne skreślić) i wziął nogi za pas. Za wszelką cenę należało to jakoś zataić. Pozostało tylko jedno wyjście: wygnanie.

Uke nie opierała się zbyt. Jak Clark Gable w „Przeminęło z wiatrem” mogła w każdej chwili i nie oglądając się za siebie, machnąć ręką na cały ten jubilerski blichtr towarzyskiej elity, do której

Zdrobnienie od imienia Francisco; potocznie - praca (przy. dum.).

z takim trudem doszłusowała rodzina Mencia. Nie żał jej było też opuszczać Lux Domini i zatęchłego powietrza, jakie wypełniało dom w owym czasie. Toteż kilka dni później w nocy i na paluszkach, wypełnionym po brzegi bagażami automobilem hispano-suiza przypominającym miniaturowy, objazdowy cyrk, Fernando i jego córka opuścili miasteczko, ruszając w samotności ku odległej, bliżej, niesprecyzowanej północy. Dom zamknięto na cztery spusty i okna zasnuły się matową ciemnością jak ślepie zasuszonego zwierzęcia. Uzgodnili z dozorcą Delseya, że raz na tydzień zajrzy tam, aby sprawdzić, czy wszystko w porządku, i zostawili mu adres Victorii w Bilbao na wypadek, gdyby wydarzyło się coś, co wymagałoby niezwłocznej interwencji. Starsza siostra Uke zobowiązała się odwiedzać Lux Domini raz na jakiś czas. W świetle faktów, które odtworzyłem wiele lat później, okazało się, że zaraz po ich wyjeździe, z czego Fernando i Uke nie zdawali sobie wówczas sprawy, Victoria odprawiła dozorcę Delseya i zainstalowała własnego, wyposażonego w bardzo szczególne instrukcje.

Wpływ Victorii na decyzję o wyjeździe z kraju był prawdopodobnie o wiele większy, niż Uke przyznawała przed moją matką. Według relacji babki jej siostra podzielała opinię, że ucieczka jest najmniej toksyczną opcją dla towarzyskiego metabolizmu rodziny Mencia. Zadeklarowała też, że wyjaśni osobom zainteresowanym nagłym zniknięciem artysty i jego młodszej córki, że wyjechali oni w interesach w następstwie finansowego przedsięwzięcia, w jakie zaangażował się Fernando w pewnej spółce w Niderlandach. Co w gruncie rzeczy nie było dalekie od prawdy.

Gdy Victoria doradzała ucieczkę z kraju, kierowały nią jako rodzinnym strategiem jeszcze inne motywy. Odkąd proklamowano Republikę, wydarzenia polityczne przybrały obrót zagrażający statusowi warstw panujących hiszpańskiego społeczeństwa. Regionalne powstania i podpalenia klasztorów dopełniał awans socjalistów w czerwcowych wyborach. Bracia Maura, a wraz z nimi pravicowi republikanie cofnęli kredyt zaufania, jakim obdarzyli nowy system, i nadciągały czasy niepewności, w których tradycyjne sojusze, przynoszące dawniej nieocenione korzyści, dziś mogły obrócić się przeciwko zawierającym je stronom. Victoria obawiała

się, że przyjaźń Fernanda z rodziną Maura może mu przysporzyć problemów, wobec czego wyjazd za granicę był najbardziej higieniczną, defensywną strategią pozwalającą Fernandowi zastosować w praktyce zasadę przedstawioną w powiedzonku: pływać i nie zamoczyć ubrania. Z drugiej strony, w obawie przed łupieżstwem w imieniu Ludu wśród majątnych rodzin wybuchła epidemia odprowadzania kapitału na zagraniczne konta. Victoria nie wyznała nigdy, czy rodzina męża przyłączyła się do tego finansowego exodusu, chociaż wyjaśnienia były tu raczej zbędne. Ona sama wywiozła lwią część rezerw Fernanda do pewnego banku w Genewie.

Po krótkim międzyładowaniu w Biarritz Uke i jej ojciec zainstalowali się w Paryżu, na Montmartre. Choć to, co z jego fortuny nie przeminęło z wiatrem, pozwoliłoby im żyć przez lata we względnym dostatku, Fernando ani myślał przejadać okruchów swego majątku w podróży bez celu. Chciał żyć ze swojej pracy, malować i eksponować obrazy na Place du Tertre, pośród grochu z kapustą malowideł wystawianych tam na sprzedaż. Był tylko jeden szkopuł: Fernando mógł wcielić się w rolę kogokolwiek z wyjątkiem reprezentanta cyganerii. Nie zwykł jadać resztek czy gromadzić skórek od chleba, kulić się z zimna i cierpieć odmrożeń ani malować w poprutyh rękawiczkach bez palców. Jego zdrowie również nie zniosłoby podobnego stylu życia. Mieszkanie na lodowatym i wilgotnym poddaszu o obłazących z farby ścianach w ogóle nie wchodziło w rachubę. Wynajęli apartament w najlepszym hotelu w okolicy i tak Fernando mógł dzielić czas między graną przez siebie postać ubogiego artysty z placu i luksusowego turystę, którym był w rzeczywistości, osiadłego w ekskluzywnej rezydencji, w której salonie stworzył *ad hoc* pracownię. Co dziwne, ta jego malownicza i groteskowa aparycja diuka bez dukatów, miał skazać go na odosobnienie, wzbudziła ogólną sympatię i został przyjęty dobrze w placowym kotle. Wkrótce gruchnęła plotka, że dżentelmen ten to nie kto inny, jak król Hiszpanii na uchodźstwie we własnej osobie, i tak do Fernanda przyłgnał przydomek Le Roi. Nie udało mu się nawiązać żadnej trwałej przyjaźni, w gruncie rzeczy bowiem wciąż był tym samym Fernandem Mencia parającym się wyczynowo towarzyską wspinaczką. W czasie gdy ojciec malował i sprzedawał to, co namalo-

wał, Uke pielęgnowała kwiaty w apartamencie, dbała o kota dzielącego z nią taras - którego, podchwytyjąc żart z królem, nazwali Burbon - oraz o dziecko dzielące z nią ciało. Dziewczyna znudziła się bardzo szybko brakiem aktywności i postanowiła wypełnić sobie jakoś czas, aby złagodzić doskwierające jej cierpienie. Zapisała się na kurs gotowania w pobliskiej akademii i wyruszyła na zwiedzanie Paryża. Nie wróciła już do malarstwa. Bez natchnienia czerpanego z obecności Hamisha straciła do niego serce.

Pewnego dnia zaproponowała ojcu wycieczkę do Wersalu, ukrywając skrzętnie intencję, która leżała u podstaw tej inicjatywy. Wynajęli taksówkę na cały dzień i gdy znaleźli się na miejscu, Uke przekonała Fernanda, że zwiedzanie pałacu mogłoby się okazać zbyt dla niego męczące. Zostawiła go w kawiarni z książką w rękę i dyskretnie poleciła taksówkarzowi, by zawiózł ją do Voisins-les-Bretonneaux, posiadłości barona Delseya.

Gdy przybyli do miasteczka, szofer miał, zdaje się, problemy ze znalezieniem podanego adresu. Żadnemu z nagabywanych mieszkańców nazwisko Delsey nic nie mówiło, czy to wymawiane po angielsku na modłę Hamisha, czy zgodnie z fonetyką francuską, jak zasugerowała kierowcy Uke. Nie znając pełnego nazwiska przyjaciela, poprosiła więc taksówkarza, aby spytał po prostu o posiadłość barona. W końcu jakiś wieśniak pojął chyba, o kogo chodzi, i wymamrotał dwa zdania, pomagając sobie ruchliwymi ramionami. Stosując się do jego wykładni, szofer wrócił na główną szosę przecinającą miejscowość, by po chwili skręcić w lewo w drożynę biegnącą przez las równoległe do wysokiego, kamiennego muru, na którym zielenił się mech. Gdy przejechali około dwóch kilometrów, mur się urwał, ustępując miejsca wjazdowi zamkniętemu bramą z masywnych, żelaznych prętów. Kierowca się zatrzymał. Wysiadł z samochodu i zaczął nawoływać przez wierzeje, aż w końcu pojawił się tęgi mężczyzna z sumiastym wąsem. Uke zrozumiała, że wąsacz tłumaczy kierowcy, że nie jest to dzień wizyt, pokazując jednocześnie na napis obok wejścia, który głosił: „Chateau et Musee d'Angelique. Ouvert au public tous les dimanches". Przez chwilę zwątpiła, czy trafili we właściwe miejsce, lecz wówczas posłyszała, jak taksówkarz wyjaśnia mężczyźnie, że chodzi o hiszpańską *made-*

moiselle, prywatne odwiedziny u barona, na co drab kazał zaczekać. Przepadł na dłuższą chwilę i w tym czasie Uke popatrywała przez okno samochodu na rozciągającą się za bramą posiadłość. Nie widać było zbyt wiele. Droga dojazdowa skręcała w lewo między drzewami i niknęła w głębi lasu.

Wreszcie wąsacz wrócił i otworzył furkę, instruując kierowcę, że ma jechać w stronę zamku i zaparkować przed wejściem głównym. Uke paliła ciekawość. Pojazd zanurzył się w gęstwinę, lecz nie na długo, bo wkrótce drzewostan zniknął niespodziewanie i przed nimi otworzyło się olbrzymie błonie graniczące z lewej strony ze zwartą ścianą lasu, z prawej zaś rozlewające się szeroko, przykrywając zielonym dywanem równinę upstrzoną jak okiem sięgnąć przysadzistymi pagórkami i wysepkami krzewów. Z lewej strony, między drogą i lasem, w obniżeniu terenu widać było jezioro o ciemnych wodach. Na wprost wznosił się wspaniały zamek z szarego kamienia, kryty dachówką, z trzema rzędami okien, skrzydłem głównym zamkniętym z dwóch stron bocznymi, nieco wyższymi pawilonami i okrągłymi basztami w rogach zwieńczonymi stożkowymi kopułami. Miejsce to było jak z bajki. Uke pomyślała, że jeśli nikt za chwilę jej nie uszczypnie, oznajmiając, iż zaszła pomyłka i okaże się, że zamek ten istotnie należy do Delseya, był on niewątpliwie o wiele skromniejszy, niż wskazywałaby na to jego permanentna afektacja. Nieraz wspominał o swoim rodzinnym gnieździe, nigdy jednak najmniejszym gestem nie zdradził się, że jest to coś takiego. W zestawieniu z widokiem rozpościerającym się obecnie przed jej oczyma Quinta Lizarrabengoa w Torrelodones mogła uchodzić za stróżówkę dozorca, a Lux Domini za budę psa chihuahua dozorca ze stróżówki.

Z nosem przyklejonym do okna toczyła Uke wzrokiem po wspaniałym krajobrazie, aż zajechali na miejsce. Samochód zatrzymał się przed wejściem i kiedy szofer wysiadł, aby zakłatać do drzwi, Uke zwróciła uwagę na pewien szczegół. Rondo podjazdu reprezentacyjnego otaczało okrągłą sadzawkę, pośrodku której wznosiła się niezwykle wystylizowana, około dwuipółmetrowa kamienna figura. Był to anioł z na wpół rozwiniętymi skrzydłami i dłońmi złożonymi na piersi, w których trzymał otwartą książkę. Na jej okładkach

widniały wyryte jakieś słowa. Uke wysiadła z auta, aby przyjrzeć się im z bliska. Był to epigram w języku hiszpańskim. Rozpoznała w lot ostatnie wersy sonetu de Queveda:

*Truchła odzieży, nie tkliwych swych włosów;
Będą popiołem, lecz nieostygnionym; Prochem
będą, lecz prochem miłości.*

Pod epigramem odczytała datę: 1919. Przejął ją dreszcz. Utkwiła wzrok w anielskiemu obliczu. Jego rysy były niezwykle subtelne. Unosił lekko podbródek, patrząc przed siebie na najwyższe piętra zamku z wyrazem łagodnego spokoju. Mimo iż tunika i kanony stylistyczne art deco zacierały formy, przypominał kobietę. Po prawym ramieniu spływał warkocz. Matka Uke zawsze czesała włosy w warkocz, gdy wybierała się w góry. W przeciwieństwie do kamiennych zab znieruchomiłych na brzegu sadzawki posąg nie szerniał od deszczu i nie skolonizował go mech. Utrzymany w idealnej czystości najwyraźniej nie należał do standardowego, zamkowego umeblowania. Figura ta musiała mieć szczególne znaczenie dla któregoś z tutejszych mieszkańców.

- Mademoiselle!

Jakiś kobiecy głos wyrwał dziewczynę z głębokiej zadumy. Niezwykle chuda, rurkowata kobieta uśmiechała się do niej od progu. Ubrana była w wąską, przewiazaną w talii granatową suknię, która ciasno opinała jej szyję i sięgała do kostek, upodabniając właścicielkę do rozwiązanej w dolnym końcu kielbasy. Głowa kobiety zatknięta była na wierzchołku długiej i sinusoidalnej szyi niczym metalowy klips na końcu sznurka zaciskającego kawałek wędliny. Pod szarym, napiętym jak liny dźwigu kokiem sterczała najbardziej odstająca wyrosi jej ciała, orli nos wznoszący się wielce niefortunnie tuż pod oczodołami, ponosząc w efekcie główną odpowiedzialność za niebagatelną dysproporcję oblicza wyglądającego dość groteskowo na tle płaskiej topografii tułowia, który bez wątpienia musiał zakłócać jej frontalne widzenie panoramiczne. Mimo to jej uśmiech wyglądał na miły, chociaż trudno było odgadnąć, ile zawdzięczał napięciu mięśni twarzy, jakie pociągało za sobą naprężenie koka.

Przywitała Uke i zapytała, czy mówi po francusku, na co dziewczyna odpowiedziała twierdząco. Kobieta zaprosiła ją do środka, chciała poznać jej godność i spytała, czy motywem jej wizyty są odwiedziny u barona. Ale Uke już nie słuchała. Jej oczy rozwarły się jak wlot do tunelu pod milczącym natłokiem tego, co wypełniało ogromny westybul zamku: anioły. Setki aniołów. Olbrzymie, małe, samotne, w grupach, malowane na płótnie, na papierze, utkane na gobelinach, wykute w kamieniu, odlewane z brązu, wytapiane ze szkła, nagie i odziane, chuderlawe i pulchne, dziecinne i tęgie, dobrotliwe i rozeźlone, banalne i subtelne, bogobojne i lubieżne, puciołowate i ascetyczne, dmące w trąby i podśpiewujące *a cappella*, dzierżące niebiańskie chorągwie, włócznie, miecze, puklerze, pastorały, zwoje pergaminu, młotki, krzyże, różańce, kufry, świece, pochodnie, girlandy kwiatów, kosze owoców i jagnięta. Anioły, archanioły, cherubiny i serafiny. Zgromadzono tam wszystkie niebieskie zastępy, które zapełniały ściany i podłogi; zwieszono je u sufitów, uczepiono schodów, spoczywały w witrynach i kredensach. Gdyby nie знаła Delseya lub gdyby nie miała pewności, że to w istocie jego rezydencja, czmychnęłaby stamtąd, jakby sam czart deptał jej po piętach, nawiasem mówiąc, też anioł. Tchnąca aberracją i pstrokacizną sceneria oszołomiła ją, choć pomyślała, że pasuje jak ulał do gustów jej przyjaciela.

Widząc reakcję Uke, kobieta się roześmiała. Jej szyja wygięła się w tył, kładąc niemal na plecy, nos drapieżnego ptaka rozpruł w pionie powietrze, a oczy utonęły w jaskiniowych głębinach pod brwiami, gdy wyrzucała z siebie papuzi rechot. Uke odwzajemniła się jej niewyraźnym uśmiechem. Kobieta wyjaśniła, że muzeum barona jest bardzo wyjątkowym miejscem i że osłupienie Uke jest całkowicie zrozumiałą i bardzo powszechną reakcją wśród zwiedzających. Kiedy dziewczyna ochłonęła, odpowiedziała, że tak, jest przyjaciółką barona, że znają się z Madrytu i że postanowiła skorzystać z okazji i złożyć mu wizytę, dając jednocześnie wyraz swojemu ubolewaniu, że nie mogła go zawiadomić z należyтым wyprzedzeniem. Kobieta zdawała się nie przywiązywać do tego wagi i dała susa w ciżbę aniołów niczym rurkowaty wróbel, pokazując Uke, by podążyła za nią. Weszły po schodach na pierwsze

piętro, tonąc w odmętach anielskich chórów, jakby wspinały się na wyżyny siódmego nieba, przemierzyły długi korytarz i zatrzymały się przed dwuskrzydłowymi drzwiami. Kobieta poprosiła Uke, by zaczekała na korytarzu, sama zaś weszła do pokoju, gdzie ściszym głosem zamieniła z kimś kilka słów. Uke usłyszała stłumiony okrzyk radości i zaraz w drzwiach pojawiła się jej przewodniczka, ruchem dłoni zapraszając dziewczynę do środka. Jej oczom ukazał się Delsey pogrążony w ogromnym łożu, wielkości parceli, przykrytym baldachimem, który z powodzeniem osłoniłby peron stacji kolejowej. Barona zalewał ocean satynowego prześcieradła w kolorze szampana. Wyglądał zapewne jak Action Man w pościeli swojego właściciela. Zobaczywszy Uke, usiadł na posłaniu wzruszony, uśmiechając się szeroko i wyciągając ku niej rękę. Z całą odpowiedzialnością mogę zapewnić, że znam dość wierną relację z przebiegu spotkania.

- Moja najdroższa dziewczynka, cóż za ogromna i nieoczekiwana satysfakcja!

Uke pomknęła z uśmiechem w otwarte ramiona Delseya. Objęli się z wszystkich sił pośród śmiechów, po czym odsunęli na wyciągnięcie ramion, aby z dystansu przyjrzeć się jedno drugiemu, ściskając sobie wzajem dłonie. Uke pomyślała, że Delsey wygląda imponująco i nie sprawia w najmniejszym stopniu wrażenia nieboraka łamanego kołem nieszczęśliwej miłości. Człowiek nie wybiera swojego wyglądu i w tym wypadku fizjonomia młodego barona nie sprzyjała zdecydowanie pozie romantycznego, chorego na gruźlicę poety, jaką przybierał w stanie prostracji. Jego kompleksja była silna, a rysy zbyt kanciaste i męskie jak na rolę udręczonej księżniczki, którą odgrywał na scenie życia. Prawdziwy charakter wyjawiały dopiero oczy, zielone, szpitalne oczy zebrzące o intensywną opiekę i transfuzję czułości, oczy, które tak pasowały do jego twarzy jak brylantowy pierścień do palca orangutana.

Uke chwyciła stojące w pobliżu krzesło i usiadła przy łóżku, Delsey tymczasem oznajmił kobiecie trzymającej wartę pod drzwiami, wyprostowanej jak wielkanocna gromnica, że nie będą już potrzebować jej pomocy. Z grymasem na dziobie opuściła komnatę, zostawiając jednakże uchylone drzwi.

- Co za ogromna radość! Miałem płochą nadzieję, że któregoś dnia zaszczyisz mnie swoją obecnością, rozświetlając słonecznym spojrzeniem te smutne kąty, ale nigdy nie pomyślałbym, że ziści się to tak szybko! Czemu zawdzięczam nieoceniony dar twojej wizyty? Wakacje w Paryżu?

- Delsey... Uwierz mi, nie wiem, od czego mam zacząć. Moje odwiedziny nie są li tylko kurtuazyjną wizytą. - Uśmiech wycisnął dwie łzy, które wystąpiły z brzegów jej oczu.

- Och. Domyślam się. Czytam to z twojej fizys. - Delsey uniósł brwi, patrząc na nią z pełnym czułości niepokojem. - Barbarzyńca *highlander* nie przyjechał z tobą.

- Nie... On... Ja... - Uke wybuchła przerywanym płaczem. - Delsey, Hamish wyjechał. Jestem w ciąży.

- Ależ moja najdroższa...! Jakże to...? Nie, nie to chciałem powiedzieć. Wyjechał, dlaczego? Dlaczego pozwoliłaś mu wyjechać? Ostrzegałem was, że nigdy, pod żadnym pozorem nie powinniście się od siebie oddalać. Znam was na tyle dobrze, by wiedzieć, że obydwójecie byliście zobligowani do tego, by odwrócić wasze przeznaczenie, choćby to wymagało od was nadludzkiego wysiłku. Skarbie, niektórych decyzji w życiu nie można już odwołać. Wiesz o tym, nieprawdaż?

- Wiem, Delsey. Jestem tak zdezorientowana i zagubiona... Miałam nadzieję, że poradzę sobie z tym, ale nie wiem doprawdy jak. Niczego już nie jestem pewna. Nie wiem, czy chcę lub czy powinnam do niego pisać, ale na wszelki wypadek, gdybym kiedyś musiała to zrobić... czy wiesz, gdzie mogłabym go znaleźć?

- Przypuszczam, że wyjechał do Afryki.

- Tak. I ja tak myślę.

- Kochanie, żadna oda do radości nie zdołałaby przyćmić jednego słowa z mych ust, jeśli tylko mogło ulżyć twoim katuszom. Ale... nie znam jego tamtejszego adresu. W rzeczy samej nie wiem nawet, czy... dysponuje już tam jakimś adresem. Nie byłem z nim w Afryce. Ha, ha! Czy mogłabyś sobie wyobrazić coś, co byłoby bardziej nie na miejscu niż JA w Afryce? Byłoby to w sam raz tak, jak nosorożec w operowej łoży. Ale zaraz... Jeśli mnie pamięć nie myli, poprzednio zatrzymywał się w hotelu... Norfolk, w Nairobi. Z pewnością ma tam

jakichś znajomych. Gdybyś wysłała list na adres hotelu, być może przesłano by go na jego ręce niezależnie od miejsca pobytu.

- Dziękuję. Jesteś jak promień słońca. Nie, ty jesteś słońcem. A ja nieczułą egoistką. Nachodzę cię w twoim domu, zadreczając cię swoimi problemami i nawet nie zapytałam, jak się czujesz.

- Ty nie mogłabyś być nieczułą nawet wówczas, gdybyś wyrwała sobie serce z korzeniami, nie wspominając słowem o egoizmie, postawie całkowicie obcej twojej naturze. Ja natomiast jestem fatalnym gospodarzem. Nie zaproponowałem ci nawet skromnej herbaty i ciastek czy kawy, czy...

- Nie, dziękuję, nie trzeba. Nie mam zbyt wiele czasu. Zostawiłam ojca w kawiarni, w Wersalu. Myśli, że zwiedzam pałac.

- Zatem podróżujesz z ojcem. Ale jaka jest przyczyna tej waszej podróży, jeśli wolno zapytać?

- Jak wiesz, straszliwie przeżył stratę pieniędzy. Jego zdrowie wciąż było kruche i bałam się, że wiadomość o ciąży pograży go całkowicie. W pierwszej chwili zareagował tak, jakby stracił rozum, jednak dość szybko wziął się w garść. Miał chyba świadomość, że bardzo na niego liczę. Mimo dzielących nas różnic zawsze go bardzo kochałam. Na tym etapie naszego życia musimy nawzajem się wspierać. Za wszelką cenę pragnął uniknąć upokarzającej sytuacji, w której mógłby stać się pożywką dla plotek dobrego towarzystwa z Madrytu. Jego córka oczekuje dziecka nieznanego ojca! Postanowił od tego uciec, a ja nie chciałam się sprzeciwić. Poza tym pomyślałam, że wspólna podróż wyjdzie nam obojętne na zdrowie. I tak już od dwóch miesięcy mieszkamy w Paryżu.

- Co ja słyszę! Gdzie się zatrzymaliście? Nie mogę pozwolić, żeby moi przyjaciele szukali dachu nad głową, gdy ja mieszkam tak blisko. Mój dom jest waszym domem. I jak widzisz, w tym starym zamczysku nie możemy się uskarżać na niedostatek miejsca.

- Byłby to dla nas wielki zaszczyt, ale właśnie staram się przekonać ojca do przeprowadzki. Wiesz, że jestem dziewczyną gór. W mieście brak mi powietrza, a w chwili obecnej nawet cuda Paryża są mi obojętne. Odczuwam wielką samotność pośród tych tłumów. Potrzebuję otwartej przestrzeni. Jeśli ojciec się zgodzi, może poje-

dziemy w Alpy. Zawsze chciałam poznać te góry. Ale dość już o tym. Mów, co u ciebie? Wyglądasz wspaniale.

- Moja najdroższa dziewczynko, oboje jesteśmy królami serc, lecz serc złamanych. Nasza zdolność kochania przewyższa nieskończenie nasze umiejętności panowania nad cugłami uczuć, a nie ma tragiczniejszej rzeczy, jak cierpieć z nadmiaru hojności, kiedy szafujesz strugami własnej krwi bez umiaru, bojaźni i cynizmu, nie łudząc się żadną nadzieją na odzyskanie któregoś dnia owocu miłości złożonej w ofierze, zrąbanej toporem obojętności tych, którzy ignorując, jak drogocenny skarb mają w swoich szorstkich, zrogowaciałych łapskach, lekceważą najwspanialszy dar, jakim natura obdarować może duszę. Mimo wszystko czuję się już troszeczkę lepiej. Dzisiaj zastałaś mnie w punkcie krytycznym mojej gehenny, gdy zamierzałem właśnie pogрузić się w wiskozowej topieli tego leża i oderwać od świadomości własnej istoty. Ale opuszczam je już stosunkowo często, spaceruję, a nawet ośmieliłem się kilka razy skąpać mego ducha w promieniach słońca i w atlasowych falach świeżego powietrza. Ciotki opiekują się mną z bezgranicznym oddaniem i można je uznać za wzór dyskrecji, chociaż nie aprobują stylu mojego życia. Ta, którą poznałaś, to ciotka Genevieve. Ciotki Josephine i Bernadette wyjechały w odwiedzin do przyjaciółki, ale można powiedzieć, że poznałaś wszystkie trzy, bo są praktycznie nie do odróżnienia.

- Trojaczki?

- Nie, są jedynie seryjnymi reprodukcjami tej samej matki. Mój ojciec miał więcej szczęścia. Dziadek owdowiał i pojął za żonę inną kobietę, nieskończenie piękniejszą niż jego pierwsza małżonka. Dzięki temu zrządzeniu losu ojciec, jedyny syn dziadka z drugiego małżeństwa, był mężczyzną apollińskiej wprost urody. Był bogiem. Szkoda tylko, że bogiem wojny. Zgodnie z rodzinną tradycją poświęcił się karierze wojskowej i pełnił w czasie I wojny światowej funkcję stratega pod rozkazami marszałka Focha, naczelnego dowódcy sił sprzymierzonych. Zginął podczas ofensywy na linii Hindenburga w osiemnastym roku, ostatniej wielkiej operacji na froncie zachodnim. Zabłąkana kula ścięła jego młode życie, gdy nieprzyjaciół był już rzucony na kolana. Można powiedzieć, że ojciec był jedną z ostat-

nich ofiar tej wojny, jeśli nie ostatnią. Ale był to nie tyle przypadek, ile raczej fatum, materializacja tragicznego przeznaczenia, które zawsze dopada nas nieuchronnie bez względu na nasze nadludzkie wysiłki, by go uniknąć.

- To straszne! Dla ciebie i twojej matki musiał to być potworny cios.

- Mama zniosła o wiele więcej, niżby można wymagać od ludzkiej istoty, przekroczyła granice najskrajniej sformułowanej definicji heroizmu. Była zdruzgotana. Rok później wysłała mnie do krewnych, do Pampeluny. Pobyt ów przedłużał się grubo ponad miarę, co raniło głęboko moją dziecięcą wrażliwość, byłem bowiem z mamą bardzo związany. Była wielką miłością mego życia. Krewni z Pampeluny odwiekali jak mogli chwilę, w której nieuchronnie musieli objaśnić mi przyczyny zwłoki w moim powrocie do domu: mama zmarła tragicznie, wypadając przez okno.

- To straszne!

- Nie wiedziałem wówczas, prawdę poznałem wiele lat później, że spadła nie z okna, ale z gzymsu dachu. Z miejsca, w które nie zaprowadziła jej z pewnością chęć odbycia przechadzki.

- Wielki Boże! Biedny Delsey!

- Nigdy się z tym nie pogodziłem, chociaż nie mogę jej czynić wyrzutów z powodu tak tragicznej determinacji. Gdy życie kończy swój bieg, zmieniamy się w trupy błądzące bez celu po świszczącej przeraźliwą beznadzieją pustyni i wówczas higiena i przyzwoitość wymuszają na nas całkowite unicestwienie pozostającej w zawieszaniu energii naszego ciała, co ostatecznie nie jest niczym innym jak udzieleniem naszej duszy bezwarunkowego spoczynku, z którego czczy automatyzm mięśni nie pozwala jej korzystać. Ona nie mogła żyć bez mego ojca, chociażby dla mnie oznaczać to miało utratę jej boskiej obecności. Ojciec zabrał swą Persefonę z sobą. Nic nie może i nie powinno być ważniejsze od miłości romantycznej, nawet miłość do własnego dziecka. Ona podjęła najuczciwszą decyzję. Jeśli o mnie idzie, by uśmierzyć swoje egocentryczne i wieczne nienasycone pragnienie obecności i czułości matki wzniosłem jej posąg, który czuwał będzie wiecznie nad moim snem. Jest teraz moim aniołem stróżem.

- Anioł z podjazdu z wersami Queveda!
- „Truchła odzieży, nie tkliwych swych włości; będą popiołem, lecz nieostygnionym; prochem będą, lecz prochem miłości” - Delsey wyrecytował słowa powoli z głową zwróconą w stronę okna. - Mam nadzieję, że tam, gdzie przebywają, są szczęśliwi. Chyba nigdy ci nie mówiłem, że mama była Hiszpanką i zawsze mówiła do mnie w swoim języku. Pochodziła z Nawarry jak Carmen Merimeego, ojciec zaś był żołnierzem, niezwykle, prawda? Mamę pasjonowała literatura, zwłaszcza liryczna strona Queveda. Zachwycało ją to, że poeta prowadzący hulaszczy tryb życia, amator pijatyk i burd mógł stworzyć tak finezyjne sonety utkane niczym subtelną koronką najcudowniejszych słów. Czytała mi te wiersze, których z racji dziecięcego wieku nie rozumiałem, lecz dźwięk i kadencja jej głosu oraz muzyka tych wersów pozostały we mnie na zawsze. Gdy umarła, miałem sześć lat. Podczas pobytu w Pampelunie hiszpański stał się moim pierwszym językiem i po powrocie do Francji musiałem nieomal uczyć się francuskiego jak cudzoziemiec.
- A zatem twoja matka miała na imię Angelica i to na jej cześć nazwa tego zamku?
- Po powrocie kazałem wykonać ten posąg, zmieniłem nazwę zamku, nazywając go imieniem mamy i wówczas pojawiły się tu pierwsze anioły. Mniemam, iż miałaś już okazję zapoznać się z małą próbką mojej skromnej kolekcji. Rząd uznał ją za tak niezwykłą i cenną, że poproszono mnie, bym udostępnił zbiory publiczności. W ciągu tych lat zgromadziłem eksponaty z całego świata, niektóre z nich o nieoszacowanej wartości. To dziwne, ale nie potrafiłbym stwierdzić, jak dalece decydujący był wpływ matki na moje osobliwe zamiłowanie do niebiańskich zastępów. Po części wynika ono z podziwu, jakim darzę sztukę klasyczną i artystyczną reprezentację męskiego ciała. Bo choć zwykle mówi się, że aniołowie są istotami aseksualnymi, to nieprawda. To zawsze mężczyźni. Z wyjątkiem mamy. To jedyne niewieści anioły, przynajmniej w tym zamku. Moje ciotki... cóż, są niezwykle miłosierne, ale niestety przypominają raczej gargulce, jak mogłaś się zapewne przekonać. - Porównanie rozśmieszyło Uke.
- Zaczekaj, Delsey. Powiedziałaś, że kiedy zmarła twoja matka, miałeś sześć lat... Zatem...

- Jestem o rok młodszy od ciebie, księżniczko. Mam osiemnaście lat, choć zmarszczki duszy liczą mój wiek w stuleciach.

-Ale ja sądziłam... Hamish mówił, że zaprzyjaźniliście się w szkole.

- I tak też było, aczkolwiek nie chodziliśmy do jednej klasy. Kiedy skończyłem trzynaście lat, ciotki, moje opiekunki, postanowiły wysłać mnie do szkół do Paryża. Miałem tam zamieszkać w domu krewnych. Moje stosunki z rodziną ojca nigdy nie układały się dobrze, mimo iż noszę jego nazwisko i tytuł. Ja chciałem wrócić do Hiszpanii, lecz ciotki wyraziły stanowczy sprzeciw. Wiesz, jacy są Francuzi... Przyjęliśmy rozwiązanie kompromisowe i pojechałem do szkoły w Eton, w Anglii. To uczelnia o wielkim prestiżu i wysokim poziomie nauczania, w której miałem doskonalić angielski i dostąpić wielkiego przywileju, jakim było móc kształcić się na ziemi, która wydała Byrona, Shelleya, Keatsa i Coleridge'a. W Eton nie rezydowało wielu zagranicznych uczniów, ja zaś byłem dość szczególnym chłopcem, bojaźliwym i skrytym. Francuska narodowość, jak również moje... upodobania estetyczne sprawiły, że w pierwszym roku nie miałem lekkiego życia. Czułem się samotny i opuszczony. Hamish był fenomenem, tytanem. Był starszy o trzy lata, lecz okazał mi współczucie i ofiarował przyjaźń. Wykazał się przy tym niezwykłym hartem ducha, pokonując trzy bariery, które w dzieciństwie wydają się nie do przebycia: narodowość, wiek i niepopularność. Hamish, szkocki zawodniak i świetny sportowiec, był bardzo lubiany, kiedy więc wyciągnął do mnie rękę, również inni chłopcy zaczęli mnie zauważać. Można powiedzieć, że uratował mi życie. Z tego też względu jest moim najukochańszym przyjacielem. Wymyślił mi nawet nowe imię. Delsey nie jest moim prawdziwym nazwiskiem, lecz akronimem. Księżniczko, przedstawiam ci, oto Dominique-Emmanuel Le Sciellour et Yvrenogean we własnej osobie. Chyba teraz rozumiesz, że dla angielskich chłopców był to tasiemiec absolutnie nie do przełknięcia, nawet dla tych, którzy znali francuski, a to sprawiało, że byłem niedostępny. Hamish połączył pierwsze litery mego nazwiska i takim sposobem sfabrykował imię Delsey, o wiele bardziej czytelne, chwytliwe i zabawne. Wtedy dopiero inni chłopcy, wiedząc już, jak mają się do mnie zwracać, przestali mnie unikać.

- To dlatego w miasteczku nikt nie zna żadnego Delseya!

-W rzeczy samej. We francuskich kręgach towarzyskich funkcjonuję tylko pod nazwiskiem ojca. Poza Francją jednak znany jestem wyłącznie jako Delsey. Na przykład w Hiszpanii. Zacząłem jeździć do madryckiej posiadłości odziedziczonej po krewnych mamy jeszcze w czasach szkolnych. Gdy nadchodziło lato, zaglądałem po drodze do zamku, aby ucałować ciotki, i kontynuowałem podróż do Torrelodones, które zawsze było dla mnie moim nieskrępowanym, dzikim matecznikiem, gdzie mogę być zwyczajnym Delseyem, nie zaś baronem Le Sciellour et Yvrenogeu. Czuję się tam wyśmienicie. Teraz, gdy ukończyłem naukę w Anglii i mam nadzieję przezwyciężyć ten straszliwy wstrząs i ból wciąż jeszcze kłusający mą duszę, być może osiadę na stałe w Madrycie, by wstąpić na uniwersytet. Soboty i niedziele mógłbym wówczas spędzać w Torrelodones. Ciotki są zbulwersowane taką perspektywą, ale muszą zaakceptować mój wybór. Koniec końców są moimi gośćmi. Zamek oraz szlachecki tytuł ojca należą do mnie.

- Sądziłam, że Wielka Rewolucja zniosła stan szlachecki we Francji.

- Tak też się stało, lecz Napoleon przywrócił tytuły. Jesteśmy nieszlachetnymi szlachcicami, moja droga.

- Drogi baronie Le Sciellour et Yvrenogeu, szlachetność przynika najdrobniejszą tkankę waszej istoty.

- Ty zaś jesteś drugim niewieścim aniołem, który dotyka swymi stopami posadzki tego zamku. Gdybym kiedykolwiek mógł zakochać się w kobiecie, tylko ty byłabyś adresatką mego uwielbienia. Chociaż związek nasz musiałby być, rzecz jasna, związkiem wyłącznie platonicznym. Mam nadzieję, że nie jesteś zazdrosna.

Uke skwitowała tę uwagę jeszcze jedną salwą śmiechu. Potem zamilkła na kilka chwil, patrząc na siebie z uczuciem zadowolenia. Uke spojrzała na zegarek i podniosła się z krzesła.

- Delsey, to była prawdziwa przyjemność móc widzieć cię znowu. Ale mój ojciec wypił już pewnie wszystkie zapasy kawy w całym Wersalu, a nie chcę, żeby się dowiedział, że byłam tutaj. Nie zrozumiałby tego. Marzę o dniu, w którym spotkamy się znów w naszych

górach, kiedy złe chwile zostaną daleko za nami. Tymczasem będę do ciebie pisać.

- Co zrobisz względem... naszego wspólnego przyjaciela?

- Jeszcze nie wiem. Jak ty, potrzebuję wpraw... oczyszczenia. I spokoju. Na razie nie chcę patrzeć za siebie, ryzykując, że skończę jak żona Lota, zamieniona w słup soli.

- Ba, idiotyczna, bigoteryjna opowiadka. Księżniczko, nie zapominaj, z kim masz do czynienia. Lot wolał oddać swoje córki dziewczycie tłuszczy Sodomy, niż pozwolić im cieszyć się kompanią aniołów. Czy możesz w to uwierzyć? Czy to postępowanie godne ojca? Dlaczego nie zapytał o zdanie aniołów? Jeśli miałbym wybrać jakąś metaforę groźby ugrzęźnięcia w przeszłości, wolałbym historię Orfeusza i Eurydyki. Ona umarła, gdy Orfeusz obejrzał się za siebie, aby spojrzeć w ukochane oczy. Lecz zamiast gryźć się do końca swoich dni, postanowił, że od tej chwili kochanków szukał sobie będzie tylko wśród efebów. Nie zaprzeczysz, że historia ta jest o wiele piękniejsza i bardziej pouczająca niż bajka o Locie.

- Jesteś genialny, Delsey. Będę za tobą bardzo tęsknić. Nie mogę uwierzyć, że dowiaduję się o tobie tego wszystkiego dopiero teraz, po tak długiej znajomości.

- Tajemnica zawsze stanowiła część mego uroku, królowo. Atoli bliskość śmierci jest impulsem pobudzającym do szczerości. Poza tym nadmiar obowiązków uniemożliwił mi spisanie moich wspomnień dla przyszłych pokoleń.

Uśmiechnęła się mimo łez w oczach. Delsey kontynuował:

- Dbaj o siebie, moja najdroższa dziewczynko. I opiekuj się ojcem. I pamiętaj, że zastępy moich aniołów towarzyszyć ci będą wszędzie, gdziekolwiek zawiedzie cię los.

Uke wróciła do Wersalu z neodpartym wrażeniem, że w jej wnętrzu zmagają się dwa uczucia, które nie mogą połączyć się w jedno, czuła się jak kucharz mieszający chochlą smalec roztopiony w zupie. Była zbudowana spotkaniem z Delseyem, lecz w pewnym sensie ta wizyta w przeszłości na nowo otworzyła ranę. Ranę trzeba otworzyć i wyczyścić, aby się zagoiła, pomyślała. W przeciwnym razie infekuje się i podchodzi ropa.

Cztery Pióra i imperialny orzeł

System działał z grubsza tak. Czekaliśmy, aż zapadnie zmrok, ukryci w szałasie, który wybudowaliśmy tuż przy kamiennym ogrodzeniu okalającym tylną część terenu Lux Domini. Nie mówiąc słowa moim rodzicom, rozebraliśmy kamień po kamieniu część muru osłoniętego szałasem i zamaskowaliśmy dziurę gałęziami. W ten przemyślny sposób sfabrykowaliśmy sobie możliwość wymykania się z ogrodu przez szałas, tak że nikt z domowników nic nie podejrzewał, wszyscy bowiem sądzili, że bawimy się w najlepsze w środku. Oczywiście szałas nie nazywał się szałasem, lecz Bazą Obozową, choć była to tylko siermiężna buda sklecona z połamanych desek, kawałków pofalowanej blachy, paru kołków i suchych gałęzi.

Musieliśmy wybrać właściwy moment, ponieważ okienko czasowe było bardzo wąskie. Należało rozpocząć akcję zaraz po zachodzie słońca, zanim jednak moja matka zdążyła włączyć światło w ogrodzie. To właśnie była chwila największej ciemności. Kiedy ogrodowe lampy zalewały światłem Przepaść, nasze mikre postacie rzucały na zbocze wzgórza Canto del Pico cienie wielkości Godzilli. Wówczas wyslizgnąć się tak, by nikt tego nie zauważył, nie graniczyło już nawet z cudem, ale było po prostu niemożliwe i należało misję odwołać, ponieważ obawialiśmy się, że może nas namierzyć krążący po orbicie okołozemskiej Meteosat i zaalarmować o naszych ruchach funkcjonariuszy SWAT. W rzeczywistości uważaliśmy się za wiernych sojuszników SWAT, ale zważywszy

na maksymalny stopień utajnienia naszych misji, lepiej było, żeby Ludzie Harrelsona nic o nas nie wiedzieli.

Dokładny czas rozpoczęcia operacji wyznaczaliśmy przy użyciu znajdującego się w naszym wyposażeniu przyrządu o nieoszacowanej wartości: starego światłomierza, który wyabstrahowaliśmy z fotograficznego sprzętu mojego ojca. Kładliśmy go na ziemi obok Bazy Obozowej, od środka, przez szczelinę w ścianie bocznej patrzyliśmy w maksymalnym skupieniu, czekając, aż wskazówka opadnie do określonego punktu na podziałce. To był ten właściwy moment. Ja stałem na czele wyprawy, bo nie na darmo byłem Kapitanem. A byłem Kapitanem, ponieważ szalas znajdował się na moim podwórku, ponieważ mój ojciec był sędzią, która to funkcja najbardziej przypominała działalność Kapitana, a także dlatego że nie kto inny, tylko moja matka, nic o tym nie wiedząc, dostarczała nam składający się z kanapek, Cola-Cao i herbatników Chiquilin prowiant pozwalający podolać reżimowi i niebezpieczeństwom wypraw.

Wyślizgiwałem się z Bazy Obozowej w stronę Przepaści jak węgorz, cichy jak błyskawica i niewidzialny jak grzmot albo na odwrót. Specjalnie do tego celu wyfasowałem strój, który na moją prośbę, zamaskowaną pretekstem niezbędności takowej garderoby w inscenizacji szkolnej sztuki teatralnej, ufarbowała mi na ciemny kolor mama. Uniform uzupełniała kominiarka w kolorze khaki stanowiąca niezbędny element kamuflażu w terenie. Najgorsze było to, że lipcowy żar lał się właśnie z nieba, wskutek czego gruba wełna kominiarki gryzła skórę okrutniej niż szampon przeciw wszom, przyczyniając się do masowej produkcji grubych kropel potu zlewającego głowę i upodabniając ją do świeżo wyklutego kurczęcia. Dla dobra ekspedycji gotowi byliśmy jednak do największych poświęceń. W prawej dłoni trzymałem broń krótką, kij dopracowany do perfekcji własnymi rękoma, które wyczarowały z niego wyrafinowane uzbrojenie obronne o nieodgadnionej śmiercionośności, w lewej zaś środek łączności składający się z pustego kubka po jogurcie, z przywiązanym do niego przez otwór w denku sznurkiem. Z drugiej strony sznurka bliźniaczy kubek po jogurcie znajdował się pod kontrolą Nacha, Spikera wyprawy. Znaczenie tej funkcji zaraz wyjaśnię. Na plecach taszczyłem torbę marki Adidas przełożoną przez ramię,

w której znajdowała się reszta nieodzownego ekipunku Kapitana. Torba posiadała wybitnie rzucające się w oczy białe logo na granatowym tle, które nawet najbardziej krótkowzroczny Meteosat mógłby z łatwością wysledzić z okołozemskiej orbity.

Aby pokonać przestwór Przepaści, musiałem zrobić zaledwie kilka susów. Był to najniebezpieczniejszy odcinek, bo niektórzy sąsiedzi zwerbowani w celach zwiadowczych przeganiali tamtędy sfory psów wyszkolonych w zabijaniu, potrafiących za pomocą swoich ostrych jak tartaczna piła zębów rozerwać na strzępy każdego intruza i zamienić go w składnik bolońskiego sosu. Szczególnie groźna była Bestia pani Tellez, nasza lokalna wersja psa Baskerville'ów. Był to yorkshire terier i chociaż jego wygląd nie był może nad wyraz imponujący, pod przebraniem niewinnej maskotki z jedwabną wstążką i wdziakiem zrobionym na drutach kryła się właśnie jego krwiożercza moc, bo gdy raz zacisnął swoje szczęki na zdobyczy, nie wypuszczał jej nawet w zamian za całą paczkę herbatników Chiäuilin.

Moje zadanie polegało na dotarciu do Schronu i naprężeniu kabla łączności, co stanowiło dla Nacha sygnał, że osiągnąłem z góry upatrzoną pozycję. Moment ze wszech miar groźny, w którym najbardziej byliśmy narażeni na dekonspirację, jako że sznurek rozciągał się w poprzek Przepaści i któryś z tajnych agentów mógł łatwo odkryć naszą obecność. Stwierdziwszy, że wszystko jest w porządku, dawałem zielone światło towarzyszom, którzy musieli teraz pokonać tę samą drogę. Najpierw szedł Rocco objuczony ciężkim uzbrojeniem składającym się z pistoletów i mieczy, za nim Fermin z prowiantem i zestawem pierwszej pomocy, i jako ostatni Nacho, wyposażony w odbiornik łączności i zwijający kabel. W ten sposób wszyscy, cali i zdrowi, zbieraliśmy się w Schronie.

Wspomniałem, że Nacho pełnił podczas naszych wypraw funkcję Spikera. Na etapie tworzenia oddziału poczyniłem spostrzeżenie, że we wszystkich filmach wojennych zawsze pojawia się radiotelegrafista, żołnierz, który rozmawia przez radio. Nacho zgodził się objąć to stanowisko, jednak nie omieszkał nas zapewnić, że jego matka na okrągło słucha Luisa del Olmo, który rozmawia przez radio, i że osoba rozmawiająca przez radio nie nazywa się radio-

telegrafista, tylko spiker. W porządku, niech będzie Spiker, byleby dobrze wykonywał swoją robotę. Kolej na Rocca. Jego ojciec był myśliwym i świetnie znał się na broni, co miało dla naszych zamierzeń fundamentalne znaczenie. Myśleliśmy, że Rocco, niejako z urzędu, winien zostać mianowany Rusznikarzem czy czymś podobnym, lecz on oznajmił, że od czasu do czasu ojciec zabiera go na polowania i zwie go Muszkietierem. Pozostałym członkom komanda wydało się to niepoważne, bo do czego niby potrzebny nam Muszkietier, na co Rocco twierdził niezłomnie, że jeśli ojciec mianował go Muszkietierem, to tak ma być i ciekawe, kto zna się lepiej na broni - my czyjego ojciec. No i miał rację.

Na koniec Fermin. Potrzebowaliśmy kogoś, kto zająłby się apro wizacją i podstawowym wyposażeniem medycznym składającym się ze słoiczka gencjany, bandaża i czegoś, co Fermin pożyczył sobie z walizeczki swojego ojca, i nie wiedzieliśmy, do czego służyło, ale co sprawiało, że nasz ryszczunek zyskiwał niezwykle profesjonalny wygląd. Ojciec Fermina był lekarzem, zatem wydało się nam logiczne, że to on właśnie powinien objąć to stanowisko. Nie wyraził żadnego sprzeciwu, zaznaczył jednak, że niezależnie od obowiązków pełnionych w naszym komandzie pragnie, by jego oficjalnym zaszeregowaniem nie było stanowisko lekarza, lecz Biurokraty. Przyczyna tego życzenia tkwiła w postawie jego ojca, który z racji pracy rzadko bywał w domu i ciągle powtarzał, że oprócz spoczywającej na jego barkach odpowiedzialności za ratowanie ludzkiego życia musi na dodatek użerać się w szpitalu z biurokratami, którzy nic nie robią i żyją jak pączki w maśle, i że nie ma nic lepszego na tym świecie jak być biurokratą. Dlatego Fermin nie wątpił ani przez chwilę, że chce być Biurokratą.

Tak oto wyglądała struktura operacyjna naszej grupy: Kapitan, Muszkietier, Spiker i Biurokrata. Dość osobliwy skład jak na siły szybkiego reagowania, ale komando działało dobrze i tylko to się liczyło. Ma się rozumieć, nasza elitarna jednostka miała zaszyfowaną nazwę: Cztery Pióra. Wytatuowaliśmy ją sobie nawet na ramieniu flamastrem Carioca. Autorem kryptonimu byłem ja, a natchnienie zaczerpnąłem z filmu, w którym pewien żołnierz nazwany jest przez swoich towarzyszy tchórzliwą kurą, gdy wycofuje się z powierzonej

im misji, i żeby odkupić winę, musi udać się na afrykańską pustynię i odbić z rąk Egipcjan druhów, zwracając każdemu z nich pióro otrzymane na znak tchórzostwa. Uznaliśmy ten przykład za niezwykle inspirujący dla naszych ekspedycji model moralny, wobec czego każdy z nas nosił przy sobie swoje pióro na wypadek, gdyby któryś z członków grupy skrewił i nie stanął na wysokości powierzonego mu zadania i trzeba by było wymierzyć mu symboliczną karę polegającą na proklamowaniu go kapitanem od siedmiu boleści.

Schron był małą grotą na terenie posiadłości Canto del Pico. Tak przynajmniej sądziliśmy wówczas. W istocie żelazny parkan, który forsowaliśmy, przełaząc przez dziurę ukrytą za krzakami, najwyraźniej nie był częścią ogrodzenia własności należącej wciąż jeszcze w 1978 roku do rodziny Franco. Mogę się domyślać, że w przeciwnym razie wylądowalibyśmy na posterunku Guardii Civil już przy pierwszej próbie. Ponieważ jednak nie było innych domów między Lux Domini i złowrogim pałacykiem na szczycie, wierzyliśmy święcie, że nasz Schron znajduje się w samiuśkim ogrodzie owego pana, który był tak ważny, że kiedy umarł, zrobili nam w szkole wolne. Może płot, przez który w tajemnicy przełaziliśmy, grodził inną działkę, a może był zewnętrznym parkanem bezpieczeństwa. Tak czy owak byliśmy przekonani na mur beton, że jeśli nasze ekspedycje wyjdą na jaw, rodzice sprawią nam niezłe cięgi za szwendanie się po cudzej własności. Upiorny duch tej kary unoszący się nad naszymi głowami niczym złowróżbne przeznaczenie sprawiał, że misje komanda były doświadczeniem o nieporównywalnej z niczym skali emocji.

Do Schronu wnikaliśmy po usunięciu stosu gałęzi skrywających jego istnienie przed światem. Za warstwą kamuflażu znajdowała się naturalna nisza między dwoma wielkimi głazami, której tylną ścianę tworzyło wybrzuszenie opadającego w dół stoku. Była to wyśmienita kryjówka niewidoczna od strony Przepaści i Lux Domini, zwrócona natomiast frontem, jak łoża w teatrze, ku pałacowi, który dla nas, nieznających jego prawdziwej nazwy, był pałacem Walpurgii od dnia, w którym omijając posterunki kontrolne, prześlizgnęliśmy się bezczelnie na teren letniego kina, gdzie obejrzelśmy wstrząsający film o wampirach i wilkołakach. W Schronie zgromadziliśmy monumentalną kolekcję skarbów: obcinacze do paznokci

z sugestywnymi, zaszyfrowanymi inskrypcjami w stylu „Pamiętka z Benidormu”, magnesy wyluskane z chirurgiczną precyzją z zepsutych urządzeń elektrycznych, wiecznie przewracające się z powodu nierównej podstawy plastikowe żołnierzyki, poturbowani spadochroniarze bez spadochronów, ogromne, drogocenne kamienie z naszyjnika siostry Rocca, zakupionego, gdy postanowiła przebrać się za Cygankę, i zdemontowanego w wyniku brawurowej akcji jej brata, samochodziki za jedną pesetę, kule do gry w dziecinne kręgle za dwadzieścia pięć, wżorzyste baki, najlepsze śrubokręty do gry w pikuty, ciężka jak diabli lupa, nie jak te z plastiku, które można było kupić w komplecie z piórnikiem i zestawem kredek, komiksy z historiami o superbohaterach, komiksy z Don Miki, pochodzące z najróżniejszych kolekcji naklejki, kilka luźnych elementów z zestawu Świat Magii oraz Gier Zebranych Geyper, wybór cukierków, wśród których wyróżniała się cenna mieszanka drażetek z mleka oślicy i żelków o smaku coca-coli, resztki podwieczorków, na wypadek gdyby nas zaatakowano i musielibyśmy przeżyć w oblężeniu kilka lat, głównie herbatniki, czekolada i serki topione, które nie cieszyły się specjalnie naszym uznaniem, ale że były zawinięte w złotko, stanowiły podstawę suchego prowiantu w nagłych wypadkach. Mieliśmy świadomość niesłychanego ryzyka, jakim było przechowywanie podobnego skarbu w sekretnym punkcie forpoczty znajdującym się na terytorium wroga. Ale z tego samego powodu był to najbezpieczniejszy sposób ocalenia go przed potencjalnymi akcjami grabieżczymi ze strony wrogich elementów.

Do Schronu nie przenikaliśmy codziennie, aby nie wzbudzić podejrzeń mojej rodziny. Przeważnie zaszywaliśmy się w Bazie Obozowej, instruując wcześniej wyczerpująco domowników, by nam nie przeszkadzali, i dokładnie zaryglowując od środka drzwi. W ten sposób w dniu, na który została wyznaczona misja, nikomu nie mogło przyjść do głowy, że w rzeczywistości nie znajdujemy się jak zwykle w środku. Każda operacja planowana była z milimetrową precyzją i należyтым wyprzedzeniem. Dla asekuracji zostawialiśmy zapalone w Bazie Obozowej światło, które kablem pociągniętym z domu doprowadził nam Vicente, asystent mojej babki. W Bazie Obozowej mieszkały Pipó i Papó, syryjskie chomiki, do których

klatki wkładaliśmy metaliczne blaszki, sprzedawane jako artykuł świetnie nadający się do skutecznienia dowcipasów, bo rzucone na ziemię imitowały brzęk tłuczonego szkła. Drepcząc po tych blaszkach, zwierzątka robiły wystarczający hałas, aby przekonać każdego zewnętrznego obserwatora, że w środku Bazy Obozowej ktoś jest.

Znalazłszy się w Schronie, bawiliśmy się, opowiadaliśmy sobie horrory i przeprowadzaliśmy właściwe misje. Mogły one realizować najróżnorodniejsze cele w zależności od tajemnicy, jakiej przyszło nam stawić czoło, co z kolei uwarunkowane było tym, kto w danym momencie historycznym zamieszkiwał pałac Walpurgii. Jeśli były to istoty pozaziemskie, nasze zadanie polegało na zebraniu oznak inteligentnego życia, obserwacji nieba celem wykrycia najmniejszego ruchu UFO oraz pozostawieniu znaków w Schronie, dzięki którym moglibyśmy stwierdzić potencjalne zmiany w wypadku, gdyby kosmici zapragnęli nawiązać kontakt. Jeśli zagrażały nam potwory, do naszego obowiązku należało strzec domu i tropić jakąkolwiek anomalie: dźwięk, blask, obecność zjawisk nadnaturalnych albo ruchomej sylwetki, wszystko to, ma się rozumieć, bez cykora, trzymając na dystans panikę, aby ustrzec się przed piórową naganą. I zawsze, zawsze zjawiały się nie wiadomo skąd dzikie zwierzęta, setki diabolicznych, krwiożerczych stworów, którymi naszpikowana była przestrzeń posiadłości przez okrągły rok i niezależnie od kondycji lokatorów domu: wilki, żmije, gigantyczne tarantule, nietoperze wampiry, przepiórki tanecznicze robiące z jajek jajecznicę - tylko Rocco wierzył w ich istnienie, bo, jak mówił, jego ojciec upolował ich na pęczki - i coś w rodzaju yeti z czerwonymi oczami, które, zainspirowani pewną rodzinną anegdotą, nazywaliśmy Honorio i obdarzyliśmy obliczem monstrum straszącego w filmie z Christopherem Lee pod tytułem „Horror Express”, który zinterpretowaliśmy jako „Honorio w ekspresie”.

Misje trwały dokładnie tyle, ile nasze pozwolenie na przebywanie poza domem, które latem przedłużało się do zupełnego zmierzchu, jednakże zawsze kończyło się wcześniej, niżbyśmy sobie tego życzyli. Wyprawie kładł nieodwołalny kres głos mojej matki, która z tarasu wołała w stronę Bazy Obozowej: „Chłooopcyyy, do dooomuuu!”.

Odległość z Bazy do Schronu nie liczyła pewnie więcej niż piętnaście metrów, ale dla naszych krótkich nóg była to długa przeprawa. Po nastaniu godziny policyjnej matka gasiła lampy oświetlające tylną część ogrodu, abyśmy nie ociągali się zbytnio, i to była chwila, kiedy należało rozpocząć odwrót charakteryzujący się tym samym mechanizmem i tą samą makiaweliczną precyzją, co wypad w tamtą stronę, to znaczy unikając wilków, węży, przepiórek tanecznie robiących z jajek jajecznicę oraz Honoria, forsując żelazny parkan, krzaki, frunąc nad Przepaścią, spodziewając się w każdej sekundzie potencjalnego ataku Bestii pani Tellez, by dotrzeć w końcu do Bazy Obozowej, nie popełniając najdrobniejszego błędu i zachowując nasze operacje w najgłębszej tajemnicy. Nowy, absolutny sukces Czterech Piór i do zobaczenia podczas następnej misji. Zbliżając się do tarasu na tyłach Lux Domini przez okryty zmierzchem ogród pełen czarnych i złowrogich zakątków emitujących jeżące włosy na głowie szmery, czuliśmy, jak powoli spowija nas światło i pomruki znajomego, bezpiecznego, domowego ogniska, głosy babki i matki rozmawiających na sofie wystawionej na taras, rodzinne monologi telewizora błyskającego jakimś filmem lub skrótami meczów z mundialu w Argentynie, jedwabisty blask lamp, i dopiero wtedy wyrzucaliśmy z siebie wstrzymywane powietrze, oddychaliśmy spokojnie, nie zdradzając jednym gestem, że mimo obnoszenia się z naszym tatuażem sił specjalnych, w żadnym miejscu na świecie nie czuliśmy się tak mocarni i wyjątkowi, jak na kolanach mamy. Fermin, Nacho i Rocco całowali na dobranoc moją mamę i babkę, tarmosili głowę Stopięć, naszego bernardyna drzemiącego na brukowej kostce i zanim wrócili do swoich domów, musieli jeszcze zapłacić obowiązkowe myto polegające na wypiciu szklanki mleka, które przed udaniem się na spoczynek przygotowywał nam Vicente Asystent. Zostałem sam, sen nie nadchodził, kręciłem się więc to tu, to tam, łagodnie strofowany przez ojca wertującego sprawę z sądu w kącie salonu, którego oszklone drzwi otwarte były na oścież, na aromatyczną, letnią noc. Wchodziłem do salonu, rozprasząc ojca, i zaraz wychodziłem, skupiając roztargnienie matki i babki na mojej błędnej łązędze. Potem wchodziłem ponownie i znów wychodziłem, i tak kilka razy, aż w końcu przypomi-

nałem sobie, że jeszcze nie ucałowałem na dobranoc siostrzyczki Isabel śpiącej już jak aniołek w naszym pokoju. Wspinałem się więc po schodach na górę i na palcach podchodziłem do łóżeczka, aby złożyć pocałunek na jej zaróżowionym policzku smakującym brzoskwinia, zgarniając po drodze naręcze figurek lego, po czym schodziłem ponownie na taras, dysponując wystarczającym czasem, aby rozegrać średniowieczny turniej rycerski, zanim rozlegnie się kanonada prychnięć z rury wydechowej skutera vespino, własności mojego starszego brata, Carlosa, który posiadał glejt zezwalający mu na powrót do domu o dowolnej porze, byleby przed dwunastą, kiedy zapadała cisza nocna podczas naszych niekończących się kanikuł w Lux Domini.

Mogę zaręczyć, że dom ten nigdy nie tętnił tak życiem, co najmniej od śmierci mojej prababki Carmen. A wszystko to dzięki niej, Uke, która zdołała napęlić tę starą willę ludzką treścią, scaliła rodzinę, która w przeciwnym razie rozsypałaby się jak korale zerwanego naszyjnika. Dzięki niej trzymaliśmy się razem i odczuwaliśmy więź z ziemią, do której należeliśmy. Nie było to łatwe zadanie. Trzy dziesięciolecia zajęło jej wskrzeszenie tej pustej skorupy i przepojenie jej powietrzem, którym ludzkie istoty oddychały, dzięki któremu mówiły, śmiały się, płakały, dyszały, jęczały i ziewały. Trzy dziesięciolecia trudu i uporu, budowy marzeń, dla których warto było pracować i obstawać przy swoim, aby mieć przynajmniej możliwość rozpoczęcia od zera, odzyskania rzeczy takimi, jakimi były przed jej dobrowolnym wygnaniem. Aby tego dokonać, musiała przedtem zakończyć tamtą długą podróż rozpoczętą w Paryżu w 1931 roku.

Był nowy rok, a w takich momentach skłaniamy się zwykle do podejmowania zobowiązań. Uke dusiła się w bezimiennym paryskim tłumie i marzyła o tym, by znów napęlić płuca górskim powietrzem. Musiała tylko powiedzieć o tym ojcu w najmłodszej noc 1932 roku, w apartamencie na Montmartre. Zanim zdążyła wyłożyć mu do końca swoje argumenty, Fernando już był na nogach i pakował przenośną pracownię. Nie trzeba było uzasadnień, bicia się z myślami, dyskusji. Następnego ranka jak co dnia Fernando zszedł na plac, tym razem jednak, aby pożegnać się ze swymi nowymi przyjaciół-

mi, przekonany, że Le Roi został namierzony w swoim ustroniu przez hiszpańską prasę i że zmuszony jest zacierać za sobą ślady. Wzniesli toast za jego zapamiętałą pogoń za anonimowym obywatelstwem, gdziekolwiek będzie go szukać. Szuflada przepalonych lamp miasta światła, dzielnica Montmartre, była prawdopodobnie jedynym miejscem we Francji, gdzie król wzbudzał szacunek i podziw, nawet jeśli nim nie był.

Ten sam niezmordowany hispano-suiza, którym dotarli do Paryża, zawiózł ich teraz do Genewy, gdzie Fernando miał sprawy do załatwienia w swoim banku. Tamże czekała na nich odpowiedź na telegram, jaki wysłali Victorii, informując ją o swoich planach: siostra Uke powiła prześlicznego chłopczyka dwojga imion, Ínigo Felipe, który przyszedł na świat z czupryną odlaną ze stali. Dla złagodzenia traumy rozłąki w tak emocjonalnej chwili Uke i jej ojciec wyekspediowali do Neguri całą górę szwajcarskiej czekolady, chociaż uszczuploną o część, którą spałaszowali sami, aby osłodzić własną gorycz.

Z Genewy ruszyli w stronę gór, odwiedzili Chamonix, Zermatt, Sankt-Moritz i Cortinę d'Ampezzo, aż coraz bardziej okazały brzuch Uke i rozsądek kazały im się zatrzymać i uwić gniazdo. Wybrali Innsbruck, stolicę Tyrolu. Wynajęli tam mały domek w górach z długimi kwietnikami zawieszonymi na balustradzie drewnianej galeryjki. Za tymi kwietnikami, w pełnej odwilży końca wiosny narodził się Fernando Andres, mój ojciec. Dziadek Fernando płakał dwa razy. Po raz pierwszy, gdy się dowiedział, że wnuk będzie nosił jego imię, i po raz wtóry, kiedy ujrzał jego czerwone włosy. Zaoszczędził sobie trzeciego razu, bo na szczęście nie miał pojęcia, że św. Andrzej jest patronem Szkocji.

Gdy tylko mały Nando zaczął chodzić, otworzyli przed nim drzwi i wyprowadzili na miękki dywan alpejskich stoków. Wychodzili w trójkę skakać po górach. Fernando dźwigał malarski ekwipunek, Uke piknikowy kosz, mały Nando zaś potykał się podobny do miniaturowego zombi w tyrolskich porciętach. Uke zajmowała się domem i synem i brała lekcje niemieckiego, myśląc o znalezieniu jakiegoś zatrudnienia. Na czas pracy zostawiała Nanda pod opieką niani. Nie chciała być na utrzymaniu ojca. Odczuwała żywotną potrzebę

wniesienia swojego wkładu, choćby symbolicznego, w egzystencję tej niezwyklej, utworzonej na tyrolskiej obczyźnie rodziny, cokolwiek szkieletowej, ale o silnym kościecu.

Fernando zawarł korzystną umowę na sprzedaż swoich pejzaży w pewnej galerii przy Maria Theresien Strasse. Korzystną dla galerii, która inkasowała lwiał część wpływów. Fernando wiedział jednak, że teraz należało schować ambicje do kieszeni. Mieli jeden dziób więcej do wykarmienia i rozsądek podpowiadał, aby korzystać z zasobów wstrzeźliwie, jednak przede wszystkim należało zainwestować maksymalny wysiłek w uutorowanie sobie drogi przez towarzyski gąszcz, co w obcym, nieznanym kraju było podwójnie trudne. Niebawem, stwierdziwszy, że obrazy Fernanda wzbudzają zainteresowanie klientów, właściciel galerii zaoferował artyście bardziej przyzwoity układ w zamian za wyłączność na przyszłe prace. Z czasem Fernando zadzierzgnął przyjaźń z Imre Molnarem, właścicielem interesu, starym Żydem pochodzenia węgierskiego, małym człowieczkiem przypominającym artyleryjski pocisk. Fernanda i pana Molnara łączyła miłość do malarstwa i interesów, nikła sympatia do marksizmu oraz, na szczęście, wspólny, francuski język, w którym mogli ucinać sobie pogawędki.

Uke utrzymywała kontakt z Delseyem i Victorią. Rekonwalescencja barona przebiegała pomyślnie. Uke nigdy nie dowiedziała się, czy jej przyjaciel rzeczywiście cierpiał na jakąś chorobę wywołaną przeżytym szokiem emocjonalnym, czy była to jedynie przejaskrawiona manifestacja jego zmysłu teatralnego. W każdym razie listy z Francji emanowały optymizmem i nadzieją na powrót do Torrelodones, chociaż Delsey zaznaczał, że pod nieobecność jego przyjaciół trudno będzie o dawną atmosferę. Szukał w owym czasie lokum w Madrycie i załatwiał formalności przed rozpoczęciem studiów na Wydziale Filozofii Uniwersytetu Centralnego. Victoria, jedyny członek rodziny wykazujący zainteresowanie polityką, informowała ich regularnie o bieżącej sytuacji w Hiszpanii, która zgodnie z jej wersją nie napawała otuchą. Donosiła, że rząd socjalistów raził seriami radykalnych reform nie do przyjęcia, spychających do defensywy konserwatywną elitę, do której tradycyjnie zaliczała się rodzina Mencia. Rząd zrywał stosunki z Kościołem i elitami finansowymi,

co sprawiało, że rozdrażnienie armii sięgało zenitu. Uke i Fernando zawsze mieli cichą nadzieję, że wrócą do Hiszpanii, choć nigdy o tym nie mówili. Dobiegając wzrokiem ostatniej linijki kolejnego

listu Victorii, jedno z nich, jakby od niechcenia, rzuciło zapewne: „W tym stanie rzeczy nie ma co myśleć o powrocie”, na co drugie kiwało ze zrozumieniem głową. Uke jednak miała wrażenie, że te napomknienia były raczej pewną formą badania intencji niż skłanianiem deklaracji. Dystans i obojętność, z jaką oboje odnosili się do świata polityki, pozwalały im wyciągnąć wniosek, że ten idylliczny krajobraz Innsbrucku za oknem jest najspokojniejszym i najbardziej bezpiecznym zakątkiem na świecie i, co za tym idzie, najbardziej właściwym do wychowania małego człowieka.

To, co rzeczywiście działo się wówczas w Austrii, uzmysłowił Fernandowi pan Molnar, zanim jeszcze polityczne zawirowania dały się zauważyć gołym okiem na ulicy. Fernando odwiedzał go zwykle w galerii, gdzie gawędzili chwilę na temat sprzedaży oraz wystawionych nowości, po czym wychodzili razem na kawę do jednej z kawiarni przy Maria Theresien Strasse. Fernando zauważył, że pan Molnar zahaczał często o tematy ewolucji politycznej w Austrii i sytuacji swojego narodu, gminy żydowskiej, lecz robił to zawsze ściszym głosem, obserwując kątem oka sąsiednie stoły, i nigdy nie wgryzał się w meritum sprawy, ślizgając się jedynie po jej powierzchni. Dopiero wówczas gdy zyskał całkowitą pewność, że Fernando nie żywi wrogości w stosunku do jego rasy i religii, postanowił zdradzić mu swoje prawdziwe poglądy. Było to w końcu stycznia 1933 roku. Fernando i pan Molnar delektowali się właśnie swoją kawą, kiedy zgraja pija

nych osobników z opaskami ze swastyką wtargnęła do lokalu z dzikim wyciem, wywracając krzesła, zaczepiając kobiety i rycząc na całe gardło jakieś buńczuczne pieśni z wyprężonymi w górę ramionami. Kelnerzy z wymuszoną grzecznością usiłowali przywołać ich do porządku, ale rozbestwione indywidua zlekceważyły te zabiegi, odpowiadając na prośby i zaklinania niewybrednymi groźbami. Kiedy Fernando wykonał gest, jakby chciał powstać, pan Molnar chwycił go za ramię i pociągnął w dół. Kreatury wypily kolejkę na koszt firmy, po czym wytoczyły się na ulicę i wtedy pan Molnar szepnął Fernandowi do ucha, że Adolf Hitler, lider Narodowosocjalistycznej

Niemieckiej Partii Robotników został mianowany kanclerzem Niemiec i że fakt ten rozzuchwiał jego austriackich wyznawców. Dla przybysza z dalekiej Hiszpanii ekscesy te miały wymiar miejscowego, niezrozumiałego folkloru, jednak pan Molnar wyjaśnił, że naziści nienawidzą Żydów oraz wszystkich obcokrajowców i że chcą przyłączyć Austrię do Niemiec i zaprowadzić rządu terroru. Od tamtego incydentu pan Molnar informował Fernanda o najświeższych doniesieniach ze sceny politycznej i w zależności od jego oceny sytuacji Fernando to uspokajał się, interpretując powyższe w rozmowie z Uke jako dowód niezwykle trafnej decyzji zamieszkania w Innsbrucku, to zwyczajnie unikał drażliwego tematu, odpowiadając na dociekliwe zapytania córki fingowanym optymizmem i tak szybko, jak tylko się dało, kierował temat rozmowy na ślicznego, silnego i rosnącego jak na drożdżach Nanda.

W ciągu następnego miesiąca pan Molnar zdawał się zadowolony z obrotu spraw. Kanclerz Dollfuss objął ster rządów w kraju, zdelegalizował partię nazistowską i paramilitarną organizację austriackich socjaldemokratów Schutzbund oraz zaprowadził system totalitarny pod egidą macierzystej formacji politycznej, Vaterlandische Front. Pan Molnar oświecił Fernanda, że wszystkie te kroki były dobre i nieodzowne i tylko ich poczynienie mogło powstrzymać postęp nazistów i komunistów, a także zachować Austrię wolną i niezależną pod protektoratem Mussoliniego. Obóz Dollfussa nie darzył sympatią Żydów, ale tolerował ich, jeśli tylko nie demonstrowali zbyt ostentacyjnie swojej religii i nie usiłowali mieszać się do polityki. Tłumaczył, że dla słabego rządu Dollfussa odrzucenie antysemityzmu było praktyczną koniecznością, sposobem na identyfikację prawdziwych sprzymierzeńców i na utrzymanie społeczeństwa z dala od rosnącej fali nazizmu, gdyby bowiem obie partie odezwały się jednym głosem w swoich ideologicznych postulatach, nazistowska demagogia powiewająca sztandarem idei Wielkich Niemiec uwiodłaby z łatwością austriackie sumienia. W związku z całym tym politycznym fermentem Fernandem targał coraz większy niepokój, ale pan Molnar przekonywał, że dopóki Dollfuss jest przy władzy, dopóty oni, katolicy, nie mają się czego obawiać, pod rządami nazistów zaś nikt nie zna dnia ani godziny. Ludzie bali się i z powodu stra-

chu pan Molnar stracił wielu stałych klientów, którzy od triumfu Hitlera przestali zaglądać do galerii.

Pewnego dnia, w lutym 1934 roku Fernando zastał pana Molnara bardzo wystraszonego. Właściciel galerii poradził przyjacielowi, by wracał czym prędzej do domu i nie wyściubiał nosa za próg, dopóki nie upewni się, że na ulicach panuje spokój. W Wiedniu doszło do gwałtownych starć między Heimwehr, paramilitarną strażą nacjonalistów wkomponowaną w reżim Vaterlandische Front oraz działającą w ukryciu socjaldemokratyczną Schutzbund. Fernando starał się za wszelką cenę ukryć złe wieści przed Uke, udał więc chorobę, która miała rzekomo zwalić go z nóg na kilka dni. Musiał wszakże wyznać prawdę wobec stwierdzenia córki, że w takim razie będą musieli w ciągu dnia zatrudnić pielęgniarkę, ona bowiem postanowiła poprosić pana Molnara o pracę w galerii. Nando skończył dwa lata i Uke udało się znaleźć godną zaufania niańkę; ponadto posługiwała się już niemieckim na tyle dobrze, by dać sobie radę z obsługą klientów. Przyparty do muru Fernando przyznał się do symulowanej niedyspozycji. Lecz gdy tylko sytuacja w Wiedniu wróciła do normy, Uke dopięła swego i podjęła pracę. Pan Molnar przyjął ją z otwartymi ramionami. Nie mógł płacić zbyt wiele, ale dla Uke ważna była nie tyle wysokość wynagrodzenia, ile satysfakcja, że może coś robić i partycypować w utrzymaniu rodziny. Jeśli Fernando nie wychodził w góry malować, jedli w trójkę obiad i potem Uke wracała do galerii, zostawiając dziadka i wnuka gaworzących o swoich sprawach.

Pewnego ranka weszła do galerii i zastała pana Molnara wyjątkowo zdenerwowanego. Krążył bez celu, kiwając się na wszystkie strony jak bańka wstańka małym ciałkiem przypominającym pocisk. Drżącym głosem poprosił Uke, aby wróciła do domu, ponieważ tego dnia sklep miał być zamknięty. Kiedy dziewczyna zapytała o przyczynę, starszek odparł, że w Wiedniu nazistowscy bojówkarze przebrani w mundury austriackiej armii zamordowali kanclerza Dollfussa. Rabin Rimalt przekazał mu alarmującą wieść, że być może rząd znajduje się już w rękach nazistów, co dla Żydów mieszkających w Austrii byłoby strasliwym sygnałem. Jak się później okazało, na szczęście do tego nie doszło dzięki interwencji Mussoliniego, który

wystąpił w roli protektora. Niemniej jednak kilka miesięcy później pan Molnar skarżył się, że następca Dollfussa, Schuschnigg, ustępuje pod presją antysemitów, zaciskając pierścień wokół Żydów.

Więści z Hiszpanii również nie nastrajały optymistycznie. Victoria donosiła, że prawica wróciła ponownie do władzy i usiłowała powstrzymać dryf w stronę bolszewizmu, jaki dokonał się w ciągu ostatnich lat, lecz zamiast ostudzić rozpetane namiętności, próby powściągnięcia przemian rozwścieczyły komunistów marzących o gruntownej transformacji. Armia stłumiła bezwzględnie wiele rewolt. Gdy temperatura konfrontacji podniosła się niebezpiecznie, Victoria napisała, że postanowiła zainstalować w Lux Domini stałego dozorcę, aby ustrzec dom od potencjalnych grabieży, gdyby w okolicy wybuchły zamieszki. Było to uzasadnienie dawno już podjętej, bo tuż po wyjeździe Uke i jej ojca, decyzji. Później donosiła, że w wyborach zwyciężyła koalicja skrajnej lewicy o nazwie Front Ludowy. Mówiła, że ci sami, którzy wypędzili króla, wyrugowali też stworzoną przez siebie republikę. Victoria wraz z rodziną postanowiła wyjechać do Estorilu. Kilka miesięcy później Uke i Fernando otrzymali od Victorii list z portugalskim znaczkiem. List zaczynał się tak:

Drodzy moi ojczycie i siostry,
mam nadzieję, że ostatnie wydarzenia odbiły się dostatecznie silnym echem i wiecie już, co się stało, zwalniając mnie tym samym z okrutnej misji obwieszczenia wam tej bolesnej nowiny.

Armia powstała w Afryce i czerwony rząd odmówił oddania władzy.

W Hiszpanii wybuchła wojna.

Wojna! Tamtej nocy Uke i Fernando przeczytali ów list wielokrotnie, aż w końcu nauczyli się jego słów na pamięć, usiłując wyluskać spomiędzy wierszy jakiś promyk nadziei, interpretację, która stępiłaby krańcową brutalność słowa „wojna”. Nie znaleźli jej. Wiele lat później Uke wciąż miała żywo w pamięci, jak mały Nando wbiegł wówczas do salonu alpejskiego domku z płaczem, że wykoleił mu się pociąg. Zdziwił się, gdy zobaczył, że jego matka i dziadek płaczą jak on. Im także wykoleił się pociąg.

Zbrukany biały kwiat

Z tego, co zdołałem się dowiedzieć, w latach pobytu w Austrii Uke nie napisała do Hamisha ani razu. Victoria, która do czasu ucieczki do Estorilu odwiedzała regularnie Torrelodones, również nie wspominała, by przysłała od niego jakaś poczta. Kiedy w Hiszpanii wybuchła wojna, Uke wysłała do Delseya list, relacjonując mu przygnębiającą sekwencję zdarzeń.

Któregoś jesiennego, piątkowego popołudnia roku 1936 Uke czytała odpowiedź Delseya w galerii pana Molnara. Z akapitów rozbrzmiewał lament chóru greckiej tragedii. Wydarzenia w Hiszpanii oznaczały dla Delseya o wiele więcej niż tylko zmianę planów. W poprzednich latach opóźniał swój wyjazd do Madrytu, czekając, aż ustanie polityczna zawierucha, lecz wojna była potwierdzeniem tragicznego przeznaczenia, wyrokiem skazującym go na odosobnienie w murach wersalskiego zamku, w szponach gargulcowych ciotek. Lekturę przerwał dziewczynie pan Molnar.

- Idź do domu.

Była to ostateczna kapitulacja wobec faktu, którego właściciel galerii i jego pracownica długo nie chcieli uznać, uciekając w ciągłą się całymi dniami inwentaryzację, sprawdzanie rachunków i nieustanne przewieszanie obrazów, ażeby tylko czymś się zająć i nie myśleć o tym, co dzieje się za drzwiami: w ciągu ostatnich dwóch tygodni do sklepu nie wszedł ani jeden klient. Nazwa lokalu, Edelweiss, nie zdradzała pochodzenia właściciela, a klienci

obsługiwani byli przez Uke, choć cudzoziemkę, poprawnie jednak władającą niemieckim i w dodatku legitymującą się istic aryjskimi rysami. W miesiącach letnich Innsbruck pękał w szwach od turystów i wielu z nich przelewało się przez galerię, unosząc zakupione na fali zachwyty dzieła, inni zachodzili, żeby rzucić okiem. Jednak wraz z zakończeniem sezonu w mieście pozostawali jedynie stali mieszkańcy. W takich zaś, jak ta sprawach, wieść niosła się z prędkością dźwięku. Galeria była żydowskim geszeftem. Wiedział o tym cały Innsbruck.

- Jest pan pewien, że nie będzie mnie już potrzebował?
- Zrobiłaś wystarczająco dużo. Jeśli zabłąka się tu jakiś klient, w nagrodę otrzyma ode mnie obraz za darmo.
- Proszę nie zostawać zbyt długo.
- Nie, dzisiaj przecież piątek. Zaczyna się szabat. Zamknę przed zachodem słońca.
- To prawda, zawsze zapominam.

Uke pozbierała swoje rzeczy, objęła pana Molnara, wycisnęła pocałunek na jego kulistej łysinie i wyszła. O świcie następnego dnia dzwoniący jak na trwogę telefon obudził ojca i córkę. W słuchawce odezwał się po niemiecku jakiś dziewczęcy, niezwykle przejęty głos. Fernando nie rozumiał ani słowa, oddał więc słuchawkę Uke. Chaotycznymi, urywanymi zdaniami kobieta powiedziała, że pan Molnar jest ranny, że pilnie musi go obejrzeć lekarz i że on sam dał jej ten numer telefonu, telefonu, jak powiedział, jego przyjaciela lekarza. Strwożony i nic nierozumiejący Fernando porwał domową apteczkę i wraz z Uke popędzili na Maria Theresien Strasse.

Drzwi galerii otwarte były na oścież. Obraz, który ujrzeli, wstrząsnął nimi do głębi. Wnętrze wyglądało tak, jakby rozegrała się w nim regularna bitwa: połamane krzesła, pogruchotane regały, powywracane stoły, sterty walających się wszędzie dokumentów, kawałki drewna z potrzaskanych obrazów, porozdzierane płótna, odłamki potłuczonego szkła zaścielające podłogę. Na ścianach uchowało się kilka malowideł powykręcanych w grymasie smutku, rozpaczliwie uczepionych jednym rogiem pozostającego przy życiu haka. Żaden z nich jednak nie oparł się dewastatorskiej sile. Wszystkie sprofanowano słowami nienawiści wyrzeczanej czarnymi i czerw-

nymi razami grubego pędzla. HEIL HITLER. JUDISCHE KUNST. SCHWEIN. EIN VOLKEIN REICH EIN FUHRER. ANSCHLUH!!!*.

Na jednym z obrazów widniał autograf sprawców tego barbarzyństwa: swastyka na tle napisu NSDAP i VS, skrótów nazwy nazi-stowskiej partii i Vaterlandischer Schutzbund, zdelegalizowanego, austriackiego odpowiednika niemieckich SA.

Na ten apokaliptyczny widok Uke i Fernando wybuchnęli płaczem. Przeskakując po trzy stopnie naraz, wbiegli na pięterko, gdzie mieszkał samotnie pan Molnar. Wszedłszy do pokoju, ujrzeni mężczyzną stojącego w kącie, który miętosił w rękach czapkę i z trudem powstrzymywał łzy. Na brzegu łóżka siedziała dziewczyna w wieku Uke, szlochając i ściskając w swych dłoniach dłoń pana Molnara, nakrytego po same uszy, jak chora myszka, którą dziecko troskliwie układa w pudełku od zapalek. Z jego skroni sączyła się krew, miał zapuchnięte oczy i poranione policzki. Na jego twarzy nie było nawet skrawka, który zachowywał naturalny kolor. Fernando zrozumiał, że nie pora teraz na zadawanie pytań i rzucił się na pomoc przyjacielowi. Był świadom, że w podobnych wypadkach słabość lub wahanie mogą być bardziej szkodliwe niż lichy sprzęt medyczny i zardzewiała lekarska wiedza. Z pomocą Uke poprosił dziewczynę o miednicę z letnią wodą, czyste ręczniki, zapalki, jakiś metalowy pojemnik, igłę i nici. Zabrał się do opatrywania ran i z każdym zwilżeniem ręcznika woda w miednicy nabierała coraz to ciemniejszej, czerwonej barwy. Nieszczęsny pan Molnar dzielnie znosił fastrygowanie ran bez znieczulenia i nie wyemitował ani jednego dźwięku, nie pisnął jednego słowa. Uke pomyślała, że ból ten bez wątpienia musiał być dla niego bólem oczyszczającym z zadanego mu w nocy upadającego cierpienia. Zakończywszy opatrywanie twarzy, Fernando poprosił kobiety o opuszczenie pokoju, gdyż chciał obejrzeć resztę ciała rannego. Odrzucił prześcieradło i poprosił na migi młodego człowieka o pomoc w odwróceniu pana Molnara. Na szczęście staruszek miał tylko poranione dłonie. Reszta wyglądała jak mapa klimatyczna pokryta niebiesko-fioletowymi i żółtawymi

Heil Hitler. Żydowska sztuka. Świnia. Jeden naród, jedna Rzesza, jeden wódz. Anszlus!

siniakami, będącymi najwyraźniej rezultatem bestialskich kopniaków i razów zadanych pałką. Zdawało się, że nie miał złamań ani głębokich ran, chociaż Fernando mógł jedynie dokonać powierzchownych oględzin.

Czekając za drzwiami, Uke przedstawiła się dziewczynie, która powiedziała, że nazywa się Anna i jest kuzynką pana Molnara. Młodzieniec pomagający Fernandowi, Johann, był jej mężem. Zdumiona Uke wyznała, że nie wiedziała, że pan Molnar ma jakichś krewnych, że znają się już cztery lata i nigdy nie wspomniał słowem o swojej rodzinie. Anna odparła, że po śmierci jej ojca, brata pana Molnara, jest jedyną krewną stryja. Zawstydzona spuściła wzrok i szepnęła, że jej mąż jest katolikiem, a jego rodzina wyraziła zgodę na małżeństwo pod warunkiem, że odbędzie się według obrządku katolickiego i że ona wyrzeknie się swojej religii i rodziny. Zmuszona przyjąć to ultimatum ograniczyła spotkania ze stryjem do sporadycznych, ukradkowych wizyt. Johann jest dobrym człowiekiem, mówiła, szanuje bardzo jej stryja i jest oburzony prześladowaniem Żydów. Ostatnio stryj opowiadał im o swoich hiszpańskich przyjaciółach i Anna zapamiętała z jednej z rozmów wzmiankę o tym, że Fernando jest lekarzem. Kiedy jednak znaleźli pana Molnara w tym stanie, ten upierał się, by ich nie zawiadamiać, nie chcąc im sprawiać kłopotu. Anna zmusiła go niemal siłą, aby podał jej numer telefonu Fernanda. Powiedziała, że jest im niezmiernie wdzięczna za to, że zjawili się tak szybko i że odczuwa straszny wstyd, że nie poświęciła należytej uwagi ostatniemu krewniakowi ze strony ojca. Uke pogładziła dziewczynę po policzku, starając się ją pocieszyć.

W końcu Fernando wyjrzał za drzwi i poprosił je do środka. Uke przedstawiła wszystkich i przetłumaczyła na niemiecki diagnozę ojca: obrażenia na ciele nie wydawały się groźne. Opatrzył pacjentowi rany cięte i zaaplikował maść na siniaki. Zapewnił, że może wrócić po południu lepiej zaopatrzony w medykamenty, żeby skontrolować stan chorego, byłoby jednak rozsądniej, gdyby pan Molnar udał się do szpitala, aby wykluczyć możliwość wewnętrznych obrażeń. Rozmowę przeciął nagle słaby, chrapliwy głos. Pan Molnar, który do tej pory zachowywał całkowite milczenie, zdając się pogrążony w myślach, za wszelką cenę usiłował się podnieść,

pojękując po niemiecku: „Szpital nie, szpital nie, nie chcą Żydów, nie chcą Żydów”. Fernando pośpieszył uspokoić go i łagodnym tonem poprosił, żeby się nie ruszał. Pan Molnar szepnął wówczas po niemiecku: „Dziękuję, przyjacielu”. Fernando nie potrzebował tłumaczenia. Odpowiedział po francusku, że ma teraz odpoczywać, ale staruszką owładnęło jakieś niezwykle podniecenie. Nie poruszając niemal obrzękniętymi wargami, mruzczał coś niewyraźnie, prawie na bezdechu, wplatając dziwnie brzmiące zdania, zapewne w języku węgierskim. Mówił, że chce opowiedzieć o tym, co się wydarzyło, że gdyby on z jakiegoś względu zapomniał, ktoś musi o tym pamiętać. Fernando starał się go uspokoić, jednak ranny trwał w swoim uporze. W końcu Uke i Anna usiadły po obu stronach łóżka u jego wezglowia, ujęły dłonie pana Molnara i pozwoliły, by wątył charkot dobywający się ze ściśniętej cierpieniem krtani opisał straszliwe doświadczenie. Uke tłumaczyła jego słowa ojcu. - Wczoraj. Wczoraj po południu. Wczoraj po południu. Galeria już nie... nie ma klientów. Już nie ma klientów. Poprosiłem Uke... żeby poszła do domu. Żeby poszła do domu. Chciałem zamknąć wcześniej i iść na górę... zacząć szabat. Pomyślałem wówczas... pomyślałem... - To musi być po madziarsku, nie rozumiem. - Uke spojrzała pytająco na Annę, która przetłumaczyła na niemiecki tylko dwa słowa: „to koniec”. Powtórzył raz jeszcze. - W Austrii nie ma już miejsca dla Żydów. Austria nie kocha swoich żydowskich synów. MÓJ SYN!... - Uke wymówiła te słowa z wielkim zdumieniem i jej wzrok podążył za uniesionym palcem pana Molnara. Do tej pory nie zwróciła na nie uwagi, ale na stoliku nocnym znajdowały się dwa zdjęcia w ramach. Z jednego z nich uśmiechała się kobieta o perkatym nosie, kwadratowej szczęce i ciemnych kędziorach. Na drugim widniał młodzieniec w wojskowym mundurze z przypiętymi na piersi odznaczeniami. Uke i jej ojciec spojrzeli na siebie zaskoczeni. - Mój syn Friedrich był... AUSTRIACKIM bohaterem. AUSTRIACKIM bohaterem. Urodził się w Austrii. Walczył za cesarza. Zginął za cesarza. Ale Austriacy już go nie kochają. Zapomnieli o swoich bohaterach. Zapomnieli o moim synu. Oni... oni... - Nie rozumiem. - Uke ponownie odszukała wzrokiem oczy Anny, jednak tym razem kuzynka pana Molnara zarumieniła się i odmówiła prze-

tłumaczenia niezrozumiałych słów - ...na pamięć o moim synu. Mój syn był... austriackim żołnierzem... austriackim patriotą... austriackim bohaterem... Pomyślałem... Pomyślałem... To już koniec galerii Edelweiss. Austria nie kocha nas, mój synu. Nie kocha nas. I ja nie kocham już Austrii. Wyjeżdżam. Wyjeżdżam, zabierając z sobą pamięć o moim synu. Tam, gdzie szanuje się wojennych bohaterów. Do Szwajcarii. Do Francji. Byłem... zapomniałem zamknąć drzwi. Byłem przybity. Smutny. Siedziałem na zapleczu. Zmierzchało się. Rozległ się dzwonek u drzwi. Było późno. Zapomniałem zamknąć. Było bardzo późno i już zaczął się szabat. Wyszedłem z zaplecza i powiedziałem... i powiedziałem... Przykro mi. Proszę pana. Już zamknięte. I zobaczyłem ich. Było ich trzech. Młodzi. Mieli... sprawiali wrażenie dżentelmenów. Dobrze ubrani. Eleganckie płaszcze. Powtórzyłem. Przykro mi. Panowie. Już zamknięte. Nie słuchali. Nie odezwali się słowem. Weszli. Obrzucili spojrzeniem obrazy. Jeden z nich opuścił żaluzje. Inny zdjął obraz. Poprosiłem, żeby tego nie robił. Że jeśli jest nim zainteresowany. Ja go zdejmę. Aby mógł. Obejrzeć go z bliska. Wtenczas powiedział... powiedział... - Pan Molnar zaniósł się urywanym szlochem, usiłując wydrzeć oddechowi dźwięki, które pozwoliłyby mu kontynuować relację. Uke i Anna ścisnęły jego dłonie, jakby przez dotyk chciały dokonać transfuzji potrzebnej mu do narracji siły. - On powiedział. Czy naprawdę myślisz, że mogłaby mnie interesować żydowska sztuka. Jakiś gówniany obraz nabazgrany przez... żydowskie ścierwo. Poznałem po jego głosie, że jest pijany. Wystraszyłem się. Bardzo się wystraszyłem. Chciałem tylko, żeby sobie poszli. Żeby sobie poszli, żeby sobie poszli, żeby sobie poszli. Odpowiedziałem... Ja bardzo proszę. Niech pan weźmie ten obraz, jeśli pan chce. Może go pan zabrać. Nie musi pan za niego płacić. Proszę go wziąć. Wówczas... wówczas... Parsknął śmiechem. Zaczął rechotać na całe gardło. Powiedział... Płacić za obraz. Myślisz, że ktoś mógłby ci zapłacić... za bohomy jakiegoś parszywego Żydowiny. I cisnął obrazem o przeciwległą ścianę. Pozostali ryknęli szyderczym rechotem. Błagałem go. Żeby sobie poszli, bardzo proszę. Żeby sobie poszli, bardzo proszę. Odezwał się drugi. Przyozdobimy jakimś aryjskim ornamentem... twoje zasrane, żydowskie gryzmoły. Ściągnęli płaszcze. Odchylili...

klapy marynarek. Mieli wpięte... wszyscy trzej mieli wpięte nazi-
stowskie odznaki... ukryte... pod klapami. Zaczęli... zrywać obra-
zy... rzucać je na podłogę. Ciskać krzesłami w obrazy. Chciałem
im w tym przeszkodzić. Uderzyli mnie. Uderzyli mnie. W żołądek.
Nie mogłem oddychać. Upadłem na podłogę. Zaczęli mnie kopać.
Pociągnął mi głowę do góry... szarpiąc za ucho. Rzekł... Masz farbę...
pokażemy ci... co to jest niemiecka sztuka. Inny wyszedł z zaplecza.
Z puszkami farby i pędzlami. Drugi wyciągnął zza pazuchy... pałkę.
Bił mnie. W głowę. W plecy. W ramiona. W nogi. Pozostali śpiewali.
Śpiewali i malowali po obrazach. Ja wykrztusiłem. Nie, błagam.
Nie, błagam. Niech panowie nie niszczą obrazów. Niech je pano-
wie zabiorą. Kosztują dużo pieniędzy. Niech je panowie zabiorą.
Niech je panowie zabiorą. Nie mogłem. Prawie nie mogłem mówić.
Śpiewali bardzo głośno. Jeden z nich zdarł ze ściany obraz. Rzucił
go na podłogę. Wysikał się... wysikał się... na obraz. Potem... potem...
odwrócił się w moją stronę. Zrujnowali wszystko. Wszystko. Bili mnie,
wciąż mnie bili. - Uke ledwie mogła tłumaczyć, połykając łzy. Anna
płakała również. Fernando i Johann znieruchomieli, sparaliżowani
przerażeniem. - Dosyć, błagam, dosyć, błagam, dosyć, błagam. Ale
nie. Bili mnie. Bili mnie. Wtedy jeden powiedział. Czy dzisiaj czasem
nie jest dzień odpoczynku... dla tych świń. Chwycili mnie za ręce
i podnieśli z podłogi. Jeden przyniósł... miotłę z zaplecza. Zamiataj.
Świnio. Zamiataj. Dzisiaj twoje święto. Zamiataj. Świnio. Zamiataj.
Zmusili mnie... do zamiatania podłogi. Spluwali. Sikali. Rozlewali
farbę. Zamiataj. Świnio. Zamiataj. Zamiatałem. Pogwałciłem szabat.
Zmusili mnie... bym pogwałcił szabat. Śmiali się. Zamiataj. Świnio.
Uczepiłem się miotły. Upadłem na podłogę. Ich szef powiedział.
Jeden dzień więcej, jednego parcha mniej. Wyciągnął pistolet. Byłem
przekonany, że umrę. I wtedy. Wtedy. Wtedy... ponownie ozwał
się dzwonek. Podniosłem głowę. Dwóch mężczyzn. Mieli opas-
ki. Na rękawach płaszczy. Z flagą. I z *Kruckenkreuz*. Ubrani byli
po cywilnemu. Mieli. Strzelby na plecach. Jeden z nich zawołał. CO
TU SIĘ DZIEJE. Stać. Naziści znieruchomieli. Ci nowi wycelowali
w nich lufy strzelb. Jeden z nazistów rzucił. O co chodzi. Już się
zjawili obrońcy. Żydów. Rząd. Sprzedany. Żydom. Tamci trzymali
ich cały czas na muszce. Podchodzili bliżej. Zapytali mnie. Jest

pan Żydem. Odparłem. Jestem austriackim kupcem. I PATRIOTĄ. Mój syn. Mój syn. Walczył za Austrię. Podczas wojny. Oddał życie za Austrię. Wysupiałem z marynarki. Zawsze noszę w kieszeni marynarki. Fotografie mojego syna. I jego medal za męstwo. Pokazałem im to. Jeden wziął ode mnie zdjęcie i medal. Popatrzył. I oddał mi. Zwrócił się do kolegi. Ten człowiek jest patriotą. Wówczas wydarł się na tamtych trzech. Jesteście aresztowani. W imieniu straży obywatelskiej. W imieniu Frontu Ojczyźnianego. Rzuć broń. Drugi strażnik podniósł pistolet. Ale tamtych było trzech. Rozdzielili się. Nie odważyli się strzelać. Rozgorzała walka. Broń upadła na podłogę. Przewracali krzesła. Rozbijali szyby. Zdemolowali wszystko. Ja nie mogłem się poruszyć. Ale patrzyłem. Patrzyłem z podłogi. Krew zalewała mi oczy. Straszliwy rumor. Straszliwy hałas. Jeden z nazistów zawołał. Chodu. Wybiegli pędem. Usłyszałem, jak któryś krzyknął na odchodne. Będziecie stąd zmiatać wszyscy jak szczury. Albo zdychać jak szczury. Uciekli. Uciekli. Wtedy. Wtedy. Jeden ze strażników pochylił się nade mną. I wtedy wycedził. Wycedził... - Głos pana Molnara ponownie utonął w spazmatycznym szlochu. - Wycedził... Przekłęci Żydzi. Czemu raz na zawsze nie znikniecie z naszej Austrii. Przysparzacie nam tylko problemów. Ten drugi powiedział. Powinniśmy zabrać go. Do szpitala. To patriota. Ale tamten, nie. Idziemy. Zajmą się nim. Jego pobratymcy. Niech oni go zabiorą. Jego pobratymcy. Jeśli tu zostaniemy... będziemy musieli się tłumaczyć. Mnóstwo papierkowej roboty. I poszli. Ja zostałem tam. Zostałem sam. Na podłodze. Krwawiłem. Chciało mi się pić. Było mi zimno. Bardzo mnie bolało. Nie mogłem się poruszyć. Leżałem tak bardzo długo. Potem zacząłem czołgać się. Czołgałem się. W rozbitym szkłe. Farbie. Urynie. We własnej krwi. Doczołgałem się do stołu. Zadzwoniłem do Anny. Przyjdź, błagam. Przyjdź, błagam. Zabili mnie. Zabili mnie. Zabili mnie...

Uke pogładziła jego małą łysinę przypominającą kulę zapomnianą na polu bitwy starej i przegranej wojny, o której nikt nie chce pamiętać, lub nowej wojny skazanej na klęskę, o której wszyscy zapomną zbyt łatwo: „Niech pan teraz postara się zasnąć. Proszę odpocząć”. Anna płakała. Fernando i Johann wstrzymali oddech, aż ich płuca zaczęły domagać się rozpaczliwie powietrza. Uke i jej

ojciec pożegnali się. Obiecali wrócić po południu, aby skontrolować stan pacjenta. Wyszli na ulicę i zanurzyli się w kryształowym, czystym powietrzu jesiennego poranka. Innsbruck budził się ze snu lekkim stukotem obcasów na chodnikach, tramwajami prasującymi delikatną koronkę szronu oplatającego szyny, dżentelmenami przeglądającymi gazety w kawiarniach i zapalającymi fajki nabite miękkim i aromatycznym tytoniem, wywijaniem rączyn dziatwy zdążającej ze swymi matkami na rynek lub do gabinetu lekarskiego, albo na dworzec kolejowy, śpiesząc przywitać ojca wracającego z pracy, lub z wizytą do babki, wyniosłej arystokratki czekającej z gorącą czekoladą i biszkoptami. Poranek ten przypominał zwykłą sobotę, jakich wiele, ale nic już nie było takie jak kiedyś. Owej nocy pierzchło wiele złudzeń. W drodze powrotnej do domu Uke i Fernando nie zamienili z sobą ani słowa. Oboje modlili się, żeby pan Molnar miał spokojny i głęboki sen i żeby w tym śnie mógł wyjść na ulicę w jesienny, pogodny, sobotni poranek, odetchnąć zapachem niepokalanego śniegu otulającego góry, kupić gazetę upstrzoną świeżą farbą i usiąść w kawiarnianym ogródku, aby uciąć sobie pogawędkę z młodzieńcem odzianym w nienaganny, wojskowy mundur udekorowany wypolerowanymi, lśniącoymi w słońcu orderami.

W następnych dniach Uke i Fernando wizytowali rano i po południu pana Molnara. Anna i Johann postanowili zostawać na noc, dopóki stryj nie wydobrzeje. Znajdująca się na parterze domu galeria była już tylko tragicznym wspomnieniem obróconego w ruinę minionego życia, podeptanego marzenia. Obie dziewczyny zajęły się uprzątnięciem szczątków i ocaleniem tego, co można było jeszcze ocalić, zaledwie cztery czy pięć płócien przechowywanych na zapleczu w oczekiwaniu na wolne miejsce na ekspozycji, które ocalały z pożogi szyderstwa. Nikt nie zainteresował się tym, co się stało, nie pojawił się żaden przedstawiciel władzy. Ani policja, ani Heimwehr, ani cywilni ochotnicy. Przechodnie snuli się po zatłoczonej Maria Theresien Strasse powolnym krokiem, przyglądając się sklepowym witrynom, kiedy jednak dochodzili na wysokość galerii Edelweiss, wydłużali krok i patrzyli na drugą stronę ulicy albo w oczy towarzyszącej im osoby. Uke i Anna gotowe były pomyśleć, że stały się niewidzialne, gdyby nie to, że niestety chodziło o coś wręcz odwrotnego. Ich obecność

tam napiętnowała je i miała obrócić się przeciwko nim w przyszłości. Chociaż były tylko nawróconą na katolicyzm Węgierką i Hiszpanką katoliczką, w unikających tego fragmentu fasady lekliwych oczach od tamtej pory obie uchodziły już za Żydówki.

- Dłużej już tego nie zniosę. Wyjeżdżam. - Leżąc na boku po zmianie opatrunków i sącząc z kubka rosół, pan Molnar rozmawiał z Fernandem. Wszyscy siedzieli w półkolu przy łóżku, z wyjątkiem Johanna, który jak zwykle stał z tyłu, gniotąc w rękach czapkę. Głos pana Molnara brzmiał nadzwyczaj mocno i zdecydowanie, jeśli wziąć pod uwagę niedawne przejścia. - Zrobiłem już dosyć dla tego kraju. Oddałem mu swoje życie. I życie syna. I nie otrzymałem nic w zamian. Nic. Mój interes bezpowrotnie zrujnowany. I jestem już zbyt słaby, żeby znosić te spojrzenia. Tę pogardę. Z godnego szacunku starca przeistoczyłem się w pariasa. Mój przyjacielu, jestem już za stary, żeby z tym walczyć.

- Imre, w tym stanie nie może pan podróżować. Proszę się jeszcze wstrzymać, aż wróci pan do całkowitego zdrowia. Jestem do pańskiej dyspozycji i za dwa miesiące, jeśli pan zechce, będzie pan mógł wybrać się do Szwajcarii nawet na piechotę. Pańskie zdrowie wynagrodzi panu tę dwumiesięczną zwłokę.

- Rabin Rimalt uważa, że sytuacja jest krytyczna. Kanclerz Schuschnigg ugina się pod presją Hitlera. Słyszeć coraz głośniejsze głosy o możliwości ogłoszenia amnestii i zalegalizowaniu partii nazistów. Jeśli tak się stanie, jesteśmy zgubieni. W przeciągu kilku godzin usłyszymy chrzęst gąsienic niemieckich czołgów na ulicach Innsbrucka. I wtedy nie będzie już żadnych szans na ucieczkę. Proszę się nie trapić, nie wybieram się w podróż w pojedynkę. Anna i Johann chcą jechać ze mną lub raczej dźwigać na barkach tego nieszczęsnego starca. Oni są młodzi. Nie chcą żyć i wychowywać dzieci w kraju objętym permanentnym stanem wojny. Coś panu powiem. Kiedy straciłem syna, musiałem pogodzić się z myślą, że wraz z moją śmiercią mój ród wygaśnie. Teraz kiełkuje mi pod sercem nowa nadzieja. Odzyskałem bratanicę, ostatnią z mojej krwi, a Johann jest dobrym chłopcem. Obiecują nawet, że ich dzieci zachowają nazwisko Molnar! Teraz ta rodzina ma przed sobą przyszłość. Lecz nie tutaj. Nie tutaj.

- Imre... - Fernando zawahał się przez ułamek sekundy. - Przez te wszystkie lata nigdy nie wspominał pan o swojej rodzinie. Byłem niezwykle zaskoczony, kiedy dowiedziałem się, że miał pan syna. Jego śmierć musiała być dla pana nieludzkim cierpieniem. Nie potrafiłbym sobie wyobrazić...

- Nie istnieje słowo, które mogłoby opisać ból po stracie dziecka. Być może dlatego nigdy o tym nie mówię. Bo nie istnieją słowa zdolne wyrazić tę rozpacz. Proszę mi wybaczyć, że unikałem tego tematu i nie interpretowałem tego jako niegrzeczność. - Zamilkł na chwilę, jakby wydobywał wspomnienia z najbardziej odległego zakamarka pamięci. - Wraz z żoną przyjechaliśmy z Budapesztu do Innsbrucku zaraz po ślubie. To już niemal pięćdziesiąt lat temu... Wie pan zapewne, że w owym czasie kraj ten należał do cesarstwa Austro-Węgierskiego. Przyjechaliśmy tutaj w poszukiwaniu specyficznego, górskiego klimatu. Małżonka była bardzo kruchego zdrowia. Tragiczny los chciał, że moja ukochana Róża zmarła podczas porodu. - Dotknął z miłością fotografii stojącej na stoliku. - Nasze małżeństwo trwało zaledwie rok. Mój syn był wówczas jedyną istotą, jaką miałem na tym świecie. Jakiś czas potem do Innsbrucku sprowadził się mój brat Bela, ojciec Anny. To on pomógł mi podźwignąć się z depresji, w jaką wpadłem po śmierci Róży. Wtedy właśnie otworzyłem galerię. To były szczęśliwe lata. Byłem niezmiernie dumny, że mój syn nosi mundur i że stanął w obronie naszej ojczyzny w czasie, gdy wszyscy sprzysięgli się przeciwko nam. Był dzielnym żołnierzem. W chwili śmierci dowodził patrolem wchodzącym w skład Streifkompanie, kompanii wysokogórskiej Tiroler Kaiserjager, strzelców cesarskich. Syn kochał góry. Był wiele razy odznaczany. Czy pokazywałem już panu jego zdjęcie? Proszę spojrzeć, proszę tylko spojrzeć. - Zaczął przetrząsać szufladę stolika. - To są srebrne medale za męstwo, a to krzyż za zasługi. Ten otrzymał, kiedy został ranny w Pasubio, w czasie *Maioffensive*, w 1916 roku. A ze złotym medalem za męstwo, którym odznaczono go pośmiertnie, nie rozstaję się nigdy. Zginął w Passo del Tonale, w osiemnastym roku. Nie w jednej z tych wielkich, anonimowych bitew, podczas których ginęły tysiące, dziesiątki tysięcy żołnierzy. Mój syn oddał życie w górach i miał szczęście lub potrafił uniknąć śmierci z odmrożeń czy w lawinach, które

zdziesiątkowały wojska i pogrzebały wielu jego towarzyszy. Poległ, walcząc z wrogiem wręcz, nie od ołowiu, lecz od stali, jak wielcy wojownicy.

- I odzyskał pan...?

- Jego ciało? - Namyslał się przez chwilę i oczy jego zasnuła nieruchoma szklista tafla. - Oplakiwać utratę własnego dziecka to straszliwa tragedia. Lecz jeśli nie masz grobu, nad którym mógłbyś dać upust przepelniającej cię boleści, to jest dramat powtarzający się w nieskończoność. Nie, nawet tej kruchej pociechy nie staje. Ja to zaraz wyjaśnię. Pewnego dnia otrzymałem od dowództwa armii list, w którym informowano mnie, że mój syn poległ mężnie na posterunku, w potyczce z wojskami włoskimi w Passo del Tonale. Był to najstraszliwszy cios w moim życiu. Choć robiłem, co tylko w mojej mocy, nie zdołałem wydusić z administracji wojskowej bardziej szczegółowego raportu, nie umiano mi też powiedzieć, co stało się z jego zwłokami. Po zakończeniu wojny zapukał któregoś dnia do moich drzwi młody chłopak, który przedstawił się jako Britter. Powiedział, że jest jedynym ocalałym z patrolu dowodzonego przez mojego syna. Chciał mi opowiedzieć historię ich ostatniej potyczki. Według jego relacji grupa otrzymała misję zabezpieczenia tyłów wojsk wycofujących się w kierunku Val di Sole. Mieli niszczyć i czynić niezdatnym porzucony sprzęt wojenny, aby nie wpadł w ręce włoskich *Alpini*, zrywając liny nośne kolejek linowych i niszcząc uzbrojenie bunkrów. Byli, jak mówił, śmieciarzami i szturmowcami jednocześnie, ponieważ do ich zadań należała również neutralizacja wszelkiego zagrożenia, jakie mogło wyniknąć z postępujących na północ *Alpini*. Poruszali się w terenie z wielkim trudem; w tej niezwykle ryzykownej misji skazani byli wyłącznie na siebie, nie mogli liczyć na żadne wsparcie logistyczne ani dodatkowe racje żywnościowe. Cesarska *arriere-garde* w odwrocie, ochotnicy biorący udział w heroicznym zadaniu, podczas którego mogli jednakże stracić życie! Byli świadomi, że niektórzy z nich pozostaną w tych górach na zawsze. I byli tacy, którym było już wszystko jedno, wielu bowiem widziało oczami wyobraźni swoje rodzinne strony pod panowaniem Włochów, przeczuwając, że nie będą już mieli do czego wracać. Któregoś ranka rozpoczęli wspinaczkę stromym zboczem góry,

by dotrzeć do wysoko położonego bunkra z zadaniem zniszczenia znajdującego się tam gniazda karabinów maszynowych. Podejście okazało się piekielnie trudne i zajęło im dużo więcej czasu, niż przewidywali. Kiedy znaleźli się na miejscu, było już zbyt późno, aby myśleć o powrocie, i postanowili tam przenocować. Listopadowy ziąb był nie do wytrzymania. Nie mogli rozpalić ogniska, żeby nie zdradzić się przed wrogiem, przywarli więc do siebie w bunkrze, modląc się, by ciepło ich ciał pozwoliło im dotrzeć do wschodu słońca. Oszukali głód nędznymi racjami i poukładali się do snu. Nastroje były ponure. Czuli śmierć czającą się w cieniach nocy. Raptem jeden z towarzyszy zerwał się na równe nogi i zaczął tańczyć. Pozostali patrzyli na niego w osłupieniu, zeszywniali z zimna, ale wówczas podniósł się drugi i jeszcze jeden... Któryś z żołnierzy wyciągnął butelkę sznapsa, wznieśli toast i zaśpiewali. Euforia nie trwała jednak długo, przeraźliwe zimno i głód wzięły górę. Padli wyczerpani na zmarzniętą ziemię. Jeden z nich, oszołomiony alkoholem, odważył się wyznać, że jest przerażony. Inny uważał się, że jeśli zginie w walce, nie będzie mieć nawet mogiły, nad którą matka mogłaby opłakiwać jego śmierć. Nie to żeby brakło im męstwa, lecz w gruncie rzeczy byli jedynie nieopierzonymi młokosami, których wysłano na wojnę i którym rozkazano przelewać krew za sprawy swoich ojców. Niespodziewanie jeden z żołnierzy rzekł, że przed laty czytał książkę, w której muszkietery króla Francji posługiwali się dewizą mówiącą: „Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego”. Wszyscy byli jednym, zawołał, i jeden był wszystkimi. Nie mogli wiedzieć, jakie zwycięstwa czy cierpienia przypadną im w udziale podczas wypełniania tej misji, mogli jednak zawrzeć przymierze. Jeśli jeden z nich zginie, pozostali zwrócą jego ciało rodzicom. A jeśli zginiemy wszyscy? - zapytał ten, który pierwszy wyznał, że odczuwa trwogę. W takim razie, odparł czytelnik Dumasa, będziemy musieli dokonać rzeczy niemożliwych, aby jeden z nas ocalał i mógł o tym opowiedzieć. A ciała? - nalegał jego towarzysz. Jedna osoba nie poradzi sobie z ciałami wszystkich. Pomysłodawca zamilkł i wszyscy spuścili głowy. Ale wówczas czytelnikowi Dumasa przyszła do głowy genialna myśl. Jest jedno wyjście, powiedział: wybrać jednego i tylko jednego. Te jedne, jedyne zwłoki będą symbolizo-

wać wszystkich poległych. Wyłącznie ci, którzy ocaleją, znać będą prawdziwą tożsamość symbolicznej ofiary. I póki życia dochowają tajemnicy. Ocalali wybiorą miejsce, w którym pogrzebią to jedyne ciało i zawiadomią wszystkie rodziny o zawartej umowie i lokalizacji mogiły. Pozostałe zwłoki, jeśli tak zechce przeznaczenie, pogrzebane zostaną w górach w nieoznaczonym miejscu. Popatrzyli na siebie. Po krótkim wahaniu jak jeden mąż zgodzili się, że to wspomniały pomysł. Nie tylko uspokajał ich rozdygotane niepewnością jutra nerwy. Inicjatywa ta miała sprawić, że w pewnym sensie staną się braćmi krwi dzielącymi jeden los. Ukojeni tą myślą zasnęli.

O świcie dokończyli zadanie rozpoczęte w bunkrze poprzedniego dnia i ruszyli w drogę powrotną. Schodzili wąskim przesmykiem, skrajem góry. Na jej południowym stoku zalegała olbrzymia połać zlodowaciałego śniegu. W mgnieniu oka zrozumieli, że znaleźli się w rejonie, w którym łatwo o lawiny i że powinni unikać wszelkiego hałasu. Zaabsorbowani czyhającym niebezpieczeństwem, nie zauważyli tam tych. Był to przyczajony, mały oddział włoskich *Alpini*, którzy sprawiali wrażenie bardzo wygłodniałych. Mieli obszarpane mundury i można było wywnioskować, że nie wykonywali żadnego konkretnego zadania, ale prawdopodobnie zgubili się w górach i błakali od tygodni, przymierając głodem i pijąc wodę z topniejącego śniegu, przez co musieli zapewne cierpieć na biegunkę. Wyglądało na to, że nikt nimi nie dowodził i nie w głowie im była walka, wycelowali jednak w cesarskich żołnierzy, zanim ci zdążyli połapać się w sytuacji. Któryś z Włochów wrzasnął, żeby oddać im żywność. Jeden z towarzyszy Brittera przemówił do nich po włosku, prosząc, by nie podnosili głosu, wskazując niestabilny stok. Cesarskim oddziałem dowodził mój syn i to on obowiązany był stawić czoło zaistniałej sytuacji. Britter opowiadał, że odłożył broń na ziemię i wystąpił przed swoich ludzi razem z żołnierzem mówiącym po włosku z zamiarem podjęcia rozmów. Nie wiem, czy jest panu wiadomo, że w czasie działań wojennych w górach często dochodziło do przypadkowych spotkań pomiędzy pojedynczymi oddziałkami obu stron konfliktu i że nierzadko walczący przeciwko sobie żołnierze znali się, gdyż przed wojną mieszkali w sąsiednich dolinach i posługiwali się dwoma językami, włoskim i niemie-

ckim. Nie było zatem nic dziwnego w tym, że w rezultacie owych przypadkowych spotkań dzielono się zwykle żywnością, tytoniem i pogawędką, po czym, uściskawszy sobie dłonie na pożegnanie, każda grupa ruszała w swoją drogę. Ci jednak żołnierze byli zbyt wycieńczeni, aby prowadzić cywilizowane negocjacje. Mój syn zaproponował, że podzieli się z nimi żywnością, ale Włosi zażądali wszystkiego, butów, płaszczy, broni, amunicji, nart, wszystkiego. Atmosfera stawała się coraz bardziej napięta i Włosi tracili panowanie nad sobą. W pewnej chwili, w trakcie gwałtownej sprzeczki, włoski żołnierz chwycił za kłapy bluzy mojego syna i zaczął się z nim szamotać. Wówczas inny *Alpini* zaszedł Friedricha od tyłu i wbił mu w plecy bagnet... Syn nie zdążył zareagować. Zginął z honorem, poległ bohaterską śmiercią z rąk liczniejszego przeciwnika.

Na ten widok podkomendni syna obsadzili bagnety na karabinach. Nie mogli strzelać. Wie pan, niebezpieczeństwo lawiny... Włosi jednak nie wytrzymali nerwowo i otworzyli ogień. I nastąpiło to, co tak fatalnie wieszczyli cesarscy strzelcy. Wielkie masy śniegu runęły w dół i, jak powiedział Britter, w jednej sekundzie świat przestał istnieć. Kiedy odzyskał świadomość, otaczała go tylko ciemność i cisza. Zdezorientowany, po chwili histerycznego poszukiwania odnalazł w kieszeni bluzy pudełko zapalek. Zapalił jedną i stwierdził, że znajduje się w zagłębieniu przypominającym jaskinię, a może pod jakimś skalnym występem, pomiędzy skalną ścianą i ścianą śniegu. Dążył tunel przez wiele godzin, aż w końcu wydostał się na powierzchnię. Wokół panowała przeraźliwa, nieruchoma cisza. „Biała śmierć” pogrzebała wszystkich, nie zostawiając najmniejszego śladu życia. Łzy cisnęły mu się do oczu, ale wiedział, że nie może się poddać. Złożył przecież obietnicę. Poprzysiągł sobie, że nie zważając na trudy, nie spocznie dopóty, dopóki nie odnajdzie ciała jednego z towarzyszy. Całymi godzinami przekopywał zwały śniegu. W końcu jego czekanie zahaczyło o pasek lornetki. To był jeden z nich! Sprawdził puls. Nie żył. Wydobywając ciało spod śniegu, postanowił, że lepiej będzie, jeśli jego tożsamość pozostanie dla niego sekretem. Nie mógł mieć pewności, czy w wypadku zakończenia misji powodzeniem potrafiłby utrzymać tajemnicę przez całe życie, czy byłby na tyle silny, żeby zataić przed rodzicami, że w tej

oto anonimowej mogile spoczywa ich syn. Zamknął przeto oczy i skrył twarz druha pod maską przeciwgazową.

Wędrował przez wiele dni, ale dotrzymał obietnicy. Musiał kierować się na północ i przyszło mu do głowy, że najlepiej będzie, jeśli spróbuje dotrzeć do swojej rodzinnej miejscowości. Stoki Val di Soi opadały we właściwym kierunku, przeto prąc przez śnieg na raketach śnieżnych i zsuwając ciało towarzysza ułożone na nartach, zdołał dotrzeć do jakiejś zagrody. Jej właściciel, wysłuchawszy opowieści żołnierza, zaofiarował się zawieźć po kryjomu zwłoki furmanką do Bożen. Tam ukrył się w pociągu jadącym do rodzinnego Meran. I zakrawa na ironię, że po tylu udrękach najtrudniejszym zadaniem okazało się, jak mi opowiedział, godnie i należycie pochować austro-węgierskiego żołnierza w nowym, pod włoską już dominacją, Meran. Ale został pochowany. I tam spoczywa. Tam spoczywają wszyscy. Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego.

Oto, przyjaciele, historia, którą opowiedział mi żołnierz Britter z pierwszego tyrolskiego regimentu strzelców cesarskich. Nie sposób jednak zapomnieć o jej tragicznej puencie. Rozmawiając z mieszkańcami dolin, Britter dowiedział się, że w czasie gdy trwała jego misja w górach, trzeciego listopada Austro-Węgry podpisały akt kapitulacji. Zawieszenie broni zaczęło obowiązywać następnego dnia o trzeciej po południu. Uświadomił sobie wówczas, jak straszliwy doścignął ich pech. Tragiczna w skutkach potyczka z *Alpini* nastąpiła czwartego listopada około południa. Kilka godzin przed wejściem w życie oficjalnego rozejmu. Britter pocieszał się myślą, że tamci zabłąkani, wystraszeni i wynędzniali Włosi i tak nie zważaliby na to, co podpisywano w odległych salonach Europy. Tamtego dnia nie walczyli o ideały, flagę czy króla, lecz o łyżkę stawy. Jak on to powiedział...? Ach, tak! W czas wojny jesteśmy owieczkami, które nie wiedzą, jakie plany ma wobec nich pasterz.

Milczenie trwało dokładnie tyle, ile trwa cisza zapadająca zaraz po zakończeniu mistrzowskiego koncertu, ową precyzyjną liczbę sekund, które upływają od chwili, gdy ostatnia nuta rozplywa się w powietrzu, do wybuchu emocji powściągniętych podczas słuchania.

Uke rozluźniła napięte mięśnie i odetchnęła z podziwem. Fernando zdołał wyrzucić z siebie kilka słów.

- Co za... co za niezwykle emocjonująca i smutna historia! Jakież bezprzykładne męstwo tych żołnierzy! Ale proszę mi powiedzieć, czy znane są panu późniejsze losy Brittera?

- Och, naturalnie! Stoi tuż za panem. Johann nie zna ani jednego słowa po francusku, nie może więc potwierdzić, czy moja relacja była wierna. Ale od tamtego czasu tyle już razy powtarzał na moją prośbę tę opowieść, że nie sądzę, abym mógł coś przekręcić.

Uke i Fernando odwrócili wolno głowy, a ich źrenice rozszerzały się stopniowo w bezgranicznym zdumieniu, gdy patrzyli na tę szarą postać pozostającą do tej pory na drugim, okrytym mrokiem planie, jakby była częścią umeblowania lub jednym ze statystów, których sylwetki służą do wypełnienia tła, jak na obrazach szkoły flamandzkiej, jak na „Lekcji anatomii” Rembrandta. Johann postąpił krok naprzód, nie jak żołnierz, ale jak robotnik, który występuje przed szeregiem, kiedy wyczytują jego nazwisko z listy. Przestał ugniatać swoją czapkę, spojrzął przed siebie i uroczystym gestem nałożył ją na głowę. Było to wojskowe kepi z guzikami i okrągłym emblematem. Z boku czapki lśnił metalowy znaczek, róg myśliwski okalający sylwetkę orła. Pan Molnar uśmiechnął się i ciągnął dalej.

- Nikt i nic nie zdoła mi wrócić mojego Friedricha, ale Johann od tamtej pory jest dla mnie niczym drugi syn. Kiedy po wojnie wrócił do Meranu, zastał matkę i ojca niemal na skraju nędzy. Przed wojną żyli z turystyki, przyjeżdżali tam bowiem na leczenie kuracjusze z wyższych sfer, ale wojenna pożoga położyła kres świetności uzdrowiska. Ruina oraz niepewna przyszłość pod obcą flagą skłoniła rodziców do opuszczenia rodzinnego gniazda. Johann pojechał do Innsbrucku, żeby zameldować się w regimencie, złożyć raport i tym podobne. Dzięki jego poczuciu obowiązku i wyczerpującemu sprawozdaniu mojemu synowi Friedrichowi przyznano pośmiertnie złoty Medal za Odwagę. Johannowi spodobało się to austriackie jeszcze miasto, postanowił więc wraz z rodzicami przeprowadzić się tutaj. Po zwolnieniu z wojska wraz z ojcem otworzył zakład fryzjerski. Kiedy już się trochę zadomowili, przyjął do odszukania rodzin towarzyszy broni i kolejno opowiadał

im historię, którą usłyszeli państwo przed chwilą. Tym sposobem pojawił się i w moich progach. Od samego początku przypadliśmy sobie do gustu i zaczął regularnie odwiedzać mój dom i galerię. Od śmierci brata Beli i jego żony zajmowałem się wychowaniem Anny, ich córki a mojej bratanicy. Była jeszcze małą dziewczynką, miała może sześć, siedem lat, podczas gdy Johann ukończył dwadzieścia, jednak od pierwszej chwili zapewniała, że poślubi Johanna. Wydawałoby się, ot, dziecinne przekomarzenia, ale sami państwo widzicie. Przez następne lata nasza przyjaźń krzepła, Anna zaś rosła, aż zmieniła się w panienkę, której wciąż towarzyszyło niewzruszone postanowienie z dzieciństwa. Zabroniłem jej myśleć o ślubie do czasu ukończenia dziewiętnastu lat. Zaraz po swych dziewiętnastych urodzinach wyszła za Johanna. Jeśli mnie pamięć nie myli, było to w roku 1931, jakiś czas przed tym, nim państwo zamieszkali w Innsbrucku. Rodzice Johanna... Cóż, to dobrzy ludzie, ale w dzisiejszych czasach, jak wiecie, Żydzi nie są mile widziani. Nie mnie osądzać ich postępkę. Są skromnymi, pracowitymi ludźmi. Obawiali się, że parantela z żydowską rodziną mogłaby zrujnować ich zakład fryzjerski, jedyny środek utrzymania. Przynajmniej nie stanęli na drodze małżeństwu, choć postawili warunek, że ślub ma się odbyć w obrządku katolickim i że Anna... że zerwie ze swoją rodziną. Od tej pory nasze spotkania nie były już tak częste. Na szczęście nasza przyjaźń okazała się silniejsza. I dzisiaj, jak sami państwo widzicie, są zdecydowani porzucić swoją ojczyznę i towarzyszyć mi w ucieczce w nieznane, w poszukiwaniu miejsca, gdzie ludzie okażą nam większą gościnność. Pragną powiększyć rodzinę. Na razie nie mają potomstwa, ale nie tracą nadziei. Johann złączył dobro wolnie swój los z losem Żydów i pragnie również zadzierzgnąć z nimi więzy krwi. W dzisiejszych czasach taka postawa godna jest najwyższego szacunku. Jego wojenne i powojenne dzieje świadczą dobitnie, iż jest dzielnym człowiekiem, choć bardzo nieśmiałym. I tak kończy się ta historia, moi przyjaciele: wyjeżdżamy we trójkę. Ufamy... Nie, co ja mówię! Jesteśmy pewni, że czeka nas inna historia. Nowa historia, jaśniejsza i szczęśliwsza. Dla nich nowy początek, dla mnie spokojny odpoczynek.

- Drogi przyjacielu, nadal twierdzę, że powinien pan odłożyć

podróż o kilka miesięcy - doradził z troską Fernando. - Ale cóż, jeśli trwa pan w swoim uporze i za nic ma moje zdanie, pozostaje nam tylko pokładać ufność w tym, że pańska rekonwalescencja zakończy się pomyślnie w ciągu tych kilku tygodni, jakie pozostają do wyjazdu.

- Tygodni? Nie, nie. Jeśli nic nie stanie nam na przeszkodzie, opuścimy Innsbruck już jutro.

- Jutro? Przecież... przecież to w najwyższym stopniu nieroztropne! W jaki sposób zamierzają państwo załatwić wszystkie swoje sprawy w tak krótkim czasie?

- Wszystko, co warto było załatwić, jest już załatwione. Galeria i dom znajdują się już w gestii agenta nieruchomości, jeśli oczywiście rząd nie dokona konfiskaty przed dokonaniem transakcji. Zgromadziłem pieniądze i spakowaliśmy to, co niezbędne. Nie chcemy dźwigać zbędnego balastu. Pragniemy uniknąć nowych problemów z nazistami i ich zausznikami i dlatego nie będziemy niepotrzebnie zwracać na siebie uwagi. Nie chcemy wyglądać jak lud Izraela podczas exodusu, ale jak zwykła rodzina odbywająca wakacyjną przejażdżkę. Proszę się nie martwić, nie może się nam nie powieść. Mam wystarczająco dużo oszczędności, aby móc zacząć od nowa, Johann zaś i Anna dysponują bezcennym potencjałem młodości.

- Dokąd chcecie państwo się udać? - spytała Uke.

- Od wielu już lat nie odwiedzałem grobu mego syna. To znaczy, grobu... Cóż, wiecie państwo, o czym mówię. Skorzystam z okazji, żeby zobaczyć, w jakim jest stanie. A potem... Zobaczymy. Pojedziemy tam, gdzie będziemy mogli liczyć na gościnność i życzliwość.

- Myśl o utracie pańskiego towarzystwa napełnia mnie niewymownym smutkiem. - Głos Fernanda zabrzmiał cicho i przeciągle, wyścielany miękkim i współczującym tonem, którego Uke do tej pory niemal nie znała, a już z pewnością nie słyszała z ust ojca, nim wybrali się w tę długą podróż. - Ale cieszę się, że gdzie indziej będziecie się państwo czuli lepiej niż tutaj.

- Ja natomiast będę drżał z niepokoju, że pan i córka zostajecie. Nie chcę się powtarzać, ale jeśli Schuschnigg padnie na kolana przed nazistami, nie będzie w Austrii bezpiecznego miejsca dla

cudzoziemców. Nie tylko w Innsbrucku, ale w całym kraju! Jeśli zaś Schuschnigg nie odda Austrii Hitlerowi, bardzo możliwe, że Hitler weźmie ją sobie sam. Tak czy inaczej, nie ma wyjścia. Powinniście wziąć to pod rozwagę, przyjaciele. A jeśli nie myślicie o sobie, pomyślcie o małym. Chociaż urodził się tutaj, zasługuje na coś lepszego niż na kraj, który... który pożera własne dzieci.

Uke i Fernando zamilkli. Żadne z nich nie wiedziało, co odpowiedzieć. Do napaści na pana Molnara kwestia nazistów wydawała się im jedynie ponurą, odpychającą anegdotą. Nigdy nie przyszło im do głowy, że mogliby wyjść poza rolę biernych obserwatorów konfliktu polityki wewnętrznej obcego państwa. Obydwoje pomyśleli, że gdyby tu była Victoria, wiedziałyby, co zrobić.

Pan Molnar wykonał gwałtowny ruch, sięgając w stronę stolika. Uke i Anna rzuciły się ku niemu w strachu, że upadnie na podłogę.

- Dobrze, już dobrze. Nie wykończyli mnie jeszcze. Jeszcze mogę poruszać się o własnych siłach. - Otworzył szufladę i wyjął z niej srebrny medal. Ujął też w dłonie ramkę z fotografią syna, wyłuskał z niej zdjęcie i wręczył obie te rzeczy Fernandowi. On przyjął je, nic nie rozumiejąc.

- Ale, co...?

- Chcę, żebyście zabrali to państwo z sobą. To rodzaj talizmanu. Może wyratować państwa z niejednej opresji. Ja zawdzięczam mu życie. Gdyby nie to zdjęcie i ten medal, być może tamci milicjanci nie kiwnęliby w mojej obronie palcem i już byłbym martwy.

- Nie, to niemożliwe, ja nie mogę tego przyjąć. Nie może mi pan ofiarować czegoś takiego. Te przedmioty posiadają dla pana bezcenną wartość. Są bardzo ważną częścią pańskiego życia. Nie mógłbym...

- Mam jeszcze inne jego rzeczy: złoty medal i inne odznaczenia, i jeszcze jedną fotografię, którą noszę zawsze w marynarce. Proszę mnie uważnie posłuchać. Mój syn nie oddał życia za to, by zniszczyć jakąś... kolej linową i stanowisko karabinów maszynowych. Mój syn zginął, abyśmy mogli żyć w lepszym, bardziej wolnym kraju. Fakt, że będziecie państwo mieć przy sobie jego fotografię i jego Medal za Odwagę, stanowi fundamentalną część jego misji. Jeśli w jakiejś

sytuacji przedmioty te ochronią was przed niebezpieczeństwem, będzie to jego triumf.

- Rozumiem. W takim razie czuję się niezmiernie zaszczycony, że mogę je przyjąć. Obiecuję, że je zwrócę.

- Proszę się tym nie kłopotać. Medal wykonany jest ze srebra. Jeśli zaistnieje taka konieczność, proszę bez skrupułów użyć go jako łapówki. Proszę mi wierzyć, będzie z niego dobry użytek wówczas, jeśli wybawi państwa z opresji. I na litość boską, proszę czym prędzej uchodzić z Austrii. Błagam, uciekajcie stąd.

- A zatem, to nasze ostatnie spotkanie... na razie.

- Na razie.

- Dziękuję, Imre. Znajomość z panem jest dla mnie niezwykłym wyróżnieniem.

- Proszę nie starać się zawłaszczyć wszystkiego wyłącznie dla siebie. Jest pan w błędzie, jeśli sądzi, iż jest jedyną uprzywilejowaną osobą w tym gronie.

Podczas pożegnania wzruszające gesty sprawiły, że słowa zdawały się zbędne. Jedynie Anna, gdy Fernando uściskał ją serdecznie, wyszeptała: „*Danke, Doktor*”, na co Fernando odpowiedział w zamyśleniu, ze smętnym uśmiechem zatopionym w najgłębszych pokładach swoich wspomnień: „Doktor... Już dawno nikt mnie tak nie nazywał”.

Ku czci nieznanego żołnierza

Wiatr omiatał usiany piegami nos Nanda mrużącego w blasku letniego słońca oczy, których źrenice rozszerzały się, to znów zwężały pod przepływającymi po jego twarzy cieniami gór. Nad małą twarzyczką wznosiła się twarz Uke, obie zaś wpisywały się w ramę otwartego okienka hispano-suizy, który bzykał między gigantycznymi monolitami skał jak komar umykający z niezdarnych łap olbrzyma. Krajobraz drogi wiodącej przez przełęcz Brennero zmieniał się leniwie przy osamotnionym akompaniamencie szorstkiej chryпки motoru i świstu powietrza w uszach. Wsłuchując się w ów świst, Uke spozierała na mijane szczyty, które sugestywnie wrzynały się swoimi wierzchołkami z porcelany i marmuru w nieskazitelny błękit nieba, i odnosiła wrażenie, że na każdym z nich nadziana jest jedna stronica, jedna postać, jeden epizod skonstruowanej przez nich historii, która po raz kolejny urywała się bez zakończenia, w połowie akapitu. Patrząc za siebie na asfalt umykający spod kół, widziała, jak jej wspomnienia z Tyrolu ulatują przez rurę wydechową auta i nikną za każdym zakretem, i przypomniało jej się coś, co przeczytała kiedyś, szlifując niemiecki, słowa, które przed stu laty napisał na temat Tyrolczyków Heine: „Możliwe, że są za głupi, żeby zachorować”. Uke pomyślała wówczas, że człowiek nigdy nie jest wystarczająco głupi, żeby nie móc zachorować i możliwe, że to właśnie nadmiar głupoty sprowadza chorobą na niektórych ludzi, nie tylko na Tyrolczyków. Pomyślała o nieszczęsnym

panu Molnarze skatowanym przez kilku chorych i opuszczonym przez paru głupców. Pomyślała o dzielnym i skromnym Johannie skazanym przez ślepa i chorą głupotę na wybór między dwiema rodzinami. Pomyślała o niańce Nanda, wiernej i pełnej entuzjazmu Astrid, która pewnego dnia zrezygnowała z pracy, aby rzekomo zająć się własną rodziną i którą Uke ujrzała niedługo potem w centrum Innsbrucku ubraną w uniform piastunki i prowadzącą za rękę dwoje jasnowłosych dzieciątek. Pomyślała o ojcu błakającym się w poszukiwaniu nowej galerii, w której mógłby wystawić swoje płótna, i wracającym każdego wieczoru z pakunkiem obrazów, nie czując nóg i opowiadając, że gdzieś mu powiedzieli, że jego styl nie koresponduje z profilem galerii, gdzie indziej zaś, że nie mają już miejsca lub że od tej pory współpracują wyłącznie z lokalnymi artystami, mam nadzieję, że pan rozumie, nie chcemy mieć problemów. Pomyślała o własnej pielgrzymce po sklepach, w których szukano ludzi do pracy, o serdecznym uśmiechu powitalnym dla potencjalnej klientki, twarzy bez wyrazu dla poszukującej zatrudnienia osoby legitymującej się dziwnym akcentem, grymasie paniki dla podejrzanej cudzoziemki, po wysłuchaniu komentarza wyszeptanego do ucha na zapleczu i w końcu o wymówkach: to miejsce już jest zajęte, myśleliśmy o innym typie ekspedientki, przykro mi, ale już zamykamy, jeśli ośmieli się pani wrócić jutro, będziemy mieli dość czasu, aby wykombinować jakiś odpowiedni i wiarygodny pretekst, żeby pani nie zatrudnić. W przeciągu kilku miesięcy ten nowy kraj zamknął się przed nimi, jak ostryga opancerzona chorobą i głupotą. Możliwe, że Tyrolczycy nie czytali Heinego. Który też był Żydem. I już sto lat wcześniej odczuł na własnej skórze prześladowania i cenzurę.

Zaczęły się spełniać najgorsze przepowiednie pana Molnara. W roku 1937 austriacki kanclerz ogłosił amnestię dla nazistów. Od tego czasu Uke i Fernando byli świadkami, jak swastyki i antyżydowska oraz antycudzoziemska propaganda przelewały się bezwstydnie ulicami Innsbrucku. Osaczeni przez coraz bardziej wrogą atmosferę, odizolowani na bezludnej wyspie trwającego już ponad pięć lat absurdałnego wygnania, którego przyczyn niemal już nie pamiętali, zrozumieli, że jedyną możliwą drogą była droga

prowadząca do domu i jeśli mieli wierzyć w ów biblijny fragment Ożonie Lota, woleli zamienić się w słupy soli w ogrodzie Lux Domini niż wieść żywot niepożądanych cudzoziemców, którzy nie mają ani sił, ani ochoty wzniecać rewolucji czy się jej sprzeciwiać. Był tylko jeden problem: w Hiszpanii szalała wojna i powrót do kraju był na razie wykluczony. Musieli opuścić Austrię, lecz nie wiedzieli, dokąd jechać, a nie chcieli, aby ich wyjazd był ucieczką na oślep. Postanowili zatem, że najrozsądniej będzie zasięgnąć rady jedyne go członka rodziny, który był w stanie wytłumaczyć im, co się dzieje w Europie.

Reakcję Victorii na wieść o ich zamiarze wyjazdu z Austrii można było zaklasyfikować jako zgorszenie pomieszan z osłupieniem. Nie mogła zrozumieć motywów niepokoju swoich bliskich, albowiem według jej wiedzy Austria była jednym z najporządniejszych krajów starego kontynentu, gdzie katolicki rząd sprawował władzę silną ręką, nie idąc na ustępstwa słabej opozycji i dając zdecydowany odpór komunistycznej znowie. Nie rozumiała również, o co tyle krzyku z tym Hitlerem, lojalnym sponsorem hiszpańskiej krucjaty, któremu, jeśli już można było coś zarzucić, to może tylko pogwałcenie konkordatu ze Stolicą Apostolską, co z drugiej strony nie jest niczym niezwykłym, zważywszy, iż Niemcy pławią się w luteriańskiej herezji, w którą nie wierzy sam Hitler. Poza tym nawet najbardziej opętane ideami praw wyborczych i demokracji jednostki muszą zaakceptować bezdyskusyjny fakt, że Hitler został wybrany i jest bardzo kochany przez swój naród. Co skądinąd łatwo przecież zrozumieć, albowiem zwrócił godność krajowi upokorzonemu po zakończeniu I wojny przez sojuszników ententy. Według Victorii Uke i Fernando nie mogli być tego świadomi, gdyż bujali w obłokach, ale Hitler jest chorążym walki z najeżdżającymi Europę Żydami, masonami i komunistami. Hiszpania miała ów problem częściowo z głowy, ponieważ królowie katolicy wzięli na swoje barki rozwiązanie tej trudnej kwestii, jednak w Europie Środkowej podstępna żydowska konspiracja groziła podkopaniem zrębów chrześcijańskiej cywilizacji. Uke i Fernando nigdy nie powinni zapominać, że nie kto inny jak Żydzi właśnie zamordowali Chrystusa, więc pod żadnym pozorem nie wolno im spoufalać się z tymi ludźmi ani pozwolić mamie się,

bo po kryjomu, za fasadą zacności, kalają moralność i chrześcijański obyczaj. Rzecz jasna Victoria jako pobożna katoliczka nie mogła nikomu życzyć źle i Kuria Generalna Jezuitów w Rzymie nie omieszkała wypowiedzieć się przeciwko nienawiści rasowej, dając jednocześnie wyraźnie do zrozumienia, że powyższego nie należy interpretować jako potępienia antysemityzmu. Na zakończenie swojego wykładu Victoria przedstawiała trzy możliwe warianty do rozważenia pod kątem zmiany miejsca zamieszkania: Włochy, Szwajcaria lub doszlusowanie do niej i jej rodziny znajdującej się w Estorilu. Jeśliby wybrali to ostatnie rozwiązanie, Victoria zajmie się organizacją przeprawy statkiem z Genui, gdyż podróż lądem przez terytorium Hiszpanii była wykluczona, podobnie jak tranzyt przez Francję, która zmierzała nieodwołalnie w stronę bolszewizmu. Po przyjeździe do Estorilu grzech Uke nie będzie żadnym problemem, w emigracyjnych kręgach towarzyskich zostanie bowiem zaprezentowana jako wdowa. Co się zaś tyczy innych spraw, to będą tam mogli wieść życie bardzo podobne do tego, jakie prowadzili w Torrelodones, oprawne w bogatą agendę towarzyską, otoczeni ludźmi pogrupowanymi we właściwych sobie i niepodważalnych klasach, i na koniec, choć to nie mniej zasługujące na uwagę, tłumem samotnych i wypłacalnych dżentelmenów, którzy z rozkoszą padną do stóp młodej, pięknej i dobrze wychowanej, jak jej siostra, wdowy.

Uke i Fernando skapitulowali. Dobro dziecka było rzeczą najważniejszą i wymagało najbardziej konserwatywnej opcji: miejsca najbliższego jak tylko się dało prawdziwego domu i stabilnego kraju bez cienia poważnego konfliktu na horyzoncie, gdzie mogliby żyć w rodzinnej atmosferze i gdzie nie byliby zmuszeni zaczynać odbudowywać swojego życia na zgliszczach. Estoril byłby ich ostatnim przystankiem przed powrotem do domu, kiedy w Hiszpanii umilkną wystrzały, co według Victorii nosiło znamiona nieuchronności po tym, jak oficjalnie ukonstytuował się rząd generała Franco i został uznany na arenie międzynarodowej. Pozostało tylko zagasić tłące się jeszcze gdzieś gdzie pozostałości czerwonego ognia, mówiła.

Z wiosną odwilżą roku 1937 hispano-suiza wyruszył szosą prowadzącą na południe, na niespełna rok przed tym, jak wojska

Hitlera wjechały do Austrii szosą od północy i kraj ten został przyłączony do Trzeciej Rzeszy. Na szlaku wiodącym przez przełęcz Brennero Uke wyciągała szyję, wystawiając głowę za okno i przytrzymując łepetynkę Nanda, aby i jego płuca na tak długo, jak to tylko możliwe zaczerpnęły przezzystego powietrza Alp, pierwszego, jakim oddychał w swoim życiu. Za uniemożliwiającym egzystencję ciężkim, śluzowatym, zainfekowanym podejrzeniami i skrupułami powietrzem zasnuwającym ulice Innsbrucku nie będzie tęsknić. Łaknąć będzie natomiast tego drugiego, które ze szczytów otulonych śniegiem opadało czyste i tchnące życiem na skrzynki z kwiatami zwisające z drewnianej galerii.

Bez problemów przejechali granicę i mknęli przez Alto Adige, kierując się ku Bolzano. W Vipiteno ujrzeli znak pokazujący drogę na Merano i domyślili się, że to zapewne włoska nazwa Meranu znajdującego się na terenie dawnego Siidtirolu, gdzie przyszedł na świat i gdzie pochował zwłoki swego anonimowego towarzysza Johann. Uke i Fernando przypomnieli sobie, że pan Molnar wspominał o złożeniu wizyty na mogile, zanim nieodwołalnie opuści terytorium swojej przybranej ojczyzny, chociaż żadne z nich nie mogłoby zaręczyć, czy potwierdził w końcu, że ciało spoczywa tam nadal. Tak czy owak nie mogli zaprzepaścić nadarzającej się okazji, mimo iż śpieszyli się, by dotrzeć na czas do portu w Genui i wsiąść na zarezerwowany przez Victorię statek. Nie myśląc długo, skręcili w drogę prowadzącą do Merano, małego miasteczka położonego w rozległej, usłanej kwitnącymi sadami dolinie o śródziemnomorskim charakterze, bardziej charakterystycznym dla tokańskich krajobrazów, które Uke widziała na kartach jakiegoś albumu fotograficznego. Cmentarz kipiał życiem: kolorowe plamy kwiatów, tryle ptaków i świeża zieleń pędów grzebały płyty grobowców pod lawiną wiosennego wysypu. Krążyli między grobami, odczytując napisy, mając nadzieję natknąć się na jakąś wskazówkę, która pozwoliłaby im trafić do miejsca pochówku towarzysza Johanna. W końcu im się udało. Bez wątplenia był to poszukiwany grób, najbiedniejszy z wszystkich, znajdujący się w najodleglejszym zakątku cmentarza, ukryty częściowo za żywopłotem wiciokrzewu, pozbawiony religijnych

symboli i ornamentów, zaopatrzonej jedynie w płaską, surową, kamienną płytę, na której widniał napis:

EIN SOLDAT DER K.U.K. ARMEE
EINER FÜR ALLE ALLE FÜR EINEN*
4.11.1918

Uke nigdy nie płakała na grobie nieznanego człowieka, a zwłaszcza kogoś, kto nie miał nawet nazwiska. Tym razem rozplakała się, nie wiedząc dlaczego. Być może, jak mówiła, w owych łzach uchodził z niej powściągnięty gniew, współczucie, bezsilność i może też ostatnie technienie austriackiego powietrza, które rezerwowała na tę chwilę. Był to jej mały dar, skromny, osobisty hołd złożony panu Molnarowi i pustemu przez tyle lat krzesłu naprzeciwko niego w kawiarni, i rodzinom pozostałych towarzyszy Johanna, których kości przykrywał każdej zimy śnieg i obnażało każdego lata słońce w absolutnej tajemnicy przed światem i których nigdy i nikt nie ocali od zapomnienia. Był to również hołd złożony sobie samym, własnej rodzinie i wszystkim rodzinom, które zmuszone zostały do ucieczki z miejsc takich, jak Innsbruck, owieczki bowiem nie znają planów pasterza. Fernando objął córkę ramieniem i w milczeniu oddali się modlitwie.

Wówczas ich uwagę przykuł intrygujący szczegół. Na kamiennej płycie ktoś położył kamelię, czerwoną, świeżą kamelię, jakby przed chwilą ściętą w ogrodzie. Na anonimowej mogile była to rzecz zaskakująca. Co więcej, spośród wszystkich członków tragicznego patrolu tylko Johann pochodził z Merano, ale przecież jego rodzina już tam nie mieszkała. Uke i Fernando spojrzeli na siebie i ich oblicza rozświetliły się porozumiewawczym uśmiechem. Oboje pomyśleli o tym kimś, kto mógł zostawić kwiat. Rozejrzeli się niespokojnie dokoła. Oprócz nich na cmentarzu była tylko bardzo chuda staruszka, która nieopodal pochylała się nad jakimś grobem. Podeszli do niej

Żołnierz armii austro-węgierskiej. Jeden za wszystkich. Wszyscy za jednego.

i Uke drżącym z emocji, potykającym się o niemieckie słowa głosem zapytała, czy widziała może osobę, która położyła kwiat na tamtym grobie. Staruszka odparła, że to ona go położyła. Uke i Fernando ujrzeli u jej stóp owiniętą w gazetowy papier wiązkę splątanych kamelii, zerwanych bez wątpienia z jakiegoś cmentarnego krzewu. Zauważyli, że wiele innych grobów również zdobiły świeże kamelie. Uke zrozumiała, że zbytnio się pośpieszyli z konkluzjami, i ze smutnym uśmiechem wyrażającym rozczarowanie poprosiła o wybaczenie. Kiedy już mieli odchodzić, przemknęło jej przez myśl, żeby zapytać staruszkę, czy zna zmarłego spoczywającego w tamtej mogile, w mogile bezimiennego żołnierza, na co staruszka odrzekła, że tak, że zna. Uke poczuła, jak krew na powrót rozgrzewa jej policzki, i już chciała zapytać o pokrewieństwo, gdy staruszka uprzedziła ją, stwierdzając z dumą, iż zna ich wszystkich i że codziennie z nimi rozmawia. Bezimienny żołnierz jest wyjątkowo sympatyczny - zapewniła, uśmiechając się figlarnie - i jak każdy prawdziwy wojak prawi jej nawet komplementy. Uke uśmiechnęła się z tkliwym współczuciem i na odchodne spytała, czy grób ten odwiedza ktoś jeszcze. Staruszka odparła, że przychodzi tam wielu ludzi, że od czasu do czasu zjawiają się nawet samiuścy cesarze Franciszek Józef i Franciszek Karol, chociaż przebrani pewnie za kogoś innego, bo Mussoliniemu nie spodobałyby się te wizyty. Uke zbierała się, by raz jeszcze podziękować i pozostawić ją w jej odrealnionej samotni, gdy zwróciła uwagę na kolczyk staruszki, złotą gwiazdę Dawida. Spytała ją, czy jest Żydówką, i usłyszała twierdzącą odpowiedź. Zapytała wówczas, czy mogłaby jej wyświadczyć uprzejmość i pomodlić się za duszę tego żołnierza. Na całe życie zapamiętała ów dreszcz, zimne mrowie, jakie przebiegło jej po kręgosłupie, kiedy usłyszała słowa tej starej i obłąkanej kobiety wypowiedane nad grobem żołnierza, słowa, których Uke i Fernando nie rozumieli, lecz których muzyka była tak nieprawdopodobnie piękna, że choćby nawet zmarły nie był synem pana Molnara i wyznawał za życia inną religię lub był ateistą, wyraziłby za nie swoją wdzięczność, gdyby tylko miał po temu sposobność. Zostawili ją w jej samotności, z myślami błądzącymi w czeluści świata zmarłych i już nigdy nie dowiedzieli się, dlaczego kładła na grobach kamelie, czy robiła

to codziennie i czy ktoś czekał na nią w domu, aż wróci z cmentarza po wypełnieniu swojej misji. Jak opowiedziała mi matka, w ostatnich latach życia Uke rozmyślała niekiedy o tamtej kameliowej damie i żałowała, że nie usiłowała przebić się przez szklaną kulę jej samotności i odosobnienia, w jakiś sposób sądziła bowiem, że jeśli wierzymy w to, że życie, przeznaczenie czy Bóg układa na naszej drodze znaki pozwalające nam zrozumieć, czemu to wszystko służy, owa kobieta była właśnie znakiem, którego we właściwym momencie nie potrafiła odczytać. Nie mam pojęcia, cóż to może oznaczać, ale Uke wierzyła w to święcie.

Uke kierowała się w stronę cmentarnej bramy, gdy nagle Fernando przypomniał sobie o czymś niezwykle ważnym. Potruchtał na grób żołnierza i Uke dostrzegła, jak wyciąga z kieszeni fotografię syna pana Molnara i jego srebrny Medal za Odwagę. Obserwowała, jak klęka na ziemi, kładzie te relikwie na grobie i przyciska je płaskim kamieniem. Po chwili podniósł się i nim wrócił do czekającej na niego córki, wyszeptał jakieś słowa, jakby rozmawiał ze zmarłym. Uke nigdy nie wypytywała ojca o ten osobisty monolog z nieznanym żołnierzem.

Wrócili na drogę i po przejechaniu kilku kilometrów zatrzymali się w jakimś hotelu na obrzeżach Meranu, żeby zwilżyć zaschnięte gardła. Hotel nazywał się Stella Alpina, lecz obok drzwi przymocowana była tabliczka z niemiecką nazwą, Edelweiss, okalającą rysunek kwiatu. Fernando znieruchomiał na ten widok. Uke ponagliła ojca, przypominając, że nie mają czasu do stracenia, jeśli chcą zdążyć na statek w Genui. Fernando patrzył na kwiat skonsternowany i poprosił córkę, aby zapytała o właściciela hotelu. Domyślając się jego intencji, odpowiedziała, że to absurd myśleć, że ten hotel mógłby mieć jakiś związek z panem Molnarem, bo przecież wyraz Edelweiss czyjego włoska wersja to z pewnością najpopularniejsza nazwa wśród wszelkiego rodzaju firm od Bawarii po Trydent. Fernando jednak nalegał, Uke nie pozostało więc nic innego, jak przelknąć wstyd i podejść do recepcji. Recepcjonistka uśmiechnęła się do niej serdecznie, dając wyraz niekłamanej gościnności.

- Słucham, czego pani sobie życzy?

-Ja... Chciałabym rozmawiać z właścicielem hotelu, jeśli

to możliwe.

- Tak... Tak, oczywiście. Proszę zaczekać sekundkę, zaraz go poproszę.

Kobieta zniknęła w biurze. Uke zerknęła na ojca, który gryzł nerwowo paznokcie. Po krótkiej chwili kobieta wróciła w towarzystwie łysego mężczyzny z blond wąsem.

- Oto właściciel, pan Heinz, mój mąż.

- Proszę mi wybaczyć, pomyliłam się - odpowiedziała Uke, posyłając ojcu potępiające spojrzenie.

- Czy coś się stało? Czy mogę w czymś pomóc? - spytał mężczyzna.

- Nie, doprawdy, to nic takiego. Mój ojciec myślał, że właścicielem jest jego przyjaciel, starszy pan, Węgier, który prowadził galerię sztuki w Innsbrucku o tej samej nazwie, co państwa hotel. To głupstwo. Jeszcze raz przepraszam za kłopot.

- Nie, na miłość boską, żaden kłopot. Do usług. - Mężczyzna zniknął na powrót w biurze. Fernando skierował się bez słowa w stronę kawiarni, zostawiając Uke samą w tej absurdalnej sytuacji. Przeprosiła raz jeszcze i ruszyła za ojcem, kiedy kobieta zawołała ją od kontuaru.

- Proszę zaczekać! To ciekawe, co pani przed chwilą powiedziała. Parę miesięcy temu, tak, przed zimą jeszcze, przez kilka tygodni mieszkał u nas sędziwy Węgier podróżujący z dwojgiem młodych ludzi. Wiele rozmawialiśmy podczas jego pobytu i opowiedział mi, że był właścicielem galerii sztuki nazywającej się Edelweiss, nie pamiętam tylko, czy w Wiedniu, czy w Salzburgu, w każdym razie na pewno w Austrii.

Uke zatrzymała się jak wryta. Przetłumaczyła Fernandowi słowa kobiety, ten zaś chwycił ją za łokieć i pociągnął w stronę recepcyjnego kontuaru, przynaglając córkę, by poprosiła o więcej informacji.

- Proszę mi powiedzieć, czy wie pani o nich coś więcej? Czy zostali tutaj, w Merano, czy wyjechali?

- Nie potrafię powiedzieć. Pamiętam jednak, że byli Żydami. W dzisiejszych czasach coraz mniej jest miejsc, w których Żydzi byliby chętnie widziani. Mieszkańcy Merano są jednak bardzo tole-

rancyjnymi ludźmi i żyje tu duża i zasiedziała gmina żydowska. Może nadal przebywają w tej okolicy. Zwłaszcza że stan, w jakim się wówczas znajdowała dziewczyna...

- Stan, w jakim się znajdowała? Co ma pani na myśli?

- Była w ciąży. Niedługo przedtem urodziłam swoje pierwsze dziecko i wypytywała mnie o wszystko. To miało być jej pierworodne i bardzo była podekscytowana.

Uke przełożyła ojcu słowa kobiety. Popatrzyli na siebie z radosnym uśmiechem promieniającym satysfakcją. W końcu dopięli swego. Uke odwróciła się ponownie w stronę kobiety, rozplywając się w najszczerzych słowach wdzięczności. Nagle dało się słyszeć chrypiący, suchy kaszel małego dziecka dobiegający z biura. Fernando poszeptał coś na ucho córce, ta zaś przekazała jego słowa kobiecie z recepcji.

- Mój ojciec pyta, czy zgodzi się pani, by obejrzał dziecko. Jest lekarzem.

Uke wyszła z hotelu, niosąc w ramionach śpiącego Nanda. Przystanęła obok samochodu i oparła się o karoserię zmęczona, czekając, aż ojciec otworzy jej drzwi. On jednak podszedł na skraj tarasu przy hotelowym parkingu, wyciągając zasnute melancholią spojrzenie ku najbardziej śródziemnomorskiemu i pachnącemu owocowymi sadami miasteczku Alp. Uke zbliżyła się do ojca i zamykając oczy, oparła głowę na jego ramieniu.

- Chodźmy, tato. Nie mamy tu już nic więcej do roboty.

Gdy przybili do Estorilu, Victoria wyprawiła na ich cześć wielkie przyjęcie, w którym Fernando i Uke postanowili nie uczestniczyć. Zamiast na bankiet poszli z Nandem na plażę pod pretekstem wyprowadzenia na spacer dwóch pudli Victorii. Siedząc na piasku, patrzyli, jak słońce topi się za linią horyzontu Atlantyku. Pomyśleli, że mniej więcej w tym samym czasie to samo słońce zachodziło za górami wznoszącymi się za tylnym patio ich domu w Innsbrucku i nad rozległą doliną Merano, patrząc od strony bezimiennego grobu, i za czerwoną flagą ze swastyką na granicy austriacko-niemieckiej, i nad wąskim, alpejskim przesmykiem, gdzie włoska trawa, która w innych czasach była trawą austriacką, porastała kości, nad który-

mi nie powiewały flagi określające ich państwową przynależność, i nad Montmartre, gdzie ktoś być może zachodził w głowę, co też się stało z królem Hiszpanii na wygnaniu. To samo nawet słońce zachodziło zapewne za górą Abantos, patrząc od strony Lux Domini, pustego czerepu tkwiącego pośrodku kraju zamienionego w cmentarzysko. Ale o tym wszystkim nie rozmawiali. W to miejsce z drobiazgową dokładnością Fernando wymienił jeden po drugim wszystkie przepiękne kadry tego morskiego, dzikiego i nieokiełzanego pejzażu i już umierał z tęsknoty za chwilą, w której będzie mógł go przenieść na płótno. Zacznie już jutro.

Lux Lucis

Pierwszy napisany przeze mnie i zachowany w pamięci wiersz zadedykowałem Vicentemu. A brzmiał on tak:

*Nazywam się Vicente i
jestem Asystentem. Vicente
Sykstus się zwę i Doñi
Eugenii asystuję.*

Wiele lat później zrozumiałem, że nie był to wiersz, tylko rap. Temu fortunnemu objawieniu zawdzięczam ukierunkowanie swojej zawodowej kariery, bo dzięki niemu nie porzuciłem pisania, ulegając jedynie perswazji, żeby poświęcić życie rapowi.

Vicente Sykstus był dla Lux Domini tym, czym zdjęcie na pudełku puzzli, które jest nieodzowne do zrozumienia sensu układanki oraz jej wymiaru, ułatwia wybór adekwatnej strategii pozwalającej umieścić właściwy element w odpowiednim miejscu i do którego można odwoływać się w razie wątpliwości. Vicente zarządzał domem, robił wszystko, co było do zrobienia, i zlecał to, co należało zrobić, a czego on sam zrobić nie mógł. Prowadził rachunki, doprowadzał do ładu ogród, naprawiał pęknięte rury, wieszał obrazy, wyburzał ściany, stawiał ściany i robił to wszystko, zanim ktokolwiek z domowników zdał sobie sprawę, że trzeba doprowadzić do ładu ogród, naprawić pękniętą rurę, powiesić obraz, wyburzyć lub postawić ścianę. Nie

był majordomem ani sekretarzem, ani konserwatorem, ani ogrodnikiem, chociaż na jego aktywność składały się wszystkie te funkcje po trochu i wiele innych. Babka nazywała go swoim asystentem, co w świetle jakiegokolwiek schematu struktury organizacyjnej służby czyniło znakomicie niejasną jego prawdziwą rolę, zwłaszcza gdy goście stwierdzali, że jego miejsce nie znajdowało się ani w kuchni, ani na sienniku w piwnicy, tylko przy stole, jak równy z równym, w pokoju przylegającym do pokoju babki wyposażonym w niepokojące drzwi łączące oba pomieszczenia. Kiedy mówił o niej w trzeciej osobie lub w obecności kogoś trzeciego, posługiwał się zwrotem pani Eugenia, ale słyszeliśmy, jak mówi do niej Uke, gdy oboje sądzili, że w pobliżu nikogo nie ma.

Jako dziecko byłem święcie przekonany, że Vicente Asystent nie jest odrębną i suwerenną istotą ludzką związaną z naszym domem, ale oddelegowanym do nas wysłannikiem jakiegoś kolektywu czy ciała związkowego, istniejącym pod każdą strzechą i w każdej rodzinie: tata, mama, babcia, rodzeństwo, pies i Vicente Asystent, jakby był urzędowym substytutem dziadka, stanowiskiem, które można było uzyskać poprzez egzamin konkursowy, czy zgoła przyznawanym na mocy prawa do dziedziczenia, był bowiem tak integralną częścią rodziny, jak inni jej członkowie, nie wyłączając psa, z którym - co do tego nie miałem żadnych wątpliwości - byłem spowinowacony w takim samym stopniu, jak z rodzicami czy z Vicentem Asystentem. I tak, kiedy opowiadałem innym dzieciom lub nauczycielkom z podstawówki o Vicencie Asystencie, miałem niezbitą pewność, że wiedziały, o kim mówię, bo przecież powinny były mieć w swoim domu jednego, jak ma się rodziców. Wyjaśnianie, o kogo chodzi, wydawało mi się zajęciem tak nonsensownym, jak tłumaczenie, kim byli Asterix czy Mortadelo.

Wiele lat później dowiedziałem się, że mój ojciec patrzył krzywym okiem na dwuznaczny związek babki i Vicentego. Nikt jednak nie mógł zakwestionować jego obecności w domu czy odebrać mu prawa do przebywania w nim, skoro był tam od zawsze, jeszcze przed powrotem babki do Lux Domini, a jest więcej niż pewne, że gdyby nie on, dom zniknąłby z powierzchni ziemi.

Był rok 1939, wojna dobiegła końca, a jej rezultat okazał się satysfakcjonujący dla hiszpańskiej społeczności na wygnaniu w Estorilu, toteż Victoria obwieściła, że nadeszła długo oczekiwana chwila repatriacji. W ciągu tych kilku lat Uke i Fernando znosili katy-sze strachu i niepewności, odkąd w lipcu 1937 doszły ich wieści o bitwie o Madryt, której front ustalił się na zachód od stolicy, jak również o tym, że generał dowodzący siłami republikańskimi ulokował swój punkt dowodzenia w pałacu Canto del Pico, zaledwie kilkaset metrów od własności rodu Mencía. Jako że nie mieli żadnych informacji o stanie domu, bali się, że będzie splądrowany albo jeszcze gorzej. Latem 1939 roku drzwi hispano-suiży otworzyły się przed bramą Lux Domini. Z muru znikły stare litery z kutego żelaza, osadzone tam przez pierwszych właścicieli. Uke wysiadła z samochodu i rozkoszowała się tym jakże wyczekiwany momentem, po prawie ośmiu latach nieobecności dotykając stopami szutru pokrywającego stromiznę. Musnęła dłonią kamienie, z których można było jeszcze odczytać, dzięki rdzy pozostawionej przez żelazo, nazwę domu. Potem zajrzała do środka przez pręty, lecz brzozy lasek lojalnie zasłaniał starą willę. W nerwowej ciszy otworzyła podwoje i wróciła do auta, które po chwili zaczęło pisać się pod górę stromym podjazdem. Ledwie przejechali kilka metrów, gdy jakaś postać zniecka zastąpiła im drogę. Był to czysty i chudy mężczyzna odziany w połatane ubranie, z obliczem pokrytym bujnym, wielodniowym zarostem. Głowę przykrywał mu beret, przez ramię przewieszoną miał pasterską torbę i ładownicę. Mierzył do nich z myśliwskiej strzelby.

Przeżony Fernando zahamował gwałtownie i wrzasnął do siedzących na tylnym siedzeniu Uke i Nanda, żeby pochyłili głowy. Potem błagalnym tonem ją zaklinał nieznajomego, żeby na litość boską nie strzelał, że w środku jest kobieta i dziecko i że nie chcą mieć problemów, że dostanie pieniądze, jeśli mu o nie chodzi. Fernando

1 Uke z wolna unieśli strwożony wzrok nad deskę rozdzielczą, gdy

Nando tymczasem z trudem łapał oddech przyciśnięty matczynym strachem do jej łona. Nieznajomy opuścił lufę strzelby ku ziemi i patrzył na nich, mrużąc oczy pod zrosniętymi w jedną linię, krzaczastymi brwiami. Fernando wykrzyknął, że żyli tutaj przed wojną,

że to ich dom i że pragną jedynie ponownie w nim zamieszkać. Nieznajomy zdawał się wahać przez chwilę, po czym przewiesił strzelbę przez ramię, podszedł do okienka kierowcy i wcisnął głowę do środka, żeby przyjrzeć się z bliska pasażerom, którzy nie śmieli drgnąć jednym choćby mięśniem. Kiedy wzrok mężczyzny spoczął na Uke, ta jęknęła przerywanym szlochem, żeby nie robił im krzywdy. Nagle bujny zarost nieznajomego przetrzebiła szeroka wstęga uśmiechu. Zerwał z głowy beret i zawołał:

- Uke! Wszelki duch Pana Boga chwali! Nie poznajesz mnie? To ja, Vicente!

Uke doznała wówczas uczucia, jakie człowiek ma w chwili, gdy dotyka dna basenu z wstrzymanym oddechem, uszami i płucami uciskanymi ciśnieniem wody, ze spęczniała świadomością, i gdy zaraz potem odbija się w górę i mknie ku powierzchni, i czuje, jak ucisk wody ustępuje, jak światło staje się coraz bardziej intensywne, i słyszy dobiegające z zewnątrz stłumione dźwięki i w końcu jego głowa przebija taflę wody, a w ciało wlewa się strumień świadomości przez zamglone wodą oczy, przez odkorkowane powietrzem uszy, na skrzydłach słodkiego tlenu ponownie wypełniającego płuca. Vicente!

Carmen, matka Uke, szykowała często Vicente'mu bułkę z szynką, którą mały musiał zjeść w jej obecności, żeby jego rodzony ojciec nie skonfiskował mu posiłku na własny użytek. Ceną za tę wyzerkę była obowiązkowa, wielka szklanica mleka, którego Vicente z całego serca nienawidził. Później, gdy chłopiec szedł w drogę powrotną do chałupy rodziciela z żołądkiem pełnym pysznej szynki z Huelvy, Carmen pouczała Uke, żeby nie wygadała się ojcu ani o podwieczorkach Vicente'go, ani o ich wspólnych łąkach po górach. W tamtym okresie Fernando bardzo różnił się od żony swoim stosunkiem do osób zajmujących dolne szczeble społecznej hierarchii i przedstawianie córki z obdartymi, nieuczęszczającymi do szkoły dzikusami budziło jego olbrzymie niezadowolenie. Przeciwnie Carmen, która była córką hodowców bydła i której ta sytuacja nie była obca, bo w posiadłości rodziców w Jerez sympatia, jaką darzyła dzieci robotników rolnych, nie była dobrze widziana przez jej ojca, wyniosłego, typowego andaluzyjskiego posiadacza ziemskiego. Vicente

był synem stajennego zatrudnionego w pobliskim gospodarstwie hodowlanym. Dla Fernanda, który wyhodował sobie przyjaźń właściciela majątku, to, że jego córka uczepliła się ostatniego wagonu klasowego pociągu zamiast spoufalać się z dziećmi hodowcy, nie tylko było dramatycznym upokorzeniem, lecz również kompletnym fiaskiem całej jego pedantycznej inżynierii ornej zaprzęgniętej w obrabianie pola nawiązywania stosunków towarzyskich.

Vicente i Uke poznali się, gdy mieli około dziewięciu lat i dziewczynka uciekała z domu, żeby łowić żaby w pierwszym napotkanym strumieniu. On oddawał się podobnemu zajęciu, więc ich spotkanie było nieuniknione. Różnili się metodologią badań gatunków zwierząt. Uke przemawiała do nich, używając zaklęć typu „piękna żabka” i całując, celem sprawdzenia, czy to opowiadanie o księciu to rzeczywiście prawda, podczas gdy Vicente należał raczej do zwolenników umieszczania w ich odbycie słomki i dmuchania do rozpuku delikwentek lub raczenia ich alkoholem, podpalania wetkniętego w pyszczek lontu i weryfikowania, czy dadzą radę dopaść wody, zanim nastąpi eksplozja. Do konfliktu doszło w dniu, w którym ta sama żaba stała się obiektem pożądania poszukiwaczki ksiąząt i radykalnego fizjologa. Przewyciężywszy początkową wzajemną nieufność, w obliczu wciąż wiszącego na włosku życia nieszczęsnej żaby ona spytała go, jak ma na imię. Vicente, odpowiedział on i spytał o to samo. Maria Eugenia, powiedziała ona, na co on wykrztusił: „Marijaukejak?”. Ponieważ nie był w stanie wymówić poprawnie jej imienia, postanowił nazywać ją po prostu Uke i tak oto babka zaadaptowała nowe imię, pod którym znaliśmy ją od zawsze. Nie wiem, co stało się w końcu z żabą. Wiem jednak, że Vicentemu udało się skraść Uke jeden pocałunek w celach ściśle naukowych, gdyż za wszelką cenę chciał sprawdzić, czy księżniczka zamieni się w żabę.

Uke i Vicente wydeptali we dwójkę wiele ścieżek w górach, lecz wspólne eskapady urwały się nagle, gdy dziewczynka ujawniła pierwsze fizyczne oznaki przemiany dziecka w kobietę. Na szczęście harce można było jeszcze patrzeć od biedy przez palce, jednak pod żadnym pozorem Fernando nie mógł tolerować wikłania się księżniczki z dworu w miłość z żabą. Uke w dalszym ciągu snuła

się po górach zgodnie z imperatywem wolnego ducha zawiadującego jej istnieniem, ale już w trybie wolności kontrolowanej, i jej spotkania z Vicentem stawały się coraz rzadsze, aż w końcu ustały niemal zupełnie. Chociaż, jak się później okazało, nigdy nie pozostawał zbyt daleko.

Wszystkie te wspomnienia stłoczyły się gwałtownie pod czołem Uke, gdy w owym spontanicznym wartowniku strzegącym bram Lux Domini rozpoznała Vicentego. Była to okoliczność całkowicie nieoczekiwana i ze wszech miar zdumiewająca i Uke pragnęła dowiedzieć się, co, jak, kiedy i dlaczego. Vicente zasiadł w aucie obok Fernanda i w drodze do domu opowiedział, że po śmierci ojca porzucił służbę w gospodarstwie hodowlanym, zakupił stadko owiec i żył ze sprzedaży mleka, sera i wełny, i od tej pory nie spuszczał już Lux Domini z oka. Wypasał swoją trzódkę na pastwiskach sąsiadujących z domem i zauważył, że był tam jakiś dozorca, z pewnością osobnik zatrudniony jeszcze przed wojną przez Victorię, jednakże Vicente miał wrażenie, że nie wypełnia on swoich obowiązków jak należy i że przemyka oko na grasujących w posiadłości przygodnych szabrowników dzielących się z nim częścią łupu. Kiedy w 1936 roku gruchnęła wieść o powstaniu zbuntowanej armii, stróż przepadł jak kamfora. Vicente nie palił się do walki, mimo iż odwiedziło go kilku dawnych kolegów, którzy nalegali, aby wstąpił do milicji republikańskiej. On jednak miał w głębokim poważaniu całkowicie mu obcy konflikt, sformował więc własne wojsko i zawiadując stadem owiec, rozłożył się obozem na terenie Lux Domini. Przy użyciu kamieni pozbieranych w okolicy rozbudował domek dozorczy, w którym wymościł sobie komfortowe lokum, umacniając jednocześnie mury swojej fortyfikacji.

Po tym, jak okolicę opanowało wojsko, które zainstalowało się na Canto del Pico, uświadomił sobie, że wraz z nim nadciągają problemy. Zamelinował się w swojej twierdzy, z której wychodził tylko nocą, i żywił się ubijanymi owcami. Wkrótce nastąpiły pierwsze próby zajęcia posiadłości. Z początku odpierał je za pomocą strzałów czy okrzyku „wynocha, bo jak nie, to naszpikuję śrutem!”, bardzo szybko jednak zdał sobie sprawę, że metoda ta nie wywiera pożądanego skutku; żołnierze nie ustawali w swoich usiłowaniach

i wystraszył się, że w końcu go dopadną i zaarrestują. W przyływie genialnego natchnienia stworzył Honoria. Pomyślał, że żołnierze prędzej się wystraszą diabelskiej zjawy broniącej dostępu do zakłętogo domostwa niż samotnego pasterza ze zwykłą myśliwską strzelbą. Zszył do kupy kilka koców w formie tuniki, którą narzucał na siebie, wypełniając górną część słomą, aby uzyskać wrażenie monstrualnej wielkości. Na głowie, pod kapturem, przywiązywał sobie czaszkę barana i w jego puste oczodoły wkładał rozpalone do czerwoności węgle, których żar podsyczał ukrytym pod tuniką miechem. W rezultacie powoływał do życia straszliwego i siejącego postrach upiora--olbrzyma obleczonego w obszarpany całun, z obliczem demona i ślepiami, w których płonął piekielny ogień. O zmroku zapalał w domu świece i uderzał w rozdzierający lament, który miał ostrzegać o obecności zatraconych dusz, a jeśli jakiś zuch ośmielił się przeskoczyć mur i rzucić wyzwanie potędze duchów, częstował go na powitanie Honorium, na którego widok intruz zmiatał w popłochu. Efekt był tak porażająco skuteczny, że próby inwazji ustały. Z tego opowiadania ja i moi kumple wyciągnęliśmy wniosek, że Honorio istniał naprawdę i że po powrocie babki i jej ojca do domu zwiął jak niepyszny, znajdując schronienie w niezbadanym pustkowiu Walpurgii, gdzie nieustannie czyhał na nasze wyprawy. Chociaż z tego, co pamiętam, zobaczyć go, tak na własne oczy, nie udało się nam nigdy.

Pomimo heroicznej kurateli Vicentego widok, jaki ukazał się oczom Uke i Fernanda po przekroczeniu progu willi, był oślakany. Ich rodzinne gniazdo zostało zbezczeszczone, splądrowane przez obcych ludzi, którzy rozbebeszyli wszystkie zakamarki budynku w pogoni za zdobyczą, co bez wątpienia musiało nastąpić w okresie, gdy posiadłości pilnował dozorca zgodzony przez Victorię. Plany Fernanda nie przewidywały tak długiego wygnania, nie mówiąc już o wojnie, a ponieważ decyzja o ucieczce zapadła w pośpiechu, nie pomyśleli o zabraniu z domu wartościowych przedmiotów, zanim ewakuowali się z niego sami. Fragmenty porozbijanych gablot wały się porozrzucane na podłodze, większość dawnego instrumentarium medycznego Fernanda przepadła jak kamień w wodę, resztkę ocalałych mebli nie nadawała się do użytku, szabrownicy

wypatroszyli ściany i podłogi z ołowianych rur i miedzianych kabli. Kuriozalnie obrazy trwały niezłomnie na swoich miejscach, a także zbiory przyrodnicze żony Fernanda, jedyne rzeczy, z którymi rabusi nie wiedzieli zapewne, co począć, mimo iż niektóre płótna były bardzo cenne. Od pierwszej chwili, gdy tylko weszła do salonu, niby obojętnym wzrokiem Uke lustrowała ściany w poszukiwaniu „Władcy równin”, który widziała potrzaskany po raz ostatni w kącie osiem lat temu, lecz po obrazie ślad zginął.

Vicente zaproponował, że zajmie się remontem w zamian za niezwykle zapłatę: kwestia wyżywienia i łóżka nie podlegała oczywiście dyskusji, ale on nie chciał pieniędzy. Pragnął nauczyć się czytać, pisać i prowadzić samochód, i żeby Uke opowiadała mu o świecie. I tak babka stała się jego Pigmalionem: w godzinach porannych otaczała swego ucznia książkami i dawała mu lekcje historii, mitologii, sztuki, literatury, nauk przyrodniczych, matematyki i geografii; w południe Fernando ćwiczył go w sztuce poskramiania pedałów automobilu; popołudniami wkładał robocze buty i drelich i oddawał się z entuzjazmem wskrzeszaniu domu. W Nandzie znalazł chętnego współnika, który z zapalem objął funkcję pomocnika murarza. W pewnym sensie chłopiec zaadaptował Vicente jako swoją polową niańkę. Pod dachem Lux Domini Nanda wychowywała jego matka, lecz gdy tylko stopy syna dotykały trawy, Vicente przejmował obowiązki szefa brygady. Choć w tamtych miesiącach mieszkali na gruzach, odnaleźli tu cichą i spokojną egzystencję, w poszukiwaniu której zjeździli pół Europy. Uke i jej ojciec żartowali często, ileż to musieli nabłędzić się po świecie, żeby móc wreszcie zasiąść błogo w domowym fotelu. Rozmowa ta kończyła się zwykle uśmiechami zabarwionymi melancholią i ciszą opatrywaną niezmiennie tym samym morałem: „Ale przynajmniej podróżowaliśmy”.

Jakiś czas po powrocie, kiedy Vicente przyswoił już sobie arkanę sztuki szoferskiej, Uke poprosiła go, żeby ją zawiózł do Quinty Lizarrabengoa, posiadłości Delseya. Zamierzała wysłać przyjacielowi list, w którym pragnęła podzielić się z nim dobrymi nowinami o końcu wojny, o czym zapewne już wiedział, oraz o swoim powrocie z synkiem i ojcem do Torrelodones. Pomyślała jednak,

że zanim weźmie się do pisania, dobrze byłoby obejrzeć rezydencję barona na wypadek, gdyby w czasie działań wojennych doznała jakichś uszczerbków wymagających napraw, tak by właściciel mógł bezzwłocznie pośpieszyć na upragnione spotkanie ze swoim matecznikiem madryckiej swobody. Jednakże widok, jaki ujrzała po drugiej stronie wzgórza Canto del Pico, był straszliwy. Nieledwie szczątki murów sterczały w pionie, szerniały i szernbate jak użębienie trupa. Reszta, to, czego nie wymiół wiatr i nie zmył deszcz, była opustoszałym, wypalonym pogorzelskiem. To katastrofalne odkrycie przepelniło jej serce głęboką goryczą i z wielkim trudem znalazła słowa, aby opowiedzieć o tym przyjacielowi. Zredagowanie listu zajęło jej wiele dni. Odpowiedź Delseya była żalobną odą do fatalizmu jego losu. Nic już nie będzie dla niego takie samo, lecz mimo to nie mógł pozostawać dłużej w więzieniu zamku. Myślał o tym, żeby przenieść się do Paryża. Uke ogromnie zasmuciła wieść, że zabraknie jej w bliskim sąsiedztwie przyjaciela, chociaż z drugiej strony nie mogła sobie wyobrazić Delseya mieszkającego pod wiejską strzechą, spletanego rutyną prowincjonalnego życia. Torrelodones potrzebowało czasu, aby odzyskać swój stan sprzed wojny. Uke i jej rodzina, w przeciwieństwie do Delseya, szukali jedynie odrobiny spokoju.

W trakcie renowacji Lux Domini Fernando zamykał się na tonącym w chaosie poddaszu i malował, a kiedy pędzel ciążył mu zbyt ciężko w dłoni lub gdy on sam przestawał odróżniać plamy kolorów, schodził na dół, aby przejść się po świeżym powietrzu i zapraszał Vicentego na kieliszek koniaku. Nawiazali z sobą przyjazne stosunki i z ust Vicentego nigdy nie padła najdrobniejsza choćby sugestia, że chowa w sercu żal za okazywaną mu przed laty wzgardę. Fernando tymczasem nigdy nie spisał na straty pragnienia, aby jego córka poślubiła dzentelmena pochodzącego z jej sfery i z tego względu nie omieszkął napominać regularnie Uke o konieczności oddzielenia przyjaźni i nazwisk. Każdy, kto znał go przed podróżą, zauważyłby, że Fernando oddalił się bardzo od swoich dawnych pozycji, lecz świadomość klasowa była dla niego czymś tak naturalnym jak różnica między kobietą i mężczyzną. Jego filozofię streszczało stare porzekadło, które przypominał córce na każdym kroku: razem,

ale osobno. Uke nigdy nie wyszła za mąż i nigdy nie zwierzyła się nikomu z prawdziwej natury swego związku z Vicentem, jeśli w ogóle było jeszcze coś, co wymagało jakichkolwiek wyjaśnień. Nikt też jej o to nie pytał. Wszyscy wiedzieli, że od końca wojny do dnia jej śmierci ten właśnie mężczyzna stwarzał najwięcej przesłanek pozwalających przypisać go do roli męża i że te szczeliny jej serca, do których nie docierała uczuciowa jurysdykcja Szkota, zostały wypełnione nim tak szczelnie, że nie było już miejsca dla nikogo innego.

Pewnego ranka Uke wybrała się z Vicentem w Alpy, gdzie przyszedł na świat jej syn. Kartkując jakąś książkę, pokazywała mu zdjęcia gór i miejscowości, opowiadając jednocześnie o życiu tamtejszych ludzi. Mówiła, że szczyty gór Guadarrama były zaledwie cieniem tamtych majestatycznych olbrzymów, które wznosiły się nad miasteczkami niczym wieżycy warownego zamczyska. Przewracając kolejną stronicę książki, ujrzała nagle reprodukcję obrazu, którego styl rozpoznała natychmiast. Było to dzieło Landseera, autora „Władcy równin”. Scena ukazywała nieprzytomnego i na wpół zasypanego śnieżną lawiną alpinistę, któremu na pomoc przybyły dwa wielkie bernardyny. Jeden z nich czekał, aby zawiadomić służby ratownicze, inny tymczasem, z beczułką uwiązaną do szyi liżał człowiekowi rękę, usiłując go ocucić. Uke wyjaśniła Vicentemu, że owe psy używane są od bardzo dawna do odnajdywania i ratowania ludzi w górach i że beczułka wypełniona jest alkoholem służącym do rozgrzewania żołądka skostniałych z zimna i znajdujących się w tarapatach amatorów górskich wspinaczek. Stając niespodziewanie oko w oko z dziełem malarza, którego wspomnienie rozdmuchiwało żar starego i uśpionego ognia, Uke z pewnością zapłakała, a Vicente odczytał te łzy jako wyraz tęsknoty za Alpami. Jakkolwiek by było, kilka dni później zjawił się z podarunkiem dla swojej nauczycielki: szczeniakiem bernardyna zaopatrzonym w beczułkę zwisającą u szyi. Ponieważ nie wiedział, jakiego alkoholu używają Szwajcarzy, napełnił ją brandy 103, a Uke, nie szukając daleko, ochrzciła psa imieniem Stotrzy. Beczulkę brandy wysuszyli we dwójkę, świętując zakończenie rekonstrukcji domu. Lux Domini nigdy nie wyglądała tak młodo.

Po zakończeniu remontu Uke spytała Vicentego, co zamierza teraz robić. Odparł, że nie wie, że poza nimi nie ma nikogo i że gdyby to było możliwe i mógłby na coś się przydać, to on chciałby tu zostać. Na taką właśnie odpowiedź czekała Uke i zaproponowała mu nowy pakt: będzie jej asystentem, tym razem w zamian za godziwą zapłatę. Zamieszka nie w stróżówce, ale w domu i zajmie się bieżącymi sprawami. Dla Vicentego było to o wiele więcej, niż mógł oczekiwać od życia, i od tego czasu jego oddanie Uke, czy jak je tam zwał, było bezgraniczne. I vice versa.

W następnych dziesięcioleciach świat zmieniał się wokół stalego mikroklimatu Lux Domini. Zmiany następowały w ślimaczym tempie, jak przystało na zapętloną w swoje sprawy Hiszpanię, lecz były gruntowne. Nędza okresu powojennego nie przedarła się za mury domu, choć przez pewien czas, jak większości rodzin, rodu Mencfa nie ominęło racjonowanie żywności. Mały Nando nie był już mały i z Nanda stawał się kolejno Fernandem, panem adwokatem i panem sędzią Mencfa. Po drodze spotkał ładną stenotypistkę sądową i zdecydował, że to ona powinna zostać matką moją oraz mojego rodzeństwa, na co przystała bez apelacji. W Torrelodones zbudowano autostradę, kasyno i dziesiątki osiedli, które wywołały falę przyływu cementu, madryckiej klasy średniej złąknionej aromatycznego górskiego powietrza oraz falę odpływu klasy zamożnej poszukującej powietrza mniej aromatycznego w Marbelli czy Palmie na Majorce. Canto del Pico i El Pendolero przetrwały na swoich pozycjach, również arabska baszta o wyglądzie gabinetowej zapalniczki. Lux Domini obiegly nowe domy i szczerze pole cofnęło się hen, za widnokrag. Jelenie, jak ten, który ukazał się niespodzianie Uke i Hamishowi tamtego burzowego wieczoru, odeszły za widnokrag, zapewne w poszukiwaniu szczerzego pola.

Pewnego dnia 1971 roku Uke wdrapała się do pracowni na poddaszu, w której panował taki sam chaos jak w roku 1939. Jej ojciec nie dawał znaków życia przez całe przedpołudnie i pieczone stygło na talerzach. Wszedłszy do środka, znalazła Fernanda leżącego na podłodze, obok zydła, wciąż dzierzącego w dłoni pędzel umaczany w niebieskiej farbie. Ostatnie dotknięcie ześlizgnęło się po skosie ze środka płótna w dół, do narożnika blejtramu, gdzie zamieniło

się w pozeźnalną sygnaturę złożoną przez artystę, lekarza, istotę lekkomyślną i maniaka, człowieka prawego i dobrego, uzbrojonego w niezniszczalną kruchość oraz pobłaźliwość o nieprzekraczalnych granicach. Odkładając łzy na inną okazję, kiedy nie pozostaje już nic poza płaczem, Uke poleciła Vicentemu sprowadzić karetkę, sama zaś pobiegła do gabinetu ojca w poszukiwaniu dokumentów przygotowanych na wypadek jakiegoś nieszczęścia lub ciężkiej choroby, które Fernando przechowywał w stojącej zawsze na biurku kasetce obciążonej czarną skórą. W środku znalazła kopertę, której rewers opatrzony był jednym słowem: Uke. List ten dostałem od matki wiele lat później. Fernando pisał w nim:

Moja kochana córko,

nim wyruszę w drogę, piszę do Ciebie tych kilka słów, które przeczytasz już po moim odejściu lub gdy czekać będę na peronie na ostatni pociąg. Kreślę te słowa, bo chciałbym Cię prosić o wielką przysługę, której z pewnością nie wyświadczyłabyś mi nigdy, gdyby nie hańba, jaka spadłaby na Ciebie w wypadku odmowy, idzie bowiem o ostatnią wolę Twego ojca. Jeśli Pan nie będzie miał wobec mojej osoby innych planów, chciałbym umrzeć w Lux Domini. Gdybym doznał jakiegoś ataku w domu, bardzo Cię proszę, oszczędź mi szpitala. Tylko wówczas, gdybym stracił świadomość i uznałabyś, że cierpię ponad miarę lub że agonia trwa dłużej niż trzy dni, wyrażam zgodę, abyś sprowadziła pomoc medyczną. Jeśli nic takiego nie nastąpi, stąd, z tego domu, w którym mieszkają moje wspomnienia, odjedzie mój pociąg.

Być może zdziwi Cię, że mówię o śmierci tak otwarcie w chwili, gdy życie kołacze się jeszcze w moim sercu. Lecz w ostatnich latach wstaję każdego dnia z nieodpartym wrażeniem, że zamykam, kończę sprawę, bo w istocie nie czuję się już na siłach, by zaczynać od nowa. Nawet gdy zabieram się do kolejnego obrazu, mam przeczucie, że będzie ostatnim z serii. Mogę tylko podziękować niebu za wszystkie dary, jakimi mnie obsypało. Twoja matka była cudowną i wyjątkową istotą. Różniliśmy się bardzo i nigdy nie zdołałem jej zrozumieć, jak ktoś, kto posiada obraz, o którym wie, iż jest drogocenną rzadkością, lecz nie potrafi pojąć, co przedsta-

wia, ani wyrazić w słowach, na czym polega ta jego wyjątkowość i wartość. Bóg dał mi dwie sposobności, abym mógł radować się jej towarzystwem. Pierwsza była bardzo krótką chwilą, może dlatego, że prawdziwe delikcje należy kosztować w małych dozach. Druga właśnie się przede mną otwiera i tym razem nie będzie już mieć końca. Tym pragnieniem żyję w ostatnich dniach i jego spełnienia wyglądam jak ziemia spragniona deszczu. Ona zostawiła mi jeszcze coś, zostawiła mi najlepszą część siebie w Tobie. Byłaś przez te wszystkie lata światłem mego życia i głównym sensem mojego istnienia. Twoja siostra, jej rodzina, Twój syn, który nosi moje imię i nazwisko, niezapomniani przyjaciele, jak Imre Molnar, a nawet dobry i wierny Vicente, wszyscy oni byli bezcennymi darami, lecz Twój los i mój los stopiły się w jedno przez większą część naszego życia. Nigdy nie zrozumieję, dlaczego zgodziłaś się w ten sposób złączyć swoją drogę z moją, ale wierzę, że wiecność jest za krótka, abym mógł w pełni wyrazić Ci swoją wdzięczność. Razem, wiesz przecież, podróżowaliśmy.

Nie wiem, co jeszcze mógłbym powiedzieć. Słowa nigdy nie były moją mocną stroną. Wierzę, że cel tego listu został osiągnięty. Co do reszty, będę Cię informował na bieżąco, zanim odejdę. Nie chcę zabierać stąd nic prócz wspomnień. Twoja matka będzie zachwycona naszymi przygodami. Nie mogę się już doczekać jej komentarzy oprawionych w ten jej precyzyjny andaluzyjski akcent.

Z bezgranicznym uczuciem miłości

Twój ojciec

FERNANDO MENCIA ARENAL

11 Narzeczona

Sandokana

Niektórzy twierdzą, że przechowują w pamięci wspomnienia z okresu sprzed nabycia tego, co osoby posiadające zdolność posługiwania się rozumem nazywają zdolnością posługiwania się rozumem, uznawaną za jeden z atrybutów - obok świadomości własnej istoty, pojęcia śmierci, wiary w istotę wyższą, zdolności uśmiechania się i woli popełniania przestępstw podatkowych - odróżniających istotę ludzką od innych zwierząt. Jeśli idzie o zdolność posługiwania się rozumem, to należałoby ją zdefiniować raczej jako obecność rozumu i jest to jedyny pewnik, bo przecież zdolność posługiwania się można wyrazić wyłącznie, posługując się nim, a nie brak takich, którzy nie sprawiają wrażenia, aby zadebiutowali na tym polu. Nie wiem, czy z naukowego punktu widzenia możliwe jest magazynowanie wspomnień intelektualnych, to znaczy wspomnień nieuwarunkowanych zaspokojeniem pierwotnego instynktu w momencie, gdy nie rozwinęła się jeszcze zdolność rozumowania. Mimo to są i tacy, którzy utrzymują, że pamiętają nawet wygląd lekarza odbierającego poród, mało tego, gotowi są przysiąc, że wykorzystali podróż przez kanał rodny i pierwszy przebłysk wąskiego światła zakradającego się do pochwy, aby przekartkować dziełko Borgesa, które ich matka połknęła kilka miesięcy wcześniej i którego lekturze pragnęli się oddać przy pierwszej nadarzającej się sposobności. Cóż, ja nie mam żadnych wspomnień z okresu poprzedzającego moje trzecie urodziny, kiedy to wraz z rodzicami przeprowadziliśmy się do Lux

Domini. Tak więc pod względem emocjonalnym dom ten miał dla mnie takie samo znaczenie jak macica mojej matki. Pamięć, podziurawiona wyrwami ciszy, za którymi stoi niewątpliwie domowa rutyna odmawiająca wstępu jakimkolwiek sensacjom, porządkuje postaci wchodzące i wychodzące przez kulisy zawsze tej samej sceny, niemal bez konieczności uruchamiania w antraktach maszynerii teatralnej. Aby zrozumieć motywacje i zachowania niektórych z owych postaci musiałem czekać całe lata i odkryć inne perspektywy mojej ówczesnej rzeczywistości. Moje dzieciństwo, jak zapewne dzieciństwo wszystkich ludzi, jest niczym film, którego scenariusz jest tak dopieszczony, że w godzinę po wyjściu z kina, podczas kolacji, jeden z niedających spokoju niuansów ląduje w końcu na swoim miejscu, jak w grze komputerowej 3D Blocks, i wówczas mur znika i ktoś nagle krzyczy: jasne, teraz rozumiem!

Kiedy umarł pradziadek Fernando, mieszkaliśmy w Escorialu, gdzie pracował ojciec. Ojciec nie był osobnikiem sentymentalnym, lecz miłośnikiem czystego rozumu. Po pogrzebie usiłował nakłonić Uke do sprzedaży jaskiniowej willi i zamieszkania z nami. Na próżno. Uke nie pojmowała świata z perspektywy innego miejsca, jak tlenu potrzebowała ochrony i wspomnień tych murów, którym zawdzięczała swoją tożsamość. Poza tym miejscem nie potrafiłaby się odnaleźć, mówiła, nie wiedziałaby nawet, kim jest. W Lux Domini była królową najpiękniejszej rezydencji na świecie. W Escorialu natomiast skurczyłaby się do formatu emigrantki walczącej o wolną ławkę w parku, stałaby się jedną z tych staruch przepędzających beczynne popołudnia w kawiarni Miranda przy filiżance czekolady, wyzywając na pojedynkę grzanki klejem swoich sztucznych zębów i zanudzając inne, podobne sobie staruchy, opowieściami o tym, kim to ona nie była, kiedy jeszcze była. Ona nie będzie dźwigać krzyża jeszcze jednego wygnania. Umrze w swoim domu, jak jej ojciec.

Nieustępliwość babki sprawiła, że rodzice, mój brat i ja zamieszkaliśmy w domu u stóp Canto del Pico i wypełniliśmy swoimi istnieniami wszystkie jego zakamarki, bo gdy urodziła się moja siostrzyczka Isabel - z tego, co wiem, jedyna istota ludzka, jaka kiedykolwiek przyszła na świat w Lux Domini - trzeba było przerobić na sypialnię kapliczkę, która aż do tamtej chwili zachowała swój pierwotny

układ. Nasza przeprowadzka była również odpowiednim momentem, aby nadać całemu domowi bardziej współczesne oblicze. Razem z nami wprowadził się tam XX wiek. Gdy dzisiaj o tym myślę, nie chce mi się wierzyć, że do tego czasu babka, jej ojciec i Vicente przeżyli bez centralnego ogrzewania, bez gorącej wody w kranach, bez telewizora i bez pralki. Wciąż jeszcze pamiętam osłupienie babki patrzącej, jak grubaśna Heidi i jej dziadek o włosach koloru bawełny spacerują po ekranie jednego z pierwszych kolorowych telewizorów Philips, jakie pojawiły się w Hiszpanii, wyposażonego w trzy barwne, przezroczyste pokrętła przyczepione z przodu i wyglądające jak żelki pachnące rozkoszami obrazów, które zdawały się tak naturalne, jakby postaci z telewizora mieszkały sobie w salonie domu.

Miałem dziesięć lat, kiedy odbiornik ten zalał bładą, barwną poświatą noce w szklanym salonie. Największe emocje budziły we mnie trzy programy z zachowaniem następującej kolejności: „Hombre y la Tierra” Feliksa Rodrigueza de la Fuente, filmy wojenne, w których Niemcy rozmawiali między sobą po hiszpańsku z niemieckim akcentem, Amerykanie zaś po hiszpańsku bez akcentu oraz moja sąsiadka Mariana, starsza siostra Fermfa, która nie występowała w telewizji, ale miała na imię tak samo jak narzeczona Sandokana i oczy w kolorze południowych mórz. Była też dwa lata ode mnie starsza. Miałem ulubioną kasetę z muzyką z filmu o Sandokanie i słuchałem jej na okrągło, myśląc o oczach Mariany. Nie znałem innych oczu, w których przelewałoby się tyle wody, z wyjątkiem oczu babki jarzących się turkusową fosforescencją, kiedy opowiadała nam historię swej długiej, europejskiej podróży i kiedy otwierała dla mnie gabloty ze zbiorami przyrodniczymi swojej matki, kobiety starożytnej, współczesnej paniom występującym w sagach biblijnych, których fragmenty odczytywano podczas niedzielnych mszy i którą wyobrażałem sobie odzianą w skóry i polującą z maczugą na mamuty. Zważywszy na to, że mojemu starszemu bratu łono natury kojarzyło się wyłącznie z pustą dziurą między asfaltowymi drogami, a siostrzyczka Isabel nie potrafiła przyglądać się napotkanemu robakowi, nie usiłując go zjeść, babka przyjęła mnie na naukę w górskim rzemiośle i pokazała mi wszystkie ścieżki prowadzące

do miejsc, które znali jedynie miejscowi. Kiedy wkładała trzewiki i obciskała nimi te swoje kruche kostki wyglądające jak patykowate pęciny bociana w porównaniu z trzonami egipskich kolumn babć moich rówieśników, pędziłem po swoją pasterską torbę, którą przewieszałem przez ramię pełną pustych słoików i innych skarbów pobrzękujących bez określonego celu i zazwyczaj niesłużących do niczego, lecz które miałem przy sobie zawsze podczas naszych wycieczek po górach Hoyo, jakby były trofeami górskiego weterana. Babka zaszczerpiła w nas dwie pasje: przyrodę i sztukę. Ja zakochałem się w pierwszej, siostra w drugiej, brat zaś gotów był oddać serce każdej z nich, gdyby je tylko wyposażono w koła i silnik.

Od czasu do czasu rodzice zapraszani byli do posiadłości jakiegoś przyjaciela, który organizował dla znajomych walki z młodymi bykami lub polowanie na grubszego zwierza, i wówczas babka z Vicentem brali na siebie obowiązek zapewnienia nam rozrywek burzących codzienną rutynę. Zimą zabierali nas do kina lub muzeów w Madrycie, sadzali przed „Las Meninas”, gdzie babka opowiadała bardzo zabawne historie o psie, grubych pannicach i wyzierającym z drugiego planu długowłosym hippisie z wąsikiem, albo wyjaśniała, kim był król Alfons XIII, który wypchał Muzeum Nauk Przyrodniczych spreparowanymi zwierzętami. Vicentemu dostawała się zawsze najbardziej niewdzięczna funkcja - stróża i nadzorcy wszystkich muzeów, w jakich stawiało swoje niecierpliwe kroki rodzeństwo Mencia.

Latem w wycieczkach tych uczestniczyło nad naszymi głowami niebo, co samo w sobie nie było czymś niezwykłym dla dzieci mieszkających na wsi, nowość wszakże polegała na tym, że babka skupiała całą trójcę pod tym samym niebem. Starając się zaspokoić potrzeby estetyczne wszystkich zainteresowanych, kilka razy zawieźli nas na wyścigi samochodowe rozgrywane na torze Jarama. Vicente dzielił z moim bratem namiętność do słodczy etylinowej wonności i obaj tonęli w ekstazie, czując wycie silników końcówkami nerwów.

Podczas jednej z tych niedzielnych wypraw, latem 1978 roku, które okazało się naszym ostatnim latem w Lux Domini, dokonałem najważniejszego odkrycia w swoim życiu. Babka i Vicente zapako-

wali nas do dodge'a ojca i po kilkudziesięciokilometrowej zaledwie podróży znaleźliśmy się w samym sercu dzikiej Afryki. Nie była to całkiem prawdziwa Afryka, ale park safari noszący imię samego Feliksa Rodrigueza de la Fuente. I tamte lwy były żywe, nie jak te snopki słomy ucharakteryzowane na lwy, które jakiś król podrzucił do Muzeum Nauk Przyrodniczych, i były to najprawdziwsze lwy z sawanny, nie jak te z cyrku, rżące w karty między numerami wzorem psów z obrazu Coolidge'a. Nie robiły nic szczególnego, leżały sobie rozwalone pod dębem, beztrudnie rozkoszując się swoją lwią naturą. Ale były lwami! Mogły zabijać ludzi i były na tę okoliczność uzbrojone po zęby, nie cierpiały też z pewnością na deficyt złych intencji, które musiały skrywać pod pogodą ducha, nie mogąc dostać się do naszego dodge'a. Widok tych drapieżnych kotów z krwi i kości bez kamiennej kuli pod łapą ani budynku Kortezów w tle, w przestrzeni, w której mogły robić, co tylko im się żywnie podobało z wyjątkiem wyłuskiwania ludzkich kanapek z panczerza karoserii, zahipnotyzował mnie do tego stopnia, że od tej pory rysowałem wyłącznie lwy, pisałem ciurkiem opowiadania o lwach i dodałem wściekłego lwa ludojada o imieniu Facundo do obsady potworów z dzikiego pustkowia Walpurgii. Po skończonej wizycie w parku zjedliśmy obiad w jakimś przydrożnym bistro i tam, uzbrojony w ostrą amunicję pytań o lwy i Afrykę, ruszyłem do bezlitosnego ataku na babkę.

- Babciu, w jaki sposób ludzie z parku wydostali lwy z puszczy, że ich nie zjadły?

- Musieli to robić bardzo ostrożnie. I wiedz, że lwy nie mieszkają w puszczy, tylko na sawannie.

- Ale przecież lew jest królem puszczy.

- Rzeczywiście, masz rację. Ale z lwem jest tak, jak z dawnym królem Hiszpanii, który nie mieszkał we własnym kraju, tylko za granicą.

- Aha. A jaka jest sawanna?

- Jest... Jest jak to. - Babka przesunęła w powietrzu krawę dłoń, pokazując mi krajobraz, jakby głaskała grzbiety dębów na odległość.

- Naprawdę? Babciu, ty byłeś w Afryce?

_ Nie, Currito. Ja nie... Ale ktoś, kto tam był, opowiedział mi o niej.

- Ktoś? Kto?

- Twój... twój dziadek.

- Mój dziadek? Dziadzius Lolo?

_ Nie... Widzisz, to trochę skomplikowane. Lolo jest tatą twojej mamy- Twój drugi dziadek, ten, który był w Afryce, był tatą twojego taty.

- Mam drugiego dziadziusia?

- Hm... tak. Pamiętasz, jak opowiadałam wam o Szkocie? Tym, który nosił spódnicę w kratę i grał w burzę na skrzypcach?

-Tak.

- No więc ten Szkot był twoim drugim dziadziusiem. Nazywał się Hamish.

(Jak twój ojciec się dowie, że ci o nim powiedziałam, powiesi mnie na suchej gałęzi).

- Mam drugiego dziadziusia! A gdzie on jest?

- Nie wiem, Currito. Wyjechał do Afryki. Może umarł. A może nie.

- Afryka! I polował na lwy?

- Nie wiem. Ale mnie upolował za pomocą lwa.

- Upolował cię? Co to znaczy, że cię upolował?

- Nieważne, Currito. Nieważne.

Zaraz po powrocie do domu tego samego popołudnia wytrząsałem z pudełka kredki świecowe Manley i zobrazowałem scenę, w której myśliwy ze skrzypcami i w spódnicy w kratę ciągnie w kierunku Muzeum Nauk Przyrodniczych lwa i babkę zakutych w łańcuchy. Uke była zachwycona tym prezentem, lecz w wielkim pośpiechu ukryła go w jednej z szuflad szafy, co dosyć mnie zirytowało, ponieważ zazwyczaj eksponowała moje dzieła w uprzywilejowanym miejscu na lustrze swojej toaletki. Uspokoilem się, gdy uzyskałem zapewnienie, że ten obrazek jest najpiękniejszy z wszystkich i należy przechowywać go troskliwie, żeby się nie zniszczył.

Począwszy od tego dnia, misje Czterech Piór zyskały nowy i święty cel: wytropić i zlikwidować lwa Facunda i skończyć raz na zawsze z jego krwawym terrorem w okolicy. Honorio był już potworem

z minionego sezonu, niemodnym jak letni przebój sprzed paru lat. Wyobrażałem sobie biedaka, jak zapomniany i markotny, osierocony przez straszone przez siebie dzieci, siedzi na kamieniu z włochatym obliczem w dłoniach, nie rozumiejąc kompletnie, dlaczego z dnia na dzień zasilili szeregi bezrobotnych fachowców z branży dzieciennych strachów.

Podczas przygotowań do naszego wielkiego polowania usiłowałem zgromadzić jak najwięcej informacji o zwyczajach lwów, wiążąc wielkie nadzieje w tej kwestii z owym tajemniczym dziadkiem, którego ubrałem od stóp do głów w mitologię wielkich białych myśliwych, tworząc w wyobraźni postać będącą zbitką Johna Wayne'a z „Hatari” i dziadka Heidi. Ponieważ w rachubę nie wchodziła bezpośrednia współpraca z tym tajemniczym i niedostępnym podróżnikiem, podjąłem próbę namówienia babki, żeby opowiedziała mi w szczegółach wszystko, co o nim wie, a zwłaszcza o jego przygodach z lwami. Bezskutecznie. W tamtych dniach spędzała całe popołudnia na rozmowach z matką, która gryzmoła jakieś dziwne znaczkę w zeszycie, słuchając jej wspomnień z czasów młodości. Kiedy wtrącałem się do rozmowy z moimi absurdalnymi pytaniami o lwy, matka karciała mnie łagodnie, prosząc, bym nie przeszkadzał. Mówiła, że babka pomaga jej zrekonstruować historię naszej rodziny i że kiedyś docenię ten wysiłek. Miała rację. Dzięki wyjaśnieniom i notatkom stenograficznym mamy w mojej opowieści mogły znaleźć się epizody, które wydarzyły się w latach trzydziestych.

Polowanie zostało wyznaczone na późny wieczór w końcu czerwca. Moja encyklopedia fauny ostrzegła przed tropieniem lwów po zapadnięciu zmroku, w którym poruszają się z większą maestrią niż ludzie i z tego korzystają, aby wyprowadzić na spacer maszynkę do mięsa. Lecz z powodu konspiracji nie mieliśmy innego wyjścia jak wziąć na siebie ryzyko nocnej pory i zacisnąć dłonie na naszych piórach odwagi bez szemrania, i tak też by się z pewnością stało, gdyby nie przypadkowe i trywialne wydarzenie, w wyniku którego wyprawa została odwołana, a nasza jednostka specjalna nieodwołalnie unicestwiona.

W dniu poprzedzającym nocną akcję matka wysłała mnie do miasteczka po chleb. Zwykle zajmował się tym Vicente, tego

ranka jednak musiał pojechać do Madrytu załatwić jakieś sprawy i miało mu się zejść do wieczora, zatem ta arcynudna czynność spadła na barki pierwszego wolnego rezerwowego, czyli moje. Z siatką z materiału w prążki dyndającą na kierownicy roweru popedałowałem do piekarni i stanąłem w kolejce za jakąś kobietą w żałobie, której towarzyszył łaciaty pies w żałobie częściowej. Czekałem na swoją kolej, mając nieudacznie siatką wokół przegubu ręki, gdy nagle za plecami usłyszałem zaskakujące, słodkie „cześć”. Odwróciłem się i w tej samej chwili uderzyła we mnie kryształowo-błękitna fala tsunami, którego epicentrum były oczy Mariany, podczas gdy jej długa, czarna grzywa kołysała się z poszumem i kadencją palmowego lasu pieszczącego plażę atolu koralowego w purpurowej bryzie zmierzchu. Nogi się pode mną ugięły, poczułem gwałtowne mdłości dobywające się z żołądka i sfermentowana breja herbatników Chiquilin i Cola-Cao wypełniła mi jamę ustną, sprawiając, że poczułem się odrażający i straszliwie nieszczęśliwy. Byłem zmuszony przełknąć kwaśną wydzielinę, aby nie zwymiotować na sukienkę Mariany, czego na pewno nie uznałaby za demonstrację bezdennej miłości. Wstrząsany torsjami przeciskającymi się przez gruczoły łzowe wybełkotałem przywitanie, którego ona z pewnością nie dosłyszała, bo w tym akurat momencie rozległ się głos ekspedientki: „Co ty chciałeś, chłopczyku?”. Ja zapomniałem już, co chciałem, wiedziałem tylko, że chcę się ożenić z Mariana, ale miałem poważne wątpliwości, czy ekspedientka jest urzędnikiem upoważnionym do udzielania ślubów. Jak to bywa z kobietami, Mariana wiedziała bardzo dobrze, czego chce. Dwie bagietki i torbę magdalenek. Zaordynowałem ten sam zestaw.

Kiedy wyszliśmy z piekarni, język przysychał mi do podniebienia. Czyniąc nadludzki wysiłek, zdołałem zapytać, czy wraca do domu. Odpowiedziała, że tak. Szliśmy w górę ulicy, ona, trzymając w objęciach torbę z bułkami, ja, starając się zapanować nad moją i okiełznać kierownicę roweru. zaproponowała, że poniesie mi siatkę i przycisnęła ją do piersi, a ja pomyślałem, że póki żyję, nie dopuszczę, aby ten skrawek materiału w prążki skaląta jakaś obca ręka i że te dwie bułki i torba magdalenek otulone tym materiałem winny być przechowywane w gablotach babki. Nie przypominam

już sobie, o czym rozmawialiśmy, ale po dziś dzień pamiętam, że pośliniłem palec i starłem nim kreskę po niebieskim długopisie na jej nosie i że ona nie opierała się i że było to moje najbardziej erotyczne doświadczenie miłosne do czasu mocno zaawansowanego wieku młodzieńczego, i doszedłem nawet do wniosku, że nikły, lecz nieomylny posmak owego tuszu był jedną z przyczyn, dla których wybrałem dziennikarski fach, i że być może dlatego zapach świeżo drukowanych gazet jest dla mnie czymś, czego nie potrafię zwerbalizować, ale co sprawia mi jedną z tych przedziwnych rozkoszy z doświadczeń Pawłowa rodem, tych, które zdają się mocno naciągane, ponieważ rozbrzmiewa dzwonek, a śliniący się na potęgę pies nie otrzymuje swojej porcji polędwicy. Ja nigdy nie dostałem swojej. Nigdy później nie zbliżyłem się już bardziej do Mariany. Nasza idylla miała się skończyć tak szybko i nieoczekiwanie, jak się zaczęła.

Popeliłem błąd, bo chciałem zrobić na niej wrażenie, łamiąc tajemnicę, której poprzysięgliśmy strzec z towarzyszami, żeby nie wiem co. Opowiedziałem jej o naszej Bazie Obozowej, o Przepaści, o Schronie, o wyprawach do Walpurgii i o Iwie Facundzie. Opowiedziałem jej o wielkim polowaniu przewidzianym na dzień następny. Wyśpiewałem jej absolutnie wszystko. Śpiewałem niczym tokujący ptaszek wobec tych oczu, które skłoniłyby do wyznania swoich zbrodni rzeźnika z Milwaukee i przypisania sobie na dokładkę zbrodni rzeźnika z Rostowa. W ataku niekontrolowanego słowotoku, jakby mnie ktoś namoczył w beczce wypełnionej fizjologicznym płynem prawdy, poważylem się zaprosić ją w wigilię polowania do wzięcia udziału w wyprawie prywatnej, *tete-a-tete*, sami, tylko ona i ja.

I tak się stało. O mały włos misja spaliłaby na panewce z powodu kary aresztu, którą z całą surowością rodzicielskiego prawa chciała zaaplikować mi matka, gdy tylko zajrzała do siatki na chleb i ujrzała jej zawartość. Nie potrafiłem wytłumaczyć, dlaczego przyniosłem tylko dwie bagietki zamiast nakazanych czterech, ani po jakie licho kupiłem torbę magdalenek. Załamując ręce nad atakiem twórczego shoppingu syna, w wyniku którego domownikom groził deficyt bułek na kolację, matka postawiła przede mną alternatywę: albo resztę

dnia spędzę w swoim pokoju, albo wrócę do piekarni naprawić błąd. Wybrałem to drugie. Co mi tam; frunąłem w powietrzu ze skrzydełkami u stóp jak ten Grek, o którym opowiadała nam babka i którego inni Grecy uznawali za boga, chociaż w rzeczywistości nim nie był, ale oni wierzyli w to, bo nie czytali Biblii i mieli mętlik w głowie w kwestii identyfikacji bogów. Takie same skrzydełka zanosły mój rower do piekarni, gdzie wzorowo załatwiłem zlecenie, tym razem pod nieobecność mariańskich objawień.

Ta, która ponad wszelką wątpliwość była dla mnie boginią, stawiała się w Lux Domini zgodnie z umową. Po podwieczorku zawiodłem ją do Bazy Obozowej i tam wyjawiałem wszystkie sekrety naszych misji, łącznie z dźwiękową przykrywką chytrze zinstrumentowaną przy współpracy naszych chomiczków Pipa i Papy. Aby Mariana mogła uzmysłwić sobie kapitalną wagę naszych ekspedycji, odegrałem perfekcyjnie cały rytuał, podrasowany należytą dozą teatralnych gestów. Miałem na sobie swój ciemny uniform, kominiarkę i pełne uzbrojenie Kapitana. W torbie adidasa zgromadziłem niezbędny sprzęt, łącznie z urządzeniem nazywanym przez nas Leczytronic, które Fermin, brat Mariany, podwędził z lekarskiej walizeczki ojca i o którego prawdziwym zastosowaniu nie mieliśmy pojęcia, lecz któremu przypisywaliśmy magiczną właściwość leczenia najcięższych ran, działającemu nawet wówczas, gdy jego długi kabel nie był nigdzie podłączony. Zademonstrowałem to wszystko Marianie, chlubiąc się ekwipunkiem, który nie musiał niczego zazdrościć wyposażeniu agenta 007. Wydobyłem światłomierz celem precyzyjnego skalkulowania godziny zero i kiedy wskazówka opadła do standardowego poziomu, pofrunąłem ku Przepaści, ściskając dłoń pięknej Mariany. Czułem się wielki. Jeszcze tylko kilka kroków i już byliśmy cali i zdrowi w gwarantującej bezpieczeństwo przestrzeni Schronu.

Pstrokata kryjówka wyzwoliła w Marianie reakcję, której oczekiwałem i która napęłniła dumą moją pierś pod udającą polową koszulą. Wzbudziło w niej zachwyt to, że we wrogim środowisku potrafiliśmy stworzyć miłe i przytulne gniazdko, gdzie królowało prawo dzieci: wolność, chaos i precz z higieną. Ma się rozumieć, nie sformułowała powyższego w tak bezkompromisowy sposób, ale

to właśnie miała na myśli, gdy wykrzyknęła: „Ale super!”. Pośpiesznie nakryłem jej usta dłonią. Jeszcze jeden, wyższy o ton krzyk i zostalibyśmy namierzeni przez kogoś z czających się wszędzie, niezliczonych wrogów. Pociągnęła mnie za rękę i spytała, czy chcę ją pocałować. Tak, tak. Chcę, chcę, CHCĘ! Przytknąłem usta do jej ust i poczułem, jakbym zatopił je w trzycentymetrowej warstwie nutelli rozsmarowanej na kromce świeżego chleba, słysząc jednocześnie rozbrzmiewający wokół chór dziecięcych, niewinnych głosików śpiewających radosne Alleluja w rytm perkusji Ringa Starra oraz chóralne śpiewy kibiców Atletico gromiącego Real Madryt na boisku swego odwiecznego wroga. Serce wyskoczyło mi ze skali Richtera i struchlałem, że potoczy się w podskokach w dół zbrocza prosto do domu. Wówczas otwarła te usta, które należały już do mnie i oznajmiła: „Chcę, żebyś mnie pocałował z językiem”.

Z językiem?

Do tej pory znałem pocałunki w usta z filmów, pocałunki z użyciem nosa typu eskimoskiego i pocałunki a la skrzydła motyla w wykonaniu mamy dotykającej moich ust trzepoczącymi rzęsami, lecz nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że można całować, używając do tego celu języka, organu, w który Stwórca wyposażył nas, żebyśmy mogli lizać lody, nie mówiąc już o tym, że nie miałem oczywiście zielonego pojęcia o istnieniu jakiejś techniki. Ssanie języka drugiej osoby, pomijając już, że samo w sobie obrzydliwe, wydawało mi się nonsensowną redundancją, to tak, jakby chcieć uderzyć kogoś pięścią w jego pięść lub grać w tenisa, starając się trafić swoją piłeczką w piłeczkę przeciwnika. Mimo to nie mogłem jej przecież zawieść, ograniczyłem się więc do otworzenia ust i naśladowania poczynąń partnerki. Nagle mój boski anioł przeobraził się w lepka i zaślinioną krowę Holstein chlastającą jęzorem na prawo i lewo. Czułem się, jakby ktoś obracał mi w ustach kawał surowego mięsa, gdy tymczasem Fernando Estesó wydzierał się na całe gardło w przeboju „Ramona ma bimbały, co świat mi skryły cały”, Atletico zaś spadał do drugiej ligi.

Przebrnąwszy przez tę inicjację, całowałem w późniejszych latach inne kobiety z wynikiem, jak myślę, o wiele bardziej satysfakcjonującym dla obu stron. Jednak nie zapominając o ewiden-

tnej różnicy między erotyczną wiedzą Mariany i moją, będącej niemal ewolucyjnym skokiem, to pierwsze doświadczenie zdało mi się czymś równie odrażającym jak wyczyn Rocca, który splunął kiedyś na żelazny parkan zieloną flegmą spod serca, a ta zawisła na drutach, przypominając gimnastyczną maczugę, i upłynęło dwadzieścia niemożliwie długich minut, zanim spłynęła do ziemi. Uciekłem ze Schronu, żeby zaczerpnąć w płuca aromatycznego powietrza Torrelodones i chyba tym razem zwymiotowałem, nie z nerwów czy rozkoszy, lecz ze wstrętu. Do niczego więcej nie doszło, choć podejrzewam, że gdybym wrócił do Schronu, gdzie czekała Mariana, nie skończyłoby się na jednym pocałunku. Nigdy więcej nie słuchałem taśmy z muzyką z Sandokana, bo kiedy myślałem o oczach Mariany, natychmiast wyobrażałem sobie długi i wilgotny jezior wyglądający jak wykładzina ze schodów zwieszająca się na ładzie sklepu mięsnego.

Następnego dnia, po podwieczorku, Kapitan, Muszkietier, Spiker i Biurokrata zebrali się w Bazie Obozowej, aby zapiąć na ostatni guzik przygotowania do łowów. Przytaszczyłem z sobą encyklopedię fauny celem poddania dogłębnej analizie szczegółów zachowania lwów i poznania na wskroś wroga, któremu mieliśmy stawić czoło. Flamastrem carioca odświeżyliśmy tatuaże na ramionach, na wypadek gdyby któryś z nas poległ w walce i zaszła konieczność identyfikacji zwłok. Nacho sprawdzał działanie nowego sprzętu łączności skonstruowanego specjalnie na tę okazję z wykorzystaniem najnowszych osiągnięć technologicznych o najwyższych standardach jakości: oryginalne kubki po jogurcie Danone - pirackie marki nie wchodziły w rachubę - i nylonowa nitka, która nie tylko gwarantowała większą czystość przekazu, lecz była też prawie niewidoczna. Podczas gdy Rocco rychtował broń, Fermin lustrował zapasy prowiantu i wyposażenia medycznego. Raptem wydał dziwny pomruk i jął grzebać nerwowo w plecaku. Wyglądał na bardzo wzburzonego i Nacho spytał, co go tak wnerwiło.

- Leczytronic! Zniknął!

- Jak to zniknął? Poszukaj dobrze, musi gdzieś być! - odparł Nacho.

- Musi, ale go nie ma. Ktoś go wziął, bo ostatnim razem tu był.

- Kto by ci go wziął? Przecież to twoje zmartwienie, żeby w razie potrzeby zawsze był na chodzie! - rzucił protekcyjnym tonem Rocco.

- I z tego samego powodu nie ja go wziąłem, więc musiał to być jeden z was.

Ja tymczasem skuliłem się, wciskając nos w encyklopedię, jak w szkole, kiedy nauczyciel wybiera ofiarę do odpowiedzi przy tablicy, czując ten sam zimny dreszcz, który jeżył mi włosy na głowie za każdym razem, gdy wyczytywał moje nazwisko. Gorączkowo odtwarzałem w pamięci zdarzenia poprzedniego dnia. Zgarnąłem Leczytronik razem z innym sprzętem. Włożyłem wszystko do torby... przekradłem się do Schronu z Mariana... ale super... ten nutellowy pocałunek... taki słodki... potem wypucowała mi jamę ustną językiem... wybiegłem... zwymiotowałem... wróciłem, złapałem ją za rękę i pognaliśmy co sił w nogach w drogę powrotną do Bazy Obozowej... A torba? Jasny gwint, zostawiłem torbę w Schronie!

Przyjaciele zwietrzyli chyba coś podejrzanego w moim zachowaniu, bo po krótkiej pyskówce ziejącej ogniem oskarżeń i zaciętej samoobrony sześć par oczu zwróciło się ku mojej niemej obecności. Dźwignąłem nos znad fotografii lwów i nie mogłem kłamać. Nigdy nie mogłem.

- To... To ja go wziąłem wczoraj.

- Wziąłeś go? Po co? - spytał Fermin.

- Bo... Był mi potrzebny w Schronie.

- Cooo? Byłeś w Schronie, nie mówiąc nam ani słowa? Sam?

- Sam, sam... nie. Byłem z Mariana.

Zaniemówili na krótką chwilę. Zobaczyłem, jak twarz Fermina nadyma się i czerwienieje niczym kocioł ciśnieniowy i wystraszyłem się, że uszami buchnie mu para. Wówczas eksplodował.

- Z MARIANA? MOJĄ SIOSTRĄ MARIANA?

-Tak.

-ZAPROWADZIŁEŚ MOJĄ SIOSTRĘ DO SCHRONU? OCIPIAŁEŚ, CHŁOPIE? NIE WIESZ, ŻE ONA MA KIELBIE WE ŁBIE? ZARAZ POLECI WYKLEPAĆ WSZYSTKO MOIM STARYM! O BAZIE OBOZOWEJ, O SCHRONIE, O LECZYTRONIKU,

O MISJACH, WYŚPIEWA IM WSZYSTKO! MOŻEMY SIĘ POŻEGNAĆ Z CZTEREMA PIÓRAMI!

Nie miałem żadnych argumentów na swoją obronę wobec słusznego gniewu Fermina. Zdradziłem zaufanie przyjaciół, ulegając romantycznemu impulsowi, niewartemu nawet, jak się okazało, zachodu. Ja, Kapitan, sprzedałem się wrogowi za jeden pocałunek, który miał spocząć w tej samej szufladzie pamięci, co ciągnąca się po żelaznym parkanie flegma. Czułem się jak nikczemny i mierny Judasz. Fermin wstał i opuścił Bazę Obozową, klnąc na czym świat stoi. Rocco pomstował po włosku, co zwykł robić zawsze, kiedy puszczały mu nerwy. Zerwał się i poszedł za Ferminem. Nacho był najbardziej powściągliwy. Z podziwu godnym spokojem wstał, otrzepał ze spodni pył, spojrział na mnie ze skrzywioną miną a la Bogart i zawyrokował: „Dałeś dupy, stary”. I odszedł, powłócząc nogami, z rękami w kieszeniach. Zostałem tam jeszcze kilka minut, żując kluchowatą gorycz wyrzutów i wyobrażając sobie fatalne konsekwencje mojej podlej zbrodni, po czym ze spuszczoną głową i oczami ropiejącymi winą powlokłem się do domu okrężną drogą, klucząc ogrodem, aby z duszą wtłoczoną w pomarańczowy kombi nezon skazanych na karę śmierci nie natknąć się na matkę, babkę i jej psa. W pokoju spała Isabel, nie zdając sobie sprawy, że przed chwilą odbył się jeden z największych procesów w historii ludzkości. Oto na pościeli mojego łóżka namacalny i nieodwołalny wyrok: trzy pióra. Runąłem na kolana i kurczowo zacisnąłem palce na prześcieradle, osuwając się w piekielne czeluście agonii i bólu.

Gdy wymyśliłem tę historię z Czterema Piórami, powinienem był przewidzieć możliwe rozwiązania, ale szczerze mówiąc, nawet nie przeszło mi przez myśl, że mógłby nadejść dzień, w którym los zmusi mnie do samotnego wystąpienia przeciwko najstraszliwszym niebezpieczeństwom, z których wyjście obronną ręką upoważni mnie do oddania piór moim towarzyszom i sprawi, że moja karta przebiegu służby znów zajaśnieje niepokalanym blaskiem. Przeniknięciu do naszej struktury Mariany nie można już było zaradzić, pozostawało więc tylko jedno wyjście: odzyskać Leczytronic. Nie zastanawiając się ani przez chwilę, zebrałem niezbędny sprzęt, pod osłoną zamaskowanego gęstym cieniem ogrodu wróciłem do Bazy

Obozowej i rzuciłem się w Przepaść. Godzina była nieodpowiednia, stan mojej duszy katastrofalny i wisiała nade mną całkiem realna groźba, że rozszarpie mnie na kawałki Bestia pani Tellez, poźre lew Facundo, a może nawet Honorio, dyszący zemstą za okazaną mu wzgardę. I co najgorsze i zarazem najbardziej upokarzające: jeśli Rocco nie zmyślał i rzeczywiście istniały przepiórki tanecznicze robiące z jajek jajecznicę, nazajutrz ktoś natknie się na mojego trupa z jądrami posiekanymi morderczymi dziobnięciami.

Była to najdłuższa i najbardziej bezpłodna misja w dziejach Czterech Piór. Jak przypuszczałem, torba została w Schronie, lecz Leczytronic z niej wyparował, na pewno przez rozprucie, które odkryłem w dniu. Przeczesalem dzikie pustkowia i wzgórza, i w końcu się zgubiłem. Błąkałem się przez kilka godzin, aż uszedł ze mnie cały strach. Zrezygnowanego przyskrzyniło mnie dwóch funkcjonariuszy Guardia Civil, którzy odkonwojowali moje zgnębane ciało do domu, a tam trafiłem w sam środek burzy, jaka podczas mojej nieobecności rozpełtała się w Lux Domini. Rzeczywiście Mariana nie zmarnowała czasu i wyklepała wszystko rodzicom, nie zapominając o Leczytronicu, który, jak się okazało, był akcesorium olbrzymiego i horrendalnie drogiego, przypominającego szafę komputera zainstalowanego przez ojca Rocca w szpitalu, w którym pracował ojciec Fermina. Chodziło w istocie o „urządzenie kontrolujące współrzędne kursora dla komputerów z interfejsem graficznym”. W tłumaczeniu na ludzki język - myszka komputerowa. Ówczesne xeroxy były pierwszymi komputerami wyposażonymi w to чудо. Nikt nie mógł przewidzieć, że już kilka lat później pierwsze cacka firmy Apple zepchną owe szafy na boczny tor i że od tego czasu będą się one nadawać, co najwyżej, do składowania skarpetek. Lecz w roku 1978 nie istniał w naszej świadomości przyrząd zwany myszką komputera, którego wygląd przypominał do złudzenia urządzenie grające w serialach takich, jak „Cosmos 1999”. Przypuszczam, że w późniejszym okresie z jakichś niewiadomych powodów twórcy myszki postanowili wyeliminować to jej uboczne świadectwo. Bo nasza, należąca do wcześniejszej, bardziej szczodrej generacji, wywiązywała się z niego znakomicie. Po tym jak Fermin podprowadził urządzenie z walizki ojca, ten musiał zamówić drugi egzem-

plarz w Stanach Zjednoczonych i komputer przez kilka miesięcy podparła ściany w szpitalu, nudząc się jak mops, informatyzacja krajowego systemu sanitarnego uległa zaś znacznemu opóźnieniu. W tym samym czasie grupa do zadań specjalnych zabawiła się w najlepsze swoim wdechowym Leczytronikiem.

Sprawa z myszką była jedną z okoliczności obciążających, uzasadniających niezwykle surowość kary. Drugą był prosty fakt, że opuszczaliśmy dom rodzinny bez zezwolenia i poważyliśmy się wtargnąć na teren cudzej własności. Gdy telefony Lux Domini i domów moich kumpli dzwoniły się podczas mało rozrywkowej *party line*, na nasze kruche osoby fizyczne i prawne lunął obfity deszcz razów i kar. Ojciec wkroczył do Bazy Obozowej, domagając się mojej głowy, lecz natknął się jedynie na Pipa i Papę radośnie hycających po metalicznych blaszkach. Nie znalazłszy mnie tam i odkrywszy przejście prowadzące na zewnątrz ogrodzenia, uznał mnie za zaginionego i ponownie zatelefonował, tym razem na posterunek Guardii Civil. Mój wyrok: ścisły areszt w pokoju do odwołania lub złagodzenia kary. Mogłem wychodzić jedynie na posiłki i do łazienki. Szlaban na telewizję, szlaban na ogród, szlaban na kumpli. Po całych dniach rysowałem sceny obrazujące moment pojmania lwa Facunda, jednak zamiast rozwalić go i zrobić z jego skóry dywan, zabieraliśmy go do domu, kupowaliśmy mu bilet na samolot i transportowaliśmy do Afryki, gdzie czekał już na nas mój nieznany dziadek, aby posadzić lwa z powrotem na jego tronie w puszczy, chociażby tak naprawdę stał on na sawannie.

Zapewne z powodu wstrząsu, jakim całe to wydarzenie było dla mojej psychiki, nie zdawałem sobie sprawy z tego, co działo się w domu. Ugrzązłem do tego stopnia w trzęsawisku użalania się nad samym sobą, że ledwie dotarł do mnie jakiś słaby sygnał, gdy babka poprosiła, żebym przyszedł do jej sypialni, gdzie na poduszce rozlewał się błękit jej oczu.

Dżentelmenki i lwice

Po półgodzinie przewracania dokumentacji miałem dosyć, a każdy centymetr jedynej przestrzeni w pokoju mogącej przynieść ulgę mojemu zmęczonemu ciału zaścielały wymiętolone na wszystkie strony papierzyska. Aby zwolnić użytkową powierzchnię łóżka, wpadłem na pomysł, żeby posegregować ten rozgardiasz według klucza tematycznego, ale to tak, jakbym usiłował dopasować puzzle za pomocą młotka. Nic nie pasowało. Daremny to był trud starać się zaprowadzić jakiś porządek w tej gmatwaninie. Zastanowiłem się, co ja u licha robię, borykając się z tą stertą kartek, wycinków i zdjęć, kiedy akcja toczy się na zewnątrz. W mieście Nairobi.

Vicente, żywa skarbnica porzekadeł, mawiał często, że „aby zrobić tortillę, trzeba rozbić jajka”. Byłem wówczas dzieckiem, a dzieci zazwyczaj nie rozumieją metaforycznego znaczenia ukrytego w zdaniach takie znaczenie posiadających. Vicente należał do osób mających dar porozumiewania się z dziećmi, potrafiących obdarować cię bagażem prostych idei, o których nigdy byś nie pomyślał, że pewnego dnia mogą się do czegoś przydać, aż tu nagle, w najmniej spodziewanej chwili, okazuje się, że pasują do jakiejś sytuacji jak ulał. Powiedzenie o tortillach ma zastosowanie do uczucia pierwszego wrażenia. Nie ma drugiej możliwości, dzięki której można by doświadczyć pierwszego wrażenia, podobnie jak nie można przywrócić rozbitych jajek do ich pierwotnej postaci i przyrządzić tortillę od nowa, jeśli pierwsza próba okazała się

niewypałem. Nie ma odwrotu. A jeśli tortilla nie wychodzi, to nie wina jajka, którego zawartość jest zawsze taka sama, czyją widzimy, czy nie, czy je rozbijemy, czy nie. Podróż z lotniska do hotelu była zaledwie nadłuczeniem skorupki jajka. A jajka w takim stanie nie można trzymać zbyt długo, bo się zepsuje. Należy zrobić tortillę. Złapałem więc swoją podręczną torbę, wsiadłem do windy i zabrałem się do przyrządzania tortilli z mojego pierwszego wrażenia z Nairobi.

Gdy przechodziłem przez hol hotelu, zdybał mnie recepcjonista.

- *Excuse me, sir, can I help you?*

- Nie wiem - odparłem po angielsku. - Miałem zamiar się przejść.

- Nairobi, proszę pana, jest miastem zbyt niebezpiecznym, żeby chodzić na nocne spacerunki. Jeśli pragnie pan udać się gdzieś o tej porze, to tylko samochodem. Proszę mi podać dane pańskiego przewodnika, zadzwonię do niego i on pana zawiezie. Poza tym on zna atrakcyjne miejsca, które można odwiedzić nocą. On dokona najlepszego dla pana wyboru.

- Przewodnika? Nie, nie, ja nie przyjechałem tutaj w celach turystycznych. - Byłem wdzięczny za radę dotyczącą drażliwej kwestii braku bezpieczeństwa w Nairobi, o czym, nawiasem mówiąc, zdążyłem się już nacytać. Natomiast sugestia, jakoby ktoś miał kierować moimi krokami i dokooptować mnie do innych turystów w jakiejś odpowiednio do tego celu spreparowanej dyskoteki, była zupełnie nie do przełknięcia. - Nie mam zamiaru nigdzie iść, chcę się tylko przejść.

- W takim razie proszę wziąć taksówkę. Zawiezie pana, dokąd pan zechce, i przywiezie z powrotem. Zajmę się tym.

- Niech będzie, dziękuję.

Pięć minut później sadawiłem się na tylnym siedzeniu zdezelowanej londyńskiej taksówki. Pomyślałem, że ten wehikuł musiał śnić o słodkiej emeryturze na jakimś zacisznym złomowisku brytyjskiej wsi, gdy nagle wprzęgnięto go w kierat nowej służby, skazując na posępną, skołataną starość przepędzaną na owrzodzonych ulicach Nairobi. Nie miałem nastroju do konwersacji. Inteligentny

kierowca chyba zrozumiał, że z rozmowy nie wyciągnie napiwku. Spytał mnie, dokąd ma jechać. Mruknąłem, że przed siebie. Wrzucił bieg i kolebiący się na kołach korab wpłynął w smolisty cień nocy. Obserwując, jak anemiczne światła samochodu dobywają agatowe błyski z ludzkich postaci rozproszonych w przestrzeni niczym figurki niedokończonych szopki betlejemskiej, przypomniało mi się coś, co przeczytałem na temat tego miasta:

Na niebie zawsze tłoczy się zgraja brzuchatych chmur, które siedemnastowieczni weneccy malarze zwali *heroica*. Wszelako gdy nie oślepią cię blask „miasta słońca”, cienie chmur odsłaniają mroczne detale Nairobbery*, nędznego herolda cudów Kenii, szybkowaru, którego zawór bezpieczeństwa pragniesz odnaleźć tak szybko, jak tylko poczujesz, że zostałeś wciśnięty do środka...

Chcąc zapewne urozmaicić mi intelektualną rozrywkę, taksówkarz mówił po angielsku, używając znikomej ilości samogłosek. Trudno jest się przyzwyczaić do tamtejszego akcentu.

- Nie jest dobre, żeby *mzungu** chodził sam nocą po Nairobi. Ci, co chodzą sami nocą po Nairobi, zawsze czegoś szukają. I to, czego szukają, z pewnością pan to ma.

Kapitalna peryfrazja napadu, pomyślałem. Byłem jeszcze bardzo daleki od zrozumienia afrykańskiej filozofii, która zawsze skrywa się pod prostymi na pozór aforyzmami. W taki jednak sposób zetknąłem się po raz pierwszy z tym, co jakiś cudak nazwałby „dynamiką afrykańskiego myślenia”.

Korab potykał się na miejskiej tkaninie włochatej, szpeciniastej trawy koloru marengo sterczącej z fałd i spojeń, jakby zaniedbane ulice hodowały owłosienie. Do Uhuru Highway przylegała złowroga czeluść parku. Ktoś powiedział, że poziom rozwoju danego kraju można osądzić po oświetleniu miast. Nocą w Nairobi było tak czarno, że nawet najczarniejsi Bantu wyodrębniali się z cienia bram ascetycznie oświetlonych lampami o żółtawych twardówkach.

* Dosłownie „Nai-rozbój”, popularna wśród Anglosasów nazwa stolicy Kenii z uwagi na cechujący to miasto wysoki wskaźnik przestępczości. ** Biały cudzoziemiec.

Niektórzy ubrani byli w mundury i pilnowali ufortyfikowanych, schowanych za pancernymi furtami sklepów i magazynów. Byli to *askari*, jak nazywają tam wartowników. Inne postaci kłębiły się wokół *jiko*, małych ognisk płonących w zawieszonych nad ziemią blaszanych puszkach, w których przyrządzano posiłek, podgrzewano herbatę czy kawę i nad którymi grzano sobie dłonie. Udeptanymi na kamień ścieżkami zastępującymi chodnik podążali w pewnych odstępach pojedynczy mężczyźni, jedni wyglądający, jakby czegoś szukali, inni przechadzający się zwyczajnie, ze spokojem, nie mając zapewne tego, czego szukają ci, którzy szukają.

Reklamowe billboardy otwierały papierowe okna na Afrykę, której wszyscy się tu spodziewają i dla której w Nairobi nie ma miejsca: twarze o egzotycznej urodzie i skrawki sawanny skąpanej w zachodzącym słońcu za sylwetkami słoni. Stereotypowa turystyczna frazeologia przedstawia Nairobi jako jedno z najnowocześniejszych i najbardziej kosmopolitycznych miast Afryki, jednak opinie mniej przychylnie sugerują, że jest jedną z najbardziej odpychających afrykańskich stolic. W każdej aglomeracji miejskiej istnieje jeden co najmniej ośrodek, skąd pompowana jest krew do jej krwioobiegu, gdzie, jeśli można się tak wyrazić, zamieszkuje jej dusza. W Nairobi takiego miejsca nie znalazłem. Jeśli posiada duszę, musi ona mieszkać gdzie indziej, jak lew, który jest królem puszczy, lecz żyje na sawannie.

Moja przejażdżka po Nairobi przypominała sytuację osoby, która mości się wygodnie w fotelu, aby obejrzeć film, widzi przesuwające się napisy, czeka na początek historii, ale napisy ciągną się i ciągną, i akcja nigdy się nie zaczyna, aż w końcu widz dochodzi do wniosku, że to nie są napisy, tylko fabuła filmu, i że nie można liczyć na nic więcej, toteż wstaje z fotela i wychodzi. Zmęczony napisami poprosiłem taksówkarza, żeby zawiózł mnie w miejsce, w którym mógłbym wypić drinka przed powrotem do hotelu. Pragnąc zainaugurować misję, która mnie tu przywiodła, wyjaśniłem, że interesuje mnie lokal uczęszczany przez europejskich expatriantów.

Po kilku minutach odstawił mnie pod jedno z owych wejść obwarowanych pancerną furtą strzeżoną przez *askari* o minie osoby, która z monotonią i nudą nocnej wachty jest za pan brat. Zobaczył,

że wysiadam z samochodu i otworzył przede mną furtę. Taksówkarz poinformował mnie, że zaczeka przed wejściem. Minąłem *askari*, zamieniając z nim apatyczne *jambo*. Uchylił mi drzwi za służą furty i ciężką kotarę za służą drzwi. Znalazłem się w posępnym lokalu wyposażonym w strupieszale, zardzewiałe lampy nasycające niebieskawym światłem parne powietrze o nikłej zawartości tlenu, gdzie ewidentnie daremnie by wypatrywać duszy Nairobi. Jeśli już, to ciała: na wprost, w głębi spelunki ciemna ściana zakrzepłego aksamitu wiała się damskimi kształtami, lecz trudno było policzyć ilu kobiet, nie ryzykując, że panie nie zinterpretują tego kilkusekundowego zatrzymania wzroku jako przejawu zainteresowania z mojej strony. Uciekłem oczyma w prawo, gdzie spoczywała drewniana, trumienna lada, za którą tkwił widmowy kelner przebrany za barmana z Far West, za którym piętrzyło się kilka pięter butelek pokrytych grubą na palec warstwą kurzu i zawierających alkoholu jak na lekarstwo, a za butelkami ściana luster z zawartością srebra jak na lekarstwo i grubym na palec szkłem. Z lewej strony ciągnął się rząd niskich stolików oskrzydlnych półkolistymi sofkami. Umeblowanie tego przybytku było prawdopodobnie najbardziej antyczne, jakie widziałem tej nocy w Nairobi, choć nie najbardziej zgrzybiałe. Na pretensjonalnie brytyjski wystrój składały się zawieszane na drewnianych, zapleśniałych panelach oprawione w ramki fotografie prezentujące turystyczne atrakcje Londynu, na tyle współczesne, aby o włos wymknąć się definicji *vintage*, na tyle jednak nadgryzione zębem czasu, aby mieć pewność, że żadna ze sportretowanych postaci już nie żyje.

W lokalu urzędowała zaledwie garstka klientów. Przy jednym ze stolików śmiała się hałaśliwie grupka mężczyzn w garniturach formujących szyk sandwicza wokół nadzienia czarnego, smukłego mięsiwa. Jeden z mężczyzn był przedstawicielem rasy czarnej i na jego twarzy dało się zauważyć sardoniczny uśmiech skrepowanego gospodarza. Pozostali reprezentowali rasę białą i pokrzykiwali w języku przypominającym holenderski lub afrikaans. Jeden z nich sprawiał wrażenie, jakby nie miał do łokcia ręki, ale dziwnym trafem rękaw jasnej marynarki kończył się dokładnie tam, gdzie zaczynały uda siedzącej tuż obok niego dziewczyny. Przy ladzie dwóch białych,

jurnych facetów o gębach farmerów pracowało nad dwiema innymi kobietami. W głębi samotny, zgorzkniały i zdewastowany kowboj w skórzanym kapeluszu, w skórzanym prochowcu, w skórzanych wysokich butach, o skórzanej twarzy, zmumifikowany na stołku pod kątem czterdziestu pięciu stopni zwiślał nad ladą na ręce przyklejonej do szklanki wypełnionej jakimś przezroczystym płynem. Ani chybi dynamiczny biznesmen trzymający łapę na tym interesie. W nastrój spirytystycznej sesji wprowadzały publiczność akordy Richarda Claydermana i powodowany bezwarunkowym odruchem rzuciłem badawcze spojrzenie w kierunku pianina, czy to aby nie spod palców samego Richarda płyną te czarowne dźwięki. Ale nie, to tylko jego biały garnitur, który poruszał się na pogrążonym w głębokim cieniu tle, bez śladu osoby w swoim wnętrzu, z jednym tylko wyjątkiem, wtedy mianowicie, gdy jedną piędź nad kłapami marynarki rozpościerał się szeroki uśmiech o urodzie zebry. Nie ma co, taksówkarz zna się na rzeczy, pomyślałem. Po co się rozdrabniać. Jeśli ktoś prosi go o zawieszenie w miejsce, gdzie można się napić drinka, ostatnią rzeczą, jaką sobie wyobraża, jest to, że klient rzeczywiście chce się napić drinka.

Usiadłem przy barze, obstając uparcie przy realizacji swoich zamiarów. Barman zmartwychwstał i poprosiłem go o whisky z wodą sodową. Ze zgiełku dokazującej w tle psychofonii wyłowilem bardzo wyraźnie upiorny głos, który jęknął: „Krajowa czy z importu?”. „Krajowa”, odkrzyknąłem. Z kamienną twarzą postawił przede mną butelkę czegoś, co zwało się Hunter's Choice. Nie upłynęło pół minuty, gdy ze ściany zakrzepłego aksamitu wyodrębniła się jedna z socjokulturalnych animatorek lokalu, prześliczna kobieta, upadły anioł w tym piekielku, nie ulegało jednak wątpliwości, że jej makijaż był dziełem specjalisty od tanatopraksji. Włosy miała zaplecione w cienkie warkoczyki, zakończone koralikami ze szlifowanego szkła. Miała na stopach czarne sandały na szpilkach, a na ciele elastyczną, srebrzystą sukienkę, opływającą jej krzywizny tak, jak woda opływa kamienie w górskim potoku. Usiadła obok mnie na stołku i skrzyżowała nogi, co najwyraźniej musiała robić nie raz i nie dwa, bo podczas wykonywania powyższej czynności niczym sufity wentylator miksowała przegniłe powietrze przepajające bar.

W sposobie, w jaki zadzierzgiwała znajomość, z miejsca rozpoznałem styl klasyczny pozbawiony fantazyjnej ornamentacji:

- Postawisz mi drinka, przystojniaku?

Poruszyłem się niespokojnie na stołku. Zawsze onieśmielały mnie kobiety seksualnie agresywne. Być może z powodu tamtej przygody z Mariana.

- Oczywiście, na co masz ochotę?

Jakżeby inaczej, miała ochotę na francuskiego szampana.

- Nie widziałam cię tutaj nigdy - ciągnęła, nie odstępując na krok od scenariusza.

Postanowiłem powstrzymać napór tego lodołamacza spychającego mnie tam, gdzie nie chciałem się znaleźć. Może kierując rozmowę na inne tory. Pomyślałem, że pytając, nic nie stracę.

- Nie, nie mogłaś mnie widzieć. Dziś wieczór przyleciałem do Nairobi. Nie mogłem zasnąć. Nie znam jeszcze nikogo. Ale słyszałem, że przychodzi tutaj wielu Europejczyków. Może mogłabyś mi pomóc odszukać pewnego człowieka, starego Szkota, ma rude włosy.

- Jeśli interesują cię pokręcone historie, gadaj z Abrahamem.

- Potrząsnęła głową w tył. - On zdobędzie dla ciebie, co tylko zechcesz.

Spojrzałem na zjawiskowego gościa w prochowcu. Nie miałem najmniejszej ochoty gadać z Abrahamem, ale rozbawiło mnie to dość ekstrawaganckie jak na sutenera imię. Pozwalało spojrzeć z innej, choć równie zabawnej perspektywy na okołosmerfowy świat*.

- Nie, nie zrozumiałaś mnie. Chciałbym tylko wiedzieć, czy przychodzi tutaj ktoś, kto odpowiadałby temu rysopisowi: wysoki, duży nos, wąskie usta...

- Jesteś gliną? Nie wyglądasz. Przykro mi, ale nie tęsknię za kłopotami. - Zebrała się, jakby chciała wstać.

W latach osiemdziesiątych holenderski piosenkarz Pierre Kartner, znany jako „Ojciec Abraham”, przypominający wyglądem starego rabina, nagrał w różnych językach, w tym po hiszpańsku, kilka piosenek o postaciach ze świata Smerfów i występując na scenie, wykonywał dialogi muzyczne, manipulując marionetkami bohaterów kreskówki. Stąd aluzja do dwóch Abrahamów, z których jeden był „ojcem” prostytutek, drugi zaś „ojcem” kukielek, o których śpiewał piosenki (przyp. tłum.).

- Nie, nie, nie. Wszystko jedno, nie odchodź. Zacznijmy od początku. Jak masz na imię?

- Audrey.

- W porządku, Audrey. Posłuchaj. Nie szukam seksu. - Skrzywiła się. Darowałem sobie formalności. - Szukam pewnej osoby i powiedziano mi, że przychodzą tu Europejczycy. Nie jestem policjantem. Nie jestem niebezpieczny. Jestem tylko ciekawy, nic więcej. Zapłacę ci, jeśli mi pomożesz. Tylko za to. - Pokazałem jej dwa banknoty tysiącszylingowe i srebrne fale ponownie rozkołysały się na stolku. Znow skrzyżowała nogi i w powietrzu dało się odczuć większą ilość tlenu.

- Nairobi to wielkie miasto. Mieszka tu wielu Europejczyków, którzy chodzą w różne miejsca. I Afrykanie, i Azjaci. Nie mogę ich wszystkich pamiętać.

- Długo tu pracujesz?

- Tak, jakieś... sześć, siedem lat.

- A przedtem?

- Po co ci to wiedzieć? Jesteś z jakiejś agencji?

- Agencji? Jakiej agencji? Masz na myśli agencję pozarządową?

- Ha, ha, nie! - rozbawiła ją moja odpowiedź. - Nie, to nic takiego, zapomnij o tym. No wiesz, przedtem mieszkałam w domu.

- A skąd jesteś?

- Ale zaraz, chciałeś chyba kogoś odnaleźć, nie? To czemu cię tak interesuje moje życie?

- Audrey, nie można wykluczyć, że wiesz o czymś, z czego nie zdajesz sobie sprawy, a mnie to może być pomocne.

- Jestem z małej wioski, niedaleko Nyeri.

- Nyeri? Naprawdę! Jesteś Kikuju?

- Oczywiście. Wszyscy tamtejsi to Kikuju.

- Znasz dużo ludzi stamtąd?

- Znałam. Ale wielu już umarło. Mam tam tylko matkę.

- Aha. I co robi twoja matka?

- Pracowała przy zbiorze kawy. Ale już nie daje rady. Załatwiła sobie plecy. Teraz ja za nią pracuję. Ma małe *shamba*, ale nie może się z niego wyżywić. Z powodu tych pleców.

Mała zagroda z kawałkiem pola.

- Zajmujesz się tym, żeby pomóc matce?
- I tak, i nie. To nie jest zła praca. Lubię sypiać z mężczyznami, którzy mi się podobają, no i mogę wybierać. - Użyła tego tak brytyjskiego eufemizmu, *sleep*. - I na dodatek zarabiam pieniądze, chodzę do klubów, do restauracji, na siłownię, kupuję sobie rzeczy, ubranie, mam samochód. Nie miałabym tego wszystkiego, gdybym pracowała na polu, zbierając kawę, jak moja matka. Żeby uzbierać taką sumę, musiała się schylać na plantacji całymi tygodniami. - Pokazała wzrokiem swoje banknoty. - Lecz nigdy nie zdołała zgromadzić tyle, bo wszystko, co zarabiała, pochłaniało jej codzienne życie. A ty gdzie pracujesz?
- Jestem dziennikarzem. Albo raczej byłem. Zostawiłem pracę, żeby tu przyjechać.
- Tutaj, do Victoria Station?
- Ha, ha! Nie, tutaj, do Kenii.
- A więc nie przyjechałeś na wakacje ani w interesach.
- Nie. Jak już mówiłem, przyjechałem odnaleźć pewną osobę.
- A kogo szukasz?
- Dziadka.
- Dziadka? Moi dziadkowie umarli, kiedy byłam bardzo mała. Ludzie na wsi wcześniej umierają. Dlatego opiekuję się matką, żeby nie musiała pracować i żeby długo żyła.
- Zobacz więc, jak rosną jej wnuki.
- Nie, ja nie będę mieć dzieci - stwierdziła kategorycznie.
- Ach tak. A twój ojciec?
- Nie ma go - ucięła jeszcze bardziej kategorycznie.
- Rozumiem. - Miałem wrażenie, że wyczerpałem repertuar niezręcznych pytań. Zmieniłem temat. - Powiedz, podoba ci się Nairobi?
- Nie wiem. Nie znam innego miasta. Moja babka pojechała raz do Nairobi, kiedy byłam mała. Była pierwszą osobą w rodzinie, która widziała Nairobi. Gdy wróciła do domu i spytaliśmy ją, jakie jest Nairobi, odpowiedziała, że nie wie. Nie mogła zobaczyć miasta, bo zbudowano tam zbyt wiele domów i zbyt blisko siebie. Dla mojego ludu wartość ma ziemia, a nie to, co się na niej buduje.
- Dla mojego ludu ziemia posiada wartość jedynie wtedy, jeśli

coś się na niej postawi, zwłaszcza coś, co ma zabudowane szafy i miejsce parkingowe. -Skąd jesteś?

- Z Hiszpanii.

- Aha, Hiszpania! *Molto piacere di fare la sua conoscenza, ragazzo.*

- Nie, to po włosku. Ale mniejsza z tym, często nas mylą. Mówisz po włosku?

- W tym zawodzie można się nauczyć języków. Kiedy w jednym z hoteli w centrum odbywa się jakiś ważny kongres, Victoria Station przypomina ONZ. Musiałbyś zobaczyć, co tu się wtedy wyprawia. I musiałbyś zobaczyć Thomasa nalewającego drinki, zmienia się w automat.

- Nie wątpię, to musi być fascynujący widok.

- Ale uczę się tylko zdań, które pomagają mi w podrywaniu. Nie nadałyby się do rozmowy w pociągu, gdyby siedzący obok mnie pasażer był włoskim księdzem! - zaśmiała się figlarnie. Słodczy jej uśmiechu spychała w cień tanatopraksję. Byliśmy teraz na dobrej drodze.

- Podróżujesz?

- Z Nairobi do Nyeri i z Nyeri do Nairobi. Nie mam czasu, żeby jeździć gdzie indziej. Może któregoś dnia, kiedy zostawię tę pracę. Nie uwierzysz, ale gdy nie pracuję, jestem bardzo nieśmiałą dziewczyną. Czuję się bardzo zagubiona, kiedy jestem sama między obcy mi ludźmi, w nieznanym miejscu. Któregoś dnia pojedę. Może do Hiszpanii. Ładny jest twój kraj?

- Bardzo. Na pewno wdziałaś Barcelonę w telewizji. Igrzyska Olimpijskie. Jest tam teraz wielu kenijskich lekkoatletów.

- No jasne, Barcelona to przecież Hiszpania!

- Hm, cóż... Zależy, dla kogo. To zbyt skomplikowana sprawa, żeby można ją było wytłumaczyć w dwóch słowach, a już na pewno nie po angielsku. Widzisz, mój angielski jest jak twój włoski, pozwala mi jedynie kleić zdania, które pomagają w podrywaniu.

Zaśmiała się naturalnie, czystym śmiechem psotnej dziewczynki. Ustrześliśmy lodołamacz przed zdradliwymi wodami. Nagle dziarski garnitur dokazujący przy pianinie zaintonował „Moonriver” ze „Śniadania u Tiffany'ego”. Audrey skoczyła jak na sprężynie.

- Och, uwielbiam to! Chodź! - Chwyciła mnie za rękę i pociągnęła w kierunku pianina.

Zbliżywszy się do muzykującego garnituru, stwierdziłem, że w środku znajdowała się ludzka istota. Zobaczywszy Audrey, otworzyła usta i zademonstrowała swój uśmiech o urodzie zebry. Był to gruby mężczyzna o puciołowatych jak lśniące jabłuszka policzkach przypominających olbrzymią twarz jarmarcznego pajaca, w którą wjeżdża dziecinna kolejka. Jak na Sama z „Casablanki” przydałoby mu się solidne pranie i technik dentystyczny. Sprawiał wrażenie sympatycznego, niemal ojcowskiego. Audrey podparła się na łokciach naprzeciwko niego i zaczęła śpiewać. Wychodziło jej całkiem nieźle. Jej interpretacja nadawała lekkie, bluesowe zabarwienie piosence streszczającej cały smutek dziewczyny siedzącej w oknie lub opartej o pianino w jakiejś spelunie, która nie ma innych przyjaciół jak tylko tych zgłodniałych jej ciała i nie ma przed sobą innej przyszłości jak wczorajszą przeszłość. Kiedy ostatni wers chrypiał w jej gardle, objęła mnie w pasie ręką, zachęcając do tańca, lecz stchórzyłem. Byłoby to jak wkomponować wykrzykującego gałganiarza w anielską harmonię głosów dziecięcego chóru. Za wszelką cenę chciałem uniknąć obowiązkowego robienia z siebie idioty, zagailem więc, aby wciągnąć ją ponownie do rozmowy.

- Imię Audrey to z jej powodu?

- Była jedyna w swoim rodzaju. Widziałam ten film setki razy. Właśnie - odwróciła się do pianisty - Abraham, przedstawiam ci...! Ej, nie powiedziałeś mi, jak masz na imię!

- Curro. Mam na imię Curro.

- Curro? Abraham, Curro. Curro, Abraham, właściciel tego lokalu i mój biały anioł stróż.

Uścisnęliśmy sobie dłonie. A więc Abraham to jowialny pianista, a nie wypchane dziwadło z końca lady. Zastanawiałem się, kim mógł być ten osobnik, gdy przechodził obok nas uwieszony dwóch dziewczyn, unoszących go niemal w powietrzu. Na znak pożegnania poruszył kącikiem ust w stronę Abrahama i Audrey i pożeglował ku wyjściu. Audrey uniosła w pozdrowieniu dłoń.

- Dobranoc, CJ! To CJ - wyszeptała z wielkim entuzjazmem i dumą, jak ktoś, kto chełpi się nowym samochodem.

- CJ? A kto to taki?
 - No, CJ! Jak to kto! CJ! CJ Blaster! Nie kojarzysz? Nie mogę uwierzyć, że go nie znasz! Przecież to gwiazda! - Jej osłupienie dorównywało prawie mojemu.
 - Nie miałem przyjemności go poznać, jak wiesz, kilka godzin temu przyleciałem do Kenii.
 - Nie słyszeliście o nim w Hiszpanii?
 - Obawiam się, że nie dostąpiliśmy tego zaszczytu. Przynajmniej ja. Co robi?
 - Śpiewa! Jest na samym szczycie rankingu najlepiej sprzedających się płyt! Naprawdę nigdy go nie słyszałeś? - Zanuciła kawałek rapowanej, pełnej bezpośredniej poezji piosenki. - *Rip off your dress, oil up your breast, sit on my face, spread out your grace... I'm going downtown, to your body...* * Nic?
 - Nie, ale w przyszłości będę bardziej czujny. Widać na pierwszy rzut oka, że facet ma talent.
 - Przychodzi tu bardzo często. Jest buddystą, wiesz? Mówi bardzo niewiele i zawsze w *sheng*, w dialekcie młodych ludzi z Nairobi. Siada przy barze i nie rozmawia z nikim przez całe godziny, i pije tylko wodę. Mówi, że to pomaga w medytacji. Potem wybiera kilka dziewczyn, zabiera je do swojej rezydencji pod miastem i zamyka się z nimi na kilka dni. Ale płaci jak za cały miesiąc pracy. Jest bardzo hojny.
 - To nie do wiary! A ciebie wybrał kiedyś?
 - Hej, panie ciekawski... Jesteś bardzo niedyskretny! - Roześmiała się zgryźliwie. Miała rację. Zdałem sobie sprawę, że kiedy tylko udało się nam rzucić sztywny gorset etykiety handlowej, zacząłem rozmawiać z nią w taki sam sposób, w jaki rozmawia się w zwykłym barze ze zwyczajną dziewczyną. Lecz flirtowanie z prostytutką było pozbawione sensu.
- Wtedy zrozumiałem coś, na co wcześniej nie zwróciłem uwagi. Nabrałem mocnego przekonania, że Audrey nie była zwykłą dziewczynką z ulicy nastawioną na upolowanie każdego napalonego

Zedrzyj z siebie ubranie, namaść swe piersi, usiądź na mej twarzy, uchyl mi swojej laski... Popłyń do źródeł twego ciała.

gościa i wyczyszczenie mu portela. Cechowały ją dobre maniery, mogła wybierać swoich klientów, jej sutener miał gołębie serce. Była luksusową prostytutką, a w tym posepnym przybytku nie tłoczyli się zapyziali kierowcy ciężarówek zakiszeni w alkoholu, lecz idole rockowi występni menedżerowie firm i cudzoziemscy uczestnicy kongresów. Mimo grubego pokładu brudu i trupiej atmosfery Victoria Station była lokalem o wysokim standardzie. Taksówkarz wybrał bardzo elitarny klub, w którym jasna skóra zastępowała prawdopodobnie karnet członka. Zaczynałem rozumieć, że przed białym w Kenii otwiera się wiele drzwi, z których istnienia me zdawałem sobie nawet sprawy.

Nagle Audrey wyrwała mnie z zamyślenia.

- Jak długo zostaniesz w Kenii?

- To zależy, ile czasu zajmie mi znalezienie dziadka. Żywego lub martwego.

- Dlaczego go szukasz? Winny ci jest pieniądze?

- Nie tak naprawdę szukam go po to, żeby... go znaleźć. Właściwie nie jestem pewien, dlatego chcę go odnaleźć, jeśli jeszcze żyje. Nie widziałem go od czternastu lat. Wiem o nim tylko tyle, że prawdopodobnie miał farmę niedaleko twojego miasta, Nyeri, i że przed wielu laty mieszkał w hotelu Norfolk.

- Ja ci nie pomogę. Ale jeśli bywał w Norfolk, na pewno zna go Ian.

- Taki starszy gość, bardzo sympatyczny. Malarz. Sprzedaje obrazy w Norfolk. Jest Australijczykiem czy coś w tym rodzaju. Przesiaduje tam od wielu lat. Zna wszystkich. Czasem zachodzi tutaj. Gra na ukulele i jest bardzo zabawny.

- Ian! Dzięki, Audrey! Jesteś cudowna. Bardzo mi pomogłaś. - Włożyłem w jej dłoń banknoty.

- Jeśli chcesz, mogę cię odprowadzić do hotelu. Za darmo.

Miałem przyjaciela, który mówił, że nic tak nie dowartościowuje mężczyzny, jak otrzymanie od prostytutki propozycji spędzenia z nią nocy za darmo. Patrząc na Audrey, na jej wielkie czarne oczy zaszytowane przez wizażystę psychopatę, pomyślałem, że dla takiej kobiety jak ona prosty fakt zetknięcia się z mężczyzną nietraktują-

cego jej jak publicznego szaletu mógł być wystarczającym powodem do tego, aby pójść z nim do łóżka. Być może powinienem był przyjąć tę propozycję, ale ją odrzuciłem. Miałbym kłopoty z przetrawieniem tortilli. Wyciągnąłem jeszcze jeden tysiącszylingowy banknot i położyłem go na jej dłoni.

- To dla twojej matki. Dobranoc, Audrey.

Było mi obojętne, czy miała matkę inwalidkę w Nyeri. Pomyślałem, że wystarczy mi, jeśli za te pieniądze odwiedzi swoje kluby i kupi sobie jakieś ciuchy. Wstałem, zapłaciłem za drinki i ruszyłem w kierunku drzwi. Zanim wyszedłem na ulicę, nie mogąc oprzeć się pokusie, odwróciłem głowę, żeby sprawdzić, czy patrzy za mną, czy też szykuje się do skoku na nową zdobycz. Patrzyła w moją stronę. Wstała i podeszła do mnie, uchwyconego kotary zasłaniającej drzwi.

- Makena.

- Słucham?

- Makena. Naprawdę mam na imię Makena. Audrey jest tylko dla tych, którzy płacą, żeby się ze mną przespać.

Mój przyjaciel mógł mówić, co mu się żywnie podoba. Myślę, że nic bardziej nie może pochlebić mężczyźnie jak to, że kobieta tak piękna i firmująca swoje randki pseudonimem zdradza mu swoje prawdziwe imię. Nawet najmniej ceremonialne związki społeczne mają swoje zasady kurtuazji, swój kodeks honorowy.

Ludowe kodeksy honorowe. Używając tego sformułowania, babka wyjaśniała mi, co znaczy „Cavalleria Rusticana”, która kojarzyła mi się z Siódmym Pułkiem Kawalerii. Było to w dniu, w którym Vicente wkroczył do mojego pokoju i poprosił, żebym poszedł z nim do sypialni babki. W tym czasie wciąż odbywałem karę za sprawki z Mariana i Leczytronikiem. Minęła już cała wieczność, odkąd obowiązywał mnie zakaz wychodzenia do ogrodu, a zamknięte w czterech ścianach dziecko wychowane na wsi, gdy za oknami lato złoci szczyty gór, w garażu czekają naoliwione rowery i baseny wonieją chlorem, jest jak ryba młot w kuchennym zlewie. Moja przestrzeń życiowa odzwierciedlała szamotaninę skazańca: rozmontowane na najdrobniejsze części zabawki wypełniające każdy centymetr kwadratowy podłogi oraz porozrzucane po wszystkich kątach ruchem odśrodkowym odzienie. Moja matka ostrzegła mnie,

że nie wyjdę dopóty, dopóki nie pozbiem tego wszystkiego, ja zaś utrzymywałem, że nie pozbiem tego wszystkiego dopóty, dopóki nie odzyskam wolności. Byłem święcie przekonany o swojej niewinności i pokładałem ufność w tym, że jeśli nie zostanie mi darowana kara, to nowa Konstytucja, która miała wejść w życie kilka miesięcy później, zagwarantuje mi prawa chroniące mnie przed samowładztwem rodzicielskiej dyktatury. Kiedy tamtego ranka Vicente oznajmił mi *tete-a-tete* z babką, zinterpretowałem to novum w mojej więziennej rutynie jako zapowiedź rychłej amnestii.

Zastałem babkę w łóżku, co zabarwiło moje zdziwienie domieszką niepewności. Ona nigdy nie chorowała. Podeszedłem zdezorientowany do jej wezgłowia, tracąc powoli nadzieję, aby spotkanie to mogło mieć jakiś związek z moją niewolą. Wyglądała źle i z jej twarzy zniknęła uśmiech, co czyniło z niej całkiem inną osobę. Babciną twarz okrywała ziemista purpura dławiąca światło jej oczu, nadając rysom wyraz lodowej twardości. Dopiero po wielu latach, przypominając sobie ów obraz, który wyrył mi się w pamięci, zdołałem skojarzyć ten grymas z bólem. Jakiś nieuchwytny strach kazał mi zapomnieć o mojej okrutnej niedoli, lecz zamiast zapytać, jak się czuje, cały w obawie, że to zmartwienie z mojego powodu wpędziło ją w taki stan, spytałem tylko:

- Babciu, jesteś na mnie zła?

Natychmiastowy uśmiech złagodził jej napięte oblicze i stał się ziemiastą purpurą, ale tylko do linii nosa. Jej oczy się nie uśmiechały.

- Nie, Currito, kochanie. Dlaczego miałabym być na ciebie zła? Chodź tutaj i daj mi buziaka.

To ona mi go dała i to nie jednego, ale całą serię. Kiedy oderwałem twarz od jej twarzy, miałem mokry policzek. Od łez. Jej łez.

- Czemu płaczesz, babciu?

- Spójrz, Currito. Kupiłam to na twoje urodziny. Wolę ci dać teraz, bo może w dniu twoich urodzin będę daleko, w podróży.

- A gdzie się wybierasz?

- Jeszcze nie wiem, czy wyjadę ani kiedy to będzie. Ani dokąd. Ale tak na wszelki wypadek.

Wręczyła mi prostokątny pakiecik leżący na jej nocnym stoliku. Na papierze, w który zawinięty był prezent, kotki bawiły się kłębkami

mi welny. Przez chwilę nie wiedziałem, co zrobić. Patrzyłem w jej oczy, czekając na następny ruch.

- No dalej, otwórz go! To twój prezent.

Rozdarłem papier i moim oczom ukazała się książka. „Bom free” Joy Adamson. Okładkę zdobiło zdjęcie lwa. Domyśliłem się, że była to historia, na kanwie której powstał serial „Elza z afrykańskiego buszu”, nadawany w tamtym czasie lub może nieco wcześniej w telewizji. Uwielbiałem ten miodopłynny film o małżeństwie opiekującym się małą, osieroconą lwicą Elzą na szorstkiej sawannie Kenii. Ta książka była jednym z najpiękniejszych prezentów, jakie otrzymałem w życiu.

- Ojejku! Dziękuję, babciu! Ale... ona jest po angielsku.

- Tak, nie udało mi się znaleźć hiszpańskiego wydania. Ale popatrz tylko, pełno w niej fotografii lwów, a wiem przecież, że bardzo ci się podobają. A skoro uczysz się w szkole angielskiego, będziesz ją mógł czytać krok po kroczku i pewnego dnia przeczytasz i zrozumiysz całą. Pragnę, abyś zachował tę książkę na całe życie, żebyś ją nazwał po swojemu i nigdy nie zgubił, i żebyś pamiętał o mnie zawsze, kiedy będziesz ją czytał. Zachowaj ją dla siebie, bo książki tej nie powinni czytać ludzie, którzy nie wiedzą nic o lwach. Tylko ci, którzy znają się na lwach, mogą ją czytać. Rozumiesz?

- A mój dziadzius?

- Właśnie. Twój dziadzius również. Jeśli spotkasz go któregoś dnia, chcę, żebyś mu ją pożyczył, aby on także mógł ją przeczytać. Obiecasz mi, że nie zapomnisz?

- Czy ja zobaczę kiedyś mojego dziadziusia?

- Nie wiem, Currito. Ale coś mi szepce do ucha, że tak się stanie, pewnego dnia. Obiecasz mi, że pożyczysz mu wówczas swoją książkę, aby mógł ją przeczytać?

- Obiecuję. A dlaczego dziadzius nie mieszka z tobą?

- Bo... to trochę skomplikowane. Czasem życie nie prowadzi nas ścieżkami, którymi chcielibyśmy iść. Przypominasz sobie ten dzień w La Pedriza, kiedy usiłowaliśmy wejść na bardzo wysoką skałę, ale nie udało się nam, bo nie było którejdy?

- Mhm.

- Więc w życiu jest podobnie. Czasem bywa tak, że wiemy, gdzie

chcielibyśmy dojść, ale nie znajdujemy drogi, która by nas tam poprowadziła. I wtedy musimy polubić miejsce, w którym jesteśmy, i pogodzić się z tym, że będziemy patrzeć na naszą skałę z oddali. Bardzo dawno temu, gdy ciebie nie było jeszcze na świecie, miałam przyjaciela, który mówił, że wszyscy jesteśmy owieczkami i że to pasterz decyduje o tym, dokąd zmierzamy, chociaż nam się wydaje, że to my decydujemy. Ale to nie jest znowu takie ważne, bo tak naprawdę tamtego dnia byłam szczęśliwa, że ty jesteś ze mną. Kiedy człowiek dożywa mojego wieku, najważniejszą dla niego rzeczą jest móc stwierdzić, że pozostawia po sobie osoby, z których może być dumny. Rozumiesz, co chcę powiedzieć?

- Hm... nie wiem. Chyba tak. Ja też bardzo się cieszyłem, że mogłem pójść z tobą, babciu. Ale wybierzemy się jeszcze w góry, gdy wyzdrowiejesz, prawda?

- Gdziekolwiek pójdziesz, Currito, zawsze będę szła z tobą. I będę nad tobą czuwać.

Pogłaskała mnie po głowie. Nie rozumiałem nic a nic z tego, o czym mówiła, ale nie chciałem jej sprawić zawodu, pod skórą bowiem czułem, że mówi o rzeczach ważnych. Pojmowałem jedynie tyle, że jeśli babcia jest smutna, to coś strasznego musi się wydarzyć, a ja nie byłem przygotowany na zderzenie się z czymś naprawdę strasliwym. Nagle stało się coś, co sprawiło, że jej uśmiech powędrował aż do linii oczu.

- Och, jakież to piękne! Czy mógłbyś zrobić głośniejsze?

Ja nawet nie zwróciłem uwagi na cichusieńką muzykę sączącą się z odbiornika radiowego stojącego na babcinej komodzie. Zrobiłem to, o co mnie prosiła, i miękkie fale dźwięków płynących ze skrzypiec zalały pokój przyływem i odpływem nut opadających jak zwiewne piórko. Muzyka ta wymykała się mojej skąpej wiedzy muzycznej sięgającej nie dalej niż do pierwszych Beatlesów, ale wydała mi się kompozycją niezwykle łagodną, niemalże zbyt łagodną, by mogła wzbudzić zainteresowanie twardego kapitana jednostki specjalnej. Oniemiałem, ześlizgując się po jedwabnej topografii dźwięków intermezza Mascagniego zalewającej przestronne pomieszczenie satynową kadencją i usiłując poskromić jeżący się na ramionach puszek, aby ukryć przed sobą własną wrażliwość.

Spojrzałem na babkę. Uśmiechała się, błędząc wzrokiem w innym dziesięcioleciu. Po chwili zamknęła oczy, z pewnością, by odciąć dostęp światła roku 1978 do poddasza swych wspomnień. Zaciśnęła powieki i jedna łza spłynęła kącikiem jej oka.

- „Cavalleria Rusticana"! Wiesz, o czym opowiada? Nie ma nic wspólnego z rustykalnymi końmi, nie, nie. Mówi o... uczciwości, o szlachetności! O ludowych kodeksach honorowych. O tym, jak ludzie, wszyscy ludzie, bogaci i biedni, wykształceni i analfabeci obowiązani są przestrzegać zasad ważniejszych od nich samych, choćby nie potrafili zrozumieć, dlaczego. Może ma to jakiś związek z owieczkami i pasterzem. Wiesz? Ten utwór grał twój dziadek na swoich skrzypcach, jego czoło opierało się naporowi wieczornego wiatru, a spódnica kołysała się raz w jedną, raz w drugą stronę niczym dzwon w świąteczny dzień. Nikt nie potrafi zagrać tej muzyki tak, jak on. Nikt, nikt...

Wówczas zdałem sobie sprawę, że babka nie rozmawia już ze mną, lecz z kimś, kto przebywa w miejscu, w którym ona się zatraciła, być może z owym pasterzem, którego oblicza nie znałem. Zasypiała i węzły jej ściągniętej twarzy powoli się rozluźniły. Nagle znów przemieniła się w Grace Kelly, jak na zdjęciach stojących na komodzie. Czuję, że roztapiam się w środku z ową książką o lwach w rękach. Wyszedłszy od babki, pociągałem nosem, a kiedy wróciłem do siebie, zatrzaskałem z całej siły drzwi, rzuciłem się na łóżko i wbiłem twarz w poduszkę, usiłując powstrzymać rwącą rzekę łez wylewającą się z moich oczu.

Kamienne motyle

Kres mojej kary nastąpił dopiero kilką dni później. Podczas monotonnych godzin aresztu wyobrażałem sobie tę chwilę jako najbardziej huczne święto w historii Lux Domini od czasów narodzin mojej siostry. Setki razy widziałem oczyma wyobraźni, jak turlam się po matce ziemi, zbierając we włosy całą roślinną powłokę ogrodu, wyciskając z kół siódme poty, kręcąc pedałami roweru zamasyściej niż helikopter swoimi łopatomami, piję ze szkolnego basenu wodę podrasowaną chlorem, osami i podejrzenie ciepłymi prądami, a nawet jak pędzę w euforii do miasteczka po chleb, uskakując przed kilometrowym jężorem Mariany toczącym lepką ślinę i ścielącym się na ulicach niczym chwasty z „Wojny światów”. Zapraszamy wszystkich sąsiadów. Instalujemy na patio basen z żelkami. Wzniesemy ognisko wielkości krzyża wznoszącego się nad Doliną Poległych, pieczemy calutkie lwy, które z jagnięciną z grilla w paszczach, poćwiartowane za pomocą wiosł podajemy do stołu na deskach surfingowych. Tuzin lokajów w liberiach dzierży tyleż szlauchów tryskających coca-cola zraszając gości przez cały wieczór. Smakołyki podajemy do stołów z czekolady i uporawszy się ze smakołykami, zabieramy się do stołów. W ogrodzie ustawiamy olbrzymi batut, aby goście jednym, prostym susem mogli wrócić do swoich domów.

Tak się jednak nie stało. Kiedy matka ogłosiła edykt o moim uwolnieniu, nie było serdecznych uścisków ani radości z ponow-

nego spotkania. W kilku suchych słowach zostałem powiadomiony, że ona, ojciec i babka wyjadą na kilka dni, Vicente zaś obejmie pieczę nad domownikami - ludźmi i psem. Nigdy przedtem nie opuszczali domu wszyscy troje naraz. Poza tym, że moje ułaskawienie wynikało jedynie z braku organów władzy wykonawczej, nie będąc wobec tego następstwem uznania mojej niewinności lub przynajmniej odkupienia win, nie ulegało wątpliwości, że dzieje się coś nadzwyczaj poważnego.

Kilka dni później do Lux Domini zjechała siostra babki, sztywna i wyprostowana jak stalowy drut Victoria, której głowę wieńczył kok wykuty w krzemieniu. Zakwaterowała się w domu ze sztabem dwóch towarzyszących jej służących, które wzięły na siebie obowiązki domowe po tym, jak Vicente również zniknął. W tym czasie nad Lux Domini zawisły ciężkie, ołowiane chmury. Victoria i sporadycznie pojawiająca się matka sprawowały wymiennie zwierzchnictwo, utrzymując autorytet władzy na minimalnym, awaryjnym poziomie, jednak zmiana warty dokonywała się w sposób dla nas nieuchwytny i w ogóle wszystko przebiegało w ciszy i skrajnie ospałym tempie, klatka po klatce. W powietrzu czuć było zbliżający się finał, rozwiązanie, które w moim przekonaniu miało przywrócić zwykły stan rzeczy, jaki znałem z okresu poprzedzającego całe to zamieszanie, kiedy bowiem pytałem matkę o przyczyny zaburzeń naszego życia, wdychała jedynie: „To nic, sprawy rodzinne, nie przejmuj się”.

W końcu nastąpiło rozwiązanie. Ojciec, matka i Vicente wrócili i zostali. Babka nie wróciła już nigdy. Zabrała ze sobą uśmiechy, różową cerę mojej matki, energię mojego ojca, jakąś sprężynę, która wcześniej musiała ani chybi podtrzymywać wyprostowaną głowę Vicente'go na jego niestrudzonych ramionach. Zabrała z sobą zwariowane gonitwy Stopiątki ślizgającego się na bruku, którym wyłożone było patio. Zabrała z sobą zgiełk, muzykę i spacer po górach, i krzepiący szmer telewizji z wrzawą świerszczy w tle. Zabrała z sobą lato. Hołubię w pamięci o wiele żywsze wspomnienie o tym, jak owa gwałtowna przemiana zagościła raptownie w naszym życiu niż o tym, w jaki sposób dokonały się zmiany. Jakich słów użyła moja matka, aby mi to wyjaśnić? Jak dowiedzieliśmy się o szczegółach? W którym dokładnie momencie zapadła decyzja,

że koniec z bitwami na balony wypełnione wodą, z niedzielnymi posiedzeniami z sangrią i napojem cytrynowym, z przekąskami w La Posada, z bezsennymi nocami spędzonymi na pogawędkach i wymaginowanych przygodach, gdy w telewizji nadawali już tylko opady śniegu, z karcianymi partyjkami, podczas których obowiązującą normą były nielegalne sygnały i zaglądnienie w karty przeciwnika, z wiecami poparcia idei budowy basenu i odpowiedziami Vicentego polewającego wiecujących wodą ze szlauchu, z grami w piłkę niemającymi nazwy i jakichkolwiek reguł, z kubistycznymi inspiracjami mojej siostrzyczki bawiącej się moimi klockami lego, z przejażdżkami na bagażniku skutera mojego brata? Jak to było? Płacz, kondolencje, przyjazd rodziny, msza, pogrzeb, wyjazd rodziny. Victoria odjechała ze swoimi służącymi i Vicente powrócił do codziennych obowiązków, chociaż było mu bardzo ciężko zajmować się wszystkim, kiedy przez cały dzień potrzebował jednej ręki do wycierania łez. W mojej pamięci wszystko to jawi się jak wielkie, czarne, amorficzne pudło pozbawione konturów i chronologii, jak fragment prześwietlonego filmu, który nagle ukazuje się w trakcie projekcji, spalona czerń na dokuczliwym, pustym, głuchym i nieruchomym kadrze.

Aż pewnego dnia zjawił się on.

Poprzedził go dzwonek u drzwi, krótka wymiana zdań z Vicentem i dwie pary kroków na stopniach salonu. Pod dwoma parasolami na kamiennym patio matka pomagała mi w odrabianiu lekcji zadanych na wakacje, podczas gdy Isabel wyłaziła ze skóry, aby sfabrykować dziurę w siatce kojca.

- Pani Claro, jest tu pan, który chciałby złożyć pani kondolencje, pan... pan...

- Hamish. Hamish Sutherland. To jest przyjemność, żeby poznać panią. - Podszedł i pocałował rękę mamy. Jak tylko usłyszałem to imię, upuściłem długopis, a moja szyja wykręciła się automatycznie, aż chrupnęły mi kręgi szyjne. - Ja byłem jednym przyjaciółem pani matki, doñi Marii Eugenio.

Matka zaniemówiła. Otworzyła usta wokół jakiegoś niewidzialnego słowa, które za nic nie chciało wyjść na zewnątrz. Wówczas nie zrozumiałem, dlaczego nie eksplodowała wylewnie na powitanie

owego mitologicznego boga, który zaszczycał nas swoją obecnością. Dzisiaj nie pojmuję, jak zdołała sklecić trzymające się kupy zdanie.

- Nie, ona nie była moją matką, tylko teściową, panie Sutherland.

- Hamish, bardzo proszę, Hamish. Ja pragnę, żeby wyrazić mój najgłębszy ból z powodu zgonu pani teściowej. - Wręczył mamie olbrzymi bukiet kwiatów.

- Bardzo dziękuję... Hamish. Bardzo piękny bukiet. Naprawdę, niepotrzebnie się pan fatygował. Ale proszę usiąść, bardzo proszę. Może napije się pan czegoś? Kawy, a może czegoś zimnego...?

- Nie, bardzo dziękuję, to jest bardzo przyjemne z pani. Ja nie chcę, żeby zakłócać.

- Vicente, czy mógłbyś...?

Vicente wziął od niej kwiaty i oddalił się do kuchni.

Oboje pograżyli się w podminowanej nerwowością ciszy. Nie wiedziałem, czy mogę, czy już nie mogę, czy powinienem, czy może już nie powinienem się odzywać, tak czy owak wzruszenie zaszpurowało mi gardło. Nawet biorąc pod uwagę fakt, że ten facet pomylił się całkowicie co do swojego wyglądu, który w ogóle nie zgadzał się z moimi rysunkami, jego obecność w moim domu była bardziej jeszcze nieprawdopodobna niż wizyta Feliksa Rodriagueza de la Fuente, który koniec końców pochodził z Burgos. Co prawda czerwone włosy i broda mieściły się jeszcze w standardach, jakie musiał spełniać Action Man-podróżnik, lecz ubiór był po prostu śmieszny. Miał na sobie ciemny garnitur, jak ten, który co rano przywdziewał ojciec, gdy szedł do sądu, oraz szykowny, dyrektorski krawat z Galerias Preciados*. Nie ma pod słońcem bardziej absurdałnego stroju dla myśliwego polującego na lwy. A gdzie ładownica, kamizelka o tysiącu kieszeni, filcowy kapelusz z otokiem z lamparciej skóry, strzelba?

Niespodziewanie utkwiał we mnie swój wzrok i uśmiechnął się bezustnym uśmiechem, nosem dotykając niemal podbródka.

Sieć wielkich domów towarowych założona w 1943 roku i wykupiona w 1995 przez konkurencyjne przedsiębiorstwo El Corte Ingles (przyp. tłum.).

- One są pani dzieci? One są urocze!

Postanowiłem ignorować fakt, że bohater, który uszedł z życiem z puszczy używa słowa „urocze”. Był przecież Szkotem i najwyraźniej miał kłopoty z językiem hiszpańskim, co można było zauważyć zwłaszcza w uporczywym i przesadnym akcentowaniu liter „t”, „d” i „r”. Wtedy przemówiłem.

- Cześć, ja jestem Curro.

- Curro! Co za jedno piękne imię, takie hiszpańskie!

- Tak, jestem Hiszpanem, he, he. - Zachichotałem głupkowato i natychmiast zrozumiałem, że skompromitowałem się na całej linii. Gość odniósł się z wyrozumiałością do mego godnego ubolewania występu.

- A ja jestem Szkotem, ale nie byłem do Szkocji przez wiele, wiele lat. Ja mieszkam w Afryce.

- Tak, wiem, moja babcia dużo mi o tobie opowiadała.

- Och, rzeczywiście? Ona mówiła do ciebie o mnie? I co powiedziała ona?

- Że grałeś w burzę na skrzypcach, to o kawalerii... Że grałeś to bardzo dobrze. I że miałeś na sobie spódnicę, i że polowałeś na lwy, i że...

- Curro, nie męcz pana! Na pewno jest znużony po długiej podróży.

- Matka nie potrafiła ukryć zakłopotania. - No już, zmykaj na górę do pokoju, musimy porozmawiać o sprawach dorosłych. Proszę mi powiedzieć, zostanie pan tutaj na dłużej?

- Nie, absolutnie nie, ja nie chcę zakłócać. Ja tylko chcę, żeby złożyć kondolencje. Siostra pani teściowej, doña Victoria, napisała do mnie z wiadomościami o zgonie doñi Marii Eugenie. Ja chciałem być tutaj z uwagi na pogrzeb, ale gdzie ja mieszkam, ja muszę podróżować wielką odległość, żeby wziąć pocztę.

- Tak, Victoria mówiła mi, że napisała do pana, ale nigdy nie przypuszczałam... Curro, czy byłbyś łaskaw pójść do swojego pokoju?

- Nie przejmuję, ja rozumiem, ja rozumiem. Ja tylko pragnę, żeby odwiedzić jej grób i wtedy ja odjadę.

- Ma pan się gdzie zatrzymać? W tym domu pokoi nam nie brakuje. Curro, powiedziałaś, że masz iść do siebie na górę i nie myślę więcej razy tego powtarzać!

- Nie przejmuj, ja jestem w jednym hotelu blisko. - Spojrzał na mnie ponownie, żeby przyjść matce z odsieczą w jej bezwzględnym usiłowaniu pozbycia się mojej osoby. - Do widzenia, Curro. My zobaczymy później.

- Tak, do widzenia.

Z niewypowiedzianym zalem i obwisłymi ramionami wstałem i powłóczę nogami, powlokłem się do domu. To rycząca niesprawiedliwość, myślałem, że mojej siostrze pozwala się uczestniczyć w powyższej scenie tylko dlatego, że nie rozumie ani słowa z tego, o czym mówią dorośli. Mimo to nic nie mogło zgasić mojego entuzjazmu. Dziadek jest w domu! Pognałem do pokoju, by zgromadzić wszystkie rysunki lwów, które miałem zamiar mu pokazać. Nie wiem, o czym rozmawiali z matką, kiedy zostali sami. Zaangażowałem się w sprawę ponownie dopiero po powrocie z pracy ojca, ale wówczas moje zainteresowanie wzbudził podniesiony głos. Wiedziałem z góry, że jeśli pojawię się na patio, zostanę bezwarunkowo spławiony po raz drugi, przycupnąłem więc na schodach, wyostrzając słuch i usiłując śledzić wątek rozmowy. Ojciec wykrzykiwał impertynencko: jak pan śmie, po tylu latach, nie ma pan za grosz wstydu... W tle tej kategoriycznej melodii pobrzmiwała płochliwa przyśpiewka matki: Fernando, proszę, Fernando, proszę. Hamisha nie było słyhać w ogóle. Awanturę zakończyły kroki i złorzeczenia ojca, których donośność wzrastała, w miarę jak zbliżał się w okolice mojej wieży obserwacyjnej na schodach, co zainspirowało mnie do pośpiesznego opuszczenia sceny i czmychnięcia do pokoju. Gdy zawołano nas na kolację, Hamisha już nie było. Po deserze nie było oglądania telewizji. Tej nocy moi rodzice kłócili się w salonie do bardzo późna, a ich stłumione kilkoma warstwami cegieł i kamienia głosy sekundowały moim niespokojnym zmianom pozycji w łóżku, aż sen zagłuszył dobiegające z dołu krzyki.

Przypuszczam, że pakt, jaki zrodził się w wyniku tej szorstkiej wymiany opinii, miał polegać na pozbawionej jakichkolwiek przejawów serdeczności, aczkolwiek wolnej od werbalnej agresji, beznamiętnej tolerancji. W czasie pobytu Hamisha taką właśnie postawę, postawę wrogości, przyjął mój ojciec i chyba ją rozumiałem, skoro jej powodem była nieobecność Szkota u boku małego syna.

Wyobrażałem sobie jego okaleczone dzieciństwo: banalne rysunki, na których nigdy nie gościła postać ojca, brak silnej ojcowskiej ręki pomagającej dziecku przefrunąć nad kałużami, brak kogoś, kto pomógłby mu otworzyć zbyt mocno zakręcony słoik z marmoladą, ustawiczna konieczność robienia siku w dziewczynskiej toalecie. W takiej sytuacji marną pociechą było fantazjowanie o dalekim rodzicielu, łowcy przygód i lwów w Afryce, zwłaszcza że nie mogło się być tam razem z nim, być jego muszkietierem, pomagać mu szukać tropów lub dźwigać amunicję, robić wszystkiego tego, co robił Rocco ze swoim ojcem, gdy szli na polowanie.

Następnego dnia była sobota i ojciec nie pracował. Brat pobiegł rozegrać swój cotygodniowy mecz piłki nożnej, a matka weszła do mnie po sjeście, żeby mi zakomunikować, że ja i siostra zostaniemy pod opieką Vicentego, ponieważ ona wychodzi z ojcem i panem cudzoziemcem załatwić pewne sprawy. Spytałem, jakie to sprawy, i powiedziała, że idą na cmentarz odwiedzić grób babki. Poprosiłem, żeby zabrali mnie z sobą, ale odmówiła. Bezskutecznie błagałem, by zmieniła zdanie, gdy wtem w drzwiach pojawił się ojciec. Zawijając krawat, powiedział: „Pozwól mu, jeśli chce, Claro. Jest już duży. Ale doprowadź się do porządku, rozumiemy się, Curro?”. Rozradowany pokłusowałem pod prysznic, wykapałem się, uczesałem i ubrałem. Gdy zszedłem na dół, Hamish już tam był, w tym samym garniturze co poprzedniego dnia i z nowym bukietem kwiatów. Wszyscy troje czekali na mnie w progu. Tylko jedno z nich uśmiechnęło się na mój widok. W czasie drogi na cmentarz postanowiłem przyhamować nieco swój zapał i nie wiercić Szkotowi dziury w brzuchu pytaniami o Afrykę i lwy. Nie chciałem krępować rodziców, zważywszy zaś na cel wizyty, bałem się, że rozmowa na tak frywolne tematy będzie nie na miejscu.

Cmentarz zalany późnopołudniowym słońcem zamarł w odrętwieniu pulsującym rytmicznym śpiewem cykad. Dotarłszy na miejsce pochówku babki, matka powstrzymała mnie i ojca, dotykając naszych ramion. Nieznacznym ruchem głowy dała nam do zrozumienia, abyśmy zostawili Hamisha samego. On szedł dalej rozdygotanym krokiem, ściskając w rękach kwiaty, których płatki spadały mu pod nogi. Zatrzymał się nieruchomy przed bryłą kamienia.

Jego ramiona to wznosiły się, to opadały. Spojrzałem na rodziców. Mama pod maską wymuszonej obojętności dusiła w sobie odruchy współczucia, ojciec natomiast z mieszaniną pobłażliwości i wzdargy wyszeptał półgębkiem „czysty teatr”, kiedy Hamish osunął się na kolana z głową zwieszoną na piersi. Wyjął z wazonu wiechetek zwiędłych kwiatów i w jego miejsce włożył swój bukiet. Naraz sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i w jego rękę pojawił się kawałek papieru. Była to mała, biała koperta. Trzymał ją w rękach przez krótką chwilę, szepcząc coś i patrząc na granitową płytę. Potem włożył kopertę do wazonu z wodą, w którym wcześniej ulokował kwiaty. Obserwując te przedziwne zabiegi, ojciec chciał podejść do grobu, ale matka go powstrzymała. Nie dałem jej najmniejszej szansy, żeby powtórzyła ten sam manewr ze mną; gdy Hamish powstał i pogrążył się w myślach lub w modlitwie, lub po prostu w bólu, podbiegłem i chwyciłem go za dłoń. Nie wiem, jaka siła pchnęła mnie, by to uczynić, jeśli wzruszenie wywołane tą sceną, która dla mojego ojca była czystym teatrem, nie było już samo w sobie wystarczającym powodem. Tak czy owak Hamish wynagrodził mi to uśmiechem i powiedział:

- My idziemy teraz. Już wszystko jest dobrze.

Wróciliśmy do domu w milczeniu, jeśli nie liczyć suchych i kłujących słów ojca, gdy spytał:

- Teraz, gdy odwiedził pan już grób mojej matki, ma pan jeszcze jakieś sprawy do załatwienia, panie Sutherland?

- Nie, nie, nic więcej. Ja już odjadę jutro.

Zdało mi się, że słyszę dyskretne westchnienie, choć może był to jedynie szmer silnika.

Wjeżdżając stromym podjazdem do Lux Domini, matka odwróciła się do mnie i powiedziała:

- Curro, ty zostań w domu, my odwieziemy pana Sutherlanda do hotelu.

Przeraziła mnie perspektywa utraty jedynej, jak się wydawało, szansy na pokazanie temu obieżyświatowi rysunków i wysłuchania jego opowieści. W jednej sekundzie wyzbyłem się strachu, że to zachowanie nie na miejscu, i zajęczałem żałośnie, jak kot wkręcony w nienaoliwioną ośkę.

- Nie, mam, proszę! Muszę pokazać Hamishowi rysunki lwów!
Proszę, proszę, proszę!

Ojciec skapitulował, posapując.

- No dobrze, pozwól mu. Potem ja go odwiozę.

Dzień chylił się ku zachodowi, kiedy pociągnąłem Hamisha po schodach na górę do swojego pokoju. Z ulgą dał ponieść się fali tej mojej dziecięcej spontaniczności, wyzwolony z więzów krępujących go w obecności rodziców. Weszliśmy do pokoju i zamknąłem drzwi. Wskoczyłem na łóżko, odbiłem się od niego i przypadłem do szuflady biurka, w której przechowywałem rysunki, po czym w powrotnym susie wylądowałem na skraju łóżka. On przysunął krzesło stojące przy moim biurku, usiadł, postękując ze zmęczenia, i zapalił fajkę.

- Patrz, to moje rysunki lwów. Podobają ci się?

- Ale jasne, twoje rysunki są bardzo piękne! Ale i ten człowiek, to jestem ja?

- Tak, to ty, ale chyba źle cię narysowałem, bo ty się tak nie ubierasz. - Wygiąłem usta w podkowę w akcie skruchy.

- Nie, nie, nie! To jest perfekcyjne! Ty narysowałeś moją brodę bardzo dobrze, ja mam brodę. I ubranie jest perfekcyjne. Ja nie chodzę ubierając jak on tutaj, ale ja tak robię, kiedy ja jestem w moim domu w Afryce. - Wypreżył się z uroczystą powagą. - Dobry *rover* powinien wiedzieć zawsze, jak żeby ubierać na każdą okazję.

-Kto?

- *Rover*... podróżnik.

- Aha. Ale chyba źle narysowałem krajobraz, bo babcia powie działa, że lew jest królem puszczy, ale żyje na sawannie. A tutaj narysowałem puszcze z całym mnóstwem drzew, a przecież na sawannie nie ma ich tyle.

- Twoja babcia była bardzo bezbłędna. Ale niektóre lwy również żyją w puszczy. Chociaż rysujesz do mnie ze strzelbą, ja nie jestem myśliwy. Ale jednego razu tak, ja zabiłem lwa. Tylko jeden raz. I to było w puszczy.

- Więc naprawdę upolowałeś lwa? Opowiedz mi, proszę, opowiedz!

- Hm... Ja muszę myśleć i ta historia ja opowiadam do ciebie innego dnia. Ale zamiast ja opowiadam inną historię z Afryki.

- Niech będzie, opowiedz!
- Jednego razu na czasie był osadnik...
- Co to jest osadnik?
- Hm... *Settler*... Człowiek, który stawia swój dom na dzikiej i nieznanej ziemi, gdzie jeszcze jest żaden pociąg ani poczta, ani miasto.

- I co robi tam osadnik? Poluje?
- Tak, też. Ale on, on uprawia ziemię lub on ma krowy.
- Aha. Opowiadaj.
- Dobrze, więc on był jednym osadnikiem, który miał farmę w ekwatorze.

- Ale czy to nie miało być w Afryce? Ekwador jest w Ameryce.
Tak oto za sprawą ciągłych wtrąceń tamto pierwsze opowiadanie Obłądnym strusiu rozciągnęło się w nieskończoność. Moje dociekli we pytania wywołały istną plagę przypisów, które niczym w tłumaczeniu Dantego niemal nie pozostawiały miejsca na tekst głównego opowiadania. Szkot mężnie przetrwał przesłuchanie i z serdeczną cierpliwością wyjaśnił wszystkie trapiące mnie wątpliwości. Gdy opowiadanie dobiegło końca, pomyślałem, że to najlepsza historia, jaką zdarzyło mi się kiedykolwiek słyszeć. Wyobrażałem sobie ogrodzenie z żerdzi, ciżbę poobijanych, ślaniających się na kulach i podtrzymujących nawzajem robotników z obandażowanymi, pokrytymi guzami głowami, błąkającego się niestrudzenie i po wsze czasy strusia z niebieską podkolanówką na głowie i osadnika kuśtykającego za nim dzień i noc z jedną bosą stopą i wyrzaskującego przekleństwa, i wszystko to sprawiało, że konałem ze śmiechu. Przez długie lata powątpiewałem w prawdziwość tych anegdot, aż natknąłem się na niektóre z nich w książce „Happy Valley” Nicholasa Besta. Dziadek natomiast sfabrykował upiększające kronikę szczegóły, które dzielił jeszcze na czworo podczas rundy pytań następujących po zakończeniu każdej historii, gdy osaczałem go nieprzejednaną dociekliwością, wystawiając na próbę wiarygodność opowiadania.

- Ty masz więcej pytań? - upewniał się, gdy wyczerpałem repertuar wątpliwości.

- Tak, jeszcze tylko jedno. Co to była za koperta, którą położyłeś razem z kwiatami na grobie babci?

- Ha, ha! Ty jesteś dobry obserwator.

- Tak. Co to było?

- Dobrze, to był wiersz. Wiersz ja napisałem dla twojej babci, kiedy... kiedy ja dowiedziałem się wiadomości.

- Wiersz! A co mówił ten wiersz?

- To mówiło... Ja mam, żeby myśleć i napisać jeszcze raz. Ja piszę to dla ciebie. Ale to jest po angielsku. Ty rozumiesz angielski?

- Uczę się w szkole, ale jeszcze nie rozumiem zbyt wiele. Patrz, babcia podarowała mi ten prezent. - Pokazałem mu książkę „Bom free”. - To książka o lwach, ale napisana jest po angielsku i jeszcze nie rozumiem, co jest w niej napisane. Zrozumiem za kilka lat. Teraz mogę tylko oglądać zdjęcia. Ale ty przecież możesz ją przeczytać.

- Och, „Born free” - zdumiał się, przewracając kartki książki. - Tak, to jest historia bardzo piękna o małżeństwie, które karmi ręką lwicę sierocinkę. Ja znam.

- Kiedy babcia mi ją podarowała, powiedziała, że mogą ją czytać tylko ludzie, którzy znają się na lwach, to znaczy ty i ja. Kazała mi przyrzec, że pozwolę ci ją przeczytać.

- Ja? Rzeczywiście? Twoja babcia powiedziała, że ja czytam to? Ale ja znam tę historię.

- Ale to jest obietnica! Powiedziała wyraźnie: obiecaj mi, że dasz ją dziadziusiowi, żeby ją przeczytał.

- Dziadziusiu? Curro, ja przykro, ale ja nie jestem twoim dziadziusiem. Ja byłem w sam raz jednym przyjacielem twojej babci.

- Jasne, że tak! Ty jesteś moim dziadkiem! Hamish, ten od skrzy piec! Moja babcia zawsze mi to mówiła!

Raptem na twarzy Hamisha odmalowało się niewypowiedziane osłupienie. W tej właśnie chwili odkrył coś w książce, utknął bowiem na jednej stronie i zastygł, wpatrując się w nią przenikliwie. Przerzucił kilka kartek do przodu, potem wstecz, w wielkim podnieceniu. Poderwał się z krzesła i wyprostował pod oknem z książką zwróconą ku dogasającej jasności dnia. Pstryknął światło w pokoju. Opadł ciężko na krawędź łóżka i przez kilka następnych minut wertował kolejne strony, aż w końcu uniósł czoło i spojrzął przed siebie niewidzącym wzrokiem, zatopiony w myślach. Książka spadła na podłogę. Objął dłońmi twarz. Przez szpary między palca-

mi precyśniej się urywany szloch. Nie rozumiałem, skąd ta nagła rozpacz. Poszedłem i położyłem dłoń na jego ramieniu.

- Dziadziusiu, dobrze się czujesz?

Wydobył oblicze z czeluści dłoni i ujrzałem jego nagle zwężone i wodniste oczy, jakby niespodzianie otrzymały wodę i światło, o które modliły się przez dziesiątki lat. Łzy rozlewały się po jego twarzy, szukając drogi w sieci zmarszczek, by w końcu przesączyć się do lasu brody. Rozpostarł ramiona i objął mnie, mrużąc coś po angielsku, czego nie rozumiałem. Potem jął wyrzucać z siebie urywane zdania po hiszpańsku.

-Ja... przykro... Ja przykro bardzo... Wybacz do mnie... Proszę...

Wstał, usiłując wziąć się w garść, poprawił marynarkę i wyszedł z pokoju. Poszedłem za nim na bosaka w dół schodów i przystanąłem w chwili, gdy zobaczyłem, jak zwraca się do moich rodziców siedzących w salonie. Był tam też Carlos, który zdążył już wrócić z meczu. Przez szczelinę między balaskami balustrady obserwowałem, jak matka przedstawia Hamisha bratu, a ten podnosi się i ściska mu dłoń. Lecz wówczas Szkot zaczął gwałtownie gestyku

lować, wyjaśniając coś, czego nie dosłyszałem. Rodzice w milczeniu wysłuchali do końca jego monologu. Potem wybuchła ostra scysja, w której arogancki ton ojca tłamsił pozostałe głosy. Krzychał, że w nic nie uwierzy, że jeśli ma zamiar z nich drwić, to niech się nie wysila, bo już dopiął swego, i że jeśli chce się wkręcić do jakiejś rodziny, to lepiej niech poszuka w książce telefonicznej, bo tutaj z pewnością jej nie znajdzie. Pyskówka ta raniła mnie i żenowała, i nie chciałem słyszeć ani słowa więcej. Nie wiem, jak zakończyła się awantura i czy mój ojciec odwiózł Hamisha do hotelu, czy wyrzucili go za drzwi jak bezdomnego kotka. Lecz tamtej nocy, kiedy światła Lux Domini pogasły, rutynę ciszy zburzyła nowa wymiana zdań między ojcem i matką. Aby przed zaśnięciem uciec myślami od szczęku szabel, dodawałem sobie otuchy, wspominając historię błędnego strusia i odgrzewając w pamięci najsmakowitsze, najzabawniejsze szczegóły. Mimo to odczuwałem wielką pustkę w żołądku, którą przypisałem niezmiernie skromnemu, pierwszemu i być może zarazem ostatniemu kęsowi obecności mojego najnowszego

dziadka. Nieoczekiwanie zdałem sobie sprawę z czegoś więcej. Nie zjedliśmy kolacji.

Rodzice włożyli tak bezprzykładny wysiłek w zakamuflowanie naszej małej „rodzinnej anomalii”, że w owych dniach życie domowe obudowała dekoracja wymuszonej normalności granicząca z fałszywą, marionetkową błazenadą. Carlos był już w wieku pozwalającym mu siadać przy jednym stole z dorosłymi, Isabel zaś zbyt mała, aby w ogóle móc usiąść na krześle, z czego można było wyciągnąć prosty wniosek, że jedynym obiektywnym obserwatorem tej komedii niemego kina byłem ja.

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki wróciło wszystko to, co robiliśmy zwykle za życia babki: obiady w ogrodzie, gry, sangrie i napoje cytrynowe zgodnie z wypełnianym punkt po punkcie żelaznym, teatralnym scenariuszem. Jak większość dzieci irytował mnie fakt, że biorą mnie za głupca, dlatego w pełnej ofensywie sztucznych uśmiechów matki i zaszyfrowanej ironii ojca zatroszczyłem się, aby unaocznić wszystkim, iż wiem doskonale, co się dzieje: Hamish jest moim dziadkiem, a oni go nie lubią, bo wyjechał i zostawił babcię samą. Ojciec zapytał, czy dowiedziałem się tego od niego, na co odpowiedziałem, że wiedziałem to już przed jego wizytą i że powiedziała mi o tym babcia. Nie potrafiłem pojąć swoim nieletnim umysłem, skąd tyle wrogości i dlaczego Hamish nie może z nami zamieszkać. Matka tłumaczyła, że ojciec mu nie ufa, bo Hamish mówi, że do tej pory nie wiedział, że ma w Hiszpanii rodzinę. Ojciec nie wierzył w to i twierdził, że to niemożliwe. Spytałem matkę, czy ona mu wierzy. Odpowiedziała, że nie wie już, co myśleć, że ma w głowie chaos. I w tym jej chaosie ja pogubiłem się również.

Nie pasowało mi w nim to, że przez kilka następnych tygodni Hamish nadal odwiedzał nasz dom, że brał udział w owej inscenizacji, gdzie każda postać zdawała się zajmować swoje miejsce zaznaczone na podłodze kredą i gdzie nie wyświadczało się uprzejmości, jeśli nie była wcześniej ujęta w libretcie. Kurtuazja - absolutna. Etykieta - zawsze. Dyplomacja - bezdyskusyjna. Poprawność - najwyższej próby. Poufałość - w ilości odmierzonej z aptekarską dokładnością. Przypuszczam, że z tego właśnie powodu Hamish szukał mojego towarzystwa, poza tym byłem jedyną osobą w domu,

która poważyła się podeptać formułę zwracania się do niego per pan. W zamian za otrzymane zaufanie w kontaktach ze mną zrzucił z siebie chropowatą i zdobną w komunały zbroję lakoniczności, którą zakładał podczas rozmów z rodzicami, kiedy pytali go o jego zajęcia czy dom w Kenii.

Po tym jak błędny struś wykończył już całą afrykańską populację w czworoboku z pali poprosiłem go o inną historię. Opowiedział mi wówczas o Amerykańskiej Wyprawie Globograficznej. Pewien jankeski milioner zorganizował misję naukową, która postawiła sobie za cel sfilmowanie afrykańskich sawann z lotu ptaka, i wynajął pociąg, który miał przewieźć ekipę z Nairobi do łożyska doliny Rift. Uznał, że wyjazd powinien odbyć się z wielką pompą i kazał przystroić skład pociągu tonami girland pozostałych z jakiegoś poprzedniego święta. Pociąg odjechał przy dźwiękach orkiestry, rozsiewając swoje krzykliwe kolory wzdłuż kenijskiego płaskowyżu, lecz wówczas dały Osobie znać pewne niedociągnięcia w tym fantastycznym projekcie. Węglowy piec i papierowe girlandy były czymś w ogóle nie do pogożenia i za sprawą iskier sypiących się z komina pociąg dokonał triumfalnego zjazdu w dolinę zamienioną w gigantyczną pochodnię. Wyszedłszy obronną ręką z tego groźnego zdarzenia, magnat i jego współpracownicy zabrali się ochoczo do wyładunku wyposażenia i montażu zaprojektowanej na tę okoliczność aparatury, produktu twórczej myśli technologicznej składającego się z bezzałogowego balonu aerostatycznego wyposażonego w automatyczną kamerę, z liny służącej do sterowania balonem z ziemi i z osła odgrywającego rolę balastu i będącego, za pośrednictwem liny, naturalnym łącznikiem pomiędzy matką Ziemią i balonem. W tym wypadku wszelako zawiodły pomiary poszczególnych mas i kiedy balon uniósł się w powietrze, pociągnął za sobą również przebierające w pustce nogami, ryczące zwierzę, które w krótkim czasie rozpląnęło się w międzygwiazdnej przestrzeni. W przeciwieństwie do strusia osła nikt już więcej nie widział, co pozwala przypuszczać, że pewnego dnia istoty pozaziemskie będą świadkami lądowania na ich planecie pierwszej kosmicznej wyprawy wystrzelonej z Ziemi i pilotowanej przez astronautę, z którym mogą mieć poważne kłopoty podczas próby nawiązania kontaktu i natkną się być może w trakcie oględzin

filmowego sprzętu na ujęcie sfilmowane z powietrza, przedstawiające błakającego się po sawannie strusia z niebieską podkolanówką na głowie, co przyczyni się niewątpliwie do stworzenia sobie przez kosmitów osobliwego wyobrażenia o życiu na Ziemi. Słuchając tych opowieści, pękałem ze śmiechu, dziadek zaś z zadowoleniem pykał ze swojej fajki przez szczelinę w czerwonej brodzie, posyłając w powietrze pierścienie z dymu.

Utarło się, że dziadek zostawał ze mną do późna, usypiając mnie swoim mruczącym głosem, kiedy siostra spała już w najlepsze jak aniołek o brzoskwiniowych policzkach. Pewnej sierpniowej nocy, nakryty po sam nos prześcieradłem i ukołysany koncertem skrzypcowym świerszczy, zapragnąłem wiedzieć i odważyłem się zapytać.

- Dziadku, ty nie wiedziałeś, że jesteś moim dziadziusem?
- Nie, ja nie wiedziałem, Curro.
- W takim razie nie rozumiem.
- To... ty lepiej zapytaj swoją matkę. Ja nie mogę wyjaśnić dobrze.
- A dlaczego dowiedziałeś się dopiero teraz?
- Dzięki babci twojej.
- Dzięki babci?
- Tak. Twoja babcia była bardzo sprytna, bardzo sprytna. Ona zostawiła wiadomość dla mnie, w twojej książce.
- W tej o lwach?
- Tak, w tej o lwach.
- A jak zostawiła ci wiadomość?
- Ty widzisz, to zdarzyło się przed długim czasem. Twoja babcia i ja byliśmy zaproszonymi na wielkie przyjęcie w tym domu na górze góry, w tym jednym, który jest za twoim domem. Ojciec twojej babci był chory i ona nigdy nie zostawiała domu, żeby wziąć opiekę nad nim, ale ona była bardzo zmęczona i tamtej nocy ona chciała, żeby odpocząć. Ona zostawiła swój ojciec z pielęgniarką i poszła ze mną na przyjęcie. To było wtedy bardzo nadzwyczajna okazja i ja chciałem, żeby dać prezent twojej babci. Ja mówiłem do niej o Afryce i ona pytała do mnie, ona chciała, żeby wiedzieć rzeczy o Afryce. Ja myślałem, że ona i ja wyjedziemy do Afryki razem, tak ja kupiłem dla niej książkę o Afryce. Książka jest nazwana „Through Masai

Land", poprzez masajski kraj, i to było napisane przez podróżnika, który był Szkotem, jak ja. On był nazywany Joseph Thomson. Tak ja kupiłem książkę i na przyjęciu, kiedy my wyszliśmy na zewnątrz do ogrodu, ja dałem książkę do niej. Ona śmiała wiele, ponieważ ona spodobał się prezent. Kiedy ona otworzyła książkę, ona znalazła żadnego poświęcenia.

- Cooo?

- Poświęcenie... Kiedy ty dajesz książkę komuś, ty piszesz jakieś słowa na pierwszej stronie dla tej osoby, Kocham cię, dziękuję, blablabla, tak ta książka jest osobisty prezent.

- Aha, rozumiem!

- Dobrze, wtedy ona znalazła żadnego poświęcenia i spytała, dlaczego ja nie napisałem. Ja powiedziałem ja używałem, żeby pisać żadne poświęcenie na pierwszej stronie, bo to wszystko jakiś mógł przeczytać, a poświęcenie było jakąś rzeczą osobistą, tylko żeby być czytane przez tego jakiegoś jednego specjalnego. Tak ja używałem, żeby ukryć poświęcenie w środku książki. Ona poszukała, poszukała i ona znalazła nic, ale ja wiedziałem, ona znajdzie, ponieważ ona była bardzo sprytna. Wtedy jej twarz zapaliła się w górze i ona zrozumiała. Ja napisałem małe kreski pod niektórymi literami, które ona miała żeby poszukać i położyć razem, żeby przeczytać wiadomość. Ona tylko musiała znaleźć, na której stronie wiadomość się zaczynała, i ona znalazła. To było na stronie trzydziestej pierwszej, ponieważ rok był tysiąc dziewięćset trzydziesty pierwszy. Tak ona tylko musiała połączyć litery z kreską pod spodem, zaczynając na stronie trzydziestej pierwszej i wtedy ona mogła przeczytać moje poświęcenie.

- I co to była za wiadomość?

- Dobrze, to mówiło, ja kochałem do niej i ja prosiłem do niej, żeby przyjechać ze mną do Afryki.

- I co ci odpowiedziała?

- Prawda jest... ona nigdy nie odpowiedziała. Ale ja wiedziałem, odpowiedź była nie.

- Ale dlaczego?

- To, Curro, ja nigdy się nie dowiedziałem. Ale w tamtym momencie ona... jej twarz zrobiła smutna, ona wstała i poszła na zewnątrz

ode mnie, patrząc w doliny i w niebo nocą. Prawdą jest, że ja kupiłem już bilety dla obojga z nas na jakieś dni później. Ja byłem pewny, ona powie tak. Ale ja miałem, żeby wyjechać do Afryki sam.

- I dlaczego nie zostałeś z nią tutaj?

- To było bardzo skomplikowane. Ja miałem, żeby wyjechać do Afryki w jakiejś sprawie.

- I wtedy ona zostawiła dla ciebie wiadomość w mojej książce?

- Właśnie. Kiedy ty powiedziałaś, ona powiedziała do ciebie, że ja miałem, żeby przeczytać twoją książkę, wtem ja zrozumiałem. Ona zostawiła wiadomość dla mnie w twojej książce. Wiadomość zaczyna się na stronie siedemdziesiątej ósmej, ponieważ ona zostawiła to w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym ósmym.

- I co mówi ta wiadomość?

- To mówi, że właścicielem tej książki jest mój wnuk, że ja wybaczam do niej, że ona kochała do mnie i nigdy nie zapomniała do mnie.

- Kurczę, ale super! Babcia była bardzo sprytna.

- Tak, ona była. Ona napisała wiadomość, żeby podróżować poza czas. I wiadomość doszła do mnie. Ona pomyślała jakiegoś dnia, ty zobaczysz do mnie i że ty pokażesz do mnie twoją książkę o lwach.

- Tak, bo wiedziała, że tylko ty i ja znamy się na lwach! To ona mi je pokazała. Zabrała mnie do zoo i do parku safari. Od tamtej pory strasznie podobają mi się lwy, bo tutaj mamy jednego, którego bardzo się boimy i nie możemy upolować.

- Tutaj? Gdzie?

- W Walpurgii. Tam, na górze.

- Och, to jest bardzo niebezpiecznie. Lwy nie powinny być, gdzie ludzie mieszkają. One mogłyby zaatakować jakiegoś jednego.

- Jasne, dlatego chcieliśmy go upolować z kolegami. Ale nie mogliśmy no, bo... bo... bo... bo nakryli nas rodzice i już nie możemy chodzić do Walpurgii. Facundo, Facundo to lew, wiesz? Facundo dalej jest na wolności i już nie możemy go upolować. A najgorsze z tego wszystkiego jest to, że pokazałem naszą kryjówkę Marianie, mojej narzeczonej, to znaczy, ona nie jest moją narzeczoną, była moją

narzeczoną, to znaczy, nie, chciałem, żeby była moją narzeczoną, ale już nie chcę. Pokazałem jej naszą kryjówkę i ona opowiedziała wszystko swoim rodzicom i dlatego nie możemy już tam chodzić. A ponieważ to ja zawałem sprawę, moi przyjaciele oddali mi swoje pióra i teraz myślą, że jestem tchórzem.

- Pióra?

- Tak, jak w tym filmie, wszyscy mieliśmy po jednym piórze i jeśli któryś z przyjaciół odda ci swoje, to znaczy, że jesteś tchórzem i że go zdradziłeś. Teraz mam pióra wszystkich trzech.

- Ja rozumiem. Hm... A ty mógłbyś dać ich pióra z powrotem do nich, jeśli ty udowodnisz, ty upolowałeś Facundo?

- Tak, pewnie, ale to już niemożliwe, bo nie mogę już tam chodzić. Dostałem karę od rodziców i musiałem siedzieć w pokoju, i rozwalili naszą Bazę Obozową.

- Nie. To nie jest niemożliwe. Ty opowiesz twoi przyjaciele, że ty upolowałeś Facunda. I ty spróbujesz to.

-Jak?

Przygryzł ustnik fajki, rozluźnił krawat i rozpiął dwa górne guziki koszuli. Jego pierś zdobił niezwykle spektakularny naszyjnik, skórzany rzemyk z nanizanymi nań wielkimi, białymi elementami. Wstrzymałem oddech, zastanawiając się gorączkowo, czy to jest to, co myślę. Kiedy ściągał naszyjnik, wymamrotał zza cybucha:

- Ty pamiętasz, ja opowiedziałem do ciebie, ja upolowałem jednego lwa? Dobrze, to są pazury tego lwa. - Wyjął fajkę z ust i wręczył mi naszyjnik.

- Dla mnie? Chcesz mi go podarować?

- To jest twoje.

- Bomba! Rany, ale super! Ale ty zostaniesz bez niego, a to przecież był twój lew.

- Och, ja już jestem stary człowiek i ja będę szczęśliwy, wiedząc, że ten naszyjnik zostaje tak jeden klejnot rodzinny i bardziej szczęśliwy, wiedząc, że to służy do ciebie mieć twój honor z powrotem. Weź to.

Przyjąłem naszyjnik, składając obie dłonie w miseczkę jak ktoś, kto przyjmuje dar od ambasadora pozaziemskiej cywilizacji. Ile dziesięcioletnich dzieci posiada naszyjnik z pazurów najprawdziwszego

lwa? I to lwa upolowanego przez samiuśkiego osobistego dziadka? Czy mogła istnieć bardziej purpurowa niebiańska purpura albo wyższy stan laski? Bezwłocznie udekorowałem tym bezcennym odznaczeniem swoją pizamkę w misie.

- Ja nie wiem, czy twoi rodzice polubią to. Być może ty powinieneś ukryć to.

- Zgoda! Jutro pójde do Fermina, Rocca i Nacha, żeby zwrócić im pióra! Ale... czy to w porządku, że ich oszukuję? Nie upolowałem przecież Facunda.

- Dobrze... Tak długi tak ty masz ten naszyjnik, ja obiecuję, Facundo nigdy nie zakłóci do ciebie, twojej rodziny i twoich przyjaciół, ponieważ on będzie wiedział, ty jesteś myśliwy lwów. Teraz ty ochraniaś ich wszystkich. Ty zasługujesz na szacunek i ty spróbowałeś twoje męstwo. Oni są mylni, myśląc, ty jesteś tchórzem. To jest tylko kłamstwo białe, także sprawiedliwość może być dość.

- Tak, masz rację! Dziękuję, dziadziusiu! I teraz opowiesz mi, jak upolowałeś lwa?

- To kiedy indziej. Teraz ty śpisz.

- Zgoda. Ale opowiesz mi jeszcze raz o strusiu?

Wciąż nie potrafię zrozumieć, jak to możliwe, że pośród gromów tego rodzinnego zatargu, którego detonatorem okazała się wizyta dziadka, rodzice pozwolili mu zbliżyć się do mnie z tak wielką poufałością. Przypuszczam, że nie odważyli się usunąć z mojego życia osoby, którą jakaś pokretna droga przywiodła do naszego życia i posadziła w wakującym fotelu. A może wykorzystywali użyteczność mojej funkcji w charakterze substancji naoliwiającej trące o siebie elementy rodzinnej maszyny. Lub usiłowali doprowadzić do sytuacji, w której szczerłość i otwartość cechujące jego kontakty ze mną wpędzą go w pułapkę bez wyjścia, która pozwoli go zdemaskować, jeśli rzeczywiście był obłudnikiem. A może wszystkiego po trochu. Tak czy owak myślę, że przez tych kilka tygodni Hamish zdołał zdobyć zaufanie matki, która w końcu uwierzyła w jego wersję wydarzeń i poczuła do niego coś w rodzaju sympatii. Ojciec tymczasem trwał na swej niewzruszonej pozycji w lodach beznamiętnej uprzejmości, nie pozostawiając żadnej szpary, przez którą Hamish mógłby się przecisnąć i zasiać w jego sercu ziarenko uczucia. Nocami,

gdy Szkot wracał do hotelu i ojciec zdzierał z twarzy hieratyczną maskę, wciąż dochodziły mnie odgłosy kłótni.

W tę samą noc, w którą zostałem obdarowany naszyjnikiem, temperatura dyskusji podniosła się bardziej niż zwykle. Mury domu zatrzęsły się, gdy ojciec wygłosił swoją ostateczną proklamację - koniec, mówił, nie zniosę go dłużej, jutro wyprawię go na lotnisko albo sam się wyprawię. Wiedziałem, że nie żartuje. Kodeks prawa w domu sędziego nie musi być wcale rozwlekły, ale jego intabulacja - z rozmysłem używam tego archaizmu - wykonana jest na tytanowych płytach. Jeśli ojciec mówił „koniec”, to znaczyło to, że koniec. Wystraszyłem się, że nie zobaczę już więcej Hamisha, i zasnąłem wyjątkowo przygnębiony, kontemplując swój skarb w świetle malutkiej latareczki pod osłoną prześcieradła.

Następnego dnia ojciec nie musiał demolować fasady swojej kościstej uprzejmości, aby wyrzucić dziadka z naszego życia. Hamish zjawił się w domu niezwykle strwożony, mówiąc, że w Kenii coś się wydarzyło i musi tam jak najszybciej wracać. Zmarł prezydent i jego śmierć zagrażała stabilności kraju. Obawiał się, że może dojść do zamieszek na tle rasowym, i musiał wracać natychmiast, żeby chronić swoją własność. Rano zdążył się już spakować i przed domem czekała na niego taksówka. Przyjechał, żeby się pożegnać. Pojedzie na lotnisko i zaczeka tam do czasu, aż uda mu się kupić bilet na pierwszą z brzegu kombinację lotów, która pozwoli mu ostatecznie wylądować w Nairobi.

Być może dla uczczenia zrządzenia losu, które obdarowywało go doskonałym i neutralnym rozstrzygnięciem problemu, ojciec zaoferował się odwieźć dziadka na lotnisko. Hamish bronił się jak mógł, lecz ojciec zapłacił taksówkarzowi i kazał mu wypakować walizki. Ten pożegnalny gest ojca pozwalał mu odtrąbić podwójne zwycięstwo: osiągał swój cel, nie wystawiając na szwank dobrych manier, oraz przechylał szalę przysług na swoją korzyść. Obserwowałem to wszystko ze swojej baszty na schodach pogrążony w trwożliwej apatii. Nagle uzmysłowiłem sobie, że nie ma czasu do stracenia. Pobiegłem do pokoju wykapać się i ubrać. Dziesięć minut później zameldowałem się najzwyczajniej w świecie na dole w holu, gdzie ojciec z dziadkiem czekali na matkę i z godnością

oznajmiłem flegmatycznie: „Jadę z wami”. Carlos był jak zwykle poza domem, a Vicente miał zaopiekować się Isabel. Pożegnanie Vicentego i Hamisha było lodowate, jak przysłowiowe uściski dłoni amerykańskich i rosyjskich ministrów. To właśnie wtedy zwróciłem uwagę na coś, co do tej pory wymykało się mojej percepcji: podczas pobytu Hamisha Vicente rozplątał się niemal, usuwając swoją postać z publicznej dekoracji Lux Domini, co mogło sugerować coś więcej niżli tylko smutek po śmierci babki. Być może wiedział, chociaż ja wówczas nic z tego nie rozumiałem, że on i Hamish nie mieszczą się w tym samym rozdziale biografii babki.

Panu Kenyatcie, pierwszemu prezydentowi niepodległej Kenii, nie przyśniłoby się nawet w najbardziej ekstrawaganckim śnie, że jego nagła śmierć posłuży za pretekst, tak daleko od jego kraju, do nawiązania jedynej płynnej rozmowy między rodzicami i dziadkiem. W drodze na lotnisko matka uskarżała się na to niezwykle feralne lato: straszliwa tragedia na kempingu Los Alfaques*, śmierć papieża, a teraz tego prezydenta; ojciec zaś zainteresował się sytuacją polityczną w Kenii i Hamish wyjaśniał szczegółowo cały szereg niuansów dotyczących grup etnicznych, gospodarki, historii i religii. Przez pewien czas pracował jako dziennikarz, mówił, i poznał doskonale wszystkie meandry sytuacji politycznej tego kraju. Był to pierwszy i ostatni raz, kiedy Hamish wyjawiał jakiś szczegół na temat swojego życia w Afryce, stroniąc konsekwentnie od wątków osobistych. Dowiedzieliśmy się jednak, że pracował dla jakiejś brytyjskiej gazety w czasie rewolty, która doprowadziła do uzyskania niepodległości, i że horror wojny dotknął go osobiście.

Na moje nieszczęście wszystko to podrażniło tylko moją ciekawość i zaostriło głód gruntowniejszego poznania tej postaci wymykającej mi się z rąk do następnego razu, jeśli miał w ogóle nastąpić jakiś następny raz. Łudziłem się po cichu, że może nie będzie wolnych miejsc tego dnia, tego miesiąca czy tego roku i że wrócimy całą czwórką do Lux Domini. Szczęście mi nie sprzyjało. Kiedy dziadek

11 lipca 1978 r. 3 km od Sant Carles de la Rapita (Costa Dorada) na drodze przebiegającej tuż obok kempingu usytuowanego kilkanaście metrów od plaży wybuchła cysterna przewożąca ciekły propen. W wyniku wybuchu zginęło 245 osób, a 300 odniosło rany (przyp. tłum.).

zapisywał się na listę oczekujących, rezygnacja jednego z pasażerów pozwoliła mu zająć jego miejsce w samolocie odlatującym zaledwie kilka godzin później, a i w tym okrojonym czasie nie mogłem nacieszyć się jego towarzystwem. Pośpieszył bowiem do strefy tranzytowej, by przed odlotem załatwić kilka niecierpiących zwłoki spraw przez telefon. Dopiero po wielu latach zrozumiałem, jaka była prawdziwa przyczyna tego pośpiechu i niepokoju. W tamtej chwili jedyne, co mogłem, to tylko uwiesić się dziadkowej szyi z całych sił, jakbym w ten sposób potrafił sprawić, że moje ramiona zrosną się na stałe z jego karkiem i będzie musiał zabrać mnie z sobą do Kenii. Ale gdy się już wyściskaliśmy, moje drobne ręce ześlizgnęły się z jego ramion i zostałem tam, stercząc naprzeciwko wielkich paneli obwieszających loty do dalekich miast mieniących się bombastycznymi nazwami, wśród których nie pojawiała się ani razu ta, dla której wyrzekłbym się ciepłej dłoni mamy - Nairobi.

Nie zdołałem wydrzeć z trzewi jednego choćby słowa pożegnania. Na chwilę przed rozstaniem, kiedy już zbierał się do odejścia, Hamish jakby sobie o czymś przypomniał. Cofnął się i wyciągnął z kieszeni białą kopertę, taką samą, jak ta, którą włożył do wazonu z kwiatami na grobie babki. Wręczył mi ją, uśmiechnął się, położył wielką dłoń na mojej głowie i kilka sekund później zniknął w gęstym tłumie.

W domu, na nowo ogołoconym z dziadków i wypełnionym od piwnicy po strych przytłaczającą monotonią, rozdarłem kopertę. Znajdował się w niej arkusz papieru z firmowym nagłówkiem hotelu, a na niej wiersz napisany po angielsku, który mogłem przetłumaczyć dopiero wiele lat później:

*Nadciąga bryza, niesie ukojenie od słońca.
Żar promieni wznieca życie na sawannie,
brzegi sadzawek kipią falowaniem,
cielaki witają poranek wczoraj przyuczonym kłusem.*

*Próżnują lamparty, baraszkują ich młode;
pełzają krokodyle ku błotnym kałużom; lwy
celebrują krwi łyki ostatnie; w przybrzeżnych
bajorach taplają się słonie.*

*Lecz cóż to za wrzawa rozlega się wokół
Orły krzyk w niebo rozpaczliwy wznoszą.
Zamknęła powieki, jak glaz zimna leży.
Księżniczkę o brzasku bez życia spotkano.*

*W goryczy Z dniem tym żaden dzień się nie zrówna.
Słyszałeś już złą nowinę? Czy możesz dać wiarę?
Czyżbyśmy sami zostali ze smutkiem i bólem? Czy
rozkwitną kwiaty po deszczów potopie?*

*Burza już przeszła, bawoły pochylają pyski,
szczęc z mięsistych warg łzy płynące z nieba. Nie
podnoście wrzawy tej lipcowej nocy, nastał czas
żałobnego zmierzchu.*

*Oddajcie swój pokłon, bestie natury; spójrzcie na
aniola - kochała i była kochana. W dole nad
rzeką zbudujemy tratwę, popłyniemy nią miękko w
cichy przestwór nieba.*

*Zaprzestańcie częściej paplaniny, nie rajcujcie tak głośno;
księżniczka śpi, nurt w dół ją unosi. Niech łopot ptasich
skrzydeł ukołysze jej daleki sen, Niech nartniki utkają dla
niej z kropel rosy całun.*

*Stworzenia, drapieżniki, poniechajcie westchnień. Żadna
nekropolia nie uwięzi jej duszy; żadne zasieki nie zamkną
jej życia niby domowego ptactwa. Leć, mała dziewczynko,
leć ponad kamienne motyle.*

Małpa i magdalenka

Obmierzły telefon. Z doświadczenia wiem, że nie ma dobrych wiadomości, które można by otrzymać drogą telefoniczną, a już na pewno nie w chwili, kiedy jego prostacki i małoduszny jazgot wdiera się między końcówki dwóch myśli, które już, już mają się połączyć, żeby przypieczętować zdanie, konkluzję, refleksję czy hipotezę odróżniającą błyskawicę natchnienia od wulgarnego produktu mozolnej pracy. Wybiera zawsze najgorszy moment i jest jak prymitywny ćwok rozpychający się w metrze za każdym razem, kiedy rozbrzmiewa jego natrętny, histeryczny dzwonek domagający się skupienia na sobie całej uwagi i zmuszający do oderwania się od pochłaniających nas spraw. Z rzadka te sprawy są na tyle wstrętne, aby telefon mógł nam zaoferować coś wdzięczniejszego. Świat dzieli się na dwie kategorie ludzi: tych, którzy dzwonią, i tych, do których się dzwoni. Ci, do których się dzwoni, nigdy nie są wybrańcami, z wyjątkiem sytuacji, w których dzwoniący pragnie wtajemniczyć ich w swoje nieszczęścia lub uświadomić im ich własny dramat. Mimo to nie potrafimy żyć bez telefonu, podobnie jak nie potrafimy nie kupować zakładów bożonarodzeniowego totka, co bez żenady wykorzystują trzymające łapę na grach losowych instytucje oraz firmy telefoniczne: ludzimy się, że pewnego dnia nasz numer przyniesie nam coś dobrego. Zdarza się to jednak niezmiernie rzadko, a jeśli już nawet się zdarzy, rzadko możemy liczyć na amortyzację wieloletniej inwestycji będącej jednym pasmem frustracji i ciągów.

W dniu, w którym ktoś wynajdzie inteligentny telefon wyjawiający nam na wyświetlaczu miast numeru czy nazwiska dzwoniącego jego intencje wraz z informacją, czy nie mamy z nim aby na pieńku, może zacząć się z tym odrażającym urządzeniem dogadywać.

Tamten poranek w redakcji zaczął się od telefonu z gatunku tych, które dudnią w rozmięczonym jeszcze snem mózgu, gwałcąc człowiekowi powieki i deflorując sklejącą je błonę. W tych nadzwyczaj przygnębiających okolicznościach gnębicielem nie mógł być nikt inny jak Celestino Posada.

Celestino Posada był samozwańczym rzecznikiem kupców z małego placyku w centrum Madrytu, na którym ratusz budo-
wał fontannę. Kilka miesięcy wcześniej w trakcie wykonywania wykopu robotnicy natrafili na mikroskopijne szczątki jakiegoś ceramicznego naczynia i zarządzeniem władz miejskich roboty dotknął paraliż do czasu ustalenia, czy nie chodzi tu przypadkiem o cenne złożo archeologiczne, co w razie pozytywnej ekspertyzy obligowałoby ratusz do podjęcia stosownych działań polegających na objęciu tego miejsca ścisłą ochroną pod parasolem surowych norm archeologicznej sztuki. Tymczasem małe ogrodzenie zabezpieczające roboty poszerzono profilaktycznie z takim animuszem urzędowej troski, że wessało ono do swego wnętrza cały plac, pozostawiając wąskie przejście o szerokości jednego zaledwie metra na obrzeżach portali i placówek handlowych zepchniętych do defensywy i uwieczonych za ścianami płotu firmy budowlanej prowadzącej prace przy fontannie. W drodze z gabinetu do gabinetu sprawa gdzieś się zawieruszyła i decyzja utknęła na wiele miesięcy, gdy tymczasem handlowcy patrzyli z niepokojem, jak dematerializuje się im klientela unikająca jak zarazy przejścia przez plac zamieniony w mały Zachodni Brzeg Jordanu. Zbliżało się Boże Narodzenie i sklepikarze, obawiając się zaprzepaszczenia najbardziej lukratywnego sezonu w roku, zaczęli się mobilizować. Celestino Posada, zaciekły osobnik w średnim wieku ze spływającym kaskadą brzuchem, wąsem przypominającym miotłę i wełnistymi bokobrodami, był właścicielem dotkniętej budowlanymi manewrami księgarni i on to właśnie stanął na czele protestujących mieszkańców.

Jakieś dwa tygodnie wcześniej zadzwonił do mnie, relacjonując mi całą sprawę. Wedle jego słów wszystkie usytuowane przy placu sklepy były o krok od zamknięcia interesu, ponieważ dziesięć tysięcy lat temu jakiś troglodyta zgubił kubek z duraleksu. Uznałem, że temat jest godny uwagi i Guan, mój szef redakcji, kupił historię. Po czym wybrałem się tam z fotografem, żeby przeprowadzić wywiad z Celestinem Posadą.

Wywiad był jednym wielkim koszmarem. Posada okazał się unikatowym okazem błazna i grubianina, mimo iż demonstrował duże odczytanie, jak przystało na rzetelnego księgarza. Nie odpowiedział na żadne z moich pytań. Zamiast tego zabrał się z miejsca do obrabiania tylnej, dolnej części ciała wszystkich urzędujących aktualnie miejskich decydentów, a z mocą wsteczną całej armii urzędników na kierowniczych stanowiskach, którzy piastowali swoje godności od czasu upadku dyktatury, nie tej bynajmniej, na której czele stał Franco, ale dyktatury Prima de Rivery, jedyne go okresu historycznego XX wieku, kiedy, zdaniem Posady, na ulicach panował porządek. Niepozabawionym erudycji repertuarem obelg wygarnął do wszystkiego, co się rusza, nie wyłączając prasy, która w tym konkretnym momencie, w całej swej rozciągłości, od Gutenberga po Pedrojotę", skoncentrowała się w mojej kruchej osobie. Kiedy werbalne ciosy na tułów zgruchotały doszczętnie moją odporność, dałem tyły, wycofując się na z góry upatrzone pozycje w redakcji, by lizać rany i pisać reportaż, który przedstawiłby w korzystnym świetle protest mieszkańców placu.

Celestino Posada wyraził poważne zastrzeżenia co do rezultatu mojej pracy -jakżeby inaczej. W dniu, w którym ukazał się artykuł, wyrzucił mi przez telefon - co w jego wypadku nie jest metaforą - swój protest, ponieważ, jak się wyraził, przekręciłem jego słowa. Do białej gorączki doprowadziło go zwłaszcza zignorowanie przeze mnie serdecznych wyrazów szacunku, jakie zadedykował radnemu i jego matce. Ja napisałem „proszę zapytać radnego, czy uznałby za właściwe rozkopywać ogród w domu swojej szanownej matki”,

Pedro J. Ramirez (Pedro Jose Ramirez Codina), hiszpański dziennikarz i redaktor naczelny dziennika „El Mundo” (przyp. tłum.).

gdy on tymczasem użył dokładnie słów „niech pan powie temu skurwysynowi radnemu, żeby kopał w ogrodzie swojej matki”. Rzeczony kwalifikator wydał mi się mocno przesadzony, zbyt emocjonalny i mało opłacalny dla interesu mieszkańców, jednak Posada upierał się przy zamieszczeniu erraty w stylu „tam, gdzie pan Posada wyraża swoją opinię na temat radnego i jego szanownej matki, w istocie rzeczy pragnął wyrazić swoją opinię na temat skurwysyna radnego i jego matki”. Nie mam żadnych wątpliwości, że takowe sprostowanie przeszłoby do historii prasy i moja efemeryczna kariera wraz z nim.

Odmowa zamieszczenia sprostowania nie zniechęciła Posady. Wręcz przeciwnie. Odtąd dzwonił do mnie co drugi dzień, wieszając psy na moim artykule i wygłaszając całą litanię mało życzliwych epitetów. Tego ranka jego woli głos powtórzył znany już refren:

- Mencia! Jak wygląda sprawa sprostowania?

- Przykro mi, don Celestino, ale jak już nieraz mówiłem, nie ma go i nigdy nie będzie.

- I po to zleciłem napisanie tego artykułu właśnie panu? Zrobiłem to, ponieważ pańska gazeta wydaje mi się jedyną zachowującą minimum przyzwoitości, ale gdybym wiedział, że tak to się skończy, zwróciłbym się do pierwszej lepszej z brzegu, nawet do tych czerwonych z „El Pais”!

- Co pan sobie wyobraża, że to Telepizza, że może pan sobie zadzwonić i...?

- I pan uważa się za dziennikarza? Pan nie jest żadnym dziennikarzem! Pan jest... gryziپیórek, napletek mass mediów! Dziennikarz? Niezależny? Wolne żarty! Pan jest zasmarkanym gońcem z koszulą w zębach, pan... pan... pan jest kabylskim wyskrobkiem, oto, kim pan jest! Mencia, żądam natychmiastowego sprostowania!

- Źle pana słyszę, don Celestino! Mam jakieś zakłócenia na linii... tak... pro... trud... żegnam, żegnam... - Wgniotłem słuchawkę w widełki.

Schowałem twarz w dłoniach i przez palce przyglądałem się, jak redakcja rozgrzewa silniki. Przyjemnie było na nią patrzeć, kiedy pracowała na pełnych obrotach, jak należycie naoliwione koła pasowe obracane tym samym paskiem klinowym, ale wcześniej,

z samego rana, można było odnieść wrażenie, że zaczyna się raz po raz, dopóki sensne zjawy nie znalazły swojej misji w życiu trwającym w codziennej gazecie dokładnie tyle, ile jeden dzień pracy.

- Co, znowu twój przyjaciel, księgarz psychopata?

To Mónica, koleżanka i przyjaciółka ze studiów. Pracowaliśmy razem od czasu naszych praktyk w gazecie i jeśli do tej pory nie rozszerzyliśmy obcowania o czynność ustawiania obok siebie naszych butów pod łóżkiem to, poza innymi przyczynami, dlatego, że do jej wielkiego stanu posiadania zaliczał się jej chłopak, osobnik o uczesaniu przywodzącym na myśl czapę Daniela Boone'a, kroczący z wyboru ciernistą drogą artysty przeklętego, z której to kariery, pewnego dnia, zdołałby może nawet złożyć egzamin magisterski, aby wyzwolić się z tego, czym był w owym czasie - wyłącznie przeklętym. Jak ja facet miał na imię Francisco, jednak kazał na siebie mówić Frań, bo jeśli Curro jest zdrobnieniem dobrym dla toreadorów parających się wbijaniem banderilli w grzbiet byka lub gryzipiórków zasmarowujących strony gazet, nie jest odpowiednim dla kogoś, kto nurza w smole martwą kożę i rozpinają na krzyżu skomponowanym ze świecących na różowo świetlówek. W pewnym sensie Mónica obwołała się mecenasem tego alternatywnego rzeźnika i choć poza przywilejem stawiania pod łóżkiem obok jej pantofelków swoich glanów służących do kopania leżących ten domniemany artysta odgrywał w jej życiu podrzędną rolę, poszerzając po prostu listę bezdomnych piesków pozostających na jej wikcie, ja nie mogłem jej tego wytykać, bo sam byłem na tej liście.

Poznaliśmy się z Mónica w wydziałowym barze, gdzie przesiadywała otoczona ansamblem klakierów zdzierających sobie ręce do żywego oklaskiwaniem każdej myśli ulatującej z jej ust. Dowiedziałem się od jednego kolegi, że korne myszki chwytają się nie tylko na haczyki jej kruczoczarnych kędziorów o metalicznym połysku, ale że w grze był tu również inny metal, który sprawiał, że lgnęły do niej jak magnesiki do drzwi lodówki. Mónica była jedyną córką i spadkobierczynią wydawcy jednego z największych hiszpańskich dzienników. Na szczęśliwca, któremu udało się usidlić tę kotkę, czekała nagroda poukładanej i świetlanej przyszłości, tak więc Mónica przemierzała korytarze wydziału niczym

Marilyn sunąca w dół schodów pośród klaki facetów w smokigach obsypujących owacjami jej każdy krok. Z początku wziąłem ją za pyszałkową manipulantkę i zająłem pozycję komety oddalonej na orbicie odśrodkowej, aby móc wracać nie wiadomo skąd, nie wiadomo jak często, nie wiadomo po co, jednak bez możliwości ucieczki z jej pola grawitacyjnego, tak potężnego, że trzymającego w szachu osobnika o tak imponującym stopniu nieważkości i nietowarzystości, jak ja.

Po kilku semestrach jej wskaźniki oglądalności poleciały na łeb na szyję, gdy na wydziale gruchnęła nowina, iż zaręczyła się z jednym z delfinów z akwarium swojego papy, pluszowym, miękkim i pozbawionym układu kostnego jak osiołek Juana Ramóna* koleśkiem, grubo górującym nad nią wiekiem, i ręczę, że niczym więcej. To właśnie wtedy zacieśniła stosunki z tymi, którzy zachowali heroiczną obojętność na wieść o jej wycofaniu się z rynku. Była przyzwyczajona do tego, że wybiera sama, i robiła to z naturalnością osoby wypełniającej zakupami wózek w supermarkecie.

Nie wiem, czy stało się to w ramach buntu przeciwko manipulatorskiej pyszałkowatości Moniki, faktem jest, że pewnego dnia zaproponowałem jej główną rolę w reportażu, jaki obowiązyany byłem spłodzić w ramach praktyk. Postawiłem sobie w nim za cel dokonanie analizy mechanizmów rządzących rynkiem pracy poprzez porównanie perspektyw zawodowych dwójki studentów dziennikarstwa: jeden od kołyski miał własną maszynę rotacyjną, drugi zaś nie miał ani kontaktów, ani antecedencji dziennikarskich w rodzinie. Pierwszym była Mónica, drugim ja. Pomysł wydał się jej zabawny, a Mónica wydatkowała swój czas i pieniądze wyłącznie na rzeczy zabawne, chociaż ostrzegłem ją lojalnie, że być może finalny produkt dociekań nie rozśmieszy jej do łez. Uzbrojony w zeszyt, dyktafon i aparat fotograficzny uczepliłem się jej kędziorów i przez tydzień chodziłem za nią krok w krok, przekroczyłem klasztorne podwoje arcyważnych gabinetów, wślizgując się nawet do najświętszego klęcznika jej ojca, najwyższego kapłana, zstąpiłem do Tartaru redakcji,

Juan Ramón Jimenez, poeta hiszpański, laureat Nagrody Nobla w dziedzinie literatury za rok 1956. Aluzja do osiołka, bohatera jego najsłynniejszego dzieła pt. „Srebrzynek i ja: elegia andaluzyjska” (przyp. tłum.).

206

gdzie moja bohaterka rozkwitała pośród motyli i pozwalała spijać do woli swój nektar, dzieliłem z nią miejsce przy jednym stole podczas kolacji-hołdu, którą zaszczyliło kilku najsławniejszych w kraju rysowników, i krążyłem ze szklanką whisky z sodą w dłoni na przyjęciu w jej domu, ocierając się o ministrów rządu i śmiertelne powłoki słynnych publicystów, a także o paru wykładowców z wydziału, którzy na koniec roku mieli wystawić Monice i mnie oceny. W następnym tygodniu, wróciwszy na ziemię jako student dziennikarstwa, pod fikcyjnym nazwiskiem usiłowałem umówić się na wywiady z wieloma eminencjami, które poznałem w dniach poprzednich. Sromotna klęska - ani jedna z nich nie zgodziła się na spotkanie.

Pewnie, że mój reportaż nie odkrywał nic nowego, nic, czego nie znałaby ludzkość, odkąd istnieje arystokracja i plebs, panowie i lokaje, stręczyciele i prostytutki, pochlebiam i pochlebcy lub, jak mawiał Clint Eastwood w filmie „Dobry, zły i brzydki”, ci, którzy

mają nabity rewolwer, i ci, którzy kopią dół. Ale być może nikt przede mną nie zdecydował się udokumentować tego zagadnienia w skromnym reportażu śledczym, który na domiar złego gwałcił dziennikarskie tabu pisania w pierwszej osobie.

Byłem zadowolony z rezultatu. Zanim oddałem pracę domową wyższej instancji, jedną kopię wręczyłem Monice. Przeciwnie, niż to interpretowała ona, nie oczekiwałem od niej aprobaty ani tym bardziej przyzwolenia. W reportażu przemilczałem prawdziwe personalia, zmieniłem piastowane stanowiska i nie po to wcale, by zakamufłować prawdziwą tożsamość bohatera, co byłoby jałowym usiłowaniem, lecz dlatego, by można się było skupić na historii, nie zaś szukać chorobliwej podniety w personaliach. Poza tym czułbym się mocno zażenowany, gdyby ktoś oskarżył mnie o napastliwość i złe intencje. Rozmyślny atak wydawał mi się przejawem złego gustu; co więcej, wydawał mi się pretensjonalny we wprawce będącej przecież zwykłym szkolnym ćwiczeniem. Niemniej jednak Mónica zirytowała się, przeczytawszy materiał, i wściekła, gdy dotarło do niej, że podtrzymuję zamiar oddania tekstu, nie licząc się z jej kategorycznym zakazem. Dała mi do zrozumienia, że w powietrzu wisi realna groźba zaważenia tego, a może i innych przedmiotów,

na co z ludycznym cynizmem odpowiedziałem, że może powinienem włączyć powyższe do reportażu. Dała mi odczuć, że szczególne niezadowolenie wzbudzają w niej passusy uwieczniające dokumentalistów gazety odwalających praktyki za córkę szefa, profesorów dziobiących jej z ręki na przyjęciu - flirt był główną bronią wchodzącą w skład jej artylerii i dlatego postanowiłem nie zmieniać płci bohaterki - oraz szkic biograficzny jej postaci, z którego wyłaniała się beztroska *flapper** z opowiadania Scotta Fitzgeralda, pojmująca dziennikarstwo jak prywatną grę planszową, smarkata menedżer-ka i „nożycowa od wstęgi” - czytaj osoba, która z wielką pompą i szumem prezentuje wszem wobec jako swoje dzieło coś, w czego tworzenie nigdy nie była zaangażowana. Zapytała, czy rzeczywiście tak o niej myślę. Odpowiedziałem, że tym reportażem osiągnąłem dużo więcej, niż oczekiwałem, jeśli nagle interesuje ją opinia innych. Przestała mówić mi cześć i cofnęła swoją przychylność. Reportaż otrzymał piątkę i był bardziej komentowany, niżbym sobie tego życzył. Dostałem nawet propozycję opublikowania go w wydziałowej gazetce, na co nie wyraziłem zgody, żeby nie dolewać oliwy do ognia. Mónica nie odzywała się do mnie przez miesiąc, ale jakiś głos szeptał mi do ucha, że wcześniej czy później spuści z tonu. Dziennikarstwo nie jest najlepszym z możliwych światów, nie zalicza się też do ogona najgorszych; jest po prostu jednym z wielu, choć można by pewnie dopatrzeć się w nim tej czy innej osobliwości. Ojciec Moniki po całych dniach czytał raporty strat i zysków oraz przewodniczył radom zarządów, lecz oprócz tego był rasowym dziennikarzem i ktoś, kto chłonał ten klimat od dziecka, musiał w końcu skapitulować wobec wolności słowa i oddać sprawiedliwość dobrze napisanemu reportażowi, choćby zarazem czuł się zobligowany do przełknięcia pretensji i urazy. Mónica była zwykłym podlotkiem, lecz miała więcej zadatków na dziennikarza niż wszyscy nasi koledzy z roku razem wzięci. Gdy się pojedналиśmy, nasza przyjaźń okrzepla i sądzę, że sformowalibyśmy parę

Nazwa, którą określano pokolenie młodych kobiet epoki jazzu w latach dwudziestych. Zerwały one ze schematem tradycyjnej moralności, wiodąc wyzwolone i frywolne życie. Ten stereotyp kobiety jest dominującym typem w powieściach Francisa Scotta Fitzgeralda.

po tym, jak zerwała ze Srebrzynkiem, gdyby nie to, że w owym czasie szukała czegoś egzotycznego, a nic nie mogło być dla niej bardziej egzotyczne niż Frań Dekay.

Francisco Rebollar zabijał wolny czas w niedzielne przedpołudnia końca lat osiemdziesiątych otorbiony na straganie Drakuli na madryckim Rastro, katując błony bębnowe porywami bezpardonowych watów wyrzaskiwanych przez Exploited, Dead Kennedys, Discharge i Killing Joke. Od poniedziałku do soboty tłamsił swoją tożsamość i erekcję grzebienia na głowie pod przebraniem terminatora rzeźniczego na stoisku targowym rodzonego ojca. Męczył się tak przez cały tydzień niczym powściągnięta fala nadymająca się tym mocniej, im bardziej zbliżała się do brzegu sobotniej nocy, kiedy to wybuchała niekontrolowaną, skotłowaną pianą. Czuł się jak odprysk społecznej rzeźby, aż tu nagle pewnego dnia, w czasie jednej z rebelii ulicznych pod batutą kuli Kulawego Manteki* płonący kontener na śmieci odkrył przed nim Prawdę: nie był wcale zmarginalizowanym obywatelem zero bez przyczyny i przyszłości, lecz antysystemowym artystą, który jak wszyscy antysystemowi artyści miał do wypełnienia misję sławienia destrukcji państwa dla własnych korzyści. Zostawił na lodzie ojca bez pracującego za friko wolontariusza, przyłączył się do jednej z pierwszych komun squatersów i przybrał nowe imię, które zapożyczył od nazwy jednej z ulubionych kapel. W komunie Frań Dekay wylansował program doświadczalny polegający na badaniu plastycznych właściwości mięsa, czy raczej *mienha*, swego żywiołu. Z pomocą koleżki zadającego podówczas szyku uniformem strażnika w Mercamadrid** - w porę ugryzłem się w język, by nie zełgać, że pracował w tym charakterze - kradł jagnięce udźce i poddawał je obróbce swego twórczego geniuszu, a kiedy artystyczne przymioty dzieła otrzymały już ochy i achy,

* Cojo Manteca, właśc. Jon Manteca Cabañes (1967-1996), w końcu lat osiemdziesiątych stał się ikoną medialną i symbolem studenckich protestów w wyniku przypadkowego udziału w jednej ze studenckich manifestacji w centrum Madrytu w styczniu 1987 r., która przerodziła się w zamieszki stłumione przez policję. Zdjęcia i nagrania dokumentalne ukazują jednonogiego Mantecę rozbijającego kulą latarnie, neony świetlne itd. Po krótkim okresie popularności i zainteresowania mediów popadł w zapomnienie. Zmarł na AIDS (przyp. tłum.). " Giełda spożywcza w Madrycie (przyp. tłum.).

on i jego towarzysze poddawali je powtórnej obróbce, tym razem termicznej, nad ogniskiem rozpalonym na dachu na bazie opony i młócili na wpół surowy eksponat w zgodzie z formułą ustanowienia komunii z awangardową sztuką.

Pewnego dnia do gniazda komuny zawitała szykowna panienka z dzianej rodzinki, przedstawiając się jako studentka dziennikarstwa żywotnie zainteresowana napisaniem reportażu o tej jakże fascynującej egzystencji, tej jakże pogodnej, beztrudnej rodzinie. Frań pomyślał, że dziewczę jest godnym pogardy społecznym pasożytem, lecz posiada w porządku *mienho* i do tego w smakowitych proporcjach, i zważywszy, że rozumiał się na tym jak nikt, postanowił zrobić sobie honor skosztowania go. Szykowna panienka z dzianej rodzinki pomyślała z kolei, że wszystko to jest fascynujące, fascynujące, fascynujące i że ten niesamowicie, niesamowicie fascynujący artysta ma więcej kości i krwinek niż anemiczny Srebrzynek. Wypichciła znakomity reportaż opisujący ruch squat i wkrótce Frań Dekay otrzymał od nowej dziewczyny transfer środków pieniężnych będących wkładem w doniosłą sprawę na konto bieżące na jego nazwisko w kapitalistycznym banku, który nie omieszkiał wysłać nowemu klientowi złotej karty kredytowej, aby pomóc mu w jego zacieklej walce przeciwko międzynarodowym korporacjom, bankom, przemysłowi naftowemu, wycinaniu lasów, energii nuklearnej, prowadzeniu eksperymentów na zwierzętach, spekulacji nieruchomościami, polom golfowym, środkiem przekazu zaprzędanym władzy, korridorom, polowaniom, handlowi bronią, jankesom, monarchii, neoliberalizmowi, Międzynarodowemu Funduszowi Monetarnemu, Bankowi Światowemu, toksycznemu przemysłowi i handlowi skórami, a nawet, żeby pomóc artyście w jego boju toczonym przeciwko samemu bankowi, przeciwko pasożytnictwu społecznemu reprezentowanemu przez jego szykowną laskę, córeczkę dzianego tatusia, i na koniec przeciwko sobie samemu jako ofierze całego tego burżuazyjnego i faszystowskiego oszustwa.

Jak to w życiu bywa, z nieustalonych przyczyn ukrzyżowane *ossibuchi* Frana Dekaya wzbudziły zainteresowanie wielu postmodernistycznych proroków i w krótkim czasie jego złote konto pękało w szwach wypchane brudnymi pieniędzmi, które starał się trwonić

na lewo i prawo, żeby tylko nie stać się marionetką konsumpcji telesterowanej przez El Corte Ingles*. Gardził sobą głęboko, ale gdy sumienie dawało mu się mocno we znaki, wciągał to, co miał pod ręką, łoił butelkę chivas, wskakiwał za kierownicę szesnastozaworowego GTI, brał kurs na najbliższą autostradę i cisnął pedał gazu dopóty, dopóki nie oderwał się od swoich wyrzutów. To wtedy porzucił żywiołowy dryf anarchizmu bez celu i przechrzczył się na komunizm, najlepszy z systemów pozwalający aspirować do kontrolowania maksymalnej ilości bogactw i niedopuszczenia w ten sposób, iżby wpadły w ręce tych kapitalistycznych mętów bez serca oraz haniebnej, arywistycznej i niesolidarnej klasy średniej. Zamienił skórzaną katanę na sytuacjonistyczną pelisę Vivienne Westwood, Sida Viciousa na Silvia, Malcolma McLarena na Fidela, Kulawego Mantecę na Che i libertyńską komunę na zarąbiaste poddasze.

Obserwowałem całą tę transformację z fotela w łożu teatru złotych przypadków młodzieńczego wieku Moniki. Na ostatnim roku studiów ojciec wstawił jej do redakcji krzesło, a ona poprosiła, żeby wstawiono dwa. Po zajęciach szliśmy razem do gazety, gdzie Frań wydzwaniał jak najęty, nie pozwalając aparatowi wystygnać. Nieszczęśnik uczeplił się jej jak rzep psiego ogona, tymczasem Mónica zdążyła już ochłonąć z hormonalnego uniesienia, jakim jeszcze niedawno pałała do swego dzieciuchowatego wojownika przebranżowionego bez jej zezwolenia w konwencjonalnego postępowca, konsumenta szamponu przeciwłupieżowego, już nie tak fascynującego jak za starych, dobrych czasów. Od początkowego odmawiania tej postaci chleba i wody przeszedłem na pozycje tkliwego współczucia, jakie wzbudzały we mnie wszystkie zepsute zabawki upchnięte w szufladzie zamykanej przez właścicielkę kopniakiem wymierzonym jej kształtną stopką.

W gruncie rzeczy zawsze uwielbiałem tę treserkę neuronów, której zawdzięczam pierwszą pracę i nie tylko, lecz przezwyćięższy początkowe otumanienie, nigdy, aż do owego dnia, nie

* El Corte Ingles - sieć wielkich domów towarowych posiadająca kilkadziesiąt placówek w całej Hiszpanii (przyp. tłum.).

zabiegałem na poważnie, aby wpisać się na listę poszkodowanych przez nią ofiar, jak nigdy nie próbowałem wycisnąć pocałunku na łańcuchu piły łańcuchowej na chodzie lub wyskoczyć z piątego piętra, aby dowiedzieć się, jak to jest, gdy siła grawitacji wklepuje cię w ziemię. Mimo to wpadłem jakiś czas po obronie pracy magisterskiej, dokładnie w dniu, w którym zadzwonił do mnie ponownie Celestino Posada. Była to jedna z tych sytuacji, których podłożem jest potrzeba wzajemnej pociechy i które przydarzają się wówczas, gdy naskórek dwojga ludzi złuszczył się niedawno i jest nadzwyczajnie wrażliwy na dotyk drugiej, cieplej skóry.

- Co, znowu twój przyjaciel, księgarz psychopata?

- Nie wiem już, co z nim robić. To jakiś koszmar.

- Wyciśnij z niego ostatnie soki. To twoje monstrum. Pokaż go światu. Podpuść go. Wiesz, że w dzisiejszych czasach takie historie sprzedają się na pniu.

- Żeby przejść do historii dziennikarstwa jako biograf Celestina Posady? Serdeczne dzięki.

- Łudzisz się jeszcze, że istnieją bardziej zacne sposoby zapisać się w historii dziennikarstwa?

- Cóż... Kiedy wstaję o świcie, podnoszę żaluzje i dzień jest czysty i rześki, niekiedy w to wierzę.

- O tak, ja też. Ale mnie coś podobnego zdarza się wyłącznie wtedy, gdy zbiega się to z Bożym Narodzeniem, Nowym Rokiem czy Wielką Sobotą. W pozostałe dni jest prasa.

- Jesteś zbyt cyniczna jak na swój młody wiek.

- A ty jeszcze zbyt młody, aby być cyniczny. Nie zapominaj, że mam w tej materii dwudziestotrzyletnie doświadczenie.

- Myślisz, że Guan pozwoli mi opisać sylwetkę księgarza?

- Spróbuj. Właśnie nadciąga.

Szef redakcji kolebał swoim nieforemnym cielskiem w korytarzu redakcji, gryząc w zębach cygaro, okryty zwiewną tuniką dymu. Wpadłem mu na spotkanie.

- Guan, znowu dzwonił do mnie Celestino Posada.

- I co w związku z tym, chłopcze?

- Pomyślałem, że ten facet to postać rozwojowa i że gdyby go trochę zanęcić, mielibyśmy jeszcze z niego pociechę. Mógłbym

przeprowadzić z nim szerszy wywiad i opisać jego sylwetkę, jeśli mi byś pozwolił.

- Pozwolić? Ja nie pozwalam, chłopcze. Ja wydaję rozkazy i polecenia. Masz. - Wręczył mi jakieś oświadczenie dla prasy. - Pójdiesz na otwarcie jarmarku bożonarodzeniowego. Potem rób, co ci się żywnie podoba.

- Ale wydrukujesz mi to?

- Słuchaj, coś ci opowiem. Jak prowadziłem zajęcia na wydziale... tak, prowadziłem zajęcia na wydziale, co tak wytrzeszczasz gały. No więc któregoś dnia wchodzę do sali, a wszyscy studenci zaczynają mnie pytać jeden przez drugiego: Guan, co ze stopnia mi? Guan, a stopnie? Stopnie, stopnie? Nie wiedziałem, o co im u diabła chodzi, bo nie było żadnego egzaminu, ale oni dalej jak najęci z tą samą śpiewką o stopniach, aż w końcu nie wytrzymałem tego kociokwiku i pękłem: Co za stopnie? JAKIE STOPNIE? Na co wszyscy zerwali się na baczność i wrzasnęli unisono: ZAPNIJ ROZPOREK, BO CI WACEK ZMOKNIE!

Zachwyciła mnie uroda tej anegdoty, nie potrafiłem jednakże załapać, jak się ona ma do mojej sytuacji. Wówczas Guan zaserwował mi na tacy puentę:

- Nie kapujesz? Morał: jak nadstawiasz tyłek, to później nie rozpaczaj. Dałem się zrobić, zgrzeszyłem naiwnością i zapytałem. Jeśli chcesz przeprowadzić wywiad z tym mantyką, musisz ponieść konsekwencje, chłopcze. No, jazda, do roboty.

- W porządku. Dziękuję, Guan.

- Nie dziękuj, chłopcze. Szefowi się nie dziękuję. Nie jestem tu po to, żeby ci wyświadczać przysługi. - Jego głos przepadł za drzwiami gabinetu.

Kiedy wróciłem do stołu, Moniki już nie było. Zaledwie zetknąłem się z siedzeniem krzesła, moje uszy poraził ponownie barbarzyński skowyt telefonu.

- Słucham?

- Nie ma Móni? - Był to zdarty, zachrypły głos sławetnego Frana Dekaya.

- Cześć, Frań, tu Curro.

- Siemasz, Currito, koleżko, jak leci, stary.

- Jak zwykle, pracuje się trochę. A co u ciebie?

- Ostatnio kulawo, gościu. Jakaś kijowa grypa rzuciła mi się na kichy i nie schodzę z kibla. Słuchaj, co to ja miałem mówić, nie ma tam gdzieś Móni?

- Przed chwilą była, ale teraz jej nie widzę. Gdyby wyszła w teren, zostawiłaby mi jakąś wiadomość, więc pewnie jest w łazience albo w biurze ojca, albo zeszła na śniadanie. Może coś jej przekazać?

- Currito, stary, czuję się jak ostatni łach. Nie wiem, co za ostrą jazdę ma ze mną, ale w ogóle nie daje znaku życia. Nie pamiętam już, kiedy ostatni raz ją widziałem. Jarzysz, o co jej może biegać?

- Nie, ale nie sędzę, żeby coś miała do ciebie - skłamałem. - Mamy fuli roboty i prawie nie wyściubiamy stąd nosa. Ja na twoim miejscu bym się nie przejmował, to na bank to, nic więcej.

- Siekło mnie na amen, stary, na amen, kumasz? Muszę ją zoba czyć. Nie chce mi się ani szamać, ani ciąć komara, zero odruchów. Może ty mógłbyś coś poradzić, stary. Może wyczaisz ten klimat. I powiedz jej, żeby do mnie dryndnęła, co?

- Nie przejmuj się, pogadam z nią. Ale nie mogę ci nic obiecać. To zależy od niej.

- Dzięki, Currito, jesteś wporzo koło. To nara, stary, trzym się.

- Ty też. Myślę, że ty bardziej tego potrzebujesz. Tymczasem, Frań.

Tego mi tylko brakowało. Robić za zamiatarkę zbierającą szczątki potrzaskanych serc ścielących się gęsto tam, gdzie przeszła królowa mass mediów. Z mocnym postanowieniem zażądania uczuciowej eutanazji dlatego skatowanego nieszczęśnika chwyciłem jeden z żółtych karteluszków z klejem na rewersie i napisałem dla Moniki wiadomość:

Idę na Plaża Mayor na otwarcie jarmarku. Po raz n- ty dzwoniło do Ciebie Twoje monstrum, Fran-kenstein, którego stworzyłaś. Życia już nie masz w nim. Pogadamy potem. Ściskam, C.

Akt inauguracji jarmarku przeciągnął się prawie do obiadu. Spławiłem fotografa, wciskając mu jakąś ciemnotę i klucząc pośród przedświątecznej krzątaniny, wdepnąłem do baru przy placu Santa Cruz, żeby coś przegryźć. Stamtąd zadzwoniłem do księgarni

Celestina Posady. Słyszając mój głos, zaniósł się swoją tradycyjną serenadą o sprostowaniu, ale zaniemówił, gdy poprosiłem go o spotkanie po obiedzie celem przeprowadzenia wywiadu. Z chępliwością zwycięzcy obdarował mnie niezwykłą uprzejmością. Odwiesiłem słuchawkę i pociągnąłem łyk piwa, a kelner już umiłał mi życie porcją *patatas bravas*. Wetknąłem następną monetę w szparę automatu telefonicznego i wybrałem numer Moniki w gazecie.

- Tak, słucham?

- Cześć, to ja. Nie wiedziałem, czy będziesz na mnie czekać, żeby zjeść razem. Zostaję w centrum. Po obiedzie umówiłem się z Posadą.

- Poważnie, wziąłeś to na serio?

- Na tyle, na ile pozwala surrealizm. Ale tak, wziąłem to na serio. Dajesz lepsze rady, kiedy jesteś cyniczna, niż wówczas gdy starasz się być uprzejma. A propos, czytałaś moją wiadomość?

- Tak, tak, widziałam ją. Domyślałam się, że to preludium do kaza nia, zgadłam?

- Szkoda mi się zrobiło biedaka i musi być naprawdę bardzo źle z Franem Dekayem, jeśli mi go szkoda. Jego głos brzmiał jak z kartonowej tabliczki *ouija*. Rób, co chcesz, ale żeby później nie było, że nikt cię nie ostrzegął, że koleśowi niewiele brakuje, żeby znowu zaliczyć dół albo jeszcze gorzej.

- Wezmę to pod uwagę. Powodzenia z „psychopatą”.

- Dzięki. Później do ciebie...

-Aha, zaczekaj! Dzwonił do ciebie twój ojciec. Powiedział, że to ważne, żebyś oddzwonił do niego do biura.

- W porządku, dzięki. Widzimy się później. Buziaki.

- W czyraki.

Odwiesiłem słuchawkę i nadziałem na wykałaczkę dwie ćwiartki ziemniaków skąpane w czerwonym sosie. Ta, która znajdowała się bliżej palca przełamała się wpół i mniejszy kawałek zawisł na wykałaczce, na włóknie przypieczonej warstewki zewnętrznej, kołyszając się i krwawiąc kroplami keczupu na moje dżinsy, dokładnie w chwili, gdy piłem piwo ze szklanki i starałem się zaklinować słuchawkę telefonu między uchem i barkiem. Nie cierpię, kiedy ziemniaki łamią się przekłuwane wykałaczką. Kelner

postawił przede mną talerz z krokietami z *cocido*. Wykręciłem numer ojca. Czekałem na sygnał, gdy wtem jakiś stały bywalec kartkujący przy ladzie wiadomości sportowe zeskoczył energicznie ze stołka, wyrzucając z siebie okrzyki zdziwienia i patrząc na ulicę przez szybę spowitą w postaci z szopki betlejemskiej wymalowane surogatem śniegu.

- Co jest grane, nie piłem anyżówki, a widzę małpę z etykiety*!

Na placu dwóch strażników miejskich szamotało się zaciekle z jakimś zwierzęciem. W mgnieniu oka odwiesiłem słuchawkę telefonu, zgarnąłem manatki i wrzasnąłem do kelnera: „Zaraz wracam!”. Podbiegłem do miejsca szamotaniny, gdzie tłoczno już było od gapiów, których jeden ze strażników starał się trzymać na dystans; drugi tymczasem, walcząc w parterze, usiłował obezwładnić zwierzę chwytem za szyję. Wyrwałem z plecaka legitymację prasową i mały aparat fotograficzny, który zawsze noszę przy sobie na wypadek takich jak ta sytuacji i którego nigdy jeszcze nie miałem okazji użyć, i zacząłem pstrykać, krzycząc wniebogłosy „jestem dziennikarzem, jestem dziennikarzem!” do strażnika wyznaczającego rozpostartymi ramionami strefę bezpieczeństwa. Schwycił mnie za rękaw, blokując mi przejście, i zapytał równocześnie kolegę, czy potrzebuje pomocy. Ten, twarzą w twarz z drapieżnym pyskiem zwierzęcia, ścisnął mu tułów kolanami, jedną ręką przyciskając szyję, drugą zaś usiłując unieruchomić wszędobylskie ramiona. Zdało mi się, że brak mu rąk i recepty na pokonanie przeciwnika, i krzyknąłem:

- Niech go pan odwróci! Klatka piersiowa do ziemi! Jego klatka, nie pana! Uwaga na zęby! I niech pan nie patrzy mu w oczy!

Przytrzymujący mnie strażnik spojrział mi w oczy i spytał:

- Wie pan, co to za bydlę?

- Pawian, *Papio anubis*. Niezwykle niebezpieczny. Całe szczęście, że to mały okaz. Dorosły samiec mógłby pańskiemu koledze odgryźć rękę jednym kłapnięciem szczęk.

- Słyszałeś, Beltran? Ostrożnie z nim! - Odwrócił się w moją stronę. - Umiałby pan sobie z nim poradzić? Jest pan weterynarzem

Anis del Mono - anyżówka produkowana w Badalonie k. Barcelony. Na etykiecie widnieje wizerunek małpy człekokształtnej z butelką anyżówki w ręce (przyp. tłum.).

czy czymś takim?

- Nie, jak już mówiłem, jestem dziennikarzem. Ale oglądam dużo telewizji. - Uśmiechnąłem się, zanim zdałem sobie sprawę, że może mu się nie spodobać ten kpiący komentarz. Zaraziłem się manierami Moniki. - Wiadomo, skąd on się tu wziął?

- Podejrzewamy, że uciekł jakimś obcokrajowcom na Plaża Mayor, ale nie wiemy, czy wykorzystywali go do cyrkowych sztuk, czy może do czego innego. W każdym razie to zwierzę jest nielegalne.

- Do czego innego? Myśli pan, że używali go do kradzieży albo jakichś innych celów przestępczych? - Wyobraźnia wystąpiła mi z brzegów i popłynęła schodami w dół, po kocich łbach ulicy Morgue Poe'a i jego straszliwego orangutana mordercy.

- Tego nie wiemy. To trzeba będzie ustalić, gdy odnajdziemy właścicieli zwierzaka.

- Czy mogę zrobić kilka zdjęć?

- Jasne, proszę wykonywać swoją pracę. Niech się pan tylko zanadto nie zbliża.

Drugi ze strażników zdołał w końcu obezwładnić pawiana. Wykonałem całą serię ujęć pod różnymi kątami, aż zjawily się policyjne posiłki. Przebiegłem wzrokiem po zgromadzonych wokół gapiach i nie zauważyłem, żeby ktoś poza mną fotografował to niezwykle widowisko. Miałem wyłączność. Zadałem jeszcze kilka pytań i obserwowałem scenkę, aż tłum z wolna się rozproszył. Zanotowałem nazwiska strażników, wręczyłem im swoją wizytówkę i umówiłem się, że zadzwonię później, aby wypytać o szczegóły. Na koniec zagadnąłem kilku przechodniów, którzy byli świadkami całego zajścia. Chowając aparat z cenną dokumentacją i dumny z ruchomego obiektu, jaki udało mi się ustrzelić, wszedłem na powrót do baru i zasiadłem przed krokietami, zimnymi ziemniakami i ciepłym piwem. Kelner obrzucił mnie ciekawym spojrzeniem.

- Ale skąd tu się wzięła ta małpa?

- Strażnicy mówią, że na razie nie mają pewności. Prawdopodobnie należała do jakichś obcokrajowców zarobkujących za jej pomocą na ulicy, ale nie można wykluczyć, że była wytresowana do kradzieży.

- To się w pale nie mieści! Zawsze powtarzam, że Madryt to dżungła! Piwko?

- Tak, proszę. I z łaski swojej, niech mi to pan trochę podgrzeje.

Sadowiąc się z powrotem przy telefonie, zadzwoniłem do biura ojca, starając się jednocześnie, jak rybak wyciągający na powierzchnię włok i sprawdzający jego zawartość, rozłożyć na części pierwsze zdumiewające wrażenie, jakie wywołało we mnie natychmiastowe rozpoznanie gatunku tej małpy. Minęło już tyle lat od tego... Kiedyś byłem wielkim miłośnikiem afrykańskiej fauny. To było wówczas,
gdy-

- Słucham?

- Teresa, to ja, Curro, syn Fernanda. Zastałem ojca w biurze?

- Dzień dobry, Curro. Tak, jest. Zaczekaj chwilkę, już go przełączam.

- Dziękuję. - W słuchawce usłyszałem sygnał przerwany po kilku sekundach lekkim trzaskiem. Po drugiej stronie odezwał się głos ojca.

- Curro?

- Cześć, tato. Jak się masz?

- Dobrze, dobrze, synu. A ty? Jak ci idzie w gazecie?

- Świetnie. Mnóstwo pracy. Jestem tutaj, w centrum, i właśnie przed chwilą udało mi się upolować temat na wyłączność. Straż Miejska schwytała małpę, pawiana spacerującego sobie luzem środkiem placu Santa Cruz. Dałbyś wiarę? Jestem jedynym dziennikarzem, który widział to na gorąco. Mam nadzieję, że mi to puszcza.

- Co ty mówisz? Co też się wyrabia w tym Madrycie. W takim razie moje gratulacje. Przypilnuję jutrzejszego wydania.

- Podobno dzwoniłeś do mnie.

- Tak, tak. Widzisz, muszę ci przekazać wiadomość. Dogadałem się z kupcem co do sprzedaży Lux Domini.

Lux Domini.

Lux Domini!

Nagle poczułem się tak, jakby ktoś nacisnął guzik pauzy podczas odtwarzania wideo mojego życia i następnie przewinął taśmę na najwyższych obrotach, zostawiając w tyle Mónicę i jej egzotycznego chłopaka, gazetę, wydział dziennikarstwa, ostatnie lata podstawówki i pierwsze lata dojrzewania, kiedy to lawina obrazów zaczęła wyhamowywać, moja rodzina wracała do Torrelodones,

ojciec z Madrytu, matka z siostrą z Escorialu i starszy brat ze Stanów Zjednoczonych, zbieraliśmy się wszyscy na powrót w tej wielkiej willi u stóp Canto del Pico, której ściany pokrywały się świeżym wapnem, opadłe liście wzbijały w górę i w nienagannym porządku wracały znów soczyście zielone na gałęzie drzew, a różane krzewy eksplodowały koronami sztucznych ogni, z rodzinnej wioski wracał Vicente i na koniec ja, skadrowany na pierwszym planie w zbliżeniu za pomocą gwałtownego zoomu kamery, tkwiący na lotnisku, z łzą kreślącą mi na policzku słony ślad, ściskający dłoń matki i patrzący, jak mój szkocki dziadek znika w ćmie podróżnych z walizkami. Lata całe wpatrywania się w oszalałe migotanie drzew za szybą uniemożliwiający przyjrzenie się każdemu z osobna oraz zwroty w małej hagiografii mojej rodziny przywalały zwałami ziemi dno moich wspomnień. Nagle wszystko wróciło: babka Uke, Cztery Pióra, moi przyjaciele, pierwsza pocałowana przeze mnie dziewczyna... Mariana!, długie letnie wieczory, nasze wyprawy, podczas których przeczesywaliśmy okolice nafaszerowane fikcyjnymi potworami i wymyślonymi legendami, ożywającymi, gdy noc brała we władanie perłowe arrasy gór otaczających Torreldones. Wszystko wróciło w ułamku sekundy, nasączając połączenia mojego mózgu niczym herbata Prousta wspinająca się po gąbczastych włóknach magdalenki.

Lux Domini!

Obwofywacze

Sądowa atmosfera gabinetu ojca wzbudzała we mnie wielki respekt - tyle majestatu, tyle tonażu orzecznictwa spoczywającego na wątych śrubkach podtrzymujących półki, tyle blasku i nędzy ludzkiej uwięzionej w atramencie sprasowanego papieru, śpiącej zahibernowanym snem, wyczekującej chwili, w której ktoś nakarmi powietrzem i światłem owe stronice i ponownie tchnie życie w postaci z zasuszonych w nich spraw. Patrzyłem na centurie grzbietów z tłoczonymi w skórze literami uformowanymi w perfekcyjnym szyku wzrokiem człowieka kontemplującego masywny, dający poczucie bezpieczeństwa mur prawa nie do przebycia. Czekałem tam na ojca, który musiał wyjść na kilka minut. Powaga wiadomości, jaką zastrzeżił mnie przed chwilą przez telefon, licytacja historii rodziny, wykatapultowała moje ciało ze stołka w barze od talerza z krokietami, wprost w jaskiniowe głębiny tego biura.

Raptem drzwi się otworzyły i wkroczył ojciec, łopocząc powiewającą za nim togą.

- Witaj, synu. Wybacz mi spóźnienie. Ale nie stój tak, siadaj. - Usiadłem w jednym ze skórzanych foteli o brzegach obitych ćwiekami, ojciec zaś zajął swoje miejsce za biurkiem. Zapalił papierosa i poczęstował mnie również. - Mów, słucham.

- Nie powiedziałeś mi, że wystawiłeś dom na sprzedaż. - Wołałem rozpocząć rozmowę, powściągając gotującą się we mnie burzę.

- Cóż, prawdę mówiąc, wszystko potoczyło się bardzo szybko. Gdy podjęliśmy decyzję i skontaktowaliśmy się z agencją nieruchomości, agent powiedział nam, że właśnie pewna klientka pytała, czy ten dom jest na sprzedaż. To jakaś kobieta z miasteczka, ma zamiar otworzyć restaurację i szuka odpowiedniego budynku. Zna Lux Domini i miejsc wydało się jej doskonale, nie wiedziała tylko, do kogo należy.

- Używasz liczby mnogiej. Mama się na to zgadza?

- Oczywiście! Nie mógłbym tego zrobić bez niej. Prawnie jesteśmy jeszcze małżeństwem.

- Tato, czy ty naprawdę myślisz poważnie o sprzedaży domu, który kupił twój dziadek, w którym wychowała się twoja matka, ty, ja, w którym urodziła się twoja córka? - Zacisnąłem palce na podłokietnikach fotela. Czułem, że zaraz oberwie się chmura.

- Nie uderzaj w sentymentalną nutę, Curro. To tylko stara, wielka, zapuszczona skorupa. Byłeś tam ostatnio? Jacyś wandalcy zabazgrali całą fasadę. Na doprowadzenie tego domu do stanu używalności trzeba by wydać wiele, wiele milionów. I kto tam będzie mieszkać? Ty? Zapłacisz za remont? Oferta, jaką dostaliśmy, jest bardzo dobra.

- Nie mogę uwierzyć, że mama to aprobuje.

- Zarówno twoja matka, jak twój ojciec uważają, że dość już mrożenia kapitału, który można wykorzystać. Zarówno twoja matka, jak twój ojciec potrzebują pieniędzy, żeby żyć i płacić rachunki. Zarówno twoja matka, jak twój ojciec są urzędnikami państwowymi i gdybyś jakimś cudem nie wiedział, to cię informuję, że administracja państwowa może kojarzyć się z różnymi rzeczami, ale na pewno nie z wysokimi pensjami. Może myślisz, że edukacja twoja i twojego rodzeństwa była bezpłatna.

- Daj spokój, tato, zaraz mi powiesz, że zarówno mama, jak i ty jesteście bez grosza przy duszy?

- Abstrahując od stanu naszych kont, z czego, jak myślę, nie mam obowiązku zdawać ci szczegółowych sprawozdań, mam wrażenie, że zapominasz, kim są spadkobiercy tej domniemanej rodzinnej fortuny istniejącej jedynie w twojej wyobraźni. Musisz się zdecydować, co chcesz któregoś dnia odziedziczyć: kapitał, który zabezpieczy twoją starość i przyszłość twoich dzieci, czy starą ruinę, która za kilka lat nadawać się będzie wyłącznie do rozbiórki.

- A jeśli wybiorę drugą opcję, będzie to miało jakieś znaczenie?
- Zważywszy, że jesteś jedyny, który przy niej obstaje, nie.
- A co na to moje rodzeństwo?
- Twoja siostra Isabel była zbyt mała, żeby okres spędzony w Lux Domini mógł zapisać się jakoś szczególnie w jej pamięci. Dla niej domem zawsze był Escorial. Carlos nie żywi w stosunku do niego żadnego uczucia. Wiesz, że jest miejskim zwierzęciem. W każdym razie, biorąc pod uwagę fakt, że mieszka w Nowym Jorku z amerykańską dziewczyną, z którą prawdopodobnie wkrótce się ożeni, trudno sobie wyobrazić, co musiałoby się stać, żeby chciał osiąść w Torrelodones. I Carlos, i Isabel są zgodni, że dla tej części majątku rodzinnego należy znaleźć najbardziej rentowne rozwiązanie. Pomyśl na zimno, Curro. Jedyną osobą, która w tym wypadku ma zamglony wzrok, jesteś ty. Jasne, że czułbym się bardziej komfortowo, mając twoje przyzwolenie, ale z nim czy bez niego, dom zostanie sprzedany.
- Nie mam zatem innego wyjścia jak zgodzić się, jeśli tego ode mnie oczekujesz. Ale robię to pod przymusem. - Opadłem na oparcie, wiedząc, że bitwa jest przegrana.
- Nie będziesz tego tak przeżywać, jeśli dostrzeżesz pozytywne strony sprzedaży. Przeciwnie, niż myślisz, nie jestem człowiekiem gruboskórnym. Oczywiście, że Lux Domini gromadzi w swoich murach nieskończoną ilość wspomnień, które mają dla mnie nieoszacowaną wartość. Nie zapominaj, że to ja po wojnie odbudowałem ten dom własnymi rękami. Jednak radzę ci, abyś przejechał się tam i zobaczył, w co się obrócił. To już nie jest Lux Domini. Lux Domini zniknął wiele lat temu. To, co pozostało, to jedynie pusty szkielet.
- Zastanowiłem się przez chwilę i krew mi ostygła. Być może sprzedaż rzeczywiście jest najrozsądniejszym wyjściem.
- Przepraszam, tato. Przykro mi, że osądziłem cię tak pochopnie. Wybacz. Myślę, że zareagowałem zbyt impulsywnie i byłem w stosunku do ciebie niesprawiedliwy. Serce mi pęka, kiedy pomyślę, że Lux Domini zostanie sprzedany, ale rozumiem, że będzie to optymalne dla wszystkich rozwiązanie.
- Ponadto sprzedaż jest najlepszym sposobem na ocalenie tego budynku i przywrócenie mu blasku, jaki zachowaliśmy w naszej pamięci.

Nabywczyzna zapewniła mnie, że zachowa oryginalną strukturę. Góme piętro przeznaczy na część mieszkalną, w dolnej zaś urządzi restaurację. Mówi nawet, że zachowa nazwę, która bardzo się jej podoba. Kiedy interes zacznie działać, będziemy mogli się tam wybrać na kolację, do restauracji Lux Domini, i powspominać dawne lata w żywym i odnowionym domu, nie zaś w opuszczonej ruinie zmasakrowanej przez wandalów i niepogodę. No, chodź tutaj, przytul się do ojca.

Do redakcji wróciłem metrem, analizując zacięty bój uczuć, jaki rozgorzał w mojej głowie. Za każdym razem, gdy próbowałem przekonać samego siebie, że sprzedaż domu jest jedyną słuszną decyzją, pojawiał mi się przed oczami jakiś strzęp wspomnienia z dzieciństwa i ów chłopczyk, którym kiedyś byłem, buntował się i stając przede mną niezłomny i wyzywający, wzięwszy się pod boki jak Piotruś Pan, karmił mnie oburzony: „A więc chcesz się mnie pozbyć, tak po prostu spisać to wszystko na straty?”.

Gdy wszedłem do redakcji, Mónica pracowała przed swoim monitorem. W ramach pozdrowienia zamieniliśmy zdawkowe mruczenia. Nie miała najwyraźniej chęci do rozmowy, ja też nie. Nagle przypomniałem sobie o spotkaniu z Celestinem Posadą. Chociaż nie czułem się na siłach, żeby wyjść na arenę naprzeciwko tego buchającego dymem z nozdrzy wielkiego byka, on musiał przecież zrozumieć, że gazetą rządzi dyktatura aktualności i mój nieprzewidywany, opatrzony gryfem wyłączności małpi temat ma pierwszeństwo przed życiem i dziełem zgryźliwego i rozgestykulowanego dinozaura. Guan zgodził się upchnąć moją historyjkę, oddałem zatem zdjęcia do wywołania i zabrałem się do roboty. Wykreśliłem numer Celestina Posady. Odpowiedział, rozpościerając przede mną czerwony dywan, lecz kiedy powiadomiłem go, dlaczego dzwonię, zastąpił go rozżarzonymi węglami, po których musiałem przejść gołymi stopami, dźwigając na plecach tego pieniacza, jak w rytuale celebrowanym w jednej z rodzimych miejscowości*. Nie pozwolił

San Pedro Manrique w prowincji Soria - w noc św. Jana odbywa się tam ceremonia Paso del Fuego, podczas której mieszkańcy, z reguły mężczyźni, przechodzą bosymi stopami przez kilkumetrowy pas żaru powstałego ze spalania dębowego drewna, dźwigając niejednokrotnie na plecach dziewczyny lub przyjaciół (przyp. tłum.).

mi wyartykułować spójnego wyjaśnienia. Gdy tylko dotarło do niego, że wywiad zostanie odłożony, załadował swój mózdzierz oświeconymi inwektywami i przystąpił do zmasowanego ataku, nie uznając cywilizowanej zasady brania do niewoli. Jak zawsze, musiałem odłożyć słuchawkę.

Przez jakiś czas pracowaliśmy w skupieniu, pogrążeni w terkanie dobywającym się z klawiatury, gdy nagle zdałem sobie sprawę, że oboje, starannie zamaskowani, obserwujemy się nawzajem, szpiegując swoje ruchy kątem oczu. Czułem potrzebę opowiedzenia jej o spotkaniu z ojcem i postanowiłem przerwać ciszę, nie odrywając wzroku od ekranu monitora.

- Masz plany na dzisiejszy wieczór?

- Chciałam zapytać cię o to samo. Moja pomoc domowa jest chora i czeka mnie uprzątnięcie bujnej kolekcji tumanów kurzu, ale sądzę, że zostawię to na kiedy indziej. Zjemy razem kolację?

- O jedenastej w Bai? Ja zapraszam, więc ani mi w głowie podej mować cię w Horcherze.

- Zgoda. Mam ochotę na pizzę. Jak ci poszło?

- Inauguracja w porządku. Zaraz potem trafiłem przypadkowo temat na wyłączność. Straż Miejska złapała dziką małpę spacerującą po ulicy w samym centrum.

- Proszę, proszę. Zdaje się, że Guan trzyma gdzieś formularz do Pulitzera.

- Nie kpij. Zdaję sobie sprawę, że to nie to samo, co wyłączność na GAL-a*, ale wiesz, od czegoś trzeba zacząć. To mój news. Oprócz mnie nie było tam żadnego dziennikarza. Musiałem odwołać spotkanie z Celestinem Posadą. Byłem też w biurze ojca. Później ci opowiem. A ty? Rozmawiałaś z Franem?

- Tak. Później ci opowiem. Zawaliłam przez to cały dzionek.

- Nie ma to jak być córką szefa.

Grupos Antiterroristas de Liberación - Antyterrorystyczne Grupy Wyzwolenia, nielegalna formacja parapolicyjna utworzona w latach osiemdziesiątych w łonie Ministerstwa Spraw Wewnętrznych w rządzie Felipe Gonzalesa, zajmująca się zwalczaniem organizacji terrorystycznej ETA i jej otoczenia. Łącznie grupy te zamordowały 27 osób, a o ich istnieniu, źródłach finansowania i uwikłaniach politycznych poinformowała opinię publiczną gazeta „El Mundo” (przyp. tłum.).

- W zamian za moje szlacheckie przywileje mogę cię wyręczyć w jednym z twoich tematów. Przypuszczam, że otwarcie nie różniło się zbyt od tych z poprzednich lat, chociaż mamy nowego burmistrza. Daj mi notatki i podziel się ze mną swoimi wrażeniami. Napiszę tekst, a ty później zrobisz edycję.

Wyrobiłem się niemal na styk, do ostatniej chwili dopieszczając artykuł o małpie, nie zapominając o świątłych radach Guana - mniej literatury, więcej chłopczy! - i uzupełniając go ostatnimi danymi otrzymanymi ze Straży Miejskiej. Dokonana przeze mnie identyfikacja gatunku była poprawna i taką też informację zamieścili w swoim raporcie strażnicy. Pawian należał prawdopodobnie do rodziny rumuńskich Cyganów, którzy zaklinali się na co mieli najdroższe, że kupili go legalnie we Włoszech od jakiegoś Afrykanina, kiedy małpa była jeszcze oseskiem. Wedle ich zeznań posługiwali się nią wyłącznie jako jarmarczną maskotką, aby wydobyć uśmiech z twarzy dzieci, jednak w raporcie pojawiała się sugestia, że wydobywali również inne rzeczy: w czasie przeszukania policja natrafiła na bogaty wybór torebek i portmonetek stanowiących własność obcych ludzi i stąd podejrzenie, że ten ssak z rzędu naczelników mógł być zawodowym doliniarzem. Tak więc sprawa miała szerszy wymiar i wykraczała poza anegdotyczną scenę Tarzana w centrum Madrytu. Niezwykle rad z pierwszego dokonania w skórze autentycznego ulicznego reportera oddałem artykuł i podążyłem na spotkanie z Mónicą.

Ledwie starczyło mi czasu, żeby przed jedenastą wpaść jak przeciąg do mojego stałego miejsca zamieszkania, wykąpać się, przebrać w coś przyzwoitego i czystego i udać się na piechotę do naszej ulubionej włoskiej knajpki na ulicy Felix Boix, w której umówiliśmy się na sesję terapii pozaetatowej. Czekać na Mónicę, wypić piwo. Wysła z redakcji przede mną, mieszkała bliżej restauracji, a i tak spóźniła się pół godziny. Było to jednak spóźnienie należące do kategorii tych, co do których obie strony umawiają się zawczasu jedynie po to, aby mieć możliwość weryfikacji rezultatu. Ukazała się w drzwiach lokalu bez swojego przebrania menedżerki mediów, przebrana tym razem za zwykłą redaktorkę. Zdjęła płaszcz ruchem osoby odsuwającej zasłonkę podczas inauguracji płyty ku pamięci.

Teraz była tylko piękną kobietą tchnącą świeżością, zaróżowiona, jakby przebudziła się właśnie z dwunastogodzinnego snu, czarne, kryształowe haczyki długich włosów miała zebrane na karku w kiść ogona, ubrana była w tweedową sukienkę bez rękawów w kolorze kości słoniowej nałożoną na czarną bluzkę. Tak się dziwnie składało, że piękność ta miała mózg mojego najlepszego przyjaciela, co sprawiało, że od czasu do czasu cierpiałem na rozdwojenie jaźni w swojej postawie względem jej osoby i co najgorsze podejrzewałem ją o wzajemność. Podeszła do stolika, defilując na wysokich obcasach, i uśmiechnęła się uśmiechem pozbawionym osadu przewrotnej ironii, jaką skażona była jej twarz w redakcji. Był to uśmiech krystaliczny i bezbronny, jak uśmiech zakochanej. Wstałem, ująłem jej dłoń i pocałowałem w policzek. Usiadła naprzeciwko mnie. Jeden z pofalowanych kędziorów zaczepił o powieki.

- Jesteś prześliczna.

- Ty też jesteś prześliczny. Czytasz do poduszki podręcznik stylu? Co to ma być, schadzka?

- Tak jakby, umówiliśmy się, nieprawdaż? Nie jest to też nasza pierwsza schadzka, jeśli mnie pamięć nie myli. Już wcześniej spóźniałaś się kilka razy.

- Długo czekasz?

- Cóż, skoro umówiliśmy się na jedenastą, przyszedłem o jedenastej. Taki już ze mnie klasyk.

- Przepraszam. Wynagrodzę ci to nowym rozdziałem biografii Moniki Borgii, trucicielki kochanków.

- Frań?

- Wzięłam sobie do serca twoje sugestie i zadzwoniłam do niego. Miałeś rację. Emitował dźwięki jak ledwo zipiący wieloryb, który ugrzązł w piasku na plaży. Biedak... Ale ze mnie jędra. Wiedziałam, że nie jest to ani odpowiedni moment, ani właściwy sposób, szarpana jednak wyrzutami sumienia nie mogłam ciągnąć tej sytuacji dłużej. Powiedziałam, że z nami koniec. Starłam się zakomunikować mu to najłagodniej, jak tylko umiałam, ale bardzo się zdenerwował. Groził, że połknie cały słoik proszków. Pomyślałam, że stać go na to, a wiem, że w jego mieszkaniu jest więcej chemii niż w Bhopalu, no i się wystraszyłam. Zadzwoniłam do jego kumpla, Bandyty, który

mieszka obok, i poprosiłam, żeby zajął do Frana i przypilnował go, żeby mu nie strzeliło do głowy jakieś wariactwo. Popędziłam tam na sygnale. Kiedy weszłam na górę, leżał jak kłoda na łóżku. Bandyta zaaplikował mu środek nasenny rozpuszczony w coca-coli. Frań był półprzytomny i spokojny. Bez przerwy powtarzał, że jego koleś wrzucił mu coś do szklanki i że jest bardzo zmęczony. W końcu zasnął. Jego kumpel zostanie z nim przez całą noc. Jutro pójde zobaczyć, jak się czuje.

Przy stoliku zjawił się kelner gotowy przyjąć zamówienie. Zadysonowaliśmy jakieś przystawki, dwie pizze calzone i butelkę chianti.

- Biedny Frań. Kolejna ofiara rewolucji. Czy może ewolucji?

- Okaż mi trochę miłosierdzia. Takie rzeczy się zdarzają. Ludzie zrywają ze sobą codziennie i nie należy nikogo za to winić. Jeśli dokonała się jakaś ewolucja, to z pewnością jego, nie moja. To już nie jest ten sam chłopak, co na początku naszego związku.

- I ty oczywiście nie masz z tą przemianą nic wspólnego.

- Jak mogłam przewidzieć, że facet rzygający diatrybami pod adresem banków, w sensie nie tylko przenośnym, i zaklejający silikonem bankomaty zbaranieje, jak tylko poczuje w palcach złotą kartę. Chciałam mu jedynie pomóc, żeby mógł poświęcić się sztuce, zamiast trwonić życie w zniechęcającej pracy. Czy Medyceusze postępowali nagannie? Być może Frań nie jest artystą formatu Michała Anioła, ale, chcesz wierzyć czy nie, ma talent. Jego problem polega na tym, że pomylił drogi. Na początku nasz związek był jak on: spontaniczny, dziki, buchający żarem. Kiedyś był duchem wolnym i nieokiełznanym, teraz stał się łagodnym króliczkiem. Głosuje na Felipe, czyta „El Pais”, składa zeznania podatkowe i nosi sztruksowe marynarki. Odgrywa rolę jajogłowego, która pasuje do niego jak garbaty do ściany. A nie ma nawet matury! Wyobraź sobie, że ostatnio przyjął propozycję poprowadzenia działu w jakimś magazynie sztuki w charakterze krytyka. No powiedz sam, idę do łóżka ze zbuntowanym artystą i raptem okazuje się, że chodzę z dziennikarzem. A jeśli odczuwam jakiś nadmiar w życiu, to z pewnością jest to nadmiar dziennikarzy. Bo pękne! Ekspert sztuki! A jeszcze trzy miesiące temu nie wiedział, kto to Damien Hirst. Stał się megalomanem

zapierającym się swoich korzeni, usiłującym za wszelką cenę grać rolę narzeczonego, jakiego życzyłby sobie dla mnie ojciec. Zawsze wystrzegałam się tego jak zarazy. Jeśli nie zerwałam z nim wcześniej, to tylko dlatego, że nie chciałam go zranić. Bałam się, że stanie się to, co w końcu nastąpiło dzisiaj.

- I co teraz? Znowu pojedziesz na zakupy do komuny zobaczyć, czy dowieźli świeży towar?

- Nie potrzebuję nikogo do szczęścia. I zejdź już z mojego życia uczuciowego z łaski swojej, bo twoje też nie skłania do strzelania na wiwat. Z tego, co wiem, nie miałeś nikogo od czasu tej... damskiej wersji wikinga, tej blondyny z wydziału.

- Miała na imię Sih/ia i to ona mnie zostawiła.

- A jakżeby inaczej, skoro bardziej interesowała się mną niż tobą. Nie tyle ważna była dla niej płęć partnera, ile jego kasa. Ambitna zdzira.

- Jesteś wobec niej bardzo niesprawiedliwa. I z przykrością muszę ci zakomunikować, że w grze pokazywania palcem dla wielu to nie damski wiking rymował się z „ambitną zdzirą”.

- Jeśli obiektem tej insynuacji jest moja osoba, dziękuję ci za komplement, lecz nie zapominaj, że ambicja jest przywilejem tych, którzy nie posiadają. Ja nie wiem, co to ambicja, mam bowiem wszystko. A jeśli idzie o zdzirę, to termin ten w powszechnym rozu mieniu oznacza „kobietę sukcesu zarabiającą więcej pieniędzy niż inni”. Jestem przyzwyczajona.

Zaserwowano nam przystawki i wino, i zaraz potem pizzę. Wspominaliśmy czasy studiów i puszczałyśmy wodze fantazji co do dalszych losów naszych kolegów z roku. Zaskakiwaliśmy się nawzajem informacjami, że ten a ten używa głosu reklamom radiowym, albo że Iksińska pracuje w wydziale informacji jakiejś partii politycznej. Dopiero przy deserze Mónica odważyła się zapytać.

- I co, powiesz mi wreszcie, o co chodzi z twoim ojcem? Już nie chcesz o tym rozmawiać?

- Chcę, ale mam jeszcze mętlik w głowie. Muszę najpierw uporządkować myśli. Chodzi o dom w Torreldones, w którym spędziłem dzieciństwo. Mój ojciec znalazł na niego kupca, a ja nie wiedziałem nawet, że jest wystawiony na sprzedaż.

- Domyślam się, że za sprzedażą domu kryje się coś więcej.
- Tak, dużo więcej. Ten dom jest... jedyną rzeczą, jaka została z czasów, kiedy moja rodzina trzymała się razem. Nie zdając sobie sprawy, pogrzebałem wszystkie te wspomnienia, ale okazuje się, że one gdzieś tylko się przytępiły, jakby czekały na lepszą przyszłość, nie chcąc dręczyć mnie obrazami lepszej przeszłości. Wystarczyło, że potrząsnąłem nimi i nagle wszystko wróciło. Ten dom to moja babka i vice versa. Po jej śmierci opuściliśmy go i rodzina zaczęła się rozpadać, jednak budynek stoi tam nadal niby jedyny świadek tego wszystkiego i jedyna nadzieja na to, czym mógłby być. Zbycie domu jest równoznaczne z zatrzaśnięciem na zawsze w jakiejś szufladzie bardzo ważnej części mojego życia, a w pewnym sensie odcisnięciem stempla na rozstaniu moich rodziców.
- Sprzedaż ma podłoże ekonomiczne?
- Taką mniej więcej argumentacją posługuje się ojciec, ale ja wiem, że tak nie jest. Nie jesteśmy Medyceuszami, ale nie klepiemy też biedy. Są jeszcze obrazy pradziadka i inne historie. Chodzi o to, że ojciec zrećnie mi to uzasadnił i prawie zdołał przekonać, że sprzedaż jest najlepszym rozwiązaniem. W pierwszej chwili skoczyłem do niego z pazurami, ale wytłumaczył mi, że dom zostanie wyremontowany i przeznaczony na restaurację i że w innym razie należałoby go zburzyć, bo znajduje się w opłakanym stanie. Słowem, nie wiem już, co mam myśleć.
- Chcesz wiedzieć, jakie jest moje zdanie?
- Nie, raczę cię tą opowieścią, bo chcę, żebyś mi ją przetłuma czyła na bułgarski.
- Istnieją tylko dwa powody, które usprawiedliwiają sprzedaż: gruby interes lub kompletna ruina. Z tego, co mówisz, żaden z tych dwóch wypadków nie wchodzi w rachubę, zatem sprzedaż jest poważnym błędem. Dam ci przykład. Do własności należących do mojej rodziny zaliczał się skrawek nieużytku znajdujący się nad morzem, koło Malagi, spalona słońcem skała, na której nie było nawet źdźbła trawy dla kóz. Mój dziadek miał wiele ofert kupna tego gruntu za psie grosze, jednak nigdy go nie sprzedał. Tak się złożyło, że kiedy nastał boom turystyczny, już po śmierci dziadka, wielka sieć hoteli kupiła sąsiednią parcelę pod budowę luksusowego hotelu i pola golfowego. Kiedy dyżurny ekspert

zaprojektował pole, okazało się, że powierzchni starczyło jedynie na siedemnaście dołków. Goście łamali sobie głowy nad planami, kombinowali na wszystkie strony, ale nijak nie mogli wpasować dołka numer osiemnaście. Wobec tego firma zaoferowała mojemu ojcu jakąś śmieszna sumę odstępnego za tę część działki, która była im niezbędna i którą później należało jeszcze przekwalifikować. Ojciec powiedział, że nigdy tej ziemi nie sprzeda, a już na pewno jej nie podzieli. Inwestorom dym poszedł z uszu i w końcu postanowili wejść do gry. Praktycznie wręczyli ojcu czek in blanco za sprzedaż całego gruntu. Ojciec przystał na tę propozycję, pod warunkiem jednak, że za część wyznaczonej przez niego sumy na pozostałym obszarze niezajętej przez osiemnasty dołek działki zostaną wybudowane domy mieszkalne, zamienione na akcje firmy o wartości nominalnej, co oprócz ogromnego zarobku dawało mu pokaźne udziały w zyskach. Zaręczam ci, że był to interes stulecia.

- Nie jestem przekonany, czy pojąłem istotę tego manewru. To pewnie dlatego moja rodzina nie jest w stanie zrobić dobrego interesu na naszym domu.

- Wszystko jedno. Chodzi mi o to, że albo uda ci się go opylić za sumę przewyższającą wielokrotnie jego wartość, albo zapomnij o transakcji. Oczywiście z wyjątkiem sytuacji, w której przyciś nie cię głód i będziesz musiał zaakceptować każdą jałmużnę. Tak na marginesie, ja nigdy nie sprzedałabym domu, w którym się wychowałam. Wydaje mi się to wręcz niemoralne. W tych sprawach jestem do szpiku kości tradycjonalistką. Przy mnie Scarlett O'Hara to włóczęga bez korzeni. Tego typu własność winna przechodzić z rodziców na dzieci, wnuki i prawnuki. W dzisiejszym świecie to jedna z niewielu rzeczy, dzięki którym możemy się jeszcze odróżniać od plemienia wyznawców tynku baranek.

- Plemię wyznawców tynku baranek?

- Wielka, szara masa klasy średniej, basen wypełniony błotem, gdzie bezlitośnie okładają się ci, co spadają z góry, z tymi, którzy pną się z samego dna, jak na rysunkach Quina*.

Joaquín Salvador Lavado znany jako Quino, argentyński rysownik, twórca postaci Mafaldy (przyp. tłum.).

- Otóż to, grunt to wiara w ludzkość.
- Curro, znasz mnie przecież. Nigdy nie byłam orędowniczką walki klas. Co najwyżej szorowania klas. Przynajmniej udało mi się przyzwyczaić Frana do codziennego mycia. Ale wracając do tematu, nie mogę uwierzyć, żeby cała twoja rodzina była za pozbyciem się domu.
- Mój ojciec zapewnia, że tak właśnie jest. Nie zdążyłem jeszcze porozmawiać z resztą. Przedtem chciałem tam pojechać, żeby przekonać się na własne oczy, w jakim stanie jest dom, jeśli pomoże mi to wyrobić sobie opinię. Myślałem, żeby skoczyć w ten weekend. Może chciałabyś się przejechać tam ze mną?
- W góry? Jasne. Wezmę zimnego kurczaka i ciepłe piwo. Ale nadal będę uważać, że popełniacie błąd.
- Bardzo możliwe, ale chodzi tutaj nie tylko o sprzedaż domu. Sprawa sprzedaży skłoniła mnie do zastanowienia się nad luźnymi wątkami mojego życia, które mają z tym wiele wspólnego. Zdziwił się, kiedy ci powiem, że winna temu wszystkiemu jest małpa.
- Małpa, no jasne. Tak coś czułam, że za tą znową musi stać jakaś szara eminencja.
- Mówię poważnie. Chyba nigdy nie opowiadałem ci o moim dziadku.
- Twoim dziadku? Tym, który mieszka na Ibizie?
- Nie, o moim drugim dziadku. Ojcu mojego ojca.
- Nie przypominam sobie.
- No więc mój dziadek był latającym Szkotem, który w latach trzydziestych mignął przez Torrelodones, zrobił dzidziusia babce Uke i wyjechał do Kenii, gdzie zniknął bez śladu.
- Jacy nowocześni! I ty wymyślałeś mi od beztroskich *flapper*''?
- Aby uniknąć hańby, jaką cięża ta mogła ściągnąć na rodzinę w towarzyskich kręgach, babka i jej ojciec wyemigrowali do Austrii, gdzie przyszedł na świat mój ojciec. Uciekli stamtąd niedługo przed dojściem nazistów do władzy.
- To niewiarygodne! Miałam ci właśnie mówić, że dzwonili do ciebie Spielberg i Ana Obregón. Chcą koniecznie wyprodukować twój następny film.
- Będę ci szczerze zobowiązany, jeśli postanowisz się wtrącać

jedynie wówczas, kiedy będziesz miała jakiś sensowny komunikat do przekazania. W chwili obecnej nie ma tu nikogo, kto mógłby pękać ze śmiechu pod przemożnym urokiem twoich dowcipów, jestem tu tylko ja i jak widzisz, nie ryczę.

- Przepraszam. Postaram się być sensowna, ale wówczas nie będziesz mógł liczyć na mój punkt widzenia, tylko na opinię całkiem obcej kobiety. Ja, to nie ona.

- Jadę dalej. Gdy miałem dziesięć lat, babka umarła na rozwi-
jającego się w ekspresowym tempie raka trzustki. Ukrywała symp-
tomy przed rodziną, maskując je grypą albo zmęczeniem, i unikała
lekarzy. Kiedy rodzice zrozumieli, że to coś o wiele poważniejszego,
choroba była już w bardzo zaawansowanym stadium. Zawieźli
ją do szpitala, gdzie w końcu ją zdiagnozowano, ale do babki nic
już wówczas nie docierało. Umarła, nie wiedząc nawet, że choroba
ciągnie ją do grobu.

- Biedaczka.

- Dlaczego ktoś chciałby umrzeć w taki sposób?

- Czyja wiem, może nie miała żadnej motywacji, która podtrzy-
mywałaby ją przy życiu?

- Ale z jakiego powodu? Jej życie było... To znaczy, wszyscy
myśleliśmy, że jej życie było spełnione. Miała swój dom, swoją
rodzinę, Vicentego...

- Vicentego?

- „Vicentego Asystenta”, który był kimś w rodzaju złotej rączki,
człowiekiem orkiestrą, osobistym sekretarzem, ogrodnikiem, mura-
rzem, hydraulikiem, stolarzem, niańką, sprzątaczką... Zajmował się
wszystkim. Pracował u babki od zakończenia wojny domowej, kiedy
wróciła z ojcem do Torrelodones. Rodzinna legenda mówi, że między
nimi było coś więcej, chociaż nigdy nie mieliśmy stuprocentowej pewno-
ści. Jeśli coś rzeczywiście było, musiał to być związek potajemny lub
przynajmniej dyskretny. Vicente odszedł niedługo po śmierci babki.

- Umarł?

- Nie, wrócił do rodzinnej wioski, do La Acebeda. Miał tam małą
chałupę, która należała niegdyś do jego ojca i w której mieszkali
obaj, zanim wyruszyli za pracę do Torrelodones. Nie wiem, czy
jeszcze żyje. Nie słyszałem o nim więcej.

- To ci dopiero historia! Jeśli ten romans istniał rzeczywiście, wygląda na to, że twoja babka miała jednak motywację, żeby chcieć żyć. To, że odszedł po jej śmierci, każe przypuszczać, że mieszkał z wami nie z powodu pracy. Ale dokąd nas to wszystko prowadzi?

- Ano właśnie. Pewnego dnia, niedługo po śmierci babki, ktoś zadzwonił do drzwi. Zgadnij, kto. Hamish, dziadek Szkot, przyjechał, żeby złożyć kondolencje.

- No coś ty! Jak się dowiedział? Kto go zawiadomił?

- Wszystko wskazuje na to, że napisała do niego siostra babki, Victoria.

- Skąd znała jego adres? Mówiłeś, że przepadł bez wieści.

- Widzę, że jednak słuchasz. To oczywiste, że Victoria znała jego adres w Kenii. A to każe przypuszczać, że babka także musiała znać miejsce jego pobytu. I jeśli tak rzeczywiście było, a ona nigdy się z nim nie skontaktowała, można by pomyśleć, że nie darzyła go zbytnim szacunkiem.

- Trudno się dziwić, po takim rycerskim wyczynie. Zapylił i zwiął...

- Zgadza się. Dlaczego jednak obraz szczęśliwej babki kojarzy mi się wyłącznie z chwilami, gdy wspominała Szkota? Dlaczego pograżała się w głębokiej zadumie, kiedy o nim myślała? Dlaczego wreszcie zostawiła dla niego wiadomość, którą miałem mu przekazać po jej śmierci?

- Wiadomość? Jaką wiadomość?

- Wiadomość, która mówiła, że jestem jego wnuczkiem, żeby jej wybaczył, że ona go kochała. Że nigdy o nim nie zapomniała.

- Fakt. To nie jest zbyt logiczne.

- Otóż to. Jeśli ona go kochała, dlaczego się rozstali? Przypuśćmy, że on jej nie kochał. Lecz jeśli ona wiedziała, gdzie Hamish mieszka, dlaczego się z nim nie skontaktowała?

- A może zrobiła to, tylko ty o tym nie wiesz?

- Możliwe, Ale ja w to nie wierzę.

- Dlaczego?

- Zawsze kiedy o nim mówiła, wracała wyłącznie do tamtych zamierzonych czasów, nigdy nie napomknęła o jakimś kontakcie

świeżej daty. Raz powiedziała mi nawet, że nie wie, czy on jeszcze żyje.

- Może pisała do niego, a on ją zwyczajnie zignorował, zwłaszcza jeśli nie chciał brać sobie na głowę dziecka.

- Ale to też mi nie pasuje.

- Dlaczego?

- Dlatego, że sam Hamish powiedział mi, że prosił babkę, aby wyjechała z nim do Afryki, i że to ona odrzuciła jego propozycję. I jeszcze coś, i to jest dopiero dobre: on twierdził, że wyjeżdżając do Afryki, nic o jej ciąży nie wiedział. Mówił, że dowiedział się o tym dopiero z wiadomości, jaką zostawiła dla niego babka, i dowiedziawszy się po tylu latach, że ma syna i troje wnuków, bardzo się wzruszył. Odwiedził grób babki i zostawił na nim wiersz, który napisał dla niej na pożegnanie. Był to wiersz o miłości. To wszystko wskazywałoby, że on również ją kochał.

- A jeśli was okłamał? Jeśli to była tylko tania farsa?

- Oczywiście nie mogę tego wykluczyć. Ojciec zawsze był przekonany, że tak właśnie rzeczy się miały. Ale w tym wypadku nie dość, że musiałby być ostatnim draniem, to na dodatek pierwszorzędnym aktorem. Hamish, którego ja poznałem, nie był potworem. Przeciwnie. Wydał mi się wspaniałą osobą. Przez te kilka tygodni, które spędził z nami, wywarł na mnie olbrzymi wpływ i zawsze wspominałem go niezwykle serdecznie. W tamtym czasie byłem zafascynowany lwami. Miałem kilku kumpli, z którymi organizowaliśmy wypadki na teren posiadłości znajdującej się zaraz za naszym domem i wyobrażaliśmy sobie, że mieszka tam straszliwy lew, którego musimy upolować. Stworzyłem sobie obraz Hamisha na podobieństwo Ouatermaina z „Kopalni króla Salomona”, takiego nieustraszonego łowcy przygód. Opowiadał mi historie z Afryki, mówił, że zabił lwa. Wszystko to obudziło we mnie fascynację czarnym kontynentem i żyjącymi tam zwierzętami. Kiedy wyjechał, obiecałem sobie, że kiedyś tam pojadę, zacząłem się pasjonować wszystkim, co dotyczyło Afryki, czytałem książki i poznawałem zwierzęta, zgłębiałem ich zwyczaje. Stąd ta małpa. Dzisiaj w południe zaskoczyło mnie to, że błyskawicznie potrafiłem rozpoznać w niej pawiana, choć minęło już tyle lat. To właśnie sprawiło, że wspomnienia wróciły do mnie ze zdwojoną siłą.

- Nie znalazłam tej twojej fascynacji zwierzączkami, chociaż teraz rozumiem lepiej, dlaczego się ze mną zadajesz.

- Powinienem być zostać weterynarzem albo zoologiem. Ale w istocie rzeczy mój dziadek był również odpowiedzialny za to, że wybrałem nasz zawód.

- To znaczy?

- Podczas tamtego pobytu milczał jak grób na temat swego prywatnego życia. Jak już mówiłem, mój ojciec go nie lubił, więc dziadek rozmawiał przede wszystkim ze mną. Rozumieliśmy się doskonale. Ale nigdy nie opowiadał mi o sprawach osobistych, czy ma rodzinę lub czym zajmuje się w Kenii. Nagle któregoś dnia zjawił się bardzo zdenerwowany, mówiąc, że musi wracać, ponieważ zmarł prezydent Kenii, i boi się, że może tam dojść do zamieszek. Nie wiedzieliśmy, co za sprawy go tam wzywały, lecz w drodze na lotnisko wyznał nam jedyną rzecz, jaka rzucała promyk światła na jego życie w Kenii - był dziennikarzem lub przynajmniej pracował jako korespondent dla jakiejś brytyjskiej gazety w czasie wojny o niepodległość. Musiało mi to utkwić w głowie na tyle mocno, że zacząłem się interesować tym, co robią dziennikarze. I tak się tu znalazłem.

- Niewiarygodna historia. Jak to możliwe, że znamy się już tak długo i nigdy mi o tym nie opowiadałeś?

- Przez wiele lat wszystko to spało sobie gdzieś, na dnie moich wspomnień. W rodzinie nigdy się o tym nie mówi. To temat tabu. Ojciec nie chciał więcej słyszeć o Hamishu.

- A matka?

- Nie była pewna, po której stronie się opowiedzieć, czy wierzyć w jego wersję, czy nie. Ale wiem, że skłonna była dać mu wiarę. Zrobił na niej dobre wrażenie. Po jego wyjeździe próbowała nawet skontaktować się z nim wiele razy, pisząc na adres, który nam zostawił, żeby zapytać, jak mu się wiedzie. Uprzedzała mnie, gdy zabierała się do pisania, a ja robiłem rysunek lwa, który dołączała do listu. Ale nigdy nie otrzymaliśmy odpowiedzi.

- A to pech! I od tamtego czasu nie wiesz, co się z nim dzieje?

- Nie. Jakby wyparował. Myślę jednak, że jego duch zawsze unosił się nad sprawami naszej rodziny. Podłóżem pierwszych kłótni moich

rodziców były różnice zdań na temat Hamisha. Po jego wyjeździe klócili się dalej. Matka naciskała ojca, żeby przemyślał swoje zachowanie i napisał do Hamisha, co doprowadzało go do szewskiej pasji. Nie mógł też ścierpieć, że matka pisze do niego. Ich związek sypał się coraz bardziej, aż w końcu podjęli decyzję o separacji. Myślę, że może gdyby nie Hamish, rodzice nigdy by się nie rozeszli, mam więc o nim gorzko-słodkie wspomnienia.

- I kto zatrzymał dom po separacji?

- Nikt. Gdy rodzice się rozstali, już w nim nie mieszkaliśmy. Tamtej jesieni wróciliśmy do Escorialu i dom w Torrelodones pozostawał na łasce losu, opuszczony i zapomniany. Ojciec poprosił o przeniesienie do Madrytu. My z matką zostaliśmy w Escorialu, ale w tej sytuacji nic już nie było jak dawniej. Myślę, że mój brat wyjechał do Nowego Jorku, bo gnębił go rozpad rodziny. On zawsze trzymał się bliżej ojca. Teraz urządził się w Stanach i pewnie się ożeni, będzie wcinął indyka w Dzień Dziękczynienia i zajął szczęście dużą łyżką przy jednym stole ze swoją amerykańską rodziną, ale może nigdzie by nie wyjechał, gdyby rodzice się nie rozeszli. Wydaje się, że Hamish zasiał bezwiednie ziarno, które zdecydowało o losie mojej rodziny. I on nawet o tym nie wie.

- A może Hamish pisał do was, do Torrelodones, już po waszym wyjeździe?

- Niewykluczone, ale matka podawała mu w swoich listach nasz nowy adres.

- Może nie dostał waszych listów. Kłopoty z pocztą, albo przeprowadził się w inne miejsce.

- Może, może, może. Tych może jest bez liku i żadnej odpowiedzi.

- Rozumiem teraz, że ten dom tak wiele dla ciebie znaczy. A gdybyś ty go kupił?

- Ha, ha! Jasne, co za problem! Jutro z samego rana zamelduję się na kłęczniku u twojego ojca i poproszę go o pięciokrotną podwyżkę pensji.

- Nie zapomnij przy okazji szepnąć mu kilka ciepłych słów o mnie, może mi też coś dorzuci. Ta brunetka, pańska córka, przy pomina pan sobie? No cóż, jeśli nie ma innego wyjścia, lepiej daj sobie z tym spokój.

- Miałem z tym spokój, lecz dzisiejsze zdarzenie podziało na mnie niczym magdalenka Prousta. Rozumiesz? Przez tyle lat moja pamięć omijała to wszystko szerokim łukiem i nagle, pewnego pięknego dnia, w niespełna pół godziny dwa całkowicie niepowiązane z sobą incydenty uwalniają w mojej pamięci całą lawinę wspomnień. Nie wydaje ci się to zbyt rażącym zbiegiem okoliczności?

- Zielone ludziki? Boski znak?

- Przyznaj sama, ile widziałaś małych biegających wolno po ulicach Madrytu?

- Ojjoj, biegających wolno po ulicach? A w biurach, gazetach, ministerstwach...

- I dlaczego, kiedy już zjawia się ta jedna, to nie gdzie indziej, tylko właśnie tuż za moimi plecami? Na chwilę przed powiadomieniem mnie przez ojca o tym, że sprzedaje dom mojego dzieciństwa?

- Mam wrażenie, że zanurzamy się w oparach absurdu i to bardzo gęstych. Nie przejmuj się tak, bo osiwiejesz. - Wzięła mnie za rękę i wówczas, bez wcześniejszych ustaleń, ironii czy wykalkulowanej agresji spleliśmy palce. Jej dłoń była doskonała, jak dłonie manekinów, zaróżowiona, jakby pomalowano ją sprayem, odcinając perfekcyjnie skórki od błyszczących paznokci w kolorze szafranu. - No, chodźmy. Chyba sposobią się już do zamknięcia.

Wyłynęliśmy na ocean rozgwieżdżonej, grudniowej nocy. Z jakiegoś nieodgadnionego powodu chwyciliśmy się za ręce i szliśmy bez słowa. Mieszkała w budynku zwróconym boczną fasadą w stronę alei Castellana, nad lodziarnią Oliveri. Do bramy wchodziło się z zaułka, do którego dostępu bronił rozpięty w poprzek łańcuch. Odprowadziłem ją pod samo wejście. Pogrzebała w torebce, wydobyla klucze i uśmiechnęła się do mnie zza obłoczka pary.

- Jeśli chcesz, wejdź na chwilkę, pokażę ci kolekcję tumanów kurzu.

- Ale nie mam zamiaru przywoływać ich do porządku.

- Nie będą nam przeszkadzać. Są znakomicie wytresowane.

Weszliśmy do środka i zapaliła światło. Zaprojektowany na planie kwadratu apartament przedzielony był drewnianą ścianką na dwa symetryczne pomieszczenia z małą kuchenką otwartą na salon za pośrednictwem bufetu. W obydwu pokojach wielkie okna od podłogi

gi po sufit wychodziły na długi balkon ciągnący się wzdłuż całego mieszkania. Podeszła do łóżka i położyła na nim torebkę i płaszcz, ja tymczasem przyglądałem się nowemu obrazowi wiszącemu w salonie. Był to rysunek autorstwa Mingote'a* z urodzinową dedykacją. Chciałem właśnie zapytać o ten cenny upominek, kiedy wzdygnąłem się, czując jej ramiona oplatające mnie od tyłu w pasie. Odwróciłem się i napotkałem jej rozjarzone oczy, w których odbijało się moje niedowierzanie, jej twarz znajdującą się w bliskości gwałcącej niewidzialny obwód respektu, jaki pozwalał nam dzielić pracę i niedole, jej szafranowe usta dopraszające się zniwelowania resztki dystansu, jaki dzielił nasze oblicza.

- Może masz na coś ochotę? Na mnie, na przykład?

- Nie lubię seksualnie agresywnych kobiet.

- No to nie myśl, że jestem kobietą. Mam wrażenie, że dzisiaj oboje potrzebujemy odrobiny czułości. Jak kolega koledze. - Grzbietem górnej wargi musnęła moje usta.

- Nigdy nie zrobiłbym tego z innymi kolegami, na przykład z twoim ojcem.

- Zamilcz.

Chwilę później nie mogłem uwierzyć, że właśnie pożeram swoją najlepszą przyjaciółkę. Całowaliśmy się z pełnym zanurzeniem, zawiązując sobie niemalże językami języczki. Zsunąłem dłoń pod chromowanym węglem jej włosów, pieszcząc płonący meszek jej karku, wypilem łyk jej śliny i upiąłem do krawędzi jej ucha pajęczą nitkę łączącą nasze usta, ssąc skórę wyściełaną cieniem jej szczęki. Mónica smakowała jak rozgniecione płatki kwiatów, jak zamsz, jak lukrecja, jak musztarda, jak gorące mleko, jak pokruszony lód, jak wino z jeżyn, jak mus cytrynowy, jak proch, jak oliwa z migdałów, jak nutella, jak nasycony wonnościami jedwab, jak koronkowy stanik zdejmowany rozgorączkowanymi palcami, jak wilgotna lycra, jak fałdy skóry złane potem, jak wielokrotnie wdychany oddech i jak obrzmiałe ciało trące o bawełnę. I jeszcze ten posmak farby, który z pewnością dokładałem od siebie, lecz który zdawał się tatuować

Angel Antonio Mingote Barrachina, hiszpański rysownik, pisarz, dziennikarz, członek Królewskiej Akademii Hiszpańskiej (RAE) (przyp. tłum.). •

jej skórę, jakby miała nadrukowaną drogę, którą należy przebyć językiem od cierpkiego kawałka metalu zwisającego z płatka jej ucha w dół pochyłości, grzbietem jej szyi, ku obojczykowi przeciętemu gładką ścieżką spływającą do partii miękkiego i sprężystego, aksamitnego ciała spowitego w przezroczyste kwiaty rosnące w utkanym z misternej sieci białej nitki ogrodzie, który wznosił się twardy i sztywny na przekrwionym wierzchołku pod tkaniną napierającym na roślinne ogrodzenie, by otworzyć sobie drogę wśród kwiatów. Gdy odpinałem guziki sukienki i bluzki, jej ciało wydzielalo zapach świeżo rozpakowanej zabawki, a kwiaty porastające bieliznę otwierały się niczym styropianowe woluty opakowania przywierające wskutek naelektryzowania do palców. Runęliśmy na łóżko, miażdżąc jej płaszcz i torebkę, z której trysnęło feerią utensyliów do makijażu, szminek, chusteczek do nosa, papierosów, monet, długopisów, bransoletek, pończoch i wkładek higienicznych, i w tym pirackim rogu obfitości brzęczących przedmiotów i zdarzonych z siebie ubrań, uwięzieni w spoconej gęstwinie własnych ciał posiadaliśmy się nawzajem.

Obudziłem się kilka godzin później. Mónica spała u mego boku z obnażonymi aż po dołeczki łędźwiowe plecami. Fale czarnej grzyw spoczywały na krzywiźnie jej ramienia i przez prześwit w tej smolistej toni skrzyły się promienie jej diamentowego kolczyka, lśniącego jak lawa na nocnym stoku wulkanu. Jęknęła przez sen, gdy dotknąłem tkliwie jej wzburzonych włosów. Wstałem, przeszukałem szafę i wyciągnąłem z niej koc. Owinąłem się nim i wyszedłem na balkon. Usiadłem, wpatrując się w migotliwe światła Castellany i jaśniejący blaskiem graniastosłup Torre Picasso i sztachnąłem się mroźnym powietrzem, pijany euforią i kompletnie zdezorientowany. Zatonąłem w myślach i z tego otępienia wyrwało mnie dopiero skrzypnięcie zawiasów szklanych drzwi. Okutana w koc wychynęła Mónica. Usiadła przy mnie i oparła głowę o moje ramię. Jej ręka wślizgnęła się między poły mojego koca.

- Wiesz? - szepnąłem. - Przypominałem sobie coś, co moja matka opowiedziała mi kiedyś o babce.

- Znowu jakieś zagadki do rozwiązania?

- Nie, zdawałoby się banalna historia. Opuszczając Austrię,

zatrzymali się w pewnej miejscowości, aby odwiedzić cmentarz, na którym pochowany był syn ich austriackiego przyjaciela. Szukając mogiły, ujrzeli starszkę składającą kamelie na kamiennych płytach. Zapytali ją o grób, lecz okazało się, że kobieta była chora umysłowo. Rozmawiała z umarłymi.

- Można się z nimi dogadać lepiej niż z niejednym żywym.

- Jeszcze wiele lat później babka wspominała tamtą starszkę. Z jakiejś nieodgadnionej przyczyny sądziła, że spotkanie na cmentarzu było szansą, której pozwoliła się wymknąć.

- Szansą? Na co?

- Nie wiem... Tylko ona to rozumiała. Babka była osobą bardzo religijną i matka mówiła, że ona wierzyła, że w jakimś momencie życia spotkamy swojego anioła stróża. Może myślała, że owa kameliowa dama była jej aniołem stróżem i że gdyby wówczas za nią poszła, otworzyłby się przed nią nowy, nieoczekiwany świat i wszystko ułożyłoby się inaczej. Może idąc jej śladem, spotkałaby się ponownie z tamtymi austriackimi przyjaciółmi, może zdecydowałaby zostać z nimi i jej życie byłoby wtedy pełniejsze, nie wiem. Możliwe, że babka żałowała, że odkąd wrócili do Torrelodones, nie zrobiła nic, czemu warto by poświęcić życie, odkąd zaś jej syn nie potrzebował już matczynej opieki i umarł ojciec, nie miała celu, który zmuszałby ją do kontynuowania walki. Być może dlatego chciała umrzeć.

- I jaki z tego wniosek?

- Muszę odnaleźć dziadka? Muszę jechać do Kenii.

- Jaki to ma teraz sens?

- Jeśli babka miała rację, sądzę, że on jest moją szansą. I kto wie, może również szansą moich rodziców. Mojej rodziny.

- Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że twój dziadek jest twoim aniołem stróżem.

- Bardzo długo myślałem, że oboje nim byli, Uke i Hamish. Było to wówczas, kiedy się jeszcze wierzy w te rzeczy. Podczas naszej ostatniej rozmowy babka powiedziała mi coś. Powiedziała: „Gdziekolwiek pójdziesz, Currito, zawsze będę szła z tobą i będę nad tobą czuwać”. Może ci to pachnieć tanim sentymentalizmem lub infantyлизmem rodem z „Domku na prerii”. Ale nie powiedziała mi tego ot tak, bez powodu. Sądzę, że człowiek świadomy rychłego nadejścia śmierci z pewnością

cią potrafi ważyć swoje słowa. Powiedziała mi to stanowczo, tonem obietnicy. Z wysiłkiem kogoś, kto chce, by mu uwierzono. Przez wiele lat myślałem, że ona zawsze była przed, pod, nad, za mną, czuwając nade mną. Lecz jednocześnie mam wrażenie, że ja nie dotrzymałem danego jej słowa. Uczyniła mnie depozytariuszem wiadomości dla Hamisha. Byłem wtedy dzieckiem i tego nie zrozumiałem. Później, jak już mówiłem, wszyscy zapomnieliśmy o całej sprawie na wiele lat. Jednak teraz widzę to jak na dłoni. Ta wiadomość była testamentem babki. Pragnęła przywrócić Hamisha na łono naszej rodziny. Byśmy mogli być razem. Taka była jej ostatnia wola. I zobacz, jak wygląda nasza rodzina dzisiaj. Jesteśmy rozproszeni i po części dlatego właśnie, że wszystko wyszło na opak. A poza tym, z jakiego to niby powodu nie mogę znów wierzyć w anioły stróże? Jeśli mam własnego belzebuba w powłoce Celestina Posady, to dlaczego nie? W dzisiejszych czasach ludzie nadal w nie wierzą, ale nazywają je guru, idol, konsultant, doradca finansowy, doradca w problemach małżeńskich, kurator czy... nauczyciel jogi. Gdyby powyższe argumenty były dla ciebie za mało przekonujące, może to być też dobry temat, a rasowy dziennikarz nie wypuszcza z rąk dobrego tematu, zwłaszcza jeśli to jego własna historia. Potrzebuję odpowiedzi. Muszę jechać do Kenii.

- Nie bierz sobie tego tak mocno do serca. Nie przykładaj przesadnej wagi do tego, co robimy. Mam wrażenie, że przebierasz w szaty rzemiosła coś, co jest wyłącznie prywatną kwerendą. Co, po głębszym namyśle, uważam za jedną z nielicznych, szlachetnych rzeczy, jakie mogą się przytrafić dziennikarstwu. Zrób to.

- Pojechałabyś ze mną?

- Ty i ja w Afryce? Z dala od cywilizacji, od szerokiej oferty społeczeństwa konsumpcyjnego, tracący perspektywę rzeczywistości, razem w samotnej chacie o zmierzchu na sawannie, dwie szklanki whisky i trzaskający ogień w palenisku, jacuzzi buchające parą w sąsiednim pomieszczeniu, rozciągnięci na skórze zebry, oddzieleni od siebie jedynie lnianymi koszulami oblekającymi nasze ciała? Hm... Powiedzmy, że nie. To zbyt niebezpieczne, kochanie.

- Kochanie? Widzisz, prędzej czy później skończymy razem.

- Tego właśnie chciałabym uniknąć. Zawsze byłeś moim kochaniem i pozostaniesz nim na wieki. Nazywam cię tak właśnie dlate-

go, że nie targa mną obawa, że zaraz nałożysz mi na szyję jarzmo. Wykorzystałam już pulę błędów dozwolonych w jednym sezonie i nie mogę sobie pozwolić na kolejne. Znaczysz dla mnie zbyt dużo. Za dużo jednych rzeczy i za mało innych.

- No, no, nie zapomnij wysmażyć mi listy na dwie kolumny. Przecież spędziliśmy już więcej czasu razem niż niejedna para. Nie byłoby zbyt dużej różnicy, wliczając nasz dzisiejszy stan posiadania. W triumfalnym pochodzie padła nawet twierdza seksu.

Podniosła się z krzesła.

- Nic z tego, kotku. To, co się nam przydarzyło dzisiaj, to odosobniony fenomen. Fenomen, lecz odosobniony. To przypadek wygląd nialego nędzarza, któremu przytrafia się wielkie żarcie. Jutro będzie nowy dzień. Ale ta noc... wciąż jeszcze trwa.

Rozpostarła ramiona. Stanąłem przed nią i wtedy mnie objęła, opatulając kocem jak skrzydłami, przywierając swoim ciałem, segment po segmencie, do mego ciała. Gdy wtopiła się we mnie całkowicie, powiedziała:

- Chodźmy do środka. Straszny tu ziąb i pokój się wychładza. Musimy go ogrzać ździebko.

Gdy obudziłem się w południe, Moniki już nie było. Nazwałem po imieniu wszystkie stereotypy przelotnych związków. Gdyby to była sobota, moglibyśmy zjeść wspólne śniadanie na zalanym słońcem balkonie. Wszedłem do łazienki i spojrzałem w lustro. Mónica zostawiła na moim tułowiu wiadomość zapisaną szminką w taki sposób, aby można ją było przeczytać w odbiciu. Zawsze śpię jak zabity.

JEM ŚNIADANK
AEDE* Z OJCEM
DOZOBA M'NICA

I karminowy pocałunek wyciśnięty ciut nad wzgórkiem łonowym. Literą O z wyrazu „śniadanko” była moja prawa brodawka, O zaś

Asociación de Editores de Diarios Españoles - Hiszpańskie Stowarzyszenie Wydawców Dzienników.

z jej imienia pępek. Co za błyskotliwa dziewczyna. Wykąpałem się, nie dotykając mydłem torsu.

Zawsze, gdy spóźniam się do pracy, wolę tego nie ukrywać. Zahaczyłem w przelocie o biurko i włączyłem komputer. Z małej kartki przyklejonej do ekranu szczyrzyła kły wiadomość:

DZWONIŁ CELESTINO POSADA

I poniżej cztery pionowe kreski przekreślone po przekątnej jeszcze jedną linią niczym lata wyroku.

Wszedłem z marszu do gabinetu Guana. Zasepiony przeglądał artykuł konkurencji, wypuszczając dym ze swojego cygara jednym kąciakiem ust, drugim zaś mrużąc: „A to łachudry, a to łachudry”.

- Guan, mogę wejść?

- Tak, wejdź, wejdź, chłopcze - rzucił, nie odrywając wzroku od gazety. - Te łachudry podeszły naszego informatora. Nikt inny nie mógł wiedzieć o tych przewalach z płaceniem za wywóz śmieci z... eeh! - Szurnął gazetę na bok i spojrzał na mnie. - Niezły ten twój artykuł o małpie, chłopcze, całkiem, całkiem.

Pochwała z ust Guana była rzadkim zjawiskiem.

- Dziękuję. Nie zdążyłem jeszcze rzucić okiem na dzisiejszy numer. Melduję się od razu u ciebie, żeby ci powiedzieć, że dopiero wylądowałem. Spóźniony. I nie mam usprawiedliwienia, takiego przynajmniej, które mógłbym ci wyjawić.

- Trzeba przyznać, że tupetu ci nie brak, chłopcze. Żeby mi to było ostatni raz. - Pogroził mi palcem.

- Słuchaj, Guan... Dlaczego wszyscy nazywają cię Guan, przecież masz na imię Onesimo? - Celowo zagadywałem, żeby odwlec w czasie podjęcie drażliwego tematu.

- Mój ojciec dał mi na imię Onesimo na cześć Onesima Redonda. Skubaniec, niech mu ziemia lekką będzie, miał bardziej faszystowskie serce niż orle z frankistowskiej flagi. W mojej rodzinie wszyscy byli wyznawcami narodowego syndykalizmu. I rozpierała ich z tego powodu niepohamowana duma. Na drugie imię mam Ramiro, na cześć Ramira Ledesmy. Dla ułatwienia nazywali mnie One, a na studiach koledzy zmienili to na Guan, bo byłem numer jeden na roku. Number

guan. Guan, cziu, sri, kapujesz? Tak, chłopcze, co tak wytrzeszczasz gały, byłem numer jeden na roku. Dyplom z wyróżnieniem. Masz tutaj, czarno na białym. - Rąbnął krawędzią dłoni w dyplom wiszący na ścianie. W reakcji ramka zatańczyła gwałtownie na haku.

- Słuchaj, Guan. - Postanowiłem kuć żelazo póki gorące, zanim zacznę żałować podjętej decyzji. - Pracuję tu już ponad rok, sześć miesięcy, odkąd skończyłem studia. Chciałbym wiedzieć, czy należy mi się jakiś długi urlop, bezpłatny. Urlop bezterminowy czy coś w tym stylu.

- A skąd ja to mogę do cholery wiedzieć? Spytaj w kadrach. Co, chcesz mi zrobić zator w redakcji na amen?

- To bardzo ważna sprawa rodzinna. I nie od zaraz, może gdzieś w końcu wiosny. Potrzebuję kilku miesięcy, żeby rozwiązać parę tematów, ale za nic w świecie nie chciałbym stracić tej pracy. Poza tym mam na oku pewną historię. Dotyczy mojej rodziny, ale jest całkiem niezła. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, może z tego wyjść przyzwoity reportaż do weekendowego wydania. To bardzo dla mnie ważne i mogłoby mieć też istotne znaczenie dla mojej kariery.

- Jestem z ciebie zadowolony. Pasujesz mi. Ale ja jestem tutaj przedostatnim... jak go nazywasz...? - Przewertował poranne wydanie. - Pawianem. Przedostatnim pawianem. A ostatnim jesteś ty. Porozmawiaj z dyrem. Jeśli dasz mi dobrą historię, obiecuję, że ją poprę, ale to wszystko, co mogę zrobić.

- Dziękuję, Guan.

Spod biurka wyciągnął bagietkę i reklamówkę, a z niej mały pakiecik owinięty w gazetowy papier.

- Nie bierz sobie tego tak mocno do serca, chłopcze. Nie przykładaj przesadnej wagi do tego, co robimy. - Wygłosił dokładnie tę samą sentencję, którą w nocy usłyszałem z ust Moniki. - Patrz, to wczorajsze wydanie. Widzisz, do czego się już dzisiaj nadaje? - mruknął, odwijając pakiet z gazety. Ze środka wyłonił się pokrojo ny w plasterki *jamón iberico*, smakowity, lśniący mikroskopijnymi kropelkami potu *jamón iberico*, z tych, które już swoim wyglądem obiecują, że rozpuszczą się przy pierwszym zetknięciu z ciepłym podniebieniem. - Jesteśmy obwoływaczami, chłopcze. Niczym więcej. Zwykłymi obwoływaczami.

Jeden dzień, jedno do widzenia

Był to bardziej strach niż wstyd albo na odwrót. Była to kombinacja obu uczuć naraz sprawiająca, że odczuwałem tyleż zawstydzenie w jej obecności, co trwogę podczas jej nieobecności. Strach albo wstyd, że nie będę już mógł na nią patrzeć w taki sam sposób, jak kiedyś. Wstyd albo strach, że ona może spostrzec zmiany w moim zachowaniu. Odkąd ciało Moniki przestało być mechanizmem służącym do przemieszczania po mieście mózgu mojej najlepszej przyjaciółki, porzuciłem rolę niewzruszonego Clinta Eastwooda gryzącego cygaro i ziewającego na widok jej powabów. Ona kochała mnie, bo udowodniłem, że jestem do bólu nihilistą mającym za nic jej nazwisko i jego cielesną wizualizację, a teraz cała ta misterna, psychologiczna konstrukcja gibała się jak statek kapitana Ahaba okładany bezlitosnymi uderzeniami jej białych ud. Znałem już jej pieprzyki, fałdki, dołeczki, wklęsłości i wypukłości, rewers jej uszu i palce stóp, wiedziałem, jak to wszystko smakuje i w jaki sposób jej głos ucieka w rejestry, których nie używa w redakcji, w reakcji na eksplorację topografii jej ciała. Jednym słowem, katastrofa. Nie wiedziałem, co wprowadza mnie w większą konfuzję, czy tłumione pragnienie rzucenia się do jej stóp i pobekiwania niczym wielkarnocny baranek, czy łatwość, z jaką przyszło jej nakreślić czyściutką, pozbawioną kleksów linię pomiędzy naszą poufałą przyjaźnią i tym, co nazwała szaloną nocą wielkiego, pantagruelicznego żarcia, co, nawiasem mówiąc, uważałem za bałamutną definicję, bo nie jedli-

śmy razem, lecz pożeraliśmy siebie nawzajem w związku, który miał więcej z antropofagii niż z biesiadowania. Nigdy przedtem nie zwracałem tak bacznej uwagi na jej obcisłe spodnie, gdy siadała, ani na to, ile centymetrów kwadratowych nagiej skóry jej brzucha wyziera i przez ile sekund, kiedy wyciągała w górę ręce, żeby zdjąć sweter. Apokalipsa. Zacząłem wówczas rozumieć owego aktora porno, który wzruszył się jak małe dziecko, gdy dziewczę, które ujeźdżał przez sześć godzin w obecności kamer, przyjęło jego zaproszenie na romantyczną kolację przy świecach. I zacząłem wówczas myśleć, że planowana długa podróż pomoże mi odtruć organizm od słodkich trunków jej ciała.

Pamiętam tamten dzień, kilka dni przed sylwestrem, w którym Celestino Posada do mnie nie zadzwonił. Za żadne skarby nie mogę sobie przypomnieć, czy nie był to przypadkiem dzień Świętych Młodzianków Męczenników*. Szyderczy rechot telefonu smagnał mnie w momencie, gdy miałem właśnie złożyć do kupy tytuł. Podniosłem słuchawkę, lękając się otworzyć śluzy obfitego rezerwuaru błuźnierstw Posady.

- Słucham?
- Dzień dobry. Ja w sprawie losowania.
- Że co, proszę?
- W sprawie losowania. Chciałbym się zapisać.
- Przykro mi, ale obawiam się, że to pomyłka.
- Aha, przepraszam.
- Nic się nie stało. Wesołych Świąt.
- Wesołych Świąt.

Odłożyłem słuchawkę, puszczając w niepamięć ten błahy incydent. Obrzuciłem spojrzeniem stojące obok mnie puste krzesło. Mónica w tych dniach zajmowała się organizacją wyprawianego przez jej ojca przyjęcia sylwestrowego oraz posylwestrowej podróży do Gstaad w ścisłym gronie znajomych; ta zbawienna okoliczność trzymała ją z dala od redakcji oraz od kłopotliwego napięcia, jakie wywoływała we mnie jej bliskość. Znalazłem jakąś wymówkę, żeby

Dia de los Santos Inocentes - obchodzone w Hiszpanii i Ameryce Łacińskiej 28 grudnia święto upamiętniające Rzeź Niewiniątek dokonaną na rozkaz Heroda; odpowiednik polskiego prima aprilis (przyp. tłum.).

odłożyć na kiedy indziej podróż do Lux Domini, a za jej parawanem skrywała się panika na myśl o tym, że mógłbym ponownie znaleźć się sam na sam z Mónicą w sytuacji słabizny emocjonalnej, przeczuwając, że jeśli ona nie zaofiarowałaby mi czegoś, na co mógłbym mieć ochotę, na przykład na nią, groziłoby mi niebezpieczeństwo wcielenia się w rolę samca alfa, z którą nie było mi w żadnym razie po drodze i która zapędziłaby mnie w kozi róg pamiętnej po wsze czasy i obrazoburczej śmieszności. Ojciec powiedział mi, że umowa przedwstępna podpisana zostanie z nabywczynią domu dopiero po świętach i że sfinalizowanie sprzedaży nastąpi kilka miesięcy później. Miałem zatem dość czasu, żeby przygotować wizytę w Lux Domini i wybrać dzień, w którym Mónica zajęta będzie jakimś nieodwołalnym spotkaniem na szczycie. Jednak mimo nadludzkiego wysiłku, jaki wkładałem w zachowanie dystansu całkowicie wcześniej zbytecznego, przez ten świąteczny tydzień, kiedy nie zajrzała ani razu do redakcji, wydzwaniała codziennie, oficjalnie - wykazując zainteresowanie pracą, pozaoficjalnie - usiłując zagłuszyć wyrzuty sumienia, jakie doskwierały jej z powodu nieobecności, pozapracowniczo - żeby usłyszeć mój głos, jak myślę, i ta dwuznaczność uwierała mnie z wszystkich stron jak koszula garbatego.

W Boże Narodzenie Guan tryskał doskonałym humorem. Był szczęśliwym posiadaczem gromadki dzieci, które podczas zimowych ferii zapępniały wszystkie kąty redakcji i były, w moim przekonaniu, jak skóra ściągnięta z ich ojca, pomniejszonymi i powtarzalnymi wersjami przedwcześnie postarzałego niemowlaka Rogera Rabbita albo zestawem rosyjskich matroszek wzorowanych na podobiznie Chruszczowa. Powyższe miast kępować, rozczulało go, spacerował przeto po redakcji, rozdzielając łaskawie uśmiechy i cygara, podczas gdy małe guanitki skakały mu pod nogami jak cyrk tresowanych pcheł. Kończyłem właśnie składać jednemu z maleństw stateczek z papieru przypominający raczej szalupę, gdy telefon ponownie nakłuł mi bębenki swoim przeraźliwym dzwonkiem.

- Słucham?

- Cześć, kochanie. - Użytkowanie tego zwrotu powinno być ograniczone prawnie do przypadków, w których obowiązkowo posiadałby załączone stosowne rekompensaty uczuciowe. Taka defi-

nicja powinna zostać zamieszczona w słowniku w czarnej ramce jak ostrzeżenie o chorobach na paczkach papierosów.

- Cześć, kochanie - zaryzykowałem. - Jak tam przygotowania do rzymskiej orgii?

- Kupa nieszczęścia. Mój ojciec ma dowcipny zwyczaj zapraszania gdzieś z roku na rok listy gości. Na tym etapie przygotowań mogłabym wyrecytować przez sen podstawowy skład, ale jest kilku straszliwych typów, o których ciągle zapominam. Mam już po dziurki w nosie robienia za jego sekretarkę, przede wszystkim dlatego, że jej płaci dużo więcej niż mnie. Nie mówiąc już o cateringu, muzyce i tak dalej, i tak dalej. To okres, kiedy robota wchodzi im drzwiami i oknami, ale kiedy, zadziwiająco, nie chce im się dupy ruszyć. Jak tak dalej pójdzie, będziemy musieli serwować gościom popcorn i fantę. Ale nic to. A jak tam w redakcji?

- Na froncie bez zmian, kac i senne lenistwo, jak zwykle w Boże Narodzenie. Oblega mnie horda uzbrojonych po zęby małych guaników.

- Prawdziwy z ciebie tatulo. Potrzebujesz pomocy? To znaczy nie z guanitkami. Mogłabym coś za ciebie napisać z domu.

- Nie przejmuj się mną, rób swoje. Podobno paznokcie są bardziej kruche na tym zimnie i serce by mi pękło, gdyby trzasnął ci jeden z nich.

- Ha, ha. Prostacka, seksistowska uwaga od rzeczy poczynio na wyłącznie po to, aby nie przyznać, że moja nieobecność zijeje w redakcji czarną wyrwą.

- I w moim sercu. Ale oboje nauczyliśmy się żyć podziurawieni.

- Zgoda. Starczy tego dobrego, do roboty, musisz przecież zapracować na moją pensję.

- Buziaki.

- W czyraki.

Słuchawce musiało być bardzo niewygodnie w jej plastikowej kołysce, bo gdy tylko ją odłożyłem, drgnęła nerwowo i z trzewi aparatu dobył się bezczelny dźwięk, który przewiercił mi żołądek. Podniosłem słuchawkę do ucha.

- Słucham?

- Dobry. Chcę wziąć udział w losowaniu.

- Znowu? Proszę posłuchać, już mówiłem, że tutaj nic się nie losuje.

- Przecież ja dzwonię pierwszy raz. To nie tutaj to losowanie?

- Ale, jakie losowanie, na miłość boską?

- Encyklopedii.

- Przykro mi, ale nie, nie tutaj. - Przemknęło mi przez myśl, że chodzi może o jakąś świąteczną promocję gazety. - Proszę zapisać numer na centralę i tam zapytać, zgoda?

- Aha, dobrze, dziękuję.

Podyktowałem rozmówcy numer i się odmeldowałem.

W leniwej atmosferze tamtych dni przybranych w kolorowe łańcuchy i bombki, posuchę informacyjną, puste krzesła, pełne żołądki, świąteczne toasty, redakcję przeobrażoną w Fort Apache obleżony przez szczep guaników, miałem dość czasu, aby przemyśleć i zaplanować kolejne nieodzowne kroki wytyczające kierunek misji, jaką miałem przeprowadzić w ramach noworocznego postanowienia. Po pierwsze musiałem porozmawiać z matką. Babka Uke była z nią bardzo blisko, bliżej nawet niż z własnym synem, i na pewno mogła mi dostarczyć jakichś informacji, które ułatwiłyby moje poszukiwania. Pamiętałem przecież, że matka notowała, słuchając opowieści i anegdot babki z czasów jej młodości, łącznie z tą o krótkiej idylli z Hamishem. W sylwestrową noc mieliśmy się zebrać wszyscy w domu matki w Escorialu, co uznałem za doskonałą okazję do ekshumowania tamtych wspomnień i zapisków.

Jeszcze w przeddzień sylwestra Mónica nalegała, abym przyłączył się do gwiazdorskiej obsady jej przyjęcia po przywitaniu Nowego Roku w gronie rodzinnym, od czego wykręciłem się jednak, argumentując, że próba pokonania tak wielkiej odległości między Escorialem y La Moraleja w noc tak wzmożonego i etylowego ruchu na drogach mogłaby się zakończyć utratą życia lub członków. Wymówka mniej więcej chwyciła, pomyślałem, odkładając telefon. Wyłączyłem komputer i zgarnąłem plecak. Gdy podnosiłem się z krzesła, telefon ostrzegł mnie, że nie uwolnię się tak łatwo od jego hałaśliwej tyranii, odebrałem więc, bo pomyślałem, że to może znowu Mónica. Zamiast niej usłyszałem męski głos.

- Cześć, z kim rozmawiam?

- To... chyba ja powinienem o to zapytać. Ty dzwonisz.
- Tu Nicolas Galio, dzwonię stąd, z gazety, z działu sportowego-
- Aha. Cześć. Tu Curro Mencia, z lokalnego.
- Jak się masz, Curro? Przypuszczam, że to nie ty zajmujesz się losowaniem encyklopedii, co?
- Że jak? Znowu encyklopedia? Co to za paranoja z tą encyklopedią?
- Tak myślałem. Jeśli masz chwilkę, wdepnij do mnie. Chciałbym ci coś pokazać.

Zaintrygowany ruszyłem do redakcji sportowej. Nieledwie jakieś niedobitki opierały się bożonarodzeniowemu exodusowi. Gdy dotarłem na miejsce, blondasowaty i zwałisty jak młyn w rugby dryblas posłał mi uśmiech i dźwignął się z krzesła.

- Curro?
- Tak. Nicolas?
- Mów mi Nik. - Uścisnęliśmy sobie dłonie. - Dostałem to wczoraj pocztą na adres domowy. - Podał mi kartkę świąteczną przed stawiającą „Pokłon pasterzy” Murilla. - Otwórz.

Otworzyłem kartkę. W środku drukowany napis głosił:

KSIĘGARNIA POSADY ŻYCZY PAŃSTWU WESOŁYCH
ŚWIĄT I SZCZĘŚLIWEGO NOWEGO ROKU KUP KSIĄŻKĘ
NA ŚWIĄTECZNY UPOMINEK! Wykonaj zamówienie do 5
stycznia 1992 r. i weź udział w losowaniu dziesięciu
kompletnych kolekcji Encyklopedii Espasa. Kontakt
telefoniczny

Pod spodem dwa numery telefonów. Pierwszy z nich był moim redakcyjnym numerem.

- Mieszkam blisko tej księgarni. Kilka miesięcy temu zamówiłem w niej angielską książkę o piłce nożnej i zostawiłem swoje namiary
- kontynuował Nicolas. - Gdy dostałem tę kartkę, zwróciłem uwagę, że jeden z podanych telefonów był ewidentnie telefonem z naszej firmy i pomyślałem: albo to jest nasza promocja, albo zakradł się

jakiś błąd, który komuś bardzo się nie spodoba. Zadzwońm więc pod ten numer i odezwales się ty. Z twojej reakcji wnoszę, że to jakiś fatalny błąd.

- Lub trzecia możliwość, której nie mógłbyś sobie wyobrazić w najśmielszych snach. Ten klient wypowiedział mi wojnę!

- Jak to?

- Nie chciałem opublikować wyzwisk, jakimi poczęstował radnego i jego matkę i przeistoczył się w mój dyżurny koszmar.

- Wyzwisk? Dlaczego? Nic nie rozumiem.

- Daj spokój, Nik, nie zwracaj sobie tym głowy. Zapewniam cię, że to śmiertelnie nudna historia. Dzięki za informację.

- Będziesz musiał coś z tym zrobić, zadzwonić do niego, bo inaczej usmażą cię żywcem telefonami o encyklopedie.

- Tak zrobię, choć wiem, że to nic nie pomoże. Mleko już się rozlało. Nie pozostaje mi nic innego, jak przetrzymać ten absurdalny ostrzał. Poczynam się, że promocja wygasa piątego stycznia.

- Weź kartkę, jeśli chcesz. Ja jej nie potrzebuję.

Następnego dnia zadzwoniłem do księgarni Posady. Jej właściciel posłużył się kpiącym falsetem, ubolewając nad straszliwą pomyłką i przypisując winę nowej sekretarce, która nie zdążyła jeszcze spamiętać cyferek tworzących numer księgarni, no bo jasne, mój telefon zapisany był wszędzie i biedaczka najzwyczajniej w świecie się kropnęła. Nie omieszkałem oczywiście zapewnić go, że nie wierzę w ani jedno słowo, na co tylko zdaje się czekał, bo bez żadnego wstępu wykonał po raz kolejny natrętny refren nafaszerowany najuroczystszyimi zaklęciami mającymi skłonić mnie do przeprowadzenia zaległego wywiadu i aby zwięźczyć naszą rozmowę efektowną woltą, wystosował osobiste zaproszenie do wzięcia udziału w losowaniu encyklopedii.

Kiedy zgasło ostatnie w tym roku słońce, ruszyłem do Escorialu, do domku matki uczonego zbocza góry Abantos. Wziąłem tam udział w corocznych, pozorowanych manewrach rodzinnej reunifikacji w sztucznie świątecznej i hałaśliwej atmosferze bezrefleksyjnej nocnej fiesty, na którą człowiek usiłuje się stawić z poczynioną zawczasu refleksją, z bilansem rocznym w jednej kieszeni i listą szczytnych zobowiązań w drugiej. Ja nie przywiozłem nawet butel-

ki wina, którą mógłbym dorzucić się do przyjęcia, ale towarzyszył mi jasny cel. Kiedy wybrzmiało echo uderzeń dzwonu, otworzyliśmy zdezelowane, popękane, drewniane okiennice na górnym tarasie i trzymając w jednej dłoni kieliszek szampana, drugą zaś szukając w powietrzu równowagi, zaryzykowaliśmy postawienie palców stóp na tańczących płytkach zrujnowanej podłogi. Na pięć minut zmieniliśmy się w jedną z wielu rodzin śledzących wzrokiem trajektorie fajerwerków puszcanych przez miasteczkowe dzieci na ciemnym firmamencie premierowego nieba 1992 roku. Kiedy zebrani skapitulowali wobec mroźnego powiewu nocy i schronili się w salonie, poprosiłem matkę bez słów, dotykając dłonią jej ramienia, żeby została ze mną przez chwilę. Wówczas wyrzuciłem z siebie, najłagodniej jak tylko potrafiłem, pytanie.

- Mamo, dlaczego sprzedajecie Lux Domini?

Matka odwróciła wzrok ku pirotechnicznym robaczkom świętojańskim płonącym krótkim życiem na tle czarnego woalu okrywającego góry. Jej usta wykrzywiły się w geście znużonej czułości.

- Tata mówił mi o twojej wizycie. Powinnam była przygotować sobie przekonującą odpowiedź, ale... Curro, proszę cię, zrozum. Ten dom, to jedyne, co posiadam, i jak widzisz, sypie się, potrzebuje gruntownego remontu, twoja siostra chce studiować projektowanie biżuterii w Londynie, a moja pensja nie jest z gumy. Lux Domini był cudownym miejscem, skarbie, ale tu jest mój dom. Czasem trzeba amputować rękę, aby uratować życie. Naprawdę, nigdy nie pomyślałabym, że będzie to dla ciebie tak bolesne. Przecież byłeś wówczas tylko dzieckiem!

- Ten dom to całe moje dzieciństwo. Nie pamiętam innego. Była nim moja rodzina, babcia Uke, Vicente, moi przyjaciele, pies... Hamish...

- Hamish! Ty wciąż go pamiętasz!

- Jak mógłbym go zapomnieć? Przypadliśmy sobie do serca od pierwszej chwili. On zawsze był moim dziadkiem. Powiedz mi... Myślisz o nim czasem?

- Zawsze, gdy usiłuję *znaleźć* odpowiedź na pytanie, co zrobiliśmy źle. Ale staram się, żeby nie zdarzało się to zbyt często.

- Mamo, wyznam ci, jakie postanowienie powziąłem na ten

nowy rok. Pojadę szukać Hamisha. Jeśli żyje, znajdę go. Jeśli nie, odnajdę jego grób.

Spojrzała z niedowierzaniem, uśmiechnęła się i objęła mnie bez słowa. Zaczekałem z interpretacją jej reakcji, aż odważy się zapytać, dlaczego.

- Nie jestem pewny - odrzekłem. - Nie wiem, czy robię to dla niej, dla babci, dla was czy dla siebie. Sądzę jednak, że są w naszej rodzinie rachunki do wyrównania i pytania, na które chciałbym znaleźć odpowiedzi. Myślisz, że on rzeczywiście kochał babcię?

- Jestem przekonana, że tak było, chociaż wszystko zdawało się temu przeczyć. Twój ojciec zawierzył rozumowi, ja tylko sercu. Pamiętasz jednak, że nigdy nie odpowiedział na nasze listy?

- Tak, wiem. Masz jeszcze adres, na który do niego pisałaś?

- To był adres, który sam nam zostawił, ale gdzieżby, już go nie mam. To było coś, jakby... Masz ci los, przykro mi, synku, za nic nie mogę sobie przypomnieć. To była jakaś krótka, afrykańska nazwa. Nigdy nie mogłam jej zapamiętać. Musiałam ją przepisywać za każdym razem, kiedy adresowałam do niego nasze listy.

- Zawsze dręczyło mnie pytanie, dlaczego babcia nigdy się z nim nie skontaktowała.

- Nie mogła. Nie знаła jego adresu.

- Jak to? Jeśli mnie pamięć nie myli, Hamish zjawił się w Lux Domini, ponieważ zawiadomiła go ciotka Victoria.

- I tak było. Uke zawsze podejrzewała, że jej siostra zablokowała korespondencję Hamisha przy pomocy stróża, którego zatrudniła do pilnowania Lux Domini po wyjeździe jej i Fernanda z Hiszpanii. Nigdy jednak nie mieliśmy pewności, aż do dnia, w którym Victoria powiedziała mi, że napisała do Hamisha, zawiadamiając go o śmierci siostry. Ona była jedyną osobą, która znała miejsce jego pobytu. Gdy się o tym dowiedziałam, poczułam straszny żal i wściekłość, ale jaki miało sens rozdrapywanie tej rany po śmierci Uke. Nigdy nie czułam się swobodnie w obecności tej sztywnej i oschłej kobiety. Obie były tak od siebie różne...

- Myślisz, że to on ją porzucił czy może ona z nim zerwała? Hamish powiedział mi, że prosił Uke, aby wyjechała z nim do Afryki,

i że ona odmówiła, nie zdradzając mu nawet, że jest w ciąży. Myślisz, że mówił prawdę?

- Widzisz, wiesz więcej ode mnie! Ja pamiętam tylko tyle, że Hamish pojawił się nagle w salonie i oświadczył, że właśnie się dowiedział, że jesteście jego rodziną. Pytałam o te sprawy twoją babcie, ale dawała mi do zrozumienia, że nie ma ochoty grzebać się w tej części swojej przeszłości. Powiedziała mi jedynie... jak to było? „Wybieramy przepaść”. Miała na myśli coś, co dobry przyjaciel obojga napisał jej kiedyś w liście. Nazywał się Delsey, jeśli dobrze pamiętam.

- Delsey?

- Baron, pół Francuz, pół Hiszpan i trochę... no wiesz, zniechęcały. Bardzo zabawny człowiek i niezwykle... patetyczny, jak mówiła Uke.

- Delsey... Wiesz może, czy jeszcze żyje?

- Nie mam pojęcia. Jeśli jednak chcesz go odszukać, wiem, że miał zamek we Francji. Nie pamiętam teraz gdzie, ale wszystko jest w moich notatkach.

- Właśnie! Twoje notatki. Wciąż je przechowujesz?

- Oczywiście! Strzegę ich jak drogiego skarbu. Zawsze byłam przekonana, że pewnego dnia ktoś ocali je od zapomnienia i zrobi z nich dobry użytek. Ale ostrzegam cię, że to notatki stenograficzne.

- W takim razie będę cię musiał prosić o pomoc. Przy okazji podzielisz się ze mną swoimi wspomnieniami. Myślę, że powinienem porozmawiać z Victorią i Delseyem, pod warunkiem że jeszcze żyje. Jeśli tak, byłiby jedynymi żyjącymi świadkami tamtych wydarzeń. A Vicente?

- Poczciwy Vicente. Pisze do mnie od czasu do czasu.

- Naprawdę? Nie wiedziałem o tym. Co on teraz porabia?

- Żyje tam nadal, w swojej wiosce, to już staruszek. Odpoczywa, przygląda się mijającym porom roku, nie trapiąc się, że, jak zwykł mawiać, w każdej z nich zawsze jest coś do zrobienia.

- A pies babci, Stopięć? Jest z nim?

- Zdechł biedaczysko. Ale zastąpił go Stosześć.

- Poważnie! A więc podtrzymuje tradycję... Może powinienem porozmawiać też z Vicentem.

- Nie sędę, aby mógł ci pomóc. Należał do innego rozdziału historii Uke. Niezwiązanej w żaden sposób z Hamishem.

- Myślisz, że Vicente był zakochany w babci?

- Czy ja myślę? Po same uszy! I ona też go kochała, chociaż sędę, że nigdy nie straciła nadziei na połączenie się z Hamishem. Tak, tak, kiedyś ludzie tacy właśnie byli, wierni aż po grób.

- Biedna babcia.

- Biedna. Uke nie była przez całe życie osobą, jaką znaliśmy my. Niezależnie od tego, kto zawinił, od czasu rozstania z Hamishem przez resztę swoich dni żyła pod znakiem tamtej straconej okazji. Myślę, że żałowała, że sprawy nie potoczyły się inaczej. Ale co się stało, to się nie odstanie. Nie wiem, czy dzisiaj, w obecnym stanie rzeczy, ma sens rozsypywanie tego węzła ani czy przyszłość zyska na tym, że ujrzą światło dzienne nasze pomyłki. Przeszłości już nie zmienimy.

- Masz na myśli siebie i tatę?

- Może. Niezdolność do podejmowania decyzji w tej rodzinie to chyba jakaś genetyczna ułomność.

- Dziękuję, mamó. - Pocałowałem ją w policzek. - Muszę już lecieć. Wpadnę któregoś dnia, żeby przejrzeć z tobą twoje notatki i posłuchać jeszcze o babci.

- Gdzie już pędzisz?

- Na imprezę. Miałem nie iść. Ale myślę, że to okazja, jakiej nie powinienem zmarnować.

Jechałem do La Moraleja z drugim noworocznym postanowieniem i razem było ich już o dwa więcej niż w latach poprzednich. Zdecydowałem się nadać imię mojemu związkowi z Mónica, jakiegokolwiek by było, oraz ustanowić pewne granice lub ich brak. Czuję się bezbronny i spauperyzowany wobec tej nagłej potrzeby tworzenia archiwów i przyklejania im etykietek, czego powinienem był się wyrzec jako części mojego millenarystycznego i postmodernistycznego wychowania uczuciowego. Do diabła z postmodernizmem.

Atmosfera wielkiej fety ogarniała swoim zasięgiem ulicę, przy której mieszkali rodzice Moniki: zabiegani parkowacze samochodów wydychający strugi pary, niekończący się sznureczek luksusowych pojazdów pod czujnym nadzorem dwóch ochroniarzy opatulonych po same nosy,

kolorowe girlandy oświetlające cały teren, jakby miały tam lądować samoloty, i odległy, stłumiony pogłos ragtime'u zawieszony w szadzi. Dwóch korpulentnych odźwiernych w garniturach i krawatach pilnowało bramy wyglądającej tak, jakby była przyspawana z obu stron do muru. Jeden z odźwiernych rozmawiał z kimś przez uchylone okienko w żelaznej palisadzie. Drugi poprosił mnie o okazanie zaproszenia.

- Nie posiadam. Jestem przyjacielem rodziny.

- Przykro mi, ale bez zaproszenia nie może pan wejść.

- Proszę pana, czy mógłbym...? - W tym momencie rozpoznałem twarz mającą w otworze z drugiej strony furty. Był to Mateo, majordomus. - Mateo! To ja, Curro, przyjaciel Moniki! Czy byłby pan uprzejmy powiedzieć jej, że stoję przed bramą? Nie mam zaproszenia i nie chcą mnie wpuścić.

- Tak, proszę chwilkę zaczekać.

Kilka minut później w bramie uchylily się drzwi przejściowe. Z ciemności wyłoniła się postać okutana w futrzaną kurtkę z kapturem. Jej szczupłe nogi wyrastały z białych sandałów na wysokich obcasach krzeszących diamentowe iskry w zamglonym świetle lampionów. Skrywając oczy w głębokim cieniu, posłała mi uśmiech i zwróciła się do odźwiernych z naganą w głosie.

- Chłopaki, mówiłam wam przecież, że przyjdzie mój narzeczony bez zaproszenia. - Narzeczony? - Powinniście mnie byli zawiadomić.

- Przykro mi, panienko, ale kilku takich bez zaproszenia próbowało się już wkręcić. Byli wśród nich paparazzi. Wykonujemy tylko swoją pracę.

Mónica wzięła mnie za rękę. Ruszyłem za nią, przeskakując przez żelazny próg drzwi.

- Nie przejmuj się nimi. Jedzą mi z ręki.

- Kłopot w tym, że nie masz wystarczająco dużo rąk.

Zamknęła za mną pancerne podwoje, otuliła moją szyję jedwabistym futrem rękawów i zapieczętowała usta rozgrzanym woskiem swych warg. Poruszając ustami smażącymi się w czereśniowym oleju, spytałem:

- Jakaś zmiana w naszym stanie cywilnym, o której powinienem wiedzieć?

Pociągnęła mnie tylko za rękę i wymigała się od odpowiedzi.

- Cieszę się, że przyszedłeś. Ta impreza to istne nudy na pudy.
Chodź.

Dwa rzędy papierowych toreb ze świeczkami wbitymi w piasek wyznaczały szlak prowadzący do domu rozjarzonego radośnie światłem wszystkich okien. Poszliśmy przez ogród, okrążając front domu, do bocznych drzwi, przez które wchodziło się do kuchni. W środku miotał się znerwicowany tłumek kelnerów krążących w zapamiętaniu z tacami. Mónica przechwyciła jednego z nich biegnącego z kubelkiem do szampana i przed chwilą otwartą butelką.

- Pan wybaczy, ale rekwiruję zawartość tej tacy!

Wyrwała mu kubelek, chwyciła dwa kieliszki i przedefilowała przede mną w drodze powrotnej do ogrodu.

- Idziemy.

Ruszyłem za nią alejką schodzącą w dół, na sam koniec najniższej położonej części terenu, gdzie szklane sklepienie spoczywające na stalowej konstrukcji przykrywało ogrzewany basen. Łokciem popchnęła przesuwane drzwi szklanego pawilonu i weszła do środka. W parnym, zasnutym półmrokiem wnętrzu gładka tafla wody zlewała się z postrzępioną mgławicą. Mónica postawiła kubelek i kieliszki na skraju basenu i podbiegła na palcach do wejścia, żeby zamknąć za mną drzwi. Zamknęła zasuwkę i spojrzała na mnie z diabolicznym uśmiechem.

- Wpadłeś w moje szpony. - Udała, że wbija we mnie paznokcie.

- Tutaj nie będą nam przeszkadzać.

Zdjęła futrzaną kurtkę i położyła ją na stojącym obok leżaku.

- Zrzuć palto, bo się ugotujesz. Tutaj jest ponad trzydzieści stopni.

- Odwróciła się w moją stronę i rozpościerając ramiona, wykonała obrót na czubku podeszwy. - Podoba ci się?

Okrywała ją delikatna błona białej lamy rozszerzana na wysokości kolan, z dekoltem na plecach ciągnącym się do punktu kilometrowego, gdzie krzywizna zmienia kierunek i gdzie tracimy pomysłu. Długi, sięgający do połowy uda naszyjnik pereł pluskał się w błyszczących fałdach materiału. Miała przyglądzone włosy ulizane na czole w haczykowaty loczek wystający spod brukowanego cennymi kamykami toczka okolonego frędzelkami podrygującymi

przy każdym jej ruchu. Porażony tym zjawiskiem przeżulem kęs pary, usiłując zwerbalizować swoje osłupienie.

- Szczerze mówiąc, brak mi słów. To znaczy miałem je, ale utopiły mi się w ustach. To chyba przez tę wilgoć.

- Przebrałam się dzisiaj za beztróską *flapper*, żeby zgrać się ubiorem ze swoim sposobem bycia.

Usiadła na skraju basenu z podwiniętymi nogami i plasnęła dłonią w podłogę. Nie byłem pewien, czy nadążam w pełni za rozwojem wypadków, ale postanowiłem ulec wbrew własnej woli. Zdjąłem palto i marynarkę, rozluźniłem węzeł krawata i usiadłem obok niej, opierając stopy na kamiennej krawędzi. Mónica nalała szampana i wzniesiliśmy toast za nowy rok. Wyciągnęła nogi poza brzeg sukienki i zauważyłem wstęgę białej koronki wieńczącej siateczkę jej pończoch. Nie zdejmując sandałów, zanurzyła stopy w wodzie basenu.

- Ojejku, co za rozkosz! Jestem na nogach od szóstej wieczór.

- Pochyliła się do przodu i pomasowała podbicia stóp czubkami palców. Skóra jej pleców napięła się na łagodnie pofalowanym grzbiecie niknącym w materiale sukienki.

Między podzwrotnikowym *entourage* dekoracji i drętwymi frazesami w stylu gadek w windzie, jakimi posługiwała się Mónica, rysował się dramatyczny rozziw, co kazało mi się domyślać ukrytej za tym wszystkim, niezależnie od jej natury, oczywistej intencji. Założyłem wówczas, że temperatura powinna podskoczyć do czterdziestu stopni, abym mógł przystąpić do realizacji planu, który mnie tam zawiódł.

- Jak kolacja? Jak rodzinka?

- Wszystko dobrze, dziękuję. A ty?

- Wynudzona jak mops. Średnia wieku na tej balandze to pięć dziesiąt lat. Musiałam opędzać się od natrętów gaśnicą. Rano byłam u Frana, mówiłam ci?

- Nie. - Wzmogłem czujność. Rozmowa o byłym chłopaku nie była najbardziej ortodoksyjnym wprowadzeniem do intymnych zwierzeń. - Jakież zmiany?

- Tak, jest o wiele spokojniejszy. Zdał sobie sprawę, że status słynnego artysty przyciąga mnóstwo kociaków, co sprawia, że czuje się jak udzielny książę.

- No to jeden problem z głowy.
- A co słycać w kazamatach prasy? - Co za absurdalny mróz przez nika człowieka, kiedy zlewa się potem. Miałem wrażenie, że Mónica jest zdenerwowana, a to sprawiało, że stawała się bezbronna. Nie wiedziałem, dokąd nas to wszystko prowadzi, jednak brnąłem dalej.
- Stara bida. Celestino Posada wywinął mi kolejny numer w swoim wyszukany styl. Teraz dzwonią do mnie ludzie, którzy chcą wziąć udział w losowaniu encyklopedii.
- Poważnie? Jak to możliwe?
- Umieścił telefon redakcji na kartkach świątecznych wysyłanych do swoich klientów.
- A to cwaniak! I jak się pokapowałeś?
- Przypadkowo jeden redaktor ze sportowego jest klientem księ garni i dostał od nich świąteczne życzenia. Niejaki Nicolas Galio.
- Ach, Nik!
- Znasz go?
- Jasne, to sex-symbol gazety! Wszystkie panienki, stażystki i kobitki z kilkunastoletnim stażem szaleją na jego punkcie. W klubie fitness, do którego uczęszcza, podwoiły się zapisy klienteli płci żeńskiej. Wiem nawet o jednej babce, która w fitnessowej torbie nosi olejek do ciała, tak w razie czego, gdyby się jej trafiła jakaś sposobność. Damska ubikacja jest niewyczerpanym źródłem informacji. Szkoda, że nie można ich opublikować. Przynajmniej w naszej gazecie.
- A ty? -Co ja?
- Tobie też się podoba?
- Powiedziałam, panienki. Ja to mój ojciec w atrakcyjniejszym opakowaniu. Wiesz przecież, że obecnie jesteś niemal jedyną istotą ludzką, jaka mnie interesuje. Przypadkowo jesteś mężczyzną.
- Właśnie o tym chciałem z tobą rozmawiać.
- Mów.
- Mónica, co ja tutaj robię?
- Sam to powinieneś wiedzieć najlepiej. Nikt cię tu na siłę nie ciągnął.
- Mam na myśli tutaj, sami, ty, ja i wdówka Clicquot, na brzegu

twojego basenu, w temperaturze trzydziestu stopni, z zaryglowanymi drzwiami, zgaszonymi światłami, zaparowanymi szybami i twoimi udami wymykającymi się z sukienki, w jedynym miejscu przekłętej, kastylijskiej mesety, w którym jest dość wilgoci, żeby ten skrawek materiału zdołał zapakować próżniowo twoje boskie ciało. Sądzę, że przydałoby się nam trochę... terminologii.

- Czego?

- Chciałbym wiedzieć z dokładnością trzech miejsc po przecinku, jaką rolę wyznaczyłaś mi w swoim przedstawieniu.

- Wiesz, masz rację co do jednego - powiedziała, przyglądając się równocześnie lamie, która przyłgnęła kurczowo do jej piersi. - Jest tu stanowczo za gorąco, żeby prażyć się w ubraniach. Zwłaszcza mając do dyspozycji ten cudowny basen.

Wyciągnęła stopy z wody i wstała, prostując gładkie nogi schwy-tane w sieć białej nitki, pod namiotem mokrej lamy wydymającej się pod ruchami jej ciała. Za pomocą kciuków zsunęła z ramion paski ramiączek i sukienka zwolniła naprężenie piersi, lecz zamiast runąć w dół jak opuszczony żagiel, drapowała się powoli w warstwy ukośnych fal modelujących po drodze porcelanową architekturę jej ciała, by w końcu opaść niczym łupina błyszczącej tkaniny, okalając kostki i całując palce jej stóp. Powyżej pończoch nagość zakłócała jedynie lekka mgiełka białego muślinu, który kiełkował wilgotną i przezroczystą łatką pod pępkiem i piał się ku przełęczy między talią i biodrami, aby utonąć w glazurowanych kropelkami potu pośladkach trójkątem zdobnym w owalną perłę. Przykucnęła, wspierając się na dłoniach, nadziewając stosem pacierzowym serce bioder obramowanych muślinem i skoczyła do basenu, rozbijając tafle wody obcasami. Gdy wychyłała na powierzchnię, spod brukowanego cennymi kamkami toczka włosy rozlewały się jej na ramiona i piersi.

- Chyba niezbyt wygodnie chodzi się pod wodą na tych obcasach.

- Nie przyszło mi do głowy nic bardziej idiotycznego ani nic bardziej rzeczywistego. Straciłem zdolność rozumowania. Widziałem już, jak rzucam się na osłep, by wstrzyknąć sobie do krwi nową dozę ciała Moniki, narkotyku, z którym powinienem wziąć rozbrat dla dobra zdrowia psychicznego.

- Ale bardziej sexy. Wskakuj do wody.
- Wcześniej chciałbym wrócić do ostatniego wątku rozmowy.
- O tym później. - Zbliżyła się do brzegu i pociągnęła mnie za nogi, nim zdążyłem zareagować. Pogrążyłem się w wodzie w kompletnym odzieniu.

Jeszcze zanim wychynałem na powierzchnię dla nabrania oddechu, zatopiłem wargi w gorącej wodzie wypełniającej jej usta, chłepcząc basen ze źródeł jej ciała, z których bił słodki i zawieszisty eliksir. Pompowana na łeb, na szyję krew pędziła zasysana zachłannie jej ustami, a moje ubranie zetknawszy się z jej dłońmi, wypłynęło na powierzchnię pomiędzy szafranowymi paznokciami. W ciasnej, stalowej niewoli jej nóg, dźgany czule ostrogami obcasów w tumanach pary emanującej z naszego spalania kołysałem się wraz z nią w rytm kipiących, rozbijających się o brzeg fal, i w tym słodkim przyptywie i odpływie smarującym nasze tarcie zapomnieliśmy Obozym świecie, ona zawieszona na paznokciach wbitych w moje plecy, opierając się na jednej z moich dłoni i oplatając mnie na wysokości bioder nogami, podczas gdy moja druga dłoń splatała się z jej dłonią wokół sekretnej wklęsłości w poszukiwaniu żywego mięsa między jej udami, aż w końcu wgryzła mi się zajadle w ścięgno barku. Jej twarde, naprężone ciało skreśliło się gwałtownie na sekundę przed tym, nim rozlało się na mnie gorącą lawiną mięszu i soków gotowanych na wolnym ogniu systemu grzewczego.

Wciąż jeszcze trwaliśmy w uścisku, gdy postanowiłem rozstrzygnąć wątpliwość zatruwającą moją wiarę - czy należało doszukiwać się w tym wszystkim jakiejś ukrytej intencji. Wybadałem teren, oddając salwę w powietrze.

- To już nie jest jednostkowy fenomen?

Wciąż jeszcze dysząc, z głową złożoną na moim ramieniu zawałała się przez kilka sekund, zanim sformułowała odpowiedź.

- Dzisiaj jest inaczej. Chciałam sprokurować sobie wspomnienie. To wspomnienie.

- Wspomnienie?
- Aby zabrać je z sobą, kiedy się rozstaniemy.
- Jeśli masz na myśli moją podróż do Kenii, to mamy jeszcze trochę czasu.

Oderwała głowę od mojego ramienia i popatrzyła mi prosto w oczy.

- To nie ty wyjeżdżasz. To ja.
- Słucham?

Ponownie złożyła głowę na ramieniu, tym razem jednak odwróciła twarz w przeciwną stronę, żeby na mnie nie patrzeć albo żebym ja nie mógł jej widzieć.

- Po powrocie z Gstaad nie wracam już do gazety. Jadę do Nowego Jorku na studia podyplomowe. Będę chłonać wiedzę na Uniwersytecie Columbia i pracować jednocześnie w „New York Timesie”. Mają tam taki program, który nazywa się jakoś tak: „Studia podyplomowe dla Młodych Dziedziczek Imperiów Medialnych, za które ich Starzy Zabulą nam Ciężką Kasę”.

Mówiła zmęczonym głosem, mój zaś ledwie dało się słyszeć.

- Na jak długo?
- Zależy od kompatybilności studiów z pracą w gazecie. Rok... dwa.

W jednej sekundzie, jakby z kurka pociekł ciekły azot, zamieniłem się w sopel lodu. W gardle zakleszczył mi się wielki węzeł, jakbym połknął wielkie jabłko z wyspą Manhattan włącznie. Wyślizgnąłem się z jej ramion i wyłowilem części swojej garderoby pływającej dokoła. Odbiłem się od dna, aby wyleźć na brzeg basenu i usiadłem z głową między kolanami. Mónica zbliżyła się do mnie, zanurzyła jedną rękę, potem drugą, żeby ściągnąć szpilki, zdjęła biżuterię, bieliznę i wyrzuciła to wszystko na brzeg. Potem usiadła naga obok i mnie objęła.

- Chciałam, abyś ty również tego nie zapomniał. Tego dzisiaj, tego tutaj. Ty i ja.

- A czym jesteśmy ty i ja?
- Wiesz, że nigdy cię nie okłamałam ani nie składałam pustych obietnic.
- I co się stanie, gdy wrócisz?
- Będę twoją szefową.
- Mam to gdzieś. Nie o tym mówię.
- Czego chcesz? Zapraszać mnie do kina? Przyjeżdżać po mnie do domu i odstawiać mnie o dziesiątej? Selekcjonować mi przyjaciół-

ki? Kupować mi sukienki do kostek i seksowną bieliznę? Zachwycać się pieczeniem mojej matki w wigilię Bożego Narodzenia? Wszystko to już przerabiali inni osobnicy, których imion nie potrafiłabym odtworzyć w pamięci. Możesz nie wierzyć, ale dostałeś ode mnie O wiele więcej niż wszyscy oni razem wzięci.

- Dałaś mi to, czego oni u ciebie nie akceptowali.

- I dlatego słuch o nich zaginał. To, co posiadamy ty i ja, jest niezniszczalne, pod warunkiem że nie będziesz próbował nałożyć mi obroży i smyczy. Tym bardziej przez ocean.

- Nie jestem jak ty, Mónica. Jesteś dla mnie zbyt skomplikowana. Oswobodziłem się z jej objęć, wstałem i zacząłem się ubierać. Patrzyła na mnie jak ktoś, kto obserwuje nadejście fatalnego I nieuchronnego zdarzenia, katastrofy zdeterminowanej niewzruszonym prawem fizyki.

- Nie zakładaj tego mokrego ubrania. Dostaniesz zapalenia płuc. Mamy tutaj interkom. Zadzwoń, żeby ktoś z obsługi przyniósł jakieś ubranie ojca.

- Nie mam zamiaru zachwycać się pieczeniem twojej matki w noc wigilijną ani wkładać ubrania twojego ojca w noc sylwestrową.

Pomyślałem, że jestem o krok od wykucia kamienia milowego w naszej małej, prywatnej historii, czegoś bezpowrotnego i nieodwołalnego. Na zasadzie znanego prawa fizyki Mónica i ja przyciągaliśmy się jak ładunki o przeciwnych znakach, ale w często przytaczanym stereotypie zapomina się zwykle o tym, że ładunki o przeciwnych znakach nigdy się nie łączą, lecz krążą wiecznie jeden wokół drugiego, a ja zmęczyłem się już krążeniem po tej równoległej i jałowej orbicie. Nie mówiąc ani słowa więcej, otworzyłem przesuwane drzwi i wyszedłem z pawilonu. Pnąc się pod górę ku bramie, odwróciłem głowę, usiłując coś dojrzeć pośród cieni przesłoniętych parą uczepioną szyb dachu. Zdawało mi się, że rozróżniam zaledwie świetlistą obwódkę słabego lśnienia obrysowującego kontury jej pięknej postaci nieruchomej na krawędzi basenu i coraz bardziej odległej.

Pomaszerowałem dziarsko w dół ulicy, aby dokonać aktu oczyszczenia smutku w mroźnym powietrzu nocy. Miałem kiedyś przyjaciela, który twierdził, że nic tak nie czyni mężczyzny bardziej

godnym ubolewania niż sytuacja, w której ląduję na ulicy w zimowy poranek w mokrych gatkach. Niemal żałowałem, że nie zgodziłem się przyjąć suchego ubrania zaproponowanego mi przez Monicę. Lecz mój przyjaciel nie mógł sobie z pewnością wyobrazić - z racji absurdalności takiej perspektywy - jakże godnym ubolewania byłoby wylądować na ulicy w zimowy poranek w suchych gaciach kogoś, kto pocałował kobietę, z którą dane ci było właśnie przeżyć najbardziej erotyczne doświadczenie twojego życia i której być może już nigdy więcej nie zobaczysz, nie zapominając o charakterystycznym się wątpliwą pikanterią dodatkowym fakcie, że właściciel tych gaci jest prócz tego twoim szefem i wydawcą jednej z największych gazet w kraju. Mimo czekającej mnie niechybnie grypy gigant skulony, w mokrych gaciach, niemal uśmiechnąłem się na tę myśl i już sama możliwość uśmiechnięcia się wzbudziła mój uśmiech. Pomimo gorczy było mnie jeszcze na to stać. Nastał nowy rok.

Istoty z przeszłości

W długie zimowe wieczory u podnóża góry Abantos matka opowiadała mi o tamtych wieczorach sprzed lat, kiedy kosztowała świeżego powietrza spływającego szczybatym nurtem z Canto del Pico, słuchając babki Uke potrzęsającej drzewem pamięci. Moja znajomość stenografii była elementarna i matka pomogła mi dokonać transkrypcji, wzbogacając narrację nieobecnyymi w notatkach, a skrywającymi się w jej wspomnieniach szczegółami, wplatając w opowieść kontekst swych pogawędek z Uke: mówiła, czy tego a tego dnia babka była w świetnym humorze, melancholijna, czy nie miała ochoty na wspominki. Z wolna notatki te wydestylowały się w plik stronic, na których nieznana mi młoda Uke wracała do życia. Dowiedziałem się o losach jej ojca, o fiasku jego kariery lekarskiej, malarstwie i katastrofalnych interesach, o jej spizowej siostrze Victorii, błyskotliwym przyjacielu Delseyu i jego efemerycznym kochanku, z powodu którego omal nie popełnił samobójstwa, o ucieczce do Francji i Austrii, o przyjaźni z rodziną Molnar. I o Hamishu.

To, co Uke wyjawiała na temat Szkota i ich związku, było nad wyraz skąpą informacją niedającą odpowiedzi na żadne z moich pytań i nierzucającą dostatecznego światła na jego życie przed i po tamtych, spędzonych razem letnich miesiącach roku 1931. Udało mi się wyodrębnić zaledwie dwie nitki, których śladem postanowiłem pójść, dwie geograficzne nazwy: Dunrobin, siedziba rodziny Sutherland oraz Voisins--les-Bretonneaux, szlachecką rezydencję Delseya. Stwierdziłem też, że aby zbliżyć się do Hamisha z roku 1931, powinienem zapomnieć

Opoznanym przez siebie dziadku oraz że z analizy przebiegu ówczesnych zdarzeń można wyciągnąć jeden tylko wniosek: Hamish miał bardzo konkretne plany na przyszłość, kiedy jego przyjaźń z Delseym i sprzedaż kilku obrazów sprawiły, że czasowo zawinął do przystani w Torrelodones i - pozostawiając na boku sprawę ciąży, o której być może nie wiedział - jest oczywiste, że jego romans z Uke nie pokrzyżował mu szyków. W świetle powyższego ryzykowne byłoby na tym etapie odrzucenie tezy, że - jak zawsze uważał ojciec - Szkot był wówczas zwykłym birbantem, który umiał zaciągnąć do łóżka prowincjonalne i kochliwe młódki napotkane na szlaku wiodącym go do Afryki.

Wobec mojego rozczarowania mizernym plonem nowych śladów matka zasugerowała, abym odwiedził Lux Domini, zanim dojdzie do formalnej sprzedaży. Z wyjątkiem krótkiej wizyty ojca, który pojechał tam tylko po to, aby przekazać klucze pracownikowi agencji nieruchomości, nikt z rodziny nie wszedł w te mury, odkąd opuściliśmy dom po śmierci babki. Pomimo ogólnego stanu ruiny i możliwych zewnętrznych aktów wandalizmu drzwi i okna zaślepione były żelaznymi płytami i być może w którymś z zakątków poniewierała się jeszcze jakaś zapomniana pamiątka, która mogłaby nadać nowy impuls moim poszukiwaniom. Nie śpieszyłem się jednak z odwiedzinami. Zważywszy, iż nie mogłem zrobić nic, aby zapobiec sprzedaży, obawiałem się, że wizyta może we mnie poruszyć uczucia, których lepiej było nie budzić z głębokiego snu.

Wróciwszy z Gstaad i przed wyjazdem do Nowego Jorku, Mónica nie dała znaku życia. Ja też nie próbowałem się z nią kontaktować. Rozumiało się samo przez się, że moja postawa dojrzała do oferty z etykietą wyprzedaży, na której widniała ostateczna cena i że kolejny ruch znajdował się po jej stronie planszy. Wiedziała, gdzie mnie szukać. I znalazła. Kilka tygodni później, któregoś ranka, ujrzałem na redakcyjnym biurku białą kartkę. Odwróciwszy ją, stwierdziłem, że był to zagadkowy, anonimowy faks wysłany na moje nazwisko. Znajdował się na nim odręcznie napisany numer telefonu lub faksu z zakreślonym w kółeczku, nad słowem PRYWATNE, numerem kierunkowym Stanów Zjednoczonych. Poniżej rozmyślnie tajemniczo nadawca zamieścił ksero okładki książki „Flappers and Philosophers” Francisa Scotta Fitzgeralda i na dole strony jeszcze coś, fragment

dobrze mi znanego przedmiotu: trzy zbiegające się tasiemki tworzące trójkąt zdobny w owalną perłę. Jeden z wierzchołków trójkąta z perłą emanował ręcznie dorysowanymi kreskami mającymi symbolizować promienie, wokół trójkąta zaś skreślono dwa zdania w okręgu:

ANNUIT COEPTIS
NOVUS ORDO SAECULORUM

Złożenie kolażowego podpisu z wykorzystaniem rewersu intymnej bielizny, którą miała na sobie tamtej zmysłowej, sylwestrowej nocy, i dokonanie tego za pomocą parodii piramidy zakonu *Illuminati* z Wielkiej Pieczęci Stanów Zjednoczonych znajdującej się na odwrocie banknotu jednodolarowego... było nieomal dziełem sztuki świadczącym o niezwyklej, prowokacyjnej błyskotliwości Moniki, geniusza zakamuflowanego pod przebraniem rozpieszczonej dziewczynki. Z drugiej strony rebus budził moją wątpliwość. W tłumaczeniu napis znaczył tyle, co „(Bóg) spojrział życzliwie na nasze przedsięwzięcie. Nowy porządek wieków”. Czy te dwa zdania stanowiły bezpośrednie nawiązanie do naszego związku, czy nie, wiedziała tylko ona, ale byłem niezbitnie przekonany, że słowa te nie wysnęły się jej przypadkiem. Chciała mi zabić ćwieka, żebym się gryzł, łamiąc sobie głowę nad znaczeniem przesłania, co było częścią jej gry. Faks wisiał w domu na ścianie obok komputera przez wiele dni, aż w końcu dojrzało we mnie postanowienie, by odpowiedzieć na numer zapisany na kartce. Wykonałem kolaż zwrotny, na który składało się zdjęcie basenu, garnituru i termometru lekarskiego wskazującego temperaturę 39 stopni. Poniżej zamieściłem powiększony fragment manuskryptu króla znajdujący się na banknocie pięciu tysięcy peset, podkreślając fragmenty mające stanowić przekaz:

„Zarówno Korona, jaki i pozostałe organy Państwa uznają wszystkie aspiracje za uprawnione”*

Fragment przemówienia wygłoszonego przez króla Jana Karola I na inauguracji pierwszej kadencji wybranych demokratycznie w wyborach powszechnych Korteżów, hiszpańskiego parlamentu. Powyższy cytat znajdował się na banknocie pięciu tysięcy peset (przyp. tłum.).

Ponieważ była sprytniejsza ode mnie i na dodatek musiała należeć do tej nielicznej grupy istot ludzkich, które zadały sobie trud odczytania treści inskrypcji zamieszczonej na pięciotysięcznym banknocie, odpowiedziała mi nową stroniczką, na której napisała wielkimi literami, nie szcędząc miejsca, na odcisniętej w tle pieczęci karminowych ust, resztę cytatu opatrzonego znakiem zapytania:

I WSZYSTKIE WINNY
DLA DOBRA OGÓŁU
PODLEGAĆ WZAJEMNYM OGRANICZENIOM?*

Na miejsce Moniki posadzili obok mnie faceta albo raczej pece-
ta, stażystę z ostatniego roku studiów, jednego z tych dziwolągów z wydziału dziennikarstwa z wypisaną na czole informacją, że wiedzą doskonale, kto to jest Kapuściński, a nawet go czytali. Nie zakolegowaliśmy się, co składałam po części na karb mojej znikomej skłonności do kolegowania się. Zawarłem natomiast coś w rodzaju przyjaźni z Nicolasem Galio, redaktorem z działu sportowego, który zdradził mi chytry fortel Celestina Posady zmierzający do sparaliżowania mojej linii absurdalnymi telefonami. Co się tyczy przekłetej promocji encyklopedii, oficjalnie dobiegła końca, lecz na moje nieszczęście świąteczna kartka księgarni Posady musiała zapewne przedzierzgnąć się na zasadzie recyklingu w wizytówkę, którą ludzie przechowywali dla danych kontaktowych i raptem numer mojego telefonu w gazecie stał się omyłkowym numerem sklepu mięsnego Sanzot z komiksów z Tintinem.

Matka poinformowała mnie o nie najlepszym samopoczuciu ciotecznej babki Victorii, która przekroczyła już osiemdziesiątkę. Obawiając się, że stan jej zdrowia może uniemożliwić mi wkrótce przeprowadzenie z nią rozmowy, postanowiłem przyspieszyć swoją wizytę w jej domu w Getxo. Stosunki z odnogą rodziny w Bilbao były niemal zerowe i nasze spotkania zredukowały się do trzech, może czterech okazji, kiedy to siostra babki onieśmie-

Ibidem. W oryginalnym tekście zdanie to nie jest zdaniem pytającym (przyp. tłum.).

łała mnie swoją surową, czarną, sztywną sylwetką i kłującym jak igła wzrokiem. Zapamiętałem ją wspartą na lasce i ukoronowaną nieustającym wyrazem dezaprobaty pod turnią koku rzeźbionego w srebrze. Zadzwoiłem do niej pewnego marcowego dnia, wyjaśniając, że chciałbym ją odwiedzić i poprosić o garść wspomnień z jej młodzięcych lat w Torrelodones. Wołałem przemilczeć szczegóły z obawy przed nieprzychylną reakcją na dźwięk imienia Hamish. Jej odpowiedź była o wiele bardziej serdeczna i entuzjastyczna, niż się spodziewałem. Zaprosiła mnie do siebie na kilka dni, wymówiłem się jednak, zasłaniając pracą w gazecie. Postanowiłem polecieć rano i wrócić po południu tego samego dnia.

Słyszałem pogłoski o zamożności krewnych z Bilbao, lecz sądziłem, że to tylko legenda stworzona przez zubożałych, madryckich Mencia. Victoria uprzedziła, że z lotniska odbierze mnie samochód. Spodziewałem się, że będzie to taksówka, ale zamiast niej ujrzałem szofera w liberii, który zaprosił mnie na tylną kanapę mercedesa zmontowanego z większej ilości blachy niż most wiszący nad ujściem rzeki. Przejazdka zakończyła swój bieg w jednej z najbardziej ekskluzywnych rezydencji Neguri, masywnej, starej, trzypiętrowej willi z poddaszem przytłoczonej ołowianą emulsją późnozimowego nieba. W drzwiach przywitała mnie kobieta w uniformie złożonym z czepka i fartuszka z koronkową falbanką. Rozpoznała mnie natychmiast z dni poprzedzających śmierć babki Uke, gdy Victoria wylądowała ze swoim orszakiem w Lux Domini. Powoli machina drążąca korytarze pamięci przebiła się przez pokład, w którym znajdowało się to skamieniałe wspomnienie - Mariluz, dziewczyna z Asturii, która gotowała przepyszną fabadę i której omal nie wykończyliśmy biegiem po korytarzach w tempie, jakie wytrzymał jedynie niezmordowany Vicente. Poznana wówczas dziewczyna była teraz dojrzałą kobietą, a chłopczyk, którego знаła ona, mężczyzną. Wypytała o rodzinę, zdziwiła się, że tak bardzo urosłem, i poprowadziła mnie mrocznym holem w stronę wielkich drzwi prowadzących do biblioteki, gdzie cioteczna babka podejmowała gości.

Wszedłem do środka z pewnym niepokojem, że oto stanę zaraz, jak mniemałem, przed szorstką i nieprzystępną osobą i po plecach przebiegł mi dreszcz, który nie był li tylko dreszczem metaforycz-

nym. Temperatura w bibliotece była co najmniej o pięć stopni niższa niż ta w holu i nawet radosny walc „Zemsta nietoperza” Straussa dobiegający z głębi nie był w stanie ocieplić lodowatej atmosfery. Przemknęło mi przez myśl, że być może cioteczna babka konserwowała się w tym mroźnym mikroklimacie wzorem postaci z opowiadania Lovecrafta i kiedy spojrzałem na kasetonowy sufit, z którego dobiegały rozproszone i płochliwe piski, przypomniała mi się historia o szczurach w ścianach. Na środku sali znajdował się masywny, mahoniowy stół wcielający się w rolę cokołu rzeźby z brązu przypominającej swoim stylem dzieła Chillidy*. Ściany wyłożone były aż po sufit skórzanymi grzbietami, a pojawiające się tu i ówdzie prześwity przykrywały łaty obrazów, większość reprezentująca malarstwo klasycystyczne. Jeden z nich przyciągnął moją uwagę.

- Modigliani. - Głos oderwał się od ściany, na której znajdowało się wielkie okno chłonna jasność dziennego światła. Za biurkiem dostrzegłem zarysy postaci ciotki siedzącej tyłem do okna. - To bodajże najbardziej współczesny eksponat w moim domu obok tego brązu Eduarda, skądinąd niecodziennego tworzywa w jego twórczości. Moje wnuki nalegają, abym kupiła komputer, ja jednak nie mam zamiaru dzielić tego domu z maszyną inteligentniejszą ode mnie. Gdyby taki był zamiar Boga, nie sfabrykowałby kobiety z żebra Adama, lecz z kości jednej z tych machin, nie sądzisz? Ale wejdź, kuzynie kochany, wejdź i siadaj. Niech ci się przyjrzę, co ja widzę, przecież z ciebie zrobił się już młodzieniec na schwał! Ile ty już masz lat? - Nie podnosząc się zza biurka, wyciągnęła w moją stronę dłoń.

- Dwadzieścia cztery, ciociu. Minęło już sporo czasu. - Okrążyłem biurko, żeby pocałować jej rękę. Pod kokiem z kości słoniowej, mieniającym się pod światło kolorem indygo niczym chitynowy pancerz żuka, postarzałe rysy jej twarzy nie utraciły kamiennej i śledczej apodyktyczności, która onieśmielała, gdy patrzyło się w jej małe, przenikliwe oczy. Jeśli z upływem lat charakter Victorii złagodniał, co mogło sugerować serdeczne przyjęcie, trudno to było jednak

Eduardo Chillida Juantegui (1924-2002) - baskijski rzeźbiarz (przyp. tłum.).

odczytać z jej twarzy niezdolnej do rozluźnienia owego stężenia i zademonstrowania chociażby przymiarki uśmiechu. Jej dłonie okrywały rękawiczki z czarnego jedwabiu, szyję zaś otulała czarna apaszka spięta olbrzymią broszą. Leżało przed nią kilka rozłożonych gazet, dzieło Sor Juany Ines de la Cruz i sterta korespondencji. Spozregłem, że siedzi w wózku inwalidzkim. Zauważyła moje zdumienie.

- O nie, nie jestem jeszcze inwalidką! Kiedy wychodzę, choć, przyznaję, zdarza się to coraz rzadziej, potrafię jeszcze stanąć o własnych siłach, wspierając się na lasce. Ale ten dom stał się już za wielki dla moich słabych nóg i zważywszy, że większość czasu spędzam w pozycji siedzącej, praktyczniej jest używać tego fotela. Mariluz i Elpidia zawiozą mnie wszędzie, gdzie mi potrzeba. Moje dzieci chcą, abym przeprowadziła się do mniejszego domu, do jednego z tych miniaturowych pudełek, w których mieszkają dzisiaj młodzi z Neguri. Nie można zaprzeczyć, że miałabym wówczas wszystko pod ręką, ale nie mogłabym za to używać tego wózka, nie zawadzając bez przerwy o ściany i meble. Już nie buduje się takich domów, jak ten. Tak, tak, obecne domy są jak ubrania. Kiedyś były obszerne i kobiety nigdy nie mogły wypełnić ich całkowicie, teraz zaś wszystko coraz bardziej przylega do ciała i młodym pozostaje tak mało wolnej przestrzeni między ścianą i ubraniem, jak między ubraniem i skórą. Powiedz mi, wciąż jeszcze mieszkacie w Lux Domini? - Ruchem dłoni pokazała mi, bym usiadł po drugiej stronie biurka.

Zrozumiałem wówczas, że ciotka nie miała pewnie zbyt wielu okazji do rozmowy i że osiągnęła już wiek i pozycję, kiedy słuchanie własnego głosu w obecności uprzejmej publiczności należy do nielicznych przyjemności, jakie jeszcze toleruje ciało i jakie zdolają przesączyć się przez gęste sito lekarskich zaleceń. Pomyślałem, że najwygodniejszym i najmniej konfliktowym sposobem uzyskania interesującej mnie informacji będzie po prostu słuchanie.

- Nie, opuściliśmy dom wkrótce po śmierci babci. Teraz rodzice chcą go sprzedać.

- Sprzedać? Czy ja dobrze słyszę! Widzę, że popełniłam błąd, wyrzekając się swojej części własności. Takich domów już się teraz

nie buduje, o nie. Do czego to wszystko doprowadzi... Nic już nie jest takie, jak było. Popatrz na te ulice, na tych ludzi. Nie, nic już nie jest takie, jak było. Kiedyś bycie Baskiem stanowiło gwarancję klasy, szlachetności, dostojności, powagi. Szkoda, że nie poznałeś swojego wuja. Był człowiekiem wielkiego formatu, jakich dzisiaj już się nie spotyka. Nie, nie. Teraz ulice pełne są tych... łachmytów, którym się ubzdurało, że mają prawo mówić nam, co mamy robić. Widziane to rzeczy? Mogli się kształcić, bo ja dałam pracę ich dziadkom, ich ojcom. A teraz? Teraz te szumowiny, ci barbarzyńcy chcą nam wszystko zabrać. Niedoczekanie ich! - Potrząsnęła w powietrzu laską, którą wieńczyła srebrna rękojeść w kształcie głowy kaczki. - Prędeż połknę rączkę tej laski, niż dam złamany grosz tym nikczemnym zbirom. Mają czelność grozić mi... spójrz tylko. - Otworzyła kasetkę stojącą na biurku i wyjęła z niej kopertę. Podała mi ją i osłupiałem, bo był to list ze znaczkiem ETA, która żądała od ciotki zapłaty dużej sumy pieniędzy, grożąc jej atakiem na jej własność i osobę.

- Ciociu, to bardzo poważna sprawa. Zawiadomiłaś policję?

- Policja? Jaka policja? Policja jest z nimi w zмовie. Nie, nie, nigdy nie potrzebowałam nikogo, żeby mnie chronił. Dopóki w tym domu ostanie się jedna choćby osoba z klasą rodziny Leaniz i odwagą rodziny Mencia, nie zdołają zabrać mi tego domu, jeśli nie wyniosą mnie z niego nogami do przodu. Umiem bronić się sama. Czy ty wiesz, jak ja musiałam walczyć, żeby uratować rodzinę? Mój ojciec i moja siostra, niech Bóg ma ich w swojej opiece, to były święte osoby, lecz jakże lekkomyślne i beztroskie. Gdybym nie trzymała nad nimi pieczy, nie wiem, jak by skończyli. Ojciec zrujnowany, a siostra pozbawiona czci, obarczona grzechem i dzieckiem łajdaka, który wziął nogi za pas. Co za nieszczęście dla rodziny.

Było mi bardzo na rękę, że o tym wspomniała, postanowiłem więc zepchnąć rozmowę na ten tor.

- Znam tę historię, ale... nie sądzisz, że babcia i Szkot się kochali?

- Kochali? O tak, moja nieszczęsna siostra zwariowała na punkcie tego kuglarza. Twoja babka była najcudowniejszą istotą, jaką Bóg zesłał na ziemię, bezbronnym ptaszkiem, czekającym tylko na kogoś, kto zarzuci jej pętlę na szyję. Przez całą naszą młodość chroniałam

ją przed natrętami, którzy nie byli jej godni, a i ona na szczęście nie wykazywała zbytniego zainteresowania mężczyznami. Chciałam dla niej znaleźć dobrą partię, lecz gdy sama wyszłam za mąż, straciłam nad nią kontrolę i wtedy pojawił się ten Szkot, a ona rozpuściła się jak kostka cukru w kawie. Arogancki obieżyświat, bandyta i kobieciarz, oto kim był. Miał do ukrycia wiele brudnych spraw i między tymi brudnymi sprawami była inna kobieta.

- Jak to? Inna kobieta?

- Tak, tak, inna kobieta. Dowiedziałam się o tym całkiem przy padkowo. Było to w antrakcie pewnego koncertu, podczas którego niespodzianie natknęliśmy się na siebie. Twoja babka musiała być w tamtym momencie w toalecie. Ujrzałam Szkota rozprawiającego ze swoim przyjacielem, tym kochającym inaczej francuskim baronem, i podeszłam do nich, żeby się przywitać, z czystej grzeczności, bo człowiek ten nigdy mi się nie podobał. Skierowałam się w ich stronę i nim jeszcze dostrzegli moją obecność, usłyszałam, jak ten Francuz go pyta: „Nie widzisz, że Uke zakochana jest w tobie po uszy? Gdy przyjdzie czas, którą z nich wybierzesz?”. Wtedy mnie zauważyli i umilkli. Nigdy nie powiedziałam o tym siostrze, ale przeprowadziłam śledztwo na własną rękę. Jako że mój mąż inwestował w Anglii, poinformowaliśmy nasze towarzystwo ubezpieczeniowe w Londynie, że chcemy robić z tym człowiekiem interesy, i prześwietlono jego przeszłość. Wynik był taki, jakiego można się było spodziewać. Nie posiadał żadnych nieruchomości czy jakiegokolwiek własności, z wyjątkiem ruin jakiegoś starego kasztelu znajdujących się na nieproduktywnej, bezwartościowej działce na północy Szkocji. Był bankrutem. Wyprzedawał więc stopniowo skromną kolekcję sztuki odziedziczoną po rodzicach, aby móc opłacić swoją próżniaczą egzystencję, ale w końcu do spieniężenia nie został mu już nawet znaczek pocztowy. Ale to jeszcze nie wszystko. Należąca do niego działka była jego rodzinną posiadłością. Domostwo strawił ogień, gdy był młodym chłopakiem. W owym czasie skończył właśnie szkołę średnią i wracał na wakacje do domu rodziców, aby wkrótce potem rozpocząć studia uniwersyteckie. Kiedy jednak dotarł do rodzinnej siedziby, czekała go straszliwa nowina -jego rodzice spłonęli żywcem w pożarze, który zniszczył rezydencję. Policyjne

śledztwo zamknęła konkluzja, że ogień wybuchł przypadkowo lecz wówczas pewien oberzysta z pobliskiej miejscowości! zawiadomił Tadze że ów młodzieniec gościł w jego domu w tragiczną noc. To znaczy że był tam, kiedy wydarzyło się nieszczęście, i me spędził nocy w domu rodziców, bo inaczej zginąłby wraz z mmi ale spał w pobliskim zajeździe. Podejrzane, nieprawdaż? Policja była tego Ornego zdania. Przesłuchano go, nigdy jednak me zdołano znaleźć żadnego przekonującego dowodu stwierdzającego kategorycznie, że miał z pożarem coś wspólnego. Mimo to okoliczni mieszkańcy za^ze mieli niezbitą pewność, że to on podłożył ogień i doprowadził do śmierci własnych rodziców.

_ Ale jakie motywy mogłyby go skłonić do popełnienia takiej

Poważne niesnaski rodzinne. Jego ojciec pochodził z arystokratycznej rodziny, jednak nie miał ani tytułów, ani majątku, z wyjątkiem kolekcji sztuki otrzymanej w spadku. Pragnął, aby jego syn zainwestował w swoją przyszłość i studiował na uniwersytecie jednakże młody narwaniec zdawał się mieć inne plany. Chciał zobaczyć świat, mówił. Po śmierci rodziców odziedziczył reszkę obrazów ocalałą z pożaru, wstąpił na uniwersytet, przeczekał kilka miesięcy aż sprawa przycichnie, i porzucił studia. I co wówczas zrobił? Zabrał się do realizacji swoich marzeń, do oglądania świata. Masz jeszcze jakieś wątpliwości?

Bylem zdezorientowany i przez chwilę nie wiedziałem, jak zareagować. Cioteczna babka mogła być osobą o legendarnej surowości i braku tolerancji, jednak nigdy nie odznaczała się bujną wyobraźnią, a zatem nie można było wykluczyć, że w tej historii tkwiło ziarno prawdy.

_ To straszne. Aż trudno w to uwierzyć. I mimo to miałaś nadzieję że Uke poślubi takiego człowieka?

_ Nie inaczej! Mógł być okrutnikiem, ale był ojcem jej dziecka. Każdy człowiek musi odkupić swoje grzechy, odbywając pokutę. Poza tym nie byłoby to wcale takie straszne. Małżeństwo w istocie rzeczy nie jest niczym innym jak towarzyskim kontraktem zawartym w obliczu Boga. Przykazania naszego Pana mówią o przyzwoitości, wierności i odpowiedzialności, nie zaś o romantycznej

miłości czy lubieżnych pokusach. Kto szuka tego ostatniego, niech będzie gotów ponieść konsekwencje. Ja miałam szczęście spotkać wyjątkowego człowieka, ale nawet w takich okolicznościach nie zezwoliłam, aby jego cielesne żądze uwłaczały szacunkowi, jaki należy być okazywać małżonce. Przykro mi to mówić o zmarłej siostrze, lecz w relacji z tym człowiekiem Uke nie zachowała się tak, jak przystało kobiecie o jej kulturze i pozycji społecznej. Wybacz mi szczerłość, ale zachowała się niczym wulgarna dziewczka. Prawdą jest też, że potem poszła po rozum do głowy, gdy Szkot ją zostawił. Wzięła na siebie obowiązek opieki nad naszym ojcem, który zapadł podówczas na zdrowiu, i oboje wyjechali z Hiszpanii, by uniknąć szyderstw.

- Rzeczywiście musieli wyjechać?

- Oczywiście, że musieli. Wy, młodzi, wyobrażacie sobie, że wszystko jest dozwolone, ale nie możesz pojąć, co oznaczała wówczas ciąża taka jak mojej siostry. Ostracyzm towarzyski, publiczne pokazywanie palcem, nasze prywatne sprawy na ustach wszystkich... Jednym słowem, istna hekatomba. Nie było innego wyjście, tylko wygnanie.

- Ciociu, kiedy babcia umarła, napisałaś do Szkota.

- Naturalnie. Z uwagi na to, że nie przyjął na siebie odpowiedzialności za życia mojej siostry, ostatni gest, jaki mógł jeszcze uczynić, to złożyć wyrazy szacunku po jej śmierci. To był jego obowiązek i na szczęście go wypełnił. Widać, że upływ lat skłonił go do refleksji.

- Tak, ale... skąd znałaś jego adres?

- Nie waham się o tym mówić/nigdy bowiem tego nie ukrywałam. Kiedy siostra i ojciec przebywali za granicą, do Lux Domini przyszło kilka listów od Szkota. Zachowałam je.

- I nie sądzisz, że powinnaś była poinformować o tym siostrę?

- Czy powinnam była...? Kuzynie, nie waż się mnie osądzać, mówiąc, co powinnam, a czego nie powinnam była zrobić! Ten bandyta zamaniestował już nad wyraz jaskrawo swoją postawę. Mojej siostrze zablizniały się rany, a listy te wyrządziłyby jej wielką krzywdę, wyrządziłyby wielką krzywdę nam wszystkim. Rodzina rozsiana po świecie, ojciec słabowitego zdrowia, siostra z nieślub-

nym dzieckiem i kraj na progu wojny. Bardzo łatwo wygłaszać sądy z twojej komfortowej pozycji, posługując się kryterium wartości, o które walczyło dla ciebie moje pokolenie. Nie waż się mnie osądzać.

- Wybacz mi, ciociu, jeśli cię uraziłem. Nie było to moją intencją. Co było w tych listach?

- Nie wiem. Nie zaglądam do cudzej korespondencji. Ograniczyłam się jedynie do zatrzymania ich, aby nie dotarły do rąk mojej siostry. Adres nadawcy spisałam z jednej z kopert, zaraz po śmierci twojej babki.

- Czy przechowujesz jeszcze te listy?

- Nie, wyrzuciłam je. Po co je było trzymać po śmierci Uke?

- Pamiętasz tamten adres?

- Och, gdzieżbym mogła pamiętać, minęło już tyle lat. Nie, nie pamiętam.

- Ciociu, czy wiesz coś może o Szkocie, co się z nim stało?

- Nie mam pojęcia. Jeśli jeszcze żyje, nie chcę o tym wiedzieć. A jeśli zmarł, niech Bóg mu wybaczy. Ale dość już o nim. Chciałeś zapytać o moją młodość spędzoną z siostrą w Torrelodones. Napijesz się kawy, herbaty? Powiem Mariluz, żeby ci coś przygotowała.

- Nie, naprawdę, bardzo dziękuję, ciociu. Za dwie godziny mam samolot, nie było biletów na późniejszą godzinę. Będę się już musiał zbierać. Ale, tak czy owak, powiedziałaś mi już to, co chciałem wiedzieć.

- Doprawdy, jakaż krótka wizyta. Mam nadzieję, że odwiedzisz jeszcze starą ciotkę przy innej okazji i wówczas zostaniesz na dłużej. Przyjmuję coraz mniej wizyt. Ludzi jak ja, anachronicznych i wiernych dawnym ideom, nikt już nie chce. Ci, co nas nienawidzili, dalej nas nienawidzą. Ci zaś, co nas kochali, odwracają głowę, by się nam nie odkłonić.

Kiedy wstawałem z krzesła, mój wzrok napotkał fotografię stojącą na biurku. Był to bardzo stary portret. Mężczyzna i kobieta spoczywali na żelaznej ławeczce pod pręgierzem porannego słońca końca wiosny. Kobieta była bardzo piękna, miała czarne włosy, lekko skośne oczy, zaokrąglone kości policzkowe i szerokie usta; uśmiechała się w stronę obiektywu aparatu emanującym słodyczą uśmiechem malującym się na jej pełnych, ciemnych wargach. Od mężczyzny było

godnością i powagą, miał odkrytą głowę i zaczesane do tyłu włosy, pochylał czoło ku dwóm stojącym z przodu dziewczynkom między piątym i trzecim rokiem życia, ubranym w świąteczne sukienki. Starsza, z czarną rozwichrzoną grzywką zaplątaną w brwi śmiała się, spoglądając w aparat i obejmując ramionami młodszą, jasnowłosą istotkę z krótkim kosmykiem zebrany w kukuryku i spojrzaniu zagubionym gdzieś poza kadrem. Obraz cechował się ową asymetryczną i wystudiowaną równowagą dawnych kompozycji fotograficznych, kiedy to wykonanie portretu było wydarzeniem odnotowywanym w terminarzu, aby inne zobowiązania nie kolidowały z ciągnącą się w nieskończoność sesją pozowania, przebiegającą pośród atakujących dorosłych skurczów w następstwie wymuszonego i przykładowego bezruchu oraz nerwowego rwetesu dzieciarni, uchwyconego w ulotnej chwili o rozmytych w wyniku ruchu konturach. Spostrzegłszy, że patrzę na zdjęcie, Victoria wzięła je w dłonie, obserwując je z uwagą.

- Rozpoznałeś. To ogród Lux Domini. Kiedyś walczyłabym, żeby ten dom został w rodzinie, ale teraz to już nie ma znaczenia. - Kciukiem dotknęła czule szybkę ramki. - Chociaż to ja pierwsza przyszedłam na świat, zawsze wiedziałam, że stało się tak, ponieważ miałam na nią poczekać. Wszyscy królowie wysyłają przodem herolda z zadaniem przygotowania im drogi, ale ja dawno dotarłam na jej koniec i kiedy się odwracam, przypominam sobie, że za mną nie ma już nikogo, na kogo mogłabym czekać. Tak mało już spraw ma znaczenie. Jesteśmy istotami z przeszłości.

Pocałowała zdjęcie i gdyby nie to, że promienie słońca musiałyby załamać się i opłynąć jej plecy, aby oświetlić twarz zatopioną w cieniu, przysiągłbym, że mała kropelka zabłysła w kącie jej oka. Ale to nie było możliwe, wszyscy bowiem wiedzieli, że kamienna Victoria, właścicielka stalowego koka, nigdy nie płacze.

Strasliwe rewelacje ciotki na temat Hamisha pogrzyły mnie w niepokój i niepewność. Wróciwszy tamtej nocy do madryckiego mieszkania, rzuciłem się na łóżko i spędziłem w bezruchu wiele godzin, kontemplując klejnot otrzymany od dziadka, naszyjnik z pazurów lwa, przesuwając go między palcami, podczas gdy bezlitosne słowa Victorii nakładały się na obraz dobrodusznego staruszka opowia-

dającego, jak to struś zdobywał wolność, roznosząc w drobiazgi zbudowane przez osadnika ogrodzenie. W boju ścierających się wersji tej samej postaci tylko jeden głos mógł rozstrzygnąć tę batalię i musiałem zlokalizować go w jakimś niewiadomym punkcie francuskiego terytorium.

W tym czasie zacząłem kupować wszystkie dostępne książki o Kenii i pochłaniać wszelkie informacje, jakie mogły mi się zmieścić między skroniami. Moje poszukiwania zaabsorbowały mnie tak mocno, że zacząłem zaniedbywać obowiązki w gazecie i w końcu uznałem, że nadszedł czas, aby poprosić o urlop bezpłatny czy cokolwiek i poświęcić się swojej misji, żyjąc z oszczędności, w jakie rodzice zaopatrzyli każde dziecko, lokując je na stosownych kontach bankowych, które nazywaliśmy Funduszami Konsolidacyjnymi. Pożegnałem się z Guanem, który na odchodne zmarszczył brwi, i z pomocą ojca Moniki uzyskałem mgliste zapewnienie ponownego zatrudnienia, kiedy już moje dochodzenie dobiegnie końca. Zanim pożegnałem się z redakcją, wysłałem Monice faks, w którym zamieściłem wignetę naszego dziennika oraz zdjęcie działu lokalnego z moim pustym krzesłem. Tego samego popołudnia otrzymałem zaszyfrowaną odpowiedź, białą kartkę z trzema wielkimi kropkami, które zinterpretowałem jako wielokropek sugerujący, że mam czekać na rozwój wydarzeń. Kilka dni później złożył mi wizytę technik, który z polecenia Moniki zainstalował w moim mieszkaniu faks i wkrótce urządzenie ożyło, wypluwając kartkę, na której widniał wielki znak zapytania, na co odpowiedziałem, używając tego samego arkusza, wielkim wykrzyknikiem.

Ulżyło mi, gdy uwolniłem się od telefonów adresowanych do księgarni Posady. Aż do dnia, w którym jeden z nich ozwał się triumfalnym dzwonkiem w mojej własnej fortecy. Tym razem nie był to Celestino aplikujący mi najnowsza ze swoich wymyślnych tortur, lecz ciąg zdarzeń koordynowanych z wyjątkową topornością przez naszego nowego stażystę, którego po wyjeździe Moniki podrzucono mi w charakterze kolegi. Jak się domyślam, ktoś zadzwonił, pytając o księgarnię, i chłopak odpowiedział, że to pomyłka. Kiedy jednak telefony dopominające się tej samej księgarni, nie milkły, szczerzy stażysta nabrał podejrzeń, że może chodzić o moje tajne źródło

meldujące się szyfrem i udostępnił dzwoniącemu mój prywatny numer. Pech chciał, że rzekomym informatorem okazał się wydawca biuletynu literackiego pewnego domu spokojnej starości zaopatrującego się w rzeczony księgarni i tym sposobem, zanim pomyłka wyszła na jaw, mój domowy numer znalazł poczesne miejsce w rzeczonym pamflecie rozkolportowanym w mgnieniu oka przez starców wśród swoich przyjaciół i krewnych, a nawet przedstawionym do wglądu kilku państwowym urzędom; wystraszyłem się, że w każdej chwili zaczną do mnie dzwonić fani z Wybrzeża Kości Słoniowej, indagując o księgarnię Posady. Nie wiem, czy Celestino stał za tym wszystkim, ale ta nieprawdopodobna i pokrętna inscenizacja dantejskiego piekła niechybnie sprawiłaby mu olbrzymią radość. Osobnik ten zjawił się w moim życiu po to, by zamienić je w drogę cierniową, na dowód czego któregoś dnia zadzwonił do mnie Nik, zdając mi relację z występu Celestina Posady w pewnym telewizyjnym programie, w którym obywatele wylewali swoje gorzkie łzy i w którym to Celestino zaatakował naszą gazetę, wymieniając mnie z imienia i nazwiska i demonstrując transparent obwieszający wszem wobec: POWIEDZIAŁEM SKURWYSYN.

Jakby tego było mało, o wiele bardziej niepokojące sprawy domagały się mojej uwagi. Do podpisania umowy sprzedaży Lux Domini doszło przed przewidywanym pierwotnie terminem. Dowiedziałem się o tym od matki, kiedy zadzwoniła do mnie któregoś wieczoru z informacją, że ojciec umówił się z nią następnego dnia u notariusza. Nabywczym miała go poprosić o przyśpieszenie procedury, gdyż zależało jej na jak najszybszym przeprowadzeniu remontu i uruchomieniu restauracji, na co ojciec zgodził się bez żadnych zastrzeżeń. Przez tych kilka miesięcy zadawałem sobie pytanie, jak będę się czuł w dniu, w którym po podwórku moich dziecinnych zabaw zaczną się szwendać obcy ludzie. Być może dzięki dużemu wyprzedzeniu zdołałem oswoić się z tą myślą i zareagowałem cichą rezygnacją. Nie boli mnie to tak, jak myślałem, że będzie boleć, powtarzałem sobie przez całą bezsenną noc. Na pustyni mojego nocnego czuwania, gdy leżałem z naszymi pazurów lwa zaplecionym na palcach, niefigurujące już od dawna w katalogu stare dzieło opuściło jak za sprawą czarów księgarnię mojego salo-

nu-sypialni, otrzepało się z kurzu, po czym postaci jednej ze scen zeszyły z kart i wróciły do życia, wyświetlając się w snopie światła niczym zjawy zrodzone z książkowego pyłu.

W owej scenie Fermin, Rocco i Nacho szli po śladach rozmieszczonych przeze mnie na szlaku prowadzącym do resztek ruin pozostałych po naszej Bazie Obozowej, gdzie zorganizowałem tajną ceremonię dla wtajemniczonych. Tam, w świetle pochodni wypożyczonej z szopy Vicentego, ujrzeli Curra siedzącego w pozycji lotosu z głową opuszczoną na piersi, obnażonego od pasa w górę, z torsem i obliczem pokrytym liniami i figurami wymalowanymi kawałkiem nadpalonego korka i przystrojonego w spektakularny naszyjnik z wielkich szponów w kolorze kości słoniowej. Gdy wszyscy trzej usiedli, w podniosłym nastroju zapaliłem latarkę oświetlającą od spodu moją wystudiowaną, totemiczną symbolikę, spojrzałem im w oczy z jaskiniowych, surowych głębin oczodołów i rzekłem, że lew Facundo został uncestwiony przez ich wiernego sługę. Na dowód tych słów majestatycznym gestem zdjąłem naszyjnik i niczym kruchą relikwię zademonstrowałem im go, rozwieszając na kciukach obu rąk. Jak było do przewidzenia, zapomnieli języka w gębie, bo koniec końców moje oświadczenie pomijało marginalny szczegół, o którym po kilku chwilach i neutralnym głosem teleoperatora odważył się napomknąć Nacho:

- Co ty, stary, z byka spadłeś? Przecież wszyscy wiemy, że z tym lwem to lipa. Tam na górze nie ma żadnego lwa. To tylko zabawa.

- Lipa, tak? A to, co to jest? - Nagle zdałem sobie sprawę, że przysło gdzieś dostojęństwo moich gestów, i błyskawicznie wzięłem się w garść.

Upuściłem naszyjnik w sześć niedowierzających, świętotomaszowych rąk. Trzy głowy zamknęły się w zwartym wianuszkę wokół tego rarytasu i chór szeptów i nabożnych dotknięć przybierał na sile. „Stary, to chyba rzeczywiście jest prawdziwe”, „tak, to pazury lwa”, „takie same jak te z muzeum...”. Na koniec podnieśli wzrok i popatrzyli na mnie. Przemówił Fermin.

- Stary, nie wiem, jak to zrobiłeś i skąd to wytrzasnąłeś, ale przyznaję, że przegięliśmy pałę. Przede wszystkim ja. Przepraszam.

- Zwrócił mi naszyjnik.

Bez słowa potrząsnąłem trzema piórami i z cesarską godnością zwróciłem je ich prawowitym właścicielom. Następnie przystąpiłem do zakończenia, deklamując z efekciarskim dramatyzmem *grand finale*, które dziadek Hamish napisał mi specjalnie na tę okazję i którego wyuczyłem się na pamięć:

- Ja wybaczam wy. Środkami tej ceremonii ja wytwarzam próbę mojej odwagi i mnie zawsze podczas wierności szlachetnym pchnięciem Czterech Piór.

Nie ma co, brzmiało to dziwnie. Ale spełniło swoje zadanie.

Życie, które ciągnie nas za szyję wybraną przez siebie ścieżką, nie pozwalając nam obejrzeć się w tył, sprawiło, że straciłem kontakt z przyjaciółmi z dzieciństwa. Być może nie jest wskazane dzielić świat dorosłych, ich hipoteki, dziadowskie umowy o pracę i plany emerytalne z osobami, z którymi penetrowałeś podczas nocnych wypraw ponurą, zakazaną okolicę, aby polować na lwy i włochate potwory o płonących ślepiach. Dla mnie Fermin, Nacho i Rocco zawsze będą tamtymi dziesięcioletnimi chłopcami. Obawiam się, że gdybym natknął się któregoś dnia na jednego z nich zmienionego w coś, co przypomina mnie - szczeciniastą gęś z jabłkiem Adama i głosem z samego dołu drabiny oktaw - postaci te pokryłyby się na powrót kurzem, a libretto z ich scenami zatrasnęło, aby udać się na wieczny spoczynek w księgarni mojego salonu-sypialni i nigdy się już nie otworzyć.

Po bezsennej nocy udało mi się dotrzeć do świtu z otwartymi szeroko oczyma, lecz z pustką w głowie, nie przerabiając już ani jednej z dawnych przygód na naszej domowej i aromatycznej trawie wytęsknionego Lux Domini.

W stronę Delseya

Wyjaśniłem dziewczynie z biura konsulatu francuskiego, jaki jest motyw mojej wizyty. Szukałem pewnego mężczyzny, sędziwego, w wypadku gdyby żył około osiemdziesięcioletniego arystokraty noszącego ekstrawaganckie nazwisko Dominique-Emmanuel Le Sciellour et Yvrenogean. Wiedziałem, że baron jest lub był właścicielem zamku nazywanego Chateau d'Angelique w Voisins-les-Bretonneaux pod Paryżem i że w zamku tym mieści się muzeum gromadzące kolekcję sztuki przedstawiającej figury aniołów i że, jeśli jeszcze żyje, prawdopodobnie mieszka w Paryżu. Usiłowałem wyszperać informację na temat muzeum w przewodnikach turystycznych, ale w żadnym z tych, które wpadły mi w ręce, nie było najmniejszej wzmianki na temat tego miejsca. We francuskim biurze turystyki uzyskałem potwierdzenie istnienia muzeum i jego telefon. Zadzwońłem tam, nic jednak nie wskórałem. Kustosz muzeum rozumiał doskonale moją intencję lokalizacji właściciela, ale nie był upoważniony do ujawnienia jego adresu i jedyne, co mógł dla mnie zrobić, to zanotować wiadomość i wręczyć ją właścicielowi, kiedy ten odwiedzi zamek, czego nie czynił zbyt często. Znalazłem się w ślepej uliczce i konsulac zdawał się ostatnią deską ratunku przed wyjazdem do Paryża z pustymi rękami, gdzie czekało mnie radosne poszukiwanie igły w stogu siana.

- Ależ prosi mnie pan o poufną informację o prywatnym obywatelu. Ja nie mogę udzielić panu takiej informacji. Czy ta osoba jest pańskim krewnym?

- Nie całkiem. Ten człowiek był bliskim przyjacielem moich dziadków. Dziadek wyjechał do Afryki jeszcze przed wybuchem wojny domowej i słuch o nim zaginął. Sądzę, że jeszcze żyje, a poszukiwany przeze mnie człowiek jest jedyną osobą, która może posiadać informacje mogące dopomóc mi w jego odnalezieniu. Jestem dziennikarzem i ta rodzinna sprawa jest częścią reportażu. - Pokazałem jej legitymację prasową. - To dla mnie niezwykle ważne, błagam, niech mnie pani zrozumie.

Młoda urzędniczka obróciła kilka razy w palcach legitymację, po czym mi ją zwróciła. Wykrzywiła usta w grymasie wyrażającym poważne obiekcje.

- Proszę mi wierzyć, chciałabym panu pomóc, ale pańska prośba przekracza moje kompetencje. Jedyne, co mogę zrobić, to przekazać notkę konsulowi i umówić pana na rozmowę. Może konsul będzie upoważniony, by zdobyć interesujące pana dane. - Opadła na oparcie krzesła i założyła ręce.

- Będę bardzo wdzięczny. Zapewniam panią, że to moja ostatnia nadzieja.

Patrzyliśmy na siebie przez chwilę. Nie chciałem się poddać, ale moim jedynym orężem przeciwko biurokratycznej barierze było błagalne spojrzenie. Uśmiechnęła się i spuściła wzrok.

- Co ja z panem mam - westchnęła. - Proszę sekundkę poczekać, mam pewien pomysł. Nie mogę ujawnić panu danych poufnych, ale dane publiczne tak. Jeśli osoba ta ma telefon, może znajdziemy ją w książce telefonicznej.

Wstała i podeszła do biurka koleżanki, którą zapytała o książkę telefoniczną Paryża. Ta wskazała jej inne biurko zajmowane przez starszą kobietę. Patrzyłem, jak się do niej zbliża i jak obie przez chwilę rozmawiają. Kobieta pogrzebała w szufladach, wyciągnęła grubą księgę i wręczyła ją dziewczynie, która wróciła ze zwycięskim uśmiechem i tomiskiem pod pachą.

-Mamy szczęście. Zobaczmy... Mówi pan, że jak on się nazywa?

- Zapiszę pani. - Wziąłem kartkę papieru i ołówek z jej biurka i zanotowałem tasiemcową godność Delseya.

- Nazwisko jest skomplikowane. Nie jestem pewna, pod którą

literą może figurować... Trzeba będzie sprawdzić wszystkie możliwe kombinacje.

Przez kilka minut wertowała strony w przód i w tył, przesuując palec w dół długich kolumn i wymrukując ciąg nazwisk. Bez skutku. Spenetrowawszy wszystkie możliwości, uniosła w górę brwi i spojrzała na mnie z zaciśniętymi ustami, kręcąc na boki głową.

- Obawiam się, że nic z tego. Przykro mi.

- Trudno, w każdym razie jestem pani niezmiernie wdzięczny za pomoc. Proszę nie zapomnieć oddać notki konsulowi.

- Nie ma obawy, doręczę ją osobiście. Proszę wypełnić ten formularz i zostawić mi swój telefon. Zadzwoń do pana tak szybko, jak to tylko możliwe.

Wpisałem dane do druczku. Rozczarowany i zniechęcony siedłem już do wyjścia, kiedy w ostatniej chwili przyszedł mi do głowy jeszcze jeden pomysł.

- Jeszcze coś... Nie wiem, czy to ma jakieś znaczenie, ale osoba ta używała również innego imienia. Jego bliscy nazywali go zwykle Delsey. Oczywiście nie sądzę, aby w książce telefonicznej figurował pod tym imieniem, ale niech je pani łaskawie zanotuje w swojej notce dla konsula. To jeszcze jedna wskazówka, która może coś wniesie.

Urzędniczka sprawiała wrażenie bardzo zaskoczonej.

- Czy mógłby pan powtórzyć jeszcze raz to imię?

- Delsey. D-E-L-S-E-Y.

- Nie! Nie mogę w to uwierzyć!

- Słucham?

- Myślę, że właśnie odnalazł pan swojego przyjaciela.

Otworzyła szufladę biurka i wyciągnęła z niej jakieś czasopismo. Była to francuska publikacja drukowana na lśniącym papierze, której okładka prezentowała stylistykę typową dla plotkarskiej, kolorowej prasy. Dziewczyna chichotała z niedowierzaniem, przewracając kolejne strony, aż znalazła tę, której szukała. Z szerokim uśmiechem satysfakcji położyła na biurku złożony w pół magazyn, stukając palcem w kolumnę stałego współpracownika pisma.

- Jest tutaj. Delsey.

Dział nosił nazwę „Du côté de chez Delsey”, parafrazującą tytuł pierwszego tomu „W poszukiwaniu straconego czasu”. W lewym górnym rogu znajdowało się małe, czarno-białe zdjęcie dystyngowanego staruszka. Jego przechylona głowa spoczywała na dłoni, łokieć zaś opierał się o dolną ramkę obrazka. Parzył w dół, jakby rozmyślał nad własnymi słowami z przyzwalającą życzliwością. Nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Wziąłem w ręce pismo, wbijając wzrok w stronicę.

- Proszę, pański przyjaciel jest kolegą po fachu. To on?

- Hm... Tak, to mógłby być on. Nazwisko i wiek zgadzają się co do joty, i był osobą prowadzącą bogate życie towarzyskie.

- To postać dość popularna we Francji. Oprócz pisywania w tym magazynie bierze też udział w programach telewizyjnych. Podobno jest gejem, ale on nigdy nie porusza tego tematu.

- To na pewno on! Nie wierzę własnym oczom! Czy mogę wziąć ten magazyn?

- Tak, oczywiście! Ja już go czytałam.

- Serdecznie dziękuję... - zerknąłem na tabliczkę stojącą na jej biurku - Celinę. Jest pani aniołem.

- Och, dziękuję! Cała przyjemność po mojej stronie. Mam nadzieję, że przyda się to panu w odnalezieniu dziadka. I życzę szczęścia z Delseyem. To szczególny typ człowieka. Uwielbia dyskutować i jest niezwykle... jak by to powiedzieć, jest prowokatorem i ma paskudny charakter.

Wyszedszy z konsulatu, miałem wrażeniem, że uczyniłem gigantyczny krok w moich poszukiwaniach. W stopce magazynu znajdował się adres redakcji mieszczącej się przy bulwarze des Capucines, w samym centrum Paryża. A zatem, do Paryża.

Przed wyruszeniem w podróż wysłałem faks do Moniki, kolaż złożony z fotki wieży Eiffla, kalendarza z zakreślonym tygodniem planowanego pobytu w Paryżu oraz rysunku Sherlocka Holmesa przyglądającego się wnikliwie przez lupę dziadkowi Heidi. Tak, zabawa ta coraz bardziej dryfowała w stronę absurdu, lecz to ona zaczęła tę grę i czy to z uwagi na jej niezwykłą inteligencję, czy też naszą łączność chemiczno-telepatyczną byłem przekonany, że pojmie bez problemu znaczenie przekazu. I tak się stało. Odpowiedziała, używa-

jąc tej samej strony z wieżą Eiffla, którą zakreśliła w kółko, a nad nią wkomponowała zdjęcie urządzenia telefaksowego ze znakiem zapytania. Odwróciłem kartkę na drugą stronę i narysowałem trzy wielkie, czarne kropki, jak to wcześniej uczyniła ona, po czym włożyłem kartkę do aparatu.

W początku maja paryski deszcz był litą ścianą igieł przesywających przestrzeń między niebem i ziemią, nawałnicą niemożliwą do uniknięcia czy powstrzymania jej penetrującej siły niezależnie od narzuconych na siebie warstw plastiku. Przepałętawszy się przez całe popołudnie w okolicach bulwaru des Capucines pod tą sferyczną ulewą, która zdawała się przychodzić zewsząd, doszedłem do wniosku, że jedyne, co mogło zapewnić skuteczną osłonę przed tym rozpylonym oceanem, była warstwa albo najlepiej wiele warstw cegieł, i żeglując w butach, z walizką na kółkach niczym sterem, dobiłem do brzegu, którym okazał się mały hotelik na ulicy Caumartin, najbardziej komfortowy, na jaki powinienem był sobie pozwolić w tej horrendalnie drogiej dzielnicy, lokum skromne, ale za to w odległości zaledwie kilku minut piechotą od mojego celu. Wynajawszy pokój i odsączywszy wodę z wszystkich kończyn, wysłałem Monice pustą kartkę z nagłówkiem hotelu. Następnego ranka recepcjonista wręczył mi faks, który przyszedł na moje nazwisko: ksero okładki „Paris was festive”, książki, w której Hemingway wspomina ludyczny Paryż straconego pokolenia, zdjęcie Bogarta i Bergman w ostatniej scenie „Casablanki”, plakat wuja Sama pokazującego mnie palcem, pod którym widniał napis „I want you”, i na dole strony słynny już wielokropek. Na zasadzie niepisanej i niewypowiedzianej umowy zaadaptowaliśmy ten symbol jako sposób informowania drugiej strony, że winna czekać cierpliwie na rozwój wypadków, chociaż tym razem nie pojmowałem do końca, o co Monice mogło chodzić. Okazałem się mało rozgarnięty, było to bowiem oczywiste.

Tamtego ranka zadzwoniłem z hotelu na numer podany w stopce magazynu i spytałem o monsieur Delseya, podając się za hiszpańskiego dziennikarza pragnącego przeprowadzić z nim wywiad. Tak jak przypuszczałem, głos w słuchawce odpowiedział mi, że Delsey nie jest etatowym pracownikiem i nie można go zastać w redakcji, ale że raz w tygodniu zagląda, aby uciąć sobie pogawędkę z wydawcą,

który jest jego przyjacielem, chociaż nie zawsze tego samego dnia ani o tej samej godzinie. Zapytałem, czy ma jakiegoś agenta, przedstawiciela lub czy może redakcja dysponuje numerem telefonu, pod którym mógłbym go znaleźć, ale nie udało mi się wydebić żadnej informacji. Postanowiłem nie zostawiać żadnej wiadomości, bo, podobnie jak w wypadku Victorii, nie byłem pewny, jaką przyjmie postawę wobec kogoś, kto uwziął się na rozgrzebywanie przeszłości, a w razie nieprzychylniej reakcji ryzykowałem, że się wystraszy i wypłoszy, znikając mi z pola widzenia. Koniec końców Delseya łączyła z Hamishem bliska przyjaźń i jeśli złowroga opowieść ciotki Victorii miała w sobie ziarno prawdy, baron nie będzie zapewne skłonny wydobywać na światło dzienne zamierzonych kataklizmów.

Przypomniałem sobie wówczas, że dziewczyna z francuskiego konsulatu wspomniała, że Delsey występuje w programach telewizyjnych. Pokazałem stronę z artykułem Delseya hotelowemu recepcjonście i spytałem, czy kojarzy tę postać.

- Tak, pokazuje się w telewizji, w programach o gwiazdach i tego typu rzeczach.

- Pamięta pan, jak nazywa się program i na jakim dają go kanale?

- Nie... Nie, skąd, ja tego nie oglądam. Ale daję głowę, że moja żona wie, bo ona nie przepuści ani jednego. Teraz nie mogę z nią rozmawiać, jest w pracy, prowadzi autobus, ale spytam ją wieczorem w domu. Niewykluczone też, że któraś ze sprzątaczek będzie się orientować. Zapytam je, kiedy skończą zmianę.

- Jestem panu bardzo wdzięczny. Nazywa się Delsey, to starszy człowiek o wykwinnych manierach i, jak mi powiedziano, uwielbiający dyskutować do upadłego.

- Tak, tak. Niech pan będzie spokojny, zapytam żonę.

Wobec braku świeżych tropów kupiłem małą lornetkę w małym sklepiku w pobliżu Opery i udałem się na bulwar des Capucines, wystawiony na ten sam straszliwy potop, co wczorajszego popołudnia. W książce, której okładkę skopiowała mi Mónica i którą kiedyś miałem okazję przeczytać, Hemingway mówi o smutnym deszczu mordującym paryską wiosnę, kiedy to wydaje się, że światło nigdy nie weźmie góry nad kaczmi zimy, niezamierzającej ustąpić pola.

Pomyślałem, że to wcale nieprawda, że ta dysząca, wodą podchodzącą do ust wiosna jest wiosną drugiej kategorii, wiosną wściekłą, chmurną i zmienną, nadającą tej porze roku wymiar egzotycznej kompozycji, jakimi charakteryzują się pory roku nieczyste, bardziej frapujące, chociaż w takich chwilach oddałbym całą antologię poetycką wiosennej wysypki za suche majtki. Przypomniało mi się, że mam na sobie te same gatki, co w sylwestra w domu Moniki. Niewątpliwie musiały być utkane z niezwykle higroskopijnych włókien i być może to z ich powodu łało w Paryżu.

Brama budynku mieszczącej redakcję magazynu była niebotycznie wysoka, pewnie kiedyś wjeżdżały nią konne powozy. Na szczęście na rogu, po przeciwnej stronie ulicy, znajdowała się jedna z typowych paryskich kawiarni posiadających oszklone ogródki, oferująca doskonały punkt obserwacyjny w wypadku, gdybym zmuszony był prowadzić obserwację. Schroniłem się w bramie i odszukałem tabliczkę wydawnictwa, ściągnąłem windę i wjechałem na trzecie piętro. Nacisnąłem dzwonek i po chwili w drzwiach ukazała się kobieta Okształcie samobieżnego grzyba z dwiema, wylaniającymi się spod kapelusza jej długiej, bombiastej spódnicy maleńkimi kończynkami, na których zdawała się toczyć niczym mechaniczna mysz. Złoty łańcuszek kotwiczył do jej szyi trójkątne okulary o kształtach, których nie powstydzilyby się tylne światła cadillaca z lat pięćdziesiątych i którymi musiała zawadzać o futryny drzwi. Wyłożyłem powód swojej wizyty i rozpoznała we mnie tę samą osobę, która dzwoniła wcześniej, choć nieporównywalnie bardziej mokrą. Ubolewam nad moją namolnością, powiedziałem, ale jak najszybsze odnalezienie Delseya to dla mnie kwestia życia i śmierci. Od połowicznej prawdy przeszedłem do bezczelnego kłamstwa: za nic nie mogę przedłużyć pobytu w Paryżu i moja gazeta domaga się zdobycia tego wywiadu, grożąc mi w razie niespełnienia powyższego żądania zwolnieniem z pracy. Pomimo gorących błagań grzybopodobna nie chciała lub nie mogła mi pomóc. Zapytałem, czy mogę zamienić dwa słowa z wydawcą, ale pech chciał, że był nieobecny i to przez kilka dni. Nie pozostawało mi zatem nic innego jak obserwacja.

Nim założyłem posterunek w swojej baszcie, zatrzymałem się przy kiosku z gazetami, w którym zafundowałem sobie wszystkie

jak leci dzienniki i pierwsze z brzegu czytało w języku angielskim. Wszedłem do kawiarni, wybrałem najlepiej pod kątem obserwacji bramy usytuowany stolik, zaordynowałem piwo, rozłożyłem się za swoimi gazetami i książką, i rozpocząłem pracowity poranek, śledząc skrupulatnie przez lornetkę każdego ssaka w podeszłym wieku usiłującego sforsować bramę. Po kwadransie i kolejnej kolejce *demi* zaczęła mi doskwierać nuda. Rzuciłem wzrokiem na okładkę zakupionej na chybił trafił książki.

Było to jakieś liche wydanie w miękkiej okładce zaopatrzonej w ilustrację, której kolorowe plamy wypełniały przestrzeń pomiędzy konturami postaci z taką precyzją, jakby je ktoś kładł z drugiego pokoju pędzlem umocowanym na kiju od szczotki. Kowboj z kwadratową i ciężką jak gąsienica czołgu szczęką strzelał do chmury Indian na koniach, opasując w locie drugim ramieniem omdlałą dziewczynę uzbrojoną w piersi, które mogłyby bez problemu porysować poszycie Titanica. Moją uwagę przykuło to, że Indianie o trupim wyglądzie graniczącym z rozkładem atakowali najwyraźniej pod rozkazami czegoś w rodzaju makabrycznego pokurcza, dosiadającego z największą naturalnością standardowego konia. Książka nosiła tytuł „Ambush of the Apache Zombies!”, właśnie tak, z wykrzyknikiem, miała podtytuł „A brand new adventure of Sangre de Cristo”, a jej autorem był niejaki Quincey Underwood. Otworzyłem ją i zacząłem kartkować.

Dziesięć minut później historia pochłaniała mnie już całkowicie. Przypadkowo trafiłem na jeden z odcinków całej serii, której bohaterem był samotny *cowboy* nikomu nieznany z imienia i nazwiska i nazywany przez wszystkich Sangre de Cristo, bo miał wychować się w górach w Nowym Meksyku noszących tę samą nazwę. Legenda głosiła, że kiedy był małym dzieckiem, wóz, którym podróżował do Kalifornii wraz rodzicami i rodzeństwem, został zaatakowany w czasie pełni księżyca przez bandę ukrywającego się przed wymiarem sprawiedliwości bandziora o imieniu Stroma. Wszyscy zginęli z wyjątkiem chłopca, który z przerażeniem patrzył, jak łotr ulega

„Zasadzka Apaczów zombi!” (przyp. tłum.). **

„Nowa przygoda Sangre de Cristo” (przyp. tłum.). **

Krew Chrystusa (przyp. tłum.).

metamorfozie, zmienia się w straszliwą bestię i wysysa krew jego bliskich, doprowadzając ich do postaci zapakowanych próżniowo saszetek z wędzonym łososiem. Okryte jakimś starym poncho niebożę przygarnęła rodzina kojotów, z którymi pozostał do czasu osiągnięcia pełnoletności. Przetopił wówczas srebrny krzyż, jedyną rzecz, jaka prócz poncho pozostała mu po jego rodzicach, na sześć lśniących kul, którymi załadował bębenek jednego ze swoich dwóch rewolwerów. Następnie udał się do kapłana z pobliskiej misji i kazał sobie wyświęcić krew, co oprócz ochrony przed ugryzieniem współgrało z jego imieniem. Od tej pory z ołowiem z jednej strony pasa i srebrem z drugiej, pod nieodłącznym poncho przemierzał Dzikie Zachód na grzbiecie klaczy Sand Witch, znaczącej dosłownie „Piaskowa Wiedźma” a w kulturze popularnej „Kanapka”, szukając wampira-wilkołaka, żeby nafaszerować go metalem i upodobnić do Blaszanego Drwala z „Czarnoksiężnika z krainy Oz”. Podróżował sam, lecz miał wielkich sprzymierzeńców -jeśli osaczyli go wrogowie, wył i natychmiast przybywały mu na ratunek kojoty z gór, które - jak powszechnie wiadomo - darzą szczególną niechęcią wilkołaki-wampiry.

W opowiadaniu tym Sangre de Cristo przewozi worek złota na zlecenie pewnego bankiera, nie wiedząc, że ten skumał się z łotrem Stromą, aby napaść na bohatera, zaciukać go i przywłaszczyć sobie złoty łup. Skorumpowany magnat nie przypuszczał jednak, że jego rodzona córka, właścicielka sterczących jak lodowe góry piersi, zakocha się bez pamięci w niewzruszonym kowboju i gorącym szeptem zdradzi mu plan zasadzki. I tak Sangre de Cristo zdąży ku górą, ufając asowi spoczywającemu w rękawie, którym była wiedza o mrocznej konspiracji wymierzonej przeciwko jego osobie, nie przeczuwając, że bankier również ubezpieczył się na wszelki wypadek, rozkazując wynajętym zbirom podmienić kowbojowi amunicję na nieszkodliwe czopki.

Upłynęły trzy godziny, nim zdałem sobie sprawę, że nie zwracam najmniejszej uwagi na inwigilowane wejście i że mój monitoring jest ewidentną stratą czasu. Porzuciłem Sangre de Cristo zdążającego na koniu wprost w objęcia śmierci, przekąsiłem coś lekkiego i wróciłem do hotelu, aby zdjąć z siebie mokre ubranie i rzucić się

w objęcia wzmacniającej sjeisty, licząc, że jakiś przyływ natchnienia ześle mi bardziej płodną ideę zlokalizowania Delseya.

W drodze powrotnej tkanina mojego przyodziewku nasiąkała maksymalną ilością deszczu, ze szczególnym uwzględnieniem wybitnie spragnionych wody gatek. Chlupocząc, wkroczyłem do holu i zza firanki wody zwieszającej się z włosów wymamrotałem w kierunku recepcjonisty numer pokoju. Przyszła już nowa zmiana i w owej chwili nie czułem się na siłach, żeby bawić się w detektywa, tak że zmilczałem pytania na temat programów i kanałów telewizyjnych. Ścisnąłem w dłoni klucz i ruszyłem w stronę windy, kiedy za moimi plecami ozwał się wprawiający mnie w osłupienie kobiecy głos.

- *Bonjour cheri, vous etes seul?*

Odróciłem się, żeby wyjaśnić, że nie jestem sam, tylko w towarzystwie hektometra szczęśliwego wody wypełniającej mi kieszenie, że nie wiedziałem, że hotel Caumartin należy do tej kategorii hoteli i że jedyne towarzystwo, jakiego szukam, to towarzystwo pewnego osiemdziesięcioletniego starca, któremu jak na razie udało się mnie splawić. Ale nie powiedziałem nic podobnego. Stała tam. Jak zawsze piękna i nieskalana, świeża i umalowana, z włosami zebranymi na wierzchołku głowy niczym rzymska cesarzowa, z kryształowokruczymi żmijkami kędziorów wijącymi się wokół kolczyków i gryzącymi owoc jej płatków, w czarnym swetrze z wykładanym kołnierzem zaprojektowanym przez asów inżynierii ergonomicznej, opięta niebieskimi džinsami sprawiającymi wrażenie zużytych z racji czystego zamięłowania do jej ciała i stojąca na szczycie czarnych botków na wysokich obcasach. Moje osłupienie było tak wielkie, że w pierwszej chwili nie wiedziałem, jak zareagować. Pytania? Wyrzuty? Kazanie? Objąłem ją. I uczyniłem to tak, jakbym chciał dokonać transplantacji wszystkich jej organów, zaczynając od języka.

- Kochanie, wyglądasz jak zmokła kura! Nie stać cię już nawet na parasol?

- Ale jak ty się tu znalazłaś?

- Przyleciałam samolotem, głuptasie! Nie dostałeś mojego faksu? Przecież to było jasne. - Miała rację, było jasne jak słońce. - Chodź, idziemy stąd. Zarezerwowałam apartament Hemingwaya w Ritzu. - Ruszyła w stronę recepcji. Chwyciłem ją za ramię.

-Nie. Zostajemy tutaj. I ja płacę. W Paryżu jesteś moim gościem.

Straciliśmy równowagę, zamknawszy drzwi pokoju ciężarem naszych ciał i zanim zdołaliśmy sformułować jakiegokolwiek pytanie czy komentarz pod adresem miesiący naszej rozłąki, ręce obojga rzuciły się w pośpiechu, by wskrzesić wspomnienie ostatniej nocy. Bez słowa odkryliśmy, że nade wszystko pragniemy się dotykać i mój wzrok chłonał, jak jej sweter i dzinsy pęczniały w miejscach, gdzie przesuwałem swoje ręce, jakby pod ubraniem kotłowały się węże sprawiające, że zamykała oczy i oblizywała wargi, powstrzymując jęk zatopiony w wilgoci języka, podczas gdy moje palce wysyłały do mózgu tratujące się serie nut dotyku, szeroki wybór faktur jej bielizny, od delikatnej chropowatości koronki po sobolową patynę satyny, i ta specyficzna właściwość jej skóry, której pieszczenie sprawiało tyle przyjemności, przyprószonej w pewnych rejonach leciuteńkim, drobnusieńkim i transparentnym meszkiem izolującym ją od odpychającego zimna marmuru, porównywalnej z miękkością aksamitnego owocu, napiętej i rozpalonej pod dotykiem palców, jakby miała zaraz, w wyniku najlżejszego nacisku wybuchnąć spienionym bałwanem soków. Jej skóra i moja skóra odkrywały się na nowo i stykały od brzucha ku górze i w dół, gdy zdzieraliśmy z siebie ubranie, zawężając przestrzeń między obojgiem, jakby zazębiał nas jedno z drugim jakiś niewidzialny zamek, jedna z jej dłoni ugniałała mój tors pod zmoczoną koszulą, z której woda ciekła mi po nogach, palce drugiej zaś szamotały się z klamrą mojego paska i guzikami spodni. Osunęła się w dół, pieszcząc ustami wgłębienia nadające formę memu brzuchowi od bioder po brzeg majtek i ujrzawszy je, wybuchnęła śmiechem i podniosła wzrok.

- Jeszcze nie wyschły od ostatniego razu?

Nasz hotelowy pokój na ostatnim piętrze zajmowało niemal w całości wielkie łóżko, które trzeba było obejść, aby dostać się do łazienki lub na mały balkonik wznoszący się nad sąsiadującymi z hotelem dachami. Przez cały wieczór i poranek dnia następnego skotłowane leże było naszą jedyną geografią, którą modelowaliśmy według własnego widzimisie, dodając bądź ujmując elementy wciąż zmieniającej się orografii: doliny, góry, jeziora, lasy, oazy,

pustynie, i przez niemal dwudzieścia cztery godziny nie istniał inny świat za stromym, pikowanym urwiskiem, gdzie urywała się nasza kołdra; nie gonił nas żaden pośpiech wymuszający zakończenie podróży czy dotarcie dokądkolwiek, czerpaliśmy wyłącznie radość z eksploracji owego kontynentu rozciągającego się na miękkim, tektonicznym materacu.

W południe zamówiliśmy w serwisie pokojowym *croques monsieur*, piwo, ciastka i owoce, a tymczasem wyszliśmy na balkon zapalić i nacieszyć się pierwszym słońcem od mojego przyjazdu do Paryża. Zawinęliśmy się w koce i zasłoniliśmy prześcieradłami balustradę balkonu, żeby nikt nas nie zobaczył, i siedząc na wąskiej, kamiennej posadzce, ja wsparty plecami o mur fasady, Mónica zaś wtulona między moje nogi z głową złożoną na mojej piersi, wpatrywaliśmy się w blade, wiosenne niebo i zawiłą geometrię dachów widocznych w prześwitach między prześcieradłami, stłoczony i zaśnie-działy krajobraz nigdy niesprzątanym zakamarków poddanych torturze słoty i upalnego słońca, gzymsy, anteny, iglice, okienka mansard, gołębniki i kocie azyle. W budynku naprzeciwko, piętro niżej, w jakimś biurze toczyła się ożywiona, powszednia krzątania, która z naszej odległej planety - razem w obcym miejscu, nadzy na balkonie i wciąż jeszcze zbyt lękliwi, aby rozmawiać o sobie - zdawała się czymś wyjątkowym, niezwykłym. Zaczęliśmy żartować na temat osób pracujących w biurze, zwłaszcza dwóch z nich, które Mónica ochrzciła imionami Octave i Denise. Octave, szczupły brunet z poluźnionym krawatem zwisającym na koszuli w paski, wyglądał na szefa i zajmował gabinet za jednym z okien. Na lewo, za innym oknem wychodzącym na dużo większe pomieszczenie, widać było dwóch młodych mężczyzn i dziewczynę o krótkich blond włosach w bluzce i czarnych spodniach. To Denise. Po jakimś czasie dwaj młodzi mężczyźni wyszli, zostawiając samych szefa i kobietę.

- Przecież to oczywiste, nie widzisz? - mówiła podnieconym głosem Mónica. - Octave jest zakochany w Denise i ona pała tym samym uczuciem, ale oboje się ukrywają. On nie chce ryzykować oskarżenia o molestowanie, ona zaś boi się, że koledzy z pracy uznają ją za karierowiczkę bez skrupułów, gotową przespać się z szefem za możliwość awansu. Patrz, patrz. Widzisz, jak się nad

ią nachyla, żeby zajrzeć jej w dekolt? I ona o tym wie, jednak mu tego nie wzbrania. Bawią się w uwodzenie, za dymną zasłoną biurowych obowiązków.

- Zaczekaj. Mam coś, co bardzo ci się spodoba.

Wszedłem do pokoju i wróciłem z teatralną lornetką zakupioną do inwigilacji bramy, za którą mieściła się redakcja pisma.

- Kapitalne, pamiętasz o wszystkim! Nie masz przypadkiem jednego z tych mikrofonów parabolicznych, które widuje się w filmach?

- Pocałowała mnie i skoncentrowała się na obserwacji biura przez lornetkę. Raptem jej czysta nagość ukoronowana obliczem psotnej dziewczynki ze wzburzoną grzywą wymiotła gdzieś bez śladu „New York Times”, studia podyplomowe, skomplikowaną sieć międzyna-rodowego dziennikarstwa, związaną z tym odpowiedzialność, zamęt uczuć, odległość, wątpliwości. Widziałem w niej jedynie przepiękną, podekscytowaną dziewczynkę szpiegującą banalną historię dwojga obcych ludzi.

- Widzisz? Octave jest u siebie w gabinecie i nic nie robi. Zabija czas, żeby nie iść do domu, nie ma jednak odwagi wyznać jej szczerze tego, co czuje. A ona? To samo. Czeka! Wzywa ją. Ona... tak, Denise nalewa kawę do dwóch filiżanek. Teraz wchodzi do gabinetu i stawia obie filiżanki na biurku. Siada naprzeciwko niego. On wstaje i okrąża biurko, patrzy na papiery, które ona trzyma na podołku, jednak w rzeczywistości zapuszcza jej żurawia w dekolt... Nie mogę! Ona podniosła wzrok, a on wyprostował się jak struna. Zawstydził się, bo pomyślał, że go przycięła. Teraz ona wręcza mu papiery. Ich ręce muskają się i oboje odskakują, jak porażeni prądem. Aż poszły iskry! Denise podnosi się. Stoją na wprost siebie. Nie, ona wychodzi z gabinetu. Jest zdenerwowana. Zostawiła swoją kawę. Octave zauważa to. Bierze filiżankę i stawia ją na jej biurku. Obydwoje się uśmiechają. Ona nakręca włosy na palce, a on nie wie, co ma zrobić z rękami. Oboje pragną się dotykać, ale się powstrzymują. Teraz Octave wraca do gabinetu. Chodzi niespokojnie jak tygrys w klatce i zaciska pięści. Denise patrzy przez okno. Uwaga, odkryje nas! Wstaje, bierze swój płaszcz i wchodzi do gabinetu, żeby się pożegnać. Masz ci los. Jak zwykle, znów nie mają odwagi, żeby wyznać sobie uczucie. Denise wychodzi, to już koniec. Zegnaj, sekretna miłości.

Octave opada na fotel, zamyślony. Teraz zakłada płaszcz i wychodzi z gabinetu. Otwiera drzwi. Przez chwilę spogląda na pusty stół Denise. Gasi światła... To wszystko. Koniec przedstawienia.

- Jak sądzisz, co pomyśleliby o nas, gdyby nas zobaczyli? Może nas też ktoś śledzi.

W tej samej chwili dało się słyszeć pukanie do drzwi pokoju. Nasze śniadanie.

- Zastanawialiby się, jak długo tych dwoje może wytrzymać bez jedzenia, i to po tak wycieńczającej aktywności fizycznej. Idziemy jeść.

Postanowiliśmy nalać do wanny gorącej wody z solami i pianą i tam spożyć posiłek. Zrobiliśmy tak, ponieważ było to nielogiczne. Nikt nie konsumuje w wannie sandwicza z szynką i serem, polanego sosem, beszamelowym z pieczarkami. Można było się przyczepić, że z higieną byliśmy na bakier, gdy sos z *croque* spływał po naszych ciałach do wody. Mónica muskała stopą moją klatkę piersiową i polowała na płatek ucha, ja zaś smarowałem beszamelem jej paznokcie, które wciąż lakierowała na szafranowy kolor, wciskałem między palce jej stopy plasterki pieczarek, po czym siorbałem tak przygotowaną przystawkę, a ona skręcała się od tych bodźców w rozpalonych chichotach.

Skończywszy śniadanie w naszej pogodnej zatoce z pluskającymi się w jej wodach pieczarkami, zrelacjonowała mi swój kilkumiesięczny pobyt w Nowym Jorku. Mieszkała przy 44 West, w jasnym apartamencie o wysokich sufitach, pięć minut na piechotę od „New York Timesa”. Wolałaby mieszkać bliżej uniwersytetu, lecz to ludzie z gazety odpowiedzialni byli za wyszukanie jej mieszkania i szczerze mówiąc, praktyczniej było mieć łóżko przez ścianę z przybytkiem, w którym dzień w dzień wskazówki zegara zataczały pełne koło. Strasznie dużo pracy, narzekała tak bardzo, że niemal widziałem ją, jak w strzępach odzienia galernika, zakuta w kajdany stuka w klawiaturę pośród świstu batów i prowadzi nędzne życie towarzyskie, z wyłączeniem obowiązkowego terminarza dyktowanego protokołem. Na jednym z przyjęć przedstawiono jej Toma Wolfe'a. Ubrana była w białą sukienkę, swój ulubiony kolor, toteż koincydencja z nieśmiertelną kreacją idola posłużyła jej za temat rozmowy

i pretekst do sfotografowania się w otoczeniu pobłażliwego ramienia boskiego guru. Poza tym nie zawarła jeszcze wielkich przyjaźni oprócz tej z niezwykle piękną rosyjską dziewczyną dzielącą z nią mieszkanie i ten sam program - okoliczność, dzięki której zdobyły sobie przydomek *europin-ups* - reporterem weteranem, który robił za cicerone, oraz redaktorem specjalizującym się w najnowszych technologiach, z doskoku piratem informatycznym w jednej osobie, tracącym marginesem i który z opisu podejrzanie przypominał mi niesławnego Frana Dekaya. Jeśli nie żuły pizzy przed monitorem komputera, odwiedzały zazwyczaj znajdującą się w sąsiedztwie gazety małą grecką restauracyjkę, w której grał na pianinie i, jak się można domyślać, na innych organach również, klon Roberta Redforda w śródziemnomorskiej wersji o imieniu Dimitri. Na podstawie dostarczonych danych doszedłem w duchu do wniosku, że jak na razie nic nas od siebie nie oddalało, chociaż z drugiej strony, nic nas nie przybliżało, nie licząc jej nagłego impulsu, który kazał jej wyprosić kilka dni urlopu pod fałszywym pretekstem rzekomych problemów rodzinnych, zarezerwować bilet na pierwszy samolot do Paryża i podzielić się cielesnymi atrakcjami ze swoim dyżurnym kochankiem, to znaczy ze mną.

Gdy zakończyła kronikę swojej emigracji, przyszła kolej na mnie. Nie miałem zbyt wiele do przekazania poza informacją o postępującym i obsesyjnym zatraceniu się w poszukiwaniach. Opowiedziałem jej

O notatkach matki i garstce nowych śladów, o niepewności, jaką zasiały we mnie oskarżenia Victorii i o bezowocnym poszukiwaniu Delseya.

- A więc nie ruszyłeś jeszcze z miejsca?

- Nie. Nie sądzę, aby taktyka warowania pod drzwiami pisma mogła dać jakieś owoce.

- Pewnie, że nie. Spokojnie. Ten temat załatwię sama czterema telefonami.

Stała w wannie. Krople wody układały się w rysunek żywych nerwów kreślących kręte ścieżki w swoim niespokojnym dążeniu w dół jej sinusoidalnego ciała. Rozpostarła ręcznik jak pelerynę maga i owinęła się nim, a ja obserwowałem ją z przyjemnością

I wyczekiwaniem. Ręcznik dotykał niemal wody i jego krawędź zanurzona była w pianie.

- Widzisz? - rzekłem. - Jakość hotelu mierzy się rozmiarem ręczników, a tutaj są olbrzymie. Czego więcej nam trzeba. Nie potrzebujemy Ritza.

- To prawda, są duże. Większe niż ta łazienka. Nie wiem, gdzie je zdołali złożyć, ale na pewno nie tutaj.

Dała susa przez krawędź wanny i weszła do sypialni. Chwyciłem drugi ręcznik i ruszyłem w ślad za nią. Wyciągnęła się wygodnie na łóżku, wzięła telefon, położyła go sobie na żołądku i zdjęła słuchawkę.

- Potrzebuję pełne nazwisko Delseya i numer telefonu do zamku. Aha, i ten do redakcji. Działa to? Działa...

Zaintrygowany, co też mogła uknuć w tak krótkim czasie, odszukałem dane, o które mnie poprosiła, i zanotowałem je w notesie leżącym na nocnym stoliku. Rzuciła na niego okiem, wykręciła numer i zaczęła kilka sekund. Potem zaczęła mówić. Mónica posługiwała się francuskim o niebo lepiej ode mnie i z trudem nadażałem za rozmową.

- Dzień dobry. Czy to Chateau d'Angelique?... Czy mogłabym mówić z osobą zajmującą się darowiznami dzieł dla muzeum?... Tak, zaczekam, dziękuję... Dzień dobry. Z kim mam przyjemność?... Helenę Ginestet. Bardzo mi miło, Helenę. Moje nazwisko... Monique Caumartin, osobista sekretarka hrabiny... - pociągnęła za róg gazety leżącej na stoliku i wraz z nią na łóżko spadła książka Underwooda. Gazetą był dziennik „Le Monde”. Chwyciła go jedną ręką i uniosła do góry nogami na wysokość oczu - hrabiny de Ednom. Pozwalam sobie zadzwonić, bo pani hrabina złożyła przed kilkoma tygodniami wizytę w państwu muzeum i jego zbiory wywarły na niej niezatarte wrażenie. - Wzięła książkę i popatrzyła na okładkę. Zmarszczyła brwi w geście dezaprobaty. - Wrażenie było tak wielkie, że podjęła decyzję o dokonaniu darowizny. To szkic anioła autorstwa innego anioła, Michelangela Buonarrotyego, szkic pochodzący z jego studiów podczas prac w Kaplicy Sykstyńskiej... Tak, w rzeczy samej, to istne чудо... Chciałabym zasięgnąć informacji na temat procedury, jaką objęta jest darowizna... Aha... Aha... Aha... Dobrze. I proszę mi powiedzieć... pani wybaczy, ale zajmuję się podobnym zleceniem po raz pierwszy i doprawdy nie wiem, z której strony mam zacząć.

Zważywszy, iż jest to dzieło o bezcennej wartości, panią hrabinę bardzo turbuje transport obiektu. Państwo zajmą się tym osobiście?... Świetnie. Czy współpracują państwo z jakąś firmą transportową specjalizującą się w tego typu przewozach?... Transpoites Duchamp. Bardzo dobrze, cóż, nie pozostaje mi nic innego jak podziękować pani serdecznie, Helenę... Tak, słucham?... Tak, nazywa się hrabina de Ednom... E-D-N-O-M. Tak jak gazeta „Le Monde”, tylko czytana wspaniale... Nie, nie, to osoba niezwykle dyskretna, bardzo strzeże swojej prywatności i nie lubi gościć na łamach prasy... Tak, bardzo dziękuję, do widzenia.

Położyła słuchawkę i podniosła ją ponownie. Wybrała numer i czekając na sygnał, nawijała kabel na palce, podczas gdy jedną ze stóp podkurczonych i założonych jedna na drugą nóg, kreśliła w powietrzu kółka. Przyglądałem się jej rozbawiony, zachodząc w głowę, jak się to wszystko skończy.

- Halo? Dzień dobry. Chciałabym rozmawiać z panem Dominikiem-Emmanuelem Le Sciellour et Yvrenogeu... Nie ma go? A proszę mi powiedzieć, o której godzinie mogłabym go zastać w domu?... Jak to, to nie jest jego mieszkanie?... Redakcja magazynu? Z kim mam przyjemność?... Paulette Boisier. Nazywam się Monique Caumartin i dzwonię z przedsiębiorstwa Transpoites Duchamp. Otrzymaliśmy zlecenie doręczenia ładunku panu Le Sciellour na ten adres i chciałabym wiedzieć, na którą godzinę mogłabym wydać dyspozycję... tak, to dwumetrowy posąg w bardzo obszernym opakowaniu... Tak, tak... Proszę posłuchać, ja panią doskonale rozumiem, ale proszę również spróbować zrozumieć mnie. Pan Le Sciellour zamówił dostarczenie przesyłki na ten adres... Proszę pani, ja posiadam tylko numer telefonu, który figuruje w adresie doręczenia dostarczonym nam przez tego pana, boulevard des Capucines, to tutaj?... Tak, mogę zadzwonić na adres odbioru, ale oni nie mogą zlecić mi doręczenia na inny adres. O jakiegokolwiek zmianie może zdecydować jedynie zleceniodawca przesyłki... Tak, rozumiem, proszę się nie kłopotać, zadzwonię na adres odbioru i zobaczymy, czy tam znajdzie się jakieś rozwiązanie. Dziękuję, do widzenia.

Położyła słuchawkę, wyprostowała się gwałtownie, odbiła od łóżka i weszła do łazienki.

- Skorzystam z okazji, że Monique Caumartin z Transportes Duchamp dzwoni do zamku.

Wróciwszy, rozłożyła się ponownie na łóżku i wykręciła numer magazynu. Zniżyła głos i ruszyła do akcji.

- Dzień dobry. Nazywam się Helenę Ginestet z działu daro-
wizn Chateau d'Angelique, muzeum pana Delseya. Czy mogłabym
rozmawiać z Paulette Boisier?... Ach, to pani, bardzo mi miło,
Paulette. Dzwonię do pani z olbrzymią prośbą o pomoc w napra-
wieniu straszliwego błędu. Jak już pani z pewnością wiadomo,
dzwoniono do mnie z przedsiębiorstwa transportowego, któremu
pan Delsey zlecił odbiór pewnej rzeźby i dostarczenie jej do jego
domu w Paryżu. Jednakże zamiast adresu zamieszkania podał
adres państwa... Tak, ten człowiek to istny dopust boży. Problem
w tym, że w żaden sposób nie mogę zlokalizować pana Delseya
i w Duchamp bardzo się denerwują, ponieważ muszą wywiązać
się z obowiązku dostarczenia przesyłki... Nie, ja nie mogę zmie-
nić adresu, bo my figurujemy jedynie jako adres odbioru, a pan
Delsey zlecił przesyłkę osobiście. Udało mi się jednak przekonać
panią z firmy transportowej, aby państwo, którzy figurujecie jako
adres doręczenia, mogli poprosić o zmianę adresu. To przedmiot
o wielkiej wartości, proszę sobie wyobrazić, co by było, gdyby coś
się stało... Chciałabym zatem panią prosić, aby zleciła pani dosta-
wę do miejsca zamieszkania pana Delseya. Czy wyrazi pani zgodę
na takie rozwiązanie?... Doskonale, bardzo jestem pani wdzięczna,
Paulette. Pozwoliłam już sobie poinstruować osobę z Duchamp,
aby zadzwoniła do pani celem dokonania zmiany adresu... Jest
mi niezwykle przykro z powodu tego straszliwego zamieszania,
jest pani bardzo uprzejma. Jeszcze raz dziękuję, do widzenia.

Odłożyła słuchawkę, odczekała kilka minut i ponownie zadzwo-
niła do magazynu.

- Halo? Tutaj Monique Caumartin, z Transportes Duchamp.
Paulette Boisier?... Tak, no więc rozmawiałam... Aha, świetnie.
Wie pani, ja nie jestem pewna, czy powinnam... Tak, rozumiem
panią doskonale, ale na mnie spoczywa odpowiedzialność... Tak,
tak, rozumiem... Tak, w porządku, przekonała mnie pani. Proszę
mi zatem podać nowy adres doręczenia. - Z szerokim uśmiechem

Mónica chwyciła notatnik i ołówek, triumfalnym gestem pośliniła językiem grafitowy czubek i zaczęła notować. - Rue Royale, numer osiem. Potwierdza pani, że to adres zamieszkania pana Le Sciellour?... Dobrze, a jego telefon?... Świetnie... Tak, zapisałam. W porządku, zatem dostarczymy przesyłkę na ten drugi adres... Nie, proszę mi wierzyć, nie ma za co... Do widzenia, życzę miłego dnia.

Rzuciła słuchawkę z trzaskiem i spojrzała na mnie z uśmiechem. Z jej oczu sypały się iskry, jakby jej powieki składały się z hubki i krzesiwa i przez chwilę struchlałem, żeby się jej nie zajęły rzesy. Wyciągnęła rękę, wręczając mi notatnik z adresem i telefonem Delseya. Tak jak powiedziała, cztery telefony. Nie tylko zdobyła dane Delseya od osoby, która mnie ich odmówiła; sprowokowała sytuację, w której błagano ją, by je zechciała przyjąć. Nie pozostało mi nic innego, jak nagrodzić ją owacją na stojąco.

- Jesteś genialna. Potrzebuję cię, żeby odnaleźć dziadka w Kenii.

- Nie myśl, że zrobiłam to za frajer. Moje usługi są bardzo drogie i zaraz wyegzekwuję zapłatę.

- Jestem twoim uległym niewolnikiem.

- Przygotuj się zatem, bo posłużysz mi za nakrycie do deseru. Co tam mieliśmy? Ciastka i owoce?

Fikcyjni bohaterowie

Mónica zapadła tej nocy w głęboki, prawie dwunastogodzinny sen. Niewątpliwie przywykła już, że jej życie jest skrzynką bengalskich ogni, które spalają się jedna po drugiej każdego dnia i masowa kumulacja rzeczy niezwykłych była dla niej czymś zwyczajnym, czymś, co w żaden sposób nie mogło zakłócić jej błęgiego snu. Dla mnie to było zbyt wiele: podróż do Paryża, nagła wizyta Moniki, stachanowski maraton seksualny, jej błyskotliwe rozwiązanie poszukiwania Delseya i wszystko to utrzymywało mnie na krawędzi, uczonego kruchej i nieprzewidywalnej nitki jej kaprysu, bo przecież do tej pory nie zamieniliśmy ani słowa na temat tego, co stanie się po naszym najbliższym rozstaniu, a ja nie poruszałem tematu, bojąc się, że mogłaby zareagować nerwowo na moje tęsknoty do osiedlania naszego związku i, jak struś z opowiadania, roznieść ogrodzenie i zwać galopem za horyzont.

Przebudziłem się z niespokojnego snu o świcie. Mónica leżała na wznak z jedną ręką nad głową zagubioną w dżungli czarnych włosów rozsypujących się w liany zwisające nad śnieżnobiałą pachą, wykusze piersi wychylały się z obu stron, druga dłoń spoczywała na brzuchu, oskrzydlając pępek pięcioma szafranowymi strzałami skierowanymi grotami w stronę skapanego w białość i jogurcie wżgórka łonowego, uwięzionego w ciasnym więzieniu nóg założonych swobodnie jedna na drugą. Przykryłem ją kołdrą, zawinałem się w koc i wyszedłem na balkon zaopatrzonej w ocalałą z uczy

mandarynkę, paczkę papierosów i książkę Underwooda. Ranek pachniał słodko wyprasowany pod parą i wykrochmalony, złocisty, przejrzysty i ospały, jakby miasto zanurzone było w morzu oliwy. Usiadłem na podłodze za zasłoną z prześcieradeł przewieszonych przez balustradę i obierając mandarynkę, zatopiłem się w perypetiach Sangre de Cristo.

W drodze w góry, gdy bohater spodziewa się napaści czterech obdartych zbójców z mocno nadwreżonymi przez próchnicę zębami, opada go cała armia Apaczów zombi zwerbowanych przez Strome. Atoli dzięki doświadczeniu zdobytemu w podobnych incydentach Sangre de Cristo potrafi się wywinąć i schronić w opuszczonej kopalni, gdzie dokonuje dwóch odkryć. Po pierwsze stwierdza, że jego strzelba razi czopkami. Po drugie właściciele kopalni zostawili w niej na odchodne siedemset ton dynamitu, z którego kowboj skwapliwie korzysta, przenosząc kordyliery w inne miejsce i grzebiąc za jednym zamachem Indian zombi, podczas gdy Stroma zwiewa z podkulonym literalnie ogonem. Gdy wydaje się, że najgorsze ma już za sobą, zjawiają się czterej najemnicy ze zbutwiałymi pieńkami, którzy tymczasem porwali córkę bankiera dla niewyjaśnionych celów i dawno już zapomnieli, że mają zwrócić złoto jego nieprawowitemu właścicielowi. Podczas gdy zbiry mierzą do Sangre de Cristo, tocząc ślinę ze spróchniałego uzębienia, ten właśnie miarkuje, że bandyci dozbroili się, wypróżniając porzucone przez niego w kopalni ładownice. Zapala przeto z flegmatycznym spokojem cygaro, okrywa kobietę dwoma poncho, bierze ją w ramiona, przywołuje gwizdem klacz i oddala się luźnym kłusem w dół doliny pod zawziętym ostrzałem łajdaków prujących z gliceryny zawiniętej w cynfolię.

Zza szyby balkonowych drzwi wyłoniła się zaspana twarz Moniki.

- Dzień dobry, kochanie. Spałam chyba z dziesięć godzin non stop.

- Dwanaście.

- Co czytasz?

- To, moja droga, najlepsza rzecz, jaką wydała tandetna literatura od czasów Jacka Londona. To mój nowy przeceniony kultowy autor.

Bardziej zajmujący niż Baroja, klarowniejszy niż Verne i odznaczający się oczywiście o wiele bogatszą wyobraźnią niż Capote.

- O czym traktuje?

- To komiczny western grozy z elementami erotycznymi i pewnym zacięciem surrealistycznym.

- Aha. Szkoda, że to tak oklepany gatunek.

- Nie potrafię ci tego wyjaśnić. Lepiej będzie, jeśli sama prze czytasz.

- Zgoda. Mamy dzisiaj robótkę, prawda?

- Tak. Na rue Royale, numer osiem.

- Zatem nie traćmy czasu. Idę się wykąpać.

To, że poszła się kąpać sama, nie zaprosiwszy mnie pod prysznic w charakterze gumowej kaczuszki, odebrałem jako pierwszy przejaw rutyny w ramach naszego spotkania w Paryżu i jeden z pierwszych w trajektorii naszej burzliwej przygody. Powyższe posiadało cechy rytuału normalnych czynności celebrowanych przez normalnych zakochanych, tego wszystkiego mianowicie, co tak obrazowo przedstawiła mi podczas naszej sylwestrowej rozmowy jako wyklętą miłosną liturgię i gdy czytałem, słuchając arytmicznych uderzeń strug wody o ceramiczną podłogę, spłynęło na mnie cudowne wrażenie równowagi. Wierzyłem nawet, że w uroczym nastroju zjemy wspólnie spokojne i obfite śniadanie, komentując poranną prasę, ot, trywialna i zwyczajna czynność, której celebracji podczas naszych poprzednich spotkań konsekwentnie mi odmawiano i która stała się dla mnie kwestią osobistej konkwesty.

Ów paryski poranek miał wszystkie dane po temu, by sięgnąć doskonałości, gdyby nie to, że w drodze powrotnej do pueblo ostatni akt tragedii zawisa nad napiętnowanym nieszczęściem Sangre de Cristo. Po zapadnięciu zmroku kowboj i dziewczyna zatrzymują się na noc nad strumieniem i wnet przystępują do igraszek na rozpostartych poncho, gdy wtem, w pełni miłosnego uniesienia bohatera osacza przedziwne wrażenie, że oto nie tuli w ramionach kobiety, lecz jej ojca i że jej przepiękne piersi pokryły się ni stąd, ni zowąd bujnym i butnym włosom maści karej. Ani chybi Stroma zatopił był w jej szyi swe zabójcze zębiska. Przerażonemu Sangre de Cristo nie pozostaje nic innego, jak chwycić lewy rewolwer i nanizać

na srebrną kulę serce dziewczyny, stawiając mężnie czoło dramatycznemu suplementowi polegającemu na konieczności odzyskania kuli i ponownym jej stopieniu. Gdy tylko śmierć odwraca tragiczną metamorfozę kochanki, musi, chcąc nie chcąc, wyłuskać pocisk nie z pokrytych twardym włosiem wymion wilczycy, ale z wyprężonych jak lodowe góry piersi, z których onegdaj tryskało mleko i miód, teraz zaś skostniałych jak dwa jałowe growlery. Koniec.

Dokładnie w chwili gdy opuszczałem Sangre de Cristo przezwajającego klimaks bólu, zza balkonowych drzwi wyjrzała mokra głowa Moniki.

- Kolej na ciebie. Zostaw już tę literacką perełkę i idź się kapać.

- Dobra. A ty mogłabyś zamówić śniadanie.

- Śniadanie? Nic z tego. A jeśli Delsey się nam wymknie? Zjemy coś po drodze.

Zrezygnowany poczłapałem do łazienki. Miała rację. Mieliśmy adres, telefon, jednak nasze poszukiwanie jeszcze się nie zakończyło. Kiedy wyszedłem spod prysznic, była już przyobleczona w nieskalaną biel, golf bez rękawów, spodnie i wysokie kozaki na obcasie. Siedziała na balkonie na kocu i szpiegowała za pomocą lornetki przez szczelinę w balustradzie.

- Dzisiaj wszystko wre, aż para bucha! Denise włożyła swój najseksowniejszy komplecik. Ma na sobie przyprawiającą o zawrót głowy minispódniczkę i białą, nieziemsko eteryczną bluzkę z dekoltem. Nawet stąd widać, jak prześwituje przez nią stanik... O rany, to chyba Lejaby, mam taki sam. W komplecie są do tego milusie stringi. Założę się, że też je włożyła. Octave trzęsie się jak galareta. Nie może oderwać od niej wzroku. Myślę, że dzisiaj będziemy świadkami narodzin *amour fou*.

- Wybacz, że przerywam ci misję szpiegowską, ale czy nie byłaś łaskawa zauważyć, że mamy robótkę do wykonania?

- Tak, jasne. Chodźmy. Nie zapomnij zabrać magazynu, żebyś mógł go rozpoznać.

Po drodze zwierzyłem się Monice z obawy, że Delsey może okazać niechęć do współpracy z racji ciemnych spraw, jakie mogłyby ujrzeć światło dzienne. Należało rozmawiać z nim bardzo ostrożnie. Rue

Royale znajdowała się kilka kwartałów zaledwie od naszego hotelu, po wyjściu z którego należało dojść do bulwaru des Capucines, skręcić w jego przedłużenie, bulwar de la Madeleine, po czym przeciąć prostokątny plac, na którym wznosi się neoklasycystyczny kościół noszący tę samą nazwę, w kierunku placu Zgody. Ulica zadawała szyku kolekcją luksusowych sklepów przyglądających się sobie nawzajem w wielkich taflach witryn sięgających niemal chodnika i połyskujących tak, jakby wyglansowano je irchą i pastą do polerowania srebra. Stanęliśmy przed wyniosłą bramą zwieńczoną łukiem. Przebiegłem wzrokiem listę nazwisk widniejących pod przyciskami na panelu domofonu, Mónica zaś przyglądała się wnikliwie zdjęciu w magazynie. Wiele miejsc na panelu było pustych, jakkolwiek jedno z nich informowało zwięźle: „Sciellour”.

- W porządku - podsumowałem oględziny. - Teraz musimy zdecydować, czy stosujemy metodę abordażu, naciskając ten guzik, czy uciekamy się do bardziej wyrafinowanej taktyki i szukamy budki, żeby zadzwonić.

- Sądzę, że to zbyteczne dywagacje. On już zdecydował za nas.

-Kto?

Mónica pokazała na zdjęcie w magazynie, spoglądając jednocześnie ponad moim ramieniem.

-On.

Odwrociłem głowę, idąc za jej wzrokiem w głąb ulicy przesłoniętej kolumnadą kanonicznej perspektywy kościoła de la Madeleine. Starszy, wysoki, lancetowaty pan zbliżał się ku nam krótkim, łagodnym krokiem z gazetą pod pachą. Miał na sobie ubranie, które w kontekście jego wieku sprawiało wrażenie młodzieńczego: blezer w kolorze czerwonego wina dopasowany w talii i włożony na obszerną, białą, jedwabną koszulę wypływającą z brzegów rękawów i spodu blezeru oraz jasne spodnie z mankietami tańczącymi niczym hawajskie obręcze wokół szczupłych i nagich kostek. Mogłem przestudiować jego fizjonomię, gdy stanął przed wejściem, kilka metrów od nas. Szare, wciąż jeszcze gęste włosy zaczesywał do tyłu, a topograficzny relief jego masywnej twarzy o wyrazistych kantach bardziej zdradzał wiek niż stan skóry. Przeskakiwałem nerwowo

wzrokiem z fotografii w magazynie na jego twarz i z powrotem. Nie było najmniejszych wątpliwości. To był Delsey.

Oszołomiony, przynaglany do bezzwłocznego działania, działania błyskawicznego, acz niepochoopnego, działania roztropnego, ale i zdeterminowanego, błyskawicznego i niepochoopnego, roztropnego i zdeterminowanego, i w tym wąskim przedziale czasu pomiędzy fechtunkiem jego dłoni wywijającej kluczem i rychłym zatrzaśnięciem się drzwi, opadłem z sił i stanąłem na chodniku jak wryty. Widząc mój paraliż, Mónica przejęła inicjatywę i zwróciła się do niego po francusku, gdy już wsuwał się do środka.

- Baronie Delsey, baronie Delsey! Proszę wybaczyć, czy zgodziłby się pan poświęcić nam kilka minut?

- Przykro mi, ale nie udzielam wywiadów na ulicy. - Nie puszczając drzwi, z jedną nogą w holu, przeszukał kieszenie blezeru i wyciągnął dwie wizytówki. Popatrzył na nie i jedną z nich wręczył Monice, drugą zaś schował do kieszeni spodni. - Proszę skontaktować się z moim sekretarzem. Po dokonaniu stosownej akredytacji wyznaczę państwu termin spotkania.

Zdołałem złamać opór bezwładu i przyłączyłem się do Moniki.

- Panie baronie, nie jesteśmy dziennikarzami - wyjaśniłem po hiszpańsku. - To znaczy, tak w ogóle to nimi jesteśmy, ale nie sprowadzają nas tutaj kwestie zawodowe. Chodzi o osobistą sprawę. Nazywam się Curro Mencía. Jestem wnukiem Marii Eugeniei Mencía, Uke, i Hamisha Sutherlanda. Oboje byli w młodości pański mi przyjaciółmi.

Wbrew moim intencjom dźwięk tych imion nie spowodował żadnej widocznej emocji na jego twarzy, na której gościł ten sam wyraz zmęczenia, jaki widać było na zdjęciu w magazynie. Przez ułamek sekundy pomyślałem, że może zapomniał już języka, lecz wówczas odpowiedział mi doskonałym, neutralnym hiszpańskim pozbawionym najmniejszego akcentu.

- Uke... i Hamish... Co ja słyszę. Nie jest pan podobny do żadnego z nich - odparował, przybierając defensywną postawę.

- Cóż, wdałem się w rodzinę matki. Mój ojciec jest trochę podobny do Hamisha. A moja młodsza siostra ma rysy Uke.

- No tak. Ale czegoż państwo sobie życzą?

- Jeśli byłby pan baron tak uprzejmy i zechciał porozmawiać z nami kilka minut, pragnąłbym zadać kilka pytań dotyczących moich dziadków i tamtych lat. Usiłuję zlokalizować Hamisha.

- Hamisha? Był starszy ode mnie. Jeszcze żyje?

- Tego nie wiem. To jedno z pytań, na które bardzo chciałbym znaleźć odpowiedź.

Przez chwilę zdawał się wahać, lecz nie rozluźnił surowego wyrazu twarzy. Odszukał wizytówkę, którą wcześniej włożył do spodni, i przyjrzał się jej uważnie, nim mija wręczył. Widniała na niej jego pełna barokowa godność, telefon i adres z rue Royale, dane, które już znaliśmy.

- Przykro mi, ale teraz jestem bardzo zajęty. Mam na dzisiaj zaplanowaną wizytę i wiele innych obowiązków. Proszę do mnie zadzwonić, a z wielką przyjemnością poszukam jakiegoś okienka w agendzie.

Przyjąłem wizytówkę z przygniatającym uczuciem bezsilności, podczas gdy on bez słowa zniknął w holu za masywnymi podwojami zamykającymi się nam przed nosem. Zdołałem jedynie wykrzyknąć „panie baronie...!”, lecz moje błagalne wołanie utonęło w łoskocie ciężkiego żelastwa. Pomyślałem ze strachem, że odbyłem daremną podróż. Było jasne, że Delsey nie miał najmniejszej ochoty dzielić się ze mną swoimi wspomnieniami. Zrezygnowany przez kilka minut chodziłem tam i z powrotem lśniącym chodnikiem, wbijając wzrok w czubki butów, nie mając pojęcia, co w tej sytuacji powinienem począć, bo nie zakładałem przecież, że moje śledztwo napotka tak raptowny finał. Mónica tymczasem nie upadała na duchu. Zobaczyłem, że obserwuje uważnie górne piętra kamienicy. .

- Nie łam się. Usiądź na krawężniku.

- Jak to? Po co? Przejeżdżają tędy tabuny samochodów.

- Rób, co mówię. Usiądź.

Posłuchałem. Usiadła obok mnie, opierając stopy na asfalcie.

- Teraz oprzyj głowę o moje ramię.

Nie kwestionowałem jej poleceń. Dowiodła już nieraz, iż jest królową podstępny, choć nie potrafiłem jeszcze sobie wyobrazić, co kombinuje tym razem. Tak jak mi nakazała, oparłem głowę.

Otoczyła ramieniem moją szyję i potarła dłonią bark, przyciskając się do mnie raz po raz, jakby wstrząsały nią spazmy.

- W porządku, teraz pozostaje nam czekać. Zaufaj mi.
- Zwariowałaś. Zrobisz z nas tutaj marmoladę.

Spędziliśmy w tej pozycji jakieś dziesięć minut. Autobusy lizały kołami nasze stopy i beształy gniewnym pohukiwaniem klaksonów, aż w końcu usłyszeliśmy za plecami głos kogoś mówiącego po hiszpańsku, ale z silnym francuskim akcentem.

- Państwo wybaczą.

Złękłem się, że to może strażnik miejski przystąpił do udrożnienia arterii. Zamiast niego zobaczyłem młodego i przystojnego mężczyznę o wyglądzie wątlego, androgenicznego modela z twarzą dziecka, ubranego w nienagannie skrojony ciemny garnitur, pistajową koszulę i krawat w grochy.

- Baron Delsey zaprasza państwa do swego domu.

Wstaliśmy-ja zdumiony, Mónica rozpromieniona. Podążyliśmy za modnisiem do wejścia. Rzuciłem Monice pytające spojrzenie, a ona uniosła oczy, patrząc na najwyższe piętro budynku. Wyteżyłem wzrok. W jednym z górnych okien widać było wychyloną nieznacznie sylwetkę.

Wjechaliśmy na ostatnie piętro i Delsey osobiście otworzył nam drzwi. Przykryty łukowym sklepieniem, szeroki niczym aleja korytarz z ósmiorgiem lub dziewięciorgiem drzwi z każdej strony udekorowany był w odległej niczym na dnie worka głębi monumentalnym lustrem oskrzydłym niepoddającą się opisowi ramą, przywodzącą na myśl coś w rodzaju anielskiej bitwy rozpętanej pośród złotych i srebrnych pól, kłosów, zasuszonych kwiatów i powykęcanych w udęczone formy tkanin. Był to typ zwierciadła, w którym można by z powodzeniem ujrzeć własną śmierć. Ściany korytarza uginały się pod naporem obrazów, gobelinów i kandelabrow, a między drzwiami ciągnął się szereg konsol i witryn zapchanych drobnymi przedmiotami.

- Proszę wejść, śmiało. Bardzo proszę, pierwsze drzwi na prawo. Napiją się państwo czegoś? Thierry...
- Nie, bardzo dziękujemy, baronie Delsey - odrzekłem.
- Ja napiję się tego samego, co pan baron - wtrąciła Mónica.

- No dobrze, zatem dla mnie również to samo - skapitulowałem.

- Thierry, przynieś nam proszę butelkę sancerre i talerzyk chabichou.

Weszliśmy do wskazanego pokoju. Było to ogromne, przejrzyste pomieszczenie, na które wychodziły wszystkie znajdujące się po tej stronie korytarza drzwi. Część sąsiadująca z wejściem przypominała atelier, którym zawładnęły stopy najprzeróżniejszych przedmiotów, bezładna płatanina rzeźb zdająca się wymykać spod kontroli, zabytkowe obiekty w trakcie obserwacji klinicznej, meble w różnym stadium ruiny lub procesu wskrzeszania, rozpostarte płachty gazet, puszki z farbą, oleje i rozpuszczalniki, książki piętrzące się w nieregularnych, spiralnych stosach, narzędzia kamieniarskie i garncarskie, wielki wybór gałganów, misek oraz wyrobów ceramicznych wszelkiej maści. W ostrym kontraście do całego tego galimatiasu jawiła się najbardziej oddalona część oddzielona od reszty zasłoną z czerwonego aksamitu, przysposobiona na salę balową sprawiającą jednocześnie wrażenie wielkiego living roomu z szeregiem okien wychodzących na ulicę. Przypomni mi się komentarz ciotecznej babki Victorii na temat niegdysiejszych domów i tych współczesnych. Jak przystało na arystokratę wychowanego w zamku, Delsey zdawał się nie przejawiać klasycznego, wstydliwego przerażenia czy przerażającego wstydu z racji indywidualnego użytkowania wielkich przestrzeni, który to wstyd my, istoty obce tej elicie, odziedziczyliśmy i który w obszernych pomieszczeniach wymusza na nas autoreglamentację naszej przestrzeni do wymiarów wyznaczonych przez granice tego, co nazywamy przytulnym gniazdkiem, traktując salon jak przedłużenie piżamy. Salon Delseya rzucał wyzwanie metrażom, w których zwykły śmiertelnik czułby się jak u Pana Boga za piecem. O jego namiętności do ogromu i przesady wiedziałem już z notatek matki.

- Proszę wybaczyć tę entropię. Mały ten intymny zakątek jest rękawiczką mej duszy wywiniętą na lewą stronę, materialnym mani festem moich niepokojów, moich udreń i moich radości. To moja pracownia, którą zwykle zamykam, kiedy podejmuję gości, lecz państwa wizyty się nie spodziewałem. Tutaj puszczam wodze fanta-

zji swojej artystycznej obsesji. Rzeźba jest moją pasją, oprócz tego restauruję zabytki, która to rozrywka w najwyższym stopniu właściwa jest takiemu, jak ja, pedantycznemu i zdziwaczemu starcowi. Zapraszam dalej, bardzo proszę. Tam będzie nam wygodniej.

Część przeznaczona na celebrację przyjęć skomponowana była z wolnej przestrzeni zarezerwowanej dla tanecznych piasów i kręcenia się wte i wewte z kieliszkiem w dłoni i otaczały ją stopy mebli i ornamentów w czystym delseyowskim stylu, pnących się warstwami po lustrach, gzymsach i w niszach ścian, i można było odnieść wrażenie, że ogląda się od środka weselny tort. Całość w pastelowych i złocistych kolorach wyglądała na niedawno wymalowaną, w przeciwieństwie do poprzedniego modułu sali, gdzie przedmioty i ściany przykrywała patyna w kolorze starej miedzi. Z jakiegoś niewidocznego dla oka muzycznego sprzętu rozbrzmiewała żelazna i matematyczna harmonia „Koncertu włoskiego” Bacha, wprowadzająca nieco równowagi do pałacowej przesady salonu. Delsey wskazał nam miejsce na sofie pamiętającej jeszcze epokę sprzed udoskonalenia technologii obcinaczki do cygar, może Ludwik XV lub XVI, vis-a-vis niskiego stolika, któremu również udało się przetrwać rewolucję.

- Proszę, niechże pan siada, panie Mencfa, a ta cudnej urody panienska jest...

- Mam na imię Mónica, jestem narzeczoną Curra.

- Bardzo mi miło. - Pochylił się i pocałował Mónicę w rękę, nim usiadł na krześle, którego tapicerka korespondowała kolorystycznie z sofą. Skrzyżował nogi i mankiet spodni zatańczył mu znowu wokół nagiej kostki niczym hula-hoop. - Jak rozumiem, moja osoba nie jest państwu obca, sądzę zatem, że nie muszę się przedstawiać, aczkolwiek... - zawiesił spojrzenie na magazynie, który Mónica trzymała w ręku - proszę mnie nie oceniać przez pryzmat tej frywolnej rubryki. Celebryzm jest rozpaczliwym sposobem na zaistnienie dla kogoś, kto nie może już zwrócić na siebie uwagi innymi, bardziej treściwymi argumentami. - W tej samej chwili dotarło do mnie, że nie przeczytaliśmy nawet jego artykułu. - Nade wszystko błagam, przyjmijcie państwo najszczerze przeprosiny za moje wcześniejsze, jakże grubiańskie zachowanie.

Potępiam uliczne molestowanie, jakiego dopuszczają się dziennikarze, tej brutalnej inwazji na prywatność człowieka, której jedynym i odrażającym celem jest frymarczenie na rynku jego intymnym życiem. Nieustanne nękanie i, jak sędzę, upływ czasu, uczyniły ze mnie istotę nieufną i podejrzliwą, wykształcając we mnie cechy, które niegdyś były mi absolutnie obce i które wydobyły na światło dzienne nietowarzystkie, ponure zwierzę pełzające między włóknami mej istoty. Niekiedy ponoszą mnie nerwy, nad czym natychmiast boleję. Pomyślałem, że są państwo natrętnymi paparazzi, a później, kiedy wspomniał pan o Uke i Hamishu... Cóż, nie spodziewałem się dzisiaj usłyszeć dźwięku tych imion. W gruncie rzeczy nie sądziłem, że kiedykolwiek jeszcze je usłyszę. Minęło już tyle czasu... Przyznaję, ogarnęło mnie poczucie bezbronności, a kiedy mojemu systemowi odpornościowemu zagraża ślepy sztych ostrych strzał, duch mój pokrywa się pancerzem ze stali i nieulekłości. Lecz chwilę potem dostrzegłem państwa tam, w dole, siedzących na chodniku, lekceważących niebezpieczeństwo tego zmotoryzowanego szaleństwa i płaczących, płaczących!, i wówczas zrozumiałem, że dopuściłem się karygodnej niesprawiedliwości. - Rzuciłem ukradkiem znaczące spojrzenie Monice. Powstrzymała uśmiech, nie odrywając wzroku od Delseya. - Odbyli państwo długą podróż, aby móc ze mną rozmawiać, a jeśli jedyną wskazówką był ten magazyn, domyślał się, że musieliście błądzić w skomplikowanym labiryncie tropów, nim znaleźliście drogę do moich drzwi. Teraz jednak gorąco pragnę zasłyszeć nowin o Uke. Proszę mi opowiedzieć, co się z nią działo przez te wszystkie lata? Tuszę, że czuje się dobrze.

- Cóż... Obawiam się, że nie. Umarła. Czternaście lat temu. Zabrała ją ciężka choroba.

- Och, Chryste Panie. Jakież straszliwy ból sprawiają mi te słowa. Była taka piękna... Była najpiękniejszą istotą, jaką kiedykolwiek znałem. Cóż za ślepy fatalizm, co za nieszczęsny los. Była przecież jeszcze młoda.

- Sześćdziesiąt sześć lat. Fizycznie czuła się wyśmienicie. Choroba strawiła ją w przeciągu kilku tygodni.

- Nieszczęsna istota. A ja siedemdziesiąt i... tutaj, dźwigając z kąta w kąt tę zmurszałą mumię, która w niczym nie przypomina

na mnie, ale kogoś zupełnie innego. Życie jest okrutną ruletką. Wspomnił pan, że stara się odnaleźć Hamisha? Mówił pan tam, na ulicy, o podobieństwie do niego swego ojca. Czy posiada pan jakieś zdjęcie z tamtych lat? A może poznał go pan osobiście?

- Tak, poznałem go. Zjawił się w naszym domu w Torreldones, kiedy zmarła babcia. Zawiadomiła go jej siostra, Victoria.

- Ach tak, Victoria. Pamiętam ją, pamiętam. Domyślam się, że także już nie żyje.

- Otóż nie. Victoria żyje.

- Ach, to dobrze, to bardzo dobrze. Bardzo się cieszę.

- Bez obawy. Ja również nie przepadałem nigdy za Victorią, chociaż trzeba przyznać, że wiek znacznie stemperował jej dawną surowość.

- No cóż, nie uważam jej wcale za osobę przenikniętą złem do szpiku kości. Ja nie wzbudzałem w niej wielkiej estymy, jak łatwo się domyślić - zaśmiał się. - Hamish podobnie. Ale bez wątpienia wielbiła swoją siostrę. Wspomnił pan zatem, że Hamish złożył wam wizytę...

- Tak. Został z nami kilka tygodni i w tym czasie wytworzyła się między nim a mną prawdziwie rodzinna więź. Bardzo go polubiłem. Po jego wyjeździe nigdy więcej o nim nie słyszeliśmy, ale w pewnym sensie odcisnął piętno na naszej rodzinie. Moi rodzice rozstali się i niebagatelny wpływ miały na to kłótnie, jakie wybuchały z jego powodu. Mój ojciec nie zgotował mu zbyt entuzjastycznego przyjęcia. Zawsze uważał go za lekkoducha i próżniaka, który porzucił babcinę będącą przy nadziei. Hamish wyznał mi, że nie wiedział o tej ciąży, i matka skłonna mu była wierzyć. Jego związek z babcią pełen jest zagadkowych niewiadomych. Niewiadomych, które chciałbym odkryć.

- Myśli pan, że rozwikłanie tej sprawy mogłoby połączyć na nowo pańskich rodziców?

- Nie wiem. Lecz mam dziadka, którego prawie nie znam. To historia mojej rodziny. Jestem ciekawy. Jestem dziennikarzem.

- I mówi pan, że wszelki śluch po nim zaginął? Jak zatem odnalazła go Victoria?

- Przechwyciła kilka listów, które Hamish, po wyjeździe do Kenii,

wysłał do babci. Przepisała adres nadawcy z tamtych starych kopert i list dotarł do jego rąk.

- Czy pisaliście państwo do niego później na ten sam adres?

- Pisaliśmy do niego na adres, który zostawił on sam. Było to kilka miesięcy po tym, jak wrócił pośpiesznie do Kenii. Zmarł wówczas tamtejszy prezydent i Hamish obawiał się o swoją własność. Nigdy nam jednak nie powiedział, co go tak zaniepokoiło. I nigdy nie odpowiedział na nasze listy.

- Rozumiem. A co to był za adres?

- Nie wiem. Nie otrzymawszy odpowiedzi i z racji problemów, jakie wynikły z jego przyczyny, matka przestała pisać. Nie zachowała adresu, Victoria zaś wyrzuciła listy po śmierci Uke.

- No tak. Nie posiadałbym się z radości, gdybym mógł panu pomóc, lecz niestety od tamtych zamierzonych lat nie utrzymuję kontaktu z Hamishem i nie mam najmniejszego choćby wyobrażenia o miejscu jego pobytu. Nie wiem nawet, czy jeszcze żyje. Był starszy ode mnie. Miałby teraz osiemdziesiąt dwa lata, a nie był miłośnikiem zdrowego trybu życia. Szczerze mówiąc, w tamtym czasie nie był nim żaden z nas.

- Nie byłem pewien, czy pan baron będzie posiadał jego adres. Pomyślałem natomiast, że mógłby pan odpowiedzieć na kilka pytań, które być może pomogłyby mi w poszukiwaniach, chociażby tylko po to, aby móc prześledzić historię jego życia.

- Jakiego rodzaju pytania?

- Sprawa dla mnie fundamentalna, czy wiadomo panu, dlaczego on i babcia się rozstali?

- Ekhm... Nie, kiedy wydarzył się ów epizod, mnie już w Torrelodones nie było. Przeniosłem się do Francji, a ukochany przyjaciel Hamish pozostał w mojej górskiej willi. Pamiętam, że kilka miesięcy później Uke złożyła mi niespodziewaną wizytę, którą sprawiła mi niewymowną radość, bo w owym momencie znajdowałem się pośrodku burzliwego oceanu chłostanego sztormem. Wraz z ojcem wyjechała z Hiszpanii i mieszkali przez jakiś czas tutaj, w Paryżu. Powiedziała mi, że jest brzemienna i że Hamish wyjechał do Afryki. Jak nietrudno zrozumieć, nie pytałem o szczegóły jej związku ani rozstania, byłby to przecież gruby nietakt. Uke

rozważała możliwość napisania do niego listu. Podałem jej dane hotelu, w którym Hamish zatrzymał się podczas poprzedniej podróży do Afryki. Nazywał się Sussex. Suffolk. Nie, Norfolk, właśnie tak. Norfolk.

- Może wiadomo panu baronowi, czy próbowała pisać do niego na ten adres?

- Nie, chociaż domniemywam, że tego nie zrobiła. Myślę, że powie działaby mi o tym. Korespondowaliśmy z sobą przez pewien czas, póki życie nie rozdzieliło naszych dróg.

- Zatem pan baron również nie pisał do Hamisha? Nigdy?

- Otóż... nie, prawdę powiedziawszy, nie. Zdaję sobie sprawę, jak szokujące może wydać się takie stwierdzenie, zważywszy na łączącą nas serdeczną przyjaźń. Lecz jakżeż miałem to uczynić? Z wyjątkiem owego mglistego punktu odniesienia, jakim był hotel Norfolk, nie wiedziałbym, dokąd wysłać list.

- A czy on nigdy nie napisał do barona?

- Otóż... Od tamtego czasu minęło już sześćdziesiąt lat i trudno jest przywołać tak odległe wspomnienia. Ale oczywiście, nie. Nie, stanowczo, nie. Jestem o tym przekonany. W przeciwnym razie odpowiedziałbym mu i pamiętałbym o tym, miałbym jego adres.

- To prawda. Panie baronie...

- Och, może pan sobie darować ten tytuł, jeśli pan woli. Mamy tutaj republikę.

- Zgoda, panie Delsey. Przed złożeniem panu wizyty rozmawiałem z moją cioteczną babką Victorią. Poza panem jest jedyną osobą, która może mówić o tamtych wydarzeniach w pierwszej osobie. Dowiedziałem się od niej dość niepokojących rzeczy na temat Hamisha.

- Ach tak? Co też pan powie.

- Powiedziała, że kiedy Hamish i babcia... Chodzi o to, że w życiu Hamisha była inna kobieta.

- Inna kobieta? No cóż, jest rzeczą ewidentną, że Hamish nigdy nie uległ pokusie wątpliwych słodczy celibatu. Był postawny, przy stojny, czarujący, uwodzicielski... Przed Uke w jego życiu były inne kobiety.

- Yictoria zapewniała jednak, że była jakaś kobieta w czasie

trwania jego związku z Uke. Jeśli udzielona mi przez nią informacja jest prawdziwa, pan musiał wiedzieć o tym również.

W samą porę rozległo się pukanie do którychś z drzwi i do sali wkroczył androgeniczny sekretarz z tacą, na której prezentowała się okazale butelka białego wina w kubelku z lodem, trzy kieliszki i talerz wypełniony apetycznymi plasterkami sera. Przerwaliśmy rozmowę, gdy stawiał tacę na stoliku i odkorkowywał butelkę. Nieoczekiwanie rozdrażniony Delsey odprawił go niecierpliwym gestem i sam nalał wina. Zdawał się bić z myślami, czy wyssać z palca wiarygodne kłamstwo, czy odpowiedzieć szczerze.

- Proszę skosztować chabichou. To ser z koziego mleka, doskonały jako przystawka i tworzący wspaniałą kombinację smakową z sancerre. Delicje te posiadają niezwykłą moc - ożywiają mój umysł i wybudzają uśpioną francuską duszę. -I w nawiązaniu do tej uwagi wyrecytował z egzaltacją fragment ze strof Jorgego Manrique:

*Pomnijże, duszo uśpiona,
ożyj i zbudź się, umyśle,
poglądając,
jak rychło ten żywot kona,
jak śmierć bieży ku nam zmyślnie,
milczkiem nastając:
jak spieszenie gasną rozkosze,
jak w przytomność wróciwszy,
bólem raczą;
jak zgani pomyśleniem płochem,
dni, co się w popiół zetliwszy,
tęsknie płaczem.*

Zawiesił ostatnie wersy w poświście ciszy, jakby chciał nimi zatytułować swój wywód. Podczas gdy Mónica i ja rzuciliśmy się bez zbędnych ceregieli na ser i wino, Delsey ujął swój kieliszek i skosztował łyk, zanim wrócił do przerwanej wątku.

- Hamish był najwspanialszym człowiekiem, jakiego dane mi było poznać w życiu, Apollem, którego wydała ziemia Hiperborejów, sir Galahadem w lśniącej zbroi. Prawością i hartem ducha. Był wszystkim

tym, czym ja pragnąłem być, lecz czym dzieli podług swego uznania natura. Mężny, nieustraszony, bohaterski, porywający. Zdobywał jednym spojrzeniem nie tylko kobiety, ale wszystkie istoty. Żył intensywnie jak ktoś, kto wie, iż jest strażnikiem płomienia w ciemności, a w jego epopei nie było miejsca na zachowawcze, irracjonalne łańcuchy odwiecznej i prozaicznej rutyny. Po śmierci rodziców otrzymał rachityczną spuściznę, kilka zaledwie obrazów, cennych, lecz jakże niewystarczających, by unieść ciężar epickiej przeprawy, jaką los wyznaczył mu w jego podróży przez życie. W czasie pobytu w Torrelodones jego majątek skurczył się, aż praktycznie przestał istnieć. Kilka lat wcześniej odbył podróż do Afryki ze swoim ojcem przyjaźniącym się z zamieszkałym tam majątnym wdowcem, człowiekiem, który pewnego dnia za podszeptem kaprysu zlikwidował swoje sprawy w Anglii i wybudował farmę na tym odległym i dzikim kontynencie. Interes kwitł, co zachęciło ojca Hamisha do założenia spółki z przyjacielem, jednak ten wówczas odkrył, iż przyszły wspólnik nie dysponuje wystarczającym kapitałem umożliwiającym pokrycie inwestycji. Poczul się oszukany, wpadł we wściekłość i rozgłosił w całej kolonii, że ojciec Hamisha jest kłamcą, nurzając w błocie inwektyw jego imię. Z tego, co mi wiadomo, nie było mowy o próbie oszustwa, niedoszły wspólnik chciał jedynie zwrócić się o pożyczkę do swojej rodziny, możnej i wpływowej gałęzi rodu Sutherlandów, z którą nie utrzymywał braterskich stosunków, lecz która okazała się gotowa zainwestować w interesy gwarantujące rentowność i pomnożenie rodowego dziedzictwa. Tak czy owak incydent ten zmienił przyjaźń między dwoma mężczyznami w posępną wrogość. Ale nastąpiło coś, czego ani farmer, ani ojciec Hamisha nie brali pod uwagę: raz jeszcze ziarno miłości zakiełkowało w sercach przedstawicieli rodów Montekich i Kapuletów. Hamish i jedyna córka farmera, dwoje nastolatków na wydaniu, zakochali się w sobie, rozpętując żarliwy i niepohamowany huragan zmysłów. - Ponownie oddał się recytacji owładnięty dramatycznym uniesieniem: „Na skrzydłach miłości/ Lekko, bezpiecznie mur ten przesadziłem/ Bo miłość nie zna żadnych tam i granic;/ A co potrafi, na to się i waży"*.

William Szekspir, „Romeo i Julia”, przeł. Józef Paszkowski, PIW, Warszawa 1955 (przyp. tłum.).

z synem powrócili do rodzinnej Szkocji, dwoje zakochanych rozpalilo *żagwią* swej miłości płomień intensywnej łączności epistolarnej. Aż pewnego dnia, z wyroku niebios, na farmera spadła śmierć od okrutnych rogów olbrzymiego bawołu. Cordelia, bo tak nazywała się jego córka, była jedyną spadkobierczynią fortuny rodziciela i farmy. Chowano ją jednakowoż nie inaczej jak delikatny, szklamiowy kwiat, postanowiła zwrócić się więc o pomoc do Hamisha. Ślubowali sobie, że wstąpią w związek małżeński, pozostaną w Afryce i wspólnie poprowadzą farmę. Wszelako ojciec Hamisha miał stanowczo przeciwstawić się tym planom w akcie zemsty za doznaną zniewagę. I raz jeszcze zgubny los uderzył w złowieszczy płas, sprawiając, że pewnego fatalnego dnia domostwo Sutherlandów pochłonięły rozszalały pożar, unicestwiając życie obojga rodziców. Hamish ocalał swoje istnienie tylko dlatego, że szczęśliwym trafem nie przebywał wówczas w rodowej sadybie. Oplakawszy rodziców, oświadczył się Cordelii, nakreślił plany ślubu, resztki mizernego kapitału przeznaczył na udział w farmie i wyruszył w podróż, której ostatecznym celem miało być rozpoczęcie nowego życia w Afryce. Przed zapuszczeniem jednak na stałe korzeni w tym nowym i dzikim świecie pragnął zakarbować sobie w pamięci geografię i cuda starej Europy i zaszczycił mnie swoją kompanią. Odwiedziliśmy wiele miejsc, aż w końcu przybiliśmy do mojej posiadłości w Torrelovenes. I wówczas, któż wie, za jakim to niezwykłym powiewem zefiru, pojawiła się Uke. Ona, najpiękniejsza, najbardziej niebiański z materialnych tworów. Podczas pierwszych spotkań Hamish ją emablował, szybko jednak zakochał się bez pamięci i jego wola pękła niczym mydlana bańka. Prawdą jest, że z początku się wahał, lecz mogę państwa zapewnić, że na kilka tygodni przed moim wyjazdem przyjaciel mój nie hołubił innej intencji, jak związać się z Uke do końca dni swoich. Jednak mimo wszystko był on w pierwszej kolejności człowiekiem honoru. Podjął formalne zobowiązanie i uważał, że o decyzji cofnięcia danego słowa narzeczona winna dowiedzieć się z jego własnych ust. Niezależnie od konsekwencji uważał za swój obowiązek odbyć podróż do Afryki i rozwiązać sprawy pozostające w zawieszeniu. Rekapitulując, czy była inna kobieta? Tak, była, ale Hamish wybrał Uke. Dlaczego związek ów nie znalazł swojego finału przed ołtarzem, tego, jak już powiedziałem, nie wiem. W tamtym czasie przecho-

dziłem ciężki kryzys osobisty i nie dane było mi poznać epilogu tej historii.

Delsey zakończył swoją przemowę, spojrzawszy przelotnie na Mónicę, potem na mnie, po czym utkwiał wzrok w oknie, pogrążając się w zamyśleniu. Bałem się sprowadzać rozmowę na grząski grunt, lecz analizując naprędce w świetle tych rewelacji znane mi już informacje, nie pozostawało mi inne wyjście.

- Rozumiem. To piękna historia i całkiem przekonująca. Jest jednak pewien szczegół, który nie daje mi spokoju. Kiedy Hamish zakochał się w Uke, jej rodzina cieszyła się dobrą sytuacją finansową. - Jakby przez nieuwagę, dłoń Moniki opadła na moją rękę. Niewątpliwie wiedziała, do czego zmierzam. - Jednak wyjazd Hamisha do Afryki, którego celem, jak się domyślam, było spotkanie z Cordelią, zaskakująco zbiegł się w czasie z utratą przez ojca Uke, skutkiem katastrofalnej operacji finansowej, wielkiej części majątku.

- Młodzińcze, nie waz się insynuować podobnych rzeczy! Hamish nie był łowcą posagów! Co też pan sobie wyobraża, że można wejść w moje progi i plamić dobre imię moich przyjaciół? Pamięć o własnym dziadku?

- Bardzo mi przykro, panie baronie, proszę mi wierzyć, nie taka była moja intencja, ale nie sposób nie pochylić się nad tym... nieszczęsnym... zbiegiem okoliczności. - Dłoń Moniki ścisnęła moje przedramię.

- Zbieg okoliczności, otóż to! Czysty zbieg okoliczności! Co też pan sobie wyobraża, że pański dziadek był korsarzem z romansu? Czy może pod moim adresem kieruje pan oskarżenia o świadczenie nieprawdy?

- Ani jedno, ani drugie, panie baronie. Naprawdę, jest mi bardzo przykro, że go uraziłem. - Postanowiłem postawić wszystko na jedną kartę, mimo iż Mónica kurczowym uściskiem tamowała mi krąże nie krwi w ręce. - Ale... w takim razie, co panu baronowi wiadomo na temat pożaru w domu Sutherlandów? Posiadam informacje, według których miejscowa ludność podejrzewa, że nie był to wypadek. Jeśli ojciec Hamisha nie akceptował małżeństwa syna z Cordelią, być może był to wystarczający powód do tego, aby...

- Plotki! Paplanina starych bab! Bezmyślne strzępienie jęzorów ciemnych i zawistnych chłopów! Czyżby nie wiedział pan, że ród Sutherlandów był obiektem knowań i wrogości w Golspie dlatego tylko, że jeden z przodków zapisał się w pamięci potomnych jako despotyczny władca? Czy Hamish musi dziedziczyć tę winę? Tę podejrzliwość? Czy musi walczyć o swe dobre imię, którego nigdy nie wystawił na szwank? Panie Mencia, panienko, wielka szkoda, że przybyli państwo z tak daleka, ażeby podsycać ogień podobnych kalumnii i obelg. Myślę, że nasza rozmowa dobiegła końca. Proszę mi wybaczyć, ale wzywają mnie pilne sprawy.

Jakby wyprostowała się w nim jakaś niewidzialna sprężyna, wstał energicznie z krzesła, nie tracąc przy tym ani na chwilę swego dostojęstwa. Zanim się pożegnaliśmy, zostawiłem mu wizytówkę z moim adresem i telefonem w Madrycie, na której zapisałem nazwę naszego paryskiego hotelu. Chociaż w głębi ducha liczyłem na ponowne spotkanie z Delseyem, kiedy tylko opadną w nim emocje, nie mogłem uwolnić się od uczucia rozczarowania brakiem śladów i tym, że - abstrahując od zażartej obrony dziadka przez Delseya, cechującej się podobną wiarygodnością, co wyczyny Sangre de Cristo - nowe wzmianki nie przemawiały na korzyść postaci, którą cenilem, lecz osoby, którą spotwarzał mój ojciec. Gdy szliśmy w stronę wyjścia, Thierry zbliżył się do Delseya i szepnął mu coś na ucho.

- Dzwoniła Paulette Boisier z redakcji. Pyta, czy pan baron otrzymał posąg.

- Posąg? Jaki posąg?

Stulecie, w którym spaliśmy nadzy

Mónica nie mogła się doczekać, kiedy jej stopy dotkną marmurowej posadzki w wejściowej bramie, żeby obrobić mi niestrzeżone tyły-

- Czemu to zrobiłeś? Obraziłeś go, przestraszyłeś i zepchnąłeś do defensywy. Nie uczyli cię na studiach, jak prowadzić wywiad i nie rzucać się do oczu rozmówcy?

- Spokojnie. To ty mnie do tego zainspirowałaś. Za pomocą chłodnej kalkulacji nic byśmy nie wskórali. On łatwo daje się ponieść emocjom i szybko żałuje swoich gwałtownych porywów. Sam to powiedział. Założę się, o co chcesz, że zadzwoni i zaprosi nas do siebie ponownie. Ale po to, by się otworzył, należało go doprowadzić do sytuacji skrajnej, sprowokować, żeby poczuł się bezbronny.

- Na nic ci się zda jego otwarcie, jeśli nie ma już nic więcej do powiedzenia. Jego wersja jest koherentna.

- Rzekłbym nawet, że zbyt koherentna. Czyżbyś nie zauważyła? Kiedy zapytałem go, czy Hamish napisał do niego kiedyś, najpierw zawahał się, później zaś stwierdził z niezachwianą pewnością, że nie, że w przeciwnym razie odpowiedziałby mu i tym samym znałby jego adres. Musiał pomyśleć, nim zaserwował nam tę odpowiedź, bo nie opowiadał tego, co faktycznie się wydarzyło, ale to, co musiał odpowiedzieć, to, co zgadzało się z jego wersją historii. Hamish napisał do niego, jestem tego pewny.

- I jaki miałby interes, żeby trzymać to w tajemnicy?
- Nie mam pojęcia. Ale na sto procent tutaj właśnie muszą skrywać się najsmakowitsze kąski.

Skorzystalismy ze złudnego zawieszenia broni ze strony nieba naburmuszonego burzą, aby wrócić do hotelu dłuższą drogą, zataczając szerokie koło skrajem przeciwległego brzegu Sekwany, okrążając Pole Marsowe, przemierzając esplanadę przed kościołem Inwalidów i wracając przez Saint-Germain z kulinarnym postojem w Dzielnicy Łacińskiej. Tam niebo embrionalnej wiosny wybuchło wściekłym płaczem jak niemowlę domagające się matczynej piersi i chowając się w przygodnej bramie, musieliśmy złapać taksówkę, żeby w kapitulanicznym stylu dopełnić trajektorię naszej wędrówki. Wszedłszy do hotelu, miałem nadzieję, że będzie nas czekać wiadomość od Delseya, i serce zabiło mi żywiej, gdy wręczając mi klucz, recepcjonista wykonał gest, jakby chciał mi powierzyć poufną informację. Jednak krył się za tym całkiem inny motyw.

- Dowiedziałem się tego, o co mnie pan prosił, o tym facecie z telewizji. Występuje w...

- Wszystko jedno, proszę o tym zapomnieć, to już nieaktualne. W każdym razie jestem wdzięczny, że się pan trudził.

Mężczyzna wzruszył ramionami, a my poszliśmy do windy.

Chwilę później, otulona kocem stanowiącym już żelazny element naszej paryskiej garderoby, Mónica wyszła na balkon z lornetką zwarta i gotowa, aby szpiegować swoje laboratoryjne morskie świnki. Naraz zawołała mnie podnieconym głosem, posiłkując się jednym z tych szeptanych krzyków, które w rzeczywistości grzmiały tymi samymi decybelami, co ton zwykłej rozmowy. Jak poprzedniego dnia wślizgnąłem się pod koc i usiadłem za nią, podejmując na leżu torsu słodki ciężar jej pleców. Objąłem ją i pochwyciłem w dłonie gorące piersi pulsujące w rześkim powietrzu świeżo zroszonego popołudnia.

- Patrz, patrz! Są sami w gabinecie, siedzą za biurkiem naprzeciwko siebie, oboje pochylają się do przodu. Denise nerwowo muska dłońią udo, Octave wysuwa w przód stopy pod biurkiem, niemal dotykając czubków jej pantofli. Do diabła, elektrycznością skumulowaną w tym pokoju można by oświetlić średniej wielkości miasto!

Nic, tylko uśmieški i ksiuty. Denise wygląda dzisiaj szałowo. On nie będzie mógł się oprzeć. Czekaj! Wstają i Octave bierze ją za rękę. To uścisk z kategorii gestów udających koleżeństwo, będących w rzeczywistości przykrywką dla pieszczoty. On bierze swoje palto, teczkę i wychodzą z gabinetu. Kładzie dłoń na plecach Denise, aby przepuścić ją w drzwiach, jednak dotyka ją dokładnie w miejscu, gdzie znajduje się pasek stanika. - Zaśmiała się figlarnie. - Znam to na pamięć, przepuszczali mnie tak niezliczenie wiele razy. Faceci sygnalizują w ten sposób pożądanie, dotykając w sposób pośredni tego, czego ty dotykasz w tej chwili bez ogródek. - Rozluźniłem uścisk i zwróciłem ku niej głowę, marszcząc brwi. - Octave chwycił palto Denise i pomaga jej się ubrać. Dzisiaj wychodzą razem! I na pewno nie rozejdą się każde do swojego domu. On wkłada palto i gasi światło. Koniec. Wyszli z biura. Teraz musimy zacząć, aż pojawią się na dole, w bramie. - Pochyliła się w przód i wyjrzała przez szczelinę w odchylonym prześcieradle zwisającym na poręczy. Dwie minuty później drzwi wychodzące na ulicę otworzyły się i wyszli, najpierw ona, potem on. Poszli chodnikiem w stronę bulwaru Haussmanna, nie ocierając się o siebie, ale też nie odrywając oczu jedno od drugiego, rozmawiając i śmiejąc się, on kołysząc swoją teczką, ona biodrami. Mónica patrzyła za nimi i aby zachować odpowiedni kąt widzenia między prześcieradłami, wyginała ciało, dokąd tylko się dało, bez ryzyka zaprezentowania swoich wdzięków całemu sąsiedztwu.

- Zegnajcie, zakochani. Życzę wam szczęścia w waszej arkadii kobiecych uniesień. - Dopiero teraz zrozumiałem, że Mónica zapożyczyła imiona Octave i Denise z powieści Zoli. Oparła się ponownie i odwróciła do mnie głowę z psotnym uśmieškiem na twarzy. - Myślisz, że Delsey i jego sekretarz...?

- Jesteś chora. Nie potrafisz myśleć o czym innym?

- A ty? - odparowała z drwiną, opuszczając wzrok ku miejscu, gdzie koc zdawał się żyć własnym życiem i gdzie jej piersi twardniały w odpowiedzi na harce moich kciuków.

- Myślę, że rzeczony dżentelmen został wyselekcjonowany za pomocą castingu, a nie rozmowy o pracę.

- Delsey czuje miętę do aniołów, nieprawdaż? Thierry jest tak

dwuznaczny, tak nimfowaty... Desperacka próba zatrzymania młodości.

- Biedny Delsey. Dla estety starzenie się musi być niebywale gorzkim doświadczeniem. Myślisz, że w jego wieku jeszcze...?

- Oczywiście! A ty myślałeś, że gdy przekraczasz osiemdziesiątkę, transplantują ci mózg starca? Nie sądzę, aby w tym wieku można było zamyślać o długiej idylli, ale na krótką sielankę zawsze znajdzie się czas. - Roześmiała się szelmowsko.

- Jesteś psotną nimfą.

- *Je t'aime, moi non plus!* - zawołała śpiewnym tonem i wstała, ciągnąc mnie do środka. Oboje opatuleni kocem posuwaliśmy się naprzód krótkimi kicnięciami, jakbyśmy brali udział w wyścigu w workach, ona nucila pośród chichotów piosenkę Gainsbourga i Birkin w przyprawie pojękiwań i westchnień, aż zderzyliśmy się z burtą łóżka i upadliśmy na materac wymieszani niczym farsz pierożków z mięsem, owinięci w ciasto z koca.

Zrozumiałem, że ostatnie zdanie Moniki skierowane do pary z biura było pożegnaniem dopiero rano, gdy obudziłem się z dojmującym uczuciem samotności. Był to jeden z przeblysków, jakich doświadczamy w sytuacjach, kiedy czujemy się obserwowani lub gdy jakimś sposobem spostrzegamy, że się blamujemy, nie rozumiejąc, dlaczego - rozpięty rozporek lub majtki na koszuli wylazące ze spodni, kompromitujące wpadki sprawiające, że wódz traci szacunek swoich podkomendnych, jak mawiał mój przyjaciel, którego kiedyś miałem. Zwykle śpię jak kłoda i odbycie podróży do świata żywych kosztuje mnie sporo wysiłku, jakbym zmuszony był ciągnąć z powrotem przez dżunglę, pod stromą górę łódź Charona załadowaną martwymi, japońskimi turystami. A jednak tamtego ranka otworzyłem oczy wielkie jak reflektory strażników wybrzeża gotowych schwytać w przenikliwe światło nielegalny przerzut, mających jednak zarazem niezbitą pewność, że operacja przeprowadzana jest zbyt późno i że jedyne, co mogą już nimi złowić, to spokojnie przelewające się morze. Miałem identyczne wrażenie.

Żaluzja zasłaniała do połowy balkonowe okno i pokój zasnuty był woalem półmroku, w którym kurz i para, unosząc w przestrzeni resztki naszego pośpiesznego i urywanego oddechu, kreśliły ukoś-

ne wiązki światła. Podciągnąłem ją jednym, gwałtownym ruchem i obrzuciłem spojrzeniem krajobraz pokoju. Tonął w bałaganie jak wcześniej, ale nie było w nim śladu ubrań, butów czy walizki Moniki. Rzuciłem się do łazienki, też opustoszałej, pełnej nieskończonych orbit moich pospolitych przyborów wirujących wokół dziury, jaką pozostawiły jej kosmetyki na półce pod lustrem. Zacząłem dusić się jak ryba wyrzucona na brzeg, nie wiedząc, co zrobić, chwyciłem koc, żeby się nim okryć i wybiec na balkon z nadzieją dostrzeżenia jej postaci czmychającej ulicą, lecz gdy go rozpostarłem, ujrzałem litery wymalowane szminką na owej kapie, która zdążyła się już przeistoczyć w fetysz niczym wszechobecne poncho Sangre de Cristo.

DALI MI TYLKO TRZY DNI WOLNEGO
WOLAŁAM, ŻEBYŚ O TYM NIE WIEDZIAŁ
POWODZENIA, KOCHANY PS: ZABIERAM W
PODRÓŻ KSIĄŻKĘ

Zdaje się, że tego typu dematerializacja nazywa się wyjściem po angielsku. Zastanawiałem się, czy przejście od epitetu „kochanie” do „kochany” należało rozumieć jako awans. Ściskając w objęciach koc, runąłem na łóżko i uzupełniłem wyciągi z naszych ciał, którymi już był nasiąknięty, ekstraktem tryskającym z gruczołów mych oczu. Chwilę później, korzystając z nic nieznaczącej teraz i martwej armatury zainstalowanej w obcym miejscu, ogoliłem się, umyłem, ubrałem i podjąłem próbę realizacji przygotowanego na ten dzień programu, kiedy przygotowanie programu miało jeszcze jakiś sens. Chciałem pojechać na Montmartre i odwiedzić miejsca, do których zawiodło wygnanie Uke i jej ojca pierzchających w trwodze przed żarłocznymi enklawami madryckiego plotkarstwa. Wychodząc z hotelu, przesłuchałem recepcjonistę, który zeznał, że panienska zamówiła taksówkę na lotnisko około czwartej rano.

Owego ranka w klimatycznej szarpaninie kapryśnego paryskiego nieba pierwsze skrzypce grała wiosna i słoneczne promienie sprawiły, że na ulicach zakwitły tłumy w premierowym pokazie tkanin i kolorów wiosennego sezonu. Schody Sacre-Coeur ciskały fale ludzkości

0 kamienną balustradę, gdzie załamywały się w pomruku podziwu nad horyzontem poćwiartowanym cementem i antenami.

Nagle w tym nieskończonym ludzkim falowaniu wszystkie kobiety zaczęły przypominać mi Mónica: Mónica pod rękę z jakimś Niemcem wystrojonym w koszulkę piłkarską, Mónica odpoczywająca na kolanach hebanowego młodzieńca, Mónica siedząca na schodach i szkicująca kościół, Mónica w mundurze policjantki na służbie, Mónica biegnąca w dresie ze słuchawkami w uszach, dwie Moniki oparte o mur i wertujące przewodnik turystyczny, trzy Moniki leżące na trawniku, wcinające kanapki i słuchające magnetofonu kasetowego dyszącego *Je t'aime, moi non plus*, a nawet całe stadko Monik o skośnych oczach pstrykających sobie zdjęcia na tle panoramy Paryża, wszystkie one bowiem wykazywały uderzające do niej podobieństwo: metaliczne refleksy włosów, przepastne oczy, jędrny, ledwie drgający zestaw pagórków, wklęsłości i wypukłości piersi, ruch ręki towarzyszący odgarnianiu grzywki, ósemka w śmiechu, dołeczki u nasady pleców, biel podbicia stóp udekorowana festonami szafranowego lakieru, sposób wyciągania lub krzyżowania nóg. I równie szybko iluzja przyskała niczym balon pękający po odbyciu krótkiego, nienagannego lotu, ponieważ żadna nie była nią, i raptem widziałem już tylko grubawą Niemkę z warkoczami pod rękę z Niemcem wystrojonym w koszulkę piłkarską, hebanową dziewczynę odpoczywającą na kolanach hebanowego chłopaka, deskowatą panienkę z papugowatym nosem siedzącą na schodach i szkicującą kościół, krzepką, rudą policjantkę na służbie, rygorystycz

nie przestrzegającą diety, ascetyczną blondynkę biegnącą w dresie ze słuchawkami w uszach, dwie hiszpańskie turystki z perłowymi kolczykami oparte o mur i wertujące przewodnik turystyczny, trzy amerykańskie nastolatki na swoim *gap year* leżące na trawniku, pałaszujące kanapki i słuchające magnetofonu kasetowego eksploatującego „Come as you are” Nirvany oraz grupkę fotografujących się na tle panoramy Paryża japońskich, skośnookich turystek, które były tylko tym, kim były i nikim więcej, to znaczy Japonkami.

Jakbym obuty był w buciory odlane z ołowiu, powlokłem się ciężko na place du Tertre, pokręciłem się między malarzami i powałęsałem w sąsiednich zaułkach, przystanąłem przed witryną eksponującą

zdjęcia *la Butte* zanim jeszcze zmieniła się w cmentarzysko wszystkich awangard, *la Butte* takiej, jaką widzieli i w jakiej mieszkali babka i jej ojciec, a nawet coś mnie wepchnęło do sklepu *delicatessen* i nim zdążyłem się spostrzec, już z niego wychodziłem, zadając sobie pytanie, z jakiej to idiotycznej przyczyny zwisa mi z lewej ręki plastikowa torba, na której dnie spoczywa butelka sancerre i ser chabichou. Całe to miejsce, pomimo najszczerzej chęci doszukania się mitycznej atmosfery, sprawiało na mnie wrażenie grajdołu o uliczkach wijących się między fasadami pokrytymi troskliwym makijażem dobrze zakonserwowanego liszaja i wybrukowanych kocimi łbami czyhającymi na kostki nieostrożnych przechodniów, zapadłego kąta okraszonego kilkoma ogródkami serwującymi szybkie i drogie jadlo, kilkoma autochtonami przebranymi za malarzy oddających się seryjnej produkcji szybkiego i drogiego malarstwa oraz kilkoma pretensjonalnie uroczymi sklepikami obsługiwanymi przez szybkie ekspedientki o nadąsanych obliczach.

Metro odtransportowało mnie pogrążonego w abulii do hotelu. Przed zamknięciem się w celi pokoju celem podjęcia próby odzyskania zainteresowania realizowaną misją zmęczone kroki zawiodły mnie do kiosku przy bulwarze des Capucines, gdzie machinalnie zapytałem o coś, na co kioskarcz zareagował ochoczo, przewracając do góry nogami stosy zdezaktualizowanej makulatury, aż w końcu natknął się na książkę, ostatni na stanie egzemplarz powieści Quinceya Underwooda. Zatytułowana była „Abducted!”, właśnie tak, z wykrzyknikiem, a na jej okładce Sangre de Cristo dosiadał swoją klacz Sand Witch stającą dęba na pagórku, w dole zaś, na pustynnej równinie, sterczał statek UFO otoczony przez *troupe* ludzików z wielkimi głowami taszczących na ramionach w stronę pojazdu nieuchronną i przysłowiową dziewczę, której gabaryty części frontальной ewidentnie pozbawiały miejsca w spodku od dziesięciu do piętnastu kosmitów. Szykowały się spore emocje.

Z książką pod pachą jednej ręki i plastikową torbą w drugiej wkroczyłem do hotelu i gdy podholowałem swój organizm do lady, otrzymałem od recepcjonisty wiadomość, którą w obecności Moniki

„Uprowadzeni!”.

uczciłbym dzikim podskokiem, wybijając hołubce, która jednakże z racji jej nieobecności zdołała zaledwie wykrzywić moją twarz w cierpki grymas, jakbym się napił zsiadłego mleka. Była to wiadomość od Delseya - zapraszał nas na dziewiątą na kolację.

W próżniaczym i apatycznym interwale popołudnia, leżąc na naszym kocu przyozdobionym szminkowym autografem śliskiej jak węgorz bogini, przeczytałem felieton Delseya w magazynie, który utorował nam do niego drogę. Zmusił mnie do bezwiednego uśmiechu. Była to wielka *boutade*, refleksja satyryczna na temat zwyczajów Grimaldich, królewskiego rodu z Monako. Zdaniem Delseya nie było powodu uzasadniającego przedłużanie istnienia monarchii nieumiejącej skandalizować w dobrym stylu. Mroczny i perwersyjny *glamour* upadłego anioła kultywowany przez Grace Kelly ewoluował u jej potomstwa, mówił Delsey, w coś, co przybrało formę parodii gminnego mimetyzmu i jeśli poważna, dyskretna monarchia to śmiertelnie nudny twór, którego podtrzymywaniem egzystencji lud nie jest zainteresowany, gorszym jeszcze grzechem jest skandalizować nie ze zbytku, jak przystoi królewskiemu domowi, ale wskutek ułomności, tych samych swojskich ułomności, w które wywianowany jest prosty lud: chodzenie po ulicy w dziadowskim, tandetnym ubraniu kupionym okazjnie za grosze lub w garderobie produkowanej przez markowe firmy współzawodniczące z ciuchami z targu, awanturowanie się w supermarketach lub sypianie z błaznami nie po to, aby wynieść ich na wyżyny królewskiego łoża, lecz by zniżyć się u ich boku do poziomu kuglarza liżącego stopy pana. Delsey uważający się w pierwszej kolejności za Monakijczyka, później dopiero za Francuza - bo, jak twierdził, wolałby bezwzględnie umrzeć jako poddany króla, choćby zawzornego, niż żyć jako obywatel-towarzysz pod rządami republikańskiego prezydenta chełpiącego się w swym curriculum siedmioma dyplomami studiów uniwersyteckich - rozważał całkiem serio opcję zwrócenia się o przyznanie mu narodowości Suazi, bo tam przynajmniej żył król, który potrafił bulwersować świat jak przystało na monarchę z krwi i kości, trwoniąc olbrzymie fortuny na budowę pałaców, zabraniając utrzymywania stosunków seksualnych nastolatkom lub wybierając nową małżonkę spośród dwudziestu tysięcy

tańczących nago dziewcz. Nie wiedziałem, w jakim stopniu opinie Delseya były wiernym odbiciem jego prawdziwych sądów, w jakim zaś zwykłą prowokacją mającą na celu szokowanie czytelników, ale ten zapewne rys jego osobowości miała prawdopodobnie na myśli urzędniczka francuskiego konsulatu. Nie budziło mojej najmniejszej wątpliwości, że podobne artykuły zmieniły go w osobowość zarówno powszechnie znaną, jak i znienawidzoną w kontekście genetycznie republikańskiego kraju, jakim jest Francja.

O zmierzchu, nim ponownie ruszyłem w stronę Delseya, nie mogłem się powstrzymać i zasiadłem na kocu na balkonie uzbrojony w lornetkę, aby wziąć udział w ostatniej już z pewnością odsłonie „Wszystkiego dla pań”*. Mónica byłaby wniebowzięta. Dwaj młodzi mężczyźni dzielący wielką salę z Denise już wyszli, ona zaś i Octave, oparci o drzwi gabinetu pożerali się pocałunkami. Już miałem oderwać wzrok od tej sceny w chwili, gdy twarz mężczyzny zniknęła w czeluściach jej bluzki i spod podwiniętej spódnicy błysnęły zwięzające się w klin majtki, ale tuż przed osiągnięciem punktu krytycznego, po którego przekroczeniu nie było już odwrotu, Denise odepchnęła jego ręce, poprawiła bluzkę i zapięła pozostałe przy życiu guziki, i pośród wygłupów i pieszczotliwych, wzajemnych nękań wybiegli z biura, zapominając o paltach i teczkach, zostawiając zapalone światło. W obliczu pustej sceny opuściłem lornetkę i zadałem sobie pytanie, co ja tu u diabła robię. Bez Moniki nie miało to przecież żadnego sensu. Koniec końców Denise była pewnie cyniczną puszczalską załapującą się na ekspresowy pociąg firmowego awansu, Octave natomiast miał żonę i dzieci oglądające w domu telewizję w oczekiwaniu na powrót taty, który zjawiał się dzień w dzień późnym wieczorem, bo tyrał jak wół.

Pół godziny później bezbarwny Thierry witał mnie w drzwiach na ostatnim piętrze kamienicy przy rue Royale numer osiem. Anemicznym, rozkołysanym krokiem rodem z wybiegu mody poprowadził mnie długim korytarzem i uchylił jedno z całego szeregu drzwi z lewej strony wychodzące na wewnętrzną, krętą schody

Powieść Emila Zoli opowiadająca historię miłości Denise, pracownicy wielkiego sklepu odzieżowego, i Octave'a, właściciela firmy.

łączące to piętro z niższymi kondygnacjami. Zrozumiałem wówczas, że z wyjątkiem biur na pierwszym piętrze cały budynek należał niechybnie do Delseya, co tłumaczyło obfitość pustych miejsc na panelu domofonu. Piętro niżej, podążając za moim przewodnikiem, wszedłem do wytwornej jadalni, która musiała znajdować się pod salą balową. Z drugiej strony korytarza słychać było charakterystyczny zgiełk kuchni, szcęknięcie talerzy, skwierczenie smażeniny, ubijanie jajek, pytlący męski głos i ciche dźwięki piosenki płynące z radia, „Voyage, voyage”, stary przebój z lat osiemdziesiątych, na który nakładał się dosadny, kobiecy zaśpiew w tłamszący jedwabistą intonację piosenkarki. W jadalni wyposażonej w ciągnący się w nieskończoność stół o średniowiecznych proporcjach i zajmujące zaszczytne miejsce dwie kariatydy strzegące paleniska kominka, w którym mogłoby się sfajczyć w całości helsińskie lotnisko, Delsey rozmawiał z pokojówką w uniformie. Zobaczywszy mnie, przerwał rozmowę i zwrócił się z wylewną serdecznością w moją stronę, ujmując swoimi dłońmi moje dłonie.

- Pan Mencia, jakże się cieszę, że zechcieliście państwo przyjąć zaproszenie! - Spojrzał mi przez ramię. - A przepięknej urody panienka?

- Ona... z przyczyn zawodowych musiała wrócić do Nowego Jorku.

- Och, niezmiernie mi przykro! Przede wszystkim z pańskiego powodu, bo z całą pewnością musi pan źle znosić nieobecność tak cudnej istoty.

- Baronie, gdybym opowiedział panu...

- Och, później będziemy dysponować dostatecznym czasem, aby o tym porozmawiać, proszę w to nie wątpić. Wcześniej jednak skosztujmy kolacji. Thierry zje z nami, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu. To nasz zwyczaj.

- Tak, oczywiście, będę zaszczycony.

Na szczęście nie usadził mnie naprzeciwko, na drugim końcu stołu, skazując na lodowatą samotność, tylko przy długim boku, tuż obok siebie. Thierry zajął miejsce na wprost mnie i milczał przez cały wieczór, klekąc ledwie kilka uśmiezków, kiedy wątek rozmowy domagał się beztróskiego śmiechu. Delsey tryskał entu-

zjazmem, był niezwykle rozmowny i jego sposób bycia pasował jak ulał do opisu ze wspomnień Uke. Opowiedział mi o wielkiej przyjemności, jaką sprawiało mu przeciąganie struny w artykułach pisywanych do magazynu i prowokowanie jednego z ostatnich wstydliwych tematów w tolerancyjnym społeczeństwie francuskim - tabu arystokracji, sukcesji tronu. Ku oburzeniu czytelników domagał się restauracji monarchii, używając hiperbolicznej argumentacji, za pomocą której przedstawiał w karykaturze siebie samego i środowisko, w jakim się wychował, wychodząc tym samym poza rolę kronikarza towarzyskiego i stając się osobowością, której nazwisko gościło w rubrykach innych kronikarzy, jak również celem wściekłych ataków intelektualnych luminarzy, co niebywale go bawiło. Powiedział mi, że ma domek w Monte Carlo, gdzie latem zwykle wyjeżdża na dłużej, i że mimo wszystko utrzymuje dobre stosunki z rodziną Grimaldich, którym osobiście wyłożył te same krytyczne argumenty, jakimi strzelała na wiat jego rubryka. Zapewniał mnie, że bardziej transcendentny wymiar miało to, o czym nie mówił, niż opinie głoszone publicznie, ale rozumiało się samo przez się, że zajęcie to było dla niego jedynie formą rozrywki i dlatego przyjaciele wiedzieli, że mogą znaleźć w nim niesprzedajnego zausznika, który nigdy nie rozgłosiłby powierzonego sekretu, nawet w interesie samego poszkodowanego.

Podczas kolacji nie wspomnieliśmy ani słowem o sprawie, która mnie tam przywiodła. To on zapragnął ponownie przeprowadzić ze mną wywiad, a zatem musiał siedzieć jak na rozżarzonych węglach, nie mogąc się już doczekać, kiedy będzie się mógł wytłumaczyć. Inaczej niż poprzedniego dnia powinienem pozwolić mu wybrać stosowny moment i sposób. Stało się to dopiero po deserze. Zaprosił mnie do pracowni, zapalił kryształowy żyrandol zwisający groźnie nad potpourri kłopotów, odrzutów z muzeów i najróżniejszych akcesoriów, i w tej łososiowej scenerii rdzy i lakieru usadowił się w fotelu przed zawałonym do granic wytrzymałości biurkiem, wskazując mi berżerę po drugiej stronie książkowych drapaczy chmur, które przesunął na róg biurka, oczyszczając pole widzenia. Thierry wsunął głowę przez uchylone drzwi, pytając, czy może służyć pomocą.

- Chcesz się czegoś napić? - Delsey zaczął zwracać się do mnie na ty. Pomyślałem, że fakt ten może usprawnić naszą rozmowę, chociaż nie odważyłem się pójść w jego ślady.

- Napiję się tego samego, co pan. - Uczyłem się błyskawicznie od mojej mentorki.

- Thierry, przynieś nam absynt.

Delsey musiał dostrzec błysk niedowierzania w moim spojrzeniu, bo pośpieszył z wyjaśnieniami:

- Nie, nie lękaj się, nie stracisz świadomości, nie będziesz mieć halucynacji, nie będziesz pisać jak Rimbaud, chyba że robiłeś to już wcześniej i mieszasz alkohol z opium. Ale opium skończyło mi się tego wieczoru - zażartował, obmacując kieszenie. - Nigdy nie próbowałeś absyntu?

- Nie. Szczerze mówiąc, nie wiedziałem, że jeszcze istnieje ten zwyczaj.

- Już nie istnieje. Do tej niepodległej fortecy mojego małego atelier nie zawitał nowy, dwudziesty pierwszy wiek narodzony jako wcześniak. W tych murach obowiązuje wciąż mój złoty i uwielbiany wiek poprzedni, który na zewnątrz uśmiercono w zaciskach krzesła elektrycznego. Dzisiaj absynt jest legalny, działalność wywrotowa jest legalna, rozpusta jest legalna, homoseksualizm jest legalny, nawet prostytutka jest legalna pod każdym względem.

- Ależ baronie, dziwi mnie zatem, że zgłasza pan jakieś obiekcje pod adresem tych wszystkich zmian.

- Obiekcje? To nie są obiekcje, ale całkowita odraza! W dzisiejszych czasach usiłowanie utrzymania się na marginesie prawa i dobrych obyczajów, bez zmieniania się w naiwnego przestępcę, to zadanie coraz bardziej uciążliwe i mozolne. Ma się rozumieć, że nigdy nie czułem w sobie powołania do napadania na banki i kradzieży bydła. Prawa przeobraziły miłość, namiętność, a nawet pokątne wyuzdanie, które było podniętą dla splatających się w ciemnych zaułkach ciał, w prozaiczne, biurokratyczne przedmioty, w coś tak niewyobrażalnie mdłego, że powoduje utratę zainteresowania. Mroczne i orgiastyczne obsesje naszych romantycznych poetów zajęły poczesne miejsce w szkolnych podręcznikach! Dawniej było o wiele zabawniej, kiedy zakazy obejmowały niemal wszystkie przejawy ludzkiego życia,

jak w tym opowiadaniu Maupassanta, gdzie miejscowi prominen-
ci domagali się od władz, aby nie dopuścili do zamknięcia domu
o złej sławie, gdyż chodziło o przybytek o wypróbowanej użytecz-
ności publicznej. Współcześni promineneci domagają się od władz
zamknięcia podobnych miejsc, lecz władze nie mogą tego uczynić,
ponieważ zabrania im tego prawo. Niewielu potrafi docenić dzisiaj
subtelność ironię Maupassanta. Jeśli zechcesz analizować przebrzmiały
wiek, którego ledwie zdołałeś liczyć, mój drogi przyjacielu, powinie-
neś do tego celu posłużyć się nie dzisiejszą, lecz ówczesną optyką.
Dzisiaj pierwszy z brzegu dwunastolatek posiada większą wiedzę
o sztuce miłości niż sam Owidiusz w swojej epoce. Kiedyś wszystko
było o wiele bardziej naiwne i proste, swobodniej wzbudzaliśmy
nasze najsilniejsze emocje, śmialiśmy się, płakaliśmy, baliśmy się,
zdumiewali i podniecali niemal wszystkim, co dzisiaj okazałoby
się zapewne błahe i nieistotne. Wczoraj spaliśmy nadzy pod gołym
niebem. Byliśmy jak owi bezgrzeszni kochankowie ze „Snu nocy
letniej” śpiący niewinnym snem w ateńskim lasku, podczas gdy
psotny duszek zakrapiał nam oczy wywarem miłości. - Zamilkł.
Czułem przez skórę, że ten osobliwy monolog wiodł nas nieubła-
ganie w wiadomym kierunku. - Kiedy twoje wczorajsze kome-
ntarze bluznęły straszliwymi oskarżeniami pod adresem Hamisha,
ogarnęła mnie wściekłość. Dopatrywałeś się zła tam, gdzie istniała
tylko nasza beztraska niewinność i nasza namiętność dedykowana
życiu takiemu, jakim wówczas było - nieprzewidywalne, zuchwa-
łe. Hamish kochał twoją babkę, kochał ją z oszałamiającym entu-
zjazmem chłopca, który wali w bębenek, nie zdając sobie sprawy,
że hałas szarpie nerwy sąsiadom. Był człowiekiem szlachetnym,
wiernym i dobrym. Był moim przyjacielem.

Thierry wszedł dyskretnie z tacą. Na skrawek wolnej przestrzeni
między mną i Delseyem zestawiał butelkę zielonego alkoholu, dwa
kryształowe, pięknie zdobione kieliszki, karafkę z zimną wodą, meta-
lowy talerzyk z piętrzącą się na nim piramidką kostek cukru oraz
dwie srebrne, rzeźbione łyżeczki z miseczkami w formie liści.

- Dziękuję, Thierry. - Sekretarz pochylił głowę z automatyczną
precyzją i wyszedł z sali. - Och, potrzeba nam odrobiny dwudziesto-
wiecznej muzyki, która wzniciłaby płomień ducha. - Potarł dłonie,

przykucnął, aby uruchomić sędziwy gramofon znajdujący się u jego stóp i jakaś francuska melodia z lat sześćdziesiątych rozbrzmiała gardłowa i głucha, jakby dobywała się z głębin studni. - Otóż to, teraz, jeśli pragniesz dostąpić inicjacji w zielonym mroku przeklętych, rób to, co ja. W przeciwnym razie jedyna nadzieja w tym, że w jakimś zapomnianym zakątku tego domu ukrywa się butelka coca-coli.

Uśmiechnąłem się i za pomocą stosownych utensyliów przystąpiłem do odprawienia rytuału, imitując ruchy gospodarza. Szczodra doza absyntu w kieliszku, łyżeczka oparta na brzegu, kostka cukru w dziurkowanej miseczce liścia polewana strużką wody. Płyn w kieliszku zmętniał.

- Sądziłem, że przed dodaniem wody należy kostkę cukru przy palić.

- Nie, na rany Chrystusa! To nic innego jak idiotyczna manipulacja, nonsens zrodzony w febrycznych głowach hollywoodzkich scenarzystów. Żaden przyzwoity Francuz nie zrobiłby czegoś podobnego. I ja, choć nim nie jestem, też nie - zaznaczył. - Dobrze, teraz spróbuj.

Spróbowałem. Jeśli, jak mówił Delsey, muzyka pomagała rozpałić ducha, uczucie, jakie mną owładnęło, można było nazwać palącym pragnieniem poddania się pirolizie. Być może absynt właśnie stał za owymi paranormalnymi zjawiskami samoistnego spalania, kiedy od czasu do czasu znajdowano zwęglonego ni stąd, nie zowąd szarego wyborcę w głębokim, wygodnym, domowym fotelu.

- Dobry. Mocny - zaskrzeczałem.

- Palący, despotyczny, przeszywający. - Uniósł kieliszek pod światło i zatopił wzrok w alkoholu. - Czysty. Jak ogień. Niewiele już wrażeń może równać się z tym uczuciem. - Delektował się długo łykiem. - No właśnie, ogień... Miałem ci właśnie wyjawić, co naprawdę wydarzyło się owej nocy, gdy pożar strawił rezydencję Sutherlandów. W rzeczy samej jest to sekret, który spał wiecznym snem w otchłannej krypcie zasklepionej jak usta tych, którzy strzegli śmy go przez dziesięciolecia. Wszelako po twej wczorajszej wizycie raz jeszcze przemyślałem tę sprawę i doszedłem do wniosku, że dzisiaj, kiedy budowniczowie owej nieznanej krypty w innym już goszczą

wymiarze, gdy ich motywy zatarły się w pomroce dziejów, nie już nie stoi na zawadzie, aby mury te zburzyć i pozwolić, by promienie słońca i powiew świeżego powietrza obmyły ich pokryte pleśnią kamienne ciosy. Powinieneś wiedzieć, że iskrę, która wydała jego domostwo żarłocznej woli płomieni, skrzesał Hamish.

- Co takiego...?

- Ale musisz wiedzieć również, że pożar ów nie spowodował śmierci jego rodziców.

Przeczuwałem, że o szczegółach historii dowiem się lada chwila, postanowiłem zatem nie wchodzić Delseyowi w słowo. Baron ciągnął dalej:

- Ojciec Hamisha był człowiekiem despotycznym, srogim. Na jego charakterze wycisnęła piętno uraza, jaką żywił do głównego pnia rodu, potężnego klanu Sutherlandów z Dunrobin, którego był jedynie pomniejszym odrostem bez przywilejów, sławy ani istotnego majątku, z wyjątkiem posiadłości w Golspie i kolekcji sztuki, której wspaniałości z braku odpowiedniego wykształcenia nie potrafił w pełni docenić i którą na przestrzeni lat stopniowo wyprzedawał, aby zapewnić sobie poziom życia nieodbiegający od standardów egzystencji jego fortunnej pobłogosławionych w loterii dynastycznego dziedziczenia krewnych. Poślubił niespodziewanie kobietę o wiele od niego starszą, żydowską skrzypaczkę pochodzącą ze wschodniej Europy, która grała w niemieckiej orkiestrze przebywającej na *toumee* po Wyspach Brytyjskich. Kobieta ta odznaczała się nieprzeciętną urodą i nienagannymi manierami, ale z usposobienia była mało przystępna, marzycielska, obsesyjna i ulegająca zmiennym nastrojom. Związek ów nie osiągnął pożądanej harmonii i surowość ojca Hamisha nie wysubtelniała, wręcz przeciwnie, spotworniała jeszcze bardziej, w rezultacie czego sprawował despotyczną i chorobliwą władzę nad żoną, skazując ją na posępne lochy hańbiącego niewolnictwa. Hamish wychował się w dusznej rodzinnej atmosferze podminowanej ciągłym napięciem i wrogością, przeto oazą słodyczy i nadziei było dla niego odkrycie wesołej kompanii w internacie, gdzie się poznaliśmy, stanowiącym brutalny kontrast z zepsutym i mdlącym powietrzem, jakim musiał oddychać w tym gnieździe żmij, kiedy w okresie wakacyjnym, chcąc nie chcąc, wracał do rodzinnego

domu. Tamtego lata, lata naznaczonego tragedią, pożegnaliśmy się jak zawsze po zakończeniu roku szkolnego. Ja wróciłem do zamku w Voisins-les-Bretonneaux, on zaś gotów był, niesiony żaglem swego niezmiennie optymistycznego, choć trzymającego się na cienkich nitkach ducha, raz jeszcze stawić czoło klimatowi zgnilizny panoszącemu się pod rodzinnym dachem. O tym, co wówczas zaszło, dowiedziałem się dopiero jakiś czas później. Hamish wyruszył do Golspie i dotarł do ojcowskiej rezydencji głuchą nocą, gdy służba już spała. Dyskretnie, w bezgłośniei ciemności udał się do swego pokoju, by się położyć i wypocząć po trudach podróży, o poranku zaś powitać rodzinę, gdy nagle w końcu korytarza dojrzał majaczącą w półmroku, przed drzwiami do sypialni rodziców sylwetkę ubraną w szatę przypominającą tunikę albo nocną koszulę. „Mamo, to ty?“, zapytał szeptem, na co matka odpowiedziała z głębi spontanicznym i promiennym tonem kogoś, kto przebudził się właśnie z długiego, krzepiącego snu: „Witaj, synu, cieszę się, że jesteś już w domu!“. „Mamo, co ty tu robisz o tej porze?“, spytał Hamish. „Nie mogłam zasnąć - odparła matka - ale właśnie idę się położyć“. Hamish patrzył, jak mroczna sylwetka naciska klamkę i już miał wejść do swojego pokoju, gdy dobiegło go ostatnie zdanie wypowiedziane przez matkę, zanim zniknęła za zamykającymi się za nią drzwiami. Powiedziała: „Ale przedtem poproszono mnie, abym dorzuciła jeszcze kwilące lalki; zobaczę, czy nie schowały się tu jakieś“. Zdjęty grozą tej enigmatycznej enuncjacji, rzucił się pędem przez korytarz i znalazłszy się przed zamkniętymi drzwiami sypialni rodziców, usłyszał upiorny, przerażający dźwięk dobiegający ze środka. Hamish opisał go jako chrapliwe, chwilami histeryczne pojękiwanie, rżenie ni to ludzkie, ni to zwierzęce, które zjeżyło mu włosy na głowie i zmroziło w żyłach krew. Z udręką miażdzącą serce zapukał do drzwi, lecz nikt nie odpowiedział. Duszę rozdzierała mu trwoga, jednak zmusił się do wejścia i jego oczom ukazał się potworny widok, nawiedzający go w sennych koszmarach aż po dzień naszego rozstania i nierzadko przesyty błyskawicą tego wspomnienia zrywał się w środku nocy, zanosząc się straszliwym jękiem. Ojciec Hamisha i jakaś nieznana kobieta leżeli w łóżu, oboje nadzy i skąpani we krwi bluzgającej przed chwi-

i

lą z poderżniętych gardeł, w rogu pokoju zaś, na podłodze, bosa, z wywróconymi białkami oczu i zmierzwionymi w bezkształtny kołtun włosami siedziała skulona jego matka, jego matka!, kalecząca sobie wielkim, rzeźnickim nożem policzki, z których biła krew spływająca na białą, nocną koszulę, a z jej ust dobywały się zwierzęce pomruki przemieszane z płaczem i strzępami spazmatycznego i demonicznego śmiechu oraz niewyraźnie artykułowanych dźwięków w jakimś nieodgadnionym języku, jakby wzywała pogańskie bóstwa w diabelskim druidzkim rytuale. Zaledwie przez krótką chwilę jej oczy zdawały się przytomnieć i wówczas powtarzała wciąż te same słowa, których Hamish nie mógł zrozumieć. Zbliżył się do istoty, która była niegdyś jego matką, przykucnął przy niej, przyłożył ucho do jej ust i dopiero wtedy pojął treść powtarzanego przez nią zdania: „Stoją za tobą”. Strwożony odwrócił się gwałtownie, ale nie zobaczył niczego, niczego przynajmniej, co mógłby zobaczyć on. Niewiele brakło, aby pochylający się nad tymi piekielnymi czeluściami śmierci i szaleństwa Hamish osunął się w tę samą otchłań demencji, w którą, jak się zdawało, rzuciła się jego matka, ale, jak już nadmieniałem, był on mężczyzną obdarzonym mitycznym hartem ducha i siłą i w mgnieniu oka znalazł najbardziej niewiarygodne wyjście z tej najniewiarygodniejszej z tragedii. Wziął na ręce oszalałą matkę, której oczy obracały się dokoła, jakby śledziły ruch niewidzialnej karuzeli pozagrobowych widm, obmył ją, przebrał w czyste odzienie, opatrzył rany twarzy i przewiózł na koniu do oberży w miasteczku, gdzie zdołał przemycić do pokoju w tajemnicy przed oberżystą. Następnie wrócił do posiadłości, w żmudnym trudzie wyniósł najcenniejsze obrazy i załadowawszy je na dwukółkę, wywiózł do szopy znajdującej się w bezpiecznej odległości od domu. Wówczas ponownie wkroczył na scenę zbrodni, zbryzgał alkokowem i rozniecił ogień, który miał wypalić i oczyścić to monstrialne, rozpasane zło. Miał na tyle odwagi, żeby poczekać, aż płomienie ogarną górne piętro, co wykluczało jakąkolwiek możliwość ujarzmienia ognia. Na koniec udał się pod małe okienka sutereny zamieszkaanej przez służbę i kamieniem rozbił szyby, aby ostrzec śpiących tam ludzi, po czym oddalił się galopem z posiadłości. Dom gorzał przez dwa dni, a gdy nasyciły

się już niszczycielskie żądze płomieni, w głównej sypialni policja natknęła się na dwa ciała zwęglone w stopniu uniemożliwiającym ustalenie tożsamości. Służba zdołała uciec i nikt nie doznał żadnego uszczerbku. Naturalnie policja doszła do przekonania, że znalazła ciała rodziców Hamisha, i nikt nie podważył tej wersji, nie wyłączając służby, która choć traciła posadę i środki utrzymania, być może dziękowała losowi za możliwość wyzwolenia się raz na zawsze z tej gehenny i ocalenie życia z apokaliptycznego epilogu, nie przejawiając ochoty do grzebania się w szczegółach. Co do tajemniczej kobiety, która podzieliła straszliwy los pana Sutherlanda, jej tożsamość została pogrzebana razem ze zwęglonymi szczątkami na wieki wieków. Nikt nie dopominał się jej ciała ani nie zgłosił zaginięcia. Jeśli ktoś ze służby wiedział o pozamałżeńskich przygodach pana Sutherlanda, nigdy nie powiedział o nich policji.

W dramatycznej pauzie, podczas której Delsey pociągnął łyk z kieliszka, z monastyrów głośników dało się słyszeć mrużący głos Francoise Hardy w „Comment te dire adieu”. Z jakiegoś absurdałnego powodu przemknęło mi przez głowę pytanie, jak to możliwe, że kawałek igły skrobiącej po kawałku plastiku może brzmieć tak zmysłowo. Wówczas zdałem sobie sprawę, że mam otwarte usta niczym kontemplująca trawę owca. Zamknąłem je, kłapiąc szczękami i przełknąłem ślinę -jedyne odruchy, jakim w pierwszej chwili okazało się posłuszne moje ciało. Styl Delseya był tak grandilokwentny, że nie potrafiłem ocenić, czy opowieść ta jest prawdziwa - nie wnikając w ornamentacyjną, autorską eschatologię narratora - czy jedynie będącą dziełem jego zmysłu tragedii mistyfikacją stworzoną na użytek zamaskowania innej historii, być może mniej krwiożerczej i bardziej wstydlivej. Postanowiłem, że lepiej będzie, jeśli wysłucham do końca opowieści, nie odwodząc Delseya pytaniami od głównego nurtu historii.

- Co stało się... potem?

- Oberżysta zeznał na policji, że Hamish zatrzymał się u niego tamtej tragicznej nocy, co stało się motywem śledztwa, które ostatecznie spełzło na niczym. W tym czasie Hamish zdołał umieścić swoją nieszczęsną matkę w pewnej londyńskiej instytucji pod fałszywym nazwiskiem i odzyskał obrazy. Zgodnie z wcześniejszymi

planami wstąpił na uniwersytet, lecz wówczas przypominał o sobie obowiązek utrzymania matki, którą przecież zmuszony był ukrywać, aby uchronić ją od wszelkich podejrzeń. Oficjalnie straciła życie w pożarze. Powinieneś zrozumieć, mój przyjacielu, że wzniecając pożar, Hamish dokonał aktu najwyższej odwagi i wielkoduszności zorientowanej na ocalenie matki i nie zastanawiał się nawet przez chwilę, czy owa istota zasługuje na ocalenie, czy nie, za cenę poświęcenia tego, co stanowiło jego jedyną niemal spuściznę. Niezdolny zaopiekować się matką osobiście i wykluczający możliwość zamknięcia jej na całe życie w jakiejś ohydnej norze, zdecydował, że wyśle chorą do jej sióstr mieszkających w Estonii, co ponadto pozwalało ukryć ją raz na zawsze przed światem. Napisał do nich i otrzymał serdeczną odpowiedź, w której oświadczały, że z wielką radością przyjmą siostrę i zaopiekują się nią, choć nie dysponują po temu zbyt okazałymi środkami, podobnie zresztą jak Hamish. Dlatego i tylko dlatego przyjął propozycję małżeństwa z Cordelią, córką farmera, mimo iż w owym czasie przygaś już w nim strzelisty płomień młodzięcej namiętności. Był to jedyny sposób na zdobycie niezbędnego kapitału, jaki obowiązywał wysłać siostrom matki. Oto prawdziwa historia. Kiedy Hamish poznał twoją babkę, był zdecydowany wyrzec się tego małżeństwa z rozsądku, aby poślubić Uke i poszukać gdzie indziej środków do życia, pracę, dzięki której mógłby łożyć na utrzymanie matki. Dlaczego tego nie zrobił, nie umiem powiedzieć.

- Baronie, jeśli wszystko to, co usłyszałem, jest prawdą...

- Ależ oczywiście, że jest! Z jakichże powodów miałbym zapraszać cię na kolację i nakłaniać do dania wiary jakiejś bajce? Czyżby moje wczorajsze wyjaśnienia nie były dostatecznie przekonywujące?

Musiałem przyznać, że ma rację. Historia cechowała się tak wysokim stopniem szaleństwa, że bez wątpienia musiała być prawdziwa. Delsey skosztował kolejny łyk i ciągnął dalej.

- Proszę jednak, abyś teraz mi nie przerywał. Jest jeszcze coś, co muszę ci wyznać, zanim ostrożność zatriumfuje nad uczuciem skruchy. Chodzi o zdarzenie, które dotyczy mnie osobiście i względu dem którego winny ci jestem wyjaśnienie, jeśli nie zadośćuczynienie za krzywdę, której nie można już naprawić. - Z miejsca pomy-

siałem o podejrzeniu, jakie nasunęło mi się poprzedniego dnia, że Delsey ukrywa coś, co ma związek z korespondencją między nim i Hamishem. - W jakiś czas po wizycie twojej babki w Voisins-les-Bretonneaux otrzymałem list od Hamisha.

- Co mówił?

- Nie wiem. Nigdy do niego zajrzałem. Oczywiście w pierwszej chwili chciałem go przeczytać, lecz gdy już trzymałem w ręku nożyk, którym miałem zamiar rozciąć kopertę, uświadomiłem sobie konsekwencje, jakie ten prosty gest mógłby za sobą pociągnąć. Położyłem list na biurku i wpatrywałem się w niego przez kilka chwil. Po namyśle przywołałem krewnego, z którym wówczas mieszkalem, poprosiłem, aby zamieścił na kopercie adnotację „adresat nieznanym” i wysłałem go pocztą w drogę powrotną do nadawcy.

- Ale dlaczego? Jakie konsekwencje ma pan na myśli?

- Pomyśl tylko. Gdybym przeczytał ten list, zostałbym wtajemniczony w miejsce pobytu oraz w losy Hamisha w Afryce i przy okazji uzyskałbym prawdopodobnie potwierdzenie jego małżeństwa z Cordelią. Na liście nie widniał ani adres hotelu, ani klubu, lecz skrytki pocztowej w miejscowości o nazwie, jeśli mnie pamięć nie myli, Nyeri - Nyeri! Krótka, afrykańska nazwa! - gdzie, jak się domyślałem, znajdowała się farma. W tamtym czasie utrzymywałem jeszcze korespondencję z twoją babką. Jakżeż mógłbym nie podzielić się z nią wiedzą, że człowiek, który był jej wielką miłością, poślubił inną kobietę? Jeśli sam Hamish wolał zachować to w tajemnicy, jakim prawem miałbym ją o tym powiadomić ja? A gdybym się na to powążył, jak odbiłaby się ta wiadomość na jej kruchej naturze? Uke pogrzyżyłaby się w rozpacz i ból. A gdybym jej tego nie wyjawiał, jakżeby mógł przyjaźnić się z nią dalej, przemilczając podobny sekret? Z drugiej strony było mi wiadome, że Uke nosi w sobie dziecko Hamisha, chociaż nie wiedziałem, czy on sam zdaje sobie z tego sprawę. Gdybym przeczytał ów list i na podstawie jego słów wywnioskował, że nie ma o niczym pojęcia, na mocy jakiego prawa miałem wziąć na swoje barki odpowiedzialność udzielenia odpowiedzi na ten list, informując go, że ożenił się z niewłaściwą kobietą, że w czasie gdy on zajmuje się afrykańską farmą na końcu świata, w Europie rodzi się istota będąca krwią z jego krwi? I jakże

miałbym się odważyć odkryć przed nim wyznanie, którego odmówiła mu sama brzemienna matka? A jednocześnie jak mogłem pisać do niego, broniąc mu dostępu do wiedzy o tym w najwyższym stopniu transcendentnym wydarzeniu? A jak mogłem uniknąć obowiązku napisania do niego, zdając sobie sprawę, że według wszelkiego prawdopodobieństwa za tym pierwszym listem nadeszłyby następne? Był tylko jeden sposób: spowodować, by uwierzył, że wyjechałem i że list ów trafił w próżnię. Likwidując przyczynę, zlikwidowałem problem. Po tym zdarzeniu twoja babka wciąż do mnie pisała, lecz czułem się tak przygnębiony zaistniałą sytuacją, że z biegiem lat przestałem odpowiadać na jej epistoły. Tak czy owak mój planowany powrót do Torrelodones nie doszedł do skutku z powodu wojny; mój tamtejszy dworek obrócony został w ruinę, a krajobraz powojenny opisywany przez Uke był przygnębiający. Hiszpania żałoby i biedy, mantyli, baldachimu i cmentarzy nie była już moją Hiszpanią. Postanowiłem wówczas nabyć ten dom i osiaść w Paryżu. A więc teraz już wiesz. Przeciwnie niż Hamish nigdy nie byłem człowiekiem rezolutnym, śmiałym, odważnym. Mojra przydzieliła mi łami-główkę, której nie umiałem rozwikłać; potrafiłem jedynie przed nią uciec. W tamtym czasie podjęta przeze mnie decyzja wydała mi się najlepszą z możliwych i wierzyłem, że za pomocą tego fortelu wystrychnę na dudka zamysły opatrności, lecz fatum jest nieugięte i moim rozstrzygnięciem, w ten czy inny sposób, spowodowałem również to, czego za wszelką cenę chciałem uniknąć - w moich rękach spoczywała decyzja o losie Uke i Hamisha. Przyznaję otwarcie, że siłą napędową było mi tchórzostwo. Zdradziłem przyjaciół. I przez całe dziesięciolecie moją duszę trawiło poczucie winy.

Delsey zamilkł, wbijając we mnie smutne spojrzenie w kolorze absyntu. Poruszyłem się na krześle i splotłem dłonie na blacie biurka.

- Delsey, nie mam prawa pana osądzać. Tak jak nie mam prawa panu wybaczyć, bo nie w mojej jest to mocy. Mogę tylko powiedzieć, że jestem niezmiernie wdzięczny, że był pan ze mną tak szczery. Powiedział pan, że miejsce to nazywało się Nyeri? - Skłonił na potwierdzenie głowę. - Cóż, myślę, że tym samym zgromadziłem całą dostępną na tym kontynencie wiedzę. Z tego, co wiem, Hamish

nie miał rodzeństwa, prawda? A może miał jakiegoś bliskiego przyjaciela?

- Był jedynakiem. I zawsze otaczał go nieprzebrany tłum przyjaciół. Jeśli żyje jeszcze ktoś, kto w późniejszych latach był mu tak bliski, jak ja w latach naszej młodości, nic o tym nie wiem.

- Przypuszczam zatem, że moją najbliższą stacją będzie Kenia.

- Domyślałem się, że planujesz podróż w tamte strony, i o tym właśnie chciałem z tobą pomówić. - Spostrzegł, że nasze kieliszki są puste. Przygotował następną dozę absyntu, kontynuując wątek. - Widzisz... Twoja wizyta wzburzyła ocean mego duchowego ładu, a niestrudzona droga pamięci, niekiedy o wiele gorliwsza, niżby mój spokój sobie tego życzył, wydobyła na powierzchnię wszystkie pozostałości rozdartej przeszłości, które moja bojaźliwość i brak cywilnej odwagi odstawiła na boczny tor. Nigdy już nie odzyskam mojej boskiej Uke, lecz mam przecucie, że twoje niespodziane objawienie jest moją jedyną i ostatnią szansą na odzyskanie Hamisha, wierząc, że jego wyrozumiały i wspaniałomyślny uścisk pozwoli mi pojednać się z moimi błędami. Jednym słowem i bez dalszych prolegomenów: pragnę pojechać z tobą do Afryki.

Zamurowało mnie. Nigdy nie spodziewałbym się podobnej propozycji, a już na pewno nie ze strony kogoś takiego jak Delsey, dla którego niechybnie szczytem plugastwa były toalety publiczne na Polach Elizejskich, dla którego *terra incognita* to musiała być ziemia w balkonowych doniczkach, dla którego bez wątpienia zagrożenie ze strony dzikich zwierząt czaiło się pod postacią komara na suficie, dla którego niewątpliwie ryzykownym doświadczeniem kulinarnym była konsumpcja owoców morza bez miseczki z wodą i cytryny, dla którego ani chybi strojem polowym był goździk wdzięczący się z butonierki, dla którego z pewnością synonimem pełnej niewygód podróży były brudne dywaniki w limuzynie... Nie, nie. Kategorycznie nie. Był to najbardziej absurdalny pomysł, o jakim kiedykolwiek słyszałem, pomijając już fakt, że chodziło o siedemdziesięciodziewięcioletniego starca naszpikowanego, jak mogłem przypuszczać, swoimi maniami, słabostkami, objętego najpewniej programem intensywnego leczenia oraz ryzykiem niedającej się

wykluczyć konieczności stosowania podstawowych zabiegów resuscytacyjnych. Nie, za żadne skarby świata.

- Oczywiście, baronie. Będzie to dla mnie przyjemność i zaszczyt.
- Cóż innego mogłem powiedzieć? Nie odważyłem się odmówić mu satysfakcji, którą można by niemal uznać za jego ostatnią wolę.

- Och...! Hosanna, co za radość! - Pod naporem fałd zmarszczek jego zielone oczka zwiężyły się, skrząc błogim uśmiechem. - Muszę wyznać, że zaskoczyła mnie twoja natychmiastowa aprobata. Nie sądziłem, że z taką skwapliwością skłonny będziesz wziąć na swoje barki zgrzybiałego starca. W moim wieku człowiek ma swoje dziwa ctwa i dolegliwości zmuszające go do podróżowania w towarzystwie podręcznej apteki. Poza tym już dziesiątki lat temu utraciłem zażyłość z dzikim *milieu*, nie licząc rzecz jasna dzieł Corota i innych pejzaży stów, ale zarówno w Voisins-les-Bretonneaux, jak i w Torrelodones zawsze sprawiało mi niewymowną przyjemność podziwianie drzew za okienną ramą. W każdym razie moja dobra znajomość charakteru Hamisha może okazać się przydatna w poszukiwaniach. To jest argument, którym miałem zamiar fechtować, aby skruszyć twoją obronę, nie było jednak potrzeby wyciągać z pochwy tego miecza. Doskonale, doskonale... Powiedz mi, kiedy zamyślałeś wyruszyć do tajemniczej Afryki? Jakież to emocjonujące! „I speak of Africa and golden joys!” ** - zadeklamował przy akompaniamencie teatralnej gestykulacji, wyciągając ramię ku horyzontowi, hen za okno.

- Mniej więcej za dwa miesiące, gdy tylko zakończę wszystkie przygotowania. Najprawdopodobniej latem. Zatem słowo się rzekło.

- Nie mogłem uwierzyć, że pakuję się w podobną kabałę. - Biorę na siebie rezerwację biletów na samolot dla dwóch osób. Czy może pojedzie z panem baronem sekretarz?

- Thierry? Nie sądzę. Zawsze był nieodłącznym towarzyszem moich podróży, myślę jednak, że w tym wypadku obejdu się bez jego asysty. To sprawa ściśle prywatna. Bez niego nasz ekwipunek będzie lżejszy. A twoja czarująca narzeczona?

- Och, nie, ona... -Jakby używając stosownego lejtmotywu moje-

„Mówię o skarbach i złocie Afryki”. - W. Szekspir, „Druga część dziejów króla Henryka IV”, przekł. M. Słomeczyński, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1987 (przyp. tłum.).

mu wspomnieniu Moniki, Francis Cabrel zaszlochał z drewnianego pudła gramofonu „Je l'aime a mourir”. Nim dokończyłem zawieszoną myśl, zasłuchałem się przez chwilę i utożsałem z tą apologetyczną balladą zranioną dałą i przewierconymi sumienną pracą korników głośnikami. - Ona nie może. Pracuje w Nowym Jorku.

- Masz ci los, niezmiernie mi przykro. To smutne, że przeciwnością jest tylko praca. - Potrafił dozować indagujący ton w tak subtelny sposób, by pozostać o jedną kreskę od zuchwałego wścibstwa, ale jednocześnie wbijał we mnie zielone ćwieki spojrzenia. Narzędzie pracy dobrego kronikarza życia socjety, pomyślałem.

Poczułem się zmęczony. Absynt mnie zmógł. Nie miałem najmniejszej ochoty nacierać na płachtę, którą mnie prowokował.

- Świetnie. Zatem dwa bilety. Dla pana barona zarezerwuję lot z Paryża.

- Nie, nie. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, wolałbym podróżować razem z tobą, z Madrytu. Tym sposobem skorzystam z okazji, aby dotknąć starych murów Lux Domini i wrócić pamięcią do tamtych beztrudnych dni przyjaźni, niewinności i swobody.

- Ekhm... Obawiam się, że nie będzie to możliwe. Moi rodzice sprzedali dom.

- Sprzedali dom? Lux Domini sprzedany? Obcemu człowiekowi?

- Obawiam się, że tak.

- Ależ to tragiczna wiadomość, fatalna, haniebna. Ach, Boże mój, przecież to istny holokaust! Pyszny ogród wspaniałych miłosnych igraszek Uke i Hamisha! Ateneum naszej przeprawy w wiek dojrzały! Tak wiele z nas zostało w tym domu! Co za straszne nieszczęście!

- Tak, wszyscy mówią mi to samo, choć może używając innych słów. Ale nie mogłem uczynić nic, aby temu zapobiec.

- Jeśli przyczyną była korzyść pieniężna, nabyłbym go z nieopisaną rozkoszą.

- Już za późno. A ja muszę iść, w przeciwnym razie zacznę pisać jak Rimbaud. - Zaśmiałem się bezmyślnie.

- Będziesz mi miłym gościem, jeśli pragniesz pozostać kilka dni dłużej w Paryżu.

- Jestem panu niezmiernie wdzięczny za zaproszenie, ale sądzę, że nie mam tu już nic więcej do roboty. Wracam do domu.

Wstałem, dźwigając swoje istnienie na niepewnych nogach. Nagle w mojej głowie wyprostował się jakiś ściśnięty resor, sprężyna pozostająca w naprężeniu jeszcze przed naszą rozmową, czekająca tylko chwili, kiedy będzie mogła się rozprężyć.

- Jeszcze jedno, baronie. Czy jest pan pewien, że matka Hamisha wróciła do Estonii? Czy istnieje możliwość, że mogła zamieszkać gdzie indziej? Przed zamążpójściem pracowała w Niemczech, prawda?

- Cóż... Sądzę, że to raczej niemożliwe. I z jakiego powodu miałyby to uczynić? Z tego, co wiem, nie miała żadnej rodziny w Niemczech. Podpisała kontrakt z niemiecką orkiestrą po prześluchaniach w Tallinie.

- To nic takiego, nieważne.

Bardzo to nikła możliwość, by między tysiącami żydowskich, ogarniętych obłędem niemieckojęzycznych staruszek, które mogły zamieszkiwać Europę w początkach lat trzydziestych, odnaleźć panią Sutherland. Chociaż lubię myśleć, że w tamtej kameliowej damie spotkała Uke, nic o tym nie wiedząc, rozmawiając z umarłymi udręczoną matką Hamisha.

Wróciwszy do hotelu z mózgiem rozmiękczoneym oparami absyntu, stwierdziłem, że nie chcę spać sam w tym obcym i pustym pokoju. Pozbierałem rzeczy, złożyłem troskliwie nasz koc, włożyłem go do podręcznej torby i zjechałem do recepcji, zdecydowany dostać się na lotnisko i kwitnąć przed okienkiem dopóty, dopóki nie zdołam kupić biletu na pierwsze wolne miejsca w samolocie do Madrytu.

- Mimo rezygnacji z pokoju będę musiał pana poprosić o uregulowanie opłaty za bieżącą dobę.

- Tak, tak, proszę wypisać rachunek. Nie ma problemu.

Zastukał w klawiaturę i po chwili wręczył mi rachunek. Figurowała na nim tylko jedna doba hotelowa.

- Mam wrażenie, że czegoś tutaj brakuje.

- Nie, wszystko się zgadza, za pozostałe dni zapłaciła wczoraj panienska, kiedy wyjeżdżała o świcie.

Powinienem był to przewidzieć.

- Proszę doliczyć ten koc. - Pokazałem mu róg tkaniny wystającej przez niedomknięty zamek torby.

- Słucham?

- Koc z szafy. Zabieram go. Proszę go doliczyć z łaski swojej do mojego rachunku.

- Ale... nie wolno panu. Nie sprzedajemy koców. Nie może go pan zabrać z sobą, a jeśli już pan musi, to proszę to zrobić tak, jak inni, bez słowa, po kryjomu.

- Proszę pana, ja nie nazywam się inni. Chcę wziąć ten koc, uiszczając za niego opłatę.

- A ja nie mogę wziąć od pana za niego pieniędzy!

Cała ta sytuacja zaczynała działać mi na nerwy. Wyciągnąłem z portfela pieniądze, aby zapłacić za hotel i dodatkowo sto franków za koc, których recepcjonista za nic nie chciał przyjąć. Szarpaliśmy się przez chwilę, aż w końcu zmęczony tym idiotyzmem, ruszyłem wzburzony zdecydowanym krokiem ku wyjściu i wraziłem na sztorc stufrankowy banknot w piasek wypełniający stojącą przy drzwiach popielniczkę.

- Do jasnej cholery, kup pan nowy koc!

Z torbą na ramieniu, ciągnąc za rączkę walizkę na kółkach, pomaszerowałem w stronę bulwaru, obserwując, jak w świetle mijanych latarni zmienia się kształt mojego cienia. Kiedy skręciłem za róg, zimny wiatr smagnął mnie gwałtownie w policzek i zaczesał mi przedziałek z drugiej strony. Kałuże odsyłały w niebo mętną i ubłoconą wersję miasta światła. Poprzedzone dyskretną gonitwą żółtawych reflektorów mijały mnie nieliczne auta, wyciskając z mokrego asfaltu krótkotrwały szum. Taksówek nie było ani na lekarstwo, doszedłem więc do kościoła Madeleine, ufając, że złapię coś pod hotelem Crillon, przy placu Zgody. Zatrzymałem się przed witryną jakiegoś biura podróży eksponującego plakat ze zdjęciem skaczących, masajskich wojowników i dawną mapą Kenii. Nyeri - tam był. Przesuwając wzrok po ściegach tego kraju, zadawałem sobie pytanie, w jakim porze papieru przebywał w tym momencie Hamish, żywy lub martwy.

Zaczęło padać. Przyśpieszyłem kroku i opuściłem głowę, aby uchronić oczy przed spływającym ukośnie na fali wiatru wątkiem ostrych kropli. Z prawej strony mijałem połyskujące i uspiione wystawowe okna, i w ruchomym odbiciu ulicy w wielkich taflach szyb manekiny zdawały się dotrzymywać mi kroku, a ja obdarzałem

je imionami postaci z mojej historii i wyobrażałem sobie, że każda z tych miniaturowych scen przedstawia jeden z aktów komedii i tragedii Uke, Hamisha i Delseya:; zaloty w kamienistym lesie El Pardo, podwieczorek w górach przy akompaniamencie skrzypiec i burzy, przyjacielski wieczór i banalna rozmowa pośród przepętnionych gablot w dworku Delseya, miłości, które przyszły i odeszły, anioły i naziści, cierpienie i wielkość, wszystko to, co posiadało znaczenie wyłącznie dla mnie, nic, co mogłoby dotyczyć zbiorowości. Do wszystkich jednak bez wyjątku witryn zakradała się jeszcze jedna postać. Bogini o nieujarzmionych, czarnych kędziarach. Do diabła, przeklęta melodia. Nie mogłem się od niej uwolnić. Rytm przyspieszonego oddechu i ciamkania butów na pokrytych kałużami płytkach chodnika wybijała piosenka, której - opuściwszy dom Delseya - nie zdołałem przepędzić z moich myśli. I te przeklęte słowa.

*Elle a bañ des ponts
Entre nous et le ciel, Et
nous les traversons A
chaque fois quelle Ne
veut pas dormir, Ne
veut pas dormir. Je
l'aime a mourir*.*

Rozpięła mosty/ Między nami i niebem/ Przechodzimy po nich/ Za każdym razem, gdy ona/ Nie chce spać/ Nie chce spać/ Kocham ją do szaleństwa.

INTERMEZZO (ALLEGRO)

- Dzień dobry, nazywam się Curro Mencía.
- Dzień dobry, wejdz.
- Dziękuję. Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, chciałbym najpierw zobaczyć ogród.
- W porządku, jak wolisz. Zaczekam na ciebie. I tak muszę tutaj siedzieć.

Zostawiła otwarte drzwi. Spojrzałem na prawo, na portykowy taras, na którym zabijaliśmy czas w zimowe poranki i którego samotność okrywał teraz całun nędzy i opuszczenia utkany z martwych liści, sadzy i resztek niedopalonych szczap, papierów nawianych przez południowy wiatr chłuszczący łuki, pobrząkujący pustymi butelkami i zamiatający z kąta w kąt odpadki pozostawione przez jakiegoś intruza. Cała ściana zapaskudzona była jednym z tych koszmarnych miejskich malowideł, dzieł artystów od siedmiu boleści, którzy zmuszają mimowolnych przechodniów do oglądania ich pstrokatych wypróżnień. Czułem, jak bulgoce we mnie adrenalina i wściekłość, przekląłem decyzję rodziców, przekląłem upływ czasu, przekląłem nasze niedbalstwo i przekląłem własne tchórzostwo, że nie przyjechałem tutaj wcześniej, gdy dom należał jeszcze do rodziny i kiedy uprzątnięcie śmieci przed wejścia miałoby jakiś sens, chociażby tylko po to, żeby pogrzebać trupa godnie, tak jak na to zasługiwał.

Ogród skurczył się w sobie od czasów Czterech Piór nie tylko dlatego, że zarósł gęstwiną splątanych krzaków, ale z tej przyczyny,

że zmniejszył się do poczucia proporcji właściwego człowiekowi dorosłemu, po tym, jak gdzieś po drodze zatarło się poczucie nieskończoności i heraklityzmu, przez którego pryzmat patrzą na swoje otoczenie dzieci. Wszystko było o wiele mniejsze: na brukowanym tarasie z tyłu domu nie było dość miejsca, żeby mógł wylądować helikopter, głązy wyzierające z trawy nie były największymi okazami skalnymi okolicznych gór, misa fontanny nie była basenem, lecz misą fontanny, horyzont zaś tylnego ogrodzenia znajdował się o wiele bliżej niż horyzont. Żałowałem swojej wizyty na śmiertelnych szczątkach Lux Domini owego popołudnia w ostatnich dniach wiosny. Efekt był taki sam, jak gdybym nadział się na któregoś z moich towarzyszy z czasów górskich eskapad przedzierzgniętego w podatnika, wyborcę, abonenta, inwestora, płatnika ubezpieczeń społecznych, w kogoś takiego, jak ja.

Oparłem się o metalową siatkę, która zastąpiła dawny murek wyznaczający tylną granicę działki, i podniosłem wzrok ku pałacowi Canto del Pico, nazywanemu przez nas Walpurgią. Jego kanciasta sylweta odcisnięta na niebie zarysem fikcyjnego gotyku nie była już złowroga, ale pogodnie anegdotyczna, banalnie potulna, a jej daleki kształt sugerował, że lepiej niż mój dom znosi stan opuszczenia. Odszukałem wzrokiem płaski głąz odgrywający rolę sufitu w naszym Schronie i byłem zaskoczony, że znajduje się tak blisko. Nie było nic poza otoczkami prążącymi się w słońcu oraz nieregularnymi łakami, których wiosenna eksplozja zginała kark przed hordami antycyklonu z Azorów. Ani śladu potworów, bestii czy lwów. Z głową złożoną na ramionach wspartych na ogrodzeniu, spojrzałem na lewo. Pośród kudłatej roślinności walał się zardzewiały drut, dwa ostre fragmenty falowanej blachy i spróchniały kołek, jedyne pozostałości fortyfikacji noszących dumną nazwę Bazy Obozowej. Podszedłem bliżej i odgarniając liście, zacząłem grzebać w ruinach. Nie wiem, co właściwie chciałem znaleźć, może jakiś przedmiot, który mógłbym rozpoznać, relikwię z tamtych czasów, coś mojego w tym zapuszczonym ogrodzie należącym do nieznanym kobiecie, lecz jedyną rodzinną pamiątką, jaką zdołałem stamtąd wynieść, była ziemia za paznokciami.

Z natrętnym uciskiem w oczach ruszyłem w powrotną drogę, stąpając przy wtórze rytmicznego cykania cykad, patrząc na popę-

kany i zabazgrany mur, pozrywane dachówki, okna zakneblowane żelaznymi płytami, szyby salonu wznoszące w ciszy historyczny krzyk bezzębnymi ustami, i musiałem przysiąc na bruku, dotykając plecami martwej skóry mojego domu, żeby zwolnić nieco galopujący oddech, i przypominałem sobie słowa Delseya o spaniu nago pod gołym niebem i przyszło mi do głowy, że baron nie miał na myśli jakiejś konkretnej epoki osadzonej w określonym stuleciu, ale nasze uczuciowe dziedzictwo z przeszłości, ojczyznę dzieciństwa, którą zostawiamy gdzieś z tyłu, gdy emigrujemy w wiek dorosły. Po chwili dźwignąłem się, okrążyłem dom wzdłuż bocznej ściany i wróciłem do głównych drzwi, za którymi czekała na mnie właścicielka albumu, z którego eksmitowano moje wspomnienia. Wszedłem do holu i zawołałem ją łamiącym się głosem. Była w kuchni, siedziała na składanym krześle przy kempingowym stoliku zasłanym papierami.

- Wejdz, wejdz, śmiało. Nie zapraszam cię, żebyś usiadł, bo mam tylko jedno krzesło.

Obrzuciłem spojrzeniem żałobne obwódki po meblach na podłodze, na ścianie, blizny brutalnej i niechlujnej autopsji obnażającej zakątki, które zawsze pozostawały w ukryciu i które, jak wnętrzności zmarłego, nigdy nie powinny być ujawniane w obecności rodziny.

- Powiedziała pani, że rezygnuje z założenia restauracji?

- Tak, jak zwykle sprawa rozbiła się o pieniądze. Przeliczyłam się.

- I co teraz pani zamierza zrobić z domem?

- Sprzedam go. Dlatego właśnie umówiłam się z tobą, kiedy do mnie zadzwoniłeś. Chciałam skorzystać z okazji, że dzisiaj przyjeżdża agent i rzeczoznawca z firmy, która chce go kupić.

- Firma? Jaka firma?

- Firma deweloperska jak sądzę.

- Dewelo...?

- Tak, dzisiaj po południu przyjadą obejrzeć dom. Prawdę mówiąc, chcą zobaczyć jedynie teren, bo mówią, że dom ich nie interesuje.

- Że... ich nie interesuje? - Nagle gwałtowny prąd przeszył mi kręgosłup, jeżąc włosy na grzbiecie. - To znaczy, że go... zburzą?

- Tak myślę. Przypuszczam, że wybudują domki szeregowe, bo to ostatnio cieszy się wielkim wzięciem. To dobra działka. No, ale cóż... co to ja miałam.... Spójrz, mam tutaj tę paczkę, o której ci mówiłam przez telefon i przyobiecałam oddać. - Pokazała mi jakiś pakunek obciążony plastikiem, lecz ja nie zwracałam na niego uwagi. - Pojemnik skrzynki na listy musiał się urwać dawno temu, listonosz jednak dalej wrzucał pocztę przez szparę, a ta lądowała prosto na ziemię. Dokładnie w tym miejscu nad skrzynką przechodzi okap daszku stróżówki i nie lał się tam bezpośrednio deszcz, ale od dołu i tak podeszła woda i wszystko zamoczyła. Nadawało się to tylko do wyrzucenia, co też zrobiłam. Ale patrz. Gdy zabrałam się do porządków, między kupą bezużytecznej makulatury znalazłam tę kopertę zapakowaną w plastik, który chyba uchronił zawartość przed wilgocią. Litery zamazały się i ledwie je można odczytać, ale wydaje mi się, że to, tutaj, to twoje nazwisko: Curro Mencia. Reszta jest nieczytelna. Skoro już przyjechałeś, oddaję ci w twoje ręce. Gdybyś do mnie nie zadzwonił, wyrzuciłabym i to.

Podawała mi wyblakłą od słońca, wielką kopertę odzianą w pomarszczony plastik noszący ślady rozmazanego wodą tuszu. W środku znajdował się zapewne gruby plik papierów. Zwinąłem ją mimowolnie w rulon, czując pod palcami chrobot plastiku, podczas gdy myślami błądziłem w innym całkiem wymiarze, rozważając desperackie możliwości ocalenia Lux Domini z celi śmierci, odbijając się od jednej opcji do drugiej niczym kulka we flipperze, przy czym każde uderzenie zwiększało prawdopodobieństwo nieodwracalnego wyroku, aż w końcu kulka potoczyła się w stronę Delseya, jedynej poważnej alternatywy dającej szansę na złagodzenie kary, jakiej podlegał mój dom.

- Czy można wiedzieć, za ile go pani sprzedaje?
- Wszystko zależy od negocjacji z nabywcą.
- Czy sprzeda go pani mnie, jeśli niezależnie od wysokości kwoty zaoferowanej przez tę firmę dam milion więcej?
- Dla mnie to bez różnicy, dom pójdzie w ręce tego, kto da więcej. Ależ byś zrobił złoty interes, kupując ten sam dom, który sprzedali mi twoi rodzice, z tym tylko, że za wyższą cenę.
- Czy mógłbym się trochę rozejrzeć? Tyle tu wspomnień.

- Oczywiście, czuj się jak u siebie. Jeśli pozwolisz, ja zostanę tutaj.

Rzuciłem kopertę na stół i wszedłem do salonu. Między poobdzieranymi do żywego ścianami nie pozostawał już żaden okruch dawnych czasów, jakby ktoś wyskrobał szpachlą najdrobniejszy ślad naszej bytności. Oparłem jedną stopę na schodach, na których zwykłem siadywać i podpatrywać rodzinną krzątanicę w ruchliwe sobotnie poranki i skąd szpiegowałem rozmowy starszych. Wówczas wykładzina wyściełająca schody tłumiała moje kroki na stopniach, teraz zaś, słysząc głuchy stukot obcasów na gołym drewnie, czułem się, jakbym dotykał trupa zeszywniałego *rigor mortis*.

Idąc korytarzem górnego piętra, zastanawiałem się, czego ja właściwie szukam. Nie było nic między płaskimi, wapiennymi kośćmi ścian, nic, nawet żdźbła światła, które jak kiedyś rozjaśniłoby zakamarki, wyłącznie płaszczyzny przecinające się w tonach szarości, pozbawione kontrastu, odcieni, nawet cienia rumieńca w pokojach, gdzie zimne światło przeciskało się plastrami przez szpary w żelaznych płytach, jak promień skanera mózgu. Płyty zamknięte były na łańcuch, a ja nie pomyślałem, żeby *zabrać* z sobą latarkę, postanowiłem więc wspinać się na poddasze, wymacując w ciemności stopnie przed każdym kolejnym krokiem.

Otworzyłem klapę i oślepił mnie blask słońca. Tutaj nie zamontowano tego żelastwa i w strumieniach jasności wlewającej się przez świetliki tańczyły tumany kurzu, który wzbił się po uderzeniu klapy o podłogę, płosząc jakiegoś ptaka ukrytego w szczelinie sufitu, zdradzającego swoją obecność strwożonym trzepotem. Machnąłem ręką, próbując rozróżnić w chmurze pyłu formy przestrzeni strychu i natychmiast zawładnęło mną uczucie ulgi, jakbym natrafił na drąg, którego mógłbym się wreszcie uchwycić. Uśmiechnąłem się, wzdychając głośno. Poddasze pełne było rzeczy, rzeczy bezużytecznych i wyrzuconych, lecz były to nasze bezużyteczne i wyrzucone rzeczy, te same, które spoczywały tam przez ponad czternaście lat, wszystko to, czego nikt nie uznał za godne ocalenia i co solidarnie dołączyło do wyroku ciężącego nad domem, opuszczone przedmioty, które nie potrafiły wykazać, że warte są skrawka miejsca na ratunkowych szalupach, bezradne

i porzucone, dzielące jeden los z oślepionym okrętem grażącym się w topieli kurzu, w oceanie zapomnienia.

Był tam manekin, na którym babka i matka fastrygowały stroje kopiowane z magazynów mody, i drewniane lalki, prawie wszystkie z którąś amputowaną kończyną, służące pradziadkowi do doskonalenia póż w jego obrazach, i zdezelowana sztaluga z trawersami zwisającymi jak ramiona mima, i rolki tapet, i wieżyce starych gazet, i wspaniałe szczątki końcówek rozmaitych materiałów znajdujących się przed laty o krok od spełnienia jakiejś ważnej funkcji i zmęczonych czekaniem na debiut, który nigdy nie nadszedł: płytki łazienkowe odsiadujące najgorszą dla płytek karę, karę samotności, cegły i kostki bruku poddane temu samemu traumatycznemu doświadczeniu, mało używane worki na gruz skazane na wieczne bałamuctwo co do deklarowanego ciężaru, puszki farby zalane kolorowymi łzami, wypaczone w smutnych uśmiechach drewniane listwy, aluminiowe profile zachowujące katalogową trwałość i sprężystość, na wypadek gdyby ktoś jeszcze zechciał je kiedyś wykorzystać, zwoje kabli nietransportujące woltów, worki gipsu i cementu skute wilgocią, usatysfakcjonowane wypełnieniem swojej misji.

Zdałem sobie wówczas sprawę, że nie mogłem odnaleźć lepszych wspomnień, wszystkie te odpadki bowiem pozbawione gwiazdnego poloni *souvenir* wiązały się z jakąś konkretną chwilą splatającą życie domu z naszą własną egzystencją. Usiadłem na podłodze po turecku, stając się jeszcze jednym składnikiem tej kapusty z grochem rzeczy bezużytecznych, dotykając palcami ich sfatygowanych obliczy, i poczułem, że dokooptowano mnie do tego sierocińca rozczarowanych artykułów opowiadających mi o tym, jak to były o włos od swojego chrztu na budowie i chwili glorii: kiedy Vicente wyremontował łazienkę dzieci po tym, jak pod płytkami pękła rura, kiedy Vicente zbudował szafę do pokoju Carlosa, kiedy Vicente zabudował prześwit między balaskami poręczy schodów w reakcji na dociekliwe raczkowanie Isabel, kiedy Vicente doprowadził światło postępu do naszej Bazy Obozowej, kiedy Vicente pomalował, polakierował, naprawił, zainstalował, wybudował. Zawsze Vicente, pan i władca poddasza, mózg i silnik Lux Domini.

Wstałem i zapuściłem się w labirynt drózek pomiędzy mętlikiem przedmiotów, żłobiąc palcami bruzdy w ugorze pyłu.

Nagle zaczepiłem nogą o deskę wspartą o ścianę, która zwała się z hukiem, wycinając swoim upadkiem zwarty las listew, kawałków belek, szyn do firan i metalowych prętów. Słyszając łoskot, moja gospodyni zawołała z kuchni:

- Coś się stało?

- Nie, nic, nic, deska się przewróciła!

Klnąc pod nosem, podniosłem deskę i oparłem o ścianę tak, by nie zawadzała w przejściu, i to samo zrobiłem z belkami, listwami i prętami. Podniosłem też jakiś rulon, który runął wraz z tym wszystkim i który wyglądał na tapetę, lecz dotknąwszy go, poczułem, że ma chropowatą fakturę, jak tkanina pokryta warstwą kleju. Było to płótno malarskie. Pomyślałem, że to może jeden z obrazów pradziadka, który zawieruszył się gdzieś na tym wysypisku i przeoczono go w czasie przeprowadzki. Rozwinąłem go i przetarłem dłonią; spod warstwy kurzu wyłonił się skrawek pejzażu: rozległa dolina upstrzona palmami w objęciach górskiego łańcucha rozpościerającego się pod burzowym niebem. Wtem, w jednym z zakątków pejzażu, dostrzegłem zarys sylwetki jakiegoś zwierzęcia. Wówczas serce załomotało mi jak zwariowane, a płuca wchłonęły mimowolnie pół tony kurzu kłębiącego się wściekle dokoła. Bo była to bez cienia wątpliwości łapa lwa.

Usunąłem osad kurzu z powierzchni malowidła i... to był on! Wyniosły i mocarny, z grzywą rozkołysaną wiatrem, ze spokojnym i niezłomnym obliczem króla „Władca równin”!, obraz Landseera, który ojciec Uke kupił od Hamisha i który wraz z połamanym blejtramem spoczywał zapomniany w jakimś zakamarku po tym, jak pradziadek dowiedział się o ciąży swojej córki, i który uznano za zaginiony, i który przepadł jak kamfora. Spoczywał tam przez te wszystkie lata, w zasięgu wzroku domowników, choć zakamuflowany między resztkami tapet i deskami, ciśnięty przez kogoś, z pewnością przez strażnika pilnującego domu podczas wygnania Uke i jej ojca, i wymazany z pamięci na całe dziesięciolecie. Nie mogłem w to uwierzyć! Boże, ten obraz musiał mieć olbrzymią wartość! A to oznaczało, że Lux Domini wróci w moje objęcia!

Nagle pomyślałem o implikacjach tego fortunnego znaleziska. Ja, podobnie jak Nick Carraway z „Wielkiego Gatsby'ego”, zawsze uważałem siebie za najbardziej prawą spośród znanych mi osób i nie mogłem odsunąć na bok etycznych dylematów tego odkrycia. Dom należał - zakładałem, że z całym inwentarzem - do kobiety trzymającej wartość w kuchni. Nie miałem zielonego pojęcia, jak mogła się przedstawiać sytuacja prawna tego płótna, którego rynkowa cena była z pewnością równa lub wyższa od ceny domu. Jednakże obraz ten był własnością mojej rodziny. Choć nie istniał żaden formalny dokument handlowy, który by to stwierdzał jednoznacznie, wszyscy mogli zaświadczyć, że nabył go mój pradziadek i że z tego względu, z moralnego punktu widzenia, obraz był nasz. Niech to szlag. Zastanowiłem się, co zrobiłby w takim wypadku Sangre de Cristo. Ale on żył w świecie czarno-białej moralności, gdzie dobrzy byli bardzo dobrzy, a źli bardzo źli i każdy miał z góry określoną i akceptowaną przez siebie rolę, w którą wcielał się z dzikim entuzjazmem, bez jakichkolwiek pseudointelektualnych oporów. Drżącymi rękami, jakbym szykował się do napadu na pociąg pocztowy z Glasgow, zwinąłem ponownie płótno, spłaszczyłem delikatnie rulon i ukryłem go pod koszulą, wciskając końcówkę w spodnie. Czuję, że górny koniec sterczy mi na piersi jak płetwa rekina, dolny zaś budzi mylne skojarzenie i musiałem znaleźć jakąś taśmę klejącą, aby przytwierdzić dzieło do uda i torsu, zdając sobie sprawę, że usunięcie powyższego zabezpieczenia pociągnie za sobą traumatyczną i bolesną depilację. Zaplątałem koszulę na ostatni guzik i rzuciłem okiem na swoje odbicie w popękanej tafli wiekowego lustra, en face i z profilu. Świetnie. Nie było widać niczego podejrzanego.

Schodziłem po schodach cały zdrętwiały ze strachu, że zostanie odkryty, a trwogę potęgowała jeszcze obawa, że fluidy wstydu i winy, jakimi musiało emanować moje ciało, z łatwością wywęszy właścicielka. Mimo to schodziłem nadęty olbrzymią satysfakcją, starając się zachować najwyższą ostrożność i nie nadymać piersi. Błogosławiłem decyzję złożenia wizyty w domu, błogosławiłem to, że założyłem tego dnia obszerną, ciemną koszulę i luźne spodnie i błogosławiłem swoją nogę za to, że potrafiła tę opatrnościową deskę. Zaatakowałem właścicielkę już od drzwi kuchni, opierając

się ręką o futrynę, żeby odciągnąć koszulę od ciała, i oświadczając energicznie:

- Zdecydowałem się. Kupuję od pani dom. Nie mogę się go wyrzec. Bez względu na ofertę agencji dostanie pani ode mnie lepszą cenę. I jeśli trzeba, jestem gotów podpisać wstępną umowę zaraz, natychmiast.

Bo przecież obraz wart był więcej niż dom, nieprawdaż? W każdym razie nic już nie mogło mnie powstrzymać. Jeśliby okazało się to konieczne, poproszę o pomoc Delseya czy poszukam innej pracy, czy wszystkich prac świata, żeby móc sfinansować Lux Domini.

- Rety, co za pośpiech. Nie martw się, nie jestem związana z nikim żadną umową. Ci panowie przyjadą tak czy siak, lecz jeśli mówisz serio, gdy tylko dostanę od nich propozycję, zadzwonię do ciebie i porozmawiamy o cenie.

- Zostawię na wszelki wypadek telefon do siebie i do mojej matki. - Podeszedłem sztywno do stołu, nieznacznie zgięty, jakbym miał drewnianą nogę i koszulę z ołowiu, wziąłem kartkę papieru ze stołu i długopis i zanotowałem numery telefonów, nie pochylając się, za podkładkę używając dłoni drugiej ręki. - Proszę dzwonić, kiedy tylko się pani czegoś dowie. Zresztą ja również zadzwonię do pani, żeby być na bieżąco. Zgoda?

- No, dobrze. Zadzwonię, jeśli rzeczywiście ci na tym zależy.

- Nie wyobraża sobie pani jak bardzo. Ma pani na to moje słowo. Ten dom należał do rodziny przez wiele pokoleń. Pomysł z przekształceniem go w restaurację wydał mi się do przyjęcia, lecz pod żadnym pozorem nie mogę pozwolić, żeby zrównano go z ziemią.

- Słuchaj, coś ci dolega? Jesteś jakiś sztywny.

- Ach, nie... nie, nie, to nic, to tylko lumbago, przyzwyczałem się już. Od czasu do czasu strzyka mi w plecach i nie mogę się wtedy ruszyć. Uf! Wszystko przez to, że polazłem na ten strych i widzi pani...

- Rozumiem. Nie lekceważ tego, bo z wiekiem potrafi przerodzić się w prawdziwą zmoreę.

- Tak, tak, dziękuję. - Zlany potem, z ręką błądzącą w okolicach lędźwi powlokłem się do drzwi kuchni. Wyjście na ulicę otwierało się przede mną na oścież kuszące i pożądlive niczym światło

wlewające się przez bramę otwartą przed Barabaszem, ocalonym od śmierci kaprysem motłochu. Ale w chwili, gdy przyspieszałem kroku ku prostokątnej ramie, za którą lśniło słońce i słysząc było trzask ptaków, usłyszałem ponownie władczy głos pani.

- Mam wrażenie, że wynosisz z tego domu o wiele więcej, niż się spodziewałeś! - Usłyszałem, jak podnosi się z krzesła i idzie w moją stronę. - Lecz zapominasz o czymś.

Poczułem, jak potężnie we mnie tętent tachikardii i stęzałem, skurcze i rozkurczę rozkołysały mi w piersi wzburzone fale, gałki oczne zwisały z orbit, jak w tych dowcipnych okularach wyposażonych w sprężynki, pot tryskał pewnie wszystkimi bez wyjątku porami.

- Że... że... że co proszę?

- No tak. Przyjechałeś pożegnać się z domem i odchodzisz niemal z aktem własności w kieszeni. Uwierz mi, rozumiem cię doskonale. Ja też czułabym się podle, mając świadomość, że dom należący od dziesięcioleci do mojej rodziny będzie zburzony. Nie martw się. Zadzwoń do ciebie. Jeśli ty dotrzymasz słowa, ja dam ci moje: dom jest twój. Możesz być spokojny. Masz, zapomniałeś tego. - Wcisnęła mi w ręce kopertę. Włożyłem maksymalny wysiłek w to, by nie upuścić jej na podłogę.

Wypadłem na wolność i puściłem się pędem, skacząc jak oszalała i gryząc się w język, powstrzymując niepohamowany impuls posłania w niebo całej kanonady krzyku, aż do całkowitego ochrypnięcia. Uważając, by nie zniszczyć płótna, z najwyższą ostrożnością wgramoliłem się do samochodu z wyprostowaną nogą i pojechałem w dół ścieżką do ulicy, w dół ulicy do drogi biegnącej wzdłuż autostrady i tam musiałem zatrzymać się w jakimś zakolu, żeby ochłodzić i nastawić zwichnięte stawy. Spojrzałem na siedzenie obok, gdzie rzuciłem kopertę. Koperta. Całkowicie o niej zapomniałem. Na plastikowym opakowaniu można było jeszcze odcyfrować moje imię, ale w okienku zarezerwowanym dla adresu nadawcy widniała już tylko rozległa plama czarnego tuszu. Frankowanie i odcisk kasownika pocztowego również były nieczytelne. List przyszedł na pewno dawno temu, chociaż nie sposób było określić, kiedy. Dźgnięty ciekawością rozerwałem plastik na grzbiecie. Wewnątrz

znajdował się plik kartek. Wilgoć zdołała przesączyć się przez jakąś szparę i rogi były pomarszczone. Niektóre arkusze były niezwykle kruche i rozpadały się pod dotykiem palców, na innych tusz wyrysował fioletowe kręgi. Były to teksty w języku angielskim pisane na maszynie, usiane odręcznymi poprawkami. Przeczytałem początek pierwszej strony. Były to słowa:

*One skali always find a lingeńg platoon of pot-bellied clouds, like the ones the venetian painters ofthe 17th century used to cali „heroic”, above the skies of... **

NAIROBI!

Widok nazwy tego miasta ponownie wyniósł mnie na szczyt ekscytacji, która powoli zaczynała we mnie już opadać. Chryste Panie, to mogło pochodzić wyłącznie od Hamisha! Przekartkowałem stertę maszynopisu. Na pierwszy rzut oka nie wyglądał na spójny tekst, lecz kompilację artykułów, esejów i refleksji. Nigdzie nie mogłem natrafić na nazwisko autora czy odniesienie do mojej osoby. Ale nie miałem żadnej wątpliwości, że autorem tego rękopisu był on. Kto, jeśli nie on? Strona po stronie teksty mówiły o Kenii: powstanie Mau-Mau, wizyta księżniczki Elżbiety, Masajowie, styl życia osadników, lwy, lwy! Przycisnąłem dokument do zwiniętego płótna, wciąż jeszcze przytwierdzonego do piersi i uda. Wylazłem z samochodu. Miało się ku wieczorowi. Podniosłem wzrok ku Lux Domini, wznoszącego się dumnie u podnóża szczytu Canto del Pico, zwinąłem dłonie w trąbkę, przytknąłem je do ust i teraz wreszcie wrzasnąłem na całe gardło, ile tylko miałem sił w płucach, ryknąłem, dobywając głos z najbardziej przepastnych głębin, jak prawdziwy władca równin.

Na niebie zawsze tłoczy się zgraja brzuchatych chmur, które siedemnastowieczni weneccy malarze zwali heroicas...

CZĘŚC DRUGA

LEW NA PUSTKOWIU

Miasto odległe od słońca

Wszedłem do sali restauracyjnej z przeponą uciskaną przez przysychający do krzyża żołądek. Sytuacja była o tyle poważna, że przez większą część nocy zainteresowane organy utrzymywane były w stanie bezsenności, co czyniło je jeszcze bardziej świadomymi swego deficytu. Towarzyszyło mi to znane, przykre uczucie, które pojawia się wówczas, gdy człowiek nie spał i nie jadł, i które objawia się tym, że gdy idzie, jego głowa porusza się w górę i w dół jak u antylopy gnu, oraz do przodu i do tyłu jak u gołębia, z czym, bez powodzenia, stara się walczyć, stosując zabiegi kompensacyjne polegające na równoważącym ruchu ramion, na zasadzie *steadycam*.

Delsey był już na posterunku, zajął miejsce w rogu, pod wielkim oknem, przy okrągłym stole przygotowanym dla siedmiu stołowników, nie zwracając uwagi - nie zdawał sobie nawet z tego sprawy - na potępiające spojrzenia innych gości, którzy zmuszeni byli cisnąć się przy mniejszych stołach. Sprawiał wrażenie zaintrygowanego jakimś magazynem, kartkowanym z wyrazem głębokiego niesmaku, jakby stronicie nie były zadrukowane, a uwalane farbą. Ujrawszy mnie, uśmiechnął się szeroko i zaprosił do stołu.

- Curro, dzień dobry! Co za przepyszny afrykański poranek!

- Tak, palce lizać, gdybyż tylko jeszcze słońce wyjrzało zza chmur.

Dzień dobry, Delsey. Czy dobrze się panu spało?

- Och, doskonale! Spałem snem czterdziestosążniowym oczysz-

czającym duszę, oko i serce, snem, który niesie cię na śniadanie na skrzydłach żądzy pożerania, jak mawiał stary Kipling, ha, ha! Nic jeszcze nie zamawiałem, czekałem na ciebie.

Rozejrzałem się wokół. Wszyscy goście korzystali ze szwedzkiego bufetu.

- Baronie, obawiam się, że nie możemy liczyć na obsługę kelnerską. Każdy musi sobie radzić sam.

-Och.

- Proszę się nie niepokoić, obsłużę pana z przyjemnością. Na co ma pan ochotę?

- Jesteś bardzo uprzejmy. Cóż, zazwyczaj moje śniadaniowe menu jest dość eklektyczne i apetyczne, choć zarazem lekkie i zrównoważone, to fakt. Croissant, cykorja z serem *bleu* Benedictin, lekko przysmażony eskalopek ze świeżego *foie gras* z gęsi krojonego lirą na delikatnie podpieczonej kromce *pain awc raisins*, do picia zaś herbata Ahmad of London Earl Grey bez mleka oraz szklanka soku z pomidorów i selera w równych proporcjach ze szczyptą kardamonu i kozieradki. Kiedy podróżuję, mogę obejść się bez kozieradki, której, niestety, wciąż jeszcze próżno by szukać w niektórych hotelach.

- Doskonale. - Kozieradka? - Zobaczę, co się da zrobić.

Miałem szczęście, że zdobyłem croissanta. Podałem mu go w kompanii kawałka tajemniczego pasztetu z grzanką, plasterka białego sera z papryką na krążku pomidora i szklanki soku pomarańczowego. Poprosiłem kelnera o herbatę dla Delseya i kawę z mlekiem dla siebie. Zjadł croissanta z herbatą, nie tykając reszty i nie uroniwszy na ten temat słowa komentarza. Pożerając swoją porcję jajecznicy z serem, postanowiłem nie tracić czasu.

- Podsumowałem ślady, jakie udało się nam zebrać do tej pory, oraz wnioski, jakie możemy z nich wyciągnąć. Nie jest tego zbyt wiele, lecz od czegoś trzeba zacząć. Z jednej strony mamy nazwę miasta, Nyeri. Korespondencyjny adres Hamisha. Możemy założyć, że ostatecznie poślubił Cordelię, bo zerwawszy związek z Uke, nie miał motywu, aby wycofywać się z danego słowa. Stąd robocza hipoteza, że zawarli małżeństwo i zamieszkali na farmie Cordelii w Nyeri. Dobrze. Cordelia... Wiemy, jakie było jej panieńskie nazwisko?

- Zapamiętałbym, gdybym je kiedykolwiek poznał, ale obawiam się, że to nigdy nie nastąpiło. Hamish nigdy mi go nie wyznał.

- W każdym razie, jeśli ta hipoteza odpowiada prawdzie i jeśli Hamish i Cordelia mieli dzieci, może jeszcze istnieje w Nyeri farma należąca do rodziny Sutherland. Nie wiemy jednak, czy Hamish nie opuścił tego miejsca w końcu lat siedemdziesiątych, po powrocie z podróży do Torrelodones, skoro nie odpowiedział na nasze listy wysyłane na tamten adres. Fakt, że wrócił tu pośpiesznie po śmierci prezydenta w 1978 roku, aby móc czuwać osobiście nad swoim mieniem, sugeruje, że istotnie miał tu jakąś własność. Własność, której mogło zagrażać niebezpieczeństwo w wypadku niestabilnej sytuacji politycznej. Co z kolei sprzyja domniemaniu, że był właścicielem jakiejś farmy i że, być może, musiał opuścić ją w wyniku zawirowań związanych z kryzysem prezydenckim. Z drugiej strony wiemy, że był korespondentem brytyjskiej gazety, przynajmniej w latach pięćdziesiątych, lecz nie mamy pojęcia, co to za gazeta.

- Myślisz, że wiedza ta mogłaby nam w czymś pomóc?

- Może w archiwum gazety znajduje się jeszcze jakaś informacja dotycząca jego ówczesnego miejsca zamieszkania czy adresu kontaktowego.

- Rozumiem. I nie jest niedorzecznością myśleć, iż Hamish wysyłał swoje relacje, korzystając z urzędzeń jakiejś lokalnej gazety. Ode mnie wymaga się, abym wysyłał swój felieton do magazynu, używając telefaksu i mogę to zrobić z tego hotelu, w tamtych czasach jednak nie było takich możliwości i jedyne, co mógł zrobić dziennikarz, by nadać materiał, kiedy znalazł się w jakimś odległym miejscu, to podyktować go przez telefon.

- Jeśliby to nam miało pomóc, możemy zapytać w lokalnych gazetach, które istnieją co najmniej od lat pięćdziesiątych, przejechać ich archiwa lub podpytać jakiegoś dziennikarza weterana.

- Jeśli pozwolisz mi sformułować supozycję, sądzę, iż powinniśmy raczej wykreślić to miasto z listy ewentualnych miejsc pobytu Hamisha, przynajmniej Hamisha, jakiego znałem ja. Nie był entuzjastą zatłoczonych aglomeracji ani wielkich metropolii.

- Tak, w jego zapiskach znalazłem uwagę o Nairobi i nie jest ona zbyt pochlebna. Można odnieść wrażenie, że nie lubił tego miasta,

czemu nie należałoby się dziwić, skoro, jak pan mówi, niewiele miast darzył sympatią. W części rękopisu, którą zdażyłem przeczytać, nie ma więcej wskazówek na temat jego miejsca pobytu. Tak że pozostaje nam na koniec mglisty trop hotelu Norfolk.

- Bardzo mglisty. Być może po tej pierwszej podróży, kiedy był nastoletnim gołowąsem, już nigdy więcej się tam nie zatrzymał.

- A może jednak. Istnieje pewna przesłanka, która może być dobrym punktem wyjścia. W nocy nie mogłem zasnąć, byłem zbyt zdenerwowany. Grzebałem w swoich papierach, przewróciłem całą dokumentację zgromadzoną w ciągu tych miesięcy, ale znudziło mnie to i postanowiłem wyjść, przejść się po mieście. Taksówkarz zawiózł mnie do jakiegoś baru i tam poznałem pewną dziewczynę.

- Dziewczynę?

- Powiedziała mi, że w Norfolkku kręci się niejaki Ian, australijski malarz, który od wielu lat sprzedaje tam obrazy i który zna od podszewki życie towarzyskie hotelu. Z tego, co wiem, Norfolk jest czymś więcej niż zwykłym hotelem, jest swego rodzaju instytucją i od najbardziej zamierzchłych czasów, sięgających początków kolonii, miejscem spotkań europejskiej społeczności. Możliwe zatem, że Ian poznał któregoś dnia Hamisha lub przynajmniej zna kogoś, kto mu o nim mówił. Myślę, że to dobry trop jak na początek.

- A... ta dziewczyna? - Plotkarskie usposobienie wyzierało z Delseya przy najmniejszej okazji.

- Zgadza się, jest dokładnie osobą, o jakiej pan myśli. To prosty tutka, choć jednocześnie prawdziwa dama. Tylko z nią rozmawiałem. Choć może nie powinno się było skończyć jedynie na tym.

- Aż tak źle idą *affaires* z piękną Mónicą?

- Nie wiem, czy kiedykolwiek ruszyły w ogóle z miejsca. Widzi pan, odkąd wyjechała do Nowego Jorku, mamy zwyczaj komunikowania się za pośrednictwem faksu, niemal zawsze z wykorzystaniem języka rebusów. Z początku było to całkiem zabawne. Kilka tygodni po naszym spotkaniu w Paryżu otrzymałem od niej faks, w który wkomponowała swoje zdjęcia z Nowego Jorku. Na wielu z nich występuje w niezwykle słodziutkich pozach z pewnym typkiem. Na podstawie jej opowieści wywnioskowałem, że to pianista z greckiej restauracji, gdzie zwykle jada kolacje, sęk w tym, że muzyczny Grek wyziera

nawet z zupy: ona z pianistą zajada się hot dogami, ona z pianistą na wrotkach w Central Parku, ona z pianistą w muzeum Guggenheima, ona z pianistą na tle Statui Wolności... I na każdym zdjęciu zewsząd wylażą i obłapią ją jego wszędobylskie łapska. Albo ma ich osiem, albo porusza nimi błyskawicznie między otwarciem i zamknięciem migawki aparatu, a wyobrażam sobie, że pianista jest w tej akurat materii świetnie wytrenowany. Nigdy nie łączył nas konwencjonalny związek. Byliśmy przyjaciółmi i, jak to czasem bywa w życiu, staliśmy się kochankami. Ona upiera się, żeby przedstawiać mnie wszystkim jako swego chłopaka, lecz jednocześnie twierdzi, że nasza historia to związek oparty na wolności, gdzie nie ma miejsca na pętle czy pęta. W pewnym sensie używa mnie jako antysamczego odstraszcza. Nigdy przedtem nie uwierzyłbym, że mogłoby to doprowadzić do sytuacji, w której nagle w naszym łóżku zjawia się inne osoby, lecz teraz wiem, że byłem zbyt naiwny.

- Dysponujesz jakimś dowodem, że nie jest to li tylko zwykłe nieporozumienie?

- Gdy odpowiedziałem na jej faks, dając jej odczuć swoją irytację, chciała uciąć temat, mówiąc, że to nic poważnego. Nic poważnego! Gdyby nic nie było, powiedziałyby, że nic nie ma. Lecz jeśli powiedziała, że to nic poważnego, to znaczy, że coś jest, choć to nic poważnego. To jedno słowo zmienia całkowicie postać rzeczy. Poza tym na jednym z tych zdjęć pianista ją całuje, całuje ją w usta. Biorąc pod uwagę jakość zdjęć otrzymanych faksem, niełatwo jest odróżnić zwykły dotyk od odwiertu przeprowadzanego pełną parą, ale miałem wrażenie, że jego język widać na karku Moniki. Nie zapytałem otwarcie, czy się z nim przespała, ale tak czy inaczej uważam, że formy i gesty są ważne, zwłaszcza jeśli się chce utrzymać związek na odległość tysięcy kilometrów. Myślę, że nadchodzi taki moment, w którym trzeba się określić, zadeklarować w taki czy inny sposób. Każdy związek ma swoje standardy kurtuazji. Nauczyłem się tego od babki Uke.

- Rozumiem. I teraz trawi cię pragnienie zemsty.

- Sądzę, że niedostateczne. Gdyby tak było, ubiegłej nocy przyjąłbym propozycję tej dziewczyny. Ale moja odporność jest już na wyczerpaniu.

- Czy to nie dziwne, że wysłała ci owe fotografie, nie zwracając uwagi na powyższe szczegóły?

- Nie zwracając uwagi? Nie, Mónica zwraca uwagę na wszystko. To najinteligentniejsza osoba, jaką znam. Nigdy nie pozostawia niczego na łasce losu i w tym, co robi, zawsze kryje się jakaś intencja. To oczywiste, że wysłała mi je z bardzo konkretnym zamysłem, chociaż nie mam pewności, jaki to zamysł. Może chciała mi łaskawie przypomnieć granice, przy których tak się upiera, nie wiem. Życ z nią to jak mieszkać w krainie czarów, doświadczenie niezwykle frapujące, lecz będące wieczną zagadką. I męczy mnie już rola białego, stale strwożonego króliczka.

Nagle wstrząsnął nami jakiś kurzy chichot. Przed Delseyem wyrosła jak spod ziemi ludzka kula w średnim wieku przebrana za, jak sądzę, doktora Livingstone'a, wsparta na beczkowatych niczym kolumny Wielkiego Hypostylu w Karnaku nogach. Gdakała po francusku wniebowzięta obecnością słynnej osoby zamieszkałej w tym samym co ona hotelu. Dopraszała się autografu. Delsey próbował uśmiechnąć się bez większego powodzenia i wyciągnąwszy z bezgraniczną cierpliwością pióro z kieszeni, złożył swój podpis na okładce przeglądanego przed chwilą magazynu, egzemplarzu tygodnika, w którym publikował felietony. Przyglądałem się tej scenie z rozbawieniem, kiedy nadciągnęły przyjaciółki pani wniebowziętej wypełniające całe spektrum ptasiej morfologii i przyłączyły się do niej w chórkę lotnego świergotu i gdakania. Delsey niestrudzenie podpisywał broszury reklamujące safari, bilety wstępu do parków narodowych, papierowe chusteczki do nosa i niewiele brakowało, a podpisałby nawet obrus lub supercienką podpaszkę. Gdy w końcu zostaliśmy sami, spojrzałem na niego, nie mogąc powstrzymać śmiechu. Unosił w górę brwi i wzdychał głęboko.

- Zapomniałem, że podróżuję ze sławą - zażartowałem.

- W takich chwilach, jak ta, której byłeś właśnie świadkiem, mam wrażenie, że słaniem się na ostrzu sztyletu, nie potrafię przewidzieć, ku której stronie klingi się osunę, czy ku wytwornemu wychowaniu otrzymanemu w dzieciństwie, czy ku naturalnemu instynktowi, który każe mi gryźć z obłędem w oczach. W tym wypadku zatriumfowało Eton.

- I stracił pan swój magazyn.
- Och, to nie jest wielka strata. Prawdę mówiąc, coraz więcej muszę wkładać wysiłku w znalezienie na tych stronicach spraw godnych komentarza. Świat wyzierający z papieru *couche* pogrążony jest w kloace czczej pospolitości.
- W porządku. Gotowy do rozpoczęcia eksploracji afrykańskiej dżungli, choćby była to na razie dżungla asfaltowa?
- „Odniesiemy wspaniałe zwycięstwo, Cezarze! Mnie w każdym razie, żywego czy martwego, będziesz dzisiaj chwalił!”* - wyrecytował.
- A więc naprzód. Do Norfolku.

Wsiadliśmy do rozchybotanej taksówki, która pognęła na zatracenie aleją Kenyatty, po czym skręciła w Uhuru Highway, okno wystawowe Nairobi otwarte na wzmożony ruch wlotami zakorkowanych rond, sączących niezmordowaną strugę wehikułów będących przeglądem całej historii transportu kołowego, od wozów ciągnionych przez zwierzęta do ryczących bestii terenowych z napędem na cztery koła i zaciemnionymi szybami, przejeżdżających ręczno niczym odrealnione wozy pancerne. Pomędzy pojazdami krążyła chmara sprzedawców oferujących różnorodny asortyment, od porannych gazet po komponenty armatury kuchenne-łazienkowej, oraz dzieci wyciągających w zebrzącym geście ręce po kilka *shillings* do swoich własnych sylwetek odbijających się w zaciemnionych szybach, które niekiedy osuwały się kilka milimetrów w dół, by wypluć przez szczelinę drobne monety, a innym razem nie. Skrajem bulwaru ciągnęła nieprzerwana wstęga pieszych bardziej przypominających pielgrzymów niż przechodniów, wydeptujących swoją drogę pośród krnąbrnej trawy z wyrazem utrudzenia i koncentracji kogoś, kto zerwał się o piątej rano, aby przegrać wyścig z wrzaskliwym, kipiącym ruchem przebudzonym dopiero ze snu. Fasady za chodnikami przy Uhuru Highway i przyległych alejach były pretensjonalne, mdłe i zapuszczone, jakby kondycja budynków przeskoczyła jednym susem kilka etapów od końca budowy do początku ruiny. Musiałem zgodzić

Plutarch z Cheronei, „Żywoty sławnych mężów” (z „Żywotów równoległych”), tom II, przeł. Mieczysław Brożek; Wrocław - Ossolineum, Warszawa - DeAgostini 2004 (przyp. tłum.).

się z Hamishem. Nie czytałem ani jednego sloganu turystycznego na temat Nairobi, który nie kładłby nacisku na nowoczesność jako domniemany przymiot tej stolicy. Kiedy idzie się jej wielkimi, pozbawionymi jakiegokolwiek wdzięku, zaniedbanymi, pozostawionymi sobie alejami, gdzie niezwykle trudno wypatrzeć cegłę położoną dawniej niż przed pięćdziesięciu laty, która nie wyglądałaby jednak na mniej niż sto, Nairobi przypomina osoby cieszące się najnowszym modelem jakiejś rzeczy dopóty, dopóki na rynku nie pojawi się następny, jeszcze nowszy, i które dysponują graciarnią wypełnioną po brzegi starzejącymi się, przebrzmiałymi ostatnimi i przedostatnimi gadżetami. Wypinając swoje szklane frontony przypominającymi gładkie i połyskliwe pęcherze na pokrytej wrzodami skórze, Nairobi wyróżnia się najgorszą cechą, jaka może charakteryzować miasto - nieudacznym pretensjonalnym wyglądem, jak nadgryziony przez mole plastikowy kwiat bez korzeni, duszy i przeszłości - smutna metropolia, która znika każdej nocy i prefabrykuje się co rano, gdzie jedyne, co ostaje się z poprzedniego dnia, to jeszcze jedna warstwa pyłu, a jedyne, co istnieje w porannych planach, to nowy drapacz chmur, kolejny projekt przedwczesnej ruiny, któremu towarzyszy chciwe pragnienie zachowania pozycji w rankingu oszałamiającej nowoczesności. Przypomniał mi się Victoria Station, bar poznany ubiegłej nocy. Całe Nairobi było jak ten lokal, małpujący ostatni krzyk mody przeterminowanych modeli z importu, stary, choć nie zabytkowy, puszący się jak paw wyskubanym ogonem z ambiwalentną wściekłością Kalibana Wilde'a widzącego w zwierciadle dalekiej Europy swoją twarz.

Delsey obserwował z uwagą pracowity rój uwijający się za szybą samochodu jak dziecko wpatrujące się badawczym wzrokiem w skomplikowaną zabawkę, do której nie ma instrukcji. Polubiłem go w ciągu tych kilku miesięcy przygotowań i kilku dni, które spędziliśmy potem razem w Madrycie przed wyruszeniem w podróż. Jego ekstrawagancje wyprowadzały mnie czasem z równowagi: olbrzymia objętość bagażu, którego każdy milimetr musiał być zawinięty w plastik i zabezpieczony taśmą klejącą, z pozostawieniem jednakże miejsca na cienką rurkę, odpowietrznik umożliwiający oddychanie skórze z kapibary; jego niekończące się zawracanie głowy

stewardesie w samolocie i ordynowanie rozlicznych zamówień, od butelki wina zaszpuntowanej korkiem, nie zaś zwykłą, metalową zakrętką, po dostarczenie poduszki, która broń Boże nie mogła być wcześniej używana; żelazny upór, by jego ekwipunkiem zajął się w hotelu osobisty *butler*, której to usługi nie obejmowały świadczenia oferowane przez hotel, nawet w wypadku gości, zajmujących jak on apartament *suite*. Nastawał, że pokryje wszystkie koszty związane z podróżą, czemu stanowczo się sprzeciwiłem. W końcu uzgodniliśmy, że każdy będzie płacić za siebie z wyjątkiem sytuacji, które wymagałyby dodatkowych wydatków jak prywatny jet, flota ciężarówek lub orkiestra symfoniczna u węzłowia łoża. Na mocy tego porozumienia on ulokował się w *suite*, ja zaś w przeciętnym pokoju dla zwykłych śmiertelników, choć, bądź co bądź, w jednym z najlepszych hoteli w Nairobi.

Hotel Norfolk był jednym z przykładów brytyjskiego przeszczepu na grunt, który w swoim czasie był afrykańską wsią, dzisiaj zakutą w pancierz asfaltu. Łaty wszczepionej skóry wciąż jeszcze bołą najbardziej radykalnych afrykanistów, jednak wielu Kenijczyków pokazuje je z mieszaniną dumy i wstydu, jak tatuaż zdradzający dawnego legionistę za fasadą wyrafinowanej burżuazji. Wykształcony w Anglii Delsey zdumiał się, odkrywwszy bukoliczny *cottage* w stylu Tudorów w samym centrum Nairobi. Wyjaśniłem, że każdy historyczny budynek w Kenii musi trącić Europą, nie istnieje bowiem coś, co można by nazwać tradycyjną kenijską architekturą, z wyjątkiem terytoriów ludu Suahili na wybrzeżu. Norfolk cechował się osobliwymi cnotami jak na wielki hotel: mógł się podobać, nie epatując, emanował wykalkulowaną, subtelną skromnością, wyprzedzając rewolucję hoteli mastodontów oraz kontrrewolucję malowniczej rustykalności. Przykryty dachówkami z afrykańskiej gliny i przypominający swym wyglądem ceramiczny domek z Staffordshire rozrastał się wszcz, a nie wzwyz, obserwując, jak otaczająca go sawanna oddalała się coraz bardziej od jego płotu i jak zasypywano pobliskie bagna pod budowę monotematycznych, betonowych klocków lego.

Wkroczyliśmy do hotelowego westybulu niczym oddział do zadań specjalnych, strzygąc oczami na lewo i prawo i wężąc za najdrob-

niejszymi oznakami bytności poszukiwanego przez nas osobnika. Skierowałem się do recepcji i wypuściłem próbny balon.

- Dzień dobry. Czy byłby pan uprzejmy połączyć mnie z pokojem pana Sutherlanda, Hamisha Sutherlanda?

Recepcjonista nacisnął kilka klawiszy pod ladą i po kilku sekundach zaprzeczył ruchem głowy.

- Niestety, proszę pana, ale nie mieszka tu osoba o tym nazwisku. Nikt taki się u nas nie zatrzymał.

- Masz ci los. - Udałem zdziwienie. - A może mi pan powiedzieć, czy przebywał tutaj w ostatnim czasie?

- Obawiam się, że nie jestem upoważniony do udzielenia takiej informacji. Przykro mi.

- Proszę pana, to bardzo ważne. Kto mógłby wydać zgodę na odtajnienie tej informacji?

- Jeśli pan sobie życzy, może pan porozmawiać z dyrektorem.

- W porządku, dziękuję. - Postanowiłem zachować tę możliwość w rezerwie na inną okazję. Zateśniłem za Mónicą. Ona wyczarowałaaby jakiś sposób, aby podejść recepcjonistę. - A czy mógłbym rozmawiać z łanem, malarzem.

- Nie ma go tutaj, proszę pana. Od kilku dni jest nieobecny.

- No nie, co za pech! - Tym razem zdziwienie nie było fingo-
wane. To ostatnia rzecz, jaką pragnąłem usłyszeć. - Czy wiadomo panu, kiedy wraca?

- Nie, przykro mi. Od czasu do czasu znika na kilka dni. Często podróżuje, czasem do swego rodzinnego kraju.

- Wie pan, czy mógłbym go gdzieś zlokalizować? W Australii?

- Nie, on nie jest Australijczykiem, tylko Nowozelandczykiem. Lecz niestety, nie mam jego adresu w Nowej Zelandii.

- Jak pech to pech. Proszę mi powiedzieć, czy łan długo korzysta z gościny tego hotelu?

- Czy długo? - Recepcjonista błysnął nieskazitelnie białym uśmiechem. - On tkwił już tutaj, gdy w 1904 zbudowano Norfolk. Robotnicy musieli go prosić, żeby przesunął się z krzesłem, kiedy chcieli położyć płytki na podłodze. Żartuję. - Powachlował się dłonią. - Ale prawdą jest, że gościmy go u nas już bardzo długo, co najmniej dwadzieścia lat, może dłużej.

- Słyszałem, że zna tutaj wiele osób, zwłaszcza Europejczyków mieszkających w Kenii.

- Tak, zna wszystkich, nie tylko Europejczyków. Jest bardzo popularny. Przyjeżdżają tu ludzie z wszystkich stron zainteresowani jego obrazami. Jeśli życzy pan sobie nabyć któreś z jego dzieł, z przyjemnością służymy panu. Tam, naprzeciwnie, może pan obejrzeć próbki jego malarstwa, to kącik, w którym zwykle przesiaduje.

Odwróciłem się w kierunku wskazanym przez recepcjonistę. W ciemnym zakątku puste biurko drzemało na wprost ściany ozdobionej mozaiką obrazów.

- Chwileczkę, zapalę światło.

- Dziękuję.

Nagła jasność wydobyła zakątek z mroku i Delsey przyłączył się do mnie, aby przyjrzeć się dziełom Nowozelandczyka, łan malował wystylizowane i pofalowane postaci, jakby rozchwybotane wiatrem sawanny, zdefiniowane plamami czystych kolorów rozciągniętych długimi pociągnięciami na ciepłym tle w kolorze ochry i żółci. Wojownicy i pasterze masajscy, kobiety z dzbanami na głowach, żyrafy i zebry, słonie gaszące pragnienie w rzece, wyprostowany lew wypatrujący zdobyczy. Było to malarstwo nagie, schematyczne, sugestywne.

- Świetnie. Mamy obrazy, ale nie mamy samego malarza - westchnąłem zrezygnowany.

- Jego sztuka jest na pewno wartościowa, choć jej nie rozumiem - dodał Delsey.

- Proponuję skorzystać z tej pierwszej porażki, aby usiąść w barze i uronić kilka gorzkich łez - podsumowałem.

Wyszliśmy na taras baru. Lord Delamere był otwarty, niczym poufna szuflada hotelu Norfolk, frontem do rozproszonego ruchu przelewającego się leniwie ulicą Harry Thuku pod ciemnociemnym niebem. W tej martwej godzinie między śniadaniem i aperitifem zajętych było zaledwie kilka stołów. Usadowiliśmy się w kącie. Zamówiłem piwo Tusker, Delsey zaś kieliszek Pimm'sa. Czekaliśmy w ciszy, przeżywając moje rozczarowanie, obserwując taksówki i minibusy, z których wysypywały się grupy rozentuzjasmowanych turystów, aż wreszcie kelner przyniósł nam nasze trunki. Z czułością dotknąłem palcem piany.

- Delsey, co my tutaj robimy?

- Co masz na myśli?

- Aby udać się w tę podróż, porzuciłem dobrze rokującą pracę w gazecie o zasięgu ogólnokrajowym. Pragnąłem poznać Afrykę, odkąd dziadek opowiadał mi tamte historie i jestem tutaj, popijam sobie kenijskie piwo w barze Delamere hotelu Norfolk. Nareszcie jestem w Afryce. Oczywiście, że podróż ta ma cel, moje sprawy osobiste, o których już pan wie. Ale mam wrażenie, że uwikłałem się w to poszukiwanie, bo wierzyłem, że znajdę wielki temat, że po wielu miesiącach wypatrywania śladów odkryję wielki, epicki i ludzki dramat, który zdobędzie sobie honorowe miejsce w gazecie weekendowej lub w dodatku niedzielnym. Ale jest rok 1992.

- Obawiam się, że tak.

- Dzisiaj ludzie nie rozplývają się w powietrzu, nie zostawiają wiadomości nadzianych na kolec akacji w nadziei, że któregoś dnia ktoś je odnajdzie. Istnieją rejestry cywilne, bazy danych, komputery. Myślę, że goniąc za swoją historią, być może podszedłem do tych poszukiwań w sposób zbyt literacki. Kiedy usiłowałem odnaleźć pana, urzędniczka francuskiego konsulatu szukała pańskiego nazwiska w książce telefonicznej.

- W której go nie uświadczysz.

- W rzeczy samej, nawiasem mówiąc, sposób natrafienia na pański ślad był dość zabawny. Mianowicie odkryliśmy magazyn, dla którego pan pisze, dzięki temu, że owa urzędniczka czytała pańskie felietony i miała pod ręką jeden z numerów. Zidentyfikowała pana natychmiast, gdy tylko wymówiłem nazwisko Delsey. Niemniej jednak w dzisiejszych czasach ludzi szuka się zza biurka, nie zaś ruszając w nieznane z plecakiem na ramieniu. W Paryżu wystarczyły nam dwadzieścia cztery godziny, aby ustalić pański domowy adres. Poza tym, kto nam zaręczy, że Hamish nadal przebywa w tym kraju, żywy lub martwy? Z wątplych informacji, jakie o nim posiadam, wynika, że lubił podróżować. Może umarł dziesięć lat temu w Macao, na Hebrydach albo... na Vanuatu, kto go tam wie. A może nawet postanowił wrócić na stare lata do domu.

- Do jakiego domu? Z tego, co nam wiadomo, przez większą

część życia jego domem była Afryka. A jego antyczne i jedyne siedlisko w Szkocji obróciło się w opustoszałe cmentarzysko.

- A jeśli nawet mieszka w Kenii, szukamy go, jakby się ukrywał. Jeśli jest tutaj, jeśli jeszcze żyje, najprawdopodobniej spędza swoje ostatnie lata w domowych pieleszach na oczach wszystkich, utrzymując stosunki z setkami przyjaciół i sąsiadów, a na nasze listy nie odpowiedział jedynie z lenistwa, opieszałości albo dlatego, że moi rodzice potraktowali go per noga. Myślę, że odnalezienie go jest zadaniem o wiele prostszym, niż zakładałem.

- Pan wybaczy, młodzieńcze. - Niespodziewanie Delsey zaczął białego, około czterdziestoletniego osobnika, który właśnie przechodził obok naszego stołu, zwracając się do niego po angielsku.

- Tak, słucham pana? - odparł mężczyzna.

- Czy byłby pan uprzejmy wyjawić nam swoją narodowość?

- Jestem Kenijczykiem. Urodziłem się tutaj.

- Ach tak, doskonale. Mieszka pan w Nairobi, jeśli mi wolno zapytać?

- Nie, pracuję tutaj. Ale, o co...?

- Proszę mi wybaczyć moją dociekliwość, ale wraz z moim młodym przyjacielem przyjechaliśmy do Afryki w poszukiwaniu pewnej osoby. Nazywa się Hamish Sutherland. Zna go pan?

- Hamish... Sutherland... Nie, obawiam się, że nie. Przykro mi.

- Dziękuję. - Delsey odwrócił się do mnie. - Widzisz? To nie takie proste.

Wstałem bez słowa i poszedłem do recepcji, gdzie poprosiłem o książkę telefoniczną, po czym wróciłem do Delseya. Przez chwilę wertowałem pracownicę strony, aż dotarłem do tej, która mnie interesowała.

- Sutar... Sutaria... Sutcliffe... Suter... Suthar... Sutherland! Znalazłem jakiegoś H. Sutherlanda! Może to on!

Rzuciłem się do telefonu i entuzjastycznymi pociągnięciami wykręciłem numer. Po kilku przeciągłych sygnałach ktoś podniósł słuchawkę.

- Proszę?

- Czy pan Hamish Sutherland?

- Nie, Howard Sutherland. A o co chodzi? - Głos należał do młodego mężczyzny.

- Och! Widzi pan, nazywam się Mencia, jestem Hiszpanem i dzwonię z hotelu Norfolk. Szukam w Kenii osoby o nazwisku Hamish Sutherland i znalazłem pański numer w książce telefonicznej. Osoba, której szukam, to starszy człowiek. To mój dziadek. Czy przypadkiem nie jest pańskim krewnym?

- Nie, obawiam się, że to pomyłka. Nie mam żadnego krewnego o imieniu Hamish. Przykro mi.

- A może ma pan rodzinę w Szkocji?

- Cóż, może jakiegoś bardzo dalekiego krewniaka. Moje nazwisko jest szkockie, to fakt. Ale moja rodzina pochodzi z Bismarck, w Dakocie Północnej.

- Ach tak. - Musiałem przyznać, że był to fałszywy trop. - Przepraszam za kłopot. Jestem panu wdzięczny za wyrozumiałość.

- Nie ma za co. Powodzenia.

Odwiesiłem słuchawkę i wróciłem do Delseya i mojej piwnej piany. Tęskniłem bardziej niż kiedykolwiek za przebiegłością Moniki. Pierwszy pocisk wystrzelony z naszego magazynka okazał się ślepiakiem. Ona znalazłaby wyjście, żeby skierować śledztwo na nowe tory i uczynić je bardziej produktywnym. Znalazłaby nitki, za które można pociągnąć, szczegóły, które mnie się wymykały. Aby opatrzeć stosowną ilustracją muzyczną nasz spowity posępnym cieniem zapał, matowe niebo gruchnęło ogłuszającą ulewą siekącą spękany asfalt Nairobi.

- Miasto słońca - mruknąłem, parafrazując hasło turystycznej propagandy. Delsey zdawał się nie słuchać, lecz obserwował mnie z współczującym uśmiechem.

- Mylisz się co do jednego - stwierdził. - Ale to nie to, o czym myślisz.

- Mianowicie?

- Nigdy nie był miłośnikiem domowych pieleszy. Hamish był iście literackim bohaterem.

Niewidoczna sawanna

Być może Delsey miał rację i Hamish urodził się, aby przeska-kiwać mury i kłusować na przełaj, gardząc wytyczonymi szlakami, choćby musiał z tej przyczyny nadłożyć drogi. Delsey znał go bardzo dobrze, jednak intuicja mówiła mi, że może mieć o nim taką samą opinię, jak o sztuce lana: bardzo wartościowy, acz niezrozumiały. Przyjaciele różnili się od siebie tak bardzo, że zdawało się niemożliwe wyobrazenie sobie Delseya uczącego się myśleć jak Hamish, wchodzącego w jego skórę, zgadującego jego posunięcia, co niewątpliwie ułatwiłoby nam zadanie. Malarz z hotelu Norfolk pozostawał chwilowo poza naszym zasięgiem i tym samym jedyna ścieżka odkryta przypadkowo w trawie urywała się nam pod stopami, a wszystkie inne tropy spychały nas albo na bolesny, niepewny, biurokratyczny, krzyżowy szlak instytucji państwowych - co nie dość, że nudne i mało literackie, na domiar złego było strategią wybitnie nieefektywną - albo na drogę prowadzącą do Nyeri, gdzie pozostawało nam okopać się na głównym placu miasta i ciągnąć za rękawy przechodniów, wpytując, czy ktoś nie zna przypadkiem farmy należącej do niejakiego Sutherlanda.

Zwątpienie sprawiło, że zacząłem podważać najbardziej zasadnicze motywy, które legły u podstaw mojej podróży. W rzeczy samej, z wyjątkiem jedyne go niezbitego faktu, tego mianowicie, że Hamish istotnie pojawił się w Lux Domini wkrótce po tym, jak moja cioteczna babka Victoria wysłała list na jego adres w Kenii, nie dyspono-

waliśmy żadną wiarygodną przesłanką, że raz pewnego był sobie w tym kraju mężczyzna zwany Hamish Sutherland. A jeśli kłamał jak najęty? Jeśli był podłym oszustem? Jeśli nigdy nie wyemigrował do Afryki? Jeśli pojawił się w Lux Domini, bo przeczytał nekrolog Ośmierci Uke w *ABC*? Jeśli listy, jakie otrzymali Delsey i Victoria zaopatrzone były w fałszywy adres nadawcy? Jeśli bilet kupiony przez niego w dniu, w którym odprowadziliśmy go na lotnisko, był biletem na samolot odlatujący w innym zupełnie kierunku, którego z jakiegoś powodu nie chciał nam wyjawić? Jeśli autorem dokumentu, który dotarł do moich rąk, nie jest on? A jeśli to pierwsze objawy paranoi? Mimo wszystko postanowiliśmy dać Nairobi jeszcze jedną szansę i przenieść się do hotelu Norfolk, aby przykuć się łańcuchem do posterunku malarza i czekać na jego powrót.

Następnego dnia przeprowadziliśmy się, a ściśle rzecz biorąc, nasza karawana skóry z kapibary wykonała operację przeprowadzki z hotelu Serena do hotelu Norfolk. Gdy tylko zainstalowaliśmy się w nowej kwaterze, Delsey wyznał mi, że jest niewymownie wyczerpany wyprawą, nie precyzując, czy ma na myśli lot z Madrytu, czy spektakularną ekspedycję miejską, i oddalił się z zachowaniem najbardziej wyrafinowanych form dworskiej etykiety, aby przez resztę dnia zażywać odpoczynku w swoim apartamencie i uregulować niecierpiące zwłoki sprawy w Paryżu. Ja natomiast postanowiłem zająć się czymś i zrestartować obwody umysłu w nadziei, że pomoże mi to spojrzeć na zagadnienie z nowej perspektywy. Po pierwsze i wbrew demokratycznej woli większości swoich komórek wysłałem do Moniki faks: pusty, firmowy blankiet hotelu. W następnej kolejności udałem się na ulicę przykrytą tym samym burzowym baldachimem co dnia poprzedniego i wziąłem kurs na księgarnię Stanley znajdującą się z tyłu hotelu o tej samej nazwie, u zbiegu ulicy Kimathi z aleją Kenyatty. Przekartkowałem wiele książek, kupiłem kilka z nich i zaopatrzyłem się w porządny wybór map parków narodowych na wypadek, gdyby któregoś dnia nadarzyła się okazja przedzierzgnięcia się w zwykłego turystę.

Nie mogłem się oprzeć pokusie wypicia piwa na tarasie sławnego Thorn Tree Cafe, lokalu Stanleya, gdzie dawni podróżnicy i myśliwi, z wszędobylskim Hemingwayem włącznie, nadziewali

komunikaty na kolce akacji ocieniającej taras. Zapragnąłem objąć tę mityczną przestrzeń w nadziei skosztowania historycznej przekąski, która przeniosłaby mnie w atmosferę Afryki Wschodniej z czasów baronowej Blixen i jej Kikuju, lecz w rezultacie objąłem samego siebie, zaciskając ramiona na własnych barkach, jak w owym pantomimicznym numerze pocałunku, wszystko bowiem było nie takie, jak powinno. Z romantycznego klimatu przypisywanego przez ówczesne kroniki otwartemu w 1902 roku najbardziej klasycyzmu z luksusowych hoteli Nairobi nie pozostawało, jak się zdaje, nic, co pozwalałoby go odróżnić od hotelu Marycielo w Gandii, żeby posłużyć się jakimś przykładem. Nawet taras - rozczarowanie porównywalne z uczuciem frustracji wywołanym nadzieją się na fałszywą studiarówkę - prędzej kojarzył się z budą z napojami orzeźwiającymi na plaży niż z kosmopolityczną mekką globalnego podróżnika. Oryginalna akacja odeszła już niechybnie do lepszego życia, a gdziekolwiek była, było jej tam o niebo lepiej, a na jej miejscu sterczało młode, rachityczne drzewko. Aby uczynić zadość tradycji, otoczono nieboraka - skutkiem czego pozostawał niemal w ukryciu - czterema płytami przypominającymi tablice ogłoszeń parafialnych, gdzie co bardziej zapamiętali podróżnicy doszukujący się w tym patetycznym naśladownictwie romantyzmu mogli kontynuować zwyczaj zostawiania swoich komunikatów, które hotelowy personel usuwał skrzętnie co kilka dni, żeby zwolnić miejsce pod nowe wiadomości i takim oto sposobem podtrzymywać praktykę tej absurdałnej pantomimy.

W ramach innowacji wprowadzono jeszcze jeden zabieg, którego głównym osiągnięciem było to, że klient pragnący usadowić się w barze i rozszerzoną ciekawością oczyma chłonać tętniący puls Nairobi, napotykał niespodziewaną przeszkodę, stwierdzając, że puls znajduje się poza polem jego widzenia stosownie przesłonięty szklaną taflą w kolorystyce i stylu art deco, jedynym elementem „art” na wyposażeniu lokalu, usytuowanym precyzyjnie w najmniej odpowiednim miejscu niby denerwujące drzwi obrotowe między tarasem i ulicą. Tego dnia duch mój nie mógł sobie pozwolić na zainkasowanie kolejnego zawodu i aby obniżyć współczynnik ceny za minutę sączonego piwa podjąłem decyzję

o zatopieniu się przez chwilę w najświeższym, pachnącym jeszcze drukarską farbą odcinku przygód Sangre de Cristo, mojej ulubionej, dyżurnej książki.

Drugi tomik zakupiony w Paryżu połknąłem w czasie kilkugodzinnego oczekiwania na lotnisku i lotu do Madrytu. W epizodzie tym błędna wędrówka Sangre de Cristo wiedzie go na pewne ustronne ranczo, którego właściciel rozpacza niepokieszony, bo jacyś bandyci porwali mu córkę, światło jego oczu, a wnosząc z załączonego portretu, właścicielkę dalekosiężnych reflektorów. Przeczesał zapadłe kąty, bohater zasięga informacji u starego pomyleńca o imieniu Ben, który żyje jak pustelnik i którego wszyscy znają jako Starego Pomyleńca Bena. Zasiadłszy na rozpostartych poncho, Stary Pomyleniec Ben opowiada kowbojowi, że przed pięćdziesięciu laty został wciągnięty siłą do wielkiej, latającej spluwaczki przez kohortę zielonych karłów z wielkimi makówkami, posłusznych rozkazom bandyty, tak zwanego Stroma, tego samego, który niewolił córkę właściciela rancza. Złoczyńca stanął na czele tej kuriozalnej armii, aby móc odbywać podróże w czasie, w górę i w dół kalendarza, i zbijać fortunę dzięki spekulacjom na rynku nieruchomości oraz korumpowaniu radnych, ulatniając się za każdym razem przed pościgiem w nieuchwytny sposób z wykorzystaniem tunelu czasu. Dzięki pewnej książce zatytułowanej „Abducted!”, którą Staremu Pomyleńcowi Benowi udaje się nabyć podczas jednej z owych wizyt w przyszłości, wie on, że spluwaczka ulegnie katastrofie dokładnie w miejscu, w którym wiedzie swoje pustelnicze życie i w którym czeka na to wydarzenie od pół wieku. Powyższe oświadczenie błyskawicznie zyskuje potwierdzenie w faktach, bo spodek zwała się tuż obok nich, zmiatając z powierzchni ziemi chatę Starego Pomyleńca Bena. Potem następuje walka wręcz na pokładzie statku w czasie, przeplatana ognistymi aktami miłosnymi na rozpostartych poncho w wykonaniu Sangre de Cristo i dziewczyny. Na koniec, niekontrolowany przez nikogo statek spada ponownie na znajdującą się w zadziwiająco dobrym stanie chałupę Starego Pomyleńca Bena, bo jak się okazuje, ta druga katastrofa następuje całe dziesięciolecie przed poprzednią. Toteż gdy Sangre de Cristo zwraca dziewczynę jej rodzicielowi, ten prychnął zagniewany -jaka córka i kim pan w ogóle

jest? Między kowbojem, właścicielem rancza, dziewczyną i Starym Pomyleńcem Benem dochodzi do nieuniknionej, ostrej sprzeczki na temat paradoksów czasu i tuneli czasoprzestrzennych, gdy tymczasem Stroma ze zwinnością dżdżownicy wymyka się cały i zdrowy, gnając zjeżdżalnią czasu ku nieznanemu przeznaczeniu.

Ta druga część przygód mojego ulubieńca wciągnęła mnie po uszy. Wróciwszy z paryskiego wypadu, przetrząsnąłem madryckie księgarnie w poszukiwaniu kolejnych odcinków serii, lecz nawet w księgarniach specjalizujących się w publikacjach angielskich nie słyszano nigdy ani o Quinceyu Underwoodzie, ani o samotnym kowboju Sangre de Cristo. W jednej z nich poradzono mi nawet, abym spróbował szczęścia w księgarni religijnej. Wysłałem faks do wydawnictwa Sentenza Press z siedzibą w Anglii, w którym prosiłem o udostępnienie listy jego dystrybutorów w Madrycie. Po kilku dniach otrzymałem odpowiedź: tylko dwaj madryccy detaliści zamawiali publikacje oficyny; kaprys bogów losu - których lubił przywoływać Delsey i którzy zabawiali się przestawianiem ścian labiryntu tak, bym nigdy nie zdołał dotrzeć do mojego kawałka sera - sprawił, że jednym z tych detalistów była księgarnia Posady. Naturalnie uderzyłem do tej drugiej i naturalnie właściciel właśnie zamknął ją z powodu przejścia na emeryturę. Gryzłem się srodze na myśl o rozłące z przygodami Sangre de Cristo, bo pod żadnym pozorem nie zamierzałem wizytować mego osobistego belzebuba i jeszcze na dobitkę dać mu zarobić.

Powyższa determinacja zwiotczała jak przedziurawiony balon dokładnie po dwudziestu czterech godzinach. Następnego popołudnia moja ręka popychała drewniane podwoje księgarni Posady, które otworzyły się i zamknęły przy wesołym dźwięku dzwoneczka klin-klin zdającego się szczebiotać: wydał cię hałas, intruzie, zaraz zobaczymy, czy zjednasz sobie nasz szacunek, drogi kliencie. Między stołami zawalonymi stosami książek, przed ścianą słoczo-nych grzbietów w głębi, rysowała się za kontuarem postać bardzo ładnej dziewczyny. Złota rybka w tej głębinowej jaskini zamieszka-nej przez mutanta. Zawsze myślałem, że Celestino Posada jest starym lubieżnikiem i bez trudu mogłem go sobie wyobrazić w jednym z tych włoskich filmów z lat siedemdziesiątych, napastującego

pulchną kobitkę na zapleczu, zlecając jej wspinać się po drabinie pod pretekstem odszukania książki na najwyższej ma się rozumieć półce, podczas gdy źrenice jego ślepiów wirują spiralnie, dokonując gorączkowego zoomu wycelowanego w muskulaturę ud dziewczyny. W lokalu nie było nikogo innego w zasięgu wzroku, jednak mój słuch zdołał wyłowić pokasływania i pocharkiwanie czyszczące gardło dochodzące z zaplecza, które nosiły, bez cienia wątpliwości, znak firmowy linii melodycznej właściciela. Zwróciłem się do dziewczyny cichym głosem, symulując ból gardła, żeby Celestino mnie nie usłyszał. Spytałem o książki Quinceya Underwooda wydawnictwa Sentenza Press. Uśmiechnęła się jak błogosławiony anioł i wrzasnęła nagle jak tasmański diabeł:

- TATOOO!

Jego córka? Moja wyobraźnia wyskoczyła z szyn podobnie jak prawa dziedzictwa genetycznego w tej rodzinie. W otwartych między grzbietami książek drzwiczkach ukazał się Celestino ze swoim włochatym obliczem, które było w modzie sto la temu i któremu nikt już nie hołdował - ów sławetny aranz na myjnię samochodową z wałkami po bokach i centralną szczotką. Przy ustach trzymał pękatą chustkę do nosa, brzemienią bez wątpienia zawartością krtaniowo-przelykową, którą zawiązał niczym tłumok bezdomnego wędrowca i porzucił na ladzie, kiwającą się na elastycznym, wilgotnym cokole. Ujrzawszy mnie, rozwarł oczy, aż zmarszczyła mu się skóra na potylicy. Nie oczekiwał mojej wizyty. Nie oczekiwałem jej nawet ja.

- Mencia! Ale co...! Jak to...! W końcu się pan zjawił, żeby prze prowadzić wywiad? Czy może po to, żeby kpić ze mnie?

- Nie, don Celestino, ani jedno, ani drugie. Już nie pracuję w gazecie.

- Ale...?

- Przyszedłem kupić książki - wszedłem mu w słowo. - Dowiedziałem się, że pańska księgarnia jako jedyna w Madrycie rozprowadza pewną poszukiwaną przeze mnie serię wydawniczą.

- O jaką serię chodzi?

- To książki w języku angielskim, autor nazywa się Quincey Underwood. Underwood, jak maszyna do pisania. Książki opowia dają o...

- Nie chce mi pan chyba powiedzieć, że jest wielbicielem Sangre de Cristo! - przerwał mi.

Tego tylko brakowało. Zaraz się okaże, że dzielimy z Celestinem zamiłowania literackie.

- W zasadzie... Cóż, wpadły mi w ręce dwa odcinki i prawdę mówiąc... wciągnąłem się.

- Do krośset, co za niezwykle zbieg okoliczności! A ja coś tak czułem, że pod maską płatnego zabójcy na usługach liberalnej propagandy skrywa się prawy człowiek! Quincey Underwood, tak jest! Takich książek już się prawie nie pisze, nie! Perlita, skarbie, idź...! Mencia! - Zawsze wymawiał moje nazwisko, jakby miał zaraz rzucić wojskową komendę bacność!, co sprawiało, że niemal przeżyłem się w postawie zasadniczej. - Zna pan moją córkę, Perlitę?

- Teraz już tak. Bardzo mi miło. - Cmoknęliśmy się dwa razy.

- Jesteście pewnie w tym samym wieku! Perlita to cudowne stworzenie, magister historii, zdolna, ładna, pracowita, schludna, jak jej matka! - Podczas gdy Celestino wyliczał wyposażenie córki, biedna Perlita patrzyła w drugą stronę, przygryzając wargi. - Perlita, skarbie, idź do biura i przynieś skrzynkę stojącą za moim krzesłem! - Dziewczyna przyjęła rozkaz z pokorą. - Quincey Underwood, tak jest! Przeczytałem od deski do deski całą kolekcję! Sangre de Cristo, bohater i wzór szlachetności! - Uniósł wyprostowany palec wskazujący. - Jakaż intensywność narracji! Jakaż gra wyobraźni! Jakież... - wykonał kulisty ruch dłońmi na wysokości klatki piersiowej mający uzmysłwić rozmiar i z jego hojnego gestu wywnios kowałem, że miał na myśli co najmniej stu dwudziestkę, trącił mnie przy tym porozumiewawczo łokciem, spozierając jednocześnie kątem oka, czy aby nie nadchodzi córka - wymiary, ha, ha, ha!

Perlita wróciła, uginając się pod ciężarem zbyt ciężkiej jak dla niej skrzynki. Ruszyłem jej na pomoc, lecz Posada powstrzymał mnie żelaznym chwytem za ramię.

- Zostaw pan, zostaw pan, poradzi sobie, silna jest!

Perlita postawiła z trudem skrzynię na kontuarze. Podniecony Celestino zabrał się do wyciągania błyszczących i pachnących nowością książeczek w oprawie w stylu *pulp*, wydrukowanej wadliwie na kiepskim papierze i ociekającej zbyt krzykliwymi kolorami. Mieściło się

tam co najmniej dwadzieścia różnych odcinków. Rozkładał je na blacie niby karty tarota i zdawał się wpadać w trans. Niestety, ja też.

- Proszę wziąć ten, i ten również! O, ten to jeden z najlepszych, bez dwóch zdań! Ile pan sobie życzy? Wszystkie? Proszę spojrzeć, ten jest jak na razie ostatni, wyszedł w tym roku! Wspaniały, mistrzowskie dzieło!

- Doprawdy... nie wiem. Wezmę ze trzy, cztery, lepiej z tych starszych wydań.

- Proszę, niech pan weźmie te cztery, a najnowszy dam panu w prezencie!

- Nie, broń Boże, don Celestino, nie chciałbym...

- Mencia! Niech mi się pan nie waży sprzeciwiać! Myślę, że od tej chwili będziemy dzielić wiele rzeczy! Prawda, Perlita, skarbie?

- Tak, tato. - Perlicie, jak telewizyjnym hostessom, nie schodził z ust płatny uśmiech.

- Zapraszam pana na nasze wtorkowe wieczorki literackie w Cafe de la Opera! Porządni ludzie, stara gwardia, rzadko już dzisiaj spotykane umysły!

- Dziękuję, don Celestino, jest pan bardzo uprzejmy, zajrzę, jakby co...

Na wspomnienie tej groteskowej sceny wychyliłem ostatni łyk piwa na tarasie Thorn Tree Cafe. Pozbierałem rozrzucone na stole rzeczy i na powrót dałem nura w strumień alei Kenyatty. Kiedy stosuje się tę klasyczną metaforę rzeki w odniesieniu do ulic miasta takiego, jak Nairobi, należy doprecyzować, że nie jest to bieg potoczny i krystaliczny tak charakterystyczny dla stolic europejskich, gdzie w godzinach szczytu porywa cię niemal siła potoku. W Nairobi woda płynie swobodnie jedynie środkiem koryta, tam gdzie suną samochody, od czasu do czasu wlokące się za jakimś leniwym autobusem czy zwalniające na tamach rond. Ale płytkie wody przybrzeżne stanowią splątane bagnisko zatrzymanych przez skały alg, organicznych mas gnijących w płochliwym słońcu. Te masy to *idlers*, ci, którzy nic nie robią, dorośli mężczyźni i dzieci obojga płci zaludniający ulice i włóczący się bez celu, obsiadający chodniki i wejścia do budynków, przyciągnięci magnesem wypranego i wyprasowanego cudzoziemca. Jediną intencją, jaka przyświeca wielu z nich

jest szlifowanie chodników podszwami sandałów sfabrykowanych z samochodowej opony, nie wyrządzając przy tym nikomu szkody i nie przynosząc pożytku, lecz niektórzy zagospodarowują swoją smykałkę do bezczynności, kultywując i uszlachetniając repertuar przestępczości ulicznej i z tego to właśnie powodu tarasy kafejek muszą być izolowane od ulicy. Swój letargiczny żywot pędzą *idlers* w mrowisku centrum, na noc wracając do slumsów na peryferiach. Stanowią najbardziej namacalną próbkę pulsu Nairobi, pulsu tężejącego pod wpływem rozprężenia, korupcji i niedbalstwa panoszącego się w gabinetach górujących nad ich głowami.

Wszedłem do supermarketu przy ulicy. Jedyne białe w sklepie wbrew swoim intencjom z miejsca zaskarbił sobie uwagę kilku młodzieńców odzianych w niebieskie kitle, gotowych wyręczyć go w pchaniu wózka, zgromadzić produkty z listy i zapakować je do toreb. Kupiłem papierosy, jakieś łakocie do przegryzienia między posiłkami i butelkę whisky, którą zaserwowano mi w Victoria Station, Hunter's Choice, do popijania między posiłkami. Zaopatrzyłem się też w dwie gazety, „Daily Nation” i „The Standard”, żeby spróbować zrozumieć, dlaczego rajskiego safari nie widać z Nairobi, jakby się urywało u wrót stolicy, na których widnieje napis z piekła Dantego: „Ty, który wchodzisz, żegnaj się z nadzieją...”*

Szedłem alejami miasta przykrytego powłoką płaskiego i bladego światła, gdzie wszystkie cienie zlewały się w jeden gigantyczny całun zwieszonoego w górze grubego tomu chmurzysk, tak masywnego, że zdawał się nie niebem, ale ziemią zwisającą nad naszą przepaścią. Dzieci biegły za mną bez paliwa zdolnego wyżywić uśmiech, a kilka *shillings* nie starczało nawet, by zrekompensować wysiłek gonitwy. Raptem skorupa burzy pękła w drobny, płynny mak i *idlers* odjechali na podszwach z opony, przenosząc swój brak zajęcia pod osłonę portali. „Przeze mnie droga w miasto utrapienia”**, mówi Dante. Nie odnajdywałem tam żadnych podstaw nadziei. Nie zakwitły jeszcze dzakarandy.

* Dante Alighieri, „Boska Komedia”, przeł. Edward Porębowicz, Wydawnictwo Greg, Kraków 2009 (przyp. tłum.). ** *Ibidem*.

Zmagania Afrodyt

Dzięki pracownikom hotelu Norfolk i udostępnionym przez nich materiałom dowiedziałem się, że „Daily Nation” i „The Standard” to najbardziej wpływowe dzienniki w Kenii. Pierwszy, o większym nakładzie, istniał już od nieco ponad trzydziestu lat, ale „The Standard” był starszy niż sam naród. Założony w Mombasie w 1902 roku dla uczczenia sfinalizowania budowy linii kolejowej, która połączyła to portowe miasto z Jeziorem Wiktorii, był pierwotnie tygodnikiem zatytułowanym „The African Standard”. Jego ojcem był magnat urodzony w Karaczi, Alibhai Mulla Jeevanjee, przedsiębiorczy filantrop, który sfinansował również budowę lwiej części wczesnego Nairobi. Kilka lat później tytuł przeszedł w inne ręce i w 1910, pod nowym zarządem brytyjskich właścicieli, przemianowany na „The East African Standard”, stał się dziennikiem i wyemigrował do Nairobi. Tuż przed uzyskaniem niepodległości w 1963 roku kupiła go grupa hotelarska Lonrho, a w 1977 jego nazwę skrócono do „The Standard”. A zatem gazeta ta istniała w czasach, kiedy Hamish pracował jako korespondent, co pozwalało zakładać, że mógł utrzymywać z nią jakąś formę współpracy.

Przejrzałem zakupiony numer „The Standard”, szukając na chybił trafił nazwiska firmującego jakiś reportaż społeczny redaktora, z którym mógłbym nawiązać kontakt. Nagle mój wzrok przykuła intrygująca wiadomość. W jednej z przełęczy włoskich Alp znaleziono zamarznięte zwłoki trzech austro-węgierskich żołnierzy

z czasów pierwszej wojny światowej. Przypomniała mi się historia pana Molnara i pomyślałem, że może jednym z nich był jego syn. Mężczyzna, który odkrył ciała, był przewodnikiem górskim, a jego dziadek służył na tym samym terenie w oddziałach włoskich *Alpini*. Notatka była wiadomością agencyjną, lecz widniało pod nią nazwisko niejakiego Kennedy'ego Kamaru. Dla mnie jedynymi czytelnymi znakami są znaki ruchu drogowego oraz gry w remika i musiałem przyznać, że doszukiwanie się jakiegoś znaku w wyborze Kennedy'ego Kamaru było przejawem bezbrzeżnej głupoty. Mimo to zadzwoniłem do gazety i spytałem właśnie o niego. Odpowiedział mi młody i uprzejmy mężczyzna, który ze stoickim spokojem wysłuchał moich wynurzeń. Obiecał zajrzeć do archiwów, zasięgnąć języka u swoich informatorów, gdy tylko będzie miał wolną chwilę i oddzwonić do hotelu, aby poinformować mnie o rezultacie swoich działań. Z jego tonu wyczułem, że nie był to wykręt.

Delsey, jak wspominała babka, równie łatwo popadał w euforię, co w depresję. Przypuszczałem, że przyczyną jego wyraźnego braku entuzjazmu była dochodzeniowa posucha. Przez kilka dni zmagalem się z klasą urzędniczą niepodzielnie panującą w biurach administracji rządowej, ambasady brytyjskiej, policji, poczty i urzędu stanu cywilnego, i nie uzyskałem absolutnie nic. Tam gdzie wyrażano gotowość udzielenia mi pomocy, żądano przedstawienia jakiegoś dowodu pokrewieństwa, którym nie dysponowałem, lub informowano mnie o braku jakichkolwiek danych. Tymczasem Delsey częstował mnie różnymi wymówkami, którymi zasłaniał się, żeby nie wychodzić z pokoju: niedyspozycja, oczekiwanie na ważny telefon lub konieczność skupienia się nad felietonem do magazynu. Nie łączyła nas dostateczna zażyłość, abym mógł zaproponować mu powrót do Paryża, on zaś nie wyjeżdżał być może dlatego, bo nie chciał zostawić mnie samego, choć w takich chwilach myślałem, że byłoby to najlepsze rozwiązanie dla nas obu. Był zwierzęciem towarzyskim i gdyby miał czterdzieści lat mniej, wyciągnąłbym go do jakiegoś nocnego klubu, żeby go rozruszać, ale w tych okolicznościach uznałem, że nie jest to najszcześniejszy pomysł, Victoria Station nie należał do klasy miejsc, w których zwykł bywać.

Usiłując wciągnąć go w nurt wypadków, zdałem mu relację ze swoich mizernych postępów. Wpadłem wówczas na pomysł, aby zaserwować mu wariacką hipotezę, której jedyną intencją było przykucie jego uwagi i zmuszenie do wykonania lekkiej gimnastyki umysłu. Konsumował swojego śniadaniowego croissanta i popijał herbatę. Jego wymagania obniżyły się znacznie i odważył się już skubnąć nieco pasztetu i sera ze szwedzkiego bufetu, co nie skończyło się na szczęście agonalnym rżeniem.

- Delsey... Czy Hamish malował?

- Czy malował? Nie sądzę, aby istniał przejaw ludzkiej działalności, której nie spróbowałby przy jakiejś okazji i naturalnie był żarliwym wielbicielem sztuki malarskiej, chociaż nic mi nie wiadomo, jakoby jego fechtunek pędzlem, jeśli istotnie parał się tą szermierką, był czymś więcej niżli tylko przejściową rozrywką.

- Czy nie przeszła panu przez głowę myśl, że łąn to Hamish?

- Słucham...?

- Starzec wiodący cygańskie życie i niestrudzenie podróżujący. Czy nie można zastosować tej definicji do Hamisha? łąn twierdzi, że jest z Nowej Zelandii, którą wielu uważa za przeszczepioną na antypody Szkocję. W istocie rzeczy łąn to też szkockie imię. Co więcej ta dziewczyna powiedziała mi, że nasz malarz gra na ukulele, a wiemy przecież, że Hamish posiadał zdolności muzyczne.

- Niewątpliwie są to zdumiewające analogie. Naprawdę myślisz, że to możliwe?

- Kto wie. Nigdy nie zdarzyło się panu szukać w najbardziej niewiarygodnych zakątkach zguby znajdującej się tuż przed pańskim nosem?

- Tak, obrazu odbitego w lustrze, gdy byłem młodszy. Nigdy jednak nie zdołałem go odzyskać. I po co Hamish miałby się ukrywać pod zmyślnym imieniem?

- Tego nie wiem. Lecz jeśli z jakiejś przyczyny pragnąłby zachować anonimowość, ewidentnie pierwszym krokiem byłaby zmiana nazwiska. W każdym razie musimy uzbroić się w cierpliwość i nasze wątpliwości zostaną rozwiane. Jestem pewny, że łąn lada moment się zjawi. W recepcji zeznają, że zniknął tydzień temu i że na ogół jego wojaże nie trwają dłużej niż dziesięć dni.

Tego samego ranka odebrałem w recepcji faks zaadresowany na moje nazwisko. Nie chciałem przyznać, nawet przed własnym, zazwyczaj dość mi życzliwym wewnętrznym głosikiem, że zaczynał mnie niepokoić brak wiadomości od Moniki. Mogłem sobie wyobrazić tego przekłętego Greka zgniatającego w zgrabną kulę mój faks i ciskającego nim do kosza przy akompaniamencie śmiechu spoczywającej na łóżku Moniki, nagiej i przysłoniętej kocem zdobnym w rysunki Afrodyty z Hefajstosem, Afrodyty z Aresem, Afrodyty z Posejdonem, Afrodyty z Dionizosem, Afrodyty z Hermesem, Afrodyty z Adoniszem, a nawet Afrodyty z Dimitrim.

Ręka mi zadrżała, gdy odbierałem kopertę. Potykając się, ruszyłem w stronę baru, gdzie zamówiłem piwo. Zanim odważyłem się rozrwać papier, wypłem łyk, jakieś ćwierć litra, sądząc, iż wewnątrz znajdę wiadomość w stylu *and the winner is...* jak podczas ceremonii wręczenia Oscarów, i dowiem się, czy kotkę porwała lazurowa fala zatoki Pireusu, czy wartki nurt rzeki Manzanares. Ale nic z tych rzeczy. Przypominało to raczej zdrapki, w których ustawicznie nakazuje się graczom, by grali dalej, nie przedstawiając żadnego racjonalnego powodu usprawiedliwiającego tak idiotyczny nakaz. Faks opatrzony był jedynie standardowym, zniechęcającym rebusem złożonym z lupy i znaku zapytania. Tylko tyle. Chciałem być flegmatyczny, chociaż w głębi duszy odczuwałem przemożną pokusę, by splunąć flegmą na trzymany w rękach papier. Odwróciłem kartkę na drugą stronę, poprosiłem kelnera o długopis i oddałem się pracy odtwórczej, odtwarzając w drobnych szczegółach nasze poszukiwanie i uzyskane wyniki. Z Grekiem czy bez Greka nie mogłem sobie pozwolić na luksus obejścia się bez talentu Moniki. Właśnie kończyłem ten sążnisty list oprotestowany brakiem jednej choćby kretyńskiej ilustracyjki, gdy do baru wtargnął *bellboy*, potrząsając dzwoneczkiem. W rękach trzymał tabliczkę, na której widniało moje nazwisko. Zdekonspirowałem się, na co podszedł i poinformował, że jest do mnie telefon. Mogły to być tylko wiadomości, dobre lub złe, lecz byłem tak spragniony nowości, że moje nogi naprężyły się jak struny fortepianu i jednym susem znalazłem się w recepcji.

- Czy pan Mencia? - rozpoznałem głos natychmiast. Nie było to trudne. Repertuar osób, które mogły dzwonić do mnie

do Norfolku był dość ograniczony. Dzwonił Kennedy Kamaru ze „Standardu”.

- Tak, to ja. Pan Kamaru?

- Pracowałem nad pańską sprawą. Nie chcę roztaczać przed panem fałszywych mirażów. Nie sądzę, abym znalazł coś rozstrzygającego, ale jeśli pan sobie życzy, możemy się spotkać i o tym porozmawiać. Dzisiaj jestem bardzo zajęty, ale jutro muszę zrobić materiał z pewnej uroczystości w okolicach Karen. Zna pan tę dzielnicę?

- Nie, ale to nie problem. Proszę mi powiedzieć, gdzie mogliśmy się spotkać, i wezmę taksówkę.

- W pobliżu drogi znajduje się restauracja o nazwie The Horseman. Jest bardzo znana i łatwo do niej trafić, jest usytuowana zaraz przy wyjeździe z ronda. Mógłbym tam być o pół do drugiej.

Powyższe miało wszelkie symptomy zabawy w „graj dalej”, jednak z uwagi na moją niezdolność do uzyskania jakiegokolwiek poszlaki, już nawet nie stałej, ale ciekłej lub gazowej, nawet „graj dalej” wzbudzało we mnie niemałe emocje. Przynajmniej miałem jakiś kontakt i spotkanie. Oddałem w recepcji faks do Moniki i wróciłem do baru przetrzącić coś przed zamelinowaniem się w pokoju, gdzie sjęstą z rodzaju tych, co to usypiają nawet encefalogram, zamierzałem uczcić pierwszą, zakończoną połowicznym sukcesem akcję.

Delsey nie pojawił się już przez resztę dnia. Jeśli w ogóle jadł obiad i kolację, to w swoim apartamencie. Nie chciałem zakłócać jego prywatności, nawet przez telefon, pod warunkiem że będzie schodził codziennie na śniadanie, chociaż szczerze mówiąc, sytuacja zaczynała się stawać kłopotliwa. Nie zważając na brak dostatecznej poufałości, podjąłem decyzję o odczekaniu jeszcze kilku dni, nim zakomunikuję mu, że idea naszego poszukiwawczego tandemu, jeśli można to było tak nazwać, nie sprawdza się i że być może rozsądnym rozwiązaniem będzie, jeśli wróci do Paryża, ja zaś poprowadzę poszukiwania w pojedynkę. Tego wieczoru jednakże w miejsce Delseya dane mi było znaleźć się w innym, nieoczekiwanym towarzystwie.

Zszedłem nad basen, aby spożytkować ostatnie godziny dziennego światła na lekturę dokumentu Hamisha. Wieczorny chłód

i ołowiane chmury nie zachęcały do kąpieli, wyciągnąłem się więc na leżaku, wypełniając pole widzenia pożółkłym papierem i prostymi ulicami jego słów, na które od czasu do czasu zakradała się jakaś zbuntowana litera burząca szereg. Odsłaniałem właśnie kurtynę, aby zmienić kartkę, kiedy zauważyłem, że nowa postać weszła na scenę po drugiej stronie basenu. Stwierdzić, że była nią czarna dziewczyna, to tak, jakby powiedzieć, że wino jest czerwone. Jej skóra mieniła się barwami prażonego tytoniu, liści opadłych jesienną porą, starego złota i dębowej beczki, tam zaś, gdzie wilgoć osiadła na krzywiznach, światło zmierzchu wyświeślało fioletowe refleksy koloru winogrona. Rozkładała ręcznik na leżaku odwrócona do mnie plecami. Miała rozpuszczone, świeżo uczesane, długie i gładkie włosy i gdy przykucała, owa kaskada unosiła się w powietrzu jak dym, spadając włos za włos w żelaznej kolejności i każdy włos krzeszał podczas upadku niebieską iskrę jak kable elektryczne powodujące spięcie, a gdy zginała się w tułowiu, można było odnieść wrażenie, że jej ciało przełamuje się na dwie niezależne części, dwie frygi stykające się wierzchołkami, tak przezroczysta stawała się w najważniejszym miejscu jej kibić. Ubrana była w filantropijne żółte bikini, zatrzymujące dla siebie bardzo niewiele i wyglądające tak, jakby stopiło się z jej ciałem, wyciskając najdrobniejsze pęcherzyki powietrza, jak folia samoprzylepna, którą okleja się książki do szkoły. Nie mogłem dać wiary własnym oczom, kiedy zstąpiła z niebios obcasów i wykonała obrót, żeby się położyć. Była kobietą godną, by dać początek człowieczej kolonii na innej planecie i do tego jedyną kobietą, jaką znałem w tym mieście. Audrey. Makena.

- Makena? - wydukałem.

Rzuciła grzywą, jakby wypuszczała na padok tabun czarnych rumaków. Przyglądała mi się przez chwilę zdezorientowana, zanim mnie rozpoznała. Zerwałem się i okrążyłem basen, aby wyjść jej naprzeciw.

- Niech mnie, Curro, mój hiszpański przyjaciel! Ale, psssy! - Położyła na ustach wskazujący palec. - Tutaj na imię mi Audrey.

Uśmiechała się, zawsze się uśmiechała. Robiła to z lekko pochylonym czołem, unosząc spojrzenie od dołu, co nadawało jej twarzy wyraz psotności, którą posługiwała się po mistrzowsku z wystu-

diowaną bojaźliwą rezerwą, uzyskując w rezultacie wybuchowo sugestywną kombinację.

- Jesteś na... służbie?

- Co za twórcze określenie mojej pracy! Nie, wiesz przecież, że pracuję nocą. Ale w hotelu mnie znają i muszę dbać o swój wizerunek.

- Masz tutaj... klientów? - odczuwałem niejaki zażenowanie, dobierając słowa. Nigdy wcześniej nie gawędziłem z prostytutką.

- Tak, niewykluczone, że jest tu jakiś. - Rozejrzała się dokoła. - Ale nie obawiaj się. Wiesz przecież, że wybieram swoich klientów. Niemal wszyscy są stali i nie obnoszą się z tym publicznie. Wiedzą, gdzie mnie znaleźć, w automatycznej sekretarce mojego telefonu albo w Victorii. Przychodzę od czasu do czasu do salonu piękności Tariku zrobić sobie dłonie, stopy i włosy, a później odprężam się przez chwilę na basenie. Jak widzisz, pożegnałam się z warkoczykami. Podoba ci się? - Ponownie wypuściła na wybieg tabun czarnych rumaków.

- Jesteś prześliczna. Tak ci lepiej. Moim skromnym zdaniem.

- Nie wiedziałam, że mieszkasz w tym hotelu.

- Nie mieszkałem. Ale przeprowadziliśmy się tutaj, żeby mieć na oku lana, malarza, o którym mi mówiłaś.

- „My”?

- Tak. Jak już wiesz, próbuję odnaleźć dziadka i w podróży towarzyszy mi jego przyjaciel z młodości. Ale lana nie ma.

- Nie, nie ma. Wyjechał, pewnie do Australii.

- Do Nowej Zelandii, jak mi tu powiedzieli.

- Właśnie. Ale nie przejmuj się, nigdy nie wyjeżdża na długo. Wróci. I co robisz, czekając na niego?

- Nic szczególnego. W poszukiwaniu informacji o dziadku zali czyłem kilka ambasad, biur, urzędów, ale jak do tej pory nie znalazłem nic.

- Och. To fatalnie. Jestem pewna, że lan ci pomoże. A jak ci się podoba Nairobi?

- Cóż... Na razie nie widziałem zbyt wiele.

- I to, co widziałeś, nie przypadło ci do gustu.

- Hm... Niezbyt, jeśli mam być szczery. Tyle drapaczy chmur, żeby

zaimponować światu, a na poziomie ulic tak wiele rozczarowania, tyle nędzy, tylu ludzi wałęsających się bez zajęcia... Na podstawie tego, co widziałem i czytałem, mam wrażenie, że podobnie jak sen amerykański, istnieje wymyślony przez osadników sen afrykański, który Afrykanie przysposobili z czasem na własne potrzeby i o którego istnieniu politycy rozpowiedzieli ludziom, że jest w zasięgu każdego; no i wszyscy szukają go rozpaczliwie za wszelką cenę. Ale sądzę, że bardzo niewielu jednostkom udało się go zrealizować. Zwłaszcza z własnej, nieprzymuszonej woli.

- Tak. Może masz rację. Jednak to mój świat. Dla mnie to mój cały świat. Mogłabym cię zabrać w kilka miejsc, żeby spróbować poprawić twoje wrażenie.

- Skorzystałbym z wielką przyjemnością. Co proponujesz?

- Zjemy jutro kolację?

- Nie pracujesz?

- Nie, jutro biorę sobie wolne.

- To wspaniale. Gdzie mnie zabierzesz?

- Poznałeś już Carnivore?

- Chyba gdzieś o tym czytałem. Co to jest?

- Restauracja, bardzo oryginalna. Serwują tam mięso dzikich zwierząt. Jest może zbyt turystyczna, ale warto ją poznać. Może być o ósmej?

- Kapitalnie.

- A tymczasem... - pochyliła czoło jeszcze bardziej i jej wargi rozciągnął uśmiech, wiedziała zapewne, że uśmiech ten jest nie do odparcia - mogłabym ci pokazać inne atrakcje Nairobi. - Skrzyżowała nogi tak, jak to robiła w barze, i ruchem dozowanym w małych, precyzyjnie skalkulowanych dawkach uniosła ręce nad głowę i odrzuciła włosy z ramion. Podczas tej czynności jej piersi odbyły wędrowkę, którą należałoby prześledzić za pomocą projektoru Movioli, w przód i w tył.

Nie miałem stuprocentowej pewności, czy proponowała mi to, co myślałem, że mi proponuje, i chciałem uniknąć idiotycznej pozy basenowego casanowy. Ryzykując, że uzna mnie za kretyna, wolałem wyklarować charakter jej propozycji.

- Co masz... dokładnie na myśli?

- Może wytłumaczę ci to w twoim pokoju?

Wszystko jasne. Błyskawicznie dokonałem analizy sytuacji. Z jednej strony, pięćdziesiąt centymetrów ode mnie, obłądana kobieta, którą pociągałem seksualnie. Z drugiej, w odległości pięćdziesięciu metrów, pokój wyposażony w łóżko, na którym można by wykonywać rzuty różne. I na koniec, z trzeciej strony, jedenaście tysięcy osiemset kilometrów stąd, kolekcjonerka marionetek, która zgłębiała mechanizm obręczy i dźwigni swojego nowego greckiego poliszynela. Na pierwszy rzut oka sprawa nie nastęczała większych wątpliwości. A jednak.

- Makena... Przykro mi. Zdaje się, że mam dziewczynę. Albo coś w tym rodzaju. Albo przynajmniej ją miałem.

- Naprawdę? Jaka szkoda. To dobrze o tobie świadczy. No i sprawa, że jesteś jeszcze bardziej pociągający. Jak już mówiłam, lubię wybierać. - Czułym gestem palca wskazującego i kciuka ujęła mój podbródek.

Ładny gips. Jedyne, co zdołałem osiągnąć tą decyzją, to utrudnić sobie życie jeszcze bardziej.

Zakończyłem dzień, żując na kolację smutnego sandwicza i popijając piwo przed telewizorem w pokoju, niemal wyrzucając sobie dobrowolny wybór nostalgicznego samobiczowania w samotności; jednocześnie odczuwałem satysfakcję z racji nagłego zdynamiczowania mojego życia towarzyskiego w Nairobi. W programie na następny dzień miałem dwa spotkania. Uczciłem to łykiem Hunters Choice.

Kiedy drzwi się zamykają, okno też

Aby zjeść w Horsemanie, typowym angielskim wiejskim domku, należało wyjechać z miasta drogą na zachód, kierując się ku tak zwanym wzgórzom Ngong, oznaczającym w Kenii łańcuch górski z prawdziwego zdarzenia. Szosa wiała się pośród łąk i skrawków terenów leśnych, spływając na koniec szeroką aleją ku małemu miejskiemu węzłowi o zjadliwszym niż centrum, powiedzmy równikowo-afrykańskim, smaku. Senne biura peryferii w cieniu dzakarand, delonix regia i dzikich figowców, szkoły, kolonie skromnych budynków mieszkalnych i małe targowiska, na których sprzedawano ceramikę i meble i które, wolne od ścisła *downtown*, ciągnęły się w uporządkowanym szyku brzegiem nieprzerwanej karawany samochodów, autobusów i ciężarówek. Po chodniku wydeptanym na nagiej, czerwonej ziemi ciągnęły sznury dzieci ubranych w mundurki idących lub wracających ze szkoły. Również w tej kwestii Afryka była odmienna. Tam skąd przybywałem, dzieci z podstawówki tworzyły zazwyczaj jedyną w swoim rodzaju kastę *idlers*, którą spotkać można na ulicach w każdej dzielnicy. Tutaj jednak nie przerywały marszu z torniustrami w ręce lub na plecach, burząc zdyscyplinowany pochód jedynie wówczas, kiedy musiały przeskoczyć - z jednej strony na drugą, potem z powrotem i jeszcze raz - bruzdę z ciurkającą na jej dnie strugą wody. Z pewnością miały tyle samo pracy w domu co w szkole i z pewnością odległość, jaką musiały pokonać, pochłaniała im sporą część dnia. Przybysz szybko konstatuje, że w Kenii dużo się chodzi.

Restauracja mieściła się w małym centrum handlowym przy skrzyżowaniu z drogą prowadzącą do dystryktu Karen. Ta willowa dzielnica znajduje się na terenie dawnych plantacji kawy należących ongiś do baronowej Blixen, autorki „Pożegnania z Afryką”. Hamish poświęcił jej akapit w dokumencie, który udało mi się odzyskać w Lux Domini:

W 1913 roku pewna Dunka osiedliła się na wyżynie, kupując farmę u podnóża wzgórz Ngong. Nazywała się Karen Christence Dinesen, po mężu baronowa Blixen-Finecke (1885-1962) i pod pseudonimem Isak Dinesen opublikowała jedną z najpiękniejszych w historii literatury książek o Afryce. Wspaniała pisarka i fatalna farmerka żyła wolna i więcej zaznała w życiu niepowodzeń niż szczęścia, nie powiodło się jej w interesach i w miłości, szwankowało jej zdrowie, przeżyła nazistowską okupację Danii i zmarła z dala od ukochanej afrykańskiej ziemi. Jej życie stało się symbolem magii, dramatu i nadziei Afryki. Karen żyła w harmonii tak bliskiej uczuciom i pragnieniom Afrykanów, jak niemal nikt w jej epoce, a jej wkład w to, by świat zwrócił uwagę na ten zakątek ziemi jest nieoceniony, jeśli rozpatrywać go w kategoriach popularyzatorskich. Była głęboko kenijską *mzungu*, a jej kenijskość sięgała głębiej niż korzenie jej kawowców w afrykańskiej ziemi i już na zawsze pozostanie pierwszą ambasadorką Kenii na północnej półkuli. Żałuję, że nie miałem przywileju poznać jej osobiście.

Sen Karen Blixen rozwiął się, lecz jej płodne ziemie wydały na świat wiele innych marzeń. Farmę podzielono na rozległą mozaikę parceli, gdzie dyskretna i wybrana rzesza uprzywilejowanych, emigrantów reprezentujących różne szarże zasiedziałości oraz nowa elita lokalna, która obrodziła po uzyskaniu niepodległości, odtworzyły na tysiąc sposobów afrykański sen w cegle, kamieniu i drewnie wśród egzotycznych ogrodów kołysanych wieczną wiosną wyżyny. Karen to tajemnica strzeżona za karmionymi prądem drutami ogrodzenia, osłonięta palisadami żywopłotów i udekorowana bugenwillami poprzątkanymi pierzastymi trybulami - dla przypadkowego gościa to maksymalna odległość, na jaką będzie mógł się zbliżyć do tej dyskretniej i wybranej rzeszy.

Do restauracji wchodziło się przez mały tropikalny ogród. Gros stołów zajmowały rodziny i grupki biznesmenów załatwiających sprawy przy roboczym obiedzie. Przy jednym z nich, tuż obok drewnianej poręczy oddzielającej ogród od restauracyjnej sali, siedział młody, czarny mężczyzna o szerokiej szczęce i krótko przystrzyżonych włosach, w okularach w plastikowej oprawie. Ubrany był w szykowny szary garnitur i krawat w ziemistych barwach z rysunkami zwierząt, na uszach miał słuchawki walkmana. Mimo iż nie widzieliśmy się nigdy, obaj dokonaliśmy natychmiastowej identyfikacji. Pierwszym symptomem dziennikarskiego węchu jest umiejętność rozpoznania gatunku. Zwłaszcza że tylko przy jednym stole siedziała jedna tylko osoba. Podszedłem do niego, on zaś zerwał się gwałtownie, szeroko się uśmiechając. Gdy wstawał, kabel pociągnął za słuchawki.

- Kennedy? - Uniósł dłoń do góry, zdejmując słuchawki. Po chwili odzyskał uśmiech.

- Mów do mnie Ken. - Wyciągnął do mnie rękę. - Nie chcę, żeby ludzie wiedzieli, że udało mi się przeżyć ten zamach w Dallas. Z tego samego powodu zrobiłem sobie operację plastyczną.

- Jestem Curro i będę milczał jak grób. - Sprawiał wrażenie nadpobudliwego, ale wyluzowanego faceta. Uścisnąłem jego dłoń, wskazał mi krzesło. - Wielkie dzięki, Ken, że poświęciłeś mi czas.

- To nic, w gruncie rzeczy zadzwoniłeś w samą porę. - Nagle jego twarz wykrzywił grymas irytacji i zakwilił żalonym głosem. - Już od kilku dni nic nie jadłem i dzięki twojemu zaproszeniu będę mógł w końcu zjeść coś gorącego.

Zbaraniałem. Wówczas wybuchnął śmiechem.

- Żartuję, stary! Nie ma za co być wdzięcznym. Udzielenie pomocy koledze to obowiązek. Poza tym jeden kontakt więcej w europejskich mediach zawsze jest mile widziany. A za to - stuknął palcem w nakryty obrusem stół - płaci „The Standard”.

- Nie, nie, ja zapraszam. W moim wypadku to prawda, że już od kilku dni żywię się byle czym.

- Tak podły jest twój hotel?

- To Norfolk.

- Aha, teraz rozumiem, schronisko dla plecakowiczów... No,

co ty? Przecież to jeden z najlepszych hoteli w mieście! I słynie ze znakomitej kuchni.

- Nie wątpię, ale ja mogę pozwolić sobie tylko na śniadanie i kilka piw. - Otworzyłem menu. - Co mi polecasz?

- Żebyś coś zjadł, człowieku, żebyś coś zjadł.

Na przystawkę wzięliśmy kilka samos na dwóch. Ja umierałem z tęsknoty za pizzą, on zamówił jakieś mięso, oba dania postanowiliśmy podlać południowoafrykańskim winem. Przyjąwszy zamówienie, kelner zatrzymał się przez chwilę przy naszym stole, żeby zamienić z Kenem kilka słów.

- Dawno cię już tutaj nie widziałem.

- Zgadza się, Mosesie drogi. - Ken ponownie przybrał zboląły wyraz sprzed kilku minut. - To dzięki opatrnościowemu telefonowi tego oto dobrego samarytanina. Już od wielu dni nic nie jadłem i dzięki jego zaproszeniu mogę dzisiaj zjeść coś gorącego.

- Gorącego? Nie licz na to, że będę ci odgrzewał resztki! - Było jasne, że Moses znał go na wylot. Obaj gruchnęli śmiechem i kelner oddalił się w stronę kuchni z naszym zamówieniem.

- Słuchasz wiadomości? - Pokazałem głową walkmana.

- Wiadomości? Ach, nie, to głos bossa! Nie dają rady wytrzymać zbyt długo bez jego głosu.

- Twojego bossa?

- Tak, mojego i wszystkich. Bruce'a Springsteena, stary, The Bossa! To pirackie nagranie jego koncertu, które sprezentował mi znajomy. W porządku, do rzeczy, Curro. - Wycelował swoje nieustające, nerwowe ożywienie w teczkę, z której wyciągnął plik papierów. - A zatem szukasz dziadka, Szkota, Hamisha Sutherlanda urodzonego w 1910, który rzekomo zamieszkał tu jako osadnik na początku lat trzydziestych, rzekomo poślubił właścicielkę farmy w Nyeri, panienkę Cordelię - wymówił to imię, parodiując brytyjską sztywność - z której imienia się nabijam, ponieważ wnioskuję, iż nie jest twoją babcią, i który rzekomo był korespondentem jakiejś brytyjskiej gazety w czasie wojny „Freedom Fighters”*.

Dosłownie „bojownicy wolności” - miano, jakim określa się w Kenii partyzantów Mau-Mau walczących w latach pięćdziesiątych o niepodległość.

- „Freedom Fighters”?
- Mau-Mau, by użyć ładniejszego określenia.
- Ach, tak. Zgadza się, tak by to wyglądało w skrócie. Nie mam więcej konkretnych danych.
- W porządku, mamy do czynienia z dwoma okresami historycznymi, w których względnie łatwo jest - poruszył palcami obu rąk, jakby brał w cudzysłów słowo „łatwo” - wytropić dowolnego osobnika. Pierwszy to ten aktualny, czasy współczesne. Istnieją spisy ludności, rejestry cywilne, biura paszportowe, wyciągi z przebiegu toku studiów, dane bankowe, kartoteki policyjne, historie choroby i tak dalej, i tak dalej. Dane, w które zwykły człowiek nie ma wglądu, do których można jednak dotrzeć, jeśli się posiada... stosowne kontakty - zaakcentował dwa ostatnie słowa, poklepując dłonią kieszeń marynarki.
- Spróbowałem tej drogi. Bez... stosownych kontaktów, ma się rozumieć. Nie znalazłem nic.
- Drugi okres historyczny to pionierskie czasy *bwana kaburu*, powiedzmy od początku wieku do lat trzydziestych. Społeczność Europejczyków była wówczas jeszcze mała i informacja z tego okresu daje się stosunkowo łatwo ogarnąć i, nawiasem mówiąc, jest dosyć kompletna i wiarygodna. Poszedłem tym tropem.
- I?
- Niestety muszę ci zakomunikować, że twój dziadek nie istnieje. W żadnym ze źródeł, do jakich udało mi się dotrzeć, nie figuruje Hamish Sutherland. Uprzedziłem cię przez telefon, że nie chcę ci dawać złudnych nadziei.
- To znaczy... nie ma nic?
- Nic a nic. Udało mi się natrafić na dwa odniesienia, w których pojawia się nazwisko Sutherland w tamtym okresie. Z jednego z nich nie będzie pożytku. Chodzi o sir Georga Sutherlanda Mackenzie, pierwszego administratora Imperium British East Africa Company w Mombasie w latach 1889-1890. Dla twojej wiadomości: czło wiek piastujący to stanowisko był największym bonzą, jeśli idzie o interesy brytyjskie w Afryce Wschodniej. Naprawdę gruba ryba. To oczywiście, że to nie ten, chociaż nie pogniewałbyś się pewnie na takiego dziadka.

-Nie.

- Ten drugi to niejaki kapitan James Sutherland.

- Zaraz! Czy przypadkiem „Hamish” to nie po gaelicku „James”?

- Brawo dla szanownego pana! W istocie „Hamish” to, powiedzmy, angielska adaptacja gaelickiego „James”, którego pierwotną wersją było coś w rodzaju „Seamas”. I zarówno twój dziadek, jak i zacny kapitan pochodzili z ojczyzny whisky. Lecz na tym kończą się analogie. James osiadł w Afryce Wschodniej w roku 1903, podczas gdy twój dziadek urodził się w 1910. Z dokumentów wynika, że James był adiutantem w Longonot Estates, koło Naivasha, a później przedzierzgnął się w wielkiego białego myśliwego. Jest tam też wzmianka o tym, że w 1913 służył u gubernatora sir Henry'ego Conwaya Belfielda. Twój dziadek miał wówczas trzy lata. Anglicy zawsze byli ekscentrykami, ale mianować kapitanem trzyletnie dziecko, czegoś takiego nie dopuściłby się nawet Kaligula. Chociaż, zaczekaj, ile mógł mieć lat ten koń, kiedy mianował go senatorem?

- Ale w 1913 ów kapitan mógł mieć z powodzeniem trzyletniego syna.

- Myślisz, że ten James mógłby być ojcem twojego dziadka?

- To tylko supozycja. Nie, nie. Te daty do siebie nie pasują. Dziadek podróżował do Afryki ze swoim ojcem, ale z tego, co wiem, był już wówczas nastolatkiem, zatem musiało to być w latach dwudziestych. Obawiam się, że to jeszcze jeden fałszywy trop. W każdym razie będę ci wdzięczny, jeśli użydziesz mi tych danych.

- Jasne, masz tutaj wszystko. Tateczka należy do ciebie, a rachunek w środku jest mój. Nieee, żartuję! Ale czekaj, jest jeszcze coś.

-Tak?

- Widzisz, „The Standard” zmienił się bardzo w ciągu swojej dziewięćdziesięcioletniej historii. Na początku był organem osadników - „to były czasy, kiedy czytaliśmy o sobie, jacy to z nas goście w dechę!”. Dopiero wiele lat później, z wszystkimi zmianami własności po drodze i rozmaitymi kolejami losu stał się poważnym środkiem przekazu lub na tyle poważnym, jak dalece może być poważna gazeta zatrudniająca takiego gościa, jak ja. Z powodu tych wszystkich zwrotów niełatwo jest odszukać fakty czy nazwiska

sprzed iluś lat. Zdobyłem jednak nazwisko angielskiego reportera, który relacjonował niektóre epizody powstania dla „Standardu”. Twój człowiek nazywa się Winsłów Macomber. Identycznie jak producent kielbasy, kojarzysz? Kielbasy Winsłów Macomber! No więc stary Winsłów wrócił do Wielkiej Brytanii po uzyskaniu przez Kenię niepodległości, ale udało mi się odkopać adres kontaktowy, jaki wówczas zostawił, choć trzeba pamiętać, że od tego czasu minęło już trzydzieści lat. Zapisałem go tutaj. - Był to adres z Surrey. - Nie było żadnego telefonu, ale mógłbyś wysłać do niego list albo telegram. Mógł poznać twego dziadka, jeśli obaj kręcili się w pobliżu działań wojennych. Dwaj dziennikarze na wojnie nie mogą nie napić się razem i nie pouprzykrzać sobie nawzajem życia.

- Świetnie, Ken, wielkie dzięki! A co z Cordelią?

- „Panią Cordelią”! - powtórzył tym samym parodiującym tonem. - Odmowa. Zbyt mało danych. Potrzebowałbym jej panięskie nazwisko, w tym wypadku nazwisko jej ojca, właściciela farmy. W przeciwnym razie nie mogę wykonać żadnego ruchu. No i oczywiście nie muszę dodawać, że nie istnieje żadna Cordelią Sutherland. Sprawdziłem to.

- Do licha. Nic się nie zgadza. A przesłanka dotycząca hipotecyjnej farmy w Nyeri wydaje się sensowna?

-Tak, jak najbardziej. Olbrzymia część terytorium zamieszkanego przez Kikuju przeszła w ręce osadników. Chcieli nazwać swoje ziemie Krajem Białego Człowieka. Umknął im tylko jeden drobny szczegół, ten mianowicie, że żyły tu już małe, czarne ludziki. Być może nie zauważyli nas, bo przyszli nocą, a w ciemności nie wyróżniamy się specjalnie, z jednym tylko wyjątkiem, kiedy się uśmiechamy, jednak tamta sytuacja nie bawiła nas ani trochę.

- Jesteś Kikuju?

- Jestem obywatelem Kenii urodzonym w Nairobi. Ale tak, moi rodzice są Kikuju i w moich żyłach płynie krew Kikuju.

- Twoja rodzina pochodzi stamtąd, z Nyeri?

- Nie, z Kiambu, na północ od Nairobi, ale niemal sto lat temu jej członkowie musieli porzucić rodzinną ziemię z łaski umiłowanej administracji kolonialnej. Stali się obcymi we własnym kraju i przeganiano ich z kąta w kąt przez całe dziesięciolecia. Kiedy około

1902 roku pierwsi osadnicy dotarli do Kiambu, mój lud przyjął ich jak nowych sąsiadów, pomógł im nawet wznieść domy. Aż pewnego dnia ci nowi, sympatyczni sąsiedzi wysiudali mój lud z jego rodzinnych ziem i zapędzili do rezerwatu. Nie wiem, czy możesz sobie wyobrazić, co to oznaczało dla mojego ludu. Masajowie są pastorzami prowadzącymi koczowniczy tryb życia i wędrują ze swoimi kozami z miejsca na miejsce. Ale dla Kikuju jedynym skarbem jest ziemia i jeśli ją nam zabiorą, nie pozostanie nam nic. Możesz wierzyć lub nie, ale niełatwo jest wytresować taką ciemną masę, aby szła poboczem szosy gęsiego. Moi dziadkowie błąkali się tak długo, aż nie zostało im nic innego, jak zacząć się w Nairobi, które było dla nich miejscem równie obcym, co Mars. I na dodatek za cały dobytek mieli nie więcej niż to, co mieści się na tym obrusie. Ale to jeszcze nie koniec. Kiedy proklamowano stan wyjątkowy Mau-Mau, naszą wojnę o niepodległość, ponownie wyrzucono ich z domu i zamknięto w czymś w rodzaju obozu koncentracyjnego, który nazwano słodko „wyjątkową wioską”. Wciąż jeszcze nie potrafisz zrozumieć, jak mimo wszystko dali sobie radę, chyba tylko dzięki Bogu i nieładzkiemu poświęceniu.

- Rozumiem doskonale twoją urazę.

- Nie, nie zrozum mnie źle, stary. Nie chowam urazy. Historyczny rewanżyzm nie rozwiązuje niczego. To tak, jakbyś przegrał mecz piłki nożnej i następnego dnia wrócił na boisko, żeby nastrzelać goli do pustej bramki. Bardzo możliwe, że przyniosłoby ci to ulgę, ale na rezultat spotkania nie miałoby żadnego wpływu. Rozumiesz zapewne, że nie można ode mnie oczekiwać, bym składał czołobitne hołdy skurwielowi, którzy eksmitowali moich przodków i traktowali ich jak zwierzęta, lecz byłoby absurdem i niesprawiedliwością przenosić ich winę i moją antypatię na ich dzieci lub wnuki. Nasz pierwszy prezydent, *mzee* Jomo Kenyatta, nie był gangsterem ani fanatykiem, lecz człowiekiem o wysokiej kulturze i starannym wykształceniu, pragmatycznym mężem stanu. Wiedział doskonale, że wygnanie Anglików straciłoby nasz kraj na powrót w dziewiętnasty wiek. Kenijczycy potrafili uprawiać tę ziemię, wiedzieli, które pastwiska były najlepsze do wypasu bydła, umieli tropić zwierzynę jak żaden Europejczyk, nie mieli za to pojęcia, jak zarządzać ogrom-

nymi gospodarstwami rolnymi, nie potrafili projektować mostów, pilotować samolotów ani zoperować chorego serca. Anglicy potrafili to wszystko i mogli nas tego nauczyć. Poza tym, gdy pozostawali w kraju, ich pieniądze zostawały również. Zaproponował im zatem, żeby nie wyjeżdżali. Dzięki temu Kenia nie podzieliła losu Angoli, Konga czy Somalii.

- Zdaje się jednak, że nie wszystko jest tak cudowne i tęczywe, jak mi to malujesz. W twojej gazecie napisano, że najbliższe wybory będą pierwszymi naprawdę demokratycznymi wyborami w Kenii od czasu uzyskania niepodległości, i że fakt ten jest czynikiem wyzwalamym międzyplemienną nienawiść; nietrudno się zorientować, że nieprzypadkowo dzieje się to akurat w chwili, gdy nadarza się sposobność dokonania zmian poprzez urny.

- Mhm... Widzę, stary, że jesteś świetnie zorientowany. Kenyatta był wielkim człowiekiem i, jak wielu wielkich ludzi gromadzących w swoich rękach zbyt dużo władzy, zamknął się w wieży z kości słoniowej i upoił triumfem. Opozycję polityczną zduszono i prześladowano. Kiedy umarł, nastąpiły zmiany, ale na gorsze. Obecny prezydent, Moi, zaprowadził rządy jednopartyjne i za jego panowania wzmogły się aresztowania i tortury, doszło nawet do nieudanego zamachu stanu. Lecz blokada pomocy międzynarodowej zmusiła go do ustępstw i wyciągnięcia ręki do opozycji.

- W takim razie w czystych wyborach opozycja powinna wygrać z miażdżącą przewagą, nie sądzisz?

- Chociaż może ci się to wydać dziwne, stary, niewykluczone, że tak się nie stanie. Z europejskiego punktu widzenia polityka kenijska jest dość osobliwa. W Europie istnieje wyraźny podział na partie lewicowe i prawicowe. Tutaj jest inaczej. Fundamentem partii nie są ideologie, lecz przynależność etniczna i bardzo często się zdarza, że politycy zmieniają ugrupowania. Bojąc się głosów karzących rządy KANU*, wielu zasililo już szeregi FORD", partii opozycyjnej. W tej kołomyi dochodzi już do napięć wewnętrznych i krążą słuchy, że na najbliższym kongresie nastąpi rozłam. Jeśli

* Kenya African National Union (Kenijski Afrykański Związek Narodowy). " Forum for the Restoration of Democracy (Forum na rzecz Przywrócenia Demokracji).

opozycja ulegnie rozdrobieniu, wielu dezertków wróci do KANU i może nastąpić sytuacja, w której wyborcy zapragną dosięść zwycięskiego konia.

- Masz rację, to bardzo skomplikowane. A kwestia walk etnicznych? Czytałem, że bardzo się nasiliły w ostatnich miesiącach.

- Nie można zaprzeczyć, że między niektórymi plemionami pozostają rachunki krzywd do wyrównania. Ale fakt, że walki te wybuchają dokładnie tuż przed wyborami, to nic innego, jak manewr sterowany odgórnie przez władzę, chwyt Moi mający doprowadzić do zamieszania i sytuacji, w której ludzie zagłosują na znane zło.

- Piękna panorama, nie ma co. I wszystko to możecie publikować?

- Cóż... Czasami. Odkąd nastąpiło otwarcie na wielopartyjność, pozwalamy sobie na luksus krytykowania Moi, coś, co jeszcze zaledwie rok temu było nie do pomyślenia. KANU ma swoją tubę propagandową, „Kenya Times”, ale nie będę ukrywał, że w mojej gazecie, jak również w „The Nation” pracują dziennikarze na żołdzie rządu. I ci robią za szpicli, trzeba więc uważać. Niejeden z moich kolegów miał szczęście zakosztować wspaniałej gościnności cel zalanych wodą w Nyayo House, gdzie zamyka się i torturuje opozycjonistów. Nie wszystkim, którzy tam wchodzą, udaje się wyjść. Ale cóż, myślę, że dopóki będę zajmować się tematami o podobnym wydźwięku politycznym, co do tej pory, dopóty nie ma powodu do obaw. - Uniósł dłonie przed siebie, jakby rozwieszał tytuły w powietrzu: - Hiena pożera znaki drogowe! Kierowca *matatu* buduje wieżę Eiffla z kości myszy! Mrożonki z czasów wojny światowej znalezione w Alpach!

- Pozostaje tylko modlić się, żeby ktoś upierdliwy nie uprzykrzył ci życia niepożądanym zleceniem. Zadzwoiłem do ciebie właśnie z powodu tego artykułu o mrożonkach w Alpach.

- Naprawdę, stary? Aż tak tobą wstrząsnął? To niewiarygodne, blask mego talentu przebija nawet z listy zakupów.

- Bez dwóch zdań.

- Ale co jest grane, stary! Co z naszym posiłkiem? Moses, chłopcze,

Minibus transportu publicznego.

pozwól no tutaj! - Kelner podszedł do naszego stolika z cierpliwym uśmiechem. - Myślałem, że ten lokal to restauracja. Jeśli mamy gotować sami, to mów prędziutko, bez krępacji. Za pół godziny jestem umówiony z tym cudeńkiem. - Wyjął z portfela zdjęcie Naomi Campbell i pokazał je Mosesowi. - Zawsze musi na mnie czekać, biedna mała.

- Ach, Naomi. Tak, wspominała, że ma dzisiaj spotkanie z jakimś namolnym klientem. - Zwrócił mu fotografię. - Brakuje nam kucharzy, Ken. Wamboi odszedł i jeszcze nie znaleźliśmy nikogo na jego miejsce. Znasz kogoś, kto dobrze gotuje?

- Tak, moją matkę. Ale nie zamierzam dzielić się nią z nikim.

Sympatyczny facet ten Ken, chociaż obdarzony systemem nerwowym, który podczas obrazowania rezonansem magnetycznym wyszedłby z pewnością nieostry. W wyniku takiego nieustannego gibania, kiedy krzyżował i rozkrzyżowywał nogi, osuwał się na oparcie, prostował, przesuwiał dłoń po wygolonej niemal na łyso czaszce, unosił okulary, nawijał i rozwijał kabelek od walkmana, bębnił jak na perkusji sztućcami, uderzał obcasem w podłogę i zaraz potem podnosił w górę czubki butów, wykonywał powolne, oscylacyjne ruchy kolanami do środka i na zewnątrz, by za chwilę potrząsać nimi błyskawicznie w górę i w dół, wprawiając je w nerwową wibrację, musiał pewnie kleić krzesła w domu co najmniej dwa razy do roku. Wreszcie zamówione dania dotarły i rozkoszowaliśmy się nimi w wyłaniającym się zza ostatniego wagonu burzowych chmur słońcu dobywającym z wielkich liści w ogrodzie zieloną fosforescencję, która ukazała mi Nairobi w nowej tonacji. Poznałem właściciela restauracji, Niemca Rolfa Schmida, znaną w Kenii osobistość, faceta o wyglądzie górniczego rębacza wagi ciężkiej. Kiedy się żegnaliśmy, Ken obiecał, że będzie mieć oczy i uszy szeroko otwarte. Ja ze swej strony zapewniłem, że dam mu znać, jeśli odnotuję jakiś postęp.

Streszczałem właśnie Makenie spotkanie z Kenem, kiedy kucharz olbrzym o stożkowatym tułowi i głowie nakrytej białą kucharską czapą upodobniającą go do ośnieżonego wulkanu, złożył na naszym stole szpadę, na którą nadziane było coś, co wyglądało jak stado antylop sprasowanych hydrauliczną prasą.

- Eland, proszę pana?

To była dieta Carnivore, orgia mocno wysmażonych, ociekających tłuszczem połci mięsiwa nadzianych na długi szpikulec i wędrujących od stołu do stołu, kuszących soczystymi włóknami i oferujących bestialskie dobrodziejstwa i smaki, aż w końcu biesiadnik poddawał się, powiewając przygotowaną na tę okazję białą chorągiewką, a ja zachodziłem w głowę, dlaczego nie na odwrót - dochowując wierności klasycznemu rytuałowi kapitulacji. Tam właśnie zdeponował mnie taksówkarz, przemierzywszy posępną sawannę przedmieścia, gdzie kikuty skróconych o koronę akacji i słupy telefoniczne o potarganych kępach zwisających kabli rywalizowały w konkurencji bezbrzeżnego smutku. W okolicy znajdowało się małe lotnisko i wiele blaszanych dachów śpiących w półmroku na nagich stelażach belek lub na przemysłowych halach o złowieszczych otworach wejść uzbrojonych po zęby drutem kolczastym.

Carnivore wyłaniała się z tego postindustrialnego stepu niby połyskliwe wesołe miasteczko, pogańska świątynia, w której zaspokajano dwie cielesne żądze, czemu służyły: z jednej strony restauracja, z drugiej night club. Pograżony w hałaśliwej i zadymionej mięsopustnej ciemności lokal kipiał wzmożoną aktywnością przy suto zastawionych stołach, wokół których uwijali się kelnerzy i kucharze fechtujący płatami pieczystego. Poprosiłem o nasz stolik i usiadłem w oczekiwaniu na Makenę, która zjawiała się wkrótce w drzwiach wejściowych niczym *prima donna* z finałowej sceny opery na tle całego zespołu, pyszna, w obcisłym, krótkim do połowy uda kaftaniku z czarnej koronki z turkusowym podbiciem, sunąc niemal na paznokciach stóp, skrzącących się głęboką czerwienią i ciągnąc za sobą spojrzenia rozsmarowujące się na ciemnej skórce chleba jej sprężystego łuku grzbietowego i klejące się do jej siedmiomilowych nóg jak algi podczas morskiej kąpieli. Poczulem nagle, że znalazłem się w epicentrum uwagi, w samym środku sceny, podczas której wszyscy, mężczyźni i kobiety, kontemplują w pierwszej kolejności imponującą dziewczynę i odprowadzają ją wzrokiem, ażeby zlokalizować jej towarzysza, o którym one myślą „też mi coś”, oni zaś „palant”. Dobre wychowanie nakazywało powstać na jej powitanie, przełamując nieśmiałość stawiającą opór zuchwałemu pragnieniu, by zaprezentować moją skromną osobę wszystkim zgromadzonym

i oświadczyć głośno: „To ja, palant”. Wycelowałem w jej policzek pierwszy z dwóch przykładowych pocałunków, ona jednak przekroczyła linię ciągłą i złożyła swoje wargi na poduszcze moich otwartych ust, wypełniając je puszystym puchem smakującym jaśminem.

Między polciami zebry, jagnięciny, krokodyla, elanda, strusia, gnu, impali i kongoni dokończyłem Makenie relację z obiadu z Kenem. Uśmiechała się jak zawsze.

- Gdybym tylko mogła ci pomóc w jakiś sposób...

- Już to zrobiłaś, zaprosiłaś mnie na kolację. To najlepsza pomoc, biorąc pod uwagę moją dotychczasową arcynudną egzystencję w Nairobi. O rany, eland jest wyborny!

- Spróbuj zebry. A co z twoim towarzyszem podróży?

- Prawdę mówiąc, nie udało mi się jeszcze odgadnąć, co to za czło-
wiek. Spędziliśmy razem kilka dni w Hiszpanii przed wyjazdem do Kenii i tam wydał mi się bezpośrednią osobą, ekscentryczną i pełną dziwactw, ale towarzyską i zabawną. Jednak w ostatnich dniach z tamtego faceta pozostał tylko cień. Widujemy się wyłącznie nie na śniadaniu i prawie się nie odzywa. Potem wraca do apartamentu i cały dzień zajmuje się Bóg wie czym. Nie ma z niego dużej pociechy, a najgorsze jest to, że mam poczucie winy, że nie potrafię wzbudzić w nim zainteresowania czy sprawić, aby przynajmniej spędził tu miło czas. Ale na razie nie ma mowy o turystycznych wyprawach, przynajmniej dopóki nie ujrzę jakiegoś światła na końcu tunelu. Mam wrażenie, że pomysł wspólnej podróży był nietrafiony. Mmm..., zebra też palce lizać.

- I co masz zamiar zrobić?

- Jeszcze nie wiem. Szczerze mówiąc, moje plany są wybitnie krótkoterminowe. Dzisiaj obiad z Kenem, kolacja z tobą. A co jutro? Zastanowię się rano.

- Jeśli będziesz potrzebować czegoś, w czym mogłabym być użyteczna, możesz na mnie liczyć.

- Co za ironia losu. Niewykluczone, że dziadek był twoim sąsiadem przez dwadzieścia lat i nie przychodzi mi do głowy żaden pomysł, jak mogłabyś mi pomóc. Przypuszczam, że nie słyszałaś nigdy o Cordelii, właścicielce farmy w Nyeri.

- Wielkie farmy należą w całości do państwa lub do prywatnych

przedsiębiorstw. Nie znam nazwisk właścicieli. Kiedyś było inaczej, w czasach, gdy moja matka była młoda. Ale nie kojarzę nikogo o tym imieniu. Tak czy owak nie mieszkam już w Nyeri od lat. Odkąd wyjechałam, straciłam z tamtymi ludźmi kontakt. Nie mam... zbyt dobrych stosunków z niektórymi miejscowymi.

- Dlatego wyjechałaś?

- Wyjechałam, bo nie mogłam tego wytrzymać. - Po raz pierwszy, odkąd ją poznałam, Makena uśmiechnęła się z przymusem. Nie zdołała udźwignąć tego uśmiechu, jakby skapitulowała pod ciężarem wielkich oczu brzemiennych obrazami jakiegoś nieszczęśliwego zdarzenia z przeszłości.

- Wytrzymać? Czego?

- Gadania. Spojrzeń. Ludzie gadają. I patrzą.

- Makena... Spotkało cię tam coś złego?

Utkwiła wzrok w zgiełkowym tarasie. Nagle sięgnęła po rezerwową energię, aby naładować baterie uśmiechu i spojrzała mi w oczy.

- Jesteś niedyskretny! Nie baw się w dziennikarza węszącego za jakąś straszliwą historią. Straszliwa historia nie istnieje. Nie jestem z marginesu, nie mam AIDS, nie zażywam narkotyków, nie szwendam się po ulicy i nie jestem niczyją niewolnicą. Jestem szczęśliwa. Lubię swoją pracę i dobrze mi się żyje. Pracuję, kiedy chcę, wybieram klientów, którzy traktują mnie jak księżniczkę. A jeśli któryś ma inne intencje, musi się ze mną pożegnać. Lubię dziewczyny, z którymi pracuję w Victorii. Abraham traktuje nas bardzo dobrze, nie ma nic wspólnego z typem alfonsa z amerykańskich filmów. To przyzwoity człowiek. Jest jak ojciec, bardzo się o nas troszczy. Nie wymaga, żebyśmy z nim spały lub robiły rzeczy, na które nie mamy ochoty. Płaci nam siedemdziesiąt procent naszego utargu i możemy wchodzić, wychodzić i robić, co nam się podoba.

- Nigdy nie myślałaś, żeby to zostawić?

- Dostałam propozycję zmiany pracy. Od międzynarodowej agencji *escorts*, to bardzo wpływowa i ekskluzywna firma. Ma interesy w wielu krajach i pracują w niej wyłącznie piękne dziewczyny. Mogłabym zarobić dużo więcej pieniędzy, ale nie miałabym możliwości wyboru klientów i musiałabym pracować tylko dla agencji. Musiałabym zostawić Victorię. I mogliby mnie wysłać do innego

kraju. Jeszcze nie wiem, czy się zgodzę. Na razie rozważam wszystkie za i przeciw.

- Ale ja pytałem o to, czy nie myślałaś, żeby zostawić tę pracę, zając się zupełnie czymś innym, nie wiem, może założyć rodzinę.

- A co ja mogłabym robić? Ja nic nie umiem. I nie mogę założyć rodziny. - Jej uśmiech zgasł ponownie.

- Dlaczego?

- Nie mogę mieć dzieci.

Nie odważyłem się wejść na ten grząski grunt. Wolałem uszanować jej prywatność milczeniem i oddać jej inicjatywę, żeby to ona zdecydowała, czy pragnie odkryć przede mną ten mroczny zakamarek swego pełnego blasku życia. Swoim zwyczajem pochyliła czoło, lecz tym razem nie patrzyła na mnie. Pokazywała mi jedynie mur powiek. Po kilkusekundowej przerwie podjęła temat ponownie.

- Byłam... chora. Byłam bardzo długo chora. Musiałam poddać się operacji. I powiedziano mi, że nie będę mogła mieć dzieci.

- Co ci się stało?

- Mój ojciec... zrobił mi krzywdę. - Spojrzała w sufit. - Było więcej razy, ale ten był makabryczny. Był bardzo pijany. Zrobił mi wielką krzywdę.

- Chcesz powiedzieć, że cię... gwałcił?

- Bardzo krwawiłam i bardzo mnie bolało. Matka zawiozła mnie do szpitala w misji Consolata w Mathari. Zakonnice traktowały mnie bardzo dobrze. Zwłaszcza jedna z nich, siostra Annie. Bardzo lubiła kino. Mówiła, że jestem podobna do aktorki Audrey Hepburn. Że wyglądam jak figurka Audrey Hepburn wyrzeźbiona w hebanie, tak mówiła. - Uśmiechnęła się, zmieniając bieg łzy. - Podarowała mi fotografię Audrey. Mam ją do dziś. Ma na sobie czarną sukienkę i czarne, długie rękawiczki do łokcia, i wspaniałe diamentowe naszyjnik, i pali papierosa w czymś takim... w takiej długiej fífce. Była najpiękniejszą kobietą, jaką w życiu widziałam. Chciałam być jak ona i nosić takie sukienki, i takie rękawiczki, i taki naszyjnik, i palić w bardzo długiej fífce. I spełniłam swoje marzenie, i teraz jestem szczęśliwa.

- A twój ojciec? Podałaś go na policję?

- Matka nie ufała policji. Najlepszym sposobem było rozwiązać

to tam, na miejscu. Dla członków mojego plemienia czyn, jakiego dopuścił się ojciec, jest potworną zbrodnią, skazano go więc na najgorszą dla Kikuju karę, na wygnanie. Nie widziałam go już nigdy więcej.

- A twoja matka?

- Opiekowała się mną. I miałam szczęście w nieszczęściu, bo z tego powodu ocalała mnie od obrzezania.

- To jeszcze się praktykuje?

- Tak, jest jeszcze stosunkowo powszechne. W niektórych rodziach. Moja matka nie chciała mi tego zrobić. Jest dobrą chrześcijanką, a poza tym sama została obrzezana w dzieciństwie. Ale niektórzy mężczyźni z wioski nalegali. Ostrzegali matkę, że nigdy nie wyjdę za mąż. To byli... ludzie, którzy nienawidzili *wazungu**. Oni byli w partyzantce Mau-Mau, ich synowie... Teraz nazywają się *mungiki*. Ale w tamtym czasie nie nazywali się tak. Zakonnice powiedziały matce, że musi mnie od tego uchronić, że w przeciwnym razie umrę, że mój organizm nie wytrzyma tego po tym, czego doświadczyłam ze strony ojca i po operacji. Matka nie pozwoliła, żeby mnie obrzezano. Lecz w tamtym czasie ja nie miałam pewności, czy tego nie pragnę. Inne dziewczynki mówiły, że dzięki temu doznajesz oczyszczenia i stajesz się kobietą, a ja chciałam wiedzieć, jak to jest czuć się czystą i czuć się kobietą. Później jednak byłam zadowolona, że udało mi się tego uniknąć. Z czasem zrozumiałam, że cudzoziemskim mężczyznom to się nie podoba. I być może nie mogłabym wykonywać tej pracy.

- I wówczas przyjechałaś do Nairobi?

- Kiedy wyszłam ze szpitala, wróciłam do wioski. Prawie wszyscy traktowali mnie dobrze, ale było kilka kobiet, które patrzyły na mnie złym okiem i wzięły mnie na języki. Mówiły, że mój ojciec był dobrym człowiekiem i że wszystko to moja wina. I niektórzy mężczyźni zaczęli mi się naprzykrzać. Pewnego dnia jeden z nich chwycił mnie mocno i zaciągnął za *mashamba** w las i tam zaczął się do mnie dobierać, a ja podniosłam wielki lament jak *ndete*, ptak

* L.mn. od *mzungu*, biały człowiek.

** L.mn. od *shamba* (przyp. tłum.).

żyjący w tamtych stronach, który drze się wniebogłosy. Nadbiegli inni mężczyźni i uwolnili mnie, ale on powiedział, że to ja go sprovokowałam, i nie wiem, czy moi wybawiciele uwierzyli mu, czy nie. Czułam się paskudnie, nie chciałam wychodzić z domu. Wtedy matka wysłała mnie do Nairobi ze swoją przyjaciółką, którą poznała jeszcze na plantacji, przy zbiorze kawy. Bardzo rozpaczalam z powodu tego rozstania z matką, ale teraz jestem dumna, że mogę jej pomagać. - Przerwała i wzięła głęboki oddech, jakby chciała wymienić całe powietrze w płucach na nowe i uspokoić rytm oddechu. - Widzisz, okazuje się jednak, że ukrywałam straszliwą historię. Ale tamto już minęło. Już mogę o tym mówić i nie płakać. Prawie. - Zaśmiała się, zatrzymując łzę grzbietem dłoni. - Nie myśl, że opowiadam o tym każdemu, kto się nawinie. - Niespodziewanie podniosła głos i popatrzyła mi w oczy wyzywająco i swawolnie. - Od dawna nie mówiłam o tym nikomu. Dziewczyny... Cóż, każda ma swoje zmartwienia. A klienci nie chcą wysłuchiwać smutnych historii, mówią, że to studzi ich zapal. Studzi ich nawet, gdy wspomnam, że mam innych klientów. Każdy chce, abym należała tylko do niego. Być może dlatego opowiadam o tym tobie. Przy tobie nie muszę udawać. Ty nie chcesz mnie... posiadać.

Ująłem jej dłoń, pocałowałem ją i zatrzymałem przy swojej twarzy. Przebiegłem wzrokiem lśniąca linię, jaką poblask skąpego światła sali rysował wzdłuż jej ramienia, łącząc mój policzek z jej ciemnymi wargami z puchu i jaśminu śmiejącymi się ponownie.

- Makena... Jesteś bezcennym darem. Nie istnieje bogactwo, za które można by nabyć to, czym mnie dzisiaj obdarowałaś.

Po kolacji uparła się tańczyć w Simba Saloon, dyskoteci Carnivore. Kiepski ze mnie tancerz i jedyne, na co mnie było stać, to kiwać się nieporadnie na parkiecie, dyrygując fikcyjną orkiestrą za pomocą batuty whisky z wodą sodową, podczas gdy Makena, w rytm dźwięków znanego mi już skądinąd CJ Blastera, wyginała swoje kości pod kątami, które sumowały już ponad trzysta sześćdziesiąt stopni, oraz wykonywała ruchy zdolne doprowadzić do stanu wrzenia włókna każdej istoty, której ciało zawierało choćby minimalny procent wody. Spojrzenia gości skupiały się na jej sylwetce, jakby trzymała ich wszystkich na smyczy, i zaczęło mnie bawić

odgrywanie roli wybrańca losu, któremu dane będzie ściągnąć z niej tę koronkową sukienkę jeszcze tej samej nocy, nie przejmując się jednocześnie koniecznością wyznaczenia terytorium celem obrony ulubionej samicy przed innym, przystojniejszym i bardziej umięśnionym, dominującym samcem. Nasza rozmowa przekonała ostatecznie kierownictwo mojego organizmu, że nie chcę, czy też że nie powinienem, czy też że nie mogę iść z nią do łóżka, chociażby cierpiącym katusze organom departamentu operacyjnego trudno było pogodzić się z powyższą decyzją. Wróciliśmy do Nairobi jedną taksówką i odprowadziłem ją do wejścia. Nie spytała, czy mam ochotę wejść na ostatniego drinka. Znała już odpowiedź. Objęła mnie tylko mocno, jej dłonie zsunęły się na moje pośladki, po czym potarła biodrami o moje biodra. Wówczas zachichotała przenikliwie i szepnęła mi do ucha, „chciałam się tylko upewnić”. Zarumieniłem się, przynajmniej od środka. Zanim zniknęła za drzwiami, podała mi długi, głęboki pocałunek. Pomyślałem, że wcześniejsze muśnięcie puszystego puchu i jaśminu było zwykłą dziecinadą. Bo ten pocałunek to było tak, jakbym nurkował na bezdechu w rowie oceanicznym na głębokości dziesięciu tysięcy metrów. Skondensowany, przytłaczający, odbierający zmysły i uniemożliwiający oddychanie. Kiedy zamknęły się za nią drzwi, czułem się jak bokser otumaniony nokautującym ciosem.

A kiedy drzwi się otwierają, okno też

Następnego ranka wodospad słońca runął na mnie zogniskowanym strumieniem, nim zdołałem umknąć z łóżka na suchy brzeg cienia i w świetle rozpraszającym opary sennego bezwładu zdumiałem się kumulacją wrażeń stojących w kolejce do sportretowania się w fotomatonie mojej duszy. Poprzedniego dnia zafundowałem sobie wakacje w Nairobi i odpuściłem analizę rentowności każdego stawianego kroku. Po prostu świetnie spędziłem czas. Z Kenem i Makeną trafiłem w dziesiątkę, oboje byli istotami zasługującymi na odkrycie i miałem nadzieję dysponować czasem i sposobnością, aby kontynuować tę eksplorację. Czułem się odprężony i pokrzepiony, mimo iż nie posunąłem się właściwie ani o jedno pole naprzód - według najbardziej optymistycznej wersji - na mojej planszy. Z wolna w moich możliwościach intelektualnych zaczynało prześwitywać dno, nie mówiąc już o tych ekonomicznych, reprezentowanych przez mizerne zasoby na koncie bankowym wyciekające nieubłaganie dzień po dniu do przepastnych ark Norfolku. Czułem zawrót głowy jak człowiek, który wziął na siebie ciężar wypełnienia misji i pewnego ranka budzi się i stwierdza, że nie dysponuje najdrobniejszą wskazówką, najmniejszą podpowiedzią, dokąd ów ciężar przetransportować. Zapłaciłem pustą dłoń plikiem kartek dokumentu Hamisha, zamierzając przejrzeć je spokojnie po śniadaniu w barze. Gdy szedłem w stronę restauracji, owładnęło mną uczucie *deja vu* bezdusznej, niewolącej rutyny. Pragnąłem ujrzeć

Delseya, ażeby stwierdzić, że żyje i ma się dobrze, a jednocześnie myśl o krępującym, coporankowym spotkaniu wyzwalała we mnie przytłaczające lenistwo.

Zza firany rżęs zaspanych oczu ujrzałem, jak dawno już przebudzony westybul hotelu wrze frenetyczną aktywnością. Kręcono jakiś film, informowało ogłoszenie wywieszona w recepcji. Apelowano w nim o wyrozumiałość za powstałe utrudnienia. Bar Delamere był zamknięty dla gości, a w korytarzu tłoczyły się reflektory, ekrany odblaskowe, kłębiły zwoje kabli i sterczał gęsty las statywów. Zaaferowany tłumek trzymał się w pocie czoła, rozstawiając i składając klamoty, biegając korytarzami w tę i z powrotem uczepiony podkładek do pisania z klipem, dyskutujący zajadle, pokazujący rękami plan przygotowany na tarasie baru. Pomiedzy wieszakami obładowanymi ciężkimi kieszmi ubrań i metalowymi walizami prześlizgnąłem się do sali restauracyjnej, próbując odszukać wzrokiem Delseya. Nie zszedł jeszcze na śniadanie. Zająłem dyskretny dwuosobowy stolik i raz jeszcze zagłębiłem się w wydobyty ze sterty papierów Hamisha artykuł datowany w Nyeri, w 1954 roku.

The Kenyan tree lodge where Princess Elizabeth became Queen has been reduced to ashes. No one was harmed.

HISTORIC TREETOPS DESTROYED BY RAGING BLAZE*

NYERI (KENIA), 27 maja 1954 roku. Szalejący pożar, wzniesiony prawdopodobnie przez aktywistów Mau-Mau, zakończył żywot znajdującego się w kenijskim parku Aberdare historycznego Treetops Lodge, hotelu-drzewa rozslawionego wizytą księżniczki Elżbiety i księcia Edynburga w nocy z 5 na 6 lutego 1952 roku, kiedy to zmarł we śnie król Jerzy VI.

Wczorajszego niedzielnego wieczoru obsługa hotelu Outspan w Nyeri służącego za bazę wypadową do Treetops, otrzymała telefon z policji w Mweiga, miejscowości znajdującej się w pobliżu *lodge*.

Kenijski hotel-drzewo, w którym księżniczka Elżbieta została królową, obrócił się w popiół. Nie było rannych.

HISTORYCZNY TREETOPS ZNISZCZONY W WYNIKU SZALEJĄCEGO POŻARU.

Funkcjonariusze poinformowali o kolumnie dymu wznoszącej się z jakiegoś miejsca w lesie, które mogło odpowiadać, ich zdaniem, lokalizacji Treetops. Około 19.30 kilku okolicznych farmerów zadzwoniło do biura służb leśnych w Muringato, dzieląc się tym samym spostrzeżeniem. Strażnik leśny T.M. Kimathi oświadczył, że zgodnie z informacjami farmerów o tej godzinie ogień ogarniał już las otaczający hotel.

Po otrzymaniu wiadomości strażnicy wyruszyli z Muringato do Treetops, docierając na miejsce około godziny 21. Walka z pożarem przy wsparciu wojska trwała przez całą niedzielą noc i poniedziałkowy poranek. W poniedziałek po południu ogień, który pochłonął rozległe połacie lasu okalającego hotel, udało się opanować.

Według deklaracji straży leśnej przyczyną pożaru było prawdopodobnie podpalenie. Wśród zwęglonych szczątków znaleziono pustą bańkę po benzynie, co pozwala przypuszczać, że ogień został wzniecony przy użyciu łatwopalnego płynu. Zachodzi podejrzenie, że mogła to być akcja rebeliantów z Mau-Mau. Możliwość przypadkowego pożaru jest praktycznie wykluczona, zważywszy, iż Treetops wraz z przyległymi terenami był z uwagi na stan wyjątkowy nieczynny dla gości od lipca zeszłego roku, kiedy to eskalacja przemocy ze strony Mau-Mau zmusiła rząd do podjęcia decyzji o zamknięciu strefy. Dzięki zastosowaniu tego środka we wczorajszym tragicznym zdarzeniu nikt nie ucierpiał.

Jedyną rzeczą ocalałą ze zgliszczy jest upamiętniająca królewską wizytę tablica, którą major Eric Sherbrooke Walker, właściciel Treetops, przewiózł do hotelu Outspan.

Hotel Treetops został wzniesiony w roku 1932 przez Sherbrooka Walkera i jego żonę, lady Bettie. Pierwotnie była to chata skonstruowana w koronie olbrzymiego, dzikiego figowca czy *mugumo* na wysokości trzydziestu stóp nad ziemią, z której w pełni księżyca można było podziwiać z ukrycia nieświadomą obecności człowieka leśną faunę podchodzącą do wodopoju - przyległej sadzawki. Początkowo chatka przeznaczona była dla dwóch osób, przez co uchodziła za najdroższy hotel na świecie. Z okazji wizyty królewskiej rodziny zmieniono w niej wystrój i rozbudowano tak, by mogła pomieścić ośmioro gości, nie zapominając o dodatkowej

kabinie dla kucharza i kelnera. Jak dowiadujemy się z hotelowej księgi, księżniczce Elżbiecie i księciu Edynburga towarzyszyli tamtej nocy Sherbrook Walker, jego małżonka oraz ich córka Honor, lady Pamela Mountbatten, komandor Michael Parker i legendarny myśliwy Jim Corbett, wsławiony przygodami z tygrysami ludojadami w Indiach.

Wizyta członków królewskiej rodziny i jej zbieżność ze śmiercią monarchy to wydarzenia, które rozślawiły Treetops. Z tej przyczyny rok później *lodge* rozbudowano ponownie, aby sprostać wzrastającemu zainteresowaniu turystów zwabionych tym - i za to ręczy piszący te słowa korespondent, co do wczoraj było najbardziej ekscytującym doświadczeniem afrykańskiej przyrody.

„Za to ręczy piszący te słowa korespondent”... Podczas poprzednich, pobieżnych oględzin sterty kartek dokumentu Hamisha skoncentrowałem się na poszukiwaniu konkretnych dat i miejsc. Nie miałem jednak czasu i sposobności pochylić się z uwagą nad tymi tekstami, aby wyłowić i skojarzyć drobne, jak ten właśnie, szczegóły. A zatem Hamish gościł w Treetops przed rokiem 1954. Świetnie, to niebawem ułatwiało sprawę. Teraz pozostawało już tylko przejrzeć setki, być może tysiące stron ksiąg gości, pod warunkiem że dotrwały do naszych czasów, i natknąć się na którejś z nich na wpis z jego nazwiskiem i adresem zamieszkania, w wypadku braku takowego wynotować nazwiska pozostałych gości przebywających w hotelu tej samej nocy w razie gdyby wśród nich była osoba, którą mógłbym łatwo odszukać i która znałaby Hamisha lub przynajmniej rozmawiała z nim i mogłaby naprowadzić mnie na jakiś ślad. Bułka z masłem.

Informacja była skromna, ale stanowiła tę kropelkę paliwa, której potrzebowałem owego ranka, aby uruchomić maszynę. Ponadto, jak sobie wówczas przypomniałem, w innym fragmencie rękopisu Hamish opowiadał o wizycie w jakimś zakątku puszczy, gdzie obserwował zwierzęta. Może chodziło o tę właśnie noc w Treetops i może dzięki wnikliwej lekturze uda mi się natrafić na nitkę, która poprowadzi mnie przez labirynt.

Zmęczony oczekiwaniem na Delseya, z drapieżnym instynktem pobrzękującym łańcuchami w lochach mej ludzkiej powłoki rzuciłem

się, aby zainkasować należne mi śniadanie, gdy nagle przemknęło mi przez głowę coś, czego do tej pory nie brałem pod uwagę: jeśli na skutek jakiegoś fatalnego zbiegu okoliczności Delsey umarłby we śnie, jak ten angielski król, tylko dwie osoby mogły odnaleźć jego martwe ciało - pokojówka i ja, i poczuwałem się do odpowiedzialności, by zaoszczędzić biednej kobiecie tego makabrycznego przeżycia. Doszedłem do wniosku, że powinienem pukać do jego drzwi każdego ranka przed zejściem na śniadanie i że powinienem to zrobić w tej właśnie chwili, natychmiast. Odstawiłem spoczywający już na mojej dłoni talerz i nie troszcząc się o rzeczy pozostawione na stole, wypadłem z restauracji. Korytarzem przechodził *bellboy*, którego w tym kinematograficznym zamieszaniu można było wziąć za postać z filmu. Wyłącznie ciekawości wzbudzonej jego ubiorem - który przecież nie był niczym innym jak *attrezzo* spreparowanej atmosfery - zawdzięczam to, że odkryłem na obnoszonej przez niego tabliczce swoje nazwisko. Zidentyfikowałem się, a on w zamian udzielił mi informacji, że w recepcji czeka na mnie faks. Mónica! Przeskakując przez kable i skrzynki dopadłem hotelowej lady, gdzie wręczono mi kopertę, którą otworzyłem bez sekundy zwłoki. Nie liczyłem na to, że otrzymam namacalny dowód głoszący pochwałę naszego związku lub rozpraszający moje wątpliwości względem adonisa, wierzyłem jednakże w jakąś chytrą sugestię, która pomogłaby mi w poszukiwaniach. Nie sprawiła mi zawodu. W nagłówku napisała wielkimi literami:

Z CAŁYM SZACUNKIEM..
I WY DWAJ UWAŻACIE SIĘ ZA DZIENNIKARZY?
ZAPOMNIELIŚCIE O CZWARTEJ WŁADZY?
BUZIAKI W CZYRAKI

Poniżej zamieściła kserokopię strony gazety z zamierzchłej epoki, na której widniał afisz zatytułowany „WANTED” ze zdjęciem jakiegoś ponurego osobnika, opisem jego wyczynów i ofertą rekompensaty za jego schwytanie. Powinniśmy zamieścić ogłoszenie w gazecie, no jasne! Jak mogłem na to nie wpaść? Hamish z pewnością czytał gazety, a jeśli nie on, czytał je pewnie ktoś z jego otoczenia!

Kopnąłem się w czoło piętą dłoni i ucałowałem faks, który nie pachniał Mónica, jedynie papierem.

Hotelowy hol pękał w szwach pod naporem gości *check in*, gości *check out* oraz chmary stworów z planety przemysłu filmowego i w tej sytuacji recepcjoniści okopali się za kontuarem niczym Butch Cassidy i The Sundance Kid w obliczu ataku boliwijskiego wojska. Uznałem, że nie jest to najlepszy moment na redagowanie odpowiedzi ziejącej wyrzutami i pytaniami. Odwróciłem kartkę na drugą stronę, skreśliłem zamaszyste „DZIĘKUJĘ!”, po którym następował nasz wielokropek, i oddałem ją do wysłania. Spytałem recepcjonistę, czy można nadać telegram, na co wręczył mi blankiet do wypełnienia. Namacałem w kieszeni świstek papieru z adresem Winslowa Macombera, dawnego reportera „The Standard” o nazwisku identycznym z producentem kielbasy. Wpisałem swoje i jego dane oraz następującą wiadomość:

SZ. P. WINSLOW MACOMBER. PRZEBYWAM W KENII I POSZUKUJĘ P. HAMISHA SUTHERLANDA. BYŁ MOIM DZIADKIEM I REPORTEREM W CZASIE POWSTANIA MAU-MAU. WIEM, ŻE PRACOWAŁ PAN W CZASIE WOJNY DLA „STANDARD”, WIĘC MOŻE GO PAN POZNAĆ. ZWRACAM SIĘ DO PANA Z PROŚBĄ O POMOC. KAŻDA INFO BARDZO CENNA. JEŚLI TO MOŻLIWE, PROSZĘ ODPOWIEDZIEĆ VIA FAX NA NAZWISKO CURRO MENCIA. HOTEL NORFOLK. NAIROBI. NUMER FAKSU (...). POZDRAWIAM.

Oddawszy blankiet, smyrnąłem z holu zaanektowanego przez grasujące hordy niejako przez ejakulację, jak wyciśnięta z tubki pasta do zębów i podążyłem w stronę apartamentu Delseya. Klaszorna cisza panująca na korytarzu przynosiła ulgę po pandemonium westybulu. Słychać było tylko odgłos moich wytłumionych kroków. W zasięgu wzroku nie było nikogo, ani gości, ani personelu sprzątającego. Musnąłem delikatnie drzwi kostkami palców i odczekałem kilka sekund. Bez odpowiedzi. Zapukałem ponownie, tym razem bardziej stanowczo, i powtórzyłem tę samą operację jeszcze dwukrotnie. Nic. Przytknąłem ucho do drzwi i wstrzymałem oddech, usiłując złowić jakiś hałas, świst, chrzęst, skrzyp, bzyk, mlask, gwizd, plusk, gulgot, charkot, cokolwiek. Lecz jedynym

słyszalnym dźwiękiem był jedwabisty szmer ciszy, ciszy zwiastującej śmierć! Ogarnęła mnie panika i zacząłem walić pięścią w drzwi, drugą ręką szarpiąc za klamkę w przód i w tył, krzyząc „DELSEY! DELSEY!”. Z pokoju obok wyłoniło się oblicze ziejące potępieniem i zaraz zniknęło. Zdesperowany rozglądałem się na wszystkie strony, wyglądając kogoś z personelu, kto posiadałby zapasowy klucz i o władnięty trwogą tamującą mi oddech zbiegłem schodami na dół pojmany w sidła obłądu, gotowy zażądać w recepcji wyważenia drzwi, jeśli to okazało się konieczne. Szarpany kleszczami przeżenienia, wyobrażając sobie trupa Delseya lodowaciejącego w łóżku oraz późniejsze, niewyobrażalne zamieszanie, w ramach którego ładowałem w areszcie prewencyjnym w oczekiwaniu na wyjaśnienie przyczyn śmierci i nurkującego w jednej z tych zalanych wodą cel Nyayo House, o których opowiadał mi Ken, wpadłem do restauracji, aby zabrać pozostawione na stole rzeczy przed złożeniem w recepcji meldunku o feralnym wydarzeniu, chwiejąc się między stołami, jakby przestrzeń stała się zbyt ciasna dla mojej niedającej się opanować histerycznej drżączki.

I wtedy go zobaczyłem. Siedział z beztróskim spokojem w sali restauracyjnej, nie przy stole wybranym przez mnie, gdzieżby tam, ale przy innym, przygotowanym dla sześciu stolowników, przeglądając gazetę i tłumiąc dłonią znudzone ziewnięcie. Sflaczałem raptem, jakby ktoś wyszarpnął ze mnie zatyczkę, opadłem na jakieś krzesło, dostrzegając cztery zmarszczone czoła zwrócone w moją stronę, należące do dwóch par zajmujących miejsce przy stole, do którego dosiadłem się w tak imponującym stylu. Wstałem, zgarnąłem swoje rzeczy z drugiego stołu i dołączyłem do Delseya. Wołałem przemilczeć hipotezę o jego śmierci, postanawiając mężnie stawić czoło rozpoczynającemu się dniowi w nadziei, że będzie w lepszym nastroju.

- Dzień dobry, panie baronie!
- Curro, dzień dobry. Cóż to za harmider?
- Kręcą jakiś film. Jak się panu dzisiaj spało?
- Nie najgorzej. Czuję się już troszeczkę lepiej, co w moim wieku można uznać za wydarzenie godne podkreślenia, albowiem jest to stan różny od typowego. Wnoszę, iż mój organizm zaczyna się aklimatyzować w dzikiej Afryce.

Dzika Afryka! Od naszego przyjazdu do Nairobi Delsey nie oddalił się od pięciogwiazdkowego hotelu na odległość większą niż pięćdziesiąt metrów.

- Croissant, ser i pasztet, jak zawsze?

- Bardzo proszę.

Branża filmowa obstawiła szczelnie szwedzki bufet i ledwie zdołałem precyzyjnie rękę przez zbity ludzki mur. Uciulałem śniadanie Delseya, potem swoje i wróciłem do stołu na sześć osób, czując na sobie kłujące spojrzenia grupki klientów przeczesujących salę w poszukiwaniu skrawka wolnego miejsca, gdzie mogliby postawić hojnie załadowane talerze.

- Mam nowe wieści. Nic wielkiego, ale są to małe kroczki we właściwym kierunku.

- Czy twoje wczorajsze spotkania były owocne?

- Ken, dziennikarz, powiedział, że w żadnym rejestrze nie zdołał odnaleźć nikogo o nazwisku Hamish Sutherland. A przy okazji, czy wie pan, jak miał na imię ojciec Hamisha?

- Tak, Robert.

- No właśnie. Na liście pionierów pojawia się nazwisko pewnego kapitana, Jamesa Sutherlanda, który, biorąc pod uwagę wiek, mógł być ojcem Hamisha, ale od razu wydało mi się mało prawdopodobne, że to może chodzić o niego. Nie zgadzały się daty. Ów kapitan zamieszkał Afryce w 1903.

- Niemożliwe. To nie on. Nigdy nie zaciągnął się w szeregi armii. Poza tym Hamish i jego ojciec odbyli podróż do Afryki około roku 1925.

- Otóż to. - Wydało mi się idiotyzmem karmić go tą ułudą jako jedną z możliwości, lecz pomyślałem, że należy pokazać, że śledz two, choć nie widać postępów, utrzymuje się przy życiu. - Ale jest jeszcze coś. Ken natknął się na nazwisko angielskiego reportera, który relacjonował dla swojej gazety przebieg powstania Mau-Mau. Po uzyskaniu przez Kenię niepodległości wrócił do Anglii, zostawiając ówczesny adres kontaktowy. Kto wie, może znał Hamisha. Reporterzy wojenni są z reguły bardzo zżyci. Dzisiaj rano wysłałem do niego telegram.

- No cóż, to zawsze coś.

- I na koniec, prawdziwa perełka. Mónica przysłała faks, w którym proponuje nową strategię. Zabieg tak oczywisty i prosty, że nie mogę uwierzyć, że sami nie wpadliśmy na to wcześniej. Zamieścimy ogłoszenie w prasie!

- Znakomity pomysł. - Po raz pierwszy oderwał wzrok od talerza i spojrzał na mnie uważnie. Wydało mi się, że dostrzegam w jego zmrużonych oczach niekłamane zainteresowanie. - Tak, to naprawdę znakomity pomysł! Hamish pił jak gąbka ze źródeł aktualności! Wszehmocna prasa na naszych usługach! Połączymy się z naszym zagubionym przyjacielem niewidzialną nicią komunikacji! Curro, twoja młoda przyjaciółka to niezwykle błyskotliwa osobka!

- Jedna tylko uwaga, Delsey. To nie będzie tania zabawa.

- Och, to nie problem! Z najwyższą przyjemnością pokryję koszt. Gdybyż przeszkodą była jedynie trywialna kwestia pieniędzy, w tym oto momencie Hamish spożywałby z nami śniadanie.

- Świetnie! A zatem...

- Proszę wybaczyć, przyjaciele. - Wtem wyrosła przed nami jakaś postać. Obawiałem się reprimendy za puste miejsca przy naszym stole, gdy wokół kłębiły się padające z nóg tłumy. - Chłopcy z recepcji dali mi znać, że panowie mnie szukają. Nazywam się Dorian MacAllister. - Wraz z Delseyem spojrzeliśmy na niego, potem na siebie i ponownie na niego, unosząc w górę ramiona. Nieznajomy ciągnął dalej: - Ale odkąd odkryłem w sobie zdolność posługiwania się rozumem i postanowiłem obejść się bez niego, wszyscy nazywają mnie Ian.

Na dźwięk tego imienia poderwałem się z krzesła i uściśnięm mu serdecznie rękę.

- Ian, to pan, co za radość! Tak, czekamy na pana od kilku dni! Pozwoli pan, że mu przedstawię, baron Dominique-Emmanuel Le Sciellour et Yvrenogeu, znany jako Delsey. Ja nazywam się Francisco Jose Mencia, ale wszyscy mówią mi Curro. A więc, jak pan widzi, remis.

- Tak, nasi rodzice dają nam imiona, a my zamieniamy je w... onomatopeje. Czy pozwolą panowie, że się dosiadę i zjem w ich towarzystwie śniadanie? Mam tak pusty żołądek, że gotowy jest wessać mi mózg przez przełyk.

- Oczywiście, serdecznie zapraszamy - odparłem.

- Dziękuję, towarzysze.

Patrzyłem na niego, gdy oddalał się w stronę bufetu. Wyglądał na nieco młodszego od Delseya. Był to osobnik tak chudy, że jego koszula w kwiaty i lniane spodnie zdawały się wisieć nie na człowieku, ale na wieszaku, łopocząc przy każdym kroku jak od podmuchów wiatru. Być może dla powiększenia kubatury swojej postaci nosił długie włosy i brodę w kolorze wełnistej bieli, jakby ktoś pokroił w pionowe plastry św. Mikołaja i on był plastrem środkowym, tym, któremu trafiła się głowa. Doszliśmy do wniosku, że jego ekstremalna szczupłość nie mogła wynikać z niedożywienia, gdy wrócił do stołu z talerzem, na którym dymiła góra jajecznicy zwieńczona kompletnym wieprzkiem rozparcelowanym na kiełbasę i boczek.

- Jak minęła panu podróż? - Zagailem, posiłkując się zwyczajowymi szablonami form grzecznościowych.

- Dobrze, a minęłaby jeszcze lepiej, gdyby nie te przeklęte drogi z piekła rodem.

- Drogi? To nie był pan w Nowej Zelandii?

- Nie, byłem w Malindi, na wybrzeżu, w odwiedzinach u przyjaciół. W hotelu mówię zawsze, że wyjeżdżam do Nowej Zelandii, żeby nikt nie zawracał mi głowy, kiedy opuszczam Nairobi. Słucham. - Wtłoczył do ust szufłę jajek i wieprza. Zauważyłem, że jego przedramiona wytatuowane były plemiennymi rysunkami maoryskimi.

- Czego panowie sobie życzą?

- Szukamy w Kenii pewnej osoby. Mojego dziadka i przyjaciela Delseya ze szkoły średniej. Osiedlił się tutaj...

- Ruidoso - przerwał mi, kalecząc niemożliwie hiszpański.

- Słucham?

- Ruidoso, w Nowym Meksyku. Pan jest Hiszpanem, prawda?

- Tak.

- Czy słowo „Ruidoso” coś znaczy?

- Tak, znaczy *noisy*.

- *Noisy*? - Podniósł głowę znad talerza z nieukrywany niesmakiem. - Niech to szlag. To miejsce, gdzie chciałbym osiąść, gdy wycofam się z interesu. Ruidoso, w Nowym Meksyku. Słyszałem cuda o tej okolicy. Konie. Świetne okazy. Chcę tam pojechać i malo-

wać konie, aż wyciągnę kopyta, ale nie wiem, czy chciałbym, aby pochowano mnie w „hałaśliwym” miejscu.

- No cóż, jeśli jest jakieś ciche miejsce w Ruidoso, to z pewnością cią jest nim cmentarz.

Znów podniósł głowę znad talerza.

- W istocie, nie brak panu słuszności, przyjacielu. „Witamy na cichym cmentarzu w Ruidoso”. Ha, ha!

Delesy patrzył na nas, nie rozumując sensu tych bredni. Wyczułem, że sposobi się, by zabrać głos, ścisnąłem więc jego ramię, aby się powstrzymał. Makena opisała mi lana jako faceta zabawnego i towarzyskiego, wydawał się wszelako przejawiać typową nieufność, jaką niektórzy starzy emigranci okazują turystom, i wolałem uniknąć sytuacji, w której niecierpliwość Delseya mogłaby jakimś pochopnym zdaniem wystraszyć nam tę długo oczekiwaną zdobycz.

- To z pewnością piękne miejsce. - Postanowiłem pociągnąć temat. - Czy daleko stamtąd do gór Sangre de Cristo?

- Kawalek, góry są bardziej na północ. Zna pan tę okolicę?

- Szczerze mówiąc, nie znam. Ale czytałem o niej w pewnej serii opowiadań o Dzikim Zachodzie, które...

- Zna pan „Sangre de Cristo”? Czytał pan Quinceya Underwooda?

- Upuścił sztucę i podsunął mi pod nos swoją twarz.

- A jakże, czytałem, przepadam za nim!

- Na sakiewkę Judasza! Ma pan przy sobie jakieś jego książki? Przywiózł pan choćby jedną? - Nagle jego wełniste oblicze znikło za dwójgim olbrzymich, błagalnych oczu.

- Tak, mam kilka w pokoju.

- Czy mógłby mi pan wypożyczyć jakiś egzemplarz? Proszę. Błagam! Tutaj są nieosiągalne, a pan jest pierwszą znaną mi w Kenii osobą, która je czytała!

- Tak, oczywiście, z wielką przyjemnością. Zajrzę później do pokoju i przyniosę panu któryś tomik. Mam najnowszy, tegoroczny. Nazywa się „Curse of the Damned”*.

- Najnowszy! To byczo! Dziękuję, dziękuję, przyjacielu! - Wymiętosił mi dłoń w swoich rękach i od tej chwili Delsey i ja staliśmy się

„Przekleństwo wyklętych”

dla niego czymś więcej niżli tylko dwoma komponentami zastawy stołowej. - Uwielbiam tego sukinsyna, tego zatwardziałego samotnika ustanawiającego własne prawo. - Byłem zaskoczony, że dwóch osobników tak do siebie niepodobnych, jak Ian i Celestino Posada mogło dzielić upodobania literackie, tak różnie zarazem oceniając książkowego bohatera. Ze mną było nas trzech. - Słucham, co mogę dla panów zrobić, moi drodzy przyjaciele? Mówili panowie, że kogoś poszukują. Jak się nazywa zguba?

- Hamish Sutherland - wtrącił się Delsey. - Rudowłosy Szkot o wyglądzie highlandera barbarzyńcy, mniej więcej w moim wieku.

- Hm, rudowłosy Szkot nie wyróżnia się z tłumu swoich pobratymców, poznałem ich już tak wielu... Niech pomyślę... Hamish... Znam Hamisha Granta... Nie, do kata, nie kojarzę żadnego Hamisha Sutherlanda. Może turysta? Co roku przewija się tutaj tysiące faceków.

- Nie, nie jest turystą - sprostowałem. - Według naszych informacji mieszka już w Kenii od sześćdziesięciu lat.

- Do licha. W takim razie powinienem był go poznać. Mam dobrą pamięć do ludzi. Nie pamiętam jednak, aby to nazwisko obito mi się kiedykolwiek o uszy.

- Przypuszczamy, że poślubił farmerkę o imieniu Cordelia.

- Cordelia... Cordelia... Cholera, to imię rzeczywiście jest mi znajome, ale skąd...

Nagle, jakby coś sobie przypomniał, wyciągnął szyję, kręcąc na wszystkie strony głową. Bez słowa wstał i zagadnął jakiegoś mężczyznę nakładającego sobie jedzenie w bufecie. Wymieniliśmy z Delseyem spojrzenia, czekając w napięciu na rozwój wypadków. Rozmawiali przez kilka sekund, po czym mężczyzna przytaknął słowom Iana wskazującego mu nasz stół. Obydwaj popatrzyli w naszym kierunku i podeszli.

- Chłopcy, odnalazłem waszą Cordelię. Przedstawiam panom Trevora Flammeego, jej zięcia. Trevor, oto panowie Delsey i Curro.

Wypełniwszy stosowny rytuał prezentacji, mężczyzna przysiadł się ze swoim śniadaniem. Miał około pięćdziesięciu pięciu lat,

młodzieńczy i atletyczny wygląd, siwe włosy zaczesane na bok ze schludnym przedziałkiem.

- Moja teściowa nazywała się Cordelia Blackbourne-Hall. Zmarła pięć lat temu. Jaki jest powód zainteresowania panów jej osobą?

- Panie Flammee - pośpieszyłem z wyjaśnieniami - wraz z moim przyjacielem, baronem Delseyem, poszukujemy mojego dziadka, Szkota o nazwisku Hamish Sutherland, który wyemigrował do Kenii w roku 1931. Gdy osiedlał się w tym kraju, był zaręczony z dziewczyną o imieniu Cordelia, niestety nie znam jej nazwiska. Była właścicielką farmy odziedziczonej po ojcu, którego zabił bawół.

- To by się po części zgadzało. Ojciec teściowej istotnie zmarł od ran zadanych mu przez bawoła, ona zaś była jedynaczką i dziedziczką farmy. Jednak mój teść, którego nie zdołałem poznać, nie był człowiekiem, o którym pan mówi. Nazywał się Anton Hali i był Anglikiem. Tak że...

- A więc może ostatecznie nie ożenił się z nią! - Mój entuzjazm rósł w miarę, jak dostrzegałem pierwsze przebłyski światła dobywające się przez szczelinę w litym murze. W końcu miałem wrażenie, że posuwamy się w jakimś kierunku.

- Pamięta pan, czy pańska teściowa była zaręczona z innym mężczyzną, zanim poślubiła pańskiego teścia? - spytał Delsey.

- Zabił mi pan klina, bo jeśli istnieje coś, w co nie powinienem wątpić, to z pewnością jest to historia - zawahał się Trevor.

- Trevor jest historykiem specjalizującym się w historii Afryki Wschodniej - wyjaśnił Ian. - Udało się nam go właśnie przyszpilić za sprawą diabelskiego zbiegu okoliczności. Współpracuje z chłopcami z filmu. Zapewne zauważyli panowie ten sakramencki młyn. Pewna wytwórnia z Kanady kręci film o życiu kanadyjskiego podróżnika, który część młodości spędził w Kenii. Trevor doradza im w kwestiach historycznych.

- Tak, czasem łapię się na tym, że gorzej znam historię własnej rodziny niż osobników zmarłych przed pięćdziesięciu laty, których nigdy osobiście nie poznałem. Ale istotnie to, o czym pan mówi, brzmi znajomo. Słyszałem jakąś rodzinną legendę o narzeczoną teściowej, który ją zostawił, nie wiem, czy dla innej kobiety, w chwili gdy małżeństwo było już niemal przesądzone. Była tam

mowa o jakimś prezencie, który od niej otrzymał... Ale nic więcej nie pamiętam. Myśli pan, że mogło chodzić o pańskiego dziadka?

- Jestem tego pewny! Panie Flammee, w jaki sposób mogli byśmy poznać więcej szczegółów tej historii? To bardzo dla nas ważne. - Zerknąłem na Delseya. Po raz pierwszy od wielu dni rysy jego twarzy były napięte z emocji. - Pomogłoby nam to w uzyskaniu odpowiedzi na pytanie, co się z nim stało. Jest pan pierwszym wyraźnym tropem, na jaki udaje się nam natrafić od czasu naszego przyjazdu.

- Myślę, że powinni panowie porozmawiać z moją żoną. Być może reszta rodziny również mogłaby wnieść coś do sprawy. Proszę przyjechać do nas na farmę na kilka dni i tam będziemy mogli porozmawiać o wszystkim.

- To bardzo miłe z pańskiej strony, panie Flammee, ale nie chcemy libyśmy sprawiać kłopotu...

- To żaden kłopot, chłopcze - włączył się Ian. - Proszę nie odrzucać tego zaproszenia. To w Kenii bardzo powszechny zwyczaj. Tutaj ludzie w naturalny sposób zapraszają się nawzajem. To wyraz miejscowej gościnności.

- Oczywiście, z przyjemnością będziemy gościć panów - mówił dalej Trevor. - Jutro jestem jeszcze na planie, ale pojutrze wracam na farmę. Mogliby panowie zabrać się ze mną i przy okazji odpocząć tam kilka dni. To cudowne miejsce, przekonacie się zresztą sami.

Mój stary druh *bellboy* wynurzył się z tłumu okupującego restaurację, nie zadając sobie nawet trudu, by unosić w górę tablicę. Wziął azymut prosto na mnie i szepnął mi do ucha, że jest do mnie telefon. Przeprosiłem stołowników i klucząc w chaosie panującym na korytarzach, dobrnąłem do recepcji. Ucieszyłem się, usłyszawszy z drugiej strony głos Kena.

- Curro?

- Ken, jak się masz!

- Bajka, stary. Pociągam za sznurki opinii publicznej, jak zwykle. I podczas tego sympatycznego zajęcia dotarłem do informacji, która powali cię na kolana. Co mi dasz za świeżuchnego newsa o paniace Cordelii? - Znów wymówił to imię gardłowym głosem.

- Masz na myśli panią Cordelię Blackbourne-Hall? - odparłem, naśladowując jego ton.

- Tę samą. Widzę, że mnie uprzedziłeś.

- Właśnie jem śniadanie z jej zięciem. Wszystko wskazuje na to, że dziadek nie ożenił się z Cordelią, tak więc na razie nic jeszcze się nie wyjaśniło. Ale i tak odnotowaliśmy wielki postęp, ponieważ słyszał kiedyś o historii mężczyzny zaręczonego z jego teściową, której ostatecznie nie poślubił. To znaczy, że słyszał o moim dziadku! Po raz pierwszy podczas pobytu w Kenii zaczynam wierzyć, że Hamish Sutherland nie jest wytworem mojej wyobraźni! Ale na tym nie koniec, zaprosił nas bowiem do siebie na farmę, gdzie będziemy mogli porozmawiać z jego rodziną. Może ktoś z jego krewnych zna więcej szczegółów. Jedziemy tam pojutrze. Zadzwoń do ciebie po powrocie z Nyeri i wszystko ci opowiem.

- I tutaj się przeliczyłeś, stary, ponieważ farma nie znajduje się w Nyeri, tylko między Naivasha i Gilgil, w Rift Valley.

- Jak to? Chwileczkę... no tak, racja! Uparliśmy się, że farma znajduje się w Nyeri tylko dlatego, że dziadek pisał listy, w których Nyeri pojawiała się w adresie nadawcy. To daleko od Nyeri?

- W linii prostej niedaleko. Rzecz w tym, że Nyeri i Gilgil podzielone są górami Aberdare, które my nazywamy Nyandarua. Szosa okrąży góry i ta wycieczka to grubsza wyprawa.

- Bardzo dziękuję, Ken, porządny z ciebie gość i kolega po fachu. Właśnie, jest jeszcze coś, o co chciałbym cię zapytać. Wpadliśmy na pomysł, żeby zamieścić w gazecie ogłoszenie informujące o poszu kiwaniach dziadka. Być może on albo jakiś jego znajomy przeczyta gazetę i przy okazji natknie się na ogłoszenie.

- W porządku, stary, tylko to dość słono kosztuje.

- Wiem, ale to nie problem. Delsey, przyjaciel dziadka, który ze mną podróżuje, zaproponował, że pokryje to z własnej kieszeni. On nie ma problemów z płynnością finansową.

- Nie ma sprawy, ale tak kombinuję, że może mógłbym to przełożyć w innej formie, na przykład jako wiadomość, gdybyś podrzucił mi jakiś news. Wtedy miałbyś ogłoszenie za friko. Nie wiem, pożyj jakiś znak drogowy, czy co, jak ta hiena, mógłbym wtedy napisać, że niejaki Curro w obliczu bezowocnych poszukiwań swojego

dziadka, Hamisha Sutherlanda, wrąbał znak drogowy, dając w ten sposób upust swojej bezsilności i tak dalej, i temu podobne.

- Dobry pomysł. Dam ci znać, kiedy zgłodnieję. Na razie jednak myślę, że nie mamy innego wyjścia jak po bożemu zapłacić. Mógłbyś się tym zająć?

- Jasne, stary, napisz mi tekst, a ja to popchnę dalej. Zrobimy prostą makietę i puścimy w którymś numerze. Na pół kolumny wystarczy?

- W sam raz, wielkie dzięki. Aha, jeszcze jedno. Zdaje się, że jutro nie mamy nic do roboty, a w hotelu panoszy się ekipa filmowa, która wyróciła wszystko do góry nogami. Co byś mi polecił, żeby spędzić przyjemnie czas?

- Świetnie się składa, bo właśnie jutro mam wolne, mogę ci zatem polecić, żebyś wziął kasę, żarcie, a ja dołożę auto, przewodnika i swoją pękatą mądrość. Co powiesz na małe safari? Jesteś przecież w Kenii, stary.

- Kapitalnie! Powiem: tak. Widzimy się jutro.

Wróciłem do restauracji, gdzie poinformowano mnie, że wszystkie szczegóły naszej podróży na farmę Trevora zostały już dograne. Mieliśmy zabrać rzeczy na dwa, trzy dni, zostawiając resztę dobytku w hotelu. Trevor miał nas później odwiedzić do Nairobi, jako że również wracał do miasta. Pożegnawszy się z łanem i Trevorem, którzy opuścili restaurację, aby rzucić się w odmęty filmowego szaleństwa, opowiedziałem Delseyowi o planie, jaki ułożyliśmy z Kenem na następny dzień. Liczyłem na pozytywną reakcję i nie zawiodłem się. Miał oskomę, jak się wyraził, by nakryć głowę nieco rozległej szym kawałkiem nieba niż to wiszące nad ogrodem hotelu Norfolk. Owego zalanego słońcem poranka na jego wygładzonym obliczu rysował się uśmiech nieobecny w ciągu tych kilku dni, kiedy chmury wyzymały swój balast nad miastem. Kroczył zadowolony westybulem hotelu nasyconym ludzkością i z tego błogostanu wytrącił go dopiero kuksaniec, który zaaplikowała mu jakaś dziewczyna pędząca z mikrofonem zatkniętym na długim jak szyja żyrafy wysięgniku.

- Doprawdy, cóż za nieznośny tumult! - mruknął Delsey. - Łaskawy panie. - Dotknął ramienia jakiegoś korpulentnego osobnika w stroju

z epoki, stojącego tyłem do nas i zwróconego w stronę dekoracji ustawionej w barze. - Czy byłby pan tak uprzejmy powiedzieć mi, do kiedy będzie trwać...?

Zagadnięty jegomość się odwrócił. Był to Ernest Hemingway. To znaczy aktor doskonale ucharakteryzowany na Ernesta Hemingwaya, cechujący się zdumiewającym wprost podobieństwem do pisarza. Delsey osłupiał, ja również.

- Przecież ty jesteś...! - zawołał Delsey.

- Hem...! - chciałem go ubiec.

- Tony Kerak! - przerwał mi Delsey.

- Delsey! - zawołał Ernest Hemingway.

Ku mojemu kompletnemu zaskoczeniu obaj mężczyźni stopili się w gorącym uścisku, śmiejąc się serdecznie i poklepując po plecach. Przeszli na francuski.

- Ale coś ty u diabła zgubił na tym kontynencie? - huknął Hemingway. Od dekoracji ktoś rzucił uciszające „psyt”.

- A co ty tutaj robisz? Nie powiesz mi chyba, że pracujesz w tym filmie! - zareplikował Delsey.

- Oczywiście, że pracuję w tym filmie! To mała rólka, ale ważna, kapujesz. „Człowieka można zniszczyć, ale nie pokonać!”* - zadeklamował, gryząc fajkę, lecz Delsey patrzył na niego, nie rozumiejąc imitacji. - Nie poznajesz mnie? Cholera, a ja myślałem, że dziewczyny od charakteryzacji odwalily kawał porządnej roboty! Hemingway! Ernest Hemingway!

- Wybacz mi, przyjacielu, nie czytałem tego autora. Wiesz, że współczesna literatura nigdy nie była i nie jest przedmiotem mego uwielbienia, przynajmniej dopóty, dopóki klasycy i romantycy użytek robić będą z piór swoich. Uważam jednakowoż, że charakteryzacja jest najwyższej próby.

- To prawda, podpisuję się pod tym obiema rękami - włączyłem się do rozmowy. Hemingway obrzucił mnie pytającym spojrzeniem i Delsey poczuł się w obowiązku dokonać prezentacji.

- Och, wybaczcie, moi drodzy. Curro, przedstawiam ci Tony'ego Keraka, starego aktora i starego przyjaciela. Tony, to jest Curro,

Ernest Hemingway, „Stary człowiek i morze”, przeł. Bronisław Zieliński, PIW, Warszawa 1973 (przyp. tłum.).

nowy przyjaciel i... towarzyszył podróży.

- Tak, rozumiem, ty stary hultaju! Nic się nie zmieniłeś! - Hemingway trącił łokciem Delseya, mrugając do niego porozu miewawczo.

- Nie, to nie tak, ja nie... - Usiłowałem wyjaśnić nieporozumienie, ale żaden mnie nie słuchał. Wspominali swoje ostatnie spotkania.

- Czy to nie było w Cortinie, w 1965, na recitalu Renaty, z tymi... lodowymi, kolorowymi konikami? - zastanawiał się Hemingway.

- Nie, w Prowansji widzieliśmy się w domu Oliviera, pamiętasz? - poprawił Delsey. - Czy to możliwe, byś mógł zapomnieć ów taniec przebierańców, taniec winobrania z winogronami i kolczykami, gdy Stefan ściągnął zasłony, aby nas przyodziać?

- Ha, ha, ha! - zagrział tubalnym śmiechem Hemingway. - Jakże mógłbym o tym zapomnieć! Ciało nasze zbyt wątłe już, by sprostać podobnym ekscesom, nieprawdaż?

- Powiedziałbym, że twemu ciału do wątlności daleko, stary druho - zaopiniował Delsey, klepiąc przyjaciela po brzuchu. Hemingway skwitował uwagę chichotem. - Zwątleniu natomiast uległo nasze życie i nie mamy już czasu, by zapominać, tak więc teraz dedykuję moje dni jedynie rzeczom, o których warto pamiętać.

Uśmiech Hemingwaya przygasł. W tej samej chwili ktoś upomniał się o jego osobę i musieli się pożegnać.

- Będziesz tu jeszcze kilka dni? - spytał aktor na odchodne.

- Z całą pewnością. Jeszcze się zobaczymy.

Ruszyliśmy w dalszą drogę, przecinając hol. Spoglądałem kątem oka na Delseya emanującego niezwykłą pogodą ducha. Kiedy przechodziliśmy obok głównego wejścia, skrzył w stronę drzwi i wyszedł przed hotel. Podążyłem za nim. Wpatrywał się w coś na ulicy z niewzruszonym obliczem, lecz nie potrafiłem odgadnąć, co to było.

- Stało się coś, Delsey?

- Czyżbyś tego nie dostrzegął? - odparł. - Cóż za pyszny afrykański poranek!

Zniszczyć i pokonać

Filmowe hufce przesunęły front swojej fanfaronady do ogrodu, westybul odzyskał dawny wdzięk, łan odzyskał swój zakątek, my zaś odzyskaliśmy bar. Rozkoszowaliśmy się blaskiem słonecznego światła na tarasie, czekając na Kena, nie zapomniawszy wręczyć uprzednio ostatniego tomiku przygód Sangre de Cristo łanowi, który przyjął go tak, jak Mojżesz przyjmował kamienne tablice, niemal na kolanach, niezdolny zwerbalizować niepomiernego znaczenia tego niesłychanego daru w jego dotychczasowej egzystencji. Punkt kulminacyjny nastąpił w chwili, gdy powiedziałem, że może go zatrzymać na własność, że kupię sobie nowy egzemplarz po powrocie do Hiszpanii i było to zdaje się wówczas, gdy zgrzybiałe badyle jego kończyn skrzyły się w geście rozkoszy tak bliskiej orgazmowi, na jaką tylko mogło pozwolić sobie jego stare serce.

Ken spóźnił się, co wykorzystałem, aby zadzwonić z recepcji do matki. Nie rozmawiałem z nią od czasu wyjazdu do Kenii. W istocie rzeczy nie kontaktowałem się z nikim z moich bliskich, nie licząc ekstrawaganckiej i obłądnej wymiany faksów z Mónicą. Tamtego ranka czekał na mnie nowy faks, tym razem jednak była to odpowiedź na telegram wysłany do Winsłowa Macombera, dawnego reportera „Standardu”. Wiadomość napisana była odręcznie i zawierała następującą treść:

Szanowny Panie Mencia

Niestety mój ojciec, Winslow Macomber, zmarł kilka lat temu. Obawiam się, że nie posiadam informacji, o jaką Pan prosi, ale mam zdjęcie ojca w otoczeniu kolegów z czasów wojny Mau-Mau. Nie wiem, kim są pozostali, może więc Pański dziadek znajduje się wśród nich. Niestety fotografia jest w bardzo złym stanie i nie nadaje się do wysłania faksem. Zamówiłam kopię, którą wyślę Panu na adres hotelu Norfolk, gdy będzie gotowa. Mam nadzieję, że będzie Panu pomocna.

Pozdrawiam,

DANA MACOMBER

Nie była to wiadomość z tych otwierających przestronne drogi prowadzące prosto do celu, ale zawsze to jedna kostka brukowa więcej. Nawet gdyby Hamish widniał na tym zdjęciu, powątpiewałem, czy fizjonomie kilku niezidentyfikowanych osobników mogłyby mi w czymś pomóc. Mimo to sama możliwość posiadania fotograficznego dowodu na pobyt Hamisha w Kenii i pokazania go pytanym o niego osobom dodawała mi otuchy.

Zadzwoiłem do matki do pracy i po kilku sekundach usłyszałem jej głos.

- Mama?
- Synku, co za niepodzianka! Nareszcie postanowiłeś dać znak życia! Gdzie jesteś? Jak się macie?
- Jesteśmy w Nairobi, mamó. W hotelu Norfolk. Mamy się znakomicie.
- Odnaleźliście dziadka?
- Nie, mamó. Okazuje się, że to nie takie łatwe, ale jesteśmy na dobrej drodze. U was wszystko w porządku?
- W porządku, po staremu, nic się nie zmieniło. Powiedz, czy Kenia to ładny kraj?
- Nie wiem, mamó. Jeszcze jej nie widziałem. Na pewno musi gdzieś tu być, ale przypuszczam, że za rogatekami tego miasta.
- A co z obrazem i Lux Domini? Masz jakieś wieści?
- Nic nowego. Wiesz, że podpisałem z właścicielką wstępną umowę i wpłaciłem zaliczkę. Mam sześć miesięcy na kupienie domu.

Obraz jest w rękach restauratora, znajomego Delseya, a sprzedażą zajmie się jego marszand, człowiek zaufany i prawdziwy ekspert w swoim fachu. Przypuszczam, że płótno zostanie wystawione na aukcji w jakiejś galerii, ale otrzymałem zapewnienie, że mogę być spokojny. To malarz, który osiąga wysokie notowania w Anglii, a ten obraz jest dziełem szczególnym, nieujęty w katalogu, jako że przez wiele lat uważano je za zaginione. Tak że zagwarantowano mi bardzo dobrą cenę. Z tego, co wiem, będzie to kwota wystarczająca, żeby kupić dom i przywrócić go do pierwotnego stanu. Zobaczysz, mamó, to będzie piękne, jakbyśmy wrócili w tamte czasy. Jestem przekonany, że babcia Uke pragnęłaby, żeby tak właśnie się stało. A co u taty, poszedł wreszcie po rozum do głowy?

- Curro, on zawsze twierdził, że możesz zrobić z tymi pieniędzmi, co tylko zechcesz. Ty znalazłeś obraz, więc należy do ciebie. Gdyby nie ty, dostałby się tej pani albo przepadł pogrzebany w ruinach. My osiągnęliśmy już cel, jaki sobie założyliśmy, sprzedając dom, i decyzja należy wyłącznie do ciebie. Ale wiesz przecież, że ojciec jest człowiekiem pragmatycznym i wołałby, żebyś spożytkował te pieniądze w inny sposób, zapewnił sobie przyszłość, skończył studia podyplomowe, może założył własną firmę, sam wiesz lepiej.

- Własną firmę? Gazetę?

- Jedną z tych... agencji komunikacji społecznej czy małą wytwórnię pracującą dla telewizji, bo ja wiem.

- Mamó, ja jestem zwierzęciem prasowym. Potrzebuję jak tlenu kajdan na kostkach każdej nocy i tuszu płamiącego mi co rano palce.

- I nie będzie ci tego wszystkiego brakować po powrocie?

- Nie wiem. Być może.

Każda bezstronna ława przysięgłych uznałaby jednogłośnie, że porzucenie satysfakcjonującej i dobrze rokującej na przyszłość pracy dla urojonych, mglistych poszukiwań zasługuje na werdykt orzekający o winie. W tej sytuacji pogodziłem się, że przyjmę z pokorą stosowną karę, w wypadku gdybym miał wrócić do domu z pustymi rękami bez wizerunku Hamisha, na który mógłbym patrzeć, lub z wizerunkiem mrocznej wersji Hamisha lekkomyślnego, próżniaka i człowieka obojętnego, który nie chciał się ze mną spotkać

i unikał mojego uścisku. Taki był układ. Takie było ryzyko mojego zakładu.

Odebrałem zamówiony wcześniej piknikowy prowiant i wróciłem do Delseya, na taras baru Delamere. Baron tryskał tego ranka wyśmienitym humorem. Wstał, nucąc „L'Africaine” Meyerbeera i zjadł z apetytem śniadanie. Z jego ust ulotnił się ów grymas towarzyszący mu w poprzednich dniach, zdający się domagać rodowodu każdego kęsa, jaki miało zaakceptować jego arystokratyczne podniebienie. Kiedy wszedłem na taras, filmowe plemię miało właśnie przerwę w zdjęciach i wokół Delseya zebrała się malownicza grupka gotowa oswobodzić magazyn baru z niebezpiecznych zapasów łatwo palnego dżinu. Byli tam Trevor, Ian, dwaj mężczyźni i dwie kobiety, których nie znałem i których przedstawiono mi jako reżysera, aktorów i kierowniczkę zdjęć i, jakżeby inaczej, barwna postać Hemingwaya-Keraka, który najwyraźniej zjawił się z odrobionymi już lekcjami etylowymi.

Trevor opowiadał anegdoty z Norfolku z czasów, kiedy przed hotelem nie było nic poza dziewiczym bagniskiem, gdzie snuły się hipopotamy i lwy, do których hotelowi goście strzelali z baru, - nie wypuszczając z dłoni szklanek dżinu z tonikiem, kiedy były żołnierz i przemytnik kości słoniowej, Jack Riddell, wjeżdżał konno do restauracji i zeskakiwał z siodła prosto na krzesło przy stole, nie dotykając podłogi, a strzały w sufit były częścią rozrywki umilającej towarzyskie wieczory. Lord Delamere, osadnik, którego imieniem ochrzczono ten lokal i którego zdążyłem już poznać jako bohatera opowiadania o błędnym strusiu, uwielbiał strzelać do butelek na barowym kontuarze, a kiedy się znudził, wychodził przed hotel i kontynuował doskonalenie celności na niedawno zainstalowanych latarniach. Pewnego razu, gdy już zamykano lokal i wspierający bezradnego kelnera dyrektor hotelu ośmielił się na tej podstawie odmówić mu sprzedaży alkoholu, Delamere chwycił go za kłapy i zaciągnąwszy na zaplecze, zamknął w chłodni, w której przechowywano mięso. Trevor opowiadał też, że pisarka Elspeth Huxley ostrzegała o niebezpieczeństwach, jakie pociągał za sobą pobyt w hotelu Norfolk w tygodniu gonitw na hipodromie, kiedy to zachodziła całkiem realna możliwość, że w środku nocy do pokoju hotelo-

wego gościa mógł zostać dokooptowany w trybie awaryjnym włoski baron lub austriacki hrabia ciśnięty do środka przez okno.

Śmiech zamarł zebranemu towarzystwu na ustach, kiedy Trevor zrelacjonował masakrę, jakiej przy spontanicznej współpracy bandziorów zakotwiczonych w barze hotelu Norfolk dopuściła się policja na tłumie zebranych pod hotelem rozwścieczonych Kikuju domagających się uwolnienia Harry'ego Thuku, młodego lidera politycznego aresztowanego za protest przeciwko nadużyciom kolonialnego rządu. Ponury zwrot w sielskiej atmosferze ugruntowała wzmianka Trevora, któremu sekundował Ian, naoczny świadek tamtych wydarzeń, o fatalnym sylwestrze 1980 roku. Tego dnia hotel, należący wówczas do żydowsko-kenijskiej rodziny Błock, został zdewastowany przez wybuch bomby, w wyniku czego śmierć poniosło piętnaście osób, a prawie sto zostało rannych. Zbrodnię przypisano Ludowemu Frontowi Wyzwolenia Palestyny, który miał dokonać zemsty za pomoc, jakiej Kenia udzieliła cztery lata wcześniej Izraelowi w przeprowadzonej przez siły specjalne tego państwa spektakularnej, zakończonej powodzeniem akcji odbicia zakładników żydowskich przetrzymywanych na lotnisku w Entebbe przez palestyńskich terrorystów.

Kiedy opowieść dobiegła końca, niektórzy z obecnych wyrazili zaniepokojenie możliwością powtórzenia się podobnych wydarzeń. Kierowniczką zdjęć wypytywała Iana o chwile grozy, jakich doświadczył tamtego dnia, Trevor zaś odkrywał przed dwoma aktorami i reżyserem znane mu szczegóły dotyczące autorstwa zamachu. Jediną osobą, na której opowieść zdawała się nie robić żadnego wrażenia był Hemingway-Kerak, który z nogami spoczywającymi na krześle i niewidzącym wzrokiem wpijającym się w dal za tarasem sączył z niewzruszonym spokojem dżin z tonikiem. Odkasznawszy, wygłosił wtedy zdanie po francusku, które prawdopodobnie zrozumieliśmy tylko ja i Delsey.

- Każda wystrzelona kula, która nie trafia do celu, krąży jak oszalała w absurdałnej ruletce świata i jeśli któregoś dnia wejdiesz jej w drogę, dałeś dupy, brachu.

Sentencja wydała mi się złowrogo zabawna. W jego francuskim pobrzmiwał egzotyczny kreolski akcent i bardzo mnie to zaciekawiło.

- Tony, skąd pan pochodzi?

- Skąd pochodzę? Delsey, skąd ja pochodzę?

- Sam powinienes to wiedzieć najlepiej. Nie sądzę, abys kiedykolwiek zdradził mi ten sekret - odparł Delsey.

- Jak to, nigdy ci o tym nie mówiłem? - Zdjął gwałtownie nogi z krzesła. - Komuż mam zaufać, aby zachował pamięć o mnie? Któż skreśli moją biografię? Nie pamiętam, skąd pochodzę. Skąd pochodził Hemingway?

- Z Oak Park w Illinois - użyczył swojej wiedzy Trevor.

- Zatem teraz pochodzę z Oak Park w Illinois.

- A pański język ojczysty? - drażyłem dalej. - Pański francuski cechuje swoisty kreolski akcent.

- Mój język ojczysty... - Zastanowił się. - Mówię po angielsku, francusku, niemiecku, włosku, hiszpańsku, portugalsku, holendersku... szwedzku... polsku... turecku... czesku... armeńsku... arabsku... a począwszy od piątego drinka jeszcze dwoma czy trzema językami. Ale szczerze mówiąc, nie pamiętam żadnej matki śpiewającej mi kołysanki w żadnym z nich. Mam natomiast mgliste wspomnienie ojca lejącego mnie w serbsko-chorwackim.

Wszyscy zaśmiali się, oprócz starego aktora.

- Nasz producent mówił mi, że Tony legitymuje się najdziwniejszym paszportem, jaki widział w życiu - rzucił reżyser filmu, brodaty Amerykanin. - Sądzi, że sporządzony jest w tym samym języku, co ów średniowieczny manuskrypt z Yale, o którym wiado mo tylko tyle, że nikt nie ma pojęcia, co może oznaczać.

- Moja wiedza o Tonym pozwala mi domniemywać, że kiedy był niemowlęciem, ktoś porzucił go pod fałszywymi drzwiami nieużywanej dekoracji - dorzucił Delsey. - Dlatego nikt nigdy się o niego nie potknął. Aż razu pewnego, korzystając z okazji, że tam jest, zatrudniono go w filmie.

- I za to wznoszę toast- odpowiedział przywołany. - Za bezpaństwowców, pozbawionych obywatelstwa, i istoty pozaziemskie. - Pociągnął łyk. - I za aktorów, zwłaszcza tych dwudziestoletnich z torsem ze stali podobnym rzymskim napierśnikom. - Opróżnił do końca szklanke. - W tym filmie roi się od staruchów, psiakrew. Chociaż, mmm!, w oddali widzę wspaniałą okaz.

„Wspaniałym okazem” okazał się Ken wchodzący właśnie do hotelu. Zbliżywszy się, popatrzył na zgromadzonych i rozłożył ręce.

- Wszyscy się nie zmieszczą!

- Spokojnie, Ken - wyjaśniłem. - Jedziemy tylko my dwaj. Ci ludzie muszą wracać do pracy.

- Panie, panowie, kontynuujcie swój święty trud, a być może pewnego dnia uda się wam skłonić tych, którzy nigdy jeszcze nie gościli w magicznej przestrzeni kinematografu, by uczynili ten pierwszy krok - zażartował Delsey.

Przedstawiłem Kena zebranych oraz zebranych Kenowi, po czym skierowaliśmy się do wyjścia. Przed hotelem czekał na nas mały, dwudrzwiowy, zgrabny terenowy samochód. Zapakowaliśmy prowiant do bagażnika i Ken otworzył drzwi od strony pasażera. Wcisnąłem się na tylne siedzenie. Ken przyglądał się ubiorowi Delseya, który miał na sobie tego dnia biały jak spod igły garnitur, krawat w prążki i beżowe lakierki.

- Z całym szacunkiem, panie Delsey... to znaczy, baronie. Nie jedziemy może szukać kopalni króla Salomona, ale sądzę, że bardziej stosowny byłby inny rodzaj kreacji, jak by to ująć, powiedzmy... tańszej.

- Wybaczam ci pod warunkiem, że nie ośmielisz się nigdy więcej suponować mi swych stylistycznych gustów. - Obrzucił pełnym dezaprobaty spojrzeniem odzienie Kena: T-shirt na krótki rękaw z podobizną Springsteena, podarte dżinsy i adidas. Ken wzruszył ramionami, zaczekał cierpliwie, aż Delsey usadowi się na siedzeniu, i zamknął za nim drzwi. Potem wskoczył za kierownicę i uruchomił silnik.

- Jedziemy na safari, przyjaciele!

- Jedziemy do parku narodowego? - spytałem.

- Jasne, a myślałeś, że gdzie?

Nacisnął pedał gazu i ruszył z piskiem opon sprzed hotelu. Z głośników The Boss chrypiało, że urodził się jak Ken, aby biec. Frontony budynków kąpały się w słońcu, jakby przez noc całe miasto pokryto warstwą świeżej farby, bugenwillom zaś zdawał się płowieć w strugach światła wściekły fiolet, rzucały bowiem błękitny ton na szare ściany. Musiałem przyznać przed samym sobą, że zaczynało mi się

podobać Nairobi. Napęlniając płuca lekką bryzą wpadającą przez otwartą szybę, przypomniało mi się coś, co Karen Blixen napisała o tej ożywczej lekkości powietrza wyżyny, które jest jak zastrzyk energii i którym oddycha się łatwo, i poczułem się doskonale. Tymczasem Ken wchodził w zakręty na dwóch kołach, usprawiedliwiając się jednocześnie z niezmaconym spokojem za spóźnienie, które składał na karb korków na Uhuru.

- To twój samochód? Niczego sobie - zauważyłem.

- Coś ty, stary, pensja dziennikarza nie pozwala tutaj na takie luksusy. Pożyczył mi go szwagier. Pracuje w agencji organizującej safari.

- Twój szwagier? Jesteś żonaty?

- Gdzie tam, stary, to mąż mojej siostry Lucille. Ja jestem wierny Naomi, he, he.

- Naomi? - zaciekał się Delsey.

- Naomi Campbell, modelka - wyjaśniłem.

- Twoja narzeczona jest modelką? - spytał ponownie Delsey.

- Tak, jest modelką, ale jeszcze nie wie, że jest moją dziewczyną - uściślił Ken. - A pan, panie... baronie, jest pan żonaty?

- Tak, jestem bardzo wesóły. - Delsey posłużył się zrećznie grą angielskich słów *married-ionaty* i merry-wesóły, które brzmią bardzo podobnie. Nie wiem, czy Ken zrozumiał dowcip, bo po angielsku „wesóły” znaczy również *gay*.

Wkrótce nasz mały, terenowy bolid celował w bramę wjazdową Parku Narodowego Nairobi, dokąd wiodła, jak mi się zdawało, ta sama droga, przy której mieściła się restauracja, gdzie jedliśmy kolację z Makeną. Za dnia jednak wrażenie było lepsze i tam, gdzie nocą dostrzegałem rzekome ugory, rozciągały się rodzime łąki, na których wznosiły swoje żagielki młode drzewka. Do parku wjeżdżało się przez urokliwy plac z ogrodem, ze stalowym nosorożcem pośrodku wygrażającym gościom swoim spiczastym rogiem. Plac zamykał w głębi pawilon w stylu brytyjskim kryty czerwoną dachówką, pełniący również funkcję bramy, pod której dachem przejeżdżały pojazdy wizytujących. Zgodnie z ustaleniami zapłaciłem za wstęp. Minąwszy bramę, nasz szofer doznał metamorfozy. Wyłączył radio i wjechał łagodnie na polną drogę, która zapuszczała się w gęsty

las. Spod kół bryzgały kałuże, którymi usiany był szlak kluczący między krzewami. Wstrzymywałem oddech wobec tego nagłego zderzenia z bujną roślinnością pyszniącą się zaledwie kilkadziesiąt metrów od przedmieść Nairobi. Czułem się, jakbym wylądował w głębi kongijskiej puszczy, nie umiając określić ze stuprocentową pewnością, ile z tego, co mnie otacza, jest świątynią dzikiej przyrody, ile zaś scenografią zbudowaną z myślą o turystach. Flora charakteryzowała się tak dosadną dziewiczością, że zdawała się zgoła nierzeczywista. Delsey milczał i uśmiechał się wpatrzony w ścianę puszczy tak, jakby nie podejrzewał istnienia podobnego miejsca. Ni stąd, ni zowąd wyrecytował Wergiliusza, co było dla niego czymś naturalnym w takiej sytuacji albo raczej w każdej sytuacji.

- *Talem intersiluas, inter deserta ferarum reginam Allecto stimulis agit undique Bacchi!**

- Że... że co proszę? - stęknął Ken.

- Kiedyż zobaczymy dzikie bestie? - ciągnął Delsey. - Owe... lwy o dorodnej grzywie wyprostowane dumnie na pagórku, pantery Ojedwabistej agatowej muskulaturze, tygrysy o ostrowłosej brodzie loczach iskrzących w pomroce. O, tam! Gotów bym przysiąc, że wzrok mój wytropił jednego!

- Zwierzęta są tam, gdzie im się podoba, a nie tam, gdzie chcieli by je widzieć ludzie. I proszę nie omieszkac mnie powiadomić, jeśli dostrzeże pan tygrysa, bo byłby to pierwszy przypadek w Afryce, bracie... baronie!

- Teren nie jest tutaj ogrodzony, tak blisko miasta? - spytałem.

- To jest prawdziwy park narodowy, a nie ogród zoologiczny - pouczył mnie pełnym wyrozumiałości tonem Ken. - Fakt, pewna część obszaru oddzielona jest płotem, żeby zwierzęta nie zaglądały ludziom w okna, ale cały południowy kraniec otwarty jest na wielkie sawanny. Jest tam korytarz, przez który wchodzi stada roślinożernych, aby wypasać się tutaj. Można by powiedzieć, że to raczej miasto jest ogrodzone. To my żyjemy w klatce, stary.

„Tak wśród borów, wśród siedzib dzikich zwierząt, wszędy; Królowę gna Allekto bakchowymi szały" - Wergiliusz, „Eneida”, przeł. T. Karłowski, wyd. II zmienione, Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Wrocław 1950 (przyp. tłum.).

- I dlaczego przychodzą paść się tutaj, mając, jak mówisz, sawanny na południu? - zainteresował się Delsey. - Ktoś nimi kieruje?

- Tak, myślę, że... Bóg, jeśli jest pan wierzący. A może instynkt wyczuwający obfitość wody, zgromadzonej tu dzięki tamom zbudowanym na strumieniach w parku, gdyby szukał pan mniej mistycznego uzasadnienia. Nie wiem. O jednym mogę zapewnić - zwierzęta, tak jak ludzie, mają słabość do miejsc przyjemnych. Nikt ich nie zmusza do przebywania tutaj.

- Och, nie wątpię - potwierdził Delsey. - Wnosząc z entuzjazmu wzmacniającego siłę jego głosu zgadywałem, że sposobi się do opowiedzenia jakiejś historii. - Pamiętam pewnego stajennego, olbrzyma o imieniu Martin, który pracował u mego ojca. Miał żrebicę, Martinette, nazwaną tak na jego cześć, nad którą czuwał noc i dzień spod daszku, swego rodzaju łoża, jaką był sobie przysposobił przy drzwiach stajni, z której rozciągał się widok na całą posiadłość. Tam zasiadał Martin, palił swoją fajkę i kontemlował krajobraz, czuwając nad oddechem swojej kłaczki. Pewnego dnia Martinette nie obudziła się jak każdego ranka. Oszalały z paniki Martin zarzucił zwierzę na mocarne ramiona i piechotą zaniósł je do miasteczka. Nie myślcie jednak, że wyczyn ten był dla niego zadaniem przekraczającym ludzką miarę. Z Martinette w objęciach musiał Martin wyglądać na drodzy niczym Famongomadan transportujący w lektyce wyściełanej wata niepozorną myszkę. Lecz oto, gdy zbliżał się już do domostwa weterynarza, Martinette otworzyła jedno oko, wierzgnęła z herkulesowych ramion Martina i popędziła galopem przed siebie. Zrozpaczony Martin ruszył w powrotną drogę i zagłębiwszy się w las, nawoływał Martinette wulkanicznym rykiem Enkeladosa, błakając się przez całą noc i przeczesując bez powodzenia gęstwiny. O brzasku wrócił do stajni, by zastać Martinette śpiącą rozkosznie na jego legowisku pod daszkiem. Martin zawsze był święcie przekonany, że żrebica udała martwą, aby wywabić go z posterunku i przywłaszczyć sobie jego leże. Weterynarz stwierdził później, że Martin przez omyłkę podał zwierzęciu silny środek usypiający zamiast witamin, na co stajenny dowodził, że to sama Martinette zamieniła pigułki z myślą o realizacji chytrego planu. Od tamtej pory kłaczka spała co noc po daszkiem, obok swego oddanego paladyna.

- Tam! Tam coś jest! - Kiedy Delsey kończył swoje opowiadanie, zdało mi się, że dostrzegam jakieś zwierzę w głębokim leśnym cieniu. Ken zatrzymał samochód i poprosił nas o zachowanie ciszy. Z gęstych zarośli patrzyło na nas dwoje nieruchomych, lśniących, badawczych oczu. Była to rudobrzowa antylopa z białymi pręgami na ciele. - To *bushbuck*, jeśli się nie mylę.

- Brawo, przyjacielu! - pochwalił mnie szeptem Ken. - Widzę, że odrobiłeś lekcje.

- Odrabiałem je przez całe lata. Zadał mi je dziadek Hamish.

Antylopa obserwowała nas z tą samą uwagą, z jaką my kontemplowaliśmy jej milczącą obecność. Niewątpliwie była bardziej przyzwyczajona do oglądania istot nam podobnych niż na odwrót. A jednak owa wzrokowa linia między jej głębokimi, czarnymi lustrami i naszymi oczyma zdawała się zarówno dla nas jak i dla niej granicznym mostem, demarkacyjną linią dzielącą nasze różne światy, z których wyłanialiśmy się na krótką chwilę, aby podpatrzeć, co robią istoty z drugiej strony, jak ów jelen patrzący na Hamisha grającego na skrzypcach. To właśnie w tym momencie, nie zaś przekraczając bramę wjazdową parku, nabrałem pewności, że znajduję się na krawędzi innego świata, w miejscu, które nie było niczym innym jak progiem Afryki, o której marzyłem przez wiele lat. Cały kontynent od sawann południa wspomnianych przez Kena do nieprzeniknionego serca gór Konga rysował się dla mnie na pręgach pokrywających sierść antylopy o barwie miedzi i kiedy bryknęła, znikając wśród listowia, to tak, jakby uniosła z sobą cały kontynent nadziany na wierzchołki swych rogów. Zastygłem w bezruchu z rozpaloną myślami głową i rozluźniony, jak w chwilę po odbyciu miłosnego aktu. Widziałem więcej zwierząt w czasie tej podróży, a także wiele innych podczas kolejnych wypraw do Kenii. Nigdy jednak nie zatrze się w mojej pamięci wspomnienie tego pierwszego - wolnego, bojaźliwego i ciekawskiego bushbucka, który znalazł się tam, bo tak mu się podobało, na krawędzi swojego i mojego świata.

Nieco dalej las rzedniał, ustępując z wolna równinie wyścielającej esplanadę miasta wymalowanego na płaskiej kurtynie nieba. Pomędzy dalekimi sylwetami wysokościewców drgających w rozpalonym powietrzu przeplatały się szyje żyraf, zebry, gazyli i elandy

prujące fale trawy, obojętne na grzmiące nad ich głowami odrzutowce. Lotnisko międzynarodowe znajdowało się na wschód od parku, wyjaśnił Ken, i zwierzęta nauczyły się współżyć z tymi ryczącymi ptaszyskami, uznając je za jeszcze jeden gatunek fauny dzielącej z nimi sklepienie ich ogrodu. Nie myliły się zbytnio, twierdził Ken, bo koniec końców w języku suahili używano tego samego słowa, *ndege*, na określenie zarówno samolotu, jak i ptaka. Zrobiłem całą serię zdjęć przy użyciu teleobiektywu, który niwelował dystans między dwoma światami, ukazując w kadrze nieniepokozone przez nikogo, żerujące beztrząsco stada na tylnym podwórku biurowców i sugerując harmonijne współżycie ludzi i zwierząt, co pomagało przelknąć piaszczystą pigułkę Nairobi.

Okrzykliśmy wąż w pasowany w skalisty korytarz i wychynęliśmy na pofałdowaną okolicę rozlewającą się dalej, dziesiątki metrów pod nami, w rozległy step upstrzony dzikimi stadami. Nic nie zakłócało widoku z naszej pozycji aż po widnokrąg czysty jak horyzont morza, z tych, które dzielą świat na dwie gigantyczne, symetryczne czasy i nie pozostawiają żadnych złudzeń, że ziemia jest płaska. Była to, poinformował nas Ken, kotlina rzeki Athi, wędrowny targ roślinny, za którym podążały stada stąd aż po sawanny południa w rytmie deszczowego zegara. W oddali zwierzęta kreśliły haft paciorków na tkaninie równiny.

Różnorodność krajobrazów i ich mieszkańców na tej olbrzymiej słomiance u drzwi Nairobi stanowiła niemal antologię całej Kenii i nie oparły się nam nawet dzikie bestie Delseya. Ken jechał do miejsca przeznaczonego na piknik, gdzie mieliśmy zjeść obiad, kiedy coś przecięło nam drogę. Były to dwa lwy, młode swawolące samce, które nie zwracały na nas najmniejszej uwagi. Przeszły na drugą stronę drogi i wspięły się ślamazarnie na gałęzie jakiegoś martwego drzewa, wyciągając swoje cielska na wyschłych konarach i rozdzierając pazurami korę, gdy fajłapowato starały się utrzymać równowagę. Nie wyglądały na cyrkowe gwiazdy wypindrzone kuglarskimi trikami fryzjerskiej sztuki. Nie było widać lakieru i pasemek w ich grzywach dopiero pączkujących z głów kilkoma kędziorkami, przypominającymi zbite kołtuny między zębami zgrzebla. Nie były lwami na pokaz, lecz spontanicznymi zjawiskami, naturalną

konsekwencją krajobrazu. Nie popisywały się swoim rykiem ani nie prężyły na żadnym wzniesieniu z majestatem króla, władcy równin. Były niedoświadczonymi i niezgrabnymi uczniakami. Ale na tym drzewie wylegiwały się ze swymi mocarnymi i przepięknymi lwimi przymiotami, które mogły zabrać z sobą, dokąd tylko chciały, od Nairobi po Kapsztad.

Na drewnianym stole pod wielkim drzewem rozłożyliśmy swoją wałówkę. Ken zajął tymczasem pod maskę. Powiedział, że w pracy silnika usłyszał chropawy dźwięk, przypominający odgłos wykładziny skrobącej zęby podczas heavymetalowego koncertu. Musiał zwrócić szwagrowi auto w idealnym stanie i chociażby do przepustnicy dostał się czulek mrówki, jego obowiązkiem było ten czulek usunąć.

Skończywszy nakrywanie stołu do naszego luksusowego pikniku w stylu hotelu Norfolk, Delsey i ja zwróciliśmy uwagę na wznoszący się tam monument. Był to kubiczny piedestał zwieńczony figurkami słoni, a tuż obok niego znajdował się krąg ułożony z kamieni okalających popielaty pagórek zwęglonych szczątków. Ken wyjaśnił, że przed trzema laty prezydent Moi z inicjatywy dyrektora służby parków, Richarda Leakeya, kenijskiego naukowca pochodzenia angielskiego, dokonał tam aktu spalenia góry ciosów słoni skonfiskowanych kłusownikom, stos o wartości trzech milionów dolarów. Zdaniem Kena całe to przedsięwzięcie miało charakter telewizyjnego show, mającego na celu przekonanie zagranicznych mediów o zaangażowaniu rządu w walkę z kłusownictwem, podstawowym zagrożeniem turystyki.

- Dlaczego kłusownicy zagrażają turystyce? - dociekał Delsey, kiedy siadaliśmy do stołu. - Z uwagi na niebezpieczeństwo zdziesiątkowania... populacji zwierząt?

- Z uwagi na niebezpieczeństwo zdziesiątkowania populacji ludzi - sprecyzował Ken. - Kłusownicy nie cofną się przed niczym. Wszystko, co wpada pod celownik kałasznikowa, pada. Przede wszystkim turyści, którzy są łatwą zdobyczą, nieuzbrojeni, dysponujący pieniędzmi i drogim sprzętem. Okradają ich, gwałcą kobiety, a jeśli jakiś delikwent się opiera, nie wahają się posłać mu kulę. Wyposażeni są w AK-47 i skrzynkę piwa, co stanowi niezwykle

wybuchową mieszankę. W zamian muszą dostarczyć towar pozyskany podczas polowania, ale to, co wpadnie im w ręce po drodze, jest dla nich.

- Kto ich wyposaża? Dla kogo pracują? - spytałem.

- Dla międzynarodowych mafii zajmujących się handlem kością słoniową, rogami nosorożca...

- Rogami nosorożca? - powtórzył zaskoczony Delsey.

- W niektórych krajach róg nosorożca uważany jest za afrodyzjak - wyjaśnił Ken. - Pewnie kiedyś wzięli go komuś w dupę i nie mógł się posiąść z rozkoszy, he, he... Och, pan wybacz sformułowanie, baronie.

- Proszę nie przepraszać, to zbyt cenne - rozgrzeszył go zdradzający nagle zainteresowanie Delsey. - To niesłychane, nie wiedziałem, że uprawia się tego typu proceder. A rząd? Nie robi nic, aby położyć temu kres?

- Rząd robi, co może, jak przypuszczam. Ten dyrektor, Leakey, wprowadził służbę parków, uzbroił strażników i wydał im rozkaz zabijania kłusowników. Ale nie wszyscy darzą go zaufaniem.

- Bo jest biały - zauważyłem.

- Tak, jest biały i należy do starego klanu osadników, co w oczach wielu ludzi oznacza, iż jest spadkobiercą kolonialnego reżimu. Sam Moi darzył go śmiertelną nienawiścią, ale jak to mówią, polityka potrafi skojarzyć w łóżku najdziwniejsze pary.

- A całe to pojednanie narodowe, o którym mi opowiadałeś? - spytałem.

- Wszystko ma swoje granice, stary. Trupy nie ostygły jeszcze na tyle, aby biały mógł zajmować wysokie stanowisko w rządzie.

- Trupy? Jakie trupy? Chodzi o metaforę, jak mniemam? - dopytywał się Delsey.

- Nic z tego. Mówię o prawdziwych trupach, baronie - odparł z powagą w głosie Ken. - Trupy zabitych w powstaniu Mau-Mau, naszej wojny o niepodległość. Trupy Kikuju, moich braci, zamordowanych w wyniku brutalnych represji administracji kolonialnej.

- Mau-Mau... Tak, przypominam sobie tę nazwę i przerażające wydarzenia, jakie się z nią wiązały. Jeśli mnie pamięć nie myli, w bestialski sposób zmasakrowano brytyjskich osadników, prawda?

- Trzydziestu dwóch, baronie. Trzydziestu dwóch osadników zamordowanych w ciągu całej wojny. Trzydziestu dwóch skrupu latnie zidentyfikowanych, opisanych i opłakanych we wszystkich zachodnich środkach przekazu od Los Angeles po Helsinki! - Ken gestykułował energicznie. - Trzydziestu dwóch, wobec dziesiątek tysięcy zabitych Kikuju. Dziesiątek tysięcy! Było ich tylu, że nie dało się zliczyć trupów i wraz z nimi umarły nawet ich imiona! - Ściszył głos i położył ręce na stole. - Świat zamknął oczy na to, co się tutaj działo. Powstanie Mau-Mau zdefiniowano jako rewoltę wywołaną głodem ziemi i wolności, ale była to również wojna domowa, podczas której brat powstał przeciwko bratu. Tysiące zginęło pod ciosami pangi*, którą wymachiwał inny Kikuju, a nawet od strzał Kamba, włóczy Nandi czy Masajów. Prawdziwej historii tej tragedii nikt jeszcze nie spisał. Historii opowiedanej przez dawnych bojowników. Historii upokorzenia, tortur, okaleczeń, zbiorowych morderstw, obozów koncentracyjnych, przy których zbladłyby metody samych nazistów. Dopuszczono się tutaj autentycznego ludobójstwa i nikt za to nie poniósł żadnej odpowiedzialności. Wobec tego ogromu nieszczęść, przyjaciele, człowiek musi wziąć się w karby, jeśli nie chce sobie zatruć życia. Trzeba zapomnieć i patrzeć w przyszłość, takie jest moje zdanie.

Dramatyczny wywód Kena wywarł na nas wielkie wrażenie. Przez chwilę nie wiedziałem, co powiedzieć.

- A te historie? Udało ci się poznać jakiegoś Mau-Mau.

- A jakże, stary, byli nimi wszyscy Kikuju - odparł Ken nieco spokojniejszym tonem. - Tradycja ustna odegrała rolę historii pisanej, a nieodzownym warunkiem każdej dobrej historii jest opowiedzenie jej w pierwszej osobie. W innym razie nie ma w niej żdźbła emocji. Możesz usłyszeć Kikuju opowiadających historie innych, jakby to były ich własne przeżycia z powstania Mau-Mau, chociaż są zbyt młodzi, aby mogli w nim uczestniczyć. Ale słuchacz nie dziwi się, nie odczuwa zaskoczenia, gdy zdarzy mu się usłyszeć tę samą historię z innych ust, również w pierwszej osobie. Nie ma tu mowy o plagiacie czy kradzieży copyright. Historie należą

do wszystkich i wszyscy utożsamiają się z nimi, jakby je przeżyli na własnej skórze.

- Krwawi mi serce, gdy słucham o waszych cierpieniach spowodowanych tak niezmiernym barbarzyństwem. - Delsey był autentycznie poruszony. - Niemal nie... nie mogę uwierzyć, że mogło dojść do podobnego bestialstwa w połowie dwudziestego wieku i do tego z rąk, zdawałoby się, cywilizowanego narodu. Nie miałem najmniejszego wyobrażenia...

- Pan wiedział jedynie to, co chciano, by opinia publiczna wiedziała. Natomiast wielu żyjących tutaj ludzi wołało zwyczajnie patrzeć w inną stronę. Później zawiozę was do domu Karen Blixen, autorki „Pożegnania z Afryką”, przypuszczam, że widzieliście film. Tam zobaczycie, jak wygląda prawdziwy raj na ziemi, i zrozumiecie urazę tych, którzy byli tam pierwsi i musieli pogodzić się z okruciami spadającymi z pańskiego stołu tych idyllicznych rezydencji. Kiedy słucham starych ludzi rozprawiających o tym wszystkim z nienawiścią, z bezsilnością, z tą goryczą, mogę im tylko współczuć i starać się ich zrozumieć. Nie mogę się jednak z nimi zgodzić. Jak wiecie, metod, do jakich uciekała się partyzantka Mau-Mau, nie można zaklasyfikować jako postępowania w białych rękawiczkach. Nie było żadnego romantyzmu. Wśród trzydziestu dwóch wspomnianych osadników znalazły się małe dzieci, którym rozplątano brzuchy i obcięto członki maczetami i w niejednym wypadku dokonali tego ludzie, którzy jeszcze poprzedniego dnia bawili się z nimi, opowiadali im bajki i głaskali czule po główkach, kiedy szły spać! Zmuszano rekrutów do złożenia przysięgi, która czyniła ich zdolnymi do popełnienia najstraszliwszych okrucieństw. Dzięki Bogu historia ustrzegła nas od karygodnego błędu osadzenia na prezydenckim fotelu jednego z tych fanatycznych generałów z Mau-Mau. Kolejnego Idi Amina czy Mobutu. Nowej wersji tej samej kolonialnej hańby. Kenyatta nie był aniołem, ale był mesjaszem.

Ken zamilkł na chwilę, aby nabrać powietrza w płuca, po czym ciągnął dalej:

- Zdaję sobie sprawę, że możecie mnie nie rozumieć. To nieła twe. Czasem i ja siebie nie rozumiem. Dla naszych ojców wszystko było bardzo czytelne i proste i mam nadzieję, że naszym dzieciom

przyjdzie żyć w podobnej, nieskomplikowanej rzeczywistości. Ale ludzie należący do mego pokolenia urodzili się w bardzo osobliwym momencie, w cudownym, lecz pełnym sprzeczności kraju, którego przeszłość jedni pragną pogrzebać, inni zaś pomścić. Wielu zwyczajnie nie wie, co myśleć. Na szczęście ja wiem. Mniej więcej. Prawie zawsze. Z grubsza. Ale weźmy się do tych przysmaków! Co tam macie dobrego? Wierzę, że będzie to strawa bogów godna mojej mistrzowskiej lekcji. - Niespodziewanie powrócił Ken żartowniś i kpiarz.

Przez całą drogę z Parku Narodowego do domu-muzeum Karen Blixen Ken i Delsey spierali się o to, jaki strój jest najodpowiedniejszy na safari. Ja w tym czasie bujałem w obłokach swoich myśli. Nie potrafiłem wymazać z pamięci brutalności opisanej przez Kena i zadawałem sobie nieśmiało pytanie o możliwą postawę Hamisha w całej tej orgii gwałtu. Obawiałem się, że patriotyczne uniesienie mogło go popchnąć do wzięcia udziału w walce, wyrażenia poparcia lub popolitej, cichej zgody na to barbarzyństwo. Ken przez całe dotychczasowe życie zaprawiał się w odporności na wiedzę o tych wypadkach, ja natomiast stawałem znienacka przed perspektywą, że dziadek, którego wywindowałem na piedestał swoich wspomnień, mógł z rozmysłem ukryć przed światem przerażającą prawdę. Jakimże był człowiekiem, zwłaszcza w tamtym dziejowym momencie, Hamish Sutherland? Jakim dziennikarzem? Nazwa Mau-Mau przewijała się w wielu ustępach tekstu, którego wcześniej nie miałem czasu przestudiować gruntownie, a do którego teraz bałem się zajrzeć ze strachu, żeby nie zderzyć się z lukrowaną i manichejską relacją.

Pod strzelistymi wieżycami spiczastych cyprysów i pierzastych palm przycupnął na łączce dom Karen Blixen, nieomal skromny w swojej surowej i pozbawionej jakichkolwiek ozdób konstrukcji z kamienia, drewna i dachówki. Nie był to wielki, marmurowy pałac nababa ani pompatyczny, uświęcony ołtarz prawie laureatki Nagrody Nobla w dziedzinie literatury, lecz parterowy, weekendowy domek, intymny i dyskretny pod pieszczotliwymi promieniami wieczornego słońca, wysuwający wdzięcznie swoją werandę ku błękitnym knykciom wzgórz Ngong. Pokoje były małe i przytulne, zbyt kameralne,

by można było upchnąć w nich paraferalia filmowego planu, mówił Ken, i dlatego sceny wewnątrz nakręcono w innym, pobliskim domu dysponującym bardziej obszernymi pomieszczeniami. Usiedliśmy na zewnątrz przed olbrzymią euforią na starannie wyczesanym i usianym wysepkami kolorowych sałatek *green*, podczas gdy słońce przetaczało się nad wzgórzami w poszukiwaniu odpowiedniego miejsca na obozowisko, w którym mogłoby spędzić noc. Delsey sławił piękno enklawy z zachowaniem jednakże pewnego umiaru, nie chcąc obrazić krwi kikujuskich braci Kena. Ten ostatni rozkoszował się odwiedzinami, jakby jego ziomkowie byli nie squatterami*, ale właścicielami posiadłości.

- Baronie, proszę się nie krępować - zachęcał go Ken.

- Jak mówisz? - odpowiedział Delsey.

- To miejsce jest niemożliwie zarypiaste, może pan to śmiało powiedzieć, bez obaw.

- Cóż, nie posłużyłbym się tym samym sformułowaniem, ale to prawda, bezspornie znajdujemy się w miejscu przepysznym, majestatycznym i w tej godzinie doskonałej i magicznej harmonii, gdy delikatny powiew wieczornego wietrzyku łaskocze zieloną szatę drzew, ona zaś szmerze swym śpiewnym szelestem, rozdziera mą duszę tęskne pragnienie, by przenieść się w tamte dni szampana i satyny, jeśli pozwolisz mi się w ten sposób wyrazić. Nie mam żadnych wątpliwości, że mój stary przyjaciel Hamish wiedział, gdzie szukać rajskiego ogrodu.

- No, a co ja powiedziałem.

- Zawsze rozkoszowałem się tym miejscem. To stricte pejzaż, jaki nosiłem w swoim sercu.

- Co ma pan na myśli, Delsey? - spytałem zaintrygowany.

- Odbyłem podróż śladami Hamisha, szukając miejsca, które współbrzmiałoby z moimi pragnieniami. A dzisiaj jestem starym, zgryźliwym ponurakiem zabarykadowanym za dostojną fasadą przy rue Royale, zaledwie kilka kilometrów od miejsca, w którym się urodziłem i z którego chciałem uciec. Być może rozstałem się z Hamishem przed przebyciem decydującego etapu, który pozwolił-

Wieśniacy bez ziemi pracujący na polach posiadacza ziemskiego.

by mi znaleźć moje miejsce na świecie, moją utopię. Miejsce takie, jak to.

Nie rozumiałem znaczenia słów Delseya, lecz uznałem, że należy uszanować jego intymność, którą zdawał się chronić za oderwanymi fragmentami swoich myśli. Znając jego zamiłowanie do mitologii, dokonałem próby zonglerki podwójnym sensem hipotetycznie twórczym, ale za to na sto procent idiotycznym.

- Nie może się pan uskarżać, baronie. Mieszka pan nieopodal Pól Elizejskich.

- Tamte dni odeszły już w przeszłość, panie baronie - powiedział Ken. - Tamta Kenia już nie istnieje. Pokonaliśmy ją albo ona pokonała się sama. Ale nie mam wątpliwości, że byłby pan dobrym osadnikiem - spuentował z lekkim sarkazmem.

- Naprawdę? Tak myślisz?

- Ale dobry osadnik nie może się obyć bez dobrych butów. A zatem, naprzód, po buty. - Ken podniósł się energicznie, a za nim Delsey.

- Dokąd to? - krzyknąłem, podrywając się również.

- Na zakupy - odparł Ken, nie odwracając wzroku i kierując się sprężystym krokiem w stronę parkingu. - Przekonałem barona, że jego lakierki nie są najwłaściwszym obuwem do hasania po rajskim ogrodzie.

- Z tego, co wiem, Adam i Ewa chodzili bosy - trysnąłem dowcipem.

- Tak, ale tam był tylko jeden wąż, który, nawiasem mówiąc, mieszkał na drzewie - odparował wesoło Ken.

- Wężę? - wyjąkał trwożliwie Delsey.

Bolid sterowany przez Kena prześlizgnął się szczelinami w zakorkowanych ulicach Nairobi, jakby jego boki wysmarowane były wazeliną, i w chwilę później parkowaliśmy już pod Sarit Centre, nowoczesnym centrum handlowym znajdującym się w dzielnicy willowej na północy miasta, zwanej paradoksalnie Westlands. Na niewiele sekund przed zamknięciem udało się nam przeniknąć do wnętrza salonu obuwniczego Bata, gdzie Delsey przymierzył setki modeli butów, doprowadzając do rozpaczki sprzedawcę i nie mogąc się zdecydować na żadne z nich. W swoim niepokalanym białym garni-

turze i masywnych glanach wyglądał jak baletnica w wojskowych buciorach, jak stwierdził sam zainteresowany. Ken i ja kłamaliśmy w żywe oczy, obalając jego diagnozę i zapewniając, że te buty nadają niepowtarzalny charakter jego prezencji, co było w jakimś sensie prawdą: nikt nie przeszedłby obok niego obojętnie. Nie mógł się zdecydować na żaden model i Ken zrobił to wreszcie za niego.

- Łatwo mi przychodzi wybierać, gdy chodzi o innych - zwierzał się Ken przy stoliku w barze, gdzie usiedliśmy, aby napić się piwa i przekąsić coś, co można byłoby uznać od biedy za kolację.
- Jeśli muszę wybrać coś dla siebie, potrzebuję matki. Nie mogę bez niej zrobić ani jednego kroku. Niedawno moi rodzice wyjechali na weekend do krewnych i zostałem w domu sam jak palec. Matka zostawiła mi szczegółowe instrukcje obsługi pralki, jakby chodziło o wystrzelenie w przestworza rakiety. Wypełniłem je co do joty, ale coś poszło nie tak. Instrukcje nakazywały zrobić dwa prania, jedno kolorowe i drugie białe. Ale moi drodzy, nie można ode mnie za dużo wymagać, ja należę do pokolenia wykarmionego telewizją i popełniłem mały błąd interpretacyjny: załadowałem jedną pralkę rzeczami kolorowymi i drugą czarno-białymi. Pranie kolorowe wyszło jak cię mogę, ale to czarno-białe zmieniło się w szare. Sami widzicie, koledzy, w pojedynkę gubię się jak dziecko we mgle. Na dodatek pensja w gazecie nie pozwala na jakieś wyrafinowane ekscesy. Jeśli uważacie, że ceny reklam są zbyt wygórowane, to miejcie świadomość, kto nie ma z tego ani centa. No właśnie, kiedy wyślesz mi tekst do waszego ogłoszenia?

- Jutro rano, przed wyjazdem do Naivasha. Wysłałem go Monice, mojej... dziewczynie, żeby rzuciła okiem. To ona podsunęła nam ten pomysł. Przypuszczam, że dzisiaj wieczorem będę już mieć odpowiedź.

- Poważnie, stary, masz dziewczynę?

- To może coś więcej niż twój związek z Naomi, ale wierz mi, niedużo więcej.

- No co ty? Co to za dziewczyna? Opowiadaj, stary.

Rozmowa wkraczała na najeżone kolcami podłoże uczuć, po którym nie miałem najmniejszej ochoty spacerować, kiedy przed naszymi oczami przepłynęła kobieca postać wznosząca się na szczy-

cie stratosferycznych nóg, zakrąglonych nieziemsko w górnych partiach i tak spiczastych w dolnych, że zdawało się, iż wkluwają się w podłogę, miast po niej stąpać. Jej sylwetka przykuwała uwagę, zwłaszcza moją, który znałem właścicielkę tych nóg. Można by to uznać za nieprawdopodobny przypadek, gdyby nie uboga oferta centrów handlowych w Nairobi. Poza tym owa kobieta, jeśli była stworzona do wizytowania miejsc takich jak Sarit, Sarit zdawał się stworzony z myślą o niej. Dla przyciągnięcia tłumów centrum to nie potrzebowało innej reklamy niż eleganckiego i zmysłowego wizerunku tej kobiety, idącej miarowo na tych cieniutkich igłach przedłużających się bezzłączeniowo w dwie linie krzywizn sięgających krawędzi jej króciutkiej spódniczki kołyszącej się między torbami oznakowanymi logo markowych sklepów.

- Makena!

Odwróciła się i odszukawszy mnie wzrokiem, uśmiechnęła, patrząc, jak tylko potrafiła najpiękniej.

- Curro! Doprawdy, to chyba jakieś przeznaczenie! - Gdy pode szła do naszego stolika, zerwałem się i pocałowałem ją dwa razy. Spojrzałem na Kena, który stracił mowę, zmysły i kontrolę nad żyroskopowym mechanizmem oczu.

- To ja mogę mówić o szczęściu. Co ty tutaj robisz?

- No wiesz, muszę dbać o garderobę - powiedziała, pokazując torby. - A ty?

- Też jesteśmy na zakupach. Chodź, przedstawię cię. Przyjaciel dziadka, o którym ci mówiłem, baron Delsey. Makena jest przyjaciółką, którą miałem szczęście poznać zaraz po wylądowaniu w Nairobi. - Delsey wstał jak zawsze niezwykle elegancki, wymienił pozdrowienia i on pocałował ją w rękę.

- A to Ken, przyjaciel i dziennikarz, o którym też ci wspominałem. Pomaga nam szukać dziadka. Wcielił się dzisiaj w rolę przewodnika podczas niezwykle zajmującej przejażdżki po mieście.

Ken zerwał się nieporadnie, odsuwając do tyłu krzesło, które szorując o podłogę, ryknęło jak rozwścieczony słoń. Wyciągnął ku niej dłoń mechanicznym gestem, przypominającym opadający parkingowy szlaban.

- Ken, Ken... nedy Kamaru... reporter... „Standardu”.

- Miło mi, Ken - zamruczała Makena, potrząsając sztywną ręką Kena.

- Nie, nie, to nie tobie. To znaczy, chciałem powiedzieć, że to mnie jest strasznie miło.

- Usiądź z nami, zamówię ci piwo - zaproponowałem.

- Bardzo dziękuję, naprawdę skorzystałabym z wielką przyjemnością, ale spóźnię się do Victorii, rozumiesz. Innym razem. Spotkamy się jeszcze, a jeśli nie, to oboje wiemy, gdzie się szukać. Dowiedziałeś się czegoś nowego o swoim dziadku?

- Jutro jedziemy do Naivasha sprawdzić jeden za tropów. Nie będzie nas kilka dni. Po powrocie wszystko ci opowiem.

- I wtedy wypijemy to piwo - obiecała Makena, patrząc na Delseya i Kena. Pierwszy z niezmaconym spokojem podtrzymywał swój dystygowany uśmiech, twarz drugiego zmieniła się w breję spotniałego mięsa.

Gdy tylko Makena pożegnała się i oddaliła na swoich eterycznych kostkach, Ken chwycił mnie kurczowo za ramię, nie odrywając wzroku od zsynchronizowanej choreografii spódniczki, bioder, nóg i obcasów.

- Ale... ale... co za laska! Wow! To istna bogini! Mam rację, baronie?

- Niewątpliwie zaszczycała nas swoją zjawiskowością kobietą o urodzie ściśle kanonicznej. Tak, w mojej ocenie celujący z plusem.

- Ściś...? Ale, co pan u diabła wygaduje? Ja nie mogę z panem, stary... znaczy się, baronie! Jest lepsza od Naomi!

- I na dodatek jest wspaniałą dziewczyną - nadmieniłem.

- Stary... stary! - Postać Makeny niknęła już w tłumie, lecz Ken nie mógł odzyskać spokoju ani oderwać spojrzenia od znikającego punktu. - Musisz mi ją przedstawić!

- Przecież przed chwilą to zrobiłem - przypomniałem, ale Ken nie słuchał.

- Skąd ty ją znasz? Czy ty i ona... - Popatrzył na mnie, stykając równoległe dwa palce wskazujące.

- Nie, jesteśmy wyłącznie przyjaciółmi. Przeszedłem już próbę ognia.

Zagadaliśmy się i wróciliśmy do hotelu późnym wieczorem.

Pożegnaliśmy się z Kenem, obiecując zadzwonić do niego zaraz po powrocie z Rift Valley. Miałem nadzieję, że recepcjonista wręczy mi odpowiedź Moniki, lecz zawiodłem się. Poprosił nas za to, i widać było, że bardzo się krępował, formułując tę prośbę, abyśmy, jeśli nic nie stoi na przeszkodzie, weszli na chwilę do baru, ponieważ widział, jak z „nim” rozmawialiśmy. Zaintrygowani, kim był „on”, przystaliśmy na tajemniczą sugestię i stwierdziliśmy obecność w lokalu jednego tylko klienta oraz barmana. Ten ostatni z niezwyklej taktem spytał nas, czy klient ów jest naszym znajomym, bo jeśli tak, to czy moglibyśmy go delikatnie obudzić i odprowadzić do pokoju. Z policzkiem wtulonym w blat stolika, otoczony *skyline* wysokich szklanek Tony Kerak odsypiał libację, chrapiąc donośnie, odziany wciąż w hemingwayowskie przebranie, jeśli rzeczywiście było to przebranie. Nagle jego pękata głowa drgnęła i wówczas wymamrotał bełkotliwym głosem: „Człowieka można zniszczyć, ale nie pokonać!”. Scena była tyleż komiczna, co żałosna.

- Delsey, pomoże mi pan? Wątpię, czy jest w stanie dojść do pokoju o własnych siłach.

- Człowieka można pokonać... - Kerak ożył na moment. - Nie, nie tak... zniszczyć... czy pokonać... Jaka do kurwy nędzy jest różnica?

- Nie martw się, chłopcze - odparł Delsey. - Idź spać. Zostanę z nim chwilę. Czy bar jest jeszcze otwarty? - spytał barmana.

- Oczywiście, proszę pana.

- Poproszę zatem o dżin z tonikiem, jeśli pan tak uprzejmy. Ale niech panu nie przyjdzie do głowy wkrajać tam plasterki cytryny. Wyłącznie skórka, skrojona spiralnie i w miarę możliwości przemyta symbolicznie w dejonizowanej wodzie, a w razie braku dejonizowanej wody w kilku kropkach tego samego dżinu.

- Jest pan pewny? - naciskałem. - Nie podoła mu pan.

- Och, to naprawdę żaden problem. Poproszę o pomoc chłopców hotelowych. Myślę, że dzisiejszej nocy stary przyjaciel potrzebuje odrobiny towarzystwa.

Niebo Naivasha

Trevor umówił się z nami bardzo wcześnie rano i ledwie mieliśmy czas, by przełknąć jakąś kanapkę i stawić się w recepcji. Wysłałem przy okazji faks do Kena z tekstem naszego ogłoszenia. Byłem zawiedziony, a raczej mocno zirytowany brakiem odpowiedzi Moniki, zwłaszcza że prosiłem ją o pilny komentarz. Czulem, że się ode mnie oddala i że odzegnując się usilnie od tych niewidzialnych, transatlantyckich więzów mających utrzymać nas razem, zrobiła to, nie biorąc pod uwagę faktu, iż nie na jej to szyi, lecz na mojej miała zacisnąć się pętla, jej ręka zaś winna była trzymać za drugi koniec sznura. Wołałem złożyć do mieszczącego się w ścianach hotelu Norfolk archiwum prawdopodobną miłosną katastrofę, ażeby, ewentualnie, podjąć akcję ratunkową po powrocie. Na razie postanowiłem rzucić się w objęcia przygody, jaką obiecywały najbliższe dni.

Zjawiwszy się w holu, Trevor dokonał inspekcji naszych bagaży. Ja miałem torbę z dwiema zmianami bielizny, garniturem - na wypadek gdyby w tych postkolonialnych kręgach hołdowało się jeszcze zwyczajowi wkładania wieczornych toalet do kolacji, aparatem fotograficznym i kilkunastoma stronicami rękopisu Hamisha. Delsey natomiast musiał skorzystać z pomocy chłopca hotelowego, aby przetransportować jedną ze swoich olbrzymich waliz ze skóry kapi-bary, której kubaturę Trevor uznał za zbyt rozbuchaną jak na ograniczoną przestrzeń, jaką dysponował jego pojazd. Delsey przysięgał, że ten tir z egzotycznej skóry zawiera wyłącznie podstawowy

ekwipunek ratujący życie, ale rad nierad musiał wrócić do pokoju i ująć nieco kilogramów. Po jakimś czasie pojawił się ponownie z dwiema podróżnymi torbami, których całkowita objętość niewiele się różniła od rozmiarów walizy. Trevor machnął ręką, żeby nie odwlekać dłużej wyjazdu. Spytałem o pojemność bagażnika jego samochodu.

- Samochodu? A kto powiedział, że jedziemy samochodem?

Godzinę później cessna 172 należąca do Trevora i przez niego pilotowana odrywała się od pasa startowego lotniska Wilson położonego niedaleko restauracji Carnivore, na północ od parku narodowego. Aeroplan, jak nam wyjaśnił, był ważnym środkiem transportu od pierwszych lat kolonii, w czasach kiedy z braku połączeń lądowych z miastami wiele odległych farm odciętych było od świata. W sytuacji dróg zdanych niemalże na łaskę losu awionetka pozwalała zapomnieć o rozpadlinach i uciążliwym, niebezpiecznym ruchu samochodowym.

Maszyna wzbijała się ponad przedmieścia Nairobi równoległe do pomarszczonego stosu pacierzowego wzgórz Ngong. Na prawo wznosiło się zalane słońcem, nieskalane z perspektywy gładkiej i czystej dali zacierającej widoczne z poziomu ulicy siniaki, szklane centrum miasta, poprzecinane prostymi liniami żył, w których, patrząc z wysoka, zdawał się płynąć niezakłócony skrzepami i wolny od wszelkiego jadu nurt, karmiący się ożywczym tlenem płaskowyżu czerpanym z zielonych płuc i transportowanym do wysepek miejskiej tkanki, między jej kapilarami. Z tyłu pozostał Park Narodowy Nairobi i znajdująca się w nim graniczna linia między dwoma światami, o której rozmyślałem podczas mojego pierwszego spotkania z bushbuckiem. Za lasami parku, kierując się w stronę północy zamaskowanej dzisiaj aglomeracją zwartej zabudowy, rodził się dumny kraj czerwonej gleby i gąszczu, gdzie Kikuju przez wieki uprawiali ziemię. Na południu rozciągał się roślinny kobierzec równin masajskich pasterzy, który w zależności od kalendarza deszczów zmieniał barwę z zielonej na słomiany blond.

Delsey na własne życzenie zajął miejsce z tyłu i rzekł się na moją korzyść fotela drugiego pilota. Rozstrajał go, mówił, natłok zegarów, guzików i dźwigni, o których zastosowaniu nie miał pojęcia

i wołał, żeby ktoś inny zajął się całym tym kramem, w przypadku gdyby pilot nagle zemdleł. Nie miałem większych kwalifikacji niż Delsey, gdyby przyszło mi przeprowadzić lądowanie awaryjne, ale byłem zachwycony, że mogę usiąść obok Trevora i zamęczać go pytaniami o przyrządy i technikę lotu. Latanie było jego pasją i umiał ją przekazać. To była jego trzecia awionetka. Nigdy wcześniej nie leciałem tak małą maszyną i byłem pod wielkim wrażeniem, zachwycając się widocznością nieznaną z samolotów rejsowych, nawet z małych śmigłowych dwusilnikowców, które latały jeszcze regularnie w Hiszpanii, gdy byłem dzieckiem. Imponujący kawał Afryki rozciągał się pod naszym kadłubem, który od środka, w kabinnie, był tak wygodny i kruchy zarazem, jak dziupla taksówki.

Przelecieliśmy nad zielonym i pagórkowatym regionem, gdzie małe rolne parcele wciskały się między wielkie plantacje kawy i herbaty z granicami wytyczonymi przez skrawki lasu, który stawał się coraz gęstszy i władczy w miarę, jak zbrocza pięły się ku szczytowi skarpy Kikuju. Wówczas Trevor uczynił coś naprawdę wspaniałego, manewr prezentacji obliczony na wydobycie z naszych gardeł pomruku podziwu, co mu się w stu procentach udało. Zniżył lot nad górami, zawisając na najniższym, jak przypuszczam, dozwolonym przez normy czy zdrowy rozsądek pułapie, osiągnął krawędź łańcucha i utrzymał wysokość, podczas gdy pod naszymi stopami teren walił się na łeb, na szyję setki metrów w dół ku łożysku Rift Valley, Wielkiego Rowu Afrykańskiego - blizny, która rozcina niemal połowę oblicza planety od Morza Martwego do Mozambiku. Tu właśnie rozpościerał swoje realne kształty erotyczno-geologiczny mit mojego dzieciństwa w swojej gigantycznej, przebogatej pustce, nafaszerowanej wulkanicznymi kraterami zaślepionymi pyłem, zduszonej ciężarem ołowianego słońca w więzieniu ścian puszczy, spadającej ku południu wodospadem pastwisk schodzących od łańcucha północnych jezior. Ta część ryftu nosi nazwę Kedong Valley, rzucił Trevor i wykonując wiraż nad osią doliny w kierunku północnym, pokazał nam stację satelitarną z olbrzymimi antenami parabolicznymi wpatrującymi się swoimi czaszami w niebo, a nieco dalej Mt. Longonot i Mt. Suswa oraz Fischer's Tower, strzelisty rdzeń wulkaniczny w Parku Narodowym Hell's Gate. Wizualny bankiet

zakończył Trevor, zataczając koło nad jeziorem Naivasha. Marzył o tym, zwierzył się w świdrującym uszy warkocie silnika, by surfować jak sępy na falach gorącego powietrza doliny przy wtórze jedynego tylko dźwięku, wiatru, i by zrealizować swoje marzenie, wykorzystywał częste podróże do Wielkiej Brytanii, aby pobierać lekcje lotów bezsilnikowych. Po zakończeniu nauki zamierzał sprawić sobie szybowiec. Wyobraziłem sobie wówczas, że jeśli uprzednie wznoszenie się na grzbiet łańcucha Kikuju budujące klimaks rozwiązujący się runięciem w otchłań ziemi, można było porównać do najbardziej gargantuicznego orgazmu bez seksu, jakiego mógł doświadczyć człowiek, to zaznanie tego samego w ciszy posiadającej moc obnażenia własnego oddechu, musiało być najintymniejszym orgazmem, jakiego człowiek mógł zakosztować na oczach świata. Można było wzmóc jeszcze jego intensywność, jeśli to w ogóle możliwe, dodając jakąś ścieżkę dźwiękową pieszczącą podczas orgazmu słuch, na przykład „Cavalleria Rusticana”, tak bardzo uwielbianą przez babkę Uke, która dla mnie była zawsze muzyką zakochanych.

Kilka minut później lądowaliśmy na pasie czerwonej ziemi polany wytrzebionej z krzaków, na północny wschód od jeziora. Za kierownicą wielkiego samochodu terenowego czekał tam na nas szofer, którego Trevor zawiadomił o naszym przybyciu przez radio, oraz dwa pędzące w naszym kierunku i merdające ogonami psy rywalizujące o pieszczoty swego pana. W oddali widać było dom wznoszący się na naturalnym tarasie, niecały kilometr od lądowiska. Była to rezydencja należąca do kogoś, kto nie cierpi ani na ograniczenia przestrzenne, ani finansowe, ani żadne inne. Budowla z kamienia, w fałszywym stylu Tudorów pieniającym się obficie w Kenii, składała się z pięciu parterowych pawilonów z wyzierającymi z dwuspadowych dachów lukarnami. Wszystkie pawilony zwrócone były w kierunku znajdującego się za nami jeziora, a ich tylne ściany wrastały w podłużny, piętrowy budynek usytuowany równoległe do doliny. Patrząc po raz pierwszy na ów wiejski pałac, przypomniałem sobie wzmiankę Kena na temat skrojonych na miarę, kolonialnych rajów. Do pobytu na farmie Blackbourne-Hall nie wierzyłem, że istnieją ludzie z krwi i kości prowadzący takie życie,

jak rodzina Benedict z filmu „Olbrzym”. Domek Karen Blixen był ubogim bungalowem w zestawieniu z tą nowotworową interpretacją angielskiego *cottage*.

Samochód zawiózł nas przez równikowo-brytyjski, mieniący się barwami ogród z basenem i altaną na krawędzi skały tarasu. Zatrzymaliśmy się przed środkowym pawilonem, w którym znajdowało się główne wejście. Na niskich schodkach czekała na nas uśmiechnięta kobieta o blond włosach, zapewne żona Trevora. Jej młodzieńczy ubiór i szczupła figura sprawiały, że wydawała się dużo młodsza niż widziana z bliska. Mimo iż przekroczyła pewnie pięćdziesiątkę, zachowała delikatną i jędrną skórę, była łagodnie piękna i całe jej oblicze promieniało świetlistym uśmiechem. Przywitała nas nadzwyczaj wylewnie. Miała na imię Regina.

Był młody poranek przepojony rześkim i przejrzystym powietrzem. Regina spytała, czy życzymy sobie zjeść przyzwoite śniadanie, na co przystaliśmy z wielką ochotą. Towarzystwa miał nam dotrzymać Trevor, ją wzywały bowiem obowiązki na farmie. Przedstawiła nas majordomusowi Githuku, który miał zaprowadzić nas do pokoi, abyśmy mogli się rozlokować i odświeżyć przed posiłkiem. Regina pożegnała się z mężem całą baterią pocałunków, nieco zdumiewających u dwojga małżonków w ich wieku, po czym wyszła z domu w stronę ogrodu, Trevor zaś umówił się z nami za pół godziny w pokoju stołowym.

Githuku był elegancki, dyskretny, uśmiechnięty i gościnnie, a jego gesty powściągliwe. Mówił umiarkowanym szeptem na tyle głośnym, by można go było usłyszeć, nie będąc jednak dokuczliwym. Zdradził nam, że dom dysponuje dwunastoma sypialniami. Pierwotnie składał się z jednego tylko podłużnego, parterowego budynku i dwóch zębów pawilonów równoległych, którą to figurę architektoniczną Githuku nazywał „grzebieniem”. Wraz z powiększającą się rodziną rósł również dom. Zawsze pełno w nim było ludzi, twierdził; miejsce to przypominało darmowy hotel i nie można się tu było nudzić, bo zawsze „działo się wiele rzeczy”.

Centralny pawilon łączył się z budynkiem głównym w olbrzymi, obejmujący dwie kondygnacje hol, z którego wznosiły się wielkie, drewniane schody prowadzące na piętro. Nasze pokoje znajdowały

się w głębi lewego skrzydła, każdy po przeciwnej stronie korytarza. Githuku objaśnił, że obie sypialnie są w zasadzie identyczne, różniąc się jedynie widokami rozpościerającymi się z okien. Ta z prawej pozwalała podziwiać góry, ta druga dolinę i jezioro Naivasha. Pozostawiłem wybór Delseyowi, który zdecydował się na widok na jezioro.

Rozkoszować się tym wszystkim, nie płacąc złamanego grosza za pakiet obejmujący lot z panoramą Afryki i wygody pięciogwiazdkowego hotelu, było dla mnie czymś niezwykle i prawie wzbudziło moją nieufność. W innych okolicznościach podejrzewałbym, że ktoś stara się opchnąć mi nieruchomość na wybrzeżu, użytą na zasadzie własności podzielonej. Wszystko to, z zachowaniem rzecz jasna właściwych proporcji, przypominało mi o moim rychłym przedzierzgnięciu się w pana na Lux Domini. Była to radosna myśl.

Gdy patrzyło się z wycelowanego na północny wschód okna, wzrok natrafiał w oddali na łagodną, zasnętą fioletową mgiełką kordyliere, jak przypuszczałem, Aberdare. Kontemplując przestrzeń rozciągającą się między górskim łańcuchem i framugą okna, nie sposób było określić, dokąd sięgały tereny posiadłości. Za domem rozpościerał się ogród z kortem tenisowym, golfowym *green* oraz niskim i podługowatym, o murach porośniętym ukwieconymi pnączami domkiem przypominającym motel, mieszczącym z pewnością pokoje dla służby. Za domkiem widać było jakieś budynki wyglądające na stajnie, obok padok, tor treningowy dla koni, a potem ogród ciągnął się dalej, zlewając z porośniętą krzewami i rozsianymi akacjami sawanną, wspinającą się w oddali ku mesecie położonej w połowie wysokości między farmą i górami. Pokój był większy niż moje madryckie mieszkanie i ton nadawało mu usytuowane pośrodku łoże ufortyfikowane baldachimem i moskitierą. Z tego, co mówił Trevor, na tej wysokości nie występowało zagrożenie malarią, ale komarów było pod dostatkiem i misterna siatka uspokajała przewrażliwionych gości. Dokonałem inspekcji zajmującej całą szerokość pokoju, od korytarza do ściany frontowej, łazienki, gdzie przez wielkie okno wlewało się strumieniami słońce do okazałej, okrągłej wanny, z którą natychmiast umówiłem się na wieczorną schadzkę.

Pół godziny później zapukałem do Delseya. Był już gotowy, wystrojony w garnitur w kolorze szampana, bladuróżowy krawat i zamszowe mokasyny. Spytałem o jego nowe buty i wyznał mi, że ustawił je w nienagannym szyku na podłodze, i przyglądał się im przez dobrą chwilę, usiłując wyobrazić sobie siebie w kombinacji z nimi, lecz ostatecznie kompozycja nie okazała się na tyle sugestywna, by się przemóc i je włożyć. Tak czy owak był kontent, że włączył je do bagażu, jak powiedział, na wszelki wypadek, co zabrzmiało, jakby mówił o jakiejś niebezpiecznej, osobistej broni. Nie potrafiłem sobie wyobrazić, jakiego rodzaju sytuacji ma na myśli i nagle, za sprawą jakiegoś wadliwego i złośliwego mechanizmu w głowie ujrzałem Delseya uciekającego przed bawołem, kompletnie nagiego i obutego w te właśnie buty z cholewkami. Aby zamaskować cisnący się na usta uśmiech, spytałem, jak mu się podoba miejsce. Ciekaw byłem porównania naszych punktów widzenia. Nie zawiodłem się. Wszystko zasługiwało w jego oczach na najwyższe uznanie, lecz chociaż wychował się na wsi, nie potrafił zrozumieć, jak ci ludzie mogli żyć w tak ekstremalnie odległym miejscu, w warunkach takiego odosobnienia. Pamiętał pewne zdarzenie ze swoich zamkowych czasów, kiedy gwałtowna śnieżycyca na dwa dni odcięła mieszkańców posiadłości od świata, i chociaż było to z jednej strony zabawne, jednocześnie okazało się dramatycznym przeżyciem.

Zeszliśmy na dół, gdzie nie zastaliśmy nikogo. Wyglądało na to, że w domu nie było żywego ducha i aby trafić do jadalni, musieliśmy zdać się na intuicję. Przeciwnie niż w moim pokoju, hołdującemu raczej tubylczemu stylowi rustykalnemu, we wszystkich zakątkach sali panowała niepodzielnie brytyjska estetyka. W głębi pawilonu ogromne okno wychodziło na ogród, basen i dolinę. W pokoju stołowym czekał na nas Githuku w towarzystwie jegomościa w stroju kucharza, który został nam przedstawiony jako William i który z wielką galanterią wysłuchał naszych życzeń względem śniadania. Trevor zjawił się dziesięć minut później, prosząc, by wybaczyć mu spóźnienie. Musiał pilnie odnaleźć i przesłać do Nairobi pewne dane, na które czekała ekipa filmowa. Nie znajdowałem słów zdolnych wyrazić moją wdzięczność za tę wspaniałą gościnę, na co odpowiedział, że wraz z żoną

uwielbiają przyjmować w swoim domu gości. Zapytałem, czy mieszkają tutaj sami z żoną, a on roześmiał się głośno. Obiecał, że po śniadaniu poznamy pozostałych mieszkańców. Zdziwiłem się, że nie ma nikogo na śniadaniu i usłyszałem wyjaśnienie, że domownicy mają zwyczaj wstawać bardzo wcześnie i że o tej godzinie wszyscy zajęci już byli swoją pracą.

Kiedy pochłanialiśmy śniadanie składające się z trzech dań i deseru, Trevor chciał poznać więcej szczegółów historii mego dziadka, z pomocą Delseya opowiedziałem mu więc pokrótce o losach Hamisha. Historia zafascynowała go do tego stopnia, że uprosił nas, abyśmy wieczorem opowiedzieli ją ponownie, tym razem z wszystkimi detalami przed całą rodziną. Myśl o występie w roli trubadura przed nieznaną publicznością wzbudzała we mnie poważne opory, lecz byłem gotów zadać sobie tę niewielką w końcu fatygę, jeśli opowiadanie dobrej historii miało starczyć za zapłatę za tę wspaniałomyślną gościnę.

Śniadanie należało do gatunku tych, które inspirują do poobiedniej drzemki, jednak gospodarz miał wobec nas inne plany. Wkrótce podskakiwaliśmy łącznie z psami w jego terenowym wehikule na polnej drodze wiodącej do najniższej położonej części farmy, nazywanej przez osadników *lowlands*. Klucząc między dziurami i rozpadlinami, dotarliśmy niespodzianie do prostej, szerokiej na dwa metry wstęgi asfaltu, zbyt wąskiej jak dla samochodu, lecz doskonale wytrasowanej i o nienaganej nawierzchni w porównaniu ze zmaltretowaną i pokrytą grubą warstwą pyłu drożyną, którą się właśnie tłukliśmy. Trevor spojrział uważnie w obie strony, zanim przejechał na drugą stronę. Zaintrygowany spytałem go, co to było. Odpowiedział mi ze śmiechem:

- Nazywamy to Portia's Folly - co można przetłumaczyć jako „Szaleństwo Portii”.

- Szaleństwo Portii? A co to takiego?

- Gdybym to chciał wyjaśnić, nie uwierzyłby pan. Potem sam pan zobaczy.

Mijaliśmy okolicę o nieregularnej rzeźbie, okrytą trawą, zaroślami i sterczącymi gdzieniegdzie akacjami. Posiadłość liczyła trochę ponad cztery tysiące hektarów, wyjaśnił Trevor. Kiedyś była większa,

ale część sprzedano po uzyskaniu przez Kenię niepodległości, żeby sfinansować hodowlę. „Hodowlę, czego?”, spytałem.

- Kwiatów - odparł Trevor akurat w chwili, gdy naszym oczom ukazała się równina pokryta dziesiątkami szklarni. - Hodujemy róże i eksportujemy je na rynek europejski, głównie do Niemiec.

Zatrzymał się przed biurem i spytał o żonę. Powiedziano mu, że jest w jednej ze szklarni. Szliśmy we wskazane miejsce, słuchając historii zawiłych losów ziemi, po której stąpaliśmy.

- Całe łozysko doliny było niegdyś ziemią należącą do masajskich klanów wypasających tu bydło. Do dzisiaj w czasie suszy niektórzy pasterze przyprowadzają swoje stada, aby napoić je w jeziorze, nawet z miejsc tak odległych, jak Narok, który znajduje się na szlaku do Masai Mara. Oczywiście jest im teraz o wiele trudniej, ponieważ jezioro ma swojego właściciela, chociażby w niektórych wypadkach było nim państwo. Ten stan rzeczy powoduje starcia między Masajami, tradycyjnymi mieszkańcami tych ziem, oraz ich prawnymi właścicielami.

- Ale nie brak im racji, nieprawdaż? - wtrącił się Delsey uwrażliwiony na sprawy społeczne po wykładzie Kena. - Zajęto przecież ich ziemię.

- Z prawnego punktu widzenia Masajowie zrzekli się ich dobrowolnie na mocy umowy podpisanej przez naczelników klanów z administracją protektoratu w 1904 roku. Inna rzecz, że wszechpotężne imperium wykorzystało prostoduszność nieumiejących czytać Masajów, zmuszając ich w jakimś sensie do podpisania jawnie krzywdzącego porozumienia. Masajowie woleli uniknąć ewentualnego konfliktu z ekspansywnym kolonializmem i przenieść się w inne regiony. Tak czy inaczej tamte dokumenty istnieją i dopóty, dopóki nie zostaną uchylone przez kompetentne w tej materii organy, są legalne. Ja osobiście wątpię, aby to nastąpiło, bo muszą panowie wiedzieć, że stroną najbardziej zainteresowaną w utrzymaniu powyższej umowy w mocy jest państwo. W grę wchodzi wielkie interesy gospodarcze w sektorze rolniczym i hodowlanym tej doliny.

- A pastwiska, które widzieliśmy? - spytałem. - Nie wykorzystuje się ich do wypasu bydła?

- Rodzina Reginy hodowała bydło, jednak w latach siedemdziesiątych rozpowszechniła się w Kenii produkcja kwiatów ciętych i staliśmy się czwartym eksporterem na świecie. Kilka lat później pojawiły się róże. Odmiany tutaj uprawiane zaadaptowały się doskonale do klimatu i gleby jeziora, a tutaj znajdujemy się praktycznie na tej samej wysokości i dysponujemy tym samym rodzajem piasku czystego, dobrze filtrującego wilgoć gruntu, bliskość jeziora pozwala pompować wodę. Dlatego dolną część posiadłości przeznaczono pod hodowlę kwiatów. Poza tym blisko stąd do drogi, co bardzo ułatwia transport produkcji przewożonej furgonami izotermicznymi prosto na lotnisko w Nairobi.

W ślad za Trevorem weszliśmy do środka jednej ze szklarni. W samym centrum intensywnej krzątaniny ujrzelśmy Reginę trzymającą w rękach podkładkę z klipem spinającym pęk papierów i rozmawiającą z nadzorcą. Mnie i Delseya przywitała jednym ze swoich promiennych, przejrzystych uśmiechów, Trevora zaś namiętnym pocałunkiem, na którego widok pracownik wybuchnął śmiechem.

- Witajcie w mojej różanej dolinie! - obwieściła Regina, po czym przedstawiła nas nadzorcy.

- To jest królestwo Reginy. - Trevor posłużył się grą słów, używając angielskiego rzeczownika *reign*, jednocześnie czule obejmując żonę w talii. - To ona zawiaduje interesami tej rodziny. Ja ledwie potrafię zawiadywać samym sobą, a co dopiero wychodzić codziennie bladym świtem, aby dowodzić całym legionem ogrodników i zmagać się z wszystkimi przeklętymi robalami, które mają wielką ochotę pożreć nasze kwiaty. Poza tym zajmuje się resztą, którą będą mogli panowie zobaczyć podczas następnego międzylądowania. - Odwrócił się do żony. - Gdzie jest Chloe?

- W *highlands*, w stajniach. Mam walkie-talkie. Chcesz z nią rozmawiać?

- Nie, zaraz tam pojedziemy.

Oprowadziwszy nas po swoich włościach, Regina pożegnała się do kolacji. Trevor narzekał, że żona pracuje ponad siły i że woli rozmawiać o kwiatkach ze swoimi pracownikami przy obiedzie niż zjeść obiad z nim i rozmawiać o czymkolwiek innym. Zanim

pozwoili jej na powrót zanurkować w róże, pouczał ją żartobliwym tonem, aby wymogła u swojego szefa wcześniejszy fajrant, po czym pożegnali się kolejną, ognistą wymianą pocałunków i pieszczot. Taki styl bycia mógłby wydawać się przesadny, a nawet wywoływać mdłości u kogoś bardziej cynicznego ode mnie, lecz ja odczytywałem powyższe jako przejaw czułości, zwłaszcza mając w pamięci dyskusyjną cechę Anglików, którym przypisuje się ukrywanie swoich namiętności w miejscach publicznych. W końcu jednak oni nie byli Anglikami.

W drodze powrotnej, podskakując na tych samych wertepach, Trevor objaśnił, że jego starsza córka Chloe pomaga matce w zarządzaniu gospodarstwem posiadłości. Przecięliśmy ponownie tajemnicze Szaleństwo Portii i dojechawszy na miejsce, zatrzymaliśmy się w ogrodzie za domem. Trevor poprowadził nas na kort tenisowy, który dojrzałem wcześniej z okna pokoju. Dwie pary rozgrywały hałaśliwego debła: biały chłopak i czarna dziewczyna przeciwko czarnemu chłopakowi i białej dziewczynie. Cała czwórka walczyła zacięcie o punkt, wrzeszcząc wniebogłose. Zaczekaliśmy, aż piłka wypadnie na aut, kiedy to gracze podbiegli, żeby się z nami przywitać. Trevor dokonał prezentacji.

- Moja córka Lillian i jej chłopak Patrick, mój syn Robin i jego dziewczyna Liz. Uczą się daleko stąd, ale przyjeżdżają na wakacje. Młodzieży, przedstawiam wam naszych gości: baron Delsey i Curro. Przyjechali do Kenii w poszukiwaniu dziadka Curra, który prawdo podobnie był zaręczony z babką Cordelią, zanim wyszła za waszego dziadka. Okazuje się, że mieliście szansę być spokrewnieni. Losy dziadka Curra to fantastyczna historia. Panowie obiecali, że dziś wieczorem usłyszemy ją w całości.

Odpowiedzieli, przekrzykując się pytaniami.

- Czy panowie są Hiszpanami? - przebił się pierwszy Patrick, chłopak Lillian.

- Tylko ja. Baron Delsey jest Francuzem.

- Przyszedłem na świat we Francji, nauki pobierałem w Anglii, a bawiłem się w Hiszpanii - doprecyzował Delsey. - Ponieważ od wielu lat mieszkam w Paryżu, oznacza to, że od wielu już lat zabawa jest mi obca.

- Paryż to cudowne miasto! - zawołał Robin, najmłodszy z dzieci Trevora. - Czy to możliwe, żeby nie bawić się w mieście tak zabawnym, jak Paryż?

- W waszym wieku człowiek szuka jeszcze rozrywki na zewnątrz. W moim albo nosisz ją w sobie, albo nie znajdziesz jej nigdzie.

- Curro, Trevor powiedział nam, że jesteś dziennikarzem, to prawda? - Liz pominęła milczeniem niezwykle lament Delseya. - Ja za rok idę na dziennikarstwo.

- Jej ojciec jest wielkim bonzem jednej z tutejszych gazet - wyjaśnił Trevor - nie powinna więc mieć z tym większych problemów.

- Skąd ja to znam?

- Poważnie! Jakiej gazety? - zapytałem dociekliwie.

- „The Standard”.

- To nie do wiary, co za zbieg okoliczności! Znamy dziennikarza z „The Standard”, prawda, Delsey? Nazywa się Kennedy Kamaru. Pomaga nam w poszukiwaniu dziadka.

- Ken, znam go! Twokay, jak go nazywają niektórzy z powodu jego inicjałów. Bardzo sympatyczny gość, ale zawsze jest jak nakręcony.

- Niebawem, jaki ten świat jest mały! - zakonkludował Trevor.

- Zjemy obiad na górze, nad rzeką. Macie ochotę zabrać się z nami?

- Byłoby sympatycznie, ale umówiliśmy się już w klubie z Cynthią, Jimem i resztą - usprawiedliwiła się Lillian. - Spotkamy się na kolacji. Muszę usłyszeć tę historię. No i zawsze miło jest gościć tutaj młodych ludzi. - Zwracała się do mnie i zorientowawszy się, że komentarz ów dyskryminuje Delseya, dodała: - W ten sposób powiększy się grupa młodzieży czerpiącej naukę z doświadczenia zaszczycających nas wizytą osób starszych - powiedziała, spoglądając na Delseya i ratując w elegancki sposób sytuację.

Nim wykonała zwrot, by wrócić na kort, spojrzała na mnie ponownie, jednak tym razem jej oczy zmieniły zabarwienie. Nie był to naturalny dla rozmowy kontakt wzrokowy. To dziwne, bo chociaż niczego swoim spojrzeniem nie insynuowała, to należało ono do kategorii tych sprawiających nieodparte wrażenia, że jesteś obiektem swojego badania zakończonego wystawieniem oceny twojemu

fizycznemu powabowi i to oceny wysokiej. Nie zrozumiałem tego w tamtym momencie i mniej jeszcze, gdy z dwuznacznym uśmiechem, na poły uprzejmym, na poły psotnym spytała ojca:

- Jedziecie do Portii?

- Tak, zaraz się do niej wybieramy - odpowiedział Trevor.

- Powodzenia - zawołała Lillian i pobiegła na kort, wymachując rakieta.

Wrócili do przerwanej gry, Delsey i ja tymczasem zaczekaaliśmy na Trevora, który wstąpił do domu po obiad, którego przygotowanie zaordynował rano Githuku. Następnie kontynuowaliśmy naszą marszrutę ku stajniom widocznym z mojego okna.

- Konie. Drugie oblicze działalności tej farmy. Tak się szczęśliwie złożyło, że nasz teren sięga północnego krańca płaskowyżu Kinangop i jego całkowita różnica wysokości wynosi pięćset metrów. Hodujemy nasze konie na tym wyższym pułapie, dzięki czemu zyskujemy przewagę podczas rywalizacji na torach wyścigowych położonych na niższych wysokościach, na przykład brytyjskich czy nawet na torze w Nairobi. Tym także zajmuje się Regina z pomocą naszej córki Chloe.

Chloe była mniej więcej w moim wieku i uderzająco przypominała matkę, jednak jej sposób bycia cechował się większym dystansem i mniejszą serdecznością, a jej twarz miała jakiś metaliczny wyraz pozbawiony magnetycznego ładunku Reginy. Pokazawszy nam konie, Trevor uznał, że czas wyjaśnić gościom meandry rodzinnej genealogii. Chloe mieszkała i pracowała na farmie. Lillian i Patrick poznali się w szkole, studiowali w Cambridge i planowali założenie małej wytwórni filmów przyrodniczych. Młodszy, Robin i Liz, mieli jeszcze przed sobą rok szkoły z internatem w Nairobi. Przyszłość Liz nie pozostawiała żadnych wątpliwości, Robin zaś pragnął poświęcić się turystyce. Odkąd zaczął samodzielnie myśleć, naciskał rodziców, aby zbudowali na terenie posiadłości luksusowe obozowisko dla turystów. Mógł w tej sprawie liczyć na poparcie Lillian i Patricka, którzy marzyli o przekształceniu wszystkich *highlands* w sanktaurium zwierząt. Rzeczywiście cały ten obszar za stajniami górujący nad farmą utrzymywał się w naturalnym, dzikim stanie i gromadził populację roślinożerców przyciąganych magnezem znajdujących się pod ochroną pastwisk.

Cała ta idylliczna idea sanktuarium, luksusowego obozowiska i filmów dokumentalnych zderzała się jednakowoż z jedną przeszkodą, której było na imię Szaleństwo Portii.

Przebyliśmy kawałek drogi, kierując się na północ, aż zniknęły za nami stajnie i przez dobrą chwilę kontynuowaliśmy naszą wspinaczkę stromym zboczem, by w końcu dotrzeć do jakiegoś zamieszkanego miejsca. Dwa baraki i wielkich rozmiarów hangar przypominający garaż wznosiły się wokół kolistej, wyasfaltowanej platformy, z której rozchodziły się w przeciwne strony dwie wąskie, asfaltowe, doskonale utrzymane wstęgi, takie same jak ta, przez którą przejeżdżaliśmy wcześniej. Kręciło się w tym dziwnym miejscu czterech lub pięciu mężczyzn w roboczych niebieskich kombinezonach. Trevor zagadnął jednego z nich, ściskającego w dłoni klucz francuski, na co mężczyzna uniósł w odpowiedzi narzędzie, pokazując na garaż. Ruszyliśmy we wskazanym kierunku, kiedy z ciemnej, obszernej czeluści hangaru wyłonił się motocyklista dosiadający wielki, żółty motocykl mający wszystkie cechy rasowej maszyny wyścigowej. Ciało motocyklisty od stóp do głów opinał obcisły, czarny kombinezon o metalicznym połysku; głowę skrywał również czarny kask z zaciemnioną szybką.

- To kobieta! - szepnął Delsey po hiszpańsku.
- Portia, jak mniemam - wydedukowałem.

Istotnie pochylona za kierownicą postać nie tała kobiecych kształtów, a wydatny biust ściśnięty między ramionami nie mógł budzić najmniejszych wątpliwości. Pokręciła się przez chwilę na asfaltowej platformie, wypróbując maszynę, której przednie koło zdawało się mieć luz. Kiwnęła na jednego z mężczyzn, pokazując, że coś jest nie tak, i ten zniknął w garażu, wypychając po chwili drugi, czerwony motocykl. Kiedy postać zmieniała motocykle, rozwiały się resztki wątpliwości co do jej płci. Była to bezapelacyjnie kobieta o bogatych kształtach sprężonych pod tym czarnym kombinezonem wpijającym się w jej wszystkie wklęsłości i opinającym wypukłości jak powłoka teflonu na dnie patelni, upodabniając ją do czegoś w rodzaju perwersyjnej, nagiej, powleczonej czystą czekoladą, dosiadającej zadu swego mechanicznego konia lady Godivy. Zaciśnęła dłonie na kierownicy i wykonała kilka manewrów na platformie w przód,

w tył, zatoczyła kilka kółek, aż wreszcie uniosła w górę kciuk, dając do zrozumienia mechanikowi, że wszystko w porządku. Z przeciwnego krańca platformy odwróciła ku nam głowę, dodała nagle gazu i ruszyła gwałtownie w naszą stronę, wyhamowując z lekkim poślizgiem na ułamek sekundy przed wbiciem się w naszą grupkę. Rzuciłem okiem na Trevora, który uśmiechał się tylko pod nosem, ona tymczasem bawiła się manetką gazu i obserwowała nas zza nieprzeniknionej, ciemnej szybki. Dała znak ręką jednemu z mechaników, wskazała na mnie zarekawiczonym palcem, dotykając zaraz potem swojego kasku i kombinezону. Mechanik pognął do jednego z baraków i po chwili wrócił z kaskiem, kurtką i spodniami motocyklowymi i wcisnął mi to wszystko w ręce. Postanowiłem przyjąć wyzwanie i wciągnąłem dostarczony mi ubiór bezpośrednio na ubranie. Gdy byłem gotów, rycerskim gestem, w stylu błędnego rycerza wyciągnęła ku mnie dłoń, a gdy zacisnąłem na niej swoje palce, szarpnęła mną gwałtownie i wykatapultowała za siebie, na mikroskopijne siedzenie motocykla. Przycupnąłem taktownie, usiłując pozostawić między naszymi ciałami szczelinę, przez którą mogłoby przepływać swobodnie powietrze i próbując jednocześnie wymacać za sobą jakiś uchwyt przytwierdzony do podwozia, lecz wówczas natarła na moje kroczki oklejonymi teflonem, krągłymi biodrami, chwyciła mi ręce za nadgarstki i szarpiąc nimi bezwzględnie, szczepiła ciasno wokół swojej talii jak pas bezpieczeństwa w samolocie. Kiedy tylko nastąpiło nasze zespolenie i odpowiedziałem na jej uniesiony kciuk identycznym gestem, dała znak mechanikowi trzymającemu w ręku stoper. Zrozumiałem, że mogę sobie wybić z głowy ideę uroczego spaceru po malowniczej okolicy.

Ruszyła z huraganowym przyśpieszeniem, które zmusiło mnie do wbicia pięt w strzemiona oraz jeszcze miłośniejszego przyłgnięcia do jej ciała. W pierwszej chwili nie pomyślałem, że mogła celowo wywołać moją reakcję, jednak w miarę upływających minut nabierałem coraz większego przekonania, że prowadzenie tej motocyklowej rakiety było dla niej czymś w rodzaju seksualnych manewrów. Nie miałem rękawiczek i kiedy walczyłem z siłą inercji, starając się utrzymać ręce nieruchomo w jednym miejscu, by nie ślizgały się po obrysach jej ciała, ona zdawała się prowadzić z umyślną precy-

zją, dozując tarcie swoich pośladków o moje krocze tak, by moje dłonie utraciły punkt oparcia i ślizgały się po cienkiej i błyszczącej tkaninie jej kombinezonu, co pozwoliło mi stwierdzić, że pod spodem nie miała na sobie nic prócz małego intymnego drobiazgu obiegającego cienkim sznureczkiem jej talie.

Wszystko to było tyleż zmysłowe, co niewygodne. Na szczęście prowadziła motocykl z wielką maestrią, pędziliśmy bowiem pewnie z dwieście na godzinę. Tor, który nie miał nawet dwóch metrów szerokości, był niezwykle gładki i mknęliśmy po nim łagodnie jak na poduszce magnetycznej, ale odnosiłem wrażenie, że jest zbyt wąski jak na tak wielkie prędkości i jakikolwiek fałszywy ruch mógł sprawić, że cierniste krzewy zmieniłyby nas w siekaninę, jeśli wcześniej nie rozklepalibyśmy się na jakiejś skale i nie skończyli, o czym zdaje się marzyła ona, zintegrowani w jednym podwójnym hamburgerze zmiksowanego mięsa. Nie bez pewnej trwogi dostrzegłem przed nami niewiarygodnie ostry zakręt, gdzie na szczęście tor się rozszerzał; pokonała go z idealnie dobraną szybkością niepozwalającą jej zboczyć z trajektorii choćby na centymetr, doprowadzając jednocześnie do sytuacji, w której moja ręka od wewnętrznej strony zakrętu zatopiała się całkowicie niechcący między jej udami. Natychmiast ją stamtąd ewakuowałem, ale ona zdążyła już zareagować, przyspieszając ponownie na kolejnej prostej, która biegła ukośnie do poprzedniej i kawałek dalej łamała się w kolejny zakręt o kącie prawie stu osiemdziesięciu stopni. Podwójnie otepiały szybkością i podnieceniem ledwie zdołałem zauważyć mijany dom; potem przecięliśmy polną drogę, znaną mi już z porannej przejażdżki z Trevorem, i zaraz pojawiły się szklarnie, gdzie złożyliśmy się w kolejny, przyprawiający o zawrót głowy zakręt, który wyprowadził nas na prostą ciągnącą się wzdłuż żelaznego parkanu przez blisko dwa kilometry; miałem nawet wrażenie, że mignęła mi przed oczami pozdrawiająca nas Regina, chociaż musiała to być z pewnością moja matka w jednej z tych składankowych halucynacji na chwilę przed śmiercią. Wykręciliśmy ponownie na północ i kilka minut później dom wyłonił się po przeciwnej stronie. Udało mi się zorientować, że okrążyliśmy *lowlands*, aby zanurzyć się w dzikim terytorium *highlands*, zdążając w stronę płaskowyżu Kinangop, którego profil

zbliżał się do mnie szybciej, niżbym sobie tego życzył. Nagle w głębi toru zamajaczył pojazd pnący się niemal pionowo po płaszczyźnie, która musiała być skarpą płaskowyżu. Wyobraziłem sobie, że ten dziki rajd skończy się tu właśnie w taki czy inny sposób - albo zawrócimy, albo się zabijemy. Zrozumiałem, że raczej to drugie, gdy mój kierowca wykorzystał długą prostą, żeby przyspieszyć do maksimum i wpaść na tę niewiarygodną równię pochyłą z szybkością dwustu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę z wyciem, któremu za ciasno już było w standardowej skali. Poczułem, że dusza ulatuje ze mnie przez czubek głowy, kiedy motocykl wtargnął na czterdziestopięciostopniowy podjazd i w obliczu tego kąta i tej prędkości, pchnięty jakimś automatycznym, instynktownym impulsem zacząłem szukać najwyższego punktu zaczepienia, żeby uchronić się przed runięciem w pustkę, i chwyciłem rozpaczliwie dłońmi za jej piersi. Dotknąwszy ich, uzyskałem pewność, że przejazdówka ta rzeczywiście ją podnieca, i pomyślałem, że taki musiał być po części cel jej manewru, gdy dotarłszy na szczyt, zablokowała ruchliwość moich rąk, biorąc je w kleszcze swoich pach. Może powinienem był się w tym rozsmakowywać, ale szczerze mówiąc, czułem, że jestem manipulowany. Obiektywnie rzecz biorąc, nie robiła nic, co wykraczałoby poza prowadzenie tej piekielnej maszyny, podczas gdy ja obmacywałem jej ciało niczym bezwładna marionetka poruszająca się pod jej dyktando. Wściekałem się na tę instynktowną ekscytację, jaką we mnie wzbudziła.

Myśl ta przemknęła mi przez głowę jak strzała, ponieważ natychmiast uświadomiłem sobie, że czyha na nas inne, nie mniej groźne niebezpieczeństwo: zwierzęta. Na płaskowyżu ciągnął się długi odcinek prostej, który otwierał przed moją motocyklistką możliwość wyciśnięcia mocy z silnika do ostatniego milimetra sześciennego pojemności. Nie zaprzepaściła tej okazji. Ja w tym czasie z nędznym skutkiem usiłowałem rozróżnić zwierzęta czmychające w niewielkiej od nas odległości, jakby ktoś wystraszył je strzałem z dubeltówki. Wiedziałem, że wcześniej czy później jedno z tych stadek wyjdzie nam naprzeciw i zastanawiałem się, co wówczas nastąpi, wznosząc jednocześnie modły, aby do wspomnianych przez Trevora populacji roślinożerców stołujących się na terytorium *highlands*

nie zaliczały się nosorożce czy bawoły, i wówczas przypomniałem sobie, że to bawół właśnie zabił ojca Cordelii. Wkrótce miałem poznać odpowiedź. Para antylop wyglądających na mikre dopóty, dopóki nie zaczęły rosnać w oczach - w których rozpoznałem młode samice lub samce *waterbucks* - wałkonila się niewinnie nieopodal toru, potem obok toru, tuż przy torze, na torze!, gdy my tymczasem gnaliśmy na złamanie karku prosto na nią. W ostatnim tchnieniu wyobrażałem sobie wyprawę ratunkową zbierającą nasze strzępy rozsiane po okolicznych szczytach gór Aberdare, lecz niespodziewanie, gdy przed nami ścieliła się ostatnia, stumetrowa prosta naszego życia, przerażone *waterbucks* pierzchły w popłochu. Podobna scenka powtórzyła się nieco dalej z grupką gazel Granta, a potem z klanem pawianów i w niepojęty sposób, we wszystkich tych wypadkach zwierzęta uciekały na kilka sekund przed kolizją, w żadnym też momencie dłoń motocyklistki nie osłabła na manetce gazu, nawet gdy pokonywaliśmy wąskie kładki nad strumieniami i jedynym wyjątkiem były zakręty, które wiodły nas z powrotem ku krawędzi płaskowyżu. Tam właśnie czekał na mnie deser, bo o ile podjazd wyglądał z daleka jak pionowa ściana, o tyle tor zjazdu po prostu znikał. Ostatecznie nasze strzępy nie zostaną odnalezione na szczytach gór Aberdare, lecz w wodach jeziora Naivasha, jedyne miejsce widocznego za krawędzią, gdzie asfalt się urywał. Nie wierzyłem, że ośmieli się to zrobić. Ośmieliła się. W czasie, którego nie potrafiłem oszacować, wykonałem mój drugi tego dnia lot, podziwiając z góry krajobraz Rift Valley, tym razem bez skrzydeł i wczepiony kurczowo w twarde i rozwibrowane, wierzące mi dziury w dłoniach piersi jakiejś nieznanej wariatki.

Na przekór wszystkim znakom na niebie i ziemi spadliśmy na dwa koła w granicach naszego toru, który w tym miejscu został szarmancko poszerzony. Po kilku dosadnych gibnięciach, które zachwiały moją wiarą w szczęśliwe lądowanie, motocyklistka odzyskała pełnię równowagi i ponownie wystrzeliła nas z szybkością dwustu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę w dół stoku prostą jak strzała, wydawałoby się, niekończącą się prostą, której kres jednakże nastąpił zniemacka na dziewięćdziesięciostopniowym zakręcie, w który weszliśmy poślizgiem i z którego wyszliśmy, trudno uwierzyć, ale

cali i zdrowi, wprost na kolistą platformę między barakami i garażem.

Zdawało mi się, że przez zamgloną percepcję rozbitego na puree mózgu słyszę głos stoperowego informującego o uzyskanym czasie i zaraz potem entuzjastyczne oklaski zgromadzonych. Oderwałem dłoń od piersi Portii i zląłem z motocykla, dotykając stopami ziemi w nieporadnym stepie. Ona zeskoczyła, stając przede mną i ściągając kask, gdy ja tymczasem nie pamiętałem, że paradowałem w takim samym na głowie. Długie, proste blond włosy rozsypały się do połowy jej pleców jak w reklamach szamponów i wtedy po raz pierwszy zobaczyłem jej oblicze - marka Blackbourne-Hall, model, jak się domyślałem, około 1960 - tak niezwykle łagodne, że w pierwszej chwili nie mogłem dać wiary, że mogło należeć do mojej dręczycielki, okolone ramką kwadratowej grzywki, pod nią oczy o przepastnej dali przenikające na wylot swoim spojrzeniem pasmo gór Aberdare, spiczasty i pogodny niczym płaskowyż Kinangop nosek, kości policzkowe wyglądające, jakby wyrosły pod ożywczą rosą szklarni i czysty, jasny uśmiech żywnych brzegów jeziora Naivasha. Jej fizjonomia była syntezą całego krajobrazu. Nie wiedziałem jeszcze o jej pokrewieństwie z pozostałymi, ale bardziej przypominała Reginę niż jej własne córki.

- Cześć, drogi wujku. - Musnęła jego usta przelotnym pocałunkiem.

- Cześć, skarbie. - Trevor uśmiechał się zauroczony.

- Portia van Slyck. - Podała dłoń mnie i Delseyowi. Pomimo serdecznego uśmiechu malującego się na jej twarzy gest ten wydał mi się zaskakująco zimny, zważywszy, iż moimi liniami papilarnymi wytatuowane było całe jej obcisłe wdzianko. Uścisnęliśmy kolejno wyciągniętą ku nam dłoń. - Moje gratulacje. Jesteś niezwykle... zapalonym pasażerem. Do tego stopnia, że jak widzę, za nic nie chcesz rozstać się ze swoim sprzętem.

Zdałem sobie wówczas sprawę, że się ośmieszam, trwając w najlepsze w pełnym rynsztunku z kaskiem na głowie i w motocyklowym odzieniu. Płonąc ze wstydu, zrzuciłem z siebie to wszystko pod badawczym spojrzeniem Portii. Trevor przedstawił nas sobie.

- Panowie, moja kuzynka Portia, zagorzała sportsmenka, jak

możliście się przekonać. Kochanie, to pan baron Delsey i Curro. Pan baron jest Francuzem, Curro Hiszpanem.

Delsey już miał coś powiedzieć - obawiałem się ponownego wykładu na temat jego pochodzenia - kiedy ubiegła go Portia.

- Hiszpan, co za obiecująca nowość! Wreszcie trochę gorącej, śródziemnomorskiej krwi między nami. Mamy tutaj włoskich sąsia dów, ale to Włosi lurowaci, jak Giorgio. Śpiewają „Rule Britannia” lepiej od nas.

- *Rule, co?* - zażartował Trevor.

- Giorgio? - spytałem.

- Mój brat - wyjaśniła Portia. - Nie poznaliście go jeszcze?

- Przypuszczam, że pochłonięci są jedną ze swoich bitewek - zgadywał Trevor - i nie chciałem im przeszkadzać, wiesz, jak poważnie to traktują.

- Podobał ci się cwał? - Portia spojrzała na mnie z aluzyjnym błyskiem w oku. - Co czuleś? Opisz mi to.

- To była wybitnie intensywna kombinacja przenikającego do szpi ku kości uczucia rozkoszy i strachu, doznanie, jakiego nigdy przed tem nie dane mi było skosztować. Ciągle jeszcze nie mogę dojść do siebie. - Powiedziałem to? Nie miałem zamiaru flirtować. Ona zdawała się spijać moje słowa z ust - Jednak wciąż nie potrafię zrozumieć, w jaki sposób udało się nam uniknąć zderzenia ze zwierzętami.

- Ach, to mój mały wynalazek. Używam tego. - Pochyliła się nad kierownicą motocykla i nacisnęła jakiś guzik. - Słyszysz coś?

-Nie.

- A zwierzęta tak. To wielkiej mocy klakson ultradźwiękowy.

- I z tego właśnie względu, że ucho ludzkie nie słyszy tych dźwięków, któregoś dnia ta wymyślna zabawka zepsuje się i nie będziesz nawet o tym wiedzieć - przestrzegał ją Trevor. - Uważaj na siebie, kochanie.

- Mój wuj to istny anioł. Troszczy się o mnie tak bardzo, że zasy pywałabym go całusami noc i dzień. - Obdarowała Trevora tym samym, co na przywitaniu, pocałunkiem. - No dobrze, miło mi było was poznać. Mam nadzieję - wbiła we mnie penetrujące źrenice - że będziemy jeszcze mieć okazję... pocałować znowu. Teraz, jeśli

pozwolicie, wykonam w pojedynkę szybkie okrążenie. - Należało przez to rozumieć, że nasze okrążenie było wolne?

Po doświadczeniach naszego wspólnego rajdu można było sobie wyobrazić Portię jako klasyczną *femme fatale*, lwicę o głębokim głosie i szorstkim, męskim niemal obyciu. Jej głos był jednak łagodny, niemal dziecinny, a w jego tonie znajdowała odbicie łagodność i delikatność jej twarzy, i nawet owa aluzja do powtórnego cwałowania brzmiała w jej ustach jak niewinne zaproszenie do przejażdżki na karuzelowych konikach. Zebrała włosy jedną dłonią, drugą wcisnęła na głowę kask, ani na chwilę nie odrywając ode mnie wzroku, dosiadła swojej maszyny i pognąła asfaltową wstęgą. Gdy szliśmy do samochodu Trevora, na ustach Delseya błąkał się złośliwy uśmieszek. Myślałem o aberracji, niebezpieczeństwie i absurdzie tej sytuacji, która na domiar złego obnażała mój odwieczny problem z dziewczynami seksualnie agresywnymi. Aberracją było dla mnie to, że od przybycia do Kenii sto procent poznanych przeze mnie imponujących i seksualnie agresywnych kobiet pociągała moja osoba. Było ich tylko dwie, ale wciąż stanowiły sto procent, co w świetle statystyki stawiało mnie w jednym rzędzie z Sangre de Cristo i Jamesem Bondem. Portia sprawiała nieodparte wrażenie osoby mało wybrednej w wyborze obiektów swoich podbojów i być może tylko bawiła się w prowokowanie mnie, jak to czyniła w stosunku do swego wuja. Jeśli jednak było inaczej, bardzo szybko mogłem znaleźć się w opałach i tego się właśnie obawiałem. W wypadku Makeny powodem, dla którego nie mogłem przekroczyć wiadomej granicy, było zaufanie, uważałem bowiem, że trwała przyjaźń i szybki seks są dwoma nieprzystawalnymi do siebie fenomenami. W wypadku Portii jednak musiałem dopiero odnaleźć ten powód, gdyby zaistniała taka konieczność. I teraz właśnie dotykaliśmy kwestii absurdu. Nie znam wielu mężczyzn, którzy desperacko szukaliby pretekstu pozwalającego im nie przespać się z prześladowającymi ich zjawiskowo pięknymi kobietami.

W trakcie jazdy samochodem miałem okazję podziwiać w sposób bezstresowy *highlands* wchodzące w skład farmy, wysoko położone łąki i zagajniki usiane fauną. Pokonaliśmy próg Kinangop, telepiąc się katastrofalną drogą, która na szczęście, w odróżnieniu

od Szaleństwa Portii, pięła się ospałym zygzakiem. Podczas gdy delektowaliśmy się wycieczką, napawając wzrok pięknem okolicy, Trevor opowiedział nam o zmysłowej trzydziestolatce. Portia była córką Olivii, siostry Reginy i osadnika z drugiego pokolenia pochodzenia afrykanerskiego, Rogera van Slycka, którego poślubiła, gdy zaszła z nim w ciążę. Zgodnie z życzeniem Olivii po przyjeździe na świat Portii para przenieśli się na Capri, jednak małżonkowie nigdy nie potrafili znaleźć wspólnego języka, poza tym pierwotnym impulsem, który dał początek ich związkowi, przygodzie opartej na obopólnej cielesnej fascynacji. Olivia była kobietą subtelną i odznaczającą się podobnym „brakiem skrępowania” - powiedział Trevor, szukając przez krótką chwilę odpowiedniego określenia - co jej córka, Roger zaś to typ twardego farmera, którego myśli zaprzętały jedynie krowy, broń i polowania. Nikt się zatem nie dziwił, że osiedliwszy się na Capri, Olivia nawiązała wkrótce przyjaźń z Franco Valletim, bogatym projektantem z Toskanii i że kilka miesięcy później Roger wrócił do Kenii, aby przejąć działkę w posiadłości byłej żony, jaka przypadła mu po podziale małżeńskiego majątku, jako że jego własna rodzina zbyła farmę po uzyskaniu przez Kenię niepodległości. Olivia i Franco wzięli ślub i kupili dom w Malindi, na kenijskim wybrzeżu zamieszkanym przez włoską społeczność, gdzie obdarowali Portię braciszkiem o imieniu Giorgio. Niedługo potem Olivia i Franco zginęli w wypadku samochodowym i Roger odzyskał Portię, biorąc również na wychowanie Giorgia, którego traktował jak własnego syna. Z biegiem lat Roger i Giorgio znaleźli wspólne zainteresowanie: modelarstwo wojenne, które pochłonęło ich bez reszty. Na potrzeby swej pasji zaadaptowali jeden z salonów domu, w którym w najmniejszych szczegółach i w czasie rzeczywistym odtwarzali bitwy obydwu wojen światowych. Do każdej z nich przygotowywali się starannie przez długie miesiące, zbierając wyczerpującą dokumentację i podróżując do miejsc, które były niegdyś teatrami działań wojennych. Jeśli w danej bitwie walczyło pięć tysięcy trzystu pięćdziesięciu czterech żołnierzy niemieckich, na makiecie Rogera i Giorgia znajdowały się pięć tysięcy trzysta pięćdziesiąt cztery figurki niemieckich żołnierzy, a jeśli na makiecie Rogera i Giorgia leżał na ziemi jakiś znak drogowy, nikt nie śmiał

wątpić, że ów przewrócony znak leżał przy prawdziwej drodze w czasie prawdziwej bitwy. Jeśli historyczna ofensywa zaczęła się drugiego marca o godzinie piątej trzydzieści siedem rano, Roger i Giorgio wstawali drugiego marca o piątej rano, aby o piątej trzydzieści siedem ofensywa mogła ruszyć. Dlatego gdy zamykali się w swoim wojennym salonie, pod żadnym pozorem nie można było ich niepokoić, jakkolwiek obcy wtęret w planowanej operacji mógł bowiem zmienić bieg historii.

Co do Portii, była to fascynująca istota, zapewniał Trevor, i wszyscy ją uwielbiali, pomimo jej ekscentryczności i - minęło kilka sekund, zanim ponownie przypomniał sobie to określenie - „braku skrępowania”. Portia nie była istotą stworzoną do folwarcznego życia i nigdy nie zasymilowała się z krajem, w którym się urodziła. Mieszkała w Kenii tylko dlatego, że mogła tu prowadzić niszowy styl życia i dogadzać swoim jakże kosztownym kaprysom, nigdy jednak nie rościła sobie żadnych praw z tytułu współwłasności ani nie wtrącała się do zarządzania majątkiem. Wierzyła ślepo w rodzinę i nie komplikowała sobie życia. Jej stosunek do świata był prosty: jeśli czegoś pragnęła, brała to, nie prosząc o pozwolenie. Omamiła pewnego niemieckiego inżyniera, którego skłoniła do wybudowania jej czegoś bezprecedensowego w skali całego kraju: toru motocyklowego, który z wyjątkiem szerokości i ryzykownych rozwiązań technicznych mógł konkurować z każdym tego typu obiektem przeznaczonym do profesjonalnych treningów. Spytałem, czy to jej zainteresowanie motocyklami ma wymiar handlowy, na co odpowiedział, że w istocie tak na to trzeba patrzeć: Portia kupowała wyczynowe motocykle, kupowała części zamienne, kupowała kombinezony, kupowała akcesoria, płaciła za utrzymanie toru, a inni sprzedawali jej to wszystko. Zrozumiałem ironię Trevora także wówczas, gdy zasugerował, że motocykle były tylko jedną z dwóch namiętności Portii i że jej żyłka handlowa polegała na uzyskiwaniu od wszystkich, nie tylko od mężczyzn, tego, czego pragnęła na warunkach - zastanowił się przez chwilę nad stosownym terminem - „obustronnie korzystnych”. Konflikt zarysował się wówczas, gdy pojawiły się plany sanktuarium i luksusowego obozowiska, niedające się nijak pogodzić z ultradźwiękowym poci-

skiem prującym przez sawannę z prędkością dwustu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Niemniej jednak nikt nie chciał pozbawić słodkiej Portii jej zabawki. Wszyscy ją uwielbiali.

Zatrzymaliśmy się na obiad nad zacisznym jeziorkiem tworzącym wyrwę w wąskim lesie galeriowym rosnącym wzdłuż rzeczki. Był to jeden ze sztucznych zbiorników wybudowanych w celu zaopatrzenia w wodę szklarnie, na wypadek gdyby któregoś dnia władze zakreśliły kurek z wodą z jeziora, tłumacząc się wymogiem troski o ekosystem. Z czasem te rozmieszczone na terytorium *highlands* sadzawki stały się w porach suchych magnesem dla dzikiej fauny. Tuż obok naszej sadzawki - wybór na nią padł z powodu jej szczególnie urokliwego usytuowania i wspaniałych widoków - wzniesiono altanę przeznaczoną na piknikowe obiady. Był to ulubiony zakątek Trevora, kiedy szukał spokoju. Czasem przyjeżdżał tu pracować ze swoim laptopem, zaopatrzone w zapasowe baterie, książki i kilka piw, zwłaszcza gdy praca wymagała koncentracji, a atmosfera domowa tętniła zbyt ożywieniem. Przypomniałem sobie wówczas coś, co czytałem na temat Churchilla, który ponoć mawiał, że nigdy nie mógł zrozumieć ludzkiej żądzy posiadania ziemi, dopóki pewnego dnia nie odwiedził Rift Valley. Wyobraziłem sobie pracującego tam Trevora w niczym niezmaconej samotności, właściciela jednego z najpiękniejszych skrawków świata, i pomyślałem, że w żadnym innym miejscu płaskowyż nie jest tak blisko nieba.

Pęknięcie w ryfcie

Przez całe popołudnie przeżuwałam obiad w asyście butelki whisky i hawańskich cygar, specjalów, które Trevor włączył do piknikowego menu. Zmęczeni rwetesem Nairobi, w leniwej ciszy jeziora i doliny poczułam się z Delseyem nad wyraz błogo, w czym wydatnie pomagała nam usypiająca moc alkoholu. Dzień chylił się ospale ku dalekiemu krańcowi Rift Valley, na płaskowyżu wzdymała się nieskalana powłoka świeżego powietrza pachnącego ziołami, a tuż pod naszym nosem jakaś samotna gazela ośmieliła się zlekceważyć obecność człowieka, aby ugasić pragnienie na krawędzi sadzawki. Obserwując zwierzęta, wspomniałem o strachu przed bawołami podczas przejażdżki z Portią, co Trevor skwitował stwierdzeniem, że podczas swoich wieloletnich obserwacji Alan odnotował sporadyczne wizyty bawołów, słoni, nosorożców, a nawet lampartów. Poza populacjami wymienionych wcześniej przez Trevora roślinożerców, zamieszkujących ten rejon, posiadłość odwiedzali goście wszelkiej maści, ponieważ ogrodzenie sektora północno-wschodniego wyposażone było w przejście, które ułatwiało ekspansję faunie żyjącej w strefie lasu graniczącego z górami Aberdare, między farmami i płotem parku narodowego. „Na-w-razie-czego” o wadze pięćdziesięciu kilogramów Trevor zawsze woził w bagażniku naładowaną strzelbę.

Zaczekałem, aż postawi kropkę na końcu swoich objaśnień, nim zapytałem o tajemniczego Alana. Trevor wybuchnął śmiechem.

Zapomniał nam o nim wspomnieć i w gruncie rzeczy mogliśmy go w ogóle nie poznać. Ekscentryczny starszy brat Reginy i Olivii był ostatnią postacią z obsady farmy, raczej statystą niż aktorem drugoplanowym, bo widywano go bardzo rzadko. Alan zawsze był na swoim „stanowisku”, powiedział Trevor. Spytałem, czy pracował poza domem, więc musiał mi wyjaśnić, że w tym wypadku słowo *post* należy rozumieć nie w znaczeniu stanowiska czy zatrudnienia, lecz dosłownie, słupa: Alan zawsze był na swoim słupie. Był typem odludka, człowiekiem nieprzystępnym i szorstkim, bardziej związanym ze zwierzętami i Kikuju, którzy wypasali swoje stada w *highlands*, niż z własną rodziną. Przed wielu laty kazał sobie wznieść na brzegu małego jeziora gruby, długi na sześć metrów słup, na którego wierzchołku przytwierdził wieżyczkę obserwacyjną. Spędzał tam całe godziny, czasem dni, w domu zjawiając się wyłącznie w celu uzupełnienia zapasów żywności. Wedle słów Trevora łowił ryby w strumieniach, obserwował przyrodę i przede wszystkim notował. Notował wszystko: zaobserwowane zwierzęta, temperatury, deszcze, wiatry, przemieszczanie się chmur i burze, kwitnienie roślin, napotkane ślady i ekskrementy, poziom wody w strumieniach, a nawet zjawiska związane z geografią doliny, które uważał za symptomy o kluczowym znaczeniu dla przewidywania trzęsień ziemi i wulkanicznych erupcji. Co jakiś czas wysyłał kopie swoich zapisków do służb ochrony fauny, służb meteorologicznych, uniwersytetów i innych instytucji, ale jak do tej pory nie pojawił się żaden sygnał, aby ktoś wziął na serio jego prace badawcze, z wyjątkiem samego badacza. Podobnie jak Roger i Giorgio, Alan również nie lubił, kiedy ktoś zakłócał mu egzystencję dobrowolnego rozbitka i z tej przyczyny reszta krewnych unikała wkraczania w jego dominium na północnym krańcu farmy, które uszanowała nawet Portia, budując swój tor.

- Rozumiem tego człowieka -jęknął posępny Delsey, który tego dnia zdawał się święcić triumfy. - Skończyć jako lunatyczny słupnik to przeznaczenie starca poddanego ostracyzmowi.

- Myli się pan, Alan nie jest taki stary - zaoponował Trevor. - Jeśli dobrze pamiętam, ma tylko trzy lata więcej ode mnie. Zdaje się, że nie dobił jeszcze sześćdziesiątki. On taki po prostu jest. Nie

lubi ludzi. Przynajmniej ludzi należących do naszej rasy. Nie znam powodu takiej postawy, ale zawsze bliżej mu było do Kikuju. Żona pamięta go z czasów, gdy ona była małą dziewczynką, on zaś rozsądnym i towarzyskim, nastoletnim młodzieńcem. Regina podejrzewa, że mógł w młodości zobaczyć coś, doznać lub być świadkiem czegoś, co spowodowało w jego psychice jakiś uraz, zmianę zachowania, choć z niezbitą pewnością stwierdzić tego nie może.

- Ma pan na myśli powstanie Mau-Mau? - spytałem.

- Cóż, Alan był wówczas młodzieńcem. Podczas wojny popełniono koszarne zbrodnie. Jego ojciec, mąż Cordelii, służył podczas powstania w Kenya Regiment, jednostce specjalnej złożonej z osadników. Alan uczestniczył u jego boku w kilku misjach, nawet najmłodszy osadnik bowiem znał wroga i jego środowisko nieporównanie lepiej niż jakiś żołnierz z Sandhurst świeżo przybyły z wysp, lepiej nawet niż jakikolwiek weteran z Birmy. Las Aberdare to nie tropikalna dżungla, jak myślało wielu. Alan i inni synowie osadników posługiwali się językiem Kikuju, myśleli w języku Kikuju, mieli przyjaciół plemienia Kikuju i dorastali, bawiąc się w wojnę na stokach gór Aberdare. Niejednokrotnie próbowałem naciągnąć Alana na zwierzenia o jego wojennych doświadczeniach, bez skutku.

- Pan nie walczył? - Wykorzystałem rozluźnienie i zażyłość, jaką wytwarza whisky, aby pozwolić sobie na pewną śmiałość.

- Nie, miałem piętnaście lat, kiedy ogłoszono stan wyjątkowy, poza tym jestem z Mombasy, nie z White Highlands*. Nie pochodzę z rodziny osadników, lecz kupców zajmujących się od roku 1889 handlem morskim na wybrzeżu. Na początku cała ta zawierucha pod znakiem Mau-Mau była dla nas czymś odległym, zupełnie obcym. Zanim rozrosła się do rozmiarów wojny o niepodległość, patrzyliśmy na nią z wybrzeża jak na prywatny problem osadników i ich ziem. Czy to nie ironia losu? Ja, historyk, straciłem fundamentalną część historii swojej ojczyzny, która dosłownie przemknęła mi koło nosa. No ale wówczas to ja chciałem być pianistą jazzowym. Nawiasem mówiąc, słoń na ucho mi nie nadepnął.

Obszar środkowej Kenii w epoce kolonialnej zamieszkanym przez europejskich farmerów.

- To dziwne. Mówi pan o ojczyźnie jak prawdziwy Kenijczyk, nie jak... Anglik.

- Jestem Kenijczykiem, nie Anglikiem. Wszystkie zwierzęta na tej farmie w ludzkiej i nieludzkiej powłoce urodziły się w tym kraju, łącznie z Portią i Giorgiem. Nasze paszporty stwierdzają, że jesteśmy obywatelami Republiki Kenii. Jestem Kenijczykiem należącym do czwartego pokolenia, bardziej zasiedziały niż Richard Leakey, którego rodzina mieszka tu od trzech pokoleń. Niewiele osób może się tym poszczycić. Gdy moje dzieci się pożenią i wyjdą za mąż, za kilka lat pojawi się w domu mały Kenijczyk reprezentujący szóste pokolenie, który nauczy się, że już dziadek jego dziadka urodził się tutaj, na długo przed powstaniem tego kraju, na długo przed tym, nim jakkolwiek tutejszy Afrykanin zyskał świadomość narodową. Moje dzieci uczyły się i uczą w dobrych szkołach, gdzie większość ich rówieśników to czarni Afrykanie, a dwoje z nich, jak mogli panowie zauważyć, prawdopodobnie poślubi czarnych Kenijczyków i bardzo się z tego cieszą. Mimo to niektórzy wciąż nazywają nas „Europejczykami”, nawet „Anglikami”. Anglicy! Cóż więcej możemy zrobić? Gdyby nasza farma znajdowała się, nie wiem, na przykład w Argentynie, nikt nie kwestionowałby naszego obywatelstwa. Chociaż, jeśli mam być szczery, nie pragnę panów przekonać, że moja postawa należy do najbardziej rozpowszechnionych wśród białych Kenijczyków. Żaden z nich nie zaprzeczy, że Kenia jest najlepszym miejscem do życia na ziemi, ale według niektórych, cóż, powiedzmy, że według niektórych ten kraj nie spełnia wymogów jedynej i wyłącznej ojczyzny. Nadal trzymają Wielką Brytanię w odwodzie. To, co pierwotnie było polityką wykluczenia, która być może, gdyby nie dekolonizacja, znalazłaby swoje ujście w jakiejś formie apartheidu, po wywalczeniu *uhuru** przeobraziło się w politykę samowykluczenia: jeśli nie możesz pokonać wroga, nie mieszaj się z nim. Biali Kenijczycy nie lubią angażować się w politykę tego kraju, przynajmniej w jej publiczne przejawy. Posyłają swoje dzieci do tych samych szkół, co sąsiad, i wydają za jego synów swoje córki. Oczywiście wszystko to jest woda na młyn wiktymologicz-

Niepodległość.

nego nacjonalizmu. Jego prorocy mogą później sprzedawać swój demagogiczny dyskurs o białym, neokolonialistycznym diable.

- A czy ten diabeł nie istnieje naprawdę?

- Powiem tak, nastawienie i życzenia to jedno, drugie zaś to realia.

Jak może pan sobie wyobrazić, te nastawienia istnieją, lecz tu rządzą realia, a realia mówią, że to, co się w Kenii wydarzyło, to była prawdziwa dekolonizacja, nie pantomima. Ludzie, którzy zamykają na tę rzeczywistość oczy, czy to nostalgiczny biały, czy czarny nacjonalista, są głupcami. Po uzyskaniu *uhuru*, gdy osadnicy zaczęli wyprzedawać swoje ziemie, prowincja centralna opustoszała. Niektórzy znaleźli zatrudnienie i zostali, wielu jednak wyruszyło na poszukiwanie utraconego raju gdzie indziej, do dawnej Rodezji, Afryki Południowej, Australii. Wszystkie grunty skupione od osadników, miliony hektarów, miały być rozdzielone między Afrykanów bez ziemi na zasadzie długoterminowych pożyczek trzydziestoletnich. Cel osiągnięto, choć kosztem likwidacji cennych plantacji kawy i herbaty, które obsiano kukurydzą; na pastwę losu porzucono kanalizacje wodne, powracając do odwiecznego systemu dzbanów; rozebrano piękne domy, by w ich miejsce wznieść szałas z słomy i gliny. Wiele rentownych gospodarstw będących wzorem produktywności rozparcelowano na drobne kawałki i doprowadzono do ruiny z braku wizji raczej niż środków, a rzesza nowych małych właścicieli musiała sprzedać niedawno nabyte grunty, bo nie stać ich było na spłatę pożyczki. Z robotników rolnych ze stałą pensją przedzierzgnęli się w zrujnowanych właścicieli, a ich ziemie trafiły do jednej z rządowych firm redystrybucyjnych, aby ostatecznie wpaść z powrotem w ręce wielkich latyfundystów, którymi nie byli już biali osadnicy, lecz nowa elita czarnych Kenijczyków, w głównej mierze wywodzących się z plemienia Kikuju i Luo: ministrów, członków parlamentu, wysokich dygnitarzy prowincji bądź dystryktów, dyrektorów agend rządowych. Oto dzisiejsi wielcy posiadacze. Teoretycznie kupili te ziemie. A ja się pytam: skąd wzięli na to pieniądze? Prawdą jest, że za czasów kolonialnych niektórzy Kikuju dorobili się fortun: lokalni naczelnicy mianowani przez administrację, lojalni wojskowi, kupcy i garstka właścicieli ziemskich. Jednakże wielu ówczesnych nowych milionerów było studentami ze skromnych rodzin, polity-

karni KCA i KAU, wrogimi kolonializmowi nacjonalistami, których z oczywistych przyczyn reżim kolonii nie darzył względami. Mimo to z dnia na dzień „kupowali” farmy liczące dwa tysiące hektarów. Jak tego dokonali? I nie muszę chyba nadmieniać, że niektórzy z tych dufnych posiadaczy są jednocześnie żarliwymi demagogami szermującymi na prawo i lewo nacjonalistyczno-wiktomologicznymi argumentami.

- Na szczęście państwo nie straciliście swojej ziemi.

- Własność Reginy i jej rodziny podzielono i sprzedano tylko część tej ziemi. Ale to tylko jedna strona medalu. Po przeprowadzeniu afrykanizacji White Highlands nawet wśród tej garstki osadników, którzy nie wyjechali, tylko nieliczni mogli zatrzymać wielkie posiadłości w swoich rękach. W naszym wypadku ziemię i gospodarstwa znajdujące się na ich terenie należą do spółek, w których ma udziały nasza rodzina, ale również strony trzecie, inwestorzy prywatni, inne przedsiębiorstwa. Nie jesteśmy właścicielami ziemi, po której stąpamy, lecz luksusowymi lokatorami, choćbyśmy częściowo byli lokatorami we własnym domu. I z tej samej przyczyny w pewnym sensie pracujemy na cudzy rachunek.

- Dowiedzieliśmy się od Kena, tego jakże sympatycznego reportera, o okropieństwach, jakie działy się podczas tej tragicznej wojny.

- Delsey przebudził się z letargu. - Cała ta... przemoc i przelana krew, jaki był z tego wszystkiego pożytek? Proszę wybaczyć, jeśli moje pytanie wyda się panu naiwne, ale z tego, co pan mówi, rezultat wojny nie usatysfakcjonował nikogo, z wyjątkiem owej garstki nowobogackich.

- Otóż najbardziej radykalni nacjonałiści uważają, że wojna spełzła na niczym, ponieważ nie zostało spełnione oczekiwanie wolnego i nieodpłatnego zajęcia wielkich farm kolonialnych. Osobiście uważam, że powstanie Mau-Mau nie przyniosło niczego, co nie nastąpiłoby tak czy inaczej siłą inercji. Dzisiejszy status, bez wątpienia najlepsze z możliwych rozwiązań, to była najlogiczniejsza droga, którą prędzej czy później należałoby pójść, z Mau-Mau lub bez. Wielu jednak nie potrafiłoby przełknąć idei bezkrwawej niepodległości, niepodległości ciśniętej wzgardliwą ręką Imperium. I żeby nie było niedomówień, kiedy mówię wielu, mam na myśli obie

strony. Niektórzy za wszelką cenę pragnęli się wykazać i nie jest niedorzecznością myśleć, że wojna przyspieszyła proces, oczyściła kraj z ultrapravicowej mosleyowskiej sitwy, ułatwiła przekazanie ziemi... Mówi się, że historię piszą zwycięzcy i że wojny zapadają w pamięć jako konfrontacje bohaterów z łotrami. Każde kenijskie dziecko uczy się w szkole, że Dedan Kimathi, generał Mau-Mau w górach Aberdare, to bohater narodowy. Jednak niektórzy członkowie jego własnego ugrupowania, towarzysze walki, opisywali go jako fanatycznego szaleńca i okrutnika. Po przeciwnej stronie zaprzysięży wróg i pogromca generała, Ian Henderson, triumfator w oczach niektórych, między innymi afrykańskich *loyalists**, i oprawca pozbawiony jakichkolwiek skrupułów wobec innych, nawet wielu białych historyków. Czemu służyła ta wojna? Nie, pańskie pytanie, baronie, nie jest w żadnym wypadku naiwne. Naiwne byłoby stwierdzić, że żadna wojna niczemu nie służy. Sądzę, że poszukiwanie odpowiedzi na to właśnie pytanie skłoniło mnie do studiowania historii mego kraju. I coraz bardziej się przekonuję, że poprawna odpowiedź brzmi: a jeśli czemuś służyła, czy coś by to zmieniło?

Tym pytaniem Trevor zakończył swój wywód. Pograżyliśmy się w zadumie, patrząc w milczeniu na cienie Rift Valley pełzające w górę wyniosłej skarpy Kinangop, gdzie żaden ślad nie zdradzał, że kiedyś była tu wojna. Robiło się chłodno i postanowiliśmy wracać.

Zmierzch w ogrodzie domu przywitaliśmy tylko ja i Delsey, gdyż Trevor załatwiał swoje sprawy z Nairobi. Przespacerowaliśmy się po zielonym dywanie trawnika, po szutrowych ścieżkach pośród róż i okrążyliśmy basen przykryty taflą wody, w której odbijała się ciemna sylwetka skarpy Mau znajdująca się po drugiej stronie doliny. Zaczynałem przyzwyczajać się do podróżowania z dwoma Delseyami, do jego zmiennego nastroju i dwóch osobowości w nim drzemających, doktora Jekylla i mister Hyde'a, w które wcielał się bez uprzedniego ostrzeżenia, zażycia jakiegoś tajemniczego eliksiru czy widocznej przyczyny. Tego dnia był jakiś szorstki i milkliwy, wykorzystałem więc okazję, aby spróbować wy badać, co go gryzie.

Afrykanie, którzy po wybuchu walk o niepodległość w Kenii pozostali lojalni wobec Brytyjczyków.

- Delsey, czy coś panu dolega? Zauważyłem, że jest pan dzisiaj nieco przybity.

- Nie martw się, chłopcze - westchnął. - To sprawa, która nie powinna burzyć twego spokoju. Myślę o moim przyjacielu Tonym, aktorze. Był człowiekiem wyjątkowo łaskawie obdarzonym przez naturę, Apollem pyszniącym się urodą, poezją i harmonią. Jego obecność zawsze gwarantowała cudowny spektakl podczas towarzyskich spotkań. Brak wytrwałości i jego... dezynwoltura uniemożliwiły mu zapisanie swego nazwiska złotymi zgłoskami na Parnasie aktorskiej sztuki. Upływ czasu go nie oszczędził, a przecież jest sporo ode mnie młodszy. Wszystko to, czym był, prysło - jego magia, jego charyzma, jego wdzięk i mam wrażenie, że nie potrafi tego niczym zastąpić. Wyznał mi, że od lat gnuśniej w swojej willi w Saint-Tropez, płacąc za możliwość wślizgnięcia się na listę zaproszonych na najbardziej ekskluzywne przyjęcia i że nie gra już od piętnastu lat. Tę rolę zawdzięcza wyłącznie starej przyjaźni z producentem, lecz jakiś nieodgadniony, paraliżujący strach, że to być może jego ostatni pociąg, nie pozwala mu obdarzyć granej postaci całym swym interpretatorskim, zawsze wybitnym kunsztem i efekt jest taki, że jego rola kurczy się z dnia na dzień coraz bardziej.

- Coś mi świta... Czy to nie on czasem wystąpił w tym filmie u boku Ursuli Andress? Tym o rosyjskiej agentce porwanej i przez trzymanywanej na śródziemnomorskiej wysepce przez szalonego króla...?

- „Czerwona gwiazda”. Tak, krytyka uznała, że zagrał porywającą postać żyjącego na wygnaniu króla. Rola ta spotkała się z jedno głośnym i entuzjastycznym uznaniem. Nawet Ursula złożyła u jego stóp wszystkie swoje wdzięki, a także, jak niosła wieść, kompletne odzienie, lecz stopy Tony'ego nie podążyły śladami idei wiecznej kobiecości.

- Czy pan i on...? - Urwałem, zdając sobie natychmiast sprawę z fatalnego błędu, jaki zamierzałem popełnić. Przyjąłem już za pewnik homoseksualność Delseya wyłaniającą się z opowieści babki, a przecież z samym zainteresowanym nie zamieniłem do tej pory ani jednego słowa na ten temat.

- On i ja, co?

- Nie, nic... Nic, panie baronie.

Dotarliśmy na przeciwległy brzeg basenu na wprost południowego skrzydła domu, gdzie nad nieregularnym reliefem pagórka wznosił się wykusz drewnianego podestu podtrzymywany przez las belek wspartych o podstawę wzniesienia. Podest przypominający swoją formą dziób okrętu przegrodzony był w pewnym miejscu drewnianym przepierzeniem z wbudowanymi w nie drzwiami. Nie można było stamtąd zobaczyć, co znajdowało się po drugiej stronie ścianki. Z gwoździa sterczącego w drzwiach zwiślała kartka z dzieciennym rysunkiem przedstawiającym sadzawkę otoloną akacjami. Zdjąłem kartkę, aby obejrzeć ją z bliska, i stwierdziłem, że na odwrocie widniał ten sam rysunek, lecz tym razem sadzawkę wypełniały karykatury zażywających kąpeli zwierząt: słoni, żyraf i zebra. Odwiesiłem kartkę na swoje miejsce i powoli uchyliłem drzwi. Wówczas zrozumiałem znaczenie rysunku. Po drugiej stronie ujrzałem ogromną wannę z hydromasażem. Gdy patrzyło się od środka, z jednej strony miało się przed oczyma drewniane przepierzenie zasłaniające dom, z drugiej zaś widać było nieskalany krajobraz doliny w oddali. Konstrukcja pomyślana była w taki sposób, aby mieszkańcy domu mogli się kąpać nieniekajeni przez nikogo, w pojedynkę lub w towarzystwie, niewidoczni dla niedyskretnych spojrzeń pozostałych domowników. Kartka na drzwiach odgrywała rolę wywieszki informującej, czy wanna jest zajęta, czy wolna.

- To fantastyczne! - wykrzyknąłem, starając się ożywić Delseya. - Co pan powie na jutrzejszą kąpiel z bąbelkami z widokiem na dolinę, baronie? Mam dla pana niespodziankę. Zabrałem z sobą butelkę absyntu.

- Wyśmienity pomysł! Wzniesiemy toast za zdrowie pocziwego Hamisha, gdziekolwiek jest.

Była już noc, gdy weszliśmy do domu. Usłyszeliśmy głosy dobiegające z zęba grzebień sasiadującego z pokojem stołowym, czyli z pawilonu wysuniętego najdalej na północ. Był to przestronny living room o ścianach z żywego kamienia i drewnianych belkach, z kominkiem pośrodku, na którym tańczyły płomienie, kontua-rem barowym, stołem bilardowym, pianinem, kilkoma stolikami i klubowcami oraz stadkiem sof i foteli rozstawionych naprzeciwko

tarasu widokowego. Tenisowa czwórka siedziała przy niskim stole, sącząc wino i grając w cluedo, podczas gdy Portia, wciśnięta jeszcze w swój motocyklowy kombinezon i wsparta o ścianę pod oknem popijała ze szklanki dziwny, biały, mętny płyn. Zobaczywszy nas, poprosili, byśmy sobie klapnęli, gdzie nam wygodnie. Usiedliśmy na poduszkach rozłożonych na długiej ławie ciągnącej się wzdłuż ścian tarasu, z drugiej strony okupowanego przez nich stołu.

- Zaraz kończymy. Może zagrać z nami? Mamy jeszcze trochę czasu do kolacji - zaproponowała Lillian.

- To bardzo miłe z państwa strony, droga młodzieży, ale muszę z przykrością wyznać, iż ta gra nie jest mi znana - wymówił się Delsey.

- Ja owszem, znam ją - zwróciłem się do Delseya. - To gra detektywistyczna polegająca na rozwiązaniu zagadki zabójstwa. Grałem w nią jednak wiele lat temu i sądzę, że byłbym tylko kulą u nogi.

- Uzależniliśmy się od cluedo. Ale to, czego nam trzeba w tym domu, to prawdziwego mordu. Znalezienie mordercy z krwi i kości byłoby o wiele zabawniejsze - dowodził Robin.

- Jeśli chcesz być ofiarą, możesz na mnie liczyć - rzuciła zgryźliwie jego dziewczyna Liz. - Byłoby jednak oczywiste, że to ja jestem zabójcą.

- Dobry pomysł! Może tej nocy, jeśli nasi goście nie mają nic przeciwko - podchwycił Patrick. - Ile nas jest?

- Dziesięcioro - obliczył Robin. - Doskonale, dziesięciu małych Murzynków.

- Dziesięciu - spytała Lillian. - A wuj Alan? A wuj Roger? A Giorgio?

- Dziesięciu żywych. Ci są już martwi. Och, wybacz, Portia - pokajał się Robin.

- Nie trap się, kuzynie - odparła Portia. - Uwielbiam swoją rodzinę, ale w pełni się z tobą zgadzam. Mojego ojca i brata zgła dził marszałek Rommel, w bibliotece, używając do tego celu Panzerkampfwagen.

Podczas gdy cała czwórka śmiała się z dowcipu, Portia zagadnęła mnie i Delseya.

- Macie ochotę się czegoś napić? - spytała. - Nie polecam mojego koktajlu proteinowego, ale to wino na stole to jakiś włoski autentyk. Szkoda, że nie francuskie. Albo hiszpańskie. - Uniosła szklanekę w moją stronę.

Przystaliśmy chętnie na jej propozycję, nalała więc wina do kieliszków i nam je podała. Pochyliła się nad stołem tuż obok mnie i nie mogłem nie zwrócić uwagi na niewielki trójkąt rysujący się pod tkaniną jej kombinezonu u nasady pleców. Zawstydziłem się i spojrzałem na Delseya, który mi się przyglądał. Portia rozsiadła się metr ode mnie, zakładając nogę na nogę w taki sposób, że jej bosa stopa dotykała raz po raz mojej łydki znajdującej się na torze kreślonych przez nią w powietrzu kół. Jej stopy były białe, wąskie, umięśnione i bardzo zadbane, z paznokciami lśniącymi różowym lakierem. Na podbiciu jednej z nich zauważyłem coś, co przypominało jakąś plamkę i co po bardziej wnikliwym rozpoznaniu okazało się tatuażem, którego rysunku jednak nie potrafiłem rozszyfrować. Walczyłem mężnie, aby zamaskować najmniejszy przejaw mojej ku niej inklinacji, ale najwyraźniej nie wychodziło mi tak, jakbym tego pragnął. Gdy zobaczyła, że obserwuję tatuaż, zdjęła nogę i umościła stopę między moimi udami.

- Podoba ci się? Zrobiłam go sobie w Londynie. Jest piękny, prawda? - Była to malutka wróżka unosząca się na skrzydłach motyla i tuląca w objęciach różę. - To różana wróżka. Opiekuńczy duch mojej rodziny.

- Opiekuńczy duch? - rzucił sceptycznie Robin. - Nie wiedziałem, że mamy coś takiego na stanie.

- Oczywiście. A jak myślisz, kto dba nocą o różę?

- Jest bardzo piękny - udało mi się w końcu wydukać, gdy ona tymczasem wyginała na wszystkie strony stopę, aby zademonstrować tatuaż w pełnej krasie i podczas tych manewrów jej różowe palce ugniatały moje krocze. Byłem szokowany, że robiła to jak gdyby nigdy nic na oczach kuzynów, i odczuwałem niewymowne skrępowanie. Nagle zabrała stopę i zerwała się na równe nogi.

- Państwo wybaczą, ale teraz ich opuszczę. Idę przebrać się do kolacji - oświadczyła i podskakując na czubkach różanych palców, niczym gładka, czarnoskóra gazela, wyszła z pokoju.

- Wybacz mojej kuzynce, nie może nad tym zapanować. Jest nimfomanką. - Nie odrywając wzroku od planszy clueo, Lillian wymówiła powyższe słowo w sposób tak beznamiętny, jakby chodziło o termin nadciśnieniowiec lub cukrzyk. - Całe szczęście, że tylko u jednej z bliźniaczek, u jej matki, objawiła się obecność tego genu.

- Bliźniaczki? - spytałem.

- Tak, moja matka i matka Portii, niech jej ziemia lekką będzie, były bliźniaczkami. Olivia, jej matka, też była nimfomanką. Jeden mój kolega studiuje psychiatrię i dokładnie mi to wyjaśnił. To tak jakbyś miał pragnienie i nie mógł go zaspokoić, choćbyś nie wiem, ile litrów wody wypił, lub jakbyś bez przerwy trzymał między udami rozpalone do białości żelazo i choćbyś nie wiem jak się starał, nigdy nie udaje ci się go ostudzić. Biedaczka. Musi to być przyczyną wielu jej cierpień.

- Ale równocześnie musi to być przyczyną wielu jej radości - kpiąco rzucił Patrick.

- Ej, nie kpij z mojej kuzynki. Ona jest chora.

- Tak, i jej przyjaciółka Prunella też.

- To nie ma nic do rzeczy! Prunella jest zboczona, a Portia jest po prostu chora! To, że stosunek między Portią i Prunella jest dwuznaczny, nie znaczy, że obie są takie same.

- Kwiatuszku, Portię łączy dwuznaczny stosunek niemal z całą ludzkością. A co do Prunelli, to nie ma w tym nic dwuznacznego. One ze sobą sypiają.

- Ale to tylko dlatego, że ma w sobie tak wiele miłości i jest tak dobrym człowiekiem, że nie potrafi odmówić! Portia nie jest lesbijką! To ta suka ją prowokuje! Nawet do mnie robiła podchody!

- Co ty powiesz! Opowiedz mi o tym! Zrobiłaś to z nią? Mów, zrobiłaś! - naciskał Patrick i więcej w intonacji jego głosu było chorobliwej ciekawości niż pretensji.

Lillian wycięła mu donośny, siarczasty policzek.

- A ty? - spytała, niejako w załączniku.

Ja i Delsey nie wiedzieliśmy, gdzie oczy podziać. Pyskówkę przeciął Robin, wstając gwałtownie z fotela i oznajmiając:

- Panowie, tak oto dobiega końca ta skromna farsa przygotowana dla naszych gości, komiczno-erotyczna wersja gry clueo pod tytu-

łem „Zgadnij, kto z kim się rżnie"! Podziękujmy naszej czarującej publiczności i rozejdźmy się do swoich alków celem przywdziania odpowiednich na okoliczność wieczery toalet.

Wszyscyśmy podążyli korytarzem w stronę holu, gdzie spotkaliśmy się z grubym, rumianym mężczyzną w średnim wieku i ciemnowłosym młodzieńcem o jasnych oczach. Domyśliłem się, że to Roger i Giorgio. Spodziewałbym się ich raczej odzianych w moro i z twarzami wymalowanymi farbą kamuflującą, ale zamiast tego obaj mieli na sobie dresy i buty wspinaczkowe, a na szyi Rogera wisiał stoper. Przywitali się, okazując dobre, acz wionące chłodem maniery, co, nawiasem mówiąc, nie było zaskakujące. Roger zwrócił się do Lillian, aby przeprosiła w ich imieniu ojca, że nie zjawia się na kolacji, ale ponieważ bitwa potrwa całą noc, zjedzą kanapki w salonie wojennym. Kiedy się oddalili, Lillian usiłowała zaaplikować nam wyjaśnienie w pigułce dotyczące wojennego salonu, lecz wszedłem jej w słowo, tłumacząc, że Trevor wtajemniczył już nas w ich osobliwą rozrywkę.

Do kolacji założyłem spodnie z zaszewkami i marynarkę, utrafiając na szczęście w kodeks rodzinnego ubioru. Każdy miał na sobie przypadkową garderobę z wyjątkiem Portii, która wcisnęła się w oszalałymi krótką sukienkę z różowego jedwabiu zawiązaną na karku, odkrywającą całe plecy i uzupełnioną niebotycznymi, złocistymi, inkrustowanymi szlachetnymi kamykami sandałami na cienkim obcasie; i z wyjątkiem Delseya, wiernego swojemu stylowi elegancji bez skazy, ubranego w jasnoszary garnitur mieniący się metalicznymi refleksami, uzupełniony niebieskim krawatem, szpilką zakończoną perłą i chusteczką w identycznym co krawat tonie. W czasie posiłku mój kapryśny przyjaciel zmanifestował oznaki nawrotu dobrego nastroju. Jakimś sposobem w rozmowie wyszło na jaw, że porusza się w europejskim światku sław i sławek jak ryba w wodzie oraz pisze artykuły do kolorowego magazynu i z miejsca jego gwiazda rozbłysła niepodzielnym światłem przy kołacyjnym stole. Młodzież usiłowała przełamać zacięty opór gościa, próbując wydobyć jakieś smakowite szczegóły na temat amatorów i skoków w bok, Trevor zaś i Regina wypytywali o losy tego czy innego aktora lub piosenkarza. Portia usadowiła się obok mnie, częstując w mistrzowskim stylu

tą swoją słodyczą o podwójnym ostrzu, nawet wówczas, gdy nawiązując do komentarza o związku pewnego aktora, który rozpadł się przez monotonię w łóżku, oświadczyła:

- Miałam kiedyś chłopaka, bardzo porządnego faceta, który w łóżku niestety był nudny jak flaki z olejem. Był inżynierem i kochał się tak, jakby chodziło w tym o mechaniczny montaż dwóch elementów. Ale taki był z niego pocziwiec, że kazał sobie wytatuować krzyżówkę na klatce piersiowej, żebym mogła się czymś rozerwać, w czasie gdy on „montował mnie” od góry.

- I co się stało, gdy rozwiązałaś krzyżówkę? Zmieniłaś rozrywkę? - spytał szelma Robin.

- Nie, nigdy nie udało mi się rozwiązać jej do końca! Była monumentalna, jego wydolność zaś koszmarnie niska. Kończył za szybko. Ledwie zdążyłam przeczytać, poziomo, na pięć liter, „istota wyższa, syn Boży”, a ten już darł się wniebogłose: Jezus! - wrzasnęła, udając orgazm.

Wszyscy parsknęli śmiechem, nawet Trevor, Regina natomiast klepnęła Portię w ramię, karcąc ją pieszczotliwie za zbyt frywolne zachowanie.

Trevor i Regina okazywali sobie wzajemne uwielbienie, które w ich wieku godne było pozazdroszczenia. Usiedli jedno obok drugiego, obsypując się hojnie czułościami przez cały wieczór, za nic mając etykietę obowiązującą podczas kolacji w licznym gronie oraz standardy, do jakich przyzwyczały nas pary z długoletnim stażem. Przy deserze Regina podsunęła swoje krzesło do krzesła Trevora i oparła głowę na jego piersi, on zaś bawił się jej włosami, nawijając je na palce. Wyczuwałem instynktownie, że to właśnie ich wysokiej próby związek utrzymywał spłoty tej rodziny nietknięte i sprężyste, integrując osobowości tak odmienne, jak te zebrane wokół stołu.

Lillian i Patricka łączył związek z rodzaju tych wiecznie zwaśnionych, miotających się z niewiarygodną łatwością od pocałunku do mordobicia, uwikłanych w niekończący się przyływ i odpływ namiętności bijatyki i namiętności pojednania. Związek Robina i Liz przypominał mi mój związek z Mónicą i cechował się poufałością nasyconą swawolną ironią. Nawet Chloe, najstarsza córka, która podczas naszego pierwszego spotkania wydała mi się zimna

i zasadnicza, okazała się osobą pogodną i serdeczną, zdradzającą w rozmowie wysoką inteligencję. A jeśli idzie o Portię, cóż, Portia to była Portia, wyjątkowa i prawie, prawie nie do odparcia. Owijała sobie wokół palca wszystkich bez wyjątku, kobiety i mężczyzn, omotując ich tą swoją afrodyzjakalną mgielką uwodzenia i wewnętrznego ciepła, i wszystkich, nawet mnie, prosiła o opinię na temat swojej sukienki, demonstrując przy tym okolice ciała w czasie i formie rzadko spotykanej na łonie rodziny. Podczas kolacji podarowała Chloe wielki kawał obsydianu wulkanicznego znalezionej na którymś z wysoko położonych pastwisk. Dostrzegła jego lśnienie z motocykla, zatrzymała się, poświęcając czas okrążenia, zapuściła się w grzędawisko, upała w błocie buty, a wszystko po to, aby przynieść ów kamień kuzynce kolekcjonującej minerały i wręczyć go z euforią dziewczyny obdarowującej ukochanego jednym z tych przedmiotów, które nie mają żadnej wymiernej wartości, symbolizują jednak bardzo wiele. Bez wątpienia Portii nie można było nie kochać i zostawiając na boku osobliwy sposób bycia, który Trevor i Lillian nazwali każde po swojemu, była kobietą, w której można się było zakochać od pierwszego wejrzenia.

Po kolacji przenieśliśmy się do salonu w północnym pawilonie, gdzie wcześniej zastaliśmy dwie młode pary grające w kluedo. Uprzejmy Githuku pełnił za barem obowiązki kelnera i przygotował nam koktajl własnego pomysłu o nazwie Kikuju Tickle, Łaskotka Kikuju o smaku owoców, batatu i kawy, który rzeczywiście łaskotał gardło. Porozsiadaliśmy się wszyscy w fotelach i klubowcach oprócz Trevora, który zainstalował się przy pianinie i z namaszczeniem i przesadną gestykulacją zaatakował „Toccatę i fugę” Bacha przyjętą przez publiczność gwiazdami, a nawet jedną latającą poduszką. W odpowiedzi na reakcję audytorium pianista dokonał fuzji nut Bacha z „I want a hippopotamus for Christmas”, dziecinną piosenką bożonarodzeniową, którą zaśpiewał z radosnym fałszem i która rozjątrzyła jeszcze bardziej zniesmaczoną publiczność. Z kieliszkiem w dłoni do pianisty podeszła Portia, obejmując go od tyłu i szepecząc coś do ucha. Trevor skinął głową i zmienił piosnkę na żywą melodię z lat sześćdziesiątych, podczas gdy Portia zbliżyła się do mnie i oddając mi swój kieliszek, powiedziała:

- Żałuję, że nie znam żadnej hiszpańskiej piosenki. Zgodzisz się na włoską?

Dziecinny, słodziutkim głosikiem zaintonowała „Meglio stasera”, piosenkę, którą gibka brunetka interpretowała w „Różowej pantofelce” w obecności odurzonego Petera Sellersa. Patrick wydobyl skądś bongosy i zawtórował pianście, wystukując puls refrenu, który Portia interpretowała zmysłowo, rzucając energicznie na boki biodrami. Wkrótce wszyscy klaskaliśmy rytmicznie ogarnięci euforią jak tłum na filmie, a Portia w rasowym, kabaretowym stylu wyprowadziła na spacer karoserię różowego jedwabiu, prześlizgując się pośród pieszczotliwych dotyków publiczności, nie wyłączając żeńskich członków rodziny i szczotkując ubrania blond grzywą. Mnie zostawiła sobie na sam koniec, zaraz po Delseyu, aby wyśpiewać ostatnie takty piosenki na moich kolanach, z twarzą przy mojej twarzy i oplatając mój tułów lianami swoich nóg. Odniosłem trwożliwe wrażenie, że Portia oznakowała mnie na tę noc owym rozpalonym do białości żelazem, o którym mówiła Lillian, i szczerze mówiąc, nie wiedziałem, jak to wszystko się skończy.

Potem przyszła kolej na nas. Delsey i ja zostaliśmy wywołani na środek, gdzie wspólnymi siłami rozłożyliśmy na czynniki pierwsze historię Hamisha, dzieląc się etapami jego życia przed i po Uke, zgodnie z tym, co każdy z nas wiedział najlepiej. Cała rodzina wysłuchiwała opowieści w skupieniu, wypyując o konkrety poszczególnych kontekstów: Trevora interesowała polityka, Lillian pikantne detale, Robina skandale, a Regina próbowała pożenić fakty i daty z chronologią swojej rodziny.

- Fakty oczywiście się zgadzają - spuentowała Regina z głową złożoną na piersi męża, obracając w dłoniach szklanke. - Jestem panom bardzo wdzięczna za emocjonującą opowieść. I proszę mi wierzyć, jest mi niezmiernie przykro, iż nie mogę być bardziej pomocna. Jestem przekonana, że Cordelia z historii panów to w istocie moja matka. Lubiła anegdoty z młodych lat i pamiętam, jak opowiadała nam o młodzieńczym romansie z brytyjskim chłopcem i o tym, że ojcowie obojga, zwaśnieni na skutek jakichś nieporozumień w interesach, przeciwstawiali się temu związkowi. Matka była bardzo zakochana i po śmierci dziadka się zaręczyli, jednak

ostatecznie młodzieniec ten wyznał, że w jego życiu jest inna kobieta i że nie może się ożenić. Ubolewam, że to wszystko, co wiem, i że nie mogę dodać nic, czego by panowie już nie wiedzieli.

- Nie wspominałaś kiedyś o jakimś prezencie, którym obdarowała go twoja matka? - spytał Trevor.

- Prezencie...? - Regina namyślała się przez chwilę i odparła, wolno artykułując słowa: - Tak, to prawda, było coś... chyba jakiś klejnot. Być może prezent zaręczynowy. Uf, słyszałam tę opowieść tak dawno temu, że już nic nie pamiętam.

- Myślisz, że ktoś mógłby wiedzieć więcej na ten temat? Alan, może Roger?

- Alan. Bez dwóch zdań. - Głos wydobył się z cienia spowijającego głębię salonu, zza kominka. W drzwiach stał Roger, a obok niego Giorgio. Każdy z nich trzymał w rękach talerzyk z kanapkami i butelkę lemoniady. Wyglądało na to, że przechodzili obok i zatrzymali się, aby wysłuchać naszej historii. - Alan ma nadzwyczajną pamięć. Jeśli poznał tę historię, na sto procent pamięta wszystko w najdrobniejszych szczegółach.

- Co się stało, że nie jesteście w salonie wojennym? Kto pilnuje frontu? - spytał Trevor głosem, w którym pobrzmiwała nutka ironii.

- Wyszliśmy wyfasować prowiant, wykorzystując zawieszenie broni - odparł Roger - którego termin upływa dokładnie za... trzy minuty i czterdzieści trzy sekundy - uściślił, spoglądając na stoper. - Za pozwoleniem... - Obaj wtopili się w półmrok korytarza.

- To prawda, Roger ma rację - potwierdziła Regina. - Alan zawsze miał doskonałą pamięć. Jeśli ktoś może nam pomóc, to z pewnością on. Tylko że... - zawiesiła głos, wzdychając i unosząc brwi, jakby miała na myśli jakąś niebezpieczną misję.

- Musimy porozmawiać z nim najdalej jutro, Regie - naciskał Trevor. - Trzeba go ściągnąć do domu. Pojutrze wracamy do Nairobi.

- W porządku - zgodziła się Regina, wzdychając ponownie i nabierając jeszcze więcej powietrza niż poprzednio. - Rano podejść do słupa, powiewając białą flagą. Mam nadzieję, że będzie w dobrym humorze. Wezmę na wszelki wypadek czapkę i płaszcz nieprzemakalny.

- Płaszcz nieprzemakalny? - zdziwiłem się.

- Jak już wcześniej mówiłem, Alan nie cierpi intruzów, kiedy skoncentrowany jest na swoich obserwacjach - wyjaśnił Trevor. - Niejednego nieproszonego gościa przywitał deszczem zwierzęcych ekskrementów.

Wieczór zakończył się wcześniej dla Reginy, jej męża i córki Chloe, bo cała trójka musiała wstać skoro świt do pracy. Trevor przeprosił, że nazajutrz nie będzie mógł dotrzymać nam towarzystwa, gdyż cały dzień będzie zajęty gromadzeniem dokumentów, dla których opuścił plan zdjęciowy. Polecił nam wszystkie formy rozrywki dostępne na farmie, a chłopcy i dziewczęta zaproponowali konną przejażdżkę po śniadaniu. Delsey był doświadczonym jeźdźcem, ja jednak próbowałem uzmysłowić pomysłodawcom, że ideę oddania wodzy jednego z tych wspaniałych folblutów w moje dyletanckie ręce można śmiało porównać do próby zachęcenia chomika do biegu po bieżni koła pędzącego ferrari. Wbrew lojalnym ostrzeżeniom konna przejażdżka została zaklepana. Oddaliśmy się z Delseyem do naszych pokoi, podczas gdy dwie parki rozkładały planszę do gry w cluedo z takim namaszczeniem, jakby odsłaniały romantyczny tryptyk. Portia pożegnała się ze mną neutralnym i subiektywnym „na razie”, obiektywnym z wielu punktów widzenia.

Nie chciało mi się spać i nie miałem ochoty grać w cluedo. Kiedy więc wróciłem do sypialni, stawiałem się niezwłocznie na umówioną randkę z okrągłą wanną. Zbombardowałem powierzchnię wody morskimi solami oraz perełkami w kolorze lila, których opakowanie zapewniało o odprężających właściwościach zawartości, przyciemniłem światło, zapaliłem świeczki, na które natknąłem się we wnęce ściany, otworzyłem butelkę wina znajdującą się na wyposażeniu pokoju dzięki uprzejmości i przenikliwości Githuku, rozebrałem się i zanurzyłem w gorącym fondue perełek i soli, dla rozrywki zaopatrzonego w kilka stroniec rękopisu Hamisha. Ledwie zdołałem przeczytać kilka pierwszych linijek, kiedy usłyszałem skrzyp sprężyn klamki drzwi wejściowych. Trzy sekundy później jasna głowa Portii pojawiła się w drzwiach łazienki.

- Och, bosko! Czekaleś na mnie, prawda?

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć, bo nie byłem pewny odpowiedzi. Świece, wino, stłumione światło, perełki, sole... nie mógłbym przysiąc z ręką na sercu, że cała ta kompozycja powstałaby również wówczas, gdyby nie istniała Portia van Slyck. Gdy tak nad tym dumałem, Portia weszła do łazienki z dwiema wielkimi misami spoczywającymi na każdej z dłoni, ubrana wciąż w swoje lśniące i bezcielesne, różowe opakowanie demaskujące jej cielesność. Wysypała zawartość jednej z mis do wody i nagle z wszystkich stron otoczyła mnie karmazynowa flotylla truskawek; nie dała mi nawet czasu, bym zdołał ją uprzedzić, że woda zawiera sole i lila perełki o wątpliwych wartościach odżywczych. Drugą misę wypełnioną płynną czekoladą postawiła na brzegu wanny. Stosownym palcem, jakby naciskała cyngiel kuszy, rozwiązała supeł na karku i rozpięła boczny zamek, i różowy jedwab spłynął do ziemi, falując jak parasol meduzy. Spod sukienki wyłoniła się ona. Każda z jej piersi była jak dziób lodołamacza, a pod nimi, przewiercona jedynie wgłębieniem pępka, płyta z włókna szklanego, biała i naprężona jak brezent namiotu w dzień weselny, schodziła klinem rozdzielając jej długie po szyję uda. Miała na sobie sztuczkę różowego tiulu haftowanego szlachetnymi kamykami tak obcisłą i lakoniczną, że wydawało się, że to kielkujące diamenty, a nie kielki włosów, która sunęła linią pachwiny w górę, by zawisnąć na biodrach, nie zakłócając nawet na dziesiątą milimetra jej marmurowych krzywizn.

- Podobają ci się? - spytała głosem, w którym nie zabrzmiała jedna nawet ćwierćnutka sprośności, demonstrując mi swoją bieli znę z taką naturalnością, jak się pokazuje zdjęcie rodziny, palcami podciągając ku talii boczne tasiemki i obracając się na pięcie, aby zaprezentować mi trzy wymiary tego nierealnego i jadalnego hologramu. - Sprowadzam je sobie z Francji, z Prowansji. Są piękne, prawda?

- Nie... Tak... - Zbyt dużym wysiłkiem było wydukać dwa słowa odpowiedzi, kontemplując w tym czasie rozgrywającą się przed moimi oczami scenę i starając się zebrać do kupy myśli, między innymi tę o obsesji bezustannego zabiegania o opinię na temat swojego wyglądu fizycznego i ubioru, jaką zdawała się być opęta na Portia, sugerującą niepewność, która nie pasowała do formy jej

modelowo uformowanego ciała. Tak czy owak nie czekała na moją odpowiedź. Zeskoczyła na ziemię ze swoich obcasów, wysuwała diamenty ze sromu i usiadła w wannie naprzeciwko mnie, biorąc w kleszcze swych nóg moje nogi. Instynktownie podciągnąłem kolana. Złowiła dwie truskawki, zatopiła je w czekoladzie i zgryzła jedną z nich, drugą podtykając pod moje usta. Chapnąłem ją niczym posłuszna psina.

- Mam nadzieję, że będą ci smakować. Uprawiane są tutaj, nad jeziorem.

- Portia... - szepnąłem, przełknąwszy karmę. - Nie chciałbym cię urazić, ale... ja jestem raczej zwolennikiem stałych związków.

- Stałych związków? Tak, ja też je lubię, jestem w kilku. Czy spędzenie sympatycznej nocy we dwójkę to coś złego? - stwierdziła raczej, niż spytała, podczas gdy jej dłonie nurkowały między naszymi nogami, eksplorując dwie przeciwległe rubieże. Nie wiedziałem, co odpowiedzieć, bo przecież w gruncie rzeczy nie było w tym nic złego, a jeśli nawet było, analiza tego zagadnienia okazywała się arcytrudna w sytuacji, w której jej palce zaciskały się wokół mojego członka. Ciągnęła dalej, nie wypuszczając z garści zdobyczy, a ja mogłem zaobserwować, że jej druga ręka pracuje z zapalem między jej nogami.

- Rozumiem. Masz na myśli tę dziewczynę, o której wspomniałeś w swojej historii... Mónica, tak?

W odpowiedzi uśmiechnąłem się tylko. Przeżywałem najbardziej lodowcowy moment mojej miłosnej przygody z Mónicą i nie byłem nawet pewien, czy to jej osoba właśnie była tu problemem. Myślę, że nie chciałem kochać się z Portią po prostu dlatego, że znałem siebie na tyle dobrze, aby potrafić przeczuć, że to, co dla tej kobiety było czymś nieskomplikowanym i nieważkim, mnie mogło ogromnie skomplikować egzystencję. Uzbrojony w niebylejaki hart ducha postanowiłem wymigać się od awansów Makeny, okazując determinację i dumę człowieka kładącego kamień węgielny pod budowę gmachu przyjaźni. W wypadku Portii nie istniał potencjalny fundament, na którym można byłoby podźwignąć coś więcej niż to, co samo się nie dźwignęło w kontakcie z jej palcami. Nie znalazłem powodu, aby powiedzieć „nie”, i było to „nie” przez zaniecha-

nie, bo nie potrafiłem powiedzieć „tak”. Znam niewielu mężczyzn, którzy odtrąciłiby ognistą walkirię i niestety ja byłem jednym z nich. A jednak niemal nieświadomie przygotowałem całą tę erotyczną scenerię, którą ona zwieńczyła truskawkami i czekoladą. Być może pragnąłem jedynie sprawdzić, czy skłonna jest mnie skosztować, być może zrobiłem to z czystego narcyzmu. A to, jak przeczuwałem, nie było wobec niej w porządku. W pewnym sensie obrażałem ją i czułem się zawstydzony, i zbity z tropu.

Poczułem, że jej palce rozluźniają uścisk. Opadła na ścianę wanny, capnęła truskawkę, zanurzyła ją w czekoladzie i ukryła między swymi nogami, penetrując jednocześnie moje ciało za pomocą stóp z tak zdumiewającą zręcznością, że z powodzeniem mogłaby nimi falsyfikować banknoty i zabić ćwieka specjalistom od fałszerstw. Nie odzywając się ani słowem i nie odrywając spojrzenia od moich oczu, kołysała się na swoich rękach przez kilka minut, po czym włożyła do ust czerwony i ociekający sokiem miąższ truskawki, gdy tymczasem druga ręka chlupotała frenetycznie między jej udami. W końcu łuk stosu pacierzowego Portii wyprężył się, jakby chciała mnie prześwidrować stalowymi wiertłami swych piersi, lecz zamiast tego wystrzeliła spazmatyczną kaskadą wybuchowych jęków i drgań przemieszczających w bezwładnym ruchu wstecznym całe jej ciało, a wraz z nim wannę i dom, i dolinę, co z pewnością zarejestrował w swoich obserwacjach sejsmicznych Alan, i jednocześnie jej górne rzesy splatały się z dolnymi w takim zapamiętaniu, jakby całe jej ciało tuliło się w samouścisku, ze stopami skręcającymi się spiralnie wokół moich członków, a ja piałem z samozachwytu nad swoim tytanicznym stoicyzmem. Gdy ustał wszelki ruch tektoniczny, opadła na dno, by po chwili wynurzyć się z ociekającymi wodą włosami i wyrazem nieprzytomnej słodyczy, której widok odprężał nieporównanie bardziej niż lila perełki. Mimo iż sytuacja, w której nieznajoma kobieta masturbuje się na twoich oczach, a twoje ciało nie bierze udziału w tarciu, była wysoce ambarasująca i niezwykła, ona filtrowała to przez sito absolutnej naturalności, która sprawiała, że wszystko wydawało się niewinne jak partyjka cluedo.

- To pazury lwa? - Pytała o mój naszyjnik, leżący na brzegu wanny.

- Tak. Podarował mi go dziadek. Należały ponoć do lwa, które go sam miał zabić, ale nigdy nie chciał mi zdradzić szczegółów tej historii.

- Jest piękny. Uważaj. Tutaj te rzeczy są nielegalne.

Wygłosiwszy tę trywialną uwagę, wstała, chwyciła ręcznik, określiła się nim, pozbierała z podłogi swoje rzeczy i skierowała się w stronę drzwi.

- Nigdy się nie dowiesz, co straciłeś... Chyba że jutro zmienisz zdanie.

Wyłowiłem truskawki i spuściłem wodę z wanny. Ta woda paliła ogniem i zawierała zbyt wiele roztworów neutralizujących odprężający efekt perełek lila. Zamiast gorącej kąpieli wzięłem zimny prysznic.

Nim wtuliłem głowę w poduszkę, moje spojrzenie natknęło się przypadkowo na jedną ze stron rękopisu Hamisha, gdzie mówił o stylu życia prowadzonego przez osadników w okresie międzywojennym. Tekst ten nosił tytuł „Choroba wysokościowa”, a brzmiał tak:

Pewnej nocy Evelyn Waugh, autora „Powrotu do Brideshead”, przebudziły ze snu kuksańce jego nowego przyjaciela, Raymonda de Trafforda, który zakomunikował triumfalnie, że właśnie zaliczył był matkę i córkę. W obliczu tak ujmującej nowiny można zareagować dwojako: pogratulować rozmówcy jego nieocenionej pracy badawczej zgłębiającej genetyczne czynniki dziedziczenia lub udawać somnambulizm i wyrecytować z szeroko otwartymi, niewidzącymi oczyma wykaz szkockich królów. Mr. Waugh odnotował ten incydent w swoim dzienniku i tak oto anegdota przetrwała do naszych czasów.

Zdarzyło się to na należącym do barona Delamere ranczu Soysambu, położonym na brzegu jeziora Elmenteita, w dzisiejszej Kenii. Region ten był najurodzajszym biegunem rozwoju w Brytyjskiej Afryce Wschodniej, zadomowym ogrodem najbardziej prominentnych rodzin kolonialnej arystokracji. Niemniej jednak nawet najpiękniejszy trup śmierdzi. W tym wypadku fetor znany był z imienia i nazwiska - Happy Valley [Szczęśliwa Dolina], symbolizującego konkretne miejsce - White Highlands [Biała Wyżyna], epokę - międzywojnie,

społeczność - europejskich osadników pod sztandarem Union Jack, i nade wszystko styl ich życia - nigdy niekończący się, rozpasany bankiet, w czasie którego żaden z ludzkich instynktów nie pozostawał niezaspokojony. „Szampan leje się szerokim, nigdy niewysychającym strumieniem”, napisał Waugh, przypadkowy gość, zdumiony tym dekadentckim obłędem. W tamtym czasie bardzo popularne było powiedzenie: „Jesteś żonaty czy mieszkasz w Kenii?”. Wymiana partnerów była obok wyścigów konnych i polowań podstawowym rytuałem socjalizacji.

Konsternacja, jaką owe ekscesy wywołały w wykrochmalonej i odprasowanej społeczności metropolii, była tak wielka, że niektórzy próbowali nawet przedstawić naukowe wyjaśnienie tego fenomenu, szukając przyczyny w zgubnym oddziaływaniu wysokości na ludność nawykłą do życia na poziomie morza. Być może Evelyn Waugh nie przebywał tam dostatecznie długo, aby objął go swym płomieniem ten pożar krwi i innych elementów cielesności. Ktoś kiedyś powiedział, że Brytyjczycy są sympatyczniejsi, kiedy są stłumieni.

Puls zgubnego oddziaływania wysokości bije nadal. Synowie synów nadal spiąją z córkami córek w społeczności, którą pewien kronikarz wywodzący się z tego środowiska zalicza do wielkiego plemienia pawianów w rui. Jej przedstawiciele można spotkać na lotnisku w Nairobi w ciemnych okularach maskujących podkrążone oczy. Przybywają tam, aby odebrać swoich gości z Europy - świeżą krew. I patrzą z mieszaniną pobłażliwości i lekceważenia na oszołomionych turystów napętniających płuca pierwszym haustem tego afrykańskiego powietrza nafaszerowanego bakcylami choroby wysokościowej.

Następnego ranka leniuchowaliśmy w najlepsze, gdy Regina wyruszyła z misją negocjacyjną ku Alanowym *highlands*. W towarzystwie Lillian, Patricka, Robina i Liz odbyliśmy przejażdżkę konną po *lowlands*. Kiedy przed obiadem wróciliśmy do domu, Trevor robił sobie akurat przerwę w pracy tuż obok kortu tenisowego na *putting green*, który był czymś więcej niż *putting green*, bo gospodarz doskonalił na nim swój *swing*, ekspediując uderzenia ku położonej w oddali niecce. Każdego dnia musiano schodzić tam w poszukiwaniu piłek.

Zdaniem Trevora hieny w jakiś nieodgadniony sposób potrafiły je wytropić i najwyraźniej czerpały z nią satysfakcję z miażdżenia ich swymi morderczymi szczękami, jeśli więc któregoś dnia piłki nie zostały zebrane, w nocy, w pobliżu domu kręciły się hieny.

Obiad zjedliśmy pod gołym niebem, na tarasie basenu. Trevor zapoznał nas z wynikiem pokojowej misji żony. Zastała ponoć Alana w wyjątkowo dobronudszym i serdecznym wcieleniu, co przypisywała faktowi odkrycia przez niego śladów lamparta na zadrzewionym obszarze *highlands*. Kiedy wyładował już swój entuzjazm na cierpliwym narzędziu słuchu siostry, przychylił się do jej prośby i obiecał, że zajrzy do domu przed końcem dnia.

Po obiedzie zaszyliśmy się w swoich pokojach i wyszliśmy dopiero wówczas, gdy od gór zaczęło napływać rześkie powietrze, w porze, kiedy to dwie młode pary zasiadały do retabulum cluedo. Zapropnowałem Delseyowi, aby zrealizować nasz pomysł absyntowego hydromasażu i udaliśmy się na pomost w strojach kąpielowych z ręcznikami, butelką i niezbędnym instrumentarium. Zatrzymawszy się pod drzwiami przepierzenia, sprawdziłem, czy na wywieszce widniał rysunek pustej sadzawki, i z ufnością wszedłem bez pukania. Karygodny błąd. Wanna wypełniona była wodą, na jej powierzchni bulgotały bąble, a w środku niczym główny motyw dekoracyjny całej kompozycji dwie nagie kobiety całowały się zanurzone w wodnym wrzątku, co do którego miałem wątpliwości, czy był produktem pracy tłoczącej powietrze pompy, czy temperatury kąpielowiczek. Jedną z nich była Portia, drugą śliczna, młodsza od niej brunetka. Spostrzegłszy moją obecność i nagły paraliż moich członków, popatrzyły na mnie, nie demonstrując najmniejszych oznak płochliwości. Portia przedstawiła nas sobie śpiewnym tonem.

- Curro, co za niespodzianka! Prunella, to jest Curro, nasz gość. Curro, to jest Prunella, moja sąsiadka. Chodź, dołącz do nas! - To ostatnie zawołanie nie brzmiało wcale jak libertyńskie wezwanie do inicjacji w *menage a trois*, lecz jak telewizyjna zapowiedź programu dla dzieci. Gdy tylko krew wznowiła w moich kończynach rutynową wędrówkę, zamknąłem drzwi od zewnątrz.

- Co się stało? - spytał niczego nieprzeczuwający Delsey.

- Nie... Nic. Jest... zajęte. Chodźmy lepiej na basen. Woda o tej godzinie musi być cudowna.

Chwilę później leżeliśmy rozciągnięci obok basenu, twarzą do pomarańczowej bryły słońca tężejącej na krawędzi niebieskiej patelni, schronieni przed wieczornym chłodem pod ręcznikami. Delsey wdychał głęboko powietrze, jakby starał się zgromadzić w swoich płucach cały nurt krystalicznej bryzy spływającej z gór Aberdare.

- Tęsknię za tym, chłopcze. Tęsknię za tym. Za nagim, niezławnym niczym światłem, pozbawionym kloszy i labiryntów, klasztorów i krążanków, zwodniczych, nieprzeniknionych luster przesłaniających naszą tożsamość, tamujących oswobodzających anagnoryzm naszego egzystencjalnego dramatu.

- Dlaczego nie wraca pan do Voisins-les-Bretonneaux? - Mniej więcej udało mi się wyłowić myśl przewodnią jego lamentu.

- Ludzie w moim wieku, chłopcze, są cerberami strzegącymi wejścia do własnego panteonu. Nie udaje się nam zbyt łatwo stamtąd oddalić, jakby nie pozwalał nam na to jakiś sznur pętający kostki. Zbyt wiele witryn wypełniamy idiotycznymi, zmurszałymi i zjedzonymi przez mole relikwiami. Wlecemy z miejsca na miejsce w jałowym trudzie zbyt wiele wspomnień, a ja nie mam już dość siły, aby podolać karze Syzyfa. Cieszę się niepomniernie, że mogłeś odzyskać dziedzictwo swojej babki, jedno ze złóż mojej pamięci, w którym, jeśli nie będziesz miał nic przeciwko temu, kosztować będę z radością twej gościnności i resztki mych dni, którymi obdarują mnie nadchodzące lata.

- Oczywiście, Delsey, będzie to dla mnie wielka satysfakcja i zaszczyt! Poza tym, gdyby nie pan, nie wiedziałbym, co zrobić z obrazem Landseera. Jeśli wszystko pójdzie po naszej myśli, Lux Domini będzie pańskim domem.

- Wypijmy za to, mój drogi przyjacielu.

Absynt smakował mi tu lepiej niż w majestatycznych murach rue Royale. Gdy odprawialiśmy ten rytuał łyżeczek, kostek cukru i małych łyżków, Delsey przywołał wspomnienie krótkiej wycieczki do Torrelodones, którą odbyliśmy wspólnie podczas naszego pobytu w Madrycie przed podróżą do Kenii i opowiedział mi, jak

miejscowość ta wyglądała w starych czasach, kiedy Lux Domini nie był jeszcze obleżony współczesnymi domkami jednorodzinny-
mi, podkreślając, że zmieniła się ona nieporównywalnie bardziej
niż Paryż, który z okien rue Royale wygląda teraz niemal tak samo
jak dawniej, z tym tylko wyjątkiem, że on, Delsey, nie jest już tym,
kim był przed laty. Choć zmiany te uzewnętrzniają się, mówił,
raczej bliznami i stłuczeniami, jakie wyniósł z czołowego zderzenia
z czasem. Na koniec, kiedy słońce odpoczywało już w swej garderobie
za grzbietem Mau, opowiedział mi o wizycie Uke w jego zamku
przed sześćdziesięciu laty i przy tej okazji pozwolił sobie na zawo-
alowane aluzje do swojej homoseksualności. Poczulem wówczas,
że w końcu zjednuję sobie Delseya i choćby tylko dla tej chwili
warto było przetrzymać ziąb schyłku dnia w Naivasha, w samych
tylko kąpielówkach i pod lichą osłoną ręcznika.

Alan nie zjawił się przed kolacją, co nie zdziwiło wcale Reginy.
Zadzwoiła do niego za pomocą radiotelefonu, który mieszkaniec
słupa na szczęście miał włączony. Byłem zaskoczony, że zwraca się
do brata z lęklwym szacunkiem ocierającym się niemal o uległość.
Przeprosiła, że zakłóca mu spokój, i prawie błagalnym tonem popro-
siła, aby zechciał poświęcić nam chwilkę, jeśli pozwoli mu na to jego
obowiązki, na co Alan wyemitował aprobujący pomruk. Dopiero
gdy uporaliśmy się z deserem i właśnie wstaliśmy, aby przejść
ze stołowego do salonu z pianinem i tam wypić drinka, w półmro-
ku zarysowała się zwalista postać w głębi korytarza, obok najdalej
wysuniętego na południe zęba grzebienia, tego, który sąsiadował
z drewnianym pomostem z jacuzzi. Ząb ten zajmowała sypialnia
Alana i to Alan we własnej osobie, nieruchomy i wyprostowany,
patrzył na nas z głębokiego cienia niczym martwy człowiek usta-
wiony w pozycji pionowej w charakterze eksponatu na wystawie.
Miałem wrażenie, że jego obecność krępuje rodzinę, bo nikt poza
Trevorem nie odważył się wykrztusić pozdrowienia.

- Alan! Co za radość widzieć pana tutaj! To niezwykle uprzejmy
gest, że znalazł pan dla nas chwilkę czasu. Zapraszam do salonu
z nami, napijemy się czegoś.

- Nie... Muszę... wracać na posterunek. W okolicy pojawił się
lampart. Jest... niebezpieczny. - Jego głos grzmiał, jakby próch-

nica wydrążyła w jego uzębieniu jaskinie wielkości sal koncertowych. Ruszył naprzód i zatrzymał się kilka metrów przed nami, gdzie opadło go zagładające z zewnątrz światło latarni. Wówczas zrozumiałem obawę jego bliskich. Był to potężny i napawający strachem, przywodzący na myśl złożonego byle jak bigfoota osobnik zakrywający wojskowymi buciorami podłogę korytarza. Z jego spłaszczonej głowy osadzonej na wysokości niemal dwóch metrów zwisały długie i gęste powróśla w naturalny sposób fabrykowane przez włosy, kiedy zostawić je na pastwę ścisłego zaniedbania, które wiele osób kojarzy z kulturą rasta, nie wiedząc, że Jamajczycy zapożyczyli niechlujstwo od górskich bojowników Mau-Mau. Jego oblicze było niewidoczne pod gęstymi, szarżółtawymi chaszczami sięgającymi pod niebieskie oczy, na wpół przymknięte w skamieniałej twarzy jak żyłki turkusy na stoku pokrytym wulkaniczną lawą. Spod brody podobnej przyłbicy przykrywającej ramiona i pierś wystawał naszyjnik z olbrzymich kawałków kości długich na co najmniej dwadzieścia centymetrów, które mogły być kłami guźca. Ubrany był w zieloną kurtkę typu safari i spodnie kamuflażowe - obie sztuki zmielone wiele razy w niszczarce do dokumentów - zza ramienia sterczała mu strzelba, zza paska pistolet, a przez plecy przełożony miał pas z nabojami. - Czego ode mnie chcecie? - huknął.

- Ci panowie są moimi przyjaciółmi - kontynuował Trevor, wcielając się w rolę negocjatora. - Baron Delsey i pan Curro Mencia. - Jeśli mnie pamięć nie myli, moja prawa ręka podniosła się wyrzucana sprężyną etykiety, stwierdziwszy jednak, że Alan pozbawiony był takowej sprężyny, przeciągnąłem ruch ręki w górę i podrapałem się w skroń. - Pan Curro jest wnukiem, baron zaś przyjacielem człowieka, który miał związki z naszą rodziną. Szkota, który zaręczony był z Cordelią, zanim wyszła za Antona. Jak dowiadujemy się od panów, mężczyzna ów zniknął, ale są pewne podstawy, aby przypuszczać, że od wielu lat mieszka w Kenii. Nasi goście poszukują jego śladów. Każdy trop, na jaki moglibyśmy ich naprowadzić, bardzo byłby im pomocny.

Alan stał bez słowa, nieruchomy, z ramionami zwisającymi wzdłuż górzystego torsu. Trevor ciągnął dalej:

- Pamięta pan, czy pańska matka wspominała o tym dzentelmenie?

- Tak. - Zamilkł na dłuższą chwilę. - Nie był dzentelmenem. Zostawił mamę.

- No tak, racja... - Trevor próbował rozładować nerwową atmosferę. - Czy jakimś trafem pamięta pan może, jak się nazywał?

- Tak. Myślę, że tak.

Czekaliśmy w napięciu, lecz nic nie wskazywało na to, aby nosił się z zamiarem uzupełnienia informacji.

- Jak się zatem nazywał? - naciskał Trevor.

- Sutherland... Hamish Sutherland.

Słowa te wywołały we mnie i przypuszczam, że także i w Delseyu, falę rozkoszy, która przyćmiewała wszystkie pokusy Portii razem wzięte. Po raz pierwszy w Kenii ktoś wymawiał to nazwisko samodzielnie, zanim usłyszał je z naszych ust. Cała rodzina zareagowała okrzykami radości i Trevor postanowił kuć żelazo, póki gorące.

- Czy pamięta pan jakieś inne szczegóły związane z jego osobą? W jaki sposób się zaręczyli, w jakich okolicznościach doszło do zerwania zaręczyn?

- Jego ojciec i mój dziadek się znali. Mieli być współnikami. Ale ojciec tego mężczyzny nie miał pieniędzy. Wrócili do Europy. Ten mężczyzna i mama zakochali się w sobie. Kiedy dziadek umarł, on wrócił tutaj, aby ożenić się z mamą, ale wtedy powiedział, że jest w jego życiu inna kobieta. I zostawił mamę.

- Czy wie pan coś o tamtej drugiej kobiecie?

-Nie.

- A wie pan może, co stało się z panem Sutherlandem po tym, jak zerwał z Cordelią?

- Nie. Wyjechał. Nic więcej nie wiem.

- Alan, czy wiadomo panu coś na temat prezentu, jaki Cordelią podarowała panu Sutherlandowi?

- Tak. Jest mi wiadomo.

- I co to było?

- Pierścień. To był pierścień. On wpłacił pieniądze na farmę. Na znak zaręczyn. Lecz mama nie potrzebowała tych pieniędzy. Kupiła mu za nie pierścień.

- Czy pamięta pan, jak wyglądał ten pierścień?

-Tak.

- Więc jak wyglądał? - Trevor posiadał niewyczerpane zapasy cierpliwości.

- Sygnet. To był sygnet... - Wyteżając pamięć, uniośł rękę i palcem wskazującym drugiej dotknął miejsce, w którym zwykle nosi się pierścionek. - Złoty sygnet ze szlachetnymi kamieniami. Znajdowała się na niej Blue Ensign i litery BS. Blackbourne Sutherland.

- Blue Ensign, flaga protektoratu Kenii - wyjaśnił Trevor, zwracając się do mnie i Delseya. - Błękitna flaga z Union Flag czy Union Jack w kantonie i czerwony lew na błękitnym tle. - Odwrócił się ponownie do Alana. - Czy pamięta pan, gdzie został wykonany ten sygnet, a jeśli tak, czy może pan nam powiedzieć, gdzie mianowicie został wykonany? - Z uwagi na niezwykle lakoniczność odpowiedzi Alana Trevor poszedł na skróty, chcąc zaoszczędzić sobie krępujących interwałów.

- Tak. Mama zamawiała biżuterię na miarę w Rajeev&Sons, w Nairobi.

- Rajeev&Sons. Świetnie, świetnie. I co stało się z tym sygnetem? Zabrał go Hamish, zwrócił go Cordelii?

- Ten mężczyzna nie chciał go przyjąć. Ale mama też go nie chciała z powrotem. On zabrał sygnet.

- Czy pamięta pan jeszcze coś?

-Nie.

- Alan, jesteśmy panu niewymownie wdzięczni za pomoc. Wyświadczył nam pan niezwykle uprzejmość. Nie będziemy już więcej pana nagabywać.

Po raz kolejny nie było tego zbyt wiele, ale to zawsze więcej niż nic. Hamish był istotą realną, a ów sygnet mógł stanowić jakiś trop. To stosunkowo rzadki przedmiot, a ludzie łatwiej zapamiętują rzucającą się w oczy biżuterię niż pospolitą twarz. Rodzina przeszła do salonu, ja jednak zostałem, obserwując Alana, wciąż jeszcze zastygłego w świetle latarni. Pomyślałem, że grzeczność nakazuje podziękować mu osobiście, podszedłem więc bliżej.

- Panie Blackbourne-Hall, bardzo dziękuję. Odnalezienie dziadka jest dla mnie niezwykle ważne. Zapewniam pana, że był wspaniałym człowiekiem.

- Nie ma za co.

Zawahałem się przez ułamek sekundy, nie mogłem jednak zdusić w sobie pewnej fascynacji, jaką wzbudzał we mnie ten człowiek, i zapytałem:

- Panie Blackbourne-Hall... Czy brał pan udział w powstaniu Mau-Mau?

Raptem Alan przebudził się, reagując tak, jakby zaatakował go ten lampart włączący się po *highlands*. Zadygotał cały i rzucił mi straszliwe spojrzenie.

- Po której jesteś stronie? Dla kogo pracujesz?

- Nie! Ja... nie jestem po niczyjej stronie, dla nikogo nie pracuję. To tylko... zwykła ciekawość.

- Nadejdzie dzień, w którym ten, kto będzie chciał wiedzieć, dowie się. Gdy umilkną... duchy - oznajmił, po czym obrócił się na podeszwach swoich gargantuicznych buciorów i odszedł do pokoju ze zwieszoną głową i duchami krążącymi nad jego włosami Meduzy. Było jasne, że brał udział w powstaniu, a może nawet w nim zginął.

Trop Boston

Ościeżnice hotelu Norfolk zacisnęły się wokół naszych kości jak szczypce do miażdżenia skorupiaków. Po tym jak zasmakowaliśmy w dionizyjskiej wolności farmy Blackbourne-Hall hotel zdawał się nam więzieniem, pełnym alabastrów i piór, lecz więzieniem.

Pożegnanie było nad wyraz wzruszające jak na ten krótki, dwudniowy pobyt, ale to właśnie była owa miejscowa gościnność, Októrej mówił Ian - podejmowanie gości sprawiało tym ludziom autentyczną radość. Liz wymogła na mnie obietnicę, że będziemy utrzymywać kontakt, zważywszy na pokrewieństwo naszych zawodowych dusz. Kiedy napomknąłem, że poprzedniego dnia w „The Standard” miała się ukazać informacja o prowadzonych przez nas poszukiwaniach, zwróciła się z prośbą do Reginy, aby poprosiła jakiegoś kierowcę z Nairobi, a może pracowników z Naivasha zatrudnionych w szklarniach, aby ktoś zatrzymał dla niej egzemplarz dziennika. Zaofiarowała pomoc we wszystkim, czegokolwiek byśmy potrzebowali, choć niestety nie mogła zamieścić nieodpłatnego ogłoszenia ani sprawić, aby nasze poszukiwania odbiły się szerszym echem w gazecie. Githuku był uprzejmy zdradzić mi recepturę Łaskotki Kikuju, o którą poprosiłem go już pierwszego wieczora i której ujawnienia wówczas mi odmówił, zasłaniając się rodzinną tajemnicą. Błagał mnie, żebym zachował ją wyłącznie dla siebie, a ja zapewniłem, że nie pisnę nikomu ani słowa, nawet na torturach. Co do Portii zaś... Ach, Portia! Słodka i pikantna do końca.

Podczas rozstania z nią towarzyszyły mi w równym stopniu uczucia ulgi i żalu. Odcisnęła mi pożegnalną pieczęć laryngoskopem języka i podarowała motocyklową kurtkę, w której odbyłem naszą przejażdżkę. Oblałem się rumieńcem i odparłem, że nie sądzę, abym zrobił coś, czym mógłbym sobie zasłużyć na tak drogi prezent. Pociągnęła mnie za rękę i wyszeptała do ucha: „Dwie rzeczy świadkujące dwóm cudownych klimaksom!”. Siedząc już w awionetce Trevora, łamałem sobie głowę, jaki to mógł być ten drugi klimaks i co to za druga rzecz, i przede wszystkim, co u diabła miała wspólnego kurtka z jakimś klimaksem. Medytowałem nad tym, kiedyśmy przelatywali nad grzbietem skarpy Kikuju i wtedy dopiero namacałem jakiś skrawek materiału na dnie kieszeni kurtki. Pociągnąłem za ten skrawek i zobaczywszy jego naturę, w popłochu wcisnąłem z powrotem na swoje miejsce, patrząc przy tym kątem oka na Trevora i Delseya, czy aby żaden z nich nie zauważył mojego odkrycia. Wówczas zrozumiałem. Jeśli to była rzecz świadkująca pierwszemu, kurtka musiała świadkować drugiemu i przypomniałem sobie, jak ekscytowała ją szybkość, przypomniałem sobie rozkołysany taniec motocykla po tym, jak wylądowaliśmy na stoku, i przypomniałem sobie stwierdzenie Trevora, że Portii nigdy, ale to nigdy nie drżą ręce na kierownicy. Naprawdę trudno było w to uwierzyć, ale to jedyne wyjaśnienie, jakie przychodziło mi do głowy. Myślałem o niej przez cały lot. Mam przyjaciela, który uznałby Portię za zwykłą powiktoriańską nimfomankę należącą do grona cierpiących na chorobę wysokościową, opisaną przez Hamisha. Ale rację miała oczywiście Lillian. Portię przepelniał taki bezmiar miłości, że zwykła dawać więcej, niż brała, i dlatego ten, kto ją poznał, nie mógł jej nie uwielbiać. Nie byłem wyjątkiem.

W recepcji Norfolku odebrałem jedną z przesyłek, których wyglądałem jak kania dżdżu. Był to numer „Standardu” z poprzedniego dnia przysłany uprzejmie przez Kena. Otworzyłem kopertę i rzuciłem okiem na pierwszą stronę. W wolnym kąciku narysował zdumiewającą swoim mistrzostwem kreską karykaturzysty dwie groteskowe postaci przedstawiające Holmesa i Watsona. Pierwszy był podobny do mnie i studiował za pomocą lupy przepastną gardziel lwa, mówiąc: „Hm... Tutaj go chyba nie ma”, podczas gdy drugi, właści-

ciel bujnych, zaczesanych do tyłu włosów i kwadratowej, kanciastej fizis, wypisz, wymaluj Delsey, nie zwracał uwagi na Holmesa, lecz pożerał wzrokiem czarnoskórą dziewczynę o talii osy i pupie Vespy do złudzenia przypominającą Makenę, która oddalała się na wysokich obcasach w minispódniczce kończącej się zaraz u nasady nóg. W dymku wychodzącym z ust Delseya widniał napis: „*Goodness gracious!*” Wszak to niewiasta o mięśniach pośladkowych ortodoksyjnie grawitacyjnych!”. Parsknąłem śmiechem, czym zwróciłem na siebie uwagę Delseya. Przez ułamek sekundy wahałem się, czy wtajemniczyć go w moje odkrycie, obawiając się, że dowcip może mu sprawić przykrość. Tak się jednak nie stało. Przeciwnie, bardzo go rozbawił i patrząc na rysunek, powtarzał raz za razem: „A to łobuz! A to łobuz!”.

Obok rysunku Ken napisał: „Z wyrazami sympatii, 2K” i poniżej: „str. 7”. Przekartkowaliśmy gazetę do strony 7. Nasze ogłoszenie zajmowało dolną połówkę kolumny. Był to prosty i bardzo chytry pomysł graficzny, bo Kenowi udało się przemycić komunikat w formie przypominającej wiadomość, zaanonsowaną wielkim nagłówkiem, z miejsca przyciągającym uwagę. Ogłoszenie zawierało zredagowany przeze mnie tekst i brzmiało następująco:

Mr. Hamish Sutherland, Szkot, wiek 82 lata
ZAGINIONY

Poszukuje się Hamisha Sutherlanda, mężczyzny w wieku 82 lat pochodzenia szkockiego. Jest wysoki, ma rude włosy i niewykluczone, że brodę w tym samym kolorze, twarz szczupłą i pociągłą, duży, prosty nos, wydatny podbródek, szerokie usta i cienkie wargi. Według wszelkiego prawdopodobieństwa mieszka w Kenii od roku 1931, być może w okolicach Nyeri, ale nic o nim nie wiadomo od 1978, kiedy to na pewno przebywał w tym kraju. Wnuk i przyjaciel z młodości poszukiwanego znajdują się obecnie w Nairobi, usiłując ustalić jego miejsce pobytu. Jeśli ktoś zna lub znał osobę odpowiadającą powyższemu opisowi, nawet gdyby nosiła inne nazwisko, lub jeśli dysponuje jakąkolwiek informacją mogącą ułatwić jego odnalezienie, prosimy o kontakt telefoniczny.

Telefonem kontaktowym był telefon domowy Kena. Nie mogliśmy liczyć na inną linię otwartą przez dwadzieścia cztery godziny na dobę no i, co zrozumiałe, nie byliśmy upoważnieni do korzystania z telefonu w redakcji gazety, chyba że ta zaangażowałaby się oficjalnie w poszukiwania, którą to możliwość mógł utorować ewentualnie mój świeży kontakt, moja nowa przyjaciółka Liz. Tymczasem Ken użyczył nam szczerze swojego prywatnego numeru, a jego matka, która musiała być aniołem, nie kobietą, miała wziąć na siebie odbieranie rozmów i notowanie informacji.

Drugą przesyłką, której wypatrywałem i której się nie doczekałem, była najmniejsza choćby oznaka życia ze strony Moniki. Nie czekał na mnie ani faks, ani żadna inna wiadomość. Gdybym był jej matką - nie wiem, czy kontaktowała się z nią podczas swoich studiów podyplomowych w Nowym Jorku - byłbym pełen obaw, że mogło się jej coś stać lub że czuje się tam wybitnie źle. Będąc jednak tym, czym dla niej byłem, czymkolwiek bym był i jakkolwiek by nazwać to, czym dla niej byłem, jeśli w ogóle czymś dla niej byłem, myślałem najzwyczajniej w świecie, że ma się tam nad wyraz dobrze i że jej zagubiony na Czarnym Łądzie domniemany narzeczony nie mieści się w napiętym kalendarzu panienki *euro-pin-up*. Wściekłem się i upadłem na duchu. Zaczynało mnie już dławić i wycieńczać uzależniające jarzmo, które ona, nie chcąc się do tego przyznać, przytroczyła mi do karku. Jeśli nie porzuci tej dwuznacznej i beznamietnej postawy, wkrótce nie pozostanie mi inne wyjście, jak przeciąć linę, zanim ciężar ładunku zaciśnie mi na krtani śmiertelną pętlę. Czułem się już członkiem klubu Syzyfów, do którego należał Delsey, i najgorsze z tego wszystkiego było to, że mój pędzący w dół zbocza, nieobliczalny gład mógł zgruchotać długoletnią przyjaźń.

Przełknąłem gorzki rozczarowania i zadzwoniłem do Kena, aby podziękować mu za wysiłek, jaki włożył w publikację ogłoszenia. W redakcji powiedziano mi, że tego dnia ma wolne, spróbowałem więc złapać go w domu. Odebrał sam poszukiwany.

- Ken Kamaru, słucham.

- Dzień dobry. Czy to tutaj poszukuje się starego Szkota? Bo ja mam jednego, ale nie wiem, czy się będzie nadawał.

- Stary, co jest grane? Jesteście już z powrotem w Norfolku?
- Tak jakby, Twokay.
- Słuchaj, to moje frontowe pseudo. Skąd je u diabła znasz?
- Podpisałś nim swoją karykaturę, jakbyś nie pamiętał. Nie wiedziałem, że masz taką smykałkę do rysowania. Dlaczego się tym nie zajmiesz na poważnie zamiast pisać o hienach pożerających afisze.
- Znaki drogowe. To były znaki drogowe, stary, i ta błaża na pozór historia miała niebagatelny wymiar. Multum kierowców pogubiło się za sprawą tych zaginionych znaków, a to spowodowało większy wydatek na benzynę, co z kolei odbiło się na budżecie domowym rodzin, a wzrost zapotrzebowania na paliwo nakreśla inflację i ponad to zmusza rząd do zakupu większej ilości ropy naftowej, co z kolei kładzie się ponurym cieniem na bilansie handlowym kraju i...
- Dobrze, już dobrze, zrozumiałem i cofam wzmiankę o twoim talencie plastycznym. Jestem przekonany, że czeka cię zawrotna kariera publicysty. Słuchaj, wielkie dzięki za ogłoszenie. Wyszło znakomicie. Dzwonił już ktoś?
- Tak, ty. Ale myślę, że to kiepski trop. Nie, na razie nic, stary, zero odzewu. Ale nie łam się. Nie wiem, jak to zwykle działa, ale w Kenii każdy egzemplarz gazety krąży bardzo długo, zanim ktoś zrobi z niego domowy użytek. Tutaj nic się nie wyrzuca. Intuicja podpowiada mi, że ludzie złapią za telefon następnego dnia i że przez mniej więcej tydzień powinien się utrzymać jakiś ruch w interesie. W każdym razie musimy być przygotowani na ciężką harówkę oddzielenia ziarna od plew, bo pewnie większość telefonów, jeśli w ogóle ktoś zadzwoni, to będzie fałszywy alarm.
- Tego się właśnie obawiam. Tak czy owak mam wyrzuty sumienia, że wciągamy w to twoją matkę.
- Ale, co ty, stary, ona jest wniebowzięta! Prawda, mam? - Głos oddalił się od mikrofonu słuchawki. - Ta sprawa przypomina film szpiegowski, a mama przepada za szpiegowskimi filmami. Opowiedziałem jej wszystkie szczegóły historii i teraz jest gotowa poddać potencjalnych dzwoniących przesłuchaniu, przy którym metody CIA to bajka dla grzecznych dzieci.
- Podziękuj jej ode mnie. Mam wobec niej dług wdzięczności.

- Oddasz go mnie. Czy ta twoja przyjaciółka...?
 - Jeszcze przyjdzie na to czas. Teraz potrzebuję innej przysługi.
 - Znaleźliście coś w Naivasha?
 - Tak, raj, o którym mówiłeś. I potencjalny trop. Słabiutki, ale to zawsze coś. Syn Cordelii znał historię Hamisha. Mój dziadek wręczył Cordelii pieniądze, które miały być jego wkładem w farmę, ona zaś kupiła mu za nie bardzo drogi pierścień wykonany na zamówienie. Znasz może zakład jubilerski Rajeev&Sons?
 - Nie, ale go poznam, wystarczy jeden telefon do gazety. Myślisz, że mógłbyś coś z tego wycisnąć?
 - Wiem, że dziadkowi nie zbywało na funduszach, kiedy się tutaj osiedlił. Nie można wykluczyć, że był doszczętnie splukany. Jeśli po zerwaniu z Cordelią przyszło mu zaczynać od zera, w obcym kraju, bardzo możliwe, że sprzedał pierścień. Wcześniej opłacał swoje podróże środkami uzyskanymi z wyprzedaży rodzinnej kolekcji sztuki, należy więc przypuszczać, że to samo mógł zrobić z tym klejnotem, który, nawiasem mówiąc, został nabyty za jego własne pieniądze. Jeśli Rajeev&Sons również skupuje biżuterię, to może my chyba założyć, że tam właśnie udał się w pierwszej kolejności, a jeśli firma przechowuje w swoim archiwum dokumentację wszystkich swoich transakcji, być może kryje się w nich jakaś wzmianka dotycząca jego ówczesnego miejsca pobytu. To tylko hipoteza, ale mam wrażenie, że w miarę sensowna.
 - Tak, to ma ręce i nogi. Daj mi dziesięć minut i oddzwonię do ciebie.
 - Nie, kwitniemy jeszcze w recepcji. Ja zadzwonię.
 - OK, stary. Czekam na twój telefon.
- Dołączyłem do Delseya rozmawiającego w recepcyjnym holu z Ianem i Trevorem. Ten ostatni wyjaśniał właśnie, że ekipa filmowa zakończyła już pracę w Norfolku i że kolejne ujęcia kręcić będzie w rezerwacie Masai Mara, dokąd wyruszała jeszcze tego dnia, a jej śladem on za sterami swojej awionetki. Pożegnaliśmy się serdecznie w nadziei ponownego spotkania w Norfolku. Obiecał służyć nam wszelką pomocą, zwłaszcza gdybyśmy potrzebowali jakichś danych historycznych, do których mógł mieć dostęp. Zapisał nam nazwę swojej kwatery w Masai Mara, Governors Camp. Zanim udaliśmy

się do naszych pokoi, łąn raz jeszcze odtńczył taniec dziękczynny za obdarowanie go tomikiem przygód Sangre de Cristo, dostarczającym mu, jak się wyraził, nieoczekiwanych rozkoszy.

Z pokoju zadzwoniłem do Kena, który zarzucił mnie ogromem informacji na temat Rajeev&Sons, zgromadzonej Bóg wie jak w niecały kwadrans. Wystarczyła mi wiadomość, że firma działała już w czasach, kiedy Nairobi było zaledwie dwoma szpalerami blaszanych bud. Została założona przez Rajeeva Kalanadhabhatę, angielsko-hinduskiego jubilera, który wyemigrował do protektoratu i który przed uzyskaniem przez Kenię niepodległości miał mały lokal usytuowany w najbardziej strategicznym handlowo punkcie alei Kenyatty, nazywającej się przedtem aleją Delamere, i rozkręcił interes na taką skalę, że z czasem przeniósł się z całą infrastrukturą i wielkimi klientami do eleganckiego gmachu w centrum, dla klienteli zaś z ulicy otworzył mały sklepik w bezpiecznych murach hotelu Stanley. Najbardziej ucieszyłem się z informacji, na którą po cichu liczyłem, że zakład skupuje i sprzedaje złoto, szlachetne kamienie i wszelkiego rodzaju biżuteryjne rękodzieło. Ken zaproponował, że pójdzie z nami, gdybyśmy się tam wybierali jeszcze tego samego dnia. Kręciła go ta jazda, stwierdził. Umówiliśmy się, że porozmawiam z Delseyem i oddzwonię. Delsey poprosił o wolne przedpołudnie, aby uporać się z zobowiązaniami względem paryskiego magazynu. Zasugerowałem, że mogę wziąć na siebie wybadanie terenu w Rajeev&Sons, ale nalegał, że dotrzyma mi towarzystwa. Uradowałem się, widząc jego zaangażowanie w poszukiwania, i postanowiliśmy, że ekspedycja wyruszy do jubilera po południu. Zadzwoniłem do firmy, podając się za zagranicznego gościa zamieszkałego w hotelu Norfolk i wyraziłem zainteresowanie wykonanym przez nich dawnym klejnotem. Wyznaczyli mi wizytę na piętnastą.

Punkt trzecia spotkaliśmy się z Kenem przed wejściem do siedziby Rajeev&Sons. Był to nowoczesny budynek wznoszący się w ustronnym miejscu w pobliżu parku Uhuru, oddalonym od zgiełku śródmieścia i oddzielonym od intensywnego ruchu alei Kenyatty ogrodem zdominowanym przez olbrzymie figi o mięsistych liściach i wachlowanym koronami palm. Przed wejściem do budynku dwóch

uzbrojonych *askari* filtrowało wchodzących. Na siódmym piętrze opancerzonym marmurową podłogą i drzwiami z różanego drewna strzegącymi zazdrośnie biur jubilerskiej firmy, natknęliśmy się na kolejnego strażnika. Gdy przebrnęliśmy przez wszystkie dokuczliwe kontrole, wyszedł nam na spotkanie około dwudziestoletni młodzieniec o hinduskich rysach, odziany w angielski garnitur z Saville Row. Miał wytworne maniery i masywny, złoty zegarek, którego ciężar równoważył na przegubie drugiej ręki złoty łańcuch z tego samego kruszcu i o rozmiarach, jak wyszeptał mi po hiszpańsku na ucho Delsey, pozwalających domniemywać, że taki sam łańcuch przymierzał Prometeusz, kiedy przez omyłkę został przykuty do skał Kaukazu, gdzie z rozkazu Zeusa codziennie na śniadanie orzeł pożerał mu kawał wątroby. Nawet palone przez niego papierosy były w złocistym opakowaniu. Przedstawił się jako Rajeev Kalanadhabhatla i poprowadził nas do gabinetu pokrytego od podłogi po sufit ściennymi witrynami z pancernego szkła wyładowanymi złotem pod postacią biżuterii oraz najwystawniejszych i najbardziej surrealistycznych przedmiotów, jakich nie powstydzilyby się ekstrawaganckie zmory Dalego, łącznie z samym orłem, wysłannikiem Zeusa o złotym brzuchu pełnym prometeuszowych wątróbek.

- Blaskiem drzemającym w tych eksponatach można by oświetlić gabinet z pomocą jednej zapałki. - Dowcip nie wzbudził aplauzu Rajeeva, jak tego oczekiwał Ken.

Usiedliśmy i już miałem nas przedstawić, kiedy uprzedził mnie Ken, co w pierwszej chwili bardzo mnie zirytowało.

- Panie Rajeev, nazywam się...

- To są panowie Matthews i Gonzalez, dziennikarze BBC. Ja nazywam się Kenneth Makura i jestem funkcjonariuszem Interpolu.

- Słucham...? - Na obliczu Rajeeva odmalowało się zaskoczenie, które nie dorównywało nawet w połowie zdumieniu, w jakie powyższa deklaracja wprawiła mnie i Delseya. Ken wydobył z portfela jakąś zafoliowaną legitymację i okazał ją jubilerowi.

- A pańska odznaka?

- Co pan myśli, że jestem z drogówki? Na Boga, funkcjonariusze Interpolu nie noszą odznak.



Obejrząwszy dokument na wszystkie strony, Rajeev zwrócił go właścicielowi. Nie mogłem uwierzyć, że to dzieje się naprawdę, ale diabeł już machnął ogonem i nie miałem innego wyboru, jak spróbować zaufać Kenowi i pozwolić mu działać, zachowując najwyższą czujność, by w każdej chwili przyjść zuchwalcowi z odsieczą.

- O co chodzi? - spytał Rajeev.

- Opierając się na źródłach BBC, prowadzimy wspólne dochodzenie mające na celu odnalezienie pewnego osobnika poszukiwanego przez Interpol. Z naszych informacji wynika, iż osoba ta była właścicielem klejnotu wykonanego przez pańską firmę, dlatego chcielibyśmy zapoznać się z rejestrami w nadziei odnalezienia jakiejś adnotacji, która pomogłaby nam w ustaleniu jego miejsca pobytu.

- Ma pan nakaz?

- Z całym szacunkiem, panie Kalala... panie Rajeev. Informacja, o którą proszę, nie jest chyba tajemnicą stanu ani w żaden sposób nie wystawia na szwank reputacji pańskiej firmy. Gwarantuję panu solennie, że jeśli uda się nam odnaleźć w pańskim archiwum interesujące nas dane, źródło tej informacji uznane zostanie automatycznie i bezwarunkowo za ściśle poufne. Biorąc pod uwagę powyższe, ma pan do wyboru dwie opcje. Albo pójdzie pan na współpracę, udostępni nam uprzejmie swoje rejestry i ułatwi życie wszystkim zainteresowanym stronom, w tym również sobie, albo wyjdę tymi samymi drzwiami, przez które tu wszedłem, złożę wniosek o nakaz przeszukania i wrócę jutro z trzydziestoma funkcjonariuszami kenijskiej policji, którzy przewrócą ten pański grobowiec Tutenchamona do góry nogami i nie spoczną dopóty, dopóki nie znajdą mumii. I ostrzegam, że są wybitnie miernymi archeologami. Wybór należy do pana.

Rajeev zastanawiał się niecałe dwie sekundy.

- Współpraca z panami będzie dla mnie przyjemnością. Osoba, która była uprzejma do mnie zadzwonić, wspomniała o jakimś dawnym wyrobie. O jaki przedmiot chodzi?

- Gonzales. - Śmiertelnie poważny Ken oddał mi głos. Nadludzkim wysiłkiem zgasilem w sobie lont bomby śmiechu, którą eksplodowałbym niechybnie, gdyby nie ryzyko, że wysadzę nią w powie-

trze łatwowierność Rajeeva i wszelką nadzieję na zbadanie tego śladu.

- Otóż był to pierścień, sygnet wykonany ze złota i szlachetnych kamieni. Znajdowała się na nim Blue Ensign protektoratu Kenii oraz inicjały BS. Został wykonany około roku 1930 na zamówienie panny Cordelii Blackbourne, późniejszej pani Blackbourne-Hall.

- Ach tak. Doskonale. Proszę wybaczyć, to potrwa sekundkę. - Rajeev wstał, zniknął za drzwiami i po kilku sekundach wrócił, nim zdążyłem skarcić Kena za jego niebываły tupet. Rajeev przerzucił strony katalogu trzymanego w rękach. Wrócił na swoje miejsce i położył przed nami otwartą księgę.

- Proszę, jest tutaj. Pański sygnet.

I rzeczywiście był. Stara czarno-biała fotografia na całą stronę przedstawiała spektakularny sygnet z reliefem wygrawerowanej na powierzchni flagi oraz literami BS inkrustowanymi przesadnie wielkimi, jak na rozmiary sygnetu, brylantami. Przypominał raczej przycisk do papieru, którego przeznaczeniem jest zadawanie szyku w gablocie niż biżuterię mającą zdobić palec, chyba że miałyby odgrywać rolę kastetu.

- Przed laty opublikowaliśmy ten katalog prezentujący kolekcję naszych najbardziej oryginalnych wyrobów, stając w konkurso we szranki o międzynarodową nagrodę. Ten sygnet wykonał mój pradziadek, założyciel firmy. Prawdziwie mistrzowska robota, dzieło sztuki stworzone od początku do końca za pomocą jego autor skich technik. Wielka szkoda, że nie możemy podziwiać oryginal nych tonacji, zgodnie bowiem z dokumentacją zawierał trzy barwy dwudziestokaratowego złota, czerwoną, białą i niebieską oraz karat wyjątkowej jakości diamentów, które posłużyły do wykonania inicjałów. Proszę zwrócić uwagę na doskonałość szczegółów flagi, zachowanie proporcji Union Jack, jak również misterną obróbkę figury lwa. To cudo w miniaturze i bardzo cenny egzemplarz.

- Tutaj widzę jakiś numer ewidencyjny - wpadłem mu w słowo.

- Czy dzięki niemu można prześledzić losy sprzedaży oznaczonego nim przedmiotu?

- Oczywiście. Jesteśmy skrajnie drobiazgowi w prowadzeniu naszych rejestrów. Panowie wybaczą.

Tym razem Rajeev zabawił nieco dłużej. Zważywszy, iż fortel Kena zdawał się funkcjonować, postanowiłem trzymać język za zębami. Rajeev zjawił się ze starą księgą rejestrową.

- Jest tutaj. Zamówienie złożone przez pannę Cordelię Blackbourne z Naivasha, odebrane i zapłacone w dniu 27 października 1930 roku.

- Tylko tyle? - spytałem.

- Chwileczkę. Tak. Jest jeszcze adnotacja. Odsyłacz krzyżowy. Umieszczamy je w rejestrze wówczas, gdy dany obiekt przeszedł ponownie przez nasze ręce.

Rajeev zniknął w tych samych drzwiach, a mój entuzjazm rósł jak na drożdżach. Oto moja hipoteza miała się zaraz potwierdzić. Tym razem zjawił się z kolejnymi dwiema księgami.

- Zobaczmy, co tutaj mamy. Obiekt został nam sprzedany ponownie 3 grudnia 1945 roku. Pod tą pozycją figuruje jeszcze jeden odsyłacz krzyżowy, który ekspediuje nas z kolei do dnia 14 lipca 1953 roku, kiedy to sygnet został ostatecznie nabyty przez pana Geralda Ramseya z Long Island w Nowym Jorku. Rodzina Ramsey to nasi wieloletni klienci. To amerykańscy kolekcjonerzy od bardzo dawna prowadzący interesy w naszym kraju.

- Czy wiadomo, kto sprzedał sygnet w 1945? - naciskałem, siedząc jak na rozżarzonych węglach.

- Pan Boston Shark z Nairobi. Nie ma innych danych.

- BS - wyszeptał Delsey.

- Boston Shark? - bąknąłem zmieszany. - Co to za nazwisko? Nikt nie nazywa się Boston Shark.

- Może to przydomek? - zastanawiał się Ken.

- Panie Rajeev, czy kupując tego typu przedmiot, pańska firma wymaga od sprzedawcy dokumentacji klejnotu? - drażyłem, nie zamierzając poddać się bez walki.

- Naturalnie. To nasza standardowa praktyka. Szybko doprowadzilibyśmy do ruiny przedsiębiorstwo, gdybyśmy kupowali kradzioną biżuterię. Ponadto w tym konkretnym wypadku był to nasz własny certyfikat, tak że z absolutną pewnością mogę zagwarantować, że dokumenty były w idealnym porządku. Zaraz, chwileczkę, jest jeszcze coś.

- Co? - zastygłem w napięciu.
- Cena, jaką zapłaciliśmy panu Sharkowi nie odpowiada rzeczywiście wartości przedmiotu. Mam tutaj adnotację mówiącą o tym, że część zapłaty została przekazana w naturze.
- W naturze? Jak to w naturze? - stęknąłem.
- Tego nie wiem. Widnieje tutaj jakiś kod, który nie odpowiada oznakowaniu naszych odsyłaczy.
- Chcemy wiedzieć, co to za kod - apodyktycznym tonem nakażał agent Interpolu.
- Momencik. Zadzwoń do ojca.

Podczas gdy Rajeev opuszczał gabinet, wszyscy trzej popatrzyliśmy na siebie wyczekującym wzrokiem. Było za wcześnie na snucie domysłów, przedtem należało skonfrontować nasze punkty widzenia. Po kilku minutach uśmiechnięta twarz Rajeeva wyłoniła się zza drzwi.

- Ojciec rozpoznał ten kod. To nie odsyłacz, tylko numer rejestracyjny. Numer rejestracyjny samolotu. Nie rozpoznałem go, ponieważ to rejestracja starego wzoru. Ojciec sądzi, że mógł to być stary Gipsy Moth, który należał kiedyś do dziadka. Dziadek był wielkim miłośnikiem samolotów. Kupował je i sprzedawał z czystej kolekcjonerskiej pasji. Wszystko wskazuje na to, że pan Shark zaakceptował tę starą maszynę dziadka jako część zapłaty za sygnet.

- Czy pański dziadek jeszcze żyje? - zapytałem.
- Nie, zmarł.
- A może pański ojciec mógłby nam powiedzieć coś więcej? - włączył się Delsey.
- Nie, w 1945 był jeszcze dzieckiem. Nie pamięta osobiście tej transakcji, pamięta jednak ów aeroplan. Dziadek praktykował od czasu do czasu tego typu wymiany.
- Czy ta maszyna była na chodzie? Czy pan Shark mógł używać tego samolotu do latania? - zainteresował się Ken.
- Nie potrafię tego panu powiedzieć. Ale do czegoś innego mógłby mu być przydatny? Do otwierania listów byłby trochę nieporęczny
- Niech pan nie będzie taki dowcipny, panie Rajeev - zaperzył się urażony Ken. - Pytanie nie było bezpodstawne. - Zwrócił się

w naszą stronę. - Jeśli był sprawny i latał, na lotnisku Wilson musiał pozostać po nim jakiś ślad.

- Na co więc czekamy? - rzucił ochoczo Delsey.

- Chwileczkę, czy mógłby mi pan podać rejestrację tego Gipsy Moth? - Wyciągnąłem z kieszeni notatnik i ołówek.

- Victor Papa Kilo Alpha Lima. Ale ta informacja na niewiele się panom zda. Jeśli ten mężczyzna chciał się ukryć, mógł go prze-rejestrować.

- VPKAL - powtórzyłem, gryzmołąc litery. - Dziękuję, panie Rajeev, dziękuję za współpracę. Pańska pomoc walnie przysłuży się naszemu... dochodzeniu.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Proszę wpadać, kiedy tylko panowie zechcą. To dla mnie zaszczyt podejmować osoby tak... rzetelnie uwierzytelnione.

Skierowaliśmy się w stronę wyjścia i uścisnęliśmy dłoń Rajeeva. Gdy postawiliśmy już stopy na marmurowej podłodze podestu i Rajeev zamykał za sobą różane drzwi, Ken dodał:

- Proszę w najbliższych dniach nie opuszczać miasta, na wypadek gdyby... Auuc! - Bolesne uszczyknięcie w ramię przeszkodziło mu dokończyć zdanie.

Udzieliłem delikatnej reprimendy Kenowi, kiedy zanurzyliśmy się w cień ogrodowych fikusów.

- Następnym razem, jeśli zapragniesz włączyć nas wspania łąomyślnie do obsady reżyserowanej przez siebie komedii, będę ci bardzo wdzięczny za uprzedzenie mnie o tym fakcie.

- Stary, przecież wszystko poszło jak po maśle! Widziałeś, jak to łyknął? Ha, ha! Jak tylko zobaczyłem, co to za firma, że to nie jakiś stragan z tombakiem i paciorkami, pomyślałem, że jeśli ktoś ma ważnych klientów, to jego świętą dewizą jest milczeć jak grób. Rajeev nie puściłby pary z gęby w rozmowie z dwoma szeregowymi dziennikarzynami i jakimś baronem żabojadem. Bracie, skrót BBC potrafi otworzyć więcej drzwi w Kenii niż wszystkie litery składające się na hasło „Sezamie, otwórz się!”. Nie wspominając o efektownym blefie z Interpolem! Ha, ha! Jak ci się to podobało?

- W jaki sposób podrobiłeś legitymację Interpolu?

- A czy widziałeś kiedykolwiek legitymację Interpolu? - spytał czupurnie Ken.

- Rozumiem. I miałeś nadzieję, że Rajeev też jej nigdy nie widział. Pomyślałeś nawet, że chociażby zwierzył, że jest fałszywa, uzna, że lepiej się nie przeciwstawić komuś, kto podszywa się pod policjanta.

- Jakżeby inaczej, pewnie, pewnie, o tym pomyślałem również.
- Jasne, że nie wziął tego pod uwagę.

- I tak też było, bo nie uwierzył w ani jedno słowo tej maskarady - osądził Delsey. - I dał temu wyraz w swoim ostatnim komentarzu dotyczącym naszego uwierzytelnienia. Zresztą wszystko jedno, najważniejsze jest to, że mamy tę informację o aeroplanie. Chociaż coś mi tutaj zgrzyta. Jeśli Boston Shark to rzeczywiście Hamish, po co miałby używać pseudonimu? Hamish był człowiekiem szczerym i prawym.

- Przecież sam mi pan opowiedział, że ojca Hamisha odsadzono od czci i wiary po tym, jak próba założenia spółki z ojcem Cordelii zakończyła się fiaskiem. Może na Hamisha czekała w Kenii zła ojcowska sława, w dodatku to zerwane narzeczeństwo z Cordelią... to chyba wystarczające powody, dla których mógł pragnąć rozpocząć nowe życie pod innym nazwiskiem, żeby nie dostać się na języki całej kolonii. Może chciał odciąć się od przeszłości i zacząć wszystko od zera. Wtedy dałoby się wytłumaczyć, dlaczego nie można natrafić na najmniejszy ślad Hamisha Sutherlanda. Bo ja wiem, może wyjechał w inne strony, daleko od Nairobi, na przykład do Nyeri. Może osiadł tam po zerwaniu z Cordelią i po latach kupił samolot, aby móc przemieszczać się z większą swobodą albo w celach stricte sportowych. Myśli pan, że to prawdopodobne, aby Hamish kupił samolot?

- Cóż, Hamish, jakiego pamiętam, to prawdziwy *sportsman*. Pasjonowało go każde zajęcie przyprawiające o dreszcze. Nie, nie wykluczyłbym takiej możliwości.

- Świetnie - zakonkludowałem. - A zatem panowie, ruszamy tropem Bostona. Pierwszy przystanek: lotnisko Wilson, gdzie dla odmiany wystąpimy pod naszymi prawdziwymi nazwiskami. - Posłałem Kenowi uśmiech z reklamy pasty do zębów.



- Bez obawy, nie przewiduję tam żadnych problemów! Nie będziemy musieli podierać się moją legitymacją. Mam znajomka we władzach lotniska, który jest mi dłużny przysługę.

- A propos, o co właściwie chodzi z tym Interpolem? - spuentował z właściwą sobie gracją Delsey.

Klub Syzyfów

W taksówce wiozącej nas na lotnisko Ken nie posiadał się z radości, słuchając tranzystorowego radia gardłującego ze zwisającej z lusterka wstecznego skarpetki, kołyszącej się na każdym zakręcie jak worek mosznowy w upalne lato. Wyglądało na to, że trzej kenijscy lekkoatleci zawładnęli podium podczas Igrzysk Olimpijskich w Barcelonie i medale te wzbogaciły kolekcję czterech krążków zdobytych przez ich rodaków w poprzednich dniach. Pogratulowaliśmy Kenowi tego sukcesu, zważywszy jednak, że ja i Delsey o sporcie wiedzieliśmy po angielsku dokładnie tyle samo, co w suahili, jedyną osobą, z którą mógł podzielić się swoją pieśnią pochwalną, był siedzący obok niego taksówkarz. Zajmowałem tylną kanapę i dokonywałem mentalnego przeglądu postępów naszego śledztwa. Myślałem o nich niemal obsesyjnie, być może upatrując w tym jakiejś formy egzorcyzmu, jakbym chciał wypełnić szczelnie włókna mózgu święconą wodą naszej wybawicielskiej misji i wypędzić z głowy szyderczego demona Moniki. U mego boku Delsey patrzył przez okno, kontemplując gorączkowy, mechaniczno-ludzki harmider Uhuru.

- Delsey... Myśli pan, że ta druga kobieta...?

- Masz na myśli kobietę, z powodu której Hamish zerwał z Cordelią.

-... mogła być trzecią kobietą?

- W żadnym wypadku! A niby kim miałyby być, syreną, którą przywlokła tutaj biała smuga kreślona w morskiej wodzie rufą stat-

ku? Chłopcze, nie możesz mieć najmniejszych wątpliwości. Serce Hamisha zamknął subtelny klucz twej babki. Z całą pewnością pisał do niej, prosząc, aby zechciała dołączyć do niego w tym nowym świecie, jednak w wyniku diabolicznych machinacji jej siostry nigdy tych bilecików nie otrzymała.

- Bilecików?

- Bilecików, epistoł... Listów.

-Aha.

Lotnisko Wilson obsługujące ruch krajowy nie dysponowało czymś, co można by nazwać terminalem. Na polach manewrów bczywały stada żelaznych komarów, gzów i trzmieli skrobiących płytę w poszukiwaniu schronienia w garstce porozrzucanych chaotycznie wiat i hangarów. W punktach startowych lśniące sportowe awionetki i nieliczne odrzutowe gabinety puszyły się białymi obłoczkami na tle martwych skorup znieruchomiałych w kałużach zastygłego oleju niczym muchy złapane na lep. Przeczesałem wzrokiem dżungłę kadłubów, szukając nadaremnie kombinacji liter VPKAL. Dzięki znajomemu Kena, bojaźliwej, drucianej kukielce o nazwisku Sam Ngethe, mogliśmy wejść na płytę lotniska i do biur, gdzie w końcu opadliśmy na krzesła, obserwując powietrzną lataninę jak emeryci patrzący na gołębie w parku, podczas gdy Sam udał się z naszym numerem rejestracyjnym do archiwum.

Wyłonił się stamtąd po pół godzinie, potrząsając w triumfalnym geście swoją drucianą architekturą. W dziennikach lotów lotniska Wilson pełno było śladów VP-KAL. Był to De Havilland DH60G Gipsy Moth i gościł tam wiele razy, lądując i startując do licznych miejsc w Kenii i Tanzanii, nie wyłączając Nyeri. W 1975 ślad się urywał, lecz na niedługo przed tą datą latał wciąż do jednego miejsca, do Masai Mara, korzystając przede wszystkim z lądowiska Keekorok Lodge. I wreszcie najważniejsze -jako pilot figurował nie kto inny jak nasz Boston Shark. Sam wywnioskował, że nasz przyjaciel musiał być kimś, kogo określano mianem *bush pilot*, pilotem afrykańskiego buszu. Wyjaśnił, że nazywano tak lotników, którzy skakali z lądowiska na lądowisko w najodleglejszych zakątkach, realizując każde otrzymane zlecenie, i którzy potrafili wylądować na grzbiecie świerszcza i naprawić silnik swojego żelaznego ptaka za pomocą paska lornetki i obojczyka anty-

lopy gnu. Profesję tę spowijała mgielka romantycznej mistyfikacji, kreująca legendy o dawnych, mrocznych czasach i ucieczkach spod karzącej ręki wymiaru sprawiedliwości, ewidentnie fałszywe w większości wypadków. Jak marynarze czy motocykliści *bush pilots* stanowili wąski i zwarty kolektyw, bractwo niemalże, i Sam sugerował, że być może któryś z nich znał naszego Bostona Sharka. Wielu spotykało się w Aero Club of East Africa znajdującym się tuż obok lotniska. Ponieważ był to prywatny klub, Sam wystąpił z propozycją wybadania terenu w naszym imieniu i zrelacjonowania nam szczegółowo, czy Boston do niego należał lub czy któryś z członków dysponuje jakąś informacją na jego temat. Zadowoleni z otwarcia obiecującej linii dochodzenia wycofaliśmy się do Norfolku celem przetrawienia świeżych tropów, gdzie Ken odrzucił nasze zaproszenie na kolację, ponieważ był już umówiony z Naomi. Innymi słowy nie zawiadomił matki, żeby wieczorem nie szykowała mu posiłku.

W piecach recepcji nie wypiekła się żadna dla mnie wiadomość, za to jedna, jeszcze ciepła, czekała na Delseya. Wydawnictwo zapodziało gdzieś ostatni artykuł barona i błagano go o powtórny wysyłkę. Umówiliśmy się na kolację o hiszpańskiej porze, to znaczy o dwudziestej pierwszej, i każdy udał się do swojego pokoju. Miałem zamiar wykorzystać ten czas, aby przeczytać kilka artykułów Hamisha, które od kilku dni przekładałem z kąta w kąt, lecz po krótkim namyśle uznałem, że bardziej nagłącą sprawą jest poczynić w końcu pierwsze zapiski na temat podróży i naszych odkryć. Gdy przewijałem od początku film rejestrujący wydarzenia, nagle pojawiło mi się przed oczami imię: Makena. Postanowiłem do niej zadzwonić. Jeśli dobrze pamiętałem, Victoria Station otwierał swoje podwoje o pół do dziewiątej, wypełniłem więc oczekiwanie zaczerwienieniem papieru pierwszymi refleksjami. Gdy wykręciłem numer lokalu, przez hałas dochodzący z tła przebił się do mnie męski głos tryskający entuzjazmem automatycznej sekretarki, w którym odgadłem komunikacyjny styl kelnera-żywego trupa. Jak on się nazywał...? Thomas!

- Thomas? Czy to pan Thomas?

- Tak. Proszę pana.

- Thomas, jestem znajomym Makeny, Audrey. Czy mógłbym zamienić z nią dwa słowa?

- Przykro mi. Proszę pana. Panienska Audrey nie przychodzi do pracy.

- Ma wolne?

- Nie. Proszę pana. Jutro też nie przyjdzie.

- Czy coś się jej stało? Jest chora?

- Przykro mi. Proszę pana. Nie mogę powiedzieć nic więcej.

- Panie Thomas, nie jestem klientem Makeny, jestem jej przyjacielem.

- Zrozumiałem. Proszę pana.

- Czy mógłby mi pan podać jej numer telefonu?

- Przykro mi. Proszę pana.

- Panie Thomas, ja wiem, gdzie ona mieszka, ale nie mam do niej telefonu. Mieszka na... - Szlag by to trafił. Pamiętałem, jak wygląda wejście do budynku, ale nie wiedziałem, jak nazywa się ulica.

- Przykro mi. Proszę pana.

Zrozumiałem, że szkoda było mojej głowy na ten niezłomny mur i poważnie się zaniepokoiłem. Nie obawiałbym się, gdyby Makena była bibliotekarką, parając się jednak tą profesją narażona była na pewne dodatkowe niebezpieczeństwa. Nie pozostawało mi nic innego jak udać się tam bez zwłoki. Zadzwoiłem do Delseya i poprosiłem, aby nie czekał na mnie z kolacją, gdybym się spóźniał, i pojechałem taksówką do Victoria Station.

Wrażenie, jakie zrobił na mnie ten lokal, było radykalnie różne od tego, jakie odniosłem za pierwszym razem, chociaż znajoma mroczna nuta nie pozostawiała żadnych wątpliwości, co do jego tożsamości. Nie jeden, nie dwóch, ale trzech *askari* z pałkami w garściach pilnowało wejścia, a towarzysko wspierało ich dwóch wbitych w garnitury osiłków cierpiących na zapalenie zwojów nerwowych pod pachami i powracających do zdrowia, pokładając się leniwie na stalowych umocnieniach samobieżnej fortecy o zaciemnionych szybach. Domyśliłem się, że jakaś gruba ryba musiała pławić się w mrocznej parności alkoholi i nektarów Victorii i że być może przyjdzie mi odejść z kwitkiem. Tak się jednak nie stało i kiedy odsunąłem welwetową kotarę, której królewskie runo złachane bezustannym obmacywaniem obróciło się w kurewski łachman, zderzyłem się ze zbitym, ludzkim betonem i przypomniałem sobie, że to przecież

sobotni wieczór. Tkliwa piosnka Claydermana ustąpiła natłokowi synkopowanych watów, a reflektory błyskające trupim, zielonym i czerwonym światłem obracały wniwecz staranny makijaż kobiet raz martwych, raz żywych i znowu martwych. Publiczność dopisała nie tylko w liczbie, ale również rodzaju, i nie tylko w sensie jakościowym, ale gramatycznym. Złożoną z samych tarzanów i biochemicznie niepokalaną klientelę z poprzedniej wizyty rozcieńczyła teraz szczodra doza przedstawicielek płci żeńskiej i na ryczącym parkiecie wiele kobiet z partnerami lub w grupach strzykających estrogenami płaśało w najlepsze, nie wiedziałem tylko, czy tańcząc, czy odbijając się od skóry bębna. W sobotnią noc Victoria Station przedzierzgał się z burdelu z automatem do napojów, czytaj Thomasem, w niewinną dyskotekę oferującą usługi o wartości dodanej. A ja, trzeba to jasno powiedzieć, nie byłem odpowiednio ubrany. W zestawieniu z rewia ciężkich i cennych metali mój T-shirt i dżinsy zgrzytały jak fluor na redakcyjnym stole - przyjaciel, jakiego kiedyś miałem, pytał zawsze, co u diabła robi tam pasta do zębów.

Przeniknąłem do baru przez zbitą masę ciał, jakbym rozkładał połędwicę, i moim oczom ukazał się mityczny Thomas. Patrzył na mnie swoimi guzikami automatu, czekając, aż wrzucę monetę. Poprosiłem go, żeby się nachylił i wyjaśniłem, że to ja rozmawiałem z nim przed chwilą przez telefon. Łudziłem się, że otrzymam jeden z tych poufałych znaków należących do tajnego kodu, które wtajemniczeni wymieniają między sobą, ale tak się nie stało. Dźgnął mnie swoim mechanicznym „Czego się pan napije, proszę pana?”, i nie drgnął cwaniakowi nawet jeden mięsień twarzy. Obrzuciłem wzrokiem kontuar. W głębi, pod ścianą, w towarzystwie dwóch dziewcząt biały anioł Abraham rozmawiał z osobnikiem o podobnym ciężarze właściwym zamieszkującym szary, jednorodzinny garnitur. Pomyślałem, że mogła to być ta gruba ryba i że Abraham najpewniej napiętnuje mój brak ogłady, lecz nie przychodziła mi do głowy bardziej subtelna ofensywa. Natarłem na niego, przedstawiłem się, próbowałem odświeżyć mu pamięć co do tamtej nocy przy pianinie z Makeną i zamanifestowałem troskę o jego podopieczną. Zareagował cierpliwie, beznamietny wyraz nie ustąpił z jego oblicza nawet na sekundę. Poprosiłem wówczas, aby zadzwonił do Makeny

i spytał, czy zechce ze mną rozmawiać. Po chwili wahania zaprowadził mnie pod jakieś drzwi i kazał mi zaczekać, sam zaś wszedł do pomieszczenia wyglądającego na biuro. Kilka minut później zaprosił mnie do środka i podał słuchawkę telefonu z posępną twarzą. Pomieszczenie było odpychające, pełne żalobnych obwódek po obrazach na ścianach, prowizorycznego umeblowania i kartonów wyładowanych rozczłonkowanymi przedmiotami. Wziąłem do ręki słuchawkę. Po drugiej stronie drutu załśnił jej złocisty głos.

- Cześć, Curro. Twoja troska o mnie jest wzruszająca. Brak mi słów.

- Cześć, skarbie. Dobrze się czujesz? Wszystko w porządku?

- W doskonałym porządku. Wzięłam sobie kilka dni wolnego, to nic takiego. Nie przejmuj się, jeszcze o mnie usłyszysz.

Uspokajające słowa Makeny nie znajdowały oddźwięku w minie Abrahama. Jego jabłkowe policzki sprawiały wrażenie przywiędłych, jakby brakowało im słońca. Zaniepokoiłem się i postanowiłem skłamać.

- Makena, Abraham powiedział mi, że sytuacja jest poważna - wyszeptalem, starając się mówić tak, aby właściciel lokalu mnie nie usłyszał. Nie zmienił wyrazu twarzy; trwał nieruchomy, ze wzrokiem ukrytym pod powiekami. Długa, przenikliwa cisza popłynęła po linii telefonicznej tam i z powrotem. Odniosłem wrażenie, że wracając, przyniosła z sobą westchnienie.

- Musiałam ukryć się w domu na kilka dni, na wszelki wypadek.

- Jak to, na wszelki wypadek? - rzuciłem nieco szorstkim tonem.

- Curro, myślę, że wiesz już o mnie wszystko, co powinieneś o mnie wiedzieć. Nie mieszaj się w nie swoje sprawy, to nie twoja działka. Za kilka dni wrócisz do tej swojej Hiszpanii i zapomnisz o dziewczynie, która...

- Jak to, na wszelki wypadek? - powtórzyłem. Tym razem z moich ust nie wyszła komenda, tylko błaganie.

- Na wszelki wypadek, gdyby wrócili.

- Oni? Kto?

- W porządku, panie dziennikarzu, dostaniesz swoją historię.

- Mak, nie pyta cię o to dziennikarz.

- Dobrze, sam tego chciałeś. - Zawiesiła głos. - Parę dni temu zjawili się w Victorii dwóch facetów i dziewczyna. Byli z Blush Orchid International, to ta agencja *escorts*, o której ci mówiłam. Byli znakomicie ubrani, dziewczyna nieziemsko piękna, mieli wizytówki i wyglądali bardzo, bardzo profesjonalnie. Jeden z tych facetów był, zdaje się, dyrektorem Departamentu Zasobów Ludzkich, a drugi dyrektorem ds. Operacji. Dziewczyna przedstawiła się jako hostessa. Na wizytówkach wydrukowane były tylko ich nazwiska oraz pełnione funkcje, nic więcej, ani adresu, ani telefonu, co, szczerze mówiąc, wydało mi dość dziwne. Usiedli ze mną i z Abrahamem i powiedzieli, że ponieważ zwlekałam z odpowiedzią, przyjechali, aby zmobilizować mnie do podjęcia decyzji. Zamówili najdroższe go szampana, obiecali Abrahamowi pieniądze w ramach rekompensaty, a mnie, co tylko sobie wymarzysz: markowe ciuchy, biżuterię, firmowe złote karty, samochody i luksusowe apartamenty w Londynie, w Paryżu, w Moskwie... Dziewczyna powiedziała, że jest córką robotnika z Europy Wschodniej i że od dwóch lat pracuje dla agencji, że to najwspanialsza przygoda, jaka mogła ją w życiu spotkać, że żyje jak w bajce, której nie wyśniłaby sobie w najśmielszych snach. Napaliłam się, chociaż z drugiej strony nie mogłam się jakoś do nich całkiem przekonać. Nie wiem, może tknęło mnie przeczucie. Nie spodobali mi się...

Zamilkła. Znów dobiegło mnie to lekkie tchnienie, jakby zamiast oddychać Makena otworzyła okno. Wolałam jej nie przerywać.

- No i... - ciągnęła dalej - poprosili Abrahama, aby udostępnił im swoje biuro, to, w którym teraz jesteś, i zamknęli się tam ze mną. Najpierw wciągnęli kilka kresek koki. Możesz sobie wyobrazić, że w tej profesji widziałam już niejedno, ale ja nie biorę narkotyków i nikt nigdy nie ośmielił się mnie do tego zmuszać. Oni nalegali i nalegali, z początku grzecznie, ale z coraz bardziej skrzywiony mi minami, nie podnosząc głosu, ale przystawiając się do mnie w taki sposób, że wcale mi się to nie podobało. Strach mnie obleciał i pomyślałam: w porządku, od jednego razu nic mi się nie stanie, i pociągnęłam trochę. Wtedy zaczęli... pchać się do mnie z łapami pod ubranie. Oparłam się. Powiedziałam im, że nie chcę, że sama

wyberam, z kim chcę spać, a oni roześmiali się, mówiąc, że wcale nie będziemy spać i że w tej firmie trzeba być elastycznym, i że chcą spróbować, czy się nadają do interesu...

Poczułem się strasznie niezręcznie. Pomyślałem, że może Makena opowiada jednak tę historię dziennikarzowi. A ja nie byłem rekinem z BBC kontrolującym przepastne głębiny czwartej władzy. Kronikarz specjalizujący się w małpach biegających po ulicy niewiele mógł tutaj zdziałać. Bałem się zawieść jej potencjalne oczekiwania.

- Mak, jeśli wolisz, żeby...

- Zamknij się i nie przerywaj, bo inaczej nigdy już tego ze mnie nie wydobędziesz. Zaczęłam krzyczeć. Jeden z nich wykręcił mi rękę za oparcie krzesła, drugi w tym czasie rozpinał rozporek, a dziewczyna... przykucnęła między moimi nogami z butelką... Może oszczędzę ci szczegółów, Curro. Zaczęłam wrzeszczeć wniebogłose, Abraham!, Abraham!, a ten, który stał nade mną próbował mnie uciszyć, wciskając mi... Wtedy do biura wpadł Abraham. Gdy zobaczył, co ze mną wyprawiają i że zalewam się łzami, wpadł w furję i rzucił się na nich, tłukąc, gdzie popadnie, i rycząc, żeby się wynosili, a wiesz, że nie jest ułomkiem. Na to dziewczyna wyciągnęła z torby taki gaz obronny w aerozolu i rozpyliła go prosto w oczy Abrahama, i on upadł z krzykiem na podłogę. Wtedy stłukłam butelkę, wymachując nią w ich stronę, gotowa na wszystko. Powiedzieli, że jeszcze tu wrócą, że co ja sobie wyobrażam, że jeśli nie chcę dla nich pracować, nie będę też pracować przeciwko nim... Zanim wyszli, zdemolowali biuro. I to wszystko, Curro. Abraham poradził mi, żebym przez kilka dni posiedziała w domu, i postawił przy drzwiach Victorii dwóch dodatkowych *askari*, gdyby tamtym przyszło do głowy wrócić. Oni nie wiedzą, gdzie mieszkam, więc w domu mogę czuć się bezpieczna. Ale prawdę mówiąc, bardzo się boję.

- Moja biedna mała. Zrobili ci krzywdę? Jesteś ranna?

- Nie, nic mi nie jest. Zaraz potem trochę mnie bolało, ale już mi przeszło.

- Potrzebujesz opieki?

- Nie martw się o mnie, słoneczko. Przywykłam do tego, by sama troszczyć się o siebie, poza tym wykorzystam tych kilka dni, żeby odpocząć. Wyglądam strasznie, chodzę w piżamie z Nakumatt, mam

potargane włosy, ale wszystko mi jedno. Chcę być sama. Uprażyłam sobie górę popcornu i właśnie zabierałam się do oglądania filmu.

- „Śniadanie u Tiffany'ego”?

- Nie, taki jeden, z Denzelem Washingtonem. Chyba niezbyt do śmiechu, bo gra Steve'a Biko, a pamiętam, że go zamordowali. Ale nieważne, uwielbiam Denzela. Popłaczę sobie trochę i położę się wcześniej... Nie. Myślę, że nie mogę być jak Audrey.

- Być jak Audrey? Przecież gdy ona patrzy w witrynę Tiffany'ego, widzi moją przyjaciółkę Mak.

- Ha, ha! Potrafisz schlebić dziewczynie.

- Dbaj o siebie, skarbie. Chciałbym zadzwonić, żeby sprawdzić, jak się czujesz, ale nie mam ani twojego telefonu, ani adresu.

- Wspomniałam już Abrahamowi, żeby zapisał ci moje namiary. Dziękuję, słoneczko. Bardzo, ale to bardzo jestem ci wdzięczna za troskę.

Odłożyłem słuchawkę. Abraham patrzył na mnie znad swoich jabłkowych, obumarłych policzków, jakby robaki drażyły jego serce.

- Przez trzydzieści lat nigdy nie zdarzyło się w Victorii coś podobnego. Nie wchodziłem im w drogę i oni trzymali się ode mnie z daleka. Te bękarty...

- Przykro mi, panie Abraham.

Wsiadłem do taksówki i wróciłem do hotelu. Odetchnąłem z ulgą, usłyszawszy, że Makena woli zostać tej nocy sama. Jeśli kiedykolwiek zmuszony byłbym wytrwać jak szpieg na torturach, żeby nie posłać do wszystkich diabłów ograniczeń, jakie narzuciłem sobie względem tej dziewczyny, byłoby to z pewnością tej nocy. U podstaw naszej relacji legło fizyczne zauroczenie i nie zawsze łatwo było je sublimować, ignorować i wyrzucić z jaskini Platona, tak by nie dobijało się do drzwi z furią Freda Flinstona. Inni polegliby owego popołudnia na basenie lub podczas kolacji w Carnivore, dla mnie jednak największą pokusą była Makena odarta do żywego z zawodowego kamuflażu, niewinna, sponiewierana, podatna na zranienie, trzymająca w objęciach misę z popcornem, okutana w piżamę z supermarketu i hodująca nieprzebyte gąszcz włosów na głowie. Tamtej nocy okryłbym jej ciało płatkami pocałunków i wymazał ze swoich ust DNA Moniki.

Być może, aby za wszelką cenę wysiudać tę myśl z ringu moich konfliktów uczuciowych, ucieszyłem się na widok ekscentrycznej popijawy celebrowanej w barze Delamere hotelu Norfolk. Było już po dwudziestej drugiej i triumwirat przebrzmiałych sław uknuł spisek mający na celu doprowadzenie do całkowitego oczyszczenia baru z zapasów alkoholu. Wnosząc z suto zastawionego stołu, bractwo musiało zawrzeć pakt pod hasłem do diabła z dzieśniętymi!, zgodnie z którym dawkę wyjściową ustalono na całą butelkę. Zdziwiłem się, widząc tam Tony'ego Keraka balującego hucznie wraz Delseyem i ponadczasowym łanem, który nie przepuszczał żadnej sposobności, aby zdezynfekować przelyk czy to w dobrej, czy w byle jakiej kompanii. Delsey i Tony polegiwali na krzesłach, pierwszy taktownie i powściągliwie, drugi swobodnie rozwalony, łan zaś, zahaczywszy obcas kowbojskiego buta o oparcie sąsiedniego krzesła, dokazywał, szarpiąc struny swojego ukulele. Na podstawie koślawych akrobacji ich głosów mogłem wywnioskować, że w organizmach całej trójki, zwłaszcza w ciele zmartwychwstałego Hemingwaya, przelewa się paliwo, którym można by napęlić cysternę.

- Tony! Myślałem, że cała ekipa jest już w Masai Mara. - Przyciągnąłem krzesło i dołączyłem do fety. Jakaś drżąca dłoń zatanko wała mi usłudnie whisky, którą bezzwłocznie wlałem do gardła.

- I tam też popasa. Ale moja rola już się skończyła. W gruncie rzeczy rolka, którą mi szczerze wetknęli, nie starczała nawet, żeby sobie nią podetrzeć dupę. I bynajmniej nie żartuję. Nie, nie, nie! Przysięgam na zgraję parzystokopytnych diabłów, że przeszedłem zdjęcia próbne, teraz jednak sprawy tak się mają, że ten... brodaty jankes wytnie wszystkie moje sceny, co pozwala mi przypuszczać, że człowiekiem kina też już nie jestem. Co za gówno... Dlatego masz mnie tutaj, wśród przyjaciół, wznoszącego nieustający toast za cholernego byłego aktora. Umarł król Empyrii! Niech nam żyje król Empyrii! - Wzniósł szklankę i wypił jej zawartość aż do soczewki dna.

- O co chodzi z tą Empyrią? - spytał łan, przebierając palcami po strunach.

- To jego kinowy triumf- rzekł Delsey. - Wcielił się w rolę króla

porywającego i zakochującego się w kobiecie-rosyjskim szpiegu, którą zagrała boska Ursula Andress.

- Przeleciałeś Ursulę Andress? - Wszystkie zmarszczki złościące ciało lana przemieściły się hurmem na jego czoło, a obcas runął na podłogę.

- Nie, na rogi szatana! - odparł Tony. - Jeśli tak bardzo ckniesz ci się perwersyjna historia, przyjacielu, mógłbym ci opowiedzieć o pewnym drugoplanowym aktorze, który robił za moją osobistą obstawę. I obstawiał mnie nad wyraz pieczołowicie, możecie mi wierzyć! Ha, ha, ha! Mięśnie jego brzucha przypominały ulicę wyłożoną brukiem, a tyłek był jak hełm dla syjamskich braci, tak moi panowie, he, he!

- Jak to, to ty jesteś...? - łan nie dokończył zdania. - Myślałem, że robisz sobie jaja, stary. Ale numer, a ja już przywykłem patrzeć na ciebie jak na prawdziwego Hemingwaya.

- Ha, ha! Przykro mi, przyjacielu, ale wdepnąłeś w siedlisko ciot - zakonkludował Tony.

- Co? Wszyscy...?

- Nie, nie, wszyscy nie! - pośpieszyłem z wyjaśnieniami.

- Ty nie? Cholera, a ja myślałem, że jesteś efebem Delseya. - Odniosłem wrażenie, że nowina ta nie przypadła Tony'emu do gustu.

- Efebem! Nie, skądże znowu! Chociaż muszę przyznać, że ostatnimi czasy nie idzie mi coś z kobietami. Albo im ze mną, nie jestem pewien.

- Nadal brak wiadomości od pięknej Moniki? - zainteresował się Delsey.

- Cisza administracyjna - oświadczyłem, kropiąc drugą kolejkę whisky. - Mam wrażenie, że ją tracę i to bez jakiegoś wyraźnego motywu.

- *So we'll go no more a-roving, so late into the night, though the heart be still as loving, and the moon be still as bright-* zadeklamo-

„Więc się spacerów skończył czas/ Do późna w ciemną noc/ Choć wciąż w miłości serce trwa/ A księżyc trwoni światła moc" (przeł. Maciej Froński). Wyjątek z wiersza lorda Byrona napisanego w 1817 roku w liście do przyjaciela Thomasa Moore'a, który włączył go później do tomu zawierającego liczne listy i dzienniki poety (przyp. tłum.).

wał Delsey. - Znam i oplakuję okrucieństwo porzucenia, chłopcze, dane mi było bowiem doświadczyć jego tortur pastwiących się nad cienką powłoką mej duszy. I łączę się z tobą w bólu.

- Mam wrażenie, że odkąd zaczęła nazywać mnie swoim „narzęczonym”, używa tego wybiegu jak tarczy, za pomocą której wolno, jak się jej wydaje, odepchnąć każde moje roszczenie. Czuję się, jakbym musiał ją ciągnąć bezustannie za rękę, aby jej nie stracić, jakbym musiał dźwigać pod górę ten związek, wypruwać sobie żyły, aby po chwili stwierdzić, że znów toczy się w dół. Ja też jestem napięt nowany przekleństwem syzyfowego trudu, Delsey. - Popatrzyłem na pozostałych, przyglądających mi się w milczeniu. - Ale nie chciałbym was zanudzać swoimi problemami miłosnymi.

- Och, nie gryź się, młodzieńcze! Przynajmniej jest pośród nas ktoś, kto od czasu do czasu penetruje inne ciało niebędące jego własnym, nie martwiąc się, że spenetrują mu przy okazji portfel. - Tony nie dopuścił do głosu protestującego bełkotliwie lana. - A to zawsze rozczuła mnie do łez. Kiedy moczyłeś ostatni raz, Delsey?

- Mój drogi, wiesz doskonale, iż nie podzielałam twego stylu rozprawiania o cielesnej sferze ludzkiej natury. - Mimo iż Delsey potrafił zachować nieskalaną czystość językową, również i jemu słowa wpadały w poślizg na powierzchni języka.

- Ha, ha, ta twoja egzaltacja! Nawet gdybyś nie zdołał napisać mojej biografii, przyjacielu, chcę, żebyś ułożył *epifafium* na mój grób, kiedy już zejdziesz z tego cholernego świata! Dobrze to powie działem, nie? *Epifatium!*

- Tak, Tony. Napiszę twoje *epifafium*. Czy *epitafium*. Co tylko zechcesz. - Delseya przygniatał już ciężar wypitego alkoholu.

- Chcę, żebyś tchnął w nie swojego ducha, ale żeby to było... coś zabawnego, coś, co mnie rozweseli. Żeby ci czasem nie przyszło do głowy truć o... aniołach, nereidach i nimfach, i... o tym, o czym zwykle gędzisz.

- Wedle życzenia, Tony. Napiszę ci *epifafium* bez aniołologii, mitologii ani żadnej innej logii.

Podszedł do nas kelner, promieniejąc serdecznością, spod której prześwitywała intencja wystosowania nam zaproszenia do opuszczenia lokalu. Co też się stało.

- Proszę wybaczyć, ale wkrótce zamykamy. Jeśli panowie pragną, mogą zostać chwilę dłużej, ale w takim razie prosiłbym o ostatnie życzenia.

- Kurwa, Bob, jesteś pioruńsko nieelastyczny - burknął Ian i zaczął brzdąkać jakąś kołysankę na swoim ukulele.

- Przecież bankieci dopiero się rozkręca! - zaprotestował Tony.
- Delsey, mówiłeś, że masz apartament z werandą wychodzącą na ogród?

- Słucham? A tak, tak. - Delsey wynurzył głowę z morza snu dla zaczerpnięcia oddechu. Nie ośmielił się przeciwstawić Tony'emu. - Tak, oczywiście, zapraszam do mnie. Stamtąd nikt nas nie wrzuci.

- Słyszałeś, Bob. Słyszałeś. Stamtąd nikt nas nie wyrzuci - zawtórował Delseyowi Tony. - Tak że teraz, bardzo cię proszę, zamień łaskawie te żetony na ich równowartość w whisky i dżinie. - Wyciągnął w kierunku kelnera trzy tysiącszylingowe banknoty. - Myślę, że silniki są już rozgrzane i możemy... obejść się bez popitki. A jeśli ktoś ma cholerny apetyt na redukcję okto... okta... oktanów w benzynie, to daję głowę, że kran Delseya czynny jest całą dobę.

- Nie zaleca się pić wody z kranu, proszę pana - zasugerował łagodnie Bob. - Czy życzy pan sobie butelkę wody mineralnej?

- Mineralnej? Nie, do jasnej cholery! Chcesz mi wmówić, że to plugawe robactwo z kranu będzie bardziej odporne na tę berbe-luchę ode mnie?

- Tego nie wiem, proszę pana. Ale rozsądniej będzie nie pić wody z kranu.

- Jestem ci wdzięczny za radę, Bob. Skosztuję zatem koktaj lu upadłego, starego, zrujnowanego i zwiotczałego aktora-pedzia z kilkoma kroplami tego nielegalnego trunku, który zanim cię zabije, odbiera ci wzrok, tego... jak on się zwał, Ian?

- Chang'aa.

- Właśnie, chang'aa... Czy jak mu tam. Ale pod żadnym pozo rem nie liznę jednej choćby plugawej kropelki tej śmiertcionej trucizny z kranu. Panowie, proszę za mną...

Z dwiema tylko kolejkami whisky w nogach wciąż byłem najbardziej kontaktowym zawodnikiem tej ekipy. Z braku bardziej szlachetnego specyfiku do usuwania plam przysiadłem się do nich, aby alkoholem

zaleczyć zadrapania, jakich na mojej duszy dopuściła się Mónica, ale teraz zaczęła mnie prześladować inna myśl. Tony demonstrował wobec siebie wrogą postawę, co, nawet przy nikłej znajomości jego osoby, pobrzmiwało donośnym brzęczkiem alarmowego dzwonka. Uznałem za stosowne poinformować o tym Delseya, aby zwrócił uwagę na przyjaciela. Lecz mój towarzysz podróży mógł już tylko panować nad swoimi podstawowymi funkcjami. Gdy Tony ścisnął w objęciach naręcze butelek i ruszyliśmy tyralierą do apartamentu Delseya, chwyciłem barona pod ramię, aby pomóc mu utrzymać się na nogach, i wyszeptałem do ucha, że Tony'ego nie opuszcza wisielczy, lekko autodestrukcyjny humor. Na w pół śpiący Delsey odparł, że on tak zawsze i że nie ma powodu do obaw.

Z wielką dbałością Tony ustawił na werandzie Delseya krzesła dla wszystkich, jakby przygotowywał dekorację sceny. Zapalił świece, szczerze nalał do szklanek whisky i dżinu, i wlał od razu w siebie zawartość jednej z nich. Degustacja ta zmieniła się najwyraźniej w sportowy wyczyn polegający na przelewaniu płynów z jednego naczynia w drugie i transportowania ich do odpływu w toalecie, i ów moczopędny korowód sunący nieprzerwanie do łazienki Delseya nie był atrakcyjnym widowiskiem. Plastrowa anatomia lana na razie jeszcze trzymała się kupy, dobywając kulejące nuty z groteskowej gitarki, Tonym zawładnęła jakaś prostacka euforia, a zielone kreski oczu Delseya ledwie wyzierały na świat przez wąską szczelinę półprzymkniętych powiek. Postanowiłem nie pić już więcej, żeby zachować siły potrzebne do uprzątnięcia rumowiska. Tony opowiadał o zadurzonych w nim zameźnych i nudnych kobietach, o tym, jak to niejednej z nich użył w charakterze tarana, za którym przedostawał się na terytorium nocnej, małżeńskiej rutyny, gdzie ku wielkiemu osłupieniu damy, nim ta spostrzegła, co jest grane, relegowano ją za linię placu gry, poruczając rolę osłupionej dziewczynki do podawania piłek, asystującej namiętnej partii frontona między bezpłciowym mężem i sławnym uwodzicielem.

- Zlituj się i zmień płytę -jęknał lan. - To jest obleśne. I na dodatek, wybacz mi moją szczerość, doprawdy żalosne. Przypominasz mi postać, której imieniem nazwała mnie matka. I które nigdy mi się nie podobało.

- Ian? - Tony dumiał przez chwilę. - Masz na imię Ian. Ian...
Co to, kurwa, za postać, ten Ian?

- Moje prawdziwe imię to Dorian. Matka wzięła je od Doriany Graya Oscara Wilde'a. Nigdy mi się nie podobało. Dlatego skróciłem je do Iana.

- Ach, Dorian Gray! Tak, byłem o włos od zagrania tej postaci! Dorian Gray! Pamiętam, że kiedyś w szkole opowiedzieli nam tę historię. Co to było...? Cholera, o czym to było?

- To historia wysublimowanego i okrutnego gościa, który kazał sobie namalować portret - przypomniał Ian. - Gdy on zdradza swoich przyjaciół i rzuca jak ogryzione jabłka dziewczyny, portret starzeje się, a on pozostaje wciąż taki sam. Ludzie cierpią z jego powodu, ale on ma to gdzieś, bo wszystkie łajdactwa idą na konto gościa z portretu. W końcu obraz odzwierciedlający jego zło wnerwia go do tego stopnia, że rzuca się na niego z nożem, żeby się od niego uwolnić, ale wówczas to jego serce przeszywa sztylet, obraz zaś odzyskuje pierwotną formę.

- Ach, wieczna młodość. Wielki sen. Wielka frustracja z powodu triumfu makiawelicznej cnoty - wyrecytował z patosem Tony.

- Przede wszystkim wielkie samobójstwo i to bardzo zasłużone - orzekł Ian.

- Mój Dorian Gray byłby wspaniały... Wspaniały Dorian Gray, tak panowie. To była rola w sam raz dla mnie. Ale dali ją temu... Kermitowi Bergerowi czy... Helmutowi Burgerowi, czy jak on się do cholery wabił. Pamiętasz, Delsey? Delsey?

- „Czuł dzikie pragnienie odzyskania nieskalanej czystości swych lat chłopięcych - swej białoróżowej młodości...”* - zacytował Delsey, ożywiony nagle jak budzik, by zaraz potem na powrót przygwoździć brodą pierś.

- Wybaczcie mojemu przyjacielowi Delseyowi. Mojemu wiernemu, staremu i niemal... jedynemu przyjacielowi Delseyowi. To prawdziwa podręczna biblioteka, ha, ha! Najpodręczniejsza biblioteka na świecie, oto kim jest Delsey. Aleee... Biblioteki wcześniej zamykają. Wcześniej,

Oscar Wilde, „Portret Doriany Graya”, przeł. Maria Feldmanowa, Wydawnictwo Zielona Sowa, Kraków 2009 (przyp. tłum.).

otóż to... Tak, tak, moi przyjaciele. Przysięgam wam na mój przeklęty czerep. Po królu Empyrii oberwała się chmura z propozycjami, dziesiątki, setki rewelacyjnych ról. Re-we-la-cyj-nych... I zawsze dostawali je inni. W górę, w dół. W górę, w dół. Szanowni państwo, oto wielki Tony Kerak, uwiązany do kurewskiej kolejki górskiej! Uuuuu! - Zakołysał się, naśladując ruch wagonika i niewiele brakowało, a wygrzmociłby się na podłogę. Podtrzymałem go i pomogłem wrócić na krzesło, ale był zbyt pijany, żeby to zauważyć.

- Syzyf. To kara Syzyfa - zamruczał Delsey.

- A co to u diabła za zwierz, przyjacielu?

- Syzyf wtrącony został do Tartaru przez Zeusa i zmuszony był toczyć na górę wielki głaz, który tuż pod szczytem wymykał mu się z rąk i spadał w dół. I tak bez końca.

- To ci pech. I co dalej?

- Nic. To kara po wieczne czasy. Wciąż się tam trudzi.

- Że się trudzi...? Cholera. Co za gówno. Biedny dureń. Piję za niego i za wszystkich Safików... Syfilityków... no tych tam, jebał ich pies, sam wiesz, bo mówiłeś. - Przechylił szklanekę zbyt daleko od ust i część alkoholu polała mu się na pierś. Myślałem, że upadnie, ale odzyskał równowagę. - A teraz, panowie... *Excusez moi...* Czuję się niewyraźnie... Będę... -Jego ciało skreśliło się gwałtownie w stronę ogrodu i zwymiotował obfitym, obrzydliwym strumieniem, który roztrzaskał się o kamienne podłoże, obryzgując buty lana. Ten podskoczył na krześle jak poparzony i poderwał nogi do góry.

- Cholera, co za syf! - Wstał i wytarł buty w ogrodowy trawnik. Ja mam już dosyć. Dobranoc, panowie. - Złapał za ukulele, jego węzowa postać wpełzła między klomby kwiatów i rozpląnęła się w nocy.

Zostałem w towarzystwie Delseya chrapiącego pomrukiem wolno-obrotowego silnika transatlantyku i katatonicznego Tony'ego ryczącego niczym portowa syrena. Usiłowałem zbudzić Delseya.

- Delsey! Baronie! - szepnąłem, szarpiąc go lekko za ramię.

- Jak? Co...? Co się stało?

- Już późno, trzeba iść spać. Zaprowadzić pana do łóżka?

- Nie, nie... Dam sobie radę. Dam sobie radę.

Ująłem go pod pachę i pomogłem dowlec się do łóżka.

- Dobrze się pan czuje, Delsey? Mogę pana zostawić samego?
- Tak... Tak... Czuję się dobrze. Potrzebuję tylko... dwie aspiryny.
Są... Są w moim... - Załopotał ręką w kierunku łazienki.

Przeszukałem kilka neseserów, aż natknąłem się na podręczną apteczkę. Wyciągnąłem dwie aspiryny, napełniłem szklanę wodą mineralną i wróciłem do sypialni. Podniosłem Delseya, wetknąłem mu w usta tabletki i wsączyłem kilka kropel wody kącikiem ust.

- Delsey, połknął pan tabletki? Proszę mi powiedzieć, czyje pan połknął.

- Tak... Tak.

- Delsey, w którym pokoju mieszka Tony?

- Nie... nie wiem...

Ułożyłem mu głowę na poduszce, zdjąłem buty i okryłem prześcieradłem. Potem wróciłem na taras, gdzie Tony całym ciężarem ciała zawisł na jednym z podłokietników krzesła jak wielki pluszowy miś wyprany i rozłożony, by wysechł. Wyprostowałem go i obmacałem kieszenie. W jednej z nich znalazłem klucz do pokoju. Potrząsnąłem za klapy marynarki, starając się nie ubabrać palców w żółtawych strużkach spławiających w dół koszuli nieprzetrawione resztki obiadu.

- Tony! Tony!

- Eee...?

- Tony, zaprowadzę pana do pokoju. Proszę mi pomóc, niech pan spróbuje wstać.

Uniósł się na tyle, że mogłem podstawić swój kark pod jego bezwładne ramię i rozkładając olbrzymią masę między swoje plecy i miękkie nogi aktora, dowlokłem się z nim do sypialni Delseya, gdzie Tony zaczął prostować kolana, starając się nagle iść o własnych siłach. Czulem, że wilgoć jego ubrania przenika mi koszulę aż do skóry, sklejjając moje ciało z jego ciałem jak lepki kłajster. Melanz śnieżącego łupieżu, fetoru alkoholu, wymiocin, potu był nie do zniesienia i mój żołądek chciał się zbuntować i wystrzelić serią torsji, zdecydowałem jednak twardo, że nie pora na grymasy. Przełknąłem kwaśny przypływ podchodzący mi do ust, zrobiłem głęboki wdech i objąłem go mocno, koncentrując się na obrazie prysznicza w pokoju, pod który miałem zamiar wejść tak, jak stałem.

Zgasilem światło w apartamencie Delseya i wydostałem się na korytarz, przygnieciony tym ludzkim balastem. Niespodziewanie Tony wyciągnął wolne ramię w stronę majaczącej w półmroku głębi korytarza i zawołał:

- Tam!

- Co się dzieje? - Zatrzymałem się, patrząc na jego zmienioną twarz, i wówczas zrozumiałem, że recytuje swoją rolę. Ruszyłem znowu, podczas gdy deklamował w uniesieniu, a jego głowa objęła się o moje ramię jak gumowe serce dzwonu. Psykałem, żeby ostudził nieco swój zapal, lecz na próżno.

- Tam! Widzisz? Widzisz te łagodne wody... o turkusowej barwie? Na drugim brzegu tego ospa... ospałego morza, siostrzane fale liżą łagodnie dumną bramę... dumną, skalną bramę mego utraconego królestwa. Królestwa ucie... uciemiężonego tyranią be... be... bezwzględne, dalekiego, niedosiężnego najeźdźcy! Moi poddani, zmuszeni wyrzec się swojego władcy, który za nich... który przelewał za nich krew w tysiącu... w setkach bitew, składają teraz hołd bez... bezdusznemu obrazowi, wulgarnej... fotografii! Czy widzisz to, czy widzisz to moja piękna... i zimna Nadiu? Czy widzisz, jak krwawi słońca krąg nad cierpiącymi polami Empyrii? Czy widzisz... czy widzisz bydłęta chylące kornie swe rogi na widok maszerujących wojsk... wroga? Czy widzisz prostych chłopów oddających cześć obcemu impe... imperatorowi? Moi poddani bez króla, a ja bez nich, jesteśmy niczym. Niczym... Na tej... zapomnianej przez Boga wyspie jestem jedynie władcą ry... ryku burz, poświstu wiatru... blasku ośle pływającego światła i łopotu mew. Jestem władcą niczego, moja piękna... i zimna Nadiu. Ty i twoi pobratymcy... odarliście mnie... z honoru. A król bez honoru aspirować może jedynie do śmierci...

W końcu udało się nam dobić do drzwi pokoju. W ostatnim kadrze, jaki wrył mi się w pamięć, widzę Tony'ego rzucającego się na łóżku, wyginającego ciało na wszystkie strony niczym plaster surowego mięsa na rozgrzanej patelni i unoszącego palce ku sufittowi, jakby próbował wyeksplodować z ich czubków jakąś tłącą się jeszcze iskrę dawnej świetności. Krótco po nastaniu świtu Tony popełnił samobójstwo.

Z prochu w nicość

Gdy wybuchło całe to zamieszanie, nie podejrzewaliśmy, że mogło mieć ono jakiś związek z nami. Jedliśmy właśnie z Delseyem śniadanie w restauracji. Aspiryna dokonała cudu i żadna ze złobiających jego twarz bruzd nie zdradzała ani podejrzanym kolorem, ani głębokością śladów wielkiego etylowego bankietu. Mało tego, owego ranka pochłoniął plebejską porcję jajecznicy usmażonej w tej samej patelni, w której pichcono proste dania dla gości z tańszych pokoi. Wstał rześki i radosny, pełen werwy i ochoty do rozmowy oraz podjęcia na nowo naszych poszukiwań.

Wszystko rozegrało się w ciągu pięciu minut. Czas zaczął biec z chwilą, gdy przez ogród przemknęła dzikim galopem sprzątaczką, wyjąc jak strażacki wóz pędzący do pożaru, omal nie zderzając się czołowo z zabytkowymi eksponatami z zaprzyszłych epok zdobięcymi patio hotelu. Wszyscy stołownicy odwrócili głowy w jej kierunku, patrząc, jak nawleka się na igielne ucho drzwi recepcyjnego holu i po chwili wyłania na powrót, ciągnąc za sobą ściegiem stebnowym jednego z portierów. Pół minuty później jakiś mężczyzna w ubraniu zdradzającym przynależność do ścisłego kierownictwa ruszył tą samą drogą na czele peletonu złożonego z gromadki pracowników, wśród których dało się zauważyć ochroniarza. Zaintrygowani spytaliśmy przechodzącego kelnera o źródło tego tumultu, na co odpowiedział, że nic mu na ten temat nie wiadomo, ale że chodzi pewnie o jakiś problem techniczny. Niektórzy stołownicy, pospolici turyści

w krótkich spodniach i długich do kolan skarpetach wyekwipowani w typowe dla safari akcesoria skrzyknęli się w ogrodzie, wodząc penetrującym wzrokiem po terenie w poszukiwaniu przyczyny zamętu, inni zaś, podróżni z neserami i otrząskani rezydenci o zahartowanych żrenicach, nie przerywali swojego dialogu z wypełniającym ich talerze śniadaniem, nie zwracając najmniejszej uwagi na niezwykle poruszenie. W okolicach trzeciej minuty pogłoska, jakoby jeden z hotelowych gości zmarł we śnie, buchnęła jasnym płomieniem w restauracyjnej sali, a minutę później mężczyzna w stroju menedżera, który przewodził wcześniej peletonowi depczącemu po piętach sprzątacze, wszedł sprężystym krokiem do sali w obstawie recepcjonisty i pracownika ochrony. Kiedy zorientowałem się, że sześcioro oczu zgodnie wpatruje się w naszą dwójkę, musiałem uznać, że nieokreślone uczucie lęku, jakie opadło mnie minutę wcześniej, nie było bezpodstawne. Delegacja zatrzymała się przed naszym stolikiem i mężczyzna w garniturze przedstawił się jako Duncan Travis, dyrektor hotelu, i zapytał Delseya, czy jest Delseyem. Z żywej odpowiedzi barona wywnioskowałem, że całkowicie obce są mu moje podejrzenia.

- Tak, we własnej osobie. Czym mogę panu służyć, młody czło-
wieku?

- Czy byłby pan uprzejmy udać się ze mną?

Poszliśmy z dyrektorem do jego gabinetu, gdzie zamknął za nami drzwi, zostawiając na korytarzu swoją świtę. Usiedliśmy, zaproponował nam kawę albo napoje chłodzące, ale podziękowaliśmy. Delsey popatrywał na mnie rozbawiony, nie rozumiejąc intencji tego ceremoniału. Ponagliłem Trávisa, aby wbił nam już tę igłę, bez względu na jej grubość. Usadowił się za biurkiem, musnął palcami brzegi kłap, poprawił fałdy marynarki i odchrząknął, nim w końcu przemówił.

- Moim smutnym obowiązkiem jest zawiadomić panów, że dzisiaj o świcie pan Tony Kerak został znaleziony martwy w swoim łóżku.

- O Boże! Co też pan opowiada? - Delsey rzucił się na fotelu tak gwałtownie, że kółka potoczyły się po posadzce.

- Muszę też panom z przykrością zakomunikować, że śmierć nie nastąpiła z przyczyn naturalnych.

- Co pan chce przez to powiedzieć? Został zamordowany? -
wykrzyknąłem, chociaż wiedziałem już, co mi odpowie.

- Obawiam się... wszystko wskazuje na to, że odebrał sobie życie.
Ale oczywiście to już ustali policja.

- Boże mój, co za koszmar! Boże mój, Boże mój! Co za tragedia!
- Delsey ukrył głowę w dłoniach, zawodząc wciąż tę samą żalobną
pieśń. Travis nacisnął guzik interfonu i poprosił o wodę mineralną.
Zważywszy, iż Delsey zapętlił się w czarnej rozpacz, postanowiłem
przejąć kontrolę. Dyrektor ciągnął dalej.

- W imieniu hotelu Norfolk i swoim własnym pragnę złożyć
panom najszczerze, płynące z głębi serca kondolencje z powodu
tej straszliwej tragedii. Tym samym oddaję się osobiście do dyspo-
zycji panów, gdyby potrzebowali jakiegokolwiek wsparcia zarów-
no w kwestiach administracyjnych, jak i kontaktu z rodziną
zmarłego czy repatriacji zwłok. Moim obowiązkiem jest uczy-
nić wszystko, aby pobyt panów w naszym hotelu był możliwie
najmniej bolesny.

- Jak to się stało? - spytałem.

- Wbił sobie... nóż. W serce. Nóż myśliwski.

- Czy jest pan pewien, że to nie zabójstwo?

- Cóż, oczywiście nie jestem najwłaściwszą osobą, aby dokonywać
tego typu ocen, ale można zaryzykować stwierdzenie, że pozycja
ciała wskazuje na samobójstwo. No i przede wszystkim pozosta-
wiona wiadomość.

- Wiadomość? Co mówi ta wiadomość? - Delsey wydobył głowę
ze schronu dłoni.

- W wiadomości tej wymienia pana, baronie Delsey, i z tej właśnie
przyczyny ośmieliłem się zawiadomić panów. Otrzymałem infor-
mację od chłopców z recepcji, że zmarłego, pana Keraka, łączyły
z panami więzi przyjaźni. Nie wiemy, czy miał innych znajomych
lub krewnych w tym kraju, a ekipa filmowa, z którą podróżował,
znajduje się poza miastem.

- Ale co mówi ta nota? - naciskał Delsey.

- Obawiam się, że... dopóki policja, która jest już w drodze,
nie podejmie czynności, rozważa nakazuje nie uprzedzać biegu
wypadków.

- Chcę go zobaczyć! - oświadczył Delsey, wycierając chustką z butonierki łzy z policzków.

- Baronie Delsey, rozumiem doskonale pańskie wzruszenie w tak bolesnej chwili, ale jestem przekonany, że do czasu przybycia policji nie powinniśmy uprzedzać wydarzeń. Lekarz hotelowy przeprowadza właśnie czynności stwierdzające zgon i pokój jest zamknięty w oczekiwaniu na...

- Chcę go zobaczyć! - przerwał mu Delsey, ze zdumiewającą zwinnością zerwał się z krzesła i dopadł drzwi gabinetu, zanim zdolałmy zareagować. Wybiegłem za nim, za mną Travis. Rozumiałem pośpiech, który przymuszał Delseya do pożegnania się z przyjacielem i kazał mu ignorować przeszkody formalne, zawiodłem go więc do pokoju Tony'ego, podczas gdy dyrektor przez całą drogę starał się nam ten zamiar delikatnie wyperswadować.

Przy uchylonych drzwiach do pokoju aktora czuwał pracownik hotelowej ochrony, który chwycił Delseya za ramię, kiedy ten próbował się wślizgnąć do środka. Delsey szarpnął się do przodu, usiłując się wyrwać, a Travis skarcił ochroniarza, uznając wysiłek zatrzymania barona za daremny. Wszedłem za Delseyem, za mną dyrektor, zaklinając nas, byśmy niczego nie dotykali.

Ubrany w czysty, wyprasowany garnitur, inny niż ten, który powalał w nocy, nieruchomy lewiatan spoczywał na łożu podobny do pokonanego smoka, na brzuchu, z głową zwróconą w stronę okna i dłońmi przygniecionymi bryłą ciała, zaciśniętymi z pewnością na rękojeści noża. Z pokoju zniknął całkowicie fetor piżmowego bukietu, jakim było od Tony'ego jeszcze kilka godzin temu, jakby się wykąpał i ubrał schludnie, aby odebrać sobie życie w warunkach nienagannej higieny. Ciało tonęło w prześcieradle pomarszczonym w sztormowe fałdy lamujące zwłoki niczym promienie w retabulum, a w zagłębieniach fałd tężały sadzawki krwi, świeżej i bardzo czerwonej o czerwieni niemal sztucznej, posepnie przypominającej filmowy trik. Po drugiej stronie łóżka, pod oknem, stał lekarz, którego nasze najście zaskoczyło w chwili, gdy zapisywał coś w notatniku. Na nocnym stoliku okazała ramka strzegła w swych złocistych okowach czarno-białej fotografii, na której trudny do rozpoznania, wytworny i młody Tony pozował w jedwa-

bistym świetle studyjnych reflektorów niegdysiejszego kina, z koroną na głowie, przystrojony w płaszcz gronostajowy narzucony na galowy surdut z haftowanymi epoletami i akselbantami. Król Empyrii w całym majestacie.

Delsey upadł na kolana przy łóżku, płacząc bezgłośnie z zastygłymi z bólu wargami. Spojrzał na zdjęcie i odkrył kawałek papieru przyciśnięty dolną krawędzią ramki. Travis i ja krzyknęliśmy jednocześnie, ale w tym stanie emocjonalnym Delseyowi nie w głowie było przejmować się odciskami palców czy policyjnymi tropami. Szybkim ruchem odstawił ramkę, chwycił notkę i przeczytał ją w milczeniu. Dojrzałem jej treść, zaglądając mu przez ramię. Była napisana po francusku i zawierała następujące słowa:

NIE SZUKAJCIE. TO JA.
DELSEY, MÓJ PRZYJACIELU,
KTÓRY TO JUŻ RAZ MUSZĘ CIĘ PROSIĆ,
BYŚ SIĘ MNĄ ZAJĄŁ. WIERZ MI, TEN BĘDZIE OSTATNI.
JEGO KRÓLEWSKA MOŚĆ, TONY KERAK, KRÓL EMPYRII.

Delsey odłożył kartkę na stolik i uderzył w lament, nie wstydząc się swojej rozpaczy. Nie próbował obejść łóżka, aby znaleźć się twarzą w twarz z Tonym. Trwał tak nieporuszony, wpatrując się w zimny kark przyjaciela, aż uznałem, że nasza obecność jest już zbyteczna. Pomogłem mu dźwignąć się z kolan, odprowadziłem do drzwi i wyciągnąłem do ogrodu, aby odetchnął świeżym powietrzem. W ślad za nami wyszedł Travis i zaoferował nam swoje biuro, Delsey jednak wołał usiąść w barze, gdzie przed dwunastoma godzinami dzieliliśmy z Tonym stół i las butelek. Wkrótce zjawili się przedstawiciele policji i dyrektor odszedł z nimi do pokoju zmarłego. Ktoś jeszcze pojawił się przy naszym stole i zrobił to tak niepostrzeżenie, że ledwie zauważyliśmy jego obecność, gdy opadł na krzesło sflaczały i poszarzały jak balon, z którego uszło powietrze. Był to Ian.

- Przyjaciele... Przyjaciele... Co za straszliwa nowina. Co za okropność... Czuję się... czuję się w pewnym stopniu winny. To ja powiedziałem mu o Dorianie Grayu i dowcipkowałem na temat samo-

bójstwa, a on wbił sobie nóż w serce, zginął od noża, jak Dorian Gray...

- Nie dręcz się, lanie - uspokajał go Delsey, wciągając łyżę. - Jeśli ktoś może się obwiniać, to z pewnością ja. Był moim przyjacielem i nie zatroszczyłem się o niego tak jak powinienem był to uczynić. Znałem go. Powinienem był zauważyć jego obłąd, powinienem był przeczuć, że hoduje w sobie zamiar rzucenia się w objęcia śmierci, powinienem był przewidzieć i zdusić w zarodku obłąkańczy projekt, który doprowadził go do upadku, tak, jak przewidziałem i zdusiłem wiele wcześniejszych. Lecz spałem słodko snem Endymiona, kiedy on przebijał swe serce sztychem stali. Powinienem był... - Wsparł czoło na dłoń, kręcąc z niedowierzaniem głową.

- Ja byłem z wszystkich najbardziej przytomny - wtrąciłem się. - Zaprowadziłem go do pokoju i przypuszczam, że byłem ostatnią osobą, która widziała go żywego. Majaczył, pławił się w swoim nieszczęściu. Może nie powinienem był zostawiać go samego, ale szczerze mówiąc, cuchnął, a ja marzyłem tylko o tym, żeby jak najszybciej wrócić do pokoju i wejść pod prysznic. Myślę, że wszyscy możemy mieć powody, aby czuć się odpowiedzialni, ale w gruncie rzeczy jest tylko jeden winny tego, co się stało, i jest nim Tony. Nie ma sensu się teraz torturować.

Rozmyślaliśmy w milczeniu, gdy w pewnej chwili zauważyłem, że jeden z recepcjonistów daje mi znaki. Ktoś do mnie dzwonił. Nie chciałem zlekceważyć tego telefonu, bo mogła to być Mónica, opuściłem więc Delseya i lanie pogrążonych w agonicznym rozrachunku z wydarzeniami poprzedzającymi tragedię, ku któremu człowiek skłania się zazwyczaj w takich sytuacjach. To nie była Mónica. Radosnego tonu Kena nie można było pomylić z żadnym innym, choć w tamtym momencie trafił na bardzo nieodpowiedni grunt.

- Jak się masz, stary? Tutaj służby informacyjne Interpolu!

- Ken. Obawiam się, że nie mamy dzisiaj powodów do radości. Pewien przyjaciel Delseya mieszkający w Norfolkku popełnił samo bójstwo.

- Cooo? Nie wygłupiaj się, stary! Chyba nie mówisz poważnie?

- Absolutnie poważnie. Ostatniej nocy popijaliśmy razem. To było jak grom z jasnego nieba. Delsey jest wstrząśnięty.

- Stary, nie wiem, co powiedzieć. Strasznie mi przykro. Powiedz Delseyowi, że naprawdę mi przykro. Curro... jeśli nie masz nic przeciwko temu, wpadłbym tam do was, żeby się rozejrzeć i zebrać informacje dla gazety. Mam nadzieję, że nie weźmiesz mnie za zimnego drania, ale to mój chleb, a jeśli ten gość był waszym przyjacielem, to myślę, że w takich okolicznościach nikt lepiej ode mnie nie napisze tej relacji.

- Jasne, Ken. Rozumiem, też jestem dziennikarzem. Znajdziesz nas w hotelu.

- W porządku. W tej chwili jadę.

W chwilę po tym, jak wróciłem do Delseya i lana, dyrektor zjawił się w towarzystwie policjanta po cywilnemu i dwójga funkcjonariuszy w mundurach, chudego jak szczapa mężczyzny i kulistej kobiety. Cywil przedstawił się jako inspektor i zwrócił się do Delseya, formułując pytanie z intonacją polecenia podszytego rozkazem.

- Panie Delsey, będzie pan łaskaw pofatygować się z nami na komisarjat?

- Słucham? Że co, proszę? Chce mnie pan zatrzymać? Nie, nie, w żadnym wypadku! W żadnym wypadku!

Na szczęście Delsey nie był w nastroju do żartów. Wobec kategorycznego żądania policjanta zareagował dokładnie tak, jak sam zamyślałem zareagować, stając w jego obronie, w razie gdyby wybrał strategię uległości. W przeciwieństwie do Delseya znałem opowieści Kena na temat warunków panujących w kenijskich aresztach.

Travis robił wszystko, aby załagodzić sytuację, usiłując przekonać policjanta, że tak drastyczny środek nie jest konieczny, ten jednak upierał się przy swoim. Wówczas dyrektor odwiódł go na stronę, gdzie półgłosem dokonali krótkiej wymiany poglądów. Po chwili wrócili do nas i Travis zabrał głos.

- Załatwione, baronie. Pańska wizyta na komisariacie nie będzie konieczna. Jeśli byłby pan tak uprzejmy, inspektor chciałby zadać panu kilka pytań, choćby tutaj.

- Mów pan - burknął opryskliwie Delsey, jako że rozmowa z policjantem nie zaczęła się najszcześliwiej.

- W pozostawionej notce pan Kerak zwraca się do pana. Mówi: „muszę cię prosić, byś się mną zajął”. Co miał dokładnie na myśli, mówiąc te słowa?

- Jak to, co miał dokładnie na myśli? A co pan sobie wyobraża? Sprawy urzędowe związane z jego śmiercią i pochówkiem, naturalnie.

- A czy przypadkiem nie prosił, aby zajął się pan nim w innym sensie? Na przykład, gdy pozostawał jeszcze przy życiu? Czy czytał pan tę wiadomość za jego życia?

- Co... co też mi pan imputuje? Imputuje mi pan, że to niby ja go zabiłem? Czyja się nie przesłyszałem? Co też pan sobie wyobraża! - Krzyki Delseya zelektryzowały wszystkich gości, którzy znajdowali się w holu i w barze, co najwyraźniej krępowało policjanta łypiącego spode łba na boki.

- W porządku. Sprawdzimy, czy pańskie odciski palców znajdują się na tym dokumencie. Jeśli byłby pan łaskaw... - Inspektor kiwnął na jednego ze swoich podwładnych, który zbliżył się żwawo, sięgając jednocześnie po coś do kieszeni, ale wówczas Delsey eksplodował z taką mocą, że podmuch wprawił w łopot owłosienie wszystkich zebranych.

- OCZYWIŚCIE, ŻE NA DOKUMENCIE ZNAJDUJĄ SIĘ MOJE ŚLADY! GŁUPCZE! CZYTAŁEM GO, ALE GDY JUŻ NIE ŻYŁ! GDY JUŻ NIE ŻYŁ! ROZUMIE PAN? GDY JUŻ NIE ŻYŁ!

- W porządku, w porządku, panie Delsey, nie ma powodu, żeby tak się unosić i wywoływać skandal - odparł inspektor, starając się nie tracić panowania nad sobą, wystraszony jednak agresywnym usposobieniem Delseya. - Proszę zrozumieć, że zabójstwo koronowanej głowy jest sprawą arcyważną i niezwykle delikatną. Bo pański przyjaciel był królem pańskiego kraju, nieprawdaż?

Po raz pierwszy od chwili, gdy owa tragiczna wiadomość zmroziła mnie tamtego poranka miałem nieprzepartą ochotę ryknąć śmiechem, po części z powodu siermiężnego stylu tej policyjnej pantomimy, po części zaś wskutek reakcji Delseya, któremu brakowało tylko piany tryskającej z ust, aby okraścić diatryby godzące w przedstawiciela prawa.

Gdy policja zatrąbiła do odwrotu, kusiło mnie bardzo, aby zapytać Trvisa, w jaki sposób zdołał wyperswadować inspektorowi pomysł przymusowego odstawienia Delseya na komisariat. Po krótkim namyśle poczynił mi enigmatyczne wyznanie.

- Panie Mencia, podczas pańskiego pobytu w Kenii, a szczególnie przy okazji kontaktów z funkcjonariuszami państwowymi za pośrednictwem osób trzecich, bardzo często będzie pan świadkiem niezwyklej zmian stanowiska, jak ta sprzed chwili. Radzę nie zadawać pytań.

Historia naszego zderzenia z policją rozbawiła Kena o tyle, o ile pozwalała powaga tego tragicznego epizodu. Obiecał, że jeśli trafi na sprzyjające wiatry, postara się, aby na łamach „Standardu” odbiła się stosownym echem nie tylko informacja o samobójstwie aktora, ale również toporne postępowanie policji i dziwne rozstrzygnięcie niedosłzłego aresztowania Delseya, z pominięciem, rzecz jasna, udziału Travisa oraz jego tyleż obskuranczej, co typowej dla Południa, deklaracji.

Gdybym przygotował sobie uprzednio szczegółową listę z milionem przygód, jakich mógłbym spodziewać się podczas podróży do Kenii, z pewnością nie znalazłaby się na niej kremacja. A jednak stało się i oto Delsey, Ian i ja wychodziliśmy w zachmurzone popołudnie z krematorium w Langata z urną w rękach. Proces, jaki doprowadził nas do tego kulminacyjnego punktu, okazał się o wiele krótszy, niż moglibyśmy to sobie wyobrazić, co uznaliśmy jednoznacznie za możliwe wyłącznie dzięki temu, że -jak domniemywaliśmy - nad wszystkim czuwał Travis. Co do policyjnego śledztwa, wszczęto je i umorzono w okamgnieniu, opatrując mało twórczą konkluzją: samobójstwo. Tylko jeden, jedyny raz policja ośmieliła się ponownie nas niepokoić, a to za sprawą pewnego odkrycia, które tamtego popołudnia legło u podstaw naszej wizyty w najmniej turystycznym zakątku Nairobi. Służby dokonały wnikliwych oględzin dokumentów Tony'ego celem nadania biegu formalnościom niezbędnym podczas repatriacji zwłok i wówczas odkryły, że jego paszport był...

- Fałszywy. - Delsey przerwał wywód funkcjonariuszowi, wyręczając go w dokończeniu zdania.

- Jak to? Wiedział pan o tym? - zdumiał się policjant.

- Oczywiście. On sam mi o tym powiedział.

- Pozostaje mi tylko potwierdzić pańskie słowa. Pan Kerak podróżował z paszportem dyplomatycznym, który okazał się fałszywy.

Właściwe organy kraju, z którego pochodzi ten dokument, zaprzeczyły, jakoby został on wydany panu Kerakowi. Co więcej, uzyskaliśmy potwierdzenie, że pan Kerak nie był obywatelem tego państwa.

- Tony nie zadowolął się jednym paszportem, miał ich co najmniej tuzin i każdy z innego kraju. Zamawiał je niemal hurtowo na czarnym rynku, a gdy traciły ważność, wyrabiał nowe wedle uznania i z taką samą łatwością. Tony był apatrydą. Był podrzuconym dzieckiem i dorosłym bez dokumentów i nigdy mu się nie chciało uregulować tego stanu rzeczy. Bawiła go ta gra. W każdą podróż wybierał się wyekwipowany w najbardziej stosowną do klimatu danego kraju garderobę i paszport.

- Cóż, powyższy fakt stawia nas w bardzo trudnej sytuacji w obliczu repatriacji.

- Jakiej repatriacji? Nie ma mowy o repatriacji, kiedy nie ma patrii! Biorę na siebie wszystkie koszty. Pochowamy go w tym kraju. A raczej dokonamy kremacji jego zwłok. Tony nie miał krewnych i nie lubił zapuszczać korzeni. Nikt, z wyjątkiem mnie, nie odwiedziłby miejsca jego pochówku w tej obcej i dalekiej ziemi. Skremujemy go. Nie potrafię sobie wyobrazić, by pragnął czegoś innego, lepszego, z wyjątkiem może idei, na jaką wpadł Amory Blaine Fitzgerald - powolne utlenienie w koronie drzewa. Wątpię jednak, czy jest to legalne. A zatem rozrzucimy jego prochy na cztery wiatry, zwracając mu ukochaną nade wszystko wolność.

Podczas analizy osobistych rzeczy Tony'ego wyszedł na jaw jeszcze jeden sekret o pierwszorzędym znaczeniu. W jego portfelu i bagażu znaleziono jedynie kilka francuskich i kenijskich monet. Nie było zdanych banknotów ani kart kredytowych, ani książeczki czekowej, ani czeków podróжных. Stąd przypuszczenie graniczące z pewnością, że owe trzy tysiące szylingów wręczone tamtej nocy kelnerowi w barze Delamere i wymienione na whisky i dzin były jego ostatnimi trzema tysiącami szylingów. A to z kolei mogło oznaczać, że według wszelkiego prawdopodobieństwa decyzja o samobójstwie powzięta została z premedytacją, a nie pod wpływem chwilowego impulsu. Taki wniosek był pewnym pocieszeniem dla Delseya, który mógł przynajmniej zrzucić z siebie balast winy. Inne jeszcze fakty pomogły przekonać go, że samobójstwo przyjaciela było

owocem planu ułożonego przed fatalną nocą. Nóż stanowił własność Tonyego i został zakupiony dwa dni wcześniej w jednym ze sklepów w Nairobi. Śmierć nastąpiła około siódmej rano. To znaczy, że aktor nie odebrał sobie życia w pijackim amoku, co najwyżej w kleszczach kaca. O świcie wykapał się, przywdział swój najlepszy garnitur odebrany poprzedniego dnia z hotelowej pralni, skreślił kilka słów adresowanych do policji i Delseya, ukląkł na łóżku twarzą do ściany i zdecydowanym, precyzyjnym uderzeniem wbił w pierś trzymany obiema rękami nóż. Upadając do przodu, najprawdopodobniej już martwy, ciężarem ciała przygniótł ostrze, które wbiło się po samą rękojeść.

W czasie tych dwóch czy trzech dni między pierwszym i ostatnim aktem tragedii, czyli kremacją, nie wychodziliśmy z hotelu w oczekiwaniu na wieści. Delsey nie czuł się już dobrze w miejscu, w którym wskrzesił starą przyjaźń z Tonym, w którym stracił go na zawsze i w którym wspomnienia o zmarłym przyjacielu czaiły się za każdym rogiem. Nie upadł na duchu, jak się obawiałem, ale zanurzył w swego rodzaju introspekcji, na której widok ciarki chodziły mi po grzbiecie. Wplatał do rozmowy jakieś dygresje bez związku, pewnej nocy zaś, kiedy wstałem, żeby napić się wody, zobaczyłem go z okna leżącego na trawie ogrodu i wpatrującego się w usiane gwiazdami niebo, co nie budziłoby najmniejszego zdziwienia w wypadku każdej innej osoby, z wyjątkiem niego, który nie rozstawał się ze szczoteczką do czyszczenia ubrania przechowywaną w jednej z kieszeni marynarki i którą muskał swoje ramiona za każdym razem, gdy przechodził pod wirującym na suficie wentylatorem.

Obecność biadolącego lana również nie czyniła naszego pobytu w hotelu znośniejszym. Po śmierci Tony'ego stary malarz przykleił się do nas na dobre. To wtedy właśnie zapytałem go, czy znane mu jest nazwisko Boston Shark, lecz w tamtych dniach zdawał się nie znać nikogo. Tragiczne wydarzenie dotknęło go bardziej, niż można było przypuszczać, zważywszy na jego przelotną znajomość z aktorem. Opuścił swój zakątek hotelowej galeryjki i przedzierzgnął się w pokutującą duszę rzucającą czary na bar Delamere, zarażając swoim splinem każdego, kto poważył się postawić mu piwo;

z brodą a la św. Mikołaj, ukulele i przywidzeniami przypominał przewrotną, bożonarodzeniową wersję Malcolma Lowry'ego. Kiedy informowano go, że jakiś klient pytał o obrazy, rzucał sucho, żeby brał, co mu się podoba, a pieniądze zostawił w recepcji. Odczuliśmy instynktownie, że śmierć Tony'ego musiała wyzwolić w tłokach mózgu łana swego rodzaju efekt domina, potrząsając najwyraźniej jakąś szufladą pełną niezłatwionych spraw i dobywając kłęby kurzu spod dywanu. Nasze podejrzenie zyskało potwierdzenie, gdy w dzień po kremacji łan zakomunikował, że pakuje swoje obrazy i ukulele i wyjeżdża do Ruidoso w Nowym Meksyku. Czekwały tam na niego najpiękniejsze konie dopraszające się, by je sportretować kreską równie smukłą jak on sam. I kto wie, myślał głośno, ściskając się z nami na pożegnanie, może jeszcze w tym życiu, a może już w innym, kiedy spocznie wreszcie na cichym cmentarzu w Ruidoso, jego droga przetnie się ze szlakiem legendarnego Sangre de Cristo i on, łan, malarz koni, przybysz z Afryki pojawi się obok postaci samotnego kowboja w najnowszym tomiku.

Ciężka atmosfera hotelu Norfolk zdawała się przytłaczać Delseya, zatem szczęśliwie się złożyło, że informacje zgromadzone przez Kena wytyczały nowy kierunek wskazujący na rezerwat Masai Mara. Gdy tylko doprowadziliśmy swoje morale do zadowalającego poziomu i wróciliśmy do poszukiwań Hamisha, Ken wtajemniczył nas w najnowsze wieści zdobyte w ciągu kilku ostatnich dni. Rozpoznanie przeprowadzone w Aeroklubie przez jego przyjaciela Sama Ngethe wykazało, że Boston Shark nie był członkiem klubu, ale niektórzy z najstarszych pilotów spotykali go wiele lat temu w innych barach w Nairobi. Żaden z nich nie pamiętał, aby natknął się na Sharka w ciągu ostatnich dwudziestu lat. Opisy jego wyglądu nie wnosiły nic odkrywczego. Jeden twierdził, że poszukiwany był wysokim blondynem, inny, że był rudy i średniego wzrostu, a jeszcze inny utrzymywał, że zawsze widywał go w mdłym świetle jakiejś podłej nory i że mężczyzna nigdy nie zwraca uwagi na kolor włosów drugiego mężczyzny, że owszem, mógł być szatynem, rudzielcem, a może blondynem. Jego twarz była zwyczajna, nie wyróżniała się w tłumie, mówili, i w tamtych czasach nie nosił brody. Wiedzieliśmy, że nie możemy oczekiwać

od nich opisu na miarę Queveda. Wszyscy piloci zgodnie twierdzili, że mówił z akcentem z północy, szkockim lub irlandzkim, a ich komentarze dotyczące jego usposobienia były zadziwiająco zbieżne. Był typem samotnika i osoby dyskretniej, z tych, które wybierają stół w najciemniejszym kącie i siadają twarzą do ściany, żeby pić w samotności. Nie odtrącał towarzystwa, lecz również go nie szukał i chociaż nie był szorstki w obejściu, cechowała go daleko posunięta wstrzeźliwość w poruszaniu spraw osobistych. Ta cecha nie zgadzała się z usposobieniem Hamisha, którego znał Delsey, chociaż ja pamiętałem przecież, że podczas wizyty w Torrelodones nie wyjawiał żadnych szczegółów na temat swojego życia w Kenii. Zagadnięci lotnicy przypuszczali, że poszukiwany przez nas człowiek nie miał stałej kwatery w Nairobi, ponieważ nigdy nie pozostawał w stolicy dłużej niż kilka godzin. Przez większość czasu kursował między Nairobi i Masai Mara, przewożąc pocztę i zaopatrzenie dla *lodges*, i sądzili, że musiał posiadać jakieś lokum w okolicach Mara. Jeden z nich pamiętał, że Boston Shark utrzymywał kontakty handlowe z Horatiem Mainą, znanym doskonale pilotom szefem zaopatrzenia w Keekorok Lodge.

W dniach wyczekiwania w hotelu Ken zorganizował nam podróż do Masai Mara, w czym pomógł mu jego szwagier, ten, który pracował w agencji organizującej safari. Ku mojemu zdziwieniu Ken zaproponował, że pojedzie z nami i z wielką przyjemnością służyć nam będzie, na zasadzie non-profit, swoim profesjonalnym doradztwem w zakresie geografii oraz brawurą śledczą, pod jednym tylko skromnym warunkiem, że opłacimy jego zakwaterowanie i wyżywienie. Autentyczna gratka, jak sam się wyraził. I tak też w istocie było - zrobił sobie darmowe wakacje na nasz koszt. Przystałem na tę ofertę, bo choć charakteryzował się skłonnością do przesady i manią podszywania się pod inne osoby, za sprawą której jak najbardziej serio mógł zainteresować się nami Interpol, Delsey potrzebował śmiechoterapii, a na tym polu Ken nie miał sobie równych. Jeśli idzie o telefony w odzwie na nasze ogłoszenie w „Standardzie” - były takie - Ken uznał, że żaden z nich nie wymaga naszej natychmiastowej interwencji. Ustaliliśmy, że przeanalizujemy całą zgromadzoną informację podczas pobytu w Masai Mara.

Tego samego ranka, gdy zakątek lana odarty został z pstrokatych pęczków szparagów, upychaliśmy nasz ekwipunek do bagażnika mitsubishi pajero wynajętego przez Kena. Ekstrawagancką procesję skóry z kapibary z wywietrznikami uzupełniała teraz urna z prochami Tony'ego, dla których mieliśmy nadzieję znaleźć stosowne miejsce na równinach Masai Mara. Nie mieliśmy zamiaru wracać do Norfolku, który gościł nas w tym mało gościnnym mieście. Dowiedziawszy się o celu naszej podróży, dyrektor Travis obiecał, że jeśli nadejdzie jakaś poczta, poinformuje nas o tym fakcie osobiście oraz przechowają do naszego powrotu do Nairobi. Kiedy pożegnaliśmy się z portierami, kelnerami i moim przyjacielem bellboyem, opadło nas wrażenie, jakby oto kończyły się wakacje, w rzeczywistości jednak otwarcie kurka z drogami mającymi zawieść nas do dzikiej i drapieżnej Kenii z folderów, którą jak do tej pory mogliśmy kontemplować jedynie z lotu żelaznego ptaka Trevora i z wnętrza olbrzymiego, przydomowego patio, uwalniało z nas ten rodzaj ciśnienia, którego spadek odczuwamy właśnie wówczas, gdy wyjeżdżamy na wakacje.

Nim pozostawiliśmy za sobą rozczochrane ulice Nairobi, musieliśmy wypełnić pewną misję: wybawić damę z opresji. Od śmierci Tony'ego rozmawiałem z Makeną codziennie. Powiedziała mi, że pod wpływem ostatnich wiadomości od Abrahama zamknęła się w domu i nie wychodziła nawet na spacer. Właściciel Victorii miał przyłapać jednego ze swoich nowo zatrudnionych *askań* na pertraktacjach z dwoma białymi typkami o wyglądzie mafiosów, którzy podjechali pod lokal luksusowym samochodem terenowym. Zapytany o tę pogawędkę i tożsamość tajemniczych osobników, wyraźnie zaniepokojony *askań* wił się jak piskorz i nie potrafił przedstawić spójnego wyjaśnienia. Abraham wyrzucił go natychmiast, obawiając się, że może chodzić o oprychów wynajętych przez Blush Orchid, usiłujących kupić od ochroniarza cynk na temat Makeny. Budynek, w którym mieszkała dziewczyna, był dobrze strzeżony, Abraham bał się jednak, że mogą ją dopaść na ulicy. Przerazona Makena postanowiła przeciąć tę niepewność i wyjechać na kilka dni do matki. Abraham miał w tym czasie sprawdzić, czy istnieją podstawy do niepokoju. Makena wynajęła taksówkę powietrzną do Nyeri,

lękała się jednak wyjść na ulicę i jechać w pojedynkę na lotnisko Wilson. I tutaj do akcji wkraczało trzech zmotoryzowanych rycerzy, których zadaniem było odebrać ją spod drzwi domu i wsadzić całą i zdrową do samolotu.

Na wieść o tej dygresji w naszej marszrucie Ken stracił panowanie nad sobą do tego stopnia, że musiałem usiąść za kierownicą. Po drodze do Makeny przetrząsnął cały bagaż w poszukiwaniu odświętnej koszuli, którą namierzył w końcu wyprasowaną starannie mamina ręką i którą narzucił na koszulkę z podobizną Springsteena. Przez resztę trasy analizował w lusterku wstecznym staranność golenia i kształt baczków. Ładne dziewczyny doprowadzały go do ekstazy nerwowej, przyznał, jąkał się, a nawet wstrząsały nim dreszcze i z tej dokładnie przyczyny tylko te, które go nie pociągały, mogły doświadczyć potężnej, nieoczekiwanej i magnetycznej siły jego wybitnej inteligencji. Inne, mówił, myślały na ogół, że jest pierwszorzędnym okazem kołka.

Makena czekała na nas w portalu za drzwiami z zamszową walizką w rękę i swoim głębinowym uśmiechem na twarzy. Bez tanatopraksyjnego makijażu, z włosami zebranymi w ogon, w niebieskim swetrze uczennicy i luźnych džinsach wyglądała pięć lat młodziej niż tamta międzyplanetarna rakieta z Victoria Station, a także pięć razy bardziej zachwycająco. Ken rzucił się po jej bagaż i zahaczył Ocoś podczas nerwowego gramolenia się z auta. Makena parsknęła śmiechem i usiadła na wolnym miejscu z tyłu. Obok niej przycupnął Ken, najdalej jak tylko mógł, nadziewając się żebrami na korbkę szyby i wierząc bezustannie, jakby siedział na sedesie pełnym piranii.

- Cześć, Ken... nedy Kamaru, reporterze „The Standard”. - Było jasne jak słońce, że biegła w męskiej psychologii Makena z miejsca zauważyła historię Kena i wiedziała doskonale, co było jej przyczyną.

- Re... rety! To ty... pa... pamiętasz mnie?

- No pewnie! Przecież poznaliśmy się zaledwie kilka dni temu. Jak ci idzie w gazecie?

- W porządku... w porządku, świe... o wiele lepiej teraz... dzięki śmierci Tony'ego. Nie! Chciałem powiedzieć, że... że... artykuł to była katastrofa... kanał!, ale samobójstwo wyszło mi cudne, pierwsza

klasa, chociaż po... policja myśli inaczej... To znaczy, nie, na odwrót, to znaczy...!

- Słucham?

- Ken próbuje ci powiedzieć - wmieszałem się w to zamieszanie - że napisał wspaniały reportaż o tragicznej śmierci naszego przyjaciela Tony'ego, jednak artykuł ten wywołał protest policji przedstawionej, jej zdaniem, w bardzo niekorzystnym świetle, a to za sprawą opisu niezmiernie dowcipnego przesłuchania, jakiemu funkcjonariusze poddali Delseya. Zgadza się, Ken?

- Tak... właśnie tak.

- Baronie Delsey. - Makena pochyliła się do przodu. - Mówiłam to już Currowi, ale chciałabym skorzystać z okazji, że się dzisiaj widzi my i przekazać panu osobiście wyrazy współczucia. Jest mi bardzo przykro z powodu śmierci pańskiego przyjaciela. Wyobrażam sobie, że musi pan bardzo cierpieć z powodu tej straty.

- To bardzo miłe z twojej strony, kochanie - odparł Delsey, kładąc dłoń na grzbiecie jej dłoni spoczywającej na oparciu przedniego fotela.

- Tak, je... jesteście ci... ci... bardzo wdzięczni - wybełkotał Ken.

- Aha, to ty też go znalazłeś? - podpuszczała Makena rozbawiona jego rozedrganiem.

- Nnn... nnnie. Szczerze mówiąc, to... ja nie.

- Ale opisałeś wspaniałe samobójstwo.

- Tak, samo... Nie, samobójstwo nie, ar... artykuł, he, he! Artykuł, tak... Tak, jestem... wzię... tym reporterem gazety. Dlatego do... dostaję naj... najważniejsze te... te... tematy. Jak te... ten właśnie.

- Tak, zauważyłam.

- A... a ty? Czym się... za... zajmujesz?

Zauważyłem w lusterku przelotne spojrzenie Makeny. Przez chwilę rozważałem możliwość wypuszczenia na poczekaniu jakiejś zasłony dymnej, ale ona dała sobie świetnie radę sama.

- Staram się, żeby ludzie mieli lepsze samopoczucie.

- Aha... Jesteś... jesteś psycho... psychologiem czy... czymś takim?

- Czymś takim.

- I c... c... co im mówisz, żeby się czu... czu... czu... czuli lepiej?

- No wiesz, tobie na przykład powiedziałabym, żebyś pozbył się z nerek korbki szyby. Masz tutaj jeszcze sporo miejsca.

- Ach... tak... dzie... dziękuję.

Ken przesunął się na środek, ale im bardziej zbliżał się do Makeny, tym bardziej jego twarz deformowała się niczym figurka wudu wystawiona na słońce. Pocił się jak gliniany dzban i całkiem pogubił. Wytrzeł czoło połą koszuli i Makena zauważyła jego T-shirt z Bossem.

- Lubisz muzykę?

- Mu... mu... mu...? Tak, jasne.

- Ja znam CJ'a.

- CJ'a? Poważnie z... znasz CJ'a?

- Tak, był wiele razy w mojej... poradni.

- Ahaa... Super! I cz... cz... czego mu było potrzeba?

- Słucham?

- N... no, cz... czego mu było ko... ko... konkretnie po... potrzeba, ja... jaką radę psy... psy... psy... chologiczną mu... mu dałaś. Jeśli to ma... ma się rozumieć nie... nie jest... tajemnica za... zawodo wa,

- Ach! Nic takiego... zaaplikowałam mu trochę... czułości. Miał... Miał...

- Niedobór afektywny. Zaniżone poczucie własnej wartości - przyszedłem jej w sukurs.

- Otóż to, właśnie - przytaknęła Makena. Kątem oka odkryłem, że pod napiętymi rysami Delseya szykuje się do wystrzału gejerz śmiechu.

- Ahaa. I ty to... pra... praktykujesz? O... o... okazujesz mu czu... czułość?

- No tak, w znaczeniu... psychologicznym, rzecz jasna. Ja i moje... koleżanki. Pracujemy w zespole.

- W ze... zespole? To... to... taki ciężki przy... przypadek?

- CJ potrzebuje mnóóóstwo czułości.

- 0 rany. To smutne. Bie... biedak. Mó... mógłbym zrobić z nim wy...wy...

- Wywiad?
- Tak. Jeśli to po... może mu podnieść po... czucie własnej wa... wartości. Ja prze... przeprowadzam wie... wie... wielkie wywiady dla gazety. Sze... sze... sze... szefowie pa... państw, mini... mini...
- Mini?
- ... strowie. Ministrowie.
- Aha, kapitalnie! Zadzwoń do niego i pogadam z nim. Na pewno dobrze mu to zrobi. Mnie nie może tego odmówić. Jestem jego ulubioną pielęgniarką.
- Pielę... gniarką?
- Psychologii. Pielęgniarką psychologii.

Z wszystkich sił wytrzeszczałem oczy, jakbym wypatrywał Bóg wie czego w zakorkowanej alei Uhuru, żeby tylko nie natknąć się na spojrzenie Delseya, zdolne w jednej sekundzie zdetonować we mnie dziką salwę śmiechu, która unicestwiłaby tę tkliwą sekwencję wzruszających bujd i wzajemnego mydlenia oczu. Nie było to może najfortunniejsze pierwsze zbliżenie na drodze dalszego pogłębienia znajomości. A może tak. Dzięki niemu wymienili przynajmniej numery telefonów i został wręczony pierwszy prezent. W przyplwywie twórczego natchnienia Ken przywołał jednego z rondowych sprzedawców i obdarował Makenę przepiękną podróbką szwajcarskiego zegarka. Biedaczysko nie miał pojęcia, że dziewczyna miała dość pieniędzy, aby pozwolić sobie na kupno autentyku.

Kiedy osobliwa scenka psychoanalitycznej, samochodowej kozetki dobiegła końca, Makena zainteresowała się postępami naszego dochodzenia. Wyjaśniłem jej, że jedziemy do Masai Mara w poszukiwaniu śladów niejakiego Bostona Sharka, że być może jest to fałszywe nazwisko mojego dziadka, które mógł przyjąć po zerwaniu z Cordelią i które miało mu dopomóc w ucieczce od towarzyskiej presji kolonii; była to tylko hipoteza, lecz jednocześnie jedyna wskazówka, jaką dysponowaliśmy. Żegnając się na lotnisku, Makena obiecała przeprowadzić wywiad w położonych w pobliżu Nyeri okolicznych *mashamba* i wypytać matkę i sąsiadki, a nuż ktoś coś wiedział. Umówiliśmy się na spotkanie po naszym powrocie do miasta. Ponieważ nie planowaliśmy pobytu poza Nairobi dłuższego niż kilka dni, Makena zaś wybierała się na tydzień, obiecałem nagrać na jej automatycznej

sekretarce wiadomość, podając nazwę naszego nowego hotelu w stolicy. Gdyby zaś ona wpadła na jakiś interesujący trop w Nyeri, miała zadzwonić do Mara Serena, *lodge* zarezerwowanego dla nas przez szwagra Kena, lub zostawić wiadomość w Norfolkku.

- Ty narwany głupcze! Ty idioto! Ty kołku! - Ken wymyślał sobie bez ogródek, tłukąc czołem w szybę samochodu i ściągając ze złości cią odświętną koszulę. Delsey patrzył za oddalającą się i niknącą z naszego pola widzenia postacią Makeny z wyrazem głębokiego rozczulenia.

- *On reconnaissait dans cette filie la vierge qu'un rien avait fait courtisane, et la courtisane dont un rien eut fait la vierge la plus amoureuse et la plus pure** - skonstatował rozmyślnie po francusku, aby nieznający tego języka Ken nie zrozumiał, o czym mowa.

Rozpoznałem przytoczone zdanie. Poczulem nagłe zaciekawienie tym ogromnym repertuarem cytatów, którymi Delsey żonglował z tak wielką swobodą. Najbardziej podręczna biblioteka świata, powiedział Tony. W drodze powrotnej do miasta natarłem na niego pytaniem.

- Zna pan na pamięć cały tekst „Damy kameliowej”?

- Naturalnie. Nie ma rzeczy godniejszej zapamiętania. - Zastanowił się przez chwilę. - Tak przynajmniej sądziłem do tej pory.

„Łatwo było zobaczyć w niej dziewicę, z której jakiś przypadek uczynił kurtyzanę; przypadek również mógł uczynić z niej najbardziej kochającą i czystą istotę”. Fragment „Damy kameliowej” Aleksandra Dumasa, syna, przeł. Stanisław Brucz, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1987 (przyp. tłum.).

Tam, gdzie modlą się bawoły

Kiedy patrzę na swoją dłoń, widzę mapę Masai Mara. Jej linie i wybrzuszenia rzeźbione są wstęgami rzek, wzgórzami i drózkami miejsca w Afryce, które nigdy nie widziało przejeżdżającego pociągu, automatu plującego puszkami zimnych napojów czy samoczynnie otwierających się drzwi windy. A mimo to gdy wracasz do domu, gdy widzisz przejeżdżający pociąg i otworzysz szerzej oczy, zobaczysz długą kolumnę gnu podczas wielkiej migracji, rozlewającą się olbrzymią szramą na równinie ciągnącej się do rzeki Mara, której urwiste brzegi stratowane są przez nerwowych wędrowców parskających i wierzgających, nim odważą się rozpocząć przeprawę na drugą stronę. A jeśli nakarmisz monetą automat z napojami, ujrzysz dziwne zwierzę zadowolone z otrzymanego kęsa, ewakuujące przetrawione odpady pod postacią metalowej kapsuły. A jeśli otworzą się przed tobą drzwi windy, zadygoczesz nadzieją, że może ukaże się twoim oczom las drzew eukaliptusa białego albo wzgórze pokryte krzewami leleshwa*.

Syndrom głębokiej melancholii jest powszechny wśród tych, którzy podróżowali do Masai Mara, zachwycali się zmierzchem na skarpie Esoit Oloololo za równiną Mara Triangle, pozdrawiali hipopotamy z nadbrzeżnych skał rzeki Mara obok żelaznego mostu, analizowali

Krzew o właściwościach leczniczych często spotykany w dolinie afrykańskiego ryftu.

techniki polowania wielkiego klanu lwów czatujących na stado przemierzające równinę, przystanęli, aby napawać wzrok zabawą dwóch młodych gepardów i patrzyli na milczące, niemal religijne zgromadzenie bawołów moknących na deszczu z opuszczonymi łbami.

I tak nie będzie ci trudno rozpoznać w dalekim europejskim mieście bratniej duszy w wysokim funkcjonariuszu ważnego departamentu płaczącym jak dziecko i tulącym się do asfaltowej zebry; w studentce wpatrującej się z rozrzwieniem w latarnię nychloną nad koroną drzewa, czekając, aż wyciągnie swój chwytny język, by zerwać soczyste liście; w inspektorze skarbówki rzucającym gałązki do wnętrza śmieciarki i obserwującym, jak je z wolna pochłania, czy w urzędnicze urzędu stanu cywilnego pozdrawiającej płochliwym jambo nigeryjskiego obywatela podchodzącego do jej okienka, który, swoją drogą, nie rozumie ani w żąb suahili. Jednakże z biegiem czasu uda ci się powrócić do dawnej rutyny i najpewniej, przy odrobinie fachowej pomocy, przestaniesz w końcu widzieć akacje tam, gdzie stoją wiaty przystankowe, *lodges* safari, w miejscu kontenerów jakiejś budowy i krokodyły zamiast łódek pływających po parkowym stawie. I nagle Masai Mara zmieni się w przepiękne wspomnienie.

Wówczas jednak, pewnego dnia, w kieszeni spodni śpiących kamiennym snem od zeszłego lata namacasz kapsel od butelki tuskera. I co, do licha! Nie jest przecież tak zimno, nie ma potrzeby włączać codziennie ogrzewania, ściany są całkiem w porządku, wytrzymają jeszcze rok bez malowania, a składane krzesła w salonie są poręczne i w gruncie rzeczy bardzo wygodne. I tak w następne wakacje twoje oczy ponownie ujrzą wzgórze Loita, równinę Talek pod czerwonym niebem chmur brzemienych burzą, pofałdowaną dolinę schodzącą do Ololamuitiek, balony unoszące się w chłodzie poranka niby ogromne, kolorowe piłki wyekspediowane w niebo w niekończącym się dziecięcym śnie.

Ten opis Masai Mara wyszedł spod pióra mojego dziadka, Hamisha.

Gdy zmierzaliśmy w stronę rezerwatu, opadło nas wrażenie, że pomyliliśmy kierunki - przekraczaliśmy wyschnięte łożyska

rzek, w których piętrzyły się pnie drzew i gruzu, jakby zburzono w następstwie plajty stragan z napojami należący do podróżnika Thomsona. Droga wyginała się w konwulsyjne zygzaki między kopalniami gipsu wyglądającymi tak, jakby tam rył sam Escher i straciliśmy ostatecznie orientację, nie wiedząc już, czy jedziemy tam, czy z powrotem lub czy chcieliśmy tam jeszcze jechać, czy może już wracać; zwątpiliśmy i zrodziło się w nas podejrzenie, że może wzięliśmy za drogę koryto zalewanego w porze deszczowej parowu, który jeśli w ogóle kończył się gdzieś, to pewnie u brzegów Oceanu Indyjskiego w odległości sześciuset kilometrów.

O tym, że jedziemy w dobrym kierunku, dowiedzieliśmy się dopiero od grupki młodych Masajów, którzy usiłowali nam opchnąć strusie jajo. Ponieważ nie okazaliśmy zainteresowania oferowanym towarem, poprosili, żeby podwieźć ich do rodzinnej wioski. W wolnej przestrzeni samochodu, gdzie zmieściłoby się co najwyżej dwóch Europejczyków, zwinęło się w kłębek czterech Masajów, dobijając amortyzatory w rytm zaliczanych wybojów. Wypytywali z wielką ciekawością, skąd jesteśmy i dokąd jedziemy, jak nazywają się nasze plemiona i ile kosztuje samochód, kwitując każdą odpowiedź kolektywnym śmiechem. Masajowie nie byli, jak ich opisał Thomson, srogimi wojownikami pełniącymi dyżurną rolę zbója z workiem z arabskich, średniowiecznych opowiadań. Byli sympatyczni, beztroscy i plotkarscy, dociekliwi, ostrożni i dowcipni. Mówili tyle, ile trzeba, ale tego, co trzeba, nigdy jakoś nie udawało się im wyartykułować. Potrafili wyrazić wiele przy użyciu skąpych słów i ubierali się skąpo, wkładając na siebie wiele.

Dotarliśmy do jakiejś wioski opasanej ogrodzeniem, po masajsku *enkang*, gdzie nasi pasażerowie wysiedli. Starcy przechadzali się okutani w swoje *shuka* w czerwoną kratę, przypominając pamiątkowe szkockie ołówki, wspierając się na ziemi stemplami długich tyczek i grafitowymi rysikami łykowatych nóg. Wokół dwóch turystycznych mikrobusów kłębiły się spienione fale małych szkrabów. Niektóre z nich zdryfowały ku naszemu skromnemu i zachrypniętemu drogowemu okrętowi, wykrzykując: *sweet, sweet!* Delsey odszukał torebkę miodowo-cytrynowych cukierków, którymi od czasu do czasu przesmarowywał sobie gardło, lecz Ken go powstrzymał.

- Proszę tego nie robić, baronie.

- Dlaczego? To tylko słodczyce. Turyści je rozdają i widać, że dzieciom sprawia to wielką frajdę.

- Bardzo proszę, niech pan tego nie robi. W pańskim kraju też pewnie nie brak potrzebujących dzieci, ale nigdy nie cisnęłoby im pan przez okno garści cukierków. Ich matki nie pozwoliłyby na to. To upokarzające, poza tym cukierki nie przyniosą im żadnego pożytku, tylko próchnicę, której tutaj nie można leczyć. Ci ludzie muszą wiedzieć, że mają godność. To tak jak z wyrostkiem, nosi my go w sobie, mimo iż często o tym nie wiemy. Choć wydaje się, że do niczego nie służy, nie należy usuwać go bez powodu. Dzieci z tej wioski będące teraz w szkole nie dostaną cukierków. Jeśli pozwoli im pan wybrać między szkołą i cukierkami, jak pan sądzi, co wybiorą?

- Masz rację, chłopcze. - Delsey wrzucił cukierki do torebki.

Pożegnawszy się z naszymi pasażerami, wróciliśmy na szlak, a dzieciaki patrzyły za nami smutnymi oczyma zamglonymi niezrozumieniem. Argument Kena był nie do obalenia, mimo wszystko jednak spojrzenia tych malców bolały jak diabli.

Ken przedstawił nam wówczas obrazoburczą charakterystykę Masajów. Towarzysząca temu ludowi mitologizacja, mówił, ma swoje źródło w jego dawnym, wojennym zapale i spartańskich obyczajach. To wszystko jednak rozplynęło się w globalnej zupie i faktu tego nie należy rozpatrywać w kategoriach zła czy dobra, lecz uznać trzeba za nieunikniony proces, zwykłą kolej rzeczy. Było niebywale istotne, aby Masajowie mogli wybrać, twierdził Ken, między kontynuacją stylu życia swoich przodków i możliwością wskoczenia do pociągu nowoczesnego społeczeństwa. Ale równie ważne było to, żeby wybierający pierwszą opcję nie paraliżowali postępu pozostałych. Wbrew temu, co można by sądzić po ich ascetycznym i mnisim wyglądzie, Masajowie stanowili potężne, nieformalne lobby w kołach rządowych, wyjaśniał Ken, i pociągając za swoje sznurki, uzyskiwali profity nieosiągalne dla innych, mniej adorowanych i niebudzących tak wielkiego turystycznego pożądania plemion. Jeśli nie dostawali, czego chcieli, na przykład nieograniczonego dostępu do pastwisk i studni, zawłaszczali je siłą. Byli odwiecznymi wrogami Kikuju

i od zawsze uważali, że Bóg stworzył bydło całego świata wyłącznie dla nich, które to przeświadczenie pozwalało im bez najmniejszych skrępowań napadać na sąsiadów, żądając od nich krów, i wdeptywać w ziemię każdego, kto stanął im na drodze. Są praktykami i materialistami, zawyrokował Ken.

Turyści, ciągnął dalej nasz przewodnik, nawiedzali wioski w ramach żelaznego punktu safari, uczestnicząc w wyreżyserowanym dla nich przedstawieniu cyrkowym, przebranym w szaty malowniczej rustykalności. Prawdą jest, że wielu autochtonów przywdziewa swoje znoszone, barwne *shuka* na powitanie mister Marshalla złaknionego spotkania z bólami, którym z radością śpieszy ulżyć baksami, że nieobecni tam mężczyźni wrosli na stałe w pejzaż barów i burdeli w najbliższym miasteczku i że dzieci wołały intratne żebractwo napełniające im kieszenie cennymi podarunkami *wazungu* niż podporządkowanie się nużącej, szkolnej dyscyplinie. Masaj, zapewniał Ken, nie był dobrym dzikusiem Rousseau ani zmarginalizowaną przez system ofiarą, chociaż turyści pragnęły widzieć w nim to pierwsze, to drugie lub obie rzeczy naraz.

W końcu wyrosły przed nami gościnne wierzeje Sekenani, wejście główne do rezerwatu Masai Mara. Wzmógł się ruch turystycznych minibusów przeciekający wolno przez filtr formalności przy bramie wjazdowej gromadził tłum starych masajskich kobiet oferujących na sprzedaż swoje rękodzieło. Rywalizowały między sobą chciwie o szylingi gości i były mistrzyniami w targowaniu się, które przerywały ni stąd, ni zowąd, uchodząc z zarobkiem i biorąc na cel następną ofiarę. Wysiedliśmy z Kenem, żeby zapłacić za wjazd, zostawiając Delseya samego. Wróciwszy, zastaliśmy go w otoczeniu legionu handlarek, którym we wszystkich znanych sobie językach starał się wytłumaczyć, że wystrój jego domu reprezentował style od francuskiego baroku do art deco oraz art nouveau, ze szczególnym uwzględnieniem figur aniołów i przedmiotów *vertu*, i z tego to względu oferowane przez nie dzieła, skądinąd godne uwagi, nie czułyby się komfortowo w jego gablotach i witrynach. Być może z uwagi na wykwintny strój Delseya, który wciąż nie mógł rozstać się z garniturem, krawatem, chustką w butonierce i zamszowymi trzewikami, wzięły go za funkcyjna-

riusza rządu lub Kościoła i za wszelką cenę próbowały dobrać się do jego kapibarowego portfela.

Wsiadając do naszego bolidu, uśmiechnąłem się pod nosem. W rzeczy samej tworzyliśmy egzotyczne plemię: wyniosły, rasowy, nieafiszujący się swoją homoseksualnością francuski baron, czarnoskóry, hiperaktywny dziennikarz odziany w koszulkę z podobizną Bruce'a Springsteena i biały facet obsesyjnie poszukujący zaginionego dziadka. Powyższą kombinację uzupełniały cenne walizy ze skóry kapibary owinięte w przezroczystą folię i wyposażone w pozwalające oddychać skórze rurki wentylacyjne oraz wieńczyła urna z prochami aktora apatrydy, pedała, libertyna, frustrata i samobójcy. Wobec takiego aliażu stereotyp przeciętnego turysty pryskał jak mydlana bańka.

W 1992 roku zagęszczenie ruchu na drodze głównej do Masai Mara nie osiągnęło jeszcze poziomu masowego zlotu, co nastąpiło w kolejnych latach, a jednak wystarczało, aby unicestwić upragnione uczucie izolacji. Minibusy z podniesionymi dachami, spod których wychylały się makówki roześmianych głów kiwających się na wybojach jak łebki pluszowych piesków, przygazowywały i wyprzedzały nas, uciekając buchającym spod kół smugom kurzu spowijającym nas gęstymi obłokami, które gryzło się jak piaskową babkę.

Przed moimi oczyma rozpościerały się krajobrazy Masai Mara wypełniające ziemię swojskim kolorytem, o którym Hamish opowiedział Uke, Uke zaś mnie. Łagodne, jasno umaszczone wzgórza nastroszone w wieczornej ciszy, gdzie tylko nasz ruch i wędrówka przepływającej właśnie po niebie kolubryniastej chmury powoływały do życia pełzające po ziemi cienie, zieleń wijąca się soczystym ścięciem w najniższej linii doliny, gnieźdząca się w aplikacjach pomiędzy guzikami skalnych wykwitów, w nadrukach lasu, odcinająca się na tle płowego stepu, i przede wszystkim otwarta sawanna samotnych akacji - wszystko to przypominało pastwiska madryckiej mesety, górę El Pardo, łańcuch Hoyo, dolinę Peregrinos, dęby skalne, pośród których lwy z parku safari żyły fałszywą atmosferą Afryki, łudząc się, że któregoś dnia miast stalowych mastodontów o kauczukowych kończynach pojawi się w zasięgu ich kłów delikatne zebrzątko. Jedyne kształt drzew był odmienny, kuliste dęby ustępowały pola serwowanym na tacy akacjom.

Nagle za zakrętem osłoniętym wzgórzem równina zabarwiła się rozderganą szarością i oddech zamarł mi w piersi. Zdawało się niemożliwe, aby to ogromne stado gnu zgromadziło się bez jakiegokolwiek intencji. Owa brodata i rogata masa defilowała zdyscyplinowana, jakby poruszana jedną tylko świadomością. Pojedyncze gnu można uznać za najbardziej antyestetyczną i koślawą istotę zwierzęcego świata, ewolucyjnego Frankensteina, szatana przeżuwaczy, heavy-metalowego kuzyna mlecznej krowy. Ale ta szara, pokrywająca równinę magmowa masa rozbrzmiewająca dysonansową wrzawą, na którą składała się jedna tylko sylaba „mu”, była czymś niewyobraźalnie pięknym i wspaniałym.

- To wielka migracja - wyjaśnił Ken. - Ale jeśli chcecie wiedzieć, jak to robią, musicie spytać kogoś, kto się na tym zna.

Nieco dalej, z lewej strony, mineliśmy Keekorok Lodge, hotel safari, gdzie mieliśmy odszukać Horatia Mainę, szefa zaopatrzenia, który według relacji jednego z pilotów miał do czynienia z Bostonem Sharkiem. W sierpniu hotel pękał w szwach i szwagrowi Kena nie udało się zarezerwować tam kwatery. Dzięki swoim kontaktom upchnął nas jednak w drugim z wielkich *lodges* w rezerwacie, w Mara Serena, położonym w sektorze zachodnim, po drugiej stronie rzeki. Dzień chylił się już ku końcowi, postanowiliśmy więc odłożyć wizytę u Horatia na następny dzień i jechać prosto do Mara Serena.

Dokładnie na południowo-wschodnim krańcu rezerwatu, gdzie Masai Mara zmienia się w Serengeti, a Kenia w Tanzanię, rzeka toczy swe leniwe wody, nic sobie nie robiąc z przerywanej linii na mapie. Nasza droga wiodła rubieżą między dwoma krajami, przekraczając kamienisty nurt jedynym brodem w rezerwacie, po czym skręcała na północ, biegnąc skrajem równiny Mara Triangle, zakończonej w oddali łańcuchem górskim o barwie indygo i perkatych zarysach znanym jako skarpa Esoit Oloololo.

Niebo gęstniało na potęgę, gdy zbliżyliśmy się do wzniesienia, na którym znajdował się Mara Serena ukryty za grzywą zarośli wieńczących pagórek, i wreszcie chmura wypełniona płynnym ołowiem nie wytrzymała napięcia i plunęła łoskotliwą serią w metalowy dach auta. Burzowa kanonada wściekłego werbla trwała zaledwie pięć frenetycznych minut, ale wystarczyło to, aby uwolnić zasklepiony

w okowach czerwonej ziemi i w ostrych, zdających się płowieć na równinie łodygach, zapach afrykańskiej zimy, jakby z nieba lunął deszcz farby. Z prawej strony stado bawołów zapuszczało korzenie w trawie. Stały nieruchome z pochylonymi karkami, z ich rogów i pysków skapywały krople deszczu. Przypomnił mi się wówczas wiersz, który Hamish napisał dla Uke. Bawoły te po ulewie nie przypominały w niczym pełnego wigoru byka Osborne'a*, gotującego się ze swojej wysokiej baszty do natarcia na sunący w dole, nieprzerwany sznur pojazdów, ale potulne, ekspiacyjne i ofiarne woły wystawiające grzbiety na śmiertelny cios szpady niczym tęgie gzy o zmoczonych skrzydłach, bezbronne na ziemi i czekające, aż słońce pozwoli im wzbic się na nowo w powietrze.

- Spójrzcie.

Ken pokazał na niebo nad górskim grzbieciem, po drugiej stronie szosy. Na jego niespuszczonej do końca kurtynie o barwie głębokiego kobaltu odpływały, a może przyływały ciężarne chmurzyska, którym groziło w każdej chwili odejście wód, a w otwierającym się pod nią prześwicie słońce zdawało się toczyć po przypominającym falę grzbiecie obłoku i obracając się na nim tryskało mieszającymi się strugami szkarłatu, rozcinając we wszystkich kierunkach moltony chmur kolorowymi strzałami; jedna z nich przebiła się przez płątaninę gałęzi akacji, godząc w ziemię, gdzie zamiast cienia drzewo zdawało się rzucać skrawek miedziowego blasku, w którym, uchwycone owym ulotnym fleszem, defilowały gnu w tumanach złocistego pyłu wzbijającego się spod ich kopyt i pęczniejącego w wilgotnym zefirze. Sfotografowanie takiego obrazu jest niemożliwe bez ryzyka otrzymania w efekcie wspaniałego kiczu, bo jest tak wzniosły i majestatyczny, że brak mu tylko jakiegoś stosownego cytatu z Biblii, aby można go drukować jak pocztówki sprzedawane przez zakonnice, w których mowa jest o światłach, drogach i prawdach.

„Byk Osborne'a” - rodzaj przydrożnej reklamy, wielka, złożona z kilkunastu elementów sylwetka byka o wysokości około 14 metrów, rozmieszczona przy szosach w całej Hiszpanii. „Byk Osborne'a” został zaprojektowany pod koniec lat pięćdziesiątych i miał pierwotnie reklamować brandy Veterano Grupy Osborne z Jerez de la Frontera. Z czasem stał się znakiem handlowym firmy i jednym z najbardziej rozpoznawalnych symboli Hiszpanii (przyp. tłum.).

- Cóż za niewiarygodne piękno - szepnął Delsey. - Jakżeż szczęśliwe muszą być afrykańskie anioły.

Przywołanie przez Delseya jego ubóstwianych niebieskich zastępów nie było w tym wypadku przesadą i nie zabrzmiało nawet pretensjonalnie. Rezerwat Masai Mara był końską dawką dla siatkówki oka. Gdy wjechaliśmy w dukt pnący się wśród gęstwiny ku Mara Serena, znajdowaliśmy się w stanie hipnozy wywołanej psychotropowym przesytem obrazów. Otaczała mnie całym swym splendorem Kenia z moich dzieciennych fantazji.

Mara Serena to *lodge* zbudowany w stylu masajskich wiosek. Nie był to ściśle rzecz biorąc styl, jakiemu hołdował Delsey, ale myślę, że w tym czasie jakaś strategiczna część jego estetycznej palisady legła już pod naporem wrażeń. Baron zajmował pojedynczy pokój, ja z Kenem dzieliłem sąsiedni. Pół godziny później, zadowolony z siebie w naszej nowej kwaterze, popijaliśmy piwo obok basenu, z urną z popiołami Tony'ego na stole. Wszyscy czterej patrzyliśmy, jak zmierzch osiada na dalekich równinach, gdzie aż po horyzont żaden przejaw ludzkiego istnienia nie mącił krajobrazu. U naszych stóp stado gnu uformowało na błoni strzałę, a po drugiej stronie galerii listowia zdradzającej bieg rzeki Mara inna ciżba sunęła w przeciwnym kierunku.

- Dlaczego jedne idą w tę stronę, a drugie stamtąd wracają? Czy wszystkie zmierzają w to samo miejsce? - spytał Delsey, starając się zrozumieć motywację sterującą zachowaniem postaci tej teatralnej sztuki.

- One same tego nie wiedzą - uznał Ken. - Masajowie nazywają je dzikim bydłem, co znaczy tyle, co żołnierze bez kapitana.

- Nie sądzę. Coś się za tym musi kryć.

- Czy jest pan osobą religijną, baronie?

- Pochodzę z kraju, który czci rozum. Wszyscy mają swoich bogów. A bóg tych zwierząt nie musi być wcale mniejszym bogiem.

- Wie pan, baronie? Myślę, że ma pan rację. Ja uczęszczałem do katolickiej szkoły. Kiedyś na Boże Narodzenie dostałem rolę anioła w szopce betlejemskiej, którą przygotowaliśmy dla rodziców. Tego dnia wróciłem do domu z kartką papieru, na której zakonnice zanotowały instrukcje dla mojej matki, podług których miała

sprokurować mi strój. Było tam napisane: długa tunika i skrzydła. Matka uszyła mi tunikę z ciemnobrązowej, prawie czarnej plan-deki ciężarówki, a skrzydła wycięła z pakowego papieru. Kiedy stawiłem się na próbę, zakonnice stwierdziły, że muszę wrócić do domu i dokonać gruntownej przeróbki stroju. Zapomniały napisać, że wszystko ma być białe. Powiedziały, że nie wyglądam jak anioł, tylko jak kruk! Nie rozumiałem dlaczego, a strój podobał mi się tak bardzo, że za nic nie chciałem się go pozbyć. Zakonnice na to, że anioły są białe, bo symbolizują czystość, a kolor czarny jest kolorem zła. Zła! Aleja przecież jestem czarny! Zrobiła się taka chryja, że musiał się wtrącić ksiądz. Problem wydał mu się zabawny i go zbagatelizował. Powiedział zakonnicom, że mogę być czarnym aniołkiem, ale one upierały się twardo przy swoim. Żeby zamknąć kwestię, ksiądz chwycił kawałek papieru i napisał na nim homilię bożonarodzeniową zadedykowaną zakonnicom: „Bóg w Afryce jest czarny i dlatego jego aniołowie także są czarni”. W ten oto sposób stałem się pierwszym czarnym aniołkiem, rewolucjonizując mimochodem doktrynę teologiczną Kościoła katolickiego. Przynajmniej w mojej szkole.

Historia Kena nas rozbawiła. Kontemplowaliśmy równinę, na której kształty stad niknęły pod smolistą patyną zmroku, gdy wtem zaskoczył nas męski głos mówiący po francusku.

- Delsey! To przecież Delsey!

Właścicielem głosu był trzydziestoletni brunet, posiadacz długich włosów i szyi opiętej masajskim naszyjnikiem. Miał na sobie koszulę i spodnie dżinsowe, a jego oblicze przypominało ugór spalony ogniem słońca. Nie wyglądał na turystę. Pomyślałem, że to niemożliwe, żeby Delsey mógł spotkać kolejnego znajomego i z miny barona odgadłem, że nie był to jego znajomy. Patrzył na niego tak, jak się patrzy na nieznanego. Mężczyzna jednak zdawał się tym nie przejmować. Podsunął sobie krzesło i usiadł obok Delseya, wyciągając ku niemu dłoń.

- Nazywam się Pierre Toti, jestem z Monako, to niewiarygodne, nie mogę wprost uwierzyć, że cię spotykam tutaj, na końcu świata.

- Delsey uścisnął jego rękę, mruknął pod nosem jakieś płochliwe pozdrowienie i przedstawił nas. Kiedy spostrzeżliśmy, że facet

ma nieprzepartą ochotę na pogawędkę, wyjaśniliśmy mu pełni nadziei, że Ken nie rozumie francuskiego, a on na to przeszedł zaraz na kulawy angielski z silnym akcentem.

- Aaach, masz we mnie zagorzałego fana, czytam namiętnie twoje artykuły i oglądam programy z twoim udziałem, zwłaszcza gdy dajesz popalić Grimaldim; masz stuprocentową rację, ten klan jest skończony, ja obracam się w środowisku, w którym bywa ta rodzinka i znam niemal wszystkie osoby, o których mówisz, ale mimo to warto tam żyć, przede wszystkim z powodu kobiet, kobiety!, ach, co za kobiety, przyjacielu!, to największy skarb Monako, elegancie, świeże, wyperfumowane, czyste, i za tym cknij się człowiekowi tutaj, co za kobiety, co za kobiety, no, ale co ja ci tu opowiadam, przecież ty jesteś...

- Czym się zajmujesz w Monako, Pierre? - wszedłem w słowo monakijskiemu szarlatanowi dokładnie na ułamek sekundy przed tym, nim zdołał popełnić najgorszy błąd swego życia.

- Jeszcze o tym nie wspomniałem? Kupuję i sprzedaję jachty, żeglarstwo to moja pasja, uwielbiam morze, a Monako jest dobrym miejscem do kupowania i sprzedawania jachtów, ludzie kupują i sprzedają dużo jachtów, zawsze jest ruch w interesie, latem i zimą, dzięki temu mogę oddawać się swojej pasji, żeglarstwu, a poza tym kobiety wariują na punkcie jachtów, jeśli któraś opiera się ferrari, bo mam czerwone ferrari, istne cudo, osiąga trzy setki i doprowadza dziewczyny do stanu wrzenia, no więc, jeśli któraś opiera się ferrari, zabieram panienczkę na spacer jachtem i tam roztapia mi się jak maselko na słońcu, jasne, że trzeba wiedzieć, jaki jacht kręci jaką dziewczynę, ale ponieważ kupuję je i sprzedaję, to zawsze mam kilka własnych i każdej daję to, czego potrzebuje: romantyczki po dwugodzinnym spacerku żaglówką pływają już bez bikini, dziewczyny lubiące ryzyko przepadają za katamaranem i opalaniem się nago na żaglu, podczas gdy bardziej wysmakowane gustują w luksusowych jachtach i wołają, no wiecie, intymność kajuty, noc, łagodny jazzik, butelka szampana, irański kawior, i wtedy, przyjaciele, można wyprawiać istne diabelstwa, diabelstwa!, mam teraz taki jachcik z trzymetrowym jacuzzi, zaprosiłem na niego dwie bliźniaczki, znaczy, one były trojaczkami, ale ta trzecia miała chłopaka...

- Jesteś tutaj na wakacjach? - przerwałem mu znowu.

Delsey nie odzywał się ani słowem. Było oczywiste, że typek ten wzbudzał w nim wszystkie uczucia oprócz sympatii.

- Na wakacjach? Nie, skąd! Jeszcze o tym nie wspomniałem? Pilotuję balony.

- Balony?

- Tak, balony! Jestem w Serenie pilotem balonów, latanie to moja pasja, oprócz żeglarstwa, ma się rozumieć, dlatego latam przez sześć miesięcy w roku, a przez drugie sześć, gdy tutaj kończy się sezon, pływam w Monako, możecie mi wierzyć, to niesamowita frajda, chociaż czasami doskwiera mi samotność, ale że codziennie prze walają się tutaj tłumy nowych ludzi, to nigdy się nie nudzę, dużym minusem jest to, że większość kobiet przyjeżdża już w obstawie, sporo narzeczonych, podróże poślubne, na szczęście od czasu do czasu zjawiają się grupki samotnych psiapsiółek, emeryci z młodzieut kimi córkami, któregoś razu zaliczyłem nawet babkę, która była z mężem, pamiętam jedną Norweżkę, przyjechała tutaj w podróż poślubną, wyglądała na sopol lodu, ale później okazało się, że facet ka to czysty ogień, co za szprycha, no, ale na dzisiaj już starczy, nie będę wam dłużej zawracać głowy swoimi historiami, domyślam się, że chcielibyście zjeść kolację, ja już jadłem, szkoda. Tak sobie teraz myślę, jutro rano lecę prawie pustym balonem, mam tylko parkę Amerykanów w podróży poślubnej, ona, lalunia palce lizać, ale coś mi się wydaje, że ciężki z niej orzech do zgryzienia, jeśli macie ochotę, zapraszam na podniebną przejażdżkę, sprawilibyście mi wielką przyjemność.

- Naprawdę? - wymieniliśmy z Delseyem poufne spojrzenia, po czym obaj przenieśliśmy wzrok na naszego przyjaciela Tonyego, który spoczywał na stole i milczał jak grób.

- Słuchaj... Pierre - powiedziałem. - Korzystając z twojej uprzej mości i zaproszenia, chciałbym cię o coś prosić. Czy moglibyśmy odprawić na pokładzie pewną uroczystość?

Pomysł użycia balonu do odprawienia liturgii odprowadzenia zmarłego na miejsce wiecznego spoczynku zachwycił monakijskiego playboya. Była to jedna z niewielu rzeczy, jakich brakowało mu na liście autorskich dokonań w gościnnych, unoszących się w pustce

ścianach gondoli. Nawiasem mówiąc, pewnego razu popełnił tam akt cudzołóstwa z pewną dzierlatką, której narzeczony dogorywał w *lodge* zgnębiony ostrą biegunką. Niestety nie dane nam było poznać szczegółów tej karkołomnej przygody, wezwano nas bowiem właśnie na kolację i musieliśmy się pożegnać z wilkiem morskim i asem przestworzy w jednej osobie do następnego ranka. Szkoda. W recepcji przekazano mi wiadomość telefoniczną od Duncana Trávisa, dyrektora Norfolku. Przyszła jakaś poczta. Głowiłem się, co to mogło być, podczas gdy Delsey odsądzał od czci i wiary naszego świeżo upieczonego towarzysza, Ken zaś powtarzał niestrudzenie: co za gość!, co za gość!

O świcie, za piętnaście szósta stawiliśmy się w recepcji z prochami Tony'ego w plecaku. Pierwszą niespodzianką dnia był Delsey. Zrzucił z siebie wreszcie szyty na miarę garnitur i przywdział cudną koszulę w kolorze piaskowożółtym w komplecik z twarżową, jedwabną chustką na szyję, bufiaste spodnie w tej samej tonacji ściśnięte paskiem z krokodylej skóry i złotą sprzączką, z nogawkami wpuszczonymi w długie kaszmirowe skarpetki, buty zakupione w sklepie w Sarit Centre oraz kapelusz z szerokim rondem owiniętym wstęgą w lamparcie cętki. Rodolfo Valentino w roli wielkiego białego myśliwego. Udało mi się tylko lekko uśmiechnąć, ale Ken nie mógł się powstrzymać.

- Ha, ha, baronie! Za kogo się pan przebrał? Za sawannową *drag queen*?

- Nie rozumiem, o czym mówisz. W paryskim butik, gdzie zakupiłem tę garderobę, zapewniono mnie, że to najlepszy strój na safari. Zaopatruje się tam wielu afrykańskich królów.

- Tak, i królowych! Auć! - Uszczypnąłem Kena w ramię i pociągnąłem przed wejście *lodge*, gdzie czekał już pojazd, który miał nas zawieźć na startową łąkę.

Powłoka balonu nadymała się żółtym obrzękiem w miarę pozbywania się swego ciężaru, falując nieznacznie, muskana lekkim wietrzykiem przedświtu. W środku spoczywającej na boku gondoli, przy palnikach siedział Pierre, który pozdrowił nas ruchem ręki. Staaliśmy w pewnej odległości w towarzystwie pary Amerykanów, z którymi mieliśmy odbyć lot, podczas gdy Pierre wdmuchiwał

hurgot ognia do wnętrza balonu, wspomagany przez kilku mężczyzn podtrzymujących otwarty wlot powłoki. Po chwili tkanina oderwała się od ziemi i zaczęła ciągnąć gondolę, którą ustawili wspólnymi siłami we właściwej pozycji. Pierre wskoczył na swój posterunek i dano nam znak, że możemy wchodzić. Wnętrze gondoli podzielone było na pięć wąskich boksów. Dla pilota zarezerwowany był boks środkowy z bezpośrednim dostępem do sterów palników, po jego lewej stronie dwa boksy przedzielone przepierzeniem zajęli Amerykanie, po przeciwnej zaś stronie do jednego segmentu wcisnęliśmy się obaj z Kenem, a do drugiego Delsey. Pierre wyskandował kilka krótkich instrukcji w swoim zbijającym z pantofelki, gardłowym angielskim, na co Amerykanie popatrzyli na siebie z wyrazem twarzy zdradzającym dobitnie, że nie zrozumieli ani słowa. Wówczas Pierre przesunął dźwignię i zahuczał ogień, grzejąc nam karki. Unieśliśmy się w powietrze.

Ziemia oddalała się, jakby ją stamtąd uwożono w pośpiechu. Dosiadając wiatru, nie odczuwaliśmy ani ruchu, ani bezwładu, za to mieliśmy wrażenie, że oderwaliśmy się od świata, aby móc oglądać jego obrót, dołączając do innych ciał niebieskich zajmujących swoje niewzruszone pozycje na nieboskłonie, gdy na dole tymczasem istoty pełzały pracowicie po ziemi, przygniecione ciężarem grawitacji. Kiedy Pierre nie manipulował palnikami, panowała absolutna cisza i wydawało się, że słyszymy nieomal szelest słońca przeskakującego przez mur horyzontu i dalekie rozmowy wszystkich, których nogi wbite były w piasek, oraz wszelkie muczenia, ryki i parskania zwierzyny. Nie należeliśmy już do świata istot ulepionych z gliny, byliśmy utkani z powietrza.

Balon zawisł nad korytem rzeki Mara i nad kłębiącymi się u jej brzegów stadami, wypatrującymi brodu umożliwiającego przeprawę. Stamtąd, z góry, nijak nie można było zrozumieć szamotaniny tych tabunów, nie można było zrozumieć, czego szukają na drugim brzegu nieróżniącym się wszak niczym od tego, z którego zamierzały uciec, nie można było zrozumieć, cóż to za potężna siła przymusza je do ryzykowania życia w wodach kipiących krokodylami. Pierre spoglądał przez lornetkę, popatrywał na GPS, pokazywał nam zwierzęta i odsłaniał tajniki stero-

wania balonem. Pociągał za jakieś sznury, za pomocą których wprawiał nasz aerostatek w ruch obrotowy; nie mógł jedynie wybrać kierunku, bo to leżało w gestii wiatru. Niewiadoma, dokąd cię zanieśie każdego ranka, była częścią emocjonującej zabawy, mówił. A słowa swoje kierował przede wszystkim do Amerykanki, która słuchała oniemiała z wrażenia, z tym samym wyrazem twarzy zdradzającym, że nie rozumie nic a nic. Delsey uśmiechał się zachwycony, a Ken fabrykował nieskończone onomatopeje na widok każdego nowego cudu: rubinowego słońca, zarannej mgiełki przyczajonej nisko między akacjami Mara Triangle, biegu rzeki wijącej się złocistym wężem wśród odległych równin czy rysunku stad splatających i rozplatających na pastwiskach filigrany podłużnych cieni.

W pewnym momencie Pierre poinformował nas, że osiągnęliśmy maksymalną wysokość lotu, więc przystąpiliśmy do wypełnienia misji. Pilot zapoznał Amerykanów z jej celem, na co młodzi małżonkowie spojrzeli po sobie z tym samym wyrazem mówiącym ni mniej, ni więcej, że nie kapują ani słowa. Wydobyłem urnę z plecaka i przycisnąłem ją do piersi. Zgodnie z życzeniem Tony'ego Delsey skreślił kilka słów. Wyjął mały arkusik papieru z kieszeni, odchrząknął i zaczął recytować po hiszpańsku.

- Jeśli spadł kiedyś anioł z niebieskiej krainy...

Przerwał, jakby krepował się własnych słów. Poruszył się niespokojnie w swojej ciasnej celce i odchrząknął ponownie. Przypomniało mi się wówczas, o co prosił Tony. Zainteresowany nie chciał świętoszkowatej przemowy ulizanej aniołami, tronami i potęgami. Ale Delsey był tylko Delseyem i nie można było wymagać od niego dźwięków niezgodnych z jego rejestrem. Zaczął od początku.

- Jeśli spadł kiedyś anioł z niebieskiej krainy,
Tony skubnął go w locie, nim ten sięgnął ziemi.

Oddajemy afrykańskiemu wiatrowi prochy Tonyego Keraka.
Był lubieżnikiem, bezwstydnikiem i libertynem, a zatem czło-
wiekiem godnym admiracji.

Był moim przyjacielem, kochałem go.

Tony, oto wreszcie twoja ojczyzna. Te równiny będą twoją ojczy-
zną. Twoją Empyrią.

Powędrujesz w rytmie deszczowych pór zaplątany w sierść gnu.

I z grzbietu Bożej trzody panować będziesz wiecznie nad swoim światem.

Pod koniec drugiego wersu musiałem zdusić w sobie wybuch śmiechu i powstrzymałem się od jakiegokolwiek reakcji, gdy przekazywałem Delseyowi otwartą urnę. W żadnym razie nie można było popełnić w tym momencie nietaktu, tym bardziej że w kąciku oka zalśniła mu łza, która na jego gliniastym obliczu zdawała się kroplą deszczu umierającą w spękaniach ziemi. Odebrał ode mnie urnę i przechylił ją w pustkę pod nami. W niespełna trzy sekundy delikatny wiatr rozproszył popielaty tuman w przezroczystym powietrzu i Tony Kerak zniknął na zawsze.

- Tak się mówi, „skubnąć”, nieprawdaż? -jęknął Delsey przez firankę łez, trąc oczodoły i zwracając mi urnę.

- Przepiękne słowa, Delsey. Tony byłby zadowolony. Uśmiełby się do łez.

- Ale, co on takiego u diabła powiedział? Przetłumaczcie mi to!
- protestował Ken.

Ślady w rzece

Po wylądowaniu balonu program przewidywał śniadanie z szampanem na sawannie. Podczas gdy Pierre próbował oczarować Amerykankę, ścinając szyjki butelek ostrą maczetą, Delsey nieoczekiwanie wyraził przekonanie, że ekipa filmowa pewnie nie wie o śmierci Tony'ego. Zważywszy, iż miejsce zakwaterowania filmowców, Governors Camp, znajdowało się stosunkowo blisko, poczuliśmy się w obowiązku złożyć im wizytę i zawiadomić o tragicznym zdarzeniu. Może był wśród nich jakiś przyjaciel Tony'ego.

Governors Camp to luksusowa replika wiktoriańskich safari, usytuowana na zacienionym obszarze między rzeką Mara i zatapianą w czasie pory deszczowej niecką. Panująca tam wilgoć zmieniała surowe sawanny płaskowyżu w tropikalną ortodoksję, a dzięki obfitości drzew i roślin o wielkich liściach utrzymywał się w tej oazie ożywczy mikroklimat, który przynosił skórze ulgę od spiekoty stepu. W recepcji zapytaliśmy o Trevora Flammeego i poproszono nas, byśmy zechcieli zaczekać na niego w barze. Dopisało nam szczęście, bo tego właśnie dnia ekipa miała przerwę w zdjęciach i rozpoznaliśmy kilka znajomych osób, którym pośpiesznie przekazaliśmy smutną nowinę. Dwóch przechodzących tamtędy młodych mężczyzn wysłuchało informacji i jeden odezwał się do drugiego: „Och ty w mordę, ale numer”, i poszli dalej. Po kilkunastu minutach pojawił się Trevor. Ucieszył się bardzo ze spotkania i zasmuciło go samobójstwo Tony'ego, chociaż prawie go nie znał. Najbardziej był

z nim zżyty producent, ale ten akurat wyjechał. Inni przyznali, składając wprawdzie hołd zmarłemu kilkusekundową ciszą, że w gruncie rzeczy nie zetknęli się z aktorem grającym Hemingwaya. Opowiedzieliśmy, co stało się z jego doczesną powłoką i tym samym uznaliśmy misję za spełnioną.

Zanim się pożegnaliśmy, Trevor spytał nas o poszukiwania Hamisha. Zrelacjonowałem mu szczegółowo ostatnie postępy i znów mogłem liczyć na jego pomoc. Tego samego dnia leciał do Nairobi, by wrócić wieczorem, poprosiłem go więc, gdyby nie sprawiło mu to problemu, o odebranie poczty z Norfolku. Był umówiony na obiad z Duncanem Travisem, zatem moja prośba w najmniejszym stopniu nie mogła pokrzyżować mu planów. Obiecał, że dostarczy mi pocztę do Sereny wieczorem i przy okazji napije się z nami piwa, zanim wybije godzina policyjna obowiązująca w rezerwacie.

Dojeżdżając do Keekorok, wyczuwałem u Delseya tę samą nerwowość, za sprawą której i mnie serce podchodziło do gardła. Byliśmy wreszcie o krok od poznania człowieka, który przyjaźnił się z Bostonem Sharkiem, domniemanym alter ego mojego dziadka, i choć nie komentowaliśmy tego wcześniej, obaj przeczuwaliśmy, że trop ten jest zapewne tropem ostatecznym. Na dobre czy na złe posuwaliśmy się ostatnią prostą przed osiągnięciem punktu X oznaczającego położenie skarbu, w przedostatnim ruchu naszej gry. Następnym polem powinien być Hamish Sutherland. Ciekawy rozwiązania, aczkolwiek emocjonalnie niezaangażowany Ken prowadził samochód, wybijając palcami rytm na kierownicy i nucąc jedną z piosenek Springsteena.

Położony przy głównym skrzyżowaniu dróg rezerwatu, Keekorok był czymś więcej niżli tylko hotelem, był centrum zarządzania Masai Mara, trzewiami, w których przetwarzano wszystko to, co tchnęło życie w ten skrawek Afryki. Przypominał małą wioskę, *outpost* na dzikim Far West, jego mieszkańcy wyglądali bardziej jak osadnicy niż personel, i wcale nie zdziwiłbym się, gdybym nagle zobaczył gang kowbojów zsiadających z koni, aby wymoczyć gardło w lodowatej kąpieli piwa. Takie gangi zjawiały się rzeczywiście, ale dosiadały samochodów terenowych lub minibusów i bezwzględnie atakowały składy tuskera. Oparliśmy się kuszącej wizji oszronionej

szklanki piwa, aby z miejsca rozpocząć misję i w recepcji zapytaliśmy o Horatia Mainę, szefa zaopatrzenia, który, wedle słów jednego z lotników z Nairobi, miał znać Bostona Sharka. „Sędziuje”, usłyszeliśmy zdumiewającą odpowiedź i bardzo szybko zrozumieliśmy jej sens. Obok *lodge* znajdowało się boisko piłkarskie, na którym w godzinach lekcyjnych, pod pręgierzem niemiłosiernego słońca, rywalizowały z sobą zajadle dwie dziecięce drużyny. Wyglądało to na jakiś wielki finał, bo wokół boiska zgromadzili się najbliżsi zagrzewający do walki swoje latorośle. Arbiter był pękatym jegościem z mięśniami wyrobionymi dosiadaniami fotela i ściskaniem w garści butelek piwa podczas tysięcy godzin telewizyjnych transmisji z meczów piłkarskich. Tkwił na środku boiska, nie ruszając się na krok z koła i jego arbitralne decyzje, z braku sędziów liniowych, podważane były nieustannie przez zawodników oraz ich rodziców. Nie pozostawało nam nic innego, jak uzbroić się w cierpliwość do końca regulaminowego czasu gry. Delsey i ja rozumieliśmy z piłki nożnej tyle samo w Masai Mara, co w Pampelunie, czekaliśmy więc w napięciu, spacerując nerwowo niczym liniowi, których nie było, natomiast Ken, zapalony kibic piłkarski, natychmiast opowiedział się za jedną z drużyn i dołączył do dopingujących rodziców, gwizdząc i wiwatując na przemian, w zależności od nakazu chwili.

Gdy sędzia odgwizdał koniec, na podstawie niemrawych reakcji obu stron wywnioskowaliśmy, że był to dopiero gwizdek na przerwę. Rzuciliśmy się na Mainę, który przyjął postawę obronną, myśląc pewnie, że jesteśmy kibolami jednej z drużyn pragnącymi oddać się głównemu sportowi pomocniczemu amatorskiego futbolu - garbowaniu skóry sędziemu. Zanim zdążył salwować się ucieczką, udało się nam przedstawić z imienia i nazwiska, wymienić nasze narodowości i uzyskać zapewnienie, że w istocie stoi przed nami Horatio Maina, który wyrecytował na to jednym tchem, jak się domyśliłem, pełny skład Realu Madryt. Gdy już wymieniliśmy wszystkie grzeczności objęte kontraktem pierwszego kontaktu, przeszedłem do meritum sprawy.

- Panie Maina, chciałbym pana o coś zapytać. Dowiedzieliśmy się, że jest pan przyjacielem pana Bostona Sharka, pilota, który dostarczał zaopatrzenie do Keekorok. Szukamy go. Pewne przesła-

ki pozwalają nam przypuszczać, że może on być moim dziadkiem, chociaż Shark nie jest jego prawdziwym nazwiskiem.

- Boston Shark? - Wytarł chusteczką pot z czoła. - Pańskim dziadkiem? Nie wiedziałem, że *bwana* Boston miał rodzinę, no, ale nawet lampart ma potomstwo. Niech będzie pozdrowiony wnuk *bwana* Bostona, jeśli przyjechał upomnieć się o jego dom i zamieszkać wśród nas. *Karibu** - dodał.

- Upomnieć się o jego... dom? Co pan chce przez to powiedzieć? Nie mieszka w swoim domu?

Maina zamknął oczy i westchnął głęboko.

- To pan nie wie... Bardzo mi przykro, proszę pana, że dowie się pan o tym dopiero z moich ust. *Bwana* Boston umarł. Jakies dziesięć lat temu, w 1980 albo 1981, jeśli mnie pamięć nie myli.

Popatrzyliśmy na siebie z Delseyem spojrzeniem pokonanych. Oblicze barona wykrzywił gorzki grymas, podobny masce z greckiej tragedii. Na naszych tyłach Ken nie odważył się poruszyć jednym mięśniem.

- Nie... żyje? - zakwililem. - Jest pan... pewny?

- Tak, proszę pana. To ta jego wątroba. No i syfilis. On... pił za dużo i... Cóż, chyba się pan domyśla. Był bardzo samotny. *Pole sana*".

- Bardzo samotny? - Wkładałem nadludzki wysiłek w profesjonalne przeprowadzenie tego wywiadu, lecz by tego dokonać, musiałem połykać łyżę. - Co pan przez to rozumie? Nie miał... nikogo?

- *Bwana* Boston nie był przyjacielem wielu i niewiele było jego przyjaciółmi. Miał problemy. Po tym, jak przestał latać, więcej go już nie widziałem. Był już tak stary jak jego samolot. Ani jeden, ani drugi nie mogli już wzbić się w powietrze. To było jakoś w połowie lat siedemdziesiątych. Nie widziałem go już nigdy więcej, a o jego śmierci dowiedziałem się od Piusa.

- Piusa?

- Piusa Ole Toroge. Był jego mechanikiem i tropicielem w czasach, kiedy polowali razem. No i z pewnością jego ostatnim przyjacielem.

* Witaj. ** Bardzo mi przykro.

- Czy Pius jeszcze żyje?
- Tak, Pius żyje. Choć od dłuższego już czasu nie pokazuje się tutaj.

- A gdzie mieszka?

- W Narok. Tam znajduje się też dom *bwana* Bostona i tam jest pochowany *bwana* Boston. Pius może panu pokazać. Znajdzie go pan w jego warsztacie. Kiedy zaraz przy wjeździe do miasteczka minie pan po prawej stronie stację benzynową, proszę skrócić w lewo, za targiem. Tam jest jego warsztat. Gdyby się pan zgubił, proszę pytać o warsztat Piusa. Tam go znają.

- *Asante*, panie Maina. *Asante sana'*.

- *Karibu tena. Salama, bwana Shark***.

Maina wrócił do sędziowania meczu, a ja opadłem na jakiś kamień. Na sąsiednim kamieniu przysiadł Delsey z zatroskaną twarzą i wzrokiem zaczepionym gdzieś za horyzontem, nie zwracając nawet uwagi na dzieci, które zbiegły się zwabione jego egzotycznym przyodziewkiem. Jeśli to prawda, że Hamish nie żył, tamtego dnia umarł po raz drugi, a wraz z nim jakaś część Delseya. Ja rozpocząłem te poszukiwania ze swojego rodzaju psychologicznym zabezpieczeniem, jakby jakiś głosik szeptał mi bez przerwy owo *memento mori* rzymskich cesarzy, przypominające mi, że Hamish jest śmiertelny i że w gruncie rzeczy mógł być już martwy. Delsey natomiast w przeciwieństwie do mnie wybrał się w tę podróż bez zabezpieczenia, stawiając na szalę słabnące zdrowie i siły, byleby tylko odzyskać utracone lepsze czasy, i był tak przekonany o wygranej swojego zakładu, że w ogóle nie brał pod uwagę możliwości klęski rozpalonej nadziei. Do tej pory trwał dzielnie niczym lew na rozległej równinie, radząc sobie nawet z samobójstwem Tony'ego, ale teraz bałem się, że może upaść na duchu. Tak czy owak, mimo niewielu złudzeń, jakie pozostawiało świadectwo Mainy, nie mogliśmy się poddać, nie mając namacalnego dowodu. Nie odbyliśmy podróży z Lux Domini do Keekorok Lodge po to, żeby skapitulować przed dotarciem do ostatniego pola. Trzeba nam było jechać do Narok.

* Dziękuję bardzo. ** Nie ma za co.

Powodzenia, panie Shark.

Masajska stolica regionu jest punktem tranzytowym na karłowaciejącym stopniowo szlaku z Nairobi do Masai Mara i ostatnim miastem o takim znaczeniu przed wypłynięciem na samotny ocean równin, z którego stąd aż po granice rezerwatu jedynie spordycznie wynurzają się wysepki pomniejszych miejscowości i osadwzniesionych z ciemnych zarośli, błota i gnoju. Jechaliśmy tą samą drogą co dnia poprzedniego, tylko w przeciwnym kierunku i tym razem wydała się nam o wiele dłuższa. Milczeliśmy, jeśli pominąć początkowe protesty Kena, który uważał, że jest zbyt późno, aby jechać do Narok i wrócić do Mara Serena przed godziną policyjną, z wybięciem której obowiązywał zakaz poruszania się po rezerwacie. Szczerze mówiąc, ja i Delsey byliśmy w takim nastroju, że mieliśmy w nosie jakieś biurokratyczne zarządzenia. v

Stosując się do wskazówek Mainy, wjechaliśmy w ulicę oskrzydloną biednymi *maduka*, zakładami fryzjerskimi z wymalowanymi na fasadach przykładowymi wizerunkami firmowej twórczości i zapyziałymi *hoteli* o kuriozalnych nazwach, jak Windsor Pałace czy Empire State. Po chwili ujrzeliśmy placyk, gdzie ewentualny wybuch bomby miałby szansę uporządkować szalenie wypełniającą ją samochodowy złom, spalone podwozia i rozbrojone silniki. Ken wjechał w sam środek tego bezhołwia i zaraz wyszedł do nas jakiś młodzieniec ze zwisającymi w kształcie pętli małżowinami usznymi, przyglądając się wnikliwie naszemu pojazdowi, jakby próbował odgadnąć, jakiej też możemy potrzebować naprawy. Posłałem mu z okna powitalne *jambo* i wymieniłem imię Piusa. Pokazał na betonową rudę przykrytą blaszanym dachem, która górowała nad pieniącym się tu chaosem. Zeszliśmy na ląd i ruszyliśmy we wskazanym kierunku.

Pod blaszanym sufitem jakiś mężczyzna nachylał się nad silnikiem samochodu terenowego tak ślicznego i lśniącego, że w owej strefie zero odcinał się od otoczenia niby statek kosmiczny na obsianym polu.

- *Jambo* - pozdrowiliśmy go z Kenem jednocześnie. Mechanik wynurzył się spod maski i popatrzył na nas badawczo, zanim odpo-

Sklepy.

wiedział na powitanie majestatycznym skinieniem. Trudno było oszacować jego wiek, co często przytrafia się europejskiemu oku mało wprawionemu w oglądaniu Masajów. Odziany był w zasmarowany kombinezon przewiązany w pasie, prezentując nagi, żylasty tors, który był tak chudy i giętki, że jego właściciel mógłby z pewnością naprawić samochód bez konieczności demontażu części, prześlizgując się bez problemu między szczelinami silnika. Podobnie jak zagadnięty wcześniej chłopak miał rozciągnięte w pętle małżowiny, które zaczepił na górnych krawędziach uszu, prawdopodobnie po to, aby nie zahaczyć nimi o jakiś wystający element, gdy zanurzał głowę w bebeczki auta.

- *Habari?** - pociągnąłem dalej w szczątkowym suahili, w którym na wszelki wypadek podszkolił mnie Ken. W Kenii, jak w każdym innym kraju, wprowadzenie do rozmowy podstaw lokalnego języka pomagało naoliwić dialog, co w tym wypadku było jak najbardziej wskazane.

- *Mzuri.*

- *Tafadhali, bwana Pius Ole Toroge?*

- *Ndiyo, mimi ni Pius.*

- *Bwana Ole Toroge, mimi ni mjukuu wa bwana Boston Shark**.*

Czekałem na reakcję, która nastąpiła, ale w szorstkim stylu typowym dla starych Masajów. Skinął jedynie głową i podał mi rękę, której nie odważyłem się odtrącić, mimo iż lepła się od smaru. Wyczerpawszy szybko cały zasób suahili, zmuszony byłem kontynuować po angielsku.

- Bwana Horatio Maina z Keekorok Lodge opowiedział nam, że był pan dobrym przyjacielem bwana Bostona i że bwana Boston zmarł około dziesięciu lat temu. Czy mógłby pan potwierdzić tę informację i, jeśli pan tak uprzejmy, czy mógłby nam pan pokazać jego grób.

Jak się pan miewa?

Dobrze.

Czy pan Pius Ole Toroge?

Tak, ja jestem Pius.

Jestem wnukiem pana Bostona Sharka.

Tym razem jedyną odpowiedzią Piusa było spojrzenie rzucone w kierunku Kena. Pojąłem w mig.

- Ken, mam wrażenie, że on nie rozumie dobrze angielskiego. Czy mógłbyś przetłumaczyć to, co przed chwilą powiedziałem?

Ken przetłumaczył moje słowa i Pius odpowiedział powściągliwie.

- Mówi, że tak, że *bwana* Boston zmarł w 1981 i że z wielką przyjemnością pokaże nam jego grób. Przykro mi, stary. To właśnie zrozumiałem. Jego suahili daleko do literackiej doskonałości. Wielu starszych Masajów mówi dobrze tylko w swoim języku, w maa.

- Rozumiem. To co, jedziemy?

Wróciliśmy do samochodu w grobowych nastrojach. Nim usadowił się obok Kena, Pius wydał kilka poleceń młodemu mechanikowi, po czym poprowadził nas na cmentarz o kolorycie kamieniołomu. Był to zwykły skrawek ugoru z kamieniami oznaczającymi poszczególne groby, z których każdy miał prostą tabliczkę wbitą w spieczoną ziemię. Pius ruszył przodem między mogiłami, po chwili stanął i powiedział:

-Tu.

Grób nie różnił się od innych, był zwykły i pospolity, a na tabliczce widniał napis:

BOSTON SHARK

16th MAY 1981

Był to grób człowieka, który umarł w ubóstwie i niemal całkowitej anonimowości. Nie było na nim daty urodzin, żadnego napisu, specjalnej wzmianki, wrytych w kamieniu liter, epitafium. Nie takiego miejsca się spodziewałem i zapłakałem, nie tyle z powodu konfrontacji ze śmiercią dziadka, ile z powodu odkrycia nędzy jego życia i nędzy jego śmierci. Czułem, że Delsey zareagował tak samo. Nie miałem przy sobie nic, co można byłoby położyć na mogile; w każdym razie cokolwiek by tam zostawić, szybko padłoby łupem rabusiów. Poczułem dojmującą bezradność, że nie mogę nic zrobić, żadnego gestu, żadnego hołdu, nic prócz odmówienia niemej modlitwy.

- *Pole** - szepnął Pius.

Przykro mi.

Położyłem dłoń na ramieniu Delseya, a on mnie objął, zatapiając twarz w mojej koszuli. Nie wyemitował żadnego dźwięku, lecz czułem, że wstrząsa nim płacz. Kiedy podniósł głowę, jego oblicze było puste. Nie patrzył w ziemię. To tylko jego bezsilne, zmęczone oczy opadały w dół. Ken podszedł do nas, uściśnął nam obu dłonie i wyszeptał słowa kondolencji.

- Ken, czy mógłbyś... - wymamrotałem jękliwie. - Czy mógłbyś poprosić Piusa, żeby pokazał nam dom Bostona?

Kilka minut później zatrzymaliśmy się przy jakimś placu na skraju miasteczka. Zewnętrzna furtka leżała na ziemi pod ciężarem czasu i starań wandalów, a na terenie posesji wysoka, sucha trawa zarastała drut kolczasty i połamane żerdzie. Dom był niewielkim, parterowym klockiem wzniesionym z nieotynkowanych i niepomalowanych brył szarego betonu; wyjątkiem była ongiś niebieska podmurówka. Ściana frontowa ziała dziurami po dwóch oknach i jedynych drzwiach pośrodku, obrębionymi tu i ówdzie resztkami drewna i szkła.

Pius przemówił wówczas krótkimi i zdecydowanie brzmiącymi zdaniem.

- Mówi, że dom stoi pusty, odkąd umarł *bwana* Boston - przetłumaczył Ken. - Że nie zostawił potomstwa ani nie miał krewnych i że ty jako jego wnuk możesz się o niego upomnieć. Że należy do ciebie i że to dobry dom, choć zaniedbany.

Przypomniałem sobie wizytę w Lux Domini i to, jak wówczas, zanim jeszcze znalazłem obraz, z całej duszy pragnąłem odzyskać tamte stare mury, które były świadkiem mego dzieciństwa. Dom Bostona był dla mnie miejscem obcym i odpychającym. Choć mogłem go mieć za darmo, nie odczuwałem najsłabszego choćby zainteresowania tym zapuszczonym trupem. Nie czułem nic, co by mnie z nim wiązało.

Weszliśmy do środka. Wnętrze składało się z dwóch pokoi po obu stronach korytarza. Podłogę pokrywała warstwa śmieci, kurzu i potłuczonego szkła. Poza tym nie było tam nic, absolutnie nic, ani kabli, ani kranów, ani gniazdek. Nic, z czego można by wydusić jakiś użytek, choćby krztynę zdarną do recyklingu. Mimo to spenetrowałem dokładnie oba pomieszczenia. Pius przemówił ponownie.

- Zastanawia się, czego szukasz. Ja też - powiedział Ken.
- Nie wiem. Czegokolwiek. Najmniejszego śladu dowodzącego, że tu mieszkał mój dziadek.

Ken przetłumaczył moje słowa Piusowi, a ten roześmiał się, nim wypowiedział kolejną kwestię.

- Twierdzi, że tu nie ma nic. Że nadaremnie szukać śladów w rzece, jak zwykł mawiać *bwana* Boston. Ma na myśli to, że po tylu latach złodzieje...

- Tak, wiem, wiem - przerwałem.

Z tyłu, pod ścianą domu, trzy betonowe filary kiedyś podtrzymały pewnie zadaszenie werandy. Teraz ich nagie, bezrobotne kikuty celowały w niebo. Na wprost werandy w wybijającej trawie leżała podarta plandeka.

- *Ndege* - rzekł Pius, wskazując na plandekę. Znałem to słowo. Uniosłem brzeg plandeki i ujrzałem fragment obłej struktury spróchniałego drewna i metalu zżartego przez rdzę. W tylnej części zachowały się jeszcze resztki płóciennej powłoki. Można było odczytać litery: VP-KAL.

- Ken, spytaj go, czym zajmował się *bwana* Boston, kiedy prze stał latać. W ostatnich latach życia.

W odpowiedzi usłyszeliśmy lakoniczne stwierdzenie Piusa.

- *Hapana kitu*.

- *Hapana kitu* - powtórzył jak echo Ken. - Niczym. Nie robił nic.

- Chodźmy - rzuciłem z płucami ściśniętymi brakiem powietrza.

- Nie mamy tu już nic więcej do roboty.

Nasza trzecia podróż tą samą trasą była jeszcze dłuższa i cichsza niż poprzednia, mimo iż Ken stawał na głowie, żeby dojechać na czas do Masai Mara, wyprzedzając nawet, kiedy mieliśmy z górki, *matatu*, liniowe minibusy, które śmigały kenijskimi szosami niczym diabły tasmańskie i dla których jedynym ograniczeniem szybkości były możliwości ich silników, a jedynymi obowiązującymi prawami prawa fizyki. W innych okolicznościach związałbym Kena i wrzucił do bagażnika, a kierownicę powierzył komuś bardziej odpowiedzialnemu, to znaczy sobie, ale tego popołudnia nie miałem dość siły i woli, aby poprosić, żeby hamował przed wejściem w zakręt

zamiast przyspieszać. Wyczerpany i zbolały Delsey zwał się na tylne siedzenie i spał przez całą drogę do rezerwatu.

Było już po szóstej, kiedy stanęliśmy u wrót Sekenani. Dowiedziawszy się o celu naszej podróży, *rangers* odmówili nam wjazdu, ponieważ do Mara Serena mieliśmy jeszcze dwie godziny jazdy, a zakaz ruchu zaczynał obowiązywać o siódmej. Ken wcielił się natychmiast w szofera attache finansowego ambasady francuskiej, który spał na tylnym siedzeniu i który śpieszył się okropnie do Sereny, gdzie umówiony był na kolację z najwyższym przedstawicielem wielkiej kenijskiej firmy państwowej. Nie wiem, czy oprócz tego nasz przyjaciel zapożyczył od Duncana Trvisa metodę rozwiązywania kwestii spornych, czy wystarczyło, że rangera sparaliżował strach przed wywołaniem dyplomatycznego i finansowego incydentu o apokaliptycznych konsekwencjach. Wyszedł po prostu z biura z triumfalnym uśmiechem na twarzy i oznajmił:

- Załatwione.

Ujechawszy kilka kilometrów, na rozjeździe w Talek, Ken zjechał z głównej drogi.

- Co robisz? - zaprotestowałem.

- Pojedziemy skrótem. Wyjedziemy od razu na most.

- Jechałeś już kiedyś tędy? - spytałem.

- Jasne, stary - skłamał bez zająknięcia.

Goniliśmy za słońcem, które wycofywało nam swój patronat w połyskliwym zmierzchu, tonąc z wolna za równiną. Po kilku minutach Ken porzucił również i tę drogę i skręcił w lewo, w wąską drożynę - dwie koleiny w trawie.

- Jesteś pewny, że wiesz, co robisz?

- Tak, tak, spokojna głowa, stary. Jesteście w dobrych rękach.

Jednak nad mechaniczną niezawodnością naszego wierzchowca nie panował ani on, ani żaden z pozostałych członków załogi. Jechaliśmy przez równiny Meta z niemal czarną nocą na karku, kiedy auto straciło nagle ciąg i zaczęło zwalniać, aż w końcu zatrzymało się na amen. Silnik był na chodzie, lecz nie mogliśmy ruszyć z miejsca.

- Co się dzieje? - spytałem.

- Słyszałeś jakieś „klak”?

- Tak, słyszałem jakieś „klak”. Co to mogło być?
- Coś pękło.
- Co pękło?
- Nie wiem. Coś.

Ken przekreślił kluczyk w stacyjce, wysiadł z samochodu, otworzył maskę i natychmiast wrócił.

- Masz latarkę?
- Mam. - Pogrzebałem w torbie i podałem mu ją. - Trzymaj.

Podczas gdy Ken dokonywał inspekcji silnika, czekałem w samochodzie przekonany, że zna się na rzeczy. Po kilku sekundach jego twarz pojawiła się w moim oknie.

- Wszystko wygląda normalnie.
- Normalnie? A czy ty znasz się na tym, żeby móc ocenić, co jest normalne, a co nie?

- Człowieku, od roku mam prawo jazdy.

- Od roku? Ja zdałem egzamin pięć lat temu i nie mam o mechanice zielonego pojęcia! - Wysiadłem z samochodu i zjrzałem pod maskę. Zlustrowałem snopem światła wnętrze, niepowodowany żadną konkretną intencją, ot, zakładałem, że to rutynowe postępowanie w takich wypadkach i może też wierząc ślepo, że jakiś znak, mechaniczny lub boski, wskaże mi uszkodzoną część. Nic takiego jednak nie nastąpiło.

- Gówno. - To była moja najtrafniejsza diagnoza. - Silnik działa?

- Przed chwilą działał, słyszałeś przecież. To ja go zgasilem. Co z Delseyem?

- Śpi jak aniołek. To był długi i ciężki dzień, zbyt dużo wrażeń jak na jego siły i wiek. I co z tym silnikiem?

Ken usiadł za kierownicą i odpalił, ja tymczasem zaglądałem do magicznej, żelaznej bryły pod maską. Z silnika dochodził czysty i miarowy szmer, jakby pojazd przed chwilą wyjechał z salonu.

- Silnik działa... - oznajmił Ken. - Biegi wchodzi... Podgazuję. - Odsunąłem się na bok. - Kiedy depczę pedał gazu, nie ma żadnego odzewu.

- Czujesz opór?
- Gdzie tam, stary, jest całkiem miękki.

- To musi być to. Urwało się coś, co łączy pedał gazu z silnikiem. Stąd ten „klak”.

- I co to może być, jakiś kabel?

- Tak myślę. Wrzuć na luz. Niech popatrzę... Tak, jest tu jakaś luźna, metalowa linka, która dochodzi do czegoś w rodzaju cięgna, chyba przepustnicy. Jest zerwana. - Nacisnąłem palcem cięgno i silnik zawył na wysokich obrotach. - U ciebie musi znajdować się drugi koniec przymocowany do pedału. Masz latarkę i sprawdź.

Ken pochylił się nad pedałami i przez chwilę dochodziły mnie stamtąd jego postękiwania, które zwieńczyła sentencja:

- Nic z tego, stary. Mój kawałek musiał się oderwać i pewnie go zgubiliśmy. A ten z twojej strony nie sięgnie?

- Skąd! Niezły numer, wiemy już, w czym problem, ale nie wiemy, jak go rozwiązać. - Usiadłem na ziemi przed samochodem w świetle reflektorów. Ken zgasił silnik i usiadł obok mnie, spoglądając na firmament.

- Piękna noc, co?

- Prześliczna - odparłem. -To miło z jej strony, skoro najprawdopodobniej spędzimy ją tutaj. Wątpię, czy o tej godzinie możemy liczyć na pomoc.

- Nie przejmuj się, stary. W Serenie zorientują się, że nie wróciliśmy. Poza tym dają głowę, że *rangers* zadzwonią do hotelu, aby się upewnić, że dotarliśmy szczęśliwie. Nie zapominaj, że wieziemy ni mniej, ni więcej, tylko attache finansowego francuskiej ambasady. Wyślą po nas ekipę poszukiwawczą.

- Ekipa poszukiwacza będzie nas wypatrywać na drodze głównej, a nie na tym beznadziejnym zadupiu.

- Fakt. Ale miło jest wiedzieć, że ktoś o nas myśli, nie? Jutro ktoś będzie tędy jechał. Przepękamy góra jedną noc w samochodzie.

- Aaa, chyba że tak, jeśli to tylko jedna noc, to czym tu się w ogóle przejmować - rzuciłem zgryźliwie i spojrzałem na mapę. - Keekorok musi być jakieś pięć kilometrów stąd, w tym kierunku. Ale przy puszcza, że szukać pomocy na piechotę to szaleństwo.

- Na piechotę? Na mnie nie licz. Tutaj są lwy, stary. W samochodzie jesteśmy bezpieczni. To tak, jakbyśmy byli na biwaku, tylko z nieco twardszym tropikiem nad głową. Wypadki ze zwierzętami



niemal zawsze są wynikiem głupoty, bo ktoś pakuje się tam, gdzie nie powinien. Zwierzęta są niewinne, robią tylko to, co muszą robić. Ale ja nie martwię się zwierzętami.

- A czym? Kłusownikami? Tutaj też?

- A coś ty myślał, oni są wszędzie. Ale nie myślałem o nich.

- A o kim?

- Cztery lata temu pewna młoda Brytyjka zaginęła niedaleko stąd, w okolicach przejścia Sand River, na styku Masai Mara i Tanzanii. Miała dwadzieścia osiem lat. Ponieważ policja nie kiwnęła palcem, ojciec dziewczyny zaczął szukać na własną rękę. I natknął się na poćwiartowane i zwęglone szczątki córki w pobliżu Sand River. Makabra. Nie uwierzysz, ale raport, jaki sporządziła na tę okoliczność policja głosił, że Julie została najpierw pożarta przez dzikie zwierzęta, a później spalona uderzeniem pioruna. Sprawa zakrawała na kpinę, gdyby nie była tak tragiczna. Oskarżono dwóch *rangers*, których ostatecznie uniewinniono dwa miesiące temu. Śledztwo było szczytem niedołęstwa i korupcji. Wydaje się, że rząd zrobił, co w jego mocy, aby ukrócić łeb sprawie, i wszystko wskazuje na to, że byli w nią jednak zamieszani *rangers*, bardzo możliwe, że przy cichym współudziale jakiejś grubszej ryby. Bardzo, bardzo brzydka historia. Co więcej, przypadek Julie nie jest odosobniony. Tak to wygląda, stary. Kenia przysparza wiele radości, ale i wiele cierpień. Zwykło się mówić, że najlepsze rzeczy w życiu obarczone są ryzykiem, nie? Dobre jedzenie tuczy, dobre wino odurza, a piękne kobiety... kobiety sprawiają, że faceci tracą dla nich głowę, a ja jestem wybitnie mało odporny w tych sprawach. Kenia taka właśnie jest, równie piękna, co niebezpieczna. Jak mogłeś przekonać się na własne oczy, mamy najpiękniejsze niebo na świecie, ale żeby je zobaczyć, trzeba przystanąć. W Kenii nie możesz iść i jednocześnie patrzeć w niebo, bo zanim zrobisz kolejny krok, musisz wiedzieć, gdzie stawiasz stopę.

- Do licha. Nieszczęsna dziewczyna. Nie ma co, stary, nie mogłeś wybrać lepszego momentu, żeby opowiedzieć mi tę historię. Całe szczęście, że Delsey tego nie słyszał. Z tego, co mówisz, wynika, że jeśli zobaczymy zbliżające się światła, zamiast skakać z radości do góry, powinniśmy drzeć, czy tak?

- Powinniśmy spróbować naprawić tę linkę. Tylko tak, na wszelki wypadek.

Zabraliśmy się do roboty i stwierdziwszy, że nie można połączyć na powrót przepustnicy z pedałem, wpadliśmy na pomysł ustawienia jej w pozycji, w której ciąg silnika byłby na tyle silny, aby pozwolił nam jechać ze stałą prędkością po płaskim terenie, jak również pokonywać wzniesienia. Przypomniały mi się wówczas historyjki, które Sam, znajomy Kena, opowiadał o zaradności pilotów w ekstremalnych warunkach, i pomyślałem, że takiej właśnie zaradności nam teraz trzeba. Chwyciłem latarkę i przeszukałem trawę wokół samochodu. Bez trudu natrafiłem na kawałki kości jakiegoś zwierzęcia. Wybrałem małą kostkę, wróciłem do samochodu, pogrzebałem w torbie i wyciągnąłem lornetkę zakupioną w Paryżu. Ken obserwował mnie z rosnącą uwagą, a kiedy zobaczył w moich rękach fikuśną lornetkę, nie wytrzymał.

- Do diabła, stary! Przytargałeś ze sobą teatralną lornetkę.

- Otóż to.

Nożem odciąłem sznurek lornetki, po czym wraz z nim i kością zanurkowałem ponownie w czeluściach silnika.

- Wykonamy następującą operację. Otworzymy nieco przepustnicę, za pomocą tego oto sznurka przywiążemy jej ścięgno do jakiegoś sztywnego dynksu i zablokujemy kością. Powinno działać.

Otaczająca nas sawanna emitowała złowrogie odgłosy, które w nocy brzmiały potwornie, jakby mrok wymiatał z równiny sympatyczne, słoneczne zwierzątka i zapełniał ją tajemniczymi, monstrualnymi mutantami zrodzonymi z ciemności. Prawdę powiedziawszy, w owym czasie nie miałem jeszcze pojęcia o istnieniu gatunku zwanego *aardvark* czy *Orycteropus*, znanego również jako mrównik albo prosię ziemne, stworzenia, którego powierzchowność w stu procentach usprawiedliwia nazwę. Księżyc lśnił na czystym niebie, lecz niewyraźny obraz ruchomych form w oddali wprowadzał do naszego samopoczucia element niepokoju. Rzykując wyczerpanie się akumulatora, nie gasiliśmy światła, bo zdaniem Kena światło płoszyło zwierzęta.

Po kilku próbach osiągnęliśmy cel. Z półotwartą przepustnicą i drażkiem zmiany biegów w martwym punkcie silnik ryczał

niemożliwie, jednak po wrzuceniu pierwszego biegu hałas znacznie łagodniał i auto toczyło się lekko po trawiastych koleinach. Zadawoleni i dumni z naszych technik przetrwania przybiliśmy piątki i wskoczyliśmy ochoczo do wozu, gotowi przebyć dystans, jaki dzielił nas od Mara Serena *adagio, ma non troppo*. Szczęściem w skład mojego ekwipunku safari wchodził kompas i wiedzieliśmy, że prując na południe, wcześniej czy później nadziejemy się na główną szosę i tam zostawimy za sobą ów niesławny błąd, który w przyszłości miał być znany pod nazwą „skrót Kena” i stać się synonimem każdej sytuacji krańcowej i autodestrukcyjnej, w którą dany osobnik wdeptuje na własne życzenie.

Zaledwie ujechaliśmy tym sposobem pięćdziesiąt metrów z Kenem władającym pewną ręką kołem sterowym i trzymającym podszewę w bezpośredniej bliskości hamulca, kiedy nasze reflektory wydobyły z mroku przysadziste krzaki z prawej strony ścieżki. Pod krzewem zalegały dwie olbrzymie, szarawe bryły, które szybko wyjawily swoją tożsamość wobec bezpardonowego snopa światła. Były to dwie monumentalne, dorosłe lwice odpoczywające po trudach dnia i zbierające siły do nocnego polowania. Z unieruchomioną przepustnicą nie mogliśmy nawet zatrzymać pojazdu, aby się im spokojnie przyjrzeć. Kiedy je mijaliśmy, nie drgnął im żaden mięsień. Przez cały ten czas jednak, gdy wesolutcy i ufni grzebaliśmy w silniku w rześkim, nocnym powietrzu, wystarczyłoby, że przemieściłyby się pięćdziesiąt metrów, a rozszarpałyby nas na strzępy, nim zdolałybyśmy się połapać, co też to nas na strzępy rozszarpuje. Wiedza, jaką obaj dysponowaliśmy, pozwoliła nam zgodzić się z Kenem co do jednego: dla lwicy, nawet w ciemności, istota ludzka znajdująca się w odległości pięćdziesięciu metrów jest porcją tak konkretną, jak słoń w lodówce. Z powyższego wyciągnęliśmy wniosek, że tamtej nocy nie rozszarpały nas na strzępy, bo miały apetyt na coś innego. Albo dopiero go sobie ostrzyły.

Kiedy nastąpił wreszcie kres nieskończonych traw heblujących podwozie naszej fortecy i pozostawiliśmy za sobą tajemnicze armie fosforyzujących w ciemności oczu, wydostaliśmy się na drogę główną, zaledwie kilka kilometrów za Keekorok Lodge. Skrót Kena kosztował nas trzy godziny, awarię i linię w bingo z rozszarpaniem żywcem

jako nagrodą główną, biorąc zaś pod uwagę szybkość, z jaką się poruszaliśmy, czekały nas jeszcze dwie bite godziny drogi do wygodnego fotela. Ale byliśmy o niebo spokojniejsi. Nie mogę stwierdzić jednoznacznie, czy to nasze wiwaty i okrzyki hura zdołały powrócić Delseya do świata żywych z jego onirycznych katakumb, faktem jest, że wystraszyliśmy się jak diabli, słysząc zniecka jego głos.

- To nie był on.

- Słucham? - Ustawiłem lusterko wsteczne tak, by widzieć barona. Rzeczywiście, przebudził się i siedział wyprostowany sztywno, jakby połknął kij.

- To nie był on. Nie wiem, kim był ten Shark, ale to nie był Hamish.

- Na jakiej podstawie pan tak twierdzi? - spytałem zafrapowany.

- Ślady w rzece. Ślady w rzece! Curro, przecież ty wiesz, jakiej klasy człowiekiem był twój dziadek. Jeśli czymś się wyróżniał, to tym właśnie, że życie swoje poświęcił poszukiwaniu śladów w rzece. I odciskaniu ich. Nie miał ambicji przejść do potomności ani też nie stawiał sobie nigdy za cel wybawić ludzkość z jej nędzy materialnej czy duchowej. Nigdy nie miał zapędów mesjanistycznych. Po prostu usiłował uczynić ze swojej egzystencji najlepsze na ziemi miejsce do życia, w którym mógłby czuć się dobrze zarówno on, jak i ci, którzy mieli szczęście go poznać. On nie był konformistą, lecz marzycielem. Pragnął robić rzeczy, dla których warto byłoby żyć, rzeczy wielkie, rzeczy niezwykle. To był cel jego życia. Fruwać tam i z powrotem, wożąc całymi latami pocztę, skończyć z opuszczonymi rękami w pożałowania godnym odosobnieniu tej ponurej nory, czekając bezwolnie, aż mojra Atropos zakołaczę do jego drzwi kościstymi palcami, wywijając znieawidzonymi nożycami... Nie, to nie był Hamish. Dokonał żywota ze zrujnowaną wątrobą? Owszem, Hamish lubił skosztować kieliszek alkoholu w dobrej kompanii, ale w żadnym razie nie był pijakiem. Syfilityk? Nie da się ukryć, że uwielbiał damy, ale żeby był rozpustnikiem? Pustelnikiem zadającym się wyłącznie z ostatniego sortu ładacznkami i ponurym starcem? Nie, na rany Chrystusa! Nie, nie. To nie był Hamish. Musimy go szukać dalej.

Pragnąłbym raczej, aby Delsey sięgnął po jakiś logiczny argument nie do zbitcia, lecz on nie był człowiekiem racjonalnym, ale emocjonalnym, a powyższe stwierdzenie nie było w gruncie rzeczy niczym innym jak przeczuciem o podłożu emocjonalnym.

- Delsey, przeżyte lata i samotność potrafią zniszczyć każdy charakter, choćby nie wiem jak twardy. Chciałbym myśleć jak pan, ale tropy zawiodły nas do Narok. Nie dysponujemy innymi śladami.

- Musimy je zatem znaleźć! Nie możemy się poddać! Nie teraz!

W jednej zaledwie chwili dwie refleksje przecięły mój umysł niczym błyskawice. Pierwsza, że jeśli uwielbienie Delseya dla Hamisha, jego wiara w przyjaciela jest większa niż moja, być może powinienem zadać sobie pytanie, jaki jest prawdziwy cel moich poszukiwań, odnalezienie dziadka czy napisanie świetnego reportażu. Druga, że jeśli siedemdziesięciodziewięcioletni staruszek musi zarażać mnie entuzjazmem i duchem buntu, to najwyższy czas, żeby skorzystać z pomocy specjalisty. Moje rozważania trwały dokładnie tyle, ile te dwie błyskawice.

- Ma pan rację, Delsey. Jutro wracamy do Nairobi i zabieramy się do roboty.

Delsey nie odpowiedział. Zobaczyłem w lusterku, jak jego głowa znika, opadając z powrotem na siedzenie. Cieszyłem się, że zaoszczędzi mi traumatycznego doświadczenia sprzed parunastu minut. Kiedy obaj z Kenem uśmiechaliśmy się z ulgą, *deprofundis* dało się znowu słyszeć głos barona.

- Byłbym zapomniiał, co to, już noc? Czy w rezerwacie nie obowiązują zakaz poruszania się po zmroku?

Horror

Była jedenasta w nocy, gdy pięliśmy się stromym podjazdem do Mara Serena Lodge. Nasze triumfalne entree wywołało w recepcji wielkie poruszenie wśród dyżurującego personelu. Odwołano przygotowania do wyprawy poszukiwawczej i zawiadomiono drogą radiową *rangers*, że dotarliśmy na miejsce. Zwaliliśmy winę na awarię i opowiedzieliśmy z detalami o naszej błyskotliwej naprawie, przemilczając oględnie niewygodne fragmenty wycieczki jak skrót Kena, dyplomatyczną farsę czy ukradkową inwigilację naszych poczyńań przez dwie lwice. Dyrektor ośrodka palnął nam zrozumiałą skądinąd, uświadamiającą mowę o nocnych niebezpieczeństwach sawanny - zgodzaliśmy się z nim w całej rozciągłości - i w zamian, co było niezwykle uprzejme z jego strony, otworzył dla nas podwoje restauracji, abyśmy przed spoczynkiem mogli się posilić. Delsey się wymówił. Był tak zmęczony, że wołał iść prosto do łóżka. Jeśli o mnie idzie, to w moim osobistym bilansie biochemicznym ekscytanty dominowały nad fatygantami, to znaczy byłem zanadto podekscytowany perspektywą, że przecucie Delseya może okazać się niezawodne, że Boston Shark nie ma nic wspólnego z Hamishem i że mój dziadek żyje w jakimś nieznanym zakątku, aby sobie uświadomić, że poniżej głowy powłóczę sfatygowanym ciałem. Ubłagałem Kena, aby przyniósł z pokoju poczynione przez jego matkę notatki z rozmów telefonicznych z osobami, które odpowiedziały na nasze ogłoszenie w gazecie. Choć nie bez oporów, pocziwiec Ken się zgodził.

Podczas gdy niezwykle życzliwi kelnerzy poświęcali prywatny czas zarezerwowany na zabawy ze swoimi dziećmi i, co gorsza, na zabawy ze swoimi małżonkami, aby nakarmić dwóch tępych i lekkomyślnych głodomorów, oddaliśmy się analizie telefonicznej informacji.

- W sumie do dnia wyjazdu z Nairobi szefowa naszego wywiadu odebrała trzynaście telefonów. Nieźle, co? - Zachrypnięty głos Kena zdradzał zmęczenie.

- Dobra liczba. Jedź dalej.

- Zaczniemy tak, jak podczas ceremonii przyznawania nagród wszelakich, od najmniej interesujących, a skończymy na top hits. Okay?

- Okay, Twokay.

- Na szarym końcu listy mamy gościa, który zadzwonił, przysięgając, że spełnia co do joty wszystkie warunki wymagane w ogłoszeniu. Zapewnienie to spowodowało konsternację służb wywiadowczych, czyli mamy, jednak po chwili wyjaśniło się, że koleś myślał, że chodzi o casting do filmu.

- Dobrze.

- Na miejscach dwanaście, jedenaście i dziesięć mamy trzech facetów, którzy odpowiadali charakterystyce twojego dziadka z wyjątkiem nazwiska i pochodzili z trzech różnych miejsc. Czcigodni panowie Jeremy Cole, Ron MacIntyre i Alfred Hochleitner, czyli księgowy z Mombasy, inżynier z Kisumu i przedsiębiorca z Nakuru. We wszystkich trzech wypadkach dzwoniący gwarantował honorem, że doskonale zna poszukiwaną osobę.

- Jakie jest ale?

- Wszyscy trzej zmarli przed 1978.

- Aha. Co dalej?

- Na miejscach od... momencik... od dziewiątego do piątego roi się od nazbyt mglistych odniesień. Ktoś ponoć widział niezidentyfikowane obiekty ludzkie odpowiadające rysopisowi w różnych miejscach kraju, lecz albo było to dziesiątki lat temu i dzwoniący nie potrafili powiedzieć nic konkretnego, albo chodziło o kogoś, kto niedawno otarł się na ulicy o kogoś i nawet tortury zastosowane przez moją matkę nie zdołały wydrzeć z rozmówcy trzymających

się kupy zeznań. Ludzie bogaci w dobrą wolę i ubodzy w informację. Zbyt mętna woda, żeby pić z tego źródła. Podać ci szczegóły?

- Nie, zostawimy to w rezerwie. Jedźmy dalej.

- Czwarte miejsce zajmuje osoba, która uprzejmie doniosła o istnieniu niejakiego Howarda Sutherlanda zamieszkałego w Nairobi. Nie jest to oczywiście twój dziadek, to młody facet, ale mógłby mieć...

- Ha, ha, mój przyjaciel Howard! Już z nim rozmawiałem. Odnalazłem go w książce telefonicznej, ale powiedział, że pochodzi ze Stanów Zjednoczonych i że nie ma szkockich krewnych.

- W porządku. Przed nami numer trzy.

- Strzelaj.

- Ten ci się nie spodoba. Osobnik, jak powiedziałby nasz przyjaciel Delsey, kanonicznie reprezentatywny, w wieku analogicznym do mężczyzny przedstawionym na portrecie pamięciowym. John Hugues, Anglik z Northumberland, zamieszkały w Nyahururu, pod Nyeri. Dyrektor szkoły, miłośnik sztuki i muzyki. Zapalony sportowiec.

- Brzmi zachęcająco. Co jest z nim nie tak?

- Zmarł przed rokiem.

- Och, nie, kolejny Boston Shark! Wielkie dzięki. Jeden mi wystarczy. Na razie bądźmy optymistami i skupmy się na żywych. Ani mi się śni uczestniczyć w jeszcze jednej scenie, jak ta dzisiejsza.

- Pominę zatem wicemistrza różniącego się od swojego poprzednika tylko szkockim pochodzeniem. Ten też wacha kwiatki od spodu.

- *And the Oscar goes to...*

- Złoty medal zdobywa obiecująca, choć tymczasowo mętna opcja. Ten ci się spodoba, braciszku. Bwana Fidla.

- Słucham?

- Bwana Fidla. Co znaczy „Pan Skrzypce”.

Podskoczyłem na krześle i chwyciłem Kena za ramię.

- Mów wszystko, co wiesz!

- Tak, kłopot w tym, że nie ma tego zbyt wiele. Ugandyjski sprzedawca mydła, Julius Mutebi, przejeżdżał przez Nairobi w drodze do Voi, przeczytał gazetę na stacji i postanowił zadzwonić. Wyznał,

że przed nie-wiadomo-ilu laty był nie-wiadomo-gdzie ze swoją walizką wyładowaną pachnącym mydłem i uczestniczył w koncercie skrzypcowym, który dawał pewien *mzungu* w małej górskiej chacie. Po zakończeniu koncertu zamienił kilka słów ze skrzypkiem, którego nazywano Bwana Fidla. Był Szkotem, uciekł przed wielu laty z Europy z powodu jakichś rodzinnych historii i był żonaty z kenijską kobietą. Wedle słów przyjaciela Juliusa, Bwana Fidla pasuje do opisu jak ułał. Ale Julius podróżuje niestrudzenie po całej Afryce Wschodniej i nie pamięta, gdzie ani kiedy to było.

- Jeśli góry, to może w rejonie Nyeri. Myślisz, że mogło to być w górach Aberdare?

- Jak najbardziej. I nie. W Kenii góry to cały płaskowyż. Cała centralna część kraju.

- Mamy namiary tego Juliusa?

- Tak, mam tutaj jego telefon w Kampali. Ale zastrzegł, że trudno go złapać w domu. Poza tym wątpię, żeby udało ci się wydusić z niego coś, czego nie wydusiłaby moja matka. Rozmawiała z nim prawie godzinę. Zdążyli się zaprzyjaźnić i mama zaopatruje się już w mydło, którym gość handluje. Powiedziała mu, zdaje się, że jest zameżna, czy może na odwrót, nie mam pojęcia.

- Bwana Fidla... Dzięki, Ken, stary. Wielkie dzięki. Jesteś... - Złapałem go za ramiona. - Jesteś...

- Jestem hetero.

- Nieważne. Nie jestem zazdrosny - strzeliłem dowcipem.

- A właśnie, stary - zmarszczył nos. - Delsey jest...?

- Proszę wybaczyć, panie Mencia. - W samą porę pojawił się recepcjonista. - Przez całe to zamieszanie zapomniałem o czymś. Tę kopertę zostawił dla pana pan... - przeczytał nazwisko - Trevor Flamme. Czekał na panów w barze, ale zrobiło się późno i musiał pojechać.

Trevor! Całkiem o nim zapomnieliśmy. Dotrzymał jednak obietnicy i przywiózł mi pocztę z Norfolku. Otworzyłem kopertę w wielkim napięciu.

- List od dziewczyny? - zaciekał się Ken.

Z koperty wypadł mały arkusik papieru i druga, mniejsza koperta. Na arkusiku Trevor skreślił kilka słów. Żałował, że nie mogliśmy

się spotkać i wyrażał nadzieję, że jeszcze nadarzy się okazja. Drugą kopertę zaadresowano odręcznym pismem na moje nazwisko, była oklejona brytyjskimi znaczkami. Odwróciłem kopertę, żeby zobaczyć, kto jest nadawcą. Dana Macomber z Surrey.

- Dana Macomber!

-Kto?

- Dana Macomber! Córka reportera twojej gazety, tego od... kielbas! Obiecała, że wyśle mi zdjęcie... całkiem o tym zapomniałem!

Rozdarłem kopertę. W środku znajdowała się kartka papieru złożona we dwoje, w którą włożone było zdjęcie. W notce sporządzonej dużymi i okrągłymi literami nadawczyni informowała, że wysyła obiecaną kopię zdjęcia, że jej ojciec to ten drugi od lewej i że ma nadzieję, że fotografia okaże się pomocna. Wbiłem w fotografię zachłanny wzrok. Chociaż była to nowiutka kopia, zdradzała fatalny stan oryginału. Na całej powierzchni przecinały ją białe, nieregularne rysy, a na środku krzyżowały się dwie prostopadłe bruzdy, jakby w swoim czasie złożona została we czworo. Był to grupowy portret pięciu mężczyzn ubranych jak na safari, pozujących na stepie z kurtyną leśnej gęstwiny w tle. Drugi od lewej, Winslow Macomber, stojący z założonymi rękami i wysuniętą nogą, był osobnikiem o wysokim czole i szerokich biodrach. Tuż obok niego, pierwszy z lewej, łysy, szczupły mężczyzna z brodą palił fajkę, trzymając ręce w kieszeniach. Po drugiej stronie kolejni dwaj mężczyźni siedzieli na składanych, polowych krzesłach, a za nimi stała piąta, pochylona do przodu postać z rękami spoczywającymi na oparciach krzesła swoich towarzyszy. Ów piąty mężczyzna... ów piąty mężczyzna...

Ogarnięty euforią przetrząsałem torbę w poszukiwaniu lornetki i latarki.

- Ken, czy mógłbyś mi przyświecić latarką tutaj, na zdjęcie?

Kiedy Ken oświetlał portret, ująłem lornetkę wspan, przyłożyłem oko do soczewki i przysunąłem zdjęcie blisko okularu. W ten sposób uzyskałem wystarczające powiększenie, aby przyjrzeć się tej twarzy z maksymalną wnikliwością. To był Hamish. Bez brody.

- Nie mogę uwierzyć! To on! To Hamish! To mój dziadek!

-Co?

- Córka reportera Macombera wysłała mi zdjęcie swego ojca sfotografowanego w towarzystwie innych dziennikarzy z powstania Mau-Mau! To Hamish! To on!

- Nie do wiary, stary, wiesz! Ale... co to nam...?

- Przepraszam cię na sekundę!

Nie mogłem się oprzeć potężnemu pragnieniu natychmiastowego wtajemniczenia w to odkrycie Delseya. Pognałem ścieżką pod drzwi jego pokoju i zastukałem delikatnie, choć stanowczo, wrzeszcząc grzmiącym szeptem.

- Delsey! Delsey!

Drzwi uchyliły się po pół minucie i ukazał się w nich baron z niemożliwie zaspanymi oczami, zawinięty w jedwabny szlafrok.

- Co...? Co się stało? Co...?

- To ja! Niechże pan spojrzy, Delsey, niech pan tylko spojrzy! To Hamish!

Zapalił światło, wziął do rąk fotografię i popatrzył na nią z bliska. Mimo wieku jego wzrok zdawał się świetnie sobie radzić bez wspomaganie.

- Chryste Panie! To on! Ale... dziecko, z jakich tajemnych otchłani wydostałeś to zdjęcie?

- Reporter „The Standard”, korespondent w czasie powstania Mau-Mau! Przysłała mi je jego córka, a Trevor przywiózł z Nairobi!

- Że... co? Dobrze, nie gorączkuj się, jutro mi wyjaśnisz. Na dusze pokutujące w czyścisku. Nie mogę w to uwierzyć!

- Delsey, jutro rozwiejemy nasze wątpliwości co do Bostona Sharka!

Wróciłem biegiem do restauracji. Ken wstał już od stołu, aby uwolnić od naszej tyranii kelnerów i również dlatego, że - jak podejrzewałem - padał z nóg. Ja na fali takiej euforii nie zmrużyłbym oka.

- Czy *bwana* Curro coś jeszcze rozkaże, czy mogę już uderzyć w kime?

- Ken, stary, uda się nam! Jestem pewny. Otwórz pokój i zostaw mi klucz. Muszę przeczytać coś, co próbuję zmęczyć od wielu dni.

Ukryty przed nocnym chłodem pod swetrem i kocem, przycupnąłem na tarasie *lodge* w absolutnej samotności, aby oddać się lekturze tekstów Hamisha poświęconych Mau-Mau. Z recepcji przyniesiono mi lampę naftową, chociaż o nią nie prosiłem. Nim pogrążyłem się w dokumencie, zapatrzyłem się w daleki mrok i przewiercając spojrzeniem ciemność, usiłowałem zgłębić tajemnicę istoty Kenii, wywołującej tyle namiętności, zgorzeli miłości, puchlin rozkoszy, pieśczęt bólu i uścisków śmierci. Zakochani, kłusownicy, politycy, nimfomanki, dzikie zwierzęta, żołnierze, zabójcy, stada, farmerzy, prostytutki, tubylcy i dzieci żebrzące o cukierki. Byli tam wszyscy, odgrywając za czarną zasłoną kenijskiej nocy swoje operetki, dramaty i tragedie. I bezwzględnie należało spojrzeć na nich choć raz z pustego tarasu rozpościerającego się na ugwieżdżoną nieskończoność, w towarzystwie zatopionego w nafcie knota, jedyne źródła światła strzegącego przed wessaniem przez ten bezgłośny cyklon.

Lektura wojennych relacji Hamisha była niezwykle pouczającym zajęciem z punktu widzenia dziennikarsko-historycznego. Akcje pacyfikacyjne skierowane przeciwko grupom buntowników ukrytych w górach, bombardowania parku Aberdare dokonywane przez lotnictwo Royal Air Force i doprowadzające do szaleństwa słonie, zaprzysiężenia Mau-Mau, nędza panująca w wioskach-więzieniach, obozy zatrzymań, i okrucieństwa, raczej sugerowane w tekście niż szczegółowo opisane - wszystko to w czasach, kiedy po obu stronach nastąpił całkowity zanik zdrowego rozsądku i miłosierdzia, gdzie wróg nie był niczym innym, jak uporządkowanym konglomeratem trzewi, którego strukturę należało za wszelką cenę zdezorganizować, aby ustało jego działanie. Odczułem ulgę, stwierdziwszy, iż Hamish nie ukrywał prawdy o brutalnych represjach. Napomykał bowiem - w takim zakresie wolności słowa, jaki tolerowała linia wydawnicza jego gazety - o nadużyciach i nieprawościach popełnianych przez siły lojalistów i kolonialne. Zdumiewać może tylko skwapliwość, z jaką świat pośpieszył wybrać własną wersję wydarzeń, niczym w owym iluzorycznym teatryku cudów Cervantesa, które wszyscy przysięgali widzieć na własne oczy, aby nikt nie

zakwestionował czystości ich krwi*. Dziennikarstwo jest bardzo proste, oświadczył pewnego razu mój mądry szef Guan. Składa się z dwóch elementów: gazety i czytelnika. Jeśli czytelnik nie chce czytać, nie zmusisz go, choćbyś pękł. Nie na darmo był numerem jeden na studiach.

Teksty te na niewiele mi się zdały w mobilizujących mnie i napętlających otuchą konkretnych dociekaniach. Były to czyste reportaże napisane w trzeciej osobie, informacyjna ortodoksja. Odarte z refleksji, opinii czy osobistego piętna. Pomagały mi poznać Hamisha dziennikarza, uczciwego i bezstronnego. Ale nie Hamisha człowieka.

Był wyjątek od powyższego i to wyjątek niezwykle doniosły. W jednym z artykułów natrafiłem na trzy przekreślone w całości strony. Cały obszerny rękopis upstrzony był skreśleniami maszynowymi i odręcznymi poprawkami. Ten wybór tekstów sprawiał wrażenie troskliwie wyselekcjonowanego, jakby Hamish zadał sobie trud zgromadzenia dla mnie owej antologii w określonej intencji, transcendentnej czy banalnej, lecz w jakiejś intencji, która dla mnie była zagadką. Poszczególne teksty nie zostały uporządkowane chronologicznie, ale nie był to zbiór luźnych kartek bez ładu i składu czy niedokończonych fragmentów, lecz skrupulatny dziennikarski przegląd wielkiej części współczesnej historii Kenii. Ze skreśleń i poprawek wnosilem, że czytam wersje przeznaczone do druku, które zapewne posłużyły Hamishowi do przepisania artykułów na czysto i oddania ich później do publikacji, niewykluczone, że za pośrednictwem redakcji „East African Standard”. Jednakże w żadnym innym wypadku, z wyjątkiem tego jednego artykułu, trzy kompletne strony nie zostały odrzucone w fazie redakcji. Zaintrygowało mnie to i przeczytałem uważnie cały tekst.

Była to długa kronika rzezi dokonanych w Lari. Wraz z zapadnięciem zmroku 26 marca 1953 roku na małej społeczności Lari w rezerwacie Kikuju na wyżynie dokonano jednej z najokrutniejszych zbrodni tamtej wojny, mordu, który w rankingu barbarzyństwa

„El retablo de las maravillas” - intermedium Cervantesa opisujące w formie farsy, jak parze naciągaczy udaje się nabijać kabzę, prezentując teatryki „cudów”, które rzekomo mogą ujrzeć tylko osoby szlachetnie urodzone (przyp. tłum.).

nie miał sobie równych. Wywabiwszy z osady lojalistyczną Home Guard, setki bojowników Mau-Mau zaatakowały gospodarstwa najbardziej prominentnych Kikuju lojalnych wobec administracji brytyjskiej, masakrując ich rodziny. Zważywszy, iż wielu mężczyzn z tej miejscowości służyło w Home Guard i że Kikuju praktykują poligamię, ofiarami były przede wszystkim kobiety i dzieci. Partyzanci dokonali masakry, siekąc na lewo i prawo maczetami, zwalili żywe i martwe, broczące krwią ludzkie kadłuby w chałupach, opasali je dookoła powrozami, aby ofiary nie mogły się wydostać przez drzwi, podpalili słomiane dachy i ćwiartowali wściekle ciała tych, którzy jakimś cudem usiłowali wypełznąć przez okna. Według relacji Hamisha wśród poćwiartowanych i wypatroszonych było wiele dzieci. Jedna z ocalałych matek opowiadała, jak na jej oczach roznie-siono na maczetach jej dzieci i jak po ścięciu głowy jednemu z nich mordercy zlizywali z klingi krew.

Kiedy oddział Home Guard wrócił do osady, eksterminacja dobiegła już końca, zaczynała się natomiast długa, chaotyczna i nade wszystko brutalna noc. Ujrzawszy krwawe zniwo, połączone siły Home Guard, policji i białych osadników z Kenya Police Reserve zorganizowały obławę na napastników, która zmieniła się w dyszący ślepą zemstą pościg, w obłąkańczy odwet oko za oko, ząb za ząb, żądny krwi i odznaczający się nie mniejszym okrucieństwem niż to, którym hojnie szafowali ich wrogowie. Terrorystów osaczono w lesie, lecz przy okazji zrównano z ziemią wiele domów należących do rodzin podejrzanych o udzielanie wsparcia Mau-Mau i żadne napotkane tam życie nie zostało uszanowane. Hamish dotarł do Lari następnego dnia po południu. Strzelcy z Lancashire rozpoczęli już uprzątanie trupów, a mimo to Hamish dostąpił straszliwego przy-wileju ujżenia na własne oczy skutków niczym niezamaskowanego barbarzyństwa. W pierwszych chwilach informacje o tym, co się wydarzyło, były nadzwyczaj niejasne. Hamish przemierzał dotkniętą horrorem okolicę, wciąż jeszcze spowitą dymem dobywającym się ze zgliszczy i z narażeniem życia zasięgał języka u każdej napotkanej na drodze grupki mężczyzn, próbując złożyć poszarpane fragmenty i zrekonstruować przebieg tragedii. Strzelcy twierdzili, że ciała ofiar partyzantki Mau-Mau zniesiono już do kostnicy, a jednak

Hamish co rusz napotykał zwłoki całych rodzin. Przekazał nawet swoje spostrzeżenia policji, która puściła je mimo uszu. Doszedł wówczas do wniosku, że miał przed oczyma opuszczone trupy ludzi zamordowanych w akcji odwetowej, co tłumaczyłoby, dlaczego nie znajdowały się wewnątrz *borna* otaczających zagrody, lecz w lasach, na poboczach drogi czy we wnętrzach najbiedniejszych chat.

Owe trzy usunięte strony wkomponowane w narrację o tych straszliwych zdarzeniach relacjonowały, co następuje:

Druga chata nie spłonęła doszczętnie, być może dlatego, że kryta była dachem z falistej blachy miast słomy. Wcisnąłem głowę do środka przez jakiś otwór i uderzył mnie silny swąd spalonego mięsa i krwi. Cała rodzina, jak przypuszczałem, leżała pokodem, spiętrzone bezładnie jedno na drugim martwe ciała. Nagle, gdy odrywałem już wzrok od tego potwornego widoku, wydało mi się, że jedno z nich drgnęło. Było to ciało grubej kobiety. Wstrząśnięty wsunąłem się machinalnie do chaty i wówczas odkryłem, że było to niemożliwe. Leżała zwalona twarzą w dół jak pień drzewa z dziurą w plecach wyrąbaną na wylot uderzeniami *panga*. Chciałem uciekać z tego koszmarnego miejsca, gdy znów odniosłem wrażenie, że się poruszała. Zbliżyłem się i zaczekałem, wstrzymując oddech, i ponownie ujrzałem lekkie drgnięcie. Coś poruszało ją od spodu. Chwyliłem trupa kobiety za ramiona i odciągnąłem na bok. Obraz, jaki ukazał się wówczas moim oczom, będzie mi towarzyszyć do końca moich dni. Spod martwej kobiety wyłoniła się mała istotka, niespełna roczny niemowlak, nagi, całkowicie unurzany we krwi, lecz jeszcze żywy. Trzęsąc się cały, nachyliłem się i wziąłem go na ręce. Przetarłem dłonią twarzyczkę i ciało z lepkiej posoki. To była dziewczynka i na pierwszy rzut oka nie wydawała się ranna. Gdy trzymałem ją w ramionach, wodziła dziko oczyma z lewa na prawo, nie patrząc na mnie, a jej nóżkami i rączkami szarpały niekontrolowane, konwulsyjne wstrząsy, jakby była maleńkim automatem. Trwało to kilka minut. Wypadłem z nią na zewnątrz tego piekła i przycisnąłem do pierśsi. Naraz spojrziała na mnie w skupieniu i, jakby ciepło drugiego

Ogrodzenie z kolczastych zarośli, którym otacza się osady.

ciała obudziło w niej życie, wyrwało z otępienia, w jakie wtoczyła ją niepojęta rzeczywistość, zanosła się gwałtownym, rozdzierającym, ochrypłym płaczem wyszarpującym z jej małych płuc powietrze, którego nabierała na nowo spazmatycznymi haustami przed kolejną falą lamentu i płakała, płakała, jakby wszystek ten płacz zmilczała w sobie przez całą poprzednią noc krwi i ognia. Płakała rozpaczliwie, nieutulenie. Była głodna, spragniona, senna, dygotała z zimna. Dopadły ją wszystkie fundamentalne nędze człowieka i brakowało jej wszystkiego: rodziny, matki, dachu na głowę, odrobiny czułości. Była ludzką istotą, która przyszła naga i bezbronna na okrutny świat, przyszła po raz drugi na świat, który oszalał.

Nie wiedziałem, co z nią zrobić. Byłem sam. Wszedłem do swojej furgonetki, okryłem ją kocem i położyłem na siedzeniu obok. Nie przestawała płakać. Przypomniałem sobie, że mam jakieś owoce: banany, mango, jednego ananasa. Nie przychodziło mi do głowy nic lepszego, jak obrać banana, pokroić na drobne kawałki mango i ananasa, pogryźć wszystko razem na papkę i nakarmić nią dziecko tak, jak swoje pisklęta karmią ptaki. Poskutkowało. Uruchomiłem silnik furgonetki. Nie wiedziałem, dokąd z nią jechać, wiedziałem jednak, że muszę ją zabrać daleko od tego miejsca.

Następny akapit nie był przekreślony:

Postanowiłem pojechać na posterunek policji w Uplands. Słyszałem, że ocalali z masakry tam właśnie się zbierają. Kiedy dojechałem na miejsce, ujrzałem dantejskie sceny. Komisariat wypełniony był krwawiącymi, płaczącymi, krzyczącymi, obejmującymi się ludźmi, z drugiej strony zaś, za budynkiem, niczym procesja pokutujących dusz, ci, którzy nie odnieśli obrażeń i opatrzeni już ranni gromadzili się w prowizorycznym obozie. W pewnej odległości od posterunku, w szczerym polu wzniesiono ogrodzenie z drewnianych pali i kolczastego drutu. Do środka, jak bydło, zgoniono wielu mężczyzn. Nie mieli dachu, pod którym mogliby się skryć, ani miejsca do spania. Spytałem, co to za obóz i kim są ci mężczyźni. Otrzymałem wyjaśnienie, że zamyka się tam podejrzanych o przynależność do Mau-Mau.

I znów przekreślony tekst:

Było to miejsce straszliwe i niewyobrażalne dla osieroczonego niemowlęcia. Wróciłem do furgonetki i udałem się na posterunek policji w Escarpment oddalony o sześć kilometrów. Tam również przewijało się sporo kobiet i mężczyzn, ale miejsce wydało mi się o wiele spokojniejsze. W komisariacie zagadnąłem pierwszego napotkanego policjanta, który wskazał mi jakiś pokój. W środku biały mężczyzna siedzący za biurkiem przeglądał bardzo nerwowo stertę papierów. Przedstawiłem się i powiedziałem, że szukam bezpiecznego miejsca dla tej dziewczynki ocalałej z masakry. „Wszyscy ocalali mają się kierować do Uplands. Tutaj nie możemy się nią zająć”, rzucił szorstko, nie patrząc na mnie. Wyjaśniłem mu, że właśnie stamtąd jadę i że w Uplands panuje chaos i że niemowlę to umrze niechybnie z braku opieki, że wydobyłem je spod góry trupów jej bliskich i że nie ma nikogo na świecie. Podniósł wzrok znad swoich papierów i spojrzał na dziewczynkę. „Uratował ją pan teraz? Aha, więc ona jest Mickey?”, zapytał, posługując się określeniem, jakim siły kolonialne nazywają partyzantów Mau-Mau. „Przecież to tylko niemowlę”, odparłem. „Ale niewykluczone, że już została zaprzysiężona. Jeśli ją zainfekowali, nie ma już dla niej ratunku, to jest jak choroba. A jeśli Mickeys dowiedzą się, że jest tutaj... No dobrze, nie sądzę, żeby już w tym wieku mogła być niebezpieczna. Niech pan ją tam zostawi i zobaczymy, co da się zrobić”, powiedział.

Rozejrzałem się po pokoju. W rogu leżało siodło. Chwyciłem je, położyłem do góry nogami na podłodze, z części koca zrobiłem posłanko, tym zaś, co zostało, okryłem małą. Wpatrywała się we mnie w milczeniu wielkimi oczyma, przygryzając dolną wargę. Wyciągnęła spod koca rączkę i zaczęła ssać dwa palce, wskazujący i serdeczny. „Nie mogę się tobą zająć. Nie wiedziałbym, co z tobą zrobić”, szepnąłem. Z sercem w gardle ledwie wyartykułowałem jakieś słowo pożegnania w kierunku policjanta i wybiegłem z komisariatu, zamierzając wrócić do Lari i kontynuować swoją pracę. W drodze do furgonetki minąłem jakieś okno. Usłyszałem, jak ktoś zaklął gniewnie: „Psia mać”! Zajrzałem do środka. Było to biuro, w którym zostawiłem małą. Wygramoliła się ze swojej zaimpro-

wizowanej kołyski, raczkując nagusieńka po pokoju, i właśnie się zsiękała. Policjant patrzył na nią z niesmakiem zza biurka. Raptem jedna, jedyna myśl zawładnęła moim umysłem, usuwając w cień wszystko pozostałe: kiedy masz w swoich ramionach niemowlę, a ono ma tylko ciebie, jesteś bogiem. Od jednej twojej decyzji zależy całe jego życie, jego los. Puściłem się pędem do biura, bez słowa wziąłem dziewczynkę na ręce i zabrałem stamtąd. Policjant nawet na mnie nie spojrział.

I to wszystko. Datowana trzy dni po tamtych wydarzeniach relacja ciągnęła się dalej, opisując szczegółowo konsekwencje rzezi oraz to, w jakim stopniu zagrażały one przeobrażeniem się dotychczasowych zaciekłych potyczek w puszczy w otwartą wojnę na wszystkich frontach. Zastanawiałem się, czy usunięcie tych stron wynikało z kryteriów wydawniczych, rutynowego przycięcia tekstu do ograniczonej ilości miejsca, czy z jakichś innych przyczyn. Historia dziewczynki poruszała serca i skłaniała do współczucia maleńkiej istocie, należącej przypuszczalnie do jednej ze stron konfliktu, którą ówczesne media uporczywie lansowały jako tę jedyną dopuszczającą się okrucieństw, odsłaniając jednocześnie niełudzkość kolonialnej policji, obojętnej wobec najsłabszej, bezbronnej ofiary wojny prowadzonej przez jej rodziców. Niewątpliwie były to wystarczające powody ocenzurowania tych stron. Lecz oprócz tego powyższy fragment cechowała pewna osobliwość, która wyróżniała go spośród innych tekstów. Narracja w pierwszej osobie, zaangażowanie uczuciowe Hamisha w historię, która sprawiała, że stawał się jej bohaterem, narracja o zdarzeniach i życiu kogoś, kto był bezbronny wobec horroru wojny. Wiedziałem, że Hamish był dobrym człowiekiem. Zadałem sobie pytanie, jak potoczyły się dalsze losy tamtej dziewczynki, i przebudziłem się dokładnie z tymi samymi myślami. Kartki sfrunęły na podłogę, a ja, nie zdając sobie sprawy, przysnąłem na pół godziny. Pozbierałem papiery i szedłem ścieżką prowadzącą do pokoju.

Skatowany *kiboko*

Pius Ole Toroge wpatrywał się w fotografię, unosząc ją w górę obiema dłońmi, jakby ją konsekrował. Koncentrował się na niej z takim namaszczeniem, że przypominał jednego z tych magów, którzy wyginają łyżeczki wzrokiem, i pomyślałem, że tylko patrzeć, a z kawałka papieru buchnie płomień albo odda nam ją pustą z obrazem wymazanym całkowicie potęgą przenikliwego spojrzenia. Marszczył brwi i wyraz jego oblicza nie wskazywał na to, że jest o krok od ogłoszenia werdyktu. Zaproponowałem, by wyszedł na plac i przyjrzał się zdjęciu przy dziennym świetle, podsunąłem mu lornetkę i pokazałem, jak ma użyć tej elementarnej lupy. Miałem wrażenie, że w jego twarzy zaczyna kiełkować przekonanie. Opodał ten sam młodzieniec o rozciągniętych małżowinach, którego widzieliśmy poprzedniego dnia, pracował nad organami wewnętrznymi jakiegoś starego rzęcha. Pius zbliżył się do niego i coś powiedział, pokazał mu zdjęcie i obaj zaczęli odprawiać rytuał przykładania do oczu lornetki, przekładania jej z rąk do rąk, dzieląc się między sobą spostrzeżeniami. Domyśliłem się, że chłopak był jego synem i że on również znał *bwana* Bostona. Pierwszemu potrząśnięciu głową jednego zawtórowało potrząśnięcie głową drugiego i po kilku minutach potrząsali głowami obaj. Pius wrócił do mnie i wyciągając fotografię, zawyrokował po angielsku:

- Ten nie *bwana* Boston. Nie *bwana* Boston.

Za moimi plecami Delsey i Ken przyjęli owacjami oświadczenie Piusa.

Chciałem się upewnić:

- Nie *bwana* Boston?

- *Ndiyo, ndiyo*. - Wiedziałem już, że w suahili znaczy to „tak”, zatem odpowiedź wydała mi się niejasna.

- *Ndiyo? Ndiyo bwana* Boston?

- *Hapana* - co znaczyło „nie”. Zbaraniałem i nie byłem pewny, czy czasem Pius nie nabija się ze mnie. Na szczęście do akcji ratunkowej przystąpił Ken, udzielając mi błyskawicznej lekcji semantyki. *Ndiyo* w suahili należy tłumaczyć dosłownie jako „istot nie” lub „jest, jak mówisz”. Dlatego też na pytanie „nie *bwana* Boston?”, poprawna odpowiedź brzmi „*ndiyo*”, to znaczy „istot nie, nie *bwana* Boston”. Pojawszy ów niuans, odwróciłem się na pięcie, aby podziękować Piusowi, i stwierdziłem, że wyparował. Wzruszyliśmy ramionami, ruchem ręki i zawołaniem *kwaheri!** pozdrowiliśmy młodzieńca i skierowaliśmy się do samochodu, kiedy dogonił nas Pius. Pod pachą trzymał kartonowe pudełko, które zademonstrował mi z dumą.

- Ten *bwana* Boston - obwieścił.

Otworzyłem pudło. Ku mojemu zdziwieniu wypchane było zdjęciami z polowań, na których młody Pius w towarzystwie innych osób pozował przy ubitej zwierzynie. Na każdym zdjęciu stał obok niego dojrzały, szczupły, wysoki mężczyzna o jasnych włosach zaczesanych na czubek głowy. Wskazał mi go palec Piusa. Miał typ twarzy podobny do Hamisha, to znaczy nie przypominał go nawet z daleka, ale obaj prześlizgnęliby się przez sito opisu, jaki zamieściłem w ogłoszeniu. Przypominał mi się przy okazji stereotyp rozpoznawania twarzy innych ras i pomyślałem, że dla Piusa wszyscy biali podobni byli do siebie jak butelki mleka.

Szczerze się roześmiałem. W dobrym nastroju pożegnaliśmy się z Piusem i wspięliśmy do samochodu. Ken zapuszczał silnik, a ja wciąż nie mogłem zatrzymać rozedrganej sprężyny śmiechu.

- Nie trzeba nam było zacząć od tego?

- Odmowa, stary - odparł Ken rozbawiony. - Nie spytałeś go, czy ma jakieś zdjęcie Bostona. Poprosiłeś tylko, żeby obejrzał twoje. Wy,

Do widzenia.

wazungu, jesteście zbyt skomplikowani. Naucz się myśleć po afrykańsku, stary.

- A od czego mam ciebie?

Naszemu powrotowi do Nairobi towarzyszył flegmatyczny humor, który był wypadkową sprzecznych uczuć przypominających gorączkową walkę między dwiema ekipami ciągnącymi linę w przeciwnych kierunkach, zajadły bój, w efekcie którego lina nie przesuwła się nawet o milimetr. Znajdowaliśmy się w punkcie wyjścia. Techniliśmy na nowo życie w Hamisha lub przynajmniej wydarliśmy go spomiędzy umarłych, ze spalonego słońcem grobu Bostona Sharka. A jednak wyczyn ten pozwolił nam jedynie odzyskać naszą pierwotną hipotezę, życzenie raczej niż pewność - że Hamish żyje. Nasz powrót do miasta był cofnięciem się na pole startowe z wyzerowanym wynikiem. Nie dysponowaliśmy żadną wskazówką z wyjątkiem ogólnikowej informacji błędnego sprzedawcy mydła mieszkającego w innym kraju, siedemset kilometrów od Nairobi oraz starej i zniszczonej fotografii, której nie było komu pokazać z wyjątkiem tegoż sprzedawcy mydła, który ewentualnie mógłby potwierdzić, że mojego dziadka nazywano „Panem Skrzypce” i że żył w jakimś niesprecyzowanym momencie historycznym, w jakimś punkciuku regionu większego od terytorium Andaluzji. Jednym słowem wracaliśmy do punktu wyjścia jak w pierwszą noc, gdy zesliśmy z samolotu na kenijską ziemię, choć na o wiele bardziej schodzonych podszwach. Sytuację tę trudno było uznać za zastrzyk witamin, dzięki którym mogliśmy podjąć na nowo poszukiwanie uzbrojeni po zęby niezłomnym hartem ducha. Lecz jeśli brakowało zapachu, trzeba go było przynajmniej udawać i symulować gorączkową aktywność w ciągu dni, może tygodni, które zapowiadały nieznośną nudę dopóty, dopóki nie pojawi się nowy, równie zniewalający ślad, co ślad Bostona Sharka.

Zatrzymaliśmy się na chwilę w hotelu Norfolk, aby sprawdzić, czy nie przyszła poczta. Jeden z dobrze już nam znanych portierów wręczył mi wielką, brązową kopertę zawierającą dwie związane, sporządzone jego własną ręką adnotacje. Jedna z nich informowała o telefonie od mojej matki. Druga o telefonie od Makeny. Wróciła już do Nairobi i prosiła, aby do niej zadzwonić. Brzmiało to dość

niepokojąco, zważywszy, iż jej początkowy plan zakładał tygodniową wizytę u matki. Mogły to być tylko złe wieści. Zadzwoń miast z recepcji Norfolku.

- Witaj, skarbie! Coś się stało?

- Tak, Curro, stało się. - Jej żałośnie brzmiący głos nie wróżył nic dobrego. - Ale nie martw się, ja jestem cała i zdrowa. Chodzi o Victorię. Ktoś... zdemolował lokal.

- O Boże!

- Wczoraj pojechałam do Nyeri zadzwonić do Abrahama. Prosił, żeby dać mu znać, czy dojechałam szczęśliwie. Mówiłam ci, jest dla nas jak ojciec. - Wyczułem uśmiech po drugiej stronie. - Powiedział, że przedwczoraj otworzył lokal jak zwykle i zastał go w opłakanym stanie, jakby w środku przeszedł huragan. Ci, którzy to zrobili, musieli włamać się po zamknięciu. Przynajmniej nikomu nic się nie stało.

- A co z *askari*? Przecież mieli pilnować interesu przez całą dobę.

- Mieli. Wyparowali. Abraham nie może ich nigdzie namierzyć. Nie wyklucza, że to może być ich sprawka. Wróciłam od razu do Nairobi i wieczorem poszliśmy tam z Abrahamem. Curro, musiał byś to widzieć. To straszne. Zniszczyli dosłownie wszystko, nic się nie uchowało.

- Zawiadomiliście policję?

- Tak. Abraham złożył doniesienie. Ale nie wierzy, żeby to coś dało.

- A media. Rozmawialiście z jakimś dziennikarzem?

- Nie, z tego, co wiem, jeszcze nie.

- Mak, jest ze mną Ken. Opowiem mu, co się stało, i jutro rano, jeśli nie masz nic przeciwko temu, zajrzemy do Victorii. Byłoby dobrze, gdyby Abraham też był, mielibyśmy informację z pierwszej ręki. Czasem zawiadomienie o przestępstwie zamieszczone w gazecie potrafi dać większe rezultaty niż to złożone na komisariacie. Jestem przekonany, że Ken postara się o eksponowane miejsce.

- To świetny pomysł! Dziękuję, Curro, jesteś kochany! Na pewno nie sprawi to Kenowi kłopotu?

- Kiedy się dowie, że chodzi o ciebie, będę mu musiał dać zastrzyk uspokajający, żeby dotrwał do rana.

- Ha, ha! W takim razie będziesz musiał zaaplikować mu podwójną dawkę, bo rano odpada. Abraham to nocny ptak. Do obiadu nie rusza się z domu.

- Może być o piątej?
- Świetnie.

Tak jak przypuszczałem, wystarczyło wymówić imię Makena, aby organizm Kena zareagował zaburzeniem metabolizmu. Niewiele brakowało, a obiecałby mi tytuł na pierwszej stronie, co niestety nie zależało od niego. Jednak było coś, co mu nie pasowało.

- Zaraz, to gdzie w końcu zrobili tę demolkę? W jej poradni?

- Nie, w jednym barze. To jest... Jutro... jutro ci wszystko wytłu maczę.

Zapisałem mu adres i umówiliśmy się na miejscu o piątej po południu następnego dnia. Odprowadził nas jeszcze do zarekomendowanego nam przez szwagra hotelu Fairview, którego profil odpowiadał idealnie naszym ówczesnym oczekiwaniom: usytuowany obowiązkowo w centrum miasta, spokojny, o rustykalno-anglikańskiej atmosferze w stylu Miss Marple, którą Delsey rozkoszował się w hotelu Norfolk i mniej zabójczy dla mojej znekanej karty kredytowej, która po tylu pokasaniach przez niezliczone czytniki wyglądała już jak pogryziona przez hieny niczym ten afisz Kena.

Przebimbaliśmy resztę popołudnia na przestronnym tarasie w hotelowym ogrodzie, sącząc piwo, popalając i gawędząc po hiszpańsku, i tam też wtajemniczyłem Delseya w informację o Bwana Fidli, a także opowiedziałem historię o Lari i małej dziewczynce. Finał opowieści nappełnił go olbrzymią satysfakcją. Zawołał:

- Oto prawdziwy Hamish! Rycerz w lśniącej zbroi!

Zamyśliłem się przez krótką chwilę, podziwiając wieczór w jego najkorzystniejszym świetle, świetle bursztynowego graniastosłupa szklanki tuskera i wyzwiałem barona na pojedynek:

- Założy się pan, że potrafię odgadnąć, co zrobił ostatecznie Hamish z dziewczynką?

- Jestem przekonany, że zrobił to, co było najlepsze dla dziecka.

- Co to mogło być, pańskim zdaniem?

- Upewnianie się, że nigdy już nie dotkną go potworności żadnej wojny.

Delsey wcześniej zwinął żagle. Ja wstąpiłem na chwilę do pokoju, by zaraz wrócić i zasiąść ponownie na tarasie z tekstami Hamisha, przekonany, że muszą skrywać więcej kluczy niż te, które do tej pory udało mi się wyłowić. Zamówiłem kolejne pół litra tuskera i zabrałem się do przeglądania dokumentu. Nagle rzucił mi się w oczy tytuł, który już wcześniej widziałem:

HISTORYCZNY TREETOPS ZNISZCZONY W WYNIKU SZALEJĄCEGO POŻARU

Artykuł o wznieconym przez partyzantów pożarze hotelu Treetops w parku Aberdare Mau-Mau. Pamiętałem, że Hamish wspominał Ojakiejs wcześniejszej wizycie w hotelu i że skojarzyłem to z innym fragmentem rękopisu, w którym opowiadał o wyprawie do jakiegoś *lodge* w puszczy. Przyjęło się w tego typu miejscach, że wizytujący wpisywali do książki gości swoje nazwisko oraz miejsce zamieszkania. Można było mieć nadzieję, że wpis Hamisha istniał gdzieś pośród setek stron archiwów Treetops, zanim hotel uległ zniszczeniu 26 maja 1954 roku. Przeczytawszy ponownie artykuł, przypomniałem sobie, że w chwili katastrofy *lodge* był zamknięty z powodów bezpieczeństwa i że stan ten trwał od lipca 1953.

Przewertowałem skrupulatnie cały dokument i odnalazłem w końcu relację z tej pierwszej wycieczki. Istotnie chodziło o Treetops. Hamish opisywał zabawną i absurdalną noc, która wskrzeszała frywolnego, bezpruderyjnego ducha międzywojnia w czasie, gdy przemoc Mau-Mau zadawała śmierć owej *belle époque* bezlitosnymi uderzeniami maczety. W porze herbatki dyżurny myśliwy opowiedział swoim dwunastu gościom dwie prawdziwe anegdoty, które wydarzyły się w pierwszych latach istnienia Treetops, na długo przed tym, zanim za sprawą wizyty księżniczki Elżbiety i koincydencji tego zdarzenia ze śmiercią jej ojca mały domek na drzewie znalazł się w świetle fleszy światowej prasy. Bohaterkami obu zdarzeń były dwie różne kobiety, które w różnym czasie miały podobne kaprysy: spuścić się po linie z tarasu Treetops do wysokości zadu nic niewiedzącego o zamiarach swawolnych istot ludzkich i żerującego pokojowo tuż pod platformą słonia. Obu paniom przyświecały różne intencje: jedna pragnęła przykleić zwierzęciu znaczek w górnych partiach tylnych kończyn, drugiej

zaś przyszła chętka, by złożyć tamże swój autograf za pomocą kredy przytwierdzonej do bilardowego kija. Żadna z powyższych misji nie zakończyła się powodzeniem. Hamish opowiadał, że znajdująca się wśród gości pewna słynna ze swobodnych obyczajów młoda dama, przysłuchując się tym historiom wyznała, że od zawsze marzyła o tym, aby móc napawać się z bliska widokiem genitaliów samca słonia i zażądała, aby spuszczone ją na linie wzorem czcigodnych poprzedniczek, celem zadośćuczynienia jej naukowej dociekliwości. Jak było do przewidzenia, myśliwy odmówił, argumentując, że takich rzeczy w Treetops już się nie praktykuje, na co zainteresowana dama zareagowała wielkim oburzeniem, rycząc niemal jak słoń i odgrażając się zaskarżeniem zakładu za sprzedaż niepełnowartościowej usługi. Ostatecznie, aby zrekompensować sobie fiasko marzenia życia, dama zadowolona się napawaniem swych głodnych oczu widokiem genitaliów jednego z gości i napawała się nimi z tak intensywnym i nieklamany podziwem, że jej ryki dochodzące zza wątych, cienkich jak łądygi papirusu przepierzeń i drewnianej fasady hotelu Treetops wystraszyły całą faunę aż po masyw Kenia, łącznie z parą świeżo przybyłych z Anglii gości, anglikańskiego pastora i jego małżonki, którzy z wyniośle usztywnionymi kręgosłupami spożywali właśnie kolację i którzy dokonawszy właściwej interpretacji lamentu, uczepili się kurczowo swoich sztuców, udając, że nie słyszą dzikiej manifestacji zwierzęcego zadowolenia.

Artykuł nie był datowany, bo z pewnością Hamish nigdy nie miał zamiaru go opublikować, ale wzmianka o królewskiej wizycie sytuowała go po 5 lutego 1952 roku. Hamish musiał tedy odwiedzić Treetops między lutym 1952 i lipcem 1953. Dobrze, fakt ten zawęził poszukiwania, a może nawet zachęcał do złożenia w tym miejscu wizyty. Koniec końców z Nyeri związany był cały nasz pierwotny plan, była to bowiem miejscowość, z której Hamish wysyłał listy, a pierwsza myśl, jak mówią, zawsze jest najlepsza. Gdybyśmy nie poszli tropem Cordelii, który z kolei naprowadził nas na fałszywy ślad Bostona Sharka, skoncentrowalibyśmy się na tym miejscu od pierwszej chwili. Postanowiłem, że gdy tylko udzielimy wsparcia Makenie, wyjedziemy do Nyeri. Rano zadzwonię do Kena z prośbą,

aby jego szwagier zarezerwował nam pokoje w Outspan, hotelu--bazie wypadowej do Treetops.

Jestem zaprzysięgłym wrogiem telefonu, o czym nie omieszkałem już wspomnieć, więc zawstydzało mnie to, jak bardzo w ciągu tych kilku tygodni spędzonych w Kenii uzależniłem się od tego przeklętego wynalazku. Następnego ranka, o zgrozo jeszcze przed śniadaniem, nie potrafiłem nie odpowiedzieć na zew wzywający mnie do wydzwaniania i zatelefonowałem do aż czterech osób! Najpierw do mojej matki. Złożyłem jej raport o stanie naszych poszukiwań, który był obelgą rzuconą w twarz rzeczywistości, miał jednak w sobie tyle optymizmu, że potrafił wprowadzić w euforię najbardziej zorientowanego w sytuacji, nawet mnie. Nie omieszkałem również streścić historii dziewczynki z Lari, przy pomocy której pragnąłem wzmocnić tezę, że Hamish był dobrym człowiekiem, oraz uzbroić matkę w argumenty, którymi stopniowo mogłaby na rzecz tej teorii agitować ojca.

Położyłem słuchawkę, podniosłem ją znowu i wykręciłem numer „Standardu”, zamierzając poprosić Kena, żeby on z kolei poprosił szwagra o wynajęcie dla nas samochodu i zrobienia rezerwacji w Outspan: dwóch pokoi dla trzech osób, jak w Masai Mara, jeśli Ken może i chce zrobić sobie wolne, od następnego wieczoru na trzy kolejne doby. W gazecie uzyskałem potwierdzenie, że istotnie Ken może i chce, i że tego właśnie dnia wziął sobie wolne. Zastanawiałem się, kiedy ten facet pracuje.

Położyłem słuchawkę, podniosłem ją znowu i zadzwoniłem do jego domu. Odebrała matka, pani tak niesłychanie miła i rozmowna przez telefon, że nietrudno mi było wyobrazić sobie wyczerpujące przesłuchanie w jedwabnych rękawiczkach, jakiemu poddawała wszystkich, którzy dzwonili w sprawie ogłoszenia. Wyraziłem jej wdzięczność za współpracę, zamieniliśmy kilka słów, zdała mi relację z najświeższych odpowiedzi na nasze publiczne wołanie i wówczas zapytałem, czy mogę rozmawiać z Kenem. Nie było go. Z jej słów wynikało, że wczesnym rankiem zadzwonił do niego jakiś znajomy, po chwili rozmowy Kenem zawładnęła niebywały entuzjazm, zgarnął swoje rzeczy i wybiegł z domu, wykrzykując, że ma wielki temat do gazety, temat życia, wołał, coś, co mogło zmienić bieg historii

tego kraju. Nie zdradził nic więcej i zaintrygował tak bardzo, jak ona intrygowała teraz mnie, choć ją gryzła na dodatek troska matki. Zanim się pożegnałem, poprosiłem o numer telefonu szwagra, tego z agencji.

Położyłem słuchawkę, podniosłem ją znowu i wybrałem numer szwagra. Już w pierwszej chwili zorientowałem się, że krew tego faceta nie miała żadnych genetycznych związków z krwią Kena, jeśli w ogóle była to krew należąca do jakiejś znanej ludzkiej grupy. Ze ślimaczą ślamazarnością zepsutego śmigła zanotował zlecenie i obiecał potwierdzić rezerwację później, co rzeczywiście uczynił, nim odjechaliśmy taksówką do Victoria Station.

Była już szósta, a my wciąż czekaliśmy na Kena, siedząc na trzewiach bawełnianych pakul wyzierających z porzniętego skaju. Za naszymi plecami uderzenia topora lub maczety spowodowały tyle strat wśród zastępów korników, jedynej siły trzymającej w kupie drewniane panele, że te uległy spontanicznemu rozkładowi. Poległy wraz z kornikami fotografie ścienne przedstawiające londyńskie scenki pozwoliły wreszcie udać się na wieczny spoczynek dawno już nieżyjącym, sportretowanym na nich postaciom, a czerwony aksamit miał wielkie szczęście, że poharatano go z taką zajadłością, bo miał już nigdy nie przyoblekać innej ściany. Na wprost drewniana, trumienna lada porąbana na tysiąc kawałków rozpleniła się w tysiąc małych trumienek jak miotła ucznia czarnoksiężnika; butelki z regałów wypuściły na wolność całą zawartość toksycznych, przeterminowanych ścieków, a lustrom odpuszczono resztę kary odbijania całego tego żalosego obrazu, który zdążył już wrosnąć w szczytkową warstwę srebra, przypominając monitory przedtopowych komputerów świecących psychodeliczną, fosforyzującą zielenią, na których ekranach można było odczytać litery jeszcze długo po wyłączeniu maszynerii z prądu. Gdyby nie element uczuciowy, jaki łączył mnie z Makeną, i gdyby nie przygnębiający widok biedaczyska Abrahama, oświadczyłbym radośnie, że ten radykalny remont był najlepszą rzeczą, jaka mogła się Victorii Station przytrafić.

- Pewnie zatrzymał go ten reportaż... - zgadywał Delsey.
- Dłużej nie możemy na niego czekać - podjąłem trudną decyzję.



- Światło nam ucieka. Bądź co bądź też jestem dziennikarzem i mam ze sobą aparat. Zbiorę za niego materiał, a on napisze artykuł.

Oświetlenie było tylko pretekstem. Układ lokalu miał w sobie coś, co tępiło naturalne światło jak hrabia Kaczula, przez co zdjęcia można było robić tylko z fleszem, zarówno w promienny, słoneczny dzień, jak i w bezksiężycową noc. Jednak niewytłumaczalna zwłoka Kena niepokoiła mnie bardziej, niż byłem skłonny pokazać i nie chciałem zarazić swoim niepokojem pozostałych. Niezależnie od doniosłości tematu, za jakim pognał tego dnia Ken, zdumiewało mnie, że pozwala przejść koło nosa takiej okazji zrobienia wrażenia na Makenie. Nawet jeśli owo wrażenie miałyby być tak fatalne, jak podczas ostatniego spotkania, Ken nie wyglądał na faceta, u którego strach przed śmiesznością przeważałby nad profesjonalizmem.

Wykonałem dokumentację zdjęciową zniszczeń oraz zdjęłem Abrahama w jego białym ubraniu burzącym mi równowagę balansu bieli w kadrze. Potem wysłuchałem szczegółowej relacji o tym, co zastał, gdy feralnego wieczoru otworzył lokal, zwierzył mi się ze swoich podejrzeń, z krótkiego i gwałtownego spięcia z agencją *escorts* i udostępnił całą informację kontekstową, o którą go poprosiłem. I na tym nasze zadanie się kończyło. Przed wyjściem Delsey rozgadał się z Abrahamem, a ja skorzystałem z tego, żeby porozmawiać z Makeną. Jej torpedujący uśmiech nie utracił siły rażenia, ale oczy przygasły, jakby bandyci, którzy obrócili w perzynę lokal, zaszczepili jej również wirus melancholii.

- Co teraz zrobisz?

- Jeszcze nie wiem... Muszę to wszystko przemyśleć. Na razie zostanę w domu, dopóki ta sprawa nie przyschnie, tam jestem bezpieczna, potem pojedę na kilka dni do matki, jak planowałam wcześniej. Nie wiem... Abraham mówi, że wyjeżdża, że jest już tym zmęczony. On jest z Likoni na wybrzeżu, niedaleko Mombasy. Jego rodzina ma małą firmę rybacką. Mówi, że jeśli sprawy potoczą się po jego myśli, może otworzy tam nową Victoria Station. Albo Victoria Harbour czy co innego! Kilka dziewczyn chce z nim jechać. Zmiana klimatu, rozumiesz. Morze, plaża, palmy... Aleja, szczerze mówiąc, jakoś się tam nie widzę. Naprawdę nie wiem. Może nadszedł czas na zmiany w moim życiu. Rozumiesz... Na szczęście mam pieniądze

i nie muszę na siłę szukać pracy, ale pieniądze kiedyś się skończą i z drugiej strony nie potrafię nic nie robić. To jest najgorsze, nic nie robić... Przyzwyczyłam się do tego, co było i już. Teraz muszę coś postanowić, ale żeby zacząć coś nowego, trzeba mieć marzenia. A ja nie mam marzeń. Poza tym nie umiem robić nic innego. I nie mogę mieć rodziny.

- Jasne, że możesz. Mogłabyś adoptować dziecko. Byłabyś fantastyczną matką.

- Ba, tylko tak mówisz!

- Kiedyś przeczytałem zdanie, że jeśli trzymasz w ramionach maleńkie dziecko i ono ma tylko ciebie, to jesteś bogiem. Odkąd cię poznałem, wiedziałem, że ty nie należysz do tego świata. Mam na myśli ten... świat. - Odwróciłem głowę, wskazując na zrujnowany lokal. - Zaslugujesz na coś lepszego. A na świecie jest wiele dzieci, które zasługują na swojego boga o łagodnych i ciepłych ramionach. Pomyśl tylko, kiedy Ken cię zobaczył, powiedział, że jesteś boginią.

- Naprawdę? - Opuściła wzrok zadowolona i zdawała się smakować ten komplement, który nagle rozplątał się w jakimś wspomnieniu. - Wiesz? Jak byłem w szpitalu w związku z tamtą sprawą, o której ci opowiadałam... Gdy już mogłam wstawać z łóżka, strasznie lubiłam towarzyszyć siostrze Annie, gdy szła na obchód do sali niemowlaków. Niektóre z nich nie miały matek. Ona mówiła, że mieć dziecko i być matką to nie jest to samo; że dziecko przychodzi na świat niejako mechanicznie, a bycie matką to zupełnie inna rzecz. Ona nie miała dzieci, lecz czuła się matką wszystkich tych osieroconych dziecińek.

- Miała sporo racji.

Wróciliśmy do Fairview już po zapadnięciu zmroku. W domu Kena nikt nie odbierał telefonu. Zamaskowałem swój niepokój, przyjmując zaproszenie Delseya na szklanekę piwa przed kolacją, chociaż mój umysł nie potrafił się skupić na nieszczęściach Victoria Station ani na londyńskim lokalu, w którym Abraham grywał za młodych lat na pianinie i który Delsey nawiedzał w pewnym okresie swojego życia. Ken twierdził, że w Kenii zanim zrobisz krok, musisz wiedzieć, gdzie postawisz stopę. Coś mi mówiło, że wpakował się w jakąś kabałę, bo zlekceważył własną radę.

Delsey zareagował entuzjastycznie na moją decyzję o wyprawie do Nyeri. Miał już po dziurki w nosie Nairobi i sądził, że każdy krok w jakimś kierunku był krokiem prowadzącym nas ku Hamishowi. Wierzył ślepo w to, co robię. Nie zapytał nawet, czy u podstaw tej podróży leży jakiś istotny powód.

O Kenie nie wiedziałem nic do następnego ranka, kiedy to po raz kolejny zadzwoniłem do jego domu i odebrała jedna z siostr. Kiedy wyjaśniłem, kim jestem, jej głos zabrzmiał posepnie. Wiedziałem, że wydarzyło się coś bardzo niedobrego.

- Ken jest w szpitalu.

- Jak to, co się stało?

- Wczoraj pojechał na lotnisko zebrać informacje o śmierci tego polityka. Mówi, że uwięziła go potajemnie policja. Zawiązano mu oczy, zawieziono do jakiegoś nieznanego miejsca i brutalnie pobito. Co było potem, nie pamięta, odzyskał przytomność w środku nocy, w jakimś rowie za miastem, na drodze do Mombasy. Niewiele brako wało, a wyzionąłby tam ducha, był tak pobity, że nie mógł się ruszyć. W Nairobi żaden kierowca nie odważy się zaglądać w nocy do rowów. A gdyby natknęła się na niego policja, spadłby z deszczu pod rynnę. Miał niewiarygodne szczęście, bo przejeżdżała tamtędy jedyna osoba, która mogła się odważyć i odważyła się zatrzymać: ksiądz. Dostrzegł Kena z okna samochodu, wyciągnął z rowu i zawiózł do szpitala. Ken mówi, że ksiądz zachował się bardzo w porządku, chociaż myślał, że brat jest przestępcą. Ken nie mógł udowodnić swojej tożsamości, ponieważ policja ograła go z wszystkich dokumentów.

- Co za koszmar! Co z nim?

- Jest skatowany, połamany, przerażony. Ale żywy i przytomny. I szczęśliwy, że żyje. Wesolutki, wiesz, jak to on. Lekarze mówią, że wyjdzie z tego. Że za kilka dni będzie mógł wrócić do domu, chociaż czeka go długi odpoczynek i żmudna rehabilitacja.

Dwie godziny później otwieraliśmy drzwi, zza których wyłonił się Ken uwięziony w gipsowym pancerzu z golfem i z obliczem pokrytym kolorowymi plamami. Wyglądał jak zółw rozjechany przez pociąg. Otaczała go rodzina w komplecie, a on mimo żalostnego położenia robił za mistrza ceremonii. Gdy nas ujrzał, zawołał łamiącym się głosem:

- Mamo, patrz! Zagraniczne media będą robić ze mną wywiad. Twoje dziecko będzie w końcu sławne, i wcale nie muszę wypruwać sobie flaków, ganiając z językiem do pasa na Olimpiadzie.

Matka Kena pozdrowiła nas życzliwym gestem i ewakuowała wszystkich z pokoju. Zapewniłem ją, że nie powinni się nami przejmować, ale jednocześnie pomyślałem, że to zapewne przejaw grzeczności, więc nie nalegałem.

- Ależ, co oni ci zrobili, chłopcze? - wykrzyknął zboląłem głosem Delsey.

- Jak się masz, Twokay?

- Sami widzicie, moi drodzy. Czy ja mogę się skarżyć, zrobili mi przecież nowe wdzianko na miarę. Ale pod tym przebraniem chorego jestem cacy. Złamane trzy żebra, pęknięcie kości ramiennej, złamany piszczel i kość strzałkowa, złamana przegroda nosa, zwichnięcie kręgow szyjnych i takie zatrząsienie stłuczeń, że moje ciało przypomina duszoną gruszkę. Krążą pogłoski, że moją diagnozę będzie publikować w odcinkach pewien przegląd traumatologiczny. Ja nie mogę tego zobaczyć, ale mama zapewniła mnie, że mam wszystkie palce. Teraz brakuje mi tylko kogoś, kto by sprawdził, czy jądra też znajdują się na swoim miejscu. Sami rozumiecie, o to matki prosić nie wypada.

- Pomyślę, może mi przyjdzie do głowy jakiś kandydat - odparłem. - Z tego, co wiem, miałeś jakąś narzeczoną. To byłaby chyba najodpowiedniejsza osoba?

Rozwinałem rulon, który przynieśliśmy mu w prezencie. Był to plakat Naomi Campbell pozującej na pocztówkowej plaży w olśniewająco białym, glacialnym bikini z glamourowego glansowanego glace na jej oliwkowej i naoliwionej skórze.

- O rany, dzięki za pamięć. - Wziął plakat, obejrzał go pod każdym kątem, po czym zwinął zdrową ręką. - Ale szczerze mówiąc, wołałbym plakat z twoją przyjaciółką Makeną.

- Wierzę ci, ale nie mogliśmy go nigdzie dostać. Pomyśleliśmy więc o czymś innym.

Dałem Delseyowi znak, a ten otworzył drzwi. Do pokoju weszła Makena ubrana tak, jak to ona potrafiła, przypominając *starlette*, z tych, które cieszyły oko rannych żołnierzy na froncie. Obawiałem

się, czy aby na jej widok ciśnienie nie rozpruje pacjentowi żył, ale Makena uparła się, że dotrzyma nam towarzystwa, gdy poprosiłem ją o pomoc w zakupie plakatu. No i co tu kryć, zaczynała mi się podobać rola rajfura. Kiedy Ken zobaczył wchodzącą dziewczynę, pozbył się plakatu, odrzucając go nerwowo w kąt.

- Nie musisz się z nim kryć. Sama go wybierałam - roześmiała się Makena.

- Ma... Makena... Tak... tak... bardzo mi przykro z... z powodu wczorajszego. Nie mogłem...

- Wiem, byłeś zbyt zajęty znoszeniem tortur. Biedaku, ale cię urządzili.

- Jak to się stało, Ken? - zapytałem.

Odetchnął, aby wlać strumień tlenu w gipsową klatkę, i dotykając dłonią białego napierśnika, zaczął mówić powoli, raz po raz chwytając powietrze.

- Wczoraj wczesnym rankiem zadzwonił do mnie mój przyjaciel, Sam Ngethe, ten od lotnisk, wy chłopaki już go znacie. Dał mi niewia rygodny cynk, stary, niewiarygodny. Porannym lotem z Londynu wrócił Masinde Muliro i nagle zmarł na lotnisku, według oficjalnej wersji na zawał. Sam widział to wszystko na własne oczy, zaledwie kilka minut przed tym, jak do mnie zadzwonił. Masinde Muliro był znaczącym politykiem ugrupowania opozycyjnego wobec reżimu Moi, odegrał kluczową rolę w procesie otwarcia na wielopartyjność, jeszcze kilka dni temu był wiceprzewodniczącym FORD, kiedy to partia podzieliła się na dwie frakcje, co, jak zapewne pamiętasz, przepowiedziałem w dniu, w którym się poznaliśmy. Mogła to być naturalna śmierć, nie przeczę, ale z drugiej strony choler nie dziwnym trafem przydarza się właśnie teraz, kiedy zbliżają się wybory i opozycja zaczyna słabnąć, tak jak tego pragnął Moi. Ale to jeszcze nie wszystko. Jak na ironię tym samym samolotem leciał nie kto inny, tylko Nicholas Biwott, były minister energetyki, który podlegał do przemocy etnicznej mającej na celu zakłócić przebieg wyborów, podejrzany również o maczanie palców w zabójstwie ministra spraw zagranicznych Ouko! To mogła być bomba! Auć! - Entuzjazm nadwreżył w nim jakąś złamaną kość. - Sam powiedział mi, że wiadomość jeszcze nie przeniknęła na zewnątrz i zapropo-

nowa, że pomoże mi się wkręcić do zamkniętej strefy lotniska, żebym mógł tam trochę powęszyc. To był temat roku, dekady i nikt jeszcze o tym nie wiedział, tylko ja! To mogło być moje Watergate, katapulta do wielkiej kariery! Wziąłem samochód ojca i pojechałem na lotnisko najszybciej, jak tylko mogłem, czyli, jak wiecie, bardzo szybko. Sam już czekał. Umówiliśmy się, że on mnie tam wkręci, ale później będę musiał sobie radzić w pojedynkę. On nie mógł się narażać. Zacząłem węszyć po korytarzach i kanciapach. Chyba dałem się ponieść jakiemuś kompleksowi szpiega, bo przysparzałem napotkaną przypadkiem szczotkę do zmiatania i czapkę. Panowało tam wielkie poruszenie, ludzie biegali wte i wewte, było dużo policji. Nagle zastąpiło mi drogę dwóch gości, którzy zażądali, żebym się wylegitymował. Oni oczywiście mi się nie odwzajemnili. Najwyraźniej moje tłumaczenia wywarły na nich mizerne wrażenie, bo zaciągnęli mnie do jakiejś pakamery bez okien, drobiazgowo przeszukali i wyciągnęli wszystko z kieszeni. Wówczas jeden z nich zobaczył legitymację prasową i zawołał: „A to kutas, dziennikarska menda”. Lecz po same uszy wpadłem dopiero wówczas, kiedy ten drugi skojarzył moje nazwisko. Rzucił do kumpla: „Kennedy Kamaru! To nie ten pajac, co to się z nas nabijał w tym artykule o aktorze samobójcy? No, to już nie będziesz miał więcej okazji kpić, przyjacielu!”. Proszę, nie mówcie o tym mojej rodzinie. Oni myślą, że dostałem łomot, bo wściubiałem nos, gdzie nie trzeba; nie powiedziałem, że to z powodu tego artykułu. Szczerze mówiąc, w tamtej chwili pomyślałem, że mnie ukatrupią. Jeden wyciągnął pistolet, a drugi uderzył mnie dwa razy w splot słoneczny. Nie mogłem złapać powietrza. Założyli mi kajdanki i wyprowadzili bocznymi korytarzami na parking. Z bagażnika samochodu wyjęli rolkę taśmy przyklepnej i jakiś worek. Zakleili mi usta, nałożyli na głowę worek i obwiązali go na szyi taśmą. Wrzucili mnie, jak się domyśliłem, do bagażnika, i związali mi nogi w kostkach. Nie wiem, jak długo trwała jazda. To było niesamowite, bo słyszałem doskonale gwar ulicy dokoła, klaksony samochodów, nawet sprzedawców z Uhuru, ale nie mogłem się ani ruszyć, ani krzyknąć. Wydawało mi się nieprawdopodobne, że leżę tam związany jak wieprz czekający na rzeźnicki nóż, a kilka centymetrów dalej życie toczy się

swoim zwyczajnym trybem i przysięgam, że byłem wówczas święcie przekonany, że mnie wykończą. W końcu samochód się zatrzymał, wyciągnęli mnie z bagażnika i rozwiązali nogi. Zaprowadzili mnie w jakieś miejsce, przewrócili na podłogę, zdjęli worek z głowy i kazali się rozebrać do naga. Znajdowałem się w ciemnej celi, z wodą na podłodze i zrozumiałem, że to musiał być Nyayo House. Usiłowałem wstać i wtedy zjawił się jakiś gość ze szlauchem, który wbił mnie w ścianę strumieniem lodowatej wody. Zamknęli drzwi i poszli. Nie wiem, ile upłynęło czasu. Byłem sam. Nie mogłem usiąść, bo woda była straszliwie zimna. Po jakimś czasie wrócili ci dwaj. Jeden z nich ścisnął w rękę pałkę, drugi metalowy pręt. No i... Resztę możecie sobie wyobrazić. Nie pytali o nic. Gdy mnie tłukli, nie odezwali się słowem. Ja za to darłem się, krzychałem: „Czego ode mnie chcecie? Co chcecie ode mnie usłyszeć?”. Ale nie odezwali się słowem. Kiedy się zmęczyli, zawlekli mnie do windy. Zapadła już noc i w budynku panował mrok, nie było żywego ducha. Wwieźli mnie na dwudzieste czwarte piętro, wyciągnęli z windy, trzymając pod ramiona zataszczyli nad krawędź dachu i wtedy jeden z nich mruknął: „Nie martw się, Kamaru, za kilka minut będziesz już wolny”. Pomyślałem, że to koniec. W tej samej chwili poczułem uderzenie w głowę i straciłem przytomność. Ocknąłem się w jakimś rowie, wyjąc z bólu, nagi, z językiem przyschniętym do podniebienia, telepiąc się z zimna. Miałem wrażenie, że połamali mi wszystkie kości. Bałem się ruszyć ręką z bólu i ze strachu przed bólem, ze strachu, że nagle zobaczę, że brak mi jakiegoś palca czy całej ręki. Leżałem tak, czekając, aż ktoś się nade mną ulituje, i w końcu zatrzymał się ten ksiądz. Zawdzięczam mu życie. Ojciec Mathenge, tak się nazywa. Zawdzięczam mu życie. Facet myślał, że jestem jakimś oprychem, byłem przecież goły, bez ubrania i dokumentów, z których ograbili mnie stróże prawa. Mówiłem mu albo próbowałem powiedzieć, że jestem dziennikarzem „The Standard”. Nie wiem, czy nie rozumiał, czy nie uwierzył, bo palnął mi kaza- nie na temat niebezpieczeństw, jakie niesie z sobą przestępczość i narkotyki. Dobrze, co? Myślał pewnie, że jestem jakimś dogorywa- jącym ćpunem, bandytą, a jednak wyciągnął mnie stamtąd, okrył kocem, dał jakieś pieniądze i nie odstępował na krok dopóty, dopóki

nie przyjęto mnie na izbę przyjęć na pogotowiu. Facet z kosmosu. Zawdzięczam mu życie i nic o nim nie wiem. Ojciec Mathenge... Ot i cała historia. Co za poniżenie, przyjaciele! Co za bezradność! - Jego słabiutki głos utonął w bolesnym jęku, ale domyślałem się, że nie chce się mazać w obecności Makeny. Odchrząknął, nabrał powietrza i ciągnął dalej: -Ale prawdę powiedziawszy, oprócz bólu i tego kłopotliwego wdzianka z gipsu, przez które nie będę mógł iść na tańce, odczuwam przede wszystkim bezgraniczną radość. Bezgraniczną radość z tego, że żyję. Że żyję i że jestem wolny.

Umilkł. Cała nasza trójka zaczęła się wiercić i wzdychać, usiłując rozładować jakoś napięcie powstałe w czasie relacji Kena.

- Co za bezprawie! Co za bestialstwo! Jak to możliwe, żeby działy się takie rzeczy? - lamentował Delsey. - I mieli odkryte twarze? Mógłbyś ich rozpoznać?

- To, w jaki sposób się zachowywali... Miałem wrażenie, że czują się absolutnie bezkarni. Po prostu zabawili się trochę. Nie zakrywali twarzy, bo uznali, że nie stanowią dla nich najmniejszego zagrożenia. Jakby kopali jakieś zwierzę. Myślę, że temu właśnie zawdzięczam swoje ocalenie. Dlatego pozwolili mi żyć. Gdyby się czegoś z mojej strony obawiali, na pewno by mnie zlikwidowali.

- Jesteś twardym facetem, Twokay. Ale w Kenii, zanim zrobisz krok, musisz wiedzieć, gdzie postawisz stopę - przypomniałem Kenowi jego własne słowa.

- Tak, wiem, jeśli chodzi o rady, to jestem do kitu.

- Przeciwnie. Miałaś całkowitą rację.

- Tak, ale nie umiałem jej zastosować do siebie samego. Wydawało mi się, że mogę sobie tam wejść jak *kiboko* tratujący sitowie i słono za to zapłaciłem.

- *Kiboko*?

- Hipopotam. I na dokładkę sprowadzasz mi tutaj tę piękność, żeby mogła zobaczyć ruinę, w jaką mnie obrócili. Jak wyglądam?

- Powiedzieć prawdę? - rzuciłem ostrzegawczo.

-Tak.

- Więc jeśli mam być szczerzy... Niedawno wyrzuciłem parę starych butów, które wyglądały lepiej niż ty. Ale Mak to nie robi różnicy, prawda? Bardzo się upierała, żeby cię odwiedzić. A teraz zostawimy

was samych, żebyście mogli porozmawiać o waszych sprawach.

- Na... na... naszych s... sprawach? - Ken znów zaczął się zaci-
nać. - O... o... jakich s... sprawach?

- Zadzwonimy, żeby dowiedzieć się, jak się sprawy mają. Delsey...

- Ruszyliśmy obaj do drzwi. - Dzisiaj po południu jedziemy do Nyeri.
Przez kilka dni będziemy w hotelu Outspan. Wyruszamy na poszu-
kiwanie Hamisha. I tym razem go znajdziemy.

Wkrótce dzień będzie w Treetops

Obecny wśród rodzinnej świty czuwającej u wezłowania ranne-
go szwagier Kena poinformował nas drobiazgowo, gdzie możemy
odebrać samochód wynajęty na podróż do Nyeri. Bezzwłocznie
wróciliśmy do Fairview, spakowaliśmy swój ekwipunek i zamówili-
śmy taksówkę. Wcisnąłem już głowę do jej wnętrza, gdy w ostatniej
sekundzie chwycił mnie za rękaw koszuli portier.

- Panie Mencia, telefon do pana.

Zostawiłem torbę na siedzeniu taksówki, wzruszyłem ramio-
nami wobec pytającego wzroku Delseya i poszedłem za portierem
do recepcji. Tym razem nie rozpoznałem głosu, który dobiegał
z drugiego końca linii.

- Panie Mencia, przysła do pana wiadomość.

Może przez to, że moje myśli dryfowały między nieszczęściem
Makeny i nieszczęściem Kena, ta informacja zbiła mnie z tropu.
Spodziewałem się telefonicznej wersji matryoszek. Obawiałem się,
że treścią tej wiadomości będzie kolejna wiadomość i roześmiałem
się w duchu, przypuszczając, że może to zemsta telefonicznej sieci
za moją ostentacyjną w stosunku do niej awersję.

Zrozumiałem dopiero wówczas, gdy mój rozmówca wyznał
mi swoją tożsamość.

- Słucham?

- Proszę wybaczyć, przy telefonie recepcjonista z hotelu Norfolk.
Przysła do pana wiadomość.

Dokonałem błyskawicznego przeglądu sytuacji, aby ustalić, czy w związku z naszymi poszukiwaniami czekam na coś od kogoś. Rezultat był negatywny.

- W porządku, dziękuję. Czy byłby pan łaskaw przeczytać mi tę wiadomość?

- Uczyniłbym to z wielką przyjemnością, proszę pana. Lecz obawiam się... że przerasta to moje możliwości.

- Jak to, przerasta pańskie możliwości? Dlaczego?

- Ponieważ tego nie rozumiem.

- Nie rozumie pan? Jak mam to rozumieć, że pan tego nie rozumie?

- To język, którego nie znam.

- MÓNICA! - wrzasnałem.

- Słucham, proszę pana?

- Nic, nic! Proszę mi powiedzieć, czy ta wiadomość to faks?

- Tak, proszę pana.

- Czy posiada adres nadawcy?

- Nie, proszę pana. Tylko numer, z którego został wysłany, wydrukowany automatycznie przez urządzenie faksowe.

- Dobrze, dobrze. Czy długa jest ta wiadomość?

- Bynajmniej, proszę pana. To tylko trzy słowa.

- Trzy słowa? Tylko trzy słowa? Czy byłby pan łaskaw mi je prze-literować?

Recepcjonista się zgodził i w ciągu kilku sekund stałem się szczęśliwym posiadaczem trzech kompletnych słów: WKRÓTCE
DNIEĆ BĘDZIE

- I to wszystko?

- Tak, proszę pana.

- Proszę wybaczyć pytanie, ale czy to nie jakiś żart?

- Tego nie wiem, proszę pana. Lecz jeśli to żart, to w żadnym razie nie mój, proszę pana. Przeczytałem jedynie to, co tutaj widzę.

- W porządku, dziękuję, zaraz tam będę.

Recepcjonista nie kłamał. Wszystkie trzy słowa były doskonale czytelne, choć ich znaczenie znakomicie niejasne. Wyszedłem z Norfolku, wpatrując się zirytowany w kawałek papieru trzymany w rękach i opadłem na siedzenie w taksówce obok Delseya, trzaskając zamasyście drzwiami.

- Wreszcie nowiny od pięknej Moniki?
- To już przekracza wszelkie granice! Nie mam zamiaru bawić się w te infantylne i absurdalne idiotyzmy!
- Ale co mówi wiadomość?
- Nie mam zielonego pojęcia.

Nie sądzę, abym kiedykolwiek przedtem czy potem tak wściekle nienawidził Moniki ani tak bardzo tęsknił za jej wyrafinowaną i rozkoszną formą zbywania mnie. Sami tym razem, wplątani w burzliwą kenijską sieć drogową, wyprzedzani przez *matatu* wypchane lokalnym farszem niczym pękate kaszanki pędzące w dół zbocza, wyprzedzani przez autokary turlające się na zezowatych kołach, wyprzedzani przez dymiące jak miniaturowe elektrownie ciężarówki, które zamiast silników zdawały się wyposażone w piece węglowe, wyprzedzani przez wszystkich, wyprzedzani nawet przez szczeliny w nawierzchni w nieustającej ekspansji jak puszczone oczka w damskiej pończosze, sunęliśmy z Delseyem leniwie ku Nyeri, mijając oszałamiające krajobrazy. Druga strona kenijskiej wizytówki, rewers złocistych sawann, buszu porośniętego kolczastymi krzewami i akacjami o schodkowatych koronach, była schludnie uczesany, rozpościerającym się pośród kopuł gęstych połączy lasu zielonoszmaragdowym dywanem, ziejącym ranami nasypów purpurowej ziemi i poprzecinany bulgoczącymi strumieniami. Brzegiem szosy sączył się wątki nurt pieszych z polnymi narzędziami i maczetami, kobiet dźwigających na karku góry drewna, sprzedawców torfu upchanego w brzuchate worach, i krzątająca ta dawała obraz żywej, uprawianej ziemi w niczym nieprzypominający samotniczego odosobnienia regionu Mara. Produkty transportowane w tych mrówczych wędrówkach rozdziły się na łaciatych poletkach małych *mashamba* przyfastrygowanych do stoków, rozdrobnionych resztek dawnych farm White Highlands, z których ostały się tu i ówdzie zakotwiczone u nabrzeża szosy wielkie uprawy, niemal zawsze noszące nazwy i monogramy państwowych przedsiębiorstw, pola kawy i herbaty ciągnące się aż po kres wzniesień. Przede wszystkim jednak rzucały się w oczy długie aleje kolonialnych rezydencji, przedziwne przeszczepy willowej dzielnicy tworzące niezwykle kontrast w tym zbudowanym do połowy kraju, otoczone hufcami

dżakarand i rdzennego drzewa tego regionu, *delonbc regia*, które bardziej podoba mi się pod jego angielską nazwą, *flame tree*, płomie-niste drzewo.

Przybywając do Nyeri z Nairobi, znajdowało się tu miłą odmianę. Nie dlatego, aby miasto jako takie wyróżniało się czymś szczególnym, bo, jak większość kenijskich miast, zostało wzniesione przez osad-ników jako ośrodek zaopatrzenia w rzeczy, w które osadnik zwykł się zaopatrywać: zapasy żywności, surowce, mechaniczne części zamienne, broń, alkohol, tytoń i kobiety. Nie dlatego też, aby ulice Nyeri odróżniały się jednoznacznie od łagodnego, rozchodzącego się promieniście od głównych alei stolicy unerwienia ulic: szerokie jezdnie obrębione lamówką piachu, parterowe *maduka*, szkieletowe portyki pobielone wapnem, nieodzowny Barclays, stacja benzyno-wa Kobil oraz dworzec autobusowy *matatu*. W przeciwieństwie jednak do Nairobi, z wyłączeniem fermentu głównych rond, miasto oddychało - ani zbyt głęboko, ani ze zbytnim entuzjazmem, ale oddychało. Zachowywało jeszcze pewną atmosferę rozstaju dróg, przypadkowych spotkań na targu, *pick-ups* załadowanych towarem z wyprzedaży, a także sklepów spożywczych, w których nie kupowało się produktów żywnościowych, lecz żywność.

Hotel Outspan znajdował się za miastem, jego przysadzista sylwetka usadowiona była na wzgórzu porośniętym soczystą trawą pojoną wodami rzeki Chania; od tyłu owiewała budynek ożywcza bryza spływająca z gór Aberdare, od frontu zaś rozpościerał się widok na masyw Kenia. Dopełniwszy zwyczajowych formalności w recepcji, przypuściłem szturm na recepcjonistkę, wyjaśniając jej bez owijania w bawełnę cel naszej wizyty. Pragnęliśmy przejrzeć księgi hotelowe i, jeśli to możliwe, rejestr gości hotelu Treetops w okresie między lutym 1952 i lipcem 1953 roku. Nim zdołałem wyklarować kierujące nami motywy, z oczu kobiety wyczytałem odpowiedź.

- Przykro mi, panowie, ale do tego potrzebna jest osobista zgoda dyrektora hotelu, który chwilowo jest nieobecny. Wróci za trzy dni.

Pozbawieni wsparcia Moniki i jej subtelnych forteli oraz Kena w roli stołecznego inspektora sanitarnego oddelegowanego z zada-

niem zbadania obecności papierożernych pasożytów w księgach gości, popatrzyliśmy na siebie z Delseym bez słowa, bolejąc nad naszym naturalnie znikomym talentem do oszustw. Ujrzawszy w naszych oczach bezgraniczne rozczarowanie, recepcjonistka przejęła inicjatywę:

- Gdyby zdecydowali się panowie zostać z nami do powrotu dyrektora, mogłabym im polecić niektóre formy aktywnego spędzenia czasu. Ponadto gdyby mieli panowie ochotę, zaproponowałabym im pokój na jutrzejszą noc w Treetops. W takim wypadku noc w Outspan nie zostałaby policzona.

- Sądziłem, że rezerwacji należy dokonywać z dużym wyprzedzeniem - odparłem, zaskoczony propozycją.

- I tak jest w istocie. Ponieważ jednak goście przyjeżdżają w grupach zabukowanych dużo wcześniej, z ustalonym z góry programem podróży, w momencie kiedy ktoś wypada w ostatniej chwili, czasem zostaje nam wolny pokój.

- Ależ tak, pewnie, że mamy życzenie! - Taki geograficzny fetyszysta jak ja nie mógł przepuścić okazji zachłyśnięcia się podobnym geograficznym fetyszem. - Co pan na to, Delsey?

- Och, naturalnie, to znakomity pomysł. Co prawda nazwa Treetops nic mi nie mówi, ale...

- Oczaruje pana, ma pan na to moje słowo - skłamałem.

Ja byłem zorientowany w osobliwościach Treetops, dokąd pojedynczy gość mógł zabrać z sobą jedynie podręczną torbę, gdzie pokoje nie były większe od kabiny telefonicznej, gdzie normy, jakimi obustronny był pobyt, przypominały wojskowy dryl, a kolację jadło się niemal ze wspólnego kotła i gdzie najprawdopodobniej porcelanową wygódkę dzieliło się z innymi gośćmi. Nie była to w żadnym razie rue Royale numer osiem i moje prognozy nie mogły wykluczyć katastrofalnej kolizji Delseya z Treetops.

Noc zapadająca w Outspan obdarowała mnie takim odprężeniem, że zapadłem niemal w stan nieświadomości. Zdołałem znacznie ochłoniąć z gorączkowej obsesji, jaka targała mną w konwulsyjnych momentach w Masai Mara w obliczu złowieszczej obecności Bostona Sharka bawiącego się z nami w chowanego. Zadzwoiłem do Makeny, żeby zapytać o Kena, oraz do Kena, żeby zapytać o Makenę. Według niej on

odprawił ze szpitala swoją rodzinę pod pretekstem o wiele lepszego samopoczucia, celem pozostania sam na sam z nią. Według niego, ona zwolniła jego rodzinę z odpowiedzialności czuwania nad pacjentem, ręką swoim autorytetem pielęgniarki, celem pozostania sam na sam z nim. Obie wersje były zgodne co do tego, że ona i on zostali sam na sam. Na zakończenie rozmowy przekazałem jeszcze Makenie informację o Bwanie Fidli, na wypadek gdyby jej krewni z Nyeri wiedzieli coś na ten temat. Jej matka, powiedziała, raz w tygodniu chodzi na targ, gdzie rozmawia ze znajomymi kobietami z innych dolin. Odłożyłem słuchawkę z uśmiechem zadowolonego z siebie manipulatora i dołączyłem do Delseya na werandzie Outspan, gdzie płaskowyżowa noc kropiła salwami lodowatej rosy zimowego, afrykańskiego sierpnia i gdzie przystąpiliśmy do osuszenia butelki absyntu.

Recepcjonistka rygorystka wyliczała nam zawartość mdłego menu zajęć turystyczno-sportowych, które ani mnie, ani Delseyowi nie zdołały unieść jednej brwi. Delsey za to uniósł się całym ciałem, wstał i, jak to robią dzieci podczas peror dorosłych, odciął się od nudnej pogawędki, oglądając z uwagą myśliwskie trofea i historyczne zdjęcia. Wyraziłem zainteresowanie wycieczką w góry i pracownica hotelu zaserwowała nam program z przewodnikiem realizowany w rytmie gwizdka. Zapytałem, czy nie moglibyśmy wybrać się w góry sami, co wywołało u kobiety tak otchłanny przestrach, jakbym zaproponował jej pilotowanie naszej rakiety na Plutona. Przyznała, że jest to możliwe, lecz pod nieuchronną kuratelą rangera.

Budowa łańcucha górskiego Aberdare jest doskonałym przykładem afrykańskiego stylu kształtowania gór. Kordyliera jest stertą nagromadzonej warstwowo ziemi przypominającej weselny tort - podczas jego wykonywania cukiernicy nie mogli się porozumieć co do liczby pięter, wznoszącej się ku pofalowanemu płaskowyżowi, gdzie drogi zamiast trzymać się dolin kreślą niczym tuszem strzeliste granie. To samo tyczy się masywu Kenia widocznego w oddali, gdzie z nawarstwionych mas ziemnych sterczy ćwiek najwyższego z jego szczytów jak przysłowiowy gwóźdź wbity niechlujnie w krzesło i rozdzierający spodnie siadającemu.

Z poziomu znajdującego się na wysokości około tysiąca ośmiuset metrów hotelu Outspan czerwona ziemia naszego szlaku w puszczy

pieła się pracowicie w górę pośród eksplozji dziurawców, tasie-
mecznika abisyńskiego i gigantycznych wrzosów, wszystko to zbite
w ciasny kłęb ściągnięty lianami i podstemplowany gęstą kolumnadą
drzew porośniętych brodami mchu. Powyżej wznosiły się palisady
bambusa postukującego kołyszącymi się niewidocznie łodygami,
może od powiewów wiatru, a może na skutek reakcji łańcuchowej
wywołanej na ścieśnionych badylach przez buszującego w oddali
słonia. Kiandongoro Gate, gdzie dołączył do nas dyskretny *ranger*
0 imieniu Simon, otwierało się na wysokości ponad trzech tysię-
cy metrów na torfowisko upstrzone nastroszonymi przy gruncie
pomponami brunatnej trawy. Krajobraz był to zgoła nierzeczywisty
1 nie dziwota, że te bagna poobdzierane szorującymi je
bezustannie

chmurami czy zasnute mgłą lasy zamieszkane przez święte drzewa
mugumo dostarczały doskonałego tworzywa, z którego modelowano
lokalną mitologię, albo że partyzanci Mau-Mau szukali na tej wyso-
kości azylu, płacąc zań cenę niehumanitarnego zimna. Relacje z tamtej
epoki podają, że schwytani Mau-Mau byli wygłodzeni i skostnia-
li z zimna, pokryci skorupą ziemi i trawy, zżerani przez pasoży-
ty, okutani w skóry dopiero co zdarte ze zwierząt, ze skudlonymi
w powrósł włosami, które trwożyły zachodnie dzieci, zanim Bob
Marley uczynił z nich buntowniczą modę. Trzeźwi czy lunatycy,
bojownicy o wolność czy terroryści, kogóż to teraz obchodziło, mnie
przynajmniej nie. Jednego na pewno nie można im było odmówić,
tego mianowicie, że musieli mieć jaja ze stali.

Pamiętając, że w górach tych czterdzieści lat temu gościł terror,
przerwałem Simonowi barwny opis fauny i flory, aby zarzucić
haczyk ciekawości.

- Simon, można wiedzieć, ile ma pan lat?
- Trzydzieści dwa.

Zbyt młody, aby mógł walczyć, ale może jego ojciec lub wujek.

- Zna pan kogoś, kto był w górach w czasie powstania
Mau-Mau?

- Nie, nie znam nikogo.

Zrozumiałem, że to, o czym mówił Ken, owa podświadomość
zbiorowa bojownika zarezerwowana była wyłącznie dla swoich.
Z pewnością były to rzeczy, które opowiada się przyjacielom, ale nie

obcym, jak małe grzeszki podatkowe czy małżeńskie skoki w bok. Być może Simon sądził, że inna odpowiedź zraniłaby nas lub zjeżyła owłosienie na naszej delikatnej, zagranicznej skórze. Tak nie było, ale mógł tak oczywiście pomyśleć.

Na jasnej łące rodzina słońi objadała gałęzie na skraju gęstwiny. Jakies pięćdziesiąt metrów przed nimi czuwająca nad dwoma małymi słońkami samica ustawiła się na drodze, szykując się do natarcia. Rozpostarła uszy, potrząsnęła głową i skręciła trąbę, po czym ruszyła nagle z góry prosto na nasz samochód z trąbą zadartą do tyłu i histerycznym rykiem, a nie była to łagodna, bluesowa trąbka zwierząt żyjących w ogrodach zoologicznych, lecz syrena alarmowa szaleńca, przenikliwy ryk przewiercający uszy, poparty wściekłym spojrzeniem sprawiającym, że czuło się jego oddech na karku, chociaż cyklon nadciągał z przodu. Zmartwiałem i wtedy Simon krzyknął, abym wcisnął sprzęgło i nadepnął gaz do dechy i wówczas, w tym swoistym pojedynku na dźwięki, słonica przystanęła nagle ze zwiotczalnymi uszami i po chwili, zaganiając swoje pociechy, wycofała się po skosie, może dlatego, że cały ten atak był tylko blefem, a może kapitulowała w obliczu silniejszego, przynajmniej w emitowaniu hałasu. Nigdy nie wiadomo, czy jest to szturm prawdziwy, czy tylko demonstracja siły, wyjaśnił Simon, ale zawsze jest lepiej zakładać to najgorsze. Tutejsze słońie nie są jak słońie z innych parków, zauważył. Z uwagi na niewielki ruch w Aberdare nie są tak przyzwyczajone do widoku samochodów i trudno przewidzieć ich zachowanie. Poza tym bomby zrzucały w czasie wojny przez RAF doprowadzały je do szaleństwa i być może niektóre z nich pamiętają jeszcze tamte traumatyczne przeżycia. Przecież mówi się, że słońie nie zapominają.

Jechaliśmy przez park duktem, który to schodził w dół, niknąc pod koronami drzew, to wspinał się na grzbiety pokryte spaloną trawą. Od czasu do czasu jakiś potok, jak Chania, ten, który w dole poił gęstą i soczystą murawę hotelu Outspan, spadał kaskadami żywego, stopionego lodu, obryzgując frędzle kwitnącego aloesu, który wcale nie był aloesem, tylko *Kniphophia thomsonii*, poprawił Simon. Gura Falls, wodospad widoczny w oddali, zaledwie biała nitka na tle ściany dżungli, był tak wysoki i smukły, że wiatr

rozwiewał jego celownik i rozpylał w miriady pereł na przełęczy skapaną w wiecznej mżawce, gdzie każda kropla musiała drażnić w pojedynkę naszpikowany pułapkami grunt, aby móc połączyć się ze swoimi siostrami w macierzystym nurcie i kontynuować podróż ku morzu. W górach rozstrzygają się sprawy bardzo ważne, tam płaski szczyt oddzielający dwie kotliny decydował, czy wody spłyną do więzienia wewnętrznych jezior ryftu, czy podróżować będą swobodnie ku południowym morzom.

Wracając na torfowisko i kierując się ku chacie Sapper, zagadywałem Simona o powstanie Mau-Mau, a on informował mnie lakonicznie o wielkim *mugumo*, największym z wszystkich, u którego stóp generał Dedan Kimathi modlił się do Ngai i który, jak mówi legenda, runął na ziemię, kiedy rebeliant został pojmany. Opowiadał też o tym, jak partyzanci i Anglicy fabrykowali w szczelinach skał lub zagłębieniach między korzeniami drzew skrzynki kontaktowe służące wymianie wiadomości; i o tym, jak Mau-Mau zabezpieczali się przed wywęszeniem przez zwierzęta, myjąc się jedynie wodą i nacierając ziołami. Delsey milczał, wchłaniając otaczający go krajobraz skośnymi, zielonymi oczyma, aż zakomunikował nam swoją konkluzję:

- To zbyt małe i zbyt piękne pole walki jak na taki ogrom niemiłości.

Wtem między kępami brunatnej trawy kładącymi się pod tłoczoną blachą chmur dostrześliśmy samotnego lwa zakamuflowanego we włochatym krajobrazie. Był to szarawy samiec, którego szarość potęgował jeszcze brak światła przesłoniętego woalem zachmurzonego nieba, jak również niedostatek blasku pod jego skórą. Leżał na ziemi z dumnie uniesioną głową, wpatrując się szlachetnym i uważnym spojrzeniem w lodowatą pustkę torfowiska. Simon się zaśmiał.

- Torfowisko nie jest dobre dla lwa. Tutaj nie może zasadzić się na zdobycz, a jeśli nie poluje, nie je.

- Co w takim razie tutaj robi? - spytał Delsey.

- To bardzo stary *mzee*. Może przyszedł tutaj, żeby umrzeć.

Po południu przyjechał pod hotel autobus, który miał nas zabrać do Treetops. Weszliśmy na jego pokład z grupą sformowaną przez

młode, jasnowłose parki, jakiegoś emeryta z Florydy, liczny klan azjatyckich Kenijczyków, a nawet rodzinę z Madrytu, dojrzałe małżeństwo z dwoma synami w moim wieku, którzy umyśleli sobie podróżować na własną rękę podczas swojej pierwszej wizyty w Kenii i którzy poznawali kraj, blakając się po wertepach, na których nigdy nie odcisnęły śladu opony turystycznych mikrobusów. Gawędziliśmy w trakcie jazdy, podczas gdy udręczony silnik autobusu katowany na pierwszym biegu przekraczał barierę dźwięku, wciągając centymetr po centymetrze ciężkie cielsko na kordyliere. Jeden z chłopaków kończył biologię, drugi studiował architekturę. Jak ja, jak wszyscy, przyjechali do Kenii w poszukiwaniu realnego modelu pieszczonego całymi latami snu. I jak ja, jak wszyscy, coś tam znaleźli. Jedni szukali swojego dziadka, inni wspomnienia o miejscu, którym mogliby sycić ogień w kominku podczas siedmiomiesięcznych madryckich zim. Oni już znaleźli, ja jeszcze nie.

Obecny Treetops różnił się bardzo od tego, który poznał Hamish. Za sprawą zmasowanego ataku turystów domek na drzewie przestoczył się w zwalistą bryłę hotelu dysponującego pięćdziesięcioma pokojami. Cóż poradzić? - pomyślałem. Afryka nie jest już tym, czym była. Choć, jak gdzieś przeczytałem, niektórzy twierdzą, że właściwie nigdy tym nie była. Mimo wszystko Treetops to wciąż pozytywne doświadczenie, w którym można doszukać się posmaku dawnych dni w lesie Aberdare. Niewygodę i ciasnotę pomieszczeń trudno już było uznać za wiarygodną czy nieodzowną, raczej za elementy stanowiące o atmosferze parku tematycznego z nocną fauną. Ale ze zwierzętami czy bez, warto było spędzić noc, szczękając zębami z przeraźliwego zimna, w tym szczególnym, afrykańskim zakątku, znajdującym się bardzo blisko poletek *shamba* i głównej szosy, a jednak iluzorycznie pozostającym w izolacji. W Kenii bowiem liczy się marzenie, choćby było wynikiem czystej gry iluzji.

Pokój, który miałem dzielić z Delseyem, był kwadratową celką z dwoma barłogami, stoliczkiem na środku i bez łazienki. Otwierając przed nim drzwi do tego pokoiku lalek, mniejszego, jak przypuszczałem, od bagażnika jego limuzyny, gotowałem się na przyjęcie huraganu. Pierwsza reakcja nie była nieprzychylna.

- To jest ten pokój? - spytał. - To tutaj będziemy spać obaj?

- No... Tak.
- Aha, dobrze, dobrze.
- Delsey... Muszę panu wyznać coś jeszcze. W tym pokoju nie ma łazienki.
- Nie ma łazienki? Jak to nie ma łazienki?
- Nie ma. Łazienki znajdują się na korytarzu i są... wspólne.
- Wspólne? Dzielić z kimś łazienkę? - Liczyłem w myślach sekundy do grzmotu. - Do licha, a to ci przedni concept! To jak wrócić do szkoły! Cóż za znamienity hotel! Dzielić z kimś łazienkę, ha, ha, ha!

Pomyślałem wówczas, że choćbym nie wiem, jak się nabiedził, nigdy nie potrafiłbym zrozumieć mentalności kogoś, kto zamieszkuje w pojedynkę całą kamienicę usytuowaną na najdroższej ulicy Paryża i kto w rezerwie ma jeszcze zamek. Wymykała się ona mojej zdolności pojmowania, jak piąty wymiar, Bóg czy nieskończoność.

Po południu poczęstowano nas kawą, herbatą i ciastkami na odkrytym tarasie, wszystko gratis. Elegancki gest, z którego Treetops zrezygnował w późniejszych latach, jak z wielu innych rzeczy. Siedzący obok nas turysta skarżył się na niewygodę miejsca. Nie posądzałem go o zamek i przypomniałem, że nawet angielska księżniczka spała tu na składanej pryczy w wersji Treetopsa o wiele prymitywniejszej, uciążliwszej i bardziej lodowatej niż współczesna. Jasne, że pod tym względem czasy zmieniły się również. Współcześni mandaryni angażują się w podobne historie jedynie wówczas, gdy stoi za nimi jakaś nadająca się na sprzedaż fasada dobrej sprawy, nie zapominając przedtem nadstawić swojego bardziej fotogenicznego profilu z myślą o zdjęciach do magazynów drukowanych na lśniącym papierze. Zwykłej rozrywki nie uważa się już za dobrą sprawę, przynajmniej nie za taką, o której można mówić publicznie.

Ruch hotelowych koców wzmógł się, kiedy chłód zaczął przenikać drewniane ściany. Niektórzy goście zamknęli się w swoich kabinach z włączonym brzęczykiem, aby nie stracić ewentualnego gwiazdorskiego występu lwa lub nosorożca. Inni zabarykadowali się, wyłączając brzęczyk, żeby żaden nosorożec nie rozdarł im swoim rogiem życiodajnego snu. Większość z tych, którzy pozostali na czatach, zbiła się w ciepłym kącie za szybami salonu.

Niedobitki masochistów i fetyszystów, do których i ja należałem, rozkoszowały się agresywnym zimnem na odkrytym tarasie, spowici w ciepłe okrycia.

Za dnia stado samic *waterbuck* żerowało obok mniejszej sadzawki za tylną fasadą, a grupka bawołów zaspokajała pragnienie w rozległym, głównym wodopoju i wylizywała sól ziemi, i nie chodzi tu o biblijną metaforę, tylko o czysty chlorek sodu, który obsługa *lodge* rozsypuje tam przed nadejściem gości. Wraz z zapadnięciem zmroku zjawilo się dwóch małych abonentów Treetops, aby rozejrzeć się w sytuacji i spróbować, co też tam się pichci na tacach przytwierdzonych do poręczy tarasu: łaszą i galago. Ten ostatni dżentelmen bardziej przypadł mi do serca pod angielską nazwą, *bushbaby*, bobas z buszu.

Jakiś czas potem w dużej sadzawce odbyło się tłumne, obywatelskie zgromadzenie słoni. Olbrzymie, małe, z ciosami i szczerbate zawładnęły placem i na naszych oczach wykonały pełny repertuar zabiegów właściwych gruboskórym, łącznie z bezwarunkowym uwolnieniem niebagatelnych kontyngentów gazu w przestrzeń zewnętrzną. Na peryferiach monumentalnej słoniny jakiś byk zburzył cień w miejscu, gdzie dogasał krąg światła reflektorów. Nie pozostając daleko w tyle za pierwszym, wparował drugi i potem następne, i po kilku minutach płynął już niekończący się, rwący potok bawołów przecinający niemal w pół świetliste koło i można było odnieść wrażenie, że zwierzęta rozpływają się łagodnie w czerni, aby natychmiast obieć z tyłu krzaki i stanąć na nowo w kolejce do niekończącego się korowodu rogatego bydła. Po drodze wielu pielgrzymów przystawało, aby zabawić chwilę przy wolno dostępnym barze wodopoju, rozważnie stawiając kroki pod gniewnymi i nieufnymi spojrzeniami obywateli słoni. Przypominało to sytuację, w której dwie rywalizujące bandy wpadają na siebie przypadkowo na osiedlowym boisku do koszykówki. Z naszej loży konfrontacja ta wyglądała jak sportowa rywalizacja albo korrida i gdyby nie zalecana cisza, aby nie wypłoszyć zawodników z boiska, dałyby się z pewnością słyszeć pohukiwania, komplementy i wiązanki słane przez zwolenników obydwu ekip, gdzie bawoły odgrywały rolę faworytów, słonie zaś broniły swojej bramki, stosując klasyczne

catenaccio i nie dlatego może, by były słabsze w grze ciałem, ale bardziej inteligentne, przez co bardziej świadome ryzyka.

Usiedliśmy z Delseyem o kilka kroków od zamkniętego już dachowego baru, a po naszej lewej stronie okopała się madrycka rodzina w osłabionym składzie bez ojca, który wolał liczyć owce niż bawoły. Widząc puste szklaneczki, ziomkowie zaoferowali nam uprzejmie napełnienie ich odrobiną atomowego paliwa rodem z Segowii, whisky Dyc, która była oficjalnym napojem ich podróży i którego strzegli jak oka w głowie w dwóch pierścionkach.

Kiedy dynamika meczu przygasła, rozłożyłem kartkę wyciągniętą z kieszeni i roztrzaskałem o nią bezradne oczy. „Wkrótce dzień będzie”. Co u diabła chciała przez to powiedzieć? Nie miałem najmniejszej ochoty debatować nad tą aberracyjną grą, a jednak nie mogłem oderwać myśli od tych trzech przeklętych słów ani od uzależniającej treserki neuronów, która wryła mi je w mózgu. Metafora naszego związku? Odniesienie do jej studiów? Czysta, czasowa zbieżność z chwilą, w której poczuła nagłą inspirację, by przesłać mi znak życia? Czy może po prostu robiła sobie ze mnie jaja? Zatopiłem wzrok w sylwetce drzew, których jednolita plama odciskała się na tle gęstego od chmur nieba. Nagle odwróciłem głowę i spojrzałem na Delseya, i znowu na faks. Mónica była ze mną podczas pierwszego spotkania z Delseyem na rue Royale. Delsey wyrecytował z pamięci jakiś literacki fragment, jak to miał w swoim zwyczaju. Mónica wiedziała, że gdy dostanę tę wiadomość, będę w towarzystwie Delseya. I Mónica była kuta na cztery nogi...

- Delsey...

- Tak, chłopcze?

- Chciałbym zacytować panu kilka słów i zapytać, czy nie kojarzą się panu z jakimś tekstem literackim?

- Naturalnie, chłopcze.

- „Wkrótce dzień będzie”.

- „Wkrótce/dzień będzie: rada bym, żebyś już odszedł;/Nie dalej jednak jak ów biedny ptaszek,/Co go swawolna dziewczka z rąk wypuszcza/ I wnet zazdroszcząc mu krótkiej wolności/Jak

niewolnika trzymanego w więzach/ Jedwabnym sznurkiem przy-
ciąga na powrót"*.

Zatkało mnie. Nie znajdowałem słów podziwu zarówno dla
Delseya, jak i dla Moniki.

- Co to jest?

- „Romeo i Julia”, akt drugi, scena druga.

Wszystko jasne. Podczas tamtego spotkania w Paryżu Delsey
zacytował inny fragment „Romea i Julii”. Wydawało się, że tą aluzją
Mónica chce dać mi do zrozumienia, że poczyniła przynajmniej
refleksję na temat naszego związku i miejsca w nim każdego z nas,
choć nie potrafiłem zinterpretować jej przesłania względem
przeszłości.

- Czy to wiadomość od pięknej Moniki?

- Tak. Jak pan myśli, co chce mi przez to powiedzieć?

- Że cię kocha.

- Naprawdę? Myśli pan?

- Oczywiście. Romeo i Julia wyznali sobie właśnie obustronne
uwielbienie, lecz dzieli ich mur, którego przebycie nie leży w ludz-
kiej mocy: mur ich nazwisk. W tej scenie przypieczętowuje się
niezniszczalne przeznaczenie ich miłości, która pokona każdy falo-
chron stający na drodze ich namiętności, zwyciężając nawet samą
śmierć.

- Ale mówi o rozstaniach.

- Niewątpliwie. Tamtej nocy Julia oświadcza Romeowi na pożeg-
nanie: „Dobranoc/luby! jeszcze raz dobranoc! Takam w życzeniach
niepohamowana/Żeby dobranoc wołała do rana”. Gdy dusza miłuje
lubego, miłuje również miłość, dla duszy zaś krwawiącej cierpieniem,
po tym, jak oderwano od niej jej kochanka, tęsknota miłości jest
żarliwą pasją, która koi ową namiętność miłowania bardziej nawet
niż miłość spełniona, gdyż jest to miłość imaginacyjna.

- Hm... Myślę, że rozumiem. Spodobało się jej tęsknić za mną
z oddali, ale to ją zaczyna już męczyć. Stąd to „choć go kocha, nie
da mu wolności”.

William Szekspir, „Romeo i Julia”, przeł. Józef Paszkowski, PIW, Warszawa
1955 (przyp. tłum.).

Delsey popatrzył na mnie uważnie.

- Tak, twoje objaśnienia cechują się większym..., by tak rzec, praktycyzmem.

Pociągnęliśmy łyk, odrywając wzrok od rozdania zoologicznego pokera rozgrywanego u naszych stóp.

- Delsey, co pan zrobi, jeśli nie odnajdziemy Hamisha?
- Wrócę do swojej rezydencji i swoich spraw, do ziejących ogniem artykułów, do płomiennych wystąpień telewizyjnych, do moich restauracji, rzeźb, podróży do Monako, spotkań towarzyskich...
- A jeśli go odnajdziemy?
- To samo.
- To samo?

Delsey zamyślił się przez chwilę, nim odpowiedział.

- Curro, czy gustujesz w korridzie?
- Cóż, szczerze mówiąc, nie bardzo się na niej wyznaję. Dlaczego pan pyta?
- Czy widziałeś kiedyś toreadora wynoszonego z areny na ramionach tłumu przez główną bramę po przeciętnej walce?
- Kiedy możliwa jest taka sytuacja?
- Kiedy w chwili zadania ostatecznego ciosu, w swoim boskim splendorze daje o sobie znać gracja i elegancja mistrza, skoordynowana subtelność ruchów zakończona tym piorunującym wyładowaniem siły, za którym nieomal nie nadaża ludzkie oko, ale również w następującej po nim plastycznej harmonii śmierci byka chylącego się ku ziemi lekko niemalże jak sitowie kładzione wiatrem, nie tracąc ani na sekundę swej szlachetności, gdy wydaje ostatnie tchnienie, w rozluźnieniu czarnych, zlanych potem węzłów jego wspaniałej muskulatury, w definitywnej atrofii jego aroganckiej kompleksji. Wówczas gdy po mdłej walce ów ulotny, finałowy błysk okazuje się ucieleśnieniem niedościgłości.
- Rozumiem. - Pojąłem sens tego porównania i co znaczyły w tym momencie jego życia podjęte przez nas poszukiwania. - Nie wiedziałem, że jest pan miłośnikiem korridy. - Uśmiechnąłem się.
- Wyznam ci pewien sekret. - Pochylił ku mnie głowę i z szelmowskim uśmiechem szepnął: - Jestem Hiszpanem, którego nasza

własna wojna o niepodległość nie wyzwoliła z niewolniczych, żabojadzkich kajdan. - Rozbawił mnie ten ironiczny dowcip. - A teraz, jeśli pozwolisz... - Podniósł się z krzesła. - Myślę, że w wystarczającym już stopniu nasyciłem swoje zmysły eschatologią trąbowców. Tutejsze góry są wyjątkowo piękne i *chic* tego przybytku jest bezdyskusyjny, nie wyłączając dowcipnej innowacji polegającej na dzieleniu łazienki. Lecz odczuwam niewymowną czczość w obliczu destylacji romantyzmu i poezji tego festiwalu słoniowych defekacji. Dobranoc, Curro.

- Dobranoc, Delsey. I dziękuję.

- Za co, chłopcze?

- Nie wiem. Dziękuję. - Wzruszyłem ramionami. - Proszę odpocząć. Mnie się to podoba. Posiedzę jeszcze chwilę, ciekaw jestem, kto wygra, słonie czy bawoły.

Zostawszy sam, wróciłem do swoich cierpiętniczych zmagania z Mónicą. Nie byłem pewny, czy dokonałem poprawnej interpretacji jej przekazu. Wersja zaproponowana przez Delseya była być może jedynie woluntarystycznym odbiciem jego dobrej natury. Postanowiłem odpowiedzieć na jej faks następnego dnia zaraz po powrocie do Outspan, żądając numeru telefonu, pod którym mógłbym ją zlokalizować, żeby porozmawiać wreszcie telefoniczną twarzą w telefoniczną twarz, w ludzkim języku bez zagadek, zgadywanek i całego tego zawracania głowy.

Gdy roztrząsałem namiętnie składające się z trzech słów zaklęcie „wkrótce dnieć będzie” i głowiąc się nad jego przypuszczalnym znaczeniem, myśli zaczęły mi krążyć w głowie jak pranie w bębnie pralki, lecz skutek był odwrotny: im dłużej wirowały, mniej jasne się stawały. Jakiś głos z tyłu wypchnął mnie z bębna.

- Curro, widziałeś to? Na ścianie na schodach i w salonie na dole pełno jest starych wycinków z gazet na temat Treetops. Jeśli twój dziadek był tutaj w tamtych latach, może znajdziesz o nim jakąś wzmiankę, pomocną wskazówkę.

To jeden z madryckich braci. Streściłem im swoją historię w czasie podróży autobusem.

- Wielkie dzięki. Chociaż wątpię, aby mógł się załapać na tę honorową prasówkę. Dziadek nie był żadną sławą, lecz zwykłym, anoniowym człowiekiem. W każdym razie dzięki.

Moja gimnastyka umysłowa dała susa z tatami Moniki na tatami Hamisha. Zastanawiałem się, co zrobimy, jeśli nasze przespiegi w Nyeri nie przyniosą żadnych rezultatów w postaci jakiegoś konkretnego śladu. Do powrotu dyrektora Outspan pozostawało jeszcze dwa dni, a ja nie byłem w nastroju, by spędzić ten czas, grając w golfa czy łowiąc pstrągi. Powinniśmy go spożytkować, wyciskając do ostatniej kropli nasze możliwości i przenosząc poszukiwania na ulicę. Tylko, jakie możliwości? Na razie jedyną klarowną koncepcją przychodzącą mi do głowy było zamieszczenie w gazecie Kena nowego ogłoszenia, tym razem uzupełnionego powiększoną fotografią przysłaną przez Dane Macomber i może przydomkiem Bwana Fidla. Jeśli jednak zdjęcie było niepodlegającym dyskusji faktem, to drugie miało jedynie charakter sensownego domysłu i być może powinniśmy spróbować uzyskać najpierw więcej danych na temat tożsamości Bwana Fidli, zanim ponownie zaaplikujemy pijawki na skórę z kapibary Delseyowego portfela.

W starciu między bawołami i słoniami utrzymywał się techniczny remis i biorąc pod uwagę opartą na wzajemnym szacunku postawę obu ekip walczących na niekontaktowy dystans na zalanym światłem ringu, należało wątpić, aby zwycięstwo przez nokaut mogło nastąpić w krótkim czasie. Łamało mnie zmęczenie i postanowiłem się położyć. Była druga w nocy. Na tarasie trwali jedynie dwaj madryccy bracia gotowi raczej polec z wycieńczenia niż się poddać. Pożegnałem się, pożyczylimy sobie szczęścia i powlokłem się ku wąskim schodom.

Wisiały tam, na co zwrócił mi uwagę jeden z braci, oprawione w ramki stare wycinki prasowe na temat Treetops. Jeden z nich informował o niezwykłym wydarzeniu. Otóż w pamiętną noc pobytu w *lodge* angielskiej księżniczki Elżbiety i jej męża, dwa *waterbucks* uzbrojone w stalowe rogi starły się na śmierć i życie pod sztucznym księżycem Treetops i jeden z nich padł w walce. Jego głowa zdobiła ścianę jednego z salonów hotelu Outspan. Przypomniało mi to anegdotę o polowaniach Franco krążącą wśród hiszpańskiego ludu - nigdy nie dowiedziałem się, ile było w niej prawdy, a ile legendy - zgodnie z którą generalissimusowi wypychano przed sam nos jelenie, tworząc tym samym ożywiony pierwowzór maszyny

miotającej rzutki, żeby mógł się nastrzelać do woli. W wypadku elżbietańskich *waterbucks* dziennikarz zapewniał, że nie mogło być mowy o manipulacji, że zwierzęta nie były wytresowanymi statystami i że ów fenomen, który zachodził może raz na dwa pożary Treetops, wydarzył się tamtej nocy przez czysty i autentyczny przypadek. Kto wie.

Otóż to, pożary. Zszedłem po schodach, łypiąc kątem sennego oka na kolejne historyczne świadectwa, chociaż mój umysł stać było jedynie na przetworzenie informacji potrzebnej, by dotrzeć do łóżka. Nagle pewien wycinek przykuł moją uwagę. Była to notka o pożarze dawnego Treetops, o którym dowiedziałem się z relacji Hamisha. Spojrzałem na wycinek z czystej ciekawości i wówczas moje zmęczone oczy rozwarły się tak gwałtownie, że omal nie załatwiłem sobie gruczołów łzowych. Bo był to nagłówek:

HISTORYCZNY HOTEL TREETOPS ZNISZCZONY PRZEZ POŻAR

Był to nagłówek z relacji Hamisha! Mógł to być kolejny zbieg okoliczności, jak w wypadku *waterbucks*, ale był on absolutnie zobowiązany, by nie być zbiegiem okoliczności ani plagiatem, ani żadną inną możliwością, którą odrzuciłem, nim zdołałem ją sobie w ogóle wyobrazić. Przeczytałem pierwsze linijki. Nie znałem tekstu Hamisha na pamięć, ale znałem jego strukturę, styl ekspresji i po kilku sekundach wiedziałem, że to był jego artykuł. Z buzującą w układzie nerwowym adrenaliną, jak wówczas w Masai Mara, gdy otrzymałem fotografię, omiotłem spojrzeniem tekst, szukając firmującego go nazwiska korespondenta. Niejaki Igor S. Mazejev. Na Boga, cóż to mogło znaczyć?

W pobliżu nie było żywej duszy, zdjąłem więc ramkę i pognałem z nią do pokoju. Otworzyłem drzwi, zamknąłem je i nie mogąc powstrzymać ruszającej do galopu tachikardii, skoczyłem w stronę garbu śpiącego na jednym z barłogów.

- Delsey! Delsey! Delsey!

Potrząsałem nim, aż wykazał oznaki przytomności.

- Co... co się stało? Lew? O co chodzi?

- Nie, nie, to Hamish!

- Słucham? - Z właściwą sobie gibkością, jaką potrafił wyczerować na specjalne okazje, usiadł na łóżku.
- Proszę spojrzeć, to Hamish! Ten artykuł napisał Hamish! Jest w manuskrypcie, który wysłał mi do Lux Domini!
- Jesteś pewny?
- Jak tego, że pana widzę! Proszę, podpisał się niejaki Igor S. Mazejev! Czy mówi panu coś to imię?
- Igor...? Tak, naturalnie! Igor to drugie imię Hamisha! Hamish I. Sutherland! „I”, czyli Igor, imię, które dała mu jego matka! Mazejeva to nazwisko panieńskie jego matki! Święty Boże!
- Delsey! Odnaleźliśmy go! Odnaleźliśmy go!

Sonata wiecznej wiosny

To nie było dokładnie tak. Nie odnaleźliśmy go. Ale teraz znaleźliśmy imię i nazwisko, którym podpisał jedną ze swoich relacji, a trudno było przecież zakładać, żeby korespondent opatrywał każdy artykuł innym pseudonimem. Uprawnioną naturalnie była teza, że mógł to być tylko pseudonim dziennikarski, lecz fakt, że nie znaleźliśmy cienia śladu prywatnego czy urzędowego Hamisha Sutherlanda, zachęcał nas, by ucześcić się hipotezy, że podejrzenie, jakie powzięliśmy w stosunku do Bostona Sharka było trafne, że Hamish zmienił tożsamość, prawdopodobnie w wyniku zerwania zaręczyn z Cordelią i że od tego momentu wszystkim znany był jako Igor S. Mazejev. To nazwisko było dla nas wszystkim. Z nim nie mogliśmy spudłować. W najgorszym i w najmniej upragnionym z przypadków, myślałem, wyruszę znowu w drogę krzyżową po urzędach administracji państwowej, tym razem jednak szukając właściwego nazwiska. Jednak postanowiliśmy twardo, że do tego nie dojdzie. Znajdziemy go, mówiliśmy, ale w eleganckim stylu i przy wtórze triumfalnych fanfar.

Kiedy tamtego ranka wsiedliśmy do samochodu w Outspan, nie mieliśmy żadnego konkretnego planu ani konkretnego pomysłu, dokąd skierować swoje kroki. Wjechaliśmy do Nyeri aleją Kimathi Way, mijając wejścia do banków, sklepów, biur administracji publicznej z głębokim przekonaniem, że w jakiejś szufladzie jakiegoś gabinetu, w którymś z tych budynków spoczywa formularz, rejestr lub fizyka nosząca imię i nazwisko Igora Mazejeva. Pytanie tylko, gdzie?

Nie był to plan doskonały, ale przynajmniej mieliśmy jakiś plan. Zatrzymaliśmy się przed sklepem papirniczym, gdzie zaopatrzyłem się w korektor w płynie i taśmę klejącą. Wróciłem do samochodu i wziąłem kurs na urząd pocztowy. Wsiadłem, wszedłem i obrzuciłem wzrokiem ścianę, na której mieściły się skrytki pocztowe. Na chybił trafił wybrałem numer 128 i wróciłem do Delseya czekającego na mnie w samochodzie.

- Myślisz, że zadziała? - powątpiewał.

- A dlaczego by nie? - odparowałem, nie dopuszczając myśli o porażce.

Otworzyłem zeszyt na czystej stronie i podałem go Delseyowi wraz z długopisem. Następnie wyszperałem z torby kopertę otrzymaną od Dany Macomber. Wyjąłem z niej list i zdjęcie, schowałem obie te rzeczy na powrót do torby, a na kopercie warstwą korektora zamaskowałem swój adres z hotelu Norfolk. Poczekałem, aż przeschnie, i napisałem:

Mr. Igor S. Mazejev

PO Box 128

Nyeri, Kenia

Po kilku minutach Delsey zwrócił mi zeszyt. Przeczytałem słowa jego przesłania:

Najdroższy Hamishu,

To ja, Delsey, Twój dawny i na wieki przyjaciel na przekór burzliwym porywom losu i, wyznaję to z uroczystą pokorą, popełnionym przez siebie nikczemnościom, które rozerwały bezcenną przyjaźń splecioną za pomocą tej jakże szlachetnej łożyny. Przebywam w tym afrykańskim kraju, tu, w mieście Nyeri, z Currem, Twoim wnukiem, który Cię kocha. Od długiego już czasu wypatrujemy Twych śladów w tych pionierskich rubieżach i niczego nie pragniemy bardziej niż tego, by objąć Cię w braterskim uścisku. Zaklinam Cię, przyjmij wyciągnięte ku Tobie dłonie, składające Ci ofiarę z naszego wiekui-stego oddania. Zatrzymaliśmy się w hotelu Outspan, gdzie będziemy oczekiwać wieści od Ciebie przez najbliższych dni siedem. Jeślibyśmy w ciągu tego czasu nie otrzymali od Ciebie wiadomości, wrócimy do Nairobi, do hotelu Fairview. A jeśliby absencja Twego zbawcze-

go uścisku zmusiła nas, zdruzgotanych i upadłych na duchu, do powrotu na łono europejskiej ojczyzny, poniżej zamieszczam swój adres w Paryżu oraz adres Curra w Madrycie. Na zawsze Twój,

DELSEY

- Świetnie - oznajmiłem.

Wyrwałem kartkę, zanotowałem swój madrycki adres pod wiadomością obok adresu Delseya, złożyłem kartkę na pół, włożyłem ją do koperty i zakleiłem rozdarty brzeg taśmą. Spojrzałem na Delseya i westchnąłem.

- Gotowe. Teraz to, z czym sobie nie radzę. Wciskanie kitu.

- Powodzenia, chłopcze.

Wróciłem na pocztę i uderzyłem prosto do okienka.

- Dzień dobry!

- Tak, słucham? - Z drugiej strony lady podszedł do mnie młody chłopak w białej koszuli o wyglądzie nowicjusza. Tym lepiej.

- Widzi pan, odebrałem pocztę z mojej skrytki i po powrocie do domu stwierdziłem, że ten list nie jest do mnie. Numer skrytki jest prawidłowy, ale nie zgadza się nazwisko. Otworzyłem kopertę, bo pomyślałem, że może nadawca pomylił nazwisko. Ale ten list nie jest do mnie, myślę więc, że to numer skrytki jest niewłaściwy. Czy byłby pan uprzejmy wrzucić go do skrzynki tej osoby?

- Ma pan tutaj swoją skrytkę? Nie przypominam sobie pana. - Reakcja pocztowca figurowała na mojej liście możliwych komplikacji, chociaż nie w departamencie tych najbardziej krytycznych, na czele których szczyrzyła kły ewentualność, że wybrany przeze mnie na chybił trafił numer może być numerem skrytki pocztowej obsługującego mnie właśnie urzędnika.

- Tak, to skrytką mojej rodziny - skłamałem nerwowo.

- Pan jest tutejszy?

- Moja rodzina ma tutaj farmę. - Pomyślałem o klanie Trevora i wzniosłem się na szczyty swoich przyziemnych umiejętności, aby wcielić się w jednego z białych Kenijczyków, zmieniając ton turysty żółtodzioba na pewny głos cynicznego i otrzaskanego z życiem osadnika. - Urodziłem się w Kenii, ale mieszkam w Europie. Spędzam

tutaj wakacje, jest wspaniale, dziękuję, jeśli już o to pan pyta. Proszę pana, czy naprawdę muszę opowiedzieć swój życiorys, żeby móc oddać list? Zamiast z panem, chętnie porozmawiać z pańskim szefem, jak pan woli.

Strategia obrażonego petenta poskutkowała. Rozluźnił zmarszczki spinające mu czoło i wziął ode mnie list, oglądając go uważnie. Odszukał jakąś księgę i otworzył ją. Uniósł wzrok i spojrzał na mnie pytająco.

- Życzy pan sobie jeszcze czegoś?

- Nie, to wszystko. Bardzo dziękuję.

Skierowałem się do wyjścia, mijając po drodze Delseya zajmującego stanowisko przy ścianie ze skrytkami i sprawiającego wrażenie najmniej dyskretnego szpiega świata z dłonią podpierającą brodę i łokciem opartym na dłoni drugiej ręki przyciśniętej na piersi, spacerującego w kółko z wyrazem twarzy uczciwie informującym o tym, że knuje coś niezgodnego z prawem. Usiadłem w samochodzie i zaczekałem.

Po pięciu minutach nadszedł Delsey zdenerwowany i rozdygotany jak mały chłopczyk, który właśnie zniszczył swoje nowe buty.

- Mamy go! Mamy go! Wrzucił list do skrzynki! Hamish ma swoją skrytkę pocztową! Jej numer to sto dziewięćdziesiąt siedem!

- Brawo, Delsey! Jesteśmy coraz bliżej! Jest pan pierwszorzędnym szpiegiem!

- Czy znając ten numer, nie moglibyśmy dowiedzieć się, jaki jest jego adres?

- Nie sądzę. Jeśli mieszka w górach, może w ogóle nie mieć adresu jako takiego. Dlatego właśnie wiele osób korzysta ze skrytek pocztowych. Ale teraz czeka na niego nasz list. Na jego miejscu raz na tydzień przyjechałbym do miasta odebrać pocztę. Jeśli zatem w ciągu siedmiu dni nie otrzymamy odpowiedzi, zmuszeni będziemy zaakceptować porażkę. Może to być bardzo długi tydzień.

- I co teraz?

- Jedziemy na cmentarz.

- Na cmentarz? - Na jego oblicze spłynął cień. - Umarli nie mają skrytek pocztowych.

- Umarli nie mogą też zrezygnować z usługi skrytki pocztowej.

Takie świadczenie anuluje się jedynie w chwili, gdy klient zalega z opłatami, ale jest to możliwość, którą powinniśmy brać pod uwagę.

Na cmentarzu przy kościele St. Peter's rozproszony oddział skautów kluczył między grobami, zmiierzając z różnych kierunków ku pęczniającej grupie kolegów gromadzących się wokół miejsca pochówku swojego ojca założyciela, lorda Baden-Powella, pogrzebanego tam po spędzeniu ostatnich lat życia w usytuowanej przy wejściu do Outspan chacie wzniesionej specjalnie dla niego przez pierwotnego właściciela hotelu, Erica Sherbrookea Walkera. Spacerowaliśmy wśród mogił uzbrojeni w paradoksalne pragnienie kogoś, kto szuka z nadzieją niezalezienia niczego, z wyjątkiem pewności, że to, czego szuka, tam się nie znajduje. Dojrzałem starszego mężczyznę wyekwipowanego w kombinezon i skierowałem kroki w jego stronę, aby zasięgnąć języka.

- Przepraszam, czy mógłby pan...?

Nie dając mi cienia szansy na dokończenie zdania, uniósł rękę i wskazał drogę, którą podążali skauci.

- Baden-Powell? - rzucił beznamiętnie. Już miałem zabrać się do wyjaśniania, że nie tego szukam, gdy wtem wdarł się między nas krzyk Delseya.

- Curro! Chłopcze! Spójrz na to!

Rzuciłem się w stronę miejsca, gdzie Delsey zastygł przed jakimś nagrobkiem, który ja widziałem od tyłu. Obawiając się fatalnego znaleziska, rzuciłem najpierw okiem na barona, nim odważyłem się wykonać obrót, aby zobaczyć to, na co on patrzył. Jego twarz nie wyrażała smutku ani rozczarowania, raczej zdumienie. Wnet odkryłem jego przyczynę. Był to nowy i bardzo zadbany nagrobek, na którym wyryty był napis:

NJOKI WA MAZEJEV

ur. 1952

zm. 8 WRZEŚNIA 1991

Odczytałem nazwisko, odczytałem daty, dokonałem ich analizy i połączyłem wątki.

- Delsey, to musi być ta mała dziewczynka z Lari! Ta, którą Hamish ocalił z rzezi! Adoptował ją! Przepraszam, proszę pana!

- Zwróciłem się znowu do grabarza. - Przepraszam, co oznacza słowo Njoki? Czy to imię kobiety w języku Kikuju?

- Ta, która wróciła spośród zmarłych - odpowiedział mężczyzna.

- To znaczenie tego imienia?

- Tym imieniem nazywano dziewczynkę, której starsze rodzeństwo zmarło.

- Delsey, miał pan rację. Hamish uczynił naprawdę wspaniałą rzecz. Ofiarował tej dziewczynce nowe życie.

- Czyżbyś przez chwilę wątpił, że mógłby uczynić mniej? - Obaj wpatrywaliśmy się w grób z nieufną pewnością, że po tym mozolnym i ciernistym dochodzeniu odnaleźliśmy wreszcie materialny, niepodważalny ślad. Delsey ciągnął dalej: - Mój Boże, umarła niespełna rok temu. Nie miała jeszcze czterdziestu lat. Dlaczego tak młodo? Nieszczęsna istota.

- Przepraszam raz jeszcze. Czy znał pan tę kobietę? - zapytałem mężczyznę w kombinezonie.

- Nie, proszę pana. Ale kopałem dla niej grób.

- Pamięta pan może, kto zlecił pochówek? Kto panu zapłacił czy dał napiwek, jakkolwiek szczegół?

- To był *mzungu*. Bardzo stary człowiek.

- Pamięta pan, jak się nazywał?

- Nazywano go Bwana Fidla.

- BWANA FIDLA? Wie pan może, gdzie mieszka?

- Przyjechał stamtąd. - Powędrowałem wzrokiem za trajektorią jego wyciągniętej ręki, biegnącej dalej grzbietem wyprostowanego palca i niknącej za drzewami w odległych górach.

Będąc tak blisko już, niemal dotykając opuszkami palców kresu naszej drogi, postanowiliśmy, że dzień ten nie skończy się dopóty, dopóki nie dotrzemy do Hamisha. Wróciliśmy do hotelu, żeby coś przegryźć i spoczęliśmy na chwilę z wyciągniętymi nogami muskani słońcem przedzierającym się przez cumulusy, z głowami zaś pogrążonymi w wirze lęku i euforii. Nim uwikłaliśmy się w drogi prowadzące w góry z jednym tylko bezpretensjonalnym planem rozpytywania miejscowych o Bwana Fidłę, nie zapomniałem wysłać faksu do Moniki, w którym prosiłem o jej numer telefonu w Nowym

Jorku. Śpieszyliśmy się, napisałem więc kilka słów na odwrocie „Wkrótce dnieć będzie” i poprosiłem recepcjonistkę, aby przefaksowała je na numer nadawcy znajdujący się na awersie kartki. Zanim spełniła moją prośbę, podała mi złożony karteluszek.

- Wiadomość dla pana.

Rozłożyłem liścik i go przeczytałem. Była to wiadomość telefoniczna od Makeny. Wiadomość nieoczekiwana i wspaniała:

Niewiarygodne wieści. Moja matka zna Bwana Fidlę. Jedź do Mweiga i skręć w lewo na rozjeździe w stronę Ark Gate parku narodowego. Po dwóch kilometrach skręć w prawo, przejedź przez wioskę i kilometr dalej, na kolejnym rozjeździe skręć w lewo i jedź cały czas prosto, aż napotkasz rzekę. Jeśli nie znajdziecie domu, zawróćcie do wioski i tam spytajcie. Powodzenia. Całuję. Mak.

PS: Jutro *kiboko* wraca do domu.

Wyobrażam sobie, że gdy recepcjonistka wróciła od telefaksu, żeby wręczyć mi potwierdzenie wysłania wiadomości, jedyne, co zdołała zobaczyć, to obłok dymu, jaki wyprodukowały podeszwy moich butów trące o drewnianą podłogę salonu Outspan. Bo ja w tym czasie, wymachując nowiną od Makeny i śmiejąc się na całe gardło, gnałem już w kierunku zielonego i świetlistego obrazu, w którego ramach rozkwitał ogród, i ku temu narożnikowi obrazu, w którym czerwony daszek osłaniał drewniany stół, na którym stał kieliszek pimm'sa okolony dłonią, której właściciel patrzył na daleką sylwetę góry Kenia i który po chwili odwrócił oczy, wypatrując źródła tego rwetesu, i chociaż ja nic jeszcze nie powiedziałem, widząc wyłącznie triumfalną łunę, w jakiej skąpane było moje oblicze i papierek powiewający w moich palcach, wybuchnął radosnym śmiechem.

Dziesięć minut później, jadąc w kierunku Mweiga zgodnie ze wskazówkami Makeny, pławiłem się w niezwykłym uczuciu porównywalnym ze stanem łaski pozwalającym przeczuwać smak triumfu; ze stanem łaski, którego doświadcza zapewne zwycięzca w chwili, gdy tuż przed wstąpieniem na najwyższy stopień podium przed jego oczyma przewija się pełna droga, jaką musiał przebyć, aby dotrzeć do tego miejsca.

- Delsey, czy nie wydaje się to panu niezwykle? Wszyscy mieli swój niebywały wkład w to, abyśmy mogli się tutaj znaleźć. Bez nich nie byłoby to w ogóle możliwe. Mónica pomogła mi dotrzeć do pana i podsunęła pomysł z ogłoszeniem w gazecie, dzięki któremu uzyskaliśmy informację o Bwana Fidli. Pan miał fenomenalne przeczucia dzięki znajomości Hamisha, Ken wydobył spod ziemi kontakt, który pozwolił mi dotrzeć do córki angielskiego reportera, co pomogło nam wykluczyć wątek Bostona Sharka, Makena zaś zlokalizowała miejsce pobytu Bwana Fidli. Nie mówiąc już o tych wszystkich, którzy z mniejszym lub większym szczęściem, ale pełni dobrej, nieprzymuszonej woli udzielili nam pomocy, jakiej nikt inny nie mógłby nam ofiarować: Ian, który przedstawił mnie Trevorowi, Trevor i jego rodzina, otwierając nam drogę do Bostona Sharka, znajomy Kena, matka Kena, matka Mak, a nawet jubiler Rajeev, Pius, Maina, cioteczna babka Victoria, moja matka, urzędniczka z francuskiego konsulatu czy ten chłopak z Madrytu w Treetops, który zwrócił mi uwagę na stare wycinki prasowe, na które, gdyby nie on, pewnie bym nawet nie spojrział. I oczywiście moja ukochana Uke i jej wspomnienia. Sądziłem, że podejmuję samotne dochodzenie, że osiągnę cel, opierając się wyłącznie na własnych siłach, bez niczyjej pomocy. Że to będzie moja przygoda, mój wielki reportaż. Moje osobiste wyzwanie. A teraz zdaję sobie sprawę, że byłem w tym wszystkim zaledwie nicią przewodnią, narratorem historii, gdzie ważny jest nie on, lecz ludzie, o których opowiada.

- Zapominasz o kimś, kto odegrał w tej historii fundamentalną rolę.

- O kim?

- O samym Hamishu.

- Sądzi pan, że on pragnie, abyśmy go odnaleźli?

- Nie mam najmniejszych wątpliwości. Nie zapominaj, że w jego rękopisie znajdują się kluczowe wskazówki. Curro... myślę, że Hamish umiera. Że ciężar przeżytych lat przygniata jego mocarne ongiś plecy i że przeczuwa zbliżającą się chwilę odejścia. Po tylu latach wysłał ci swoje artykuły. Jego adoptowana córka nie żyje i może w ten sposób pragnął się upewnić, że po jego śmierci pamięć o nim nie zaginie. Dlatego wybrał ciebie.

Ostatnie słowa Delseya pobrzmiwały echem w przepaścistych drogach mojego mózgu, kiedy wjechaliśmy do wioski. Otrząsnąłem się na chwilę z zamyślenia, by móc skoncentrować się na ostatnim etapie naszej podróży. Wystarczyło zapytać pierwszego napotkanego wieśniaka wędrującego ze swoją *panga* skrajem szosy. Gdy tylko wymówiliśmy imię Bwana Fidla, machnął maczetą w kierunku wznoszącego się stromo traktu czerwonej ziemi, biorącego początek z prawej strony szosy.

- Tam, na górze. W szkole.

Dźwigające się w górę zalesione zbocze było tak urwiste i śliskie, że jeśli szkoła tkwiła na samym czubku wzniesienia, dzieci zasługiwały na aplauz i promocję do następnej klasy za samo tylko zdobycie szczytu. Tam, skąd pochodziłem, wybudowanie szkoły w podobnym miejscu spowodowałoby utworzenie buntującej się przeciwko takiej lokalizacji platformy obywatelskiej, manifestacje przed urzędem miasta, strajki nauczycieli, bunt rodziców i przykucie się jakiegoś desperata do budynku. Tam, skąd pochodziłem, wiele dzieci wyrzekłoby się z radością swojej edukacji z o wiele bliższych powodów.

Piłując silnik na biegu terenowym i wyciskając siódme poty z mechanicznych koni, zdołaliśmy w końcu pokonać próg zjeźzonej niemal na sztorc skarpy. Na szczycie morderczy trakt rozlewał się w potulną polanę, na której wznosił się obszerny pawilon zbudowany z cementowych bloczków, z blaszanym dachem i wymalowanymi na niebiesko drzwiami. Przed budynkiem stało kilka pojazdów gorzej wyposażonych od naszego, których kierowcy z pewnością wyposażeni byli w większe umiejętności od tych, którymi ja nie miałem powodu się chwalić. Nie dostrzegaliśmy tam jednak żadnego ruchu, nie dochodziły nas żadne dźwięki, szkoła sprawiała wrażenie opustoszałej i pomyśleliśmy, że zagadnięty wieśniak wysłał nas w niewłaściwe miejsce. Wyszliśmy z samochodu, zamknęliśmy drzwi, popychając je lekko palcami i zaledwie zrobiliśmy kilka kroków, gdy nagle rzeźkie, popołudniowe powietrze rozwibrował dźwięk skrzypiec, wyczarowując z łagodnego powiewu wiatru *allegro* z sonaty „Wiosna” Beethovena. Muzyka ulatywała przez okna szkoły, frunąc ku górom, eteryczna jak balon o świcie, nabrzmiała lekkością i optymizmem, skacząc

po stopniach rozpiętych na niebie strun pięciolinii, rozpościerając wachlarz nut goniących jedna za drugą i wspinających się po drabinie skali, by zbić się w gromadkę na krawędzi każdego taktu. W miejsce gasnących dźwięków skrzypiec przemawiała odpowiedź pianina, rodząca się w dolinach i zdążająca w górę po schodach klawiszy, by dogonić smugę skrzypiec zaplątaną w koronach drzew; podążaliśmy śladem tej smugi w drogę powrotną i nasze kroki zawiodły nas pod niebieskie drzwi. Zaglądając przez nie bojaźliwie, naciskaliśmy skrzydło bardzo powoli, a ono uchylało się niespiesznie jak papier opakowujący prezent, ukazując nam w pierwszej kolejności wnętrza salki wypełnionej krzesłami, na których zasiadali mężczyźni, kobiety, starsze dzieci i małe szkraby na kolanach swych matek, wszyscy wpatrzeni przed siebie i słuchający w najwyższym skupieniu, niektórzy pogryzający owoce lub bataty, a dalej kąt, a w kącie pianino, przy którym siedziała czarna kobieta z włosami umodelowanymi jak na freskach zdobiących fasady zakładów fryzjerskich i potem, nieco dalej, krzesło, i siedzącego na krześle bardzo starego męczyzną pieszczącego skrzypce z zamkniętymi oczyma, ze szczeliną ust pogrzebaną w czeluściach rudej, niemal żółtej brody i ze swoim przepelnionym marzeniami czołem.

Ogarnięci euforią prześlizgnęliśmy się ku dwóm wolnym krzesłom w głębi sali i stamtąd delektowaliśmy się tym widokiem i tą muzyką, rejestrując wszystkimi zmysłami scenę, aby nie zapomnieć jej nigdy: asymetryczny układ zniszczonej sali, zapach miąższu batatu, owoców i zgromadzonych tam ludzi, olbrzymie oczy niemowlęcia wpatrującego się w nas z nosem wbitym w ramię matki, rytmiczne ruchy jakiejś dłoni głaszczącej melodię na podłokietniku, surowa faktura ścian, absolutny bezruch publiczności, pianino i skrzypce bawiące się w berka, w przedrzeźnianie i wyrzuty, aby na koniec spotkać się w owej smudze ulatującej przez okna w stronę gór. Czuliśmy, że możemy tak trwać całymi godzinami zasłuchani w muzykę, nie przerywając recitalu, i zachłystywać się obliczem naszego zwycięstwa, którego piękna nie moglibyśmy sobie wymarzyć w najśmielszych snach.

Hamish odkrył naszą obecność dopiero w połowie allegra, kiedy to jego oczy otworzyły się, pozęgłowały przez salę i przybiły do portu

naszych oczu. Z jego skrzypiec nie oderwała się ani jedna nuta więcej, a gdy zamilkły, pianino z rozpędu wyartykułowało jeszcze kilka dźwięków, które, pozbawione oparcia, klapnęły na podłogę. Hamish dźwignął się ciężko z krzesła, złożył skrzypce i smyczek na siedzeniu i ruszył przejściem przez środek, podczas gdy wśród audytorium narastał szmer i dwa tuziny głów odwróciły się, patrząc w głąb sali. Podniosłem się, a za mną Delsey. Gdy Hamish stanął przed nami, żaden z nas się nie uśmiechał. Wydobył usta ze szczeliny w brodzie i przemówił tym swoim hiszpańskim tłumaczonym żywcem ze słownika, tymi swoimi „t”, swoimi „d” i swoimi „r”, które wprawiały w falowanie blaszany dach.

- Ty jesteś późny. - Przeniósł wzrok na Delseya. - A ty jesteś bardzo stary, mój przyjacielu!

Zaczekałem, aż się wyściskają, i gdy nauczyli się już dokładnie swoich nowych, starczych rysów wzrokiem i opuszkami palców, gdy pierwsze lzy nawodniły to spotkanie, stopiliśmy się z dziadkiem w długim uścisku, który uznaliśmy za spełniony dopiero wówczas, gdy poczuliśmy, że zamortyzowało się czternaście lat naszej rozłąki.

Koncert został przerwany, gdy Hamish, krzycząc na całe gardło niczym generał w chwili zwycięstwa, oznajmił zgromadzonym, że jego wnuk i najlepszy przyjaciel przebyli długą drogę z Europy, aby złożyć mu wizytę, i ogłosił tym samym *ngoma*, przyjęcie na naszą cześć, które zostało wyznaczone na wieczór tego samego dnia w jego domu. Zebrani nagrodzili słowa Hamisha oklaskami, uznając je za dopełnienie recitalu, i zdawało się nie mieć znaczenia, że trwał zaledwie pięć minut. Przy wyjściu spadł na nas deszcz rąk pragnących uściskać nasze dłonie, jakbyśmy automatycznie zostali włączeni do tamtejszej społeczności drogą sponsorowania, jak się sponsoruje dzieci z biednych krajów. Widać było gołym okiem, że Bwana Fidla jest tam kochany.

Kiedy jechaliśmy do domu Hamisha, jak ludzie zaprawieni przez długi czas w ćwiczeniu cierpliwości, żaden z nas nie mówił o swoim życiu czy długich poszukiwaniach. W to miejsce pletliśmy trywialne rzeczy na temat gór, lasu, zwierząt i wiecznej wiosny afrykańskiej

Tradycyjna zabawa z muzyką i tańcami.

zimy. Hamish mieszkał na końcu niemiłosiernie sfatygowanej drogi, w drewnianej chacie uczonej w połowie zbocza spływającego gęstą roślinnością ku dolinie, tuż przy granicy parku narodowego. Gdy stanęliśmy pod domem, ktoś czekał w drzwiach. Była to kobieta tuląca w ramionach niemowlę, dziewczynkę o czarnych, wielkich oczach i smagłej skórze. Hamish pochylił się nad maleństwem z szerokim uśmiechem i wziął je na ręce, przedstawiając nas jednocześnie Nyokabi, kobiecie zajmującej się domem. Popatrzyliśmy na siebie z Delseyem zadziwieni i spytałem:

- To twoja wnuczka?

- Nie... - Hamish zawahał się, nim odpowiedział. W jego głosie można było wyczuć mieszaninę dumy i zażenowania. - Mumbi jest moją córką. Wy przychodźcie w środek i ja tłumaczę.

I świat biegnie wokół

Z tyłu domu podparty słupami taras wisiał nad wodospadem zieleni spadającym w łożysko doliny, gdzie między kamieniami pienił się potok. Tuż pod naszymi stopami kołysały się liście bananowców muskających drewnianą platformę. Po drugiej stronie strumienia, na przeciwległym zboczu ścieliły się plantacje kawy, ciągnąc się w górę rzeki aż po mozaikę *mashamba* pstrzących stoki gamą zielonych i brunatnych tonów pośród celujących w chmury eukaliptusów. Był to wypisz, wymaluj krajobraz, w którym kiedyś miałem nadzieję odnaleźć Hamisha. Był to krajobraz z rysunków wysyłanych w listach, których nigdy nie otrzymał.

- Dobrze, ja miałem żonę... - wyznał Hamish, obracając w palcach szklanekę z likierem kawowym własnej produkcji, którym nas poczę stawał, gdy na tarasie próbowaliśmy ochłonać z emocji ostatnich godzin. Malutka Mumbi siedziała na krzeselku sfabrykowanym przez ojca i dokazywała, bawiąc się drewnianą lalką, którą również wyrzeźbiły jego dłonie. - Niestety ona umarła rok temu, dając narodzenie naszej córce Mumbi. Tamto było straszliwe.

- Njoki była twoją żoną? - zdębiałem.

- Jak to, jak ty znasz? - spytał zaskoczony.

- Natknęliśmy się na jej grób na cmentarzu w Nyeri. Czytałem twój artykuł o Lari. Pamiętasz? Ten, w którym opowiadasz o rzezi i o tym, jak znalazłeś i przygarnąłeś małą dziewczynkę? Później, jak myślę, opublikowałeś wersję, z której wyłączyłeś cały ten wątek.

- Tamto był ciężki czas. Ja myślałem, minimum ludzi znają o niej, lepiej. Ja byłem trwożliwy, któryś mógł zabrać ona na zewnątrz ode mnie.

- Na podstawie dat i innych przesłanek domyśliliśmy się, że Njoki była tamtą dziewczynką. Ale sądziliśmy, że zaadoptowałeś ją jako... córkę.

- Ja też. Ale potem, jednego dnia ja wiedziałem, że ja nie zaadoptowałem mojej córki, ale moją żonę, którą przez dziwną *chance* losu ja wychowałem ja sam. I Njoki pomyślała taką samą rzecz. To jest wszystko bardzo skomplikowane i ja wiem, że to nie jest łatwe zrozumieć. My oboje wpadliśmy w miłość i to nie było dobrze patrzane przez moich szefów ani przez Kikuju.

- Szefów? - powtórzył Delsey.

- Ja myślę, lepiej zaczynam od początku. - Pociągnął łyk likieru.

- Hamish, jeśli ci wygodniej, możemy przejść na angielski - zaproponowałem.

- Och, nie, nie! Ja lubię mówiąc hiszpański. To było długi czas nie robiąc to. Tak samo jak nikt nazywając mnie Hamish... Tylko że mój hiszpański jest strasznie niedobry teraz.

- W żadnym razie, przyjacielu, nie pogorszył się ani na jotę - rzucił ironicznie Delsey.

- Dobrze. Kiedy twoja babka Uke i ja wpadliśmy w miłość, ja byłem, żeby ożenić...

- On wie wszystko o Cordelii, Hamish. I o twoich rodzicach - przerwał Delsey. Wszystko mu opowiedziałem.

- Ale ja kochałem twoja babka, ja przysięgam! Ja wiem, twój ojciec nie wierzył do mnie. Rzecz z Cordelią była... dobrze, zabawa dzieci, która się skończyła. Ja byłem jej zaręczony, ale kochałem Uke, tak ja chciałem przyjechać do Kenii, żeby zerwać z Cordelią i zacząć moje nowe życie. Ja chciałem, twoja babka żeby przyjechać ze mną do Afryki, ale ona nigdy nie powiedziała tak. To ja ci już mówiłem, kiedy Uke umarła.

- Ona bardzo cię kochała - powiedziałem. - I myślę, że nigdy nie przestała cię kochać. Ale jak ty była człowiekiem honoru. Okoliczności nałożyły na nią obowiązek zaopiekowania się ojcem i przypusz-

czam, że nie mogła go tu z sobą przywieźć. Myślę, że zaakceptowała tę powinność, mimo iż pociągało to za sobą utratę wszystkiego innego. Przez resztę swoich lat nie żyła własnym życiem, ale życiem innych, życiem swojej rodziny. Z miłości do ojca wybrała przepaść.

- Ja nigdy nie wiedziałem, że ona była w ciąży! Ona nigdy nie opowiedziała do mnie! Powinienem ja być wiedzieć...!

- Wiem, Hamish. Ja zawsze ci wierzyłem.

- Ja przyjechałem do Afryki i zerwałem z Cordelią. To było bardzo trudne dla oboje z nas. Wtedy raz jeden ja zdobyłem pracę w Nyeri, ja starałem, żeby zrobić twoja babka połączyć do mnie w Kenii i zacząć wszystko tutaj. Ona nigdy nie odpowiedziała na moje listy.

- Kiedy wyjechałeś i jej ojciec dowiedział się, że córka jest w ciąży, postanowił, że muszą wyjechać z Hiszpanii, i ona się nie sprzeciwiała. Chociaż myślę, że największy wpływ na tę decyzję miała jej siostra, Victoria. Kiedy do niej napisałeś, ich już w Lux Domini nie było. Victoria zatrudniła stróża, który miał pilnować domu i z jego pomocą zarekwirowała twoje listy. Uke nigdy więcej nie miała o tobie żadnych wiadomości.

- A ty, Delsey? Ja napisałem dla ciebie. Ale list przyszedł do tyłu. Ja pomyślałem, ty nienawidziłeś mnie za wyjeżdżając bez Uke.

- Przyjacielu... - Delsey pochylił głowę. - Błagam, ulituj się nad moim tchórzostwem. Nie stworzyłem tamtego listu. Wiedziałem o błogosławionym stanie Uke i twoim zamiśle wyjazdu do Afryki. Znalazłem się między młotem i kowadłem i nie potrafiłem stawić mężnie czoła tej sytuacji. Uchyliłem się od odpowiedzialności zarówno wyjawienia waszych wzajemnych sekretów, jak i utrzymania obojga w nieświadomości. Zdradziłem was oboje. Odbyłem tę podróż, aby błagać cię o przebaczenie.

- Och. Teraz ja rozumiem. Nie przejmujesz, przyjacielu. - Hamish dotknął dłonią policzka Delseya. - Ty nie zrobiłeś źle. Ja, a nie ty, powinienem powiedzieć do Uke powód dla mojej podróży. I może być ona, a nie ty, powinna opowiedzieć do mnie o swojej ciąży. Ty nie jesteś winny za nasze błędy. Gdy Uke nie replikowała, ja byłem wielce przygnębiony. Ja myślałem, ona nienawidziła do mnie za zostawia-

jąc ją, nawet moi dobrzy przyjaciele jak ty połączyli z nią przeciwko mnie. Ja nie wiedziałem, co zrobić z moim życiem. Gdy Uke nie replikowała, to nie robiło sensu dla mnie, żeby podróżować do Hiszpanii, a w Szkocji ja miałem nic. Tak ja postanowiłem zostać tutaj i pracować. Cordelia była wysoko szanowana w kolonii i ona... *warned* inni osadnicy o mnie, ona mówiła do nich, ja nie byłem osobą do zaufania podobnie tak mój ojciec, tak gdy ja zobaczyłem możliwość biorąc pracę na farmie w Nyeri, ja zmieniłem moje nazwisko. W jakikolwiek sposób ja już nie miałem wielkiego mniemania do nazwiska Sutherland. Ja wolałem nazwisko mojej matki. Tak był urodzony Igor Mazejev. Nowe nazwisko. Nowe życie.

- Hamish, kim był Boston Shark? - spytałem. - Poszliśmy jego śladem, myśląc, że to ty.

- Ach... Boston Shark! Ja zapomniałem on! Jak znasz? Przez niego ja zdobyłem tę pracę. Zostawiłem Nairobi, bo ja nie byłem wygodny z całym tym... *gossip* osadników o mnie i ojcu. Ja przyjechałem do Nyeri, które wtedy było prawie *outpost*, twarde miejsce dla twardych ludzi chcąc pracować. Ja chciałem, żeby pracować, i ja potrzebowałem pieniędzy dla mojej matki. Jednej nocy ja poszedłem do baru White Rhino Hotel. Ja nie podobałem pijąc samotny i w barach ty miałeś *chance* spotykając ludzi patrzących za pracownikami rolnymi. Ja zobaczyłem tego człowieka i usiadłem, żeby rozmawiać do niego, żeby spytać, czy on znał kogoś szukając pracowników rolnych. On nie był człowiek sympatyczny i on traktował... *get rid of me*. Ale wtedy on zobaczył... Ja nosiłem złoty pierścień, był to prezent zaręczonego, Cordelia kupiła go dla mnie za pieniądze, ja włożyłem dla farmy. Gdy ja zerwałem z nią, ja chciałem dać pierścień w tył do niej, ale ona nigdy nie przyjęła. Ona powiedziała, ona dawała mi pieniądze do mnie i to była prawda, tak ja zatrzymałem pierścień. Ten mężczyzna, Boston Shark, zobaczył mój pierścień i on spodobał. Przez czystą *chance* sygnet nosił inicjały BS, które były to samo, co Blackbourne i Sutherland. On powiedział, on znajdował pracę dla mnie za ten pierścień. Ja spytałem do niego, żeby wyjaśnić, i on opowiedział, on był *manager* w jednej farmie blisko, ale on był zmęczony pracą i chciał zostawić farmę. To były dni *gold rush* w Kakamega na zachodzie i on chciał,

żeby podróżować tam, żeby szukać za złotem, zrobić fortunę i wtedy zmienić myśliwym na południu, w *bush region*. Jeśli ja dawałem on mój pierścień, on zostawiał swoją pracę dla mnie. I tak my zrobiliśmy. On zawiózł mnie na farmę, wprowadził mnie swojemu szefowi i on powiedział, ja byłem dobry przyjaciel jego z wielkim doświadczeniem w prowadząc farmy. Oczywiście ja miałem żadne. Ale *landowner* mnie zatrudnił, ja dałem mój pierścień temu mężczyźnie i ja nigdy nie widziałem on znowu.

- Z tego, co wiemy, najwyraźniej sprawy nie poszły mu najlepiej - wyjaśniłem. - Kilka lat później sprzedał pierścień jubilerowi, który go wykonał, kupił samolot i przez resztę życia latał, przede wszystkim przewożąc pocztę do Masai Mara. Przepuścił wszystkie pieniądze na alkohol i kobiety i ostatnie lata, schorowany, spędził w Narok. Tam zmarł w samotności i pozostał po nim tylko zniszczony dom i nędzarski grób na cmentarzu.

- *Poor devil*.

- I co było dalej?

- Dobrze, ja pracowałem i pracowałem. Jakaś nowa rzecz dla mnie, ha, ha. Ja nauczyłem się, jak prowadzić farmę. Kiedy Uke zawiodła, żeby replikować na moje listy, ja starałem się, żeby zapomnieć ona. To nie było łatwe. Każdego dnia ja myślałem z nią. Ale ewentualnie ja szedłem. Potem przyszło Mau-Mau. Jednego dnia w White Rhino ja poznałem jednego mężczyznę, który przyjeżdżał z Golspie, *my hometown*. On był w podróży w Kenii, miał przyjaciół i jakiś interes tutaj, ale on mieszkał w Edynburg, gdzie on był właścicielem gazety. On był poważnie zaalarmowany przez pogłoski o tajnym stowarzyszeniu Kikuju, które stawiało rebelię przeciwko kolonii. On patrzył za kimś, żeby przynosić dla jego gazety i ja byłem taki mały znudzony pracą na farmie. Nie zwolniłem mojej pracy, ale ja stałem poza tym *war reporter*.

- I przez te wszystkie lata pracowałeś na farmie? - W głosie Delseya pobrzmiwało niedowierzanie.

- Tak, dobrze, ja patrzyłem za sposobami, aby mieć jakąś rozrywkę. Ja zbudowałem *football pitch* i ja zorganizowałem *football league* z Kikuju i osadnikami.

- Kikuju umieli grać w piłkę nożną? - dziwiłem się.

- *Ofcourse!* Ja pokazałem oni! To była wielka zabawa. W *matches* nie było plemion. Biali, czarni, *kaburu*, Kikuju, *landowners*, pracownicy rolni, *squatters*, cała ta rzecz. To było jedenaście versus jedenaście i jeśli pracownik rolny kopał *landowner*, on nie tracił swojej pracy, to było tylko *foul*. To wszystko rozpadło z Mau-Mau. *League* zawiesiła, każdy jeden popędził, żeby walczyć w swojej stronie i gdzie wcześniej był tylko kopniak, teraz był nagle strzał albo cios *panga*. Ja nigdy nie widziałem jakiejś innej wojny. Ale tamta jedna, moi przyjaciele, było czyste piekło. Ja widziałem rzeczy, to zabrało mi długi czas, aby zapomnieć. Inne ja zapomniałem nigdy i zapomniałem nigdy. Zwłaszcza dzieci... Dzieci...

- Hamish, zdobyłem to zdjęcie. - Wyjąłem z torby fotografię.
- To zdjęcie z czasów, kiedy byłeś reporterem wojennym.

- *Oh, my Goodness!* Gdzie ty zdobyłeś to zdjęcie?

- Przysłała mi je córka Winslowa Macombera, to ten drugi z lewej. Pamiętasz go?

- Winslow Macomber! On był rzeczywisty skurwiel. Co było zrobione z nim?

- Po ustanowieniu niepodległości wrócił do Anglii. Umarł kilka lat temu.

- *Oh, I'm sorry.* Ja nie powinienem tego powiedzieć. On zrobił innym cierpieć. Ale ja nie podobam, żeby mówić źle o umarłych.

- Hamish, i przez te wszystkie lata... nie było żadnej damy? - dociekał Delsey.

- Delsey... - skarcił go Hamish.

- Rozumiem. Było ich zbyt wiele.

- Ale nigdy ta jedna. Ta jedna była zawsze bardzo daleko na zewnątrz. Ja nigdy użyłem, żeby zapomnieć Uke. Ale wtedy jakaś jedna przyszła, żeby wypełnić moje życie.

- Njoki - odgadłem.

- To było czas wojny, bardzo niebezpieczny dla niemowlaka. Ja nie chciałem zostawić ona w rękach jakiegoś białego czy czarnego. Ona przyszła do mnie i ja nie mogłem zawieść ona. Ona była moja odpowiedzialność. Tak ja stałem jej tatusiem. Ja musiałem nauczyć

Określenie używane w stosunku do białych osadników.

się, jak wziąć opiekę nad niemowlakiem, tak samo ja nauczyłem się, jak wziąć opiekować się farmą.

- I wróciłeś z nią do Nyeri?

- To było kraj bardzo niebezpieczny. To nie było wrażliwe używać wielkie drogi, gdzie jakiś mógł zabrać Njoki ode mnie, ona była Kikuju, a Kikuju byli zamknięci do rezerwatu. Ale to nie było wrażliwe też podróżować przez las, gdzie Mau-Mau panowali.

- I co wybrałeś?

- Ja wybrałem las. Jeśli Mau-Mau znajdowała mnie, ja możliwie byłbym zamordowany, ale ja pomyślałem, oni nie zamordują Njoki, jeśli oni nie znajdowali jednego powodu, żeby zabić ona i był żaden powód. Mau-Mau zabijali dzieci *loyalists*, ale Njoki miała żadną rodzinę. A w lesie ja miałem jedną *chance*. Ja mogłem ukryć od Mau-Mau tak, jak oni ukrywali od policji i Home Guard. Było większe niebezpieczeństwo na szosie. Oni byli zbyt wielu, żeby omijać. I ja wiedziałem, jak oni traktowali Kikuju w rezerwacie. Tam Njoki umarłaby niezawodnie.

- Tak to sobie wyobrażałem. Mój dzielny Hamish - słał posta wę przyjaciela Delsey.

- Nie, Delsey, ja nie byłem bohater. To było zwyczajny mój obowiązek. Potem ja zobaczyłem, co oni zrobili innym dzieciom w tamtą noc w Lari i wiele innych nocy wielu innym dzieciom, ja czułem, ja byłem dłużny to wszystkim z nich. Zabitym dzieciom. Niewinnym. Njoki musiała żyć za wszystkie z nich.

- I udało ci się dotrzeć do Nyeri bez problemów? - spytałem.

- Problemy... Ty pamiętasz...? Kiedy ty byłeś dzieckiem, ty spytałeś do mnie, żeby opowiedzieć historię o jednym lwie.

- O tym lwie? - wykrzyknąłem, rozpinając koszulę i pokazując mu naszyjnik, który towarzyszył mi wszędzie.

- *Oh, my God!* Ty jeszcze masz to!

- Nigdy się z nim nie rozstaję.

- Ja zabiłem ten lew, żeby obronić Njoki. To jest, dlaczego ja nie mogłem opowiadać ta historia wtedy. Twoja rodzina nie podobała ja i ja nie chciałem, oni dowiedzieć się o Njoki. To by zrobiło rzeczy gorzej. I... - uśmiechnął się - ja nie ufałem ty, żeby zachować sekret.

- Postąpiłeś słusznie. Prawie straciłem swoich najlepszych przyjaciół przez wyjawienie pewnego sekretu. Ale myślę, że ten problem już nie istnieje, prawda? Od czternastu lat czekam na to opowiadanie!

- *Oh, well.* - Hamish roześmiał się, zapalił fajkę, pociągnął kilkakrotnie z cybucha i kontynuował opowieść: - Ja podróżowałem przez środkowy las, nie bardzo wysoko i nie bardzo nisko. Ja wiedziałem, Mau-Mau musieli używać bambusa na drewno ognia, bo pali dobrze i nie robi wielkiego dymu, tak ja unikałem wysokiej wysokości. Ja wiedziałem, oni myli w rzekach, ale nie zostawiali blisko, żeby unikać szum wody, która nie pozwalała im słyszeć hałas wroga zbliżając. Ale ja wiedziałem, Njoki i ja musieliśmy myć każdy dzień tylko wodą, aby unikać zapachu człowieka czy mydła, który powiedziałby zwierzętom, że my byliśmy tam. Tak każdego dnia my szliśmy w dół do rzeki, potem sprawdzając nie było Mau-Mau w sąsiedztwie i nie zostawiając odcisków w błocie. To było trudne. Ja najpierw myślałem Njoki i potem ja myślałem ja sam. Ale ona... *crawled*, tak ja miałem, żeby powiesić Njoki w jakiś sposób, gdy ja myślałem. Ja zrobiłem *harness*, żeby zawiesić ją od drzewa i wtedy ja mogłem być spokojny, ja zostawiałem moją strzelbę na brzegu i ja zostawiałem gałęzie dookoła w przypadku jakiegoś zwierzę zbliżało, ja słyszałem najpierw zwierzę zbliżać i ja mogłem biec, żeby wziąć moją strzelbę. Jednego dnia ja myślałem, kiedy ja usłyszałem *creak*. To wszystko wydarzyło się bardzo szybko. Gdy ja spojrzałem, ja byłem w panice. Wielka lwica zdjęła Njoki od drzewa i trzymała ją od jej *harness* swoimi zębami. Lwica patrzyła na mnie w wodzie, tak gdyby ona myślała: dobrze, mój przyjacielu, ja mam twoją małżonkę, jeśli ty chcesz ona, ty przychodzisz po nią, ja wolę ty, ty masz więcej mięsa, tak my zobaczymy, co ty odważysz zrobić teraz. Biedna Njoki patrzyła do mnie swoją twarzą anioła, uśmiechając się, nie wiedząc ona była dokładnie *peanut*, aby być pożarta przez to zwierzę. I gorsze z wszystkiego moja strzelba była na brzegu, pod łapą lwicy. W ciągu moich lat jako *manager* farmy ja miałem spotkania z lwami i ja wiedziałem, co żeby zrobić w takich przypadkach: nie ruszać, nie biec, stać spokojny i cichy, aż lwica idzie na zewnątrz, a jeśli ona nie idzie, strzelać. Ja nie wiem, co stało się

mi, ale ja zapomniałem każda rzecz, ja wiedziałem, każda ostrożność. Moja mała dziewczynka zwisła od zębów dzikiego zwierza, które szło, żeby zjeść ona! Tak po chwili wątpliwość ja pomyślałem, *oh really?* Wtedy ty zobaczysz, co ja odważę żeby zrobić. Ja postawiłem na nogi, goły tak ja byłem, ja przyszedłem z wody, idąc, idąc ku lwicy nie wątpiąc, ja chwyciłem lufę mojej strzelby pod jej łapą, ja szarpnąłem, ona poruszyła swoją łapą i poszła do tyłu, nie odrywając swoich oczu na zewnątrz ode mnie, ja położyłem strzelbę o moje ramię, ja utkwilem punkt byków, gdzie toreadorzy wbijają szpadę, tak ja wycelowałem w jej plecy, aby uniknąć raniąc Njoki, i ja strzeliłem biały punkt, dokładnie jeden strzał. I to jest jak to było. Gdy lwica upadła na ziemię i Njoki z nią, Njoki zaczęła płakać. Ja wziąłem ona w moje ręce i pocieszyłem, ale byłem ja, kto dygotał jak liść. Ja nie wiem, jak ja mogłem zrobić to. I ja nie wiem, dlaczego lwica nigdy nie zaatakowała. Ja myślę, że na sto razy w takiej sytuacji z lwicą tylko raz lwica by nie zaatakowała mnie. I na sto razy w takiej sytuacji z lwicą tylko raz ja bym postąpił w taki sposób. Tego dnia ja miałem szczęście w mojej stronie. I Njoki również.

Zassał cybuch, aby rozniecić żar, i wypuścił kilka obłoczków dymu. Byłem oczarowany. Hamish miał rację. Nie był bohaterem. Nie. Był superbohaterem.

- Warto było czekać czternaście lat - zapewniłem. - To wspaniała historia. Teraz będę nosić ten naszyjnik z jeszcze większą dumą.

- To było jej pazury albo moje paznokcie. Na szczęście ty nosisz jej pazury, nie moje paznokcie.

- Co stało się potem?

- Och, ja wróciłem na farmę. Ja zaopiekowałem się potem Njoki, z jakąś pomocą od kobiet z farmy. Wszystkie one nauczyły mnie. Ja jeszcze przynosiłem wiadomości dla gazety, ale mniej często. Gdy ja wyjeżdżałem, ja zostawiałem Njoki z moją szefową i kobietami w domu i one opiekowały dobrze. Wojna poszła i pokój przyszedł. Njoki rosła, aż ona zmieniła w kobietę. I wtedy jakaś rzecz stała się między mną i ona. Gdy zmieniła w kobietę, nagle ja nie widziałem ona coś więcej jako moja córka, ale jako żona. Moja żona. Chociaż nie było żadnej relacji fizycznej między mną i ona. Ja wpadłem

w miłość z nią i lata upłynęły, aż ona powiedziała do mnie, ona czuła to samo. To było miłość zakazana. Dla wszystkich ja byłem jej ojciec i ona była moja córka. Ale aktualnie był żaden związek rodziny między nami i my już nie widzieliśmy drugiego w ten sposób. To było tabu dla Kikuju i tabu dla moich chrześcijańskich szefowie. Tak my musieliśmy ukrywać to. Jednego dnia poczta wręczyła list dla mnie. To było absolutnie nieoczekiwane: list z Victorii, siostry Uke. Ja miałem żadne pojęcie, jak ona znalazła mnie. Ale w jakiś sposób to było wiadomości bardzo smutne. Uke zmarła. W końcu ja mogłem znaleźć się blisko ona, ale ona była martwa. Ja wycierpiałem wielce i ja podróżowałem do Hiszpanii i ty już wiesz, jak to było tam. Nagle ja przyjechałem, żeby wiedzieć, ja miałem rodzinę w Hiszpanii i to było wielki *shock* dla mnie. Ja wysłałem telegram do Njoki, opowiadając i mówiąc do niej, ja zostawałem zobaczyć, czy sytuacja mogła być *settled*. Ale to nie było dobrze. Njoki replikowała, mówiąc, ona była wystraszona jednym z synów *landowner*, on nachodził do niej, on mówił, ona była tak dobra dla niego, jakby ona była biała, ale będąc czarna. Ja miałem przejęcie, ja nie wiedziałem, co żeby robić, ja chciałem żeby *settle* sytuację z moją hiszpańską rodziną, ale Njoki potrzebowała do mnie i miałem, żeby wrócić, żeby opiekować się potem ona. Wtem Jomo Kenyatta zmarł. Ja pomyślałem chaos przyjdzie i że w chaosie Njoki była w niebezpieczeństwie. Ja postanowiłem powrócić do Kenii. Wtedy ja znalazłem, że aby chronić ona sama od prześladowań tego typu, Njoki wyznała wszystkim, że ona była moją żoną, i to był wielki skandal. My mieliśmy żeby zostawić farmę i odejść na zewnątrz.

- Dlatego nie doszły do ciebie nasze listy. Matka i ja pisaliśmy do ciebie na adres, który nam zostawiłeś.

- Ja napisałem do was podniebnie.

- My też nie dostaliśmy twoich listów. Po śmierci Uke wyprawiliśmy się z Lux Domini. Potem rodzice się rozstali i dom popadł w zapomnienie. Nikt nie zadał sobie trudu, aby pojechać tam i zabrać ewentualną pocztę.

- *Oh, I'm deeply sorry.* Ale ty powiedziałeś, ty przeczytałeś mój artykuł o Lari. Tak ty odebrałeś moje artykuły. Ja wysłałem one do Lux Domini.

- To był czysty przypadek. Pojechałem tam, aby zobaczyć go przed podróżą do Kenii. Moi rodzice sprzedali dom.

- *Oh, no!*

- Ale w stercie nagromadzonej poczty był twój rękopis i udało mi się go szczęśliwie odzyskać. Nurtuje mnie jedna rzecz. Po co mi go wysłałeś?

- Dobrze. Ja pomyślałem, że teraz ty byłeś dorosły, być może ty tak podobałbyś zobaczyć mnie. To była Njoki, która wzięła czas, żeby zgromadzić wszystkie moje artykuły. Kiedy ona została w ciąży, ona powiedziała, ona chciała pokazać naszemu dziecku wszystko, jego ojciec napisał o wojnie i cały horror jego ojciec widział na wojnie. W ten sposób, do minimum przez nasze dziecko, nigdy nie byłoby drugiej wojny w Kenii. Gdy Njoki umarła, ja byłem tak smutny, że ja nawet chciałem moja córka nie wiedzieć żadnej rzeczy o wojnie. Mumbi będzie dziewczynką jutra. Ja jestem stary człowiek i pomyślałem o... załatwić wszystkie niedokończone sprawy w moim życiu. Ja kochałem do ciebie. I do ciebie. To jest, po co ja wysłałem ci artykuły, ja nigdy nie wyobrażałem, ty już nie mieszkałaś w Lux Domini. Ja miałem nadzieję, że kiedy ty zobaczyłaś mój adres, ty przyjedziesz. I ty przyjechałaś. I ty zabrałaś Delseya podniebnie. Chociaż ty przyjechałaś później, niż ja czekałem.

- Twój adres zamazał się na kopercie. Poczta przychodząca do Lux Domini spadała na ziemię przez całe lata i nikt jej stamtąd nie zabierał, a twój rękopis ocalał tylko dzięki temu, że koperta była plastikowa i jakoś oparła się wilgoci. Teraz dom znajduje się w opłakanym stanie. Ale wiesz, znalazłem tam twój obraz, obraz Landseera, ten, który sprzedałaś ojcu Uke. Leżał zapomniany na poddaszu przez dziesięciolecia. Dzięki niemu odkupię dom i odzyskam go dla rodziny.

- Och, to wspaniałe, *really great news*! Co za niezwykły los dla naszego życia.

- Tak. Wyobrażałem sobie ciebie w takim właśnie pięknym miejscu jak to. Chociaż nigdy nie podejrzewałbym, że tyle przeszedłeś, aby tutaj dotrzeć. W jaki sposób znaleźliście to miejsce?

- Po farmie my podróżowaliśmy przez chwilę. Gdy my zobaczyliśmy, każda rzecz była *settled* po śmierci Kenyatty, my wróciliśmy

tutaj szukać miejsca do życia. My nie chcieliśmy nietolerancja, żeby przeszkodzić my żyć w Nyeri, w tych górach. My znaleźliśmy to, to była ślepa droga zbudowana w czasie wojny, nieużywana, i tutaj my zostaliśmy. My mogliśmy w końcu mieć legalne małżeństwo i my zbudowaliśmy ten dom. Teraz rząd chce ja wynocha. Ja nie jestem właścicielem tej ziemi, ja jestem *squatter*. Ja chcę, żeby kupić tę ziemię, ale rząd nie życzy, żeby sprzedać. Problem jest, że ja chcę, żeby płacić, ale tylko w pieniądzach legalnych z papierami i to nie jest zwykle postępowanie tutaj. Tak ja będę jeszcze tutaj, aż oni *evict me* albo aż umrę. W czasie w środku ja gram w skrzypce dla moich sąsiadów w szkole. I podobam to, i oni podobają podniebnie. My zrobiliśmy dobrych przyjaciół z nimi. Oni kochają muzykę. Ja też kupiłem dla szkoły pianino, CD *player* i CD *library*.

- I utrzymujesz się z grania na skrzypcach?

- Jak? Utrzymujesz...? Och, nie, ja gram w nie za gratis! Żeby utrzymywać, ja piszę książki.

- Książki? Jakie książki?

- Och, *paperbacks* tanie, historie z Far West. Ja piszę je przez długi czas.

- Poważnie? - Czy to możliwe? - O czym są te książki?

- Ha, ha, no wiesz, one są o twardym *cowboy* zwanym Sangre de Cristo, imię wzięte z gór...

- NIE! TO NIEMOŻLIWE!

- *Pardon?*

- Czytałem twoje książki! Czytałem je! Natknąłem się na nie przypadkowo!

- Och, wierzy to lub nie, one robią dobrą sprzedaż. Nadzwyczaj na lotniskach w Stanach Zjednoczonych. I ja uzyskuję dobrze płacony. *In my humble opinion* to nie jest tak dziwne. To wydaje się wiele ludzi podobają moje książki. One są złe, ale zabawne.

- Nie, nie rozumiesz! Wpadły mi w ręce dokładnie w chwili, gdy zacząłem cię szukać! Kupiłem pierwszy tomik na chybił trafił spośród dziesiątków innych książek w jakimś paryskim kiosku, gdy próbowałem zlokalizować Delseya! To niewiarygodne!

- Życie jest niewiarygodne, mój kochany Curro. *Look*. - Hamish wstał z krzesła, wszedł do domu i po chwili wrócił, dźwigając starą

maszynę do pisania. - Mój stary underwood. Tym ja napisałem wszystkie moje artykuły wojenne. I ja wziąłem mój *pen name* z tego.

- Nie mogę w to uwierzyć! Artykuły, które mi wysłałeś, są napisane na tej samej maszynie i tą samą ręką, co książki o Sangre de Cristo. Mógłbym żyć milion lat i podobna rzecz nie przyszłaby mi do głowy!

- *It's a smali world* - zakonkludował Hamish przez zęby, ssąc fajkę.

- To prawda, niesamowicie mały, nie ma co. - Popatrzyłem na bawiącą się obok nas kruszynę. - A Mumbi? Jak to się stało, że...?

- *Oh, my poor little girl.* - Poglądził maleństwo po główce. - Ja byłem wiele bardziej stary niż Njoki i ona wiedziała, że będę brakującą jakimś dnia. Jednego dnia ona powiedziała, ona pragnęła mieć dzidziusia ze mną. To było szalone. Ale ona mówiła, wtedy ja nie zniknę na zawsze, ale ja będę żyć w jej dziecku. To wzięło nas długi czas... Dobrze, ja nie byłem więcej mężczyzną, ja byłem kiedyś, ty wiesz. Ale w końcu ona zamieniła w ciąży, jakaś rzecz niewiarygodna, cudowna, cudowna... Ale nieszczęśliwie nie jest w naszych rękach, żeby układać przyszłość. Njoki zmarła, dając narodziny. To było potworne. Ja wielce wycierpiałem. Ja byłem domniemany umrzeć pierwszy. Ona była przygotowana, żeby żyć beze mnie, aleja nie byłem przygotowany, żeby żyć bez niej. Ja tęsknię ona bardzo. Każdy dzień ja myślę o Uke i Njoki. Obie miłości mojego życia. Ja kochałem one obie, ja miałem one obie i ja straciłem one obie. Ale teraz Uke żyje w tobie i Njoki żyje w Mumbi. Moja córka i mój wnuk. I świat biegnie wokół. - Mała wyciągnęła ku niemu drewnianą figurkę, radośnie popiskując. Hamish zgasił pośpiesznie krawędzią dłoni błysk balansujący na krawędzi jego oczu i pogładził włosy dziecka.

- Przez cały ten czas poszukiwań... - zastanowiłem się przez krótką chwilę - wyobrażałem sobie ciebie na różne sposoby. Niektóre rzeczy się sprawdziły, inne chyba nie. Lecz nawet gdyby nasze poszukiwania trwały rok, nigdy nie pomyślałbym, że mógłbyś mieć małego dzidziusia. Swojego dzidziusia. Moją... ciotkę! - Roześmiałem się na myśl o tym niezwykłym pokrewieństwie.

- Hamish... - włączył się Delsey. - Zarówno tobie, jak i mnie nie pozostaje dużo czasu. To, że cię odnalazłem i że wspaniałomyślnie wybaczyłeś mi błędy przeszłości, zaspokaja wszelkie pragnienia, jakie mogłem jeszcze odczuwać na tym świecie. Ale ty... Ty masz córkę, małą dziewczynkę. Co się z nią stanie, kiedy ty...?

- *My dear friend* Delsey, ty uparcie taki tragiczny! Ty nie zmieniłeś się we wszystkim! Ale nie będziemy my myśleć o przyszłości teraz. Dzisiaj jest dzień, żeby pamiętać i żeby świętując nasze spotkanie. Teraz wy opowiadacie mnie. Jeśli adres na kopercie był zmyty na zewnątrz, jak wy znaleźliście mnie? Ja zgaduję, to musiało być trudne szukanie.

- To był długotrwały, zespołowy wysiłek, prawda, Delsey? - Spojrzałem na barona z uśmiechem. - Mamy jeszcze czas? O której godzinie zaczyna się zabawa?

- Godzina? Zabawa ma żadną godzinę i ja mam żądny zegarek! To zaczyna się, kiedy ludzie z wioski przychodzą i to kończy się, gdy oni odchodzą.

Hamishowa *ngoma* nie była typową, tradycyjną zabawą z muzyką i tańcami, jaka pod tą nazwą znana jest w Kenii, lecz huczną, dość eklektyczną fiestą i mogłem się przekonać, że CD *library* gospodarza nie ograniczała się li tylko do muzyki klasycznej. Wielu mieszkańców przybyło, aby złożyć nam swoje uszanowanie i poznać przyjaciół Bwana Fidli. Czuliśmy się z Delseyem jak ambasadorowie jakiegoś obcego kraju, ściskając dłonie na prawo i lewo lub jak podróżnicy w dziewiczej ziemi. Jasne, że nie istniała już Afryka, którą można by eksplorować i odkrywać, a ci ludzie nie podchodzili do nas, aby zaspokoić ciekawość i zobaczyć z bliska „czerwonego obcokrajowca”, co było na porządku dziennym przed stu laty. Myślę, że zwyczajnie cenili Hamisha i pozdrowienie nas było dla nich, poza formą sprawienia satysfakcji gospodarzowi przyjęcia, sposobem pokazania krewnym Hamisha, że jest tam kochany i akceptowany.

Siedzący obok siebie na frontowej werandzie Hamish i Delsey byli zanadto wyczerpani, aby uczestniczyć w fizycznych harcach, patrzyli jednakże na spektakl z wielką satysfakcją, racząc się likierami sfabrykowanymi na bazie kawy, banana, manioku i batatu. W pewnej chwili gdy Hamish udał się po coś do domu, Delsey

podszedł do mnie szparkim krokiem i z węzłem napięcia rysującym się wyraźnie na czole, wyszeptał:

- Co sądzisz o rozmowie na temat dziewczynki?

Przemknęło mi przez głowę, że podczas tej długiej podróży w codziennym, ścisłym obcowaniu nauczyliśmy się z Delseyem czytać sobie w myślach.

- Ma pan na myśli unik, jakim nas poczęstował, gdy przyszpilił go pan pytaniem o przyszłość?

- Nie wydało ci się to szokujące?

- Cokolwiek, szczerze mówiąc. A co pan o tym sądzi?

- Nie wiem. Ale mam wrażenie, że to jeszcze nie koniec niespodzianek w paśmie Hamishowych dziejów. Przygotuj się, chłopcze.

Wygłosiwszy tę enigmatyczną przepowiednię, Delsey wrócił na swoje krzesło pod drzwiami. W chwilę później na fali niekończących się kurtuazyjnych gestów podpłynęła do mnie bojaźliwie jakaś drobna kobiecina i pozdrowiła mnie z pochylonym czołem. Niemal natychmiast zrozumiałem, że nie była to w żadnym razie oznaka respektu czy pokory, lecz swoisty wyraz twarzy tej kobiety. Jej oczy przyczyły się pod czołem, ale nie patrzyła w ziemię, lecz w górę, prosto w moje oczy. Ten gest mówił mi wszystko. Nie potrzebowałem innych prezentacji, aby wiedzieć, kto przede mną stoi.

- *Jambo, mama!* Czy pani jest matką Makeny?

- Tak. Mieszkam dwa kilometry stąd, w stronę Mweiga. Znam Bwana Fidlę od wielu lat.

- *Mama*, to dla mnie zaszczyt, że mogę panią poznać. Wychowała pani wyjątkową córkę.

- Dziękuję. Cieszę się, że mogłam jakoś pomóc.

- Jakoś pomóc? Bez pani pomocy nie byłoby teraz tego święta.

Oczywiście nie wszyscy mieszkańcy tych wiosek i malutkich gospodarstw *shamba* przyklaskiwali radośnie nielegalnemu, uporczywemu i niepożądanemu rezydowaniu *mzungu* na ziemi ich przodków. *Mungiki*, ideologiczni „synowie” bojowników Mau-Mau penetrowali pobliskie doliny podobnie jak to robili w swoim czasie ich ojcowie i Hamish, jak się dowiedziałem, doświadczył nieraz

z ich strony przejawów wrogości. Były to błahostki, które haruspik o tragicznym jak Delsey duchu zinterpretowałby jako mikroskopijne, czerwone światełka na tablicy rozdzielczej samolotu, który miały pilotować dzieci należące do pokolenia Mumbi, ażeby potworności lat pięćdziesiątych nigdy się już w Kenii nie powtórzyły. Ale to już inna historia, a jak powiedział Hamish, ta noc była nocą świętowania.

Dziewczynka jutra

Tamtej nocy nie wróciliśmy do Outspan. Kiedy *ngoma* dobiegła końca, Hamish użyczył Delseyowi łóżka dla gości, a ja zadowolilem się śpiworem. Noc była bardzo zimna, lecz dysponując ruchomym posłaniem, umościłem się blisko kominka, wchłonięte zaś likiery użyczyły mi drugiego, odśrodkowego źródła ciepła. Świt wymiół chmury z nieba i pod równikowym słońcem rosa na zielonym listowiu lśniła niczym witryna z miętowymi cukierkami. Poszukiwanie i świętowanie dobiegło końca i opadło mnie znużenie, które odczuwa się zawsze w mięśniach po wykonaniu wielkiego wysiłku, i pomyślałem, że zakwasy mózgu nie doskwierają mi tylko dlatego, że musiały je pozatykać endorfiny podochozeniowego kaca oraz balsamiczny efekt doliny będącej chlorofilem w gałązce.

Opuściłem stadium poczwarki i na bosaka, w samych gatkach poczłapałem na taras. Drewno było chłodne i wilgotne i skrzypiało pod stopami, jakbym swoim ciężarem rozgniatał pękające z trzaskiem bąbelki plastikowej folii do owijania kruchych przedmiotów. Pólnagi, w obliczu pikowanych liśćmi zboczy czułem się, jakbym brał poranną kąpiel, dygocząc pod mroźnymi falami obmywającymi skórę, krnąbrnie ustępującymi pola inwazji światła w dolinie. Było to wrażenie krzepiące i ożywcze i sprawiało, że czułem spienioną krew w piersiach i policzkach.

Nie było to pustkowie dogorywającego lwa. Raczej przypominające moją Walpurgię pustkowie zabaw, w którym Hamish wznioł

swoją bazę. Tylko na starość może podług swego kaprysu zbudować dziecko plac zabaw bez obawy, że mu go zdemontują rodzice. Chociaż Hamish zderzał się z inną bezwzględną hegemonią: biurokratycznym taranem rządu.

Na wspomnienie górskich zabaw w Torrelodones aż brała chęć, by zostać tam i przedzierzgnąć się na powrót w Kapitana Czterech Piór. Jednakże wzywała mnie moja rzeczywistość. Byłem jeszcze zbyt młody, aby wskoczyć na dno worka zapomnianej drogi i zatknąć tam swój sztandar. Miałem rodzinę, kilku przyjaciół, być może dom, niewykluczone, że dziewczynę, i całkiem możliwe, że pracę. Przyjeliśmy z radością zaproszenie Hamisha do skosztowania kilku tyków jego nieprzebranego raję, ale tylko na parę dni. Wraz z upływem tego terminu, który był odliczaniem przed startem, mieliśmy wystartować w kierunku naszej planety, która nigdy nie sprawia tak niezmiernego wrażenia, jak wówczas gdy wraca się z Kenii.

Wszystko, co było potrzebne na śniadanie, Nyokabi zebrała w pięć minut w promieniu pięciu metrów wokół domu i wyglądało to tak, jakby wystawiła na zewnątrz talerze, a składniki same, jeden po drugim, spadły na nie prosto z roślin uprawianych przez Hamisha na stromym zboczu pod wykuszem tarasu. Po śniadaniu wróciliśmy z Delseym do Outspan zabrać nasze bagaże i uregulować rachunek. Czekałem na wiadomość i się doczekałem. Podczas gdy Delsey gromadził swoje stadko kapibar, z hotelowego pokoju odbyłem przedostatnią, wielką sesję telefoniczną. Zadzwoiłem do Kena i Makeny. Żadne z nich nie odebrało telefonu i domyśliłem się, że z tego samego powodu. Ani chybi aranżowali przeprowadzkę człowieka z gipsu na jego ostateczny piedestał, co zważywszy na stopień usztywnienia ciała Kena, wymagało być może walnej pomocy przedsiębiorstwa transportowego wyspecjalizowanego w przewożeniu posągów co najmniej tak, jak to paryskie. Następnie wykręciłem numer do matki i poraziłem ją wybuchem radości, zawiadamiając, tym razem bez makijażu, że odnalazłem Hamisha, że nie myliła się, że nie kłamał, że od tej chwili może odczuwać oficjalną i niepohamowaną dumę z faktu przynależności do rodziny człowieka takiego jak on. Zareagowała z odrobinę mniejszym entuzjazmem, niżbym sobie tego życzył, czyli dokładnie tak, jak się obawiałem.

Strasznie się cieszyła, a był to ten rodzaj przesadnej ekspresji, który rodzi się z podejrzeń osoby wyrażającej radość, że telefon nie jest w stanie wzmocnić wątlego sygnału, ale raczej go stłumić. Poza tym myślę, że mając rację, można czasem sprawiać ból. Zaniepokoiła mnie z lekka i postanowiłem zadzwonić do ojca. On był ucziwszy, bo nie musiał niczego wzmacniać, przynajmniej na razie.

- Doskonale, Curro. Wierzę ci i wiem, że potrafisz przyznać się do swoich błędów. Sądzę, że w takim razie będziemy musieli tam pojechać i poznać bliżej mego ojca. Jeśli jest taki, jak mówisz, z wielką przyjemnością uściskam go serdecznie i poproszę o wybaczenie. Przekaż mu, że jeśli pragnie nas odwiedzić, nasze drzwi stoją przed nim otworem. Choć zważywszy na jego zaawansowany wiek, może to niezbyt rozsądne. Czekaj, mam lepszy pomysł: kiedy tylko będziesz mógł i miał ochotę, zorganizujesz nową wyprawę i pojedziemy odwiedzić go całą rodziną. Opowiem o tym matce i na rozgrzewkę zacznę od tego, że ją przeproszę. O, właśnie, myślałem, żeby zaprosić ją dzisiaj wieczorem na kolację. Nie pamiętam już, kiedy ostatni raz widzieliśmy się sam na sam, bez asysty jakiegoś notariusza czy adwokata, jedynie w towarzystwie sędziego, czyli mnie. Problem w tym, że wszystkie restauracje, które znam, są raczej... kancelariami z kelnerską obsługą. Znasz może jakieś miejsce, powiedzmy... oryginalne i intymne zarazem?

Poleciłem mu restaurację Bai, odłożyłem słuchawkę i spojrzałem na wprost, w lustro zawieszone nad małym stolikiem. Myślę, że nigdy wcześniej nie zadziwił mnie mój własny uśmiech rozpinający się w przestrzeni zawartej między dwoma pionowymi krawędziami lustra.

Wreszcie terkot werbla, który nie był niczym innym jak przerażonym szczękaniem moich własnych zębów, poprzedził ceremonię otwarcia brązowej koperty. Według wszelkiej logiki powinna była zawierać wiadomość od Moniki. Poprosiłem o numer telefonu i dostałem go. Był to numer zaczynający się na +34 i 91. Był to numer kierunkowy Hiszpanii i Madrytu. Był to jej madrycki numer telefonu. Zapisała go wielkimi wołami w obstawie dwóch wykrzykników. Precz z bałamutnymi interpretacjami i rebusowymi harcami: wróciła.

Wybierałem numer trzykrotnie. Za pierwszym i drugim razem musiała mi się zawieruszyć jakaś cyfra, tak wielką trudność sprawiało mi utrafienie palcem w wybitnie nieporęczną tarczę telefonu. Gdy wreszcie złożyłem szczęśliwie do kupy poprawną kombinację, usłyszałem rytmiczny i bulgoczący zgiełk i stwierdziłem, że prawdopodobnie doszło do sprzęgnięcia linii z elektrokardiografem. Nie myliłem się. To było moje serce, które waliło mi tak, że miałem go pełno wszędzie, a zwłaszcza w uszach. Zachodziłem w głowę, czemu głowią się nad tymi niemieszczącymi się w głowie idiotyzmami w chwili takiej, jak ta, i stwierdziłem, że musiał to być podświadomy mechanizm obronny odpowiedzialny za rozładowanie napięcia, coś, co z pewnością nagminnie przytrafia się piłkarzom wykonującym ostatni rzut karny w finałowym meczu jakiegoś pucharu, który to wykonywali, jak dwa razy dwa jest cztery, podśpiewując sobie w myślach jakiś idiotyczny kawałek, jak ten bożonarodzeniowy o hipopotamie zagrany na pianinie przez Trevora, i spostrzegłem się, że przez myśl o rzucie karnym znów straciłem głowę i nie główkowałem już więcej, bo nagle usłyszałem jej głos.

- Tak, słucham?
- Cześć, to ja.
- Kochanie! Strasznie się za tobą stęskniłam! Mów, jak się masz?
- Otóż trawi mnie biała gorączka, ponieważ nic nie rozumiem. Ale jak ty się znalazłaś w Madrycie?
- Przyleciałam samolotem, głuptasie.
- Na dłużej?
- Na zawsze twoja, dopóki sytuacja międzynarodowa nas nie rozłączy, rzecz jasna.
- Co się przytrafiło panience *europin-up*?
- Zmęczyła się zwisaniem ze ściany. To była strata czasu. Spędziłam dwa tygodnie w hrabstwie Holmes, w Ohio, pisząc reportaż zatytułowany: ewolucja specyficznej diety społeczności amiszów a kultura żywieniowa przeciętnego Amerykanina hamburgerowca *BBQer* w kontekście problemów otyłości i zabójczego poziomu cholesterolu. Zdaję sobie sprawę, że na samą wzmiankę o takim temacie twój dziennikarski głód musi puszczać obfite soki,

bo w gruncie rzeczy reportaż ów jest spełnieniem marzeń każdego fachowca od informacji. Niestety ta oświecona idea nie zrodziła się w mojej głowie, ale w sercu mojego tkliwego szefa. Nie wiem, czy ta niepowtarzalna okazja w mojej karierze miała coś wspólnego z faktem, iż odmówiłam mu swoich cielesnych uroków. Cóż. Niepotrzebny mi tytułek z żarówkami, który zadawałby szyku nad biurkiem. Wracam przeto do okopów.

- Co ja słyszę, wreszcie wyłożyli je perskimi dywanami? - Zauważyłem, że wszystko wraca do normy. Mónica podzegała mnie do posługiwania się takim językiem i w ten sposób rozmawiałem tylko z nią. Bardzo za tym tęskniłem.

- A ty? Jak twoje safari?

- Dopadliśmy sztukę. Wczoraj odnaleźliśmy dziadka.

- Naprawdę! Moje gratulacje! I to bez niczyjej pomocy! Widzisz, że potrafisz dać sobie radę samiutki?

- To nie do końca prawda. Muszę przyznać, że twój pomysł zamieszczenia ogłoszenia w gazecie dał nieocenione rezultaty.

- A propos, wybacz, że nie mogłam odpowiedzieć na faks z tekstem ogłoszenia, ale...

- Tak, wiem, tańczyłaś z Harrisonem Fordem w stodole przy dźwiękach tego kawałka Sama Cooka.

- No już dobrze, dobrze. Potem opowiesz wszystko mamusi, a teraz przyznaj się, masz ten reportaż?

- Więcej. Mam materiału na cały serial.

- Świetnie! Jeśli mi się spodoba, możesz liczyć na moje poparcie w sprawie twojego powrotu do gazety.

- Dzięki, wskoczę w swoje najlepsze wdzianko i włożę szklane koturny. Słuchaj...

- Tak?

- Chcę ci powiedzieć, że przez cały ten czas nie byłem z nikim, ale... odwrotnie to nie było do końca tak...

- Nie prosiłam cię o wyjaśnienia.

- Nie. Ale dam ci je wspaniałomyślnie w prezencie. Wiesz, myślałem o twoim fakcie...

- Jakim fakcie?

- Przedostatnim. Tym pod tytułem „Wkrótce dnieć będzie”.

- No i co wymyśliłeś?

- Rozmawiałem o tym z Delseyem. Tak jak się spodziewałaś, rozpoznał zdanie z „Romea i Julii”. I zrozumiałem, w jaki sposób postrzegasz nasz związek. Szczerze mówiąc, dla mnie to żadna nowość. Wiem, że nie znosisz więzów, chyba że to ty manipulujesz sznurami. Ale przynajmniej przyjąłem do wiadomości, że na tym polega twoje wiązanie się z drugim człowiekiem i że w gruncie rzeczy nie osłabia to intensywności twojego zaangażowania, jakkolwiek niełatwo to ocenić od strony kontrahenta drugiej strony. Jeśli nagle wstępuje w ciebie Mrs. Hyde i znikasz, by tęsknić za mną z oddali, nie mogę się temu sprzeciwić. Ale tak samo nie mam prawa sprzeciwić się, kiedy ciągniesz do siebie sznur, bo właśnie masz takie widzimisie. To smutne, ale tak jest. I jeśli tak właśnie postrzegasz stały związek, postaram się, aby ta pętla nie zacisnęła się na mojej szyi ze skutkiem śmiertelnym.

Jej reakcja była absolutnie nieoczekiwana. Buchnęła historycznym śmiechem. Pod moim adresem.

- Chyba skonam. Rewelacja, Mencia. Myślę, że dokonałeś wyczerpującej syntezy relacji zachodzących między podmiotami naszego układu. Ale muszę ci wyznać, że nie mam pojęcia, skąd wytrzasnąłeś te bzdety - oznajmiła, rycząc w słuchawkę.

- Jak to? Twoje zdanie, „Wkrótce dzień będzie”, zdanie z „Romea i Julii”!

- Jaki Romeo, jaka Julia, co ty bredzisz! Ja tylko chciałam dać ci do zrozumienia, że jestem w Madrycie! Co, jak mniemam, musiałeś chyba zrozumieć, skoro wysłałeś mi w odpowiedzi faks na domowy numer!

- Co? Że ja...? Moment! Dałem twój faks recepcjonistce i poprosiłem ją, żeby wysłała go na numer nadawcy. Nawet na niego nie spojrzałem. O tym, że jesteś w Madrycie, dowiedziałem się przed chwilą z kolejnego faksu, w którym podajesz mi swój domowy telefon! Niby jak miałem się tego dorożumieć ze słów „Wkrótce dzień będzie”?

- Przecież to oczywiste, to wskazówka czasowa! Wkrótce dzień będzie! Zdziwiony tym, że napisałam do ciebie o tak nieludzkiej porze, powinieneś był sprawdzić godzinę w nagłówku faksu i wówczas

kapnąłbyś się, że między godzinami wydrukowanymi w twojej i w mojej maszynie nie zachodzi adekwatna różnica czasu, jaka powinna dzielić Kenię i Nowy Jork, rzuciłbyś okiem na numer faksu przychodzącego i zobaczyłbyś, że to madrycki numer! Myślisz, że po jakimś czasie nasmarowałam ci numer telefonu wołami poganianymi wykrzyknikami, gdy wystosowałeś swoją petycję? Sądziłam, że rozumiałeś i że kpisz sobie ze mnie! Boże, jaki z ciebie skomplikowany facet! „Romeo i Julia”, ha, ha! - Zanosila się śmiechem tak, że z trudem dobywała z siebie słowa.

- W porządku. Przyznaję, że zbłądziłem się i dałem plamę.

- Ależ głuptasie, nic się nie stało. I tak cię kocham, rozkojarzonego trefnisia, który lubi sobie napaskudzić od czasu do czasu. Kiedy wracasz?

- Pewnie za kilka dni.

- Zadzwoń, kiedy już kupisz bilet, dobrze? Wyjadę po ciebie na lotnisko.

- Będę jedynym pasażerem, którego odbierze szoferka z szoferem.

- Nie, przyjadę sama. Musimy odpracować stracony czas. Nie ma sensu, żebyś jechał do domu, w lodówce czeka na ciebie pewnie drugie safari. Zostaniesz na noc, dobrze? Obiecuję, że tym razem zjemy wspólne śniadanie.

- Nie mogę się tego wyrzec.

- No to nie wyrzekaj się. Czekam na twój telefon.

- Buziaki.

- W czyraki.

Położyłem słuchawkę i niemal w tej samej chwili rozległo się delikatne skrobienie w drewniane drzwi. To był Delsey. Bractwo kapibarowe ugięło się pod ciężarem jego bagażu, unosząc go w stronę recepcji, on zaś zapukał, aby sprawdzić, czy jestem już gotów. Nie mógł się doczekać, kiedy ponownie dołączy do Hamisha w jego ostoi.

- Widzę zadumę na twoim obliczu - powiedział troskliwie.

- Właśnie rozmawiałem z Mónicą.

- Wszystko dobrze?

- Prawdę powiedziawszy, nie mam pojęcia. Mówi, że tamten faks

nie miał nic wspólnego z „Romeem i Julią”. Ale nigdy nie wiem, czy robi ze mnie balona, kiedy myślę, że mówi serio, czy na odwrót. Tak czy owak, jest już z powrotem w Madrycie. Mówi, że zobaczymy się po moim powrocie. Nie wiem, jaka mnie z nią czeka przyszłość. Jakakolwiek będzie, nie mogę się już jej doczekać.

W ciągu dwóch kolejnych dni Hamish odkrył przed nami tajemnice swego zagubionego, usynowionego w owej dolinie gór Aberdare świata, którym on sam, w miarę utraty sił, cieszył się coraz mniej. Rozdzieliłem po równo moje wsparcie między niego, podpierającego się pasterskim kijem, i Delseya, i zesłiliśmy w trójkę zbudowanymi z inkrustowanych w zbczu poprzecznych, drewnianych bali schodkami, które wiodły obok podstemplowanego wykuszu i pozwalały dostać się do wąskich tarasów uprawnych, ukształtowanych między słupami. W tym pięknym i zarazem użytecznym ogrodzie Hamish uprawiał wszystko, co chciało urosnąć, łącznie z wielkimi bananowcami, których liście łaskotały nas w stopy, gdyśmy odpoczywali na tarasie. Schodki ciągnęły się aż do strumienia. Gdy był młodszy i nogi nie odmawiały mu posłuszeństwa, zwykł tam Hamish łowić ryby i zażywać orzeźwiających kąpiei, i z tamtych również dni zachowała się niezwykła relikwia, trywialna rzecz, definiująca jednakże doskonale nieszablonowy styl dziadka, coś, czego jak żyję nie widziałem nigdzie indziej. Od domowego generatora pociągnął tam Hamish przewód elektryczny, który zakopał na stoku. Gdy podczas łowienia ryb naszła go ochota, słuchał z gramofonu zasilanego prądem transportowanym wewnątrz kabla muzyki ze swojej okazałej kolekcji winylowych płyt. Pomimo życia na odludziu Hamish nie był wegetariańskim robinsonem wsłuchującym się w żywiczny krwiobieg drzew, lecz bon vivantem, być może zbyt niezależnym, aby egzystować w społeczeństwie. Chcąc ułatwić sobie podłączenie wtyczki gramofonu oraz zabezpieczyć kabel, by nie zgubił się w leśnym podszyciu czy nie pogryzły go zwierzęta, wyciął pod niego bruzdę w drzewie, umieściwszy w niej przewód, zakleił odłupanymi wcześniej drzazgami klejem żywicznym, po czym wydłubał w pniu dziuplę, w której wnętrzu umocował odporne na wilgoć gniazdko i której otwór zakrywał kawałkiem drewnianka. Nie dałbym głowy, że było to jedyne drzewo na świecie z ujęciem prądu, ja jednak nie widziałem innego.

W górnym biegu strumienia odkryliśmy platformę wkomponowaną w koronę drzewa, którą przed laty zbudował Hamish. Zanim na terytorium całego kraju zaczął obowiązywać zakaz polowań, zasadzał się tam na zwierzynę, gdy trzeba było uzupełnić zapasy w spiżarni; czasami wdrapywał się tam tylko po to, by śledzić wędrówki zwierząt w gęstwinie i odgadywać ich tożsamość lub uciąć sobie pogawędkę z gośćmi, którym zostawiał jedzenie - dialog między wzajemnie niejadalnymi gatunkami. Z zachowaniem najwyższej ostrożności wspiealiśmy się po drabinie i zasiedliśmy w trójkę na podeście platformy z nogami zwisającymi w próżni, chłonąc wzrokiem widok rozpościerający się na dolinę. Ta replika pierwotnego Treetops przypomniała mi artykuł, w którym dziadek opisywał swój pobyt w gościnnych konarach najslawniejszego *mugumo* Aberdare oraz hałaśliwe, nocne manewry pewnej młodej damy. Przypomniałem mu tę historię i jego odpowiedź mnie zamurowała:

- Tak, to musiało być zabawne, żeby widzieć twarz pastora i jego małżonki!

- Jak to, musiało być?

- Tak, że to było zabawne.

- Nie, nie, dziadku. Powiedziałeś: „musiało być zabawne”.

- Och, dobrze, ty wiesz, mój hiszpański jest zły.

- Myślę, że wiedziałeś doskonale, co chcesz powiedzieć. O wiele łatwiej jest powiedzieć „było” niż „musiało być”. Przynaj się, gdzie byłeś w czasie, gdy na twarzach pastora i jego małżonki malował się ten zabawny wyraz, który ty sobie wyobrażałeś, lecz którego nie widziałeś? - przygwoździłem go, posyłając mu niewinny uśmiech

i domyślając się odpowiedzi.

- Hamish... - ponaglił go Delsey, nie patrząc na przyjaciela.

- *Ali right*, ja byłem w środku pokój.

- A więc to byłeś ty! - Roześmiałem się.

- Ona była córka ważnego *dvii servant* kolonii i ja jestem dzentel men. Wtedy ja nigdy nie próbowałem, żeby publikować ten artykuł. W jakiś sposób ona była niedająca się znosić, wiesz? My zerwaliśmy bardzo następnego dnia. Ale gdzie jest ten niewinny chłopiec, którego ja używałem, żeby opowiadać opowiadania?

- Jest tu nadal, w środku, słucha twoich opowiadań. To z Treetops

jest jednym z najlepszych. Pamiętaj, że teraz słuchanie opowiadań to moja praca. Jestem dziennikarzem.

- Ty będziesz mieć wiele spraw, żeby opisać w twoim artykule. Ty powinieneś lepiej iść po książkę.

- Książkę powinieneś napisać ty.

- Och, ja nie myślę, ja zrobię to. Sangre de Cristo jest dosyć dla mojego starego Quincey i mojego starego Underwood. Ja bym potrzebował, żeby myśleć po nowe imię, aby podpisać to. I ja mam już za dużo imion. Hamish, Igor, Fidla, Quincey... Dosyć jest dosyć.

- Prawdę powiedziawszy, kusi mnie, żeby spróbować. Ale nie wiedziałbym nawet, od czego zacząć. Tyle jest do opowiedzenia...

A przecież nie było to jeszcze wszystko. Dzień ów zakończył się wybuchem prawdziwej bomby, jaką była propozycja złożona mi przez Hamisha. Detonacja nastąpiła o zmierzchu, gdy sączyliśmy piwo pod pierzchającym z tarasu słońcem. I nie poprzedził jej żaden wstęp.

- Curro... Kiedy ty wyjedziesz... Ja chcę, ty żeby zabrać Mumbi z tobą.

- Ależ, co ty mówisz?

- Ja czuję słaby teraz. Ja nie wiem, ile więcej czasu jest zostawione dla mnie. Ale to nie będzie wiele. Po raz drugi w moim życiu Bóg, Ngai, czy kto tam, usiadł w moich rękach los dziecka niemowlaka. Ja mogę umiarkowanie zapewnić, że pierwszy raz ja zrobiłem moją misję, ale ten drugi raz jakiś inny powinien, żeby wziąć moje miejsce. Ja muszę powiedzieć, to był drugi powód, aby pisać do ciebie.

- Ależ, dziadku, ja nie byłbym dobrym ojcem... przynajmniej na razie. Zbyt wiele niewiadomych jest w moim życiu. A Nyokabi, a twoi sąsiedzi?

- Curro... Niektóry z nich byłby bardzo szczęśliwy, żeby wychować Mumbi. Ale ja nie mogę dać Mumbi, tak gdyby ona by była stary samochód ty już nie używasz. Ja lepiej wolałbym mieć, ona zachować swoje korzenie Kikuju i to jest smutne, żeby myśleć, ona straci ten piękny kraj. Ale ja nie podobałbym to, żeby być tracąc drugą połowę swoich korzeni, swoich możliwości, swoją *chance*, żeby zobaczyć świat i żeby wybrać swoje życie przez nią samą.

Odkąd ona była urodzona, ona nigdy nie była na zewnątrz stąd. Wczoraj, gdy ja zobaczyłem wy w szkole, ty wiesz, jakie było moje pierwsze pomyślenie? Ja pomyślałem: anioł strażnik Mumbi jest tutaj w końcu, żeby ocalić ona.

- To niesamowite, że tak pomyślałeś. Ty i babcia Uke jesteście moimi aniołami stróżami.

- Więc być może ta jest racja dla ciebie, żeby być aniołem Mumbi jak Mumbi będzie nim dla jakiegoś jednego innego. To jest prawo owczarni. Każdy jeden otwiera drogę dla następnego jednego. To jest, jak to działa.

I tak działało zawsze. Zrozumiałem to natychmiast. Delsey pojawił to już poprzedniej nocy i uprzedził mnie o tym. Teraz mój towarzysz podróży siedział nieporuszony, ze wzrokiem zabłąkanym gdzieś w dalekim paśmie gór. Zrozumiałem, że w tym wypadku nie uchylał się od odpowiedzialności wygłoszenia swojej opinii, lecz po prostu usiłował uniknąć jakiegokolwiek mimowolnego gestu mogącego ujawnić cię wyrzutu, gdybym nie podjął właściwej decyzji. Tym razem była to wyłącznie moja odpowiedzialność. Popatrzyłem w te ogromne, czarne oczy obserwujące naszą trójkę ze swojego krzesła, nierozumiejące, że w tej właśnie chwili decyduje się ich przyszłość. Spojrzałem ponownie na Hamisha i odpowiedziałem. I choć uczynili to w sposób absolutnie nieuchwytny, on i Delsey odetchnęli z ulgą.

- Oczywiście, dziadku. To dla mnie zaszczyt. Jesteś jednak pewny, że nie pragniesz zostać z nią, aż...?

- Ja myślałem dużo o tym. Przez długi czas ja wyprzedziłem ten dzień i ja już zdobyłem przygotowanie na to. Ja wolę, żeby wiedzieć, że każda rzecz zostaje *settled*, gdy ja mogę jeszcze wiedzieć. Ja nie mogę myśleć z najlepszą rzeczą dla mnie, ale z najlepszą rzeczą dla Mumbi. Ona rośnie dzień przez dzień i najpóźniej ona oddala ode mnie, to będzie trudniejsze dla niej.

- Rozumiem. Masz rację.

- Wcześniej ty odjedziesz, Nyokabi wyjaśni do ciebie każdą rzecz Ojedzeniu, opiece... - Głos Hamisha utonął w jęku. Wstałem z krzesła i przytuliłem się do pleców dziadka, pocierając jego ramię. Położył swoją dłoń na mojej dłoni. Delsey odchrząknął i uniósł szklanekę.

- Przyjaciele, to wspaniała okazja, którą należy uczcić. Ta śliczna istota będzie mogła polegać na wielu sercach dodających jej otuchy w życiowej wędrówce. Proponuję toast za kogoś, kto z oddalenia swego niebieskiego parnasu sprawił, żeby tak się stało, gromadząc naszą trójkę w tym odległym i przepięknym zakątku Afryki.

- Do Uke - wznosił toast Hamish.

- Za babcię - poprawiłem. Przyszła mi do głowy pewna myśl i odważyłem się ją wyrazić. - Dziadku... Chciałbym cię o coś prosić.

- Jasne, ty mów.

- Chciałbym, żebyś zagrał dla mnie utwór Mascagniego, ten, który tak bardzo podobał się babci. Ona mówiła, że nikt nie grał go tak, jak ty.

- Och, ja mam nadzieję, nie żeby straciłem moje *skills*. Ja nie chciałem, żeby zawieść do ciebie. Ani jej.

Wszedł do domu po skrzypce i w chwilę potem głęboka melodia spływała w dolinę. Podobnie jak ja, Hamish wiedział, że babcia też jej na pewno słucha. Gdziekolwiek niesło mnie moje życie, ona zawsze szła ze mną. Zdołałem zawieść ją do niego, zdołałem sprawić, że mogła posłuchać jego muzyki raz jeszcze. Byłem jej to dłużny.

Rankiem trzeciego dnia miałem już mgliste pojęcie o papkach i przewijaniu. Notowałem w zeszycie ostatnie instrukcje, które Nyokabi wykrzykiwała dźwięcznym głosem. Brakowało mi jednego drobiazgu o kapitalnym znaczeniu. Nie miałem pojęcia, jak wyglądała sytuacja prawna Mumbi, i jakie przeszkody mogę napotkać podczas tej operacji. Domyślałem się, że nie można ot tak wsadzić dziecka do samolotu i wywieźć za granicę jak szczoteczki do zębów.

- Dokumenty? *You mean papers?* Mumbi ma żadne. Ja nigdy nie zarejestrowałem ona w jakimś miejscu. To mógłby robić problem?

Problem, o którym wołałem Hamishowi nie wspominać, polegał na tym, że Mumbi mogła zakończyć swoją podróż jako smutny gość opieki społecznej lub podłego sierocińca, czy jeszcze gorzej, gdyby nie udało mi się znaleźć legalnej drogi pozwalającej białemu cudzoziemcowi wywieźć z kraju kenijską dziewczynkę, będącą dziec-

kiem nieznanymi rodziców, nieposiadającym żadnych dokumentów i w stosunku do którego cudzoziemiec ów nie mógł wykazać się żadnym pokrewieństwem.

Przed moim odjazdem Hamish trzymał w objęciach Mumbi, szepcząc jej coś do ucha w języku, który był zapewne językiem Kikuju. Dziewczynka nie zdradzała oznak niepokoju i gdy wziąłem ją na ręce, aby usadowić na przednim siedzeniu i okręcić jak tylko potrafiłem pasem bezpieczeństwa, pozostała cicha i spokojna, patrząc na mnie beztrąsko i chwytając rączką naszyjnik, który wycierał spomiędzy guzików mojej koszuli, gdy się nad nią nachylałem. Nie знаła planów pasterza, pomyślałem. Ani ja.

Zajmując się małą, nie zorientowałem się w sytuacji, dopóki bagaże moje i Mumbi nie znalazły się w samochodzie. Rzuciło mi się w oczy zbyt dużo wolnego miejsca w bagażniku.

- Delsey...?

- Curro... Jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałbym zostać czas jakiś z Hamishem. Tyle mamy sobie jeszcze do opowiedzenia. Jestem już za stary, aby podróżować w tę i z powrotem do Europy.

- A pańskie artykuły w magazynie? A programy w telewizji?

- Cóż, przeżyją beze mnie. A gdyby nawet miało stać się inaczej, ja dam sobie radę bez nich na pewno.

- Jak pan później wróci?

- Och, ty nie przejmuj - wtrącił Hamish. - Ja wezmę opiekę jego. Ty odjedź spokojny, my będziemy dobrze. My jesteśmy Tom Sawyer i Huckleberry Finn! My jesteśmy eksperci pozostali z życiem.

Żegnając się ze mną, Hamish podarował mi kilka egzemplarzy Sangre de Cristo oraz intrygujące, drewniane pudło wielkości grubej książki.

- To jest prezent. Ty nie otwieraj to, aż ty jesteś daleko na zewnątrz od stąd.

- Dziadku. Piszesz jeszcze?

- Tak długo tak ja mam pomysły w mojej głowie, papier w moim underwood i moc w moich palcach. Ja piszę teraz jeden nowy. To ma tytuł „Mutant havoc!”*

„Chaos mutant!”.

- Chciałbym, żebyś wprowadził do książki nową postać, jeśli to możliwe.

- Kto jest to?

- Ian. Malarz koni, przybysz z Afryki.

-Kto?

- Delsey ci wytłumaczy.

Staralem się uniknąć wielkiego, wstrząsanego emocjami pożegnania, które nijak się miało do moich planów na nadchodzące miesiące, będących na razie ledwie pobieżnym szkicem. Jeśli nie wiesz, czy ktoś będzie żył dostatecznie długo, aby móc zobaczyć go ponownie, zdrowiej jest nie opatrywać pożegnań lakową pieczęcią. Zamierzałem wrócić, zanim zauważą moją nieobecność, gdy tylko załatwię najpilniejsze sprawy. Delsey chyba podzielał mój punkt widzenia, bo pożegnaliśmy się krótkim uściskiem, a słowa, które wygłosił, zaparły się jego fatalistycznej natury i zmarnowały niezrównaną okazję do odegrania sceny z kina niemego rodem opatrzonej homeryckimi napisami:

- Ależ musieliśmy narozrabiać, żebym ja, w moim wieku, mógł wzuć buty z cholewkami!

Nagle poczułem, że będę tęsknił za bliskością naj niezwykłej szego towarzysza podróży, jakiego miałem w życiu. Jego miejsce zajmowała pogodna dziecinka o olbrzymich oczach, które teraz miały się otworzyć na świat. Dla uczczenia tej wiekopomnej chwili ssała wskazujący i serdeczny palec, drugą zaś rączką potrząsała pękatym, drewnianym nosorożcem wystruganym przez ojca.

Bez wątpienia przyczyną musiało być zniekształcenie spowodowane odległością i drgania powodujące, że kontury się zacierały, ale w miarę jak objęci ramionami Delsey i Hamish się oddalali, machając na pożegnanie w kadrze lusterka wstecznego, dopóki nie zniknęli mi z pola widzenia na pierwszym łuku w lesie, przez króciutką chwilkę miałem nieodparte wrażenie, że ich zmarszczki się wygładzają, że ich sylwetki się prostują i nabierają sprężystości, i w ostatniej sekundzie, nim za samochodem zasunęła się zielona kurtyna zakrętu, przysięgłbym, że to nie staruszkowie, ale chłopcy, którzy są tak młodzi, że suma ich wieku pozwala im zapełnić marzeniami kufer przeznaczony na wspomnienia.

Wróciwszy do Nairobi, wynająłem pokój i zadzwoniłem do Kena i Makeny. Oboje byli w domu rodzinnym Kena. Makena postanowiła uczcić mój powrót, przebiegającą zadowalająco rekonwalescencję Kena i sukces misji poszukiwawczej, zapraszając nas do siebie na kolację. Poinformowałem ich, że Delsey został z Hamishem na dłużej, ale że w jego miejsce dotrzyma mi towarzystwa inna osoba, dziewczyna, którą poznałem podczas podróży. Odnieśli się do tej rewelacji z niedowierzaniem, wyjaśniłem im więc, o kogo chodzi, na co zareagowali z jeszcze większym niedowierzaniem. Poprosiłem Kena, żeby skontaktował mnie z kimś, kto pomógłby mi zorientować się w meandrach postępowania pozwalającego uregulować sytuację administracyjną Mumbi oraz uzyskać nad nią opiekę prawną. Jakiś czas później kontakt Kena dał mi do zrozumienia, że proces ten należy do procedur ekspresowych i że dopóty, dopóki nie uzyskam wszelkich niezbędnych zaświadczeń, nie będę mógł wyjechać z Mumbi z kraju, nie wystawiając siebie i dziecka na ryzyko prewencyjnego uprowadzenia czy czegoś w tym guście.

Noc była czysta i bezchmurna, powietrze nie poruszało się na milimetr i można było trafić w wybraną płytkę chodnikową bańką mydlaną puszczoną z dachu niesławnego Nyayo House. Złowrogi zarys budynku widoczny był z przestronnego tarasu mieszkania Makeny. Przypomniałem sobie, że panorama była bardzo podobna do tej, którą syciłem zmysły w pierwszą noc swojego pobytu w Nairobi z pokoju hotelu Serena, choć wówczas nie zwróciłem uwagi na nieciekawą, ziemistą bryłę, w której piwnicach popełniano nikczemne okrucieństwa w chwili, gdy na nią patrzyliśmy. U naszych stóp czarna przepaść parku Uhuru otwierała ślepe okno na tajemniczą kenijską ziemię błogosławioną słońcem i przeklętą deszczem, czy może na odwrót.

Przypadli sobie do serca od pierwszej chwili, gdy tylko oczy Kena i Makeny spoczęły na małej Mumbi. Ken w gipsowej zbroi rozparty w inwalidzkim wózku spuszczał Mumbi z kamiennej piersi jak ze zjeżdżalni. Dziewczynka była zachwycona. Zabawa ta była chyba jedynym momentem w ciągu całego wieczoru, kiedy Mumbi nie była przyklejona do Makeny. Przez resztę czasu a to wtulała się w jej ramiona, a to siedziała na jej kolanach, spokojna i rados-

na w obliczu tej wersji macierzyńskiego formatu z najwyższej półki.

Przed kolacją Makena poczęstowała nas *dawa*, słodkim, zimnym koktailem składającym się z wódki, limy, pokruszonego lodu i miodu. Smakowaliśmy go na tarasie oświetlonym światłem świec, kiedy Ken i Makena nie wytrzymali dłużej i zakomunikowali mi swoją wielką nowinę.

- Chodzimy ze sobą, stary! - proklamował Ken. - To znaczy, zaczniemy chodzić, kiedy będę już mógł wyjść z tej ciasnej celi, w którą mnie lekarze wcisnęli.

- Kapitalnie, moje gratulacje! W końcu dopiąłem swego! - powinien szować w odpowiedzi im i sobie.

- Udało ci się? A od kiedy to niby planowałeś? - spytała zdumiona Makena.

- Niemalże od dnia, w którym poznałem was oboje. Ponieważ jednak wszystko wlokło się niemożliwie, Ken nie mógł jednocześnie mówić i trząść się jak barani ogon, musiałem wynająć dwóch zbirów, żeby unieruchomili mu stopy.

- Stary, nie żartuj sobie, to śmiertelnie poważna sprawa - ostrzegł mnie Ken. - Chociaż już chodzą słuchy, że wszystko dobre, co się dobrze kończy. Historia ta otworzyła przede mną nowe możliwości zawodowej ekspresji.

- Co masz na myśli? - spytałem z ciekawości.

- Kiedy gniłem w szpitalu, popęliłem rysunek dla moich kolegów z gazety. Przedstawia karykaturę monstrualnie wielkiego Moi siedzącego na dachu Nyayo House z nogami zwisającymi na frontowej ścianie. Ja ściele się na ziemi przygnieciony podstawą budynku. Na stronie dwóch facetów obserwuje scenę i jeden mówi do drugiego: „Obawiam się, że nasz prezydent nie do końca zrozumiał ideę «prasy»”. Rysunek zobaczył szef i bardzo mu się spodobał, tak bardzo, że postanowił go opublikować. Miał bardzo przychylną recenzję i szef zaproponował mi, abym spróbował zająć się rysowaniem.

- To fantastyczna wiadomość! Wiedziałem, że jesteś stworzony do czegoś lepszego niż do ślęczenia nad hienami i afiszami, och, wybacz, znakami drogowymi. Powinieneś być tego spróbować już dawno. Liz na pewno nie odmówiłaby ci pomocy.

- Liz? Jaka Liz?
- No, Liz, córka jednego z twoich bossów.
- Nie wiem, kto to taki, stary.
- No jak to? Ona cię zna! Zna nawet twoją frontową ksywkę!
- Nie mam bladego pojęcia. Niezła?
- Ej! - Makena spuściła karzącą dłoń na jego pierś i zasyczała z bólu.

- Jestem opancerzony, kotku - zachichotał Ken.
- Znasz córkę najwyższego kapłana w firmie i zamiast całować ślady jej stóp, ty ją sobie najzwyczajniej w świecie lekceważysz
- przeprowadziłem szybką analizę jego nonszalanckiej postawy.
- Przypominasz mi jednego znajomego. A ty, Mak? Jakież nowe wieści?

- Na razie bez zmian. Gdybym ja mogła tak łatwo zdobyć pracę. Ale ja nic nie umiem.

Makena wyszła na chwilę do kuchni, aby zapiąć na ostatni guzik przygotowania do kolacji. Gdy usiedliśmy do stołu, nałożyła nam upitraszoną przez siebie potrawę na talerze. Spróbowałem i onie- miałem.

- Mak, czy ty zdajesz sobie sprawę, co to jest? - spytałem, poka- zując na talerz.

- To? Sałatka z łososia i homarzec w sosie z limy, czosnku i białe- go wina i do tego krem z rzodkiewki.

- Nie. To nie to - odparłem.

- Ach, nie? - Makena jeszcze nie rozumiała.

- Nie. To jest właśnie to, co potrafisz robić.

- O czym ty mówisz?

- Gdzie się nauczyłaś tak gotować?

- Od matki. Nie ma w tym chyba nic dziwnego, co? Ona bardzo dobrze gotuje. No i muszę się przyznać, że połykam wszystkie programy kulinarne w telewizji.

- Ken, nie wiesz przypadkiem, czy w The Horseman znaleźli już kucharza?

- Nie, nie wiem - odparł zaskoczony Ken. - Ale jutro pogadam z Mosesem. To mój kuzyn. To znaczy, jakby był kuzynem. I jest mi dłużny przysługę.

- Mak, chciałybyś gotować dla innych?
- Dlaczego nie? Nigdy nie myślałam o tym jak o pracy, ale prawdę mówiąc, gotowanie zawsze sprawiało mi wielką frajdę.
- Kochani, mam wrażenie, że dzisiejsza kolacja nie dość że jest przepyszna, to na dodatek okazała się bardzo owocna - podsumowałem.

Wieczeraliśmy do późnych godzin nocnych, uciekając do salonu przed chłodem wyżyny osiadającym na Nairobi. Rozmawialiśmy o Hamishu, Delseyu i Mumbi, i kiedy podzieliłem się z nimi swoim niepokojem o dziewczynkę, o jej sytuację prawną i powiedziałem, że mam zamiar lecieć do Hiszpanii tak szybko, jak mi na to pozwoli biurokratyczny bieg z przeszkodami, Makena nie zastanawiała się ani przez chwilę.

- Zostaw ją ze mną, dopóki nie wrócisz do Kenii. Mam wrażenie, że czuje się dobrze na moich kolanach. Możesz spokojnie lecieć do Hiszpanii i wrócić, gdy będziesz mógł. Mumbi będzie w dobrych rękach. Prawda, skarbenku?

Zdałem sobie sprawę, że gdzieś podświadomie pragnąłem tego, że rozważyłem tę możliwość od samego początku. Nie wiedziałem wówczas, jaką formułę mógłbym nadać w przyszłości mojej prawnej relacji z dziewczynką, nie wiedziałem nawet, czy restrykcje administracyjne nie narzucą mi z góry jakiejś konkretnej formuły. W każdym razie jeśli przepisy uniemożliwiłyby mi uzyskanie nad nią prawnej opieki, zawsze mogłem być jej aniołem stróżem, bo na szczęście ta figura międzyludzkich związków nie jest jeszcze obostrzona żadnym pozwoleniem ani obłożona obowiązkowym podatkiem. Lecz prawdziwą matką, matką, która nie pozbawiłaby jej korzeni Kikuju, która nie wywiozłaby jej hen, daleko od jej krwistoczerwonej ziemi, od jej zielonej gęstwiny lasów i od czarnych twarzy jej braci, matką, która złożyłaby cały świat u malutkich stopek Mumbi, aby dać jej możliwość zobaczenia, możliwość wyboru ujranych rzeczy i możliwość przeżycia ich, matką, która gromadziłaby nieprzebrane pokłady czułości i potrafiła obdarować nią dziecko nienarodzone z jej własnego łona, i wreszcie matką, której własna matka mieszkałaby zaledwie dwa kilometry od chaty Hamisha, taką matką mogła być jedynie Makena. Czas miał poka-

zać, jak się to wszystko ułoży. Być może najprostszym sposobem przedarcia się przez biurokratyczną dżunglę było zarejestrowanie Mumbi jako biologicznej córki Makeny, której narodzin matka nie zgłosiła w swoim czasie przez roztargnienie. Od tamtej nocy jednak była Mumbi nową dziewczynką posiadającą nową matkę.

Waga bagażu złożonego na lotniskowej wadze wydała mi się nad wyraz znikoma jak na to wszystko, co wywoziłem z Kenii. W piętnastu kilogramach mieściło się wiele twarzy i imion, historii dawnych i niedawno sfinalizowanych, poszukiwanie sprawiające wrażenie dłuższego niż rzeczywisty rachunek tygodni, które upłynęły, odkąd wraz z Delseyem zeszedliśmy na ląd w Nairobi z innymi turystami, i jak inni turyści chwytaaliśmy łączywie pierwsze łyki tego powietrza afrykańskiej wyżyny smakującego chmurami, o które ociera się w swojej wędrówce. Jak w wypadku Delseya i Hamisha nie chciałem wielkiego, pompacyjnego pożegnania z Makeną, Kenem i malutką Mumbi, która raz jeszcze uczepiła się mojego naszyjnika, nim schowałem go do walizki. Miało to pożegnanie posmak innego rozstania, również na lotnisku, przed czternastu laty.

Poddana obiektywnej analizie sytuacja nie mogła nastrajać bardziej optymistycznie. Odnalazłem dziadka i zawiodłem do niego jego najlepszego przyjaciela, czasowo zostawiałem swoją podopieczną w rękach najlepszej pod słońcem matki zastępczej, osoby na wskroś pięknej, świeżo upieczonej dziewczyny najsympatyczniej zwariowanego dziennikarza kenijskiej prasy, którego przyjaźń poczytywałem sobie za wielki honor. Moja dziewczyna czekała na mnie w Madrycie, pociągając za jedwabną nitkę, która miała ostatecznie zredukować się między naszymi ciałami do kilku milimetrów włókien jej intymnej bielizny. Rodzinny dom czekał cierpliwie, aż przeobrażę go w nową bazę obozową i wskreszę utracony świat dzieciństwa. Nawet moi rodzice po raz pierwszy od wielu lat zjedli wspólnie kolację. Gdyby to wszystko jednak nie było dość przekonujące, dzięki tej podróży wypełniony został z pewnością w stu procentach plan minimum. Zrealizowałem mianowicie dwa cele uchodzące w oczach niedowiarków za nieosiągalne - Delsey włożył buty z cholewkami, a Mónica zobowiązała się zjeść ze mną śniadanie. Skąd więc u diabła brały się u mnie te łyki?

Zaletą nocnych lotów jest to, że dają ci większe szansę na ukrycie emocji przed innymi pasażerami, zważywszy, że w samolocie może wydać się komuś podejrzane każde zachowanie ocierające się choćby o ścianki dzwonu Gaussa. Zająłem miejsce przy oknie i opadłem na oparcie fotela, kontemplując czerń za podwójną szybą. Zamknąłem oczy, kiedy poczułem, że koła tracą kontakt z pasem startowym i zabierają ostatnie cząstki afrykańskiej ziemi do wnętrza mrocznych luków. Po chwili otworzyłem powieki ponownie i wyteżyłem wzrok, wpatrując się uporczywie w zasnu-ty cieniem nocy krajobraz. Widać było jeszcze światła Nairobi i wyobraziłem sobie, że tam, w dole, w parku narodowym samotny lew leży na swoim stepie, rozkoszując się pogodnie swoją lwią naturą, którą mógł zabrać z sobą do każdego miejsca w Kenii. Lew spojrział na nienależące światło na nocnym niebie i zobaczył mnie. Chociaż to spojrzenie nie trwało zapewne dłużej niż kilka sekund, bo te *ndege* nie były jadalne i zawsze latały zbyt wysoko, aby można je było dosięgnąć.

Naraz przypomniałem sobie o prezencie Hamisha. Schowałem go do torby safari i wypełniając co do joty instrukcje dziadka, zapomniałem o nim kompletnie do chwili, w której należało go otworzyć. Sfotografował go nawet lotniskowy skaner, a ja nie miałem pojęcia o tym, co jest w środku. Wyciągnąłem torbę wepchniętą pod fotel i wydobyłem z niej drewniane pudełko. Przewiązane było sznurkiem.

Pociągnąłem za jego koniec i wolno odsunąłem pokrywkę. Wewnątrz znajdowała się jedna z drewnianych figurek, które Hamish rzeźbił dla Mumbi. Był to struś. Jego głowę otulał niebieski kaptur. Figurka zwierza przykrywała złożony arkusik papieru. Rozprostowałem go. Była to notka zawierająca skreślone ręką Hamisha następujące słowa: „Teraz ty wiesz, gdzie żeby zacząć historię”.

Obok mnie w kreacji w kolorze khaki siedziała nie pierwszej już młodości kobieta, z której obecności nie zdałem sobie wcześniej sprawy. Ale byłem święcie przekonany, że ona śledziła każdy mój ruch. Wystraszyłem się, gdy natarła na mnie zniecierpliwiona.

- Rozumiem pańskie wzruszenie. Ja również poczułam jakiś niewymowny smutek, gdy safari dobiegło końca. Prawda, że widok polujących lwów jest wprost zjawiskowy? A gepardy?

- Nie wiem - odrzekłem. - Nie widziałem polujących lwów. Ani gepardów.

Dama wykrzywiła usta w grymasie niezadowolenia, odholowała wzrok w przeciwną stronę, odchyliła w tył oparcie fotela i zamknęła oczy. Nie chciało mi się spać. Odszukałem w torbie długopis, zeszyt i koc. Owinąłem się jak gąsienica w kokonie, pstryknąłem światelko do czytania, opuściłem stolik, otworzyłem zeszyt na czystej stronie i napisałem:

Dziadek opowiadał mi historie z Afryki.

Valle Peregrinos, czerwiec 2006

Spis treści

CZĘŚĆ PIERWSZA	
STULECIE, W KTÓRYM SPALIŚMY NADZY	
7	

1	Błądny struś	9
2	Lux Domini	13
3	Władca równin.....	24
4	Skrzypce i burza	43
5	Wybieramy przepaść	55
6	Słupy soli.....	67
7	Cztery Pióra i imperialny orzeł	84
8	Zbrukany biały kwiat	99
9	Ku czci nieznanego żołnierza.....	120
10	Lux Lucis	131
11	Narzeczona Sandokana	144
12	Dżentelmenki i lwice	160
13	Kamienne motyle	178
14	Małpa i magdalenka	201
15	Obwoływacze.....	220
16	Jeden dzień, jedno do widzenia	245
17	Istoty z przeszłości	265

18	W stronę Delseya	282
19	Fikcyjni bohaterowie	301
20	Stulecie, w którym spaliśmy nadzieję	320

INTERMEZZO (ALLEGRO)	347
----------------------------	-----

CZĘŚĆ DRUGA

LEW NA PUSTKOWIU.....	361
-----------------------	-----

21	Miasto odległe od słońca	363
22	Niewidoczna sawanna.....	377
23	Zmagania Afrodyt	386
24	Kiedy drzwi się zamykają, okno też	395
25	A kiedy drzwi się otwierają, okno też	413
26	Zniszczyć i pokonać	431
27	Niebo Naivasha	454
28	Pęknięcie w ryfcie	478
29	Trop Boston	508
30	KlubSzyfów	523
31	Z prochu w nicość	541
32	Tam, gdzie modlą się bawoły	560
33	Ślady w rzece	576
34	Horror	594
35	Skatowany <i>kiboko</i>	607
36	Wkrótce dzień będzie w Treetops	625
37	Sonata wiecznej wiosny	644
38	I świat będzie wokół	656
39	Dziewczynka jutra	672